Antonina Jankowska

z Księgarni i składu nut
LEONA FROMMERA
W KRAKOWIE (Szewska 7)

WYPISY POLSKIE

dla klas wyższych

szkół gimnazyalnych i realnych.

Część druga,

ułożona przez

Stanisława Tarnowskiego i Franciszka Próchnickiego.

Cena egzemplarza oprawnego 1 zł. 85 ct.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA.

1891.

524633

z Księgarni i składu nut
LEONA FROMMERA
W KRAKOWIE (Szewska 7)

Biblioteka Główna w Kielcach
113781

SPIS RZECZY.

Okres siódmy (1822—1850).

Wstęp 1

Adam Mickiewicz 27

Z Ballad: Pierwiosnek 47
Świtezianka 48
Trzech Budrysów 51
Z Sonetów: Do Niemna 52
Rezygnacya 52
Z Sonetów krymskich: Stepy akermańskie . . . 53
Cisza morska 53
Droga nad przepaścią 54
Góra Kykyneis 54
Z Wierszy różnych: Oda do młodości 54
Farys 56
Do M. 60
Trójka koni 61
Z Konrada Wallenroda 61
Z Dziadów części drugiej 87
części czwartej 93
części trzeciej 98
Z Ustępu: Droga do Rosyi 109
Pomnik Piotra W. 112
Z Literatury słowiańskiej: Stefan Batory i Iwan Groźny . 114
Piotr Skarga 126
Obrona Częstochowy 137

Antoni Malczewski 144

Z Maryi 146

Józef Bohdan Zaleski 159

Śpiew poety 162
Podzwonne ku ojcom 164
Dumka hetmana Kosińskiego 165
Z Ducha od stepu 167
Z Pieśni serbskich: Bój kosowski 174

Severyn Goszczyński 178
Z Zamku kaniowskiego 179
Orzeł 185

Joachim Lelewel 186
Z dzieła p. t. Polityka, stan i urządzenia Rzpltej:
Obrady narodowe 189
Z dzieła p. t. Bibliograficznych ksiąg dwoje:
Przemowa 193

Maurycy Mochnacki 197
Z dzieła p. t. O literaturze polskiej w w. XIX:
O Maryi Malczewskiego 198

Klementyna z Tańskich Hofmanowa 203
Z Dziennika Franc. Krasińskiej 205

Alexander hr. Fredro 213
Nikt mnie nie zna (w skróceniu) 217
Śluby panieńskie (w wyjątkach) 234
Trzy po trzy (wyjątki) 251

Zygmunt hr. Krasiński 257
Z Irydyona 267
Z Psalmu dobrej woli 287
Z Wierszy drobnych: Do aniołów 289
Po śmierci 290
Dla Elizy 292
Z Listów do Konst. Gaszyńskiego 293

Juliusz Słowacki 299
W Szwajcaryi (wyjątki) 310
Z Balladyny 313
Z Lilli Wenedy 336
Z Księcia niezłomnego 353
Z Wierszy drobnych: Rozłączenie 358
Hymn o zachodzie słońca 358
Zatoka koryncka 360
Na sprowadzenie zwłok Napoleona 362
Z Listów do matki 363

Stefan Garczyński 368
Z Sonetów wojennych: Posterunek na stracenie . . 369
Natarcie konnicy na konnicę 369
Przeczucie śmierci. 370

Konstanty Gaszyński 370
Z Sielanki młodości 371

Z sonetów: Do sonetu 372
Jungfrau przy zachodzie słońca 373
Wspomnienie Korsyki 373
Usque ad finem 374

Stefan Witwicki 374

Z Poezyi biblijnych: Pokutnik 375
Z Piosnek sielskich: Marzenie 377
Życzenie 378
Z Wieczorów pielgrzyma 378

Hieronim Kajsiewicz 382
Kazanie o pokucie 385

Karol Libelt. 393
Z Estetyki: Charaktery 394
Wcielające się idee czasu (wyjątek) 400

Józef Kremer 403
Z Listów z Krakowa 404

August hr. Cieszkowski 413
Z dzieła p. t. O drogach ducha 415

Henryk hr. Rzewuski 422
Z Pamiętników Pana Sew. Soplicy:
Trybunał lubelski 425
Z Listopada: Imieniny 432
Bal. Dobrana para 442

Ignacy Chodźko 449
Z powieści p. t. Pamiętniki kwestarza 449

Michał Czajkowski 459
Z powieści p. t. Stefan Czarniecki 460

Józef Korzeniowski 469
Z Mnicha 471
Z powieści p. t. Kollokacya 480

Michał Wiszniewski 486
Z Historyi literatury polskiej: Historya architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i muzyki za Piastów . . 487

August Bielowski. 496
Wyprawa Igora na Połowców (w skróceniu) . . . 497
Żywot Szym. Szymonowica (Lata szkolne) . . . 503

Antoni Zygmunt Helcel 506
Listy Jana Sobieskiego: Wstęp do czytelnika . . . 508

Okres ósmy (od r. 1850).

Wstęp 517

Wincenty Pol 538

Z Pieśni Janusza: Powrót konia 543
Z Mohorta 544
Przebolało I. i II. 548
Z Pieśni o domu naszym 553
Z Obrazów z życia i podróży 555

Kornel Ujejski 559

Z Melodyi biblijnych: Hagar na pustyni 560
Anioł Pański 562
Z Tłómaczeń Chopina: Zakochana 563

Władysław Syrokomla 564

Urodzony Jan Dęboróg (w wyjątkach) 564
Z Przekładów poetów łacińsko-polskich:
M. K. Sarbiewskiego Oda IV, 3. 569

Teofil Lenartowicz 571

Mazur 573
Zachwycenie (wyjątek) 573

Józef Ignacy Kraszewski 576

Ze Sfinksa 580
Z Chaty za wsią 592
Z Brühla 598
Ze Starej baśni 609

Antoni Edward Odyniec 620

Z Listów z podróży XVII 622

Lucyan Siemieński 628

Sąd Libuszy 632
Z Wierszy drobnych: Komu w drogę, temu czas . . 634
Czas do Boga 636
Kto wspomni? 636
Z Obozu klasyków 637

Stanisław Koźmian 639

Z Gorzkich żalów: Wstęp 642
Brak jedności 642
Zgoda z boleścią 643
Ze wspomnień o generale Morawskim 643

Karol Szajnocha 649

Ze Szkiców historycznych: Zdobycze pługa polskiego . 653
Z Dwóch lat z dziejów naszych 665

Mieczysław Romanowski 670

Z Wierszy drobnych: Chwila myśli 671
Znużony ptak 672
Nowa znajomość 673
Sny i prawdy 674
Modlitwa 674
Finale 675

Waleryan Kalinka 675

Z Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta:
Przedmowa 680
Z dzieła p. t. Generał Dezydery Chłapowski:
Charakterystyka 691
Z Sejmu czteroletniego:
Leopold II 698
Ksiądz Hugo Kołłątaj 700

Józef Szujski 707

Z Wierszy drobnych: Świąteczną godziną . . . 714
Pieśń o husarzach 715
Z Królowej Jadwigi 717
Z Śmierci Władysława IV. 726
Historyczny profil Nerona (w skróceniu) 732
Odrodzenie i reformacya w Polsce: Prelekcya druga (w skróc.) 744
Mowa rektorska (w skróceniu) 753

Objaśnienia 761

Spis ważniejszych pisarzów, w tem dziele wspomnianych 776

Okres siódmy.

(1822—1850).

Okres to najświetniejszy w całej historyi literatury polskiej. Składały się na niego powody różne.

Pierwszym z nich było powszechne odrodzenie literatury, które, poczęte w Niemczech przez Lessinga, a dokonane przez Goethego i Schillera, rozeszło się po całej Europie, nabrało nowej siły od Anglików (Byron, Moore, Shelley, Walter Scott etc.), a pod nazwą (niezupełnie właściwą) romantyzmu zmieniło wszystkie literatury europejskie, wszystkie sztuki: podniecona czynność umysłowa udzieliła się i naukom, dając im nowy i silny popęd.

Oprócz tego powodu zewnętrznego był jeszcze silniejszy od niego powód wewnętrzny.

Widzieliśmy, jak od połowy wieku XVIII z uczuciem własnego upadku i upokorzenia podniosła się u nas miłość ojczyzny i pragnienie wydobycia jej z tego poniżenia. Uczucie to i pragnienie rosło przez cały ciąg panowania Stanisława Augusta; a w miarę klęsk i upokorzeń stawało się coraz silniejszem. Uczucie narodu było wstrząśnięte do głębi i nie mogło pogodzić się z tem, co się stało. Wojny napoleońskie dowiodły tego dość wyraźnie. Umysły, tymi wypadkami zajęte, mniej zwracały się ku literaturze. Ale gdy Napoleon upadł, a pokładane w nim nadzieje wcale się nie spełniły: wtedy te wszystkie uczucia i wrażenia, jakie naród przebył od r. 1792. do 1815., zaczęły się odzywać na nowo w jego pamięci, odbijać w jego reflexyi i wyobraźni, i stały się przedmiotem wszystkich myśli, tłem całego życia zbiorowego i czynnikiem głównym, kształcącym duszę i życie każdego człowieka z osobna.

Pierwiastkiem przeto głównym, który wydał samą istotę i ducha naszej literatury (a przedewszystkiem naszej poezyi) w tym okresie, jest fakt rozbioru; jej kierunek i charakter jest przedewszystkiem patryotyczny, często (wskutek tego) polityczny, czasem mistyczny. Jak zaś ten stan rzeczy na uczucia przedewszystkiem działać musiał najsilniej, tak znowu w uczuciach musiał on szukać swego wyrazu i znaleść wyraz najlepszy; za czem znów poszło, że nad całem naszem porozbiorowem piśmiennictwem musiała wziąć górę ta jego część, która z uczuciem łączy się najściślej i w niem ma swoje źródło główne — poezya. Jej zadaniem było: stać się wyrazem historycznego stanu narodu; jej cechą jest, że się tym wyrazem stała. Temu zaś zadaniu odpowiedzieć, tego znamienia nabrać nie mogła ani w pierwszej zaraz chwili po rozbiorach ani podczas wojen napoleońskich, ale później dopiero, kiedy ten stan rzeczy

ustalił się na dobre, kiedy uspokojenie powszechne (po roku 1815.) pozwoliło objąć go reflexyą, i kiedy podrosło pokolenie, od kolebki już w atmosferze tych wpływów żyjące, temi uczuciami tchnące.

Wszelako uczucie samo ani natchnienie, choćby najpotężniejsze, nie wystarcza i poezyi samo nie wyda. Poezya jest sztuką, a jako taka potrzebuje formy: formy takiej, któraby swoją doskonałością była równa wzniosłości uczuć i natchnień i jej godna. Cóż miało dostarczyć kształtów dla tego ducha i tych natchnień? Oczywiście wzory odrodzonej poezyi zagranicznej, a mianowicie niemieckiej i angielskiej.

Jak niegdyś, w wieku XVI, Kochanowski z całym swoim talentem nie byłby stworzył poezyi polskiej, gdyby od starożytnych nie był się wyuczył różnych form i ich doskonałości: tak teraz Mickiewicz i wszyscy około niego poeci nie byliby zdołali poezyi tej wznieść na szczebel przedtem niedościgniony, gdyby nie to powszechne odrodzenie poezyi, które pokazywało na widzialnych wzorach, jak myśl najmędrsza, uczucie najpotężniejsze, najśmielszy lot wyobraźni da się wcielić w najszlachetniejszą, najdoskonalszą formę. Czem dla starożytnych grecka, tem dla chrześciańskich wieków jest ta poezya z końca XVIII i początków XIX wieku; a z pewnością od Eschyla i Sofoklesa nie było czasów dla poezyi szczęśliwszych, jak te, w których na hasło Schillera i Goethego we wszystkich krajach Europy zaczęli się budzić wielcy poeci, a nad wszystkimi unosił się przywrócony do czci, po raz pierwszy zrozumiany i oceniony jak należy, największy ze wszystkich, Szekspir.

Nasza literatura, zbyt długo trzymana pod panowaniem pojęć i wpływów francuskich, od początku XIX wieku zwracała się, choć nieśmiało, w tę drugą stronę, miała instynktowe pragnienie form nowych, swobodniejszych, prawdziwszych i szlachetniejszych zarazem. Ale przyzwyczajenia były zbyt zadawnione i silne, zdolności niedość wielkie na to, by zmiana mogła była dokonać się rychło: a ciągłe wojny i przywiązane do nich nadzieje zwracały w inną stronę główny prąd myśli, pragnień i zajęć ogółu. Po roku 1815. dopiero, kiedy nastał względny spokój, kiedy cała Europa z największym zapałem rwała się do dzieł i kwestyi literackich: wtedy i u nas zaczął się objawiać ten zapał, to podziwienie namiętne dla Schillera i Goethego, dla Byrona, nawet dla mniejszych Anglików i Niemców. Wpływ ich stał się tym czynnikiem, który naszym młodym poetom ułatwił i wyrobił formę; pod tym więc względem, pod względem potrzebnego artystycznego przysposobienia i wykształcenia, nasza poezya nie mogła być gotową podczas wojen napoleońskich, ale dopiero po roku 1815.

Stan wychowania, poziom wykształcenia i oświaty, podnoszący się stopniowo od połowy XVIII wieku, a w początkach XIX rozwinięty silnie przez reorganizacyę szkół na Litwie i Rusi, był także ważnym czynnikiem w tem odrodzeniu literatury, jego koniecznym warunkiem. To była ta dobra uprawa gruntu, potrzebna na to, by zeszedł

na nim plon bogaty. W okresie poprzednim była mowa o uniwersytecie wileńskim i o liceum krzemienieckiem. Zakładom tym, najwyższym i najobfitszym w dobre skutki, odpowiadały rozsiane po kraju szkoły średnie, do nich zastósowane, do nich przygotowujące, a wydające z siebie co roku nowe warstwy młodych ludzi wykształconych i myślących. Uniwersytet warszawski (otwarty w roku 1817.), później od wileńskiego, ale świetnie także zasłużył się na tem polu. Poziom oświaty był wysoki, pokolenie było przystępne umysłowym kwestyom i szlachetnym wrażeniom; społeczeństwo było doskonale usposobione i przygotowane do tego, by wysoką literaturę z siebie wydać.

W tym stanie rzeczy potrzebny był już tylko człowiek, talent, któryby ten dojrzewający zwrot w sobie objawił i dokonał. W r. 1822. wyszedł pierwszy tom poezyi Mickiewicza, obejmujący Ballady i Romance, w r. 1823. tom drugi, w którym była Dziadów część druga i czwarta i Grażyna. Od tej chwili liczymy początek nowego okresu naszej poezyi. Nazywano go powszechnie romantycznym. Nazwa to niezupełnie właściwa. Romantyczność, przez którą rozumiano podówczas zamiłowanie wieków średnich i rycerstwa, wprowadzenie do poezyi zjawisk ze świata nadzmysłowego i wyzwolenie się z pod reguł francuskiej czy rzymskiej (Horacyuszowskiej) estetyki, nie obejmuje i nie oznacza jak należy ani istoty ani znamion tej poezyi. Słuszniej byłoby nazywać ten czas okresem wielkiej poezyi, albo od człowieka, który stoi na jego czele, okresem Mickiewicza.

Dwa pierwsze tomiki poezyi Mickiewicza przynosiły cały zasób form nowych, przedtem u nas nieznanych (ballady, romance, dramat fantastyczny, powieść poetyczną). Przynosiły dalej nowy poetyczny język i styl; bo choć w niejednym wierszu znać było podobieństwo do dawniejszych poetów (na przykład do Karpińskiego w Kurhanku, do Trembeckiego w Warcabach lub w wierszu do Lelewela): to przecież był to w ogóle język i styl nowy, żywszy, swobodniejszy, prostszy, a wszystkimi przymiotami, od wdzięku prostoty aż do najwyższej wzniosłości i powagi, przewyższający nieskończenie cały dawniejszy sposób pisania. Dalej jeszcze, w poezyach Mickiewicza i przez nie dokonało i przywróciło się to, co dla wszelkiej poezyi jest warunkiem życia i siły, związek istotny i żywy z poezyą całego cywilizowanego świata. Nasza dotychczasowa klasyczna poezya utrzymywała go z jedną tylko literaturą francuską, a pośrednio z rzymską; teraz poezya polska ukazała się rozwiniętą na tych sokach żywotnych, jakie były we wszystkich innych na świecie, począwszy od greckiej aż do najmłodszej poezyi Byrona. Otwierała ona prócz tego dawno zaniedbane, zapomniane źródła natchnień i pomysłów, kiedy rozwiązywała pęta, nakładane uczuciu i wyobraźni przez zbyt ciasne i pedantyczne przepisy, kiedy pierwotną naiwną poezyę ludu starała się wziąć w posiadanie poezyi artystycznej i z niej korzystać, a przez to znowu ułatwiała sobie osiągnięcie jednego ze swoich celów, którym był rodzimy, narodowy charakter poezyi.

Było to znamieniem i pierwiastkiem bardzo ważnym w ówczesnej poezyi europejskiej, a pewnikiem w ówczesnej estetyce, że w pierwotnej

poezyi ludu należy szukać odmłodzenia i ducha i form poezyi artystycznej. W tem źródle szukano i nowych pomysłów i prostego, przyrodzonego sposobu wyrażania uczuć i wrażeń, zasobu form zapomnianych, zarzuconych, a rodzimych i do artystycznego obrobienia sposobnych. Źródło to wskazywał głównie Herder *(Stimmen der Völker)*, a niebawem zwróciły się do niego wszystkie poezye europejskie. Zapał dla szkockich ballad, dla hiszpańskich romanc (Cyd), dla niemieckich średniowiecznych legend i powieści odbił się we wszystkich poezyach. Nasza także poszła tym śladem. Już niektórzy poeci czasów stanisławowskich wchodzili na tę drogę; Brodziński szedł nią świadomie i śmielej; ale teraz dopiero, u młodych romantyków i przez nich, pierwiastek ten stał się jednym z istotnych, ważnych i bardzo charakterystycznych w naszej nowszej poezyi.

Wreszcie ponad tymi wszystkimi czynnikami i wpływami dopiero unosiły się te przymioty, które poezyi swojej nadać mógł tylko człowiek genialny: dar oddania i wyrażenia wszelkiego ludzkiego uczucia w jego najwyższej prawdzie i najwyższej potędze, i twórcza zdolność wcielenia swoich pomysłów w doskonale piękną formę, w postaci ludzkie, pełne prawdy i życia i pełne wyższej poetycznej piękności.

Ballady i romance Mickiewicza stanowią część najmniej wielką i nieśmiertelną jego poezyi, ale należą z pewnością do piękniejszych na świecie, a do najpiękniejszych w literaturze polskiej. Więcej jeszcze świadczyły o jego zdolności wiersze niepospolitej siły lirycznej, jak Żeglarz, a zwłaszcza (niedrukowana podówczas, ale już napisana) Oda do młodości. W czwartej części Dziadów, pisanej pod wrażeniem nieszczęśliwej miłości, dał Mickiewicz temu uczuciu wyraz taki, jakiego ono nigdy przedtem, jakiego żadne inne, nie wyjmując miłości rodzicielskiej w Trenach Kochanowskiego, w naszej poezyi dotąd nie miało. W Grażynie wreszcie wychodził poeta ze sfery uczuć osobistych, a dał próbkę tej artystycznej doskonałości, jakiej był zdolny.

Nowa poezya polska była więc narodzona, była faktem. Naród, który instynktem czuł, że dawna klasyczna nie była tą, jakiej pragnął, miał teraz to, czego chciał i czekał. Z największym zapałem przyjęli ją naturalnie ludzie młodzi, a przed innymi ci, co najbliżej Mickiewicza otaczali, jego wileńscy koledzy i przyjaciele, towarzysze młodości i pierwszych poetycznych uniesień i tworzeń. Pomiędzy tymi była pewna liczba mniejszych talentów, które aż dotąd mogły się wydawać równe talentowi Mickiewicza, a które odtąd około niego skupione i od niego przejmujące promienie światła, są jakby trabanty, krążące około wielkiego planety. Uczuciowi bardzo, jak cała ówczesna młodzież w Europie, z wyobraźnią rozmarzoną czytaniem i namiętnem podziwianiem poezyi, uczniowie wileńscy naturalnym popędem chcieli też sami tworzyć to, co podziwiali. Pisanie wierszy było u nich powszechne, a te wiersze były co do treści wyrazem ich własnych uczuć (różnych, ale zawsze szlachetnych), co do formy naśladowaniem tego, co czytali, a przedewszystkiem bardzo podówczas modnych ballad i tak zwanych romanc.

W ich liczbie był Tomasz Zan, dusza i głowa ich ówczesnego koleżeńskiego życia, mniej wybitny jako talent poetyczny; w ich liczbie Chodźko, Korsak, Odyniec. Nazwano później tę grupę poetów szkołą litewską: niezupełnie właściwie, bo cech odrębnie i wyraźnie litewskich ona nie miała. Miała wspólne pojęcia i dążenia estetyczne, wspólny zapał dla romantyzmu; miała jako cechę wspólną pewne podobieństwo do Mickiewicza, naśladowanie jego języka i wiersza, odkąd on objawił się jako pośród nich największy i pierwszy. Jeżeli szkoła zatem, to chyba szkoła mickiewiczowska.

Odkąd w dwóch pierwszych tomach Mickiewicza znaleźli ci młodzi poeci urzeczywistnienie swego ideału i gotowy wzór, a przez to ułatwienie, zaczęli naturalnie pisać tem więcéj — poezya romantyczna zaczęła się szerzyć. Klasycy zaczęli znów tem bardziej i tem ostrzej przeciw nim występować (pierwszy Jan Śniadecki jeszcze w roku 1818.); to początek tej literackiej wojny, która przeszła do historyi pod nazwą walki klasyków z romantykami.

Nowy kierunek romantyczny miał istotnie swoje strony słabe i niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem, w bezwzględnem podziwieniu dla wszystkiego, co romantyczne, nie dość rozróżniał, brał za dobre i naśladował łatwowiernie wszystko, co widział u Anglików i Niemców, a przez to narażał się na zarzut słuszny, że wyrzucając klasykom ślepe naśladownictwo, sam wpada w podobne, tylko innych wzorów.

Powtóre, w oburzeniu na krępujące przepisy i w dążeniu do wyzwolenia się, nasi romantycy, biorąc, jak niegdyś Niemcy w epoce *der Genialität*, swoje natchnienie za jedyne źródło i jedyne prawo piękności, mogli jak tamci gwałcić prawa zdrowego rozsądku i tworzyć rzeczy niezrozumiałe, nieestetyczne, nawet niedorzeczne lub potworne i takiemi poezyę szpecić; co się też czasem istotnie słabszym talentom zdarzało.

Wreszcie, niebezpieczeństwo największe, bo grożące nie już literaturze, ale społeczeństwu samemu, to że za przykładem Byrona, za przykładem naśladujących go powieściopisarzy i poetów mniejszych romantyczność zaczęła pojmować niezgodę ze światem jako warunek i dowód wyższości, genialności i poetyczności. Stąd poszedł częsty w ówczesnem pokoleniu a szkodliwy i chorobliwy zwyczaj miłowania się we własnem nieszczęściu, przesadzania lub wmawiania w siebie takich nieszczęść, narzekania na świat, uważania się za ofiarę prześladowaną przez los, a niezrozumianą przez ludzi, wreszcie przesadzania własnych uczuć, nierzetelnego udawania przed sobą i ludźmi, sztucznej exaltacyi i zapałów na zimno. Talenta prawdziwe, nawet kiedy były dotknięte tą chorobą, zdołały ją przemóc lub mimo niej tworzyć wielkie rzeczy; ale słabsze krzywiły się i marniały w tem fałszywem pojęciu życia, i zasypały literaturę wielką liczbą dzieł niby bardzo poetycznych, a na prawdę bez wartości.

A wkońcu, wiara zbyt wielka w moc i skutki uczucia i zapału samego, pewna pogarda rozwagi i rachuby jako rzeczy niby poziomych i niskich, właściwa temu pokoleniu, okazywała się czasem w praktycznem życiu i działaniu i musiała nieraz okazać się szkodliwą.

Nie byli więc klasycy zupełnie bez słuszności, kiedy przestrzegali przed tym nowym kierunkiem. Zbłądzili w tem, że jednostronnie i uparcie widzieli tylko jego złe strony, a piękności oczywistych i jasnych jak słońce widzieć i uznać nie chcieli. Walka ta, prowadzona w różnych pismach publicznych, ciągnęła się aż do roku 1829., w którym cenzura rosyjska zakazała nie tylko pisać o dziełach Mickiewicza, ale nawet wymieniać jego nazwiska. Z młodych krytyków odznaczyli się w niej najwięcej Maurycy Mochnacki i Michał Grabowski.

W roku 1823. zaczęło się prześladowanie młodzieży wileńskiej. Był to czas, kiedy po kongresie wiedeńskim zaczęły się szerzyć w całej Europie tajne stowarzyszenia. Były one we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech, w Rosyi; były i u nas, w Warszawie i w krajach dawniej zabranych. Rosyanie, od początku nienawistni królestwu kongresowemu i jego konstytucyi, znaleźli w nich pożądaną sposobność do odstręczania cesarza Alexandra od Polaków. Na jego umysł wrażliwy i chwiejny spiski te, krzewiące się wszędzie, działały silnie i służyły naszym nieprzyjaciołom za środek do przekonania, że nie tylko nie powinien (jak to przyrzekł) rozciągać na Ruś i Litwę praw i swobód nadanych królestwu, ale w królestwie samem ścieśniać je i ukrócać, jeżeli nie cofnąć zupełnie.

Uniwersytet wileński był jednem z takich ognisk polskiego życia; więc naturalnie zwrócił na siebie uwagę niechętnych i stał się ważnym punktem w ich planie zniweczenia polskiego żywiołu i charakteru.

Młodzież wileńska w tych latach, kiedy Mickiewicz był jeszcze uczniem uniwersytetu, miała dwa stowarzyszenia: jedno ogólniejsze i liczniejsze, Filaretów, drugie stanowiące niejako zarząd tamtego, z kilku zaufanych złożone, Filomatów.

Towarzystwa tego użyto za pozór do prześladowania. Senator Nowosilców, z dawna patrzący niechętnie na uniwersytet wileński i na wychowanie publiczne w rękach polskich (kuratorya ks. Adama Czartoryskiego), tak potrafił przestraszyć cesarza Alexandra i wielkiego księcia Konstantego w Warszawie, że jemu polecono dochodzić mniemanych spisków w Wilnie. Książę Czartoryski, straciwszy wszelki wpływ, jaki miał na cesarza Alexandra, musiał swój urząd złożyć, a Nowosilców na podstawie błahych poszlak więził, na podstawie urojonych i naciąganych dowodów skazał znaczną część dawnych Filaretów na zesłanie w głąb Rosyi. W tych liczbie był i Mickiewicz. Tak skończyły się (w r. 1824.) świetne czasy uniwersytetu wileńskiego: był to pierwszy krok do jego zniesienia, które też po r. 1831. nastąpiło istotnie. Było to wielkiem nieszczęściem. Uniwersytet wileński, jako taki wcale znakomity a rozwijający się świetnie, był (łącznie z niższemi szkołami) najdzielniejszym środkiem utrzymania i rozkrzewienia w krajach zabranych nie tylko nauki i oświaty, zatem cywilizacyi, ale samych polskich uczuć i tradycyi, polskiej siły i polskiego ducha. Brak jego musiał osłabić bardzo żywioł polski w tych krajach pod wszystkimi względami. Z tego powodu związki wileńskiej młodzieży, które dały pozór do jego ściślejszego strzeżenia i stopniowego obniżania, choć w szlachetnej myśli poczęte,

były wypadkiem dla naszego narodowego dobra nieszczęśliwym. Na literaturę wywarł ten wypadek wpływ korzystny, ale szkodliwy na stanowisko, siłę i przyszłość żywiołu polskiego i polskiej cywilizacyi na Litwie.)

Wilno było w tych latach głównem ogniskiem odrodzonej poezyi, ale nie jedynem. Równocześnie byli i tworzyli poeci romantyczni w Warszawie, choć nie Warszawiacy, tylko przygodami życia z dalekich wschodnich stron tam sprowadzeni. Bohdan Zaleski już około roku 1820. zaczął pisać (a po części nawet ogłaszać) swoje wiersze drobne, z których najwcześniejsze były także w pewnej zależności od szkoły dawniejszej; ale niebawem objawiły się w nich właściwe temu poecie przymioty, lekkość przedtem niewidziana, a zwłaszcza dziwna dźwięczność wiersza, świeżość i tęskność uczucia, a nadto ta rzewna miłość stron rodzinnych, to żywe i tęskne uczucie ich poezyi i wdzięku, które sprawiło, że młody poeta o Ukrainie zawsze marzył i śpiewał, a wierszom swoim (może nawet bezwiednie) nadawał ton i charakter ukraińskich dumek.

Słusznie też można między naszymi poetami rozróżniać i wyszczególniać tę osobną grupę (jeżeli nie szkołę) Ukraińców. Z czasem znajdzie ona swoich następców w prozie (Michał Czajkowski, Alex. Groza i inni), ale w początkach zamyka się w obrębie poezyi, a jej głównym, najbardziej charakterystycznym reprezentantem jest Zaleski.

Nie był on wszakże jedynym. Jego kolega i przyjaciel Goszczyński niebawem da się poznać także jako poeta, szukający swoich natchnień i pomysłów w tych stronach i stosunkach (Zamek kaniowski), a powieścią ukraińską nazwał Malczewski swoją Maryę.

Ta, wydana w roku 1825. i zrazu obojętnie przez ogół przyjęta, była (z wyjątkiem dzieł Mickiewicza) najpiękniejszym i zarazem najbardziej narodowym poematem, jaki poezya romantyczna w tych swoich początkach wydała. Z większą niż u Zaleskiego siłą wyobraźni, z darem tworzenia ludzkich postaci pełnych prawdy i poetycznego wdzięku, łączył Malczewski charakter smętny i tęskny, który jest właściwością i cechą poetów ukraińskich, a zwłaszcza Zaleskiego (choć sam autor Maryi Ukraińcem nie był); tylko ten smutek był u niego głębszy i cięższy niż u tamtego. Ten drugi i odmienny kierunek, objawiający się w naszej poezyi od pierwszej zaraz chwili jej odrodzenia, dowodził jej żywotności i przyrodzonej wielostronności, wzbogacił literaturę dziełami wielkiej wartości i piękności, a przez nadzwyczajną płynność i dźwięczność, jaką językowi swemu umiał nadać Zaleski, przyczynił się bardzo do wyrobienia formy u wielu poetów późniejszych.

Mickiewicz tymczasem, wywieziony do Rosyi, podczas swojego tam pobytu napisał Sonety i Wallenroda. Sonety jak mogą liczyć się wogóle do najpiękniejszych w literaturze świata, tak w naszej poezyi polskiej były nieledwie pierwszem objawieniem tej formy, przez naszych dawnych poetów rzadko tylko używanej, a od długiego czasu zupełnie zarzuconej. Sonety krymskie zaś były pierwszą

podobno w literaturze świata próbą zastósowania tej formy do opowiadań i obrazów. Swojego charakteru lirycznego i subjektywnego sonet w tem połączeniu nie stracił, a okazał się sposobnym i zdolnym do pobieżnego i szkicowego, ale niezmiernie wyrazistego i poetycznego kreślenia obrazów. Ten rodzaj sonetu był wynalazkiem Mickiewicza, nowym dowodem jego wyjątkowej zdolności i niemałym dla niego tytułem do chwały.

Wallenrod był także natchniony smutkiem, ale smutek to był innego rodzaju. Prześladowanie młodzieży wileńskiej, bezpośrednie doświadczenie ucisku i jego skutków, rozwinęły w sercu poety i podniosły do wyższej potęgi miłość ojczyzny, uczucie jej krzywdy i nienawiść nieprzyjaciela. Pobyt zaś w Rosyi, naoczne przekonanie się o potędze tego nieprzyjaciela i o trudności pokonania go, nadały tej nienawiści siłę i cechę namiętności. W tem uczuciu napisany jest poemat, którego bohater, Litwin, zostaje Krzyżakiem i Wielkim Mistrzem na to, by zgubić zakon, a pomścić swoją ojczyznę: poemat w układzie, w formie, w charakterze głównej postaci zależny od Byrona (najbardziej może ze wszystkiego, co Mickiewicz napisał). Ale zarazem jest to silny, jakiego przedtem nie było, wyraz miłości ojczyzny i chyba jeszcze silniejszy wyraz nienawiści Rosyi pod figurą nienawiści Litwy do Krzyżaków. Aż dotąd przeważał w tej odrodzonej poezyi pierwiastek literacki i artystyczny i pierwiastek uczuć ogólnie i niezmiennie ludzkich: w Wallenrodzie dopiero wystąpiły w niej na przód nasze historyczne i polityczne stosunki. Dodać jeszcze trzeba, że niektóre ustępy Wallenroda, a przedewszystkiem Pieśń i Powieść wajdeloty, należą do rzeczy najwznioślejszych i najwspanialszych, jakie Mickiewicz kiedykolwiek napisał.

Do Wallenroda, jak do swego szczytu, dochodzi nasza poezya przed r. 1830. i na nim nawet chronologicznie się kończy. Oprócz niego wydała ona jeszcze w tym czasie Zamek kaniowski Goszczyńskiego (jego najlepsze dzieło) i pierwsze młodzieńcze poemata Słowackiego, (po niektórych można już było poznać talent niezwykły). Ale te, nie ogłoszone jeszcze i nie znane, nie mogły liczyć się do tych dzieł, które w poezyi naszej przed r. 1830. miały znaczenie i wywierały wpływ.

Jakiż jest więc charakter i jaki nabytek tych pierwszych lat odrodzonej poezyi? Przedewszystkiem, zwrot jest już dokonany, poezya polska jest wprowadzona na tę drogę, na którą weszły były po kolei niemiecka, angielska, najpóźniej francuska. Zmienione są formy, zmieniony jest sposób pisania. W miejsce dawnych reguł francuskich, zbyt ścisłych i sztywnych, występuje swoboda i niezależność (nieraz aż zbyteczna); w miejsce dawnego stylu poetycznego, formułkowego i stereotypowego, występuje naturalny, samorodny sposób wyrażenia uczuć i myśli; w miejsce ogólnikowej, konwencyonalnej charakterystyki tworzonych postaci występuje ich wyraźny indywidualizm w swojej psychologicznej i historycznej prawdzie.

W Dziadach znajduje (po raz pierwszy w poezyi polskiej) swój wyraz zupełny miłość nieszczęśliwa a namiętna, w Wallenrodzie miłość ojczyzny nieszczęśliwej i zagrożonej upadkiem. W Maryi

Malczewskiego po raz pierwszy ukazuje się dawny świat polski, szlachecki i rycerski, jako przedmiot poezyi; po raz pierwszy polska kobieta jako prawdziwie poetyczna postać. W Grażynie (znowu po raz pierwszy w naszej literaturze) występuje historyczny charakter czasów i cywilizacyi i pierwszy raz w tym stopniu przymioty właściwe poezyi epickiej.

Ballada i Romanca, swojem pochodzeniem, w swoich przedmiotach rycerskich lub fantastycznych i w swojej formie obca, wydaje przecież rzeczy piękne, a niektóre znakomite; rozmiarami zaś i rodzajem zbliżona do niej Duma Zaleskiego jest może najdoskonalszem zastósowaniem tej formy do naszej poezyi, jej przerobieniem i spolszczeniem — odmiennym, szczero-polskim jej gatunkiem. Powieść poetyczna, rodzaj mieszany, złożony z epickiego i lirycznego pierwiastku, przez Byrona stworzony i z wielkim zapałem w całej Europie przyjęty, u nas w Wallenrodzie, w Maryi i w Grażynie wydaje dzieła tak znakomite, że sam Byron piękniejszych nie pisał. Wreszcie, w skargach nieszczęśliwego Gustawa (czwarta część Dziadów), w Odzie do młodości, w Farysie, w Pieśni wajdeloty podniósł Mickiewicz poezyę polską do takich wysokości lirycznego natchnienia, do jakich przedtem nigdy nie była doszła.

Nie można zaprzeczać ani zapominać, że poezya ta kształciła się w znacznej mierze na obcych pojęciach i wzorach, że przyjmowała je i naśladowała czasem zbyt łatwowiernie.. Miała ona przecież mimo tych wpływów swój wybitny i odrębny charakter najistotniej i najrzetelniej narodowy. Nie dla tego, że była często patryotyczną (taką była i dawna poezya klasyków) — ale że tym uczuciom dając wyraz doskonały i zupełnie ich godny, odtwarzała poetycznie świat polski w całej jego rzeczywistości i prawdzie. Dramat wzięty z historyi polskiej, jak Barbarę Felińskiego, a nawet sielankę o polskim wieśniaku jak Wiesława Brodzińskiego mógłby był napisać Francuz albo Niemiec: Miecznika z Maryi, Halbana z Wallenroda, Kozaków z Dumek Zaleskiego nie mógł stworzyć nikt, tylko Polak.

Ten charakter narodowy nie sprawia przecież w tych latach tego, iżby pierwiastek patryotyczny górował w poezyi nad wszystkimi innymi, jak się to stało po roku 1831. pod wpływem nowych a smutnych wypadków. Czwarta część Dziadów, Grażyna, Marya Malczewskiego, wiersze Zaleskiego nie mają w sobie pierwiastku politycznego ani politycznej tendencyi czy namiętności. Poezya polska jest jeszcze pod tym względem podobna do wszystkich innych: czerpie swoje natchnienia i pomysły ze wszystkich uczuć ludzkich zarówno, nie zwracając się wyłącznie (a przynajmniej przeważnie) do jednego. Pochodzi to niewątpliwie stąd, że społeczeństwo samo znajdowało się jeszcze we względnej przynajmniej równowadze, że miało warunki życia, do normalnych zbliżone (choć niezupełnie normalne), że mogło swoich sił używać, a potrzebom swego uczucia czynić zadosyć różnymi sposobami; miało różne organa i różne kierunki życia (wojskowość, administracyę, wszystkie rodzaje służby publicznej), w których znajdowało zaspokojenie i wyraz dla swego patryotyzmu i dla swego uczucia obowiązku. Później, kiedy te wszystkie kierunki życia były zamknięte, słowo pisane stało się

jedynym wyrazem tych uczuć, jedynem zaspokojeniem tych potrzeb. Wtedy skupiły się one wszystkie w poezyi i nadały jej i ten wyjątkowy charakter, jaki ma, i wyjątkowe (zbyt wielkie) znaczenie w naszem życiu i w naszej historyi.

Drugie spostrzeżenie, które się tu samo nasuwa, jest to, że świat polski w tych latach był bardzo zajęty kwestyami literatury i poezyi, ale nie był niemi jeszcze tak przejęty, iżby skutki tego wpływu były się objawiły w całej swojej sile. Jest wprawdzie wielu młodych ludzi piszących wiersze, ale jest między nimi jeden tylko poeta genialny. Obok niego drugi, wielkiego talentu, ale zmarły, zanim jeszcze był poznany i oceniony, Malczewski — i trzeci Zaleski, w swoim rodzaju i zakresie talent bardzo niepospolity. Wszyscy inni mają zdolności słabsze i albo (jedni) wyczerpują się i ustają rychło, albo (inni), choć zostają przez całe życie wierni swemu poetycznemu zawodowi, nie dochodzą w nim do wyższego stanowiska i znaczenia.

W literaturze prozaicznej zwrot nowy zaledwo daje się spostrzegać. W powieści na przykład, która jako utwór wyobraźni najpierwsza powinna była ulec tym wpływom, znać je chyba na jednej Pojacie Bernatowicza, która jest bardzo ładnym romansem historycznym w rodzaju Walter-Scotta. W powieściach obyczajowych i współczesnych, Skarbka na przykład albo Jaraczewskiej, choć jest niezaprzeczenie postęp od tego, co było dawniej, od »Malwiny«, a nawet od powieści Niemcewicza, to daleko jeszcze jest do tego stopnia wyrobienia, na jakim stanęła powieść w latach późniejszych. Wogóle literatura prozaiczna tych lat jest raczej uboga.

Dziejopisarstwo ma reprezentanta znakomitego w Lelewelu, który jak podówczas był, tak na zawsze zostanie jednym z największych u nas badaczy dziejów, ale jako pisarz wzorowym nie był nigdy, a jako historyk dał się opanować doktrynie, która we wszystkich jego dziełach późniejszych zbyt wyraźnie się przebija, a w ówczesnych już przebijać zaczyna. Niemniej jego badania są wielkim w naszej historyografii postępem.

W filozofii nowością jest wpływ bezpośredni i wielki uczonych niemieckich, może reakcya przeciw temu wstrętowi, jaki miał do nich Jan Śniadecki, a w każdym razie przygotowanie do zbytecznego i łatwowiernego uwielbienia Hegla, jakie objawi się niebawem. W każdym razie, jeżeli w filozofii Śniadeckiego widziało się tylko bardzo rozumne i dobre powtórzenie systemu innych (Anglików), to Józef Gołuchowski jest może pierwszym z Polaków, studyującym filozofię z tym stopniem samodzielnego myślenia, który już prowadzi (jeżeli nie dochodzi) do własnego systemu.

Estetyka, filozoficzna teorya piękności, zjawia się także po raz pierwszy w naszej literaturze, w pismach naprzód Brodzińskiego, a potem Mochnackiego i Grabowskiego. Zrazu (zwłaszcza u Mochnackiego) od Niemców (od Schellinga) zupełnie zależna i zjawiająca się nie pod formą własnego systemu ani nawet osobnego dzieła, tylko jako podstawa

literackich krytyk i rozpraw — jest przecież i ona także rzeczywistym i pożytecznym krokiem naprzód w nauce.

Te prace krytyczne i estetyczne, a po części i inne naukowe zjawiają się w peryodycznych pismach literackich i naukowych, które w tym czasie zaczynają się mnożyć i nabierać znaczenia. Takiemi były z przeważnie naukowych: Roczniki Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszawie, w Krakowie Roczniki Towarzystwa naukowego, we Lwowie Biblioteka Ossolińskich. Z literackich ważniejsze były: Astrea, Dziennik warszawski i Pamiętnik warszawski (pod redakcyą Brodzińskiego); w Wilnie Dziennik wileński. W tychto pismach wychodziły rozprawy i artykuły o kwestyach i zasadach spornych między klasykami i romantykami. Najbardziej stanowczą w obronie klasyków była Astrea, najbardziej zapalonymi w obronie romantyków Dziennik warszawski i Dziennik wileński.

Poza tem wszakże trudno w prozie ówczesnej wskazać coś nowego i znaczącego. Dzieł lub broszur treści politycznej nie ma w tych latach wcale. Z nauk — oprócz ścisłych — postęp znaczny robi Ekonomia polityczna, która po raz pierwszy u nas w dziełach Skarbka okazuje dążenie do odrębności i samoistności jako osobna i samodzielna nauka.

Co prócz tego rozwija się dzielnie i szczęśliwie, to literatura pedagogiczna w dziełach Klementyny Tańskiej: tak w tych, które przeznaczone były dla dzieci i wyrostków, jak i w tych, które służyć miały do użytku wychowujących, rodziców lub nauczycieli.

Gdyby jeszcze dodać, że pomiędzy rokiem 1820. a 1830. powstała większa część komedyi Fredry (które wszakże z całym nowym romantycznym kierunkiem literatury nie mają nic wspólnego i stoją na boku, niezależne od bieżących tych lub owych pojęć i wpływów), byłoby podobno już wszystko, co te lata naszej literaturze znakomitego przyniosły i na zawsze w niej zostawiły.

Przyszedł rok 1831. i skończył się przegraną. Między jego skutkami (zniesienie konstytucyi królestwa kongresowego, szkół polskich na Litwie i Rusi, uniwersytetu wileńskiego; w lat kilka później [r. 1839.] krwawe prześladowanie Unii na Litwie i zapisanie ludu na prawosławie) do najważniejszych zaliczyć należy emigracyę. Wojsko, które nie chciało złożyć broni, członkowie rządu, ogółem wszyscy ci, których czekała śmierć lub Sybir, gdyby byli w kraju zostali, wyszli za granicę. Ale za nimi pociągnęło mnóstwo takich, którzy z mniejszem niebezpieczeństwem zostać byli mogli, a wyszli, porwani jakimś silnym prądem, złudną nadzieją, że w czasie niezbyt dalekim zajdą wypadki, które im pozwolą wrócić do ojczyzny z bronią w ręku, zwycięsko. Kilkanaście tysięcy Polaków przeniosło się w różne strony świata, głównie do Francyi. Emigracyi równie licznej nie było dotąd przykładu w historyi. Ta, aż do roku 1863., była czynnikiem niezmiernie ważnym w naszych dziejach.

Na literaturę polską wpłynął fakt emigracyi nie mniej, jak na historyę. Przedewszystkiem przez to, że co tylko było najzdolniejszych i najświetniejszych talentów, znalazło się za granicą. Jedni z konieczności, inni porwani przykładem, wyszli z kraju najznakomitsi poeci i pisarze od Mickiewicza począwszy, tak, że ognisko literatury było przez lat ośmnaście we Francyi; w kraju zostały tylko mniejsze talenta albo ludzie zupełnie młodzi, którzy w przyszłości dopiero zdobyć sobie mieli imię i stanowisko. Za granicą literatura była wolna, nie krępowała jej żadna cenzura; wszelka myśl polska i polska boleść mogła tam wypowiedzieć się swobodnie. A właśnie po takim wybuchu silnym a nieszczęśliwym, jak było powstanie roku 1830., i po wszystkich publicznych i domowych nieszczęściach, jakie jej zły obrót za sobą pociągnął, uczucie patryotyczne potrzebowało wylać się na zewnątrz, wypowiedzieć wszystkie swoje uciski i swój ideał, swoje wspomnienia i swoje nadzieje. To zaś stać się mogło jedynie w słowie pisanem i przez nie, w poezyi przedewszystkiem, i to w poezyi swobodnej, zatem w emigracyjnej.

Było rzeczą zupełnie naturalną, że poezya stała się jedynym wyrazem tych uczuć, które stanowiły treść duszy narodu; że skoro sama jedna mogła być takim wyrazem, więc stała się dla narodu częścią niemal najdroższą jego ówczesnego życia, a w tem życiu zajęła wyjątkowe, nigdzie może niewidziane stanowisko; że wreszcie, kiedy sama jedna mogła otwarcie i śmiało mówić o ojczyźnie i jej miłości, myślała o niej i mówiła przedewszystkiem, prawie rzec można wyłącznie i jedynie. Poemata, któreby w tych latach nie mówiły o Polsce, o jej świeżych nieszczęściach, o jej przeszłości albo o jej przyszłości, są rzadkie i nieliczne. Pierwiastek patryotyczny, który był zawsze, ale nie był jedynym i wyłącznym, teraz bierze górę nad innymi stanowczo i zupełnie i wybija swoje piętno na całym tym okresie poezyi.

Ale nie wystarcza jej być tylko wyrazem żalu i skargi. Po roku 1830. dwie główne myśli opanowały ducha narodu: jedna — dla czego spotkał go taki los? druga — jaka będzie jego przyszłość? Do tych dwóch myśli zwraca się teraz, niemi zajmuje się głównie, te dwa pytania rozwiązać usiłuje poezya. Poezya wchodzi w dziedzinę filozofii historyi, o ile zwraca się do przeszłości i tę chce zrozumieć i wytłómaczyć; w dziedzinę przewidywań, przeczuć, przepowiedni, kiedy stara się przedrzeć i rozsunąć zasłony przyszłości. Że zaś naród cały (jego część myśląca i świadoma siebie) niczego tak nie pożądał namiętnie, jak rozwiązania tej zagadki swoich losów i dziejów: rzecz więc prosta, że z zapałem i wdzięcznością bez granic, a z wiarą aż zbyteczną przyjmował tę poezyę, która nie tylko przynosiła mu odpowiedź na powyższe pytania, ale jeszcze dawała na nie odpowiedź pocieszającą, krzepiącą na duchu, rozkoszną. Zaczął się ten zwrot poezyi ku przyszłości, ten jej kierunek, zwany wieszczym, z którego wyszła trzecia część Dziadów Mickiewicza i jego późniejsze pisma prozaiczne, cała poezya Krasińskiego, Kordyan i Anhelli (później Król Duch) Słowackiego, Duch od stepu Zaleskiego, Wacław Garczyńskiego; a nie ma poety, aż do najmniejszych i najsłabszych, któryby o tych kwestyach nie myślał i nie pisał.

Wytryska ten nowy zwrot poezyi w trzeciej części Dziadów (pisanej w Dreźnie w roku 1832.). W Improwizacyi Konrada jest wyraz tej sprzeczności, jaką Polska czuła między swoim losem a sumieniem (wyraz posunięty aż do bluźnierstwa przeciw Bogu). W Widzeniu księdza Piotra jest wytłómaczenie tej sprzeczności: nieszczęście Polski jest (według tego) ofiarą za grzechy świata; po spełnionej ofierze nastąpi jej tryumf i podniesienie ludzkości całej do wyższego, doskonalszego, prawdziwie chrześciańskiego bytu. Wkrótce potem wydał Mickiewicz Księgi narodu polskiego i Pielgrzymstwa polskiego (1832), napisane dla emigracyi, a uczące ją tonem ewangelicznym, że Polska jest narodem wybranym, przeznaczonym na to, by wszystkie inne swojem cierpieniem i przykładem do Boga nawrócił i królestwo Jego na ziemi sprowadził i urzeczywistnił. Zarody tych myśli znajdują się już u Woronicza, w Brodzińskiego Mowie o narodowości (na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół nauk 1831.) występują one już wyraźnie; jeszcze wyraźniej w jego Posłaniu z ziemi ucisku do braci jej na wygnaniu. Mickiewicz sądził, że naród, który drugim nic złego nie zrobił, lepszym jest od wszystkich innych i wybranym; w tem zaś, że cierpiał, wydał mu się podobnym do Chrystusa Pana, Jego obrazem w dziejach, niejako ofiarą, która okupuje grzechy świata i męką swoją zapewnia mu wyższe życie.

Zbytecznie mówić, że takie rozwiązanie zagadki dziejów naszych i świata, zrozumiałe i wytłómaczone zbolałem uczuciem poety, prawdziwem nie było. Prawdą jest w niem to, że do królestwa Bożego, do chrześciańskiego prawa i bytu dążyć powinny wszystkie narody świata — i nasz także. Nie jest prawdą, jakoby był wybranym i lepszym od innych, bo przy zaletach wielkich miał i ma wady wielkie. Nie mógł zaś być ofiarą nakształt Chrystusa, bo taką żeby być, trzebaby naprzód być zupełnie bez winy, a prócz tego trzebaby dobrowolnie na taką ofiarę się poświęcić. To więc jest ten pierwiastek fałszywego mistycyzmu w naszej poezyi przeczuciowej i przepowiadającej; pierwiastek, który i Mickiewicza samego w dalszym jego zawodzie sprowadził na błędne kierunki i przyćmił niezrównaną czystość, szlachetność, wzniosłość, moralną i chrześciańską prawdę naszej wielkiej, patryotycznej poezyi.

Kierunek ten nie był wszakże jedynym i nie przeszkodził tej poezyi rozwijać się potężnie i świetnie we wszystkich innych. Dzieła genialne i dzieła nieśmiertelnej piękności powstają teraz jedne po drugich w obfitości i szybkości rzadkiej. W roku 1834. wychodzi Pan Tadeusz, arcydzieło Mickiewicza (a zatem szczyt całej do dziś dnia poezyi polskiej). Potem Mickiewicz, coraz więcej zagłębiony w pobożności i w dociekaniach przyszłości, porzuca poezyę jako rzecz (w jego ówczesnem mniemaniu) ziemską i błahą. Ale kiedy on zamilkł, podnoszą głos inni i, nie dochodząc jego wysokości, wznoszą się ku niej śmiało i blisko. — Juliusz Słowacki chwyta myśl zawartą w trzeciej części Dziadów, (myśl poświęcenia się dla sprawy publicznej), przerabia ją na swój sposób i pisze Kordyana, w którym jego talent ogromny i pełen

wdzięku po raz pierwszy objawia się w swojej właściwej mierze, a po Kordyanie pisze wielką liczbę poematów, które mimo znacznych błędów należą do najpiękniejszych w naszej literaturze. — Zaleski wydaje (1840) zbiór swoich poezyi dawnych, powiększony znacznie nowemi, z tego samego co za młodu zakresu natchnień i w tej samej, jemu właściwej formie; tworzy prócz tego religijno sielankowy obrazek w Przenajświętszej Rodzinie, a w Duchu od stepu dotyka (on także) wielkich zagadnień historyi i przyszłości. — Goszczyński staje się w swoich drobnych wierszach ciekawym wyrazem skrajnych ówczesnych emigracyjnych opinii i dążności, ale w większych poematach zostaje poniżej wartości (niezbyt wielkiej) Zamku kaniowskiego. — Obok nich występują młodsi, których przed rokiem 1830. nie było. Stefan Garczyński wysnuwa z trzeciej części Dziadów swego Wacława (jak Słowacki Kordyana), tylko z mniejszym nierównie talentem. — Konstanty Gaszyński z miłą drugorzędną zdolnością pisze ładne wiersze, sympatyczne szlachetnem uczuciem, z formą na Mickiewiczu wyrobioną. — Stefan Witwicki, naturą i dążnością do niego podobny, ale zdolnością od niego niższy, odróżnia się od innych jeszcze wyraźniejszym, głębszym rysem pobożności. — Lucyan Siemieński, młody podówczas i porwany jak inni tym poetycznym prądem, widzi w poezyi swój główny zawód i powołanie, ale daje już poznać na swoich ówczesnych wierszach tę łatwość formy i wykwintność smaku, które z czasem zrobią go znakomitym krytykiem i świetnym, doskonałym tłómaczem Homera i Horacego. Pomijamy wielu pomniejszych poetów emigracyjnych, którzy głębszego śladu w literaturze po sobie nie zostawili.

Bezimiennie i zrazu bez wrażenia i rozgłosu występuje Zygmunt Krasiński — umysł jeden z najgłębszych w naszym wieku; jako umysł filozoficzny najpotężniejszy niewątpliwie między Polakami, różny tem od wszystkich innych (polskich czy zagranicznych) jako poeta, że w poezyi swojej nie ma i nie zna przedmiotu innego, jak dzisiejszy stan ludzkości i jej przyszłość, jak to przejście z jednej, kończącej się epoki w inną, która powinna być prawdziwym postępem ludzkości do wyższego, rzetelnie chrześciańskiego bytu w sprawiedliwej wolności i pod rzetelnem prawem. Jest więc poezya Krasińskiego nie tylko więcej od każdej innej (a raczej wyłącznie) zajęta przyszłością, ale jest ze wszystkich najbardziej filozoficzną i zarazem najbardziej, najściślej polityczną.

Pierwszem jego dziełem (nie licząc nieznaczących młodocianych utworów) była Nieboska komedya. Dramat sam jest poetycznem przedstawieniem tych sprzeczności i namiętności, wśród których żyje dzisiejszy świat europejski; a bez przesady możemy sobie oddać to świadectwo, że nasza poezya pierwsza w Europie wzięła w posiadanie kwestye tego rodzaju i zrobiła je swoim przedmiotem, że przedstawiła je z siłą i prawdą taką, iż równego ich obrazu nie ma w całej literaturze świata — i że (rzecz może najdziwniejsza), zachowując tym sprawom współczesnym całą ich rzeczywistość i prawdę, umiała im nadać charakter poetyczny i tragiczną wielkość.

Drugiem dziełem Krasińskiego był Irydyon. Dramat prozą pisany i niesceniczny, jak Nieboska komedya, jest jak ona w treści swojej dramatem politycznych i moralnych zasad i kwestyi. Tylko kwestya sama jest tym razem inna. Nie chodzi tu o społeczne nienawiści i namiętności, ale o to, jaki rodzaj miłości ojczyzny jest moralnie dobry, a praktycznie skuteczny. Pod kształtem Greka, który na Rzymie chce pomścić upadek swojej ojczyzny — daje poeta swojemu narodowi tę naukę, że zwycięstwo spraw upadłych zasadzać i zacząć się musi od moralnego odrodzenia i podniesienia ludzi i społeczeństwa całego, a zwycięstwo spraw dobrych nie da się osięgnąć przez złe uczucia (nienawiści i zemsty) ani przez złe czyny; do dobrego celu nie dochodzi się złymi środkami, a kto chce (człowiek czy naród), żeby prawo Boże panowało w stosunkach i dziejach ludzkości, ten musi prawa tego słuchać i pełnić je w swoich postępkach. W ten sposób rozwiązywał Krasiński w Irydyonie to pytanie o odrodzeniu Polski, którem zajmowała się głównie cała nasza poezya w tych latach.

Ideał równowagi świata, opartej na sprawiedliwości i wolności, na wprowadzeniu chrześciaństwa rzetelnie i na prawdę w stosunki polityczne i międzynarodowe — ten ideał, pojęty jako zadanie i obowiązek naszego wieku, jako podstawa i warunek konieczny istotnego postępu, objawia się najwyraźniej i najczyściej wśród Polaków ale nie był ich wyłączną własnością. W wielu narodach Europy są w tych latach umysły wysokie i serca szlachetne, które w ten ideał wierzą i do niego dążyć mają za swój obowiązek. Są takie we Włoszech, w Hiszpanii, nawet w Anglii; najliczniej może we Francyi. Tylko przechodząc przez różne umysły i usposobienia ludzkie, ideał ten przybiera różne szaty i kształty. U jednych trzyma się ściśle i stale prawdy katolickiej (Balbo, Lacordaire, Montalembert), wychodząc z przekonania, że tylko prawda Boża jedna ma moc prawdziwego odrodzenia ludzkości; — innych ta sama nadzieja i to samo pragnienie doprowadza do buntu i zerwania z kościołem (Lammenais); — jeszcze innych do wymyślania i tworzenia nowych wiar i nauk religijnych i oczekiwania nowych objawiań. Powszechny niepokój dusz i sumień, powszechne uczucie, że sama dusza ludzkości potrzebuje naprawy, jeżeli poprawić się mają jej prawa i dzieje — wyraża się i objawia przez to różne dążności i nauki.

Pomiędzy różnymi kierunkami ówczesnego europejskiego życia, jednym z najważniejszych było odrodzenie uczuć i przekonań katolickich, które po rewolucyi francuskiej poczęte, wywołało nowe życie w kościele, stworzyło mnóstwo religijnych stowarzyszeń, instytucyi, zakonów, przesiąkło do literatury i nauki, wpłynęło potężnie nawet na sztukę (przedewszystkiem na malarstwo i architekturę): słowem, po tem osłabieniu i zgnuśnieniu katolickiego życia, jakie było w wieku XVIII, nastąpił jakby nowy i potężny jego wybuch. Do nas wszakże, przed rokiem 1830., dochodził on bardzo słabo jeszcze; byliśmy częścią w tradycyjnej prawowierności uczuć bez wyrobionych i rozumowych przekonań, częścią w obojętności chłodnej, odziedziczonej po wieku XVIII, częścią w tem mniemaniu dziwnem,

ale nie rzadkiem, że brak wiary jest warunkiem i początkiem postępu. Kiedy emigracya znalazła się we Francyi, musiała bez swojej wiedzy i woli ulec wpływom tych pojęć i dążności, które tam wtedy właśnie wyrażały i ścierały się potężnie. Byli też między nami tacy, którzy rychło wyzuli się z religijności i przywiązania do Kościoła; byli inni, którzy tam dopiero poznali, że religijne uczucie nie jest jeszcze religijnem przekonaniem i życiem, że tego Polsce brak było od dawna i bardzo, że zrozumienie Kościoła, świadomość jego istoty i potrzeby, że żywy z nim związek i zjednoczenie istotne a czynne były u nas bardzo zatracone, nie przez złą wolę, ale przez niewiadomość, niedbałość i nieczynność. Po takiem spostrzeżeniu rychło nastąpić musiało przekonanie, że skoro odrodzenie narodu musi się rozpocząć od odrodzenia jego duszy, to to znowu nie może się zacząć bez odrodzenia czy przywrócenia życia religijnego.

Ten kierunek na emigracyi skupiał się około Mickiewicza, a głównymi reprezentantami byli prócz niego Zaleski, Witwicki, Stanisław i Jan Koźmianowie, Cezary Plater i t. d. Mickiewicz utrzymywał, że na to, by poprawić emigracyę i związać ją naprzód a przez nią naród z Bogiem i Kościołem, potrzebny jest nowy, z jej łona wyszły zakon. Znaleźli się ochotnicy, żołnierze z roku 1831., Kajsiewicz i Semeneńko, którzy przyjęli stan kapłański i założyli zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego. Ono było skutkiem, najlepszym wyrazem katolickiego zwrotu na emigracyi, a zarazem dalszą przyczyną, siłą poruszającą w postępie i wzroście katolickich uczuć i przekonań w Polsce. Z jego łona wyszło też nowe odrodzenie naszej wymowy kościelnej. Od Skargi nie mieliśmy kaznodziei takiego, jak ksiądz Kajsiewicz; a talentem ze wszystkich polskich Skardze najbliższy, rodzajem swego kaznodziejstwa był do niego bardzo podobny. Jest to ten rodzaj wymowy kościelnej, który możnaby nazwać polskim, bo nigdzie indziej nie spotyka się go w takiej świetności i mocy — kaznodziejstwo polityczne (jeżeli można tak się wyrazić), które ze stanowiska chrześciańskiego mówi o obowiązkach względem ojczyzny i o grzechach przeciw niej.

Obok tego kierunku katolickiego był inny, religijny także, ale bardzo różny, który się wielokrotnie i rozmaicie w ówczesnym świecie objawiał i nam udzielił. Oczekiwanie, pragnienie wielkich, stanowczych zmian w samym moralnym nawet stanie świata godziło się u jednych z przekonaniem, że prawda religijna jest i że nie potrzebuje, ani może być zmienioną czy poprawioną; u innych rodziło ono myśl, że chrześciaństwo, skoro przez tyle wieków nie zdołało ludzkości zupełnie do Boga nawrócić, to i nadal mocy tej mieć nie będzie i skutku tego nie osięgnie, że zatem potrzebna jest wiara jakaś nowa, wyższa i doskonalsza. Znajdowali się ludzie, którzy siebie mieli za powołanych do takiego dzieła i tworzyli nowe nauki religijne (St. Simon we Francyi, wiele sekt w łonie wyznań protestanckich etc. etc.). Inni znowu (Lammenais) z żarliwego i aż namiętnego katolicyzmu przechodzili stopniowo do przekonania, że skoro Kościół nie brał śmiałej i doraźnej inicyatywy

w tem spodziewanem odrodzeniu ludzkości, skoro wiele złego cierpliwie znosił, to znać pierwiastek ziemski, świecki musiał w nim stłumić Boską łaskę i siłę i zrobił go do takiego dzieła niezdolnym. Tacy buntowali się i zrywali z Kościołem, a nawet kiedy sami nowych wiar nie wymyślali ani przyjmowali, przypuszczali przecież, że się one znajdą i objawią.

Tych usposobień, tego stanu umysłów u nas odbiciem i wyrazem stał się Andrzej Towiański, Litwin, mistyk, który uczuł się powołanym do objawienia nowej wiary i wybrał się do Francyi w celu nawracania emigracyi.

Naukę tę zwolennicy jej nazwali mesyanizmem.

Do emigrantów, żyjących ciągle w oczekiwaniu bliskich, jak mniemali, a nadzwyczajnych wypadków, łatwy przystęp mogły mieć takie nowości, pełne obietnic i przepowiedni; wszakże jeżeli nauka Towiańskiego zdołała między nimi przyjąć się i szerzyć (nigdy bardzo silnie zresztą), to dlatego głównie, że przylgnął do niej Mickiewicz. On swoim potężnym umysłem dodał jej treści, swojem słowem powagi i ozdoby, swoim przykładem i wpływem siły, bo stał się niejako jej poręczycielem.

Nauka ta była, jak inne współczesne, zjawiskiem naturalnem i wynikiem niezdrowych stosunków naszego wieku, skutkiem sprzeczności między sumieniem i prawem a rzeczywistością: była przez to samo tem więcej naturalną i zrozumiałą w naszem społeczeństwie. Niemniej była bolesnym dla ogółu błędem tych, którzy dali się nią porwać.

W emigracyi nie rozeszła się ona bardzo, ale szkody narobiła wiele, bo pociągnęła i zwichnęła niektórych ludzi znakomitych, przedewszystkiem, o Mickiewiczu już nie mówiąc, Słowackiego, który teraz pod wpływem tej niejasnej nauki, działającej na jego fantazyę, stracił jasność myśli i doszedł do rozprzężenia talentu. Prócz niego pogrążył się w tej nauce (i został w niej do śmierci) Goszczyński i stary Antoni Górecki. Lucyan Siemieński był do niej przylgnął, ale na krótko i odstał od niej rychło.

Z tego samego przewidywania i oczekiwania przyszłości wyszła także dalsza poezya Krasińskiego; ale jego pojmowanie tej przyszłości, choć ma ten sam punkt wyjścia i pewne pierwiastki wspólne, różni się wielce od mesyanizmu Towiańskiego i Mickiewicza. Od roku 1831. jest w nim stale i rozwija się mniemanie, że nasza epoka historyczna i cywilizacyjna jest już na schyłku, a zacznie się jakaś nowa. Ale jaką ona będzie? czy będzie lepszą od dawnej? oto dręczące pytanie, które zajmuje go głównie i bez ustanku. Wreszcie znalazł na nie odpowiedź, którą miał za ostateczną prawdę i naukę dziejów, za niemylną wskazówkę przyszłości: »Powodem złego jest rozbrat między prawem i przykazaniem Bożem a polityką. Skutkiem tego rozbratu jest rozprzężenie, w jakiem się nasz świat dzisiejszy znajduje. Stan jego jest taki, jaki był stan Rzymu za Cezarów. Jak tamten oznaczał koniec jednej epoki, a zapowiadał epokę nową: tak nasz stan obecny zapowiada, że pocznie się nowy okres bytu ludzkości. Cechą tego okresu będzie wprowadzenie chrześciaństwa w stosunki między narodami — (nazywa go Krasiński epoką Ducha Ś-go). Obecny zaś stan Polski jest na nią zesłany przez

Opatrzność na to, by wydoskonalona i oczyszczona, mogła być w tej przyszłej epoce wyobrazicielką najlepszą myśli i woli Bożej w ludzkości«.

Myśli te złożył Krasiński w Przedświcie, który przyjęty był z uniesieniem radości i wdzięczności, jakoteż z wielką (aż zbyteczną) wiarą przez społeczeństwo, łaknące jakiejś pociechy, a przywykłe żądać od poezyi przedewszystkiem odgadywania i przeczuwania przyszłości; odbił się też wielokrotnie w literaturze, w wierszach różnych pomniejszych poetów, działał silnie na ukształcenie uczuć i wyobrażeń ludzi młodych, a przez to pośrednio wywarł może pewien wpływ na historyczne u nas wypadki.

Działania tej części emigracyi, która chciała wywołać w kraju ruch zbrojny, prowadziły się tymczasem z większą energią. Krasiński, który o nich wiedział, a nie przewidywał z nich nic dobrego, wydał (r. 1845.) Psalmy przyszłości (bezimiennie, jak wszystko). Są one powtórzeniem nauk i nadziei Przedświtu z przystósowaniem ich do tego szczególnego wypadku, z upomnieniem, żeby nierozważnym krokiem, a zwłaszcza rozbudzeniem w ludzie wiejskim nienawiści do szlachty, nie udaremnić i nie odwrócić widoków lepszej przyszłości, nie sprowadzić nowego nieszczęścia, które byłoby nie tylko polityczną, ale gorszą od tej klęską społeczną.

Głos jego wszakże słuchanym nie był.

Na usprawiedliwienie swoich przestróg dawniejszych napisał Krasiński teraz Psalm żalu; na podniesienie ducha, na utrzymanie wiary i nadziei napisał Psalm dobrej woli, który przypomina nam jeszcze raz, że epoka historyczna ma się ku końcowi, że w tem przesileniu musimy »sami zbawić siebie«, że ratować i dźwigać się możemy tylko zasługą własną, a do tej, jak do siły i nowego stanowiska w świecie, dojść możemy jedynie przez »dobrą wolę wewnątrz nas samych«. Nadzieję odrodzenia zachowuje Krasiński i zostawia ją nietkniętą, ale czyni ją zależną od prawdziwego odrodzenia moralnego, to zaś od naszej woli, i to od dobrej woli.

Niebawem przyszły zawichrzenia i wstrząśnienia roku 1848. i sprowadziły, w samej połowie wieku, pewien zwrot w stosunkach i sprawach politycznych w historyi europejskiej. Stosunki i sprawy dawne występują w nowych formach, poczynają i otwierają się nowe.

Równocześnie z okresem historycznym (1815—1848) kończy się i okres naszej literatury. Mickiewicz nie pisze nic oddawna; Krasiński przyłożył dwa ostatnie Psalmy jak pieczęć na pracy całego swego życia i odtąd doda do niej mało, a nie zmieni żadnej ze swoich myśli; Słowacki umiera (r. 1849.). Inni poeci emigracyjni (Zaleski, Goszczyński) piszą coraz mniej, a wydają jeszcze mniej, dorywczo tylko i przypadkowo. Poezya emigracyjna się kończy, a tem samem kończy się wielka epoka naszej poezyi. Rozpoczęta w roku 1822—1823. czwartą częścią Dziadów i Grażyną, zamyka się w r. 1848. Psalmem dobrej woli.

Mówiliśmy wszakże dotąd tylko o literaturze emigracyjnej: a przecież nie była ona całą literaturą. Była jej szczytem, ale nie była wszystkiem. Ci, którzy pozostali w kraju, nie mogli pisać ani o tem, o czem byliby chcieli, ani tak, jakby chcieli, a jednak pozostali i pisali; nowi dorastali i rozpoczynali swój zawód, życie szło swoim torem i przynosiło nowe potrzeby, nowe kierunki, nowe rodzaje piśmiennictwa: i literatura polska w kraju, choć przyćmiona blaskiem emigracyjnej, nie usycha, lecz żyje i rozwija się między rokiem 1831. a 1848.

Część jej najsłabszą stanowi zapewne poezya, skoro wielcy poeci żyli za granicą. Z pozostałych młodych najwięcej talentu miał niezawodnie Wincenty Pol, który w Pieśniach Janusza okazał się, jak żaden inny może, poetą roku 1831., poetą żołnierzy, wojska, wojennych zapałów i czynów; on samorodną, instynktową śpiewkę patryotyczną podnosi swoim talentem do godności poezyi artystycznej, zachowując jej przytem cały jej właściwy prosty, świeży, naiwny charakter. Zbiór ten wierszy, trafiający w uczucie powszechne i oddający je wiernie, doskonałym był wyrazem ówczesnego usposobienia; jakoż przyjęty przez ogół z wdzięcznością i zapałem, zjednał autorowi swemu wielką wziętość i sławę, którą Pieśń o ziemi naszej podniosła jeszcze wyżej. Oprócz tego wydał Pol w owych latach Obrazki z życia i podróży i Przygody Benedykta Winnickiego, pierwszą swoją szlachecką gawędę. Wszystkie inne większe poemata W. Pola należą już do lat późniejszych.

Podczas gdy Pol stał na stanowisku osobnem, nikogo nie naśladując i przez nikogo nie naśladowany, była obok niego także poezya naśladownicza, mianowicie dalszy ciąg romantyzmu, który opuszczony przez wielkich poetów, wpadł w ręce mniejszych i wydawał znaczną liczbę wierszy, a nawet poematów (powieści, dramatów fantastycznych i t. d.). Ich myśl była pożyczona (z małą odmianą), a forma naśladowana (rzadko kiedy szczęśliwie) z wielkich poetów swoich lub obcych. Romantyzm to wyrodzony, usychający, często aż śmieszny w swoich pomyłkach i przesadach (na przykład Jordan Antoniego Sowy), ale przyjmowany i uważany dobrze tak przez publiczność chciwą poezyi, trzymającą się jeszcze przesad i przesądów romantycznej mody, jak i przez krytykę, zwykle u nas nieśmiałą, pobłażliwą, przestającą na małem, a w owych latach dużo mniej jeszcze niż dziś wyrobioną. Do takich poetów hyper-romantycznych a słabych należy Magnuszewski, Żegliński, Norwid, Zmorski, Zieliński (którego Kirgiz do dziś dnia jeszcze bez dobrego powodu i prawa bywa wspominany). Ostatnim w szeregu tych spóźnionych romantyków i byronistów, tylko już odmiennym i wyrodzonym, z odcieniem rzeczywistego czy udanego sceptycyzmu, a nawet cynizmu, był Ryszard Berwiński. Nie należy do tego szeregu Edmund Wasilewski, który w swojem zacięciu ludowem i miejscowem krakowskiem ma właściwą cechę i oryginalność, w swoim talencie pewien wdzięk rzewności i prostoty, wszelako bez większej siły.

Odyniec, oderwany od dawnych towarzyszy, zostawiony własnym siłom, pozostał na dawnej drodze, tłómaczył (bardzo dobrze) Walter-Scotta, Byrona, Schillera i innych; a kiedy pokusił się o drogi nowe i własne,

to próbował dramatu (Felicyta). Starzy klasycy, Koźmian i Wężyk, pisali ciągle, i pisali lepiej niż za młodu i lepiej od romantyków w kraju pozostałych, ale nie ogłaszali nic; Morawski jeden między nimi, jak przed rokiem 1830. odmiennych pojęć, tak teraz nie uważający się za pobitego, nie waha się drukować tego, co pisze, i znajduje zawsze dobre, sympatyczne przyjęcie. Fredro, jak przedtem do literackich walk i obozów, tak teraz (i do śmierci) do literackiego cechu nie należący, stoi na uboczu, ale po roku 1831. pisze i daje na scenę kilka ostatnich, najznakomitszych swoich komedyi; nieszczęściem, zrażony (jak mniemano) złośliwą a niesłuszną krytyką (Goszczyńskiego), zamyka się rychło w upornem milczeniu, z którego już do śmierci nie wyszedł.

Z młodych zaczyna pisać (a wyjątkowo ogłaszać) swoje pierwsze wiersze Lenartowicz, a Korneli Ujejski rozpoczyna świetnie swój zawód poety Skargami Jeremiego, które wychodzą w ostatnich latach tego okresu, odpowiadają jego ostatnim wypadkom i są wiernym wyrazem uczuć i usposobień ówczesnych.

Bujniej za to rozwijała się literatura prozaiczna, przedewszystkiem powieść.

Jest to czas, kiedy potężny popęd romantyczny obudził w umysłach wielki ruch wyobraźni, potrzebę i namiętność tworzenia. Poetów było wielu w całej Europie, ale obok nich były talenta innej natury, innego zakresu, niezdolne może władać poetyczną formą, ale (jak poeci) wyobraźnią zwłaszcza czynne, i te talenta wydały nigdy przedtem niewidzianą liczbę powieści, a zarazem nadały im większe niż kiedykolwiek znaczenie. Francuskie — choć angielskie nie były od nich gorsze — były najbardziej pożądane i czytane. W niezliczonem mnóstwie pisarzy i rodzajów francuskiego romansu trzy były talenta najpotężniejsze: Balzac przez znajomość i niezmiernie trafną i dosadną charakterystykę natury ludzkiej w jej przeróżnych objawach i odcieniach (z realizmem surowym, nieraz nieprzyjemnym w wykonaniu) — George Sand (Aurora Dudevant), z usposobieniem niezmiernie artystycznem, z wyobraźnią poetyczną, z niezwykłą siłą uczucia i namiętności, z formą wreszcie bardzo powabną i pociągającą — Alexander Dumas, z niewyczerpanem (zbytecznem) bogactwem pomysłów i łatwością pisania, z niewyczerpanem także życiem i darem żywego, łudzącego przedstawienia osób lub wypadków. Zaczęło się panowanie powieści, rozpowszechnienie i naśladowanie jej w całej Europie.

U nas, jak wiadomo, było jej pragnienie od pierwszych lat naszego wieku, ale skutek do roku 1830. był dość słaby. Teraz ten wzmagający się prąd powieściowy doszedł i do nas: czytanie i roztrząsanie powieści zagranicznych, powszechne niemi zajęcie przygotowywało sposobny grunt pod uprawę tego rodzaju piśmiennictwa, a ułatwiało zadanie tym, którzy w nim próbować się chcieli. Zaczyna się zawód literacki Kraszewskiego (pierwsze próby w roku 1829. jeszcze), zawód przeszło pół-wieczny, znaczący w literaturze mnóstwem i rozmaitością dzieł, wpływem, jaki one wywierały, świadectwem, jakie dawały

o usposobieniach społeczeństwa, które je z zapałem czytało — zawód, który byłby może świetniejszym, gdyby zakres jego był mniej rozległym, a pisarz więcej skupionym, pogłębiającym swoją myśl i swój sąd przed ich rozszerzeniem; ale taka była natura jego umysłu i talentu i nie zmieniła się do końca. Pierwsze powieści Kraszewskiego były słabe, nacechowane jakimś realizmem grubym i niesmacznym, były też zrazu przyjęte chłodno. Z czasem, choć przerzucał się na pola najrozmaitsze (prac historycznych, literackich, nawet poezyi), talent wyrobił się i rozwinął bardzo; a jakkolwiek powieści jego (nawet najlepsze) podlegają wielu słusznym zarzutom, może dlatego w znacznej mierze, że były tak liczne a pisane w pośpiechu, to niemniej od niego i przez niego powieść stała się żywotną częścią naszej literatury. Kreślił on mnóstwo naszych współczesnych społecznych i towarzyskich stosunków, dotykał mnóstwa kwestyi, związanych z naszem życiem i naszą przyszłością, kreślił (czasem bardzo dosadnie i szczęśliwie) różne rodzaje naszych wad, skłonności i śmieszności. Zajmował przytem czytelników swojem opowiadaniem; a choć powodzenie powieści przechodziło niekiedy ich wartość, niemniej prawdą jest, co o nim powiedziano, że nauczył nas czytać polskie powieści, że zrobił je potrzebą publiczności, a konieczną i niezbędną częścią składową literatury.

Józef Korzeniowski, usposobieniem i talentem od niego zupełnie różny, jako artysta od niego wyższy, jako pisarz w języku i stylu nie tylko staranny i poprawny, ale wzorowy, w karceniu i satyrze łagodniejszy, w dowcipie mniej ostry a świetniejszy i weselszy, w uczuciu spokojniejszy — był drugim znakomitym pisarzem obyczajowej powieści w tym okresie. Zaczął od dramatu, i to od śmiałego, ambitnego dramatu wierszem (Mnich, fragment tragedyi o Bolesławie Śmiałym). Mimo talentu, jaki okazał, zeszedł wszakże rychło na niższy rodzaj prozaicznych dramatów z domowego życia współczesnego i komedyi, które były może w dalekiem pokrewieństwie z współczesną francuską komedyą Scribego i innych, jak dramata z dramatami Alexandra Dumasa lub Souliego. Dramata te wszakże, a zwłaszcza komedye, miały nie tylko powodzenie, ale tę rzeczywistą i niezaprzeczoną zasługę, że scenie polskiej (a przedewszystkiem warszawskiej, żyjącej pod ostrą cenzurą) dostarczały sztuk coraz nowych, odświeżały ją, wspomagały, utrzymywały przy życiu. Powieści jego, nierównie mniej liczne i może mniej wpływowe od powieści Kraszewskiego, były pisane nierównie staranniej, do czytania milsze, a jako wierne obrazy obyczaju i życia powabniejsze i na pozór niby lżejsze, ale nie płytsze od tamtych.

Pomijając wielu innych, mniej znacznych pisarzy powieści obyczajowych, jednego wymienić trzeba, który wyróżniał się i rodzajem swoich powieści i prawdziwym w tym rodzaju talentem: to August Wilkoński, którego Ramoty i ramotki, zbiór małych, zabawnych powiastek i szkiców, należą do dziś dnia do rzeczy najlepszych w naszej literaturze humorystycznej.

Michał Czajkowski miał talent niemały, a był w powieści odbiciem i dalszym ciągiem ukraińskiego kierunku naszej poezyi. Jego powieści współczesne, mniejsze czy większe, odbywają się zawsze na Podolu lub

Ukrainie; z tych Gawędy, obrazki i anegdoty z życia tamtejszej szlachty, mają niekiedy dużo życia i humoru. Powieści z dawniejszych czasów mają zawsze za bohaterów Kozaków, za tło zaś walki kozaczyzny przeciw Rzeczypospolitej lub za nią. Z większych powieści historycznych najwięcej rozgłosu i powodzenia miał Stefan Czarniecki, z współczesnych Owruczanin. Obok niego była cała grupa ukraińskich powieściopisarzy (Michał Grabowski, Edward Tarsza).

Ale w powieści historycznej palmę otrzymał Henryk Rzewuski. Pamiętniki Soplicy, zbiór anegdotycznych obrazków ze szlacheckiego życia XVIII wieku, są w swoim rodzaju arcydziełem, źródłem i wzorem całej późniejszej gawędowej i staroszlacheckiej literatury w prozie jak w poezyi. Listopad, powieść historyczna Rzewuskiego z czasów konfederacyi Barskiej, jest pod względem znajomości ówczesnej Polski i kreślenia jej typów istotnie znakomitą i uchodziła słusznie przez długie lata za najpiękniejszą powieść polską historyczną. Wdziękiem, prawdą i życiem najbardziej zbliżył się do Rzewuskiego w tym rodzaju Ignacy Chodźko w Obrazach litewskich.

Piśmiennictwo naukowe nie ustawało w tych latach, ale owszem rozwijało się i postępowało, ile mogło, w niekorzystnych warunkach. Uniwersytety warszawski i wileński były zniesione; ten sam los spotkał i liceum krzemienieckie; lwowski uniwersytet był czysto niemiecki. Zostawał polski jeden tylko, w Krakowie, małej stolicy maleńkiego kraiku, który przez to już musiał być ograniczonym do bardzo szczupłej liczby uczniów, do bardzo skromnych środków. Rzecz prosta, że ten stan rzeczy dla nauk pomyślnym nie był. A jednak okres ten nie był dla nich nieszczęśliwym, owszem przeciwnie. Wszystkie nauki były uprawiane; wiele z nich zrobiło postępy bardzo znaczne. W Krakowie służyło do tego oprócz uniwersytetu Towarzystwo naukowe, z nim złączone i pielęgnujące starannie zarówno ścisłe jak wyzwolone nauki. We Lwowie Zakład Ossolińskich był ogniskiem, skupiającem i rozwijającym naukowe zdolności i prace. W Poznaniu (który w owym czasie najwięcej używał wolności, a najmniej doznawał przeszkód) mogli znakomici i zasłużeni ludzie otwarcie i skutecznie oświatę i naukę utrzymywać i posuwać naprzód, przez zakładane w tym celu stowarzyszenia (Pomoc naukowa — Towarzystwo Przyjaciół nauk) i przez wydawnictwa (Marcinkowski, Edward Raczyński, Tytus Działyński etc.). Naturalnie każda z tych części dawnej Rzeczypospolitej, żyjąc w innych stosunkach i prawach, ucząc się w innych szkołach, musiała kształcić się inaczej, nabierać przez to pewnych cech osobnych, co się też i w literaturze odbijać musiało. Z natury rzeczy ruch i postęp naukowy musiał być najsłabszym pod rządem rosyjskiem. Stąd może poszło, że tam powieść rozwijała się najbujniej, a pracom naukowym brakło silnej i pewnej podstawy, którą umysły głębsze i zdolności wyższe umiały sobie zdobyć same, ale której brak musiał źle wpływać na umysły słabsze i na ogół, pogrążyć je w pewnej powierzchowności wiedzy i myślenia.

W Galicyi, oprócz opłakanego u ogółu skażenia języka (skutkiem nauk i wszystkich spraw urzędowych w języku obcym), była powszechna gnuśność i obojętność dla nauki i literatury: tem większa zasługa i cnota tych, którzy tu i nauce się poświęcali i posunęli ją naprzód, i w dziełach swoich tradycyę czystego języka i dobrego pisania utrzymać zdołali. Kiedy zaś Królestwo Polskie i kraje zabrane, zostawione same sobie, nie miały żadnej styczności ze światem zewnętrznym i żyły z własnego zasobu wiedzy i myśli lub, co najwięcej, śladem dawnej literatury i nauki polskiej, znały tylko dzieła francuskie i zostawały pod ich wpływem: to w Galicyi znowu wpływy niemieckie, znajomość tej literatury, działały silnie na kształcenie się i rozwój pojęć, na uprawę i kierunek nauki, wreszcie na pojęcia estetyczne i na sposób pisania. Oprócz Zakładu narodowego im. Ossolińskich, o którym dopiero była mowa, wielką zasługę około literatury i około utrzymania umysłowego życia polskiego w tym kraju miał teatr lwowski pod długoletnią dyrekcyą J. N. Kamińskiego. Ten, słaby jako poeta, ale doskonały do kształcenia aktorów i prowadzenia sceny, utrzymał ją na stopniu dziwnie wysokim, zważywszy tak niepomyślne warunki. Jego wychowańcami byli znakomici aktorowie Benza, Smochowski, Nowakowski, pani Starzewska, sławny w Niemczech Dawison i jedyna z nich dziś żyjąca pani Aszpergerowa. W Warszawie, pomimo że niewolno było grać tragedyi, pomimo że rządowi zawiadowcy teatrów dbali głównie o balet: teatr stał bardzo dobrze dzięki aktorom wielkiego talentu, jak pani Halpertowa, a zwłaszcza Żółkowski. Kraków, choć tak mały, miał także w owym czasie teatr bardzo dobry; w nim kształcili się i rozpoczynali swój zawód niedawno zmarli znakomici aktorowie, Rychter i wyższy od niego Jan Królikowski.

Podobnie, a może jeszcze silniej niż w Galicyi działał wpływ niemiecki na Wielkopolskę jako wpływu tego najbliższą. Że zaś w Niemczech (a za ich przykładem w całej Europie) jest to czas przeważnego zajmowania się filozofią (przedewszystkiem filozofią Hegla), więc naturalną było rzeczą, że w Poznaniu ten kierunek odbił się najsilniej, nie tylko na polu filozofii, uprawianej tam liczniej i dzielniej niż w Królestwie lub w Galicyi, ale w najrozmaitszych gałęziach nauki, a nawet w piśmiennictwie lżejszem.

Jeżeli aż do roku 1830. nasze prace naukowe swoją metodą i filozoficzną podstawą, pojęciem swego zadania łączą się jeszcze z wiekiem XVIII, to teraz znikają wszelkie ślady tego podobieństwa, a każda praca naukowa opiera się na innych i pewniejszych podstawach, na ściślejszem, gruntowniejszem badaniu.

W historyi rozpoczął ten zwrot i dał przykład Lelewel. Obecnie, na emigracyi (największy z naszych tam uczonych) do samego końca długiego żywota, z energią godną podziwienia, z bystrością nie mniejszą ciągnie dalej swoje prace, których słabą stroną (oprócz sposobu pisania) jest polityczna teorya, przebijająca przez pracę historyczną i nad nią niekiedy górująca. W kraju najdzielniejszym (przez długi czas jedynym) takim historykiem-badaczem jest Bielowski.

I on (jak tylu w jego pokoleniu) rozpoczynał swój zawód od poezyi i sądził się do niej powołanym: ale niebawem odezwało i odkryło się powołanie prawdziwe, któremu towarzyszyła ogromna erudycya i równa jej ścisła sumienność. Być może, że stan ówczesny, nie dopuszczający swobodnego mówienia o bliższych nam wiekach historyi polskiej, przyczynił się po części do tego, że Bielowski poświęcił się badaniu wieków najdawniejszych, pierwotnych. Ale niewątpliwie pchała go w tamtę stronę sama natura jego umysłu logicznego i ścisłego, mniemanie i nadzieja, że przez prawdziwe poznanie samych początków Polski dojdzie się do prawdziwego poznania i rzetelnego zrozumienia dalszych jej dziejów i losów. Obok tego badacza początkowej historyi samej staje pierwszy po Czackim, a do dziś dnia największy badacz i znawca dawnego prawa polskiego i jego historyi, Helcel: a każdy z nich ma pod sobą (choć z sobą niezłączonych i od siebie niezależnych), sobie nierównych, ale dzielnych i pożytecznych pracowników na tem samem polu. Tak Kazimierz Stadnicki na przykład pracuje nad wzajemnymi stosunkami i dziejami Piastów, później książąt litewskich przed Jagiełłą; Wacław Alex. Maciejowski nad Historyą prawodawstw słowiańskich.

Rozwijają się także boczne, pomocnicze gałęzie historyi i składają się wszystkie na lepszą znajomość przeszłości. Kiedy Mickiewicz w *Collège de France* daje ogólny i pobieżny, ale świetny i nieraz genialny obraz dziejów literatury polskiej, to Wiszniewski z ogromną nauką i pracą zbiera materyały do całkowitego i szczegółowego jej obrazu, zakreśla ten obraz na wielkie rozmiary, wykonywa go w jednej części zaledwo, ale tem, co wykonał, jak tem, co przygotował, podnosi tę naukę na stanowisko wyższe, od dawniejszych (Bętkowski, Brodziński, Euz. Słowacki) bardzo odmienne, daje jej prawdziwie umiejętny kierunek. Wydawnictwa źródeł i dokumentów (Bielowski, Muczkowski, Rzyszczewski, Działyński) odpowiadają tej pracy historycznej, jak wydawnictwa pisarzy i pisma naukowe (Roczniki Towarzystwa naukowego krakowskiego, Biblioteka Ossolińskich) odpowiadają pracy około literatury. Umiejętnemu badaniu zaś towarzyszy rozpowszechnienie nauki przez dzieła lżejsze, do potocznego, podręcznego użytku przeznaczone. Dzieła takie, poświęcone samej historyi polskiej, noszą na sobie wyraźną cechę czasu, tę mianowicie, że jedne z nich są zabarwione tą lub ową doktryną polityczną (Moraczewski) — inne znowu (Koronowicz) lirycznym, sentymentalnym patryotyzmem. Lucyan Siemieński w opowiadaniach Grzegorza z pod Racławic dał mylną nieraz, ale pięknie i żywo napisaną historyę polską dla młodego wieku i (jak mniemał wtedy) stosowną dla wiejskiego ludu. Pod koniec tego okresu zaczyna występować Szajnocha, który od Bielowskiego, od historyków niemieckich nauczył się cenić i badać źródła historyczne, a przynosił do prac historycznych ten zasób uczucia i wyobraźni, ten dar żywego przedstawienia rzeczy, w którym mu mało kto dorównał.

Mnożą się też i podręczniki historyi literatury (Wojcicki, Majorkiewicz, Łukaszewicz, Dembowski), dalekie naturalnie od powagi

i wartości Wiszniewskiego, zwykle (z wyjątkiem pierwszego) zbyt pobieżne i krótkie, czasem z pewną szumną a czczą przyprawą filozoficzną, jednak pożyteczne. Krytyka literacka ma reprezentantów może najpoważniejszych w Michale Grabowskim i w Alex. Tyszyńskim; obok nich ukazują się (w pismach poznańskich) rozprawy Stanisława Koźmiana (tłómacza Szekspira) i młodego, zaledwo poczynającego Antoniego Małeckiego.

Lingwistyka także nie leży odłogiem, a umiejętne badanie języka polskiego właściwie teraz dopiero zaczyna się zjawiać (ks. Malinowski, Deszkiewicz, Łazowski, Suchecki). Na tych badaniach opiera się (i podług nich dzieli się w swoich zasadach) liczba dość znaczna gramatyk podręcznych (Muczkowski, Łazowski, Sierociński i inni).

Nauki ścisłe, przyrodnicze i lekarskie, szczycą się w tym czasie licznym (jak nigdy może przedtem) szeregiem imion znakomitych lub przynajmniej zasłużonych.

W botanice po Jundzille i Szubercie (dyrektorze ogrodu botanicznego w Warszawie) odznacza się Wojciech Jastrzębowski, Antoni Andrzejowski, Ignacy Czerwiakowski, a Warszewicz (w tym czasie w Ameryce zostający) zdobywa sobie sławę w całym świecie. Zoologia w różnych swoich działach ma badaczy równie uczonych jak zamiłowanych: Jarocki (w zoologii ogólnej), Antoni Waga w entomologii, Tyzenhauz w ornitologii. Mineralogia i geologia ma Ludwika Zeisznera, a Ignacy Domeyko organizuje w Chili razem uniwersytet i kopalnię kruszców, oświatę i bogactwo tego kraju, a do ostatniego dnia życia zostaje w żywym związku z ojczyzną i nauce polskiej służy pismami, radą, opieką nad młodymi badaczami na drugiej półkuli.

Nauki lekarskie nigdy przedtem nie miały u nas tylu głośnych i znakomitych reprezentantów, a wielkiego w nich postępu dowodzi choćby to, że nauka ta uprawiana jest w każdej swojej gałęzi z osobna, a każda z nich przez ludzi bardzo znaczących. I tak, na polu fizyologii, po starszych jak Mile i Remak, następuje Józef Majer, w okulistyce odznacza się Wiktor Szokalski, w anatomii Adam Bielkiewicz i Antoni Kozubowski, w chirurgii Klemens Nowicki, Józef Korzeniowski i Ludwik Borkowski, w farmakologii Skobel, w medycynie wewnętrznej Malcz, w gynekologii Raciborski. Pomija się wielu, wyliczając tylko tych, którzy zajęli najwybitniejsze stanowisko w nauce i pracami lub odkryciami swemi posunęli ją naprzód.

Jedna jest nauka, która nigdy nie była u nas uprawioną z takiem zamiłowaniem i skutkiem jak w tym okresie, to filozofia. Skutkiem zapewne w znacznej części powszechnego jej podówczas panowania nad umysłami, ale skutkiem także tej pracy przygotowawczej, jaka się na tem polu odbyła w okresie poprzednim przez Szaniawskiego i Śniadeckiego, w okresie o którym mowa, była filozofia uprawianą u nas liczniej, a dodajmy głębiej i skuteczniej niż kiedykolwiek. Ludzie, którzy ją uprawiają (Gołuchowski, Libelt, Cieszkowski, Trentowski, Kremer), w żadnym kraju nie uchodziliby za pospolitych i niższych, a niektórzy z nich musieliby uchodzić za umysły bardzo niezwykłe. Wszystkim przyświeca

jeden ideał wspólny, mianowicie: stworzyć osobną filozofię polską, którąby zarówno daleka od zbyt abstrakcyjnych i subtelnych spekulacyi niemieckich, jak od praktycznego empiryzmu Francuzów, połączyła dobre strony obu tych kierunków i stała się dopiero prawdziwą, od tamtych wyższą filozofią. Filozofia ta nie opierałaby się na rozumie w przeciwieństwie do innych władz duszy, ale na harmonii i równości wszystkich; nie na różnicy i sprzeczności filozofii z religią, ale owszem miałaby wykazać wrodzoną zgodność wiary i wolnego badania. Do tego ideału filozofowie ci dążyli różnemi drogami i za pomocą różnych pojęć. Gołuchowski najściślej ze wszystkich trzymał się katolickich nauk i zasad. Libelt na wyobraźni i na uczuciu opierał swoją zasadę p i ę k n o ś c i, która miała być tym pierwiastkiem łączącym, harmonizującym sprzeczności i wydającym nowy system filozofii. Trentowski, ze wszystkich najbardziej może systematyczny, jeden z nich w dziełach swoich objął całość filozofii, ale ze wszystkich najbardziej zabłąkał się w pogoni za własnym oryginalnym systemem. Cieszkowski zwraca się głównie do filozofii historyi, tę chce wydobyć i określić w swoich (niedokończonych) dziełach (*Prolegomena zur Historiosophie* i O j c z e N a s z). Kremer najmniej ze wszystkich sili się na własny i samodzielny system, za to najwięcej może i najlepiej zapoznaje swego czytelnika z istotą i treścią nauk filozoficznych, najprzystępniej daje ją zrozumieć.

Wszyscy oni pochodzą od filozofów niemieckich, przeciw którym występują nieraz stanowczo — (Gołuchowski głównie od Schellinga, inni od Hegla), a osobnego systemu filozofii, słowiańskiej czy polskiej, nie wydają. Wszelako w ogólnej europejskiej nauce filozofii stanowią grupę osobną i poważną, a u nas mają tę wielką zasługę, że wznoszą na wyższy szczebel naukę filozofii, że nie pozwalają o niej zapomnieć, że kształcą późniejszych, a przez wiele świetnych i głębokich (choć tylko częściowych) dowodzeń i określeń, zdobywają nam poważne stanowisko w tej dziedzinie myśli i wiedzy.

Mówiliśmy w okresie poprzednim, że za Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego pism treści politycznej nie mamy prawie wcale. Teraz się to zmienia. W kraju wprawdzie pod cenzurami (bardzo surowemi) ta gałąź piśmiennictwa rozwijać się nie może, ale w swobodzie emigracyjnych stosunków d z i e n n i k i i b r o s z u r y p o l i t y c z n e powstają nader licznie. Z natury rzeczy wynika, że przeznaczone na chwilowe wrażenie, wywołane chwilowymi stosunkami lub uczuciami, pisma takie mają też chwilowe tylko życie, i rzadko które, dzięki imieniu autora lub szczególnie ważnemu przedmiotowi, zdoła się utrzymać w ludzkiej pamięci. Ale choć pisma te jednodniowe do literatury właściwie nie należą, a obchodzą raczej tylko przyszłych historyków, którzy szukać w nich będą śladów naszych ówczesnych usposobień i opinii, to niemniej wspomnieć i zapamiętać należy sam fakt bytu tej literatury. Oznacza on bowiem poczęcie się i działanie czynnika dziś bardzo ważnego w życiu wszystkich narodów europejskich, d z i e n n i k a r s t w a. Przed rokiem 1830. zaledwo istniejące i nie wywierające

wpływu, później w kraju tłumione i mówiące tylko o rzeczach obojętnych, na emigracyi wydaje ono pisma różne, mówiące o wszystkich sprawach europejskich i zamiarach polskich, i rozwija się tak, że później, po roku 1848. przeniesie się do kraju jako rzecz gotowa i przyjmie się jako potrzeba społeczeństwa. Kolebka naszego dzisiejszego dziennikarstwa jest na emigracyi. Nieszczęściem, dodać trzeba, że ono nie tylko rozwinęło się tam i wychowało, ale w namiętnościach i zatargach stronnictw, po części może za przykładem znacznej części prasy francuskiej, nauczyło się bez skrupułu i uwagi używać naciągań, przekręcań, zmyśleń, nieraz potwarzy, wszystkich tych zdrożnych sztuk i zwyczajów, przez które dziennikarstwo zamiast kształcić opinię i społeczeństwo, może je tumanić, oślepiać i psuć.

W kraju codzienne pisma polityczne były zupełnie czcze i bez znaczenia: były też (nawet w Warszawie) bardzo nieliczne. Z miesięcznych i naukowych (oprócz pomniejszych i zwykle krótkotrwałych) ważniejsze były: — Kwartalnik w Krakowie, Ateneum (Kraszewskiego) w Wilnie, Rok i Orędownik w Poznaniu, Rozmaitości we Lwowie; dwa miały i dłuższe życie i poważną niepospolitą wartość, Biblioteka Warszawska i Przegląd Poznański. Ten ostatni, pod redakcyą Jana i Stanisława Koźmianów, odznaczał się wielką wartością artykułów literackich, głębokością sądów i stałością przekonań; charakter miał ściśle katolicki. Wydawany w Lesznie Przyjaciel Ludu, pismo lżejsze, (w rodzaju dzisiejszych illustrowanych) był bardzo dobry, zajmujący do czytania a rozumny.

Taki był stan naszej literatury od roku 1830. do połowy naszego wieku. Zmiany, jakie w nim zaszły później, nie należą już do tego okresu.

Adam Mickiewicz.

Mickiewicz, Adam, syn Mikołaja i Barbary Majewskiej, urodził się w Zaosiu (pod Nowogródkiem) 24. grudnia 1798. Herb rodziny Poraj. Ojciec, przed rozbiorem urzędnik sądowy, po nim był adwokatem i właścicielem części Zaosia. Z dzieciństwa poety ważniejsze szczegóły są następujące: jako niemowlę upuszczony przez piastunkę spadł z okna na ziemię; matka zrobiła votum do Najświętszej Panny; wypadek ten na zdrowiu dziecięcia nie zostawił śladu. O tem zdarzeniu wspomina Mickiewicz w pierwszych wierszach Pana Tadeusza. W roku 1807. oddano go do szkoły (ks. Dominikanów) w Nowogródku, do klasy pierwszej. Uczył się pilnie, ale nie bez trudności i nie okazywał zdolności niezwykłych. W roku 1812. (na ukończeniu klasy czwartej) stracił ojca. W tymże roku widział wojska francuskie i polskie, ciągnące na kampanię rosyjską. Wspomnienie to przechował w Panu Tadeuszu, a wrażenie ówczesne wywarło wpływ stanowczy i niezatarty na kierunek jego uczuć. Szkołę w Nowogródku ukończył w roku 1815. i przeniósł się na uniwersytet do Wilna, z zamiarem sposobienia się do zawodu nauczycielskiego.

Tu znalazł opiekę dalekiego krewnego, księdza Józefa Mickiewicza, wówczas dziekana wydziału matematyczno-fizycznego w uniwersytecie, i za jego radą zdawał examin na kandydata stanu nauczycielskiego, co mu ułatwiło przyjęcie do seminaryum na koszt rządu. Na wydziale matematycznym wszakże pozostał tylko przez jedno półrocze, po którem przeniósł się na stósowniejszy dla jego usposobienia wydział literatury i sztuk wyzwolonych. Celniejszymi profesorami tego wydziału, którzy na umysł i wykształcenie młodego Mickiewicza wpływ istotny wywarli, byli Leon Borowski (literatura polska) i Joachim Lelewel (historya), po części może, ale niewątpliwie w mniejszej mierze Ernest Groddeck, profesor filologii klasycznej. Pobierał też naukę języka i literatury francuskiej i rosyjskiej. Na trzecim roku uniwersytetu (1817) przystąpił do stowarzyszenia Filomatów, zawiązanego przez Tomasza Zana i Józefa Jeżowskiego, jako jeden z pierwszych jego siedmiu członków. W roku 1818., podczas wakacyi, zawiózł Zan Mickiewicza do Tuchanowicz, majętności pani Wereszczakowej, wdowy, z której synami był w przyjaźni. Tu zobaczył Mickiewicz po raz pierwszy córkę tego domu, Maryę. Powstała w jego sercu miłość, która wywarła wpływ stanowczy na jego życie i talent. Marya Wereszczakówna (którą współcześni opisują jako panienkę rozmarzoną, sentymentalną, zatopioną w czytaniu poezyi i romansów) łatwo mogła spostrzec i podzielić uczucia młodzieńca, którego poetyczne usposobienie, talent (choć jeszcze nie objawiający się w zupełności, ale zapewne już wyraźny) i żywe, pełne zapału rozmowy musiały działać na jej wyobraźnię. Była mu też niewątpliwie wzajemną. Rodzina jej wszakże nie życzyła sobie związku z nieznanym młodzieńcem, nie mającym żadnego stanowiska. O pannę starał się właśnie Wawrzyniec Puttkamer, młody obywatel ziemski, a niedawno jeszcze waleczny oficer w wojsku napoleońskiem, prawy, godny i ujmujący. Taki był początek tego stosunku i tego uczucia, które wkrótce odbiły się w poezyi Mickiewicza.

Poezyi zaś właśnie teraz (1819) zaczął się oddawać już na prawdę. Zajęty nią jak wszyscy jego koledzy i przyjaciele, jak cały ówczesny świat europejski, czytał z największym zapałem i uwielbieniem poetów (Niemców naprzód, Anglików później), a z gorączkową ciekawością i żądzą wiedzy estetyków i krytyków (Lessing, Schlegel, Boutterwek). Było to przygotowaniem do nowego zwrotu w poezyi. Wszyscy młodzi koledzy Mickiewicza, z mniejszym czy większym talentem, próbowali swoich sił w poezyi, pisywali wierszy dużo; pisywał je i Mickiewicz. W roku 1819. powstał wiersz (bez tytułu) do Filomatów (drukowany w wydaniu paryskiem z roku 1869.), Zima miejska i ogłoszona w Pamiętniku warszawskim rozprawa literacka Uwagi nad Jagiellonidą (Tomaszewskiego), w pojęciach i sposobie pisania zbliżoną jeszcze bardzo do dawnej szkoły klasycznej. Dwie powieści, Żywila (heroiczna) i Karyla (sielankowo-fantastyczna), jak wskazują z daleka późniejsze kierunki jego twórczości (Świteź, Kurhanek, poniekąd i Grażynę), tak treścią swoją odnoszą się zapewne do jego własnego uczucia i położenia. W obudwóch skromny, ubogi młodzieniec kocha pannę, dla której rodzina żąda związków świetniejszych.

W początkach roku 1821. odbył się ślub Maryi Wereszczakówny z Wawrzyńcem Puttkamerem. Mickiewicz był już wtedy (od r. 1819.) nauczycielem w Kownie. Wrażenie było tak silne, boleść tak namiętna, że zdrowie się zachwiało, a przyjaciele mocno byli o niego zaniepokojeni. Cios ten wszakże nie wstrzymał jego twórczości poetyckiej, owszem rozwinął ją, skoro w rok później wyszły dwa pierwsze tomy jego poezyi. Uczucie, które go owładnęło, stało się przedmiotem dla zamkniętej w nim poetyckiej zdolności, a wielkie cierpienie, jakiego doznał, stało się krzemieniem, z którego padła iskra natchnienia. Pod wpływem tych uczuć i zdarzeń powstała poezya szczytna i wzniosła — Dziady.

Poemat ten jest jego własną historyą, historyą jego nieszczęśliwej miłości. Za tło służy ludowy obrzęd Dziadów (obchód żałobny, święcony w dzień zaduszny na cześć lub ulgę zmarłych). Właściwą zaś treścią jest opowiadanie Gustawa, który z boleści prawie obłąkany, a uważający się poniekąd za umarłego, bo »serce umarło, pierś już lodowata, na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata«, wspomnienia swoich nadziei i swoich cierpień roztacza przed księdzem, swoim niegdyś nauczycielem. Poemat ten, oprócz całej swojej piękności artystycznej, a zwłaszcza lirycznej, jest bardzo ciekawym pomnikiem historycznym, bo jest pierwszym potężnym i może najzupełniejszym wyrazem romantycznego kierunku w naszej poezyi. Przez wprowadzenie istot ze świata nadzmysłowego (widm, duchów, upiorów) łączy się on z pojęciami i zwyczajami ówczesnego europejskiego romantyzmu; przez pierwiastek i charakter ludowy odpowiada estetycznym przekonaniom i dążnościom młodszych poetów polskich (niemniej jak niemieckich lub angielskich). Przez swoją formę dramatu fantastycznego (pierwszego w poezyi polskiej) łączy się znowu z całym tym rodzajem, który stworzony przez Goethego w Fauście, a przez Byrona pochwycony i często świetnie używany (Manfred, Kain), niezmiernie był w owym czasie podziwiany i pożądany. Wreszcie, przez chorobliwy charakter miłości, jak ją czuje i pojmuje Gustaw, przez jego rozmiłowanie się w swojem nieszczęściu, przez tę niezdolność i niechęć do życia, odkąd go miłość zawiodła, stają się Dziady doskonałym wyrazem tego uczucia, jak je pojmowało ówczesne pokolenie romantyków w całej Europie, a Gustaw staje się jednym z tych chorobliwych bohaterów miłości, których ojcem i wzorem był Werther. Że z tych bohaterów, od Werthera pochodzących, żaden nie zbliża się nawet do Gustawa, zbytecznie mówić. Oprócz wyższości poetycznej zaś ma on nad wszystkimi bohaterami podobnymi tę jeszcze wyższość etyczną, że przedstawiony i osądzony jest przez Mickiewicza właśnie jako człowiek usposobiony chorobliwie, zbyt wyłącznie owładnięty jednem uczuciem, a przez to winny. Jest to jednym z dowodów ogromnej siły i rozumu i charakteru u Mickiewicza, że jeszcze pod wrażeniem swojej miłości, w samem swojem cierpieniu, w wiernem przedstawieniu swoich ówczesnych uczuć, już w sumieniu swojem poznał i osądził to, co było złego w tem uczuciu.

Jako poemat miłosny czwarta część Dziadów nie ma wyższego nad siebie w poezyi polskiej, a należy do najpiękniejszych w poezyi całego świata. Szczególną pięknością odznacza się w tem opowiadaniu

ustęp o dzieciństwie i domu rodzinnym, a zwłaszcza o ostatniem pożegnaniu z kochanką.

Oprócz wpływu Goethego daje się w tej części Dziadów rozpoznać wpływ Jana Jakóba Rousseau (Nowa-Heloiza), wpływ Jean Paula, a poniekąd pani Krüdener, której romans Walerya (słabe naśladowanie Werthera) był ulubioną powieścią Mickiewicza i Maryi Wereszczakówny. Na pamiątkę bohatera tego romansu dostał bohater Dziadów imię Gustawa.

Ballady i zbliżone do nich Romance powstały także pod wpływem powszechnej poezyi romantycznej: rodzaj to bardzo podówczas ulubiony, a za przykładem obcych uprawiany gorliwie przez naszych młodych poetów. W balladach i romancach Mickiewicza można rozróżnić różne grupy, podług wpływów, pod którymi powstały. Bardzo widocznym i silnym jest wpływ niemiecki, mianowicie Goethego, Schillera i Bürgera (Ucieczka jest przerobieniem jego Lenory). Do tej grupy należy, choć z podań litewskich wzięta, Świteziańka, najdoskonalsza może z ballad Mickiewicza i wszystkich polskich. Inne pochodzą wprost od pieśni lub podań ludu i są ich przerobieniem (typem takich są Lilie). Jeszcze inne ukrywają pod tą formą własne wspomnienia i uczucia poety, odnoszą się do jego nieszczęśliwej miłości (Dudarz, To lubię). Romantyczność jest polemiką przeciw klasykom, a zarazem wczesnem świadectwem tej wiary w nadprzyrodzone wpływy i objawienia, która w późniejszem życiu poety miała znaczyć tak wiele. Na szczególną uwagę zasługują przez swój charakter oryginalny i swój wdzięk ballady wesołe, humorystyczne, jak Pani Twardowska i Trzech Budrysów. W niektórych romancach (na przykład w Kurhanku Maryli) znać jeszcze wpływ i ślady dawnego smaku, dawnej konwencyonalnej sielanki Karpińskiego. Z wierszy lirycznych odznaczała się najsilniejszem lirycznem natchnieniem Oda do młodości (podówczas jeszcze nie drukowana). Wspaniała jako wyraz lirycznego natchnienia, wzniosła przez ideał poświęcenia, przez miłość rzeczy wielkich i spraw szlachetnych, Oda do młodości jest w tem jednostronną a zatem fałszywą, że młodości tylko przyznaje szlachetność uczuć i zdolność do poświęceń, które nie są przywilejem pewnych lat, ale istotą i cechą pewnych (szlachetnych) natur i usposobień. Musiałaby też okazać się fałszywą, gdyby kto chciał wyciągać z niej niektóre zdania i uważać je za prawidła praktycznego życia i postępowania. Wzniosłe poetykie natchnienie ma to zadanie i tę nawet praktycznie dobroczynną moc, że podnosi wyżej uczucia ludzkie i wytyka im szlachetny kierunek: ale nie idzie za tem, iżby zachwyt poety miał znajdować zastosowanie w wypadkach praktycznego życia.

Grażyna, małymi rozmiarami podobna do ulubionych podówczas powieści poetycznych, złożonych z epickiego i lirycznego pierwiastka, charakterem swoim różni się od nich zupełnie, a przybliża się do wielkiej bohaterskiej epopei. Prostota i szlachetność stylu, zupełne oderwanie się poety od siebie samego, od własnych uczuć i wrażeń, wyrazistość i żywość figur, wszystko to wybija na tej powieści tę najrzadszą cechę prawdziwej epickiej doskonałości, którą nosi tak mało poematów na

świecie. Zakończenie, prawda, pisane jest pobieżniej i słabsze, ale aż do upadku bohaterki na polu bitwy Grażyna jest dziełem wyjątkowej doskonałości i jedna ze wszystkich powieści poetycznych w Europie podobna jest do epopei.

Dwa tomiki Mickiewicza, jak były objawieniem i urzeczywistnieniem nowej poezyi, tak stały się naturalnie przedmiotem walki pomiędzy wielbicielami nowej a wyznawcami dawnej. Walka ta zapaliła się teraz goręcej i obracała się około tych poezyi. A tymczasem przed poetą otwierały się nowe, ciężkie koleje życia.

Stowarzyszenia uczniów wileńskich stały się pretextem do prześladowania. Uwięziono wszystkich dawnych Filaretów, bawiących w Wilnie, i wielu takich, którzy bądź to na wsi, bądź w mniejszych miastach byli z nimi w stosunkach.

Mickiewicz, który jeszcze przed rozwiązaniem Towarzystwa udał się do Kowna na swoją posadę nauczycielską, który przez ostatnie lata rzadko i na krótko bywał w Wilnie, powinien był jeszcze mniej niż inni być narażonym na prześladowanie. Ale że kiedyś jeszcze jako uczeń należał do pierwszych Filomatów, więc aresztowany i przewieziony do Wilna, osadzony był w więzieniu, przerobionem z dawnego Bazyliańskiego klasztoru, koło Ostrej Bramy. (Wspomnienia te umieścił w Trzeciej części Dziadów[1]). W tem więzieniu poczęła się i, choć może nie zupełnie wyrobiła, ale dokonała się pierwsza wielka zmiana w duszy i życiu Mickiewicza. Dawna miłość i pozostały po niej żal ucichły i ustąpiły pierwszego miejsca w jego sercu miłości ojczyzny i patryotycznemu cierpieniu.

Śledztwo ciągnęło się długo. Wyrok, oparty na błahych i naciąganych powodach, skazywał niektórych (Zana, Czeczota i Suzina) na rok (lub pół roku) fortecy, a następnie na zsyłkę na Sybir; innych na wywiezienie w głąb Rosyi i umieszczenie tam w służbie rządowej. W liczbie tych był Mickiewicz. Uwięziony 23. października 1823, wyszedł z więzienia (po wyroku) w kwietniu 1824. Przez kilka miesięcy zostawał na wolnej stopie w Wilnie, czekając na wywiezienie. Nastąpiło ono 24. października 1824. W tym dniu pożegnał Mickiewicz Litwę już na zawsze.

Zawieziono go naprzód do Petersburga. (Ślady tych wrażeń pozostały w wierszach Droga do Rosyi, Przegląd wojska i innych). Potem przeznaczono go do Odessy na nauczyciela przy gimnazyum.

Miasto kosmopolityczne, pełne cudzoziemców, przez rząd mniej czujnie strzeżone, pełne także Polaków z Podola i Ukrainy, było (przy względności władz miejscowych, które nawet pełnienia służby nie żądały) wygnaniem stosunkowo łagodnem. Poeta zawiązał tam znajomości miłe, a nawet przyjaźni serdeczne. Znalazła się i miłość, nie tak wzniosła ani tak znacząca jak pierwsza, przelotna. Z Odessy, w towarzystwie

---

[1]) Opis samego stowarzyszenia Filaretów i więzienia, z wielu najdokładniejszy i najwdzięczniejszy, jest Ignacego Domeyki, p. t. Filareci i Filomaci. (Poznań 1872).

tej właśnie osoby, jej brata Henryka Rzewuskiego (później autora Pamiątek Soplicy i Listopada) i paru innych, odbył podróż po Krymie. Owocem poetycznym tego pobytu w Odessie i tej podróży są, oprócz kilku wierszy miłosnych (Sen, Godzina, Do D. D.), Sonety. Te dzielą się na erotyczne i krymskie. Z pierwszych jedne tchną wspomnieniem i Litwy i dawnej kochanki (do Niemna, Rezygnacya) i te należą do najpiękniejszych lirycznych wierszy Mickiewicza. Drugie, odnoszące się do tej nowej miłości, w Odessie poczętej i skończonej, są i uczuciem niższe i nawet w smaku nie zawsze zupełnie dobre. Sonety krymskie za to, tchnące tęsknem, ponurem a umyślnie na wodzy trzymanem uczuciem, niezrównanie świetne mocą wyrażeń i efektami niespodzianych zwrotów myśli, zrywające się zuchwale na obrazy, a kreślące je szybko i szkicowo, ale z zadziwiającą siłą i poezyą (Stepy Akermańskie, Burza morska, Droga nad przepaścią, Czatyrdah), są w swoich małych rozmiarach wielkiem arcydziełem.

Były one także pierwszem w poezyi polskiej odbiciem tego upodobania we wschodnich krajach i scenach, które za przykładem Byrona i Moora stało się modą w całej Europie. Te wschodnie obrazy (a nawet wyrazy) stały się dla klasyków powodem do licznych a niechętnych zaczepek i krytyk, kiedy romantycy przeciwnie znaleźli w nich nowy pochop do wielbienia i sławienia Mickiewicza.

Były więc sonety nowym żywiołem do walki literackiej, a tymczasem rząd, niechętnie widząc stosunki wygnańca z licznymi w Odessie Polakami, przeniósł go do Moskwy (1826). Szczęściem i tu znalazł poeta zwierzchnika nie tylko ludzkiego, ale szlachetnego. Gubernator, książę Galicyn, wziął go do swojej kancelaryi i zostawiał mu wszelką swobodę, wykształceni zaś i uczeni ludzie stołecznego towarzystwa, pociągnięci jego już głośną sławą, garnęli się do poety, niekiedy z prawdziwą i stałą przyjaźnią. Tu zawiązał Mickiewicz liczne i miłe stosunki, między innymi z poetami Kozłowem i Żukowskim. Przyjaźń wszakże najwierniejszą i najbardziej serdeczną powzięła dla niego księżna Zeneida Wołkońska, osoba już niemłoda, niezwykłego rozumu i bardzo dobrego serca, z którą zawiązane tu stosunki odnowiły się później w Rzymie.

Podczas tego pobytu w Moskwie pisał Mickiewicz Wallenroda. Temu od chwili jego ogłoszenia robiono w r. 1828. zarzutów wiele, (i to nie ze strony klasyków samych, ale i romantyków także), a powtarzają się one do dziś dnia. Główne z nich są te, że powieść cała, a zwłaszcza sama postać bohatera zbyt przypomina pomysły Byrona i jego sposób pisania, że wartość i piękność ustępów jest bardzo nierówna, że w powieści samej, a co ważniejsza w postaciach mają być jakieś niezgodności i sprzeczności, szkodzące ich piękności i prawdzie.

Istotnie, poemat jest rozmiarami, formą, sposobem pisania podobny do poetycznych powieści Byrona, a bohater sam, ze swoją tajemniczą przeszłością i tajemniczym celem, ponury, gorzki, uważający zdradę i zemstę za swój obowiązek, ale nieszczęśliwy, że ten obowiązek na niego spadł — jest w bliskiem pokrewieństwie z wielu bohaterami Byrona. Prawdą jest dalej to, że poemat jest nierówny, od jednostajnej dosko-

nałości Pana Tadeusza (a nawet Grażyny) daleki, że mieści w sobie ustępy pisane z trudem i oporem, słabsze. Atoli jest w tym poemacie taka potęga uczucia, z każdej postaci i każdej myśli bije tak namiętna miłość ojczyzny i nienawiść nieprzyjaciela, Wallenrod sam w swojem tragicznem położeniu tak jest wielki i takie ma piętno nieszczęścia i bohaterstwa, że poemat staje się przez to wyrazem, a jego bohater wcieleniem (jednem z najdoskonalszych w poezyi świata) całego jednego rodzaju wrodzonych ludzkich uczuć, obrazem powtarzających się nieraz na świecie stosunków. W tem jest jego prawda, jego prawo do bytu, jego logiczna konieczność w ówczesnej poezyi polskiej i jego w niej wysokie, niewzruszone, wieczyste stanowisko. Jego zaś piękność artystyczna, w pewnych ustępach (jak Wojna albo Uczta) zapewne niższa, jest wzniesioną nad wszystko, co Mickiewicz dotąd napisał, przez tragiczną wielkość osób, przez porywającą siłę natchnienia i słowa w niektórych ustępach (Pieśń wajdeloty), przez doskonałość epickiego spokoju i stylu w połączeniu z najwyższą patetycznością uczuć i sytuacyi (w Powieści wajdeloty). Gdyby nie było Pana Tadeusza, ta powieść byłaby samym szczytem poezyi Mickiewicza; a i teraz nawet, pomimo Tadeusza, ma tę cechę i wartość osobną, że tragiczny jej przedmiot wymagał tonu wyższego, niż go Tadeusz mógł mieć przy swoich potocznych, spokojnych obrazach, stosunkach i ludziach, i że ten wysoki ton epicki, ten wielki styl, najwyższy, jaki w poemacie bohaterskim być może, ona rzeczywiście ma.

Kwestyę osobną stanowi myśl i wartość moralna Wallenroda. Dzieło zemsty i zdrady, choć z poświęcenia dla ojczyzny i z bohaterstwem podjęte i spełnione, dobrem nigdy być nie może. Zatem pomysł i bohater Mickiewicza, artystycznie wspaniały, moralnie zdrowym i dobrym nie jest. Zobaczymy też zaraz, że nie było to stałe Mickiewicza przekonanie i stanowisko, ale chwilowe uczucie, spowodowane świeżemi wrażeniami ucisku, a wzmocnione pobytem w Rosyi, naocznem przeświadczeniem się o jej sile i prawdopodobnie wpływem tych rosyjskich znajomych i przyjaciół, którzy podówczas zajęci bardzo marzeniami o własnej wolności, nie troszczyli się o moralną wartość środków, jakich po temu użyćby mieli. U nas mówiono nieraz o złym wpływie Wallenroda na umysły i sumienia. Wpływ na wypadki, acz bardzo pośredni, mógł on mieć, bo mógł rozżarzyć te uczucia, których wybuchem było powstanie 29. listopada. Innego wpływu dostrzec trudno. Być może, że Wallenrod był używany (raczej nadużywany) do uwodzenia ludzi, na dowód i przykład, że godzi się w dobrym celu źle robić, ale odpowiedzialność za takie wypadki (jeżeli istotnie były) nie może spadać na Mickiewicza ani na Wallenroda, tylko na tych, którzy z pomysłu poetycznego chcieli robić argument lub axyomat moralny i polityczny.

Wallenrod wyszedł w Petersburgu (1828), gdzie cenzura była mniej drażliwa; a poemat, dedykowany cesarzowi Mikołajowi, tem samem usposabiał ją dla siebie łaskawiej. Tam też z Moskwy przeniósł się i Mickiewicz, tam zawiązał stosunki, które wywarły wpływ na całe jego dalsze życie. Najmniej trwały był stosunek z poetą Puszkinem, choć z obu stron wtedy przyjacielski. Znaczącym za to był wpływ Oleszkiewicza,

malarza, człowieka religijnego, a nawet mistycznego usposobienia. Wiersz Mickiewicza, któremu za tytuł służy nazwisko malarza, stwierdza to usposobienie. Świadkowie zaś współcześni twierdzą, że Oleszkiewicz wywarł na Mickiewicza wpływ bardzo silny, że on rozbudził w poecie uczucia religijne, że nadał im już wtedy kierunek cokolwiek mistyczny, że wreszcie stosunek księdza Piotra do Konrada w trzeciej części Dziadów ma być wspomnieniem tego wpływu, jaki na poetę wywierał Oleszkiewicz.

Wreszcie niemniej ważną była znajomość z panią Maryą z Wołowskich Szymanowską, artystką niemałej sławy, której gra na fortepianie podziwianą była powszechnie, a której rozum, dobroć i wdzięk ujęły tak Goethego, że miał dla niej przyjaźń szczerą i serdeczną. W jej domu przebywał Mickiewicz jakby w rodzinnym; z tego domu w lat kilka później (już po śmierci matki) wziął żonę.

Farys był po Wallenrodzie najznakomitszym jego utworem z tego czasu: rozmiarami niewielki, wspaniały jest jako wyraz świadomości siebie w człowieku genialnym, śmiałości i pewności siebie w walce z trudami i przeszkodami życia. Na obiedzie, dla siebie danym przez bawiących w Petersburgu Polaków (24. grudnia 1828.), improwizował Mickiewicz całą tragedyę Samuel Zborowski; z improwizacyi tej wszakże nie doszło do nas ani jedno słowo. Z pobytu w Petersburgu zostały ślady widoczne w jego wierszach takich, jak Pomnik Piotra Wielkiego, Oleszkiewicz, Do przyjaciół Moskali etc.

Wyjazdu za granicę pragnął Mickiewicz gorąco i dla wydostania się z Rosyi i dla zdrowia i wreszcie dla zobaczenia świata, dla wrażeń i widoków, których łaknęła jego wyobraźnia. Potrzebą zdrowia i opieką wpływowych ludzi poparta prośba znalazła przychylne przyjęcie: cesarz Mikołaj zezwolił na wyjazd. Zezwolił w samą porę. Wallenrod już się rozszedł i sprawiał ogromne wrażenie: władze spostrzegły (za późno dla siebie) jego ukryte znaczenie. W Warszawie zakazano mówić o nim w pismach publicznych, a nawet wymieniać nazwiska Mickiewicza; w Petersburgu powzięto zamiar aresztowania poety. Uwiadomiony na czas, mając paszport w ręku, wsiadł czemprędzej na statek w Kronsztadzie i odpłynął do Lubeki (15. maja 1829. r.).

Przez Berlin, Drezno, Pragę udał się naprzód do Weimaru, celem widzenia Goethego [1]). Listy polecające od pani Szymanowskiej zjednały

---

[1]) W Karlsbadzie połączył się z Odyńcem, który odtąd był nieodstępnym jego towarzyszem w podróży po Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech, a w późnej już starości opisał ją w Listach z podróży. Listy te, bardzo ładnie pisane i zajmujące, mogłyby być źródłem nieocenionem do historyi Mickiewicza, gdyby nie to, że Odyniec nie wydał ich tak, jak je w owym czasie był napisał, tylko, na podstawie tych współczesnych i autentycznych, pisał teraz w starości listy nowe, a w tych mówi o ludziach i rzeczach z roku 1829. i 1830. tak, jak pojmował i widział w lat czterdzieści później. Same nawet zdarzenia przesadza niekiedy, poetyzuje, upiększa. Z tego wynika, że książkę tę, bardzo ciekawą, należy czytać ostrożnie i niekoniecznie wierzyć, że wszystko tak się miało w rzeczywistości, jak tam jest opisane.

mu przyjęcie nader uprzejme, a osobistość jego zrobiła na starym mistrzu wrażenie tak silne, że podług świadectwa synowej jego pani Ottylii Goethe nigdy nie był tak serdecznym i przyjacielskim dla żadnego cudzoziemca. Przypadkowo spotkany w Weimarze rzeźbiarz francuski David d' Angers zrobił tam popiersie Mickiewicza. Inny portret, ołówkiem, zrobił malarz Schmeller na życzenie Goethego do jego zbioru.

Z Niemiec (Frankfurt n. M., Bonn, Heidelberg) udał się Mickiewicz do Szwajcaryi, stamtąd do Włoch. Wierszem Na Alpach w Splügen żegnał (po raz ostatni podobno) dawną kochankę. Po drugiej stronie Alp skierował się naprzód do Wenecyi; w październiku roku 1829. stanął w Rzymie.

Przez cały ciąg tego pobytu we Włoszech pisał bardzo mało i mamy z tego czasu ledwo parę drobnych wierszy. Niemniej pobyt ten musiał być ważnym w jego życiu, bo i rzeczy widziane i spotykani ludzie działali na jego wyobraźnię, myśli i uczucia. Znakomitych cudzoziemców lub Włochów, uczonych, artystów, dyplomatów zawsze tam wielu. Pośród tych byli ksiądz Lammenais i hr. Montalembert, Francuzi, podówczas obadwa jeszcze główni reprezentanci pracy około katolickiego odrodzenia we Francyi, obadwa jakby przeznaczeni na to, by na Mickiewicza wpływać i jego wpływ przyjmować. Dawna przyjaciółka z Moskwy, księżna Wołkońska, była tam także i pośredniczyła w wielu nowych stosunkach. Z Polaków (dość licznych) na szczególną wzmiankę zasługuje ksiądz Stanisław Chołoniewski i Henryk Rzewuski, a zwłaszcza dom hr. Ankwiczów, gościnny, uprzejmy, zawsze pełny i chętnie odwiedzany. W domu tym była córka, panna Henryka, nie ładna, ale umysłu żywego, chciwa poetycznych i artystycznych wrażeń, bardzo wykształcona. Nic dziwnego, że młody a już wielki poeta zrobił wrażenie na jej umyśle i sercu; a i sam nie był względem niej obojętnym. Może ta skłonność wzajemna byłaby skończyła się małżeństwem, gdyby ubogiego poety i duma i delikatność nie była wstrzymywała od starania się o bogatą jedynaczkę, a gdyby ojciec panny był się temu związkowi okazywał mniej niechętnym. Ewa w trzeciej części Dziadów ma być podług świadectwa Odyńca wspomnieniem Henryki Ankwiczówny, a dumny stolnik Horeszko z Pana Tadeusza wspomnieniem jej ojca.

Ważniejszym wszakże od tego uczucia, które zbyt silnem się nie okazało, był dokonany w Rzymie zwrot religijny w duszy i w przekonaniach Mickiewicza. Z nieustalonego usposobienia i uczucia religijnego, które było zawsze, zaczęła się była już w Petersburgu wyrabiać silniejsza potrzeba i pragnienie zupełnej, doskonałej wiary; w Rzymie, pod wpływem i miejsca samego i znakomitych katolików otaczających poetę, ustaliła się ta wiara, wyrobiły się katolickie przekonania, odnowiły się zaniedbane od jakiegoś czasu praktyki religijne. Takim, jak się go widzi później na emigracyi aż do towianizmu, stał się Mickiewicz już podczas tego pobytu w Rzymie.

W lecie r. 1830. widzimy Mickiewicza znowu w Szwajcaryi. Wtedy przypadkowo spotkał się i zawarł znajomość z ośmnastoletnim Zygmuntem Krasińskim. Na jesień wrócił do Rzymu. Dnia 27. listopada, jak

gdyby w przeczuciu wypadków, które zajść miały, napisał wiersz Do matki Polki.

Po wybuchu powstania nie wróżył mu dobrego skutku: chciał jednak wracać, ale nie mógł, bo fundusze, jakie miał, pożyczył był Stefanowi Garczyńskiemu. Gdy ten je odsyłał, zaszły znowu zwłoki i opóźnienia na pocztach, tak, że dopiero w kwietniu roku 1831. Mickiewicz wyjechał z Rzymu do Wielkopolski. Tam, przebywając u różnych przyjaciół kolejno, wybierał się przejść granicę Królestwa Polskiego, ale granica była strzeżona, przejście niełatwe — tak, że w Poznańskiem doczekał się kapitulacyi Warszawy.

Nie był w wojsku, nie bił się, zatem nie miał potrzeby iść na emigracyę. Rzecz niemniej prosta, że autor Wallenroda w kraju nie miał co robić. W najlepszym razie nie byłby mógł pisać, w gorszym (a prawdopodobnym) byłby poszedł do więzienia lub na Sybir. Prócz tego musiał Mickiewicz podzielać powszechne podówczas złudzenie rychłego i szczęśliwego powrotu. Pociągnął więc z drugimi na emigracyę.

Naprzód przybył do Drezna, gdzie ich zatrzymywało się wielu, i tu napisał (1832) Dziadów część trzecią.

Jak część czwarta, pisana przed dziesięciu laty, była historyą jego pierwszej miłości, tak ta znowu jest historyą własną, historyą tych wewnętrznych przeobrażeń, które od owego czasu przebywał. W wileńskiem więzieniu obumiera dawny Gustaw, a odradza się jako Konrad (imię Wallenroda) człowiek, który tylko ojczyznę kocha, dla niej żyje i chce się poświęcać. Opowiadanie o wywożeniu kibitek (o porwanych na Sybir) daje mu w jednej chwili uczuć wszystkie krzywdy i nieszczęścia narodu i wyrywa mu z duszy wściekłą Pieśń zemsty. Po niej następuje Improwizacya (sam szczyt może lirycznych natchnień Mickiewicza), której treścią jest pytanie, dla czego Bóg na takie złe pozwala — żądanie, żeby jemu, wielkiemu geniuszem a większemu cierpieniem i miłością ojczyzny, objawił swoją myśl i wolę. Wkońcu, gdy Bóg odpowiedzi nie daje, następuje zuchwałe wyzwanie i straszne bluźnierstwo, którego omdlały Konrad nie wymawia, ale za niego dopowiada szatan. Tego szatana (szatana pychy) wyrzuca z Konrada exorcyzmem ksiądz Piotr i każe mu ratować się i łaskę Bożą zdobyć skruchą, pokorą i wiarą. Sam zaś, pokorny i cichy, ma to objawienie myśli i woli Bożej, którego dumny Konrad żądał na próżno. Jego widzenie jest odpowiedzią na pytania tamtego, jest wytłómaczeniem dzisiejszych losów Polski i obietnicą jej przyszłości. Tłómaczenie to i obietnica są następujące: Jak niegdyś Chrystus Pan poniósł mękę i śmierć na odkupienie i zbawienie świata, tak niewinnie męczony naród jest ofiarą i zadośćuczynieniem za grzechy naszych wieków: to jego rola w historyi, to powód jego cierpień. A wybrany na tę ofiarę jako niewinny właśnie i najlepszy, po skończonej ofierze powołanym będzie do chwały zmartwychwstania i królowania w królestwie Bożem na tej ziemi.

Taka jest główna, odłączona od dodatków, treść trzeciej części Dziadów. Wystarczy ona na to, by poznać szczególne i jedyne znaczenie tego poematu w historyi naszej poezyi. Jest ono dwojakie. Naprzód,

to pytanie, które było w duszach polskich od rozbioru, które stopniowo a coraz wyraźniej odzywało się w poezyi, ta niemożność zrozumienia swego losu i pogodzenia go ze sprawiedliwością Boską, dochodzi teraz w Dziadach do swego najpotężniejszego i najbardziej rozpaczliwego wyrazu. Te uczucia, które Mickiewicz miał zawsze i widział w drugich, które rozpaliły się w nim podczas prześladowania w Wilnie, a potem rosły ciągle w Rosyi, teraz, po nowem i gorszem nieszczęściu, po przegranej wojnie, skupiły się i zbiły wszystkie w jego sercu, a potem wybuchły z niego jak wulkan. Jako skarga, jako użalenie się przed Bogiem i ludźmi, nie ma w naszej poezyi nic silniejszego, może nic równie silnego, jak trzecia część Dziadów. To jest jeden powód ich wyjątkowego znaczenia.

Drugim jest to słowo zagadki, które Mickiewicz znalazł i którem sobie tajemnicę naszych losów rozwiązał, ta Chrystusowa ofiara Polski za grzechy świata, ta rola wybranych i jedynych na świecie, ta na niej oparta pewność zmartwychwstania i tryumfu, która jego pociesza, która mu wystarcza i każe mu czekać rychłego, niezawodnego spełnienia obietnic. Tu, w widzeniu księdza Piotra, jest źródło tej całej nauki o Chrystusowej misyi Polski, źródło całej późniejszej emigracyjnej poezyi wieszczej i prorokującej, patryotyczno-religijnej i mistycznej. Znajdą się odmiany i nowe przerobienia tej myśli, ale jej początek i jej istota jest tu; nauka ta (jak się już rzekło wyżej na wstępie) jest sama w sobie błędną: ofiarą za grzechy drugich może być tylko ten, kto własnych nie ma; ofiara, jeżeli ma być prawdziwą, musi być dobrowolną i świadomie spełnioną. Nie tylko błędną zaś, ale była ta nauka i złą, bo w najwyższym stopniu dumną.

Dalszym jeszcze powodem wyjątkowego znaczenia Dziadów jest to, że one są dokumentem do życia Mickiewicza, że z nich poznaje się różne stany duszy i przemiany, jakie przebywał, oraz jak sam siebie w każdym z nich (po jego przebyciu) rozumiał i sądził. Wreszcie z trzeciej części Dziadów także poznaje się jego usposobienie i skłonność do religijnego mistycyzmu, do oczekiwania objawień i cudów, którato skłonność z czasem zawiedzie go do towianizmu. Pod wpływem klęski roku 1831. zaczyna się, a w Dziadach daje się widzieć zaród tego chorobliwego kierunku duszy i umysłu.

Pod względem artystycznym Dziady, dalekie od doskonałości, bardzo nierówne, obejmują w sobie najświetniejsze i najszczytniejsze ustępy, obok najsłabszych może, jakie Mickiewicz napisał. Do pierwszych należy Wywożenie kibitek i Improwizacya, do drugich ustęp Pan Senator.

Formą i tonem od Dziadów różne, a jednak do nich przez autora dołączone, są ustępy, osnute na wspomnieniach i wrażeniach pobytu w Rosyi; dają one znowu miarę artystycznej biegłości i doskonałości poety. W zupełnym na pozór i klasycznym spokoju, takim jak w Grażynie, niekiedy w świetnym, iskrzącym i gryzącym dowcipie, drga tu takie uczucie skupione i potężne jak w Wallenrodzie. Ustępy takie, jak Droga do Rosyi, Pomnik Piotra Wielkiego należą do rzeczy najświetniejszych, jakie Mickiewicz kiedykolwiek napisał.

Dopełnieniem niejako trzeciej części Dziadów, jej konsekwencyą praktyczną, są Księgi pielgrzymstwa. W Paryżu znalazł się Mickiewicz odrazu wśród wszystkich emigracyjnych swarów, stronnictw, wzajemnych oskarżań i nienawiści. Nie tak, zdaniem jego, powinni byli zachowywać się między obcymi synowie wybranego narodu, reprezentanci najświętszej sprawy. Napisał tedy dla ich upomnienia i poprawy te Księgi, w których naśladując styl ewangelii, często przez przypowieści uczy, że emigracya to rozesłańcy, którzy ziarno słowa Bożego mają siać między narodami, pogrążonymi w używaniu i w materyalnych jedynie troskach. Wśród wielu słusznych i doskonałych nauk jest tam przecież ta sama co w Dziadach błędna nauka na dnie, a w pojęciu historyi (polskiej czy powszechnej) jest wiele sprzeczności z rzeczywistością; w tem, co mówi o innych narodach (przedewszystkiem o Francyi), jest wiele niesprawiedliwości. Księgi pielgrzymstwa, w kraju (z powodu cenzury) mało znane, a przez emigracyę niedość słuchane, wywarły niemałe wrażenie na francuskich przyjaciół Polski. Tłómaczył je Montalembert, naśladował w sposobie pisania (nieraz i w myślach i dowodzeniach) Lammenais w Paroles d'un croyant.

Praktycznie, potocznie odzywał się Mickiewicz do emigracyi o jej obowiązkach i położeniu politycznem w szeregu artykułów drukowanych w Pielgrzymie, piśmie redagowanem przez jego przyjaciela, Litwina, Eustachego Januszkiewicza.

Jego najbliższe otoczenie i towarzystwo składali wtedy Bohdan Zaleski, Ignacy Domeyko, Stefan Witwicki, Stefan Zan (brat Tomasza), a jego poetyczną pracą był teraz Pan Tadeusz. Rzecz trudna do pojęcia, że tak rychło po burzach i wybuchach Dziadów przeszedł poeta do tego pomysłu tak pogodnego; ale tak było, że jeszcze w roku 1832. zamyślał, a wkrótce potem i zaczął pisać ten nowy poemat. Zrazu sam nie wiedział, jakim on będzie; myślał o sielance »w rodzaju Hermana i Doroty« i w kilku księgach tylko. Ale w miarę pisania poemat rósł mu pod ręką i przywiązywał go do siebie coraz bardziej. Od tej ulubionej pracy oderwało go zdarzenie bolesne. Stefan Garczyński, przyjaciel w Rzymie poznany i gorąco kochany, później waleczny żołnierz w roku 1831., poeta (jako taki przez Mickiewicza zbyt wysoko ceniony i sławiony), po wojnie zapadł w piersiową chorobę. Gdy ta w roku 1833. zaczęła się wzmagać, Mickiewicz porzucił wszystko, zawiózł przyjaciela na południe (do Awinionu) i tam pielęgnował go z największą czułością i poświęceniem aż do śmierci. Pomagała mu w tem sławna ze swoich poświęceń przyjaciółka obudwóch, pani Klaudya z Działyńskich Potocka.

Pan Tadeusz, wydany w połowie r. 1834., nie jest poematem bohaterskim; jest tylko o wielkie wypadki i kwestye opartym obrazem domowego życia. Ton poematu musiał być zastosowanym do jego treści, do rozmiaru figur, do charakteru scen i zdarzeń opowiadanych. Nie mógł więc być tak wysokim, jak ton Homera, opowiadającego walki bogów i bohaterów, lub Miltona, kreślącego nieśmiertelną nienawiść i zemstę szatana przeciw Bogu. Ten też ton raczej potoczny sprawia, że nie możemy liczyć Tadeusza do wielkich bohaterskich epopei. Ale liczyć go do najdoskonalszych, do najpiękniejszych możemy śmiało i mamy

prawo. Ze wszystkich poematów epickich, pisanych w historycznych czasach i przez autorów wiadomych (powiedział to słusznie Klaczko), żaden nie zbliża się tak do Homera, jak ten poemat Mickiewicza. Jak w Odyssei widzi i poznaje się świat grecki nie w walkach, ale w życiu spokojnem, w obyczaju, w zakresie jego pojęć moralnych i religijnych, w stopniu jego cywilizacyi: tak tu stoi jak żywe dawne społeczeństwo polskie z całą tą sumą uczuć, pojęć, zasad, zwyczajów, słabości, cnót i błędów, które składały jego duszę i życie. A jak w Odyssei pomimo długiego wieków przedziału porusza nam wyobraźnię i uczucie cierpienie lub pragnienie wiecznie żywych i młodych, wiekuiście i niezmiennie ludzkich postaci: tak tu niemniej życia, nie mniej prawdy, nie mniej wdzięku mają te polskie postacie Mickiewicza, a mają dla nas ten urok, ten czar podbijający i przywiązujący, że czujemy się tem samem co one, że w kształtach i (niestety) warunkach różnych, zmienionych, mamy przecież tę duszę, tę naturę, ten zasób uczuć, ten obyczaj i tę ziemię, co oni. Że żadne społeczeństwo europejskie, żadne w chrześciańskim świecie nie zdobyło się na taki wierny a poetyczny wizerunek siebie samego jak ten, który ze społeczeństwa polskiego zrobił Mickiewicz, to pewna. Herman Goethego w swojej absolutnej doskonałości przecież musi mu ustąpić pierwszeństwa, bo jest istotnie małym sielankowym obrazkiem, jakim Tadeusz początkowo być miał, ale jakim nie został; bo przez wielkie historyczne sprawy, z któremi się łączy, przez wielkie uczucia i cele działających postaci, Tadeusz choć nie jest poematem bohaterskim w ścisłem znaczeniu tego słowa, przestaje być sielankowym tylko obrazem domowego życia, a bohaterskiego charakteru nabiera. Pod względem artystycznym zaś nie ustępuje w niczem Hermanowi i nie jest od niego niższym. Układ i prowadzenie powieści, charakterystyka figur, sceny zbiorowe, epizody, opisy natury — wszystko jest doskonałe: każda scena, każdy ustęp, niemal każdy wiersz, każde wyrażenie jest doskonałem (znajdzie się ich zaledwo kilka, którym możnaby coś zarzucić), a całość jest arcydziełem poezyi polskiej od jej początków aż do dnia dzisiejszego, jednem z wielkich arcydzieł poezyi całego świata.

Klasyczny pod względem sztuki, jako doskonałość, jest też Tadeusz klasycznym i pod względem polskim także. Jest w nim uczucie polskie, jak być powinno, najczystsze i najzdrowsze, nie zamącone i nie przyćmione żadną przymieszką przemijających, czasowych, stronniczych pojęć czy dążeń czy namiętności. A jak pod względem artystycznym i patryotycznym, tak doskonałym jest także Tadeusz pod względem moralnym. Świat w nim jest zdrowy i jędrny, ludzie nie bez ułomności, błędów, pokus, namiętności, a nawet występków (Jacek), ale z naturą dobrą i sumieniem prostem, z Bogiem w sercu, ze zdolnością do szczytnych poświęceń i szczytniejszego jeszcze uznania swoich win i poprawy. W tym ideale expiacyjnym, pokutniczym, jakim jest Robak, godzi się widzieć wielką i mądrą naukę moralną. W udaremnieniu jego planów i zamiarów przez osobiste widoki i urazy (Klucznika) i przez zaścianek, dający się bezmyślnie porwać do zajazdu (a ten zajazd sprawił, że nie przyszło do powstania na Litwie), godzi się widzieć i praktyczną nawet naukę, niemałe do naszych różnych spraw podobieństwo.

Tadeusz był ostatniem słowem poezyi Mickiewicza, nie tylko co do wartości, ale i co do czasu. Po nim już Mickiewicz odwrócił się od poezyi. Wydał tylko (dawniej zrobione) tłómaczenie Giaura z Byrona, a później napisał po francusku dramat, Konfederatów, przeznaczony dla sceny. Pisał go wszakże nie w artystycznych, ale raczej w politycznych celach; chciał, żeby w ten sposób sprawa polska ze sceny przemawiała do Francuzów, utkwiła im w sercu i w pamięci. Dramat ten zaginął. Tylko dwa pierwsze akty, odnalezione i przetłómaczone wierszem na język polski przez Olizarowskiego, świadczą, że i na polu dramatu Mickiewicz był zdolnym do wielkich rzeczy, i każą żałować, że nie mamy dzieła tego w całości.

To odwrócenie się od poezyi było skutkiem usposobienia, w jakie wprawiły Mickiewicza ostatnie nieszczęścia krajowe. Wszystko wydawało mu się błahem i marnem, co nie służy bezpośrednio Bogu, podniesieniu i poprawie ludzkości, odrodzeniu Polski. »To tylko dzieło coś warte — pisze on w jednym ze swoich listów — które ludzi prowadzi do Boga«. Księgi pielgrzymstwa dowodzą, że powołanie i przeznaczenie emigracyi widział w nawracaniu drugich do Boga, a jeżeli drugich, więc tem bardziej siebie: poprawę, życie w wysokiej cnocie jako jej obowiązek. Siebie naturalnie z pod tego prawa i obowiązku nie wyjmował, owszem chciał dać przykład i popęd do takiego cnotliwego, duchowego, z Bogiem zjednoczonego życia. Mniemał i powtarzał, że na to, by emigracyę i Polskę do Boga nawrócić, potrzebny jest z Polaków, z łona emigracyi powstały zakon. W tejto myśli, w najbliższem otoczeniu Mickiewicza jest początek zakonu Zmartwychwstańców, którego właściwym założycielem był Bogdan Jański (człowiek świecki i żonaty), a pierwszymi braćmi i organizatorami Kajsiewicz i Semeneńko. Tych Mickiewicz w duchownem powołaniu utwierdzał, do założenia zakonu zachęcał i zostawał z nimi (aż do towianizmu) w serdecznych stosunkach.

W roku 1834. ożenił się z panną Celiną Szymanowską, córką (już wtedy osierociałą) wspomnianej wyżej pani Maryi Szymanowskiej. Po tem ożenieniu, przy zdrowiu żony niezawsze dobrem, zaczęły się rychło kłopoty i troski majątkowe, na które (z bolem przyznać trzeba) ówczesna Polska nie dosyć zwracała uwagi. W roku 1838. ofiarowano mu katedrę literatury łacińskiej przy akademii w Lausanne w Szwajcaryi. Spokojne miejsce, oddalenie od Paryża, stała posada wreszcie, nęciły go tak, że miejsce to przyjął; wykłady wszakże, z powodu zdrowia żony, zostającej w Paryżu, rozpoczął dopiero w roku 1839. Pobyt w Lausanne nie trwał długo. Zaledwie tam Mickiewicz osiadł, kiedy skutkiem polskich starań rząd francuski postanowił otworzyć katedrę literatur słowiańskich w *Collège de France*. Był to środek i sposobność zapoznania Francyi i w ogóle Zachodu z tym światem dla nich obcym; a któż zdołałby zrobić to lepiej, jak najgenialniejszy podówczas człowiek w całem tem licznem i rozrodzonem plemieniu? Zaczęły się starania podwójne: u rządu, ażeby Mickiewicza na tę katedrę powołał, u Mickiewicza, ażeby ją przyjął. Jemu żal było porzucać Szwajcaryę, a przerażała go trudność zadania. Jednak czuł, że odmówić nie może; że gdyby odmówił, katedra ta mogłaby wpaść w złe ręce i stać się trybuną fałszu. Przyjął.

Pierwsza lekcya odbyła się 23. grudnia 1840. roku. Jego Kurs literatury słowiańskiej jest dziełem bardzo znakomitem. Jest naprzód, o ile się odnosi do literatury polskiej, pierwszą jej prawdziwą historyą. (Wiszniewski współcześnie mozolnie a bardzo rozumnie nad nią pracował, ale całości nie złożył). Mickiewicz dał obraz tej literatury całkowity, od początku aż do czasów sobie współczesnych: obraz, w którym, prawda, wielu szczegółów brak, ale mówiąc dla cudzoziemców, zmuszony przytem wiele czasu poświęcać innym literaturom słowiańskim, musiał Mickiewicz przestawać na ogólnej charakterystyce epok i zwrotów, a z pisarzy wybierać tylko najważniejszych. To też on tylko robi. Ale ta charakterystyka epok i pisarzy jest najtrafniejsza, jaką dotąd mamy, zawsze świetna, często dziwnie głęboka i genialna. Wiek XVI zwłaszcza, czasy Batorego i ich literatura, i znowu okres Stanisława Augusta, należą do najświetniejszych części dzieła. Wiek XVII, dla cudzoziemców mniej zajmujący, a dla naszej literatury mniej zaszczytny, zbyty jest dość pobieżnie: na kilka chwil tylko i na parę postaci rzucone jest silne światło. W rozumieniu historyi polskiej trudniej się z Mickiewiczem zgodzić; jest w jej pojmowaniu pewien idealizm, bliski mistycyzmu, a niezawsze bliski rzeczywistości.

We wszystkiem zaś, co mówi o literaturze innych ludów słowiańskich, jest Mickiewicz dziwnie i szlachetnie sumienny, bezstronny, dbały nie tylko o to, żeby każdemu oddać, co mu się należy, ale żeby o nim powiedzieć tyle dobrego, ile się da najwięcej. Lekcye poświęcone rapsodom serbskim albo pisarzom i stosunkom rosyjskim, nie ustępują w niczem najświetniejszym lekcyom o literaturze polskiej. Jemu zawdzięczają te wszystkie ludy, że Zachód powziął jakąś pierwszą wiadomość, jakieś wyobrażenie o ich literaturach, o ich znakomitszych ludziach, po części nawet o ich stosunkach i dziejach.

Dwa kursa przeszły szczęśliwie i świetnie: w trzecim wykłady literatury zaczęły wkraczać w dziedzinę filozofii, religii, mieszać się z obcemi sobie teoryami i doktrynami, stopniowo ustępować im miejsca coraz bardziej, aż wreszcie jedne gdzieś znikły, a drugie dawały się jedynie słyszeć z katedry. Przyczyną tej zmiany był tak (przez wyznawców swoich) zwany mesyanizm czyli nauka Andrzeja Towiańskiego.

Był to czas, kiedy w Europie całej wierzono i oczekiwano, że w dalszym ciągu rewolucyi francuskiej nastąpi jakieś powszechne, całkowite odrodzenie ludzkości, jej stosunków politycznych i społecznych, uczuć i usposobień religijnych. Z tego pragnienia i oczekiwania wypływała (jak się już wyżej rzekło) szlachetna wiara niektórych w odrodzenie i postęp świata przez kościół katolicki i w nim, jakoteż oderwanie się księdza Lammenais od kościoła, gdy ten wszystkim jego ideom i żądaniom powolnym być nie chciał i nie mógł. Z tego samego źródła płynęło także wiele politycznych, socyalnych, a nawet religijnych systemów, utopijnych, mętnych, nieraz z gruntu fałszywych i szkodliwych. Prąd ten był tak powszechny, że przecisnął się nawet do Rosyi. I tam pierwsi tak zwani Słowianofile marzyli o królestwie Bożem na ziemi, sprowadzonem i urzeczywistnionem przez Rosyę.

Tego samego usposobienia objawem i skutkiem była i nauka Towiańskiego. W Polsce zaś, skutkiem jej wyjątkowego położenia, wszelka obietnica zmiany, odrodzenia ludzkości w duchu wolności i sprawiedliwości, mogła łatwiej niż gdzie indziej trafić do serc i umysłów; raczej dziwić się tylko można — i cieszyć, że ona tutaj nie więcej znalazła zwolenników.

Andrzej Towiański nigdy nauki swojej całkowicie w pismach nie wyłożył: te zaś, które są, zagmatwane bardzo i niejasne, nie dają łatwo wyrozumieć jego myśli. Wszelako główne zasady nauki jego są następujące:

Bóg w pewnych epokach przejściowych, krytycznych przychodzi ludzkości w pomoc nowym wylewem Swojej łaski, nowem objawieniem Swojej prawdy. Ludzie, którzy w takich epokach mają tę misyę, są tych epok Słowami. Jezus Chrystus był takiem Słowem, ale Jego objawienie już się wyczerpało i przeżyło. Kościół Jego, zamiast stać na czele ludzkości i prowadzić ją do Boga, zaprzątnął się sprawami świeckiemi, zatracił ducha. Potrzebne jest zatem objawienie nowe, nowe Słowo, które miałoby się tak do chrześciaństwa, jak ono do Starego Zakonu; nie byłoby zaprzeczeniem jego, ale uzupełnieniem i rozwinięciem.

Tym nowym objawicielem tedy jest Towiański. Mówi on, że czasy się dopełniają, że przez podniesienie ducha a skupienie woli człowiek może robić cuda, cóż dopiero ludzi wielu w duchu z sobą połączonych. Uczy, że nad duchem dobrym, zamkniętym w ciele ludzkiem, unosi się, z nim i przez niego działa cała kolumna duchów wyższych, łączących go aż z Bogiem. Gdzie takich duchów jest wiele, tam powstaje wśród ciemnej ziemi cała atmosfera światła i siły — tam ukaże się cud, tam pocznie się nowa epoka. Dziś takiemi przestrzeniami, nie zupełnie jasnemi, ale najjaśniejszemi przecież, są Francya i Polska. Z nich więc, z połączenia ich ducha, wyjdzie nowe, najbliższe odrodzenie świata.

Myśli pobocznych było wiele, jak na przykład: wędrówka dusz, jak cześć Napoleona, który także był przeznaczony na Słowo swojej epoki, ale uwiedziony pychą, sprzeniewierzył się swojej misyi... i t. d.

Z Wilna, gdzie mieszkał, puścił się Towiański na Zachód głosić swoją naukę wśród emigracyi. Udał się naprzód do Bruxelli, do generała Skrzyneckiego; ale ten, silny w swoich przekonaniach katolickich, zmiarkował odrazu, że to nauka nie prawowierna, i pociągnąć się nie dał. Stamtąd ruszył Towiański do Paryża z zamiarem nawracania Mickiewicza — i to mu się udało.

Mickiewicz skłonny był przez całe życie do wiary w styczność bezpośrednią naszego świata z światem nadzmysłowym; podczas pobytu w Petersburgu był pod wpływem mistyka Oleszkiewicza. W Rzymie znowu wyrobiła się w nim wielka pobożność i żarliwość; od roku 1831. zaś, pod wpływem patryotycznego cierpienia, rosła nadzieja i wiara, że sprawiedliwość Boska objawi się rychło i naprostuje, naprawi wszystko złe, jakie było. Jego listy i prozaiczne pisma (Księgi pielgrzymstwa i inne mniej ważne) dowodzą, że żył w ciągłem oczekiwaniu i w namiętnem pragnieniu jakichś wypadków, w których się ta łaska i sprawiedliwość Boża okaże. To usposobienie sprawiło, że zarzucił

poezyę, jako rzecz ziemską i mniejszej wagi, a cały chrześciański i patryotyczny obowiązek widział w pracy nad własną duszą i nad duszami drugich, iżby one podniesione i udoskonalone, stały się godnemi tej łaski, której dla swego narodu i dla świata wyglądał. Tymczasem lata mijały, owe wypadki nie przychodziły, emigracyjne stosunki stawały się coraz przykrzejsze; jego stan oczekiwania i wytężenia przechodził wskutek tego w stan naprężenia i rozdrażnienia. Domowe troski, choroba żony, niepokój o dzieci i ich przyszłość musiały naturalnie przyczyniać się także do utrzymywania go w tym stanie. Tak zastał go Towiański, przedstawił mu się w sposób, który na wyobraźnię jego musiał działać, zapowiadał mu spełnienie wszystkich jego marzeń i pragnień, słowa i nauki swoje naginał do jego myśli i przeczuć (wyrażonych w pismach, głównie w Dziadach i w Księgach pielgrzymstwa), obiecywał nową epokę dziejów, obiecywał zwłaszcza cud i możność zrobienia cudu przez wielką, spotęgowaną moc woli i cnoty. Tem wszystkiem Mickiewicza oczarował i podbił; wreszcie silnem, doraźnem wstrząśnieniem umysłu i nerwów przywrócił zdrowie jego żonie: a to wszystko razem sprawiło, że Mickiewicz w niego uwierzył, uznał go za posłańca Bożego, za mistrza i objawiciela nowej wiary, która tak się miała mieć do chrześciaństwa, jak ono do starego Zakonu.

Zwrot ten w życiu Mickiewicza tłómaczy się więc naturalnie, psychologicznie, nadmiarem patryotycznego cierpienia i tem natężonem oczekiwaniem i pragnieniem sprawiedliwości, w jakiem żył naród od rozbiorów, ale zwłaszcza od roku 1831., a które w duszy Mickiewicza było silniejsze i gorętsze niż w każdej innej; tłómaczy się nadto tą skłonnością do mistycyzmu, do łatwej wiary w środki nadprzyrodzone, w cuda, które tkwiły zawsze na dnie jego natury.

Jakkolwiek powody mogły być naturalne i zrozumiałe, skutki były opłakane. Nauka Towiańskiego przez kościół uznana była za heretycką. Mistrz sam wtedy i jego zwolennicy zaczęli utrzymywać (jak wszyscy twórcy nowych wiar), że oni są w prawdzie, a kościół zatracił i prawdę i łaskę Bożą. Mickiewicz, głoszący takie rzeczy, Mickiewicz opuszczający wiarę i kościół swego narodu, był dla jednych powodem wielkiej boleści, dla innych złym, gorszącym przykładem. To zły skutek mesyanizmu. Drugi był ten, że od tego czasu Mickiewicz, zamiast tworzyć i pisać, marnował się w apostołowaniu mylnej i mętnej doktryny. Poezyę zarzucił był dawno; ale był właśnie wtedy profesorem literatur słowiańskich w *Collège de France;* w dwóch pierwszych latach swoich wykładów dał ogólny, ale znakomity (najlepszy dotąd) obraz dziejów polskiej literatury: od owej chwili zaś kursa literatury słowiańskiej stały się wykładem nowej doktryny, świetnym nieraz, ale nieraz też niejasnym lub mylnym w myśli, łatwym do zbicia w dowodzeniu i rozumowaniu. W łonie emigracyi towianizm sprowadził nowe rozdarcie. Z przyjaciół pierwszy Stefan Witwicki zaklął Mickiewicza i błagał na wszystko, co święte, żeby nowych wiar nie wymyślał, a dawnej nie opuszczał; nie poszedł za Mickiewiczem Bohdan Zaleski; Domeyko, podówczas już w Chili, upominał i przestrzegał; duchowni z obowiązku musieli prosić, upominać, a gdy to nie pomagało, wiernych przed nową religią

przestrzegać. Wreszcie Rzym uznał naukę Towiańskiego za heretycką i stanowczo ją potępił.

Mickiewicz, w przekonaniu, że pełni wyższą misyę i służy Bogu i ojczyźnie, głosił dalej naukę mistrza, którą rozwijał, dopełniał, bogacił zasobem własnych myśli, tak, że rzec można on dopiero zrobił ją tem, czem była, nadał jej treść i jaką taką żywotność. Bez niego nie byłaby zdołała ani tylu zwolenników pozyskać ani utrzymać się przez pewien przeciąg lat.

Rząd francuski tymczasem nie chciał (i prawdę mówiąc, nie mógł) pozwolić na to, by w zakładzie, przezeń utrzymywanym, pod jego powagą, głosiły się nauki, przeciwne religii, do której przyznawał się sam i ogromna większość narodu. Cześć Napoleona zaś, którą Mickiewicz z katedry szerzył, uważał ten rząd za niebezpieczną dla siebie, tem więcej, że świeże przewiezienie zwłok cesarza z wyspy św. Heleny do Paryża obudziło dawne wspomnienia chwały i zwróciło umysły w tym kierunku. Z tych powodów Mickiewicza usunięto z katedry z połową dotychczasowej płacy.

Nieszczęściem to było dla ubogiego ojca licznej rodziny. Zniósł je z tą samą zawsze wrodzoną sobie godnością: z tą samą też wiarą w mistrza i jego naukę pracował dalej około s p r a w y. Później zaszły między nimi jakieś nieporozumienia, które sprowadziły pewne oziębienie stosunków, ale nie zupełne zerwanie.

W styczniu roku 1848. Mickiewicz, pod wpływem początków panowania Piusa IX, w których widział zapowiedź spełnienia swoich marzeń o inicyatywie kościoła w sprawie wolności i sprawiedliwości, pojechał do Rzymu. Zamiar pojednania się z kościołem był szczery, skoro poeta odbył spowiedź; nie był zupełnie jasny, skoro na audyencyi, jaką miał, usiłował przekonać papieża o prawdziwości nauki Towiańskiego. Podczas tego pobytu w Rzymie zaszła rewolucya w Paryżu, runął tron Ludwika Filipa, który dla Mickiewicza był niejako uosobieniem wszystkiego złego w ówczesnym stanie Europy. Na to hasło wszczęły się rewolucyjne ruchy w Berlinie, w Wiedniu, wszędzie, z wyjątkiem tylko Rosyi. Poeta wziął je za początek oczekiwanego odrodzenia ludzkości, za otwierającą się drogę do królestwa Bożego na ziemi. W tej nadziei chciał rozpocząć jakieś działanie polskie i zaczął formować legion, który jak niegdyś legiony Dąbrowskiego miał niby iść z ziemi włoskiej do polskiej. Formacya ta, zaczęta w kilkunastu ludzi, nie przeszła nigdy liczby bardzo skromnej. Z Medyolanu, gdzie ją organizował, pojechał Mickiewicz w czerwcu do Paryża starać się o ludzi i o pieniądze — i więcej nie wrócił; zamierzony legion rozpłynął się następnie w wojsku piemonckiem. W tym czasie nastąpiło jeżeli nie zupełne, to w każdym razie głębokie poróżnienie jego z Towiańskim, który potępiał wszelkie ziemskie usiłowania i walki, a zwycięstwa kazał czekać tylko od siły ducha i cudu.

Wypadki francuskie tymczasem tak przybierały charakter coraz bardziej anarchiczny, że naturalnym porządkiem rzeczy musiały doprowadzić do rządów despotycznych (w jakichkolwiek formach). Początkiem tego zwrotu był wybór księcia Ludwika Bonapartego na prezydenta rze-

czypospolitej — (jak konsulat poprzedził pierwsze cesarstwo). Mickiewicz z radością i nadzieją widział nowego Bonapartego wstępującego na scenę świata: myślał, że on będzie musiał wstępować w ślady pierwszego, a nauczony doświadczeniem, ustrzeże się jego błędów. Zamknięcie dziennika, który wydawał *(la Tribune des peuples)*, stanowcze usunięcie z katedry i odjęcie płacy (której część dotąd pobierał), nie ostudziło jego zapału dla nowego cesarza i wiary w cesarstwo. Jego jedynem utrzymaniem była podówczas posada bibliotekarza arsenału (nader skromna), którą otrzymał za wpływem stryja cesarza, księcia Hieronima, niegdyś króla westfalskiego.

Zaniosło się na wojnę wschodnią. Mickiewicz ze swoją czcią dla Napoleona pierwszego, a wiarą w cesarstwo, ujrzał w niej stwierdzenie swoich przeczuć, a zapowiedź spełnienia pragnień całego życia. Po wzięciu Bomarsundu przez floty sprzymierzonych napisał na cześć Napoleona III wiersz łaciński *Ode in Bomarsundum captum*. Ostatni to był jego wiersz. W Turcyi formowały się pułki, przy tureckiem i angielskiem wojsku wprawdzie, ale z Polaków, i budziły nadzieję, że będą zawiązkiem wojska polskiego. Mickiewicz rwał się tam, chciał pomagać, ileby i jakby mógł; choroba i śmierć żony (r. 1855.) wypadły w tym czasie. Skoro jednak ochłonął z pierwszego wrażenia i dzieciom właściwą opiekę upatrzył, podjął swój zamiar na nowo i we wrześniu r. 1855. wyjechał do Konstantynopola. W ciągu tego pobytu był parę razy niezdrów, co jednak nie dawało powodu do obaw o jego życie. Dnia 26. listopada zapadł nagle na panującą w mieście cholerę. Czując się bliskim śmierci, kazał wezwać księdza, znajomego Litwina, przyjął Sakramenta, otaczającym dawał ostatnie polecenia do dzieci: skończył tegoż dnia około godziny 9. wieczorem.

Zwłoki, przewiezione do Paryża 21. stycznia r. 1856., pochowane były obok żony na cmentarzu w Montmorency, gdzie spoczywa większość znakomitych Polaków z emigracyi. Dnia 4. lipca r. 1890. złożono je w osobnym grobie pod kościołem katedralnym na Zamku w Krakowie.

Jak w ciągu życia swego Mickiewicz dwa razy stanowcze przebywał zmiany, tak i w jego twórczości poetyckiej rozróżnić można trzy okresy. Zrazu to młody poeta ogromnego talentu, ale zależny jeszcze od różnych wzorów i mistrzów, od Byrona, od Schillera i Goethego, od Bürgera, od Rousseau; wierzący zupełnie w estetyczne dogmata romantyczności, stosujący się do jej upodobań. Pomału jednak wyzwala się z pod tej zależności, staje o własnych tylko siłach, rozszerza granice swojej twórczości. W Powieści wajdeloty (choć ją hexametrem pisze) nie naśladuje już nikogo; w Pieśni wajdeloty, w Farysie, w Improwizacyi dochodzi do najwyższych szczytów lirycznego natchnienia, w Tadeuszu do najwyższych szczytów doskonałości, do piękności niemal absolutnej, w której wyobraźnia, uczucie i forma — wszystkie w równym, a wszystkie w najwyższym stopniu doskonałości — zlewają się w rzadką na świecie harmonię piękności zupełnej, niczem nie przyćmionej ani zmąconej.

Na tej wysokości gdy stanął, uznał ją za niedostateczną i małą. Zaczął pojmować poezyę w zwykłem znaczeniu słowa za rzecz marną i czczą, a żądać od niej, żeby była intuicyjnem przeczuciem i przewidywaniem, wieszczeniem przyszłości, obwieszczaniem Bożej myśli i woli. Mówi to wyraźnie, że w przyszłej, lepszej epoce historyi cała poezya będzie tylko wieszczą, a wszelkiem innem zadaniem wzgardzi. W tem pojęciu poezya przestałaby już być świecką i artystyczną, a stałaby się czemś podobnem do proroctw starego testamentu. Do takiego pojęcia poezyi dochodzi Mickiewicz w ostatnim okresie swego życia, ale tego pojęcia w dzieła pisane i poetyczne już nie wciela.

Gdyby zapytać, jaka jest właściwa, odrębna cecha jego poetycznego geniuszu, odróżniająca go od innych poetów, to możnaby odpowiedzieć, że cechą tą jest równa miara głównych sił i pierwiastków tworzenia, wyobraźni i uczucia. Nie we wszystkich chwilach jego życia i nie we wszystkich dziełach występują one w równej potędze (w Dziadach na przykład przeważa uczucie, w Grażynie wyobraźnia i artystyczna reflexya); ale obie te siły są sobie równe, obie są z sobą zawsze złączone i nawzajem sobą przeniknięte, a kiedy występują w zupełnej i doskonałej równowadze (jak w Powieści wajdeloty i w Tadeuszu), to wydają arcydzieła równe tym wszystkim, które świat uznaje i podziwia jako najpiękniejsze.

Równowaga podobna jest może cechą jego poetycznego stylu i tajemnicą jego klasycznej piękności. W języku i stylu Słowackiego można znaleść więcej gracyi, a czasem może nawet więcej blasku, w języku Zaleskiego więcej dźwięku i śpiewności, u Krasińskiego więcej jędrności lub majestatu; ale każdy z nich ma pewne szczególne przymioty, na których zasadza się piękność jego stylu, które wracają i powtarzają się często, po których można ich zaraz poznać, które łatwo dadzą się naśladować — i nadużyć. Język i styl Mickiewicza nie ma na pozór takich wybitnych, odrębnych cech i właściwości, nie ma przymiotów, górujących nad innymi; ale ma wszystkie przymioty i wszystkie władze w równej mierze. Dlatego na pierwszy rzut oka mniej uderzający i niby nie tak wybitnie indywidualny, jest on do naśladowania trudny, nie da się nadużyć do żadnej przesady i maniery; dlatego jest w swojej piękności zawsze jednaki i równy; dlatego Mickiewicza język i styl, a nie żaden inny, jest doskonałym, klasycznym stylem poetycznym polskim.

Robić porównania między wielkimi poetami, dochodzić i oznaczać, który z nich większy, jest rzecz próżna a marna. Każdy ma swoje pierwiastki i warunki wielkości, każdy jest inny, a który wyższy, to się dokładnie zmierzyć nie da. Dość nam na tem, że Mickiewicz jest jednym z bardzo wielkich poetów całego świata. Naturą uczuciową i wzniosłością duszy podobny do Schillera, nad Byronem ma wyższość nie tylko swojego stanowiska moralnego, ale ma tę wyższość jako poeta, że zdolny jest wyjść z siebie, tworzyć postacie od siebie samego odmienne, tworzyć je objektywnie, a tą zdolnością znowu zbliża się do Goethego. Różni się zaś od nich wszystkich tem, że jest poetą nawskróś i zawsze chrześciańskim, wierzącym w Boga i w Jezusa Chrystusa; że objawienie jest

dla niego prawdą, a prawo Boże podstawą, treścią i ideałem bytu ludzkości i jej dziejów, a obowiązującem prawem dla człowieka.

Pierwszy w literaturze polskiej od jej początku człowiek genialny, on dopiero wyniósł ją do tej wysokości, na której stoją wielkie literatury świata i uczynił im równą. Przez to podniósł swój naród w godności, w cywilizacyjnem znaczeniu i stanowisku a zarazem dał mu nową siłę i nowy zasób umysłowego i duchowego życia. On dał początek tej literaturze, która w ciągu naszego wieku nie tylko utrzymywała nas na stanowisku narodu oświeconego, ale świadczyła o naszej żywotności i żywotność tę wzmagała i utwierdzała. Bez niego nie tylko nie mielibyśmy tylu i takich poetów, ale piśmiennictwo całe, we wszystkich swoich gałęziach, odżyło pod jego wpływem i do dziś dnia porusza się tym popędem, do którego później wielu innych przyłożyło rękę i dodało swoją siłę, ale którego źródło jest w Mickiewiczu. Przez to, że był wyrazem wszystkich naszych zbiorowych uczuć i całego naszego historycznego stanu w wieku obecnym, że (jak sam mówi) jednem skrzydłem swego geniuszu o przeszłość, drugiem o przyszłość uderzył, a teraźniejszości dostarczył słów na wszystkie jej uczucia, jest on najbardziej narodowym z naszych poetów i w całej sumie naszego narodowego życia siłą jedną z najdzielniejszych i największych.

Z BALLAD.

Pierwiosnek.

(Primula veris).

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obsłonek:

JA.

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.
Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek
Lub chłodnej rosy perełka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka:
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?
Ni to kolory jutrzenki
Ni zawoje tulipana
Ni liliowe sukienki
Ni róży pierś malowana.
Uplatam ciebie do wianka,
Lecz skądże ufności tyle?
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
Mnie, wiosny młodej aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi jak me ziółka.
Czym kochanki godzien rączek?...
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą — ach! łzę tylko...

Świtezianka.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?
Jakato obok dziewica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca.
Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka...
Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jest strzelcem w tutejszym borze;
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.
Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie;
Gdzie uszła? nikt jej nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.
»Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?

Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?
»Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora:
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora?
»Zawszeż po kniejach jak sarna płocha,
Jak upior błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!
»Chateczka moja stąd niedaleka
Pośrodku gęstej leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny«.
»Stój, stój, odpowie, hardy młokosie!
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.
»Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje:
Ale czy będziesz mnie stały?«
Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżyca blasku...
Lecz czy dochowa przysięgi?
»Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!«
To mówiąc, dziewka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie
I, pożegnawszy strzelca z daleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.
Próżno się za nią strzelec pomyka:
Rączym wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.
Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grząska.
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka.
Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnemi strzela oczyma:
Wtem wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.
Burzy się, wzdyma, pękają tonie:
O niesłychane zjawiska!

Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.
Jej twarz jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrzenki łezką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.
»Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
— Zanuci czule dziewica —
Po co w około Świtezi wody
Błądzisz przy świetle księżyca?
»Po co żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje?
»Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wzdychania i żale!
Do mnie tu, do mnie! tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale«.
I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.
Podbiega strzelec... i staje w biegu...
I chciałby skoczyć i nie chce;
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Z lekka mu stopy załechce.
Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.
Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze:
Już z dala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniem igra jeziorze.
Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku...
Poznaje strzelec dziewczynę z bliska...
Ach, to dziewczyna z pod lasku!
»A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak, kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!
»Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną:
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.
»A dusza przy tem świadomem drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;

Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie,
Nie ma czem zgasić gorąca«.
Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.
Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna —
Ginie z młodzieńcem dziewica.
Woda się dotąd burzy i pieni;
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni:
Jest to z młodzieńcem dziewica.
Ona po srebrnem pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? Strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? Ja nie wiem.

Trzech Budrysów.

(Ballada litewska).

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
»Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.
»Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.
»Wyście krzepcy i zdrowi; jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.
»Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony
I u kupców tam dzięgi jak lodu.
»Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.
»Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci.
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe;
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I mnie stamtąd przywiezie synowę.
»Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki:
Wesolutkie jak młode koteczki,

Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.
»Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym czło-
Laszkę sobie przywiozłem za żonę; [wiekiem,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę«.
Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma;
Budrys myślał, że w boju polegli.
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Ej, to kubeł! w tym kuble nowogrodzkie są ruble?«
»»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!««
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
»Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?«
»»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!««
Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Z SONETÓW.

Do Niemna.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?
Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jej, malowny w srebrnej fali łonie,
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody.
Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte zdroje,
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło — a czemuż nie przejdą łzy moje!

Rezygnacya.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi;
Lecz ten u mnie od wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha — że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa rozkosz, co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.
Albo drugimi gardzi albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją;
I serce ma podobne do dawnej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

Z SONETÓW KRYMSKICH.

Stepy akermańskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.
Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi...
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!
Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie doścignły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,
Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła...
W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!

Cisza morska.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.
Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.
O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy —
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony...

Droga nad przepaścią w Dżehud-Kale.

MIRZA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica:
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.
Dzielny koń! Patrz, jak staje, głąb okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca —
I zawisnął... Tam nie patrz! Tam spadła źrenica
Jak w studni Al-Kahyru o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj: nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj: bo myśl jak kotwica
Z łodzi drobnej ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu...

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem... Com widział, opowiem — po śmierci:
Bo w żyjących języku nie ma na to głosu.

Góra Kykyneis.

MIRZA.

Spojrzyj w przepaść. Niebiosa leżące na dole,
To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Roztoczył kręgiem szerszym niż tęczy półkole
I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole:
Ta wyspa żeglująca w otchłani, to chmura!
Z jej piersi na pół świata spada noc ponura:
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jej czole?
To jest piorun!... Lecz stójmy! otchłanie pod nogą;
Musim wąwóz przesadzić w całym konia pędzie.
Ja skaczę; ty, z gotowym biczem i ostrogą,
Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie;
Jeśli tam pióro błyśnie, to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą.

Z WIERSZY RÓŻNYCH.

Oda do młodości.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości! podaj mi skrzydła:
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,

Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!...
Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca-do końca!
Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar, gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali;
Nie lgnie do niego fala ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!
Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi w dziele;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.
Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!
Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Ten młody — zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad, bryło świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż, opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.
A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem »stań się« z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią:
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.
Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące...
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Farys.

Kasyda na cześć Emira Tadź-Ul-Fechra ułożona.

(Janowi Kozłow na pamiątkę przypisana).

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się krysztale
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.
Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżej, coraz chyżej,
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłąb kurzu wylata.
Czarny mój rumak jak burzliwa chmura;
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska;
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź, latawcze białonogi!
Góry z drogi, lasy z drogi!
Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.
Ówdzie, granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą;
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:
»O szalony! gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielono-włosa
Ni białe łono namiotów.
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują«.
Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy;
Spojrzałem... aż dumne głazy
Zostały z dala ode mnie;
Uciekają rzędem długim.
Kryją się jeden za drugim.
Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem;
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinął głowę moją wieńcem.
»Czuję, krakał, zapach trupi;
Jeździec głupi, rumak głupi!
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi:
Jeźdźcze, koniu, pusta praca!
Kto tu zaszedł, nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują«.
Kracząc, lśniącymi szpony w oczy mi urągał;
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? — Sęp uląkł i uciekł wysoko!...
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał
I gdym sępa oczyma poza sobą tropił:
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara

Wielkości wróbla... motyla... komara...
Potem się całkiem w błękicie roztopił.
Pędź, latawcze białonogi!
Skały z drogi, sępy z drogi!
Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca;
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie.
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:
»O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie«.
Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy...
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował!...
Pędź, latawcze białonogi!
Stepy z drogi, chmury z drogi!
Teraz oczy, kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca...
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy;
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.
Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy...
Czy błądzą? czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości!...
Przybiegam — stoją; wołam — milczą... To są trupy!...
Starożytna karawana
Wiatrem z piasku wygrzebana!...
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;

Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
»Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!«
Ja pędzę, ja nie znam trwogi!
Pędź, latawcze białonogi!
Trupy, huragany z drogi!
Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał
I, kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
»Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?«
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, żem był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabię zmącił
I jak gryf ptaka porwał mię w swe szpony;
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię...
Ja zrywam się, walczę śmiało,
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę go wściekłymi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem;
Nie wydarł się! W pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął
I legł u nóg mych długim, jak wał miejski, trupem!
Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno, szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,

Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

Do M...

Precz z moich oczu!... posłucham od razu;
Precz z mego serca!... i serce posłucha;
Precz z mej pamięci!... Nie — tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!
Jak cień tem dłuższy, gdy padnie z daleka,
Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.
Na każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.
Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę —
Przypomnisz sobie: »Właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę«.
Czy grając w szachy, gdy pierwszymi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia —
Pomyślisz sobie: »Tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia«.
Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział —
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: »On tam ze mną siedział«.
Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje;
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: »Ach, to nasze dzieje!...«
A jeśli autor, po zawiłej probie,
Parę miłosną na ostatek złączył;
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
»Czemu nasz romans tak się nie zakończył?...«
Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszcze grusza
I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.
Tak w każdem miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie:
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

Trójka koni.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni
Miał trójkę koni.
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.
Nie dziw tedy, że gdy się wczoraj rozgadało
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: »Co się też z tymi końmi stało?«
Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:
W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku:
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestronna stajnia,
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem wkońcu sprzedać każdego z osobna.
Ale cóż stąd? Wyroku zmienić niepodobna:
Znowu je Kacap jakiś sprzągł do swej kibitki!
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły.
»Ej, wy chochołskorodzie! — rżał Lezgin wysmukły —
Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidła!«
A Mazur: »Wej, ciarachy! Dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!«
Na to Kozak pieniąc się: »Ciszej, ty lacka mać!
I ty mużyku! Niechno staniemy przy żłobie,
Oj, dam ja wam!« A oni: »Oj, damyż my tobie!«
Nuż wierzgać jak w najlepsze. A Kacap do bicza,
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
Potem z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie:
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie,
Szczęśliwe, że tam wreszcie, zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wsypał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
Kłócą się nad obrokiem, godzą się pod batem.

Z KONRADA WALLENRODA.

Sto lat mijało, jak Zakon Krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.
Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów:
Po drugiej stronie w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.
I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt bez straty życia lub swobody
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem zielu,
Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona
I, rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy
Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.
A ludzie? — Ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość
I ludzi zbliża... Znałem ludzi dwoje...
O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi;
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów;
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów:
Wszystko rozerwie... Lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie;
Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
Kędy zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu:
A wszyscy równie wysokiego rodu
I wszystkich równe w zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.
On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty:
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.
Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata:
Zdobią go wielkie chrześciańskie cnoty:
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.
Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swej broni dla podłego zysku
Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda z daleka,
Od czarującej rozmowy ucieka.
Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał

I sypał damom grzecznych słówek krocie
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia...
I wkrótce lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenia namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły;
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Za sprawą Halbana został Konrad wielkim mistrzem. Kiedy w wigilią wyboru po nieszpornych modłach i odśpiewaniu hymnu do Ducha św. rycerze wyszli na przechadzkę, a arcykomtur z Halbanem i kilku innymi udali się poza narożną wieżę, usłyszeli głos zamurowanej tamże pustelnicy: »Tyś Konrad! Przebóg! spełnione wyroki!« Na głos ten i to imię, ustami pustelnicy wymówione, zwrócił Halban uwagę towarzyszy, dowodząc, że sam Pan Bóg wskazuje im, kogo mają obrać. Zgodzili się na to wszyscy obecni i nazajutrz oddali swe głosy Konradowi, w tej nadziei, iż on, stanąwszy na czele zakonu, podejmie wielką wyprawę na Litwę.

I poszli krzycząc. Długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije:
»Konrad niech żyje! wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon, niech pogaństwo zginie!«

Halban pozostał, mocno zamyślony;
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spojrzał ku wieży i cichymi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił:

PIEŚŃ.

Wilia, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica:

Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilia w miłej kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcyzów płynie:
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilia gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca:
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona —
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna...

Serce i potok ostrzegać daremnie!
Dziewica kocha i Wilia bieży:
Wilia znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży...

Wallenrod został mistrzem. Ale nadzieja bliskiej wojny zawiodła rycerzy. Dni, tygodnie mijały, rok cały upłynął, a mistrz zwlekał zapowiedzianą wyprawę. Zakon się niecierpliwił, Konrad zaś co wieczór wychodził pod narożną wieżę i tam skrycie rozmawiał z pustelnicą. Jedną taką rozmowę przedstawia poeta.

PIEŚŃ Z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata?
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzewiała krata?
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany:
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,

Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia,
Spokojność, nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mnie z bliska, chociaż niewidomie.
Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwej żądano w zamęście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki:
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wiedział?
O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze:
Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznem niebie...
Ach, ja wierzyłam... bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach, odtąd marzę w dobrych i złych losach
Tylko o tobie, tylko o niebiosach!
Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło...
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!...
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję...

Nadzieję, cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem:
»Gdzież jestem? — wołał — tu słychać nadzieję!...
Na co te pieśni?... Pomnę twoje szczęście:
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zamęście...
Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu;
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby... Ty milczysz?... Śpiewaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło;

Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka«.

GŁOS Z WIEŻY.

»Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna!
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...
Precz mi z tą pieśnią!... Miałażbym narzekać?
Z tobą, mój luby, z tobąśmy przeżyli
Znikomą chwilę; lecz tej jednej chwili
Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają
Na ciche życie, przepędzone w nudzie!
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają:
Ledwie raz na rok, falą niepogody
Wypchnięte, z mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu —
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście nie stworzona!
Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz z poziomej uciekałam łąki
I, na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myślałam sobie: gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z nimi i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! i zniknąć...
Tyś mię wysłuchał! Ty skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę;
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?«

KONRAD.

»Wielkość! i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość, dla której jęczymy w niedoli!
Kilka dni jeszcze niech serce przeboli,
Kilka dni tylko — już ich tak niewiele...
Stało się! późno po czasie żałować;
Płaczmy — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele!
Bo Konrad płakał, ażeby mordować.
Po coś tu przyszła, po co, moja droga,
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?

Jam cię poświęcił na usługi Boga:
Nielepiejż było w świętych jego murach,
Z dala ode mnie płakać i umierać,
Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowej wieży, w powolnych torturach
Konać i oczy samotne otwierać?
I przez niezłomne tej kraty okucia
Pomocy żebrać... a ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc z daleka, i kląć moją duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!...«

GŁOS Z WIEŻY.

»Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej!
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
Już nie usłyszysz! już okno zamykam,
Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną;
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny!
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nade mną!«

KONRAD.

»Więc ty miej litość! Ty jesteś aniołem!
Stój! a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem,
Będę cię błagał skonaniem Kaima...«

GŁOS Z WIEŻY.

»O miejmy litość nad sobą samemi!...
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze: ach, gińmyż pospołu!...
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć;
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niem ziemski panował kochanek.
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze;
Lecz tam bez ciebie wszystko w około mnie
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze...
Wspomniałam sobie, że po latach wielu
Miałeś powrócić do Maryi grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biednego narodu...
Kto czeka, lata myślami ukraca;

Mówiłam sobie: on już może wraca,
Może już wrócił... Czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie?...
Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku
Zamknę się sama: może rycerz jaki,
Koło mej chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko;
Może pomiędzy obcymi szyszaki
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni: jeszcze serce moje
Z daleka nawet kochanka odgadnie;
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną — będzie jedna dusza,
Co mu z daleka śmie pobłogosławić!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichej ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;
Myślałam sobie: on może z wieczora
Wybieży z dala od swych towarzyszy,
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora;
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy...
Niebo spełniło niewinne życzenia!
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia!...
Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy;
Dziś, ile szczęścia! Dziś możemy razem —
Razem zapłakać...«

KONRAD.

»I cóż wypłaczemy?
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia;
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo!
Teraz stanąłem u życzeń mych celu:
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu —
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo!
Odtąd, jak znowu z okna twej wieżycy
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic nie ma dla mojej źrenicy,
Tylko jezioro i wieża i krata...

Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem;
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku
Ja niecierpliwem, wytężonem uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku
I dzień mój cały jest oczekiwaniem.
A gdy wieczornej doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem;
Ja życie moje liczę na wieczory!
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnej żąda zguby;
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje;
Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać...
Wyrok mój zda się przybliżać do końca:
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca:
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził;
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na wileńskie mury...
A przecież — wyznam ze wstydem — w tej chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli!...
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem, lecz z męstwem! — a dzisiaj, ja stary,
Dzisiaj powinność, rozpacz, wola Boża
Pędzą mię w pole, a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnóża,
Ażeby twojej nie stracić — rozmowy!..«
Umilknął. Z wieży słychać tylko jęki;
W milczeniu długie przeciekły godziny;
Noc rozrzedniała i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichej wody;
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody;
Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,
Umilkły znowu — i długiem milczeniem
Znać dają, że się zbudziły za wcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę poglądał boleśnie;
Słowik zanucił. Konrad naokoło
Spojrzał: już ranek; — opuścił przyłbicę,

W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę
I w krzakach zginął.

W uroczyste święto patrona zakonu wyprawił Konrad ucztę, w której uczestniczył książę Witołd ze swymi hetmany, chcąc z Krzyżakami zawrzeć przymierze przeciwko Litwie. Mistrz zażądał pieśni dla uprzyjemnienia biesiady. Wystąpił Włoch jakiś, potem trubadur młody — ale ich pieśni nie podobały się Konradowi.

»»Innego chcę barda,
Zakonnik-rycerz, innej chcę piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
Jak hałas rogów i oręża szczęki;
I tak ponura, jak klasztorne ściany,
I tak ognista, jak samotnik piany.
»Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie — taka piosnka nasza!...
Kto ją zaśpiewa? kto?« « — »Ja«, odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział,
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów.
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.
W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła
I tem skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. — »Ja śpiewam — zawoła —
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem:
Dziś, jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem:
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni — jak Witołd — między wami żyją...
»O dzieci, jaka na Litwę sromota!
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza, stary wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony...
Samotny, w obcej ziemi zestarzałem:
Śpiewak, niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem...

Dzisiaj — jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam czy ówdzie czyli z tamtej strony...
Tu tylko, w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyźnie najlepszego było...
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi, Niemcy — weźcie mi pamiątki.
»Jak zwyciężony rycerz na igrzysku
Zachowa życie, ale cześć utraca;
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca
I, raz ostatni wytężając ramię,
Broń swą pod jego stopami rozłamie:
Tak mnie ostatnia natchnęła ochota.
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę;
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę.«
Skończył i czekał mistrza odpowiedzi.
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem:
Konrad badawczem i szyderczem okiem
Witołda liców i poruszeń śledzi.
Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił:
Dręczy go równie i gniew i sromota;
Nakoniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca...
Spojrzał na starca, zahamował kroku —
I chmura gniewu, nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku.
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania
I w tajemnicze utonął dumania.
A Niemcy z cicha: »Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni i kto je rozumie?«
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszymi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
»Oto jest nuta litewskiego śpiewu!«
Wtem Konrad powstał: »Waleczni rycerze!
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i książąt podarunki bierze:
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę — będzie to grosz wdowi.
»Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie:

Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali.
Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałej litewskiej piosenki,
Jak lubię łoskot rozhukanej fali
Albo szmer cichy wiosennego deszczu:
Przy nich spać miło — śpiewaj, stary wieszczu«.

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach;
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.
Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją;
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.
Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusimi czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony,
Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić...
O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!
Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna! ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła...
Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:

Pieśń ujdzie cało! tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.
Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych: lub rymowym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni!...
Echa mu wtórzą, ja słuchałem z dala;
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.
Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła:
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły;
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły;
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!
Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę;
Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku.
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy:
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze po ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce...
Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:

Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.
Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini:
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki...
O nim zaśpiewam — uczcie się, Litwini!

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać.
W sali dokoła była cichość głucha;
Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać.
Zaczął więc piosnkę, ale innej treści;
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po strunach słabiej i rzadziej uderzał
I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY (w skróceniu).

Skąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki,
Wieźli łupy bogate, w zamkach i cerkwiach zdobyte.
Tłumy brańców niemieckich z powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach biegą przy koniach zwycięzców:
Poglądają ku Prusom — i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu.
W mieście Kownie, pośrodku, ciągnie się błonie Peruna.
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze porwani jadą bez trwogi do Kowna:
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami śród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli. Książę Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta, z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli?
»Nie wiem, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwytany.
Pomnę tylko, że kędyś w Litwie, śród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców; było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych; dom był z cegły czerwonej.
W koło pagórków, na błoniach puszcza szumiała jodłowa;
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego, w nocy, wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem.
Krzyk okropny: Do broni! Niemcy są w mieście! do broni!...

Ojciec wypadł z orężem, wypadł — i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną,
Zgonił, porwał mię na koń; nie wiem, co stało się dalej:
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem...
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu... Oto jest wszystko, co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca i braci;
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem śród Niemców jak Niemiec.
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu;
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna:
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty;
Służył tłómaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozpowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził.
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać;
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń: łzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty rozkoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem żwierciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.
Potem w latach młodzieńczych częstośmy z portu Kłajpedy
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszemi słowami
Niźli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach zakonu.
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:

Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce?
Już je piasek obleciał; widzisz te zioła pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:
Ach, daremnie! bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni...
Synu! plony wiosenne, żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi, Litwini;
Synu! piaski, z za morza burzą pędzone — to Zakon!...
Serce bolało słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków
Albo do Litwy uciekać: starzec hamował zapędy.
Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręże
I na polu otwartem bić się równemi siłami;
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność; dalej obaczym, co począć...
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów;
Ale w pierwszej potyczce, ledwiem obaczył chorągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół, wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum
I puszczają, ażeby braci sokołów wojował,
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy: —
Pójdź, myśliwcze, do domu, z klatką nie czekaj sokoła...«
Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał ciekawie, słuchała
Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory:
Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówiennic orszaku
Za krosnami usiada albo się bawi przędziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił, jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopie kruszą rycerze,
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach:
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,

Czego dotąd nie umiał — on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele. Z jakiem rozkosznem wzruszeniem
Słyszał z ust jej litewskie, już zapomniane wyrazy!
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie
Jako iskra z popiołu: były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni — słodkiej przyjaźni i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu — Ojczyzna.
Skądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce odmiana?
Gdzie jej dawna wesołość? gdzie jej dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem:
Ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krosnem:
Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach...
Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli...
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony:
Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy:
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...
Pójdź, Walterze; bądź zięciem moim i bij się za Litwę!
Walter pojął Aldonę... Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi...
Walter kochał swą żonę — lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.
Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek —
Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie —
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami;
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroi, rżenia rumaków.
Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem
I jak sokół na ptaki, z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło: Litwa do Kiejdan uchodzi.
W gruzach runęły Kiejdany: Litwa po górach i lasach
Broni się. Niemcy dalej ciągną, plądrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie.
Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli:

Idąc w ślady swych przodków bił się i nie dbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli. Chowany śród Niemców,
Znał potęgę Zakonu; wiedział, że mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręże i wojska.
Prusy broniły się niegdyś: starły Prusaków Teutony.
Litwa, pierwej czy później, równej ulegnie kolei:
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
»Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami?...« — »»Ojcze, Walter powiadał,
Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny niestety!
Może kiedyś objawię...«« Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąbka ku nowym bitwom i klęskom wezwała.
Kiejstut coraz smutniejszy. Walter jak mocno zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
— W chwilach nawet szczęśliwszych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał — ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne:
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał wejrzeniem.
Teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
Cały ranek przed domem z założonemi rękami
Patrzy na dymy płonących z dala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze snu
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.
»Mężu drogi, co tobie?« pyta ze łzami Aldona;
— »»Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta godzina,
W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu!«« 400
Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące — nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko wypalą,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.
Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo,
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;

Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry;
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie wyrzekł;
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużej, z niemej wyrazem rozpaczy;
Wtem gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
»Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek...
Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkiem zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
Czem bywaliśmy dawniej; jutro...« i nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły:
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
Pierwszej w dolinie przechadzki i o wszystkich dziecinnych,
Ale sercu pamiętnych pierwszej miłości zdarzeniach.
Za cóż tak lube rozmowy słowem *jutro* przerywa
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie?
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki
Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?
Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna
I, wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.
Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta:
Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą się w góry.
Wszystkieby straże zmylili — jednej nie mogli omylić;
Czujne są oczy kochanki — zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.
»Wróć się, o luba, do domu; wróć się, ty będziesz szczęśliwa,
Może będziesz szczęśliwa w lubej rodziny objęciach;

Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłacz niekiedy nade mną:
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych imię Alfa na nowo
Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz
Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem;
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa.«
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
»Jedziesz, jedziesz!« krzyknęła i zatrwożyła się sama
Słowem *jedziesz*, to jedno słowo brzmiało w jej uchu;
Nic nie myśliła, o niczem pomnieć nie mogła; jej myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splątało się tłumnie.
Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
Że niepodobna zapomnieć. Oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie;
W tem wejrzeniu już dawnej nie znajdowała pociechy
I zdawała się szukać czegoś nowego i wkoło
Oglądała się znowu... Wkoło pustynie i lasy.
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca;
Był to klasztor zakonnic, chrześcian smutna budowa.
Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony:
Jak gołąbek porwany wiatrem śród morskiej topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę, udał się za nią w milczeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem nakazał;
I u bramy — niestety! straszne to było rozstanie!
Alf z wajdelotą pojechał. Dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi,
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił!...
Przyszłość resztę pokaże... Niemcy, skończyłem piosenkę...

Odpowiadając na powieść wajdeloty, zaśpiewał Konrad sam balladę p. t. Alpuhara; przyrzekł spełnić najgorętsze życzenie zakonu — przedsięwziąć wyprawę na Litwę.

Wyruszył na Litwę, ale umyślnie prowadził wojnę tak niedbale, tak gnuśnie, iż kraju nie zdobył, a zaskoczony przez zimę, z garstką tylko niedobitków powrócił do Malborga. Klęską tą osłabił Krzyżaków tak, iż na sto lat nie byli już groźni dla Litwy.

Jednakże tajemny sąd wyśledził wszystko i zaocznie wydał na zdrajcę wyrok śmierci.

Konrad tymczasem zaraz po powrocie udał się pod wieżę.

Zimowy ranek; wichrzy się i śnieży.
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów;
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
»Aldono, woła, żyjemy, Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby;
Oni zginęli, wszystko wypełniono!«

PUSTELNICA.

Alf?... To głos jego!... Mój Alfie, mój luby!
Jakże! już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już nie pojedziesz?«

KONRAD.

»O, na miłość Boga,
O nic nie pytaj!... Słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo!
Oni zginęli... Widzisz te pożary?
Widzisz? to Litwa w kraju Niemców broi!...
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowej poczwary;
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło...
Jam to uczynił, dopełnił przysięgi! —
Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło!
Ja więcej nie chcę — wszak jestem człowiekiem!...
Spędziłem młodość w bezecnej obłudzie,
W krwawych rozbojach... dziś schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą; niezdolny do bitwy...
Już dosyć zemsty — i Niemcy są ludzie!
Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek: już tylko ruiny...
Odwracam oczy, przelatuję cwałem,
Biegę do owej, do naszej doliny:
Wszystko, jak dawniej;... też laski, te kwiaty;
Wszystko, jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.
Ach! mnie się zdaje, że to było wczora!
Kamień — pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem? —
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami.
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami;

Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju —
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził...
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz; dzisiaj piękne drzewa!
I liście na nich wiosenne powiewa
I młodych kwiatków unoszą się puchy!...
Ach, na ten widok pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia serce ożywiło;
Całując wierzby, padłem na kolana:
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!
Obyśmy, w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu! Niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni!
»Tak, wróćmy! Pozwól!... Mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć... Lecz po co rozkazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali, wybiję, wysadzę;
Tam cię, o luba! ku naszej dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku;
Lub dalej pójdziem... Są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy nie słychać obcej broni szczęku
Ani dumnego zwycięzcy hałasów
Ni zwyciężonych braci naszych jęku...
Tam, w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twoich ręku, u twojego łona
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś — będziem żyć dla siebie!...
Wróć, powiedz, pozwól!...«
Milczała Aldona;
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
Wtem krwawa jutrznia błysnęła na niebie.
»Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie i straż nas zatrzyma!
Aldono!...« wołał, drżał z niecierpliwości;
Głosu nie stało, błagał ją oczyma
I załamane ręce wzniósł do góry.
Padł na kolana i, żebrząc litości,
Objął, całował zimnej wieży mury.

PUSTELNICA.

»Nie, już po czasie! — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym. — Bóg mi doda siły;

On mię zasłoni przed ostatnim ciosem...
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
Nie zstąpić z wieży chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą — dziś i ty, mój miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu?!...
»Doliny piękne zostawmy szczęśliwym:
Ja lubię moje kamienne zacisze;
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę...
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić.
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściej i raniej przychodzić.
»Gdybyś — posłuchaj — około równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził
I twoje wierzby kochane sprowadził
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny...
Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła;
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy —
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu
I sny sprowadza o Litwie i tobie —
A potem, potem, po mojem skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie...«
Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci;
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci.
W dzikich widokach i w naglonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Wracając do domu, usłyszał Konrad trzykrotny okrzyk: »Biada!« Domyślił się, co to znaczy i co mu grozi. Powrócił więc pod wieżę, ażeby się pożegnać z Aldoną. Przytem porozumiał się z nią, iż na znak, że żyje, w oknie swego mieszkania, które widać było z okna pustelnicy, we dnie wywiesi chustkę, wieczorem zaś zaświeci lampę.

»Zaszło nakoniec« — rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana
Siedział, patrząc w okno pustelnicy:
»Daj mi płaszcz, szablę! Bądź zdrów, wierny sługo;
Pójdę ku wieży. — Bywaj zdrów na długo,
Może na wieki... Posłuchaj, Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,

Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie.
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic powiedzieć
W godzinę zgonu — prócz jej i prócz ciebie!...
Bądź zdrów, Halbanie! Ona będzie wiedzieć:
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóż to? słyszysz?... W bramę kołatano.«
»Kto idzie?« trzykroć odźwierny zawołał;
»Biada!« krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne, pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych razwraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu: »Stało się!« zawoła,
Nalał i wypił. »Starcze! w ręce twoje!«
Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki...
Opuszcza rękę: — »To oni — już przyszli!«
»Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegoż myślisz? Masz nalaną czaszę,
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze!«
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy:
»Nie, ja przeżyję — i ciebie, mój synu!...
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci;
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać — i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości...«
Na poręcz okna Alf ze łzami pada;
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana; westchnienia zmieszali
W ostatniem, długiem, długiem uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali;
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:
»Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie.
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!

Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!«
Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie i, tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:
»Oto są grzechy mojego żywota!...
Gotówem umrzeć; czegoż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy!
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów...
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady...
One się gryzą o szczątki biesiady!
»Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson, jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!...«
Rzekł, spojrzał w okno i bez czucia pada.
Ale nim upadł, lampę z okna ciska.
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy;
Wreszcie, jak gdyby dając zgonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy;
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielały — i światło zagasło.
I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...
Z czyjej to piersi? wy się domyślicie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie...
Tak struny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną; zmieszanymi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki:
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.
Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł harmonii w niebiosach
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

DZIADY.

Trzeba przedewszystkiem rozróżnić w Dziadach części pisane w roku 1821. i 1822., i te, które pisane były w lat dziesięć później. Pierwsze natchnione były nieszczęśliwą miłością ku Maryi Wereszczakównie. Z tych mamy część drugą i czwartą, ogłoszoną przez Mickiewicza w roku 1823., i fragment części pierwszej, ogłoszony dopiero w pośmiertnem wydaniu jego pism.

Z Dziadów późniejszych mamy tylko w całości część trzecią; ta oczywiście nie jest ową trzecią, jaka miała być między drugą a czwartą Dziadów dawniejszych, ale miała być trzecią w nowej seryi, której braknie i pierwszej i drugiej i czwartej. Podług świadectwa Odyńca Mickiewicz napisał był części inne (czy w całości lub tylko niektóre sceny, nie wiadomo), ale je spalił. Została tylko ta część trzecia i ustępy Petersburga, które, jakkolwiek w formie zupełnie odmiennej, zdaje się, że miały należeć do dalszego ciągu Dziadów.

W pierwszej, ułamkowej części Dziadów z roku 1822., chciał Mickiewicz, jak się zdaje, opowiedzieć swoje poznanie z Maryą Wereszczakówną i początki swojej miłości. Wprowadza tam bowiem dziewczynę i młodzieńca, z których każde marzy o uczuciu sobie nieznanem i o istocie, która będzie tego uczucia przedmiotem, ale jeszcze się nie spotkali, nie widzieli, nie pokochali wzajemnie.

Część druga odbywa się już po zerwaniu, po nieszczęściu, po zamęściu ukochanej. Poprzedza ją i służy jej za wstęp wiersz pod tytułem Upiór. Przez tego upiora rozumie poeta siebie samego. Z rozpaczy jest on jakoby umarły, błąka się po świecie jak upiór, ale na tym świecie już go nic nie obchodzi i nic dla niego nie ma.

Potem następuje obrzęd Dziadów czyli w noc dnia zadusznego wywoływanie duchów i pytania, czego na tamtym świecie potrzebują, czem można przynieść im ulgę.

Z DZIADÓW

Części drugiej.

Kaplica, wieczór. — GUŚLARZ — STARZEC pierwszy z chóru. — Chór wieśniaków i wieśniaczek.

CHÓR: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
GUŚLARZ: Zamknijcie drzwi od kaplicy
I stańcie dokoła truny;
Żadnej lampy, żadnej świecy!
W oknach zawieście całuny:
Niech księżyca jasność blada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało!
STARZEC: Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
GUŚLARZ: Czyścowe duszeczki!
W jakiejkolwiek świata stronie —
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie —
Każda śpieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze —
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek:
Jest jałmużna, są pacierze
I jedzenie i napitek.
CHÓR: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
GUŚLARZ: Podajcie mi garść kądzieli!
Zapalam ją; wy z pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli,
Pędźcie go lekkim oddechem.
O tak, o tak, dalej, dalej!
Niech się na powietrzu spali.
CHÓR: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
GUŚLARZ: Naprzód wy z lekkimi duchy,
Coście śród tego padołu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mozołu
Zabłysnęli i spłonęli
Jako ta garstka kądzieli:
Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,
W niebieskie nie wzleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem
Przyzywamy, zaklinamy.
CHÓR: Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie.
GUŚLARZ: Patrzcie, ach, patrzcie do góry!
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto złocistemi pióry
Trzepoce się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.
GUŚLARZ i STARZEC: Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;

Jak gołąbek z gołąbkiem na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK (do jednej z wieśniaczek). Do mamy lecim, do mamy.
Cóżto, mamo, nie znasz Józia?
Jato Józio, ja ten samy,
A to siostra moja Rózia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiej, niż u mamy;
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzenki światełka,
A na obojem ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W raju wszystkiego dostatek,
Co dzień, to inna zabawka;
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotkniem, rozkwita kwiatek.
Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga:
Ach, mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

CHÓR: Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga;
Ach mamo, dla twoich dziatek
Zamknięta do nieba droga!

GUŚLARZ: Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce i jagodki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK: Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodyczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi;
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię, wszystko caca;
Śpiewać, skakać, wybiec w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki —
Oto była moja praca!
A jej praca — stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady
Nie dla modłów i biesiady;
Niepotrzebna msza ofiarna.
Nie o pączki, mleczka, chrósty:
Prosim gorczycy dwa ziarna.

A ta usługa, tak marna,
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

CHÓR: Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

GUŚLARZ: Aniołku! duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie.
To ziarneczko, to ziarneczko;
Teraz z Bogiem idźcie sobie!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcież nas w pokoju —
A kysz, a kysz!

CHÓR: A kto prośby nie posłucha;
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcież nas w pokoju,
A kysz, a kysz!

(Widmo znika).

Potem zjawia się zły, nielitościwy pan, potem młoda dziewczyna, za życia pusta i nieczuła. Wkońcu zjawia się widmo, które nic nie żąda, nic nie mówi, tylko wpatruje się w jedną z pasterek, a na żadne zaklęcia zniknąć nie chce. To widmo, to jest Upiór ze wstępu, poeta sam; pasterka, ubrana w żałobę, choć jej »mąż i rodzina zdrowi« — to jego ukochana, która, choć rękę oddała innemu, zapomnieć go nie mogła.

GUŚLARZ: Teraz wszystkie dusze razem,
Wszystkie i każdą z osobna
Ostatnim wołam rozkazem!
Dla was ta biesiada drobna:
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR: Bierzcie, czego której braknie,
Która pragnie, która łaknie.

GUŚLARZ: Czas odemknąć drzwi kaplicy;
Zapalcie lampy i świecy.
Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara,
Czas przypomnieć ojców dzieje...
Stójcie...

CHÓR: Cóż to?
GUŚLARZ: Jeszcze mara!
CHÓR: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
GUŚLARZ (do jednej z wieśniaczek). Pasterko, ot tam w żałobie...
Wstań, bo czy mi się wydaje,
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki! patrzajcie, dla Boga!
Wszak to zapada podłoga
I blade widmo powstaje...
Zwraca stopy ku pasterce,
Białe lice i obsłony
Jako śnieg po Nowym Roku;
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie! ach, patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak, jakby pąsowa wstęga
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga!
Co to jest, nie zgadnę wcale.
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.
CHÓR: Co to jest, nie zgadniem wcale.
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.
GUŚLARZ: Czego potrzebujesz, duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czyli o święcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody:
Czego potrzebujesz, duchu młody,
Żeby się dostać do nieba?
(Widmo milczy).
CHÓR: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?
GUŚLARZ: Odpowiadaj, maro blada!
Cóż to?... nic nie odpowiada?
CHÓR: Cóż to? nic nie odpowiada?
GUŚLARZ: Gdy gardzisz mszą i pierogiem,
Idźże sobie z Panem Bogiem!
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałeś jadła napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz! a kysz!
(Widmo stoi).

CHÓR: A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałeś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz! a kysz!

GUŚLARZ: Przebóg! cóż to za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR: Nie odchodzi i nie gada.

GUŚLARZ: Duszo przeklęta czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!
Oto rozwarta podłoga:
Kędy wszedłeś, wychodź tędy,
Bo cię przeklnę w imię Boga.

(Po chwili).

Precz stąd na lasy, na rzeki
I zgiń, przepadnij na wieki!

(Widmo stoi).

Przebóg! cóż to za szkarada?
I milczy i nie przepada!

CHÓR: I milczy i nie przepada!

GUŚLARZ: Darmo proszę, darmo gromię —
On się przekleństwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza!...
Nie pomaga i kropidło!!
Bo utrapione straszydło
Jak stanęło, tak i stoi —
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.

CHÓR: Bo utrapione straszydło
Jak stanęło, tak i stoi —
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie? co to będzie?

GUŚLARZ: To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko! znasz tę osobę?
W tem są jakieś straszne rzeczy...
Po kim ty nosisz żałobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa?
Cóż to? nie mówisz i słowa?
Spojrzyj, odezwij się przecie!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czego uśmiechasz się? czego?
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓR: Czego uśmiechasz się? czego?

Co w nim widzisz wesołego?
GUŚLARZ: Daj mi stułę i gromnicę!
Zapalę, jeszcze poświęcę...
Próżno palę! próżno święcę —
Nie znika przeklęta dusza!!
Weźcie pasterkę pod ręce,
Wyprowadźcie za kaplicę!
Czegoż oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?
CHÓR: Czego oglądasz się? czego?
Co w nim widzisz powabnego?
GUŚLARZ: Przebóg, widmo kroku rusza!...
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie...
Co to będzie? co to będzie?
CHÓR: Gdzie my z nią, on za nią wszędzie —
Co to będzie? co to będzie?

W części czwartej, w tę samą noc zaduszną, do domu księdza, który wychowuje kilkoro dzieci, puka i wchodzi człowiek, dziwacznie ubrany, z pozoru obłąkany, który mówi o sobie raz, że jest umarłym, drugi raz, że pustelnikiem: to Gustaw, niegdyś wychowaniec księdza. Z bezładnego opowiadania, w którem mieszają się wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości ze skargami na dzisiejsze nieszczęście, pokazuje się, że do tego stanu doszedł młodzieniec przez nieszczęśliwą miłość. W Gustawie wyobraża poeta siebie samego, ten stan duszy, w jakim był po swojej nieszczęśliwej miłości. Miał się za pustelnika, bo stronił od ludzi; zdziczał, żył sam ze swoją rozpaczą; miał się za upiora, błąkającego się bez celu po tym świecie, bo »serce zamarło, pierś już lodowata«. Przypuszczał może, że z rozpaczy wpadnie w obłąkanie, bo nadaje Gustawowi pozory szaleństwa. Wreszcie, czy istotnie w tej rozpaczy przeszła kiedy poecie przez głowę myśl o samobójstwie, czy też tylko ten stan rozpaczy i zobojętnienia na wszystko wyrzucał sobie jako samobójstwo moralne, Gustaw w końcu rozmowy przebija się sztyletem. »Przecież nie upada« — nie odbiera sobie życia na prawdę, tylko »dla nauki scenę boleści powtarza«. »Minęły dwie godziny: miłości, rozpaczy — a teraz następuje godzina przestrogi«. To znaczy, że ten stan rozpaczy bezdennej i chorobliwej Mickiewicz, kiedy Gustawa pisał, już wyrzucał sobie jako zły, a rozpamiętywanie tego stanu i złych myśli, jakie podówczas miewał — może pokusy samobójstwa — uważał za swoją karę i pokutę. W tej świadomości, że taka rozpacz bez granic była zdrożną, a uczucie, które do niej wiodło, chorobliwem, jest dowód wyższości moralnej Mickiewicza i powód, dla którego jego Gustaw, choć jest naturą chorobliwą jak wiele poetycznych kreacyi poprzednich i współczesnych, nie może tak źle wpływać na umysły, jak wpływał na przykład Werther Goethego, René Chateaubriande'a i t. p.

Do najpiękniejszych ustępów czwartej części Dziadów należy opowiadanie o ostatniem widzeniu się z kochanką, odwiedzenie domu rodzinnego w dzisiejszem jego opustoszeniu i wspomnienie lat szkolnych.

Z części czwartej.

KSIĄDZ. Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy!
Ach, tak okropne bole, moje dziecię,
Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy,
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!
PUSTELNIK. Grzechy?... i proszę, jakież moje grzechy?
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki!
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!
Wprzód nim je wyjął ze światłości stoku,
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,
Wprzódy je powiązał z sobą!
Teraz... kiedy złych ludzi odłącza nas ręka,
Rozciąga się ten łańcuch — ale się nie pęka!
Czucia nasze, dzielącej uległe przeszkodzie,
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się z bliska:
Przecież zawżdy po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.
KSIĄDZ. Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!
Może się troski wasze pomyślnie zakończą.
PUSTELNIK. Chyba tam!... gdy nad podłem wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje;
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje,
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(Po chwili).

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.
Pamiętam: śród jesieni, przy wieczornym chłodzie
— Jutro miałem wyjechać — błądzę po ogrodzie.
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia!
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze:
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.
Spojrzę: jakraz nade mną świeci gwiazdka wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spojrzę na dół, na szpaler... patrz, tam przy altanie,

Ujrzałem ją niespodzianie!
Suknią między ciemnemi bielejąca drzewy
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.
Potem biegła jak lekkie zefiru powiewy,
Oczy zwrócone w ziemię — nie spojrzała ku mnie!
Ale lica jej bardzo blade...
Nachylam się, zajrzę z boku:
I dojrzałem łezkę w oku!...
Jutro, rzekłem, jutro jadę!
»Bądź zdrów! — odpowie z cicha — ledwie posłyszałem;
Zapomnij!«... Ja zapomnę?... O rozkazać snadno!
Rozkaż, luba, twym cieniom, niechaj wraz przepadną
I niech zapomną biegać za twem ciałem...
Rozkazać snadno!
Zapomnij!!!

(Śpiewa).

Przestań płakać, przestań szlochać,
Idźmy każdy w swoją drogę:
Ja cię wiecznie będę...

(Urywa śpiewanie).

Wspominać.

(Kiwa głową).

Ale twoją być nie mogę!
Wspominać tylko!... Jutro, jutro jadę!
Chwytam za rączki i na piersi kładę...

(Chwyta dziecię i chce całować, dziecię ucieka).

KSIĄDZ. Czegóż boisz się sobie równego człowieka?
PUSTELNIK. Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka,
Jakby przed straszydłem z piekła...
Ach! tak i ona przede mną uciekła!
...»Bądź zdrów!« ... i w długiej ulicy
Niknie na kształt błyskawicy.

(Do dzieci).

I czegóż ona przede mną uciekła?
Czylim ją śmiałem przeraził wejrzeniem?
Czyli słówkiem lub skinieniem?
Muszę przypomnieć...

(Przypomina).

Tak się w głowie kręci!...
Nie! nie! ja wszystko widzę jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci:
Dwa tylko słowa powiedziałem do niej.

(Z żalem).

Księże, dwa tylko słowa:
Jutro! bądź zdrowa!

...Bądź zdrów!... Gałązkę odrywa, podaje:
Oto jest, rzekła, co nam tu *(na ziemię pokazuje)* zostaje.
Bądź zdrów! — i w długiej ulicy
Niknie na kształt błyskawicy!...

KSIĄDZ. Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!
Lecz słuchaj: są tysiące biedniejszych od ciebie.
Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:
Po ojcu i po matce już mówię pacierze,
Dwoje małych dziateczek aniołkami w niebie,
Ach, i moja wspólniczka szczęścia i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!...
Ale cóż robić! Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!
Niechaj się dzieje według Jego świętej woli!

. . . . . .

GUSTAW. Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki...
Ledwie go poznać mogłem; już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie:
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła;
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła.
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiem oddaleniu, gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka:
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka;
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad, gościńca wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwie nie zagłuszy...
Teraz... pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!...
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku;
Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny!
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu, Kruku!... Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!
Ujrzałem światło w oknach; wchodzę: cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki,
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły:
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi płacząc: w przedporannym mroku
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziej do czyścowego podobna widziadła.

Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Żegnając się i krzycząc, słania się z przestrachu.
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak z rana?
»Jestem biedna uboga — ze łzami odpowie —
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie:
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije;
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje«.
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga:
Ach, więc wszystko minęło?...

KSIĄDZ. Prócz duszy i Boga!
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.

GUSTAW. Lecz znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!
Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasie w tamten biegaliśmy lasek;
Kąpielą była rzeczka, u okien ciekąca;
Po błoniach z studentami graliśmy w zająca.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwoływam spółuczniów, szykuję pod lasem:
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
Tam Niemców potrwożonych następują roty;
Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice!
Przerzedzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
Gradem lecą turbany i obcięte szyje,
Janczarów zgraja pierzchła lub do piasku wbita,
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta,
Aż pod wał trzebim drogę... ten wzgórek był wałem!
Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci:
Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem,
Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci;
Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią!
Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przez nią, za nią!
Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj, na wzgórku Russa czytaliśmy razem;
Altankę jej pod tymi uwiązałem chłody,
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z kraśną cętką;
A dziś!... (Płacze).

KSIĄDZ. Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia
Nas samych trawi, a nic wkoło nas nie zmienia!

GUSTAW. Dzisiaj, po latach tylu, po takiej przemianie,
Na miejscach najszczęśliwszych — w najsmutniejszym stanie!
Gdybyś wziął martwy kamień, którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie —
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła:
Księże, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!...

Po latach dziesięciu wrócił Mickiewicz do dawnego poematu i pisał jego dalszy ciąg. Ten jest także jego własną historyą, a on sam (Konrad) główną i środkową figurą tej części. Jest ona pisana nie tylko po prześladowaniu uczniów wileńskich i po wygnaniu poety do Rosyi, ale po wielkiem narodowem nieszczęściu, po przegranej wojnie roku 1831. Jest więc z jednej strony wyrazem całego patryotycznego cierpienia, jakie się w duszy narodu gromadziło od rozbiorów, a po roku 1831. doszło do najwyższej potęgi, z drugiej strony wyrazem i świadectwem tych przejść, jakie przez te wszystkie lata przebył w duszy Mickiewicz. Rozumie się, że te przemiany, które w poemacie ujęte są w kilka krótkich scen, w rzeczywistości odbywały się dłużej i wypełniły kilka lat życia poety.

W prologu, w celi bazyliańskiego klasztoru w Wilnie, przerobionego na więzienie, śpi więzień, otoczony dobrymi i złymi duchami. Dobre wyrzucają mu pychę i spodziewają się, że przez więzienie nastąpi jego poprawa, złe starają się utwierdzić i podnieść go w tej pysze.

Więzień budzi się chwilami, duma o położeniu swojem i przyjaciół, o ojczyźnie i jej przyszłości i zapisuje na ścianie celi słowa: *„hic obiit Gustavus, hic natus est Conradus“*: czyli, że podczas tego więzienia Gustaw, zajęty i nieszczęśliwy swoją miłością jedynie, umarł, a odżył w nim człowiek inny, którego cała dusza wypełniona jest miłością ojczyzny i jej nieszczęściem.

W scenie pierwszej więźniowie, ująwszy kaprala, schodzą się do celi Konrada na rozmowę. Są to wszyscy dawni Filomaci i Filareci, przyjaciele poety, każdy przedstawiony ze swoim właściwym charakterem. Scena ta, jak świadczą wszystkie wspomnienia współczesne, miała miejsce istotnie w wigilię Bożego Narodzenia r. 1823. i opisana jest w poemacie z historyczną wiernością. Rozmawiają o swojem uwięzieniu, śledztwie, o jego powodach: jeden, który rano prowadzony był do śledztwa przez miasto, opowiada, że widział, jak wielu skazanych w łańcuchach, na kibitkach wywieziono gdzieś w głąb Rosyi.

To opowiadanie wydobywa z duszy Konrada całe złożone w niej uczucie krzywd narodu i nienawiści do nieprzyjaciela. Towarzysze, widząc go zmienionym, przypuszczają stan poetycznego natchnienia i czekają nowej pieśni; Konrad śpiewa namiętną, wściekłą Pieśń zemsty. Wtem nadchodzi patrol, więźniowie rozbiegają się po swoich celach, Konrad zostaje sam.

Następuje jego sławny monolog, nazwany Improwizacyą.

SCENA DRUGA

KONRAD (po długiem milczeniu).

Samotność!... Cóż po ludziach? czym śpiewak dla ludzi?
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi!
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie:
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką;
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką?
Gdzie pędzi, czy się domyślą?...
Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.
Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie nie dolata;
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.
Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy nie potrzebne!...
Płyńcie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.
Ty, Boże, ty, naturo, dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie.
Ja mistrz!
Ja mistrz wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem;
Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach.
Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie:
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie...
Sam śpiewam... słyszę me śpiewy:
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,
Jęczą żalem, ryczą burzą
I wieki im głucho wtórzą;
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,
Mam go w uchu, mam go w oku,

Jak wiatr gdy fale kołysze,
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.
Boga, natury godne takie pienie!...
Pieśń to wielka, pieśń — tworzenie!
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę:
Cóż Ty większego mogłeś zrobić, Boże?
Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,
Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję:
Kocham was, me dzieci wieszcze!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! wichry moje!
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,
Wy wszystkie moje!
Depcę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrce i proroki,
Których wielbił świat szeroki!
Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski
Słyszeli, czuli i za słuszne znali
I wszystkie sławy każdodziennej blaski
Promieniami na wieńcach swoich zapalali:
Z całą pochwał muzyką i wieńców ozdobą,
Zebraną z wieków tylu i z pokoleń tylu,
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,
Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy,
Kiedy sam śpiewam w sobie,
Śpiewam samemu sobie.
Tak! Czuły jestem, silny jestem i rozumny!
Nigdym nie czuł, jak w tej chwili;
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,
Dziś poznam, czym najwyższy czylim tylko dumny;
Dziś jest chwila przeznaczona,
Dziś najsilniej wytężę duszy mej ramiona:
To jest chwila Samsona,
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny...
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra...
Potrzeba mi lotu!
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórca i natura.

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!
I zajrzę w uczucia Twoje.
O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga:
Aż tu moje skrzydło sięga!
Lecz jestem człowiek i tam, na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało...
Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia;
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.
Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głąb morza rozwarła;
Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą.
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa...
I mocy tej nie wziąłem z drzewa edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego,
Nie z ksiąg ani z opowiadań
Ani z rozwiązania zadań
Ani z czarodziejskich badań.
Jam się twórcą urodził!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził:
Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję.
Czyś Ty mi dał czy wziąłem, skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne: w chwilach mej siły, wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Żeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle:
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle...
Stado pieśń żałosną dzwoni:
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w kometę z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy...
Tylko ludzie skazitelni,

Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu:
Mnie i Ciebie!
Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzeć na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzę mem skinieniem,
Tak bliźnich rozrządzać muszę.
Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno:
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie!
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz!...
Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył;
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył
I większe niźli Ty zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!
Daj mi rząd dusz!... Tak gardzę tą martwą budową,
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
Nie mogłoby jej wnet zwalić;
Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny... i w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni: wyższych nie spotkałem;
Najwyższy na niebiosach, Ciebie tu szukałem,
Ja — najwyższy z czujących na ziemnym padole.
Nie spotkałem Cię dotąd; żeś Ty jest, zgaduję:
Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję! —
Ja chcę władzy, daj mi ją lub wskaż do niej drogę.
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę.
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz;
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz.
(Długie milczenie. — Z ironią).
Milczysz, milczysz!... Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,
Zrozumiałem, coś Ty jest i jakeś Ty władał.

Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością;
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem składy broni Twej wyśledzą.
Ten tylko, kto się wrył w księgi,
W metal, w liczbę, w trupie ciało,
Temu się tylko udało
Przywłaszczyć część Twej potęgi:
Znajdzie truciznę, proch, parę,
Znajdzie blaski, dymy, huki,
Znajdzie prawność i złą wiarę
Na mędrki i na nieuki.
Myślom oddałeś świata użycie,
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie;
Dałeś mnie najkrótsze życie
I najmocniejsze uczucie...
(Milczenie).
Milczysz?... Wszakżeś z szatanem walczył osobiście;
Wyzywam Cię uroczyście!
Nie gardź mną; ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska i mocy i trony:
Jeśli ja będę bluźnierca,
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niźli szatan:
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;
Kiedyś mi wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Głos.
Rumaka
Przedzierżgnę w ptaka.
Orlemi pióry!
Do góry!
W lot!

Głos.
Gwiazdo spadająca!
Jaki szał
W otchłań cię strąca!

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę:
Ja i ojczyzna, to jedno;
Nazywam się milion: bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.
Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu,
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.
Cierpię, szaleję... A Ty, mądrze i wesoło
Zawsze rządzisz,
Zawsze sądzisz
I mówią, że Ty nie błądzisz!

Słuchaj! Jeśli to prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świat przychodząc,
Że Ty kochasz; jeżeliś Ty kochał świat rodząc,
Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską;
Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,
Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;
Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;
Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeśli w milion ludzi krzyczących »ratunku!«
Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku;
Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną...

Głos.
Orła w hydrę!
Oczy mu wydrę.
Do szturmu dalej!
Dymi! pali!
Ryk, grzmot!

Głos.
Z jasnego słońca
Kometo błędu!
Gdzie koniec twego pędu?
Bez końca, bez końca!

Milczysz!... Jam Ci do głębi serce me otworzył...
Zaklinam, daj mi władzę; jedna część jej licha,
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha:
Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył!
Milczysz!... Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu!
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,
Że Cię znam lepiej, niźli Twoje archanioły,
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły...
Jeślim nie zgadł, odpowiedz... Milczysz... Ja nie kłamię!
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię...
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie...
Widzisz to moje ognisko: uczucie!
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
Wbijam w żelazne woli mej okucie,
Jak nabój w burzące działo...

Głos.
Ognia! pal!

Głos.
Litość! żal!

Odezwij się: bo strzelę przeciw Twej naturze!
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
To wstrząsnę całym państw Twoich obszarem;
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...

Głos dyabła.

Carem!

Konrad staje chwilę, słania się i pada.

Pytanie, dlaczego Bóg pozwala na złe i na zwycięstwo złego, to pytanie, które się nieraz w myśli ludzkiej podnosi, a w nieszczęściach narodu tkwiło ciągle w jego duszy, jest treścią główną improwizacyi. I Konrad także nie wie, nie rozumie, dlaczego Bóg na złe pozwala: a czując się wielkim, gienialnym wieszczem, Konrad chce, żeby mu Bóg dał poznać swoją myśl i wolę, żeby mu ją objawił, żeby mu zdał sprawę ze swoich zamiarów i działań. Żąda tego Konrad, bo naprzód, jak mówi, jest wielkim i ludzi większych od niego nie ma; ale żąda zwłaszcza dla tego, że nie o siebie mu chodzi. On jest »duchem z wielkim ludem zbratan«, on »za miliony kocha i cierpi katusze« — on się za ten cały lud upomina o wytłómaczenie jego losu, a pyta o jego przyszłość, a jako taki mniema, że ma prawo domagać się, by mu Bóg zdał sprawę ze Swojej myśli i woli. W tem uczuciu dumy, zuchwałości i buntu utwierdza go świadomość, że to, czego on chce, jest dobrem, i woła do Boga, »daj mi rząd dusz« — bo rządu tego użyje na to, by świat »dźwignąć i uszczęśliwić«.

Duchy dobre i złe, po obu stronach, starają się jedne opamiętać go, drugie jeszcze wyżej wzbić w pychę, żeby go zgubić. Konrad coraz zuchwalsze rzuca Bogu wyzwania i obelgi — (»kłamca, kto ciebie nazywał miłością«) — wzywa go, żeby odpowiedział koniecznie, a gdy odpowiedzi nie słyszy, grozi, że Boga przed całym światem oskarży: »Tyś nie ojcem świata, ale...«

Ostatniego bluźnierstwa — nie dopowiedział, zemdlał: ostatnie słowo Carem wypowiedział za niego szatan.

Nad zemdlonym Konradem odprawia potem ksiądz Piotr exorcyzm: krzyżem i modlitwą wypędza z więźnia szatana pychy, który odchodząc sam zmuszony wyznaje, że grzesznikowi potrzeba na ratunek »chleba i wina«. Ksiądz potem przebudzonego Konrada gromi za pychę, a okazuje mu nadzieję przebaczenia; po czem nad uśpionym więźniem dwóch aniołów wytacza sprawę grzesznego i zbuntowanego, a sprawa kończy się obietnicą przebaczenia:

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie i uczci krzyża podnóże.

Ze sceny trzeciej.

KONRAD.

Dźwigasz mię? Ktoś ty? Strzeż się, sam spadniesz w te doły!
Podaje rękę... Lećmy! W górę jak ptak lecę,
Mile oddycham wonią, promieniami świecę.
Któż mi dał rękę?... Dobrzy ludzie i anioły!...
Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów?
Ludzie?... Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów!

KS. PIOTR.

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.
Usta, któremiś wieczny Majestat obraził,
Te usta zły duch słowy szkaradnemi skaził;

Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka,
Oby ci policzone były za pokutę,
Obyś o nich zapomniał...

KONRAD.

Już są tam — wykute.

KS. PIOTR.

Obyś, grzeszniku, nigdy sam ich nie wyczytał,
Oby cię o znaczenie ich Bóg nie zapytał!
Módl się. Myśl twoja, w brudne obleczona słowa,
Jak grzeszna, z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje
I większym niźli pierwej blaskiem zajaśnieje.
Usnął...

(Klęka).

Twe miłosierdzie, Panie, jest bez granic!

(Pada krzyżem).

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,
Sługa już spracowany i niegodny na nic:
Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary;
On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe imię.
Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

(Modli się).

(W bliskim kościele za ścianą zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad księdzem Piotrem chór Aniołów na nutę: »Anioł pasterzom mówił«).

CHÓR ANIOŁÓW (głosy dziecinne).

Pokój temu domowi,
Spoczynek grzesznikowi.
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy!
Pokój temu domowi!

ARCHANIOŁ PIERWSZY (na nutę: »Bóg naszą ucieczką«).

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

ARCHANIOŁ DRUGI.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim twoi Anieli.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

Tych zdepcz, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Twe święte sądy [pogardzą.

ARCHANIOŁ DRUGI.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

ANIOŁ.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,
Hymn Narodzenia śpiewali Anieli:
Mędrcy nas nie wiedzieli,
Królowie nie słyszeli,
Pastuszkowie postrzegli,
I do Betleem biegli:
Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali,
Biedni, prości i mali.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu Aniołów, sług swych, obaczył,
Duchom wieczystym, Aniołom czystym, Pan nie przebaczył:
Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, Aniołów tłumy
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Pan maluczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.
Litość! Litość! nad synem ziemi!
On był między wielkiemi:
Litość nad synem ziemi!

ARCHANIOŁ DRUGI.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy;
Nie dla mądrości ludzkiej on badał ani dla sławy.

ARCHANIOŁ PIERWSZY.

On Cię nie poznał, on Cię nie uczcił, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

ARCHANIOŁ DRUGI.

Lecz on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki!
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

ANIOŁ.

Krzyż w złoto oprawiony
Zdobi królów korony,
Na piersi mędrców błyszczy jak zorze:
A w duszę wniść nie może.
Oświeć, oświeć ich, Boże!

CHÓR ANIOŁÓW.

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy!
Wygnani od mędrków i króli,
Prostaczek nas przytuli:
Nad nim dzień, noc śpiewamy.

CHÓR ARCHANIOŁÓW.

Podnieś tę głowę: a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie i uczci krzyża podnoże;
Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj polęże
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan nasz, o Boże! 75

OBADWA CHÓRY.

Pokój, pokój prostocie,
Pokornej, cichej cnocie!
Sługo, sługo pokorny, cichy!
Wniosłeś pokój w dom pychy:
Pokój grzesznemu sierocie!

To wszystko oznacza, że Mickiewicz w więzieniu otrząsł się ze swojej nieszczęśliwej miłości, a miłość ojczyzny wzięła w nim górę nad wszystkiemi uczuciami; że przybrała ona naprzód kształt i charakter nienawiści nieprzyjaciela i pragnienia zemsty; że w tych uczuciach żyjąc i nie mogąc zrozumieć sprzeczności między sprawiedliwością i opatrznością Boga a tryumfem złego na świecie, posunął się aż do oskarżenia Boga i do buntu przeciw niemu. Ale gdy te uczucia doszły do swego szczytu, nastąpił zwrot. Z własnego popędu lub też pod wpływem innych ludzi (Odyniec sądził, że malarza Oleszkiewicza w Petersburgu, i że ksiądz Piotr jest jego wyobrażeniem) Mickiewicz uznał ten stan swojej duszy za zły i grzeszny i doszedł do świadomości, że przez wiarę, przez pokorę, przez poddanie się woli Bożej, człowiek ma dążyć do łaski i do zbawienia, naród do zmiłowania i zwycięstwa swojej sprawy. Tym duchem tchną wszystkie jego pisma i całe jego życie na emigracyi. Z nadmiaru zaś tego ducha i z jego zboczenia wyniknął ostatni jego zwrot — wiara w Towiańskiego i jego naukę.

Następują w Dziadach dwa widzenia, które są rozwinięciem myśli wypowiedzianej w scenie poprzedniej: »Bóg maluczkim objawia — czego wielkim odmawia«. Wielki Konrad napróżno żądał od Boga objawienia, które mają dwie dusze ciche, proste i pokorne. Widzenie Ewy, mniej związane z całą treścią poematu, jest może wspomnieniem tylko poznanej w Rzymie Henryki Ankwiczównej. Widzenie księdza Piotra jest w myśli poety wytłómaczeniem losów Polski, a przeto pośrednią odpowiedzią na pytania Konrada w Improwizacyi. Przepowiednia jakiegoś człowieka zbawcy, oznaczonego pewnemi znamionami, zupełnie niezrozumiała, choć ją Mickiewicz sam później do Towiańskiego ściągał, nie może się odnosić do żadnego z ludzi, którzy do dziś dnia żyli i są znani. Ważna jest dalsza część tego widzenia, ta, w której na Polsce powtarza się męka Chrystusa Pana. Jest to owo wytłómaczenie jej losów, którego żądał Konrad, a które Mickiewiczowi wystarczyło na resztę życia. Polska jest ofiarą za grzechy świata, a po zadośćuczynieniu podniesie się i świat z nią do wyższego bytu. W tej scenie Dziadów jest źródło tej nauki o Chrystusowej misyi Polski, którą znajdzie się (choć zmienioną) u Krasińskiego i u wielu innych poetów. Jest to pierwszy objaw tego kierunku

przepowiadającego i mistycznego, który będzie jednym z głównych i najbardziej charakterystycznych w naszej poezyi z tego okresu.

Inne sceny trzeciej części Dziadów są już mniej ważne. Scena ósma, Pan Senator, pod względem artystycznym i poetycznym nierównie niższa od scen w więzieniu, jest historycznie ciekawa, jako wspomnienie i wizerunek Nowosilcowa i otaczających go urzędników.

W zakończeniu samem wraca Mickiewicz znowu do tego, od czego zaczął poemat przed dziesięciu laty. Znowu obrzęd Dziadów, znowu wywoływanie duchów i znowu ta sama pasterka w żałobie, która chciałaby widzieć owego ducha, co wtedy zjawił się i milczał. Duch się nie ukazuje, ale na jednej z przejeżdżających koło cmentarza kibitek siedzi ten, którego wywołują, i na dawną kochankę rzuca tylko jedno spojrzenie.

Luźne ustępy, przez poetę z trzecią częścią Dziadów wydane (Droga do Rosyi, Przedmieścia stolicy, Przegląd wojska, Pomnik Piotra Wgo, Oleszkiewicz), są oczywiście odbiciem wrażeń w Rosyi odebranych. Według niektórych miały być częścią dalszego ciągu Dziadów: w każdym razie łączą się z niemi przez to, że mówią o dalszych losach Konrada, wywiezionego na północ w ostatniej scenie części trzeciej.

Z USTĘPU (Petersburg).

DROGA DO ROSYI.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;
I oczy moje jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą;
Porwane burzą, do lądu nie zdążą,
A widzą obce pod sobą żywioły,
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.
Oko nie spotka ni miasta ni góry,
Żadnych pomników ludzi ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.
A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz, przybyły z falami potopu,
I mową obcą moskiewskiemu chłopu
Głosi, że dawno stworzone te kraje
I w czasach wielkiej Noego żeglugi
Ląd ten handlował z azyjskiemi smugi.
A przecież nieraz książka, ukradziona
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu
Mówi, że ziemia ta niezaludniona
Już niejednego jest matką narodu.
Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,

I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,
Nie zostawiwszy śladów swego życia;
I gdzieś daleko, na alpejskiej skale
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach
O stąd przybyłych mówią rozbójnikach.
Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta...
Czyż na niej pisać będzie palec Boski?
I ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są — ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary
Przyjdzie i w księdze tej wyryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są — knuty?...
Po polach białych, pustych wiatr szaleje,
Bryły zamieci odrywa i ciska;
Lecz morze śniegów, wzdęte, nie czernieje,
Wyzwane wichrem, powstaje z łożyska,
I znowu, jakby nagle skamieniałe,
Pada ogromne, jednostajne, białe.
Czasem ogromny huragan wylata
Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu,
Aż do Euxinu równinę zamiata,
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;
Często podróżne kibitki zakopie,
Jak Symum błędnych Libów przy Kanopie.
Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły
I sterczą nakształt wysp i lądu brzegów:
To są północne świerki, sosny, jodły.
Gdzieniegdzie drzewa, siekierą zrąbane,
Odarte i w stos złożone poziomy,
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę,
I ludzi kryją i zowią się: domy.
Dalej tych stosów rzucone tysiące
Na wielkiem polu, wszystkie jednej miary:
Jak kitki czapek dmą z kominów pary,
Jak ładownice, okienka błyszczące;
Tam domy rzędem szykowane w pary,
Tam czworobokiem, tam kształtnym obwodem;
I taki domów pułk zowie się: grodem.
Spotykam ludzi: z rozrosłemi barki,
Z piersią szeroką, z otyłemi karki;
Jako zwierzęta i drzewa północy,
Pełni czerstwości i zdrowia i mocy.

Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych,
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy
Ani się w ustach rozognionych żarzy
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych,
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,
Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.
Tu, oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
Wielkie i czyste; i nigdy zgiełk duszy
Niezwykłym rzutem źrenic nie poruszy,
Nigdy ich długa żałość nie zaciemi.
Z daleka patrząc — wspaniałe, przecudne;
Wszedłszy do środka — puste i bezludne.
Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza gąsienica,
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wyprzędzie, wytcze i ozdobi...
Ale gdy słońce wolności zaświeci,
Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?
Nawskróś pustyni krzyżują się drogi.
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,
Nie wydeptały ich karawan nogi:
Car ze stolicy palcem je nakreślił.
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany:
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,
I car ruiny ich zasypał — drogą.
Dróg tych nie dojrzeć w polu między śniegi,
Ale śród puszczy dośledzi ich oko;
Proste i długie na północ się wloką,
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.
I po tych drogach któż jeździ? Tu cwałem
Konnica wali przyprószona śniegiem,
A stamtąd czarnym piechota szeregiem
Między dział, wozów i kibitek wałem.
Te pułki, podług carskiego ukazu,
Ciągną ze wschodu, by walczyć z północą;
Tamte z północy idą do Kaukazu;
Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co,
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mogoła
Z nabrzmiałem licem, małem krzywem okiem;
A tam chłop biedny z litewskiego sioła,
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem.

Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki,
I zmarzłą niosą cięciwę Kałmuki.
A wtem kibitka leci. Przednie straże
I dział lawety i chorych obozy
Pryskają z drogi, kędy się ukaże;
Nawet dowódców ustępują wozy.
Leci kibitka: żandarm powoźnika
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy
Wali biczyskiem: wszystko z drogi zmyka;
Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży.
Gdzie? Kto w niej jedzie? Nikt nie śmie zapytać.
Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy:
Zapewne cesarz kazał kogoś schwytać.
»Może ten żandarm jedzie z zagranicy?«
— Mówi generał. — »Kto wie, kogo złowił?
Może król pruski, francuski lub saski
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski
I car go w turmie zamknąć postanowił;
Może ważniejsza pochwycona głowa,
Może samego wiozą Jermołowa.
Kto wie? Ten więzień, chociaż w słomie siedzi,
Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy!
Wielka osoba! Za nim wozów tłumy:
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
A wszyscy, patrz-no, jakie oczy śmiałe!
Myśliłem, że to pierwsze carstwa pany,
Że generały albo szambelany:
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe!
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
Jakiegoś króla podejrzane dzieci«.
Tak z sobą cicho dowódcy gadali;
Kibitka prosto do stolicy wali.

POMNIK PIOTRA WIELKIEGO.

Z wieczora, na dżdżu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wziąwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy;
Drugi, był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą, niedługo, lecz wiele:
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze: wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Choć je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chylą ku sobie podniebne wierzchołki.

Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:
Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiętnik stawiała.
Już car odlany w kształcie wielkoluda
Siadł na bronzowym grzbiecie bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno!
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronno;
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten, na Pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów: leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina;
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.
Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem naprzód rozsławił swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli;
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najezdców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło:
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa.
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzyczał: »Cesarz, ojciec nasz powraca!«
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem:
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjść blisko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą —
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!
Car Piotr, wypuścił rumakowi wodze:
Widać, że leciał tratując po drodze;
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta,
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta —

Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze — lecz nie spada:
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie...
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa —
I cóż się stanie z kaskadą tyrańskiwa?...

Uwaga. Z Grażyny i Pana Tadeusza niema w tej książce wyjątków, gdyż oba te utwory podane są w Wypisach dla klasy piątej, pierwszy w całości, drugi w większej części.

Z LITERATURY SŁOWIAŃSKIEJ.

Stefan Batory i Iwan Groźny.

(Lekcye XXXVI i XXXVII z r. 1841.)

Po Zygmuncie Auguście i po Henryku Walezyuszu, który panował krótko, znalazła Polska w Stefanie Batorym męża, jakiego jej było potrzeba, aby nie tylko wzmocnił zachwianą Rzeczpospolitą, ale ją podniósł i rozszerzył.

Stefan Batory, wojewoda siedmiogrodzki, władając małym swoim krajem, znajdował się już w położeniu, które go zniewalało obeznać się z powszechną polityką Europy. Trzeba mu było z jednej strony uznawać zwierzchnictwo Turcyi, z drugiej starać się o względy cesarza niemieckiego; musiał też szukać podpory w Polsce i nawet mieć stosunki z Moskwą. Rodem Słowianin*), rozumiał język polski i przez instynkt odgadywał charakter Polaków. Skoro więc tylko objął rządy Rzeczypospolitej, przekładał zaraz senatowi konieczność przedsięwzięcia wypraw stanowczych na grożących jej nieprzyjaciół, na Krym i Moskwę. Ale, że Tatarzy krymscy podlegali Porcie, a wojna z Turkami wikłała się z wielu kwestyami europejskiemi, wypadało nadal ją odłożyć. Król Stefan osądził za rzecz stosowną począć od wywrócenia carstwa moskiewskiego i czuł się do tego na siłach. Nie przestraszała go ani potęga ani niezmierna władza panującego naówczas w Moskwie Iwana Okrutnego.

Iwan właśnie wykonywał wtedy piąte swoje opały czyli przewianie narodu. Wymordowawszy różnymi sposobami mnóstwo wszelakiego stanu ludzi, kazał wznieść na rynku szubienicę i postawić kotły z wodą, zapowiadając, że będzie wieszał i gotował żywcem

*) W tem się Mickiewicz myli.

swoich nieprzyjaciół. Przestrach ogarnął całą stolicę; mieszkańcy, pewni nieuchronnej zguby, uciekali z miasta albo zamykali się w domach. Wielki książę zagniewany, że nikogo nie było widać na ulicach, chodził z orszakiem swoim od domu do domu, wybijał drzwi i spędzał na plac publiczność, aby przypatrywała się jego okrucieństwom.

Wśród tego prześladowania, toczyła się wojna z Tatarami krymskimi. Iwan hardy i dumny, ilekroć Szwedzi chcieli z nim traktować, tchórzył i tracił zupełnie otuchę wobec Tatarów; sam podawał chanowi pokorne warunki pokoju, byleby uniknąć bitwy. Tatarzy wpadli do Moskwy, spalili miasto: 800.000 ludności, wedle rachunku historyków rosyjskich, zginęło w tej klęsce. Po ich odejściu, skoro tylko zdołał wrócić do stolicy, rozpoczął zaraz szóste swoje opały.

Nie będziemy już rozszerzali się nad szczegółami jego morderstw, bo nawet niepodobna ich wyliczyć. Potraciwszy prawie wszystkich najzamożniejszych i najbogatszych bojarów, zniszczywszy niemal połowę mieszkańców, zasiadł jakby bawić się cierpieniem ludzkiem. Z ulubionymi doradcami swymi, jednym Niemcem, drugim Inflantczykiem, wymyślał coraz nowe i dolegliwsze sposoby męczenia nieszczęśliwych ofiar. Nakoniec wziął się do zagłady swego straszliwego legionu opryszków. Tyrania zawsze musi w ostatku skruszyć własne narzędzie. Wiadomo, że tryumwirowie rzymscy wydawali swoich siepaczy na rzeź żołnierzom, a rewolucya francuska także pożarła niemal wszystkich swoich katów.

Iwan Okrutny, czując potrzebę przywiązania do siebie całego wojska, wytępił pomału bliższych zauszników, często z najpiekielniejszym przemysłem obciążając karę. Tak na przykład jednemu przed pójściem pod topór, kazał pierwej własną ręką zabić ojca.

Epoka ta prześladowań rozpoczęła się od śmierci księcia Wariatyńskiego, wojownika wsławionego czynami, świeżego zwycięzcy Tatarów. Wielki książę kazał go palić ogniem powolnym i sam przysuwał laską węgle, dopytując się, gdzie swoje skarby pochował.

Kurbski, ów bojar, co się schronił do Polski, pisząc o swoim przyjacielu Wariatyńskim, powiada:

»Mężu znamienity, mężu rzadkiej mocy umysłu i ducha, niechaj twa pamięć pozostanie na zawsze świętą w domu naszym. Służyłeś ojczyźnie niewdzięcznej, w której cnota jest zbrodnią, a sława zgubą«.

Mimo to wszystko, bojarowie i lud ślepo ulegali Iwanowi. Jeden ze spółczesnych pisarzy przytacza następujący przykład:

»Kiedy wielki książę kazał jednego ze znakomitych bojarów wbić na pal, ten nieszczęśliwy, żyjąc 24 godzin w męczarniach, rozmawiał z żoną i dziećmi, stojącemi przy nim, a w ciągu tej rozmowy powtarzał co chwila: »Panie Boże, niech Twoja opieka czuwa nad carem«.

Wszystkie te szczegóły służą do zrozumienia historyi rosyjskiej. Skoro taka bojaźń weszła w krew pokoleń, stała się wrodzoną poddanym: samowładztwo panujących ugruntowało się na niewzruszonej podstawie. Wielcy książęta wytępili do szczętu wszelkie uczucie zdolne zrodzić opór.

Nawet jego rozrywki były zawsze okrutne. Miał niedźwiedzi umyślnie hodowanych i wprawionych do polowania na ludzi. Z tymi zaczajony u którejkolwiek bramy Kremlina, czekał, aż póki się nie zbierze gęstsza gromada przechodzących. Szczególniej lubił, kiedy mu się zdarzyło podchwycić tym sposobem garstkę chłopów albo mieszczan, wesoło powracających z szynku. Wtedy puszczał na nich swoje drapieżne bestye i widząc jak te szarpały struchlałych od strachu, śmiał się na całe gardło. Jeśli jednak któremu z napadniętych udało wykręcić się od śmierci, dawał mu w nagrodę zręczności kilka sztuk złota. Czasem także kazał zaszywać ludzi w skóry niedźwiedzie i szczwał psami.

Mówiliśmy już, jak posłowie zagraniczni nie mogli ani domyślać się tego, co się działo w Moskwie. Iwan doskonale układał się przed nimi, zmieniał zupełnie swój charakter i język. Jeden z tych posłów, Cobentzel, ambasador cesarza niemieckiego, człowiek oświecony i rozumny, mówiąc o Iwanie powiada nawet wyraźnie, że wszystko, co na niego w innych krajach gadają, jest wierutną potwarzą; że monarcha ten owszem ma jak najlepsze wychowanie, umie bardzo dobrze traktować ludzi, wie, jak kogo wedle dostojeństwa uczcić należy, i jemu samemu oddał uprzejmie odwiedziny.

Batory ledwie mogąc 40.000 żołnierza zgromadzić do boju, nie wahał się wydać walki temu mocarzowi, który wedle podania historyków moskiewskich, miał wojsko tak liczne jak Xerxesowe; samej armii regularnej rachował 40.000, nadto 150.000 synów bojarskich, i mógł w potrzebie ruszyć 300.000 chłopów. Mimo to król Stefan, przedsiębiorąc jedną po drugiej trzy wyprawy, zmusił go do przyjęcia warunków poniżających.

Wojna ta ma wieloraki charakter: jest razem polityczną, religijną i można powiedzieć literacką. Polityczną w najgłębszem znaczeniu, gdyż chodziło tu o przewagę samych zasad rządowych obu

krajów; religijną, ponieważ wzrost albo upadek wyznania greckiego od niej zależał; literacką nakoniec, bo ważyły się w niej losy dwóch języków, i rzeczywiście odgraniczyła dyalekt rosyjski od polsko-ruskiego.

Widzieliśmy już, jak język polski spokojnie pomykał się za Niemen i aż nad brzegi Dniepru. Dotąd prowadził go duch religijny, teraz podbój polityczny otwierał mu drogę w strony północno-zachodnie, na ziemie zamieszkałe przez lud fiński, będący pod panowaniem Niemców; dawał mu sposobność szukać sobie granic w Rusi Białej i w Inflantach.

W obu stających do walki państwach, podobno sami tylko ich monarchowie, Iwan Okrutny i Stefan Batory, znali jej ważność i rozumieli, jakie następstwa sprawić mogła. Iwan, cały wylany na srogie bezprawia i rozpustę, czuł jednak ciągle niebezpieczeństwo dla siebie tego ruchu, co natenczas pod względem politycznym i religijnym objawiał się w Polsce, pilnie uważał każdy wypadek w tym kraju; bez ustanku posyłał tam swoich agentów, ujmował możnych, starał się zrobić sobie stronnictwo i tyle nawet dokazał, że po śmierci Zygmunta Augusta kilku panów polskich, a wielu litewskich chciało oddać berło Rzeczypospolitej temu potworowi, pożerającemu własnych poddanych.

Widoki rozmaitych sekt występowały w owym czasie na czoło i trzymały ster wszystkich interesów politycznych Polski. Domy, należące do wyznania greckiego, ciągnęły za wielkim księciem moskiewskim i miały po sobie innych różnowierców, bo trzeba było odszczepieństwom gdziekolwiek znaleść podporę dla walczenia z kościołem katolickim. Iwanowi nie zbywało na zręczności; przez rachubę obchodził się jak najuprzejmiej z posłami polskimi, wspaniale ich przyjmował na swoim dworze, nie szczędził ani grzeczności ani podarunków. Historyk rosyjski przytacza własne jego słowa do jednego z tych poselstw.

»Wystawują mię jako monarchę nielitościwego — rzecze — nie mówię nic przeciw temu. Ale gdyby zapytano, dla kogo jestem srogi, odpowiedziałbym: dla złych. Dobrym (co miało się rozumieć Polakom) oddałbym ostatnią koszulę. Dziw, że wasi królowie miłują poczciwych swoich poddanych! Moi, chcieli mię wydać chanowi«.

I takie słowa krzywdzące Moskali, mówił wobec zgromadzonych bojarów.

Niektórzy Polacy dali się uwieść obłudą Iwana. Tuszyli zresztą sobie, że prawa i ustawy polskie potrafiłyby okiełznać jego gwał-

towność. Zdaniem jednak historyka rosyjskiego, podobno zawiedliby się na tem; i szczęściem dla nich, Opatrzność nie wystawiła ich na tę próbę. Cokolwiek bądź, cały naród, ogół szlachty mniejszej odpychał zawsze myśl przyzwania na tron wielkiego księcia moskiewskiego, i wszystkie zabiegi nie zdołały uczynić go popularnym.

Wojewodzie siedmiogrodzkiemu posłużył szczególniej ów zamęt moralny i zbieg rozmaitych interesów, jaki natenczas wichrzył Polską. Wyszło to mu naprzód bardzo na dobre, że go nikt nie znał z bliska. Nie wiedziano z pewnością, czy był lutrem czy katolikiem. Różnowiercy, słysząc o jego tolerancyi, pochlebiali sobie, że sprzyjał naukom nowym; katolicy mieli go także za swojego. Jedni więc przez nienawiść Francyi i Austryi, drudzy przez nienawiść Moskwy zgodzili się na wybór tego kandydata. Powtóre, zalecało i to Stefana, że mniemano go być przyjacielem Turczyna: Turczyn miał wielką popularność. To wszystko stawiło Batorego w korzystnem położeniu, które umiał ocenić; nie zaczepiał wcześnie zagadnień drażliwych, będąc pewnym, że je rozstrzygnie, jak na króla przystało, postępkami swymi, czynem.

Za przybyciem tedy do Polski, otworzył natychmiast radzie swoje zamiary przeciw Moskwie. Wykonanie ich zwlekło się trochę z powodu buntu Gdańska i miast pruskich. Ale posłany mały oddział Polaków pobił liczne wojsko Gdańszczan, odparł ich za mury i zmusił miasto do poddania się królowi.

Tymczasem kiedy w Rzeczypospolitej naradzano się jeszcze względem zamysłów królewskich, Batory rozsyłał na wszystkie strony posłów, zawiązywał przymierza z dworami obcymi i gromadził siły zbrojne. Właśnie jak w porę było wszystko gotowe, bo Iwan, nie czekając na wypowiedzenie wojny, wtargnął do Inflant. Kraj ten nadmorski, dotykający posiadłości polskich i moskiewskich, był bardzo ważnym dla obu mocarstw z przyczyny swego położenia na drodze komunikacyjnej Północy z Europą przez morze Bałtyckie. Nagły i gwałtowny napad Moskali pomieszał Inflantczyków i Szwedów; załogi polskie cofnęły się z miast przed przemagającą siłą: wodzowie Iwana w kilka tygodni zdobyli całą krainę, wszystko pustosząc ogniem i mieczem. Jeńcy, po stu, dwustu i trzystu posyłani do Moskwy, byli traceni w oczach wielkiego księcia.

Król Stefan, uśmierzywszy Prusy, ruszył przeciw Moskalom. Jeden z wodzów polskich, Andrzej Sapieha, mając zaledwo 2000 jazdy pancernej i zebrawszy garstkę piechoty szwedzkiej i inflanckiej, napadł dwudziestotysięczny oddział moskiewski, oblegający

Wenden, zadał mu klęskę, a nazajutrz wyparł z okopów i zniósł do szczętu. Kanonierowie moskiewscy, nie chcąc poddać się w niewolę, powieszali się na lawetach swoich armat. Bohaterski ten postępek wzbudził podziwienie w Polakach, a historyk rosyjski, opisujący tę wojnę, poświęca kilka kart wymownych na pochwałę patryotyzmu tych żołnierzy.

Tymczasem Batory z głównemi siłami ciągnął przez Litwę. Radzono mu iść prosto do Inflant i oczyścić kraj z załóg nieprzyjacielskich; ale on utrzymywał, że należało zdobywać Inflanty, wojując gdzieindziej, żeby zająć punkt środkowy między Litwą, Białą Rusią i Finlandyą, a razem oprzeć podstawę swego działania na drodze do stolicy, która zawsze była celem jego widoków. Skierował się na Połock i opasał go szańcami. Po kilku tygodniach oblężenia, pomimo słoty i zimna późnej pory roku, miasto zostało wzięte szturmem, zamek zaś poddał się przez kapitulacyę. Dowódcy moskiewscy żądali wolnego powrotu do swego kraju, na co chętnie król zezwolił, żądając tylko od nich słowa, że więcej przeciw Polsce walczyć nie będą. Warunek ten był zbyteczny, bo czekała ich tam śmierć niechybna: Iwan nigdy swoim wodzom, a nawet i szeregowym żołnierzom nie przepuszczał złożenia broni. Gdy więc ci nieszczęśliwi ze łzami w oczach prosili o wolność niesienia głów swoich pod stopy cara, król Stefan wzruszony tem poświęceniem się chciał ich gwałtem ocalić i wbrew danemu słowu zatrzymał jako jeńców.

Wyprawa ta skończyła się zajęciem całej Białej Rusi i wielu miast inflanckich. Król pojechał na sejm do Warszawy.

Skutkiem zabiegów Iwana i ścierania się różnych interesów między Polakami gotowała się w sejmie burza przeciw królowi. Pomawiano go, że dla dogodzenia własnej dumie prowadził tę wojnę uciążliwą; że wydawał ogromne sumy na zdobycie pustej ziemi; że napastował wielkiego księcia, który był spokojnym i najżyczliwszym sąsiadem Rzeczypospolitej. Batory, jeszcze blady od trudów wojennych i wycierpianej choroby, ukazując w kole sejmowem swoje włosy osmalone podczas szturmu Połocka, rozbroił wszystkie niechęci i zamknął usta przeciwnikom. Nie tylko nikt nie śmiał odmówić mu zasiłków na drugą wyprawę, ale nawet przeciw dawnym ustawom i zwyczajom powtórnie uchwalono dwuletni pobór podatków.

Król, otrzymawszy zezwolenie stanów, czynił nowe zaciągi i wszelkimi sposobami powiększał swoje siły. Tymczasem posłowie, tak jego jak moskiewscy, uwijając się po obcych dworach, w Sztok-

holmie, w Kopenhadze, w Rzymie, w Wiedniu i w Londynie, wciągali w tę sprawę całą Europę.

Szwedzi, zagrożeni sami od potęgi wzrastającej na Północy, trzymali się strony polskiej. Król duński, nienawidząc równie Moskali jak i Szwedów, pozostał w niepewności. Królowa angielska, dbała o zyski handlowe z państwem moskiewskiem, a razem chcąc dokuczyć Polsce, w razie gdyby ta połączyła się z Austryą, kierującą natenczas polityką hiszpańską przeciw Anglii, zasilała wielkiego księcia dostarczaniem mu zapasów wojennych i ludzi usposobionych. Francya wzbudzała w nim obawę swoim wpływem na Konstantynopol, którego mogła użyć ku wsparciu Polski. Iwan tedy zachowywał dobre porozumienie z Anglią, oszukiwał Francyę i starał się zjednać sobie Austryą.

Polska w owym czasie miała dwóch naturalnych nieprzyjaciół, Turka i Moskala. Turcy odepchnęli ją od morza Czarnego, zagrażali prowincyom południowym, wydarli z pod jej zwierzchnictwa Wołoszczyznę i Multany. Wielkie księstwo moskiewskie w żaden sposób nie mogło stać obok Rzeczypospolitej polskiej. Ale polityka Polski dziwnie już była obałamucona. Opinia powszechna uporczywie wołała o przymierze z Portą i z wielkim księciem, a uważała Austryą za najniebezpieczniejszą nieprzyjaciółkę. Wszystkie te pojęcia wsiąkały w lekkie umysły polskie razem z naukami doktorów wittenberskich i genewskich, którzy nie mieli czego lękać się Turków i Moskali, a dla bardzo widocznych przyczyn nie lubili dworu austryackiego.

Batory, jakeśmy już powiedzieli, mocą swojej woli przełamawszy usposobienie wewnętrzne sejmu, rozpoczął drugą wyprawę przeciw Moskwie. Zamiarem jego teraz było odciąć wielkie księstwo od morza, przerwać tę drogę, kędy Iwan dostawał z Europy inżynierów, artylerzystów i rzemieślników, ścisnąć potęgę moskiewską w jej gnieździe i zdusić albo wyrzucić na stepy północno-wschodnie. Od Połocka puścił się przez lasy i bagna szlakiem, znanym w Rosyi pod nazwiskiem drogi książąt litewskich, i obległ Wielkie Łuki. Wojska moskiewskie, przysłane na odsiecz, zostały pobite, zamek wzięto szturmem. Następnie wodzowie polscy pozabierali Wieliż, Uświat, Rewel, Zawołocze, Jezierzyszcze, Porchów, Opoczkę, Starodub i wiele innych grodów, a król stanął pod Pskowem.

Iwan, widząc siły nieprzyjaciela mało co więcej jak o mil 30 od swojej stolicy, lubo jeszcze miał 200.000 wojska, zwątpił zupełnie i począł usilniej dopraszać się pokoju. Pierwej odzywał się

zawsze hardo i pisywał listy obrażające, teraz zalecał już swoim posłom błagać króla uniżenie, znosić z pokorą chrześciańską, gdyby ich źle traktował, a nawet chociażby i kazał obić.

W ciągu całej tej wojny daje się widzieć niby mały dramat, odgrywany przez trzy osoby; toczy się szczególniejsza rozmowa między wielkim księciem Iwanem, królem Batorym i księciem Kurbskim, owym zbiegiem z Moskwy, towarzyszącym wszędzie Batoremu.

Kurbski był jakby uosobioną zgryzotą sumienia dla wielkiego księcia. Skoro tylko popełnił nowe okrucieństwo, skoro poniósł nową klęskę, natychmiast otrzymał od Kurbskiego list pełen gorzkich wyrzutów i, mimo całą swoją potęgę, nie miał mocy zostawić go bez odpowiedzi. Za każdym razem odpisując mu powiadał, że nie chce mieć do czynienia ze zbiegiem, a jednak kiedy nowy list przyszedł, nie mógł wytrzymać i brał się do pióra. Sam nawet wszczynał czasem korespondencyę. Na początku wojny opanowawszy miasto Wolmar, którego mieszkańcy schronieni w zamku woleli dobrowolnie wysadzić się na powietrze, niżeli dostać się w ręce tyrana, napisał do Kurbskiego następujący list, tchnący zjadliwą ironią i hipokryzyą:

»Niechaj pokora będzie jak w mojem sercu tak i w moich słowach. Znam moje winy, ale miłosierdzie Boskie jest nieskończone: i w tem pokładam nadzieję mego zbawienia. Pan Bóg cieszy się więcej z jednego grzesznika skruszonego, niżeli z dziesięciu sprawiedliwych. Ta bezdenna dobroć pochłonie grzechy jednego tyrana i rozpustnika. Patrz, Kurbski, jakie są zrządzenia woli Bożej. Gdzie ty dzisiaj? Pisałeś ostatni list z Wolmaru. Siedząc tam, wylewałeś obelgi przeciw twemu panu, a oto teraz twój pan w tem mieście. Wejdźże nakoniec w siebie samego; zastanów się nad tem, co czynisz. Nie pycha skłania mię przemawiać do ciebie, ale miłość chrześciańska. Chciałbym cię poprawić, mój biedny Kurbski, chciałbym uratować twą nieszczęśliwą duszę«.

Kurbski zaczekał na wzięcie Połocka i pobicie wojsk moskiewskich przez Batorego, a potem po dostaniu szturmem przez Polaków zamku Sokoła, wśród dymiących się jeszcze gruzów odpisał Iwanowi:

»A co, mój carze moskiewski? w cóż się obróciły twoje tryumfy? Pogrzebałeś je razem z ciałami wojewodów, pomordowanych przez ciebie. Król Stefan z garstką swego rycerstwa gości w twojem państwie, odbiera ziemie, któreśmy niegdyś podbili, a ty na czele niezliczonego wojska kryjesz się i uciekasz, choć nikt cię nie ściga prócz własnego twego sumienia. Czyliż nie wyraźnie ręka

Boska dotknęła tyrana? Co za widok wszędzie! Głód, zaraza, zgorzeliska po całym kraju, stolica w gruzach i, co okropniejsza, zgroza w stolicy!«

Batory mieszał się także do tego dyalogu. W owym czasie komunikacye dyplomatyczne nie miały jeszcze tej bezkolorowej formy, jaką im nadano później; nie używano raz na zawsze ukutych wyrażeń i zimnych ogólników. Monarchowie północni, prawdziwie obyczajem bohaterów homerowskich, odzywali się jeden do drugiego krasomowczą prozą, a niekiedy i wierszem. Car Iwan, lubiący wiele mówić i pisać, często posyłał Batoremu w rozwlekłych swoich listach wyzwania, pogróżki i szyderstwa. Batory odpowiadał podobnież. Tym sposobem odgrywany dramat, którego główni aktorowie nie za pośrednictwem poety, ale wprost przemawiając, ponad gorejącemi miastami rzucali sobie nawzajem słowa, jest zapewne bardzo ciekawy; i ta rozmowa piśmienna wielkich historycznych figur stanowi szacowny pomnik w literaturze słowiańskiej.

Iwan, przebierając się w pokorę i łagodność mnicha, wyrzucał Batoremu, że rozlewał krew chrześciańską; gorszył się tem, że żołnierze polscy mało dbali o poległych i nie chcieli ich grzebać; kiedy Batory domagał się u niego zwrotu kosztów wojennych, dziwił się, jakim sposobem król i rycerz chrześciański mógł żądać pieniędzy; powiadał, że dla tego tylko nie uderzał silnie na Polaków, że miał wstręt gubić chrześcian, bo dosyćby mu było podnieść swoją chorągiew, aby ich zetrzeć.

Król Stefan odpisał na to:

»Ale ukaż się nam nakoniec, Boże moskiewski, jak tam każesz siebie nazywać podłym swoim niewolnikom. Nie widzieliśmy dotąd ani twojej osoby ani twojej chorągwi, o której ciągle nam prawisz. Chorągiew twoja straszy tylko Moskali, nie zaś nieprzyjaciół. Jeśli istotnie chcesz oszczędzać krew chrześciańską, człowiecze litościwy, dzielny rycerzu Iwanie, gotów jestem rozprawić się z tobą sam na sam. Wybierz sobie czas i miejsce, przybądź konno, a zakończym rzecz pojedynkiem«.

Rozpocząwszy oblężenie Pskowa, Batory musiał je zostawić swoim wodzom, a jechać znowu na sejm do Warszawy.

Nigdy żaden monarcha nie był równie jak on oczerniany przez swoich poddanych. Rozsiewano o nim haniebne wieści, wymyślano najniedorzeczniejsze posądzenia. Kiedy z własnej swojej szkatuły dobywał ostatnich zapasów na potrzebę Rzeczypospolitej, gadano, jakoby prowadził wojnę w tym celu jedynie, aby się zbo-

gacić, a potem uciec z Polski. Obok tego posądzano go, że starał się zamienić swoją władzę w nieograniczoną i ustalić dziedzictwo tronu, chociaż był bezdzietny i nie miał komu berła zostawić. Posłowie zmawiali się nie dać już mu więcej żadnych zasiłków, ale jeszcze raz pomieszał im szyki powszechny zapał narodu.

Po drodze od granic moskiewskich, wszędzie gdzie usłyszano zbliżającą się kolasę królewską, lud ze wsi i miasteczek wybiegał tłumem witać i błogosławić króla wojownika. Skoro przybył do Warszawy, cała ludność stolicy wysypała się na jego spotkanie, uderzono we wszystkie dzwony i gmin utrzymywał, że wyraźnie słychać było w ich głosie imię króla Batorego. Taki entuzyazm oniemił przygotowaną opozycyę w sejmie. Batory zresztą nie wdawał się w rozprawy. Przychylni mu radzili, żeby korzystając z powszechnego usposobienia umysłów, zaprowadził tęższy ład w Rzeczypospolitej. Dopytywano się u niego, jakby należało określić stosunki między państwem a stanem duchownym, między sektami a Kościołem. Odpowiadał, że jeszcze nie przyszedł czas do tego; chociaż wiele już był zrobił w tej mierze. Proszono także, żeby ogłosił uchwałę względem sposobu wybierania królów. Nie chciał i o tem nic wyrzec; chociaż wiedziano, że z panami, posiadającymi jego zaufanie, układał rozległy plan zmiany wewnętrznej w Polsce. Tymczasem zajmował się urządzeniami wojskowemi; tworzył piechotę, której Polacy dotąd nie mieli. Ponieważ szlachta nigdy nie chciała służyć pieszo, a niebezpiecznie było żądać u sejmu pozwolenia na zaciąg włościan obywatelskich, król poprzestał na zaciągu w dobrach koronnych i z nich napełniał liczne pułki, zaręczając włościanom po odbyciu trzech wypraw wolność osobistą, im samym i ich potomstwu, a nadto obdarzając często szlachectwem tych, co się odznaczyli w boju.

Tym sposobem Batory, prawie mimo wiedzy sejmu uformowawszy silną piechotę, za pomocą dozwolonego mu poboru i prywatnych zasiłków od możniejszych, których przywiązanie pozyskał, zdołał wystawić sto tysięcy regularnego wojska, co dotąd było rzeczą niesłychaną na Północy. Współcześnie zajmował się ustanowieniem ciągłych trybunałów i urządzał Kozaków osiadłych nad Dnieprem, nadawał im ziemie i przywileje, łączył ściślej z Rzecząpospolitą. Wszystkie te kroki, zupełnie przygotowane pierwej przez króla, szły pod zatwierdzenie sejmu. Tak walcząc przeciwko woli własnego narodu, przeciwko własnym poddanym, wyprawił się nareszcie po trzeci raz do Moskwy.

Chodziło mu teraz o zdobycie Pskowa, ostatniej wielkiej warowni zasłaniającej stolicę moskiewską. Ale oblężenie szło niepomyślnie. Załoga twierdzy, równa sile nieprzyjacielskiej, broniła się dzielnie. Zimna i choroby niszczyły Polaków, osłabiały ducha w obozie polskim. Trudno było ten stan rzeczy zataić przed Moskalami, zwłaszcza że znajdowali się nikczemnicy, zdrajcy, z pomiędzy nawet wysokich dostojników polskich, którzy donosząc Iwanowi o wszystkiem, zachęcali go, aby tylko wytrwał, a wkrótce ujrzy odwrót króla.

Pośród tych trudności przybył sławny Jezuita Possewino, przysłany od papieża, aby starał się zrobić pokój między Polską i Moskwą. Wielki książę bowiem obiecywał stolicy rzymskiej przyłączyć się z całem swem państwem do Kościoła zachodniego; powiadał, że miał od dawna ten zamiar i właśnie pracował nad przywiedzeniem go do skutku, kiedy mu król Stefan pomieszał wszystko swoim napadem; przyrzekał, że skoro tylko zostanie uwolniony od Polaków, zwoła natychmiast synod, ułatwi kwestye religijne i zajmie się zupełnie wyprawą na Turków, co natenczas było głównym widokiem gabinetu papieskiego.

Mimo całą swą przebiegłość, Jezuita dał się oszukać wielkiemu księciu moskiewskiemu; bo działał z dobrą wiarą i z prawdziwą gorliwością ku sprawie Kościoła, a Iwan myślał tylko, jakby pozbyć się Polaków.

Oto są własne słowa Possewina, pisane do papieża o wielkim księciu:

»Zamiast straszliwego monarchy znalazłem uprzejmego gospodarza, siedzącego za stołem wśród mile częstowanych gości, którym sam rozdawał potrawy i nalewał wina. Jednego razu car, oparłszy się na stole, rzekł do mnie głośno: Posil się dobrze winem i pokarmem; strudzony jesteś daleką podróżą od Ojca św., od głowy Kościoła powszechnego, dla którego mam cześć najgłębszą«.

Wskutek rozpoczętych układów zawarto naprzód zawieszenie broni, a potem i pokój. Possewino wmawiał w wielkiego księcia, że król Stefan dał się ugiąć jedynie jego naleganiom, ale miał on inne ważne przyczyny przerwania wojny.

Moskwa ustąpiła Polsce całe Inflanty, ze sto miast rozmaitych i ośmdziesiąt zamków obronnych. Ludność rosyjska powinna była wynieść się z tego kraju. Połock, klucz Białej Rusi, został w ręku Polaków. Nadto Batory zachował kilka miast dla Szwedów. Tym sposobem na długi czas odciął Moskwę od morza i dopiął głównego

celu swojej trzeciej wyprawy, która nie miała być ostatnią, bo wielki książę zaraz począł odnawiać swoje wojska, a król polski także, trzymając się zawsze olbrzymich swoich zamiarów, wchodził w układy z cesarzem niemieckim i zapewniał sobie wsparcie papieża, znanego z potęgi i geniuszu Syxtusa V.

Iwan, zawarłszy ten haniebny dla siebie traktat, katował dalej swoich bojarów. Ostatnie lata panowania tego tyrana nie mają nic zajmującego pod względem historycznym, ale odkrywają nam jeszcze niektóre ciemne tajniki jego serca.

Podczas wojny z Polską, wielki książę popełnił najokropniejszą ze swoich zbrodni — zabił własną ręką starszego swego syna. Młodzieniec ten, rozpustny i okrutny jak jego ojciec, prosił go, żeby mu pozwolił pójść z wojskiem wyprawianem przeciwko Polakom. Iwan wziął tę prośbę za postępek uchybiający posłuszeństwu i sławną swoją laską tak go uderzył w głowę, że rozszczepał czaszkę. Zamordowany syn, konając u nóg niewzruszonego bynajmniej ojca, jako prawdziwy Moskal wołał, że umiera wiernym i uległym poddanym.

Już złożony chorobą, która miała odebrać mu życie, ciągle wydawał wielki książę krwawe rozkazy i trawił całe dni, bawiąc się przeglądaniem swoich klejnotów. Na kilka godzin przed śmiercią synowa jego, przyszedłszy go cieszyć, musiała uciekać, przejęta zgrozą jego bluźnierstw. Skonał, jak żył przez ostatnich lat kilkanaście, bez najmniejszego znaku skruchy, bez najmniejszej myśli cnotliwej. Historyk rosyjski z tego powodu robi uwagę, że nie było dla niego powrotu, bo przestąpił ostatnią granicę zbrodni, zanurzył się zbyt głęboko w piekle, aby mógł wybrnąć, a upamiętanie się jego odebrałoby światu wiarę w sprawiedliwość Opatrzności. Tenże historyk, czyniąc postrzeżenie, że wszyscy jego zausznicy, wszyscy wykonawcy jego okrucieństw poginęli z jego rozkazu, prócz jednego Małuty, który był najsroższy, najzakamienialszy i najpodlejszy, dodaje, iż ci dwaj ludzie musieli pozostać zachowani wyrokowi straszniejszego sądu niźli ziemski.

Niechajże teraz kto wytłómaczy sobie popularność Iwana. Płakał po nim cały naród. Skoro rozeszła się wieść o jego śmierci, lud biegał po ulicach, zalewając się łzami i wyjąc z rozpaczy; rodziny nawet pomordowanych przez niego ofiar były nieutulone w żalu, przywdziewały ciężką żałobę. Historyograf rosyjski zatrzymuje się tutaj osłupiały z zadziwienia, nie wie sam, jak to wyłożyć.

Postrzegano jednak nieraz, że gmin znikczemniony zawsze ma skłonność do okrucieństwa, lubi widowiska krwawe, ciśnie się tłumami na publiczny plac kary, niezdolny jest pojmować innej siły prócz niszczącej i sile tej oddaje cześć, odpowiednią stopniowi własnego spodlenia, własnej niskości. Przykłady podobne dają się widzieć równie w narodach cywilizowanych jak i barbarzyńskich. To uwielbienie pierwiastku zagłady, mocy niszczącej zdaje się zależeć nie od ciemnoty umysłowej, ale raczej od barbarzyństwa moralnego.

Wielki książę moskiewski Iwan Okrutny był niezawodnie tyranem najzupełniejszym z pomiędzy tych, jacy są znani w dziejach świata. Łączył on w sobie wszystkie charaktery albo właściwiej mówiąc, posiadał szczególniejszy dar, niezmierną łatwość przybierania na przemian wszystkich charakterów tyranii. Raz zdawał się być płochym i rozpustnym jak Nero, drugi raz głupim i dzikim jak Kaligula. Niekiedy okazywał zimną układność Ludwika XI. Czasem używał w listach wyrażeń Tyberyuszowskich. Czytając jego korespondencye i mowy, można napotkać obok rozwlekłych i obłudnych gadanin na wzór Kromwela zwięzły i cukrowany styl Robespiera, który podniósł głos przeciw karze śmierci i obstawał za prawami ludzkości.

Piotr Skarga.

(Lekcya XL, z r. 1841.)

Szczegóły żywota tego wielkiego męża mało nam są znane; nie wiele zresztą tracimy na tem. Skarga nie wyobraża żadnej partyi ani żadnej epoki; odbija się w nim cały kraj, cały naród ze swoją przeszłością, obecnością i przyszłością nawet. Rodziną Skargi była Polska.

Współczesne dzieje Polski mogą nam wytłómaczyć to, czem powodował się Skarga na swojem stanowisku politycznem i religijnem. Przedsięwziąwszy zwalczać sektarzy, wspierać zachowawczą władzę króla i zwrócić — jeśliby jeszcze było można — Rzeczpospolitą w karby, z których wyszła — pisał on dzieła dogmatyczne, historyczne, homilie i kazania.

Jako pisarz dogmatyczny zajmuje wysokie miejsce między doktorami Kościoła, celuje nauką i biegłością w Piśmie św. Pisma tego nie przytacza, ale jest niem przesiąkły, wylewa je w ciągu własnych

myśli; cytacye, płynąc mu z pod pióra, odznaczają się od własnego jego stylu tylko kolorem ciemniejszym i uroczystszym. Czytał wszystkie pisma polemiczne, jakie wychodziły naówczas; co zaś go najwięcej zaleca pod względem literackim, to sposób tłomaczenia się, jemu właściwy. Stara się zawsze dogmata najsubtelniejsze wykładać jak najpopularniej. Dążność tę spostrzegamy i w innych pisarzach polskich, mianowicie w Reju; ale Rej bywa zbyt gminny, dawniejsi kronikarze prawią czasem nie do rzeczy — Skarga zawsze jest szlachetny i jasny.

Najważniejsze z jego rozpraw dogmatycznych są Kazania o siedmiu Sakramentach, przewyborne jako rozumowanie, a niekiedy jako wzór stylu. Wyłuszczając językiem potocznym wysokie prawdy, szuka podobieństw, porównań i przenośni na ziemi polskiej, w codziennem życiu Polaków. Na przykład (położymy z tych kazań tylko parę okresów dla pokazania, jak się zwykł wyrażać) mówiąc o chrzcie św., porównywa ten sakrament z okrętem, bez którego nie podobna przebyć otchłani między nami a żywotem wiecznym. »Jako okręt na przewóz zamorski — powiada — bez którego nikt morza nie przepłynie, taki jest chrzest św., ktoby go rzeczą samą nie miał albo pragnieniem go swojem nie przywiódł. Taka jest pokuta, gdy kto po chrzcie grzechem śmiertelnym upadnie«. Razem też tłomacząc pożyteczność bierzmowania, dodaje, iż jest potrzebne »nie tyle, żeby zbawienie było, ale żeby bezpiecznie było; jako kto konia ma na drogę, bezpieczniejszy jest do jechania tam, gdzie myśli, choć też pieszo chodzić może«. Tymże trybem dając zrozumieć ważność innych sakramentów, z dziwną prostotą i mocą objaśnia cały system religii katolickiej.

Jako pisarz polityczny wydał dzieła niemniej wielkiego znaczenia. Z jednej strony zbijając różnowierców, powstających na Kościół, z drugiej wskazywał rządowi, jakiej drogi trzymać się był powinien. Przekładał Polakom, że główne, żywotne zadanie wewnątrz państwa odnosiło się do ziem ruskich, że nie było innego sposobu spoić nieodzownie tych ziem z Rzecząpospolitą, jak tylko przez węzeł jedności z Kościołem. Dla dopięcia tego celu radził koniecznie dać większą opiekę ludowi, polepszyć jego byt materyalny i na ostatek skłaniać go ku wierze prawdziwej, nie za pomocą środków gwałtownych, ale przez apostolstwo. Wielkie te prawdy są zawarte w znanem dziele O jedności Kościoła.

Najwyżej jednak pomiędzy pracami Skargi stoją i najwięcej mu zjednały wziętości jego mowy polityczne czyli Kazania sej-

mowe. Rodzaj ten on sam utworzył. Przy niezwykłym talencie nie mógł całej swej potęgi rozwinąć w homiliach i pismach dogmatycznych; dopiero w kazaniach sejmowych wzniósł się na szczyt swego geniuszu. Tu objawia pojęcia, jakie miał o posłannictwie Polski, skreśla obowiązki obywateli względem Rzeczypospolitej, wykłada system polityczny, uznany przez się za najlepszy, przepowiada nareszcie przyszłość Polsce: jest mowcą, politykiem, kapłanem i prorokiem.

Nadewszystko dzieła jego odznaczają się patryotyzmem.

Skarga stawi nam wzór kapłana patryoty. Cecha ta przebija się już w jego pismach polemicznych. Miłość dodawała mu sił; ciągle dowodził różnowiercom, że gubili ojczyznę, i trzeba było nielada odwagi, nielada mocy do walczenia z tylu sektami, rozdzielającymi natenczas Polskę. Apostołowie, doktorowie Kościoła, św. Augustyn, św. Klemens Alexandryjski, wszyscy dawni filozofowie, którzy wykładali naukę katolicką i wojowali z niedowiarkami, byli zawsze otoczeni swoją owczarnią, choć nie liczną, ale skupioną. Skarga znajdował się pośród wojska zbuntowanego przeciw swoim wodzom, musiał zniewalać sobie słuchaczów. Sektarze krzyczeli na niego, że był inkwizytorem, pieczeniarzem królewskim, intrygantem, stronnikiem władzy absolutnej. Szkalowany, prześladowany, niekiedy publicznie lżony, skoro wstępował na kazalnicę, widział przed sobą nieprzyjaciół; schodząc z niej napotykał nawet gwałtownych napastników. Powiadają, że raz przy wyjściu z kościoła dostał policzek; innego razu cudem uniknął śmierci. Nasadzeni siepacze jednego pana czekali go na drodze, kędy miał przechodzić, ażeby go porwać i utopić. Przyszła mu nagle myśl zajść do pańskiego dworu i — tem się ocalił. Pan ów, co kazał nań czatować, zmieszany zjawieniem się jego u siebie, przyjął go gościnnie i rozstali się po przyjacielsku.

Człowiek ten, wystawiony na potwarze i niebezpieczeństwa, podnosząc głos z mownicy kościelnej, zamiast coby miał w usposobieniu, w przychylności swego audytoryum czerpać siłę, której tak potrzebował, musiał ją wydobywać z samego siebie, musiał w głębi swojego ducha roznieconym zapałem ogrzewać publiczność zimną i źle uprzedzoną. Nie puszczał się on na żadne wybiegi, używane przez mowców, nie starał się ująć sobie słuchaczów, nigdy im nie pochlebiał, a najczęściej, wyłożywszy senatorom i posłom ich obowiązki z godnością i surowie, po krótkiem wzniesieniu modlitwy do nieba, poczynał piorunować na występki prywatne i publiczne, nigdy jednak nie wytykając osób. Sam tylekroć obrzucany

obelgami, nikomu nie zrobił najmniejszej przymówki; karcił tylko złe nauki i wady ogólne.

Tu potrzeba wyłożyć, co to był ten patryotyzm Skargi; jakie on miał pojęcie ojczyzny, które ukazuje się w jego dziełach.

Zawiązek tego pojęcia daje się nam widzieć już w bajecznych dziejach Polski, w najdawniejszych podaniach kronikarzy, w pismach Wincentego Kadłubka, który wyrzekł, że miłość ojczyzny jest przemożna jak śmierć; w powieści zmyślonej żywotopisarza św. Stanisława o tej koronie, co odebrana cudownie Polsce, miała jej znowu być zwrócona; nakoniec w historyi Długosza. Ale dopiero Skarga wyłuszcza, rozwija to pojęcie i w słowach swoich stawia je zupełnie przed oczy.

Skarga miłuje ojczyznę nie dlatego, że jest jego ziemią rodzinną, ale że jest, jak powiada, ustanowieniem Bożem. Bóg stwarza narody, nadaje im różne posłannictwa, a stósownie do tych mają one właściwe sobie obowiązki. Słowem, narody u Skargi są to jakby osobne stworzenia, jakby jakie jestestwa organiczne rozmaitego rodzaju. Poczynają się one z miłości Bożej, a prowadzi je mądrość. Ale ta mądrość jest wieloraka. Jest jedna d y a b e l s k a, która dowcip swój obraca na zdrady i szkody ludzkie, przez grzechy, oszukania i kłamstwa sławy świeckiej i dobrego mienia dostając; ta przewodniczy piekielnikom, narodom piekłu zaprzedanym. Jest druga mądrość z i e m s k a, której cały rozum w dostawaniu, zatrzymywaniu i mnożeniu dóbr tego świata; taką mądrość mają politycy dzisiejsi (dodaje Skarga), którzy nauczają panów i królów, aby tylko doczesnego pokoju i dobrego bytu poddanych swoich pilnując, zbawiennych potrzeb ich zaniechali. Jest nakoniec mądrość n i e b i e s k a, przenikająca tajemnice Opatrzności; nie można jej inaczej nabyć, jak przez świątobliwość. Tą mądrością opatrzeni byli Józef, Mojżesz, Machabeusze i t. d. Podobni mężowie poznają drogi zakreślone narodowi od Boga i są powołani wprowadzać na nie swój naród.

Takie są wyobrażenia Skargi. W całej historyi widzi on tylko dwa ludy, które odpowiadają wysokiemu jego pojęciu ojczyzny: lud wybrany, to jest hebrajski, i lud polski. Za dowód szczególniejszego błogosławieństwa nad Polską uważa naprzód to, że Opatrzność obdarzyła ją długim szeregiem królów, między którymi nie było żadnego tyrana, i nawet Bolesławowi Śmiałemu, jedynemu z pomiędzy nich mordercy, dozwoliła zbrodnię tę odpokutować przed śmiercią; powtóre, że Polska, ostatnie państwo chrześciańskie, stoi

jako przedmurze cywilizacyi na północy; nakoniec, iż posiada wolność, wynikającą z konstytucyi zupełnie takiej, jaka jest w organizmie ludzkim, gdzie serce i głowa nie mają władzy despotycznej nad członkami, ale są tem w ciele, czem religia i rząd królewski w Rzeczypospolitej.

Skarga kochał i ochraniał Polskę jako nową Jerozolimę, na którą Bóg zlał wielkie obietnice. Ale Polska, jaką on pojmował, była tylko w jego myśli; oddzielał ją nawet od ludzi. Ludzie, zdaniem jego, zdradzają tę ojczyznę, zbudowaną przez Opatrzność, sprzeniewierzają się swemu posłannictwu. Na generacyę, do której mówił, patrzał jako na występną, jako na idącą drogą błędną do strasznych nieszczęść. Przetoż raz, kiedy stanie mu w oczach owa ojczyzna Boża, zrealizowana na ziemi przez cnoty przodków i patronów Polski, podnosi głos błogosławiący; drugi raz, kiedy weźmie przed się zbrodnie i złości współczesnych, złorzeczy i grozi.

Oto jest kilka okresów ze wstępu, od jakiego począł jedno z kazań swoich. Są w innych jego kazaniach miejsca daleko wymowniejsze i piękniejsze pod względem stylu, ale kładziemy ten przykład, bo tu właśnie mówi o miłości ojczyzny. Wobec zgromadzonych na sejm senatorów i posłów, tak się odezwał:

»Żaden z was, przezacni panowie, nie jest tak prosty, iżby nie baczył ciężkiej i wielkiej niemocy tego naszego królestwa i wnętrznego a domowego jego zachwiania — abo żeby nie uczuł mocnego nieprzyjaciela, który na głowy nasze następuje i rozbojem straszliwym nam grozi. Byście domowe niemocy tego królestwa zleczyli, łacniejszaby na przychodnia obrona znaleść się mogła. Ale jako się chory bronić ma, który na nogach swoich nie stoi? Leczcież pierwej tę chorą matkę swoją, tę miłą ojczyznę i Rzeczpospolitą swoją...

»Słusznie do was, przezacni obmyślacze dobra pospolitego wszystkiej tej Korony, to jest ludzi i dusz, ile ich jest w Polsce, w Litwie, w Rusi, w Prusiech, w Żmudzi, w Inflanciech, oczy do was podnoszą, mówiąc jako oni Egipcyanie do Józefa: Zdrowie nasze w ręku waszych; wejrzyjcie na nas, abyśmy nie ginęli w domowej niesprawiedliwości i w pogańskiej niewoli. Wyście ojcowie nasi i opiekunowie, a my sieroty i dzieciny wasze. Wyście jako matki i mamki nasze: jeśli nas odbieżycie, a źle o nas radzić będziecie, my poginiem i sami zginiecie. Wyście rozum i głowy nasze, my jako proste dzieci, na wasze się obmyślanie spuszczamy; i Pan Bóg wam o nas myśleć rozkazał. Wyście jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskają, a my jako pola, które się onemi rzekami

polewają i chłodzą. Góry, jako psalm mówi, przyjmujcie ludkom pokój i pagórki spuszczajcie im sprawiedliwość. Was Pan Bóg podniósł na wysokie urzędy, nie dla was, abyście sami swoich pożytków pilnowali, ale dla ludu, który wam Bóg powierzył, abyście nam sprawiedliwość i pokój, który od Pana Boga bierzecie, spuszczali.

»Też są głosy i wołania ich do was: zmiłujcież się nad nimi. Miłujcie tę ojczyznę swoją i to Jeruzalem swoje, to jest koronę tę i Rzeczpospolitą, a mówcie tak z serca z Dawidem: Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicy ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę i jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę«.

Ci, do których Skarga to mówił, często mu przerywali szmerem niechęci: wyjąwszy jednego, wszyscy senatorowie byli protestantami*). Podczas podniesienia hostyi sam król tylko przyklękał; oni, stojąc przed ołtarzem, zamiast uchylić czoła, umyślnie potrząsali głowami, ażeby błyskały brylantowe spinki u czapek. Kaznodzieja też nie ubiegał się o ich względy. Poglądając na tych ludzi pysznych, otoczonych tłumem dworzan, mających za drzwiami kościoła swoje hufce zbrojne, wręcz im powiedział:

»Zjeżdżacie się z wielkiemi kupami jezdnych i pieszych jako na wojnę, nie na radę i utracacie to, czemby się niemałe wojsko uchować podobno mogło. Tak długi czas tu siedzicie, a mało sprawujecie. Wiele (wedle proroka) siejecie, a mało użynacie. Na pobory narzekacie, a tu większe utraty na tem takiem zamieszaniu podejmujecie. Przeto czujcie o takiej pladze Boskiej nad wami, iż Pan Bóg dopuścił pomieszanie rad i rozumów waszych, iż widząc nie widzicie, chcąc co czynić, nic nie czynicie. Co we dnie zrobicie, to się w nocy obali i błogosławieństwa żadnego z waszych rad i sejmów nie masz«.

Potem przebierał jedne po drugich wszystkie wewnętrzne plagi Rzeczypospolitej: niezgodę domową, ścieranie się stronnictw, upadek wszelkiej karności, wyuzdaną samowolność, osłabienie władzy królewskiéj, ucisk włościan:

»A ona krew — wołał — abo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego zakreślenia ciecze, jakie

*) Pomyłka.

wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiadacie sami, iż nie masz państwa, w któremby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli. I sami widzim nie tylko ziemiańskich, ale i królewskich kmiotków wielkie opresye, z których żaden ich wybawić i poratować nie może. Rozgniewany ziemianin albo starosta królewski nie tylko złupi wszystko, co ubogi ma, ale i zabije, kiedy chce i jako chce, a za to i słowa złego nie ucierpi.

»Tak to królestwo poddane robaczki nędzne, z których wszyscy żyjem, opatrzyło? Przetoż Pan Bóg grozi u Izajasza: Wyście wypaśli winnice moje i łupiestwa ubogich w domu waszym. Czemu tak kruszycie lud mój i twarze ubogich moich mielecie? Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi...

....»Czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twej roli siedzi, a źleć się zachowa: spędź go ze swéj roli, a wrodzonej i chrześciańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń. Starzy chrześcianie, którzy za pogaństwa niewolniki kupne mieli, wszystkim wolność dawali jako braciom w Chrystusie, gdy się świętym chrztem z niewoli dyabelskiej wyzwalali. A my wierne i święte chrześciany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy i jako kupione bydło, gdy dla swej nędzy uciekać muszą, pożywamy i, gdy żywności swej indziej ubodzy i znędznieni szukają, okup na nich jako Turcy za więźnie wyciągamy. Acz wiem, iż tego wszyscy u nas nie czynią, ale według złego i dzikiego jakiegoś a niesprawiedliwego prawa czynić na swoje potępienie (uchowaj Boże!) mogą. Jakoż się z takiem prawem wszystkiego na świecie chrześciaństwa nie wstydzić? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać? Jako się nie bać, aby nad nami na pomstę od Boga poganie takiej mocy nie używali?«

Żadnej najboleśniejszej prawdy nie oszczędza Skarga swoim słuchaczom. Zagłębia on słowo w sumienie narodu i obraca niem na wszystkie strony. Przepowiada Polsce okropne nieszczęścia — nie w sposób tylko symboliczny, jak to czynili prorocy starego zakonu, ale jak najwyraźniej, jak najdobitniej. Przyszłość stała mu przed oczyma, wypisana jakby w księdze dziejów upłynionych: czytał ją od deski do deski.

Oto co w kazaniu swojem o zgodzie domowej wróżył Polakom w czasie, kiedy odnosili wielkie zwycięstwa nad Szwedem, nad Moskwą i nad Tatarami.

»Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę, i mówić będzie: Rozdzieliło się serce ich — teraz poginą. I czasu tak dobrego do waszego złego, a na swoje tyrańskie pogodnego nie omieszka. Czeka na to ten, co wam źle życzy; a będzie mówił: Nuże, teraz je pożerajmy, teraz pośliznęła się noga ich — odjąć się nam nie mogą!

»I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą; i będzie, jako mówi prorok: Sługa równo z panem, niewolnica równo z panią swoją i kapłan z ludem i bogaty z ubogim i ten, co kupił imienie, równy z tym, co przedał. Bo wszyscy z domy i zdrowiem swojem w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą.

»Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą, przy których teraz potężna być może ręka i moc wasza i nieprzyjaciołom straszliwa. Odbieżą was jako chałupki przy jabłkach, którą lada wiatr rozwieje. I będziecie jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili. I będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim.

»Język swój, w którym samym to królestwo między wielkiemi onemi słowiańskiemi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego potracicie i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało.

»Będziecie nie tylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami będą tam, gdzie was pierwej ważono. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkosze mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracicie, już o drugiej nie myśleć!

»Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli, jako Pismo św. przegraża, w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku. I włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto, iżeście nie

służyli Panu Bogu swemu, gdyście mieli dostatek wszystkiego, ale gardziliście kapłanem i królem i innem przełożeństwem, wolnością się belialską pokrywając, a wdzięcznego jarzma Chrystusowego i posłuszeństwa nosić nie chcąc.

»Nie tak rychło i nie tak żałośnie wojną i najazdem postronnych nieprzyjaciół zginąć możecie, jako waszą niezgodą. Jabłko gdy z wierzchu psować się pocznie, wykroić się zgniłość może, iż potrwa; ale gdy wewnątrz gnić i psować się pocznie, wszystko zaraz porzucić musisz i o ziemię uderzyć«.

Jedno z takich kazań przerwał goniec, przybyły do króla z doniesieniem o wielkiem zwycięstwie pod Kirchholmem, gdzie hetman Chodkiewicz w 4.000 wojska poraził na głowę Szwedów, mających 12.000 piechoty i 4.000 jazdy wybornie uzbrojonej. Poległ tam na placu naczelny wódz szwedzki Linderson, generał Brandt został wzięty do niewoli, a Karol, książę Sudermanii, przywłaszczyciel tronu, ledwo sam ujść zdołał. Zwycięstwo to, długo głośne po całej Europie, zapewniło Polsce Inflanty.

Skoro usłyszano tę nowinę, senatorowie, posłowie i wszyscy obecni w kościele padli na kolana. Ksiądz Skarga, odśpiewawszy *Te Deum laudamus*, tak dalej kończył swoje smutne przepowiednie*):

»Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? Kto głowie mojej doda wody i źródła łez oczom moim, abym opłakał pobicie ojczyzny i narodu mego! Gdybym był Izajaszem, chodziłbym boso i na poły nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego: Tak was złupią i tak łyskać łystami będziecie, gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda... Ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: Nic, nic; nierządem Polska stoi! Lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i wszystkich potłucze.

»Gdybym był Jeremiaszem, wziąłbym pęta na nogi i okowy i łańcuch na szyję i wołałbym na was grzeszne, jako on wołał: Tak spętają pany i popędzą jako owce w cudze strony. I ukazałbym zbutwiałą i zgnojoną suknię, którą trząsnąwszy, skoroby się w perzyny rozleciała, mówiłbym do was: Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym a perzynę pójdzie chwała wasza i wszystkie dostatki i majętności

*) Pomyłka. Kazania sejmowe były drukowane na pięć lat przed bitwą pod Kirchholmem.

wasze. I wziąwszy garnek gliniany, a zwoławszy was wszystkich, uderzyłbym go mocno o ścianę w oczach waszych, mówiąc: Tak was pogruchocę — mówi Pan Bóg — jako ten garnek, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą«.

Tu zatrzymuje się nieco i jakby uderzony widzeniem woła:

»O jakoś owdowiało, ludne i pełne królestwo! Płacząc w nocy płaczesz i łzy twoje na jagodach twoich. Nie masz, ktoby cię ucieszył z onych miłych przyjaciół twoich; wszyscy tobą pogardzili, stali się nieprzyjaciółmi twymi. Wojewody twoje pędzą w niewolę jako barany słabe, które i paszy nie znajdują. Lud wszystek stęka, chleba szukając. Ołtarzami swymi pogardził Pan Bóg i kościoły podał w ręce nieprzyjacielskie. Dziedzictwa nasze wpadły w ręce cudzoziemców i domy nasze do obcych. Słudzy nasi panują nad nami; nie masz, ktoby wybawił nas z ręku ich. Stoją nad szyją naszą i spracowanym odpocząć nie dają. Ustało wesele serc naszych, obróciło się w płacz śpiewanie nasze. Spadła korona z głowy naszéj; biada nam, żeśmy pogrzeszyli. Przyszedł koniec nasz, spełniły się dni nasze. I rzekł Pan Bóg do proroka swego: Wyrzuć je, patrzyć na nie nie chcę — niech idą. I spytaliśmy: Gdzież pójdziem? Powiedziano: Kto na śmierć, ten na śmierć; kto na miecz, ten na miecz; kto w niewolę, ten w niewolę«...

Skreśliwszy taki obraz słowami branymi z proroctw o zniszczeniu Jerozolimy, dodaje:

»Gdybym był Ezechielem, ogoliwszy głowę i brodę, włosybym na trzy części podzielił. I spaliłbym jednę część, a drugąbym posiekał, a trzeciąbym na wiatr puścił i wołałbym na was: Jedni poginiecie ogniem, drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozprószycie...

»Bójcie się wżdy tych pogróżek. Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszéj nie mam, ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abym wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał. Wszystkie królestwa, które upadały, takie posłańce Boże i kaznodzieje miały, którzy im wymiatali na oczy grzechy ich i upadek oznajmiali«.

Wykłada później, iż pogróżki Boskie są rozmaitego rodzaju: jedne, które się odmienić mogą, gdy ludzie pokutują, a wypraszają się z gniewu Boskiego; drugie, które się nie iszczą rychło, ale aż na potomstwie i synach grzesznych, ojców złych naśladujących;

trzecie, które żadnej odmiany mieć nie mogą po odrzuceniu łask i są już niewzruszonym wyrokiem.

Objaśniwszy to przykładami z Pisma św. i z dziejów świeckich, powiada:

»Z jakiemiż pogróżkami posłał mię do was Pan Bóg, przezacni panowie moi? Jeśli mię spytacie: z pierwszemi czy z wtóremi czy z trzeciemi? Ja odpowiem: Nie wiem. To tylko wiem, iż jedna z tych trzech was nie minie. A ja wam najmilszym, sługa najniższy wasz, bratom moim i ludowi memu i ojczyźnie miłej mojej pierwszej życzę: aby wam Pan Bóg tak groził, jakoby wam dał pomoc do powstania i pokuty, na odmianę dekretów i pogróżek swoich; abyśmy nie ginęli, ale się przestraszywszy, do ubłagania gniewu Pańskiego wszystko serce i myśli obrócili«.

Kończąc tak przerażające wróżby słowami proroków o miłosierdziu Boga, mówi z Ozeaszem: »Ożywi nas i po dwóch dniach i trzeciego dnia wzbudzi nas«. Jest to jedyna pociecha, jaką dał swoim słuchaczom.

Wszystkie przepowiednie, zawarte w kazaniach sejmowych, powtórzone są w osobno ogłoszonem Wzywaniu do pokuty obywatelów Korony Polskiej.

Skarga zdaniem naszem spełnił ideał kaznodziei i patryoty. Jako mowca, jako pisarz stoi na równi z Bossuetem i Massillonem, a poniekąd wyżej. W najpiękniejszych kazaniach Francuzów zanadto bierze górę forma; znać zaraz, że były przeznaczone dla publiczności uczonej — kiedy u Skargi formy nawet nie widać, nie można dostrzec, jak się wytaczają jego okresy. Nie myślił on nigdy o swoich frazesach i dlatego tłómaczył się w sposób tak doskonały, tak powabny. Styl jego nosi na sobie piętno czasów, zwanych złotymi literatury polskiej; ma to szczególne brzmienie, ten dźwięk jakby metaliczny, po którym pozna ową epokę każdy Polak. W układzie nawet swoich kazań różni się od wszystkich dawniejszych i dzisiejszych mowców. Nie kreśli sobie planu zewnętrznego, nie robi tak zwanego wstępu, nie rozdziela części, nie chowa najmocniejszych argumentów na zamknięcie. Ale niekiedy pośród rozbioru kwestyi dogmatycznej, po zimnem i ścisłem rozumowaniu zapala się nagle, wpada w natchnienie prorocze, przepowiada przyszłość, nawołuje lud do poprawy, ubolewa nad narodem i jest prorokiem, trybunem, nade wszystko zaś Polakiem. Rozgrzewany ciągle ogniem utarczek, zmuszony zawsze walczyć ze swoją publicznością, nabył

ogromnej siły i wyrobił sobie ten styl, jaki jemu samemu tylko jest właściwy.

Dawniejsi mowcy duchowni są jedynie pisarzami kościelnymi: rozprawiają o dogmatach, o moralności chrześciańskiej powszechnej, należą do wszystkich wieków i wszystkich narodów. Nowoczesni kaznodzieje francuscy zbyt często dają uczuć chęć dogodzenia wymaganiom publiczności cywilizowanej, lękają się smak jej obrazić. Skarga, wstępując na ambonę, zapomina zupełnie o sobie, obraca głos do tej ojczyzny idealnej, co zawsze stoi mu przed oczyma; dla swoich słuchaczów jest — jak sam powiada — »na przymówki, wrzaski, gniewy i groźby słupem żelaznym i murem miedzianym«. Co zaś najbardziej go nad wszystkich tych mowców wynosi, to ów duch prorocki, jakiego złożył dowody tak niezaprzeczone i tak jasne.

Obrona Częstochowy.

(Lekcya IV z r. 1842.)

Do poznania dziejów Polski w XVII wieku szczególnie ważnem źródłem są pamiętniki prywatne. Pomiędzy nimi są takie, które noszą na sobie piętno pieśni bohaterskiej, epopei. Najważniejszy z tych zabytków posiadamy w szczupłem dziełku, na nieszczęście tylko pisanem po łacinie. Potoczny język ówczesny zapewne zdawał się autorowi niezdolnym odpowiedzieć wzniosłości przedmiotu.

Przedmiot sam przez się, jako fakt materyalny, nic prawie nie znaczy. Rzecz cała idzie o zdobycie i obronę małej twierdzy, ledwo kilkaset sążni gruntu obejmującej, gdzie drobna załoga stawi czoło kilku tysiącom Szwedów przez sześć tygodni. Ale to miasteczko oblężone jest miejscem głośnem, jest dla wszystkich Słowian świętym przybytkiem, drugą *Casa Santa* Loretu, a opór, dany tu nieprzyjacielowi, sprawił skutki nieobliczone, można powiedzieć — zbawił Polskę.

Żeby zrozumieć ważność tego zdarzenia i ocenić surowy ton opisu, trzeba przypomnieć sobie wypadki roku 1655., który, jak się zdawało, miał zamknąć polityczną historyę Polski.

Kiedy car wypowiedział wojnę Polsce, a wojska moskiewskie i kozackie, z jednej strony wkroczywszy do Litwy, zajęły Wilno, z drugiej stanęły pod Lwowem: Karol Gustaw, król szwedzki, korzystając z dogodnej pory, na czele armii będącej postrachem Europy, na czele weteranów wojny trzydziestoletniej wszedł przez Prusy i ogarnął Wielkopolskę. Wkrótce przyzwany do spółki Jerzy Rakoczy,

człowiek zręczny i czynny, z 20 tysiącami Siedmiogrodzian wpadł do Małopolski i łącznie ze Szwedami opanował Kraków. Reszta niezajętej Litwy, wojska kwarciane i szlachta wielkopolska poddały się Szwedowi, uznały go za pana. Jan Kazimierz, od wszystkich opuszczony, uszedł na Szląsk. Rzeczpospolita była już wtedy wymazana z karty europejskiej.

Wśród tychto zdarzeń jeden oddział szwedzki wyprawił się na Częstochowę, żeby złupić głośne, od wieków nagromadzone skarby w klasztorze Jasnej Góry. Spodziewano się wziąć forteczkę bez wielkiego zachodu; nie przewidywano, że o tę małą opokę, na której stał obronny kościółek, miało rozbić się całe powodzenie Szwedów. Ale w zaciszu klasztornem znajdował się mąż, podobno jedyny, co natenczas w Polsce umiał wznieść się nad wszelkie rachuby polityczne i militarne, pozostać wiernym sprawie ojczyzny; znajdowała się tam dusza, najmocniejsza i najczystsza z dusz polskich: w nią bijąc, nieprzyjaciel wydobył na jaw, co stanowi ukrytą potęgę w narodzie. Walka pod murami Częstochowy natężała się tak wysoko, że cała Polska mogła ją widzieć i postrzec w niej ideał narodowego oporu, miarę, ile każdy Polak powinienby zdołać. Poruszone tym sposobem tętno powszechnych uniesień przejęło Polaków jednem uczuciem, zrobiło ich niezwyciężonymi.

Człowiek, co odegrał tę wielką rolę, nazywał się Augustyn Kordecki i był przeorem księży Paulinów na Jasnej Górze. On sam zostawił nam opisanie wytrzymanego oblężenia, skreślone z prostotą godną pióra bohatera!

»Jest w Małejpolsce, w dyecezyi krakowskiej niewielka wyniosłość ziemi, od czasów niepamiętnych zwana Jasną Górą. Wędrowiec postrzega ją z daleka, bo naokoło leżą szerokie równiny, z których nieznacznie powstaje wzgórze na podnóżu skalistem. Jasna Góra słynie po wszystkich krajach słowiańskich cudownym obrazem Najświętszej Panny, złożonym w kościele klasztoru zakonników św. Pawła. Obraz ten, jak niesie podanie, był odmalowany przez św. Łukasza, na tablicy z drzewa cyprysowego, znalezionej niegdyś w domu Nazaretańskim«.

Tak poczyna się to opowiadanie skromnym stylem i porządkiem następujących zaraz wypadków.

Pierwszy oddział wojska, wysłany pod Częstochowę, składał się najwięcej z Polaków, którzy przyłączyli się do Szwedów. Dowodził nim Jan hrabia na Wrzeszczewicach Wejhard, dawniej dobroczyńca klasztoru, teraz usłużny stronnik Karola Gustawa. Chciał on skłonić

mnichów, żeby dobrowolnie uznali władzę jego pana i twierdzę swoją wydali w ręce komendanta, naznaczonego od generała szwedzkiego. Ale księża po krótkiej naradzie odpowiedzieli, iż boją się Boga, nie lękają się nieprzyjaciół i gotowi są umrzeć w obronie religii i króla. Wejhard był katolik i Polak*); odpowiedź ta miała dla niego gorycz wyrzutu sumienia; powziął stąd nieubłaganą nienawiść ku cnotliwym zakonnikom i postanowił z ziemią zrównać tę, jak nazwał, jaskinię zagorzalców. Po kilku jednak daremnych próbach, nie mogąc sam niczego dokazać, usunął się ku Krzepicom i wezwał generała Millera. Niedługo też potem nadciągnął Miller w 8.000 wojska z 20 działami polowymi.

Załoga Jasnej Góry składała się ze 160 żołnierzy, 68 mnichów i 50 szlachty, którzy się tu z rodzinami i służbą schronili; wogóle ledwo było 400 ludzi zdolnych do broni. Zresztą nie brakowało na zasobach: w Polsce sami tylko księża umieli coś utrzymać porządnie i jedyna twierdza dobrze opatrzona znajdowała się właśnie w ręku Paulinów.

Miller posyłał naprzód parlamentarzy, grożąc mnichom, jeśliby się nie poddali, a groźby te nie były próżne; bo podług ówczesnego prawa wojny po wzięciu miasta szturmem wszystko tępiono ogniem i mieczem, Szwedzi zaś wojowali okrutnie i szczególniej srożyli się przeciw duchownym katolickim. Wysłańcami od generała oblegającego bywali Polacy: ci w dobrej wierze, mając opór tak szczupłej siły za nieużyteczną ofiarę, starali się przekonać oblężonych, że nie mogą już w niczem pokładać nadziei i powinni ulec konieczności: przemawiali do nich głosem rozsądku. Jeden z nich tak się odezwał przed radą, zgromadzoną w refektarzu:

»O mój Boże, w jakichżeto czasach żyjemy, wielebni ojcowie! Ścigani przez nieprzyjaciół, opuszczeni jesteśmy przez własnego monarchę. Nasz Kazimierz uciekł haniebnie; cała Rzeczpospolita poddała się królowi szwedzkiemu. Szczęściem, że on z umiarkowaniem używa zwycięstwa. Dlaczegoż sami chcecie, nastręczając mu pastwę, przywodzić go do wściekłości? I to właśnie, kiedy Opatrzność zsyła wam sposób ratunku, kiedy chcą z wami traktować jako równy z równym. Znacież przecie, czem są wasze siły w porównaniu szwedzkich; ale może jeszcze tego nie wiecie, to wam powiem, że wojska nasze przeszły już pod chorągiew najjaśniejszego Karola Gustawa, że panowie i biskupi — wszyscy uznali

*) Pomyłka: Czech.

»opór za niepodobny. Poddajcie się przeto temu, co dobroć Boża przeznaczyła. Azaliż mniemalibyście, że wy tu z zakąta klasztornego lepiej widzicie rzeczy, niżeli panowie duchowni i świeccy; że możecie stanowić na przekorę postanowieniom senatu i rycerstwa? Dziwna to myśl tuszyć sobie, że pośród powszechnego upadku wy sami zostaniecie niewzruszeni na tej skale!«

Rada zakonników, dodaje przeor, wysłuchała tej mowy z czołem ponurem i gniewnem. Nie odpowiedziano nic na nią i rezolucyę odłożono do jutra.

Miller, zniecierpliwiony rokowaniem, przystąpił do szturmu. Tu poczynają się opisy ciągle powtarzanych ataków. Mnich, dla którego trzask pękających bomb i granatów był nowością, opowiada bitwy w sposób niezmiernie prostoduszny, trafia szczęśliwie na ten ton, jaki romansopisarze historyczni za pomocą sztuki niekiedy znajdują. Jedna wycieczka pod dowództwem Piotra Czarnieckiego udaje się bardzo pomyślnie: Szwedom, odpartym aż do obozu, zabito kilku oficerów i kilka dział zagwożdżono.

Tymczasem Miller sprowadza z Krakowa park artylleryi oblężniczej; nadzieje oblężonych ze wszech stron nikną, duch załogi upada, żołnierze wołają o kapitulacyę, zanosi się na rokosz w twierdzy. Przeor znowu zgromadza wojenną radę mnichów, aresztuje dowódcę milicyi, wygania kilku kanonierów, przedsiębierze różnego rodzaju środki, stawi przy każdym oddziale walczących biegłego teologa, ażeby ich zagrzewał, każe wykonywać nową przysięgę na wierność i, przygotowany dostatecznie, wytrzymuje jedno z najgwałtowniejszych uderzeń. Wśród tego szturmu, kiedy przeszło 500 pocisków działowych padło na sam dziedziniec klasztorny; kiedy jedni walczyli na wałach, drudzy biegali po dachach, gasząc wszczęty ogień: reszta księży, otoczonych ludnością niezdolną do broni, modliła się w kościele.

Nagle nad ich głowami zabrzmiała muzyka i ozwał się hymn do Boga Rodzicy. Było to dziełem kościelnej orkiestry, która z własnego pomysłu wstąpiła na galeryą wieży najwyższej i zaintonowała pieśń świętą. Słodka harmonia, przy strasznym huku dział wlewając w serca pociechę i odwagę, oddawała tę jeszcze przysługę, że szkaradne bluźnierstwa Szwedów nie dochodziły uszu niewiast i dzieci. Postanowiono, aby odtąd zawsze, podczas najmocniejszego nawet ognia, kapela grała na tem miejscu.

Ale przybycie dział burzących zachwiało umysły i szlachty bawiącej w twierdzy. Wyjąwszy dwóch, wszyscy nalegali już na

przeora, ażeby wszedł z nieprzyjacielem w układy, mianowicie gdy w dzień narodzenia Najśw. Panny Szwedzi, jakby umyślnie mieszając uroczystość, przypuścili atak potężny. Przeor jednak potrafił jeszcze przytłumić trwogę, nie pozwolił nawet wziąć się do broni, póki się nabożeństwo nie odbyło, chociaż podczas procesyi koło kościoła kule i gruzy murów padały pod nogi. Miller tego dnia nie odniósł żadnej korzyści, owszem utracił swego dowódcę artylleryi.

Posyłani od niego Polacy nie przestawali używać perswazyi i postrachów. Kiedy jednemu z nich Stefan Zamojski, z rodziną będący w twierdzy, a jednak ciągle nieustraszony, odpowiedział cierpko, ten obrócił się do niego z taką przemową:

»Mości Mieczniku, czy my tu jesteśmy w kole sejmowem, że się Wmć tak sadzisz na argumenta? Strzelają tu czem innem, nie słowami i dowcipem, na czem zapewne Wmci nie zbywa. Ależ proszę opamiętać się nakoniec, czy te docinki staną Szwedom za kule? Do kogoż to Wmć mówisz? My także Polacy i tak dobrzy patryoci jak kto drugi. I nam nie co innego na sercu jak Rzeczpospolita; o cóż się troszczymy, jeśli nie o to, ażeby przynajmniej szczątki jej ocalić, oddając pod przemożną protekcyę J. K. M. Karola Gustawa? Przestań więc, panie Zamojski, bałamucić ojców dobrodziejów swoją radą. Podniecasz ich do wojny, a maszże dość pieniędzy zapłacić im i szlachcie, która się tu schroniła, wszystkie szkody, jakie poniosą? odbudować zamki, wsi i miasta, jakie pójdą w perzynę albo zagrabione zostaną? Znajdzieszże dosyć krwi w swoich żyłach na okup tej, co się ma przelać pod mieczem szwedzkim? — Jeśli chcecie, wielebni ojcowie, uratować się z przepaści, śpieszcie się, powiadam wam, bo tu kamień na kamieniu nie zostanie«.

Ostatnia próba przyszła na Kordeckiego. Księża nawet, zwłaszcza młodzi i mniej doświadczeni, poczęli wątpić i szemrać. Nakoniec szlachta zbiegła się odbierać z twierdzy żony i dzieci, jak z domu zagrożonego pożarem. Niezmierna odpowiedzialność ciężyła na głowie biednego zakonnika; nie ugiął się jednak. Przewidując, że gdyby wysłał kogokolwiek, pozostali straciliby ufność, nie pozwolił wypuścić nikogo; powiedział, że sam ręczy za bezpieczeństwo wszystkich i ma środki ich ochronić.

Walka trwała dalej i każdy dzień wymagał niesłychanych wysiłeń, aż nareszcie doszła wieść o zwycięstwie Stefana Czarnieckiego, o powrocie króla do Polski: i wkrótce potem Miller odstąpił od Częstochowy.

Na ostatniem zgromadzeniu rady klasztornej, w najtrudniejszych okolicznościach, przeor tak wykładał stygnącym braciom powody do wytrwania:

»Jeżeli wskutek kapitulacyi opuścimy klasztor, któż wstrzyma bezbożników? Łatwo przewidzieć los tych świętych murów — będą zniszczone; i to właśnie nakazuje nam nie ustąpić kroku. Przypomniałbym wam wasze śluby, powinność przelania krwi w potrzebie na obronę wiary! Ale co przedewszystkiem zważyć i mieć w sercu należy, to, że sprawa Kościoła i Polski, sprawa naszej ukochanej ojczyzny polega teraz na nas, na nas samych tylko... Jeśli Bóg zamierzył zbawić Polskę, o czem wątpić byłoby niegodnie, z tej tu opoki Jasnogórskiej wytryśnie strumień polskiego życia; bo na całej ziemi Rzeczypospolitej, najechanej i splądrowanej, nie masz nieskażonego i wolnego miejsca, prócz tej skały, gdzie Przenajczystsza Dziewica tron sobie postawiła i gdzie przeto będzie stolica chwały. Tasama moc, która leczy niewidome cierpienia jednego człowieka, wyleje się stąd jak ze źródła życia i zdrowia na cały naród; odświeży, pokrzepi prowincye i miasta, widome członki Rzeczypospolitej, aby się okazało — i zaprawdę powiadam wam, iż się okaże! — że Polska nie czem innem powstanie, tylko miłosierdziem Królowej, która tu mieszka między nami!«

Owoż możemy ująć myśl moralną, która przewodniczyła tej sławnej obronie: Nie mieć względu na okoliczności i opinie ludzkie, a dopełnić wiernie obowiązków — to było całem prawidłem mnicha — bohatera.

Polska niełatwo może ukazać w dziejach swoich geniusz czynny takiej potęgi, jaką miał geniusz bierny tego człowieka. Podnosił się on do wysokości, skąd mu już dawała się widzieć przyszłość; jego męstwo nie było męstwem oficera, gotowego zginąć na stanowisku, rzucić się na śmierć z rozpaczą. Przeciwnie, zawsze jest on spokojny, pokorny nawet; w jego odwadze nie masz nic ludzkiego, bo kiedy go młodzież i żołnierze opuszczają, kiedy może tylko liczyć na kilku starców, pokłada całą ufność w uczuciu moralnem obowiązku i trwa niezachwiany. Zdaje się, że Opatrzność wyczerpała wszystkie sposoby na doświadczenie jego mocy. Przychylne perswazye rodaków, groźby Szwedów, rokosz własnych żołnierzy, upadek ducha w szlachcie, zwątpienie zakonników — wszystko odparł, sam jeden został i wszystkiemu zaradził...

Opatrzność podźwignęła jeszcze Polskę z pod nóg jej nieprzyjaciół. Naród bez wojska, bez naczelnictwa, bez środków militarnych,

bez skarbu — wyparł Szwedów, pobił Rosyan, wytępił Siedmiogrodzian i miał jeszcze dość siły ścigać nieprzyjaciela aż w jego kraju. Od czasów Lecha poraz pierwszy teraz pod wodzą Stefana Czarnieckiego Polacy sięgnęli za morze bić Skandynawów w ich ziemi.

Przepowiednie Kordeckiego zostały spełnione. Król Jan Kazimierz, wróciwszy do kraju, osobę swoją i Rzeczpospolitą poświęcił Przenajświętszej Pannie, która łaską swoją obroniła Polskę.

Kordecki był jednym z tych ludzi, których Opatrzność zsyła od czasu do czasu, jakby na wzór do kształcenia się pokoleniom. Nigdy idea polska nie okazała się tak zupełnie uosobiona jak w tym człowieku. Późniejsi bohaterowie mają ledwo niektóre rysy charakteru, w nim jaśniejącego całkowicie. Czułość Jana Kazimierza, wiara Sobieskiego, prostota Kościuszki — z różnych stron przypominają nam ciągle jedną postać moralną, tego mnicha, co łącząc razem prostoduszność, zapał i skromność, dał przykład w najwyższym stopniu słowiańsko-polskiej cnoty.

On jeden z pomiędzy pisarzy pamiętników nie mówi o sobie, nawet opowiadając czyny, których był głównym sprawcą. Raz tylko przytoczył własną przemowę, ale to bynajmniej nie dla popisania się talentem oratorskim; bo wtenczas takim tonem pokory i miłości tłómaczył wolę zgromadzenia, jakim zwykle dawał rady i przestrogi, kiedy je pokrzepiał na duchu. Nigdy też nie szuka chluby z wyższości nad innych, tai owszem imiona tchórzliwych; a chociaż w ciągu całej walki nigdy się nie zachwiał, sławę zlewając na innych, chce mieć udział w ich błędach lub słabościach: »Wielekroć traciliśmy przytomność — powiada — i byliśmy przejęci strachem; ale jak tylko zebraliśmy się radzić, wszystkich serca znowu napełniała odwaga«.

Współcześni prawie zapomnieli o tym czcigodnym człowieku. Historycy wieku przeszłego, wielbiciele i zwolennicy szkoły angielskiej i francuskiej, nie mogli już ani rozumieć podobnych zdarzeń ani ocenić podobnych ludzi: wstydziliby się może wysławiać jakiegoś tam księdza; ledwo więc czynią wzmiankę o nim — o nim, co wart pomnika jako mąż polityczny i zajmuje w literaturze wysokie miejsce, bo napisał książkę, której nie wahałbym się nazwać epopeją moralną.

Antoni Malczewski.

Syn Jana i Konstancyi z Błeszyńskich, urodzony r. 1793. (niepewne, czy na Wołyniu czy w Warszawie), lata dzieciństwa spędził na wsi, przy rodzicach, na Wołyniu. W r. 1800 stracił matkę. W r. 1803. oddany do Krzemieńca, odbył tu całe nauki świetnie, dwa razy dostał medal (najwyższą nagrodę szkoły); sam Czacki po ukończeniu nauk dał mu najchlubniejsze świadectwo i polecenie do władz, u których w przyszłości szukałby służby. W r. 1811. Malczewski wstąpił do wojska jako podporucznik inżynieryi. Kampanii rosyjskiej roku 1812. nie odbywał, bo właśnie przed jej rozpoczęciem ranny w pojedynku, a potem potłuczony ciężko upadkiem z konia, musiał się leczyć. Pozostał więc z garnizonem w Modlinie, a w roku 1813. wytrzymał oblężenie tej twierdzy przez wojska rosyjskie. Po utworzeniu królestwa kongresowego (1815) pozostał w wojsku, ale niebawem wziął z niego dymisyę i wyjechał za granicę (1816).

Świadkowie współcześni opisują go w tych latach jako młodzieńca rzadkiego wdzięku, szlachetnego serca, wesołego usposobienia, bardzo pięknej powierzchowności i pochopnego do zabaw i światowego życia.

Zdaje się, że miłość była powodem i jego dymisyi z wojska i sprzedaży dziedzicznego majątku i podróży za granicę. Podróż ta trwała pięć lat, w ciągu których przebywał w Paryżu, w Szwajcaryi, we Włoszech. Z tych wędrówek dwa zostały szczegóły wiadome i godne zapamiętania: jeden, że w roku 1818. wyszedł na Mont-Blanc (jeden z pierwszych i podówczas bardzo nielicznych); drugi, że w Wenecyi poznał się z Byronem. Podobno nawet wybierał się z nim do Grecyi, ale dla braku środków nie mógł wykonać tego zamiaru.

W roku 1821. powrócił znowu na Wołyń i z resztek majątku wziął skromną dzierżawę. Wrócił w usposobieniu gorzkiem, zbolałem; i w takiem zaczął snuć pierwsze pomysły do Maryi, a prawdopodobnie już ją i pisał. Wtedy spadło na niego wielkie nieszczęście. Wdał się w stosunki miłosne, które go zmusiły do opuszczenia Wołynia. Przeniósł się do Warszawy (r. 1823.). Dokończył też tam i wydał Maryę (1825), ale ta nie zrobiła wrażenia, nikt się na niej zrazu nie poznał. Tymczasem środki jego wyczerpały się zupełnie, zdrowie zaczęło się psuć. Nieszczęśliwy, znękany, w niedostatku, umarł w Warszawie, 2. maja 1826.

Oprócz Maryi zostało po nim parę drobnych wierszy bez znaczenia i trzy małe powiastki prozą bez żadnej wartości. Jest podanie, że zaczął, czy chciał pisać Samuela Zborowskiego, ale z tego nie ma żadnego śladu.

Marya jest jednem z najcelniejszych dzieł poezyi polskiej, jest w poezyi europejskiej jedną z najpiękniejszych powieści poetycznych, godną stać w tym rodzaju obok poematów Byrona i Mickiewicza, a wyżej od wszystkich innych.

Ze wszystkiego, co wydała nasza poezya romantyczna w swoich pierwszych latach, ona ma niewątpliwie najwięcej polskiego narodowego charakteru. Czwarta część Dziadów jest poematem miłosnym tylko, a przez rodzaj miłości, jaki w niej jest, podobnym do wielu innych z tej epoki.

Grażyna, przez sam swój przedmiot z przedwiecznych litewskich dziejów, tego charakteru wiele mieć nie mogła. W Maryi występuje po raz pierwszy świat polski i polskie życie w poetycznem świetle i przedstawieniu; po raz pierwszy prosty staropolski szlachcic staje się bohaterem poematu; po raz pierwszy zjawia się w poezyi szczero-polska postać niewieścia, ze wszystkiemi charakterystycznemi cechami swojej natury. Jak treść sama wzięta jest z historycznej rzeczywistości, jak sam powód tragicznej kolizyi — głęboki przedział w pozornej szlacheckiej równości — jest także uchwycony z samej głębi naszych stosunków: tak te postacie, od głównych i bardziej wypracowanych (jak Miecznik i Marya), aż do epizodycznych i zaledwo pokazanych (jak Wojewoda i Kozak), mają najwyraźniejsze piętno polskiej rzeczywistości i prawdy. A jak prawdziwemu zdarzeniu umiał poeta z delikatnym i szlachetnym taktem zachować tragiczność a odjąć cechę historyczną, indywidualną, występujących w niem ludzi, tak znowu tym swoim bohaterom umiał nadać doskonałą prawdę i rzeczywistość indywidualną i polską, psychologiczną i narodową, a zarazem nadać im poetyczny urok i tragiczną wysokość.

Po raz pierwszy także występuje w poezyi polskiej fizyczna natura kraju poetycznie pojęta i przedstawiona, i prócz tego służąca za tło wypadkom, dostrojona do jednego z nimi tonu, wywołująca i potęgująca to samo wrażenie.

Na osobną uwagę zasługuje cecha ukraińska Maryi: stepowy krajobraz ze swoim charakterem melancholicznym, i Kozak z właściwościami swojej natury i swoim zewnętrznym kształtem, tu zjawiają się po raz pierwszy, i stąd dostaną się do mnogich późniejszych poematów i powieści.

Ten charakter polski i ten specyficznie ukraiński, to jest jeden pierwiastek składowy Maryi. Drugi zwowu wyrobił i nadał jej kształt: a tym jest wpływ Byrona.

Malczewski nie zostawał w związku z całą naszą współczesną literaturą, nie był pod wpływem romantyków: po jego niektórych wyrażeniach, a nawet po sposobie prowadzenia rozmów możnaby raczej poznać wpływ klasyków. Ale jeżeli nie polski, to europejski romantyzm działał na niego silnie, a przedewszystkiem Byron. Sama forma, sam rodzaj poetycznej powieści, zmieszanej z epickiego i lirycznego pierwiastka, wzięte są od Byrona. Od niego także przejął Malczewski ten sposób prowadzenia rzeczy i opowiadania, zawsze cokolwiek tajemniczy, niewyraźny, podniecający (sztucznie) ciekawość czytelnika, a podnoszący (znowu sztucznie) ponure wrażenie powieści. Wacław zwłaszcza, ze swoją naturą namiętną i burzliwą, przeczuciową a gorzką, i z tą straszną na końcu przemianą, kiedy przez nieszczęście i rozpacz psuje się i każe się obawiać jakiejś przyszłości strasznej, jest charakterem i wrażeniem, jakie robi na czytelniku, podobny do bohaterów Byrona — co nie przeszkadza, że jest wspaniały i po mistrzowsku wykonany.

Trzecim pierwiastkiem, który się daje rozpoznać w Maryi i który wybija na niej to właściwe piętno poetycznego wdzięku i ciężkiego, tęsknego smutku, jest usposobienie poety samego i natura jego talentu.

Usposobienie to opisują współcześni jako w młodości pogodne i wesołe; jednak czy oni nie dostrzegli ukrytej pod wesołością tęsknoty,

czy też wyrobiła się ona później pod wpływem wypadków życia, dość, że w Maryi jest smutek głęboki i ciężki, a do żadnego innego nie podobny. Niema w nim goryczy i namiętności Byrona ani rzewności Zaleskiego, a jest jakaś stałość i niezmienność, jakiś niby fatalizm smutku, z pod którego wydobyć i wyłamać się nie można. Jest to tło uczuć Malczewskiego i jego sposobu patrzenia na świat. A ten rodzaj ponurego (nie burzliwego) liryzmu odzywa się w Maryi w samem pojęciu i wykonaniu postaci i w tych ustępach wtrąconych, niby nie koniecznych, w których poeta mówi sam za siebie, a które należą do najświetniejszych w poemacie (naprzykład 2. i 8. pieśni pierwszej, 1., 7. i 19. pieśni drugiej).

Obok tego liryzmu, który ma swoją cechę odrębną, zważyć należy artystyczne usposobienie Malczewskiego, jego rzadki dar tworzenia, który daje się poznać i ocenić w jego postaciach, szkicowanych, niewykończonych, prawie przesuwających się tylko przez scenę powieści małej, której rozmiary nie dopuszczały innego ich traktowania, a tak żywych i plastycznych, tak prawdziwych w swojej typowej czy indywidualnej charakterystyce.

Od samego ukazania się Maryi robiono jej zarzutów wiele. Mochnacki, który miał tę zasługę i chwałę, że pierwszy zwrócił uwagę na jej piękności, wytykał jej retoryczność, deklamacyjność, naśladowanie Byrona; a zarzuty te powtarzają się dotąd. Co do owego naśladowania, to wpływ Byrona jest widoczny, ale nie dochodzi do takiego stopnia, któryby szkodził czy oryginalności dzieła czy jego charakterowi polskiemu. Że przemowy (Maryi, Miecznika, Wacława) są długie, to prawda, ale ta długość nie zmienia zawartych w nich piękności. Gorszą od długości byłaby zdarzająca się czasem zawiłość zdań i okresów, niedoskonałość języka i stylu, która pochodzi stąd, że Malczewski przyzwyczajony od dzieciństwa mówić najwięcej po francusku, pomimo nauk w języku polskim, władał nim zawsze z pewną trudnością. Jednak jak język jego i styl, mimo zdarzających się niedoskonałości, jest ogółem wziąwszy bardzo piękny i wysoko poetyczny, tak i w dziele jego usterki, jakie są, znikają w porównaniu z nierównie liczniejszemi pierwszorzędnemi pięknościami. Z wyjątkiem Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, żaden poeta polski XIX wieku nie stworzył dzieła, któreby było równe Maryi, a Malczewski tym tylko wymienionym trzem ustępuje pierwszeństwa, wszystkich zaś innych przewyższa.

MARYA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

Pieśń I.

1 Ej, ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, Kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?

Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy
Nucąc żałosną dumkę, lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się po drodze;
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość,
Gdy koń, co jak ty dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher, wyciągnąwszy szyję.
Umykaj, Czarnomorcu, z swą mażą skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz
I krążysz i zaglądasz i o coś się pytasz,
Śpiesz się swą tajemnicę odkryć Kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

2 Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca
Podobni do jakiego od niebianów gońca.
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie;
Bo na obszernych polach rozległe milczenie:
Ani wesołej szlachty ni rycerstwa głosy —
Tylko wiatr szumi, smutne uginając kłosy,
Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa;
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Ach, czyjesz serce, czyje w żalu się nie nuży?

3 Minął już Kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upior pochowany),
Uchylił przed nią czapkę, żegnał się trzy razy —
I jak wiatr świsnął stepem z pilnymi rozkazy.
I koń rzeski żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął i dalej pośpiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny Kozak myśl pana zgaduje;
Szumi młyn na odnodze i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik Kozaka rozumie —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodyaki
Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała, schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny Kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza,
A step, koń, Kozak, ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

Tegosamego dnia wieczorem w starym zamku Wojewody zebrało się liczne grono gości, a wszystkich uwagę zwracała na siebie nadzwyczajna czułość Wojewody dla syna Wacława, z którym był »od dawna w rozprawie«. Przelotny uśmiech na twarzy ojca i dzika radość, od czasu do czasu migająca w jego oczach, wskazywały, iż Wojewoda ma jakiś plan ukryty, który już bliski jest wykonania (4).

Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały.
Dawny wrócił obyczaj, wspaniała ochota,
Długie się stoły lśniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty —
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodyą przebiła się czasem.
Do późnej nocy twarze ostre, malowane
Przodków, w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami
I śmiać się do pijących i ruszać wąsami.

Po uczcie rozeszli się goście i wkrótce sen ogarnął wszystkich mieszkańców zamku; jeden Wojewoda, niespokojnemi myślami trapiony, przechadzał się ciągle po ciemnej komnacie (6). O wschodzie słońca zebrane na dziedzińcu zamkowym hufce wyruszyły na wojenną wyprawę pod wodzą Wacława (7 i 8).

Następnie przenosi poeta czytelników do domu Miecznika. Siedząc pod starymi lipami, dumał ojciec nad smutnym losem córki swej Maryi (9), a ona w Piśmie św. szukała pociechy, z chrześciańską pokorą poddając się woli Opatrzności (10 i 11). Uczucia ich i myśli wyraził poeta w rozmowie ojca z córką w ust. 12.

»Ojcze! ja nazbyt długo w miłych myśli kole
Obłąkałam się dzisiaj — a na twojem czole
Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
Jak promyk, co z obłoków na wyniosłe góry
Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa
Tu — na łonie? Nie bój się — teraz żal nie spływa
Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany
I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
Sroga nieszczęść igraszka! I tak zżółkły parość
Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
I tak zaparte czucia długiem uciśnieniem,
Rwąc tamę mej rozwagi, lały się strumieniem.
Ach, jakże to boleśnie nazad się obrócić,
Widzieć rozpacz grożącą i nie móc się wrócić!

Ach! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
Ręką, co chce lekarstwo, truciznę podawać.
Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnej chwili
Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
Gorzka jej była dola — ale to już przeszło:
Patrz, jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniej
I twój pragnie obudzić — jak w szczęściu — jak dawniej.
Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
Tak lube! tak ulotne! i mojego tata,
Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa;
Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa
I wciska mu się w serce — powoli — nieznacznie,
Póki się nie rozjaśni i śmiać się nie zacznie.
I gdzież to się podziała tej dziewczynki władza?
Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza;
I gdzieżto żywy, czysty strumyczek upłynął?
Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął.
A nasz śliczny kanarek gdzieżto się obraca?
Chciał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca.
O! póki ten, co w mojem na zawsze był sercu,
Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu —
O! póki ten, któremu w uczucia się wplatać,
Brzmieć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
Zostawił łzę wdzięczności, której czas nie zmiecie —
O! póki ten moj miły, ten świat mojej duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom: —
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia
I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie
Zniosę — cierpliwie zniosę, póki nasze cienie,
W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!«
Rzekła — i jak w stojącej a popsutej wodzie
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Z serca jej wyszły czucia, co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.
»»Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka!

Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
Niźli patrzeć spokojnie na te smutne śluby!
Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach
I tak, jak dawniej było, rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
Nie, Maryo! nie trza wzdychać — twego nie obrażam:
Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam;
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,
Ha, toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem
I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.
Tożto u naszej szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje —
Przyjaźń? — a nasze hufy nie z sobą na sejmie,
A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z hetmanem umowy
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy;
I gdyby twoja matka (daj jej niebo Panie!)
W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie,
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować
Anibym jego złości dozwolił grasować.
Bo cóżto ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosa.
Dla starej karabeli zbytto wielkie dziwy
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
Nie — od domu, imienia ze wzgardą odgania
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże —
Wysunie raźna młodzież i ja za nią zdążę:
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
To w końcu tej tam waśni — dzwony się odezwą!« «
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesił,
Kiwnął ręką i głowę czarnym myślom zwiesił.

W tej chwili przybył Kozak z pismem od Wojewody (13). Z listu tego dowiedział się Miecznik, iż Wojewoda gotów jest uznać małżeństwo syna z Maryą, że jednak żąda, ażeby Wacław wprzód zdobył sobie sławę rycerską w walce z Tatarami (14). Wkrótce potem przybył Wacław do domu Miecznika, wyprzedziwszy swe hufce, i z radością powitał żonę swą i teścia (15). Miecznik postanowił towarzyszyć zięciowi w tej wyprawie, odszedł więc, ażeby co rychlej wraz z ludźmi swymi przygotować się do wyprawy (16). W rozmowie z Maryą wyraził Wacław swą

radość, iż ojciec zezwolił już na ich związek, a Marya zapewniała go o swej miłości i błagała, ażeby w walce zbytecznie nie narażał się na niebezpieczeństwo (17). Na znak dany przez Miecznika, pożegnał Wacław Maryę i pośpieszył do swych towarzyszy (18).

19 Dosiadł bystrego konia, lecz troski miał w oku
Młody Wacław i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary Miecznik i w pędzie zawinął nim koło.
Za nimi brzmią puzany, za nimi, za nimi
Zrywają się rycerze jakby ptaki z ziemi;
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,
Sunie się towarzystwo i w szeregach wiara,
Pancerni i husarze, za nimi kozaki
I z spłoszonymi końmi harcują luzaki.
Patrzaj, pyzate dziecię z pod słomianej strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy:
To może dziki owoc zerwie potem wojna.
A ty, matko, co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna;
Nie trwoż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami:
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze. — jeszcze słuch łoskotem
Drga, dźwięcząc przygłuszony, i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada; jeszcze przerywanie
Zdala wojennych rogów dolatuje granie —
I cicho — jak na sercu Śmierć swój obraz kreśli;
I pusto, smutno, tęskno — jak u Maryi w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry:
Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury.
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie;
I pusto, smutno, tęskno — jak gdy szczęście minie.

Pieśń II.

1 »Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie
I wzrok daleko, próżno błądzi po równinie;
A w niezbędnej zgryzocie jeśli chcesz osłody,
Chmurne na polu niebo i cierpkie jagody.
Idź raczej w piękne mirtów i cyprysów kraje:
Co dzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje;
U nich w czystem powietrzu jaśniejsze wejrzenie
I głosy rozpieszczone i rozkoszne tchnienie;
U nich wawrzyny rosną i niebo pogodne,
I ziemia ubarwiona i myśli swobodne;

A na kształtnych budowlach męże wieków dawnych
Stoją w bieli i, pyszni z swoich imion sławnych,
Zapraszają z daleka w czarowne zwaliska
Bogów i bohaterów — pająków siedliska.
Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
Słodycz w rozpaczy znajdziesz i lubość w żałobie,
Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej chorobie.
Ale na pola nie chodź, gdy serce zbolało:
Na równinie mogiły — więcej nie zostało;
Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku; —
To siedź w domu i słuchaj dumek o Kozaku«.
»»Moje młode pacholę! gdzież to ty wędrujesz?
Czy z Ziemi Świętej wracasz, że tak utyskujesz?«
»Och, nie! — Ja wszystkim obcy śród mojej ojczyzny;
I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny;
I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze:
To mnie ciężko na sercu i ja sobie płaczę.
A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę;
A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę.
Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,
Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość,
Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy«.
»»To czegoż chcesz, pacholę?«« — »Uciec od rozpaczy«.

Tak rozmawiało jakieś młode pacholę ze starym Miecznika sługą, który, na wrotach oparty, spoglądał na step rozległy. Rozmowę tę przerwało przybycie tajemniczych masek, które dziwacznym strojem, pląsami i śpiewem tak otumaniły sługę, iż wpuścił je do dworu (2).

Teraz przechodzi poeta do Miecznika i Wacława; opowiada, jak w drodze doświadczony w boju Miecznik pouczał zięcia i udzielał mu potrzebnych przed walką wskazówek (4), jak potem podzielił wojsko na dwie części, ażeby z dwóch stron obejść Tatarów (5); jak Wacław, przeczuwając nieszczęście, smutny jechał i zamyślony, bo głos jakiś szeptał mu ciągle: »Zdobędziesz ty trumnę!« (6).

7 Jest trosków, kolców, bolów nie mało w tem życiu
I więcej, niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem;
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła;
Gdy sroższej od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet Odwaga załamuje ręce,

A z tysiąca blizn czarnych, co jej w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży;
Gdy Złość w swojem szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwej sławę,
I nie tylko obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie —
Komu? anielskiej duszy, co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta;
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia:
Większe to niźli ziemskie — piekielne cierpienia!
Czy te lub inne jeszcze dotkliwsze katusze
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę:
Ci, co za nim rzędami w lśniącej gonią fali,
Na smutek swego wodza niewiele zważali;
Każdy myślał i, chociaż różnica w sposobie,
W tem przecież podobieństwo, że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów z wzniesionem żelazem
Rzucić się w ciennik śmierci — za jednym rozkazem.
Szli — w milczeniu, w porządku, konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy,
Kędy ich długim sznurem wedle swojej chęci
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci.
Przez niezmierzone niwy, tam gdzie już równina
Zda się kończyć i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc — naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak rycerze powietrzni wydali się oku.

8 Lecz cóż widać na wzgórku? z bliskiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry,
W ciężkie, czarne, skrwawione rozchodzą się chmury.
Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy w słomianej dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwem brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą westchnieniem.
»Baczność! do broni wiara! chorągiew rozwinąć!
»Tatarzy wieś rabują: zwyciężyć lub zginąć!«
I nagle, jak wodostok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tu pożar z rąk łupiezców wieś całą ochłonął,
Gdy lud zlękły, bezbronny w krwi i łzach utonął.
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować
Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować;
Bo już przez swoje czaty ich chan ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony.
Tam — za wsią — stoją, całe zakrywają pole;
Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.
Widzi ich dobrze Wacław, ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża;

Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć,
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
»Czyja wola to za mną!« rzekł i spiął rumaka,
Co, nim się rzucił w pożar, zżyma się i skaka
(Mniej ów niźli graf Wacław odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki?
To i oni w płomienie: śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia szukają swej drogi.
Już za wsią — i wraz szybko, sfornie, lekko, śmiało
Rozwinęło się wojsko i w linii ostało;
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała.

9 Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy;
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy wokoło, świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz, nim przyszło z bliska
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w pół-obręcz wpadali wsławionem prawidłem —
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem.
»Ałła hu!« wrzasły hordy i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty;
»Hura!« krzyknęła wiara i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;
Zapał głowy ogarnął, stal błyska, krew broczy —
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina: każdy obskoczony
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;

Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.
W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka, przyjaciela
Walczył ponury Wacław i walczył już o to,
Żeby życia, co cięży, nie oddać z sromotą;
Śmierć miotał, śmierci pragnąc; och! bo w serca głębi
Pisk taki, jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonią jego myśli. Lecz czyto z zdziwienia
Czy strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza.
Widzą, poznają wodza i każdy koleją
Rzuci się, zmiesza, zginie — zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitnem okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
Smutku tylko doświadczył z tej dziwnej korzyści,
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu, że już uchodzą: życia się obawia,
Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia.
Zaraz — zaraz — otyły, brunatno-czerwony
Chan tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega, że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę z rozpaczy, w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia — o zgrozo! o wstydzie!
Na jednego tysiące z zmarszczoną powieką
Miecze wznoszą, już lecą: rozsieką, rozsieką!

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufce cwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe
Wiatr z światłem rozwijają jak kometa grzywę,
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Z zajadłem męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje:
Z takiem zmieszanem czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiej mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy naprzód, napuszony chanie!

Lecą obces na siebie. Polacy, Tatarzy
W bezczynnem zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik żmudził: uderzy, odskoczy
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem
W kark niewierny święconem utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy, pierzchają; koń chana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców: grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają;
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapylona Sława upięknia zniszczenie.

12 Krótko już trwała walka. Wielu oręż składa,
Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada.
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki,
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki:
Jak który upadł, tak mu zostać już niewola;
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola.
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany —
Tylko miecz wierny przy nich, posoką zbryzgany...
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa!
Zobacz, jak wpośród trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź, nie drżyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie:
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie!
A jeśli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków tylko strachu drżenie;
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie:
Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się siebie.
Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznem sercem — i całuj ich rany!

Natychmiast po bitwie, kiedy już słońce zaszło, wyprawił Miecznik Wacława z powrotem do domu, ażeby Maryę uspokoić, sam zaś przyrzekł powrócić nazajutrz o świcie (13).

14 Powstał z pośpiechem Wacław i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę, co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie;
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy. —

O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej
Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedyto słodkie tony, brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej i żywej i tkliwej muzyce
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedyto luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego Twórcy z kajdan swego ciała;
Wtedy matka natura wszystko z człekiem dzieli:
I wszystko się uśmiecha i wszystko weseli;
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu dobroć, w ustach przebaczenie.
I takto leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle;
Boby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile;
I takto mijał stepy. Lecz świetne marzenie,
Co niem ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Och, zbyt krótkie! — Jak widmo wstaje przypomnienie
I budzi martwą przeszłość i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokoj zgromadzone mary.
»Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
Więdnie pieszczotny powój, a wszak bez osłony
Nie trwa tu słodki owoc. I cóż? ledwo wrócił,
Ujrzał swój raj stracony i zaraz porzucił!
Dla czego? dla czczej sławy, której blask nie waży
Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.
Gdyby przynajmniej w los swój wierzyć miał powody;
Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
Niepomny, jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
Płochy — wydarł się szczęściu, co mógł odziedziczyć.«
Ach dalej! prędzej! Lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty, a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza!
»Ha! ha!« — nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław — szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

Przybył wreszcie Wacław do dworu Miecznika (15). Tutaj straszny oczom jego przedstawił się widok: Marya leżała na łożu — nieżywa (16). Gdy z ciałem żony wybiegł Wacław na dziedziniec, wzywając pomocy, wyszło z zarośli owo pachołę i opowiedziało mu, że Maryę utopiły w stawie owe maski zdradliwe, które dziś do dworu przybyły (17). Zrozumiał Wacław, czyja w tem była ręka. Rozpacz i żądza zemsty opanowały serce jego. Złożywszy tedy zwłoki żony w komnacie, siadł na koń, a dobywszy miecza, opuścił dwór Miecznika. Za nim usiadło i razem z nim pojechało owo tajemnicze pachołę (18 i 19).

20 Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże,
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze;
Biją we dzwony żaki i zysk sobie krzeszą:
Ludzie dobrzy — czy chrzciny czy to pogrzeb — śpieszą.
Wewnątrz kiry, katafalik i trumna, a w rzędy
Blado się palą świece: czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać śród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega;
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ach, to pana Miecznika siwa, nędzna głowa!
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili?
Na to jej woził lamę, żeby całun szyli?
I dziwno — tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem: ni żalu ni skargi
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a z resztą — jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz — i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utrąca;
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy:
Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony.
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Ta sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że, gdy trwogi

Odgłos z trąby wojennej dochodzi daleki,
Nie porwał się do korda: już spał — spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno — w bujnej Ukrainie.

Józef Bohdan Zaleski.

Urodzony 14. lutego 1802. r. w Bohaterce (na Ukrainie, koło Stawiszcz). Matkę stracił wkrótce po urodzeniu: na wychowanie wzięła go ciotka, którą do śmierci z rzewną wdzięcznością wspominał. Dziecko było wątłe i słabowite; uznano tedy, że dla wzmocnienia trzeba je chować w życiu najprostszem a hartującem, i oddano pod opiekę rodziny włościańskiej. Przebył tam chłopczyna lat parę, a z tego ciągłego przestawania z wiejskim ludem ukraińskim nabrał na całe życie tego upodobania w dumkach i powieściach ludu, tej śpiewności, tęsknoty i muzykalnej dźwięczności, które stały się później znamieniem jego poezyi. Do szkół chodził w Humaniu, u księży Bazylianów (wtedy jeszcze klasztory i klasztorne szkoły, nawet unickie, nie były zniesione). Za kolegów i przyjaciół miał Seweryna Goszczyńskiego (poetę) i Michała Grabowskiego (krytyka), Alexandra Grozę (pisarza powieści) i Józefa Mianowskiego (sławnego później lekarza i rektora Szkoły Głównej w Warszawie 1861). Na uniwersytet udał się do Warszawy, gdzie znowu zawarł przyjaźń z Maurycym Mochnackim i z Fryderykiem Chopinem, a Brodziński i przez lekcye swoje i przez osobistą znajomość wywierał znaczny wpływ na jego wykształcenie. Wtedy zaczął Zaleski pisywać pierwsze swoje wierszyki, a gdy poezya romantyczna zaczęła się szerzyć, gdy wyszły pierwsze dzieła Mickiewicza, on znalazł w nich nowy popęd do pisania i dał się już poznać przez niektóre wiersze, ogłaszane w warszawskich pismach literackich. W roku 1826. przyjął miejsce nauczyciela w domu generała Szembeka. Po wybuchu powstania roku 1830. wstąpił do wojska i służył w pierwszym pułku strzelców (z Maur. Mochnackim i Augustem Bielowskim).

Po upadku powstania musiał emigrować. Udał się naprzód do Lwowa, stąd do Paryża (1832).

Tu ścisłą zawarł przyjaźń z Mickiewiczem i ciągle przestawał w gronie kilku dobranych przyjaciół, z których najdroższym był Józef Zaleski, nie krewny, tylko imiennik Bohdana, ale rzec można, przybrany jego brat. W tem gronie czytywał Mickiewicz ustępy i księgi Pana Tadeusza, w miarę jak je pisał, a Zaleskiego często prosił o uwagi i rady. W tem gronie także, które z umysłu trzymało się z daleka od emigracyjnych swarów, a usposobione było bardzo religijnie, dojrzewała myśl podniesienia religijnego ducha i życia w narodzie za pomocą polskiego zakonu. Zaleski był w tem niemniej gorliwy jak Mickiewicz. Niebawem sprzykrzył sobie życie w Paryżu, bo tęsknił za ciszą i spokojem; przeniósł się więc (z nierozłącznym przyjacielem Józefem) do Molsheim w Alzacyi (1835), następnie do Endoume pod Marsylią. Tu powstała

część znaczna jego poezyi, między innemi Złota duma, jeszcze nie wydana, Duch od stepu (1836) i Przenajświętsza Rodzina.

Po jej napisaniu odbył Zaleski podróż do Ziemi Świętej, potem do Włoch. W roku 1840. wyszło w Poznaniu zbiorowe wydanie jego dotychczasowych utworów.

Kiedy Mickiewicz uwierzył w Towiańskiego, Zaleski był jednym z pierwszych, którym doniósł o mniemanym nowym objawicielu, i wezwał go do uczestnictwa w »sprawie« znanym wierszem Słowiczku mój; Zaleski jednak przejrzał odrazu fałsz tej nauki i przystać do niej nie chciał, co sprowadziło pewną zmianę w stosunkach z Mickiewiczem. Przyjaźń została, ale spotykanie się i poufna wymiana myśli były rzadsze i trudniejsze wskutek różnicy zdań w rzeczy tak ważnej. W późniejszych dopiero latach wróciła dawna swobodna zażyłość.

W roku 1845. ożenił się Zaleski i przemieszkiwał najwięcej w Fontainebleau; żył w ścisłem tylko kółku rodziny i najbliższych przyjaciół; pisał niewiele, drukował jeszcze mniej. Życie było spokojne i przez dość długie lata wolne od nieszczęść, z wyjątkiem straty jednego synka.

Nieszczęśliwy koniec wypadków roku 1863. pogrążył poetę w ciężki smutek, a nieszczęścia osobiste zaczęły się na niego walić jedno po drugiem. W roku 1864. stracił ukochanego przyjaciela Józefa, w r. 1868. żonę. Nigdy nie sarknął przecie, nie poskarżył się, tylko z wielką siłą duszy i cnotą znosił dopust Boży, a z coraz większą rzewnością tęsknił za Ukrainą, za Polską, do jej lepszej przyszłości i do wiecznego życia w niebie. Osiadł w Villepreux pod Wersalem, czuwał nad wychowaniem synów, córkę miał przy sobie, a gdy ją wydał za mąż, mieszkał przy niej i przy zięciu. Stracił tę córkę w wieku już bardzo późnym, została mu po niej jedyna pociecha, mała wnuczka. Gdy zięć ożenił się powtórnie, starzec, nie chcąc rozłączać się z wnuczką, pozostał w jego domu. W roku 1881., gdy na obchód tysiącletniego jubileuszu św. Cyryla i Metodego zjechały się w Rzymie wszystkie katolickie ludy słowiańskie, sędziwy poeta polski i ukraiński był ozdobą i najrzewniejszą może postacią w tej pielgrzymce i budującym dla wszystkich przykładem niezłomnej wierności i gorącej wiary. Szczególnie też serdecznem powitaniem i oznakami poważania przyjął go Leon XIII. Ostatnie lata przeżył w tej samej zawsze cichości, tęsknocie i rezygnacyi. Utrata słuchu boleśnie dawała mu się uczuć, a zupełne osierocenie wnuczki, która i ojca straciła, było ostatnim w jego życiu ciosem. Do ostatka jednak pisywał, a choć nie zawsze zdołał skończyć zaczęty wiersz, to zawsze umiał w nim złożyć i wyrazić swoje wzniosłe, czyste, świątobliwe uczucie.

Umarł w Villepreux dnia 31. marca 1886. r., pochowany w Montmorency, na tym cmentarzu, gdzie spoczywa tylu jego przyjaciół i tylu znakomitych ludzi jego czasów.

Talent miał przedewszystkiem liryczny i do małych form stworzony; w tym zakresie jest Zaleski pisarzem bardzo niepospolitym. Ma rzadkie i ujmujące dary rzewności i świeżości w uczuciu, lekkości i dźwięczności w formie. Pod względem rozmaitości, giętkości i muzykalnego brzmienia nie miał za młodu równego sobie w naszej poezyi, a można twierdzić śmiało, że bez niego nie bylibyśmy doszli do takiego wyro-

bienia wiersza, jakie się daje widzieć u Słowackiego, a za jego przykładem u późniejszych i mniejszych. Łagodna i cicha natura Zaleskiego sprawia, że jego uczucie wyraża się zawsze rzewnie, nigdy burzliwie i namiętnie; wyjątkowa dobroć i prostota serca sprawia, że nie ma w jego poezyi nigdy gniewu, nienawiści lub zazdrości; jego zaś pochodzenie ukraińskie (może przestawanie z ludem wiejskim) daje mu tę tęsknotę, ten smutek łagodny, ale prawie nieustanny, które są cechą jego natchnień i wierszy. Ta prostota, świeżość i tęskność uczucia bywa zwykle właściwością młodego wieku, to też wszystkie, nawet późniejsze poezye Zaleskiego mają jakąś cechę młodzieńczą, a z tego samego powodu do najpiękniejszych może należą jego wiersze wcześniejsze (Śpiew poety, Śpiewak w obcej stronie, Rojenia wiośniane i t. d.). Obok liryki osobistej drugą najwłaściwszą mu formą tworzenia jest Dumka, historyczna najczęściej i rycerska, której treścią są zawsze boje kozaczyzny (po stronie polskiej ma się rozumieć) i ich bohaterowie. Są pomiędzy temi dumkami prawdziwe arcydzieła (Duma o Kosińskim, Mazepa, Lach serdeczny), jest jakiś rycerski duch połączony z ukraińską smętnością, a rodzaj sam bodaj czy nie jest prawdziwie narodową, przyrodzoną polską formą ballady. Kiedy wszyscy romantycy litewscy naśladowali i przeszczepiali na nasz grunt balladę obcą, Zaleski znalazł i pokazał tę, która na własnym gruncie, z rodzimych pierwiastków powstać mogła.

Należy to do jego charakterystycznych znamion, że z całą romantycznością zagraniczną nie ma nic wspólnego i nie naśladuje nikogo, co najwięcej, siebie samego czasem powtarza.

Wyobraźnia nie jest bardzo silna i czynna. Dlatego może większe poemata nie udają mu się tak dobrze jak drobne wiersze, a nawet często nie dochodzą do końca.

Z ogłoszonych dotąd drukiem tylko Przenajświętsza Rodzina i Duch od stepu są skończone; prócz nich Rusałki jeszcze, drobny obrazek, który właściwie jest wyznaniem własnych młodocianych uczuć. Dwa inne utwory, jak Damian Wiśniowiecki lub Księżna Hanka, zostały fragmentami. Po śmierci poety dopiero znalazł się (i jest w druku) dalszy ciąg Księżnej Hanki, pod tytułem Złotej dumy, w trzech pieśniach, ale zawsze bez końca, i całkowity rycerski poemat Potrzeba zbaraska.

Przenajświętsza Rodzina jest, jeżeli się tak wyrazić można, pobożną sielanką, wykonaną bardzo starannie (aż nadto może wykończoną) i z prawdziwym w niektórych obrazach wdziękiem. Duch od stepu, jest to w formie lirycznej a w rytmie Dumki, poemat patryotyczny i filozoficzny. W pierwszej części poeta robi rzut oka na swoje własne życie, w drugiej na dzieje świata. Zajmuje się on tą samą kwestyą, co wszyscy inni nasi poeci (Mickiewicz, Krasiński, Słowacki itd.): chce zrozumieć i wytłómaczyć los swojej ojczyzny; w tem się wszakże od wszystkich innych różni, że nie wpada w mesyanizm, nie rozwiązuje zagadki mniemaną ofiarą na odkupienie świata, ale upadek i nieszczęście pojmuje jako expiacyę za własne winy, poczem (jak inni) wróży przyszłość szczęśliwszą.

Jak w życiu Zaleskiego nie było przejść gwałtownych ani w jego usposobieniu burzliwych namiętności, tak w jego poezyi nie znać zmian i zwrotów: te same formy, ten sam zawsze zakres natchnień i pomysłów, ten sam skład pojęć i te same podstawne uczucia.

Po roku 1831., w skutek narodowego nieszczęścia i wygnania, smutek staje się stalszym, tęsknota jeszcze rzewniejszą, wiara i pobożność jeszcze żywszą, ale ton ich i sposób wyrażenia się zostaje ten sam. Sprowadza nawet pewną jednostajność, podobieństwo jednych wierszy do drugich, którego zaprzeczyć nie można; jak nie można zaprzeczyć i tego, że poeta czasem nadużywa tego, co jest jego wdziękiem, t. j. dźwięczności i gracyi. Zmienia się dopiero na starość, po nowych krajowych i własnych nieszczęściach, a i wtedy jeszcze nie zmienia się bardzo. Charakter uczuć i forma wierszy zostają takie same; ale znika ta młodzieńczość, która długo była cechą jego poezyi, a na jej miejscu zjawia się powaga cichego, zbolałego starca, który to samo i tak samo kocha jak za młodu, który stracił wszystko, więc tęskni jeszcze bardziej, ale z ufnością spokojną i prawie pogodną wygląda końca dla siebie, a zmiłowania dla narodu. Zmiana ta daje się widzieć po raz pierwszy w Wieszczem oratoryum, a jeszcze wyraźniej w dość licznych wierszach z ostatnich lat życia, znalezionych po śmierci poety.

Liczba dość znaczna aforyzmów pod tytułem Pyłki, i bardzo ładny zbiór przekładów (najwięcej z rapsodów serbskich) uzupełniają poczet jego dzieł.

Jako poeta nie tak wielki, rozumie się, jak Mickiewicz lub Krasiński, w swoim rodzaju i zakresie tworzył Zaleski rzeczy pełne wdzięku. Przez właściwe sobie zalety formy, przez swój charakter ukraiński i przez swoją zupełną niezależność od jakiegokolwiek wzoru (z wyjątkiem chyba wiejskiej poezyi ludu), przez to wreszcie, że przyczynił się ogromnie do wyrobienia rytmu i wiersza polskiego — ma Zaleski zapewnione na zawsze wysokie miejsce w historyi naszej poezyi; a przez swój charakter i żywot należy w niej do postaci najczystszych i najbardziej budujących, do tych, przez których duszę i pisma nie przeszło nigdy nic złego.

ŚPIEW POETY.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.
Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę;
Piękność, miłość, czucie, wiarę
Na ogniwo spajam złotę.
Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;

Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwyca.
Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.
Z niewcielonych gdzieś tam światów
Garnę myśli, uczuć skarby;
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.
Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wznieca;
Kwili słowik u jabłoni,
Zapłonionej jak dziewica.
Brzmią śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewność błoga:
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!
Brzmią śpiewacy i na przemian,
To na dole, to na górze,
To dla niebian, to dla ziemian,
Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzę.
Tak przebiegam różne tony,
Pierwej z sercem dźwięk pogodzę;
I czyściejszy, upiękniony
Po samotnej puszczam drodze.
Myśl mej pieśni nie przekwita
Jako niebo, serce, wiosna;
Wiecznie świeża, rozmaita
I dziewicza i miłosna.
Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolniej buja kilka chwilek,
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam jak motylek.
Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody;
Biorę miody, a jak pszczółka,
Nie dla siebie biorę miody.
Gdy w polocie mym z nienacka
Coś mię draśnie lub ukole,
Widzę wkoło piękne cacka
I jak dziecię koję bole.
Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.
Czara życia nie wciąż miodna;
Gdy cykutę spełnić trzeba,

Chrześcianin, spełnię do dna
I — wesoło spojrzę w nieba.
Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

PODZWONNE KU OJCOM.

GĘŚLARZ.

Stąd i zowąd rozgłośnie hałasuje dzwon —
Rozhuk po wodach, po siołach brodzi;
Ho-ho! chmury z dalekich odgrzmiewają stron,
Ćma się wysuwa świecących łodzi:
To Michał Archanioł, ziemi naszej stróż!
Na lewo, na prawo
Spoziera jaskrawo
I czarty na wichrach mkną jarami już.

Święty Michał Archanioł na wezgłowiu chmur
Świeży swój wianek kwiecia i liści,
Dusze ojców, na Boży oto niesie dwór,
Gdzie obietnicę Pan im uiści.
O, rzewniej sercami czas się ozwać — czas!
Za gęślą od ziemi
Podzwońcież za niemi,
Niech pobłogosławią, o! przeczyści, nas!

CHÓR.

Boże święty! o mocny Hospodynie nasz!
Kości tu ojców pełne mogiły;
Dusze ojców wysoko — na prawicy masz:
O, Hospodynie przedobry, miły,
Błogosław na roli ich siedzącym — nam!
Jak starym swym kmieciom,
Błogosław i dzieciom
I bądź — bądź pochwalon między nami sam!

Hospodynie! nie wiemy liczby naszych dni
Ni pracy, jako znojna i długa;
Łacno żmudzim i nudzim robotnicy źli,
Tęsknim ustawnie do dom u pługa.
Och! przymnóż pogody i zdrowia i sił;
Jak starym swym kmieciom:
Bądź szczodry i dzieciom,
Ochoczo się weźmiem, byleś z nami był!

Hospodynie! nie karaj ludzi wedle spraw:
Szatan, o! srodze u nas pustoszy;
Od powietrza, od głodu, ognia, wojny zbaw!
Zbaw od poślednich, gnuśnych rozkoszy,
Albowiem stać chcemy w świętem prawie Twem!
Archanioł nasz Michał,
Jak czarty pospychał,
Z książęciem tu wrogów niech bojuje — z lwem.

Dusze ojców! latawce siedmiu złotych nieb!
Na Hospodyna wysokim dworze
Świętych jego na wieki pożywacie chleb:
Ku nam — o! ku nam, dzieciom w pokorze,
Powioncie słodkością na gorycze lat!
Przeczyści, weseli
Jak Pańscy anieli,
Śród godów — patrzajcie na pokutny świat!

Co nam ciemne, wam jasne jako słońca blask;
Co jeno będzie kiedyś na świecie —
Zło i dobro na ludzi, ile kar i łask —
Wy, dusze ojców, wiecie, o! wiecie.
Kto, kiedy i jako powali się z nóg —
Czy sławnie na wojnie
Czy w chacie przystojnie: —
Pomóżcież uczciwie odnieść Panu dług!

GĘŚLARZ.

Na niebiosach wybłyska złotorogi nów;
Step nasz, mogilnik, brzaskiem zasnuty:
Hej, panowie mołojce, kołpaki no z głów!
Hej, hej, dziewczęta, barwinku! ruty!
Po trzykroć o! Amen, Amen, Amen wznieść:
Wiankami i kwieciem
Gdy w górę pomieciem,
Ojcowie podzwonią głośniej za nas w cześć!

DUMKA HETMANA KOSIŃSKIEGO.

Hop! hop! cwałem, koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony!
Dłużej chwilką,
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ.
Od Piatyhor, Pawołoczy
Bieży tłumnie lud ochoczy;

Nalewajki,
Lotne czajki
Płyną Dnieprem już.

Wnet popędzą regestrowi
Ku odsieczy Czehrynowi;
Przy rozgłosie
Dum po rosie
Przypuścimy szturm.
Zagra ziemia pod kopyty,
Proch poleci słupem wzbity,
Urah! głosy
Pod niebiosy
Wzlecą z brzękiem surm.

Ho! ho! darmo, nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepię;
Jak się biją,
Gdzie się kryją,
Znam, jak murza hord.
Umiem z nagła wpaść na karki,
Rąbać szablą, grzmieć z janczarki;
W lewo, prawo,
Szybko, żwawo
Nieść ogień i mord.

Widać, widać już Stawiszcze!
Wiatr w chorągiew miasta świszcze;
Daszka szyki
Brzmią okrzyki,
Biją dzwony z wież.
Dniowa gwiazda, chmurna, blada,
Za krzywiecki las zapada:
Wrony koniu,
Po tem błoniu
Prędzej, prędzej bież!

Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały;
Widna moja
Złota zbroja,
Sokół, chart i koń.
I ot, stoi tam u drzewa
Moja młoda czarnobrewa,
Piękne oczy
Łzami mroczy,
Załamuje dłoń.

Łez i oczu żal się, Boże!
Cóż łamanie rąk pomoże?
Kiedy wola
Sejmu, króla
Każe bić się nam.
Wolniej, wolniej, koniu chyży!
Niech się luba moja zbliży;
Stój, stój chwilę,
Niech się schylę,
Pocałunek dam.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Śmierć i życie w mocy Boga;
Proś go lepiej,
Niech pokrzepi,
Natchnie męstwem nas.
Nie płacz, nie bluźń, moja droga!
Wrócę zdrowy w łasce Boga,
Przez las dołem
Z psem, sokołem,
Wrócę w ranny czas.

A gdy śpiącą cię zastaniem,
Zbudzę głośnem całowaniem,
Klasnę, świsnę,
Zbroją błysnę,
Z czoła otrzesz znój.
Nie płacz, nie bluźń, czas upływa,
Bądź mi zdrowa i szczęśliwa!
Próżne słowa,
Bądź, bądź zdrowa!
Dalej, koniu mój!

DUCH OD STEPU.

I mnie matka Ukraina,
I mnie matka swego syna
Upowiła w pieśń u łona;
Czarodziejka — na rozświcie
Napowietrzne, ptasie życie
Przeczuwała na plemiona
I wołała rozczulona:
»Piastuj dziecię me, Rusałko!...
Mlekiem dum i mleczem kwiecia
Pój do lotu mdłe to ciałko!
Pięknej sławy mej stulecia

Podaj do snu na obrazki!
Barwą złotą i błękitną,
Tęczą w okrąg niech rozkwitną
Wszystkie mego ludu kazki!«
Błogo było mi — o, błogo!
Nigdy, nigdzie i nikogo
Nie pieściła czulsza matka...
Owe, nie wiem, chwilki — latka,
Uwikłana w cud zagadka,
Leży w duszy pod pieczęcią;
Wciąż tam wracam się pamięcią,
Wciąż zmysłami gonię pięcią,
Rozpierzchnioną w sen daleki...
O! Rusałki mej piastunki
W pieśń dzwoniące pocałunki
Rozpaliły krew na wieki;
Śród ojczyzny dziś katuszy,
Smutny na śmierć — w sercu, w duszy,
Krew mnie jeszcze zrzuca z łoża;
Chcę opiewać wiekom dzieło,
Lecz natchnienie przeminęło,
Niech się święci wola Boża!...

2 I mnie matka-Ukraina,
Skrzydlatego swego syna,
Gdy mrugnęła z niebios gwiazda,
Odebrała z rąk Rusałki;
Osmuknęła puch i pałki,
Lot kazała wznieść od gniazda;
I kwiliła w ślad pisklęcia
Lube wróżby i zaklęcia:
»I ja Pańska służebnica!
Dzień po dniu — najmilsze dzieci,
Wedle woli ziem Rodzica,
Na igrzysko ślę zamieci.
Znowu mój pieściwy leci,
Nie zna jeszcze swego krzyża;
Myśl jak powiew wolna, chyża,
Lgnie do cudów, łaknie pieśni:
O! niech w stepach świat swój prześni!
Stepy — światoburców droga,
Tam przechadzał się gniew Boga;
Głos grzmi dotąd: niech posłucha!
Niech na żywot wzmoże ducha!...
O! po leciech, po przygodach,
Kiedy gwiazda owa zmierzchnie,
Wniknie jako duch w powierzchnię,
Rozpościele się po wodach;
Będzie późnych moich synów,

Grzał do pieśni — i do czynów!
Krew Bojana — obok przodka,
Nowa tu mogiła wstanie...«
Wrzała ciszej wróżba słodka:
Coś — coś było o Bojanie...
Matko moja — matko miła!
Co? gdzie Bojan? gdzie mogiła?
W tem skinęła — pożegnanie.

3 Odzianemu w piór oblaski
Wybłysnęła chwila łaski,
Uroczysta, wielka chwila,
Pańskie — stań się! dla motyla,
Co urokiem przypomnienia
Dotąd pieśń mą rozpromienia,
Tu — pod krzyżem — łzy, cierpienia
W jakąś rajską woń umila.
Chwila wiecznie wielka, święta!...
Błogo temu, kto pamięta
Luby, dziwny, gdzieś przed laty,
Żywot czysty i skrzydlaty,
Pierworodny swój początek!
Kto w cielesnych więzów męce,
W niebo codzień wznosząc ręce,
Do tych dusznych drży pamiątek!...

Po takim wstępie opowiada poeta naprzód koleje własnego życia (ust. 4.—7.), potem kreśli najwybitniejsze chwile dziejów ludzkości: Stary zakon (ust. 9.), początki chrześciaństwa (ust. 10.), wędrówki ludów (ust. 11.).

11 Duch mój spoczął. Błogo śniłem!
W śnieniu ducha lekkiem, miłem
Niecielesne znowu oko —
Budzę w cudach — o! szeroko...
Czas bezbrzeżny, czas w rozstrzeni
Słowem Bożem się promieni,
Śpiewa wielką epopeję.
Miliony świateł, cieni,
Światy w kwiaty — światów dzieje
Na kadzidło Panu wieje.
Któż ogarnie i wypowie
Drobny promyk w Bożem słowie!
Widzę piękne miasto. W mieście
Wieczne gody: a boleście
Po pieczarach. Od ciemnicy
Jęki sierot, łzy niewieście;
Dzwonią na gwałt Męczennicy...

»Roma!« Okrzyk głuchy zrazu —
Grzmi roznośniej od Kaukazu;
Lik skrzydlaty, czy tabunny,
Szerzy w stepach tentent, huki?
Coś już wietrzą pańskie kruki!
Barbarzyńcy — o! nieuki —
Ostrogoty, Goty, Hunny:
Z różnych plemion czerń zaciężna,
Straszna w sile — a orężna!...
Bliżej, bliżej okrzyk dzwoni:
»Ura ho! na popas koni,
Do Panonji! do Panonji!
W stal zakuty wódz na przedzie
Przez bezdroża jedzie — wiedzie,
Konny posąg Al-hun-ryka,
Niedźwiedziemi strzępi kudły!
Suchożyły, w kość zachudły,
Boży gniew — twarz groźna dzika;
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło...
Jako rzeka w skałach stroma,
Pluszcze za nim gwar w około:
»Roma! Roma! gdzie ta Roma?«
Konny posąg wódz na przedzie,
Nieprzystępny, głuchy, niemy,
Przez bezdroża jedzie, wiedzie;
Nagle staje. — »Tu spoczniemy!
Strona w stepach ta? czy nie ta?
W nocy wskaże nam kometa!
Roma — Roma — niedaleko...
(Grzmi ku swoim wieść ponurą)
Tam — za siódmą tylko górą...
Za dziewiątą tylko rzeką!
Ale słońce mile świeci,
Poigrajcież w piasku dzieci!«
Na rozkazy wodza dziatwa —
W prawo, w lewo, z dala, z bliska
Wnet się roi na mrowiska!
I zabawka lekka, łatwa,
Nie mitręży wcale siły.
W ruchu tylko ręce, stopy:
Znoszą skały pod mogiły.
Ryją na sto mil przekopy...
Ślad maluchny ich przechodu,
Pamięć, czem był świat za młodu!...
Na rozkazy wodza wi-ho!
Huczy w stepach tentent koni,
Grzmot za grzmotem w niebo biją:

»Do Panonji! do Panonji!«
Konny posąg — wódz na przedzie,
Kędy jedzie? kędy wiedzie?
Nikt zapytać się nie waży...
Któż ogarnie i wypowie
Choćby promyk w Bożem słowie!
Wiatr stepowy, tchnienie Boże,
Napowietrzne moje łoże,
W lot skręcony na swej osi,
W inszą stronę wzrok unosi.
Widzę piękną, błogą ziemię,
Zieleniące się przestworza,
Góry, lasy, a trzy morza;
I kochane wielkie plemię
W słońcu się — na kwiatach roi...
Pra-pra-pra-ojcowie moi!
Różdżka złota — och, ta sama! —
Przesadzony szczep Adama
Z pod namiotów Abrahama!...
Boży duch wiekuje w mowie:
Z Boga chleb się zbożem zowie!
Z Boga tu bohaterowie!
Z Boga dzierżą — zysk i straty,
Ów ubogi — ów bogaty!
Pan ku dzieciom łaskaw z dala,
Chociaż grzeszne, grzeszne wielce,
Ubóstwiają sprośne cielce!
Dotąd — wszystko im pozwala:
Ani znoju ani boju!
Wolni, równi — śnią w pokoju...
W czyich ręku, patrzaj, losy!
Och! królują im dziewice,
Rozkochane — krasnolice!
Krótki rozum — długie włosy!
Patrzaj, patrzaj — przed Tatrami
Słynie córa w świat Krakusa!
Patrzaj, patrzaj — za Tatrami,
W bratnich Czechach znów Lubusa!
Przy Królowych — w ślad gęślarze
Za oczyma, za pieśniami,
Ludy — do nóg chylą twarze!...
Czemuż nagle, niespodzianie,
Ziemia w zorzach się rozbłyska?
Derewlanie, a Polanie,
Różni różnych mian Słowianie,
Biegą święcić uroczyska!
Puste sioła i grodziska...
Patrzaj! tam od Łysej Góry,

Z korowajem strojne chóry
Pieśń na świętą rzekę biją!
Głośniej, szerzej — pieśń rozbrzmiała;
Czyją głoszą chwałę — czyją?
»Perunowi cześć i chwała!
Święty ogień dla Kupała!«
Jako długi Boh, padołem
Koło wije się za kołem;
Lud pląsami bogów sławi!
Krasawice w kwiatach, wieńcach,
Przemigają się w rumieńcach;
A mołojcy zwinni, żwawi
Od pokusy do pokusy —
Przez ogniska sadzą susy:
Wiatr za wiatrem w step zagania
Klask, to śmiech, to całowania...
Od otchłani duch Wojciecha,
Święty mistrz, we mgle zarania,
Ku swej dziatwie się uśmiecha.
Pusta głuchnie coś uciecha,
Tłumy kupią się do środka:
Guślarz-gęślarz tędy kroczy...
Brodatego widzę przodka!
Twarz pogodna — coś ochoczy!
W niebo stroi gęśl i oczy...
O! podzwania nuta słodka:

»Ładо! Ładо! o Kupało!
Oby nam się dobrze działo!
Bohu! Wszystkie bohy w niebie
Jako w tęczę patrzą w ciebie!
Szczodre na nas wielkie bogi,
Dają co rok pokój błogi;
Matki dobre, dziewki hoże,
Mleczne trzody, bujne zboże.
Stare-sta, kontyny, miasta
Słyną łaską Radegasta;
Nas Dziewanna kocha, żywi,
Żyjem szczęśni, bo poczciwi.
Ładо! Ładо! o Kupało!
Oby nam się dobrze działo!
Bohu! Bohu! modlim ciebie —
Módl za nami bohów w niebie!...«

Za gęślarzem w huk rozgrzmiało
Na okolne wody, echa:
»Ładо! Ładо! o Kupało!
Oby nam się dobrze działo!«

Od otchłani duch Wojciecha,
Ku swej dziatwie się uśmiecha...
Zorza z morza niebo krasi,
Coś milczący stoją nasi...
Wiatr, czy rozhuk bije w ucho?
Święta rzeka szumi stroma.
Boh coś Bohom szepce głucho...
Głośniej — głośniej: »Roma! Roma!«
Czy powtarza z nieba hasło?
Nagle hasło w grzmot roztrzasło:
»Ura-ho! na popas koni,
Do Panonji! do Panonji!«
Konny posąg, wódz na przedzie,
Uroczyskiem jedzie, wiedzie,
Huczy z piersi: »Mir? czy wojna?«
»»Mir! mir!«« woła czerń spokojna,
Zmyka się na lewo, prawo;
Gęślarz miota się po środku:
Coś — czy liznął żyłkę krwawą?
Oho! bies już w moim przodku!
W rozdźwięk pęka z gęśli struna,
Na głos wrzeszczy: »Na Peruna!
»Sam Tur jedzie: czcijcie Tura!
Bogi każą — nie ma rady!
A więc ura! ura! ura! —
Podolanie za nim w ślady!«
Jako zdroje od ulewy,
Brzeg dnieprowy, prawy, lewy,
Prawy, lewy — brzeg wiślany;
Pobratymcze Wilki, Swewy,
W skok zrywają się na tany —
Na Germany, Allemany!
Ku jakiemuś gdzieś tam miastu
Wojewodów już dwunastu
Wali — z hukiem i paradą...
»Roma! Roma! goście jadą!...«
Któż ogarnie i opowie
Choćby promyk w Bożem słowie!

Po obrazie wieków średnich (ust. 14.) i czasów nowszych aż do końca wieku XVIII (ust. 15.), przechodzi poeta do losów Polski, którą przedstawia jako pokutnicę (ust. 16.—19.). Cztery ostatnie ustępy są zakończeniem poematu.

Z PIEŚNI SERBSKICH.

BÓJ KOSOWSKI.

Gdy car Łazarz zasiadł do wieczerzy,
Obok niego carzyca Milica,
Jęła mówić carzyca Milica:
»O! Łazarzu — o serbska korono!
Ty wyruszasz jutro pod Kosowo;
Wojewodów i służbę zabierasz,
Nie zostawiasz we dworze nikogo —
Ani męża, o carze Łazarzu,
Któryby choć list powiózł ode mnie
Pod Kosowo i nazad powrócił.
Wyprowadzasz mych braci dziewięciu,
Ukochanych braci Jugowiczów;
Zostaw, zostaw choć brata jednego —
Brata siostrze — o błagam pod klątwą!«
Odpowiedział przesławny car Łazarz:
»»Jejmość moja, carzyco Milico!
Kogoż z braci najradziejbyś chciała,
Bym zostawił na białym tu dworze?««
»Och, pozostaw Boszka Jugowicza!«
Wtedy znowu przemówił car Łazarz:
»»Jejmość moja, carzyco Milico!
Kiedy jutro dzień biały zaświta,
Dzień zaświta i słońce obrzaśnie,
A bramy się otworzą na grodzie,
Wynijdź zaraz pod bramę zachodnią;
Tędy wojsko wyciągnie w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami:
Na jej czele jest Boszko Jugowicz.
Nieść on będzie krzyżową chorągiew;
Pokłoń mu się i powiedz ode mnie,
Niech chorągiew zda komubądź zechce
I niech z tobą zostanie na dworze««.
Kiedy ranek nazajutrz zaświtał
I na grodzie otworzono bramy,
Wnet wybiegła carzyca Milica;
Czatowała u bramy zachodniej.
Otóż wojsko ciągnęło w popisach,
Sama jazda świecąca włóczniami,
A na przedzie był Boszko Jugowicz,
Na gniadoszu kapiącym od złota;
Brata Boszka i konia gniadosza
Obwiewała krzyżowa chorągiew;
Na chorągwi jabłko pozłociste,
Pozłocisty krzyż święty na jabłku,

A od krzyża pozłociste kity
Biły Boszka po obu ramionach.
Wnet pomknęła carzyca Milica;
Chwyta silnie za uzdę gniadosza,
Targa brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie:
»O, mój bracie, Boszku Jugowiczu!
Car się zmiękczył na moją modlitwę,
Abyś nie szedł na bój pod Kosowo;
Owszem ciebie pozdrawia i każe,
Byś chorągiew zdał komu sam zechcesz
I pozostał ze mną na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze«.
Odpowiedział brat Boszko Jugowicz:
»»Idź ty sobie, siostro, na wieżycę;
Ale ja się nie myślę tu zostać
Ni krzyżowej chorągwi ustąpić —
Choćby car mi ustąpił Kruszewca.
Coby rzekła bojowa drużyna?
Patrzcie tchórza Boszka Jugowicza!
Nie śmie z nami ruszyć pod Kosowo,
Za krzyż święty nie chce swej krwi przelać
Ani umrzeć za wiarę narodu!««
Pchnął się konno co żywiej przez bramę. —
Aż wyjechał sędziwy Jug Bohdan;
Za nim siedmiu synów Jugowiczów.
Wszystkich siedmiu obiegła carzyca,
Lecz ni jeden obejrzeć się nie chciał.
Chwilkę w płaczu zaledwie postała,
Aż wyjechał Jugowicz Woina;
Powodowych lik koni prowadził
Pod kapami carskiemi, złotemi.
Zatrzymała carzyca gniadosza,
Chwyta brata za rękę u bramy
I poczyna przemawiać żałośnie:
»O, mój bracie, serdeczny Woino!
Car, zmiękczony na moją modlitwę,
Pozdrowienie i rozkaz przesyła,
Abyś konie zdał komubądź zechcesz,
A sam został przy mnie na Kruszewcu,
Żebym miała brata ku pociesze«.
Odpowiedział Jugowicz Woina:
»»Idź ty sobie, siostro, na wieżycę!
Jeśli taki jest między Serbami,
Coby doma dziś wolał pozostać —
Oby zaraz padł śmiercią haniebną!
Idę, siostro, chętnie pod Kosowo!
Za Krzyż święty wytoczyć krew moją —

Idę umrzeć za wiarę z mą bracią!««
Pchnął się konny co żywiej przez bramę.
Gdy to widzi carzyca Milica,
Padła w płaczu na kamień, na chłodny,
Padła biedna bez sił, bez pamięci.
Aż wyjechał przesławny car Łazarz.
Kiedy ujrzał swą żonę carzycę,
Łzy mu jakoś po licach pobiegły;
Rzucił wzrokiem z prawego na lewo
I zawołał sługę Hołubana:
»»Hołubanie! ty wierny mój sługo!
Pójdźno z koniem, z twym koniem łabędziem;
Weźmij jejmość na białe ramiona,
Odwieź chorą co śpieszniej do dwora
I na Boga zaklinam cię, sługo,
Nie idź z nami na bój pod Kosowo,
Ale zostań na białym tu dworze!««
Gdy to słyszy młodzieniec Hołuban,
Łzy zrosiły rumiane jagody;
Zesiadł z konia swojego łabędzia,
Wziął carzycę na białe ramiona,
Powiózł biedną pośpiesznie do dworu;
Ale w sercu i nudzi i boli,
Że nie poszedł na bój pod Kosowo:
Więc powrócił do konia łabędzia
I poleciał manowcem za swymi.
Gdy nazajutrz poranek zaświtał,
Przyleciały dwa wrone gawrony
Od Kosowskiej szerokiej równiny
I upadły na białą wieżycę,
Na wieżycę sławnego Łazarza.
Jeden kracze, a drugi przemawia:
»»Toż wieżyca sławnego Łazarza;
Czemuś głucho — czy nie ma nikogo?«
W całym dworze nikt tego nie słyszał,
Ale tylko słyszała carzyca
Zbiegła prędko po schodach na prawo,
Za nią zbiegły dwie córy zamężne,
Wukosawa i Mara nadobna.
Łkając pyta carzyca Milica:
»Oj, przez Boga dwa wrone gawrony,
Skąd lecicie tak białym porankiem?
Może z boju? może z pod Kosowa?
Czyście wojsko potężne widziały?
Czy się z sobą już wojska spotkały?
Które przecie odniosło zwycięstwo?«
Przemówiły dwa wrone gawrony:
»»Pokój tobie, carzyco Milico!

Od Kosowa lecimy porankiem.
Widzieliśmy dwa wojska potężne,
Kiedy z sobą spotkały się wściekle.
Już carowie z obu stron polegli.
Z Turków wprawdzie zostało nie wielu,
Ale z Serbów, choć który i żywy,
Albo ranion lub we krwi się broczy«.
Gdy prawiły tak wrone gawrony,
Aż się zjawił nadworny Milutyn;
Prawą rękę niósł w ręce swej lewej,
Siedmnaście kroć razy raniony;
Koń krwią czarną opiekły calutki.
Zawołała ku niemu carzyca:
— »Co ci? co ci — o biedny mój sługo,
Żeś odstąpił tak cara samego?«
Odpowiedział nadworny Milutyn:
— »»Pani moja! zsiąść pomóż mi z konia!
Daj mi zimnej tu wody na skronie,
Pokrop winem czerwonem me usta;
Dokuczliwe nad siłę me rany!«
Dopomogła zsiąść z konia carzyca,
Zimnej wody podała na skronie,
Winem usta obmyła zbolałe.
Kiedy nieco orzeźwiać się począł,
Przemówiła powtórnie carzyca:
— »Cóż się stało tam w boju kosowskim?
Kędyż poległ przesławny car Łazarz?
Kędy poległ sędziwy Jug Bohdan?
Kędy legli bracia Jugowicze?
I zięć jeden, Miłosz wojewoda,
I zięć wtóry, sławny Wuk Brankowicz,
I kochany Banowicz Stroina?
Kędyż — kędyż o! wszyscy polegli?«
Wtedy zaczął swą powieść Milutyn:
— »»Wszyscy, Pani, o! wszyscy polegli!
Kędy poległ przesławny car Łazarz,
Połamanych tysiące tam włóczni —
Włóczni serbskich i włóczni tureckich —
Jednak więcej serbskich niż tureckich;
Bo Serbowie ginęli przy panu,
Panu swoim i twoim, o Pani!...
A Jug, ojciec twój, Pani kochana,
Zginął niemal na pierwszem spotkaniu.
Legło przy nim i ośmiu tuż synów,
Bo brat brata odstąpić nie chcieli,
Póki który mógł władać orężem...«

Seweryn Goszczyński.

Urodzony w Ilińcach na Ukrainie, w roku 1803. Nauki początkowe w Międzyrzeczu u Pijarów; późniejsze u Bazylianów w Humaniu (razem z Bohdanem Zaleskim). Po ukończeniu szkół udał się do Warszawy i tu z całym popędem swojej natury namiętnej rzucił się w dwa panujące właśnie pośród młodzieży prądy: romantyczno-poetyczny i polityczno-spiskowy. Z pierwszego wyszedł jego poemat Zamek kaniowski, wydany w roku 1828.; z drugiego uczestnictwo w tajnych sprzysiężeniach. W nocy 29. listopada 1830. był jednym z tych kilkunastu, którzy uderzyli na Belweder. Po wojnie Goszczyński schronił się do Galicyi. Przebywał w różnych stronach, a różne jego pisma są śladem tych pobytów (Król zamczyska w okolicach Krosna, Sobótka, Straszny strzelec w Tatrach). Bawił i w Krakowie, gdzie w. r. 1835. ogłosił w Pamiętniku pow. nauk i umiej. artykuł pod tytułem: Nowa epoka poezyi polskiej; w tym dowodzi, że cała poezya polska, jak jest, Mickiewicza nie wyjmując, pozbawiona jest narodowego ducha.

W roku 1838. wydalony za granicę, pojechał Goszczyński do Paryża. Tu był jednym z najgorliwszych zwolenników tej polityki, która przez tajne spiski chciała wywoływać zbrojne ruchy w kraju. Pisał mało. Gdy się zjawił Towiański, Goszczyński, zawsze nieprzyjaźnie usposobiony względem katolickiego kościoła, przechylił się do tej mglistej, mistycznej nauki i został jej wiernym do śmierci. W jej duchu pisane są jego (bardzo nieliczne) wiersze z czasów starości. Na krótko przed śmiercią przeniósł się do Lwowa (w r. 1872.), gdzie też umarł r. 1876.

Szkolny kolega i przyjaciel Zaleskiego, a z nim i z Malczewskim uważany za przedstawiciela poezyi ukraińskiej, jest we wszystkiem zupełnem Zaleskiego przeciwieństwem. Tamten jest z usposobienia łagodny i tęskny, a w wierszach dźwięczny i miękki: ten namiętny i gwałtowny, a w poezyi swojej przesadnie ponury i szorstki. Tamtego fantazya i uczucie opanowane są Ukrainą smętną, ale dla polskiego serca wdzięczną i drogą: ten lgnie do Ukrainy ponurej i krwawej. Tamten na bohaterów wybiera Kozaków rycerzy i wiernych Rzeczypospolitej: ten wrogich jej hajdamaków. Tamten w dziejach Ukrainy widzi boje z Turkiem i Tatarem: ten rzeź humańską. Jako poeta, Goszczyński ma zapewne więcej od Zaleskiego wyobraźni, ale wyobraźnia to jakaś niezupełna, która sytuacye tworzy wprawdzie, ale ich z sobą organicznie połączyć nie umie, i tworzy postacie, ale im życia i wdzięku nie nadaje. Tych zaś własności, jakie ma Zaleski: żywego uczucia, zdolnego udzielić się drugiemu człowiekowi, i wykwintnej, a własnej oryginalnej formy, Goszczyński nie posiada. A jeżeli tamten nadużywa czasem śpiewności i rzewności, to ten znowu nadużywa szorstkości i okropności; smaku i estetycznego zmysłu ma mało, a swojego wybitnego stylu i wiersza nie ma.

Zamek kaniowski, niewątpliwie najlepszy z jego poematów, ma treść szczęśliwie wybraną, która mogła była być poetyczną i tragiczną. Ale treść naprzód ułożona jest niezręcznie, tak, że czytelnik

często nie może zrozumieć, co się dzieje i dlaczego: a potem te działające osoby mimo wielkiej energii i namiętności, jaka w nich być ma, są martwe, zimne. Są i nadużycia romantycznej licencyi i mody, jedne niesmaczne i odrażające, jak waryatka Xenia, ścigająca Nebabę swoją miłością; drugie niedorzeczne, jak rozmowa dwóch prawdziwych ptaków. Pomysł i sytuacye są własnością Goszczyńskiego, ale w wykonaniu jest naśladowanie dwóch poetów i dwóch poematów, mianowicie Mickiewicza i Grażyny w opisach, Malczewskiego i Maryi w lirycznych dygresyach. (Najpiękniejsze ustępy są: I 1—3., I 7., II 12., III 10. i 11.).

Jakkolwiekbądź, jest to najlepszy z poematów Goszczyńskiego.

Anna z Nadbrzeża, powieść poetyczna z XVII wieku, większa od Zamku Kaniowskiego, ale znacznie słabsza, nigdy ani po ukazaniu się ani później za dobrą uważaną nie była. — Sobótka jest fragmentem, zatem sądzić ją trudno; może byłaby piękna, gdyby była skończona: ale to, co jest, nie zaleca się ani szczególnym ruchem i życiem ani wdziękiem. — Prozaiczna powieść Król zamczyska świadczy lepiej o talencie autora. Jest to allegorya dziejów Polski, które waryat Machnicki (człowiek, który istotnie był i mieszkał w okolicach Krosna), wyobraża sobie wcielonemi w Zamek Odrzykoński, i tłómaczy je przyjacielowi swemu, autorowi. Stopniowe walenie się zamku wyobraża stopniowy upadek Rzpltej; a jak pod zamkiem są fundamenta od niego nierównie większe, tak kiedyś z prostego ludu odrodzi się naród potężniejszy, niż był dawniej. — Inne, mniejsze prozaiczne powieści nie mają wartości, prócz tej chyba, że niektóre mają za bohaterów emisaryuszów, a przezto są charakterystycznym pomnikiem swego czasu.

Wiersze liryczne, zebrane i wydane pod tytułem Trzy struny (1839), są z małymi wyjątkami tak zimne, że na prawdę nigdy cenione nie były.

Prozą wydał także Tłómaczenie Ossyana (1838).

Człowiek dobrej wiary, prawego charakteru i poświęcenia, szanowny przeto — jako poeta Goszczyński miał niezaprzeczenie znaczny zasób talentu. Że się ten talent wyżej nie wyrobił i nie zdobył na nic lepszego jak Zamek Kaniowski, to powodem mogło być niedostateczne wykształcenie poety, jego wyobrażenie (mylne), że dążność i treść tylko jest rzeczą ważną, a forma i sztuka podrzędną, stąd nie tylko zaniedbanie, ale umyślne i pogardliwe lekceważenie artystycznej strony poezyi. Wreszcie powód zapewne główny ten, że przy wyobraźni dość bujnej, przy niewątpliwie gorącej miłości ojczyzny i przy silnej namiętności politycznej, poeta ten nie miał dość uczucia na to, by ono przez poezyę trafić mogło do serca drugiego człowieka, albo ożywić i wzruszającemi uczynić postacie, które wyobraźnia jego tworzyła.

ZAMEK KANIOWSKI.

Kozak Nebaba, urodzony w Białozorze na Ukrainie, porzuciwszy rodzinne strony, udał się do Kaniowa, gdzie zyskał naprzód względy

u starszych, a potem przełożeństwo nad przydwornem kozactwem w zamku kaniowskiego starosty. Tam też podbiła serce atamana Kozaków młoda, jaśniejąca urodą dziewczyna, Orlika. Ale i rządca zamku, Polak, uczuł równą ku pięknej Orlice skłonność. W nim więc miał Nebaba współzawodnika przemożnego, choć mniej szczęśliwego, ponieważ rzeczywiście Orlika uczuć rządcy nie dzieliła. Rządca tedy chwycił się podstępu.

Oto początek powieści:

1. Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury, jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów po jarach, górach rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dnieprowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły w około.
2. Wietrzna jesienna zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd igra po rozdrożu.
Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
Słychać skrzypienie głównej szubienicy:
Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą czasami pobrzękując krzywą
Szyldwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
Zwijając wąsy, przechadza się żywo.
To cisza nocy w myślach go ponurza,
To szubienicy skrzypienie ocuci:
A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia —
To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia,
Gdzie, baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
Strażniczy ogień czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje, coś po drodze bieży.
Tfu! W imię Ojca... To tumany dyable.
Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę i szablę
I dawną drogą chodził dalej śmiało.
3. W świetle księżyca, co wyjrzy czasami,
Mignął ktoś bielą i zagasł tam w krzaku:

I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten śpiew, znajomy, budzi dreszcz w Kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
(Poznać ją można po jej miłej nucie)
W burzliwem sercu syna Ukrainy
Ocknęły nagle burzliwe uczucie?
Oho! już niema Kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza
I noc mokrymi tumanami bije,
I szubienica skrzypi i pies wyje,
I po rozdrożu igrają bałwany
I wicher, z jękiem, dmie w zamkowe ściany.

Żołnierz, któremu straż nocną około szubienicy zlecono, był to brat Orliki. Według zwyczaju śmiercią bywał karany, z pod czyjego dozoru zginął trup powieszonego winowajcy. Zwabiony śpiewem znajomej dziewczyny, zbiegł szyldwach ze stanowiska. Tymczasem na rozkaz rządcy porwano wisielca z szubienicy, a Orlika musiała wybierać pomiędzy haniebną śmiercią brata a natychmiastowem oddaniem ręki chytremu rządcy. Dla ocalenia brata została Orlika żoną rządcy.

Na wieść o tem postanowił Nebaba zemścić się na znienawidzonym Polaku. Ówczesne niepokoje na Ukrainie i bliskość obozu Szwaczki, który przewodził kaniowskim hajdamakom, nastręczyły atamanowi łatwą do tej zemsty sposobność. Opuściwszy zamek wieczorem, przeprawił się przez Dniepr na drugą stronę, gdzie połączył się ze Szwaczką.

Ale stary i w pijaństwie rozmiłowany dowódca hajdamaków zbyt niedołężnie prowadził rzecz całą. Dlatego Nebaba, zniecierpliwiony nieczynnością Szwaczki, zgromadził sam gromadę, stanął na ich czele i posunął się ku miastu, pragnąc zdobyć je nocą.

Stało się inaczej. Młoda rządczyni, Orlika, nie mogąc się odjąć żalowi i rozpaczy, umyśliła zabić męża, uniesiona srogą ku niemu nienawiścią. W przededniu napadu na zamek, kiedy rządca wyjechał, aby zapewnić miastu obronę, siedziała Orlika wieczorem wśród licznego grona służebnic.

II 12. Czy nie po panu zatęskniła pani?
Że między niemi, a nie kwitnie na niej
Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość:
Słabość w jej oku, w jej obliczu bladość.
Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
Cerę, co zgasła, wargę co pobladła,
Z milczącą skargą, mgła serca osiadła...
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie?
Jak utajona tląc w serca głębinie,
Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą?
Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje?
Z młodej rządczyni smutkami toż samo:

Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
To łez nie puszcza, ta więzi westchnienia...
Może, uważną pracą zaprzątnięta,
Zapomni smutku: usiadła za krosna;
Może miłosna, może pieśń żałosna,
Posępną dumą utuli natręta,
Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
Już na źrenicy łezka zabłysnęła:
Zbiera się, zbiera, toczy i stanęła;
Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
Jakby ją zimno smutku zamroziło.
Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma:
Powstała z miejsca, lecz jak martwa cała;
I znów stanęła z takiemi oczyma,
Jakby się w izbie obłędu lękała.
Wlecze, mdlejąca zwolna krok rozchwiany,
I nagłym rzutem ciska się do ściany.
U okna przecie. Nadstawiła ucha:
Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
Powoli widać w poruszeniach siłę,
Promyk nadziei w spojrzenia światełku,
Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpaczy i zgiełku...

Orlika zamordowała męża.

Wytrzeźwiony Szwaczka, gdy spostrzegł, że go kozactwo opuściło, z resztą swoich ludzi i ze zbuntowanem chłopstwem popędził do Kaniowa, chcąc uprzedzić Nebabę.

Ataman czekał wieczornego zmroku.

III 2. Niepomnych czasów nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z sklepów zarośli
Strzelał gałęzią widniej i wynioślej,
Niż wieża Ławry, złotem błyskająca,
Pośrodku dzwonnic kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna
Nie jednej puszczy plemię on zaczyna;
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwały szczycie,

Jak tej piastunki, co chce uśpić dziecię,
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima —
Korona jego ciągle zielenieje;
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży...

10. Co-to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałęźmi oparty bez ruchu?
Czem tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu
Smutne powieści o klęskach tej ziemi,
Gdy, pod jej niebem sęp mordu ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O, nieraz, może, na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona;
Nie jedno, może, ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią uchowała życie.
Nie; w zadumaniu cichem i głębokiem,
Puścił się Kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła!
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,
A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolej, nadziei uchyla wdzięki.
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło,
Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinnem,
Cicho, ponętnie, w marzeniach świeciło,
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;
Życie — koń wrzący; świat — kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
Łzę utrapienia łza rozkoszy strąca;
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiej smutne wesołymi zmienia,
Jak jego umysł swoje poruszenia.
Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!
Po zwierciadlanej Białozoru wodzie
Mkną się rybackie z kagankami łodzie;
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształy,
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,

Muzyczną miarą uderzały wiosła.
Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła.
We mgnieniu oka ucichli żeglarze;
Złożyli wiosła, czółna w okrąg płyną;
Już w oczeretach syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze,
A tanecznice, migającym cieniem,
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.

11. Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica:
Wszystko kipiące, od serca począwszy,
Aż do rumaka, co go gdzie chce niesie;
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniała chwila
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności — zorza zmartwychwstania.
Cóż-to za dziwna strona się odsłania?
Tu, pod nogami, na równi poziomej:
Moszen spojrzeniem policzone domy,
Irdyń drzemiący w spleśniałej głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
Jak rozsypane zielone bukiety,
Drzewa i sady i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Dalej, piaszczyste pozłocone morze;
Dalej, bór spływa po piaszczystym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej i dalej i bliżej
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry i łąki i piaski.
A coraz dalej stepy piasku bledsze,
A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze,
I nieba niższe — a mgły, a mgły zawsze.

Ileż swobody, uniesień rozwinie
Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
Co tam za strony? gdzie, w tumany sinie,
Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?
Orzeł niech powie, co pod niebem krąży;
On wyżej buja i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtę okolicę;
O Zaporożu niechaj on opowie:
Jak tam rozlegle panują koszowi;
Jakie tam wiecznie hulanki i wola;
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia.
A tabun pędzi ze rżeniem na pola,
A Zaporożec, na swobodnym koniu
Jak jego myśli, ugania po błoniu;
Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
A tam po Dnieprze łódka się przemyka;
Lekka i chybka i szybka jak fala,
Leci za nurtem, po szklanej równinie:
Wpadła na poroh, ze skał się przewala,
Zapadła w głębię... przepadła... aż zdala
Pęka wód kryształ, łódź jak łabędź płynie.
Przeszło, co było, i co będzie, minie!
Ockniony z myśli ataman zawoła:
A co być musi, niechaj się już staje!
Kozacy tęsknią i ogień goreje!
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła!
Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
Już pod bajrakiem — i już hasło daje.

Wśród ciemności nocy dał się ataman wprowadzić w zasadzkę. Otoczony przez wojsko polskie, stoczył bitwę w tej właśnie chwili, gdy Szwaczka dobył zamku i zapalił go. Uganiając za rządczynią, którą zbrodnia popełniona obłąkała, zginął wódz hajdamaków razem z nią samą i większą częścią swoich pod stropami przetlałego gmachu.

Nebabę rannego wzięto do niewoli i żywego jeszcze wbito na pal przed bramą zamku.

ORZEŁ.

Wrzały burzą niebios głębie:
Na strzaskanym od burz dębie
Król ptaków się dąsał.
Patrzałem —
Wokoło niego chmury, kłąb przy kłębie,
Wrony i kruki, nawał za nawałem.
Widziałem —

On tylko skrzydła zjeżone potrząsał.
Naraz ujrzałem —
Przez wrony i chmury
Pada promień z góry
Na ptaków króla:
Niebieskiem światłem oczy mu olśnęły,
Niebieskim wiatrem skrzydła się rozdęły —
Wrony się zbiły, chmura się stula,
A on, na krzyżu skrzydeł rozpięty,
Przez wron chmury i chmur męty
Po jasnym niebios promieniu
Dąży ku nieba sklepieniu.
Wrzawa i grzmoty wrą wokoło niego,
On się nie puszcza szlaku swojego;
A ziemia coraz niżej,
A niebo coraz bliżej —
I ot! pod orłem już chmury,
Pod orłem wrzaskliwe chóry.
Patrzałem, słuchałem —
A na podniebiu całem
Cisza i jasność — orzeł w słońcu zginął!
Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął —
Śpiew to zwycięski w orlej dziedzinie.
Tylko w mojego ducha głębinie
Jak echem śpiewu zadrżałem:
To echo ducha na orła śpiewanie;
I jak zabrzmiało, tak brzmi nieprzerwanie.
Gdy mię chór troski zagłuszy,
Ono budzi letarg duszy
I w ślad orli, w orle kraje
Nieść mię nie przestaje.

Joachim Lelewel.

Syn Karola i Ewy z Szelutów, urodzony w Warszawie roku 1786. Od dzieciństwa okazywał szczególny pociąg do prac historycznych. W roku 1801. oddany do szkół pijarskich w Warszawie, obok zajęć szkolnych oddawał się z własnej ochoty pracom historycznym. W r. 1804. udał się na uniwersytet do Wilna, gdzie oprócz innych prac pisał swoją Historykę.

W roku 1811. wydał w Warszawie Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa, które dały go poznać jako badacza głębszego od współczesnych historyków. W roku 1814. powołany do Wilna na zastępcę profesora historyi w uniwersytecie, wydał tam Badania starożytności we względzie geografii, i Dzieje starożytne, ale niebawem powrócił znowu do Warszawy, gdzie ogłosił

między innemi Krótki rys panowania Stanisława Augusta i Paralelę Polski z Hiszpanią. Za powtórnym pobytem w Wilnie (1821), już jako zwyczajny profesor historyi, przyjęty przez uczniów z zapałem, którego ślad pozostał w wierszu Mickiewicza do Joachima Lelewela, pisał Ocalenie Polski za Łokietka, Ksiąg bibliograficznych dwoje, Dzieje Polski potocznie opowiedziane etc. Po śledztwie i skazaniu uczniów wileńskich przez Nowosilcowa, usunięty z katedry, wrócił do Warszawy. Należał do wszystkich tajnych przygotowań powstania, a po jego wybuchu został członkiem Rządu Narodowego. Po kapitulacyi Warszawy zmuszony emigrować, udał się naprzód do Paryża, potem przeniósł się (1832) do Bruxelli, skąd się już do ostatnich tygodni życia nie oddalał. Bez majątku, zmuszony koniecznością, żył prawie jak nędzarz. Byłby zapewne mógł pozwolić sobie na lepszą cokolwiek wygodę, ale o nią nie dbał; grosz, jaki miał, wolał wydać na książki lub na ubogich; a prócz tego rozmiłowany był w swoim ascetyzmie, w którym z czasem doszedł aż do dziwactwa. W izdebce swojej przesiedział lat 29, prawie nie wychodząc i żadnych stosunków z ludźmi nie utrzymując, oddany od rana do nocy pracy, która zdumiewa ogromem swoim i zakresem. Prace jego francuskie, numizmatyczne i archeologiczne, do dziś dnia używają wielkiej u uczonych zagranicznych powagi, a odkrycia jego na tych polach zmieniły i podniosły zasób wiadomości i samo stanowisko tych nauk.

Z dzieł polskich powstały w Bruxelli: Polska odradzająca się, Dzieje Litwy i Rusi, Dostojności i urzędy, Zaszczyty i tytuły, Herby i heraldyka, Narody na ziemiach słowiańskich, Historyczny rozbiór prawodawstwa polskiego, Początki prawodawstwa polskiego, Polska wieków średnich, Wykład dziejów powszechnych, Atlas do geografii wieków średnich (który sam rytował) itd. Dzieła te zaczęły wychodzić w roku 1858. w zbiorowem wydaniu pod wspólnym tytułem Polska, dzieje i rzeczy jej, ale nie wszystkie są tem wydaniem objęte.

W roku 1861. już prawie dogorywającego przewieźli uwiadomieni o jego stanie przyjaciele do Paryża, gdzie wkrótce zgasł 26. maja.

Jeden z największych uczonych, jakich Polska miała kiedykolwiek, Lelewel »przez lat sześćdziesiąt badał chronologię, genealogię, geografię, politykę, prawodawstwo, urzędy, dzieje świata, dzieje swego narodu, dzieje kultury i piśmiennictwa, bibliotek, druków, historyków i geografów, bałwochwalstwo, monumenta, monety, grobowce, budowy, herby, pieczęcie, dyplomata, pismo, ubiory, obyczaje, zabytki starożytne Polski, Litwy i Rusi...« badał i znał wszystko, co się dawnej Polski tyczyło, a rozległością wiedzy nie dorównał mu żaden z naszych historyków dawniejszych ani późniejszych.

Wielkie jest jego znaczenie w dziejach naszego dziejopisarstwa. Naruszewicz podniósł naszą historyografię z upadku; z kroniki lub słabego podręcznika, zrobił ją krytyczną i na źródłach opartą: po-

stawił ją na tym stopniu, na jakim w wieku XVIII stała historya w oświeconych krajach Europy.

Po Naruszewiczu choć praca historyczna nie ustała, choć w niektórych szczegółowych kierunkach miała i ludzi znakomitych i skutki prawdziwie wielkie (na przykład Czacki w badaniu prawa polskiego) — to przecież potrzebowała rozleglejszego, wszechstronniejszego badania. Naruszewicz opierał swoją historyę na źródłach: Lelewel pierwszy u nas (i jeden z pierwszych w Europie) zaczął krytycznie badać źródła same, ich wartość, prawdziwość tego, co podają; a od niego nauczyli się tego następcy.

Przez wyjątkową organizacyę swego umysłu, przez swoją namiętność do historyi i pracowitość bezprzykładną, zdołał niezmierny ogrom kwestyi i stosunków rozpoznać, bystro wyrozumieć, określić i spamiętać. Najwięksi zagraniczni badacze historyczni jego czasów nie byli uczeńsi od niego, nie badali sumienniej ani przenikliwiej; w tem tylko byli od niego szczęśliwsi, że było ich wielu, że mogli pracę między siebie rozdzielić, wybrać pewną jej część i tej wyłącznie się oddać, a przez to mogli wydawać dzieła bardziej skończone. Lelewel był jeden, i jeden musiał opanować cały ogrom stosunków polskich. Musiał mieć wyjątkową, prawie genialną zdolność, kiedy temu podołał; ale nie dziw, że nawet przy takiej zdolności nie mógł zrobić wszystkiego, i jeszcze pięknie i żywo pisać i opowiadać. Zrobił on to, że przez niego i od jego czasów znamy lepiej i początki naszych dziejów i stopniowe wyrabianie się naszych stosunków społecznych i politycznych urządzeń, i następujące po sobie z biegiem czasu zmiany w tych stosunkach i urządzeniach; śladów historycznej prawdy i sposobu rozwiązania historycznych zagadnień szukał wszędzie, gdzie one tylko być mogą. Za jego przykładem tak ich szukać nauczyli się następcy. Z rezultatów jego badania wiele jest dziś prześcigniętych, sprostowanyeh, tak, że się okazały w mniejszej lub większej mierze mylnymi. Ale taka jest natura i los każdej nauki, a w szczególności historycznej, że nowe badanie odkrywa nowe prawdy, które każą widzieć i pojmować stosunki inaczej, niż je pojmował choćby największy historyk lat i pokoleń ubiegłych. Wielkości zaś takiego historyka nie ujmuje to nic, że następni niejedno po nim odkryli, poprawili albo sprostowali: bo bez niego nie byłoby tych następców, nie byłoby ich wiedzy i pracy, oni nie mieliby na czem się oprzeć, od czego zacząć, ani co poprawiać i prostować.

Polem zaś, na którem Lelewel najwięcej zrobił odkryć głębokich i najwięcej zasług położył, są wieki średnie i polskie w nich stosunki.

Zdarza się to zazwyczaj, że umysły wybornie usposobione do badania i rozpoznawania, mniej są zdolne do organicznego składania całości. Tak było i z Lelewelem. Niezrównany badacz, pracownik genialny na polu pomocniczych gałęzi historyi, nie miał tego organicznego zmysłu, który szczegóły łączy i składa, a w skutek tego był wielkim badaczem szczegółów historycznych, nie był jednym z tych historyków, którzy odtwarzają ubiegłe dzieje, dają je poznać i zrozumieć. Nie można mu tego brać za złe, bo to natura jego umysłu; ani się dziwić, bo przy rozległości i rozmaitości jego pracy inaczej zapewne być nie mogło;

ale nie można zaprzeczyć, że kwestye szczegółowe zgłębia on i określa lepiej, aniżeli całość jakiejś epoki i ogół jej stosunków.

Jego sposób pisania, ciężki zazwyczaj a niekiedy aż dziwaczny (jak dziwaczną jest pisownia, której się uparcie trzyma), chwilami ożywia się przecież i staje się świetnym (na przykład w przedmowie do Ksiąg bibliograficznych).

Jego błąd największy jest ten, że opanowany swoją polityczną i społeczną doktryną (gminowładczo-republikańską), przywiązany do niej fanatycznie widzi w przeszłości jej objawy lub dowody nawet tam, gdzie ich niema, a gdy nie widzi i nie znajduje, to je wyszukuje i zjawiska historyczne do swego sposobu myślenia naciąga.

Niemniej słuszność ma Siemieński, kiedy mówi o Lelewelu (Portrety literackie): »Wyjątkowa to postać, jakiej pozazdrościłby każdy naród, nawet na szczycie pomyślności i bytu. Było w niej coś ze starożytnych filozofów Grecyi lub rzymskich stoików, coś ze średniowiecznego ascety i uczonego Benedyktyna; a w ogniu oka, w przekonaniu słowa przeglądał niekiedy trybun republikański. Uczoność i patryotyzm to dwa wielkie jego tytuły do zaskarbienia pamięci narodowej«.

Polityka, stan i urządzenie Rzeczypospolitej.

Obrady narodowe.

Sejm zwyczajny — według prawa co dwa lata przypada. Kiedy do niego przychodzi, król zwołuje sejmiki dla obrania posłów. Posłowie ci ze swoich ziem, województw i prowincyj otrzymują instrukcye i lauda. Na dzień, uniwersałem obwieszczony, zjechawszy się w miejsce sejmowania senat i posłowie, idą do kościoła, skąd po mszy i po kazaniu odprowadzają króla do izby senatorskiej; gdzie stanąwszy, marszałek starej laski czyli przeszłego sejmu, a w jego niebytności najpierwszy poseł tej prowincyi, z której przeszłego sejmu marszałek był, z kilku posłami przystępuje do króla i o pozwolenie udania się do izby poselskiej uprasza. Posłowie udają się do swej izby. Senat wita króla i wiadomości z izby poselskiej oczekuje.

W izbie poselskiej marszałek starej laski zagaja obrady zaleceniem obrania nowego marszałka. Wybranemu w tymże dniu oddaje laskę. Nowy marszałek wysyła deputacyą z doniesieniem królowi i senatowi o swoim obiorze, oraz z zapytaniem, kiedyby do ręki królewskiej przypuszczeni być mogli. Tymczasem marszałek odbywa rugi tych posłów, którzy są nieprawnie obrani albo pod kondemnatą zostają.

Następuje połączenie obu izb. Izba poselska przenosi się do senatu. Marszałek sejmowy przemawia do króla, doprasza się ucałowania ręki. Odpowiada mu kanclerz i do ręki królewskiej posłów wiedzie. Obu izbom połączonym odczytane są *pacta conventa*, a każdemu posłowi wolno się przymówić, jeśliby w czem co naruszone widział. Kanclerz czyta potem mowę do stanów, w której wymienia propozycye od tronu, nad któremi mają deliberować. Następuje czytanie pism przeszłego sejmu, w reces czyli tajemnicę podanych, podobnie relacyi posłów do dworów cudzoziemskich. Odczytywane też są narady senatu, jakie między sejmami zaszły. Marszałek po tem wszystkiem dopomina się rozdawnictwa wakansów, jeśli są. Król zaraz wyznacza deputacyę do układania konstytucyi i delegacye do examinowania wspólnie z deputacyą poselską podskarbich i hetmanów, (a od r. 1775. departamentu wojskowego i komisyi skarbowej i edukacyjnej). Przychodzą też deputowani od wojsk i swoje potrzeby przekładaję. Poczem się izby rozłączają i posłowie do swojej powracają.

Marszałek zaraz mianuje deputacyę do układania konstytucyi i examinowania podskarbich i hetmanów wraz z deputacyą senatu; zarazem mianuje 12 do sądu sejmowego. Toczą się dyskusye nad propozycyami od tronu uczynionemi. Posłowie wprowadzają swoje propozycye, jakie od swych ziem i województw mają, i głosy porządkiem województw zabierają. Jeśli jaka trudność zachodzi, która się w wotowaniu objawia, król przyzwala na posiedzenia i narady prowincyonalne, odbywające się zwykle po kościołach. Zbierają się tedy razem posłowie i senatorowie każdej osobno prowincyi i o wypadkach osobnych narad wzajem sobie donoszą. Po uprzątnieniu trudności posłowie wracają do swej izby dla utworzenia konstytucyi. W osobnej izbie deputacye do ułożenia konstytucyi z ministrami układają. Ułożoną sekretarz sejmowy odczytuje i zapisuje. Marszałek trzykrotnie pyta, czyli ją wszyscy pochwalają, a skoro bez przeciwności pochwaloną jest, mocy prawa nabywa.

Tymczasem król z senatem i sądową z posłów deputacyą odbywa sądy sejmowe; deputacye examinują wojsko i skarb i kwitują.

Na pięć dni przed zakończeniem sejmu izba senatorska z poselską się łączy: odprawia się jednomyślnych decyzyj odczytanie. Gdy nie zajdzie żadne sprzeciwienie się ani ze strony posłów ani senatorów, marszałek z deputowanymi obu izb, do układania konstytucyi wyznaczonymi, podpisuje do zapisania do akt w grodzie i do druku odsyła.

Jeżeliby sejm miał się nad przepis dłużej przeciągnąć, na to trzeba obu izb jednomyślności.

Czyli sejm szczęśliwie się kończy czyli zalimitowany zostaje do przyszłego zebrania i odnowienia działań swoich, zawsze stany żegnają króla, przystępują do ucałowania ręki królewskiej i w kościele śpiewają pieśń: »Do Ciebie Panie«, poczem się rozjeżdżają. Jeżeliby sejm był zerwany, toż pożegnanie nastąpić może; ale jeśli zerwany zostaje przed obraniem marszałka, wtedy ani ręki nie całują ani pieśni nie śpiewają...

Sejm konwokacyjny odbywa się w czasie nastania bezkrólewia. Po zgonie królewskim królewską niejako władzę obejmuje prymas; z tego powodu zowie się *interrex*. Wraz uwiadamia ziemie, województwa i sądy o śmierci króla i zwołuje sejmiki przedsejmowe. Sądy swe czynności zawieszają, a na sejmikach obierani są posłowie i sędziowie kapturowi. Po miastach zaś głównych są wybierani deputowani na sejm.

Sejm zwykłym się zaczyna porządkiem, nabożeństwem w kościele, skąd po wezwaniu Ducha św. udają się stany do swych izb. Następuje obiór marszałka, połączenie się obu izb, do czego wzajemną deputacyą senat izbę poselską wzywa. Wyznacza się dzień i miejsce na wybranie przyszłego króla, rozpoznaje się stan Rzeczypospolitej, w czemby prawu uchybione było; opatruje się bezpieczeństwo powszechne i podpisuje konfederacya czyli związek, kapturem zwany, przez czas bezkrólewia trwać mający. Kaptur ten podpisują wszyscy: prymas z senatorami i marszałek sejmowy z posłami. Stąd sejm ten nie tylko sejmem konwokacyjnym, ale się zowie kapturowym albo konfederacyjnym. Kaptur ten przesłany zostaje na sejmiki relacyjne.

Sejm elekcyjny od innych wszystkich inaczej się odprawia. Miejsce jego zwykle jest pod Wolą przy Warszawie, gdzie się sypał wał z rowem, a w środku okopu, w jednej części buduje szopa, gdzie senat zasiada, a w drugiej stawiają ławki na Koło rycerskie dla izby poselskiej, która tedy pod gołem niebem obraduje.

Po nabożeństwie i wezwaniu Ducha św. w kościele św. Jana wszyscy udają się za miasto, senat do szopy, a posłowie do swego koła wespół z deputowanymi miast główniejszych; wszystka zaś szlachta zostaje za wałem. W Kole poselskiem nastaje obranie marszałka, potem połączenie się izb w szopie, do czego wzajemną deputacyą senat izbę poselską wzywa.

Dla dania audyencyi posłom mocarstw obcych łączą się izby w szopie, albo czasem senat przenosi krzesła swoje do Koła, gdzie zasiada przed posłami województw krakowskiego i poznańskiego, naprzeciwko marszałka sejmowego.

Gdy przychodzi do samej elekcyi, senatorowie i posłowie z deputowanymi w Kole stają. *Interrex* prymas po krótkiej przemowie przyklęka, intonując wezwanie do Ducha św., poczem dawszy błogosławieństwo, senatorów i posłów ziemskich z deputowanymi miast do ich województw odpuszcza, sam z marszałkiem sejmowym w Kole pozostaje. Województwa na okół, w pewnej od okopu odległości pod namiotami rozłożone, siadają na koń i pod chorągwiami swemi występują oddzielnie, województwami: Małopolska od południa okopu, Wielkopolska od zachodu, Litwa od wschodu — senatorowie, posłowie i deputowani, połączywszy się ze szlachtą województwa swego. Jeden z senatorów w każdem województwie województwa swego kreski za kandydatem zalecanym przez siebie zbiera i zanosi marszałkowi sejmowemu do Koła.

Po zebraniu głosów podsuwają się województwa ku okopom, a po obliczeniu głosów *interrex* siada na konia i objeżdża województwa, każde po trzykroć pytając: Czy zgoda na obranego króla? Gdy się nikt nie sprzeciwia, obwieszcza króla, a marszałek wielki koronny wkoło placu elekcyjnego, u wszystkich bram, trzem prowincyom ogłasza. Wezwany nowo obrany król albo jego umocowani zaprzysięgają prawa i *pacta conventa*. Zaraz czas koronacyi oznacza się i wszyscy śpieszą do kościoła św. Jana dla odśpiewania pieśni: »Do Ciebie Panie«. Potem wszystko się rozjeżdża i rozchodzi.

Sejm koronacyjny i w jego ciągu uroczystość koronacyi ostatecznie kończą bezkrólewie. Król nowo obrany wjeżdża uroczyście do Krakowa. Następuje pogrzeb zeszłego króla, a w kilka dni koronacya. (Dopiero Stanisław August w Warszawie koronacyę odbył). Zaczem król zaczyna być królem i lata panowania liczyć poczyna, poczyna władać, przez co i kapturowi koniec położony.

Po koronacyi zaczyna się i odprawia zwyczajnym sposobem sejm, stany przysięgę wierności składają, król prawa wolności i przywileje zatwierdza. Czynności sejmów konwokacyjnego i elekcyjnego zostają potwierdzane, a potrzebne urządzenia i ustawy napisane.

Jeszcze i na tym sejmie mogą się znajdować deputowani miast i przystępują do ucałowania ręki królewskiej. Ta na sejmach konwokacyjnym, elekcyjnym i koronacyjnym miast

reprezentacya ograniczała się do miast głównych: Krakowa, Warszawy, Wilna, Poznania, oraz do miast pruskich: Gdańska, Torunia i Chełmna.

Bibliograficznych ksiąg dwoje.

Przemowa.

Nie w dezobliżantce czyli pojedynczej karetce (jak tłómacz polski, nie zawsze tłómaczone dzieło rozumiejący, mówi), nie w tej na jedną osobę karetce, ale na furmańskiej bryce do tej biorę się przemowy. W tę chwilę sam jeden prawie pod gołem niebem, opuszczony od świata (tylko starozakonny filozofujący woźnica mnie towarzyszy), sam jeden puszczam myśl, wśród słoty pogodną. Z biegiem kół zbryzganych biegną bezdrożem rozkołysane myśli, a każdy koniom dany wypoczynek jest czasem, w którym wyjąć można notatę, kałamarz i pióro — i przemowę pisać. Sam jeden tylko jestem i do siebie tylko mówić mogę, do siebie czyli do was, moje księgi bibliograficzne.

Lecz są inne jeszcze powody, że do was mówię. A naprzód, że wami w te czasy byłem zajęty, a powtóre, że dzieło bez przemowy w oczach niejednego wydawałoby się defektowe, jak głowa bez czapki, jak bryka bez budy. A tę przemowę jedynie do was obrócić wypadło.

Przemawiania takie różne tytuły noszą: przemowy, przedsłowia, wstępy, przedmowy, pomowy, wyłożenia, wyjaśnienia, odezwy; a mieszczone bywają najpospoliciej na czele dzieła, rzadko na końcu, a jeszcze rzadziej i ledwie kiedy we środku, jak się na nieszczęście tej mojej przemowie wydarzyło. Bywają przemowy wszersz i wzdłuż ogromnej objętości, tak, że czyli przemowa do dzieła czyli raczej dzieło do przemowy należy, niełatwo czytelnikowi zadecydować, tak, że dzieło miewa wejrzenie bryki kupieckiej, od góry całkowicie płótnem powleczonej; samej bryki i koszów jej od wierzchniej powłoki prawie nie widać. W takiem przemawianiu zwykli autorowie, tłómacze, wykładacze, wydawcy, redaktorowie, typografowie, bibliopole i im podobni, księgi na świat wysyłający, bądź nie o czem pisać. Chwalą się, narzekają, zdają sprawę ze swoich czynności, uczone rozprawy piszą, wesołe i poważne wiadomości wkładają, gadają o dziele i rzeczy w niem będącej, których pospolicie czytelnik jeszcze nie zna, a zwykle obracają się do czytelnika z komplementem, z instrukcyą, z nauką, z konceptem, a najpospoliciej

do czytelnika. Pragnie przemowy czytelnik, a czytając ją, częstokroć jej nie pojmuje; bo wprzódy dzieło mu przeczytać wypada, nimby zrozumiał przemowę. Najczęściej do czytelnika, polecając się jego względom, jego łasce. A jeżeli jakie dzieła, to dzieła bibliograficzne potrzebowałyby takiego zalecenia; i liczne dzieła bibliograficzne są rzeczywiście pokryte i odziane słodkimi przemowy wyrazami, jak podziurawiona buda bryki, całkowitem naciągniona płótnem. Lecz gdy deszcz przez nią lunie, nie masz zasłony od deszczu; bo przezroczyste płótno dziur w popsutej skórze lub rogóży nie ubezpieczy, tak jak uprzejme przemowy słówka nie wyłatają błędów bibliograficznych. Zmoczą te bibliograficzne kalectwa zjadliwe i szydercze a wszakże sprawiedliwe krytyki, jak podróżnego ulewa, przez rzedzinę płótna cedzona.

Niech i na was spadną podobne, ja za wami przemawiać nie będę. Niech zaś przyjazny dym grzeczności, którym was dziennik okadził, nie unosi, ja was oddaję sprawiedliwości, a choćby nawet i złośliwości ludzkiej; ja za wami do czytelnika przemawiać nie myślę, a mówię jedynie do siebie, czyli do was samych, mówię w odludnem odosobnieniu mojem, tak jakbym do czytelnika mówić nie śmiał. Między nami wielka jest zażyłość, wielka poufałość, a przeto co innym śmiesznie, niedorzecznie się wyda, to wam znośne być musi.

Mówią Francuzi, że bibliografem być jest rzeczą najpiękniejszą i najpoważniejszą. Cóż bowiem człowiekowi więcej satysfakcyi przynosić może nad oswojenie się ze wszystkiemi pracami ludzkiemi? co milszego jak, tocząc swe oko w obszernym ksiąg zbiorze, po szrankach, dzieł szeregach i pisarzy, odświeżać posiadane przez się wiadomości o autorach, o przedmiotach, o dobroci i wartości? Bibliograf jak polihistor lub encyklopedysta, obowiązany znać wszystkie użyteczne, rzadkie i ciekawe księgi, jednym rzutem oka poznaje i ocenia; biegły w rozpoznaniu druku, znaków, rysunków, składu, papieru — wie, co się w książce znajduje, bo trawi swe życie na ich czytaniu, na ich rozbieraniu, klasowaniu, opisywaniu, na wyszukaniu dzieł wskazanych sobie od uczonych, na przebieganiu bibliotek i gabinetów dla zbogacenia swych wiadomości. Tym sposobem w przyjemnem zajęciu się ubogaca zapas swej nauki. Pisarzy, którzy o nauce książek pisali, nie wypuszcza z ręki, własną znajomością i własnem doświadczeniem ich przetrawia, błędy wytyka, zbija, przyczynia się do prostowania i poprawiania cudzych uchybień,

które mu ustawicznie się nawijają. Znawca wszystkich dzieł, w tłumie nowych, przez pisma peryodyczne ogłaszanych, odróżnia te, które w pamięci dłużej trwać mają; które z powodu doskonałości, dobroci, z powodu przepychu, nadzwyczajności, osobliwości zasłużyły na to, aby zostały w bibliotece pomieszczone. Posiadacz skarbów zeszłych wieków snadno wytyka, co wieki późniejsze do dawnych dodają, w czem się wyższymi ukazują. W ciągłej pracy swojej nie śpieszy w miejsca, gdzieby rozkosze i znikome rozrywki znajdywać; stroni owszem od nich, roztargnienia unika, a to dlatego, aby się usposabiał być jak najwięcej towarzyskim. Albowiem zasobny w naukowe skarby, dla każdego przystępny, różnymi językami chętnie rad udziela, o dziełach uwiadamia, czy to ustnie czy na piśmie. Żyje w ciągłym ruchu, szuka i utrzymuje jak najrozleglejsze związki z uczonymi, równie z krajowymi jak z cudzoziemskimi. Wszędzie znajomy.

Tak Francuzi bibliografów trudy wysławiają. Lecz przy takiem rozerwaniu i tak zwieloraczonych przedmiotach bibliograf staje się polihistorem, encyklopedystą, który wie i umie wszystko, a w każdym razie cierpliwie słuchać musi zarzutów, że wielu rzeczy nieświadom; bibliograf z równą do każdej nauki chęcią snuje się koło każdej, z równąż pilnością, żadnej poszczególe poświęcony być nie może. Stracone są dla nich jego zdolności, jakichby w jednym wydziale wiadomości pożytecznie mógł użyć. Imię jego, choć oznajmione żyjącym, nie zabłyśnie tak okazale, jak szczęśliwych twórców prawd w tylu naukach. Imiona bibliografów obijają się po zaciszach bibliotecznych; tam ich uczone katalogi poszukiwane, a chociaż niekiedy od uczonych w pomoc wezwane, wszelako światu o naukach wiedzieć chcącemu nieprzyjemne i nieznane. Stracone są jego dni i godziny życia, zmarnowane trudy na drodze, w której ogrom nie dających się rozpoznać widoków myśl jego uciska albo drobiazgowość i maleńkowatość w ostateczne roztargnienie go wprowadza. Jest to podróżny, obłąkany wśród pustyń piaszczystych, wśród puszcz i kniei lesistych, wśród stepów okiem nieprzejrzanych, wśród nocy na niepewnych ścieżkach zwodliwem światłem uwodzony; pragnie widzieć wszystko, a nie widzi.

Był podróżny, liczący w całej drodze swojej stąpania każdego z osobna czterech koni, co go ciągną, liczący obrót czterech kół, na których się toczy, pnie drzewa, które się przed nim migają, i gałęzie i liście, co go swym szumem otaczają; podróżny, liczący cegły i kamienie w budynkach lub żerdzie w płotach i zagrodach,

które w oko mu wpadły; liczący krople deszczu, co drogę przezeń przebytą przemoczyły, liczący te drobnostki, zapominający tylko obrachować czas, na długą drogę i na to liczenie łożony. Patrz na tego podróżnego, a będziesz miał obraz pilnego i w obowiązku swoim niezmordowanego bibliografa, liczącego tomy, kartki, linie, a niekiedy litery, a nie rachującego minut, które mu z wiatrem ulatują. W przestrzeni niezmiernej nie widzi pięknych okolic, zachwycających widoków, nie czuje uroku natury lub sztuki, nie ocenia rozmaitości przedmiotów, bo go najmocniej drobne szczegóły zajmują; w nich zatopiony, marnuje drogi czas. Nikną mu godziny i lata w żmudnem i przesadnem szperaniu w pyle i śmieciach, po przegniłych lub zbutwiałych szpargałach...

Najbieglejsi bibliografowie są podobni do podróżnego, co staje w zachwyceniu zadumany przy wspaniałej, sobie nieznanej kaskadzie. Wielki to obraz poruszonej natury! Wydziera się woda z pośród skał, w różnym kierunku spotyka się i tłucze, w szybkim biegu ze wzrokiem podróżnego pragnie iść na wyścigi, zachwycić i zatopić wzrok jego w bezdenności przez siebie wybitej. Lecz podróżny zapatrzył się i cały zajął widokiem migających się bulek, tą bańką, która w tysiącznem poruszeniu ustawnie się odradza i rozpryska, która w tysiącznym wymiarze potrąca się i pieni, a drży, samym szumem kaskady wstrząśnięta. Przerażający jest łoskot szumu, lecz i na to stał się podróżny głuchym, bo mniema, że słyszy owych wodnych purchelów pryskot i pękanie; mniema, że słuchem schwyci tej pieni szelest, jak wzrokiem jej migot. Tej wietrznej piany, aby jej znikome bąble policzyć, aby ich kolory opisać, wyście mnie, księgi bibliograficzne, wyzwały, gdym was pisać zaczął; wyście mnie z mych zagród w ten bibliograficzny odmęt pogrążyły.

Nie same wodniste bąble są celem bibliograficznych trudów; niemniej zajmują dzieje i historya nauk, piśmiennictwa, rozumu ludzkiego, kultury i postępu zdolności ludzkiej. To jest posada, na której opierają się mikrologiczne bibliografów prace; to jest wielkie światło, które z wysokości przez najeżone tytułami katalogi przedziera się do myślącej głowy, podobnie jak promienie słoneczne w ciemnych kniejach przez gęstwinę gałęzi i liści do poziomych, przy pniu drzewa porastających bedłek. Takie światło było rzeczywiście rozpromienione po wszystkich różnoimiennych dziełach, które pod zmiennemi nazwiskami toż samo mówiły, mówiły o pisaniu, pisarzach i pismach...

Maurycy Mochnacki.

Syn Bazylego i Maryi z Pągowskich, urodził się w Bojańcu w Galicyi (obw. żółkiewski) w roku 1803. Ojciec, biegły prawnik, sam uczył syna, który do szkół nigdy nie chodził. W r. 1818. rodzice przenieśli się do Warszawy, gdzie młody Mochnacki (1820) poszedł na uniwersytet. Wcześnie zaczął pisać i w różnych pismach warszawskich drukował swoje rozprawy literackie i krytyczne. Należał do tych, co przygotowywali wybuch 29. listopada, a następnie przez mowy na różnych zebraniach i przez dziennik, jaki wydawał, wywierał na ówczesne wypadki wpływ znaczny, ale niekorzystny, bo zwiększający tylko nieufność w umysłach, a niepewność i zamęt w działaniu. Pod Ostrołęką był ciężko ranny. Na emigracyi był duszą i głową tego stronnictwa, które chciało za pomocą nowych tajnych związków wywołać nowy ruch zbrojny. Pisał wiele artykułów treści politycznej i Historyę powstania, której wszakże nie skończył Zdrowie zaczęło się psuć, a od śmierci ukochanego brata i towarzysza wygnania pogorszyło się zupełnie. Umarł Mochnacki w Auxerre 20. grudnia 1835.

W życiu i w pismach był on doskonałym wyobrazicielem tej opinii, która podówczas była prawie powszechną i tworzyła wypadki. Tajne sprzysiężenie miał za najlepszy sposób oswobodzenia ojczyzny, zatem za obowiązek; hasło powstania brał za jego rzeczywistość i za jego skutek; początek działania brał za zakład i rękojmię zwycięstwa; tak zwane rewolucyjne środki czyli terrorystyczną anarchię za dowód i akt siły. Po upadku powstania, na emigracyi układał ciągle plany poruszenia całych mas ludu, w złudzeniu, że to da się zrobić i że wojska regularne przeciw takiemu pospolitemu ruszeniu będą bezsilne. Że zaś był między ludźmi tych pojęć jednym z najzdolniejszych, więc jego pojęcia i jego namiętność przez pisma udzielały się innym, stworzyły szkołę i stały się niemal programem działań Towarzystwa demokratycznego i jego późniejszych naśladowców. Patryotyzm jego był wielki, a talent w jednym zakresie (dziennikarskim) także; ale znajomość i rozumienie spraw politycznych były jednostronne i powierzchowne. Sam brał łatwowiernie zamiar za skutek, pozór za rzeczywistość, słowo za czyn: a przez wielką wziętość u współczesnych, powagę pism u późniejszych, przyczyniał się do tego niedoświadczenia i niewyrobienia politycznego, do tej nieznajomości rzeczywistych warunków powodzenia, która cechowała nasze późniejsze działania, a cechuje dotąd niektóre nasze pojęcia.

Jako pisarz miał styl świetny, miał namiętność i zapał, wielką łatwość pisania i ten dar żywego, wymownego, efektowego przedstawienia rzeczy, które sprawiały, że to, co napisał, mogło a raczej musiało robić wrażenie. Z tych własności wynikało, że miał niepospolity talent dziennikarski. To też ze wszystkiego, co pisał, najlepsze, najświetniejsze są jego artykuły, ogłaszane w pismach peryodycznych, czy w r. 1831. czy na emigracyi. Nie mówiąc o jego stanowisku i dążności, o słuszności i trafności jego polityki, sposób pisania trzeba uznać za świetny. Ale ten rodzaj talentu nie wystarczał już do dzieł większych rozmiarów i głębszej treści: jego Historya powstania — niedokończona,

doprowadzona do pierwszych dni tylko — jest długą polemiczną broszurą, obfitującą w świetne ustępy, ale nie jest historyą.

Przed rokiem 1830. Mochnacki, zajmujący się z zapałem estetyką i literaturą, pisywał wiele rozpraw tej treści i był między młodymi romantycznymi krytykami tych lat zapewne najzdolniejszym. Wykształcenie miał znaczne, choć dorywcze i bezładne, instynkt trafny, sąd i smak najczęściej pewny i dobry, a sposób pisania żywy. Zalety te wszakże były cokolwiek zepsute nadużyciem filozoficznych wywodów i definicyi. Błąd w jego czasach naturalny — bo powszechne było panowanie filozofii i gonitwa za filozoficzną głębokością — ale jego dziełom z pewnością raczej szkodliwy. Z niego bowiem wynikło, że cała połowa Literatury XIX wieku jest takiem dociekaniem filozoficznem i szukaniem definicyi, dość marnem, bo definicye nie wiele określają i tłómaczą — dość zawiłem i niezrozumiałem, a do tego mało oryginalnem, bo wszystkie te wywody wzięte są z Schellinga, a nie przetrawione należycie. Kiedy przychodzi do przedmiotów praktycznych, do rozbioru i osądzenia pewnych danych dzieł, wtedy biorą górę jego wrodzone przymioty i wydają rozbiory, zbyt surowe może (zwłaszcza Grażyny i Wallenroda), ale ogółem wziąwszy trafne i piękne. On ma tę zasługę i chwałę, że pierwszy poznał się na pięknościach Maryi Malczewskiego i dał je poznać.

Człowiek mający wiele miłości ojczyzny, odwagi, energii, poświęcenia, pisarz bardzo zdolny, gdzie chodziło o doraźne, bezpośrednie wrażenie, namiętny do fanatyzmu, przez to w pojęciach i działaniach politycznych zaślepiony i zaślepiający innych, jest Mochnacki przedewszystkiem zajmujący i charakterystyczny jako typ i pomnik pewnych pojęć i teoryi, a przez to w historyi polskich opinii i dążności, gdyby taka była napisaną, miałby miejsce większe niż w historyi literatury.

O literaturze polskiej w wieku XIX.

O Maryi Malczewskiego (w skróceniu).

Poświęćmy kilka słów cieniom poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółziemianom. Uronmy łzę na jego grobowcu; bo wieszcz umarły jest patronem żywych.

Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, który nam kreśli. Ofiara nieumiejętnej krytyki, co ją przed kilku laty na zapomnienie skazała! — Publiczność polska nie zna Maryi Malczewskiego. Nie we wszystkich ręku znajduje się ten poemat. Nie rozkupiono małej liczby odbitych egzemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. Marya Malczewskiego jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy i twardego, jak się

niektórym zdaje, wysłowienia — jakie ja przynajmniej za zaletę poczytuję. — »Gdybyśmy tylko mieli Maryę i Grażynę« — rzekł Michał Grabowski w dzienniku Odyńca — »mielibyśmy już oryginalną literaturę«. — Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze! I jak właściwem godłem z Jana Kochanowskiego zagaił początek pierwszej pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie,
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w tej powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie odmotaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka jak przepaść. — Nie tak czyn krwawy, jako przyrządzenia mordercy wzbudzają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swej roboty w skrytości myśli układa zabójstwo, potajemnie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki zamach ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego ścieżki, manowce sieją postrach. Wikła się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszcze przeczucie całą moc swoją odzyskuje na duszy naszej. To czajenie się uprzedzające skutek jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona fantazyi. Jakaś opona, czarny kir zalega wtedy przestrzeń niezmierzoną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnieniem; między wyciągnieniem ręki i zadaniem ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina Szekspira! Rodzicielka wielkich, tragicznych wrażeń! W tym mroku imaginacyi, za tą mglistą zasłoną fantazyi pojął Malczewski rzecz swego poematu. — Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko, co czułem, co mi się zdawało przy częstem odczytywaniu tej powieści.

Tajemnica osłania zamiary Wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy. — Była noc; nie spał, chodził w jej ciemnotach. Duszna wysoka komnata! Łatwo zgadnąć dlaczego? — Otwiera okno, patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały.

Świt różanej jutrzenki, zaranna jasność źle zapewne przypada do miary z farbą czarnej myśli. »Nie mógł na widoku zostać!«

Któż inny, jeśli nie poeta z użyczenia i daru nieba, mógł pochwycić to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wiedzie z światłem dziennem? Te szczególne rysy charakteryzują to, co zowiemy mądrością artysty. — Tatarzy pustoszyli wówczas Ukrainę. Wojewoda postanowił korzystać z tej okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża Maryi? Jak jej ojca oddalić z domu? Wysyła gońca z listem do Miecznika. Uprzejmemi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatarł niepamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synowę zaprasza do domu. Więcej jeszcze: — »Takiego szczęścia« — pisze Wojewoda, — »syn mój niewart; niechaj w wojennej potrzebie dobija się pierwej chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swej żony«. — Ale ani pół słowa prawdy nie było w tych cukrowych wyrazach. Blichtr tylko na omamienie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy pogańskiej dziczy — miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak, uniosłszy się rycerskim zapałem, zostawi Maryę w domu — samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takiem pismem wyprawiwszy Kozaka, tuli syna, z którym dotąd zostawał w rozdziale niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie i pieści się z nim, jakby dla powetowania niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrotą najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamyśle nieludzkiego okrucieństwa, depcącym wszystkie prawa i wszystkie zrywającym związki. Ja w tem prowadzeniu rzeczy, w tem wywikłaniu z początków treści poematu widzę najwyższe misterstwo albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, umnictwo Malczewskiego.

Odtąd Wojewoda na zawsze znika ze sceny poematu.

Cóż Miecznik? Pod rozsochatemi lipami domowej zagrody koił tymczasem, jako mógł, urazę we własnem sercu. Jego wejrzenie pochmurne; to dąsa się, to unosi burzliwością młodszych lat, pełen niechęci, gniewu — a może i wzgardy! Przewodzenie dumnego pana, niedola, miłość córki, jej wiek młody, bladość na jej licu, uczucie własnej godności, wszystko to boleśnie go dręczy. »Wolałby dźwigać więzy u brodacza Turka, wolałby umrzeć w ciemnej turmie, niżeli spokojnie patrzeć na te smutne śluby«.

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia! Malczewski podniósł do ideału historyczną postać, idealizuje wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju.

On pierwszy szatę polskiego szlachcica — żupan, kontusz, toż broń jego — kord, karabelę do poetyckiej wzniósł godności i w poetyckiem pokazał świetle. Nie Podstoli Krasickiego, jak mniemano, ale Miecznik Malczewskiego jest, zdaniem mojem, tą poetycką figurą w literaturze naszej, która starego, polskiego szlachcica wyobraża. Podstoli sensat, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale Miecznik to rycerz-ziemianin! Już te czasy przeminęły; wszystko się około nas zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega w dali kształt historyczny — niknący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się w niwecz obrócić pięknej pamiątce! Za sprawą jego, co przepadło w historyi, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezya drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą!

Przybycie Kozaka z listem Wojewody smutek Maryi odmieniło w niespodzianą radość. Miecznik czyta i wydziwić się temu nie może! Opatrzność w tej chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia — ale ten promień dobroci Bożej, upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał w sercu poczciwego szlachcica. Zdawało mu się, że Wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady i nie znał jej krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył ze zbrojnym hufcem po przybyciu wspomnionego Kozaka. Co żywo krząta się; bierze zbroje, rozdaje oręż ludziom, poleca Maryi, żeby suto zastawiła stół na uczczenie gościa. A tak kilka przynętnych wyrazów chytrości, jeden uśmiech na twarzy Maryi, obecność Wacława — rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem duszę rycerza, Polaka! Nie także było w istnej prawdzie? Nie szczeryż to obraz dawnych mieszkańców tej ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnymi harcami z łupieskiem pogaństwem własną odpierali piersią spustoszenie od chrześciaństwa i cywilizacyi? Oni zapalczywość jako charta zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała spólna potrzeba, gniew i uniesienie zemsty porażając z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza sztuką czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrócona duma arystokracyi, zdrożne możnowładztwo z staroświecką cnotą i uczciwą

godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męstwo i charakter światowy dziejów polskich, po wszystkie czasy daleko słynny wedle tego, żeśmy stawili dzielny odpór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała...

Nie zatrzymywałbym tak długo uwagi czytelnika nad Maryą Malczewskiego, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy tej krytyce, która przed kilku laty wspomnione dzieło w tak omylnem świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześć rzetelnej zasłudze, żeby nie powiedzieli następcy nasi, że talent genialny jako cień przeszedł koło nas, a słowa, jego razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozprószyły. Malczewski był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadzi. Rzuca rys za rysem, kształci, maluje; porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z przed oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przezroczystą siatką, która się w poezyi nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już, w jakiem świetle pojął i wykonał myśl swego poematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia chmurzącego się ku wieczorowi dzikiej, ponurej, melancholijnej fantazyi. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończy też obiedwie pieśni wyrazami:

»I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie«.
»I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie«.

Zwycięski Wacław wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na pobojowisku, żeby, jako mówił: dojrzeć objażdżki. Powrót Wacława jest jednym z najcudowniejszych ustępów tej zachwycającej, czarującej powieści.

Ta noc, ten księżyc, to zwycięstwo nad Tatarami, to uściśnienie starego Miecznika, to dumanie w takiej porze, w takiej pewności czytelnika, że rycerz w domu trumnę i pogrzeb zastanie — ileż w tem wszystkiem smutku! Co tu żałości — a najbardziej ile efektu malarskiego, dramatycznego, poetyckiego!!

Nikt nie wyszedł na spotkanie drogiego gościa w domu Maryi. Nikt nie odebrał rżącego, spienionego konia. Zakołatał; nikt mu nie otwiera, nic nie przerywa głębokiej cichości. »Musi być bardzo późno« — pomyślił Wacław. Przy świetle księżyca błąka się około domu. Naostatek postrzega ruch w sypialnej komnacie. Przez otwarte

okno widzi lekką zasłonę, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliwy, skacze przez to okno i znajduje umarłą kobietę w żałobnej odzieży.

Taka jest powieść Malczewskiego o wyniosłym Wojewodzie, o pięknej Maryi i zacnym starym Mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównaćby ją można z sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kółek, żelazek, sprężyn. Umieściłem ten poemat na czele nowszych dzieł ojczystej poezyi, nie iżby w mniemaniu mojem przodek przed niemi trzymało — bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrzny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość i cenić bez naciągania; ale szczególnie z tej przyczyny, że to jest twór młodego poety, który już zeszedł z tego świata, a którego geniuszu dawniejsza krytyka recenzentów stolicy nie pojmowała. Mógłżem właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania, sądzę jednak, że nie masz dzieła w dzisiejszej poetyckiej literaturze polskiej, któreby tę powieść Malczewskiego przechodziło bądź wielkością układu, bądź umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej expozycyi.

Nieliczny był poczet osób, składających żałobny orszak na pogrzebie Malczewskiego. Nie mówiono wtenczas: »umarł wielki poeta«. Przyjaciele żałowali tylko przyjaciela — geniusz przemknął się nieznany, jak cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień ze skromnym napisem: *„autorowi Maryi“*.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Urodzona w Warszawie 23. listopada 1793. W roku 1805. straciła ojca. Matka miała stosunki, znajomości i przyjaźni z wielu znakomitymi ludźmi owego czasu, więc w tem otoczeniu chowała i córkę. Młoda panienka czytywała z wielkim zapałem, a z pomiędzy znajomych matki szczególnie lubiła pisarzy, przedewszystkiem Woronicza. Zajęta domem matki i wychowaniem młodszego rodzeństwa, czytała jak mogła najwięcej, ale pisać i czasu i odwagi nie miała. Raz przecie z siostrą wpadła na pomysł, że byłaby rzecz pożyteczna ułożyć słownik wyrazów bliskoznacznych (Synonimów) polskich: Synonimy ukazały się w druku w Pamiętniku Warszawskim, co dodało młodej autorce zachęty i odwagi do pisania. Wpadła jej w rękę książka, która i chęć do pisania żywo pobudziła i ustaliła jej powołanie. Była to niemiecka książka Glatza o wychowaniu dziewcząt, pod tytułem Rosaliens Vermächtnis. Panna Tańska uznała ją za tak rozumną i dobrą, że postanowiła

zastosować ją dla Polek; i przerobiwszy dość znacznie, na jej podstawie napisała swoją Pamiątkę po dobrej matce. Pamiątka zwróciła uwagę powszechną na młodą autorkę i dała ją poznać jako osobę szczególnie usposobioną do wychowania młodzieży i do pisania dzieł tej treści. Powodzenie Pamiątki dało jej pochop do napisania drugiego dzieła, poniekąd dalszego ciągu tamtego, którym jest Amelia matką, przeznaczona na to, by w młodych umysłach utwierdzać znajomość, należyte rozumienie i miłość wiary.

Z dziełami dla wychowujących ukazywały się równocześnie książeczki dla małych dzieci (Wiązanie Helenki), a wreszcie w roku 1824. zaczęło wychodzić pismo peryodyczne, w którem i dzieci i młodzież dorastająca mogły znaleść upodobanie i pożytek, Rozrywki dla dzieci. Te są w swoim rodzaju doskonałością. Dobór i rozmaitość treści, stosowność jej dla młodych czytelników, obfitość i właściwy zakres podawanych wiadomości i nauk (z historyi, geografii i literatury polskiej, z życia znakomitych ludzi, wyjątki ze znakomitych pisarzy, opisy podróży), praktyczne rady w najrozmaitszych kierunkach, duch prawdziwie chrześciański i polski, a przytem rzadki rozsądek i szczególny takt w działaniu na młode umysły — oto są zalety tego pisma, które wychodziło do roku 1828. Ozdobami jego (i może najładniejszemi rzeczami, jakie panna Tańska napisała) są Listy Elżbietki Rzeczyckiej, Dziennik Franciszki Krasińskiej, bardzo ładne i ciekawe obrazki obyczajowego życia polskiego w wieku XVIII, Listy o wychowaniu, Podróże po kraju etc.

Dwie wspomniane wyżej książki i Rozrywki nadały pannie Tańskiej stanowisko i powagę w kraju, zjednały jej przyjaźń niektórych pisarzy, nadewszystko Brodzińskiego, który ją radami swemi wspierał i namawiał już wtedy do pisania książki o Janie Kochanowskim.

W r. 1827. minister oświecenia Stanisław Grabowski mianował ją inspektorką szkół i pensyi żeńskich w Warszawie. W r. 1829. wyszła za Karola Hofmana, późniejszego autora Historyi reform politycznych w Polsce. Po ślubie została na swojej posadzie inspektorki aż do roku 1831. Podczas wojny pielęgnowała rannych w lazaretach. W chwili wzięcia Warszawy mąż był za granicą z jakiemś poleceniem od rządu, wracać nie mógł; ona wyjechała za nim.

Na emigracyi (w Paryżu) zajmowała się i pracowała zawsze wiele, ale właściwe jej powołanie było skończone. Nie mogąc trudnić się wychowaniem, pisała może więcej niż przedtem. Dwie wydała powieści obyczajowe, Karolinę i Krystynę; potem Jana Kochanowskiego, raczej obrazek poety, jego rodziny i życia, niż powieść — nie bez wartości; oprócz tego Książkę do nabożeństwa dla Polek, opisy odbywanych podróży, pamiętniki własne itd.

W pracach tych stawało jej na przeszkodzie zdrowie, które się zaczęło psuć. Choroba długa i bolesna ciągnęła się przez kilka lat. Śmierć nastąpiła 21. września 1845. r. w Passy pod Paryżem.

Pomiędzy jej zasługami jedną z największych jest ta, że jedna z pierwszych dziełami i przykładem wystąpiła przeciw wychowaniu, opartemu na francuskim języku i francuskich książkach, a zwracała je do pierwiastków

i dzieł polskich. Wdziękiem i zaletą pani Hofmanowej jest wielka szlachetność uczucia, przy wielkim rozsądku i naturze bardzo zdrowej i prostej. Mało jest w literaturze powszechnej kobiet, piszących, któreby były jak ona przywiązane do swego zawodu, a tak wolne od wszelkiej próżności, zarozumiałości, pretensyi; mało kobiet któreby łączyły życie czynne, zawód pisarski, z tak doskonałem i trafnem pojęciem stanowiska kobiety i zakresu jej możności. Bardzo żywa i gorąca w swoich uczuciach, nie ma ani przesadnej tkliwości, ani romantycznej chorobliwości i melancholii, ani sztucznej exaltacyi; jest we wszystkiem i na wskróś rzetelna i prosta. Jej talent pisarski nie jest wyjątkowy ani nawet wielki, ale w swoim rodzaju jest niepospolity; i we wszystkiem, co u nas pisano dla dzieci lub dla dorastających, niema nic dotąd lepszego jak jej Rozrywki. Zdolnością pisarską nie trudno może ją przewyższyć, ale nie łatwo jej dorównać praktyczną wartością dzieł, moralną wartością charakteru i zasługą całego życia. Niema też dotąd w Polsce autorki, której imię byłoby tak powszechnie szanowane, tak popularne i sympatyczne, jak imię pani Hofmanowej, która prócz tego między nielicznymi naszymi prozaikami w latach od 1820. do 1830. należy z pewnością do celniejszych.

Z dziennika Franciszki Krasińskiej,

pisanego w ostatnich latach panowania Augusta III-go.

Dnia 1. stycznia 1758. r., w maleszowskim zamku, w poniedziałek.

Tydzień temu, w same święta Bożego Narodzenia, Jmć dobrodziej ojciec mój kazał przynieść sobie ogromną księgę, w którą już od lat kilkunastu, obyczajem wszystkich niemal panów polskich, wpisuje własną ręką rozmaite publiczne i prywatne pisma; są w niej mowy, manifesta, uniwersały, listy, paszkwile, wiersze, wszystko porządkiem dat ułożone; pokazywał nam ów zbiór szacowny, czytał niektóre kawałki. Bardzo mi się podobała ta myśl zapisywania ciekawszych zdarzeń i okoliczności; a ponieważ już od lat kilku i po francusku i po polsku dosyć gładko pisać umiem i niezmiernie pisać lubię; ponieważ i we Francyi wiele białych głów podobne rzeczy pisze: przyszło mi na myśl, czybym i ja też czegoś takiego według możności mojej rozpocząć nie mogła? Uszyłam sobie zatem duży sextern; umieszczę w nim jaknajdokładniej, cokolwiek się mnie i mojej rodziny tyczy; wspomnę, jak potrafię, o rzeczach publicznych. Jmć dobrodziej, jako mężczyzna i człowiek stateczny, niemi wyłącznie

swoją księgę zajmuje: on ją układa dla wszystkich, sposobem poważnym; ja jako panna nieuczona i młoda, moją ramotę jedynie dla własnej zabawy pisać będę, ale szczerze i bez pretensyi: będzie to prawdziwy dziennik, bo go prawie co dzień pisać zamyślam. Dziś właśnie Nowy Rok i poniedziałek, wyborna pora do zaczęcia porządnie jakowej rzeczy; już tydzień jak ją w umyśle układam, trzeba raz z nią wystąpić. Zaczynam więc; mam czas wolny, nabożeństwo odbyte rano, pacierze pozostałe odmówię na nieszporach; jużem ubrana i ufryzowana. Właśnie dziesiąta bije na zamkowym zegarze, dwie godziny mam jeszcze do obiadu; napiszę dziś co tylko wiem o sobie, o rodzinie mojej, o domu naszym, o Rzeczypospolitej; a potem pisać będę kolejno, cokolwiek nam wszystkim ciekawego się przydarzy.

Urodziłam się roku 1743., mam więc rok szesnasty; na chrzcie świętym dano mi imię Franciszki. Słyszałam już nieraz, żem gładka i dorodna; i nieraz, jak spojrzę w zwierciadło, mnie samej zdaje się, żem ładna.

»Panu Bogu dziękować, mówi Jmć dobrodziejka, a nie chełpić się. On nas stwarza, nie my siebie«. Chciałabym jeszcze być nieco wyższą, ale mnie straszą, że nie urosnę. Idę nie tylko ze szlachetnej, ale z bardzo dawnej i zacnej familii Korwinów Krasińskich; to znakomite nazwisko nosząc, broń Boże! abym je kiedy splamić miała, owszem radabym uświetnić je jeszcze; i dlatego żałuję czasem, żem nie mężczyzną, gdyż snadniejby mi to przyszło. Jmć dobrodziej i Jmć dobrodziejka tak są przejęci zacnością domu Korwinów Krasińskich, tak często o tem i oni sami i dworscy i goście nawet mówią, tak naganną znajdują rzeczą o swoich antenatach dokładnie nie wiedzieć, że wszystkie mamy tą wiadomością głowy nabite. Ja genealogię Krasińskich i historyę każdego z nich tak umiem jak pacierz i łatwiejby mi było poczet przodków moich, niźli kolej królów polskich wymienić. O! niech tylko spróbuję erudycyi mojej w tej mierze; niech zacznę — nie skończę tak prędko... Wreszcie pewną jestem, że niektóre szczegóły nigdzie nie są zapisane, tylko w pamięci naszej; lepiej im więc choć białogłowskiem piórem trwałość nadać. Może kiedy po mojej już śmierci kto ten dziennik znajdzie i wnuki nowe w nim dla siebie wyczytają rzeczy?...

Dziwna myśl... nie pomału mnie zajęła; któżby miał za lat kilkadziesiąt po śmierci mojej czytać ten dziennik? A czemuż nie? wieleżto listów, pamiętników we Francyi podobny los spotkał. O! trzeba pisać starannie i wyraźnie; szkoda tylko, żem w stylu nie tak wprawna,

jak na przykład pani de Sevigné albo Motteville. Kto wie? możeby i mnie lepiej po francusku się udało? bo i pewnie... Ale nie; nie wypada, żeby Polka, żyjąc w Polsce, przestając z Polakami, nie po polsku dziennik swój pisała; wreszcie francuski język dziś jest w wielkiem używaniu pomiędzy panami; ale ta moda minąć może i zapewneby się kto w późniejszych czasach ze mnie zgorszył. Jeśli więc tego sexternu myszy nie zjedzą lub też przy tylu fryzurach kto na papiloty nie podrze; jeśli go kto kiedy znajdzie i przeczytać zechce: niech wybaczy nieumiejętności mojej w wielu rzeczach, niech pamięta, żem się nigdy pisać dziennika nie uczyła, że jeszcze lat szesnastu nie mam i że, co mnie dziś bardzo zajmuje i obchodzi, jemu w innych stosunkach i po tylu latach zapewne obojętnem się wyda... Ale co mnie się też zawsze po głowie uwija: jakież dziwactwa na myśl mi przychodzą? Wystawiam sobie rzeczy, które nigdy nie będą; ja bardzo lubię tak bujać, a tu niema czasu na te urojenia; lepiej wrócić do rzeczy, do zaczętego rodziny mojej opisu.

(Następuje genealogia Krasińskich od czasów Bolesława Wstydliwego).

Alexander, podkomorzy sandomierski, był rodzonym moim dziadem, bo syn jego Stanisław, starosta nowowiejski, praszyński, ujski, jest Jmcią dobrodziejem, najukochańszym ojcem moim. Pojął za małżonkę Anielę Humiecką, sławnego wojewody podolskiego córkę, Jmć dobrodziejkę matkę moją. Ale ta linia Krasińskich na nim zgaśnie z wielkim żalem moim, bo nie mamy brata; za to jest nas sióstr cztery: Basia najstarsza, ja druga z kolei, Kasia i Marynia. Sługi i dworscy powtarzają mi często, że ja mam być najpiękniejsza, ale ja doprawdy że tego nie widzę; wszystkie jesteśmy ułożone jako na panny wysokiej kondycyi, na starościanki przystało; wszystkie proste jak trzciny, zdrowe jak rybki, białe jak mleko, rumiane jak róże. Na pokojach, przy gościach umiemy dygać nisko i z gracyą, siedzieć spokojnie na samym brzeżku stołka, oczy spuścić w ziemię, usteczka ścisnąć, rączki ułożyć; mogłoby się wtedy zdawać komu, że żadna z nas trzech zliczyć nie umie i chodzić dla niej trudnością; ale niechby nas kto widział, kiedy w poranki letnie bez fryzur, bez trzewików na korkach, ale w rannej dezabitce i w wygodnych patynkach pozwolą nam państwo iść do lasu, po górach się drapać; biegamy jak łanie, śpiewamy na humor, a biedna madame ledwie nóg i piersi nie straci, tak za nami dąży i woła. Ja i młodsze moje dwie siostry jeszcześmy mało z domu wyjeżdżały; Końskie, gdzie

mieszka ciotka nasza, pani wojewodzina Małachowska, i gdzie dwa razy do roku bywamy; Piotrkowice, wieś do nas należąca, w której Jmć dobrodziej, wróciwszy z Włoch, piękną na wzór loretańskiej wystawił kaplicę (bywają w niej często odpusty i wiele ludu); Lisów, dokąd sięga parafia Maleszowej — to cała nasza publika. Ale Basia, jako najstarsza, już kawał świata zwiedziła: była dwa razy w Opolu u ciotki naszej, księżnej Lubomirskiej, wojewodziny lubelskiej, którą Jmć dobrodziej nie tylko jako starszą siostrę, ale jak matkę kocha i poważa; była przez rok cały w Warszawie u Panien Sakramentek; najwięcej też z nas wszystkich umie, najniżej dyga, najprościej się trzyma i najwięcej ma prezencyi. Myślą państwo, żeby i mnie gdzie na dokończenie edukacyi oddać i lada dzień spodziewam się, że powóz zajedzie, Jmć dobrodziejka wsiąść z sobą każe i do Warszawy albo do Krakowa pojedziemy. Wybornie mi w domu, ale Basi i w klasztorze było wyśmienicie; będzie tak i ze mną; a co się wydoskonalę w francuskiej mowie (bez której, jak mówi, dorzecznej białogłowie już żyć na świecie trudno), w menuecie, w muzyce, co wielkie miasto zobaczę — to będzie moje. Ponieważ dotąd nic prawie prócz Maleszowej nie widziałam, sądzić nie mogę, czy piękna czy nie? wiem tylko, że mi się bardzo podoba.

Niektórzy mówią, że nasz zamek o czterech piętrach, z czterema narożnikami, otoczony rowem pełnym wody, z mostem zwodzonym, w kraju skalistym i wśród lasów położony, jest nader smutny; ja tego bynajmniej nie doświadczam; mnie tak na świecie wesoło, żebym chętnie cały dzień skacząc śpiewała. Słyszę państwo mówiących nieraz, że im niedosyć wygodnie; w samej rzeczy, są cztery piętra w naszym zamku, na każdem sala, sześć pokojów i cztery gabinety w narożnikach; jednak ponieważ nas jest bardzo wiele, nie możemy wszyscy i ze wszystkiem na jednem piętrze się mieścić: na innem jadamy, na innem się bawimy, a my panny aż na trzeciem mieszkamy. Państwo oboje już nie młodzi, przykro im tak co dzień wchodzić i schodzić, ale mnie te schody niezmiernie bawią; kiedy jeszcze rogówki nie mam, to często, jak się uchwycę poręczy, w mgnieniu oka jestem na dole, nie dotknąwszy nogą ziemi. Pomimo tego, że goście często w ciasnocie mieścić się muszą, bywa ich bardzo wiele i nie wiem, czybyśmy w wielkich gmachach lepiej bawić się mogli, czyby maleszowski zamek, choćby trzy razy był większy, mógł być świetniejszy. Tak w nim huczno, dworno i okazale, że go sąsiedzi małym Paryżem zowią; osobliwie, jak Bóg da

zimę, to już kapitan dragonów naszych mostu przed wieczorem spuszczać nie każe, tyle się zjeżdża osób; kapela nadworna ma co do roboty, gra co dzień, a my tańczymy do upadłego. I lato nie jest bez przyjemności: chodzimy, jeździmy, poobiedzia trawimy w naszej sieni, która jest wyborna; niezmiernie wysoka, bo przez wszystkie piętra zamku idzie, oświecona z góry; w największe upały tak w niej chłodno jak w piwnicy.

A i dworu naszego przepomnieć nie mogę; stosownie do majątku państwa, który jest bardzo znaczny, do mnóstwa osób, które prawie nieustannie w maleszowskim zamku goszczą, musi być liczny i okazały; jest też takim, i nie wiem, czyby wielu panów w Polsce przejść nas mogło w tej mierze.

Dwór nasz składa się z dworzan i z dworskich; dworzanie w większej są powadze. Jedni są respektowi, drudzy płatni, wszystko sama szlachta z szablą u boku; niektórzy z nich byli wprawdzie przedtem czynszowymi czyli okoliczną szlachtą, lecz Jmć dobrodziej powiada: »szlachcic na zagrodzie równa się wojewodzie;« nikt im więc żadnego zarzutu nie czyni, uchodzą za szlachtę, na sejmikach mają głosy i dobrze ich mieć za sobą. Respektowych dworzan, których jest kilkunastu, taka cała funkcya: przyjść na pokoje, czekać przybycia Jmci dobrodzieja, prezentować mu się w przyzwoitym ubiorze, z miną do usług gotową, wykonać śpiesznie rozkaz jego, jeśli da jaki; jeśli nie, rozmawiać z nim, grać w karty, towarzyszyć mu w czasie odwiedzin albo przejażdżki, bronić go w każdej potrzebie, głosować za nim na sejmikach, i jego i gości, kiedy są, bawić. Tej ostatniej powinności najlepiej dopełnia nasz Macieńko; szczególny to człowiek, a powiadają, że dawniej takich ludzi bardzo wiele bywało i nie mógł się żaden dwór obejść bez takowego: niby on jest głupi, niespełna rozumu, a tymczasem bardzo trafnie o wszystkiem sądzi i często bardzo dowcipnie się odezwie. Żaden z dworzan jego przywilejów niema; jemu zawsze wolno mówić, i to prawdę. Dwór cały zowie go błaznem, ale my zowiemy go Macieńkiem, bo mu Maciej na imię i na tamten przydomek bynajmniej nie zasługuje.

Do respektowych dworzan należy sześć panien dobrego urodzenia, które z nami mieszkają i pod naszej madame są okiem, i dwóch karłów. Jeden z nich ma lat 40, twarz starą, a wzrost czteroletniego dziecka, ubierają go po turecku; drugi ma lat 18, bardzo foremny i ładny, po kozacku chodzi: często dla zabawy Jmć dobrodziejka stawiać go każe na stole w czasie obiadu, a on tak się

przechadza pomiędzy półmiskami i butelkami, jakby po ogrodzie. Dworzanie respektowi nie biorą żadnych zasług; prawie wszyscy są synami dosyć majętnej szlachty, oddani do naszego dworu dla nabrania ułożenia i dla promocyi do urzędów. Daje im się jednak obrok na parę koni i dwa złote na tydzień na masztalerza albo na pacholika, którego sobie utrzymywać powinni. Każdy ma swojego służkę, jeden go po węgiersku, drugi po kozacku ubiera; to moja największa zabawa patrzeć, jak każdy z nich w czasie obiadu lub wieczerzy za panem swoim stoi, zagląda na jego talerz ciekawie, oblizuje się i łyka zawczasu, i radby wydrzeć oczami każdy kawałek, który on do gęby kładzie; bo to, co mu pan zostawić raczy, całem jest jego jadłem: dla tych służków stołu osobnego niema. Macieńko co dzień dziwne rzeczy ze swoim pacholikiem wyprawia, często boki zrywamy, śmiejąc się z nich obydwóch.

Płatnych dworzan jest więcej niźli respektowych; ci nie siadają do stołu, prócz kapelana, doktora i sekretarza; marszałek i piwniczny stoją za stołem, chodzą, patrzą, czy gdzie komu czego nie braknie; państwu i gościom codzień i gęsto wina dolewają, dworskim tylko w dnie świąteczne i to po małej lampeczce. Komisarz, podskarbi, koniuszy, szatni — wszystko to u marszałkowskiego stołu siada. Jużto i ci dworzanie, co z nami siadają, honoru mają wiele, ale korzyści nie dużo, bo nie zawsze jedzą to samo, co my, chociaż z tego samego półmiska; na przykład na pieczyste kucharz ułoży na wierzchu drób i zwierzynę, a pod spodem jest pieczeń wołowa albo wieprzowa; dlategoteż kawał stołu, przy którym siedzą, szarym końcem się zowie. Chociaż na dwóch ogromnych półmiskach każdą potrawę obnoszą i z początku zdaje się niepodobieństwem, żeby zniknąć miały te fury zrazów lub bigosu, bardzo często ostatniemu ledwie łyżka strawy się dostanie. Potężnie wszyscy jedzą i czy jak codzień kucharz da cztery potrawy, czy siedm w dnie świąteczne, czy dwanaście, kiedy wiele gości, jeszcze nie pamiętam, żeby co kiedy zeszło ze stołu. Panny służebne w równej są u nas godności jak dworzanie respektowi, bo do naszego stołu siadają.

Dworzanie płatni wcale suto biorą zasługi: od trzechset do tysiąca złotych, obrok dla koni, barwę dla służącego; ale też Jmć dobrodziej wymaga, żeby porządnie chodzili i, osobliwie kiedy są goście, aby się prezentowali suto i modnie. Kiedy z którego kontent, to znajdzie łatwo sposobność obdarzenia go, a co rok w dzień imienin swoich hojne im daje podarunki, to z garderoby to w gotowiźnie. Dworskich nierównie u nas jest więcej niż dworzan;

wszyscy pod jurysdykcyą marszałka, który ma moc strofować ich i karać. W pierwszym rzędzie są pokojowcy; ci zwykle są szlachta i tylko w tej służbie jakby nowicyat odprawiają, nie dłużej jak trzy lata; wszystko chłopcy młode od lat 15 do 20. Tych choć marszałek bić każe jak i innych, skoro przewinią, nie rozciągają na gołej podłodze jak liberyę prostej kondycyi, ale na kobiercu. Nasz marszałek dosyć jest surowy, często plagi rozdaje; powszechne jest zdanie, że tak czynić z młodzieżą przystoi, dla utrzymania jej w przyzwoitej ryzie. Jmć dobrodziej zawsze powtarza, że w całym zamku maleszowskim niema pokoju, niema stołka, na którymby plag nie dostał; może dlatego taki dobry...

Pokojowców mamy kilkunastu; jednemu z nich, Michałowi Chronowskiemu, dorodnemu ale ubogiemu szlachcicowi, w dzień Trzech Króli nowicyat się skończy: będzie ceremonia wyzwolenia. Całą służbą pokojowca jest: być na pokojach pańskich, dobrze ubranym, prawie od rana do wieczora; kiedy jedziemy powozem, asystować konno albo pieszo i być zawsze gotowym do posyłki; bo czy państwo list mają pilny, czy chcą gości jakich zaprosić, czy podarek komu posłać, zawsze pokojowców używają. Reszty dworzan i wyliczyć trudno; doprawdy ani wiem, jak wiele u nas kapeli, kucharzy, hajduków, kozaków, pacholików, chłopców, garderobian, dziewcząt służebnych; wiem tylko, że jest pięć stołów, a dwaj szafarze od świtu do południa mają co robić z wydawaniem na obiad i na wieczerzę. Bardzo często Jmć dobrodziejka jest przytem, zwłaszcza kiedy nowe do magazynu przywożą prowianty; klucz zaś od apteki, gdzie korzenie, specyałki i dobra wódka, zawsze przy niej, a co rano marszałek podaje jej spis potraw, jakie mają być na obiad i na wieczerzę, a ona z radą Jmci dobrodzieja zmienia je lub pochwala.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzeciem piętrze, wraz z madame. Każda z nas ma łóżko żelazne z firankami; Basia jako najstarsza ma dwie poduszki i becik mantynowy, my po jednej i kołdrę flanelową. Wstawszy i ubrawszy się na prędce, mówimy z madame pacierz francuski, poczem zaraz do nauki. Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu; ale teraz tylko Kasię i Marynię uczy, a Basię i mnie sama madame. Uczymy się na pamięć rozmów i wokabuł z gramatyki, słów i anegdot z nomenklatora, a o ósmej godzinie schodzimy

na dół do państwa na dobry dzień i na śniadanie. Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie codzień jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity; po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem. Tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie; cały dwór i my mówimy je głośno za nim: muszę się też kiedy spytać, co one znaczą. Po tem nabożeństwie wracamy na górę uczyć się wokabuł i słów niemieckich; piszemy też i listy na zadania. Madame nam wiersze poety francuskiego Malherba dyktuje. Mamy także klawicymbał i metra do niego Niemca, który oraz kapeli nadwornej przewodzi i trzysta złotych na rok bierze; wszystkie się uczymy grać, Basia wcale niczego brzdąka. Potem kładziemy podwłosniki i fryzyer nadworny po starszemu nas fryzuje; często ból srogi ponieść wypadnie, osobliwie kiedy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy: po ziemi się włóczą, gdy na taborecie przed gotowalnią siedzę, na mojej też głowie zwyczajnie swoje próby robi. Ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury; dzisiejsza na przykład w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby od niechcenia: włosy wszystkie sczesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zwinięta, spada kręcąc się na kark i na ramiona; pudru w nich z pół funta. Ubiór nasz trwa parę godzin, przez ten czas uczymy się na pamięć przysłowi francuskich, a bez pamięci, cierpliwości; jak teraz, to czas gotowalni krótszy mi się wydaje, bo nam madame czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcy-moralne: *Magasin des enfants* przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z elewkami; wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastej, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodzimy na dół na obiad i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają. Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja. Mamy też raz naraz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic: haftujemy w krosnach, póki tylko widno, a przy świecy robimy siatki na wyścigi. Świec pali się zawsze kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne. Ja tej już zimy wieczorami do całej komeszki zrobiłam siatki z pokrzywki i poszyłam ją w drobne muszki. Wieczerza o siódmej i zimą i latem; po wieczerzy już niema roboty, tylko zabawa: gramy w karty, w maryasza albo w drużbarta; warto widzenia, jakie miny Macieńko wyrabia, kiedy ma dolę albo

siódemkę; ja pękam od śmiechu. Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec wysłany co tydzień do Warszawy powraca, kapelan czyta gazety, Kuryera, listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często także czyta nam Jmć dobrodziej stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wcale zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie daleko więcej od polskich zajmują i nierównie więcej ich czytałam. Nasza madame ani słowa po polsku nie umie, z państwem raz w tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty, to jeszcze rzadsze czytanie: gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec. Ani sobie wystawiam, jak się bawią w Warszawie, u dworu; bo oczywiście że jeszcze lepiej i huczniej, niż w maleszowskim zamku. Radabym z duszy przez ciekawość samą zakosztować kiedy tych zabaw... Ale co słyszę? już na dwunastą dzwonią; trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie anielskie co tchu odmówić, fryzury poprawić, biec na dół i zostawić na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

Alexander Fredro.

Herbu Bończa, syn Jacka i Maryanny z Dembińskich, urodzony w Surochowie (w Galicyi, pod Jarosławiem) w roku 1793. Matkę stracił wcześnie, wychowywał się w domu pod okiem ojca (w Bieńkowej Wiszni, w Samborskiem). Do szkół publicznych nie chodził. Od r. 1809. służył w piątym pułku strzelców konnych księstwa warszawskiego, posunął się prędko na oficera, a kampanię rosyjską r. 1812. odbywał jako kapitan. W odwrocie z Moskwy zachorował na tyfus w Wilnie, i tak wzięty był w niewolę rosyjską. Ale umknął szczęśliwie, dogonił swoich pod Dreznem i był we wszystkich niemal wielkich bitwach roku 1813. i 1814. (Drezno, Lipsk, Hanau), jako adjutant sztabowy marszałka Berthier księcia Neufchatelu.

Po wojnach napoleońskich wrócił do kraju, w wojsku królestwa kongresowego nie służył; osiadł na wsi. Reszta życia, z rzadkimi i krótkimi wyjazdami, upłynęła między Bieńkową Wisznią a Lwowem.

Nie wiadomo, kiedy na prawdę zaczął myśleć o pisaniu. Jako dziecko pisał jakąś komedyę dla zabawy własnej i rodzeństwa, a jako żołnierz (jak sam wspomina) puszczał nieraz między kolegów żartobliwe wierszyki; ale kiedy odezwało się w nim powołanie pisarskie, o tem nie mówi. Tyle wiadomo, że z jego komedyi pierwszy ukazał się na scenie (w Warszawie) Pan Geldhab, a w ślad za nim poszły inne, tak, że większość ich napisana była przed rokiem 1830. Powodzenie ich i sława autora rosły ciągle, zwłaszcza, że talent jego coraz się rozwijał, a komedye późniejsze (Dożywocie, Jowialski, Zemsta i Śluby panieńskie) były najświetniejsze ze wszystkich — kiedy nagle

Fredro dzieła swoje ogłaszać zaprzestał. Sądzono długo, że zniechęciła go złośliwa ich krytyka (napisana przez Goszczyńskiego), czemu wszakże sam w pamiętniku swoim (Trzy po trzy) zaprzecza. W każdym razie to pewna, że od roku 1835. żadnej nowej sztuki na scenę nie dał ani drukiem nie ogłosił. Pisać wszakże nie przestał, a po jego śmierci znalazło się niewydanych komedyi i ulotnych wierszy tyle, że zapełniły one większą część tomów zbiorowego wydania. Życie wiódł niezmiennie jednostajne i ciche; z wiekiem tylko, od wypadków roku 1863. zapadać zaczął w smutek coraz cięższy. Zachowywał wszakże całą świeżość umysłu i uczucia, a mimo smutku tryskał z niego chwilami dawny świetny humor i dowcip. Umarł po długiej chorobie we Lwowie 15. lipca 1876. Żonaty był z Zofią Jabłonowską. (Syn jego, Jan Alexander, także pisze komedye).

W naszej literaturze dramatycznej postać to jedyna i najpotężniejsza. Był on niezawodnie (bez swojej wiedzy i bez widocznego związku) skutkiem tych wszystkich usiłowań około podniesienia i wykształcenia komedyi, które zaczęły się za Stanisława Augusta, wydały Zabłockiego, a ciągnęły się dalej w początkach naszego wieku. Wszelako nie trzeba sądzić, jakoby Fredro z zamiarem i namysłem był wstępował w ślady swoich poprzedników, jakoby biorąc ich za punkt wyjścia i oparcia, chciał rozwijać dalej rzecz przez nich poczętą. W jego zawodzie pisarskim właśnie niema z góry powziętego zamiaru i postanowienia, niema świadomego przygotowywania się i kształcenia. Talent i powołanie objawiają się z nienacka, samorodnie, bez poprzedniego namysłu młodego pisarza, który w swoim stanie wojskowym nie miał ani czasu ani sposobności kształcić się i myśleć o tem, że kiedyś pisarzem będzie. Nie studyował on też żadnych wzorów, nie zastanawiał się nad teoryą swojej sztuki. Swoich poprzedników polskich znać musiał, ale prawdopodobnie zważał na nich mało. Wzorem, działającym na niego widocznie i silnie, był Molière. Nauki odbywał w domu, a niewątpliwie (jak wtedy powszechnie) język i literatura francuska zajmowały wielkie miejsce w tej nauce. W wojsku był w ciągłych stosunkach z Francuzami. W Paryżu z pewnością ciekawie przypatrywał się teatrom. W jego całem wychowaniu, w jego wykształceniu i smaku, było francuskiego wpływu wiele; znać to było po samej biegłości i wykwintności, z jaką tym językiem mówił. W literaturze francuskiej zaś był wzór komedyi istotnie wielki, Molière; dziś przez nowe formy komedyi cokolwiek zepchnięty z pola, ale klasyczny zawsze, a w początkach naszego wieku podziwiany żywiej, bezwzględniej niż teraz. On więc był wzorem Fredry; a w układzie sztuk, w kreśleniu postaci, które są więcej typowe niż indywidualne, nawet w niektórych błędach (jak na przykład w zbyt łatwem rozwiązywaniu dramatycznego zawikłania) widać, że komedya Fredry od molierowskiej pochodzi. Ale obok tej zależności formy jest u Fredry najzupełniejsza oryginalność, samodzielność treści, tworzonych postaci, i najwybitniej rodzimy, własny charakter polski. W pustej farsie czy w najwykwintniejszej komedyi charakterów, w kontuszowej czy w późniejszej sztuce, zawsze jest się u niego w świecie i w życiu polskiem, między figurami rdzennie polskiemi, które w wyobraźni cudzoziemca

wcale powstać nie mogły, a przynajmniej byłyby musiały przybrać inną fizyognomię. Literaturze, która dążyła do wyraźnie i odrębnie narodowego charakteru, komedya ta odpowiadała doskonale, urzeczywistniała jej dążenie; a polskie typy z komedyi Fredry są tak znakomite i żywe, że mogłyby stanąć bez wstydu obok samych nawet postaci z Pana Tadeusza.

W jego talencie jako pisarza komedyi są następujące główne zalety: dar tworzenia postaci żyjących, pełnych psychologicznej prawdy, wiernych typów natury ludzkiej w jej różnych odmianach, a pełnych zarazem już to komicznego pierwiastku (na przykład Łatka, Papkin, Geldhab, Zrzęda i Przekora), już wdzięku niemal poetycznego (Aniela, Klara, Gustaw), już wreszcie szczeropolskiego a czasem staropolskiego charakteru, z jego różnemi właściwościami, zdrożnościami lub śmiesznościami (Cześnik i Rejent, Jowialski, Radost z Cudzoziemczyzny).

Dalej, przymiotem rzadkim jest wielka sceniczność jego komedyi, ten szczęśliwy zmysł dramatyczny, który umie akcyę zrobić żywą i zajmującą, zwięźle i treściwie uchwycić i przedstawić sytuacyę w jej pierwiastkach najbardziej charakterystycznych, i w sposób, który musi wywołać wrażenie. Wreszcie humor i dowcip, samorodny, niespodziewany, sypiący jak z rogu obfitości najzabawniejsze koncepta albo zawikłania komiczne. Humor ten i dowcip Fredry jest rozmaity, od najwykwintniejszego aż do rubasznego nieraz, a tak świetny, że koncepta i dowcipy jego przeszły niemal w przysłowie; tak przytem szczerze i zupełnie polski, że przypomina i Reya i Kochanowskiego i Paska i Krasickiego, a żadnemu z nich nie ustępuje, raczej wszystkich przewyższa. Do tego ma język czysty i doskonały, wiersz łatwy, giętki; dyalog swobodny, naturalny, żywy; styl swój własny, jędrny, energiczny, świetny. Jego największą wadą jest jakaś niedbałość czy pośpiech, które sprawiają, że czasem wymyśli dla swojej sztuki rozwiązanie zbyt łatwe, nie uzasadnione, nie wychodzące logicznie z wypadków poprzednich, a czasem znowu oprze akcyę komedyi (doskonałą i bardzo zabawną) na podstawie jakiegoś zawikłanego a zbyt widocznie *ad hoc* wymyślonego, w rzeczywistości niemożliwego zbiegu okoliczności, który się musi wydać naciąganym.

Małe to jednak wady, a raczej okupione i nagrodzone hojnie ogromnymi przymiotami jego talentu, ogromną wartością jego komedyi, która sprawia, że Fredro w naszej literaturze należy do pisarzy prawdziwie wielkich. Zbogacił tę literaturę całym jednym działem, który przed nim zaledwo jakieś znaki życia dawał, a przez niego stanął na stopniu zupełnie wysokim; dał nam komedyę własną, na wskróś polską, pod względem artystycznym znakomitą, pod względem moralnym zdrową, prostą, szlachetną. Na to zaś także zważać warto, i to wielka Fredry zaleta i chwała, że w swoich konceptach czasem nieprzyzwoity — w duchu i dążności swoich komedyi, w pojęciu ludzkich stosunków i obowiązków, jest zawsze uczciwy, prawy i prosty. Jego moralność jest zdrowa, a jego bohaterowie mają wrodzony i pewny instynkt uczciwości, mają szlachetną delikatność uczuć. Skąpcy i krętacze są w jego komedyach, jak muszą być w życiu; ale ludzie uczciwi mają honor tak czujny, drażliwy i czysty,

jak tylko można najbardziej. Nawet tacy wśród jego licznych młodzieńców, którzy prowadzą życie próżniacze lub zgoła zdrożne (Alfred z Pierwszej lepszej, Leon Birbancki itd.), mają tego uczucia tyle, że brzydkiego nie zrobią nic; a ulubionym jego bohaterem, który się w wielu komedyach (do roku 1830.) powtarza, jest zawsze wojskowy, oficer tęgi i waleczny, nie rzadko ranny; bo ten jest dla niego zwierciadłem honoru i ideałem tego, czem mężczyzna być powinien.

Fredro, jakkolwiek pisał najwięcej właśnie podczas toczącej się walki romantyków z klasykami, do walki tej nie mieszał się wcale. Stał na uboczu i pisał, jak mu jego natura i zdolność poddawała, nie troszcząc się o literackie teorye. Jest też od jednej jak od drugiej szkoły niezależny. Usposobieniem swojem podobny do starszego pokolenia, a w czynnem wojskowem życiu za młodu wyrobiony, niema on jak większość romantyków niepokoju w uczuciach, niema rozmarzenia chorobliwego w wyobraźni, niezgody ze światem, ale w swojej trzeźwości i męskiej równowadze ma gorącego uczucia tyle, a wyobraźnię tak żywą i zdolną tworzyć żywe postacie, że żaden z dawnych klasyków nie dorównał mu tymi przymiotami, a niejeden z romantyków mógłby mu ich pozazdrościć.

Najznakomitsze jego komedye mieszczą się między temi, które sam wydawał. Z tych głębsze, te, których akcya, siła komiczna i wartość zasadza się na psychologicznych pierwiastkach lub sprzecznościach charakterów, są zawsze dłuższe (co najmniej trzyaktowe) i pisane wierszem (Zemsta, Śluby panieńskie, Dożywocie, Cudzoziemczyzna). Wyjątek stanowi tylko Pan Jowialski, pisany prozą, a pomimo akcyi na pozór błahej i komiczności niby niższej, zawierający głęboką i poważną moralną naukę. Komedye jednoaktowe i komedye pisane prozą, są z małymi wyjątkami (na przykład Zrzędność i Przekora) poprostu tylko śmieszne; ale w swoim rodzaju i te są doskonałe (Damy i Huzary, Nikt mnie nie zna, z późniejszych Pan Benet).

Pisma, ogłoszone po śmierci autora, obejmują ośm tomów, a zawierają oprócz komedyi liczbę dość znaczną wierszy mniejszych, lirycznych lub satyrycznych i pamiętnik autora z dzieciństwa i lat wojskowych pod tytułem Trzy po trzy. Z komedyi tych niektóre należą do najlepszych w naszej literaturze (Wielki człowiek do małych interesów, Dwie blizny, Godzien litości, Co tu kłopotu, Ożenić się nie mogę), a od dawniejszych różnią się tem, że odstępują od dawnego molierowskiego typu, zbliżają się zaś do nowoczesnej komedyi, więcej potocznej i realistycznej w układzie i w dyalogu.

W wierszach drobnych Fredro nie jest tak znakomitym, jak w komedyach, ani tak oryginalnym. W poważnych, uczuciowych przypomina stylem dawną elegię klasyków; w balladach rycerskich lub fantastycznych podobny jest do romantyków i nie zbyt szczęśliwy. Jednak między wierszami lirycznymi są bardzo rzewne, bardzo przejmujące (na przykład Stary śpiewak), a ballady lub małe powiastki humorystyczne (na przykład Szewc i dyabeł) należą do najlepszych jakie posiadamy. Wiersze satyryczne, bajki, epigramata, po większej części bardzo udatne i pełne trafnego przystosowania. Pamiętnik Trzy po trzy, ciekawy,

pełen zajmujących i zabawnych szczegółów, pisany z wielkiem życiem; szkoda tylko, że autor opowiada wypadki w miarę, jak mu na myśl przychodzą, bez kolejnego następstwa i porządku.

»Jak komedye Moliera, tak komedye Fredry nie zwiędną i nie przeminą. Po wiekach będą miały jakiś staroświecki kształt i pozór, ale w głębi zachowają młodość nieśmiertelną i prawdę niezmienną dla wszystkich czasów. A jak we Francyi setki ludzi pisało komedye, ale Moliera żaden nie doszedł: tak na dziesiątki ludzi, którzy je pisali w Polsce, Fredro jest jeden«.

Nikt mnie nie zna.

Komedya w jednym akcie, wierszem (w skróceniu).

„Uczy złe czynić, kto się niepotrzebnie obawia“.
And. Max. Fredro.

OSOBY:

MAREK ZIĘBA, kupiec. — ŁAPKA, lichwiarz.
KLARA, jego żona. — KASPER, służący Marka.
CZESŁAW, jej brat. — MARTA, żona Kaspra.
SŁAWNICKI, major. — Urzędnik policyi, straż, słudzy.

Rzecz dzieje się w mieście, w domu Marka.

Marek Zięba, człowiek bardzo podejrzliwy, wszystkich zawsze posądza, że go oszukują. Gdy więc raz, jako kupiec, przez dłuższy czas nieobecny był w domu, postanowił za radą jakiegoś Jana Rembosza, filuta, którego w drodze spotkał, przebrać się w jego suknie i pod jego nazwiskiem przybyć do własnego domu, ażeby się przekonać, co się tam dzieje w jego nieobecności. Rozmowę tę podsłuchał przypadkiem Czesław, brat Klary, i postanowił raz na zawsze wyleczyć Marka z tej tak przykrej dla wszystkich podejrzliwości jego. Porozumiawszy się tedy z siostrą, wtajemniczywszy też w plan ten Martę, żonę służącego Kaspra, który z panem bawi w podróży, przebiera się w suknie Marka i ma wobec mniemanego Jana Rembosza udawać gospodarza domu, Marka Ziębę (sc. I i II).

Scena III.

MAREK, KASPER.

(Marek w mundurze zbyt przestronnym, czarna peruka i duże wąsy, Kasper także w peruce, z wąsami, zawsze tuż koło pana stoi, nastawia ucha, gdy ten mówi, i często się śmieje: hi! hi! hi!).

Marek. Kasprze! Ja dobrze robię?
Kasper. Panie! doskonale.
Marek. Jesteśmy w domu własnym.
Kasper. Własnym.

Marek (palec na ustach). Ale!
Kasper (podobnież). Ale!
Marek. Sza!
Kasper. Sza!
Marek. Nikt tego wiedzieć nie będzie.
Kasper. Broń Boże!
Marek. Nikt z domowych nie poznał.
Kasper. I poznać nie może.
Marek. I żona mnie nie pozna.
Kasper. Gdzie tam jej pan w głowie! (śmieje się).
Marek. Głupiś! (Kasper się kłania).
W głowie jej jestem, lecz jak się nie dowie,
To i wiedzieć nie będzie...
Kasper. Że to pan w mundurze...
Jak i Bartosz — nie poznać pana temu rurze!
Oczy wytrzeszczał, (śmieje się) śmiał się i wejścia nam [bronił (śmieje się).
A pan jak go pchnie gdzieś w brzuch! (śmieje się) aż się [nam pokłonił.
Marek. Godny oficer!
Kasper. Bartosz?
Marek. Głupiś!
Kasper. Wiem, wiem, panie:
Ten, co z nami nocował.
Marek. Jużci — jego zdanie
Wiele mię oświeciło; jego mądra rada
Ułożyła plan cały.
Kasper. Hm! rozum nielada!
Marek. Widział, żem niespokojny, jak każdy mąż bywa,
Któremu już za domem drugi rok upływa,
A w domu wszystko tylko na Boskiej opiece.
Kasper. I moja Marta, prawda?
Marek. I choć jak ptak lecę,
By zawsze wpaść z nienacka, wszystko nic nie znaczy,
Bo zawsze zły duch jakiś usłyszy, zobaczy;
A jeżeli zajadę skrycie do sąsiada,
Ktoś, gdzieś, jakoś przed żoną zawsze się wygada.
Raz byłem i śmierć własną ogłosił listami,
Alem w łeb dostał guza, słuchając pod drzwiami;
Drzwi pękły, pies zaszczekał, żona nie czytała —
I tak spełzła do razu tajemnica cała.
Teraz za tym powrotem konceptu nie stało,
Jakby zręcznie wyśledzić, co się w domu działo;
Aż mnie ów godny człowiek swoją radą wspiera:
Daje swój własny paszport, w swój mundur ubiera
I ze mnie Marka Zięby, kupca...

Kasper. Takie licho! (śmieje się).
Marek. Kasprze! kiedy pan gada, należy być cicho. —
Jadę, wjeżdżam do miasta, u rogatki staję,
Jako Jan Rembosz, były rotmistrz, podpis daję —
»Jan Rembosz« pisze strażnik, co mię zna oddawna.
Kasper. Ten, ten z nosem na bakier?... (śmiejąc się).
Marek. I co rzecz zabawna,
Żołnierze przedemną: traf! traf!
Kasper (śmieje się). Jak przed generałem.
Co tu śmiechu — gwałt! (śmieje się).
Marek. Słowem, tyle dokazałem,
Że nikt mnie nie zna w mieście, nikt mnie nie zna w domu...
Ale słuchajno, Kasprze: jak ty powiesz komu!
Kasper. O! czy ja lada głupiec?
Marek. Może tylko żonie?
Kasper. A fe!
Marek. Któż jestem?
Kasper. Marek Zięba.
Marek. Kto, gawronie?
Kasper. Nie... Rembosz, Marek Rembosz.
Marek (biorąc go za ucho). Marek?
Kasper. Jan, Jan, panie.
Marek. Proszę cię więc, pamiętaj.
Kasper (trzymając się za ucho). Już, już tak się stanie,
Jak pańska prośba każe.
Marek. Żeby cię kto dręczył
Prośbą, groźbą, kułakiem, żeby i umęczył,
Żebym ja sam rozkazał, chciał nawet przymusić:
Nie powiesz, kto ja jestem?
Kasper. Wolę się zakrztusić,
Wolę się...
Marek. Koniec końców, nie gadając wiele,
Jak powiesz, żem ja jest ja, to ja ci w łeb strzelę.
Kasper. A ja, panie?
Marek. Jakto ja?
Kasper. A ja kto?
Marek. Źle w głowie!
Będziesz sługą rotmistrza. Jak się tamten zowie?
Kasper. Kasper także, jak i ja. Może jaki krewny.
Marek. Nazwij się zatem Kasprem; będę nawet pewny,
Że myłki...
Kasper. Cóżbo pan drwi! czy rozum straciłem?
Jak tylko zapamiętam, to już Kasprem byłem;
Na cóż mam się nazywać?
Marek. Gadaj tu rozumnie,
A głupi głupim (Kasper kłania się).
Kasprem jesteś, Kasprem u mnie,

Ale nie tamtym Kasprem, co się Kasprem zowie.
Kasper. Już, już wiem to, wiem — mądrej głowie dość na słowie.
Marek. Słuchaj. Czy wszystko dobrze? (obracając się przed nim).
Mina? — co? — wojskowa?
Kasper. Jak Holofernes jaki!
Marek. Wzrok?
Kasper. Jak dzika.
Marek. Mowa?
Kasper. Jak grzmoty! aż strach!
Marek. Wąsy?
Kasper. Jak pańskie rodzone!
Marek. Peruka?
Kasper. Jak przykuta!
Marek. Teraz dom i żonę
Wypróbuję dokładnie; ale biada! biada!

W sc. IV poleca Marek Marcie, ażeby o jego przybyciu doniosła pani domu i prosiła o chwilę rozmowy. Po odejściu Marty w sc. V cieszy się Marek, iż sam niepoznany będzie mógł »w domu własnym widzieć wszelkie sprawy«.

Scena VI.

KLARA, MAREK, KASPER.

Kasper (ciągnąc za połę). Pst! panie! pani.
Marek. Cicho!
Klara. Pan rotmistrz, jak
(Kasper śmieje się pomimo znaków swego pana). [wnoszę,
Chce mówić z moim mężem. (Kasper śmieje się).
Marek (cicho do Kaspra, wykręcając mu rękę). Kasprze, póki proszę.
(do Klary) Tak, z mężem.
Klara. Niech pan siada.
(Siadają. Kasper staje za krzesłem Marka).
Męża w domu niema.
Marek. Wiem.
Klara. Ale wkrótce będzie.
Kasper (nie mogąc dłużej wytrzymać, parska śmiechem).
Kaduk tu wytrzyma.
Marek (do Klary). Za pozwoleniem.
(wstaje, bierze Kaspra za kołnierz i za drzwi wyprowadza. Kasper wkrótce wraca cicho i staje za krzesłem, zatykając sobie gębę, aby się nie śmiał).
(siadając) Słucham.
Klara. Mój mąż...
Marek (do siebie). Hultaj!
Klara. Pewnie...
Marek (do siebie). Czekaj!
Klara. Panu...
Marek (do siebie). Za twój śmiech zapłaczesz mi rzewnie.

Klara. Jest znany?
Marek. Pan Zięba?
Klara. Tak.
Marek. Od kolebki prawie;
Dlatego w jego domu czas jakiś zabawię...
Jeśli pani pozwolisz?
Klara. Bądź pan jak u siebie.
(Kasper obiema rękami gębę sobie zatyka).
Marek. Zaczekam tu dni parę.
Klara. I tydzień w potrzebie.
Marek. Mam w sądzie ważną sprawę, a nie znam nikogo;
Rady więc pana Zięby wiele mi pomogą.
(po krótkiem milczeniu)
Dobry to człowiek!
Klara. Mój mąż?
Marek. Co? niedobry może?
Klara. O, i owszem, i owszem, sto razy powtórzę.
Marek. Kochasz go zatem?... Pani... żyjesz z nim szczęśliwie?
Klara. I nad tem zapytaniem nie mało się dziwię;
Grzeczności i rozsądku niewiele dowodzi,
Kto wstępnym prawie bojem w cudze sprawy wchodzi.
Jednak nie mam potrzeby postępować skrycie;
Tak jest, mój mąż stara się upiększyć mi życie.
Zbyt pewny, że w małżeństwie miłość bez ufności
Jest tylko źródłem trwogi, niesnasek, zazdrości,
Na obopólnej wierze, tej stałej zasadzie,
Pokój domu i szczęście nas obojga kładzie.
I słusznie, bo któż może taką miłość cenić,
Której strzeżeniem tylko wzbrania się odmienić?
Któż zwać jaką osobę przyjacielem może,
Gdy się lęka jej zdrady w każdej życia porze?...
Marek. Łatwo obojętnemu rozprawiać w tej mierze,
Ale to strzeżonego, mówią, Pan Bóg strzeże.
Klara. Ach, potrafi oszukać, kto oszukać żąda;
A zwykle mało widzi, kto we wszystko wgląda.
Marek. Ale mniej jeszcze widzi, kto oczy zamyka.
Klara. Tych dwóch ostateczności pan Zięba unika.
(Kasper wstrzymuje się od śmiechu).
Marek. Pan Zięba ma więc rozum?
Klara. I rzadkie przymioty:
Dzieli ze mną jak radość, tak równie zgryzoty;
Ale nie są mi znane te kwaśne humory,
Te dąsy mężów, gorsze niż najżwawsze spory,
Które chcąc przerwać, trzeba wprzód myśleć godzinę,
Nim się trafem nareszcie odgadnie przyczynę.
I często się wydarza, że za głupstwo sługi,
Za to, że jeden zbłądził albo spił się drugi,

Za to nawet, że słota i snopki zmoczone —
Mąż, nie mając na kogo, dąsa się na żonę.
Ale i zrzędność także równie przykra wada;
Mój mąż nigdy nie zrzędzi.
(Kasper parska śmiechem w ucho swemu panu).

Kasper (śmiejąc się). Co też pani gada!...
Marek (zrywając się). Precz łotrze!
Kasper. Ani pisnę.
Marek (chwytając go za kołnierz). Precz!
Kasper (chcąc się wyrwać). Już się nie śmieję.

Scena VII.

KLARA, MAREK, KASPER, CZESŁAW.

(Marek, trzymając Kaspra za kołnierz, zostaje w tej pozycyi trochę przy stronie. Obydwaj nie spuszczają oka z Czesława, który, nie widząc ich niby i do Klary wciąż mówiąc, poprzed nich chodzi).

Czesław. A niech też kaci porwą! co się tutaj dzieje!
Człowiek z domu, szkoda w dom.
(rzucając kapelusz na stół)
Wszystko przewrócone!
Nigdzie rządu i ładu, każdy w swoją stronę;
A żeby jedna dobra dusza się ocknęła,
Tu, ówdzie jakoś przecie czasami wglądnęła!
Gdzie tylko sam nie zajrzysz, tam się dyabeł gnieździ!
Marek (puszczając kołnierz). Już i po całym domu, jak uważam, jeździ.
Czesław. Dozorca chrapie w cieniu, słoneczko go razi;
Cieśla ciupie jak przez sen, stolarz jak ćma łazi;
Pan mularz gdzieś na szynku półgarncówkę doi,
A stajnia dotąd jeszcze nieskończona stoi.
I tę ścianę miał wybić, powygładzać wszędzie;
Karnawał dalej przyjdzie, a sali nie będzie.
Marek (nie spuszczając oka z Czesława, na stronie mówi z Kasprem aż do końca sceny).
Kasprze, co to jest?
Kasper. Surdut pański.
Marek (coraz trwożliwiej). Kasprze!
Kasper. Panie!
Marek. Co to jest?
Kasper. Krymka pańska.
Czesław. Czy Boskie skaranie!
Nikt nigdy nie zrozumie, choć powiem wyraźnie.
Kazałem sad tam wyciąć, gdzie mają być łaźnie,
A oni w prawo, w lewo cięli dla uciechy,
Tak, że zostały tylko płonki i orzechy.
Kasper (ciągnąc za połę). Panie, to pańska laska, znam ja ją niemało.
Marek. Kasprze!
Kasper. Hę?

Marek. Kasprze.
Kasper. Panie?
Marek. Co się tutaj stało?
Mnie coś mdło koło serca.
Kasper. Głowę panu ścisnę.
Marek. Głupiś. (Kasper śmieje się). Nie śmiej się.
Kasper. Dobrze.
Marek. Cicho!
Kasper. Ani pisnę.
Czesław. Wczoraj przecie przedałem folwark za mogiłą.
Marek. Ach! (wsparty na Kasprze zostaje w osłupieniu do końca sceny).
Czesław. Wprawdzie za pół darmo, lecz cóż robić było?
Raz się przecie przeklęte długi zaspokoi;
Chodźmy wszystko obliczyć, a czy się co skroi!
Klara. Lepiej byłoby może...
Czesław. Może czy nie może —
Stało się, co się stało! — Dyabeł nie pomoże!
(odchodzą do pokoju po prawej stronie).

Scena VIII.

MAREK, KASPER.

Marek (po długiem milczeniu). Ha! słyszałeś?
Kasper. Słyszałem.
Marek. Widziałeś?
Kasper. Widziałem.
Marek. Zatem folwark?...
Kasper. Sprzedany.
Marek. I ja, ja milczałem!...
Lecz jeszcze czego więcej dowiemy się może.
(Kasper, który stał zamyślony, zaczyna śmiać się nagle).
A to co?
Kasper (śmiejąc się). Ale... proszę... bo to... o mój Boże!...
Kubek w kubek pan a pan ten jegomość nowy:
Tak chodzi, zrzędzi, łaje i grzmocić gotowy.
Marek (chwytając za piersi). Śmiejesz się?
Kasper. Ani pisnę. — Jednak powiem [szczerze,
Że który z panów mój pan, sam sobie nie wierzę
I nie przysiągłbym teraz za nic na tym świecie.
Marek. Wiem ja, wiem, jakiś mądry; poznasz ty mnie przecie!...

Scena IX.

MAREK, KASPER, ŁAPKA.

Łapka (powoli się wsuwając). Nóżki pańskie całuję, sługa uniżony.
Przecie też pan zawitał, zawitał w te strony;
Nie mam szczęścia być znany, ja to wiem, ja to wiem.
Mój braciszek, to ale.

Marek. Kto? — Jak?
Łapka. Zaraz powiem.
Wszak jegomość pan Rembosz ze mną mówić raczy?
Marek. Hm? — A, tak.
Łapka. Jan?
Marek. Hm? A, Jan.
Łapka. Rotmistrz?
Marek. Nieinaczej.
Łapka. Mam tu jego rewersik, rewersik maleńki.
Marek. Mój? Czyś waćpan szalony?
Łapka (odsuwając się pokazuje). Podpis jego ręki.
W Poznaniu mój braciszek, pan Łapka Gerwazy,
Dał panu po sto czątych...
Marek. Sto czątych!
Łapka. Trzy razy.
Marek. Trzy razy! mnie?
Łapka. A zatem rzecz jasna i czysta,
Że zapłacisz łaskawie dukacików trzysta.
Marek. Ja? ja?
Łapka. Pan, pan.
Marek. A! już wiem — nie moje to długi!
(odprowadzając go na stronę)
Słuchaj mnie, panie... panie...
Łapka. Łapka na usługi.
Marek. Panie Łapka! Mieć trzysta dukatów to ładnie;
Żeś więc człowiek uczciwy, poznaję dokładnie —
Dam ci...
Łapka. Czy tylko ważne?
Marek. Najważniejszy w świecie
Dam ci dowód ufności — wyznam ci w sekrecie:
(odprowadzając go jeszcze dalej — Kasper za nimi postępuje)
Ja nie jestem Remboszem.
Łapka (ironicznie). Tak?
Marek (oglądając się). W pewnym zamiarze
Przybrałem to nazwisko.
Łapka. A roztropność każe
Odmienić je naprędce.
Marek. Pst!
Kasper. Pst!
Marek. Ciszej gadaj.
Zrobiłem ci zwierzenie, przyczyny nie badaj
I ruszaj sobie teraz, bo możesz przeszkodzić.
Łapka. Doprawdy?
Marek. Już tu nie masz po co i przychodzić.
Łapka. Nie Rembosz?...
Marek. Ciszej!
Kasper. Ciszej!

Łapka. Jesteś...
Marek. Ani słowa!
Kasper. Ani mru mru.
Marek (odprowadza go w drugą stronę. — Kasper za nimi postępuje).
Słyszą nas. Chcesz, napisz do Lwowa,
Rotmistrz, jak list odbierze, zapłaci do grosza.
A teraz idź i rozgłoś, żeś widział Rembosza.
(Łapka śmiać się zaczyna. Kasper, z razu zdziwiony, śmieje się potem z nim razem).
Czegoż się waćpan śmiejesz?
(w złości do Kaspra) A ciebie co śmieszy?
Łapka. Z konceptu swego pana wraz ze mną się cieszy.
Za kogożto mnie pan masz? Czy ja nie mam głowy,
Abym się szczerze nie śmiał z tej wykrętnej mowy?
Ja krok w krok za nim pędzę z samego Poznania.
Marek. Ja w Poznaniu nie byłem.
Łapka. Dość tego gadania.
Marek. Kiedy mówię, że zamiar...
Łapka. Kto się o to pyta?
To jest rewers waćpana, zapłacisz i kwita!
Marek. Nie zapłacę.
Łapka. Zapłacisz.
Marek. Idź do dyabła!
Łapka. Fraszka!
Marek. Precz!
Łapka. Zapłać!
Marek. Precz!
Kasper. Precz!
Łapka. Pójdę, jak oskubię ptaszka.
Marek. Idźże, idź, pókiś cały, jeszcze raz ci mówię;
Szukaj sobie Rembosza, ja się Zięba zowię.
Łapka. Zięba czy szczygieł, jesteś, ptaszku, w mojej klatce.
Widziałem paszport świeżo, zaraz na rogatce:
Próżny więc wykręt, zapłać — niech czasu nie tracę.
Marek. A, tego nadto! — zaraz ja ci tu zapłacę.
Kasprze! strąć go ze schodów!
Łapka. Mam dekret w kieszeni.
Marek. Kasprze! precz z nim! (odchodzi do pokoju po lewej stronie)
Łapka. Poczekaj! koza cię odmieni!
(szamotając się z Kasprem wychodzą — słychać upadnięcie za drzwiami).

Scena X.

KASPER.

Kasper (wchodzi, kołnierz podniesiony, peruka przekrzywiona i najeżona; — poprawiając i ocierając suknie).
Dyabeł nie Łapka! — O fe! — A bodajże zginął!
(śmiejąc się).

Ja chciałem nim zawinąć, a on mną zawinął.
Ledwiem drzwi łbem nie wybił, a tęgom się zaparł.
(pokazując) Ja tak — on siak: jak go pchnę! ażem
[nogi zadarł.
Ktoby się był spodziewał, że wędzonka taka...
Tfu! i jeszcze mi za kark dołożył kułaka.
Ale też co tchórz, to tchórz! jak dotąd nie było;
(śmiejąc się)
Drapał przez cztery schody, aż się zakurzyło! (śmiejąc się).

Scena XI.

KASPER, MARTA.

Kasper (na stronie). Ha! Marta! muszę także zręcznie ją wybadać.
Marto! kochasz ty męża?
Marta. Ach! na cóż mam gadać
O tem, co kiedyś było.
Kasper. Było? nie jest zatem?
Marta. Jak ma być, kiedy mój mąż rozstał się z tym światem.
Kasper. Co? co? Kasper Dzbankiewicz?
Marta. Nie żyje! nie żyje!
Kasper. Ej fe, fe!.. co to gadać! (na stronie) Jak mi serce bije!
(po krótkiem namyśleniu zaczyna się śmiać i coraz mocniej za każdą odpowiedzią Marty).
To ktoś skłamał! Alełto skłamał jak należy.
Marta. Ach, nie!
Kasper. Nie skłamał?
Marta. Ach, nie!
Kasper. Ona temu wierzy!
Marta. I tyle cierpiał!
Kasper. Cierpiał?
Marta. Nie za swoją winę.
Kasper. Umarł więc?
Marta. Umarł.
Kasper. Kasper?
Marta. Kasper.
Kasper (trzymając się za boki i zachodząc się od śmiechu; siadając i coraz słabszym głosem). Aj!... strach!... zginę!...
Oj! kolki!... och... och... gwałtu!
Marta. Wszak byłam w tej chwili,
Widziałam (płacze).
Kasper (drwiąc). Cóż widziałaś?
Marta. Jak go powiesili.
Kasper (zrywając się). O, o! fe, fe! złe żarty; fe, fe! brzydZ tem nie trzeba żartować. [kie żarty;
Marta. W oczach swojej Marty
Biedny życie zakończył...
(Marta płacząc mówi dalej, Kasper rozczula się powoli)

»Bywaj zdrowa, żono!« 15
Mówił. — Bądź zdrów! ja rzekłam. — Potem go...
W ziemię... (szlochając) głęboko... [złożono...
Kasper. Biedny! (po krótkim czasie, śmiejąc się) A czego ja płaczę?
I mądry czasem głupi; (na stronie) lecz teraz zobaczę,
Czy mnie żona kochała. (do Marty). Cyt, nie płacz,
[kochanie,
Pociesz się, wszakże twój mąż kiedyś zmartwychwstanie. 20
Marta. Co to za dusza była!
Kasper. Ja wiem, takich mało.
Marta. Nigdy mędrcem być nie chciał...
Kasper. Dobrze ci się działo.
Marta. Żal mi go niewymownie.
Kasper. Bóg ci to nagrodzi.
Żal twój straszny, okropny, okrutnie dowodzi,
Że i byłaś i jesteś dobrą białogłową; 25
Słuchaj mię zatem Kaspra, Dzbankiewicza wdowo:
Ja się z tobą ożenię.
Marta. Nie można.
Kasper (z ukontentowaniem) A czemu?
Marta. Bom już serce i rękę przyrzekła innemu.
Kasper. Komu? niegodna!
Marta. Bratu Błażeja mielnika.
Kasper. Kiedy?
Marta. Jeszcze za życia męża nieboszczyka. 30
Kasper (w złości). Marto!
Marta. Lecz wybacz waćpan, oddalić się muszę.
Kasper. Czekaj!
Marta (wybiegając). Adje!
Kasper. Niewierna! rozszarpię! uduszę!
(biegnie za nią — Major go zatrzymuje we drzwiach).

Major Sławnicki przybywa z polecenia pułkownika, ażeby pociągnąć do odpowiedzialności Rembosza, który nieprawnie mundur pułku nosi, a nieuczciwem postępowaniem wstyd sprawia wszystkim tego pułku żołnierzom; każe więc Kasprowi prosić pana o chwilę rozmowy (sc. XII i XIII).

Scena XIV.

MAJOR, MAREK, KASPER.

Major (na stronie). To nie on — cóż to znaczy? Inna postać cała.
Przebacz, panie kolego, omyłka się stała.
Jestem major Sławnicki, mieszkam w tym powiecie
I, choć ze służbym wyszedł, zawszem żołnierz przecie.
Wczoraj dostałem opis pewnego szulera, 5
Który się w mundur pułku bezwstydnie ubiera,

Pułku, gdziem niegdyś służył, a którego sława
Dotąd do mej opieki nie straciła prawa.
Wszakże i za powinność obaj pewnie mamy
Znaków naszej zasługi strzec od wszelkiej plamy.
(Marek coraz mocniej zmieszany).
Dziś więc zdala zoczywszy, jakeś tu z nim wchodził,
Rzekłem: Może przypadek prędko mi wygodził
I kto wie, może ten łotr w moje ręce wpada.
Idę, pytam i — proszę — każdy mi powiada,
Że w samej rzeczy Rembosz, ów hultaj, przybywa.
Kasper. Co? Rembosz? Jan? to mój pan! pan tak się nazywa.
Rotmistrz, jedzie z Poznania...
Marek (na stronie do Kaspra). Bodajeś skamieniał!
Bodajżeś pękł dwa razy!
Kasper. Za to, żem wymieniał...
Marek. Cicho, Kasprze przeklęty!
Kasper. Ale cóż ja robię?...
Marek. Idź, Kasprze, mój Kasperku, proszę cię, idź sobie,
Bo ci zęby wybiję.
Kasper (wzruszając ramionami). Idę, pójdę, idę (odchodzi).

Scena XV.

MAJOR, MAREK.

Major. Coż to?
Marek. Nic, nic — to nie tak. (na stronie) Mamże nową biedę!
Major. Jednak?
Marek. Kasprze przeklęty!
Major. Mospanie, do rzeczy:
Kto jesteś?
Marek. Kto? — Nie Rembosz.
Major. Hm! Kto jedno przeczy,
Drugie miewa nazwisko; zatem jak się zowiesz?
Marek. Nic nikomu do tego.
Major. Ale przecie powiesz,
Oficerem czy jesteś?
Marek. Nie jestem, broń Boże!
Major. A mundur, bratku, nosisz?
Marek. Pojutrze go złożę.
Major. Wiesz, że to kulkę ściąga?
Marek. Od kogo?
Major. Ode mnie.
Marek. Bywaj zdrów.
Major. Wyzywam cię.
Marek. Wyzywasz daremnie.
Major. Nie wyjdziesz?
Marek. O, nie wyjdę.
Major. Przymuszę w potrzebie.

Marek. Bajki!
Major. Na honor, prawda!
Marek. Zamknę się u siebie;
Nie znajdziesz w domu własnym, drzwi mi nie wybijesz.
Major. Ale u drzwi zaczekam, nigdzie się nie skryjesz,
Wszędzie ścigać cię będę.
Marek. Ścigaj sobie wszędzie;
Marek Zięba nie głupi, strzelać się nie będzie.
(odchodzi).

Czesław uspokaja Majora i przyrzeka mu wszystko wyjaśnić później (sc. XVI), z Klarą zaś porozumiewa się, że już rzecz całą zakończą, poprzestając na nauce, jaką Marek otrzymał, zwłaszcza z przypadkowego przybycia Łapki i Majora (sc. XVII).

Scena XVIII.

MAREK.

Marek. Już go niema! Źlem zrobił. Wszystko złe z nazwiska.
Trzeba było się zgodzić — sprawa dyable śliska!
Wyzwał mię, może zabić, nikt mu nic nie powie;
Wyzwał mię, wolno strzelać — dyabeł nie śpi; kto wie,
Jeszcze gotów z za płotu gdzie do mnie wywalić.
(po krótkiem milczeniu)
A do kroć sto tysięcy!... chciałbym dom zapalić!
Dom spalić, sam się spalić, wszystko spalić wkoło!...
Moja żona!... gdzie ten łotr? o miedziane czoło!...
Dość tego! dalej! (idzie i wraca) Ale już wytrwałem tyle,
Będę jeszcze cierpliwym i zaczekam chwilę.
(siada w środku).

Scena XIX.

MAREK, KASPER.

Kasper. A fe! fe! O, to brzydko! — To obelgą pachnie.
Marek. Cóż ci to?
Kasper. Bartosz wziął kij i fiu! fiu! jak machnie,
Uderzył mię tu — w plecy raz po raz trzy razy.
Ja drugi raz nie zniosę podobnej urazy.
Ja wcześnie zapowiadam jasno i dobitnie,
Ja mu co powiem, jak mi jeszcze raz tak przytnie...
Chciałem trochę nastraszyć moją panią Martę,
Aż ten Bartosisko, ten!... bo to dyabła warte!
To do niczego! nie wiem, na co to pan trzyma,
Nuż do mnie. »Nikt tu (wrzaśnie) do niej prawa niema.
Ja z Kasprem nieboszczykiem żyłem jak brat z bratem;
Kto więc wdowie dokucza, może dostać batem«.

Może! — i łup! cup! — o tu! — Z tego więc wynika,
Że wybił mnie żywego za mnie nieboszczyka.

(Słowami Kaspra nanowo podrażniony, postanawia Marek w jakikolwiek sposób wyświecić rzecz całą; każe przeto Kasprowi prosić Klary i Czesława o chwilę rozmowy).

Scena XX.

MAREK, CZESŁAW, KLARA, KASPER.

Czesław. Ach, wybacz mi, rotmistrzu, moje roztargnienie,
Witam cię z duszy, serca.
(bierze go za rękę, którą ten wyrywa)
Lecz miałem zmartwienie:
Nie spostrzegłem cię pierwej, myśląc o mej stracie.
Marek. Kto jesteś? kto? kto?
Klara. Cóż to? czy wy się nie znacie?
Wszak pan mówiłeś, że znasz od kolebki prawie.
Marek. Jego? ja?
Czesław. A tak, w szkołach byliśmy w Warszawie.
Marek. Ja? z tobą?
Czesław. (chcąc go uściskać, czego ten unika) Jaś ci to mój, Jaś drogi,
Aleś mi coś zakaty, Jasiu, podszarzany, [kochany.
Byłbym cię jednak poznał: ten nos, wzrok — ta broda —
Nieboszczyk sędzia kula w kulę.
Marek. Czasu szkoda:
Słuchaj...
Czesław. Pamiętasz, Jasiu, różne nasze psoty?
Był to z ciebie trzpiot wielki! hej, hej, wiek to złoty!
Marek. Milcz że, do stu kaduków! już cierpię czas długi.
(do Klary) Kto to jest?
Klara. Mój mąż.
Marek (odskakując) Twój?
Klara. Mój.
Marek. On?
Klara. On.
Marek. Mąż?
Klara. Mąż.
Marek. Drugi?
Klara. Jednego miałam i mam.
Kasper (uderzając w ręce) Masz teraz, do kata!
Marek. Jednego? nigdyż Zięba nie oglądał świata?
Czesław. Ja też nim jestem właśnie.
Marek (po krótkiem zdziwieniu) Kto?
Czesław. Ja.
Marek. Ty? ty?
Czesław. Ja, ja.
Marek. Zięba?
Czesław. Zięba.

Kasper. Aj gwałtu!
Marek. Kasprze, weź hultaja,
Uduś go, zabij!
Kasper (cofając się). Zaraz.
Marek (do Czesława). Marek?
Czesław. Marek Idzi
Franciszek Zięba.
Marek (do Kaspra). To ja.
Kasper (do Czesława). Do słowa, Bóg widzi.
Marek (do Czesława). A któż ja jestem?
Czesław i Klara. Rembosz.
Kasper (śmiejąc się). Toż nam się udało!
Marek. (do siebie). Będzie tu zaraz strachu i wstydu nie mało.
Kasprze, odepnij wąsy.
Czesław (do Klary na stronie). Dobrze mu się dzieje.
Klara (podobnież). Zbyt się dręczy.
Czesław (podobnież). Tem lepiej.
Marek (na stronie) Niewierna struchleje!
(przystępuje do Klary z wąsami w ręku).
Cóż?
Klara. Wąsy przyprawiane.
Marek. Nic więcej nie widzisz?
Klara. Nic.
Marek. Nie widzisz mnie, męża?
Klara. Czy waćpan z nas szydzisz?
Oto mój mąż.
Kasper. Źle!
Marek. Jakto? Ty mnie nie znasz, Klaro?
Klara. Widzę pierwszy raz w życiu.
Marek. O straszna niewiaro!

Scena XXI.

MAREK, KLARA, CZESŁAW, KASPER, ŁAPKA, URZĘDNIK POLICYI I STRAŻ.

Łapka. Otóż jestem — tu dekret — tu straż — proszę z sobą.
Marek. Jestem Zięba, nie Rembosz.
Łapka. Zawsześ jest osobą,
Która wzięła pieniądze i zapłacić musi,
Idziesz?
Marek. Wprzód cię ta ręka jak węża udusi.
Łapka (pokazując). Dekret.
Marek. Kasprze!
(Łapka kryje się za urzędnika, Kasper cofa się w przeciwną stronę).
Kasper. Niegłupim.
Marek (do siebie). Któż mi wytłómaczy,
Co tu się w domu stało! — Co to wszystko znaczy?
(w ciągu rozmowy Marka z Klarą Czesław w głębi rozmawia z Łapką i urzędnikiem, którym zdaje się rzecz objaśniać).

Klaro! przestań udawać; na co to się przyda?
Powiedz im, kto ja jestem; odpraw tego żyda.
Klara. Mój panie, dość już tego.
Marek. Przebaczę.
Klara. Przebaczam.
Marek. Żono!
Klara. Skończmy rozmowę, gdzie równie uwłaczam
Sobie, jak i mężowi.
Marek (na stronie). Co się ze mną dzieje?
Czy ja śpię, czy ja czuwam? Kto tu z nas szaleje?
(do Klary) Klaro, żono! zbierz zmysły, patrz, kto
[w tej osobie.
Ja jestem Marek, twój mąż — przypomnijże sobie...
Nie pamiętasz? w Lublinie, w dzień świętej Justyny
Poznałaś mnie na balu — miałem fraczek siny;
Upadłem z tobą w tańcu, stłukłem ci kolano;
Potem ci powiedziałem, że jesteś kochaną.
Nie pamiętasz? — A potem w Łęcznej na jarmarku
Rzekłaś raz pierwszy: kocham ciebie, miły Marku! —
A potem gdy zapowiedź wyszła już trzy razy,
Skojarzył nas w Lublinie ojciec Anastazy...
Klara. Nie pamiętam i nie znam.
Marek. Tak? dobrze! — (dzwoni)
[Hej, słudzy!
(dzwoni) Nie znasz, ale mnie poznasz, jak poznają drudzy.

Scena XXII.

CIŻ SAMI, MARTA, FILIP, BARTOSZ.

(Stają w rzędzie po prawej stronie, po lewej Łapka i Czesław, na przedzie Klara z jednej, Kasper z drugiej strony).

Marek. Moje dzieci! — powiedzcie razem, głośno, jaśnie:
Kto jestem? (milczenie) Nie znacie mnie? (milczenie).
Niech was piorun trzaśnie!
(czule) Ty Marto, żono Kaspra, którąm zawsze lubił,
Której nic dać nie chciałem, gdy cię mąż zaślubił,
Którąm już raz wypędził, uwiedziony plotką —
Nie znasz mnie? powiedz — nie znasz?
(Marta wzrusza ramionami).
Poczekaj, czeczotko!
(czule) Ty Filipie, którego rzadko minie kara,
Któremum za karafkę potrącił talara,
Którego nie chcę trzymać, który nie dbasz o to —
Nie znasz mnie? powiedz — nie znasz?
(Filip wzrusza ramionami).
Poczekaj, niecnoto!
(czule) Ty Bartoszu, którego kij często przemierza,
Którego co niedziela wsadzam do śpichlerza,

Który przy bramie stoisz od rana do rana —
Powiedz, powiedz, Bartoszu, nie znasz twego pana?
(milczenie — Bartosz wzrusza ramionami).
Niewdzięczni! nie znacie mnie! nikt mnie nie zna w domu!
O chwilo zaślepienia, nieszczęścia i sromu!
(rzuca mundur, perukę i obraca się przed nimi w prawo i lewo)
Teraz — teraz znacie mnie?
(milczenie — Marek wybiega na sam przód sceny)
Co to jest? o Boże!
(po krótkiem zastanowieniu)
Kasprze! na tobie Zięba zawieść się nie może.
Kasprze! ty wierny sługo, zawsze przy mym boku,
Co mi strzeżesz szkatułki, sypiasz na tłumoku,
Słuchaj, słuchaj mnie, pana: uwalniam od słowa,
Zapomnij, jaka była przeklęta umowa,
Powiedz tu, jakeś Kasper, jak ci miłe zdrowie,
Ach powiedz, kto ja jestem, jak się twój pan zowie.
(do wszystkich) Cicho!

Kasper (okazawszy, że wie, o co idzie)
Jan Rembosz, rotmistrz; jedziemy [z Poznania.

Marek. O morderco! zabójco! — Lecz stój, bez gadania:
Gdzie papiery? gdzie skrzynka?

Kasper (pokazując ucho żelazne). To się z niej zostało.

Marek. Jak? co?

Kasper. Siedząc na bryczce, trochę się drzemało.
Wtem słyszę: ktoś przy skrzynce — nic to, dalej chrapię.
Niech kradnie, myślę sobie, na uczynku złapię.
Ba! już ciągnie, a ja łap! — On sobie, ja sobie.
Wtem trzask prask! ucho pęka w tak nagłym sposobie,
Że fik! on leżał w jednym, a ja w drugim rowie.
Dwóch nas leżało — on na plecach, ja na głowie.
On się zerwał piorunem, jam się zerwał duchem;
On w nogi, jam został — on ze skrzynką, ja z uchem.

Marek. Milcz! milcz! (rzucając się na krzesło, na środku stojące)
Dosyć już tego, niegodziwa gębo!

(Czesław wszystkich odprawia, potem on z jednej, Klara z drugiej strony Marka stają; Kasper i Marta trochę w głębi przy przeciwnych stronach).

Scena XXIII.

MAREK, KLARA, CZESŁAW, KASPER, MARTA.

Klara. Mój mężu!

Marek (w zapomnieniu). Jestem mężem?

Czesław. Ziębo!

Marek (jak pierwej). Jestem Ziębą?

Czesław. Jesteś.

Marek. Czemże ty będziesz?
Czesław. Szwagrem mego pana.
Marek. Szwagrem?
Klara. Wszystko już dobrze.
Czesław. Wszystko rzecz udana.
Marek. A folwark?
Czesław. Niesprzedany.
Marek. A sad?
Czesław. Niewycięty.
Marek. A major?
Czesław. Nic nie zrobi.
Marek. A Łapka przeklęty?
Klara. Już poszedł.
Marek (wstając). Ach, to dobrze.
Czesław. Jam namówił Klarę,
By ci za pedejrzliwość tę zadała karę.
Kasper (zdejmując perukę i wąsy).
Panie, teraz czas na mnie. — Marto! jak to będzie?
Marta. Kasprze, mógłżeś ty wierzyć? jestżeś dotąd w błędzie?
Miałżebyś się odmienić? chcieć mieć mędrszą głowę?
Kasper. Broń Boże!
Marta. Więc wiesz...
Kasper. Wiem, wiem, spełniałaś...
Marta. Umowę
(podają sobie ręce).
Klara. Przebaczasz mi więc szczerze, żem cię mogła dręczyć?
Marek. Przebaczam z duszy, serca — i mogę zaręczyć,
Że nie spełznie daremnie ta nauczka mała;
Podejrzliwość na zawsze władać mną przestała.
Czesław. I bardzo sprawiedliwie. Wierz mi, przyjacielu:
Ta furya bezsenna nigdy nie ma celu;
Nie polepszy dobrego, złe pogorszy życie;
Kto byłby trzpiotem jawnie, będzie łotrem skrycie.
I tysięczne w pożyciu uczą nas przykłady,
Że podejrzliwość bywa matką wszelkiej zdrady.

Śluby panieńskie.

Komedya w 5 aktach.

Radost i p. Dobrójska, starzy przyjaciele, ułożyli sobie, że bratanek Radosta Gustaw poślubi Anielę córkę p. Dobrójskiej. Przybywa tedy Radost z synowcem do domu p. D. na wieś, ażeby młodzieniec poznał pannę. W domu tym bawi także kuzynka Anieli Klara, o której rękę stara się Albin. Gustaw, wielki trzpiot, w zarozumiałości swojej z góry patrzy na pannę, na wsi wychowaną; mniema, że dość mu

przyjść i pokazać się w tym domu, ażeby serce Anieli pozyskać. Wcale więc nie stara się pannom podobać, owszem lekce sobie waży całe towarzystwo; udaje, że się nudzi, raz naprawdę zasypia wśród rozmowy. Jednak Aniela podoba mu się więcej, niż sam sobie przyznaje. Panny są zagniewane na niegrzecznego, zarozumiałego kawalera i myślą, że go nie cierpią. Prócz tego nieraz czytały w romansach o przewrotności mężczyzn i niedoli kochających ich kobiet, przeto składają obie ślub nie wychodzić za mąż. O tem postanowieniu panien dowiaduje się Gustaw od stryja. Teraz przez upór i obrażoną miłość własną i przez ukryty pociąg uczucia postanawia doprowadzić do udaremnienia tych ślubów, pewny, że mu to przyjdzie łatwo.

Aktu II. scena 4.

ANIELA, KLARA, GUSTAW.

(Aniela wkrótce siada i haftuje — Gustaw do niej zawsze obraca mowę, znaczna różnica i nagły przechód w jego rozmowie: do Anieli z przymileniem, do Klary uszczypliwie albo z gardzącą obojętnością — Klara mówi szybko i z zapałem często za Anielę — Aniela powoli i łagodnie, jak i w następujących scenach).

Gustaw. Po długiej wojnie zawieszenie broni.
Aniela. Pokoju proszę.
Gustaw. Któż od niego stroni?
Klara (między nimi). Nie każdy godzien.
Gustaw (nie zważając na Klarę). Pierwszy więc warunek?
Klara. O, nie tak bystro!...
Gustaw. Wzajemny szacunek.
Aniela. I neutralność moja.
Gustaw. Być nie może.
Zróbmy zaczepno-odporne przymierze.
Klara. Co za wspaniałość!
Gustaw. Punkta więc ułożę.
Aniela. Żarty!
Gustaw. Ja proszę.
Klara. Bardzo temu wierzę.
Gustaw. Cóż?
Klara. Radzę...
Gustaw. Błagam.
Klara (na stronie). Czy on mnie nie widzi?
Gustaw. Wiernie dotrzymam.
Klara (na stronie). Czy on ze mnie szydzi?
Gustaw. Dwakroć przysięgnę.
Klara. Przysięga bez miary,
Kto żebrze wiary.
Gustaw (nie patrząc na nią, obojętnie). I żebrak ubogi
Skarb znaleść może.
Klara. Dużo na to drogi.
Gustaw (jak pierwej). Odległość celu nadziei nie zmniejsza.
Klara. Trudna to zdobycz.

Gustaw (patrząc jej w oczy, z flegmą). Lecz skromność trudniejsza.
Klara (z zapałem). Wojna więc.
Gustaw. Przeciw pani jestem zbrojny.
Aniela. Ja trzymam z Klarą.
Gustaw. Zazdrościć jej muszę.
Klara. A ja z Anielą.
Gustaw. Zatem niema wojny.
Klara (ze wzrastającym zapałem). A to dlaczego?
Gustaw (obojętnie). Bo jestem spokojny,
Nie jak mężczyznie, lecz pannie przystoi.
Klara (z zapałem). Nie — otwartości mężczyzna się boi,
Chciałby mgłą zawsze okryć swoją duszę,
By mieć dwa światła i stać między dwiema.
Gustaw. Skąd o mężczyznach takie złe mniemanie?
Klara. Owszem, pochlebne.
Gustaw (ironicznie). Głębokie problema!
Nie mójto rozum rozwiązać go w stanie.
Klara. Zwodzić i zdradzać wszak najmilsza sztuka?
Każdy z niej chluby, w niej nagrody szuka;
Im więcej ofiar naliczy, nakłamie,
Tem w chwalebniejsze uwieńczy się znamię.
Gustaw. Hm! bardzo pani żałuję.
Klara. A! bardzo Panu dziękuję.
Lecz jeśli łaska, z jakiegoż powodu?
Gustaw (z flegmą). Że z tak niewinną duszą, tak za młodu,
Już doświadczyłaś, co jest męska zdrada.
Klara. Już doświadczyłam? i któż to powiada?
Gustaw. Zdrowy choroby, bogacz nie zna nędzy,
Tak równie zdrady, kto nie był zdradzany;
Z kilku zaś książek czytanych czem prędzej,
Rozsądek wzbrania ogólnej nagany.
Aniela. Ależ i przykład zostaje w pamięci.
Gustaw (ściągając do Klary). O, przykład, przykład dobre i złe mieści,
Ale najczęściej złem nas tylko nęci.
(do Klary) Mszcząc się to zatem całej płci niewieściej,
Nadobna Klara poprzysięgła sobie,
Nie uszczęśliwić żadnego z czcicieli.
Klara (porywczo). Któż to mówił?
Gustaw (z flegmą). Kto? — Albin.
Klara (jak wyżej). W tym sposobie
Pan Gustaw pewnie ze strony Anieli
Podobne śluby wkrótce nam ogłosi:
Każdy się chętnie własną dzieli klęską.
Gustaw (ukrywając urazę, z uśmiechem). Hm! panna Klara walczy [duszą męską,
I zapał, który jej rumieniec wznosi,
Czas Amazonek przed oczy nam stawia.
Klara (z zapałem). Zapał — jest zapał — ja wiem, co objawia...

I powiem, powiem, sto razy powtórzę:
Iż moja dusza znieść mężczyzn nie może!
Nienawidzieć ich — moje przedsięwzięcie;
Dwakroć przysięgłam i dochowam święcie! (odchodzi).

Scena 5.

ANIELA, GUSTAW.

Gustaw (jakby do Klary). Dochowam, tak, tak, będziemy widzieli.
Nienawiść! wszystkim! i święcie przyrzeka.
(do Anieli) O, nie, tych myśli Aniela nie dzieli.
Bóg to karzący za ciężkie przewiny,
Nienawiść w sercu zaszczepił człowieka;
A twoja dusza z jakiejże przyczyny
Mogłaby ściągnąć cząstkę takiej kary?
Powiedz mi raczej, iż nie dajesz wiary,
Że miłość istnie, że może być szczera,
Dosyć w tem złego już na ciebie czeka.
Ach, niedowiarstwo jest to ostre ciernie;
Zwolna je w bukiet doświadczenie zbiera,
By go starości wkońcu oddać wiernie!
Lecz czysta ufność, to młodości kwiecie!
Aniela. Co wcześniej później wiatr postrąca przecie.
Gustaw. Tak, później trochę wietrzyk kwiat pozgania.
A owoc wzrośnie — koniec porównania.
(zbliżając krzesło i siadając, po krótkim milczeniu)
Nie zasłużyłem na nienawiść wcale,
Lecz na gniew bardzo.
Aniela (bardzo objętnie przez całą scenę — robotą zajęta)
Nie na mój.
Gustaw. Twój, pani.
Aniela. Nic nie wiem.
Gustaw. O, wiesz — lecz przebacz wspaniale
Temu, co szczerze własną płochość gani.
Aniela. Czemuż z tem do mnie?
Gustaw Ach, jakież pytanie!
O czyjeż więcej mogę ja dbać zdanie?
Zbłądziłem.
Aniela. Czy tak?
Gustaw. Wyznaję.
Aniela (zawsze obojętnie). Więc wierzę.
Gustaw (zbliżając się). Przebacz.
Aniela. Niech i tak będzie.
Gustaw (całując w rękę). Szczerze.
Aniela. Szczerze.
Gustaw. W nowej więc odtąd postąpię kolei,
Ale tymczasem niech dobroć Anieli
Za gwiazdę szczęścia nadziei udzieli.
Aniela. Żadnej nie czynię.

Gustaw (prosząc). Nadzieję nadziei.
Aniela. Nie czynię żadnej.
Gustaw (odsuwając się z krzesłem). To za ostro było!
(po krótkiem milczeniu)
Jestże wiadomy zamiar mego stryja?
Aniela. Jest.
Gustaw. I że temu matka pani sprzyja?
Aniela. Wiem.
Gustaw. I to, wszystkim najdroższe życzenie
Piękna Aniela nie spełni?
Aniela. Nie.
Gustaw (zrywając się). Nie?
Aniela (obojętnie). Nie.
Gustaw (ironicznie). Dość krótko.
Aniela. Ale otwarcie.
Gustaw. Aż miło!
(przeszedłszy się, opiera się o poręcz krzesła, na którem siedział)
Czy w rzeczy śluby?...
Aniela. Ja nic nie wiem o tem.
Gustaw. Nie chcesz iść za mąż.
Aniela. Teraz nie.
Gustaw. Lecz potem?
Aniela. Któż przyszłość zgadnie?
Gustaw (chodząc z zapałem). Czemuż zgadnąć niema?
O, zgadnie, zgadnie, bardzo łatwo zgadnie,
Że wkrótce z trzaskiem, turkotem, łoskotem,
Jaki konkurent na dziedziniec wpadnie,
I com dziś nie mógł — on jutro otrzyma;
Wszakże tak będzie?
Aniela. Wszystko to być może.
Gustaw (przeszedłszy się — siada i łagodnie mówi).
Jednak ja małą uwagę przełożę:
Nie chcesz — nie czyń więc nadziei wbrew zdania,
Ale porywczość niech mi jej nie wzbrania.
Ja o to proszę.
Aniela. Tego nie rozumiem.
Gustaw (zniecierpliwiony). Cóż nie rozumiem? jakto nie rozumiem?
Nie chcę rozumieć. —
Aniela. A, i to być może.
Gustaw (zrywa się i chodząc). »I to być może? »Ha, ha, ha! to
[śmiesznie!
Wszystko »być może« — na honor! uciesznie!
Ja to się, o ja podobać nie umiem,
Lecz jaki sąsiad, jaki Albin wtóry,
Smętny kochanek, aspirant ponury,
Tysięcznych westchnień nagrodę odbierze.
(po krótkiem milczeniu, siadając uspokojony)

Jestżem tak przykrym i Anieli także?
Aniela (zawsze obojętnie, nie patrząc na niego).
Przykrym? dlaczego?
Gustaw (przysuwając się z krzesłem). Nie?
Aniela. Nie.
Gustaw. Szczerze?
Aniela. Szczerze.
Gustaw (przysuwając się z krzesłem). Ani się spojrzysz?
Aniela (wznosząc oczy na niego i zaraz spuszczając na robotę).
I owszem.
Gustaw. Tak?
Aniela. Jakże?
Gustaw. Ach, tak ozięble.
Aniela. I jakże inaczej?
Gustaw (z zapałem). Gniewaj się na mnie, ach gniewaj się raczej.
Aniela. Gniewać? i za co?
Gustaw (zrywa się i mówi do siebie). To nie do zniesienia!
(chodzi, potem staje przed nią)
Czy to tak bawi, czy to tak przyjemnie,
Że cierpię tyle?
Aniela. Oho! już cierpienia!
Gustaw. Alboż nie wierzysz miłości ku tobie?
Aniela. Nie wierzę.
Gustaw (siada). Żądaj dowodów ode mnie;
Powiedz, co czynić? W jakimbądź sposobie —
Wszystko wypełnię.
Aniela. Nie mówić mi o tem.
Gustaw (chce się zerwać, ale się wstrzymuje i z przytłumionym ogniem dalej mówi). Tak?
Aniela. Tak.
Gustaw. Mam milczeć?
Aniela. Proszę.
Gustaw. Długo?
Aniela. Zawsze.
Gustaw (zrywając się, ironicznie). Nie, nie mogą być rozkazy łaskawsze,
I przyjemniejszym udzielone zwrotem.
(chodząc) Kochać i milczeć — przednio! wyśmienicie!
Milczeć i kochać! — I tak całe życie!
(po krótkiem milczeniu, stając przed nią)
Skądże wstręt taki? skąd wstrętu przyczyna?
Może go zmniejszę, jeśli moja wina,
Ale ją wyjaw, niechże ją wiem przecie.
Aniela. Ja wstrętu nie mam do nikogo w świecie.
Gustaw. Trudna jest miłość zaraz w pierwszej dobie,
Ale nienawiść niepodobna prawie;
Ja dziś jej celem smutną próbę robię,
I nowy przykład oczom twoim stawię.

Aniela. Puśćmy w niepamięć ten przedmiot niemiły.
Gustaw. Łatwo ci kazać — mnie spełnić nad siły.
(ze wzrastającym zapałem) Słuchaj, Anielo, słuchaj tego głosu,
Co ufnie zwierza całą przyszłość losu: (Aniela wstaje)
Z otwartą duszą, jak przed Bóstwem stoję,
W twych ręku szczęście i nieszczęście moje;
Wznieś je na szali, ale wznoś pomału...
(zatrzymując odchodzącą)
Słuchaj, nie żądam mych uczuć podziału,
Prośba nie zjedna, co jest serca darem,
Lecz nie gardź moim, mnie chlubnym zamiarem,
A wszelkich starań, wszelkich sił dołożę,
Których być zdolną szczera miłość może,
Abym to zyskał, czego dziś nie mogę;
Lecz wskaż, Anielo, wskaż zbawienną drogę!...
(zatrzymując ją) Jakto? bez słowa odchodzisz ode mnie?
(zatrzymując i z zapałem) Tej więc, do której zawsze nie-
[daremnie
Każdy w nieszczęściu słuszne prawo rości,
(klękając) Patrz, u nóg twoich błagam twej... litości!

(Aniela odchodzi w prawe drzwi w głębi, Gustaw zostaje w tem położeniu — obrócony ku parterowi kiwa głową, jakby mówił: »proszę ja kogo!« wstaje za pierwszem słowem Klary).

Scena 6.

GUSTAW, KLARA (z lewych drzwi).

Klara. A to co znaczy? czy dziękczynne modły?
Czy też pokuta za śmiałe nadzieje?
Gustaw. Bystre domysły tą razą zawiodły:
Sprzykrzyło mi się ciągle chodzić, siedzieć —
I kląkłem.
Klara. Nie, nie, ja wiem co się dzieje,
I będę mogła dokładnie powiedzieć.
Melancholicznych wejrzeń nie widziano,
Sentymentalnych westchnień nie zważano,
Słów nie słuchano — cóż więc pozostało? —
Do nóg — miłość lub śmierć! — Lecz wypadało
Mieć w ręku szpadę, sztylet, nóż stołowy,
Albo nareszcie mordercze nożyczki! (śmieje się).
I cóż? stoimy — bez czucia, bez mowy?
Jakto? i wszystko od pierwszej potyczki?
Ach, to zwycięstwo tak łatwe prawdziwie,
Że się nie cieszę, lecz łatwości dziwię.
Gustaw. Kołczan już próżny, zatem żart na stronę.
Ach! panno Klaro, widzisz mnie w rozpaczy!
Klara. O, znajdę jeszcze pocisk na obronę.
Ale bez żartu, cóż ta zmiana znaczy?

Jestże to może snu rannego skutek
Albo dowcipu nagłe przesilenie?
Gustaw. Nadto głęboki czuję w sercu smutek,
Nadto bezstronnie moje błędy cenię,
Abym mógł zwracać dowcipne pociski.
Cel moich życzeń, któregom był bliski,
Teraz, niestety, prawie z oczu tracę,
A najboleśniej to rozdrażnia duszę,
Że własną winę własnem szczęściem płacę;
I, że zbyt słusznie, jeszcze przyznać muszę.
Zatem, czy zganisz lekkomyślność moję,
Z którąm nadziei zaufał bez miary;
Czy nazwiesz głupstwem, co przez płochość broję;
Czy brak grzeczności uznasz godnym kary:
Jak chcesz mnie skarcisz, w jakimbądź sposobie,
Zawsze mniej powiesz, niźli ja sam sobie!
Klara (z udaną pokorą). Wyższości mężczyzn nad zdanie kobiety
Nadto przed chwilą doznałam, niestety!
Bym teraz śmiała sprzeczać się zuchwale.
Zwłaszcza gdzie skromnie na rozsądku szalę
Męska wspaniałość własne błędy składa,
Tam mnie powtarzać lub milczeć wypada.
Lecz szczera skrucha i te chlubne żale
Z jakiejże wielkiej pochodzą przewiny?
Gustaw. Ach, panno Klaro, poznałem Anielę.
Klara. Dotąd rozpaczy nie widzę przyczyny.
Gustaw. Poznawszy, widzę jak błądziłem wiele.
Klara (domyślając się). Aha! pan Gustaw zapewne ją kocha?
Gustaw. Ubóstwia, powiedz, a powiesz za mało.
Klara (z zastanowieniem). Hm! nie jestże to tylko skłonność płocha?
Gustaw. Miłość najczystsza, jaką niebo dało.
Klara. Ale ta miłość — będzież ona stała?
Gustaw. Z życiem trwać będzie, z życiem tylko zgaśnie.
Klara. I pewnie wierzyć Anielka nie chciała?
Gustaw. Nie chce i słuchać — stądto rozpacz właśnie.
Klara (po krótkiem milczeniu). To źle — ale mnie słuchałaby może?
Gustaw Co miłość nie śmie, to przyjaźń określi.
Klara. Gdy jej poprawę i ten żal przełożę...
Gustaw. Ach, panno Klaro, zgadłaś moje myśli.
Klara. Powiem jej, jakim pan Gustaw był wprzódy.
Gustaw. Mocnych farb użyj, nie szczędź mi nagany.
Klara. Że był wesoły, jakto zwykle młody...
Gustaw (sens kończąc). Trzpiot, lekkomyślny, płochy, roztrzepany...
Klara (sens kończąc jeszcze prędzej). Próżny, zły, dumny, zakochany
[w sobie...
Gustaw (reflektując). To trochę nadto — to będzie za wiele.
Klara (mimo siebie w coraz większy zapał wpadając).
Że wiejskie dziecię widział w jej osobie...

Gustaw (jak wprzódy). To trochę dużo...
Klara. Że mniemał w swej dumie,
Iż grzeczność na wsi godna pośmiewiska...
Gustaw. To bardzo dużo...
Klara. Że brak na rozumie...
Gustaw. Hola! to nadto; obraz zakazany!
Klara (z zapału nagle w łagodność przechodząc z uśmiechem).
Mocnych farb biorę, nie szczędzę nagany.
Ale jej powiem zaraz z drugiej strony:
Że się poprawił, kto się uznał w błędzie;
Że miłość szczera, którą uniesiony,
Im wolniej wzrosła, tem wytrwalszą będzie;
Że jeśli jeszcze nie jest jej wzajemną,
Winna przynajmniej wynagradzać wiarą...
Gustaw. Ach tak, tak wszystko, moja panno Klaro!
Czytasz w mem sercu, myślisz razem ze mną.
Klara (parskając śmiechem). Ha, ha, ha! dłużej wytrzymać nie mogę!
Ha, ha, ha! moja panno Klaro! moja!
Ha, ha, ha! przednio! znalazłam więc drogę,
Oręż wypada, pęka twarda zbroja. —
(seryo) I czegoż męska przebiegłość zastrasza?
Niech straszy raczej własna słabość nasza,
Bo, kto nie zechce, ten tylko nie przyzna,
(stosując do Gustawa)
Że do zwalczenia nietrudny mężczyzna.
Ufaj mu szczerze, a w postaci męża
Ujrzysz zwinnego, zjadliwego węża.
Oprzyj się woli, chciej mieć własne zdanie —
Lwem rozdrażnionym, tygrysem się stanie.
Ale wtór znaleź do jego piosneczki,
Jak zwyciężona wychodź z każdej sprzeczki;
W jego rozumu kręć się zawsze kole:
A na jedwabiu wywiedziesz go w pole. —
Jeśli się mylę, to próbka dzisiejsza
Mego mniemania zupełnie nie zmniejsza.
Co wyraziwszy szeroko i długo,
(z niskim ukłonem)
Mam honor zostać uniżoną sługą!
(odchodzi we drzwi prawe boczne).

Widząc, że otwarcie do celu nie dojdzie, postanawia Gustaw chwycić się podstępu. Albina namawia, ażeby udawał obojętność dla Klary; żeby ją nastraszyć, zmyśla, że Radost chce się z nią żenić i ma przyrzeczenie jej ojca; sam zaś zmyśloną historyą nieszczęśliwej miłości chce w sercu Anieli obudzić dla siebie współczucie, a potem i miłość. Powiada tedy, że kocha inną Anielę, a stryj na ten

związek zezwolić nie chce; udaje nawet, że do rozpaczy doprowadzony gotów się na własne życie targnąć. Przerażona tem Aniela skłonna jest wszystko uczynić, ażeby Gustawowi dopomódz do wyjścia z tak nieszczęśliwego położenia.

Aktu IV. scena 3.

ANIELA, GUSTAW.

Gustaw. Chcesz dobrze czynić?
Aniela. Wszak to tak przyjemnie.
Gustaw. Masz dziś sposobność
Aniela. Proszę wskazać drogę.
Gustaw. Rękęm skaleczył.
Aniela. I bardzo?
Gustaw. Nic złego
Lecz pióra całkiem utrzymać nie mogę.
(nieśmiało) Gdybyś w tym razie zastąpić mnie chciała.
Aniela. Pisać? i co?
Gustaw. List.
Aniela. List! Ach nie!
Gustaw. Dwa słowa.
Aniela. Dwa — a do kogo?
Gustaw. Do mojej Anieli.
Aniela. Co? takie listy jabym pisać miała?
Gustaw. I cóż w tem złego?
Aniela. Daremna namowa.
Gustaw (żałośnie). Rękęm skaleczył.
Aniela. To może kto drugi...
Gustaw. Ach, któż na świecie moje troski dzieli?
Komuż się zwierzyć? gdzie błagać usługi,
Kiedy przed tobą daremnie się żalę?
Aniela (chodząc i pół z płaczem). Cóż ja mam robić? (po krótkiem milczeniu) To nie pisać wcale.
Gustaw. Jeszcze, Anielo, w kwiat życia bogata,
Znasz tylko rozkosz, a nie znasz cierpienia;
Jeszcze, szczęśliwa, nie znasz oddalenia!
Nie wiesz, że wtedy cały ogrom świata
Jeden punkt tylko dla nas w sobie mieści,
A tym jest chwila spodziewanej wieści.
Nie wiesz, jak wtedy śledcze oko płonie,
Jak każdy szelest dech zapiera w łonie,
I jaka boleść, gdy mija godzina —
Z nią wprzód spłacona pociecha jedyna.
Aniela. Otóżto miłość! kochajże tu, proszę!
Gustaw. Ach kochaj, kochaj; boskie to rozkosze!
Aniela. Ach nie!
Gustaw. Dlaczego?

Aniela. Nie wiem, lecz się trwożę.
Gustaw. Trwożysz?
Aniela. Lękam się...
Gustaw. Jak dziecię lekarza,
Który mu jednak życie wrócić może. —
Ach, obojętność naturę znieważa:
Dusza, niezdolna wybrać, kochać inną,
Zimną rachubą każde czucie zaćmi;
Dla niej jest niczem dla drugich być czynną,
Dla niej łez niema — ludzie nie są braćmi. —
Lecz gdy miłością serce moje bije,
Gdy powiem: kocham — wtenczas tylko żyję,
Żyję szczęśliwy i w lubym zamęcie
Świat do podziału pociągam w objęcie.
Aniela. Tak, gdyby miłość mogła być prawdziwa.
Gustaw. Miłość jest jedna...
Aniela. Udawań tysiące.
Gustaw. Wyrzec się światła, bo i ciemność bywa?
Aniela. Wyrzec się każą pozory myląće.
Gustaw (z uczuciem, biorąc ją za rękę).
Ach, nie wierz zresztą tej pieszczocie wzroku,
Gdy zwolna sunąc, spocznie w twojem oku;
Tej drżącej dłoni, kiedy ciebie bliska;
Nie wierz głosowi, co się w serce wciska.
Lecz własne czucie niech się wiarą stanie:
Ta czułość tęskna, to błędne żądanie,
A zwłaszcza pociąg nieodmienny losem
Równego czucia jest tylko odgłosem. —
(na znak niedowierzający Anieli)
Wierz mi, są dusze dla siebie stworzone:
Niech je w przeciwną los potrąci stronę,
One wbrew losom, w tym lub tamtym świecie,
Znajdą, przyciągną i złączą się przecie.
Tak jak dwóch kwiatów obce sobie wonie
Łączą się w górze, jedna w drugiej tonie.
(Aniela zamyślona; Gustaw po krótkiem milczeniu mówi dalej)
I cóżto, powiedz, zaraz w pierwszej chwili
Wzbudziło we mnie tę ufność ku tobie?
Co ośmieliło, że zwierzenie robię,
Jeśli nie serce, co nigdy nie myli?
Aniela. Ach czyliż zdradzić jest kiedy kto w stanie?
Gustaw. Klara najpierwsza.
Aniela. Zbyt błędne mniemanie.
Gustaw. Ile mnie złego, tyle jej korzyści.
Aniela. Komu? co? Klarze?
Gustaw. Radost ją zaślubi.
Aniela. Radost?

Gustaw. Jak tylko zamiaru nie ziści,
Przez zemstę ku mnie z Klarą się ożeni,
Mnie wydziedziczy i na zawsze zgubi.
Aniela. To być nie może.
Gustaw. To się nie odmieni.
Aniela. Ona nie zechce.
Gustaw. To już ułożono.
Aniela. I wstręt jej szczery...
Gustaw. Szczery czy nieszczery,
Radost majętny, ojciec Klary chciwy,
Niema co gadać — jak dwa a dwa cztery —
Nie dziś, to jutro będzie jego żoną.
Aniela. Ale jej śluby?
Gustaw. Śluby? — sen prawdziwy!
I ty, Anielo, rzuć tę ciemną drogę,
Póki czas tobie, a ja przestrzec mogę.
Lecz powiedz szczerze: kiedy polot myśli
Obraz nam szczęścia czasami zakreśli
I zdobi błahe, lecz lube utwory
W kwiatów marzenia najczystsze kolory —
Cóż ściąga światło, w całym blasku stawa,
Jeśli nie miłość i stała i prawa:
Miłość szlachetnej przewodząca parze
Z łona rodziców przed ślubów ołtarze? —
Ach, być kochanym wszyscy szczęściem głoszą;
Mem zdaniem kochać jest większą rozkoszą.
Los kilku istot zrobić swoim losem,
Czuć i żyć tylko drugich dusz odgłosem,
Dla dobra innych cenić własne życie,
Dla nich poświęcić każde serca bicie,
Światem uczynić najmniejszą zagrodę
Tam mieć cel życia i życia nagrodę,
I, kończąc cicho wytknięte koleje,
Za grób swój jeszcze przeciągnąć nadzieje —
Otóżto szczęścia rzetelne zalety:
I ty, ty wyrzec chcesz się ich, niestety?!
Aniela (z uniesieniem). Nigdy! przenigdy!.. (miarkując się — z czułością)
Ach, ja nie wiem jeszcze...
(znowu z zapałem)
Ale chcę pisać, niech się moje zdanie
Jednej łzy w świecie przyczyną nie stanie;
(ocierając łzę)
Niech w szczęściu drugich własne dziś umieszczę.
Gustaw. Chcesz pisać? będziesz? O drogi aniele!
Jak wiele czynisz, jakżem wdzięczen wiele! (całuje ją w rękę)
O, gdybyś mogła w mojem sercu czytać!
Aniela. Ależ Gustawie!
Gustaw. Lecz nie chciej się pytać;

Więcejbym wyrzekł, niż wyrzec potrzeba...
Pióro i papier... (z zachwyceniem patrząc na nią i trzymając rękę)
Dlaczegoż, o nieba!
Takim sposobem?... Lecz ty mnie zrozumiesz;
Umiałaś pojąć i przebaczyć umiesz.
(całuje w rękę i nagle odchodzi).

Aniela (sama po krótkiem milczeniu):
Nienawidzić! tak! — każda plecie, baje;
Ale nie takto łatwo, jak się zdaje. —
Z gniewu w nienawiść droga bardzo bliska,
Kiedy dotknęła jaka czynność zdradna;
Lecz kiedy czule kto nam rękę ściska,
Jak mamę kocham, nie potrafi żadna.

Scena 4.

ANIELA, KLARA.

Klara. Kto tu był?
Aniela (unikając odpowiedzi). Jakto — kto?
Klara. Kto tu był z tobą?
Aniela. Gustaw przechodził.
Klara. Rozwodził swe żale?
Aniela. Trochę.
Klara. Tak długo mówiliście z sobą.
Aniela. O, jak cię kocham, tak niedługo wcale.
Klara. I cóż nowego?
Aniela. Nie dasz temu wiary:
Wszak jednem słowem, chce się żenić z tobą...
Klara. Ze mną? (skacząc i klaszcząc w ręce). Ototo! ototo mi radość!
Toż będę dręczyć i męczyć bez miary,
O, panie Guciu, będziesz ty miał zadość!
Aniela (urażona). Ale nie Gustaw — Radost.
Klara. Radost stary.?
Aniela (jak wyżej). Radost. — Hm! Gustaw!
Klara. Ja nie chcę.
Aniela. Ja wierzę.
Klara. Ja nienawidzę.
Aniela. Wbrew twej nienawiści,
Jak Gustaw jego zamiarów nie ziści,
Przez zemstę tylko z tobą się ożeni.
Klara. I któż mnie może przymusić w tej mierze?
Aniela. Ojciec twój, ojciec, co tak złoto ceni;
A Radost bogacz — rzeczą dowiedzioną:
Niema co gadać — będziesz jego żoną.
Klara (ukrywając pomieszanie coraz wzrastające).
Otóż nie będę! — Otóż się nie boję —
Ma ojciec wolę, ja mam także moję —

Nie boję się... nie... (w płacz) cóż ja teraz zrobię! —
Jak raz mój ojciec co ułoży sobie,
To wszystko za nic — to ratunku niema.
Aniela. Jakoś to będzie.
Klara (po długiem milczeniu). Idź ty za Gustawa.
Aniela. A nasze śluby?
Klara. Niechże je dotrzyma
Jedna przynajmniej, gdy nie możem obie.
Aniela. Lecz Gustaw kocha.
Klara. O nieszczęsna sprawa!
Pójdę do Cioci.
Aniela (oglądając się niespokojnie). Powiedz, a w sekrecie;
Idź, nie trać czasu.
Klara. Poradzi mi przecie;
Nie da mi umrzeć przy tym starym gracie.
Aniela (oglądając się). Idź, idź, zbyt droga każda nam godzina.
Klara. Wolę już klasztor — albo i Albina. (odchodzi).
Aniela (wołając cicho). Słuchajno, Klaro! Klaro! — otóż macie!
Odeszła. — Chciałam zasięgnąć jej zdania
Względem owego dziwnego pisania;
Krzyczałam — ale kiedy nie słyszała,
To cóż mam robić: — już będę pisała.

Aktu V. scena 2.

GUSTAW, ALBIN.

Gustaw. Co? dobrym radca i przyjaciel szczery?
Albin. Dzięki, Gustawie, za twoje rozkazy,
Spojrzała na mnie już dwanaście razy.
Gustaw. A westchnęła sześć.
Albin. O, nie, tylko cztery.
Gustaw. I to dość na tę, co nigdy nie wzdycha.
Albin (z westchnieniem). Prawda, nie wzdycha — ale któż bez skazy!
Gustaw. A ty westchnąłeś?
Albin. Raz tylko z daleka,
I to przypadkiem, ale bardzo z cicha.
Gustaw. Jak cię przynagli, wyjdź za drzwi u licha!
Albin. Coto za szczęście! za niebios opieka,
Tak rozsądnego że mam przyjaciela,
Że mi tak dobrych, świętych rad udziela! (ściska go).
Gustaw. Tylko ich słuchaj.
Albin. Co każesz, to zrobię.
Gustaw. I słowa do niej — to pamiętaj sobie,
Choćby płakała.
Albin (boleśnie). Ach! choćby płakała!
Gustaw. Ach? — no, kiedy: ach! za nic czynność cała.
Albin (heroicznie). Choć wielem cierpiał, choć z potem na czole,
Wszakże widziałeś, jaki-m był przy stole:

Spojrzała na mnie — mój wzrok na suficie;
Zwróciła oko — ja zerk na nią skrycie;
Gustaw. W tem cała sztuka.
Albin. Prosiła mnie wody —
Ja nic. Prosiła soli — nic. — Chleba —
Ja nic. —
Gustaw. W tem sztuka. — Nalała ci wina —
Albin (z pośpiechem). A ja... (ciszej) wypiłem.
Gustaw. Bo pić zawsze trzeba.
Lecz ja ci ręczę, zmiękczać się zaczyna.
Wszakże tysiączne daje ci dowody:
Patrzy za tobą, sama ciebie szuka;
Tylko wytrzymaj — na tem cała sztuka;
Choćby tu przyszła, chciała szczerej zgody,
Choćby najczulsza była jej rozmowa,
Ty: tak, albo: nie! — więcej ani słowa.
Albin. Choćbym miał zginąć, wszystko jak chcesz, zrobię,
Boś już przekonał o dobrym sposobie.
Ach, twoje rady szczerem dla mnie złotem (ściska go).
Gustaw (udając płaczliwy ton stryja). Tylko zmiłuj się, przestań też [być trzpiotem,
Bądź raz rozsądny — patrz, bierz przykład ze mnie.
Albin. Ach, tobie zrównać chciałbym nadaremnie!

(Klara wbiega, a zobaczywszy Gustawa, nagle się wstrzymuje).

Scena 3.

KLARA, GUSTAW, ALBIN.

Klara. Niema Anieli?
Gustaw (oglądając się). W samej rzeczy, niema.
(do Albina na stronie).
A co — jest; myślisz, że Anieli szuka?
Ale się trzymaj.
Albin (na stronie do Gustawa). Ba! w tem cała sztuka.
Gustaw (na stronie do Albina, rozkazując). Siądź sobie w kącie, nie [strzelaj oczyma;
Ja wprzód nastroję, rzecz całą ułożę.
(Albin siada w głębi, tak, że nie słyszy dalszej rozmowy).
(do Klary) Czy mam winszować?
Klara (ironicznie). Właśnie w dobrej porze;
I czego? — proszę.
Gustaw. Nowego kochanka.
Klara. Nie wiem o żadnym.
Gustaw. Żartuje stryjanka.
Klara. Panie Gustawie!
Gustaw. Cóż to gniewać może?
Klara. Żart zbyt bolesny. (Zaczyna płakać).

Gustaw. Jakto? łzy? a zatem
Moją stryjanką szczerze nie chcesz zostać?
Klara. Wolę sto razy rozstać się z tym światem.
Gustaw. Hm! hm! kiedy tak, inna rzeczy postać.
Klara. Inna?
Gustaw. Los w jednym grozi nam sposobie;
Trzeba więc stłumić wszelkie dawne waśnie,
Radzić wzajemnie i pomagać sobie.
Klara. Lecz jak?
Gustaw. Jak? (po namyśle) Otóż tego nie wiem właśnie.
Klara. Gdyby pan Gustaw chciał słuchać mej rady
I niby stryja chciał ziścić układy;
Zwłoki nam trzeba.
Gustaw. Ach, wszakże tak chciałem,
Ale Aniela z niewczesnym zapałem,
Widzę, przed matką była u spowiedzi;
Matka się krzywi; stryj się dziwi, śledzi,
Dochodzi, pyta i oto w tej chwili
Może już sobie wszystko wyjawili.
Klara. Toż teraz będzie! Ach, panie Gustawie,
Czyby to jakoś nie można odmienić?
Nie bierz mi za złe natrętność w tej sprawie,
Ale czas nagli — Radost chce się żenić;
Powiedz mi: — tamtę czy kochasz tak bardzo?
Gustaw. Kocham, nie kocham, ale tu mną gardzą.
Klara. Ach, nie wierz temu.
Gustaw. Choćbym słuchał stryja,
Aniela nie chce.
Klara. Aniela ci sprzyja.
Gustaw. Sprzyja! — i komuż nie sprzyja jej dusza?
Ależ to tylko do wdzięczności zmusza.
Klara (zniecierpliwiona). Domyśl się reszty.
Gustaw. Chyba się domyślę;
Bo nadto świeżo mam jeszcze w pamięci,
Jak panna Klara wypełniła ściśle
Te, które teraz chce obudzić chęci.
Klara. Okoliczności niechaj mnie tłómaczą.
Gustaw. Okoliczności naglą pannę Klarę,
Lecz dla Anieli czyż tosamo znaczą?
Z jakichże względów mam dać teraz wiarę
Temu, co może pociąga mnie skrycie?
Klara (coraz porywczej). Zatem Aniela?...
Gustaw (sens kończąc). Godna przywiązania.
Klara. I chciałbyś szczerze?...
Gustaw (jak wyżej). Poświęcić jej życie.
Klara. Czegoż się wahasz, cóż ci jeszcze wzbrania?
Gustaw. Niepewność...
Klara. Znikła.

Gustaw. A wzajemność...
Klara. Czeka.
Gustaw. I to Aniela...
Klara (kończąc sens porywczo). Mym głosem wyrzeka!
Gustaw (na stronie). Ha! tegom czekał — mam więc pewność [przecie;
Jestem u celu, wy róbcie, co chcecie! (chce odejść i wraca).
Nie bierz mi za złe, że spytam zbyt śmiele,
Ale czas nagli, ale Radost czynny (z przyciskiem).
A jeszcze mógłby ubiec go kto inny;
Powiedz mi zatem, słów nie tracąc wiele:
(ciszej, pokazując przez ramię na Albina)
I w tamtę stronę lękasz się zamęźcia?
Milczysz — mam zgadnąć? — życzę zatem szczęścia.
Ale Albin — ...wiesz?
Klara (z coraz większą niecierpliwością). Wiem, wiem.
Gustaw. Lecz jest droga...
Klara. Rozumiem.
Gustaw. Daj mu pewność...
Klara. Ach dla Boga,
Wiem już, wiem.
Gustaw. Odejść? (po krótkiem milczeniu). Z nim?
Klara (wstrzymując się). Któż to powiada?
Gustaw. Więc zostać?
Klara. Męki!
Gustaw. A więc moja rada
Będzie przyjętą?
Klara. Będzie, będzie.
Gustaw. Szczerze?
Klara. Ach, szczerze, szczerze.
Gustaw. (zmieniając ton). A ja bardzo wierzę —
Brać przedsięwzięcie, co wiecznem nazwano,
A zmieniać w dobie; — nienawidzić rano,
A kochać w wieczór; — szkodzić niewinnemu,
A za godzinę chcieć pomagać temu;
Że to jest płochość, kto nie chce, to przyzna —
I któż jej zdolny? — pewnie nie mężczyzna. —
Co wyraziwszy szeroko i długo,
Mam zaszczyt zostać uniżonym sługą.
(kłania się bardzo nisko i wychodzi do swego pokoju).

Plan Gustawa powiódł się zupełnie: Klara, nie chcąc zostać żoną Radosta, oddaje swą rękę Albinowi — Gustaw poślubia Anielę.

Trzy po trzy.

(Wyjątki).

Ośmnastego lutego r. 1814. jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym surducie, pod szyję zapiętym, w kapeluszu stosowanym bez żadnego znaku, prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim w niejakiej odległości drugi, znacznie młodszy, także w surducie, ale ciemnozielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy, a może i lepiej — siedział na koniu dereszowatym. Koń biały, krwi oryentalnej, był niewielki, niepokaźny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków ani swojem własnem usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał. Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja. Między nami liczny sztab cesarski, gdzie ja niby na szarym końcu miejsce swoje miałem, rozpuścił szeroko skrzydła na prawo i na lewo po śniegiem okrytem polu. Za nami postępowały służbowe szwadrony gwardyi, a na samym końcu świegotliwa i niesforna czereda ciurów z powodnymi i jucznymi końmi sztabowych oficerów.

Jechał więc cesarz, jechali wszyscy, jechałem i ja. A ile w noc pogodną gwiazd na niebie, w tyle miejsc, stron, przedmiotów, nieodgadnionych labiryntów pędziły rozstrzelone myśli nasze — a każda z nich znowu, jak racy słup ognisty, składała się z milionów iskier, iskier wspomnienia lub nadziei. Te padały to na tronowe kobierce, to na murawę zagrody rodzinnej; — mieszały się z jarzącem światłem uczty albo z mdłym promykiem nocnego kagańca przy łożu chorego; niejedna spuściła się jak sen lekki po tak drogie w każdej porze życia błogosławieństwo matki. Były takie, co przebijały niebios sklepienie, i takie, co wnikały w zasute już groby. Wiele, wiele pięło się po szczeblach zaszczytów, bogactw, sławy; ale też i wiele spadało na kwiaty cichego szczęścia domowego. Słowem, przeszłość, obecność, przyszłość, świat, światy znane i nieznane były polem igrzysk naszych rozstrzelonych myśli — gdy nagle, w mgnieniu oka, wszystkie jedną siłą uderzone, w jeden zbiegły się punkt. Tym punktem był huk mocny i powtórzony w niezbyt dalekiej przed nami odległości.

Armaty! tak, armaty — nie ma wątpienia — ryczą coraz lepiej, jak na wyścigi, która głośniej; wkrótce i ogień karabinowy, jakby kto groch sypał na bęben, zapełnił przerwy grzmotu

działowego. — Aha! rzekł niejeden i zaglądnął do manierki, *alias* flaszki. — Aha, powiedział, ale nic nie wiedział, kto atakuje, kto odpiera, czy to korpus jaki czy też armia cała taniec rozpoczyna — szary koniec nic nie wiedział. — Biją się — daj Boże szczęście! to *quotidianka* nasza; ale dlaczego tu, nie tam — dziś, nie jutro: nad tem nikt się nie zastanowił. Pod ów czas krytyczny rozbiór każdego rozkazu, każdej czynności przełożonego nie był koniecznem zadaniem podkomendnych. Wojsko nie sejmowało, ale się biło. Starszy zdawał sprawę tylko swojemu starszemu, a młodszy słuchał z ufnością i działał, jak mu kazano....

Nikt tedy nie wątpił, że bitwa przed nami, a my ku niej idziemy. Rzyczywistość jak ów jesienny wietrzyk o wschodzie słońca, co to ożywia, ale i ćwiczy razem, odpędziła od nas chmurę marzeń, która zwykle osiada na jednostajnym ruchu spokojnego marszu. Każdy wstrząsł się jak ze snu i pomyślał o sobie; każdy poprawił się na kulbace, jak gdyby usłyszał komendę: Baczność! Ten ścisnął podpinkę czaka lub kapelusza, tamten cugle porządkował i szlufkę do grzywy przysunął, a każdy odkrył zasłoniętą płaszczem rękojeść pałasza, opatrzył ją, a potem wzniósłszy głowę, zdawał się wietrzyć, nim jeszcze zoczy, co go witać będzie.

Nareszcie pokazał nam się dym biały, a wkrótce spostrzegliśmy czarne linie piechoty. Długie, krótkie, naprzód wysunięte, w tył cofnięte, odbijały od śnieżnego tła, jak świeżo wysypane przekopy; tylko wkoło nich objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych punkcików, jak mrówek koło mrowiska. Nikt tam pewnie nie drzemał, nikt nawet nie dumał; nigdy życie raźniej i jaskrawiej nie gore jak ze śmiercią oko w oko i częstokroć mocniejsze jego łyśnięcie bywa ostatniem.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie przybywamy na początek boju. Wiatr przeciwny czy ciężkie powietrze czy też położenie kraju — albo może i wszystko razem było przyczyną, dlaczegośmy tak późno zasłyszeli huk dział. Była to niespodzianka — i dobrze! We wszystkiem trzeba odmiany i nowości, aby żyć wesoło.

Z lewego skrzydła wstępujemy do boju... *Vive l'Empereur!* Linie ściskają się w masy, działa schodzą z pozycyi, ruch ku prawemu, potem kolumny rozwijają się znowu, baterye stają w oddziałach, strzelamy, atakujemy, zwyciężamy — Monterau w naszych ręku. Zwinęliśmy się gracko, niema co mówić, ale miał się też z pyszna pan marszałek Victor za to, że nas w tem dziele nie

uprzedził. Powiedział mu cesarz parę słów, które należałoby powtórzyć, tak jak wszystko, co wyszło z ust tego wielkiego człowieka, bo każdy ich słucha albo czyta je chętnie; ale cesarz, aczkolwiek cesarz, miewał czasami wyrazy dobitne wprawdzie i właściwe a węzłowate, trudne jednak dla historyka do powtórzenia, a tem więcej do przetłómaczenia. Trzeba więc poprzestać w podobnym razie na wolnem naśladowaniu; tak też i ja uczynię, mówiąc, że po bitwie pod Monterau cesarz powiedział panu marszałkowi: Idź do dyabła! A po tej krótkiej przemowie powierzył komendę korpusu generałowi Gérardowi. Nim się to wszystko stało i nim ja się o tem dowiedziałem, baterya artyleryi konnej gwardyi z ogrodu pałacu Surville, dominującego nad miasteczkiem Monterau, równie jak i nad drogami, któremi wypędzony cofał się nieprzyjaciel, żegnała go jak mogła najlepiej.

Wie każdy, że tam Napoleon sam wymierzył jedno działo; wie, że powiedział swoim gwardzistom: »Nie lękajcie się, jeszcze nie ulana kula, która mię zabije!« Ale nie wie pewnie, że o kilkadziesiąt kroków z tyłu stał deresz, a na dereszu ja. Chcąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówią zwykle: Zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił i — chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dyrekcyę; być może — ale ja nie rezonując jako artylerzysta, powiadam *simpliciter*, com widział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na piękne.

Po tej scenie nastąpiła druga. Oficer z pułku liniowego francuskiego, Polak, przyniósł zdobyty sztandar: dostał krzyż i 40 napoleonów. Mało kto w życiu bywał tak mocno tureckim świętym jak ja; a jednak pieniądze jako część nagrody świetnego czynu — to nie podobało mi się wcale: byłem jeszcze młody! Mieć konia mniej roztargnionego jak mój deresz; mieć dobry płaszcz (płaszcz — przyjaciel w dzień, opiekun, dobrodziej w nocy, kiedy pniaczek za poduszkę, śnieg za materac służy); mieć nareszcie flaszeczkę zawsze napełnioną kroplami pociechy — są to rzeczy arcydobre, tego nikt nie zaprzeczy, równie jak i tego, że bez tych podłych pieniędzy miejsca mieć nie mogą. Wychodzisz z pod dachu, gdzie wygodnie noc przespałeś: poranek letni; koń twój, dobrze nakarmiony i wyczyszczony, strzyże uchem, grzebie nogą; siedzisz na nim ledwie tknąwszy grzywy i strzemienia... Marsz! wstępujesz do boju. Przed tobą rzeka, za rzeką baterya sypie kartaczami... Za mną,

dzieci! — Rzeka przepłyniona, działa zdobyte, zwycięstwo nasze! Czyn świetny wart nagrody, ale ty rozwinąłeś tylko przy pomyślnej sposobności władze, które jeszcze nietknięte w tobie leżały. Padły na szalę z jednej strony obawa kalectwa lub śmierci, z drugiej męstwo rozgorzałe całym ogniem krwi, całem zdrowiem życia — musiała więc obawa ulecieć, nie objawiwszy się nawet. Ale patrzno na tego, co po kilkomiesięcznej, codziennej walce z głodem, zimnem i wrogiem odtrąca resztę skopciałego snopka z pod pyska zgłodniałej szkapy — wznosi się na kulbakę, pod którą ścierwa już niema — odwija szczątki płaszcza — chwyta za rękojeść, którą deszcz zardzewił, szron posrebrzył; a jeżeli on zadziwi cię świetnym czynem, oddaj mu twój wieniec, bo go dwojako zasłużył. Jeżeli zaś dobrowolnie poświęcił się dla dobra ogólnego: uklęknij na jego mogile, bo godzien czołobitności.

Tak widzieliśmy saperów francuskich, wstępujących w przełamane lody Berezyny. Oni, naprawiając załamane mosty, życie swoje za pomost kładli; dobrze o tem wiedzieli, a jednak nie cofnęli kroku. Nie mieli do wzniesienia swojej odwagi nawet oporu nieprzyjaciela; nie mieli na oku progów ojczystych, skądby pożegnanie towarzyszyło ich męczeństwu. Poginęli w śniegach litewskich lub więzieniach wileńskich. Niewdzięczna ojczyzna nie podała nawet ich imion potomności. Jeden z nich tylko wrócił do Francyi i na własnej grzędzie pędził w niedostatku dni starości i cierpienia. Napoleona już nie było.

. . . . . .

Zacząwszy od Małego Jarosławca aż do Berezyny odwrót nasz był odwrotem wojska, otoczonego zbytnią masą pociągów i rannych; ale ta niesforna masa, acz zatrzymywana, spierająca się, nawet tratująca się w każdem ciaśniejszem przejściu, miała jednak przed sobą długą, wolną przestrzeń, którą upływała powoli. Ale Berezyna wszystko to skoncentrowała, co się na cztery, sześć, a może i więcej mil szczegółowo rozciągało. Od Berezyny ku Wilnu coraz bardziej szeregi szczuplały, a liczba bezbronnych, samopas idących wzrastała. Na kilka mil długa ciągnęła się czarna wstęga po śnieżnej przestrzeni. Nie było może tyle spierania się na mostach, jak z tamtej strony Smoleńska, bo ubyło wiele artyleryi, wozów i wózków; ale zato widziałeś kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie chcących, nie mogących już innego pojmować wroga, jak głód i zimno. Zimno wzrastające do 20 stopni nie tylko wytrącało z ręki karabin, ale uderzało już przedśmiertnem uderzeniem. Nie tylko

bowiem trzeba było cały dzień maszerować w mundurze okrytym surdutem bez podszewki, ale trzeba było gdzieś i spocząć, zdrzemnąć się choćby na chwilkę. Biada tym, co zawiele zaufali zaświeconemu ognisku. Ogień często gasł, a z nim i życie. Okropnie tam było, okropnie! Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać; widziałem łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach, a nikt ręki nie podał. Widziałem, jak uporczywie broniono przystępu do ognia — nie temu, co wpół zmarznięty chciał ogrzać się na chwilkę — to się rozumie samo przez się: ogień tam był życiem, życiem nikt się nie dzieli — ale broniono żebrzącemu odrobiny płomienia, któryby go swoją słomą przeniósł do własnego barłogu. Niejeden na oświeconym tylko śniegu wlepił oczy w ciepło, do którego nie śmiał się zbliżyć, a poranek zastał go bryłą lodu. Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapy i powózki. Widziałem budynki podpalone ze złości i zawiści, że inni w nich pierwej znaleźli przytułek. Widziałem — tak, widziałem siebie, kiedy kolega, niby przyjaciel przedał futro ze mnie, które mi był pożyczył, bo ich dwa zdobył w Moskwie. A ja myślałem, że cudze oddać trzeba, nie napiętnowałem go przynajmniej hańbą, zmuszając, aby mnie własną obnażył ręką. I teraz nie rzucę jego nazwiska wzgardzie poczciwych ludzi. Nie był zły; nie wiedział, co czyni. Umarł — niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam, jak przebaczam z duszy i serca innym, co mnie odstąpili w ciężkiej potrzebie...

. . . . . .

Kiedy tak idziemy (między Gotha a Eisenach), jakiś szmer, jakieś poruszenie od czoła wzdłuż przechodzi. Słowo elektrycznej siły budzi i kurczy kolumnę w jedną dziesiątą część jej pierwotnej rozciągłości; tem słowem było: *Cosaques!* a raczej podług wymowy konskrypcyonistów francuskich: *Cousaques!*

Kawalerya francuska, zawsze niepokojona, zawsze trafiająca na przeważające siły, musiała uwierzyć w nieprzebraną liczbę Kozaków tak, że na końcu w jednym dziesięciu widziała, że nazwisko: Kozaki stało się wyobrażeniem nigdy nie dosięgniętej i z wszystkich stron niespodziewanie jakby z ziemi wyrastającej przemagającej siły. Dlatego z czasem Kozak stał się powszedniem straszydłem. W pamiętnym odwrocie z Moskwy Kozacy na lekkich koniach, nawykłych wraz z nimi do zimna i głodu, do śniegów i lodów, łatwą mieli sprawę z Francuzami, rozłażącymi się swoim zwyczajem na

wszystkie strony, właśnie wtenczas, kiedy skoncentrowane tylko siły mogły odpierać większe niepokojenie, niż nacisk nieprzyjaciela, a przeto czynić bezpieczniejszym i wygodniejszym marsz dzienny i nocny spoczynek.

Wojsko francuskie, nieustraszone w boju, lękało się napaści kozackiej. Okrzyk: Nieprzyjaciel! znaczył tyle, co: Do broni! Naprzód! — okrzyk: *Cousaques!* tyle co: W nogi, kto może: Widziano jednego wpół zgłodniałego i chorego konskrypcyonistę francuskiego na takiejsamej jak on szkapie, kiedy wszelkich sił i sposobów używał, aby ją skłonić do prędszego chodu, bo miał do tego ważne powody. Tłukł wpół złamanemi ostrogami i pałaszem płazował i sam posuwał się na kulbace, jak gdyby sobą chciał naprzód popchnąć, i klął płaczliwie: *Sacrrr... sacrrrée rosse!...* Ale wszystko nadaremnie. Truchcika tylko mógł wydusić, a z tyłu za nim wrzawa coraz głośniejsza, bieda coraz bliższa. Nareszcie nieborak udaje się do ostatniego środka, do tego, który na nim największe robił wrażenie, chce nim konia zelektryzować — schyla się na kark, przybliża usta do ucha końskiego i krzyczy grubym głosem: *Cousaques! Cousaques!...* Ale koń, zamiast dernąć, nie czując już ostróg, stanął nagle, a Francuz przez łeb zleciał. Co się dalej stało, nie wiem.

Wszystko to tłómaczy, dlaczego między Gotha a Eisenach słowo *Cousaques!* wyrzeczone na czele, a dwakroć powtórzone z tyłu, skurczyło nagle, jak mówiłem, kolumnę włóczęgów. Na górze po prawej stronie, blisko wierzchołka stał w samej rzeczy oddział może dwudziestu Kozaków i patrzał na nas, jak patrzy kot ze strzechy na wróble, czekając sposobności rzucenia się na nie. Ale w naszej kolumnie były karabiny tu i ówdzie, a karabina Kozak nie lubi; było nas i za wiele, gra niepewna. Ograniczyli się więc na obserwacyi, konwojując nas wzdłuż drogi, a zawsze dalej niż wystrzał mógł sięgnąć. Że zaś nikt nie mógł zgadnąć, czy za każdym pagórkiem niema ich więcej, podróż nasza straciła wszelką swobodność...

Zygmunt Krasiński.

Syn Wincentego, generała wojsk polskich, i Maryi z ks. Radziwiłłów, urodzony w Paryżu 18. lutego 1812. Matkę stracił w dzieciństwie. Pierwsze nauki pobierał w domu (przez pewien czas od Józefa Korzeniowskiego, później głośnego pisarza) i okazywał od razu niezwykłe w nich zdolności. W roku 1826. oddany do liceum warszawskiego, zaraz w następnym przeszedł na uniwersytet. Tu zaprzyjaźnił się z kolegą swoim Konstantym Gaszyńskim, która to przyjaźń została najściślejszą na całe życie. Bez matki, bez rodzeństwa, przy ojcu, który lubił życie światowe i wesołe, młodzieniec czuł się samotnym i smutnym; tem bardziej też lgnął do przyjaciela. Wszystkie wolne godziny przepędzali oni razem na nieskończonych rozmowach i na czytaniu wszystkiego, co przynosiła współczesna literatura romantyczna, a zwłaszcza poezya. Żywa wyobraźnia młodego Krasińskiego rozwijała się pod tym wpływem, a niebawem obudził się i popęd do pisania. Owocem jego były dwie powieści, napisane zapewne w myśli naśladowania Walter-Scotta: Grób rodziny Reichsthalów i Władysław Herman, obie bardzo słabe, a pełne przesadnej, ponurej romantyczności. Te zajęcia wszakże nie oderwały go od rzeczywistej obowiązkowej nauki, i wykształcenie jego, zwłaszcza znajomość języka i literatury łacińskiej, historyi i literatur nowożytnych były bardzo gruntowne i niezwykłe.

W roku 1829. zaszedł niespodzianie wypadek, który wpłynął na całe jego dalsze życie. Posłuszny ojcu, nie wziął udziału w manifestacyi politycznej, którą ojciec jego potępiał. Zato jednakże doznał od kolegów swoich uniwersyteckich obelgi i zniewagi. Po stronie skrzywdzonego stanął i wziął go w obronę tylko Gaszyński i drugi odtąd na całe życie przyjaciel, Konstanty Danielewicz.

Po tem zajściu ojciec wysłał Krasińskiego na dalsze nauki do Genewy (1829).

W siedmnastu latach znalazł się więc młodzieniec w położeniu nader trudnem i bolesnem. Musiał zadać gwałt własnemu uczuciu, poddać się woli ojca, którego zdania nie podzielał; bo okazując, że go nie podziela, byłby wykroczył przeciw swemu obowiązkowi syna. Musiał przyjąć na siebie i znieść cierpliwie pozór uczucia i zdania innego niż miał. Musiał dalej, on w całym tym zbiorze młodzieży najznakomitszy i w swoich uczuciach polskich najsilniejszy, jak dowiodło jego późniejsze życie, znieść oskarżenie o brak tych uczuć i publiczną zniewagę. Wreszcie, musiał w tych młodych latach doświadczyć rzeczy tak bolesnej, jak niesprawiedliwość i krzywda od swoich, a wskutek doświadczonej krzywdy musiał smutniej a mniej ufnie patrzeć na ludzi. Wszyscy świadkowie

jego życia i najzaufańsi powiernicy jego myśli twierdzą zgodnie, że owo zajście w uniwersytecie warszawskim wywarło wpływ stanowczy na jego charakter i życie, że rozwinęło w nim ten pierwiastek głębokiego smutku, wzniosłego uczucia obowiązku i męstwa w cierpieniu, który jest głównem znamieniem jego duszy i życia.

Nowe wrażenia nieznanego świata działały wszakże silnie na młodą a bujną wyobraźnię i ukoiły na pewien czas doznaną boleść. W Szwajcaryi pisywał dla pism zagranicznych wiadomości o literaturze polskiej, dla siebie małe powiastki (zawsze w tymsamym przesadnie romantycznym rodzaju i bez wartości). Przypadkowo spotkał się i poznał z jadącym do Włoch Mickiewiczem i wraz z nim i jego towarzyszem Odyńcem odbywał kilkudniową podróż po szwajcarskich górach. Połowę roku 1830. i część 1831. przepędził we Włoszech, głównie w Rzymie, w temsamem kółku znajomych, z którem przestawał Mickiewicz. Potem wrócił do Szwajcaryi: i teraz dopiero dokonał się naprawdę i dojrzał ten zwrot w jego duszy, który się rozpoczął w Warszawie.

Jakie były jego ówczesne walki i cierpienia, to tylko on jeden wiedział, bo je odbył sam jeden, w tajemnicy swego serca. Zwierzać się, skarżyć się, nie miał przed kim. Aż dopiero w roku 1832., gdy się dowiedział, że jego przyjaciel Gaszyński znajduje się bezpiecznie za granicą, na emigracyi, w listach do niego dał wyraz swojej rozpaczy. Drugim takim jest mały ustęp w tych czasach pisany, Wygnaniec, i (prawdopodobnie) niektóre wiersze później dopełnione i wcielone w poemat Ostatni. Wszystkie te ślady jego ówczesnej myśli dowodzą, że w duszy młodzieniaszka rozwinęła się niezmiernie zdolność i potęga uczucia i cierpienia, w jego głowie dojrzała zdolność i siła myślenia, a w autorze słabych, naśladowanych powieści pod tym wpływem wyrabiał się już wielki poeta.

Jednak resztki młodzieńczego (żeby nie rzec dziecinnego) usposobienia jeszcze się odzywają w błahych powiastkach, jakie jeszcze pisywał, i nawet w większej historycznej powieści Agay-Han (wydanej r. 1834.), a zwłaszcza w upodobaniu, jakie miał w tem swojem dziele, które jest już niezaprzeczenie dziełem niezwykłego talentu, ale przesadną jaskrawością obrazów i napuszystością stylu dowodzi talentu bardzo jeszcze niedojrzałego.

W ciągu roku 1832. powołał Krasińskiego ojciec do kraju. Podróż ta, po skończonej wojnie, kiedy podczas wojny odbyć jej nie mógł, była dla niego męką: a tem większą, że miała się skończyć podróżą do Petersburga. Z tych udręczeń zapadł ciężko na zdrowiu już w Genewie, potem w ciągu podróży; wreszcie stanął w Warszawie i w Petersburgu. Tu (na swoje szczęście, jak później pisze w listach) był tak chory, że przez siedm miesięcy prawie nie wychodził z pokoju. Musiał wszakże przedstawić się cesarzowi Mikołajowi, który bardzo uprzejmie ofiarował mu miejsce w jakiejby chciał gałęzi służby (wspomnienie tego posłuchania i osoby cesarza znalazło się później w Pokusie). Ale zdrowie jego było tak widocznie złe, klimat północny działał na nie tak zgubnie, że za wymówkę starczyć musiało, a co więcej posłużyło do

otrzymania paszportu za granicę. Ten mając w ręku, wyjechał Krasiński niezwłocznie i odetchnął swobodniej aż w Wiedniu.

Stąd na nowo zaczął pisywać do Gaszyńskiego (z Rosyi do emigranta pisywać nie mógł) i stąd donosi mu w największej tajemnicy, że napisał nowy poemat. Poematem tym była Nieboska komedya.

Powstała ona z rozmyślania nad pytaniem, jaki może być koniec nienawiści społecznych, wzmagających się w naszym wieku. W krótkich, szkicowanych obrazach (poemat cały jest krótki i napisany od jednego rzutu, bez poprzedniego planu) poeta obejmuje różne rodzaje upośledzeń i ucisków, namiętności i żądz, których skutkiem są nienawiści społeczne. Żądza równości posiadania i równości używania działa przez zniszczenie wszystkich istniejących stosunków i praw — i zwycięża. Ale po jej zwycięstwie zostaje tylko zniszczenie, niema w niem żadnych pierwiastków, żadnych sił do stworzenia nowego lepszego porządku rzeczy, wyższej i prawdziwszej cywilizacyi. Na tle tej walki rysują się dwie postacie, dwóch przywódców. Jeden, hrabia Henryk, broni dawnego porządku rzeczy, choć widzi i rozumie wszystko, co w nim jest złem; bo sądzi, że krwawa anarchia będzie od niego jeszcze gorszą: broni bez wiary w zwycięstwo, dla honoru, z obowiązku, z tradycyjnego przywiązania i z osobistego popędu poetycznego, z upodobania w walce i w roli, jaka mu przypadła. Drugi, wcielenie wszystkich społecznych nienawiści i wódz rozpasanych tłumów, Pankracy, zanim dzieło swoje rozpoczął, myślał, że po zniszczeniu wszystkiego, co było, stworzy świat nowy, szczęśliwszy, oparty na wolności i sprawiedliwości; ale wśród samych swoich zwycięstw stracił wiarę w swoje dzieło i w swoją drogę, uczuł, że gwałt i zniszczenie nie posuwa ludzkości naprzód, ale ją cofa w tył. Jeden jest tragiczny przez to, że broni porządku rzeczy, którego nie ceni, w którego wartość nie wierzy, z obawy czegoś gorszego; drugi przez to, że stanąwszy u celu, nie wie, co począć, nie znajduje ani w sobie ani w swoich stronnikach sił i prawd, któreby mogły ludzkość podźwignąć: przekonywa się, że »dzieło zniszczenia nie jest usprawiedliwionem«. Henryk w chwili, kiedy ma się już dostać w ręce nieprzyjaciela, rzuca się w przepaść i kończy samobójstwem: Pankracy, w chwili, kiedy odniósł ostatnie już zwycięstwo, traci do reszty wiarę w siebie i swoją sprawę, i z tego zwątpienia umiera. W konaniu ma widzenie Zbawiciela z krzyżem w ręku, który go przeszywa wzrokiem i zdaje się sądzić; umiera wołając: Galilaee vicisti.

Znaczenie tej sceny i całego poematu i tych dwóch jego głównych postaci jest to, że po żadnej stronie niema istotnej słuszności i prawdy; że nienawiść społeczna, jeżeli wybuchnie walką, sprowadzi tylko zniszczenie całej cywilizacyi, zdziczenie społeczeństwa; że po takim jej końcu Bóg mocą swoją przywróci ludzkości siły do nowego życia; że w Nim tylko, w Jego nauce i Jego krzyżu są te prawdy i prawa, które ludzkość mogą odrodzić w przyszłości, a dziś odwrócić walki i nieszczęścia, uratować ją od barbarzyństwa, a do prawdziwego postępu, do rzetelnej i lepszej cywilizacyi ją podnieść.

Po napisaniu Nieboskiej komedyi pośpieszył Krasiński z Wiednia do Włoch, do których rwał się zawsze z utęsknieniem, w których

ze szczególnem upodobaniem przebywał. Rzym zwłaszcza, ze swoją jedyną w świecie historyą, ze swojem znaczeniem w starożytnym i chrześciańskim świecie, z poezyą swoich ruin i majestatyczną pięknością swoich widoków, był miejscem, w którem jego usposobienie, poety i myśliciela, znajdowało nieprzebrany zasób potrzebnych sobie wrażeń i rozmyślań. Śmiało też można twierdzić, że nikt nigdy poetycznego charakteru Rzymu tak nie czuł i w pismach swoich tak nie odbił, jak Krasiński. Z tych też wrażeń rzymskich począł się i na nich się osnuł jego drugi poemat, Irydyon (wyszedł w roku 1836.).

W Nieboskiej komedyi zajmowało Krasińskiego pytanie, jaka może być przyszłość europejskich społeczeństw, jeżeli nienawiści społeczne wezmą w nich górę: Irydyon wyniknął z rozmyślania nad pytaniem, czy i jakim sposobem dźwigać i odradzać się mogą narody, które straciły byt polityczny; czy nienawiść nieprzyjaciela i zemsta nad nim, wymyślona z największą przebiegłością, wykonana z największą energią i z nieograniczonem nawet poświęceniem, wystarczyłaby na to, by ożywić i odrodzić upadłą ojczyznę? Na to pytanie, które sam sobie zadał, odpowiada Krasiński: Nie. Odrodzenie polityczne narodu pokonanego nie może się udać i dokonać, jeżeli go nie poprzedzi odrodzenie moralne, poprawa w duchu, uznanie i pełnienie praw Bożych przez ogół (przynajmniej przez większość) tego społeczeństwa.

Myśl tę wykłada poeta na przykładzie następującym:

Wyobraża sobie Greka, potomka dawnych bohaterów, których duch przechodził dziedzicznie z ojca na syna przez wieki: Jeden po drugim marzyli oni o oswobodzeniu Grecyi, a tchnęli namiętną nienawiścią Rzymu. Ale wiedzieli zarazem, że Rzym był zbyt silny, iżby można porwać się nań skutecznie, i czekali cierpliwie, ukrywając swoje zamiary i nadzieje. Przetrwali tak w oczekiwaniu ostatnie czasy republiki i Cezara i Augusta i następców jego i jeszcze Antoninów. Zawsze jeszcze Rzym był za silny na to, by się na nim pomścić. Ale z późniejszymi imperatorami zaczął się jego stopniowy rozkład i upadek: i wtedy można było myśleć o pomszczeniu Grecyi i o zgubie Rzymu.

Amfiloch, ojciec Irydyona, znacznie już to dzieło przygotował. U wszystkich ludów Rzymowi podległych na południu i na Wschodzie miał przyjaciół i stronników: w Chersonezie Cymbrów poślubił Grymhildę, kapłankę Odyna, a przez to wszedł w związki z barbarzyńcami północy. Umarł, poruczając synowi spełnienie dzieła.

Rzecz dzieje się za Heliogabala. Irydyon w dziedzictwie po ojcu objął stosunki ze wszystkimi nieprzyjaciółmi Rzymu: wszyscy czekają jego rozkazu; taksamo niewolnicy, gladyatorowie, wszyscy upośledzeni i nieszczęśliwi w mieście samem. W swój spisek przeciw Rzymowi chce wciągnąć i chrześcian z katakomb i dlatego pozornie przyjmuje chrzest. Ale to jeszcze nie wystarcza mu do działania. Potrzeba mu władzy: potrzeba opanować imperatora i przez tego wydawać rozkazy, któreby Rzym zgubiły. W tym celu poświęca Irydyon siostrę, Elsinoę, której Heliogabal zapragnął: przez nią opanuje umysł Cezara i wydrze mu władzę.

Wszystko przygotowane doskonale, wszystko idzie po myśli. Ale tymczasem resztki Rzymian uczciwych, oburzonych na Heliogabala,

korzystają ze wzburzenia pretoryanów, domagających się wypłaty żołdu, i wchodzą z nimi w porozumienie, żeby zrzucić Heliogabala, a Cezarem obwołać Alexandra Sewera. Irydyonowi to właśnie na rękę: będzie niby bronił Heliogabala, ale w tej walce jego ludzie zapalą Rzym ze wszystkich stron naraz, rzucą się między walczących, tak, że zginie i Heliogabal i Alexander i Rzym.

Plan się nie udaje. Irydyon czeka na pomoc, jakiej się spodziewał z katakomb, ale ta nie przychodzi: biskup wstrzymał swoich i zabronił im walczyć. A tymczasem Alexander ze swoimi dotarł na Forum, Heliogabal zabity, nowy Cezar obwołany, za nim jest wojsko i lud. Ten nowy stan rzeczy zwalić się w tej chwili nie da: Rzym zostaje, czem był, zemsta Irydyona spełzła na niczem.

On wtedy chce sobie życie odebrać, ale wstrzymuje go Masynissa, szatan pod postacią starca, przyjaciela i nauczyciela, który i ojca i jego utwierdzał w nienawiści i zemście na to, by te złe uczucia, zmieszane z ich uczuciem dobrem, z miłością ojczyzny, prowadziły ich do złych uczynków, dla których znowu sprawiedliwość Boska nie będzie mogła dać zwycięstwa ich sprawie — dobrej. Masynissa tedy obiecuje Irydyonowi, że po wiekach uczyni zadość jego zemście, pokaże mu Rzym poniżony i upokorzony, ale żąda zato, żeby Irydyon oddał mu swoją duszę na wieczność. Układ staje: Masynissa usypia Irydyona na długie wieki.

Budzi go w epilogu, w wieku dzisiejszym, i pokazuje mu Rzym w upadku, chrześciaństwo opuszczone, lekceważone, poniewierane przez dzisiejszych chrześcian. Irydyon zrazu raduje się na widok miasta wyludnionego i zubożałego, ale rychło poznaje, że to nie ta zemsta, jakiej pragnął. On zasypiając spodziewał się ujrzeć jakiś w przyszłości tryumf słabszych i skrzywdzonych nad przemocnym ciemiężycielem, a szatan pokazuje mu tylko krzyż opuszczony. Jest to tryumf Masynissy-szatana, ale nie Irydyona — miłości spraw dobrych i poświęcenia się dla nich. Irydyon też na ten widok jest tak smutny jak przed wiekami, kiedy patrzał na zwycięstwo Rzymu: i teraz w Colosseum odbywa się nad nim sąd. Szatan woła, że Irydyon do niego należy, bo nienawidził Rzymu: anioł (Kornelia, niegdyś przez Irydyona kochana i kochająca go chrześcianka) odpowiada, że należy mu się zmiłowanie, bo kochał Grecyę. Głos z góry posyła go na próbę »do ziemi mogił i krzyżów«, każe »ufać Imieniowi mojemu, być spokojnym na dumę i ucisk niesprawiedliwych, prosić nie o chwałę swoją, ale o dobro tych, których ci powierzam, czynić ciągle i bez wytchnienia« — a jeżeli ten rozkaz Irydyon wypełni, obiecuje mu »zmartwychwstanie nie ze snu, ale z pracy wieków«. Miłość ojczyzny, która swojej sprawy nie zbawiła, bo służyła jej w złych uczuciach i złymi czynami, ale która potępioną być nie może, bo była miłością dobrego (choć mylnie pojętą), ma w tej próbie jak złoto w ogniu wyczyścić się i uświęcić, a wtedy nabędzie i siły i prawa do zwycięstwa.

Taka jest treść i taka myśl Irydyona, który od Nieboskiej komedyi daleko większy i bardziej wykończony, zdumiewający i pomysłem i pięknością wielu scen i obrazów, a zwłaszcza genialną

charakterystyką i upadającego Rzymu i postaci dramatu (Irydyon, Masynissa, Heliogabal, Ulpianus etc.), jest pod względem artystycznym i poetycznym zapewne od Nieboskiej komedyi wyższym. Jego zaś myśl i znaczenie wskazuje, że poeta, który w swojem pierwszem dziele zajęty był ogólnym stanem naszego świata, teraz przeszedł do kwestyi szczegółowej, do tej mianowicie, jaką w tym stanie świata może być przyszłość jego własnej ojczyzny. Z tego pytania rozwinie się cała dalsza poezya Krasińskiego: cała będzie tylko szukaniem odpowiedzi.

Przez lata następne przebywał jak mógł najwięcej we Włoszech, zwłaszcza w Rzymie, w otoczeniu kilku serdecznych przyjaciół (Danielewicz, pułkownik Adam Sołtan, później August Cieszkowski, Jerzy Lubomirski, Stanisław Małachowski — w roku 1836. w Rzymie znajomość i przez lat kilka gorąca przyjaźń ze Słowackim). Latem tylko jeździł do Niemiec dla poratowania zdrowia u wód i dla spotkania się z ojcem. Pisał mało i same rzeczy drobne. Taka jest Noc letnia, którą natchnęło poecie zamęźcie jakiejś młodej Polki z Rosyaninem, i Pokusa, napisana na przestrogę i upomnienie młodym ludziom, którzy w służbowych i towarzyskich stosunkach mogliby zapominać o godności narodowej i własnej. Ale pisząc mało, myślał Krasiński i pasował się ze swoją myślą wiele. Wytężał wszystkie siły swego umysłu na zrozumienie i odgadnienie myśli Bożej w dziejach i tajemnicy losów Polski. W Irydyonie doszedł był już do jakiejś konkluzyi i wskazał ją: ale wytężał się dalej, żeby tę prawdę lepiej uchwycić, jaśniej określić, uzupełnić. Jego przyjaciel Danielewicz, zatopiony namiętnie jak wielu podówczas w filozofii Hegla, zwrócił i jego do tych studyów, i z tych zapewne wsiąkły w Krasińskiego niektóre pojęcia panteistyczne, łączące się zawsze z kwestyami historycznemi, mianowicie z kwestyą przyszłości Polski. Wyrabiała się w jego umyśle powolnie ta filozofia historyi, którą z czasem sformułuje we wstępie do Przedświtu, ale była jeszcze w stanie chwiejności i niejasności. W ogóle te lata od Irydyona do Przedświtu są okresem jakiegoś zamętu i niepewności w jego umyśle. Za odbicie tego stanu w jego pismach uważać można Trzy myśli Henryka Ligenzy, pisane 1839. (Syn cieniów — Sen Cezary — Legenda).

Do ustalenia pojęć Krasińskiego i przekonań przyczyniła się głównie rozprawa filozoficzna Aug. Cieszkowskiego, Prolegomena zur Historiosophie (wydana w roku 1838). W rozprawie tej zbija Cieszkowski historyozofię Hegla, który dzielił dzieje świata na cztery epoki (wschodnią, grecką, rzymską i chrześciańsko-germańską), a dowodzi, że »podział dziejów musi opierać się na troistości, że ludzkość przebyła dotąd dwa okresy swego rozwoju, starożytny i chrześciański: w pierwszym wykształciła prawo, w drugim obyczaj (moralność). Ale obyczajność doskonała i zupełna, zasadzająca się na zastosowaniu woli do poznanych i uznanych prawd, a mająca urzeczywistnić poznane dobro, ta ma się dopiero począć. Będzie ona zadaniem, treścią i cechą trzeciej wielkiej epoki historycznej, u której wstępu stoimy«.

Rozumowanie to posłużyło Krasińskiemu za punkt stały, na którym oparły się jego własne myśli, dotąd niezupełnie określone, i rozwijając się dalej, ułożyły się w organiczny związek i system. Poeta, który

od roku 1831. rozmyślał tylko nad rozwiązaniem zagadki dziejów i wytłómaczeniem losów Polski, teraz znalazł odpowiedź na swoje pytania, doszedł do tego, co miał za prawdę, i do tej prawdy przylgnął całą duszą. Znalazłszy zaś, chciał ją i wypowiedzieć; i wtedy w głowie jego zaczął się składać poemat, który jest tych jego pojęć najlepszym wyrazem: Przedświt. W ogóle są to lata bardzo ważne w jego życiu. Oprócz tego wyrobienia i ustalenia się jego systemu filozofii historyi, zapisać tu należy miłość ku pani Delfinie z Komarów Potockiej, (rozwiedzionej z mężem, obdarzonej usposobieniem bardzo artystycznem, żywą wyobraźnią i wielkim talentem muzycznym) którą wspomina w Przedświcie jako swoją Beatrice. Tą miłością opanowany, byłby w tych latach czuł się szczęśliwym, gdyby nie strata najdroższego przyjaciela Danielewicza, zmarłego na jego ręku (1842).

Przedświt jest niejako szczytem całego tego kierunku przepowiadającego, wieszczącego, jaki przybrała nasza poezya po roku 1831. Wszystkie te pytania, które zadawali sobie i rozwiązać usiłowali wszyscy niemal poeci, skupiły się w tym poemacie Krasińskiego, wyraziły się w nim najjaśniej i w nim znalazły również najjaśniejszą, najściślej sformułowaną odpowiedź. Z Przedświtu znów jak ze źródła wypływają wszystkie późniejsze patryotyczno-przepowiadające poezye.

Poemat ten (pierwszy jaki Krasiński napisał wierszem) ma kształt długiej pieśni lirycznej, podzielonej na kilka ustępów. W początkowych poeta i jego Beatrice znajdują się na łodzi, na wodach włoskiego jeziora, szczęśliwi oboje, ale temu szczęściu czegoś brak. Rozmowa schodzi na Polskę, i z piersi poety wyrywa się to pytanie, które było w sercu wszystkich, zaco i dlaczego taki los? Wtedy następuje widzenie. Królowie i bohaterowie dawnej Polski stają przed pytającym, a na ich czele Czarniecki, który mu tłómaczy, że gdyby Polska była utrzymała się przy bycie, byłaby dziś w takim stanie rozstroju i upadku, jak są inne państwa w Europie, że wolna od win i odpowiedzialności, przechowała w swoim niebycie politycznym tę świadomość Bożego prawa, tego ducha chrześciańskiego, którym siebie i ludzkość całą podniesie i stanie się ludem naczelnym w przyszłej lepszej i szczęśliwszej epoce dziejów.

Widzenie znika, a poeta uniesiony szczęściem, widzi znowu w zachwyceniu tę lepszą epokę przyszłą, wszystkie ludy połączone w miłości i jej prawem rządzone, a wśród nich i przed nimi Polskę, która je swoim przykładem wiedzie do królestwa Bożego na ziemi.

Pytanie, które Mickiewicz zadawał sobie w Dziadach i Księgach pielgrzymstwa, które później doprowadziło go do mesyanizmu, które wszyscy poeci rozwiązać usiłowali, rozwiązał sobie Krasiński w sposób powyższy. To tłómaczenie dziejów i losów Polski wydało się taką prawdą jasną i oczywistą, przyjęte było z takiem uniesieniem radości i wdzięczności, z taką wiarą, że poeta, dotąd mało znany i uważany, stanął w uczuciu powszechnem wyżej od wszystkich poetów, z jednym tylko wyjątkiem Mickiewicza, a poemat jego wpłynął przeważnie na ukształcenie uczuć i pojęć późniejszego pokolenia. Dziś łatwo jest poznać się na tem, co w nim zbyt pochlebne i mylne; mylnym jest ten charakter narodu wybranego, jaki on nam przypisuje. Ale to, co

mówi o dzisiejszym stanie świata i o nieuniknionej dla niego konieczności albo podniesienia się do wyższego bytu przez zastosowanie chrześciaństwa do stosunków politycznych, albo jeżeli nie, to upadku i zagłady cywilizacyi — to jest i prawdziwe i genialne.

Przedświt wydany był pod imieniem Gaszyńskiego. Wszystkie swoje pisma wydawał Krasiński bezimiennie, z obawy rządu rosyjskiego: tym razem chciał się ukryć jeszcze bezpieczniej, za nazwiskiem rzeczywistego żyjącego człowieka, a przyjaciel zrobił dla niego to poświęcenie, że pozwolił położyć swoje nazwisko pod dziełem, które przechodziło miarę jego zdolności.

W kilka miesięcy po wydaniu Przedświtu ożenił się Krasiński z panną Elżbietą Branicką. Myślał w dobrej wierze, że pisać już nigdy nie będzie, że dotrzyma tego, co mówił w Przedświcie: »To jest moje ze słowem rozstanie«. Ale w zimie roku 1844., którą spędzał z żoną w Warszawie przy ojcu, zgłosił się do niego emisaryusz emigracyjny z żądaniem, żeby przystąpił do gotującego się nowego powstania, które miało głównie opierać się na rewolucyi socyalnej i nie cofać przed bratobójczą walką. Wtedy Krasiński, przerażony przyszłością, jaką te zamysły musiały zgotować krajowi, gdyby miały dojść do skutku, uznał za swój obowiązek zrobić co mógł na to, by je odwrócić. Chwycił za pióro i napisał Psalmy przyszłości. Trzeci i najważniejszy, Psalm miłości, napisany był w Warszawie bezpośrednio pod wrażeniem pomienionej rozmowy, później tylko wykończony i poprawiony. Dwa pierwsze dodane już za granicą, w roku 1845. Pierwszy, filozoficzny Psalm wiary, jest wyrazem jego pojęć o człowieku i jego stosunku do Boga, o przeznaczeniach ludzkości i narodów w niej, a przedewszystkiem polskiego. Psalm nadziei jest przypomnieniem wszystkich obietnic Przedświtu, tego odrodzenia, które niechybnie nastąpić musi, jeżeli mu sami nie przeszkodzimy i nie odepchniemy go własną ręką. Po tem przypomnieniu dopiero przychodzi w Psalmie miłości upomnienie i zaklęcie zaślepionych, ażeby »rzucili hajdamackie noże«, bo inaczej lud zepsują, przyszłość odsuną w dal jakąś niewiadomą i niedostrzeżoną, i »będą kląć na nich wieki — że cel wieków znów daleki«. Psalm miłości ma charakter dziwny: jest okolicznościowem pismem politycznem, broszurą, żeby się tak wyrazić, w poetycznej formie; ale napisany z ogromną siłą poetycznego natchnienia, jest on niemniej silnym wyrazem politycznego rozumu, a jednym z najsilniejszych na świecie wyrazów zbolałej miłości ojczyzny, na widok tejże ojczyzny dobrowolnie lecącej w przepaść. Demostenes kiedy w Atenach mówił Filippiki, Skarga kiedy mówił kazania sejmowe, byli w podobnem położeniu i mówili w takiem uczuciu, w jakiem Krasiński pisał Psalm miłości.

W roku 1848. wydał jeszcze dwa Psalmy. W pierwszym z nich, Psalmie żalu, powtarza na nowo swoje dawne myśli i dowodzi, że miał słuszność. Początek należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie Krasiński napisał; ciąg dalszy zato, w którym wykłada znowu swoje pojęcia, jest ciężki i prozaiczny. Ale obrona własna, a choćby obrona słuszności, to nie było dosyć: narodowi, zgnębionemu świeżą

a straszną klęską, wielki umysł i wielkie serce poety winne były dać coś więcej, radę i naukę, jak ma się ratować i do lepszej przyszłości dążyć. Tem jest Psalm dobrej woli. Zaczyna on się od słów zbyt pochlebnych: »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie«, ale zawiera najmędrsze, najświętsze prawdy, których trzymając się może naród ducha i życie w sobie przechować i wzmocnić. Złudzeniem i pomyłką Krasińskiego w Psalmie dobrej woli (jak w Przedświcie) jest pojęcie Polski jako narodu wybranego, najwyższego i najlepszego ze wszystkich: prawdą, mądrością i nieśmiertelną zasługą są te zasady wszelkiego trwałego i zdrowego bytu społecznego i historycznego, które poeta oznacza i określa w swojej prośbie o dobrą wolę wewnątrz nas samych.

Pod względem poetycznego natchnienia nigdy może Krasiński nie był tak wzniosłym jak w tym Psalmie, który też uważać można za ostatnie i najwyższe słowo jego poezyi, a zarazem jako dopełnienie i zakończenie całej natchnionej poezyi patryotycznej, wieszczącej, i nieraz mistycznej. Wielka epoka poezyi polskiej kończy się chronologicznie dwoma ostatnimi Psalmami Krasińskiego.

Po nich wydał on jeszcze (w roku 1848.) dwa poemata, dawniej napisane. Jednym jest Dzień dzisiejszy, obraz wszystkich najrozmaitszych opinii, zdarzających się między Polakami, skreślony z fotograficzną wiernością, ale z mniejszą już poetyczną siłą. Wspaniała jest wszakże przemowa Szatana, który umierającemu Polakowi urąga i kusi go, żeby się wyparł swojej ojczyzny. W zakończeniu zjawia się Anioł, który obwieszcza dawne nadzieje Przedświtu, a wtedy wszyscy zwaśnieni wyrzekają się swoich zaślepień i jednoczą się w tej wyższej miłości ojczyzny, która ma sprawić jej odrodzenie. Ostatni, którego ustęp niejeden niewątpliwie pisany był jeszcze w Genewie w pierwszej młodości poety, jest to ostatni więzień, zamknięty przez całe życie w lochach jakiejś turmy, żyjący nadzieją ostatecznego zwycięstwa; a kiedy to zwycięstwo istotnie przyszło, kiedy wszyscy wychodzą na wolność, on jeden, zapomniany przez swoich, zostaje w więzieniu i umiera, składając ten ostatni ból Bogu na ofiarę za szczęście i chwałę ojczyzny. Pod względem poetycznym Ostatni jest od Dnia dzisiejszego wyższy, jest bardzo piękny.

Potem pisał Krasiński już bardzo mało, a nie wydawał nic, prócz jednego wiersza Resurrecturis, który jest krótkiem streszczeniem całej jego nauki, zbiorem najistotniejszych prawideł postępowania moralnego i politycznego dla dzisiejszej Polski. Glossę św. Teresy pozwolił wydać tylko na usilne prośby przyjaciół. Znaczna liczba mniejszych wierszy, pisana w tych latach i w dawniejszych, znalazła się dopiero po jego śmierci, pomiędzy listami do przyjaciół i do żony, które to listy często przechodziły w wiersz i na nim się kończyły. Był jeden poemat, który zaczął był jeszcze przed rokiem 1840., do którego kilka razy i jeszcze w ostatnim roku życia powracał, ale którego nie skończył, to ten, który po jego śmierci wydany był jako Niedokończony poemat. Jest to dorobiona do Nieboskiej komedyi młodość hrabiego Henryka. Młodzieniec pełen zapału dla wszystkiego, co

dobre, przez swego starszego przyjaciela Aligiera kształcony na to, by się cały służbie spraw dobrych poświęcił, ma naprzód we Śnie widzenie wszystkich nieszczęść i wszystkich zdrożności naszego wieku. (Sen ten drukowany był jako ustęp osobny dawno jeszcze za życia poety). Potem, w innem widzeniu patrzy na cały bieg dziejów ludzkości i wyciąga z nich naukę, że teraz właśnie zbliża się trzecia najwyższa epoka tych dziejów, urzeczywistnienie Bożego prawa, przyjście królestwa Bożego. Jako całość Niedokończony poemat daleki jest od Nieboskiej komedyi i od Irydyona.

Od roku 1848. aż do 1855. przebywał Krasiński najwięcej i najchętniej w Badenie lub Heidelbergu, a to dla bliskości lekarza dra Cheliusa, do którego miał wielkie zaufanie, a którego jego zdrowie coraz gorsze koniecznie potrzebowało. Po śmierci cesarza Mikołaja dostał paszport do Francyi (pierwszy raz w życiu) i przez ostatnie lata życia przebywał dużo w Paryżu. Zdrowie zdawało się poprawiać: pozwalało na dłuższe podróże, do ojca (do Warszawy i na wieś). Ale właśnie podczas takiego pobytu w kraju (1857) stracił najmłodsze dziecko, trzechletnią córeczkę; i wtedy zdrowie zepsuło się już bez ratunku. Cały rok 1858. przebył w strasznych cierpieniach i w ciągłem niebezpieczeństwie życia. Lekarze chcieli jeszcze spróbować skutków klimatu i wysyłali go z Paryża do Algieru, kiedy przyszła wiadomość o chorobie, a wkrótce o śmierci ojca poety. Ta strata dobiła go ostatecznie. Męczył się jeszcze trzy miesiące w coraz straszniejszych cierpieniach, w chwilach spokojniejszych wysilał się na pisanie żywota ojca (początek istotnie napisał): z wszelką świadomością bliskiego końca gotował się na śmierć, ostatnie sakramenta przyjmował parę razy; umarł 23. lutego 1859.

Pomiędzy ludźmi, którzy w pierwszej połowie naszego wieku oczekiwali oparcia stosunków politycznych Europy na zasadach chrześciańskich i to uważali za zadanie i przeznaczenie tego wieku, Krasiński był jednym z najwyższych. Jego poezya jest doskonałym i bardzo szlachetnym, a może ze wszystkich najgenialniejszym wyrazem tego kierunku, który się objawiał we wszystkich prawie narodach i literaturach europejskich. Jej właściwą cechą jest, że cała wyłącznie zajmuje się politycznemi i społecznemi kwestyami, kwestyą lepszej przyszłości świata. W stopniowym pochodzie i rozwoju swoich idei i swego talentu, zaczyna Krasiński od kwestyi najszerszych, ogólnych: przedmiot Nieboskiej komedyi obchodzi cały świat europejski, wszędzie jest zarówno ważnym i z życia wziętym. W Irydyonie przechodzi już do kwestyi więcej szczegółowej, do odrodzenia jednego narodu i do sposobów, jakimi ono sprawić się może. Przy tem pytaniu pozostał już Krasiński zawsze, tylko pracował nad znalezieniem coraz jaśniejszej, coraz prostszej i pewniejszej odpowiedzi. Taką wydała mu się ta, którą po długiej pracy wewnętrznej sobie i nam dał w Przedświcie. W pierwszych Psalmach stoi on zawsze jeszcze na temsamem stanowisku: w dwóch późniejszych pojmuje zawsze Polskę jako naród przeznaczony na to, by ludzkość podniósł i zbliżył do Boga, ale nie oczekuje już i nie zapowiada nowej epoki Ducha św., staje się coraz mniej mistycznym, coraz jaśniejszym i trzeźwiejszym. Co w jego myśli i poezyi jest mylnem, a co prawdziwem? odpowiedzieć

łatwo. Pojęcie Polski dawnej czy teraźniejszej jest mylne, zbyt pochlebne: ale w tem, czego od Polski dzisiejszej żąda, co jej radzi, co jej wskazuje jako konieczny warunek i jedyną drogę do lepszej przyszłości, w tem ma nie tylko słuszność, ale mądrość i wielkość.

Umysł przedewszystkiem filozoficzny i polityczny, Krasiński jest więcej myślicielem niż poetą. Jego poezya zajęta politycznemi i społecznemi ideami i kwestyami, wskutek tego często allegoryczna i symboliczna, jest niekiedy do zrozumienia trudną. Nigdy też strona artystyczna i wartość literacka dzieł nie była dla niego celem, lecz zawsze tylko ta moralna i polityczna prawda, której przez te dzieła chciał dowieść. Wskutek tego jego poezya nie może być tak piękną, jak poezya Greków albo Goethego albo Mickiewicza, ale niemniej musiała w nim być ogromna zdolność poetyczna i potęga wyobraźni, jeżeli pomimo takiego zakresu i takiego charakteru swojej poezyi mógł tworzyć dzieła tak piękne, postacie tak wielkie. Zważać przytem należy, że jego poezya jest najzupełniej oryginalna, treścią jak formą do żadnej innej nie podobna, niezależna ani od starożytnych ani od Anglików ani od Niemców ani od współczesnych poetów polskich. Jego słabą stroną jest zbyteczne upodobanie w przyborach i dekoracyach, skłonność do pewnej przesady w pomysłach a napuszystości w stylu. Ale skłonność ta, widoczna w niektórych dziełach słabszych (Agaj-Han, Noc letnia, Trzy myśli), w Irydyonie i w Nieboskiej komedyi trzyma się w mierze i nie zmniejsza prawdziwej wielkości scen i figur. Styl zaś, czasem nienaturalny i napuszony, ma znowu takie przymioty jędrności, dosadności, mocy i powagi, że może niema w naszym języku wyższego pod względem wielkości i majestatu.

Wyobraziciel najszlachetniejszych dążności i pragnień swego wieku, poeta a zarazem sędzia najsurowszy jego błędów i jego nieszczęść, we wszystkich swoich dziełach walczący na śmierć z tem, co złe, a służący całą duszą dobrej sprawie, wyraz doskonały wszystkich boleści i ucisków swego narodu, ale i mędrzec ostrzegający go trafnie przed błędami a wskazujący środki ratunku, umysł jeden z najpotężniejszych, jakie Polska kiedykolwiek wydała — Krasiński jak jest produktem jej położenia i ducha, tak jest tego ducha pokrzepieniem, świadectwem jego wielkiej siły i jej nowym przybytkiem i pomnożycielem.

IRYDYON.

Wstęp.

Już się ma pod koniec starożytnemu światu. Wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje. Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozum nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie, niech moje

natchnienie kręci się i toczy się i rozlega na wsze strony jako piorun burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani; a potem niech umiera jako on po dokonaniu dzieła. — Tam nowy świt na wschodzie! Ale mnie już nic do tego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą grozy na czole, ojcowie rodzin, ciemięzcy plebejanów, ukróciciele Włoch i Kartaginy? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

Gdzie mówcy twoi, panowie dusz tysiąców, stojący ponad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legionów, bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli, jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona. — Nikt ich nie wydrze przeszłości!

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak półbogi ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z puharami w dłoni; a wśród kwiecia sztylety, a wśród biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez granic, wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladyatorów. — Śmiech z takiej wiosny, umajonej krwią i woniami spiekłych kadzideł! Śmiech z takiego życia! — Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały!

Izydo, matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi naokoło ciebie i stoisz na *forum Romanum* i dotąd się rozpatrzyć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenii, z nizin Chaldei Mitra też, pan młodości i śmierci, ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchej nocy nad trupami ofiar.

W portykach greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów barbarzyńskim chodem stąpa syn północy; stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnemi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, boga ludów swoich.

Odyn cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sośnianych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chórów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód, bogi i ludzie! — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. Miejsca dla was nie będzie. — Idźcie więc i kołujcie, błądźcie i wracajcie potem!

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód, bogi i ludzie! Szalejcie do woli — ostatni to szał, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swojem wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata, co się zżyma i kona, wycisnę myśl jedną jeszcze! — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szał, naprzód w tan, bogi i ludzie, wokoło myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyśpiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera jak błyskawica; — bo imię jej nadam i postać nadam i, choć poczęta w Rzymie, dzień, w którym Rzym zginie, nie będzie jej ostatnim. — Ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody — ale zato w niebie dla niej miejsca nie masz.

Gdzież jesteś, synu zemsty? — W jakiej ziemi leżą zwłoki twoje? Duch twój pomiędzy jakimi duchami?

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych; w nocy na *forum* stanął senat przede mną — schylone widma, obarczone pamięcią podłości: i między niemi nie było ciebie!

Gladyator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżyca; przebici wszyscy, usta sine powtarzały w śnie śmierci: »*Morituri te salutant, Caesar*«! — ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie.

Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy, płynęli przede mną; dyadema krwią zlutowane trzymało się ich czoła; każdy na czole niżej miał znak potępienia; purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. Dźwięki te wzlatywały z katakomb i szły prosto ku niebu; był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś, synu zemsty, synu pieśni mojej? Już czas zmartwychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma.... Pamiętasz — przysiągłeś? — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony....

Godzina dobija — bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym i bluszczem i ludem. — Powstań! — chodź! wzywam cię — ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wybawić nie zdołam; ale imię twoje oderwę od ciała twego i ono na zgubę nie pójdzie wraz z tobą!

Zdala ode mnie! Nie dla was te dzikie manowce! W Kampanii rzymskiej zostańcie u stóp Apeninów, towarzysze moi. — Ja pójdę, ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki!

W tej jaskini, leżącej wśród mroków przepaści, on na marmurowem łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie, obiecane, straszne, i na dzień sądu, bliższy dla niego, niż dla reszty świata.

Starożytne próchna świecą naokoło jak oczy sfinksów; wąż z łuską promienistą śpi od wieków przy stopach jego; rysy zasępione, spalone gorączką: sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj niema na tej ziemi; nogi białe jak marmur paryjski w czarnych koturnach, złożone na czarnej pościeli. — Stąd i zowąd, pod nimi, nad nimi, mchy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa, odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa, a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpaczy.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego a potępieniem wieczności.

Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje.

W Chersonesie Cymbrów, w srebrnej ziemi potoków, ojciec twój niegdyś stąpał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał, grecką mowę i twarz greckiego półboga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy był do walki i biesiady. — Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były; w połysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze; najcięższą włócznią przerzucał najwyższe maszty i, za wichrami goniąc, spokojne miał czoło.

Na lądzie róg jego dzwonił po dolinach i skałach. Niedźwiedź nigdy mu się nie potrafił odjąć, a kiedy wrócił z łowów lub rozbicia, kładł się na mech, na paprocie i, spełniając gęste puhary, opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje. — Na dalekich wodach dom jego nabijany kością słoniową i złotem. Sługi niewolniki, stojąc na progu, pod lasem filarów, patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącemi jak gwiazdy i wyzierają jego powrotu; ale on się nie śpieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych i śpiew kapłanek Odyna; bo młodość swoją puścił na błędy i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru; i puhar podnosi do ust i pije zdrowie króla mężów, starego Sigurda.

»Grimhildo, córo Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy. Wraz z ludem moim sto innych ludów po wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na żwirze i płaczą.

»Żeby ich wyzwolić trzeba mi twojej piersi natchnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel. Wrogi moje silne jak tytany; żeby ich podkopać i obalić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! — Dziewico, poświęcona Odynowi, ty wejdziesz w progi moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów; i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!«

Tu ojciec twój umilkł i stopniami ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego. Ona, stojąc na skale, spoziera na szarą nieskończoność morza, z rozpuszczonym włosem, z zamglonemi oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęż jej nie zasłoni, porzuci stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

»Hermesie! dawniej wojowniki nasze nie śmiały spojrzeć na czoło moje. — Tyś się zjawił jak bohater zstępujący z Walhalli; tyś rzekł: »Grimhildo!« i patrz, ja muszę być niewolnicą twoją«.

»Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam; kraj, do którego mnie ciągniesz, nigdy we śnie nawet nie ukazał się przede mną: a pójdę, pójdę nieszczęśliwa — przeklęta gniewem Odyna; tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym głazie i odśpiewać pieśń ostatnią!«

Amfiloch Hermes szedł za dziewicą na pokładach mchu, na warstwach granitu, przez święte bory szronem obwisłe, wśród ryku wodospadów. Sosny tłumem cisnęły się wszędzie; z ich tłumu czasem szkielet dębu się wydostanie, uwieńczon jemiołą. — Wyżej niebo gorzkie, ołowiane — po bokach tysiąc manowców krąży i woła za sobą na puszczę; ale dziewica zna ścieżki, wiodące do Boga, z którym idzie żegnać się na wieki.

Wodzowie hord, panowie gruntów, królowie morza, majtki i ich towarzysze stoją w półkolu przed posągiem Odyna i czekają na kapłankę. Jeden tylko Sigurd, z pokolenia bogów, król wszystkich, usiadł na pniu ściętej sosny i ogromną dłonią zakrył czoło. Pierś jego nadyma się pod pancerzem z łusk rybich; ale milczy i wszyscy za nim milczą — słychać tylko szum morza bijącego o skały za borem.

Grimhilda przeszła pośród nich z oczyma wlepionemi w posąg Odyna, ku któremu stąpała w groźnej powadze. — A cudzoziemiec pozostał z tyłu, wśród orszaku swoich, z założonemi rękoma na korynckiej zbroi, oparty o drzewo.

Pod występującem sklepieniem jaskini, na głazie tajemnicami zapisanym, usiadła i zdała się marzyć. — Bóg północnych plemion stoi nad nią, broda jego i włosy skrzepłe lodem, przyprószone śniegiem, oczy szklane, rażące, w olbrzymiej dłoni maczuga krwią ofiar zbroczona, a w piersi głęboka rana, którą zadał sobie, kiedy dopełniwszy ziemskiego wcielenia, zażądał wrócić do biesiad Walhalli.

Sen jej trwał długo i teraz powoli z niego się budzi, zwolna podnosi ramiona, mówi jeszcze tłumionym głosem: »Znam cię, Panie, wśród bohaterów twoich. — Duch twój czarnym strumieniem zbliża się do łona mego — huczy wokoło mnie jak potok, co rozrywa głazy. — Ja tam, gdzie wiry twoje. — Ja tam, gdzie wszechmocność gniewu twego; siła twoja moją — słuchajcie mnie wszyscy!«

Odrzuciła nagle powieki z ponad pałających źrenic — ręce wyważa ku tłumowi i ręce jej drżały jak w chwili konania; w głosie jej były dźwięki zerwane z mowy bohaterów, co wstąpili na chmury i teraz wśród burzy przelatując, wołają na dzieci swoje:

»Po co biegniecie dniem i nocą, bracia moi? — Syny ludu mego, kto was pędzi z tyłu? — Kto wam kazał porzucić srebrną ziemię potoków?

»Olbrzymy przykute podniosły się z śniegów, na których leżeć mają aż do końca świata, podniosły się na pół i bijąc łańcuchami o szczyty z lodu, w nozdrza chwytają zapach krwi z oddali«.

»Czy słyszycie, jak młot Thora w pył druzgoce hełmy i puklerze, czaszki i piersi ludzkie? — Śmiech karłów rozlega się w przestrzeni — włócznia Horgebrudy zawieszona nad ziemią całą!«

»Kto wam podoła, o potomki moje? — Coraz dalej pędzicie ku miastu wielkiemu. — Tam czeka na was biesiada — puhary pienią się pełne krwi nieprzyjaciół. — Każdemu z was przygotowane jest miejsce. — Zasiądźcie w chwale, syny moje!«

Głos jej upadł nagle i w szmer się zamienił; oczy szukają czegoś w świecie widzeń, który się przed nią roztacza; usta wysilają się na słowo jakieś. — To słowo powstaje, rośnie w głębinach jej duszy, jak wąż okrąża jej serce i jak wąż ucieka, kryje się znowu; ona darmo za nim goni, cała blada, nieszczęśliwa, mdlejąca. — Jeszcze chwila — może je wyrwie z łona, bo wzrok jej płonie, twarz nowym zajaśniała szałem:

»Miasto, miasto na siedmiu wzgórzach pali się pożarem — kruszce drogie, przejrzyste kamienie, topią się i płyną. — Ciała topią się na krew i płyną — Zamek wielki i Bóg wielki na nim runął!... Na pomoc, Odynie — umrę, jeśli nie wypowiem tajemnicy twojej — imię jego — kto mi powie imię jego?«

I opadła głowa matki twojej i zawarły się jej usta. Król dotąd trzyma dłoń na twarzy, ani razu nie spojrzał na córkę i wszyscy stoją niewzruszeni, bo nikt nie śmie przystąpić do świętego głazu.

A więc Bóg twój oniemiał i ty z nim umilkłaś na wieki. Ponad twojemi ustami cisza grobowa — na czole twojem lodowatość śmierci. — Ale ten, który ci inną ojczyznę obiecał, nie opuści ciebie; ruszył się z pod cieniów dębu i sam natchniony stąpa ku tobie. — Krzyk oburzenia powstał w tłumie, królowie morza włóczniami uderzyli w puklerze. — Siwe Skaldy wyrzekli przekleństwo. — Ale on już przeszedł straszną zagrodę, już nachyla się nad tobą, podaje ci rękę i rzecze:

Przez imię Roma, imię wrogów moich i twoich, wołam cię do życia — powstań, Grimhildo!... I odwrócił się i krzyknął trzy razy: Roma! — a dziewica obudzona podniosła się, powtórzyła raz jeszcze słowo tajemnicze, powtórzyła głosem pożegnania cichym i niewieścim i poszła za cudzoziemcem jako żona za mężem...

(Następuje potem we wstępie opowiadanie o dzieciństwie Irydyona, na wyspie Chiarze spędzonem, i o tych wpływach, które na życie jego działały — aż do chwili, kiedy po śmierci ojca przystępuje już do wykonania zamierzonego dzieła).

Z części pierwszej.

(Scena piąta).

(Za sprawą swej siostry Elsinoi wkrótce pozyskał Irydyon zaufanie Heliogabala).

(Część pałacu Cezarów. — Szczyt wieży otoczony kolumnadą).

Heliogabal. O ratuj mnie, lub jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź, nie udawaj; wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą. *(Zdejmuje puginał z filaru).* Czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

Irydyon. Skąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

Heliogabal. Cyt, przyjacielu! Mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić. A z tego puharu jeśli wypiję elizejskie pola? *(Bierze czarę z trójnoga).* Stu nurków przepadło w morzu, nim jeden tę perłę wydostał — niezrównana!

Irydyon. Z tej czary pić będziem zdrowie słońca, ale pod innem niebem, wśród innych ludzi.

Heliogabal. Spojrzyj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? Ach! odwróć oczy! — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. Przystąp bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów, co widzisz w dole.

Irydyon. W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści!

Heliogabal. Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty chryzolitów i krwawe onyxy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podwórzec, a ja nie zasnąłem, nie odszedłem, aż skończyli. Wtedy ich wszystkich stracić kazałem!

Irydyon. Kogo?

Heliogabal. Podłe niewolniki! — Co się pytasz o nich? Oni poprzedzili pana swojego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje? Było ich stu tylko i chłopiąt dwoje. — Ach! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję; niech po dyamentach krew moja spływa do Erebu...

Irydyon. Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznych walkach między człowiekiem a miastem człowiek nigdy wygrywać nie zdoła?

Heliogabal. Co mówisz!

Irydyon. O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, drudzy od trucizny, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przeklęci od nieprzyjaciół. — Dlaczegoż jednym trybem zawsze dziać się mają sprawy ludzkie? Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga.

Heliogabal. Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem, ale jej nie pojmuję.

Irydyon. Czyż te pałace, świątynie, cyrki — czyż ten zamek, trzy razy spalony, z starym bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyszałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla bogów — a dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach samotne skowyczą hyeny? Czyż Hyerozolima z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! Idź i zapytaj się pustyń, z czego powstały! — A te wzgórza, osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Alexyan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą, by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżysz, biada ci, nieszczęśliwe

dziecię, w ramionach olbrzyma. *(Chwyta go za rękę).* Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się, czem kilku było na ziemi: niszczycielem, a te gmachy pijane życiem tysiąców, te wille rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi, oddamy w spuściźnie po ludziach skorpionom i wężom!

Heliogabal. Teraz przejrzałem! Nieraz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitoliński piasek gryść będzie! — Ale czyje ramię podejmie się czynu? kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto?

Irydyon. Syn kapłanki i Amfilocha Greka.

Heliogabal. Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? a senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamyślasz, Irydyonie?

Irydyon. Z natchnienia bogów Cezara ocalić.

Heliogabal. Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich — jażbym się miał targnąć na niego!

Irydyon. Żyj więc w trwodze, dopóki nie skonasz w mękach.

Heliogabal. Dopełnij zlecenia bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię obłoczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

Irydyon. Zbawić cię tylko mogę rozpędzeniem senatu, wycięciem pretoryanów i przeniesieniem stolicy!

Heliogabal. Senat rozegnać, to jeszcze potrafim — ale reszty dokonać?

Irydyon. Dawniej Katylinie, późniejszemi laty Neronowi nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to, co żyje dzisiaj, niż zbudować w głazy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci, co się zostaną na zgliszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców, rozpadłych na chaty, zwać się będzie Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze, w dni wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim!

Heliogabal. Skąd — jakich — gdzie oni?

Irydyon. Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlókł śmiertelnemi ciemnościami. — A niewolnicy, a gladyatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka nazareńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich szeregach, ale ich i ciebie zarówno geniusz Romy przeznaczył bolesnemu życiu i haniebnej śmierci! Zbijmy więc ich nędzę w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretoryum, nie dotrzymają kroku tylu zgłodniałym, namiętnym i wściekłym!

Heliogabal. Dobrze — dobrze — a potem czyż oni nas samych nie pożrą? gdzie się podzieć wśród takiego zgiełku? Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasimy w ich piersiach?

Irydyon. W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się krwią i złotem wśród pożaru miasta. Następnie ich ramiona i chęci,

związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozprzęgną się i każdy wróci do przesądów wiary swojej lub do zwyczajów swego narodu. — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. — Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozpłynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i boga twego wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci, inaczej nigdy nie dorwiemy się życia!

Heliogabal. *Io triumphe!* Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów. *(Klaszcze w dłonie).* O gdybym nową świątynię zbudował w Emezach — o gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

Irydyon. Młode państwo założysz na miejscach, w których wziąłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aloesu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spojrzysz, tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Czego zażądasz, stanie się twojem — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej śmiał przedrzeźniać twoją mitrę chaldejską, natrząsać się z obwisłych rękawów wschodniej szaty twojej!

Heliogabal. Przemierzłe Kwiryty! niby ich stara toga, ich fibule, ich tuniki piękniejsze! Mitro, słuchaj mojej przysięgi — obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby geniusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich bogów Rzymu spętanych w łańcuchy nie rzucę przed twoje ołtarze! — Synu Amfilocha, co radzisz, uważam za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astarota, zburzymy to miasto — radź dalej tylko!

Irydyon. Każ potajemnie skarby twoje wywieść do Emezów. — Zabawiaj lud igrzyskami, pretoryanów hojnymi datkami — a tymczasem ściągaj do miasta żołnierzy z legii windelickich: w miarę jak będą przybywali, ja zapoznam się z nimi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych!

Heliogabal. Zapominasz o włoskich legiach stojących w Efezie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie.

Irydyon. Wyślij gońca do pretora Variusa, by je zgromadził i najśpieszniejszym pochodem udał się na Partów. — Zajętych nad Kaspią przykremi utarczki dojdzie wieść o tem, co się stało w Rzymie — wtedy jednych złowi nieprzyjaciel, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego.

Heliogabal. Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może niebezpiecznie?

Irydyon. Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. — Bezkarnie deptać można po ciele, z którego wyleciała dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wydrzem i zabijem!

Heliogabal. A gdyby nas Alexyan uprzedził tymczasem? Zamiejskie pretoryany szemrzą coraz bardziej i piosnki nucą o jego odwadze.— Ulpian senat przyciągnie. — Obudzą mnie w nocy, przerzną mi gardło...

Irydyon. Ty wprzódy wyrzeczesz nad nimi »*Salve aeternum*«. — Tylko Eutychianowi nie zwierzaj się z niczem — przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Alexyana i Mammeę — a kiedy z nimi będziesz rozmawiał, niech słowa słodkiemi, niech spojrzenia twoje spokojnemi będą. — Uwierzali czy nie, zawżdy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania.

Heliogabal. Uśmiechnijcie się bogi! Mitro, rozjaśnij zasępione czoło! Bacchusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu! — Chodź, najmilszy z ludzi — rozciągniem się na purpurze — pić będziem i chwalić bogów za to, że wróg nasz zginie! *(Skacze mu na piersi).*

Z części trzeciej.

(Scena ostatnia).

(Kiedy Irydyon w stanowczej chwili wyglądał przybycia chrześcian, ażeby dać hasło do strasznej walki, mającej się skończyć zupełną zagładą Rzymu, nie przybyli oczekiwani sprzymierzeńcy. Zniecierpliwiony długą zwłoką, sam udaje się do katakomb — lecz tutaj dowiaduje się, że biskup Victor powstrzymał gotowy już do boju zastęp chrześcian i nie pozwolił im walczyć. Wszelkie usiłowania Irydyona, ażeby nakłonić albo biskupa do cofnięcia zakazu albo chrześcian do podjęcia walki bez pozwolenia Victora — były bezskuteczne. Wtem przyniesiono wiadomość, iż Alexander Severus wkroczył do miasta i bój rozpoczął na forum. Śpieszy tedy Irydyon do swoich, ażeby walczyć).

(Ulica pomników przy murach Rzymu. — Żołnierze wnoszą rannego Verresa. — W głębi czasem przebiegają uciekający).

Verres. Twoja pochodnia dwoi mi się i troi przed oczyma. Czytaj napis, Greku!

Żołnierz *(czyta)*: Diis Manibus Attilii Verris, bis consulis.

Verres. Dosyć! Złóżcie mię u stóp pradziada i mówcie: Dobra noc! bo choć dzień bliski, nie obaczę słońca! *(Z przeciwnej strony wśród rozwalin pomnika wychodzi Irydyon z katakomb; za nim zbrojnych kilku).*

Irydyon. Zorza ta natrząsa się ze mnie, udając łunę pożaru. Topory oderwać — oderwać od pasów, towarzysze! *(Idzie kilka kroków naprzód).* Co wy za jedni, oparci na grobach?

Verres. Czy śni się umierającemu? — czy słyszę głos Irydyona Greka?

Irydyon. Mój własny, Verresie. — Co się dzieje z tobą?

Verres. Chodź bliżej!... Wiesz, pamiętasz: znak miał być dany... Czekałem jak zgłodniałe zwierzę — i nic, nic nie widziałem! Wreszcie sam zacząłem. — Wyjrzyj za tę piramidę, proszę cię; tam, tam kłęby dymu jeszcze się wiją na lewo. Rupiliusa udusiłem w popiołach... i lud napadł nas potem... i »Severus niech żyje!« zewsząd huczało. — Dostałem, co mi kraje wnętrzności... coraz widniej, a Roma stoi dotąd... a ja ostatni z Verresów... ja pod nożycami Parki. *(Umiera).*

Irydyon. Tak, ostatni! Darmo go cucicie, Greki moje — zapłacił, co był winien losom. — Uszykujcie się! I wy, Germanie, połączcie się z braćmi, których przyprowadziłem. *(Wbiega niewolnik uciekający).* Stój! skąd bieżysz?

Niewolnik. Od *forum Romanum* — puszczajcie!

Irydyon. Darowałem cię niegdyś siostrze mojej. Tyś mi nieraz śpiewał Homera; wczoraj jeszcze zapinałeś fibule chlamidy mojej w pałacu Cezarów, a nie poznajesz mnie?

Niewolnik. Ach! szlachetny panie mój!

Irydyon. Co słychać? Nie oszczędzaj mi bolu!

Niewolnik. Źle, źle bardzo, panie mój, bo ledwo kawał nocy ukroczyły gwiazdy, aż tu nagle, niewiedzieć skąd, wrzasnęły legie Severa i hurmem rzucą się na wzgórze Palatynu. Scypio bronił się wściekle. Głos jego noc całą słyszałem, gdyby wycie rozjuszonego wilka. — Wiesz, panie, na służbie ja stałem obok komnat Cezara. Eutychian przychodził i odchodził niezmiernie blady. Siostra twoja raz tylko wyszła i rzekła: »Euforyon!« — Czego żądasz, boska Elsinoe? — Ale ona i słowa więcej nie mówiła — odeszła zwolna, piękna, piękna zawsze. Ale na czole dziwna świeżość, jakby tam już plusnęła fala Styxu. — Zewnątrz krzyk i łoskot coraz większy. Eutychian nie wytrzymał, zawisnął u porfirowego ganku i woła bez zmysłów: »Grek zdradził!« — to znowu: »Greczynka zdradziła!« — to: »Imperator chce miasto zburzyć!« — i »Darujcie mi, Kwiryty«! — Z drugiej strony Arystomacha słyszę; mówi o nagrodach, o wspaniałości Alexandra, a kiedy umilknie, wnet słychać jęki z pod jego miecza; — a kiedy odpoczywa, znów łudzi naszych obietnicami. Wreszcie pretoryanie się zbuntowali; trybunów i centuryonów słuchać nie chcą; groźby Scypiona marnie latają w powietrzu. Bitwa ustaje w ogrodach — wszyscy razem walą do nas. Ja wtedy, panie, wszedłem, kędy była siostra twoja, bo przysiągłem był tobie jej bronić. — Cezar leżał z obłąkanym wzrokiem. Do dyadematu przypiął był nadusznice arcykapłana, nóż ofiarniczy w jednej ręce trzymał, w drugiej czarę z trucizną; ale nie mógł się zabić i jęczał, to znów wolno, cicho oddychał, to nucił pieśń rozkoszną, jak gdyby w śnie jakim dziwnym! Ona siedziała opodal na krześle złotem, okolona purpurą, milcząca. — Drzwi pierwsze, drugie, trzecie stęknęły i pękły — kroki, głosy, szczęki bliżej — zastawiłem ją ciałem mojem!

Irydyon. Daj rękę!

Niewolnik. Włóczni dwadzieścia rozdarło zasłonę, która nas od perystylu dzieliła. Runęli — wiódł ich Arystomachus, wołając: »Rabujcie! mordujcie!« Imperator jak tygrys podskoczył w górę i nazad ugrzązł w różach, krwią oblany. Wtedy przesłonili go żywą ścianą mieczów; ale potem gdzieś ręce jego widziałem — w innem miejscu głowę jego!

Irydyon. A Elsinoe, Elsinoe?

Niewolnik. Źle, źle, panie; bo kiedy wchodził Alexander Severus, wołając z sił całych: »Kto dotknie się Greczynki, temu nie żyć jutro!« — ona sama, odchylając purpurową zasłonę, pchnęła się

sztyletem. Błysk stali i krwi strumienie — tyle tylko dojrzałem i słów niewiele ostatnich utkwiło mi w pamięci...

Irydyon. Nie zważaj — nie zważaj: kamienną duszę dały mi bogi!

Niewolnik. »Irydyonie, wroga twego nie będę kochała«! I rzekła jeszcze: »Dopełniłam! Teraz, matko, przyjm mię do siebie«! — Wtedy wśród tłoku pchany i odpychany, potknąłem się na trupie Eutychiana i uciekać zacząłem. Po drodze spotkałem Scypiona — on ustępuje z kohortami Cherusków, co jedne przejść nie chciały do Severa. — Oto on już idzie, panie!

Irydyon. Słońce, które wschodzisz tak obmierzle, tak jasno — odpowiedz mi, gdzie siostra, biedna siostra moja? *(Odchodzi w bok i opiera się na grobie).* Tam na zachodzie opłakana, ostatnia mgła nocy zatrzymała się jeszcze nad szczytem Vulkanu? Elsinoe, czy to ty mię żegnasz? Matka powiadała niegdyś, że cienie lubią się kołysać na czarnych chmurach. — Elsinoe!

(Scypio wchodzi z kohortami i staje przy ciele Verresa).

Scypio. Pierwszy z nas zasnąłeś, bracie! Skrzepłą rękę niech ci ścisnę jeszcze. *Sit tibi terra levis!*

Niewolnik. Patrz! to on wśród tych kolumbaryów stoi i pasuje się z bolem.

Scypio. Kto?

Niewolnik. Czy nie widzisz? Syn Amfilocha!

Scypio. Ach, wodzu! — Darmo czekałem na płomienie twoje!

Irydyon. Wiem o tem.

Scypio. Fortuna zdradziła nas wszędzie.

Irydyon. Wiem o tem.

Scypio. Ulpianus i Tubero gonią za nami — cóż poczniemy?

Irydyon. Czoła ku nim obrócim! Krwi rzymskiej — krwi rzymskiej jeszcze trochę, Scypionie!

Scypio. Nie ma słabości w tobie — rozpacz drugim mieczem twoim! — Żyj, wodzu, bo takimi niegdyś byli patrycyusze Romy. Mnie lepiej zginąć przy tobie, niż obalić się na cyrku. Naprzód!

Irydyon. Za nadzieją precz niechaj idzie i pochwa! A ty, rękojeści, przyrośnij do dłoni! Śmierć Alexandrowi! Naprzód! *(Wychodzą).*

Z części czwartej.

(Scena druga).

(Nic już nie pozostawało Irydyonowi, jak zginąć. Śmierci szukał, śmierć roznosząc naokół. Ale Alexander Severus chce ocalić życie Irydyonowi; w tym celu wysyła do niego Ulpiana z warunkami zgody).

(Sala Amfilocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewic płaczek. — Pylades. — Wchodzi Irydyon, za nim gladyatorowie i niewolnicy).

Irydyon. Gdzie Masynissa?

Pylades. Nie widziałem go od chwili, w której i ty po raz ostatni widziałeś go, Panie.

Irydyon. Masynisso!

Chór. Masynisso!

Irydyon. Dwa razy sklepienia odpowiadały za niego. *(Siada pod posągiem ojca).*

Pylades. Starzec zdradził, Panie!

Irydyon. Nie mów tego. *(Twarz zakrywa rękoma).*

On, przyjaciel Amfilocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą słowa! — Nie, nie! — on wróci, on nie opuści Sigurda. *(Wstaje).*

Zgromadziłem was w chwili, kiedy znużone kohorty Rzymian odstępują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej.

Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy. Kto mnie poważa, niechaj jej pamięć szanuje; kto nienawidzi Romy, niechaj jej wdzięcznym będzie; kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi jej cieniom. *(Podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy, jedni po drugich przechodzą i to samo czynią).*

Chór niewiast. Dotąd jeszcze straszny sternik, syn Erebu i Nocy, nie zabrał cię pod czarne żagle; dotąd jeszcze, o Elsinoe, błądzisz z tej strony Styxu. Ale już sztukę złota kładziemy ci w usta, byś okupiła się przewoźnikowi. Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie, byś uśpiła Cerbera.

Chwil kilka, a pójdziesz, kędy się wiją roje umarłych jako dymy ciężkie, jako liście jesienne; pójdziesz ku sądowi Radamanta, ku płaczom i jękom. — *Salve aeternum!*

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej. Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu, ognistą, siedm razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. — Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie, i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów ściętych ocalone liście. — Idź — już sztukę złota kładziemy ci w usta, już miód i mak kładziemy ci w dłonie. *Salve aeternum! (Wchodzi Euforyon).*

Irydyon. Co nowego?

Euforyon. Poseł Cezara i konsul o posłuchanie prosi.

Irydyon. Niech go wpuszczą! *(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie).*

Ulpianus. Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu, do ciebie przychodzę w poselstwie.

Irydyon. Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem: »do broni«!

Ulpianus. Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą: nam przyniosły zwycięstwo....

Irydyon. Zwycięstwo! — Czy już zaszedł rydwan na *via sacra?* czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Wiminalu? czy Scypion ustąpił z Awentynu?

Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwiał przed waszemi oczyma?

Ulpianus. Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć, wrzeszcząc i poklaskując. I wy tak czynicie! Tymczasem Alexander, jak dziecię swawoląc z pomyślnymi losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni....

Irydyon. Może zelżonego majestatu?

Ulpianus. Czyż jej nie popełniłeś?

Irydyon. Majestat wasz od wczoraj się poczyna, a zbrodnia moja stara jako serce wolnych — dalej!

Ulpianus. Imperator żąda, abyś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzódy jednak przysiężesz mu na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz wspólników twoich. — Jeżeli zgodzisz się na te warunki, on, który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni....

Irydyon. Głośniej, mężu konsularny! *(Odwraca się do swoich).* Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was spętanych jak bydlęta rzucił pod rózgi liktorów! Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara, wszak miło czołem rozbić się o stopy jego?

Nieśmiertelne bogi! wy, które o nas nie dbając, drzemiecie na wierzchołkach Olimpu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przesyła mi w darze przez usta prawnika swego! *(Wstaje i zbliża się do Ulpiana).*

Prędzej skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni Cezara, prędzej piorun Zeusa prosić się go będzie: »Daj, daj tę chmurę rozedrzeć«, niźli ja broń złożę i wydam braci moich!

Ulpianus. Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego, który mnie przysłał. — Owszem, bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka zżymaj się na wielkiem łonie Romy; walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi. A kiedy na czele swoich zasuwać się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styxu wołaj: »Niech żyje Syryjczyk«! a trójgłowy Cerber wtórować ci będzie!

Irydyon. Takżeś prawdy doszedł, znawco serc ludzkich? — Robak, co wił się po ziemi, proch, co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci niż jego wspomnienie. Zapytaj się ich, czy którykolwiek odpowie, że znał Syryjczyka!

Część chóru. Irydyonowi służyliśmy tylko!

Inni. Sigurdowi tylko!

Ulpianus. A umarła?

Irydyon. Sam ją poświęciłem, ale nie groźbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi! Ona czystszą była pod tchnieniem tyrana, niż wszystkie wasze matki i córy!

Ulpianus. Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

Irydyon. Długie to dzieje, starcze!

Ulpianus. Alexander Severus łaskawym był zawsze na ciebie.

Irydyon. On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej.

Ulpianus. Mów więc, kto wrogiem twoim?

Irydyon. Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie, o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieżkami ciemności? kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu? kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

Chór. Roma!

Irydyon. Kto, sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najsłodsze nadzieje? kto pochwalił syna Mitrydata, kiedy rękę podniósł na starego ojca? kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje? kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

Chór. Roma!

Irydyon. I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako bóg piekieł?

Chór. Roma — Roma!

Irydyon. Słyszałeś? wiesz teraz, czem jestem?

Ulpianus. Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami bogów; ono było drugiem fatum świata. — Czy nie wiesz, że Fortuna jak niewolnica, niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych, zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś, szczupły siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć boga, którego pioruny grzmią nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Stąd widzę miejsce, na którem głowa twoja padnie pod cięciem liktora!

Irydyon. Wprzódy jeszcze pocisk Cymbra utkwi w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystomacha; wprzódy jeszcze Lucyuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

Chór. Wprzódy jeszcze za każdą krzywdę naszą czaszę krwi wychylim, a potem, potem przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziem!

Ulpianus. Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko szał i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom.

Irydyon. I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

Ulpianus. Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego, co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały, jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedajnej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi lub igrającej, śpiewającej Helladzie? Nie! tam potęga się urodziła, gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka myrtu sprzęgały się twardej miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu ni swawoli, jedno była wola jako otchłań wrzącej siły i nad nią rozsądku powaga, niezachwianego opieka rozumu!

Irydyon. Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym.

Geniusz Romy z tem słowem na czole stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i łudził, aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród istmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi! Z tem słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał!

A kiedy kto uwierzył jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: »Rozsądny jesteś« i nogą spychał go z Tarpejskiej skały.

Prawdęś wyrzekł! — Nie, nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem! Jej życie nie było rachubą, jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach. Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją dokoła. Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp jej były zakochanem podnóżem! Zemsta, zemsta za nią!

Ulpianus. Pojrzyj na ramiona naszej potęgi. Wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak brzęki pszczół giną w oddali. One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód; one spocząć nie mogą, aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

Irydyon. Ach! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by kości ofiar i łupy kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz, że ród bez czci i ducha przyuczysz do sił straconych i roześlesz po wieńce laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie — jak starcy, czekający na dzień odmłodnienia, a dzień ten będzie śmiercią waszą.

Ulpianus. Wodzu pożarników, tchnienie twoje kala powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opuszczonem od bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

Irydyon. Ojcze, ojcze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu, odpowiedz mi jeszcze! Cóżeście uczynili ze światem, od kiedy bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi edylów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ach! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, kołysały się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartaginy lśniły się od Gadesu po *ultima Thule!* A teraz co? Odpowiedz mi, konsulu! W lochach Nazarenów słabowite westchnienia — tu i ówdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusa wśród żałobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? Gdzie pieszczoną pieśnią, gdzie nauką mądrości ukołysały przodki twoje żale podbitych?

O wiem! August zawarł podwoje Janusa! — O zmierzchu życia grały mu lutnie przedajnemi struny! Wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy on nazwał ciszą swoją, i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: »Pokój synom ludzkim!«

Ulpianus. Jako ojciec rodziny dzieci, jako patrycyusz plebejów, jako pan niewolników, tak my Kwiryty prowincye dostali w podziele. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszone trzymamy!

Irydyon. Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tem słowem. — Odwróć się ku bitnym legiom rzeczypospolitej — czy widzisz, jak pierzchają przed słoniami Pyrrhusa, jak korzą się pod

widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w hiszpańskich wąwozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary? — Nie lotnym gromem Alexandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylągł się na bagnach, nie na szczytach gór!

Ulpianus. Darmo wołasz, bluźnierco! Niewzruszona opoka, na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana twego?

Irydyon. Kto panem moim? na ziemi nie znałem go. — Za stosem jak stada drapieżnych ptaków krążą geniusze śmierci — oni mi powiedzą, czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wiernie służyli — i jedną chwilę boską, krótką jak szczęk mieczów, co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił, towarzysze! Ona mną, ja nią byłem cały; pochodnia zemsty gorzała w tych ręku. Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ach! Nemesis. *(Opiera się na posągu Amfilocha).*

Ulpianus. Zbladłeś!

Irydyon. Całej krwi waszej zabrakło licom moim!

Ulpianus. Wróżbą ostrzegły cię bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci, że wyrok zapada nad tobą; czas jeszcze przebłagać Cezara. — Roma przebacza pokornym!

Irydyon. Takążeś naukę z słów moich wyciągnął? Nie odchodź, zatrzymaj się jeszcze!

Euforyon, podaj mi poświęconą czarę!

Amfilochu, śnieżną pianę lesbijską wylewam na stopy twoje; przyjm pierwiosnki zgonu mojego! — Pijcie teraz, bracia, jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli! *(Zbliża się do ołtarza, palącego się między posągiem a ciałem).*

Znak opiekuńczy państwa, błogosławiony wróżbą augurów i westalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie, ojcze, poświęcam i tobie, Hellado, matko!

Ulpianus. Nie dopuśćcie zbrodni! wstrzymajcie świętokradcę! — Jeśli jest tu jaki obywatel rzymski, niech głosu mojego usłucha! życie wam darowane będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój, zuchwalcze! W tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

Irydyon. Słyszeliście, bracia! *(Rzuca pierścień do zgliszcz).*

Chór. Euge! Euge! Rzymianin togę zarzucił na lica, pierś jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

Irydyon. Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

Chór. Patrzcie odbłysk-li to żaru, czy promień zesłany od bogów tak wspaniale osrebrzył mu lica?

Irydyon. Biada zwycięzcom! — Jako nas chcieli spodlić, tak im podłość narzucona będzie; i dziecię urodzone w Rzymie, i starzec konający w Rzymie, i mąż dojrzały — jedno miano będą nosili: — niewolnik!

Chór. Niewolnik!

Irydyon. O, fatum przedwieczne! Z nad głowy bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze ku siedmiu wzgórzom i będziesz jędzą ich skonu — by one, co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu tego, który wszystko stworzył!

Chór. Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie!

Irydyon. Ale niech sława o nich żyje w późne wieki; niech powieść o ucisku będzie ich nagrobkiem; niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

Chór. Świata.

Irydyon. Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skonał bóg Romy! Konsulu, możesz podnieść oczy.

Ulpianus. Złamałeś ustawy ludzi i znieważyłeś obrzędy święte. Obyczajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam ci udziału ognia i wody! Za głowę twoją obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy rostrach i miejsce obok konsulów w cyrku.

Bezbożni, czekam na was u progów Mamertyńskiego więzienia. — Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały!

Irydyon. Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź, starcze, gniew siwej nie przystoi głowie. *(Ulpianus wychodzi).*

Stos twój już gotowy, siostro! Nieście ją i *ultimum vale* powtarzajcie za mną!

Z epilogu

(Masynissa wprowadza obudzonego Irydyona do Rzymu).

. . . . Bramą Tytusa pękniętą, zlepioną jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca, puste i stroskane. — Tu wydało się temu, który zmartwychwstał, że Kolizeum dotąd stoi całe; ale starzec głośniej jeszcze się rozśmiał i wziął go za rękę.

Na milczącej arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spodloną Romę.

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałeś pójść, kędy miliony.

I wszystko, coś widział niegdyś — wszystko, czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć — tam był tron Cezarów. — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słońca tylko niema, niema purpurowej obsłony, co powiewała na wierzchołkach cyrku. — Księżyc blado świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących.

Z nich wszystkich został się głos hymnu słyszanego niegdyś. To niegdyś, było wczoraj. — Tu, wczoraj skonali Nazareńczycy. Ich twarze były pogodne jak wieczór letni. I otóż na miejscu, na którem padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku areny. Od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze.

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje; nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiałeś, byś mógł się lękać; nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapomniał: — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej, jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelezca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz; i zdało ci się, że on znużony jako ty — opłakany jak losy Hellady niegdyś; i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary; wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni. — On się wzdrygnął, on przeniknął duszę twoją — i kołem ramion ogromnych, posępnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku. — Ty stąpasz za nim zwolna jak ojciec twój w dniu śmierci!

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem argijskim stanąłeś i, ku niebu wytężając ręce, byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co połączy tysiąc innych zbłąkanych. — Korynckich festonów szczątki westchnęły za tobą!

»Synu! czas! wypiłeś napój, który ci wieki sączyły do czary, i kropli nie zostało. — Synu! czas! zorza niedaleka — nam ubiec długą drogę trzeba«.

Jęki słychać z pod ziemi, tam męczenników dosypiają kości; jęki słychać w powietrzu, tam ulatują duchy Chrystusa: ale od szczytów amfiteatru, ponad te dźwięki żałobne, zabrzmiał głos pełen chwały!

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżyca i jak wstęgi powiewne to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zawartych skrzydeł dwojga!

Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy, poznałeś dawne kształty, ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios; i spoglądałeś na nie jak ten, co się żegna z pięknością na wieki!

Głos wzywał starca napowrót przed stopnie krzyża, na sąd nierozstrzygniony jeszcze. On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram cyrku. Zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: »Potępiony, potępiony! kto mi wydrze jego?«

Tu u stóp męki Pańskiej, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej amfiteatru, kiedy cała arena świetniała połyskami bijącymi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego chóru — zaczął się spór ostatni, wyroczny wokoło twojej poświęconej głowy!

A ty powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża; trwogi niema na czole twojem ni modlitwy na ustach — jesteś, jako byłeś zawżdy, samotny na świecie!

On, wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje: »Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy«. Lecz Anioł, rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistymi puklami: »O Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę«.

I od walki potęg zamgliło się powietrze. Uczułeś powtórne konanie. — Zycie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem, ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy, tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę. Wtedy nadzieja Boska wszczęła się w sercu twojem i zemdlała i znów się obudziła jak iskra i znów zagasła — i stało się czarno — pusto — głucho jak w nicości; bolesno — gorzko — nieznośnie jak w rozpaczy: i słabo — nikczemnie jak w hańbie.

O godzino, przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej!

Ojcze niebieski! ty raz tylko jeden w wieczności, raz syna własnego opuściłeś, by odtąd już nie opuszczać żadnego z dzieci twoich. Nie! żadne dzieło twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki!

Powstań, o synu Grecyi! Patrz! wróg dłoniami zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń; w mgle zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku; głos jego już teraz, jak szum wód dalekich. Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyę!

Powstań! czy słyszysz ten głos, co zagrzmiał nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu onto zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu.

»Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów. Poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci, po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców; poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.

»Idź i zamieszkaj wśród braci, których ci daję — tam powtórna próba twoja. Po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać; i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje!

»Idź i ufaj imieniu mojemu! Nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam. Bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą, ale ty i słowo moje nie przeminiecie!

»A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami, udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami: szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością!

»Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej; choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń

ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym synem niebios!«

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć, gdzie się podziały ślady myśli mojej. Ale ja wiem, że ona trwa i że ona żyje!

PSALM DOBREJ WOLI.

....Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża —
I krzyż, lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża —
Najwyższe dałeś w czasie panowanie!
Tchem dzieje świata Tyś przegiął jak kłosy
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa!
Ziemiś nam ujął, a spuścił niebiosy
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa!
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić:
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić;
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każdy, że Twój zamysł czeka
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem!
Z wolnością tylko Twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!....
. . . . . .

Zmiłuj się, Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
Nie! — darmo: teraz tu stać musim sami!
Ach, wiem! ta chwila już do nas należy.
W ostatniej losów tej naszych przemianie
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży:
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Lecz wspomnij, wspomnij, żeśmy dawne sługi,
Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku Twój nakaz już czcili
I nie czekali chwil spełnionych chwili,
By uznać Ciebie za ziemskiego władcę
W Królowej polskiej — Twojej ziemskiej matce!
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich polskich dusz wyszły miliony
Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem;
Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem;

Niech w wielką zmarłych tych ubrana chmurę
Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,
By nie związali nam stóp dążnych w górę
Szatani z piekła — lub też ludzie podli.
Spojrz na Nią, Panie, gdy z dusz onych rzeszą,
Co wokół wieńcem powietrznianym śpieszą,
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem!
Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły,
Wszystkie w przestworach wirujące siły
Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem!
Coraz to wyżej, jakby na promieniach
Wschodzi niesiona na tych białych cieniach,
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,
Płynie za słońca, taka bielejąca,
Coraz to wyżej, do góry — do góry!
. . . . . .

Lecz śród tych zdarzeń strasznego wybuchu
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych. — Ojcze, Synu, Duchu!
O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,
W serc i gwiazd wszelkim mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunty rozwiewasz na szczęty
Jak serc przewrotność; — Ojcze, Synu, Duchu!
Ty, coś rozkazał człowieczej iściźnie,
By nędzna siłą i kolebką mała,
Przez moc ofiary się wyanielała,
I Polskiej naszej rozkazał ojczyźnie,
By wwiodła w miłość i mir ludy bliźnie
Niezatraconej prawości przykładem,
Choć wciąż pod głazów grobowych opadem
Wszystkich tych ludów otruwana jadem;
Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu
Wściekłych piorunem przybijasz do darni,
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni;
Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
A światu męscy — my, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie, z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,

Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Z WIERSZY DROBNYCH.

DO ANIOŁÓW.

Ja was wyzywam, duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie,
Boście na wieki z czoła smutek zdjęli:
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,
Niż wy w niebiesiech. Nie lękam się wzroków
Waszych tęczanych i skrzydeł z płomienia;
Jak wy — dziś płynę wśród światła potoków,
Jak wy — wznieść mogę nieśmiertelne pienia!
Tę, którą kocham, płaczącą widziałem:
Łzą rozrzewnienia powrót mój witała!
Odtąd sam cały na zawsze skonałem,
Bom zlał się z duszą tej, która płakała!
Mówcie wy teraz, duchy i anieli,
Czy w nierozłącznej z jej sercem jedności
Duch mój niebiaństwa waszego nie dzieli,
Choć pije z ziemskiej truciznę miłości?
Wyście spokojni, trwałem wasze szczęście:
Na ziemi radość — choć nie z ziemi rodem —
Dwa serca spaja w wznioślejsze zamęście,
Bo zagrożone boleści rozwodem!
Są chwile ludzkie — o! wam niedościgłe!
Wy od nas górniej i piękniej mieszkacie,
Lecz serca wasze wśród niebios wystygłe;
Co piorun szczęścia w nieszczęściu, nie znacie!
Co kropla rosy wśród piekielnej spieki,
Co twarz kochana po długim rozdziele,
Co zmartwychwstanie po śmierci — na wieki,
Co kwiat w pustyni, co iskra w popiele!
Co wzrok łez pełen, co ściśnienie ręki,
Co wspólna bojaźń, co boleść dzielona —

Nie, wy nie wiecie, co na krzyżu męki
Rozkwitająca cierniowa korona!
I ten kwiat głogów na tej smutnej ziemi
Wszystkie wytrzyma słoty, wichry, burze;
On z trosk wyrasta, on z smutków się plemi —
Świeży i piękny jak edeńskie róże!
Stokroć rozdarty, rozszarpany, zmięty,
Na czas upadnie w głąb duszy człowieka;
Tam niewidzialny, ale równie święty
Znów listki puszcza, pory słońca czeka!
Takiego kwiatu, duchy i anieli,
Wy nie znajdziecie po waszych błękitach,
Bo się odświeża tylko w łez kąpieli,
Bo rośnie w głębi, a nigdy na szczytach!
Patrzcie na wieniec, co krwawi mi skronie:
To znak mój ludzki, ta z purpury wstęga!
To kwiat męczarni, co wre w mojem łonie;
I duch mój cierpi — lecz do was dosięga!
A kiedy nagle rozwidni się wkoło,
Gdy blask uniesień uderzy mi czoło,
Gdy noc tak jasna, cicha, nieskończona
Tę krew osrebrzy, co płynie mi z łona: —
Wtedy ja silniej od was wszystkich czuję,
Wtedym prawdziwie syn nieskończoności!
I wdzięczniej Bogu za chwilę dziękuję,
Niż wy, gwiazd pany, za szczęście wieczności!

PO ŚMIERCI.

Gdy wkrótce, droga! śmierć wiatrom rozrzuci
Serce me w popiół, ogniem mąk spalone,
Niech twój głos o mnie jeszcze pieśń zanuci,
Niech wzrok twój spojrzy w grobu mego stronę.
Gdy się rozwieję i zniknę ci z oczu,
Grób mój nie tutaj, mój grób — tam na niebie!
Szukaj mnie w nocy miesięcznych przezroczu
O chwili, w której jam tu szukał ciebie.
Gdy ty piętrami ciemnego ogrodu,
Modląc się, zejdziesz i staniesz w żałobie,
Jak posąg biały u chłodnika wchodu:
Może ja wrócę lub przyśnię się tobie.
Gdy spojrzysz w wulkan, w księżyc i na morze,
Duch mój tam będzie w tej srebra przestrzeni
Gwiazdeczką, falą albo listkiem może —
Listkiem tak błędnym, jak liście jesieni.
Bo ja na przemian i gwiazdką i listkiem,
Gdym żył, błądziłem po tej smutnej ziemi;

Dla ciebie byłem gwiazdą, pieśnią, wszystkiem:
Dla ludzi niczem — bom ja gardził nimi!
Nigdym nie zasiadł do biesiad ich stołów!
Co świat ten cieszy, mnie tylko hydziło;
Żyłem w twych oczach i w oczach aniołów:
Ty i Bóg wiecie, co mi w sercu biło.
Jam bardzo kochał — zanadto, zawiele!
Jam bardzo kochał, aż znękan rozdziałem,
Duszęm wypłakał; jam nie mógł w rozdziele
Żyć z tobą tutaj — więc tutaj skonałem.
Jam się stał teraz dźwiękiem, szumem, tchnieniem;
Do harfy twojej dziś mój duch przylega
I pod twą ręką drży strun twoich drżeniem,
Aż znów ucicha, omdlewa, odbiega!
Jam się stał iskrą, sinym błyskiem, mgnieniem!
Gdy chmura pędząc czarną pierś roztworzy
I krwi się twojej obleje promieniem —
To duch mój błyska w tej piorunnej zorzy!
Gdy księżyc wznijdzie, cały rozmieszany
Z powietrzem, płynę, rozzłacam się w koło;
A gdy cię ujrzę, zbliżę się stroskany
I milcząc, światłem całuję cię w czoło.
Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie;
Ty mnie nie widzisz, gdy zrywam ci kwiaty
Z łąk, wzgórzy, lasów i rzucam na szaty;
Ty je otrząsasz i depcesz w żałobie.
Proszę się duchów, archaniołów, Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie:
Gdzie chłodnik, wschody, gaj i w gaju droga,
Stanąć widzialny o wieczoru dobie.
Lecz darmo proszę! Tylko pozwolono
Mi skroń twą pieścić wietrzyka powieniem
I, bladych iskier wieńcząc cię koroną,
Niedosłyszanem żegnać cię westchnieniem.
Próżno mnie wabią gwiazdy i lazury —
Ja zbiegam ciągle na dół, tam ku tobie
I smętny wracam w niebieskie tortury:
W nieskończoności pusto mi jak w grobie!
Nieszczęsny jestem, choć gwiazdy i słońca
Przy mnie się kręcą w pierścieniach z promieni;
Cierpię bez miary i tęsknię bez końca
Do niższych, ziemskich, do twoich przestrzeni.
Samotny jestem wśród toni wszechświata;
Co mi po nurtach tej elektryczności,
Która dziś wieńcem siły mi oplata?
Co mi po sile, która we mnie gości?
Co mi, że latam i wieję i płynę?
Że mnie witają po drodze komety?

Że gdy na tęczę ciało me rozwinę,
W łuku mych ramion przechodzą planety?
Jedno mi tylko pociechą się stało —
Twarz gdzieś anielską raz jeden spotkałem,
Co mi twą piękność jak snem przypomniało:
I to mi było w niebie szczęściem całem!
O! płacz nade mną gorzką łzą pamiątek!
Płacz nad nieszczęsnym, coby wolał z tobą
Dzielić łzy, bole i ziemski zakątek,
Niż świateł marną spętany żałobą,
Wśród tych ogromów tak rozbłękitnionych,
Tak dniem i nocą Bogiem oświeconych,
Latać i błądzić, tęsknić i narzekać
I ciebie wiecznie — tylko ciebie czekać!

DLA ELIZY.

Nieraz żądałaś, bym złożył ci wiersze:
Może ostatnie to — choć razem pierwsze!
Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
Dziękuję Bogu, żem cię znał na ziemi;
I idę śmielej w zagrobowe koła,
Bo jeślim spotkał w tobie tu anioła,
Znać, że Bóg dobry — znać, że Bóg na niebie —
Ufam w moc Jego i miłość — przez ciebie!
Daruj mi wszystkie oh! doznane bole,
Którymim duszę twą szarpał na ćwierci!
Odprowadź wiernie aż na bójki pole
I weź me dzięki aż z westchnieniem śmierci!
Kochaj, proszę cię, tych, których kochałem;
I myśl mą kochaj, gdy upadnę ciałem
I ciało moje zniknie w ciemnej głębi;
Bo myśli mojej i zgon nie wyziębi:
Trup się rozwieje, a ona zostanie!
Jej dotrwać może wiernem twe kochanie,
Bo nic w niej nigdy szpetnego nie było;
Przed żadną nigdy nie klęczała siłą;
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze,
Szła niespodlona przez podłości morze
I ludziom brudnym proroczo wołała:
Że w cnocie tylko szlachetnej jest chwała!
A teraz: Amen! — Błogosławię tobie!
Smutnem jest życie — może jaśniej w grobie.

Z listów do Konstantego Gaszyńskiego.

XVII.

Rzym, 17. stycznia 1834.

....Nie marz, że pięknie i cnotliwie dojść można do ideału twego; bądź pewnym, że naprzód — nigdy on się nie sprawdzi, jak każdy ideał; a potem, że usiłowania, dążenia ku niemu będą krwią oblane, otoczone zniszczeniem i same wreszcie się wyniszczą. Bo ludzie nigdy nie wiedzą, ani co zrobią ani co się stanie — tak jak autor nie wie, co napisze. On chce to napisać — nie prawda! dzieło jego będzie różne od jego chęci. Ludzie to zamyślają, a robota ich wcale inaksza od ich zamiarów. Przeczytaj historyę rewolucyi francuskiej, a zobaczysz, że żaden z aktorów tego strasznego dramatu nie odegrał zamierzonej roli — a usłyszysz burzę słów i wrzasków, nie ujrzysz żadnej ostatecznej budowy.

Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga: — ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują; przejdą jak koń Attyli i — głucho po nich! Dopiero to, czego ani ty ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje; — ale wtedy i twoje i moje kości próchnem gdzieś będą!

Wielką pomyłką niszczycieli i zwykłą im w czasach cywilizowanych jest to, że się mają za ludzi poczciwych i za restauratorów, za wskrzesicieli, za budowników. Oni są tymczasem tylko narzędziami do tortur rodu ludzkiego — i sam ród ludzki kiedyś nimi wzgardzi, jak my dzisiaj gardzim kratami i łańcuchami gotyckich więzień.

Ostrzegam cię więc, nie ufaj ludziom, którzy (zda mi się) wielki wpływ na tobie wywierają, tak jak na mnie dawniej. Nie tak z czytania dzienników, tych ulotnych liści, co kwitną dzisiaj, by wyschnąć dziś jeszcze, można sądzić o świecie, jak z czytania dziejów jego przeszłości. Na świecie masy najczęściej idą jak bydło, porwane entuzyazmem chwilowym lub interesem długim. Fanatyków jest bardzo mało prawdziwych. Kto takim jest przez wiarę, tylko wiarę — tego szanuję; ale fanatyzm wyradza się z interesu, powleczonego barwą idei, z kłamstwa często powtarzanego, z udanego

szału, udawanego razy kilka. Takich strzeż się, mój drogi; chciałbym, byś potem nie uczuł tej strasznej goryczy, z którą nieraz ja sam obejrzałem się naokoło i nie znalazłem nic podobnego do snów moich.

A co się tyczy poezyi, i tu wbrew zaprzeczę twojemu zdaniu. Co ty mnie chcesz stosować poezyę do ducha czasu. Poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, t. j. mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości, o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach — o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty, żyjącej w granicach, a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic. Inszem słowem zowie się to wszystko religijnością — a to, co ty przeznaczasz poezyi, zowie się po ludzku: polityką, filozofią, prawodawstwem i t. d., ale nigdy poezyą! Zapewne, że poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności, ale jej wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyń tureckich, czy z katedr niemieckich wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia; a że religia chrześciańska jest dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześciańską być nie przestanie. Poeci a poezya — to dwie rzeczy często bardzo różne. Poeta — to śpiewak śpiewający sobie i kołu swojemu; poezya — to pieśń odwieczna ludzkości! Dlatego poeta może być chemikiem, adwokatem i t. d., ale poezya nie może być ani chemią ani polityką i t. d. Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyskawice — i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych — kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę.

Potem uważaj, że historya, jak tylko weźmiesz dość znaczną jej przestrzeń, staje się poetyczną, t. j. że budżet, interwencya, handel i t. d. nikną, a zostaje tylko ich synteza, t. j. główny postęp rodu ludzkiego w tym czasie ku Bogu, rozwinięcie jego władzy przeczuciowej, jego nadziei w nieśmiertelność: i dlatego wkońcu historya jest najdoskonalszym, najrytmiczniejszym poematem....

XXXIX.

Kissingen, 6. czerwca 1837.

Drogi Konstanty! L. Ulrych się na krytyka urodził, ma naturę zaprzeczania; »nie« jest jego wszystkiem, jak u Mefistofelesa w Fauście. Jego rozumowanie podobne do tego: »Jeśli czarno, to fałszywie; jeśli biało, to nieprawdziwie; jeśli zaś cudem jest zarazem biało i czarno, to niedorzecznie«. Naprzód krytyk powinien ogarnąć myśl dzieła; jeśli jej nie pojmuje, niechaj się do krytyki nie bierze. Albowiem można tylko sądzić o tem, co jest w naszym rozumie pojęciem, o tem, co się stało niejako gościem mózgu naszego. Lecz jeśli mówimy: »twarz tego zamaskowanego człowieka jest brzydka lub piękna«, to głupstwo; bo naprzód larwę, co go kryje, zedrzeć powinniśmy, a dopiero o rysach jego wydać zdanie. Jedyna prawda całej krytyki Ulrycha w tych mieści się wyrazach: »gdzie chciał być dowcipny, nieco ciężki«, zresztą nic a nic podług mnie nie trafił.

»Masynissa niepotrzebny«.

Co to znaczy powiedzieć: niepotrzebny? Jak tylko podobało się poecie wprowadzić postać, ona jest i żyje. Chyba że jej nie dokonał, nie postawił na nogi, nie uczynił częścią żyjącą całości organicznej; wtedy należy mówić, że owa postać niedopełniona, nieożywiona, niedorzeczna, ale nie, że niepotrzebna. Taksamo możnaby wyrzec, że cały poemat niepotrzebny, że suknie, obuwie niepotrzebne, że wszystko niepotrzebne, bo można nago, boso chodzić; Mefistofeles w Fauście niepotrzebny, bo można było wszystkie jego mowy i czyny skupić w parę sentencyj i położyć w przedmowie, w przypisku lub dewizie; sam Faust niepotrzebny, bo można było nic nie napisać; stworzenie całe niepotrzebne, bo można było nic nie stworzyć. Nic nie jest potrzebnem, ale są rzeczy konieczne: i tak Bóg nie potrzebował zapewne ani komet ani słońc ani komarów; lecz koniecznością jego rozumu poszło, że biegą komety, świecą słońca, brzęczą komary.

Masynissa jest to pierwiastek wszech złego, który ciągle koniecznością samego stworzenia przemienia się na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest to, to nic, to zero niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest to słowem szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę

się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe.

Dalej Leon takie stawia zadanie: »Czy autor chciał powie»dzieć, że zemsta nie tylko pogańskim bogom, ale i chrześciańskim »miła? czy też że Irydyon jest to ludzkość, na wieki wieków zem»sty szukać przymuszona? Jeśli to myśl polityczna, to niestosowna »forma; jeśli filozoficzna, to radykalnie fałszywa«.

Dość zawiły peryod, rozwikłać go trudno; jednak dzieło samo winno było nań odpowiedzieć. Spytaj się Leona, czy nigdy nie słyszał, nie znał, nie ścisnął ręki postaciom, które żyły, a częścią znikły nieszczęśliwie na ziemi; których głowa pałała jednem tylko dzikiem marzeniem, a których serce cierpiało i żądało i wszystko poświęciło, i wreszcie pęknąć musiało w żelaznych rękach konieczności, nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy dla braci? Zstąpili oni do grobu, hańbą pozorną okryci, wielu ludzi ich przeklęło; ale oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem: błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił, zasobów — słowem, całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezyi. Polityka mało o nich lub nic nie powie, historya więcej, poezya najwięcej, wszystko może! I po wszystkie wieki byli tacy bohaterowie nieszczęścia, żadnem nie uwieńczeni zwycięstwem, niesławni, o grobach bezpomnikowych, co przeczuwali daleką zorzę, ale jej nie mogli ujrzeć, i zginęli przez to, że raczej w przeczuciu żyli, w żądzy swojej, niż w rzeczywistości faktów ziemskich. Z masy takich bohaterskich serc złożone pokłady ziemi, na której zakwitnie później kwiat dni pogodnych.

Otóż uosobieniem tej masy jest I r y d y o n. Ale choć on jest poetyczną prawdą, nie jest on prawdą filozoficzną. Nie zemstą dzieją się wszelkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha. Ciało musi się zżymać, krwi pragnąć, mieczem i włóczniami miotać: krótkie albowiem dni jego; duch może myśleć, modlić się, kochać: bo ma wieki przed sobą. Ciało, gdy raz padnie, nie powstanie więcej; duch z serc, co pękły, przelewa się w serca, co biją, i kończy zaczętą drogę. Otóż w połowie pogańskiej dzieła, w połowie zmysłowej, młodzieńczej, bohaterskiej, poetycznej, wre ciało, wre zemsta, jako jedyna myśl; żelazo, ogień i zniszczenie idą za nią. Lecz ogień zagasa, żelazo pryska, zniszczenie w własnym chaosie nie wie, co począć; śmiech szatana nad tem wszystkiem się rozlega. Ciemno i gorzko. Najszlachetniejsze cele giną niedokończone, ogień i żelazo słabe są na doprowadzenie ich do końca. W drugiej,

ostatniej części, chrześciańskiej, filozoficznej, następuje zbawienie: bo wszystko, co złe, darowane być musi za to, co było dobrego, i przestroga, nauka, by duchem działać, by z pracy wieków zmartwychwstawać. Cóż to jest praca wieków? To jest praca ducha, święta, żmudna, długa, ale jedna prawdziwa. A zatem właśnie to, czego Leon żąda, tam jest: to jest, że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsyi i rzezi, jedno uznaje konieczność rozumu i cnoty. Logika, konieczność, doprowadziły autora do tego końca, choć sam się przyznaje, że on jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej; wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości. Ale darmo, co jest, to jest; nie nasze kaprysy światem rządzą, ale rozum Boży. Artysta ten rozum pojąć winien; gdy go nie pojmuje, jest dzieckiem, a dzieło jego nie jest poezyą, koniecznością, ogółem.

Autor więc dwie części miał w tem wszystkiem na myśli: 1) zemstę, ciało i konwulsye, co zwykle miotają światem, i tylu umarłych zawcześnie, pięknych, dzielnych, niepamiętanych; 2) ducha i prawdziwy postęp rodu ludzkiego, chrześciański, idealny, którym wszystko, co jest i co będzie, się dzieje; przetworzenie wnętrza ducha, by potem wcielić w świat tegoż ducha; rozum Boży przeciwstawiony namiętnościom indywidualnym, wiecznie rozbijanym. Stąd pochodzi, że za czyściec, za powtórną próbę każe głos, słyszany w Kolizeum, iść Irydyonowi do ziemi mogił i krzyżów, i tam już nie dbać o chwałę własną, ale o dobro braci swoich, nie już o zewnętrzne tryumfy, o zwycięstwa własne, ale o duchową piękność, o przekształcenie tego, co złem, na dobre: i w nagrodę takiej pracy (okropniejszej, niż wszystkie przewalczone boje) obiecuje mu zmartwychwstanie, i to jeszcze na ziemi. Chrześciaństwo nie inaczej owładnęło światem. Spodziewam się, że teraz Leon mnie pojmie.

Zresztą, mówiłem z autorem wiele o tem. On sam wie, że wykonanie jest w wielu miejscach słabe, niedostateczne, chrome, że dramatyczność nieraz zasypia, słowem, że są ogromne błędy pod względem wyrobienia. Lecz o myśli głównej, przewodniej, o tem, co było marzeniem jego młodości, sądzi, może uwiedziony dumą, że jest szeroka i głęboka, i że jest zgodna z prawdą wiekuistą z jednej strony, a z drugiej z przemijającemi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłychanej, tytańskiej

boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei. Ten jęk, wcielony w postać artystyczną, był jego miłością i celem. Jak dalece dokonał celu, o tem każdy niech sądzi — ma prawo; ale celu się tykać samego, to się zdaje niesłusznem i poza granicami wszelkiej krytyki, bo to, co jest prawdą, nie podpada pod jej zarząd. A na to, że to prawda, mógłby autor wywołać cienie poległych i łzy żyjących; mógłby niejednego zapytać: »czyś ty nie czuł, nie marzył tak?« a niejedenby odparł: »Tak jest« — nie tylko niejeden, ale naród cały!

Zresztą niech się sam autor broni, psuć sobie oczów w obronie jego nie myślę, i tak już nie wiem, po co tyle o tem do ciebie nabazgrałem.

Co do konfederacyi barskiej, uznaję, że przedziwny przedmiot, ale do takowego zbywa ducha, na którym coraz więcej zbywać zaczyna twojemu przyjacielowi. Coraz bardziej okrążają go realne nudy, przymusy, fakta, życie praktyczne. Spokój, twojem zdaniem tak potrzebny przy tworzeniu, daleki od jego duszy, przeczucie nędznego zawodu i końca go trapi. Jednak on ci obiecuje, że jeśli nieba dozwolą mu jeszcze spokojniejszych chwil, to on wypełni, coś jemu zalecił, gdyby to nawet być miało tylko przez przyjaźń dla ciebie. Kilka rzeczy on zaczął, ale dalej ich ciągnąć nie umie, nie chce mu się. Wandy myt jest przecudownym dla poety, który pod jego postacią pojmie wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż jej się poddać. Różne także komiczne, humorystyczne wiły się zamiary w głowie jego; ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem. On jest w tej porze życia, w której wszystko pod zwątpieniem schnie i męczy się. Niech Bóg mu dozwoli z tej toni z nową i męską wyjść wiarą.

Mówisz, że podżegacza żadnego materyalnego nie potrzeba, by pisać; różnię się zdaniem od ciebie. Praca rąk i nóg na codzień przeznaczona człowiekowi, tę odbyć może bez rozdrażnienia nerwów; ale natchnieniem się nie napoi, jeśli wprzódy mózgu nie nastroi na nutę natchnienia.

Pisz mi tutaj zaraz; jestem tu z ojcem moim schorzałym. Pisz zaraz. Konstanty ci się kłania serdecznie.

Żegnam cię i ściskam z głębi duszy.

Juliusz Słowacki.

Syn Euzebiusza (profesora literatury polskiej w Krzemieńcu, a później w uniwersytecie wileńskim) i Salomei z Januszowskich, urodzony w Krzemieńcu 23. sierpnia 1809., stracił ojca w piątym roku życia. Matka (w roku 1817.) wyszła powtórnie za mąż za doktora Becu (profesora uniwersytetu wileńskiego), po czem chłopczyna chował się w Wilnie, w domu ojczyma, przy jego dwóch (starszych od siebie) córkach z pierwszego małżeństwa, które pokochał jak własne siostry. Nauki szkolne odbywał świetnie, a od dzieciństwa okazywał już pociąg do poezyi, skłonność do marzeń i rojeń, wyobraźnię niezwykle żywą. Zawarł w szkole przyjaźń ze starszym od siebie kolegą, Ludwikiem Spitznaglem, młodzieńcem chorobliwie romantycznego usposobienia, który później skończył samobójstwem, a wpływem swoim w młodym Julku rozwijał skłonność do rozmarzenia i niezgody z życiem. Rychło też objawiła się ona miłością (którą Słowacki nazywa pierwszą i jedyną) do Ludwiki Śniadeckiej, córki Andrzeja. Miłość ta była nieszczęśliwą: bo panna znacznie od niego starsza, nie kochała go wzajemnie. Wkrótce spadło na dom prawdziwe nieszczęście, doktor Becu zabity został uderzeniem piorunu (1824). Wdowa pozostała w Wilnie, żeby z bliska doglądać nauk i wychowania syna. W roku 1826. przerwał Słowacki nauki uniwersyteckie i odbył kilkomiesięczną podróż przez Podole do Odessy. W roku 1828. wstąpił do służby w Warszawie, w Komisyi skarbu, pod ministrem ks. Lubeckim. Zawiązał (lub odnowił dawne wileńskie) stosunki z młodymi literatami i poetami, a Niemcewiczowi dał do czytania pierwsze swoje poezye, mianowicie dramat Mindowe, który stary Nestor literatury bardzo przychylnie ocenił. Miał już wtedy Słowacki, oprócz drobnych wierszy, w Wilnie jeszcze pisanych, gotową Maryę Stuart i powieści (w rodzaju Byrona) Mnich, Arab, Hugo, Jan Bielecki.

Wybuchło powstanie 29. listopada. Słowacki pod jego wrażeniem napisał kilka wierszy (np. Oda do wolności, Kulig), a wtem niespodzianie w marcu roku 1831. wyjechał za granicę. Powód tego wyjazdu był następujący: Lelewel, podówczas członek Rządu Narodowego, wydał książeczkę pod tytułem Nowosilców w Wilnie, w której wystawiał zmarłego doktora Becu jako zausznika i narzędzie Nowosilcowa. Słowacki, przywiązany bardzo do pamięci ojczyma, przekonany, że oskarżenie nie było prawdziwem, oburzony na Lelewela, nie mógł wytrzymać w Warszawie i wyjechał — bez powrotu. Udał się naprzód do Drezna, nie wiedząc, co z sobą począć po nagłym i nierozważnym wyjeździe, kiedy tam powierzono mu ważne papiery z Warszawy z poleceniem, żeby je zawiózł do Londynu. Zaszedł tymczasem upadek powstania, Słowacki pojechał do Paryża i został na emigracyi.

Tu zajął się wydaniem swoich dawniejszych poezyi, zaczął pisać Żmiję i Lambra. Przyjechał do Paryża Mickiewicz. Pierwsze spotkania były nie serdeczne, ale uprzejme; niebawem jednak poczęła się jakaś obustronna niechęć. Pod koniec roku 1832. wyszła trzecia część Dziadów, a w niej znalazł Słowacki znowu swego ojczyma, zabitego piorunem

doktora, w roli prześladowcy i donosiciela. Powziął stąd żal gwałtowny do Mickiewicza, chciał go wyzwać, ale odwiedli go przyjaciele od tego zamiaru. Zostać w Paryżu, spotykać Mickiewicza, a nie upomnieć się o tę obrazę drogiej sobie pamięci, było mu nieznośnem. Wyjechał do Szwajcaryi i osiadł w Genewie.

Tu powziął myśl, żeby zemścić się na Mickiewiczu poematem, któryby przewyższył Dziady: napisał Kordyana. Istotnie dzieło to oznacza wielki postęp i stanowi okres w jego poetycznym zawodzie. Dotychczas w swoich powieściach poetycznych był prostym naśladowcą Byrona, podobnym do wielu, a dalekim od piękności Wallenroda lub Maryi Malczewskiego. W drobnych wierszach dawniejszych przypominał Zaleskiego; w patryotycznych, pisanych w roku 1831., był raczej zimnym mimo pozorów zapału. Po jego dramatach można było wróżyć lepiej, zwłaszcza po Mindowem, który ma sceny piękne i niektóry figury szczęśliwie pomyślane; ale i w Mindowem i w Maryi Stuart było tyle pomysłów nierozważonych i nieusprawiedliwionych, tyle sprzeczności między zamiarem a wykonaniem, że były to w każdym razie dzieła talentu bardzo niedojrzałego.

Kordyan pierwszy był dziełem talentu bardzo znakomitego. I w nim wprawdzie jest niedojrzałość, nie talentu, ale myśli i zamiaru, która niestety powtarzać się będzie u Słowackiego nieraz, aż do śmierci: niedojrzałość myśli i zamiaru w tem mianowicie, że chciał stworzyć w Kordyanie ideał bohatera, człowieka czynu, zbawcy, a stworzył poetycznego i szlachetnego, ale rozmarzonego, nerwowego, słabego romantyka, byronistę. Mimo tej różnicy między zamiarem a wykonaniem jest tyle w Kordyanie poetycznej piękności, że od niego liczyć należy drugi, najświetniejszy okres w zawodzie Słowackiego.

Mniemał on, że tym poematem przewyższy Mickiewicza dlatego, że Konrad z Dziadów tylko kochał i cierpiał za miliony, a jego Kordyan miał za miliony działać. Nie spostrzegł się jednak, że sam jego pomysł podstawny był wzięty od Mickiewicza i z Dziadów. Tu i tam główną treścią jest przemiana człowieka, który po różnych przejściach i uczuciach osobistych znajduje swoje powołanie w poświęceniu się dla ojczyzny. Że zaś sposób tego poświęcenia jest inny u Kordyana, to stanowi tylko odmianę w pierwotnym pomyśle, jak monolog Kordyana na górze Mont-Blanc jest tylko odmianą (i dość słabą) Improwizacyi Konrada. Wpływ Dziadów na Kordyana nie tylko w tem jest widoczny. Akt pierwszy, w którym Słowacki umieścił wspomnienia swojej miłości do Ludwiki Śniadeckiej, przypomina bardzo Dziadów część czwartą. Niemniej należy ten akt do rzeczy piękniejszych, jakie są w poezyi europejskiej, w tym rodzaju postaci i uczuć chorobliwych, rozmarzonych i sentymentalnych, których ojcem i wzorem był Werther. Akt drugi, podróże i przygody Kordyana po świecie, jest znowu odbiciem Byrona, a zwłaszcza Child-Harolda. Trzeci, w którym odbywa się (i rozchodzi) spisek koronacyjny na cesarza Mikołaja, okazuje Kordyana rozmarzonym poetą, a nie dzielnym bohaterem; ale natchnienia i dramatycznej siły ma bardzo wiele. Scena w więzieniu, kiedy skazany Kordyan gotuje się na śmierć, należy do najpiękniejszych w poemacie,

który ogółem wziąwszy, przy wszystkich swoich usterkach, ma piękności pierwszego rzędu.

Po Kordyanie nastąpił w chronologicznym porządku dzieł Słowackiego Mazepa. Dziwna jest rzecz i trudna do pojęcia, że poeta tak wrażliwy jak on i tak zawsze swojem własnem uczuciem opanowany, miał taką skłonność i taką zdolność do tego rodzaju poezyi, który wymaga właśnie przeniesienia się poety w naturę i uczucia tworzonych przez niego postaci ludzkich; ale faktem jest, że ze wszystkich naszych poetów najwięcej pociągu i najwięcej talentu do dramatu okazał Słowacki. Jego tragedye, choć każdej z nich bardzo wiele można zarzucać, stoją do dziś dnia na samem czele naszej poezyi dramatycznej. Mazepa był pomyślany i napisany pod wpływem romantycznego dramatu francuskiego (taka już była natura Słowackiego, że przyjmował bardzo łatwo wpływ tego, co właśnie czytał lub widział, i wpływ ten zawsze — czasem bezwiednie — w swoich dziełach odbijał). Naprężone i dręczące sytuacye w Mazepie, wykonanie ich przesadnie energiczne i jaskrawe, niektóre efekta błahe i naciągane, wszystko to wpływ dramatu francuskiego (głównie Wiktora Hugo), a zarazem powód, dla którego tragedya w całości piękną i dobrze pomyślaną nie jest. Ale trzy figury: Zbigniew, Wojewodzina i Mazepa, mają tyle życia i poetycznego wdzięku, nieszczęśliwa miłość między pasierbem i macochą skreślona jest z tak delikatnym artystycznym a tak szlachetnym moralnym zmysłem, niektóre sceny (rozmowa Zbigniewa z Mazepą, jego pożegnanie z Wojewodziną, opowiadanie Mazepy przy jego odmurowaniu) są takie wzruszające, język i wiersz wreszcie tak piękny, że choćby nawet dramat polski doszedł z czasem do najwyższej możliwej doskonałości, to Mazepa zawsze liczyć się będzie do jego świetnych ozdób.

Z wyobraźnią bujną i lotną, która musiała zawsze snuć coraz nowe pomysły, powziął teraz Słowacki zamiar bardzo śmiały, ale bardzo też ponętny. Chciał odtworzyć z podań i legend Polskę przedchrześciańską, najdawniejszą, w szeregu kilku (jak się wyrażał) »dramatyzowanych kronik czy legend«. Mówił sobie, że z takich przedhistorycznych, mitycznych podań brali tragicy greccy przedmioty do swoich dramatów i zrobili z nich arcydzieła dotąd nieprześcignione. W naszych podaniach, o poświęceniu Wandy na przykład albo o okrucieństwach Popiela, czy nie znalazłby się piękny materyał poetyczny i tragiczny? Fantazya, oczarowana tym pomysłem, zaczęła układać plan szeroki, obejmujący sześć takich dramatów: ale z czasem zarzucił poeta ten zamiar, z którego powstały dwa tylko dramata: Lilla Weneda, późniejsza, i napisana teraz w Szwajcaryi Balladyna.

Na tej pokazał się (po raz pierwszy tak wyraźnie) wrodzony błąd natury i talentu Słowackiego, ten mianowicie, że pomysłu, zrodzonego w swojej fantazyi, on nie lubił (może nie był zdolny) należycie rozważyć i wykończyć reflexyą i zastanowieniem. Skoro chciał tworzyć dramata z przedchrześciańskich podań polskich, to należało mu w treści tych dramatów trzymać się tych podań, wprowadzać imiona i zdarzenia w nich przechowane. Bez tego nam niepodobna uwierzyć, że to są poemata, z tych podań wzięte i na nich oparte. Ale Słowacki, zachwycony

swoim pomysłem, gdy przystąpił do wykonania, spostrzegł się, że te podania dostarczały mu bardzo mało i figur i wypadków: osnowę swego dramatu musiał sam uzupełnić i dorobić. Wtedy pomyślał, że w pieśniach i powieściach ludu (oryginalnych lub artystycznie przerobionych) znajdzie i przydatne dramatyczne sytuacye i taki rodzaj pojęć i uczuć, jaki mógł być w odległych, prawie pierwotnych czasach. Z ballad tedy (Maliny Chodźki, Lilie Mickiewicza) zaczął brać motywa do swego dramatu; ale te z jego pierwotnym zamiarem, z tem poetycznem odtworzeniem przedwiecznych dziejów Polski, już w zgodzie nie były, mówiły o domowych, rodzinnych tylko zajściach lub występkach. Prócz tego dostarczały mu materyału na jeden szczegół, jedną sytuacyę, ale nie na cały ciąg tragicznej akcyi. Trzeba więc było oprócz tej pomocy szukać jeszcze innej. Słowacki z zapałem czytał i podziwiał Szekspira, przesiąkał (może bezwiednie) jego wspomnieniami i wrażeniami; z Szekspira też wziął to, czego mu jeszcze brakło do wątku jego dramatu. I tak z trzech różnych pierwiastków złożył Balladynę. Pierwszym jest ten śmiały zamiar odgadnienia i odtworzenia Polski przedchrześciańskiej (Zamęt i rozprzężenie, zrzucony z tronu król Popiel, rycerz Kirkor, który go chce na tron przywrócić, lud zebrany na wybór króla nowego — to są rzeczy należące do tego pierwiastka). Rycerz zdający wybór żony na los, dzbanek malin, zabójstwo jednej siostry przez drugą, spowiedź Balladyny przed pustelnikiem — to jest drugi pierwiastek, balladowy. Dalsze zaś losy Balladyny, ten fatalizm złego, który jej każe nowemi zbrodniami zakrywać stare lub zapewniać sobie to, co pierwszemi zyskała, to jest z Szekspira (z Macbetha, a po części z Leara), jak znowu świat fantastyczny, Goplana, Skierka i Chochlik, wzięte są także żywcem z Szekspira (ze Snu nocy letniej). Te trzy pierwiastki organicznie z sobą połączyć się nie mogły. Wątek balladowy poematu nie odpowiadał pierwotnemu zamiarowi historycznemu, legendowemu; sytuacye wzięte z Macbetha i z Leara przywaliły i przygłuszyły i treść balladową i zamierzoną legendę z dziejów polskich; a pierwiastek fantastyczny znowu (Goplana i jej wpływ na sprawy ludzkie) nie łączył się logicznie ani z jednym ani z drugim. Wszystko razem wziąwszy, Balladyna jest dziwnym poematem, który ma pozór i kształt organicznej jedności, a nie ma organicznego związku, jedności myśli, dostatecznej jasności i świadomości zamiaru. Co nie przeszkadza, że ma istotne i niepospolite piękności: za najcelniejszą z nich uważać należy ten świat fantastyczny, nadzmysłowy (Goplana i jej podwładni), z Szekspira wprawdzie naśladowany, ale wykonany tak cudownie, że sam Szekspir nie potrafiłby lepiej.

Anhelli przeciwnie jest może najdojrzalszym i najgłębszym ze wszystkich poematów Słowackiego. Jak Dziady i Księgi pielgrzymstwa, jak Kordyan, jak poezya Krasińskiego — tak i on natchniony jest dzisiejszem położeniem narodu i smutnem rozmyślaniem o jego przyszłości. Małecki (w dziele o Słowackim) określił najlepiej jego cel i objaśnił znaczenie. Podług niego, Sybir jest tylko dekoracyą, uboczne figury dodatkami i ozdobami, a prawdziwą treścią jest obraz tego, co naród cierpi, i tego, co czyni. Nigdy właściwa Słowackiemu tęskność i rzewność nie była smętniejszą i bardziej rozdzierającą,

jak właśnie w Anhellim w obrazach tych cierpień; a znowu w przedstawieniu naszych czynów i błędów (przyczem Słowacki miał na myśli przedewszystkiem emigracyę) jest tyle surowej i gorzkiej, ale niezaprzeczonej prawdy, że napisanie Anhellego należy policzyć Słowackiemu za akt niepospolitej odwagi i obywatelskiej zasługi. Piękność języka i niektórych obrazów jest znowu nad wszelkie pochwały. Niektóre szczegóły niezrozumiałe. Myśl zaś podstawna, zbawienie narodu przez cichą i bierną ofiarę szlachetnie cierpiącego serca, poetycznie wzniosła, praktycznie byłaby oczywiście mylną: ale też nie szuka się w poezyi i nie żąda od poetów reguł praktycznego postępowania.

W roku 1834. przyjechała do Genewy rodzina polska, złożona z matki i kilkorga dzieci, między któremi była i córka dorosła, panna Marya. W lecie roku 1834. wybrał się Słowacki z całą tą rodziną na małą podróż po Szwajcaryi (góra św. Bernarda, jeziora Czterech kantonów, Thoune i Brienz).

Z tego wypadku w życiu poety powstał poemat W Szwajcaryi. Nie jest on wiernym obrazem ani wypadków samych ani nawet jego uczuć. Uczucie jego dla panny Maryi W., jeżeli było żywszem i czulszem, to nie było ani silnem ani trwałem, i było mu bardzo daleko do tej miłości gorącej, do tej potem rozpaczy bez granic, jakiej wyrazem jest jego poemat. Wypadki zaś są zupełnie zmyślone. Jest to fantazya na tle wspólnej podróży po górach. On sobie wyobraża i roi, coby się było mogło stać, gdyby oboje, porwani nieprzezwyciężonem uczuciem, byli poszli gdzieś daleko od ludzi, gdyby w tej samotności był ją poślubił, i gdyby potem ona była umarła. Ale ta fantazya, to rojenie wyobraźni, stało się najpiękniejszym poematem miłości, jaki jest w języku polskim, i jedną z rzadkich doskonałości i arcydzieł w poezyi Słowackiego.

Po wycieczce w góry opuścił poeta Genewę i przeniósł się na drugą stronę jeziora, do wioski Veytoux; ale po kilku miesiącach wrócił do Genewy. Właśnie wtedy brat jego matki wybierał się z żoną (jedną z jej pasierbic a przybranych sióstr Juliusza) do Włoch, więc tam udał się poeta. W Rzymie poznał się i zaprzyjaźnił z Zygmuntem Krasińskim, potem zachwycał się widokami Neapolu, kiedy niespodzianie nadarzyła mu się sposobność podróży do Grecyi, do Egiptu i do Ziemi św. (w lecie 1836.). Podróż ta trwała prawie rok. Jej zaś poetycznym plonem jest (oprócz drobnych wierszy, z których najpiękniejszy Hymn na morzu, List do Alexandra H., t. j. Hołyńskiego, towarzysza podróży) fragment Podróży na Wschód i Ojciec zadżumionych.

Podróż na Wschód (fragment znaleziony i ogłoszony po śmierci autora) jest poniekąd naśladowaniem Don Juana Byrona, a przez to przygotowaniem do Beniowskiego. Przechodzi on ciągle z tonu poważnego lub uczuciowego w żartobliwy, a czasem ironiczny i gorzki, ale ani w jednym ani w drugim tonie świetny nie jest. Ma wszakże dwa ustępy wspaniałe. Jednym jest Noc nad zatoką korynecką, drugim Grób Agamemnona, rzecz pod względem uczucia jak formy jedna z najwyższych, jakie Słowacki napisał: niezrównany wyraz patryotycznego bolu. Wiersz ten byłby godzien bezwzględnego

i najgorętszego podziwienia, gdyby w zakończeniu przez nadmiar swojego cierpienia nie był się poeta posunął do kilku słów obelgi dla swojej ojczyzny.

Ojciec zadżumionych jest niezaprzeczenie jego artystycznem arcydziełem. W podróży z Egiptu do Ziemi św. odbywał on kwarantannę na pustyni, a miejscowy lekarz opowiadał mu historyę nieszczęśliwego Araba, który na temsamem miejscu stracił po kolei siedmioro dzieci i żonę, potem zaś zdrów, tylko sam jeden, pojechał do domu. Z tego opowiadania zrobił Słowacki powieść, nad którą nie ma nic smutniejszego i nic doskonalszego. Stopniowanie żalu tego nieszczęśliwego ojca, rozmaitość tego żalu, który po każdej nowej stracie jest odmienny, rozpacz głucha i niepocieszona, która na nim cięży, a w tej rozpaczy ani jednego słowa czy tonu przesadnego, zbyt jaskrawego — wszystko to daje nam prawo liczyć ten mały poemat do wielkich arcydzieł poezyi świata. Sławny Więzień z Chillonu Byrona, rozmiarami a poniekąd treścią podobny (tam jest śmierć braci, tu dzieci), nie może przecie równać się z Ojcem zadżumionych, który tem jeszcze zasługuje na uwagę, że jest jednym z niezmiernie rzadkich w poezyi świata wyrazów boleści rodzicielskiej. Jakim sposobem zdołał ją tak odgadnąć i oddać człowiek, który nigdy nie był ojcem, to już tajemnica poetycznej intuicyi Słowackiego.

Ojciec zadżumionych i Szwajcarya wyszły razem z dodatkiem Wacława jako Trzy poemata. Wacław, pisany jak się zdaje w Neapolu przed podróżą wschodnią, jest niby dalszym ciągiem życia i dziejów Wacława z Maryi Malczewskiego. Jest to Wacław już stary, umierający z trucizny podanej mu przez żonę, a przed śmiercią robiący spowiedź ze swego życia. Gdyby był cały taki jak jego początek i jak ta spowiedź, byłby może godnym towarzyszem tamtych dwóch poematów. Ale dodatki (żona Greczynka, jej kochanek, Eolion syn z pierwszej żony, otrucie popiołami przodków) nie robią go smutniejszym i tragiczniejszym, a robią zawiłym, przesadnym i niepodobnym do prawdy.

Po powrocie ze wschodu osiadł Słowacki na rok przeszło we Florencyi. Tam napisał Piasta Dantyszka poemat o piekle. Pomysł był piękny. Kary i zgryzoty winowajców mogły były natchnąć i uczucie i wyobraźnię. Niestety wykonanie się nie udało: poemat pełen fałszywej rubaszności, obrazów wstrętnych i budzących obrzydzenie zamiast zgrozy, jest rzeczą może najsłabszą ze wszystkich, jakie Słowacki napisał.

Na rok 1839. powrócił do Paryża, gdzie odtąd już stale przesiadywał. Znaczniejszym poematem, który teraz nastąpił, była Lilla Weneda.

Należy ona, jak Balladyna, do owego zamierzonego a nigdy w zupełności nie wykonanego cyklu poematów z przedchrześciańskiej przeszłości Polski. Za treść ma przyjście Lecha i wytępienie dawniej tu osiadłego ludu Wenedów. I wewnętrznej jedności, logicznego związku i natchnienia ma ona więcej niż Balladyna. Owszem, właściwe Słowackiemu przymioty ma w takiej mierze, że należy do jego dzieł najwyższych. Mianowicie

tło poematu, rozpacz tego plemienia, które ulega pod przemocą silniejszego najezdcy, przemóc go nie może, a czuje, że ginie niesłusznie, skreślone jest mistrzowskimi rysami, z ogromną mocą żałości i oburzenia. Postacie niektóre mają heroiczne rozmiary wielkości, męstwa i smutku (Derwid, król Wenedów, jego córka Roza i synowie Lelum i Polelum). Lech i jego żona, on waleczny, porywczy a miękki, ona namiętna przebiegła i twarda, są oboje znakomicie wymyśleni i skreśleni. Bohaterka sama, Lilla, która się trzy razy poświęca, żeby ojcu wziętemu w niewolę zbawić życie, a wkońcu poświęca się za swój lud, kiedy oddaje się Gwinonie w zamian za harfę, w której zaklęta jest jakaś czarowna moc zwycięstwa, Lilla w swojej naturze cichej i łagodnej, w swoich nieszczęściach i poświęceniach, ma niezmiernie wiele rzewnego smutku i poetycznego wdzięku. Słabą stroną poematu jest: niezrozumiały, niewytłómaczony związek między losem Wenedów a harfami, synowie Derwida zawsze przykuci do siebie łańcuchem, pozorne raczej niż rzeczywiste ocalenie Derwida od śmierci, przez które Lilla wygrywa zakład z Gwinoną o jego życie, i kilka drobniejszych szczegółów. Szkodliwą zaś i fałszywą jest rozpaczliwa myśl podstawna Lilli Wenedy, ta zguba bez rady i ratunku, ten fatalizm złego, przeciw któremu ani ludzka wola i zasługa ani sprawiedliwość Boska mocy nie ma.

Fatalność złego, samowola jakichś potęg piekielnych, które wikłają ludzi bez ich winy i woli w szereg najstraszniejszych zbrodni i nieszczęść, jest główną treścią tragedyi Beatrix Cenci, która przecież obok przesadnych efektów i straszliwie naprężonych sytuacyi, ma ustępy niepospolitej piękności.

Beniowski, poemat bohaterski a żartobliwy, był Słowackiemu natchniony przez Ariosta, jak on mniemał, na prawdę przez Don Juana Byrona. Słowacki, dumny bardzo i w swojem rozumieniu niedość wysoko ceniony, miał zawsze żal do ludzi, a w szczególności do krytyków za obojętność, za niesprawiedliwość: chciał raz wziąć odwet i wyśmiać lub wysmagać tych, do których miał urazy. Tak robił Byron w pomienionym poemacie, i jego, a nie Ariosta wziął Słowacki za wzór w swoim nowym utworze. Ironia Ariosta, aczkolwiek dość sceptyczna, jest łagodna, swobodna, bez żółci; jest bezosobista, nikogo palcem nie wskazuje ani się za krzywdy autora nie mści. Odwet i gorycz są cechą i ostatnią przyczyną ironii Byrona w Don Juanie, a podobnie i Słowackiego w Beniowskim. Ten pierwiastek ujemny, niższy, nieszlachetny, zaszkodził bardzo dziełu. Nie żeby dowcip i sarkazm Słowackiego nie był świetny: owszem, jest takim często i bardzo; a nagłe zwroty i przeskoki z jednego tonu w drugi wykonane są z zadziwiającą zgrabnością i lekkością. Ale te żarty i przytyki, odnoszące się do osób i stosunków, nigdy zapewne nieznaczących, a dziś zupełnie zapomnianych, są dla czytelnika niezrozumiałe, obojętne i niecierpliwią go tylko albo nudzą, kiedy mu przerywają zajmujące i pełne wdzięku sceny lub obrazy powieści. Szkoda jest nieodżałowana, bo bez tych dodatków Beniowski byłby może najpiękniejszą powieścią poetyczną w naszej literaturze. Tło czasu, konfederacya Barska, ostatnie walki Rzeczypospolitej upadającej, oddane są wspaniałymi rysami bohaterstwa i smutku; figury niektóre mają bardzo

wiele rycerskiej tęgości lub wdzięku (Beniowski, Sawa, Panna Aniela), a wszystkie bardzo wiele fizyognomii, życia, prawdy; opisy i dygresye liryczne są śliczne, a te wszystkie zalety razem mogły były złożyć dzieło pierwszego rzędu. Uważać i pamiętać warto, że ze wszystkich naszych poetów żaden nie zajmował się tyle co Słowacki ostatnimi czasami Rzeczypospolitej, żaden tak nie przeniknął i nie oddał tragicznego charakteru ówczesnych uczuć, zdarzeń lub sytuacyi. Dowodzi tego Beniowski, po części Sen Salomei i Ksiądz Marek, a zwłaszcza wspaniały, niestety nieskończony, fragmentowy dramat Horsztyński. Beniowskiego ogłosił poeta tylko pięć początkowych pieśni. Po jego śmierci znalazło się ich jeszcze kilka i znaczna liczba ustępów luźnych, fragmentów, które do dalszego ciągu służyć miały. Pierwiastek ironiczny i sarkastyczny znika w tych ułamkach zupełnie, a uczuciowy odzywa się czasem tak pięknie, że odżałować nie można tego stanu niewykończenia, w jakim do nas doszły. Z Beniowskim (1841) kończy się drugi, najświetniejszy okres zawodu Słowackiego. Zaczyna się trzeci i ostatni, okres towianizmu.

Że Słowacki do tej nauki przylgnął, to tłómaczy się łatwo i naturalnie całem jego usposobieniem i życiem. Miał on zawsze fantazyi nierównie więcej niż rozwagi; miał religijne uczucia i popędy, ale nie miał stałej wiary ani przekonań; miał wielką tęsknotę i pragnienie lepszej przyszłości; i miał dumę ogromną a nigdy nie zaspokojoną. Do tej fantazyi przemawiała nauka, zasadzająca się na ciągłym i od naszej woli zależnym związku ze światem nadzmysłowym; do tych religijnych uczuć i popędów, zarazem do jego patryotycznego cierpienia przemawiała nauka, która obiecywała odrodzenie świata i Polski przez nowe objawienie, nowy wylew łaski Bożej; do jego zaś dumy i zarozumiałości przemawiała łatwo i rozkosznie nauka, która mówiła, że człowiek sam przez skupienie swego ducha może robić cuda, robić co zechce i ludzkość całą wyżej podnosić, która uznając wędrówkę dusz, pozwalała człowiekowi wyobrażać sobie i uwierzyć, że w różnych ciałach należał do całej historyi świata, całą przebył, w całej działał i znaczył. Ciągnął więc towianizm Słowackiego za wszystkie lepsze i gorsze strony jego natury i, nie dziw, że go pociągnął. Nie był wszakże Słowacki uczniem powolnym, towiańszczykiem prawowiernym. On na podstawie tej nauki zaczął z własnej fantazyi snuć nowe do niej dodatki i pomysły, i rychło oddzielił się od braci, a został sam z jakimś messyanizmem swoim własnym i odrębnym.

Fakt ten, psychologicznie naturalny i zrozumiały, był niemniej smutnym, bo na dalszy zawód poety wywarł wpływ najszkodliwszy.

Nigdy nie był Słowacki panem swojej myśli i swego zamiaru. Zawsze dał się porywać i unosić wyobraźni, a nie umiał nigdy dostatecznie rozważyć, ustalić, osądzić pomysłów, które ona snuła. Szedł za nią i za wrażeniem, pisał jak one mu dyktowały, dojrzałej rozwagi i świadomości, męskiej władzy nad skłonnościami i popędami swego umysłu nie miał nigdy. Tem tłómaczą się te sprzeczności i nieskładności, te braki związku i jedności, które się dają widzieć we wszystkich niemal jego dziełach, nawet w najlepszych, z nader nielicznymi wyjątkami.

Ale teraz, pod wpływem towianizmu, stracił do reszty władzę sądzenia i dozorowania swojej myśli, jej jasną świadomość. Pod wpływem tej nauki bowiem uwierzył, że jak on podda się zupełnie i ulegle duchowi Bożemu, to ten duch zstąpi na niego niejako i przez niego objawiać będzie ludziom swoje prawdy i swoją wolę. Cokolwiek odtąd roiła jego wyobraźnia, to nie były już jego własne myśli; to były natchnienia Ducha, których ani sądzić ani zmieniać się nie godziło, tylko należało je tak ludziom podać, jak jemu były natchnione. Wpada więc w mistycyzm, w jakiś ton niby proroczy a rozkazujący; pisze to, co Duch pisać mu każe, a on sam jest tego ducha tylko posłusznem (ale przecież wybranem) narzędziem.

Niestety, w tem, co mu duchy pisać kazały, najczęściej niema ani związku ani prawdy ani znaczenia. On oczywiście jakieś znaczenie i jakąś myśl widzieć zawsze musiał, ale dla zwykłego czytelnika są to tylko niewyraźne, niedokształcone, mgliste pomysły i widziadła. Wyjątków jest niestety bardzo mało. Do tych zaliczyć należy dramat Niepoprawnych, po śmierci autora ogłoszony, przez niego nie wykończony ostatecznie, prawdopodobnie powstały z dwóch różnych pomysłów i redakcyi (które on byłby może doprowadził do jedności, gdyby był to dzieło ogłaszał): stąd złożony jakoby z dwóch połów, które do siebie niedobrze przystają; ale mimo to wszystko pełen talentu i ustępów świetnych. Wiersz do autora trzech Psalmów (oskarżenie Krasińskiego), politycznie błahy i fałszywy, a moralnie niesprawiedliwy, w niektórych ustępach zepsuty niezrozumiałym a napuszonym mistycyzmem, ma przecież ustępy świetne, godne dawnego Słowackiego. Jedynem wreszcie dziełem z tych lat, które należy do prawdziwych i wielkich ozdób naszej literatury, jest przekład Księcia Niezłomnego z Calderona, nie wierny, ale wspaniały, piękniejszy może od oryginału.

Calderona, poetę gorącego religijnego ducha, czytywał teraz Słowacki z wielkim zapałem, przejął się nim i od niego wziął formę swoich dwóch dramatów z ostatniego okresu. Te dramata to Ksiądz Marek i Sen srebrny Salomei. Oba osnute na jakichś niedocieczonych i niezrozumiałych dogmatach nowej wiary poety, pisane z rozkazu duchów (o pierwszym mówi to Słowacki wyraźnie w liście do Krasińskiego), są zbiorem różnych tajemniczych działań duchów i cudów, a mają zapewne (w myśli autora) być najzbawienniejszą dla nas nauką; ale myśl i znaczenie jej dla nas niedocieczone, dla niego samego nie musiały być jasne. (W Księdzu Marku mało, w Salomei więcej znać dawny Słowackiego talent, mianowicie kozak Semenko, herszt hajdamaków, jest szczęśliwie wymyśloną i nakreśloną postacią).

W drobnych wierszach z tych lat, w większym fragmencie Poeta i natchnienie, poznaje się szlachetne i łatwo zrozumiałe uczucie patryotyczne, ale tak zamglone mistycznymi pomysłami, objawianemi niby a niedocieczonemi prawdami, i tak nieprzyjemne przez pewny siebie, dumny ton proroczy, że przez te grube zasłony uczucia poety przebić się i czytelnikowi udzielić nie mogą.

Największem jego dziełem z tego okresu (na rozmiary największem ze wszystkich ogółem) i tem, do którego sam przywiązywał największą

wagę, jest Król Duch. Łączy się on poniekąd z dawnym zamiarem odtworzenia przedhistorycznej przeszłości Polski. Popiel (Król Duch) jest synem Rozy Wenedy i przepowiedzianym przez nią mścicielem jej ludu. Ale w ciągu lat dawny pomysł przeszedł w inną formę (opowiadającą z dramatycznej), a przeobraził się nawet w samej swojej istocie.

Poeta przypisuje Króla Ducha Polsce i mówi, że ona »znajdzie w nim tajemnicę początku i końca — Alfę i Omegę świata, a zatem i Ojczyzny«. Chciał i mniemał wytłómaczyć w nim całą tajemnicę Polski, jej początku, jej bytu i jej upadku, wpływów i powodów, pod którymi ona kształciła się i upadała, złego i dobrego, jakie zrobiła. Każdy z naszych poetów zadawał sobie te pytania i rozwiązywał je: jest więc Król Duch wyrazem i skutkiem tego kierunku poezyi, który się rozwinął po roku 1831., o którym była mowa już nieraz. Powstał on z dwóch czynników: patryotycznego cierpienia i filozoficznych wyobrażeń Słowackiego, wyrobionych pod wpływem mistycznej doktryny, której jednym z dogmatów była wędrówka dusz.

Król Duch bowiem wciela się w różne ciała: jest Popielem, Mieczysławem, Bolesławem Śmiałym; kim miał być dalej, niewiadomo, bo poemat urywa się przed samem zabójstwem św. Stanisława. Zawsze jest tym duchem naczelnym, w którym skupia się cała siła i przyszłość narodu, i który raz przez srogość i okrucieństwa, kiedy naród potrzebuje zahartowania (Popiel i Bolesław), drugi raz przez cnotę i dobroć (Mieczysław) kształci go, wychowuje i podnosi; a zawsze, kiedy go najbardziej gnębi i upadla (Popiel), robi to z miłości dla niego, dla jego dobra.

Pomijając całą filozoficzną podstawę tego poematu, wędrówkę dusz, i pomijając oczywisty i oburzający fałsz moralny tej miłości, która przez występki, okrucieństwa i znikczemnienie ma niby swój naród kształcić i podnosić, wystarczy jeden argument, żeby wykazać całą błahość i marność tego pomysłu Słowackiego. Jeżeli Król Duch miał być wytłómaczeniem całej tajemnicy początku i końca Polski, jak się jego autor wyraża, to powinien był tłómaczyć tę tajemnicę na dziejach Polski rzeczywistych, tych, które istotnie były, a nie na takich, których poeta swoją wyobraźnią domyślał się i w niej dowolnie wymyślił. Cały zaś ten początek dziejów, jaki Słowacki podaje, wytępienie Wenedów przez Lecha jako pierwszy grzech Polski, potem spisek Rzepichy z cesarzem Ottonem na jej zgubę, potem anielskie sielankowe panowanie Ziemowita, albo ta misya Popiela, który srogością hartuje nas na naród rycerski, wszystko to są domysły poetycznej wyobraźni, ale nie historyczne fakta. A na takich dowolnie wymyślonych faktach losy narodu łatwo jest równie dowolnie tłómaczyć, tylko trudno jest, iżby ktokolwiek w prawdziwość tego tłómaczenia uwierzył.

W szczegółach niejasności bez liku i bez miary, a nieraz zawiłość taka, że nawet gramatycznego, a nie już głębszego i ukrytego znaczenia dojść nie można. Błyski talentu trafiają się gdzieniegdzie, ale bardzo rzadko.

Kiedy wybuchły wypadki roku 1848., Słowacki powziął i nawet ułożył plan konfederacyi, która miała być środkiem polskich działań.

Plan ten, w Paryżu uznany za fantastyczny, chciał on urzeczywistnić na ziemi polskiej i wybrał się do Poznania. Jedynym praktycznym i dobrym skutkiem tej podróży było spotkanie z matką (w Wrocławiu), pierwsze od pożegnania w Krzemieńcu w roku 1828. i ostatnie w życiu. Z końcem lata wrócił Słowacki do Paryża i zaraz dostrzeżono tam zmiany w jego zdrowiu. Rozwinęła się choroba piersiowa. Z zimą nastąpiło pogorszenie; w początkach marca było już widocznem, że koniec bliski. Zostawał wtedy przy chorym poecie i pielęgnował go do ostatka młody przyjaciel, Zygmunt Szczęsny Feliński, później kapłan i arcybiskup warszawski. W dzień przed śmiercią jeszcze pisał Słowacki sam i dyktował Króla Ducha. Po nocy bardzo źle spędzonej zażądał księdza: przyjął ostatnie sakramenta z rozrzewniającą radością. Potem jeszcze kazał sobie przynieść i czytać swój poemat, ale po chwili zamknął go, mówiąc »wszystko to głupstwo«. Wkrótce potem skończył, 3. kwietnia 1849.

Słowacki był najdoskonalszym u nas wyobrazicielem tego usposobienia chorobliwego i nerwowego, tej niezgody ze światem, które same były skutkiem niezdrowych stosunków historycznych, a których typem był Byron i jego poezya. Ze wszystkich wszakże poetów tego rodzaju i usposobienia (Shelley, Musset, Heine), z wyjątkiem samego Byrona, był Słowacki i talentem najpotężniejszy i naturą najszlachetniejszy. Stan narodu powodował i tłómaczył w wielkiej mierze ten brak równowagi, jaki w nim był, a w życiu jak w dziełach jego nie znajdzie się nic tak zdrożnego i gorszącego, jak znajduje się u tamtych. Z wyobraźnią bujną i świetną jak żaden może z naszych poetów, z formą, której czy wdziękiem czy siłą dorównać trudno, łączył on wielki zasób rzewnego i tęsknego, ale zarazem namiętnego uczucia. Słabą stroną jego talentu i charakteru był brak rozwagi, brak mocy nad sobą, który sprawił, że ani w dziełach ani w postępkach swoich do prawdziwej dojrzałości i zgody z sobą nigdy nie doszedł. To usposobienie niemęskie robi go bardzo wiernym i ciekawym wyobrazicielem jego czasu, ale ono stanęło na przeszkodzie jego talentowi, że nie rozwinął się i nie doszedł do tej miary, jaką przez swoje inne własności mógł był osiągnąć.

W jego życiu i twórczości, jak powiedziano wyżej, dadzą się rozróżnić trzy okresy. Pierwszy, młodzieńczy, jest raczej naśladowniczym, byronicznym, i choć zapowiada talent, nie zapowiada jeszcze wielkiego ani oryginalnego poety. Ale wielkie narodowe nieszczęście wstrząsa jego duszą, wygnanie rozwija jego smutek (i jego wrodzoną drażliwość); wrażenia zewnętrzne (Szwajcarya, Włochy, Wschód) działają potężnie na jego wyobraźnię. Pod tymi wpływami rozwija się talent pięknie, a rozwinąłby się jeszcze piękniej, gdyby melancholia, żal do ludzi i wielka duma nie były go w tym rozwoju krzywiły. Okres to najświetniejszy, zaczęty Kordyanem, skończony Beniowskim. Wreszcie dusza zmęczona ciągłem cierpieniem i ciągłem szarpaniem się, chwyta się zewnętrznej podpory, która na jej stan wewnętrzny potężnie oddziaływa. Następuje epoka trzecia, towianizmu, mistycyzmu. Człowiek ukołysany tą doktryną staje się spokojniejszym, szczęśliwszym, nawet lepszym niż był przedtem, ale poeta słabnie.

W poezyi polskiej, od Mickiewicza oczywiście mniejszy (co go boleśnie zawsze dręczyło), od Krasińskiego myślą nierównie mniej głęboki

i potężny, ale fantazyą świetniejszy, wszystkich innych poetów przewyższa Słowacki niezaprzeczenie i o wiele.

Wkońcu dodać warto, że ze wszystkich naszych poetów on jeden doczekał się dotąd dzieła doskonałego, które i jako żywot i jako sąd o dziełach jest zupełnie wyczerpujące: jest to Ant. Małeckiego Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki.

W SZWAJCARYI.

I. Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II. W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic jej nie zburzy i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie, na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.

I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy.
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

. . . . . .

IV. Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią!
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była co chce zrobić ze mną.

. . . . . .

VIII. Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O! moja luba, tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX. Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świeciło,

I wiele wiszeń na około rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić....
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie....
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

. . . . . .

XVI. Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyany;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklany;
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

. . . . . .

XXI. Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali.... zaszeleści złotem,
I załaskoce tak duszę tajemnie,
Że stęskni, ocknie się, i wyjdzie za mnie.

BALLADYNA.

Tragedya w 5 aktach.

Popiel IV strącił z tronu starszego brata Popiela III, a po ucieczce tegoż ze stolicy, dzieci jego okrutnie zgładził ze świata. Dawny książę żyje w lesie jako pustelnik, do chaty jego często przychodzą ludzie z prośbą o radę lub pomoc. Przybywa tedy do niego Kirkor, młody i dzielny rycerz, z prośbą o radę, kogo ma pojąć za żonę, ażeby sobie zapewnić szczęście. Pustelnik radzi mu poślubić dziewczynę wiejską, a wybór zdać na przypadek; niech idzie za pierwszą jaskółką i do tej chaty wejdzie, pod której belką ptaszę gniazdko ulepiło.

Aktu I scena 2.

(Las. Widać jezioro Gopło. Skierka i Chochlik wchodzą).

Skierka. Gdzie jest Goplana, nasza królowa?
Chochlik. Śpi jeszcze w Gople.
Skierka. I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją w jezioro,
Tak, że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków?
Chochlik. Zanadto skoro
Zbudzi się jędza i będzie
Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołędzie
Wkładać jaja motylic; to pomagać mrówkom
Budującym stolice i drogi umiatać
Do mrownika wiodące; to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki.
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Na przekor ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągle trąbić do ucha naukę: nie kradnij;
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.
Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.
Skierka. Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku! *(Patrzy na jezioro)*
Ach patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;

Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie.
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

Chochlik. Ona ma wianek na głowie.
Czy to kwiaty? czy sitowie?

Skierka. O nie — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki.
Tak powiązane za nóżki
Kiedyś, w jesienny poranek,
Upadły na dno rzeczułki:
Rzeczułka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany
Na złote włosy Goplany.

Chochlik. Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany;
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać:
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi; lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów.... lub malować pawie.

Skierka. Więc uciekaj.... ja się bawię.
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka;
Ożyły — pierzchły — i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha,
Zadziwiona stoi, słucha;
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych; nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano? *(Wchodzi Goplana).*

Goplana. Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mój wianek.

Chochlik. Już się zaczyna praca. *(Odchodzi, mrucząc).*

Goplana. Czy to jeszcze rano?

Skierka. Pierwsza wiosny godzina.

Goplana. Ach! gdzież mój kochanek?

Skierka. Co mi rozkażesz, królowo?
Zadaj piękną jaką pracę:
Winąć tęczę kolorową
Albo budować pałace,
Powojami wiązać dachy
I opierać kwiatów gmachy
Na kolumnach malw i dzwonów
Lazurowych.
Goplana *(zamyślona)*. Nie!
Skierka. Chcesz tronów
Z wypłakanych nieba chmurek?
Czy ci przynieść pereł sznurek?
Z owych pereł, które dają
Lep na ptaszki; ale mają
Takie blaski, takie wody,
Jak kałakuckie jagody.
Chcesz, lecę na trzęsawice,
Dojrzę — dogonię — pochwycę
Błędnego moczar ognika;
I zaraz w lilijkę białą
Oprawię jak do świecznika
I nakryję białym dzwonkiem,
By ci świecił.... Czy to mało?
Rozkaż, pani! co pod słonkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę:
Drzewa, kwiaty, światło, rosę —
Co nad ziemią, w ziemi łonie:
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czem kiedy śniły
Myśli twoje, w jezior burzy
Kołysane.
Goplana. Skierko miły,
Ja się kocham.
Skierka. W czem? czy w róży
Bezcierniowej? czy w kalinie?
W cztero-listnej koniczynie?
Może w kwiatku: *niech Bóg świeci*,
Który posadzi macocha
Na grobie mężowskich dzieci?
Może w Magdaleny nitce,
Co bez wiatru leci płocha?
Może w białej margierytce,
Co piątym listkiem *nie kocha*
Zabiła młodą pasterkę?
W czem się kochasz? poślij Skierkę!
A przyniesie ci kochanka
I wplecie do twego wianka;
I będziesz go wiecznie miała,

Pieściła i całowała
Do przyszłej wiosny poranka,
Do drugiego kwiatów wieku.

Goplana. Ach! ja się kocham, kocham się w człowieku.

Opowiada Goplana, jak ubiegłej zimy zakochała się w Grabcu, który przypadkiem wpadł był w wyrąbaną przez rybaków »przełomkę« na zamarzniętem jeziorze. Na to nadchodzi Grabiec, ale pomimo najczulszych słów Goplany, ucieka przed tem »stworzeniem z mgły i galarety«; więc Goplana narzeka:

Niech słońce gaśnie, niechaj gwiazdy toną
W bezdrożne niebo! niechaj róże więdną!
Co mi po słońcu, po gwiazdach, po kwiatach?
Wolę je stracić, niż kochanka stracić.
Co mam potęgi, co nadprzyrodzonej
Siły nad światem, to obrócę na to,
Aby to serce podbić i mieć mojem.
Skierko! Chochliku! *(Skierka przybiega).*
Czy słyszałeś, Skierko,
Moją rozmowę z kochankiem? aniołem?

Skierka. Nie karz.... ciekawość.... szczera moja skrucha,
Biały powoju kwiatek uszczyknąłem,
I końcem rożka włożywszy do ucha,
Słyszałem.... przez kwiat.

Goplana. Gdzie Chochlik?

Skierka. Leniwy,
Ciągnie się z wiankiem. *(Wchodzi Chochlik z wiankiem).*

Goplana. A wstydź się, Chochliku!
Patrz, coś ty narwał chwastu i pokrzywy,
Brzydkich piołunów, koniczyn, trawniku.

Skierka. Pozwól mi, pani, niech ja go wysiekę
Za taki wianek.

Chochlik. Ej, ja cię urzekę.

Goplana. Słuchajcie mię cicho, dyabliki.
Oto, Chochło, polecisz za moim kochankiem!
Idź przy nim, przed nim, za nim, jak skoczne ogniki,
I błąkaj po murawach, tak, by przed porankiem
Nie trafił do mieszkania ani do tej chaty,
Gdzie mieszkają dwie piękne dziewczęta, dwa kwiaty,
Córki wdowy.... Rozumiesz.... a o wschodzie słońca
Tu miłego przyprowadź.

Chochlik. Będę go bez końca
Błąkał i sadzał w błocie... cha! cha! cha! cha! cha! cha!
(Odchodzi).

Goplana. A ty, mój Skierko, leć na mały mostek,
Gdzie jest mogiła samobójcy stracha.
Ukryj się w łozy zarostek.
Za godzinę przez ten mostek

Będzie jechał pan bogaty,
Ustrojony w złote szaty,
Jak do ślubu — bez oręży,
I kareta złotem błyska,
I pięć rumaków w zaprzęży;
Cztery kare i klacz biała,
Przodem lecąc iskry ciska.
A na mostku wypróchniała
Leży belka drżąca, śliska.
Czy rozumiesz?

Skierka. Wywrócić?

Goplana *(skłaniając głowę)*. Lecz nie szkodzić żywym,
Ani ludziom ni koniom.

Skierka. A potem?

Goplana. Tego pana w płaszczu złotym
Hymnem wiatru, czułym, tkliwym,
Zaprowadzić aż do chaty,
Gdzie mieszka uboga wdowa
I dwie młode córki chowa.
Uczyń tak, by pan bogaty
Wziął tam żonę i we dwoje
Odjechał złotą karetą.
Luby Skierko! dziecię moje! *(Skierka odlatuje)*.
Więc rozesłałam Sylfy; niechaj pracują
Na moje szczęście. Teraz nie idzie o to,
Aby wojskami kwiatów zdobywać niwy;
Nie kwiatów strzec mi teraz, nie tęczę winąć,
Ani słowiki uczyć piosenek ani
Budzić jaskółki wodne, kocham! ginę!
A jeśli on mnie kochać nie będzie? cała
W mgłę się rozpłynę białą i spadnę łzami
Na jaki polny kwiat i z nim uwiędnę.
(Rozpływa się w powietrzu).

Scena 3.

(Chata wdowy. — Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami).

Wdowa. Zakończony dzień pracy, moja Balladyno.
Twoje rączki od słońca całe się rozpłyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą.

Alina. Nie, nie, nie! jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoją główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osa
Do białych kwiatów, ani go od włosa
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki

Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła,
O biedna matko!

Wdowa. Dobre moje córki,
Z wami to nawet ubożyzna miła;
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem — a kto wie? a może
Już o was słychać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewic — niech i kuchta dworu
Albo koniuszy, zajeżdża karetą...
I mówi do mnie: poczciwa kobieto,
Daj mi za żonę jedną z córek. Panie!
Weź Balladynę, piękna jak dziewanna —
Tobie się także, Alino, dostanie
Rycerz za męża; ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą. —
W rzeczułkach woda goni się za wodą,
Mój królewicu, żeń się z Balladyną.

Balladyna. Gdzie ty mój grzebień podziałaś, Alino?
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.

Alina. Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha.

Matka *(do Bal.)*. Dobrze ty mówisz! chata taka licha,
A mnie się marzy Bóg nie wie co. Ale
Bogu się także w wiekuistej chwale
Musi coś marzyć... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia.

Balladyna. Ach! słychać jakiś turkot na rozłogu,
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia.
Pięć koni... złota kareta... ach kto to?
Jedzie aleją. Jak to pięknie złoto
Między drzewami błyska. Ach! mój Boże,
Co im się stało? śród naszego mostu
Powóz prrr... stanął... i ruszyć nie może.

Wdowa. Pewnie chcą konie napoić...

Balladyna. Ot właśnie
Pan poi konie na drodze po prostu.

Wdowa. Ha! jeśli pić chcą.

Alina. Już słoneczko gaśnie,
Trzeba zapalić sosnowe łuczywo...

Balladyna *(biegnąc od okna)*. Ach lampę zaświecić... ach lampę...
[co żywo!...
O! gdzie mój grzebień? *(Słychać pukanie do drzwi)*.

Wdowa. Cóż to? co? ktoś puka.
Otwórz, Balladyno.

Balladyna. Niech siostra otworzy.

Wdowa. Prędzej otwórzcie, ktoś do chaty stuka.

Alina. Ach! ja się boję...

Wdowa. Niech wszelki duch Boży
Boga wychwala... ja odemknę chatę.
(Patrzy przez dziurkę od klucza).
O! jakie stroje złocisto-bogate. *(Otwiera).*
Czy w imię Boga? *(Kirkor wchodzi).*
Kirkor. Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod mojem załamał się kołem —
Szukam schronienia.
Wdowa. Proszę poza stołem,
Mój królewicu, siadać, proszę siadać.
Chata uboga — raczyłeś powiadać,
Że powóz... O! to nieszczęście! Dziewczęta!
To moje córki, jasny królewicu...
A to już dawno człowiek nie pamięta
Takich przypadków, chyba przy księżycu,
Młynarz, co jechał przeszłej wiosny.
Balladyna. Matko,
Dosyć — daj panu mówić.
(Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów).
Kirkor. Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń... Czy to córki
Wasze grywają na lutni?
Wdowa. Przepraszam,
Nie, królewicu.
Skierka. Z niewidzialnej chmurki
Sympatycznymi kwiaty poukraszam
Obie dziewice, bo moja królowa
Nie powiedziała, do której nakłonić
Serce Kirkora. Muzyka echowa
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;
A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje,
Że jednem sercem dwa serca pokocha.
(Wkłada wieńce kwiatów na głowę dziewicom. — Słychać muzykę).
Wdowa. Może królewic chce odpocząć trocha...
Kirkor *(z zadziwieniem i niespokojnością).*
Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne
Słyszę... Dziewice, wasze to są pieśni?
Słyszę śpiewanie...
Alina. Czy się panu nie śni?
Tu w chacie... cicho...
Kirkor. Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego!...
Skierka *(na stronie).* Czar działa...
Kirkor. Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?...
To z pewna wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczora, dają takie wonie?

Balladyna. Lecz my nie mamy wieńców.
Sługa Kirkora *(wchodzi bogato ubrany)*. Naprawione
Koło w powozie...
Kirkor. Wyprząc z dyszla konie,
Ja tu zostanę... *(Sługa odchodzi)*.
Wdowa. Cóż to za zjawienie?
Królewic w chacie! Na jakiem on sienie
Spać będzie?... Jemu listki róży cisną...
Kirkor *(do siebie)*. Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary!
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną,
Gdzie dach słomiany...
Skierka *(do siebie)*. Zakończone czary...
Kirkor *(do wdowy)*. Słuchajcie, matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa... O! gdybym dwa trony!...
Ach! powiem raczej, gdybym miał dwa serca!
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę...
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać... Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach? czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia. Dziś nie umiem
Wybrać...
Wdowa. Ja ciebie, panie, nie rozumiem!...
Kirkor. Proszę o rękę jednej z córek... może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach?... Otóż Kirkor... to ja!...
Proszę o jedną z córek.
Wdowa. Córka moja?...
Ja dwie mam córki — ale Balladyna...
Kirkor. Czy starsza?
Wdowa. Tak jest... a młodsza Alina
Także jak anioł...
Kirkor *(do siebie)*. Jaki wybór trudny!
Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny,
Niby listkami brzoza przyodziana;
Ta z alabastrów — a ta zaś różana —
Ta ma pod rzęsą węgle — ta fijołki —
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem...
Skierka *(śpiewa do ucha wdowy)*. Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.

Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

Wdowa. Coś matce staruszce
Przyszło do głowy... Mój ty królewicu!
Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny
I niechaj malin szukają po lesie;
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.

Kirkor. Wyborna rada.. O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczem nieskłócone,
Dni rozkoszami przeplatane z cnotą.
Tak, moja matko, niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor... Sądź sam, wielki Boże!

Wdowa. Królewic znajdziesz w tej chateczce łoże,
Pachnące siano, zakryte bielizną.
Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka... proszę do alkowy.

Kirkor *(klaszcze, wchodzi sługa)*. Przynieś z powozu puhar kry-
[ształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo. *(Sługa odchodzi)*.
Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone...

(Odchodzi do alkowy, poprzedzany przez wdowę).

Alina. Siostrzyco moja, o! jakież to dziwo,
O! jakie szczęście!

Balladyna. Jeszcze nie złowione!
To szczęście, siostro, może nie dla ciebie...

Alina. O! moja siostro! wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową;
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowej siostrą.
A tobie trzeba jutro wziąć się ostro
Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą... czy tam... twój kochanek...

Balladyna. Milcz!...

Alina. Ha, siostrzyczko? a ja wiem dla czego
Malin nie zbierasz...

Balladyna. Co tobie do tego?

Alina. Nic... tylko mówię, że jabym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,

Ani dla króla... A gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To jużby żaden Kirkor...
Balladyna. Nie chcę rady
Od głupiej siostry.

(Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala świeczkę i ukrywszy ją w dłoni wychodzi).

Alina. Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką... O! mój wielki Boże,
Co tam pan Grabek powie na te zdrady?...
(Klęka). Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste,
A przysięgając, nie złamię przysięgi...
Boże, ptaszęta u twojej potęgi
Mogą uprosić o wiszenkę czarną,
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpię... wszędzie czerwone maliny...
(Siada na ławie i usypia).
Skierka *(śpiewa).* Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny,
A ja lecę do Goplany... *(Odchodzi).*
Alina *(przez sen).* Wszędzie maliny! maliny! maliny!

Z aktu II scena 1.

(Las przy jeziorze Gople. — Wschód słońca. — Chochlik i Grabiec, w czerwone błoto trzęsawic uwalany i dobrze podpiły).

Grabiec. Nie pójdę krokiem dalej.
Chochlik. Ale tu już blisko,
Do twojego domostwa.
Grabiec. Moje czarne psisko,
Nie wierzę tobie... bo mię błąkasz, sadzasz w błocie
I wykręcasz ogonem... Nie, mój czarny kocie,
Chciałem ciebie pogłaskać, a ogień wytrysnął...
Spać chcę.
Chochlik. Zażyj tabaki!...
Grabiec *(trzymając się dębu).* Patrz, dąb mię uścisnął;
I nie dziw, dąb przyjaciel grabiny... Mój dębie,
Wierz mi, że cię szacuję; co w sercu, to w gębie.
Chochlik. Chodźmy dalej...
Grabiec. Znalazłem dęba przyjaciela;
Choćbyś mi raj pokazał, gdzie Bóg wróble strzela,
To nie porzucę dębu, co się cały chwieje
I potrzebuje wsparcia. — Patrz, biedaczek mdleje.
Tu psie! tutaj z latarnią! zgubiłem dębinę.
Ha! dąb uciekł... nie poznał mnie... obrosłem w trzcinę,
Siedząc w błotach noc całą...

Chochlik. Chodźmy do karczmy.
Grabiec. Na to
Masz ze mnie przyjaciela — na to jak na lato...
Nie... to już nie przystoi...
Skąd ty masz tabakę?
Chochlik. Od pana Lucyfera.
Grabiec. Ty mi świecisz bakę...
Przepraszam ciebie bardzo, żem cię zawiódł w błota;
Siedzieliśmy w kałuży po uszy jak cnota
I kichali — kichali... mój nos w nos waćpana.
Chochlik. Pamiętasz, co nam trzcina mówiła?
Grabiec. Kochana!
Przyszła na pomoc...
Chochlik. Trzcina ratowała dudę...
Grabiec. Ja zawsze obwiniałem trzciny o obłudę...
Chochlik. Chodź dalej!
Grabiec. Spać chcę.
Chochlik. Lepiej wleź na dąb.
Grabiec *(śpiewa)*. »Na dębie
Siedzą gołębie,
Na stawku pływają kaczki...«
Jeżeliś przyjacielem, to zanieś do praczki
Moje spodnie...
Chochlik. Co? jak to? chcesz spać bez szlafmycy?
Grabiec. Nie chcesz? to idź do dyabła, kocie czarownicy.
Chochlik. Dobrej nocy...
Grabiec. Dobranoc, dobranoc, psie miły.
Szedłbym jeszcze do karczmy, ale nie mam siły.
Dobranoc... *(Zasypia)*.
Chochlik. Co za głupie stworzenia ci ludzie!
Spił się, cały w czerwonej umazgał się rudzie
I śpi; niech sobie teraz nadchodzi Goplana.
Goplana *(wchodzi ze Skierką)*. Gdzie on? ach! zasnął... Niech [zorza różana
Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;
Lecz niech się zorza na poły zasmuci
I płaczem rosy tak słońce przesłoni,
Aby łagodne powiek nie raziło...
A ty, Chochliku, weźmij z hojnej dłoni
Twoję nagrodę.
Chochlik *(biorąc dar)*. Orzech świstun, zgniłą
Pełny tabaką... dzięki ci, królowo;
Przez dwa dni będę częstował hiszpanką
Chłopstwo pijane...
Goplana *(do Skierki)*. Któraż jest kochanką
Kirkora?
Skierka. Obie.
Goplana. O szalona głowo!

Skierka. Przyjdą do lasu szukać malin obie,
Jak ci mówiłem...
Goplana. Poradź mi, co zrobię?
Skierka. Spuść się na czarne Balladyny serce;
Zazdrość widziałem w maleńkiej iskierce,
Więcej niż zazdrość...
Goplana. Cóż robiły w nocy?
Skierka. Alina Boskiej wzywając pomocy
Usnęła cicho, marząc o malinach;
A Balladyna zapaliła świecę
I wyszła, bo ktoś zaklaskał w osinach.
Leciałem za nią śledzić tajemnicę
Nocnej przechadzki... Jako mgliste mary
Szła po murawach i drżąca i cicha;
A płomyk świecy przez różowe szpary
Białych paluszków, jak z róży kielicha
Błyskał i gasnął, to błyskał, to gasnął.
Zbudził się ptaszek w osinach i zasnął,
Tak cicho przeszła wietrznymi poloty,
Tak cicho przeszła... Ćmy wianeczek złoty
Zwinął się, leciał nad dziewicy głową.
Stanęła... słucham... ona ciche słowo
Wmięszała w szmery listeczków osiny...
Ktoś odpowiedział...
Goplana. Może Balladyny
Drużka?
Skierka. Nie, pani.
Goplana. Kto?
Skierka. Mamże powiedzieć?
Goplana *(pokazując na śpiącego Grabka)*. On?
Skierka. Tak.
Goplana *(do Chochlika)*. Chochliku!... Kazałam ci śledzić,
Przeszkodzić.
Chochlik. Dyabeł kochankom przeszkodzi.
Goplana. Zamknij Chochlika, Skierko, w muszli żabiej
I na jezioro puść by kota w łodzi.
Chochlik. O! pani! pani! lepiej ty mię zabij!
Goplana. Zabić nie mogę, lecz mogę ukarać...
Skierka. Pójdź, panie Chochło, o łódkę się starać.

(Chochlik, przekrzywiając się jak krnąbrne dziecko, odchodzi za Skierką).

Goplana *(sama)*. Więc on ją widział... on ją widział nocą;
Przekleństwo! wczoraj widział ją w osinie.
Niechaj te gwiazdy nigdy się nie złocą,
Co im świeciły! Niech ten miesiąc ginie!
Niechaj anielskiej drogi mleczne stopnie
W proch się rozsypią!... On był tam? — okropnie!

Jak go ukarać?... Niechaj wrośnie wszystek
W płaczącą wierzbę, korą się odzieje,
Niech się na drzewie skłoni każdy listek,
Jakoby smutny przewinieniem spadał
I płakał... Luby, gdy cię tak zobaczę,
Że będziesz płaczem na płacz odpowiadał,
To będę płakać, ach! że wierzba płacze.

Skierka *(wraca)*. Zamknięty w muszli po strumykach skacze,
I na jezioro wyjeżdża w powozie
Nieboszczki żaby.

Goplana. Wytnij rózgę w łozie.

(Skierka podaje Goplanie pręcik).

Obudź się teraz! obudź się, kochany!
Powiedz dla czego?...

Grabiec *(senny)*. Śpię... bo jestem pijany.

Goplana. Powiedz, dla czego jak miłosny słowik
Piosnką wieczora?...

Grabiec *(śniąc na pół)*. Podaj mi borowik
I włóż pod głowę za poduszkę... a nie?
To idź do stawu, rybo, koczkodanie.

Goplana. Więc poznaj władzę Goplany!
Wrośnij w ziemię i z tej ziemi
Wyrośnij korą odziany
I liściami płaczącemi.

(Grabiec tonie w ziemię, wierzba na tem miejscu wyrasta).

Rośnij, wierzbo płacząca!
Skarż się, gdy ptaszek trąca,
Gdy cię strumyk podrywa;
Kiedy wietrzyk rozniesie
Twoje listki po lesie.
Skierko! przyślij słowika, niech tej wierzbie śpiewa
Słowa miłosne i niech ją nauczy
Kochać i płakać;
Ale niech żaden dziób kruczy
Nie śmie nad nią smutnie krakać
Pieśni pogrzebu,
Bo ta wierzba nie umarła.

Skierka. O! jakże pięknie listki rozpostarła!
Jak się kłania kwiatom, niebu.
Wierzba wyrosła z człowieka,
I piękniejsza niż był człowiek.

Goplana. Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka,
Niechaj sękowem okiem z pod korzanych powiek
Upatruje dziewicy...

Skierka. Widzę dwie dziewczyny.
Niosą na głowach czarne dzbanki z gliny.
Szukają malin.

Goplana. Skryjmy się w gęstwiny.

(Goplana i Skierka kryją się. — Alina wchodzi z dzbankiem na głowie).

Alina. Ach! pełno malin — a jakie różowe!
A na nich perły rosy kryształowe.
Usta Kirkora takie koralowe
Jak te maliny... Fijołeczki świeże
Wzdychacie próżno, bo ja nie mam czasu
Zrywać fijołków — bo siostrzyczka zbierze
Dzban pełny malin i powróci z lasu
I weźmie męża; a ja z fijołkami
Zostanę panną... Choćbyście wy były,
Fijołki moje, złotymi różami,
Wolę maliny. *(Śpiewa, szukając malin).*
Mój miły! mój miły!
Złoty, wielki pan.
Mojemu miłemu
Niosę malin dzban.
Bo on woli, mój kochanek,
Taki pełny malin dzbanek,
Niż zbożowy łan. Och!
Niż zbożowy łan.

(Odchodzi w las. — Wchodzi Balladyna z dzbankiem na głowie).

Balladyna. Jak mało malin, a jakie czerwone,
By krew. — Jak mało — w którą pójdę stronę,
Nie wiem... a niebo jakie zapalone,
Jak krew... Czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek...
Gdzie moja siostra?... musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek,
A ja śród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.
Alina *(z głębi lasu).* Siostrzyczko moja! siostrzyczko kochana!
A gdzie ty?...
Balladyna. Jaki śmiech w Aliny głosie.
Musi mieć pełny dzbanek.
Alina *(wchodzi).* Cóż, siostrzyczko?
Balladyna. Co?...
Alina. Czy masz pełny dzbanek?
Baladyna. Nie!...
Alina. Balladyno,
Cóż ty robiłaś?
Balladyna. Nic!...
Alina. To źle, różyczko,
Ja mam dzban pełny mniej jedną maliną.
Balladyna. Weź tę malinę z mego dzbanka.

Alina. Miła
Siostrzyczko moja, powiedz, gdzieżeś była?
Wyszłyśmy razem, miałaś dosyć czasu!
Wszak ja ci, siostro, nie ukradłam lasu.
Dla czegoż teraz z taką białą twarzą?
I z przyciętymi ustami...
Balladyna. Wyłażą
Z twojego dzbanka maliny jak węże,
Aby mię kąsać żądłami wymówek.
Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże,
Jak wół do pługa, będzie tłoczyć olej
Z kolących siemion i z brzydkich makówek.
Alina. A wstydź się, siostro! proszę cię, nie bolej
Nad mojem szczęściem.
Balladyna. Cha! cha! cha!
Alina. Co znaczy
Ten śmiech okropny? siostro, czy ty chora?
Jeżeli wielkiej doznajesz rozpaczy,
To powiedz... Ale ty kochasz Kirkora?
Ty bardzo kochasz? Siostro! powiedz szczerze!
Bo widzisz, rybko, są inni rycerze,
Jak będę panią, to ci znajdę męża...
Balladyna. Ty będziesz panią? ty! ty? *(Dobywa noża).*
Alina. Balladyna!
Co ten nóż znaczy?...
Balladyna. Ten nóż?... to na węża
W malinach.
Alina. Siostro, jesteś blada, sina.
Kalinko moja! co tobie? co tobie?
Czemu ty blada? ach! jak to okropnie!
Przemów choć słówko! Usiądźmy tu obie
I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,
Jak dwie siostrzyczki. *(Siadając na murawie).*
Ja kocham Kirkora,
Ach, nie dlatego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty;
A jednak miło mi, że chodzi w złocie,
Że miecz ma jasny, służebników krocie;
Bo to jak rycerz w bajce, co się rodzi
Z wielkiego króla i w lesie znachodzi
Jakąś zaklętą królewnę...
Balladyna *(wstając z pomieszaniem).* Och!...
Alina *(wstając).* Miła!...
Co tobie?...
Balladyna *(ze wzrastającem pomieszaniem).* Gdybym cię, siostro, [zabiła?...
Alina. Co też ty mówisz?...

Balladyna. Daj mi te maliny!
Alina. A kto wie, siostro? gdybyś poprosiła,
Pocałowała usteczka Aliny,
Możebym dała?... spróbuj, Baladynko...
Balladyna. Prosić?...
Alina. Inaczej, żegnaj się z malinką.
Balladyna *(przystępując)*. Co?...
Alina. Bo też widzisz, siostro, że ten dzbanek,
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje...
Balladyna *(z wściekłością natrętną)*. Oddaj mi ten dzbanek.
Alina. Siostro!...
Balladyna. Oddaj mi, bo...
Alina *(z dziecinnem naigravaniem się)*. Bo!... i cóż będzie?
Bo?... Nie masz malin, więc suche żołędzie
Uzbierasz w dzbanek — czy wierzbowe liście?
I tak... ja prędzej biegam i przez miedzę
Ubiegnę ciebie...
Balladyna. Ty?...
Alina. A oczywiście.
Że ciebie w locie, siostrzyczko, wyprzedzę.
Balladyna. Ty?
Alina. O, nie zbliżaj się do mnie z takiemi
Oczyma?... Nie wiem... ja się ciebie boję.
Balladyna *(zbliża się i bierze ją za rękę)*. I ja się boję... połóż [się na ziemi...
Połóż! ha! *(Zabija)*.
Alina. Puszczaj!... och!... konam... *(Pada)*.
Balladyna. Co moje
Ręce zrobiły?... O!...
Głos z wierzby. Jezus Marya!
Balladyna *(przerażona)*. Kto to?... zawołał ktoś?... czy to ja
Za siebie samą modliłam się?... Żmija, [sama
Kobieta, siostra — nie siostra. Krwi plama
Tu, i tu, i tu! *(Pokazując na czoło, plami je palcem)*.
I tu. — Któż zabija
Za malin dzbanek siostrę?... Jeśli z bora
Kto tak zapyta, powiem — ja. — Nie mogę
Skłamać i powiem: Ja! — Jakto ja?... Wczora
Mogłabym przysiąc, że nie... W las! w las!... w drogę!
Wczorajsze serce niechaj się za ciebie
Modli. — Ach! jam się wczoraj nie modliła.
To źle! źle! — dzisiaj już nie czas... Na niebie
Jest Bóg... zapomnę, że jest; będę żyła,
Jakby nie było Boga. *(Odbiega w las)*.

Scena 2.

(Ganek przed chatą wdowy, ocieniony lipą. — Wdowa i Kirkor siedzą na ławie).

Kirkor. Nie widać córek...
Wdowa. Wrócą, panie! wrócą
Jedna za drugą jak dwie gąski białe,
Jedna za drugą. Ach! łzy mi się rzucą
Ze starych oczu, na Chrystusa chwałę,
Gdy je zobaczę...
Kirkor. Któraż pierwszą będzie?
Czy Balladyna?
Wdowa. Pewnie Balladyna.
Wszak ona pierwsza w kościele i wszędzie
Pierwsza... z organem piosenkę zaczyna.
Alina także pierwsza.
Kirkor. Więc Alina
Może powróci?
Wdowa. Ha! może Alina,
Bogu to wiedzieć.
Kirkor. Czy wiesz, moja stara,
Żem niespokojny o twoje dziewczęta.
Wdowa. To i ja właśnie... jakaś niby mara
W głowę mi wlazła. Choć nikt nie pamięta,
Aby na wiosnę kiedy być nie było
Malin... A gdyby się też przytrafiło,
Że nie ma malin... tak marzyłam wczora,
Nim sen przyleciał; gdyby też śród bora
Nie było malin? — potem sama sobie
Mówiłam: głupiaś — wszakże koń przy żłobie,
Gdy niema owsa, to zajada siano;
Jeśli dziewczęta malin nie dostaną,
To nazbierają poziomek. — Wy króle,
Może wam w zamkach nie znać, co poziomka,
A co malina, co siano a słomka,
A co są dziuple, a co pszczelne ule.
Wam tylko złoto, złoto, zawsze złoto...
Kirkor. Ach! nie wierz temu — nieraz my zgryzotą
Trapieni w zamkach dni pędzimy liche.
Po stokroć, matko, wolę twoje ciche
I wiejskie życie... Miło na tym ganku
Czekać wieśniaczej małżonki. Jak lubo
Kołysze sercem ten powiew poranku!
Ty taka dobra, choć masz szatę grubą.
Wdowa. To mój świąteczny przecie ubior — proszę!
Cycowa suknia! tylko w święto noszę
Takie ornaty... Wraca Balladyna.
Kirkor. Gdzie?

Wdowa. O! nie widać; lecz matce wiadomo.
Patrz, panie! oto jaskółeczka sina,
Zamiast wylecieć, kryje się pod słomą
I cicho siedzi... Gdyby zaś Alina
Wracała z gaju, tobyś to, mój panie,
Usłyszał w belkach szum i świegotanie,
Jedna za drugą pyrr... pyrr... lecą z gniazdek
Do tej dziewczynki i nad nią się kręcą,
Niby chmureczka małych, czarnych gwiazdek
Nad białą gwiazdką...
Kirkor. Dla czegoż się nęcą
Ptaszki do młodszej córki?
Wdowa. Któż to zgadnie?
Idzie Balladyna, widzisz?
Kirkor. Jak jej ładnie
Z tym czarnym dzbankiem na głowie.
(Balladyna wchodzi ze spuszczoną głową).
Dziewico!
Oddaj mi dzbanek, ja ci zaś na wzajem
Daję pierścionek...
(Bierze dzbanek, Balladyna odwraca głowę — Kirkor kładzie na jej palec pierścionek).
Wdowa. Brylanciki świecą.
Kirkor. Oby nam życie było słodkim rajem.
Idź do komnaty, starym obyczajem,
Niechaj ci warkocz zaplatają swatki,
Niechaj świeżymi przetykają kwiatki,
A za godzinę, drżącą, uwieńczoną,
Wezmę z rąk matki i będziesz mi żoną.
Kareta czeka, po księdza pojadę. *(Odchodzi).*
Balladyna. Och!
Wdowa. Czegoż wzdychasz? i coś niby blade
Usteczka ściskasz?
Balladyna. Matko moja droga,
Nie wiem, jak wyznać?
Wdowa. Cóż, córeczko miła?
Czy ty już drżąca od łożnicy proga
Chciałabyś uciec jak sarneczka?
Balladyna. Siła
Złego mam donieść...
Wdowa. Co?
Balladyna. Ach! nie dasz wiary?
Ale Alina. — Ach... ta siostra młoda
I tak kochana — Ach! jaka jej szkoda!
Wdowa. Co, córko?
Balladyna. Bo też psułaś ją bez miary.
Twoja to wina, że dziś...

Wdowa. Mów, bo skonam.
Balladyna. Lękam się mówić, może nie przekonam
Ślepej miłości, matki przywiązania.
Lecz któżby myślał, że ta młoda łania
Ucieknie...
Wdowa. Córko... Alina?
Balladyna. Uciekła...
Wdowa. Gdzie... jak? z kim? Boże! Matki się wyrzekła!
Balladyna. Ach, przewidziałam dawno, że tak będzie,
Jakiś obdarty młokos chodził wszędzie
Za tą dziewczyną, szeptał jej do ucha.
Napominałam. — Wiesz, jak ona słucha
Kazań od siostry? I dziś... z nim uciekła...
Wdowa. Wyrodne dziecko! Więc idź aż do piekła!
Nie pomyślałaś na te stare oczy,
Że będą płakać — dobrze, bo nie będą
Płakać po tobie. — Bo matka ma smoczy
Płód zamiast serca, można serce krajać,
To się kawałki węża znowu sprzędą,
Jak płótna kawał... Chciałabym ją łajać...
Przeklinać... dręczyć... Ot wiesz, że te oczy
Jak noże, ot tak... wlepiłabym w łono,
Jak noże... tylko bez tej łzy, bo mroczy.
Możebyś ty mnie widziała szaloną,
Ale co płakać... Nie! nie! nie! *(Płacze łkając).*
Balladyna. Mój Boże!
I tak zasmucić!
Wdowa. O! i tak zasmucić!
Balladyna. Zasmucić matkę starą?
Wdowa. O! mój Boże,
Tak starą... Ale ona może wrócić.
Kto wie!... Nieprawdaż? ona wrócić może?
Jak sama kiedy siądzie przy oświatce
Nocą — pomyśli: gdzie matka? a jużby
Serca nie miała, żeby też o matce
Nie pomyślała nigdy...
Balladyna. Idą drużby...
(Słychać weselną muzykę).
Wdowa. Jak oni grają smutnie i wesoło.
Ty teraz skarbem moim — daj mi czoło,
Niech pocałuję... Cóż to! jakaś plama
Jak krew czerwona?
Balladyna *(z przerażeniem).* Krew?
Wdowa. To od maliny
Może... daj... zetrę.
Balladyna *(ścierając).* Matko... zetrę sama.
Wdowa. Jeszcze jest.
Balladyna *(trąc czoło)* Teraz?

Wdowa. Jeszcze — jak rubiny
W twoim pierścionku pięknie sobie świeci.
Balladyna *(na nowo usiłując zetrzeć)*. A teraz?
Wdowa. Jeszcze jest — by na osieci
Listek czerwony.
Balladyna. O! o! to okropnie!
Wdowa. Daj mi tu czoło, a zetrę roztropnie.
Może to ranka... *(Wspina się na palcach)*.
Balladyna. Matko, nie dotykaj
Tej plamy.
Wdowa. Czy cię boli?
Balladyna. Nie — nie boli.
Wdowa. Przyniosę wody z pod owej topoli,
Gdzie piją wróble. *(Odchodzi)*.
Balladyna. Plamo krwawa, znikaj!

(Wchodzą swaty i drużki, ustrojeni, z muzyką, zbliżają się do Balladyny, ta odwraca twarz).

Swaty *(śpiew)*. Nie odwracaj czoła,
Wstydliwa dziewczyno;
Mąż na ciebie woła,
Młodziutka kalino.
Nie odwracaj czoła...
Dziewice *(śpiewają)*. Chcą nam ciebie wydrzeć swaty;
Niech cię bronią białe kwiaty
Twego wianka...
Swaty *(śpiewają)*. Kwiaty ciebie nie obronią
Ni białością ani wonią
Od kochanka.

(Dziewice podają Balladynie kosze z kwiatami).

Balladyna. Precz! precz! — Odkąd zaczęły kwitnąć białe róże
Z czerwonemi plamami?... Wynieście te kosze.

(Ucieka do chaty).

Jedna z dziewic. Pogardziła kwiatami, które ja przynoszę,
Ja, dawna przyjaciółka.
Jeden z młodzieńców. Patrzcie, w pyłu chmurze
Błyska złota kareta, jedzie Kirkor z księdzem.
Drugi z młodzieńców. Przy tej karecie słońce zdaje się mosiędzem.

Z aktu III scena 1.

(Dom wdowy dopalający się — przed pogorzeliskiem garstka wieśniaczego ludu).

Pierwsza kobieta. Oj widzicie, jak dyabły ludziom szczęście noszą.
Ta nędzarka, ta wdowa ze swoją kokoszą
W złotej karecie błotem na nas biednych bryzga.
Druga kobieta. Oj prawda, że to gorzko, nam się to wyślizga,
Co się drugim dostało.

Starzec. A ja wam powiadam,
Że staruszka poczciwa, sam nasz ojciec Adam
Mógłby ją wziąć za żonę, lepiej mu przypadła
Niż Ewa.
Pierwsza kobieta. Bo bez zębów, jabłek by nie jadła.
Starzec. Pamiętajcie, że ona ubogie leczyła,
Ty sama, co tu wrzeszczysz, moja pani miła,
Już by cię dawno szatan pojął do swej chwały,
Gdyby nie ta staruszka.
Druga kobieta. I mój Stasiek mały
Także jej winien życie, więc jej nie zazdroszczę,
Dalibóg nie zazdroszczę; wóz sianem wymoszczę
I pojadę w zamczysku odwiedzić staruszkę.
Dziewczyna. I Balladynie miło będzie widzieć drużkę.
Pojadę z tobą, matko.
Druga kobieta. Jak chcesz, moje dziecię?
To narwijże róż polnych i bławatków w życie,
Na wianek dla tej pani.
Starzec. Oj! nie jedź, kobieto!
Widzisz ten pożar?
Druga kobieta. Cóż stąd, że słomą podbitą
Chatę spalili — cóż stąd?
Starzec. Widać, że się wstydzą
Chaty, słomy, bławatków i nas.
Pierwsza kobieta. Na to zgoda,
A mówiłam, że oni z biednych chłopków szydzą.
Starzec. Dajcie im święty pokój.
Dziewczyna. A ta panna młoda,
To zadzierała nosa! Widzieliście wczora.
Wstążkę czarną na czole miała zamiast wianka:
Wszystko, by się odróżnić... a w kosach równianka
Nie z białych róż, ze złotych. Twarz niby upiora
Blada. A uśmiech hardy; a kiedy się śmieje,
To ząbków ani widać.
Druga kobieta. Nim słońce dogrzeje,
Jedźmy, dziewczyno, wozem do zamku Kirkora.
Druga dziewczyna. Nie jedź! nie jedź.
Dziewczyna. Nie jadę.
Druga kobieta. Stara wóz wymości
I pojedzie. Jak do nich mówić po godności?
Starzec. Grzecznie mówić.
Druga kobieta. Pojadę.
Dziewczyna. Tego im i trzeba.
Każą ci na dziedziniec wynieść kawał chleba,
A ty się kłaniasz nisko jak wieko u skrzyni;
A pani z okna plunie. — Ha! mościa grabini,
Przyniosłam ci kosz jajek. — Wiecie wy, że ona
Była już na grabinę z dawna przeznaczona,

Bo miała wziąć za męża Grabka pijanicę,
Wiecie o tem? na Boga — to nie tajemnice;
Zwąchali się z Grabiczem; to dziw, gdzie on siedział?
Nie było go na ślubie.

Pierwsza kobieta. Może się dowiedział
I poszedł do jeziora z rozpaczy.

Dziewczyna. Nie łatwo
Wisusowi utonąć.

Pierwsza kobieta. Otóż Grabiec pędzi
Z lasu, jak zwykle wiejską otoczony dziatwą,
Niby kania od wróblów.

(Grabiec wpada na scenę, za nim tłum dzieci).

Dziewczyna. Niech z wami gawędzi,
Jeśli dotąd nic nie wie, nie mówcie o niczem!
Narwę grochu na wianek. *(Odchodzi).*

Dzieci. Z Grabiczem! z Grabiczem!
Tańcujmy! tańcuj, Grabku!

Grabiec. Precz, bachury!

Starzec. Gdzieżeś to bywał? czemu tak ponury?

Grabiec. Co? gdziem ja bywał?

Dziewczęta. I coś robił? —

Grabiec. Rosłem.

Dziewczęta. Co ty powiadasz?

Grabiec. Rosłem.

Dzieci. On był osłem!
Grabiec był osłem.

Grabiec. Milcz, przeklęty tłumie,
Bo mi się zdaje, że liściami szumię.
Gdybym przynajmniej miał tyle gałązek,
Co miałem wczora, nie szczędziłbym wiązek
Na wasze plecy.

Dzieci. Co pan Grabek plecie?

Grabiec *(do starca)*. Powiedz mi, starcze? czy to można w lecie?
Czy można to być? — dotąd korą świerzbię! —
Być wierzbą?

Starzec. Wierzbą można zostać wierzbie,
Ale Grabinie to nie.

Grabiec. A ja byłem
Wierzbą.

Starzec. Co mówisz?

Grabiec. Mówię, co mówiłem.
Bogdaj was dyabeł pozamieniał w łozy,
Córki tej wierzby, i piekielne kozy
Wypuścił na was. Ale ja w rozpaczy;
Ja byłem wierzbą.

Starzec. Jednak to coś znaczy.
A byłeś w karczmie?

Grabiec. Wprzód nim wierzbą byłem,
To byłem w karczmie.
Starzec. I piłeś?
Grabiec. A piłem.
Starzec *(śmiejąc się)*. Więc to sen, panie Grabku, wierzba owa!
Grabiec *(pokazując na pogorzelisko)*. A gdzie ta chata?
Dziewczyna. Jaka?
Grabiec. Ta, gdzie wdowa
Żyła z córkami.
Dziewczyna. A toż chata stoi.
Grabiec. Gdzie?
Dziewczyna. Ty pijany!
Grabiec. Gdzie?
Dziewczyna. Tu!
Grabiec. Niech was poi
Rosą dyablica, jak mnie napoiła,
Jeśli tu chata.
Dziewczyna. Chata się zmieniła
W twój nos czerwony, kiedyś ty się zmienił
W płaczącą wierzbę.
Grabiec. Bogdaj cię ożenił
Sztokfisz w habicie z dyabłem — a gdzie ona?
Dziewczyna. Kto?
Grabiec. Balladyna?
Druga dziewczyna *(wchodzi z grochowym wiankiem)*. Także [przemieniona
W ten grochowy wianuszek, w grochowy wianuszek.

(Rzuca na głowę Grabkowi wianek).

Dzieci. Cha! cha! cha! groch na wierzbie rośnie zamiast gruszek,
Cha! cha! cha! panie Grabku! Grabku, gdzieś ty bywał?
A tu słowik kochance mężulka wyśpiewał.
Dziewczyny. A pan Grabek był wierzbą!
Dzieci. Grabek rosnął w lesie!
Dziewczyny. A żoneczka w złocistej smyknęła kolesie.
Cha! cha! cha!
Dzieci. Żeń się, Grabku, z miotłą czarownicy!
Cha! cha! cha!
Starzec *(bierze Grabka za rękę)*. Chodź do karczmy, przy miodu [szklanicy
Ja ci wszystko opowiem. *(Wyprowadza Grabka).*

Dzieci *(lecąc za Grabkiem)*. Gil, wróbel i dzierzba
Śpiewały na grabinie — a on rzekł: jam wierzba.
Nuż z niego kręcić dudy. Smyknęła dziewczyna!
Cha! cha! cha! wierzba wierzbie, wierzbiątka, wierzbina.

(Dzieci i cały tłum wychodzą za Grabkiem).

Odtąd dla zabezpieczenia tego, co pierwszą zbrodnią zdobyła, popełnia Balladyna cały szereg nowych występków: przy pomocy obcego przybłędy, von Kostryna, zdradza męża, nielitościwie wypędza matkę, zabija pustelnika, który się dowiedział o popełnionej przez nią zbrodni, i Grabca, który na własne żądanie przez duchy w króla przemieniony przybył do jej zamku na ucztę; poczem dostawszy w swe ręce prawdziwą koronę Lecha, występuje przeciw własnemu mężowi, który po obaleniu Popiela IV stanął do walki z hufcami Kostryna. Gdy Kostryn odniósł zwycięstwo i Kirkor zginął, Balladyna trucizną zgładziła ze świata wspólnika i ostatniego świadka swych zbrodni, myśląc, że teraz będzie mogła spokojne i dobre wieść życie. Ale w chwili, gdy pierwszy raz zasiadła na tronie jako królowa i miała sądzić, stają oskarżyciele i żądają sprawiedliwości na (niewiadomych) morderców Aliny i Kostryna i na wyrodną córkę, która wygnała matkę z domu. Na tych winowajców nieznanych wydaje Balladyna wyrok śmierci. W tej chwili pada piorun i zabija ją.

LILLA WENEDA.

Tragedya w 5 aktach.

Prolog.

(Obszerna grota wróżki wykopana w ziemi; w ścianach okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz, światło zachodzącego słońca. — Róża Weneda i Lilla Weneda).

Lilla Weneda. O! siostro moja, jak ty zadumana!
Idź, spójrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo.
Róża Weneda. Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki...
Widzę umarłą...
I ty umarła... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię, a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj... na tamten świat... o! nieszczęśliwa!
Lilla Weneda. Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nade mną biedną.
Więc ja mam umrzeć? o! Boże!
Róża Weneda. Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łoże
I Gopło zaczerwieniła.
Będziesz ty jak płaczka wyła
Nad sobą, gdy rycerze konają?
(Słychać dźwięk harfy).
O! cyt, harfy nasze grają.
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?

Harfiarze wchodzą na górę...
Wszystko stracone!
Lilla Weneda. Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.
Roza Weneda. Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posępny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?
Co? a szatański mój głos,
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie, dane przeze mnie szkieletom?
A mój smutek? a mój los?
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz, o krasna?
Lilla Weneda. Ty mówisz, lecz twoja twarz
Jak księżyc smutna, choć jasna —
Jak księżyc, umarłych słońce.
Gdzie nasi bracia obrońce?
Czy wiesz, co z nimi się stało?
Roza Weneda. Wnętrze groty zajęczało,
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpalę.

(*Wchodzi dwunastu starców ze złotemi harfami*).

Proszę was, przy ciemnej skale
Postawcie te harfy rzędem
I powiedzcie, co stało się z Wenedów ludem.
Lilla Weneda. Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
Wyrwali się od śmierci?
Harfiarz. Starce, z takim pędem
Szliśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera.
Lilla Weneda. O! wy nie chcecie mówić.
Harfiarz. Niestety! Niestety!
Lilla Weneda. O! bracia moi! O! mój drogi ojcze, gdzie ty?
Ci ludzie milczą... mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości.
Harfiarz. Jak żądasz,
Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?
Lilla Weneda. Starcze! ty na mnie, starcze, tak spoglądasz
Jak na sierotę.
Harfiarz. Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty... O! biada nam, biada!
Twój ojciec wzięty; rycerzy gromada
Otoczyła go z harfą jego złotą.
Widzieliśmy to i, bladzi zgryzotą,
Rwaliśmy włosy... Bracia twoi wzięci.
Lilla Weneda. Więc nie umarli?... o! mówcie mi jeszcze!...
Więc nie umarli?...

Roza Weneda. Nie, ale przeklęci!
Lilla Weneda. O! nie mów tego! o! nie mów, przez litość!
Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O! błogosław ty mi, siostro moja,
Ty smutna, byłaś mi wesołej matką.
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie,
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach.
O! bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie;
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mnie siostrą mniema;
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżej lata;
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą...
A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny. *(Wychodzi).*
Roza Weneda. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...
Cóż wy myślicie, harfiarze?
Harfiarze. Wszystko stracone!
Roza Weneda. Na jad węża, co w tej czarze
Karmi płomienie czerwone,
Zaklinam się wam, o! starzy,
Że kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy.
Harfiarze. Wstaną i zginą raz drugi...
Roza Weneda. I trzeci raz jeszcze zginą
I przejdą po nich zapomnienia pługi
I stokrocie się rozwiną
Na krwawym umarłych stepie;
I cóż!... czy płakać?
Harfiarze. Słuchaj, tam wrony zaczynają krakać
I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
Ciała rycerzy.
Roza Weneda. Za trzy dni sto piorunów uderzy,
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.
Żywi się pomieszają z umarłymi
I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.
Harfiarze. O! cud!... Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.
Roza Weneda. Te harfy uczuły krew
I drżą...

Harfiarze. O! chodźmy tą pieśnią jak skrą
Ożywić ludy po siołach.
Roza Weneda. Dębowe wieńce na czołach
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy;
To są harfiarze! to wy!
Harfiarze. Wlałaś nam ogień do łez...
Roza Weneda. Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres,
Walka i zgon!
Harfiarze. Nasze harfy tobie w ton
Odgrały smutnie.
Roza Weneda. Uciszcie wy rękami rozpłakane lutnie,
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła,
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu;
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!
Harfiarze. Więc za trzy dni noc płomieni?...
Roza Weneda. I noc okropności mściwa
I wiek haraczu...
Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.
Wódz dwie głowy mieć będzie, jedna człowiecza,
Drugą głowę trupią wódz mieć będzie.
Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią...
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny;
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga...
Harfiarze. Idźmy! wróżkę szał porywa. *(Wychodzą).*
Roza Weneda. O wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce... Lecz noc już... już ciemno!
Chodźmy umarłych palić... Duchy, ze mną!

(Odchodzi).

Lilla przybywa do żony Lecha, Gwinony, z zamiarem ujęcia jej sobie pokorą; ale przybywa za późno, bo właśnie Gwinona wydała rozkaz wydarcia Derwidowi oczu. Lilla, ufna w pomoc Bożą, nieostrożnie powiedziała, iż zdoła wydrzeć ojca z rąk oprawców, choćby królowa trzy razy dla niego wymyśliła śmierć najokropniejszą. Gwinona bierze Lillę za słowo i przyrzeka wypuścić jej ojca z niewoli, jeżeli ona dokaże tego, co wyrzekła (Akt I).

Najpierw zawieszono starca za siwe włosy na drzewie — a córce bezbronnej kazano go wybawić od śmierci.

Z aktu II scena 2.

(Sala w zamku Lecha).

Lech. Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem za życie mojego Salmona *).
Sygoń. Już się królowa zemściła na królu.
Lech. I cóż?
Sygoń. Kazała mu wyłupić oczy.
Lech. Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — zabić harfami rycerza!
Chciałbym ten kielich cały krwią napełnić...
Rycerz rozbity jak garnek — nie bronią,
Ale harfami!... pfu!... zgroza! Sygonie,
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę, zrąb mi głowę z karku.

(Wchodzi Lilla Weneda).

Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?
Sygoń. Córka starego króla.
Lech. Tego starca,
Który mi zabił Salmona?
Sygoń. Tak, panie.
Lech. Czegoż ode mnie ona chce?
Lilla Weneda. Litości.
Lech. Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce: twój ojciec jest mi jak wąż sprośny.
Młodocianego mi zabił rycerza.
Lilla Weneda. Więc nie litosny bądź, lecz sprawiedliwy.
Ty ojcu memu zabiłeś tysiące
Młodych rycerzy i przyjaciół starych:
A żona twoja mu nie zostawiła
Oczu, by płakał nad swoją niedolą.
Wyście mu wszystko wydarli! ach, wszystko!
Nawet pociechę, którą ma płaczący,
Przez ołzawione oczy widzieć niebo
Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
Lub lice córki, co chce być wesołą
I twarz umila nadziei promieniem.
O! panie, wszystkoście mu już wydarli!
Wszystko — prócz serca córki nieszczęśliwej.
Idź, Lechu... obacz go... a będziesz płakał!
Idź, Lechu!... on tam na twoim dziedzińcu

*) Salmon, jeden z najtęższych rycerzy Lecha, zabity przez Wenedów.

Za siwe, święte włosy przywiązany...
Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec!
Idź, Lechu! obacz, co oni zrobili
Z moim nieszczęsnym ojcem... ty masz oczy:
Więc idź i obacz... a jeśli ty, Lechu,
Na taki widok nie będziesz litosnym,
To chyba jesteś, Lechu, nie człowiekiem.

Lech. Sygonie, moja Gwinona się biesi,
Ona tu miarę przebrała.

Lilla Weneda. O! panie,
Ona tam teraz przed wiszącym starcem
Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci,
Ojca mojego im nazywa królem,
A to maleństwo za matką świegoce:
Król! król! i w mego ojca oczy puste
Niegodziwymi rzuca kamyczkami.
O! idź ty, Lechu, i obacz tę zgrozę!
O! idź ty, Lechu, i skarz tę kobietę!
Ona ci psuje, Lechu, twoje dziatki,
Z tych dziatek będą potem królobójce;
Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem,
Tak jak zwą dzisiaj ojca mego królem:
Król! król! jak kawki świegocą. O! Lechu,
Idź sam i obacz...

Lech. Wszak niema w tem grzechu,
Sygonie, mojej miłej podciąć skrzydeł... *(Wychodzą).*

Lilla Weneda. On mi uwolni ojca z rąk straszydeł... *(Wychodzi).*

Scena 3.

(Dziedziniec zamkowy. Na jednej z bocznych ścian widać cień Derwida przywiązanego do gałęzi dębu. Na przedzie sceny Gwinona, Krak i Arfon).

Krak. Mamo, ja nie chcę więcej tego starca
Bić kamykami. On się już nie rusza.

Gwinona. Krak, jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.

Krak. Nie, mój braciszek Arfon będzie babą,
A ja rycerzem sławnym jak mój papa.

Gwinona. Chcesz być rycerzem? a kiedym kazała
Wziąć łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytałeś jak psiątko: »Nie, mamo,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka«.
Wstydź się! czyżykiem jesteś, nie chłopakiem.

Krak. Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?

Gwinona. Co? nie pamiętasz już, Kraku, Salmona?
Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować... ten stary
Zabił Salmona, Salmon już nie wróci.

Krak. Ten stary zabił Salmona?
Gwinona. A widzisz?
Już rączki ściskasz w kułak, jużeś gniewny...
Arfonie, daj łuk braciszkowi... daj mu,
On lepiej strzela niż ty.
Arfon. Ja sam trafię.
Gwinona. Idź, baw się harfą, daj łuk braciszkowi.
(Dając Krakowi łuk).
Na, i mierz w serce, w serce — wiesz, gdzie serce?
Krak. Wiem, mamo, bo mi teraz głośno puka.

(Mierzy z łuku w stronę, gdzie się znajduje męczony Derwid... Wchodzi Lech, Sygoń i Lilla Weneda).

Lilla Weneda. O! widzisz, panie, chcą mi zabić ojca.
Lech. Gwinona, każ mu spuścić łuk, na Boga!
Bo go tu zetnę szablą jak makówkę.
Cóż to?... czy ojciec jest tu u was niczem?
Spuść łuk! bo łebek ci ukręcę... spuść łuk!
Gwinona. Spuść łuk, mój Kraku, papa tobie każe...
Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?
Lech. Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać,
Kiedy tu widzę moje własne dzieci
Urągające z niedoli królewskiej,
Jedzące mięso jak orlątka młode.
Cóż to? czy moje dzieci są chowane
Jak psy rzeźnika? precz mi stąd, szczeniaki!
(Dzieci odchodzą.)
Gwinona, dosyć już tych okropności.
Każ tego starca odwiązać.
Gwinona. Ty panem,
Każ go odwiązać.
Lech. Cóż to? jużeś gniewna?
Gwinona. O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu...
Chodź tu, dziewczyno! wyzwałaś mnie dzisiaj
Na zakład, że trzy razy ojca twego
Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam,
Że twego ojca oddam ci, jeżeli
Trzy razy śmierci go wyrwiesz okropnej.
O! łatwo zakład ci wygrać z królową,
O której honor nie dba mąż i rycerz.
Ciesz się więc. — A ty, Lechu, tej dzieweczki
Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mnie!
Islandzką jestem królewną, pamiętaj!
Do obelg takich nieprzyzwyczajona. *(Chce odchodzić).*
Lech. Stój!
Gwinona. Idę z wieży się rzucić.
Lech. Kobieto!

Gwinona. Jak mię nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twej harfy złotej
I starzec ci ten będzie o mej śmierci
Grał... albo wicher islandzki przyleci
Z ojczystej mojej ziemi i na strunach
Położy usta, przekleństwem wyjące.
Lech. Za nadto jesteś teraz rozżalona,
Mówić nie można z tobą. *(Chce odchodzić).*
Lilla Weneda *(zatrzymując go)*. O! mój panie!
Lech. Czego ode mnie chce ta wiedźma! wszyscy
Przeciwko mnie są.
Lilla Weneda. Więc mój ojciec skona?
Lech. Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy.
Niechaj rycerze go dokończą... i niech
Więcej nie słyszę o nim.
Lilla Weneda. Ach! okrutny!
Słuchajże teraz mnie, straszny człowieku;
Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!
Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić
Zemsty łaknące serca, taki sposób,
Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,
Taką rzecz powiem, że wy struchlejecie
Na samą pierwszą myśl tej okropności.
Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec
Ma dzieci... dzieci te u was w niewoli,
Dwóch macie synów tego starca w rękach:
Otóż wybierzcie z nich którego losem,
Dajcie mu w ręce topór wyostrzony,
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca... co? czy pozwalacie?
Gwinona. Przywieść tu jeńców.
Lilla Weneda. Lecz, królu! lecz, królu!
Jeżeli brat mój, rzuciwszy toporem
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
O! patrzaj... ten włos, co tak przezroczysty
Jak blady gwiazdy błękitnej promyczek,
Pomiędzy drzewem a starego głową:
Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni... czy przyrzekasz?
Lech. Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.
Lilla Weneda. Oba?
Lech. Tak, oba...
Lilla Weneda. I mój ojciec?
Gwinona. Ojciec
Do mnie należy... zbaw go tak trzy razy,
A będzie wolnym.
Lilla Weneda. Ach! czyliż niedosyć
Raz tylko ojca tak zbawić, królowo!

(Wchodzi Lelum i Polelum. Oba łańcuchem złączeni, tak że prawa ręka pierwszego do lewej ręki Polelum przykuta).

Gwinona. Otóż są więźnie; mów, czy się podejmą?
Ty siostra, srogi targ zrobiłaś na nich.
Lilla Weneda. O! mówcie do nich wy... ja cała drżąca.
Lech. Jest wieść, że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topór na ojca i tak weń wymierzy,
Że wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.
Lilla Weneda. Nie zechcą! oni nie zechcą!... Polelum!
Jedyny to jest dla ojca ratunek,
Ojciec na drzewie powieszony, skona,
Jeść mu nie dano ani pić... on skona!
On was nie widzi... wydarto mu oczy.
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę,
Nie będzie widział, że to syn tak rzucił.
On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy,
Jeżeli umrze... o śmierć nielitosną
Swego własnego syna nie posądzi...
Polelum... topór weź. Ojciec nie widzi.
Weź, tylko śmiało.
Polelum. Daj.
Lilla Weneda. Ale go nie rań.
Polelum. I cóż mam robić?
Lech. Psie! ty godzisz we mnie.
Polelum. Mówisz, że trzeba godzić w mego ojca?
Lech. Zginiesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz.
(Polelum rzuca topór na ziemię).
Lelum. Bracie, napróżno targasz się w łańcuchu,
Niewolnikami jesteśmy, Polelum.
Pomyśl... ty dobrze władasz tem żelazem.
Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił.
Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl,
Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...
Polelum! podnieś ten topór okropny;
Przykuty do mnie za twą lewą rękę
Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej:
Ty cały jesteś moją ręką prawą:
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą i nigdy,
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika?

Polelum! zemsty!... Ja skonam w więzieniu...
Mnie trzeba słońca... tobie zemsty trzeba.
Ach! bądź odważny.
Polelum. O! Bogi piekielne!
Z jednej mi strony brat cierpiący kona...
Tam ojciec nędzny... tu mi dają topór...
Co robić!
Lilla Weneda. O! mój Polelum! o bracie!
Zbawisz nas wszystkich.
Polelum. Daj topór. O! Boże!
Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia.
Więc trzeba włosy te odciąć... te włosy...
Te siwe włosy?... Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami ćmią. Okropnie!
Czy wy jesteście pewni, że mnie ojciec
Nie widzi... tylko czy jesteście pewni?
Lilla Weneda. On ma wydarte oczy.
Polelum. Przez błyśnięcie
Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli.
Ach! dosyć było taką rzecz wymyślić,
A starzec by sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzał na zabójcę syna.
O! do czegoż ty przyprowadzasz, Boże,
Człeka, co stracił ojczyznę!... O! patrzcie,
Ażeby teraz wyratować brata,
Muszę być ojca mego męczennikiem.
Siostra mnie własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojej urągają.
O! przyjdź, godzino zemsty albo śmierci.
Gwinona. Cóż to, więc nie masz odwagi?
Polelum. Bezczelna!
Ja się odwagi mojej własnej boję...
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucać topór.
O tem ciśnięciu straszliwem Weneda
Będzie wam śnić się...

(*Prowadzą okutych razem braci na metę rzutu*).

Zręcznym rzutem topora przeciął Polelum włosy ojca: w taki sposób wygrała Lilla pierwszy zakład. Następnie na rozkaz Gwinony wrzucono starca na dno więziennej wieży, napełnionej jadowitymi wężami. Lilla ocaliła ojca w ten sposób, iż grając na cudownej jego harfie, wszystkie węże wywabiła na powierzchnię ziemi (akt III). Wreszcie powzięła królowa zamiar zamorzenia Derwida głodem. Już dwa dni upłynęły — a więzień żadnego nie otrzymał pokarmu.

Z aktu IV scena 1.

(Sala w zamku Lecha. Lech, Gwinona, Gryf. Wchodzi Lilla Weneda).

Lilla Weneda. W niezawiązanej przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie;
Lecz wy mnie puśćcie do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem.
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią,
Jam go nie mogła zbawić, więc pożegnam.
Dlatego głowę ubrałam w lilie,
W te wodne kwiaty, które u nas kładną
Dziewicom zmarłym na ostygłe czoła.
O! Pani! spuść ty ze swojej srogości!
Ja biedna, zimne węże rozczuliłam,
I tak się do mnie gady przywiązały,
Że za mną cały kłębek biegł i syczał,
Jak pies wyjący smutnie z przywiązania..
I cóż ja winna, że węże wolały
Słuchać mej pieśni niż mojego płaczu?
A żem ja węże zimne rozczuliła,
Dlaczegoż w tobie powiększyłam srogość?
Czy ty zazdrościsz mi, pani, zwycięstwa,
Które mi ojca mego wybawiło?
O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,
A ja go będę na śmierć skazywała,
A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,
Bo ten zwycięża tu, kto broni.
Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną,
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
W czoło chcę tylko pocałować zimne,
Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
Że go nie mogłam zbawić, lecz kochałam.
O! patrz! koszula moja niezwiązana,
Nie niosę chleba ani żadnej strawy;
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,
To wleci za mną jaka muszka złota
I ten ją starzec zje?... O! pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci... ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, każcie wy mnię wpuścić
Do mego ojca głodnego.

Lech *(mówi)* Gwinona!
Na Boga, te łzy miecz mi rozhartują.

Gwinona. I ty jej wierzysz? to są łzy zmyślone,
Ona dwa razy tak płakała głośno,
Za te trzy płacze, ona się trzy razy
Odśmieje ze mnie, jeśli ojca zbawi.
Lech. I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?
Gwinona. Lechu! śmiech ludzki jest zabójczą bronią;
Więcej on strącił koron z głów posępnych,
Niż ci się zdaje; o! śmiech to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje
I tam go kąsa, kąsa, do krwi kąsa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w sobie
I rodzi niemoc; ja znam takich ludzi,
Z których się żaden żywy śmiać nie waży;
Ci ludzie mają królestwo nad tymi,
Którzy są śmiechu ludzkiego poddani.
Lilla Weneda. Królowo! czegoż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy, co wyśmieją litość?
Widziałam w twoim sypialnym pokoju
Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w niem jaskółka uwinęła gniazdo:
Więc ty masz litość: a czy kto się śmieje,
Że ty masz litość nad jaskółką? Pani!
Więc ja znalazłam w twojem sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się, pani, zlitowała?
Więc każ mi wydrzeć te spłakane oczy,
A potem zlituj się nade mną ślepą
I każ mnie wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.
Gwinona. Smutny to żebrak, co grosz wydrze nudą.
Lilla Weneda. O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.
Gwinona. Gryfie, każ wpuścić ją do tej ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec jej morzony głodem.

(Lilla Weneda i Gryf wychodzą).

Wtem otrzymuje Gwinona wiadomość, iż syn jej Lechon dostał się w ręce Wenedów; przemyśliwa więc nad tem, jakby go z niewoli wybawić.

(Lilla Weneda wchodzi bez wianka liliowego na głowie).

Lilla Weneda. Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W liliach było mego ojca życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
Jego zbawieniem ukoronowana.
Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;

Lilie wodne nas od głodu bronią,
Ilekroć zboże roku nie dotrzyma.
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinniałemu będzie piersią matki;
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec mój!... jam go zbawiła.
Lechu, słyszałeś, jaki był warunek?
Nie pozwól, królu, żonie łamać wiary.

Gwinona. Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła
I tu mię przyszła zagłuszyć radością;
A kiedy ona mówiła o ojcu,
To ja nieszczęsna myślałam o synie;
A kiedy ona lała łzy rozpaczy,
To ja nieszczęsna krwią płakałam w sercu.
Weź ojca swego! weź!... ja potrzebuję
Nauczyć teraz was wszystkich litości.
Jabym głaskała ręką wasze tury,
Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
Miodem litości... a sosen szumowi
Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
O każcie tutaj starca przyprowadzić,
Ja go odeślę ojcem memu dziecku.

(Rycerzy kilku wychodzi).

Lilla Weneda. Pani! ty dobra jesteś, o! ty dobra,
Już ja nie powiem, żem ojca zbawiła;
Ale, że ty mi dałaś mego ojca.
Obaczysz! jak to serce drży z radości
Temu, kto biednym ludziom dopomoże.

(Derwid wchodzi i rycerze).

Ojcze, wracamy do nas — ta królowa
Dała mi ciebie. Ojcze, chodź na słońce,
Bądźcie mi zdrowi, królu i królowo.
Chodź, ojcze!... Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

Derwid. Córko! a moja harfa?

Lilla Weneda. O! królowo!
Widzisz, mój ojciec cały drży z radości.
Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
Że ci nie może dziękować oczyma;
Więc ja za niego leję łzy... i jeszcze
Za ojca mego muszę być natrętną:
Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
Którą mój ojciec miał od swego ojca;
O! wróć mu, pani, tę harfę! o! wróć mu.

Gwinona. Przynieście harfę, którą ja kazałam
W cedrowej skrzyni uśpić rozpłakaną.
Lilla Weneda. Ojcze, ty harfę mieć będziesz.
Derwid. Oddała?...
Gwinona *(na stronie do Lecha)*.
Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
To z jego powiek wybiegły czerwone
Dwie łzy, ogromne łzy — czy uważałeś?
To były straszne łzy...
Lech. I cóż, kobieto?
Gwinona. Co?... nie rozumiesz... Córka albo harfa
Zostanie tutaj zakładnicą... widzisz,
Ten człowiek musi wybrać między dwiema,
A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną;
Rozumiesz? Gdyby nie te łzy czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała,
Że tu jest wybór.
Lech. Już widzę, już widzę.
Gwinona. Milcz.
(Do Derwida). O! Derwidzie, wy Wenedzi macie
Nienasycone serca!... Przed godziną,
Wiercony srogim głodem aż do kości,..
Byłbyś poprzestał na kawałku chleba.
Lecz teraz w miarę łask żądania rosną:
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał...
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się...
Derwid. Każ odprowadzić mnie więc do więzienia;
Trupy się nie mszczą.
Gwinona. O! twardy człowieku,
Nigdyż twe serce przede mną nie zadrży?
Derwid. Wyjm je i zobacz.
Gwinona. Ja ci daję wolność...
Derwid. I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiałe,
Na me kolana ty rachujesz drżące,
Że mnie przed tobą powalą?... Nie, jędzo!
Nie! nie! nie!... Córko, daj mi rękę...! Jędzo!
Przed tobą skonam stojąc i zastygnę,
Wtenczas twe dziecko mnie paluszkiem trąci
I padnę... padnę... ale pókim żywy,
To jestem równy tobie... król i człowiek.
Gwinona *(do wnoszących harfę)*.
Postawcie przy nim bliżej harfę złotą,
Niechaj się na niej oprze ręką drugą.
(Stawiają harfę przy Derwidzie. Starzec jedną rękę na harfie, drugą kładzie na głowie córki).

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem;
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały... obie jak córki... o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami, Derwidzie,
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja odrzucona
Ze mną zostanie... i będzie zakładem.

Derwid. Córko! co ona mówi?

Lilla Weneda. Ojcze drogi,
Ta pani harfę ci oddaje złotą.

Derwid. Tę harfę?

Lilla Weneda. Ojcze, harfę.

Derwid. Już oddała?
To chodźmy, córko.

Lilla Weneda *(do Gwinony)*. Pani, ja powrócę,
I będę twoją niewolnicą... Ojcze!
Chodźmy już.

Gwinona. Harfę porzucasz, Derwidzie?...

Lilla Weneda. Nie mów tak głośno... jam cię zrozumiała.
Okropną jesteś... zlituj się nade mną.
Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca.
Serce mi pęknie i będziesz tu miała
Trupa, nie córkę, o! bo w mojem sercu
Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie,
Lecz wszystkie pękną od razu z boleści
Jednym wyrazem ojcowskim stargane...
I nad nim także litość miej, i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!

Gwinona. Będzieszli zawsze jak mała ptaszyna
Skrzydełkiem w oczy bić błyszczące węża?
Jeślim wyrzekła... to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, żem je gryzła?
Wytłómacz ojcu sama, czego pragnę.

Lilla Weneda. O! nielitosna... Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecię.
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze...
Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo nieszczęśliwy,
Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze,
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz,
Kochaj...

Derwid. Niebiosa!... córko, gdzie ty jesteś?...
Ja kocham moją córkę. O! gołąbku,

Chodź i ślepego prowadź. Córko... prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd... Córko, a harfa?
Lilla Weneda. O! harfa skarży się, żeś ją opuścił. *(Trąca o strunę).*
Derwid. Harfa się skarży na mnie?
Lilla Weneda. Ojcze, jęczy.
Derwid. Jęczy!... Gdzie moja harfa?... czy to mara,
Czy to duch mojej harfy rozpłakanej
Stoi przede mną w promieniach; i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącymi jęki
Już odlatywał do nieba... Ha!...
(Lilla znów porusza struny). I znów.
Słyszycie! harfa jęknęła... słyszycie?
O! dajcie, niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozpłakana!
(Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią).
Gdzie drzwi?... rycerze, gońcie mnie z mieczami!
O! ja tej harfy nie dam... Harfy nie dam!
(Pada piersią na harfie).
Lilla Weneda. Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.
Wstań, dobry ojcze... O! patrzcie! o patrzcie!
Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią... O, struny! o, struny!
Wy nie jesteście córkami... Królowo,
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz ty, pani, że ja teraz płaczę
Dlatego, że mnie ojciec mój porzucił,
O! bądź przeklęta za tę myśl... To radość
Wyrywa z oczu moich łzy, to radość.
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi.
Dzisiaj karmiony starzec lilijami
Mnie tak całował w usta i we włosy,
I do mnie tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli.
A że ja płaczę, to tylko dlatego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnem więzieniu... i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze.
Gwinona. Odedrzeć starca od harfy.
Lilla Weneda *(podnosząc ojca).* Widzicie,
On już łagodny jak baranek.
Gwinona. Starcze!
Syn mój najstarszy, Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim, a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.
Derwid. Harfa?
Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

Lilla Weneda. O! pani!
Więc jeszcze raz się rzucę na kolana
I będę ciebie prosiła ze łzami,
Oddaj mu harfę, a mnie weź. Czy myślisz,
Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O! pozwól!
Niech tylko mego ojca odprowadzę,
On ślepy... tylko odprowadzę ojca,
A sama wrócę; a że ja powrócę,
To niech ci harfa ta będzie zakładem.
Ale przysięgnij, że za niewolnicę
Królewnę harfę wypuścisz z niewoli;
A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.
Gwinona. Jakiż mi zakład z córki niekochanej?
Lech. Na Boga! dosyć, Gwinona! już dosyć!
Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
Przysięgam, jeśli z Lechonem powróci,
To weźmie harfę, Lechona i moje
Błogosławieństwo; jeśli wróci sama,
To i tak za nią, przysięgam na Bogi!
Oddasz kawałek płaczącego drewna.
Gwinona. Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.
Lilla Weneda. Dzięki wam! dzięki! — Ojcze, dziś wieczorem
Harfę ci twoją postawię do grania.
Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
A teraz... o! królowie, do widzenia.
Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica.
Chodź, dobry ojcze.
Derwid. A harfa?
Lillla Weneda. Ta idzie
Za nami, ojcze.

(Odchodzi z ojcem).

Ale tymczasem zamordowano Lechona w więzieniu. Gdy tedy Lilla z ojcem do swoich powróciła i o tem się dowiedziała, nie pozostawało jej nic innego, jak udać się napowrót do Gwinony, ażeby dotrzymać danego jej słowa. Wieścią o śmierci syna do wściekłości doprowadzona, królowa udusiła Lillę, a ciało jej odesłała ojcu. Wśród stanowczej bitwy przyniesiono Derwidowi cedrową skrzynię, lecz zamiast harfy, której cudownego dźwięku, jako jedynego warunku ocalenia, wszyscy Wenedowie oczekują, znalazł w niej ciało zamordowanej córki. Stary król Wenedów w rozpaczy przebija się nożem ofiarnym.

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY.

Z aktu II.

Królewic portugalski Fernando wyprawił się (r. 1437.) na Tanger, lecz poniósłszy klęskę, dostał się do niewoli. Król Fezu zażądał jako okupu wydania Ceuty, zdobytej przez Portugalczyków r. 1415. Edward, król portugalski († 1438.), umierając polecił synowi swemu i następcy Alfonsowi V, ażeby za wolność Fernanda oddał Ceutę. Przybywa tedy do Tangeru królewic Henryk z zrzeczeniem się żądanej twierdzy.

Don Henryk. Otóż król, co świat porzuca,
W swym testamencie pozwala,
Owszem, każe dać fortecę
Ceuty za infanta osobę...
A ja, przywdziawszy żałobę,
Od króla Alfonsa lecę,
Jako od dziedzica tronu,
Którego jeszcze nie znacie,
Oto z tym aktem...

Don Fernand *(wyrywając pergamin)*. Stój, bracie!
Słowa te pełne pokłonu
Nie tylko, że nie są godne
Krwi królewskiej i wyrodne,
Nie godne są ust infanta,
Nie godne mistrza zakonu,
Od którego wiara czeka
Wsparcia i wiecznego zelanta;
Lecz nie godne są człowieka
I nie godne barbarzyńca,
Co nigdy o Chrystusie nie słyszał.
Że mój brat (niech mu Bóg świeci)
Włożył ją do testamentu,
Tę klauzę — to tylko na to,
Aby u ludzi wiedziano,
Że brat dba o swego brata;
Nie na to, aby czytano
I tłomaczono to słownie.
Jeśli rzekł: oddajcie Ceutę,
To ma się znaczyć, że trzeba
Powolnie albo gwałtownie,
Z pomocą ludzi i nieba
Upomnieć się o infanta.
Jakżeby król katolicki,
Jak on wierny, sprawiedliwy,
Taki król jak on — nieżywy,
Na swój proch oddany laurom
Kładł taką okropną plamę,

By Ceutę oddawać Maurom,
Tę Ceutę — miasto te same,
Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,
W imię Przenajświętsze Pańskie,
Ze szpadą i ze sztandarem
Przyskoczył i chrześciańskie
Chorągwie zatknął na wieżach?
A teraz byłożby czynem
Godnym tej sławy w rycerzach,
By miasto, które wyznało,
Że Chrystus jest Boga synem,
Kościoły pozakładało,
Gdzie się imię Jego święci
Pośród serdecznych płomyków,
I męka się ma na pamięci,
Aby kościoły już stare
Przez ludzi, przez katolików,
Przez ludzi, co mają wiarę
I tego Boga wyznają,
Przez ludzi, co serca mają!
Przez nas! przez Portugalczyków!
Były?!... Aby te kościoły,
Które złoconymi czoły
Podpierają mleczne pasy,
Jak naszej wiary Atlasy,
I na krzyż złoty pobożny
Wieszają słońca czerwone —
Aby przez księżyc dwurożny
Były na niebie zaćmione,
Jęcząc tak, jak męczennice!
Więc-że teraz te kaplice
Opuścilibyśmy tajnie,
Oddawszy na stodoły i stajnie
Albo, czego ten Maur łaknie,
Na Mahometa meszkity?
Gdy to mówię, tchu mi braknie!
Gdy myślę, stoję jak wryty!
Język mi w ustach kościeje,
Włosy wstają, pot się leje
I drży całe moje ciało!
Bo choć to nieraz bywało,
Że jaka stajnia uboga
Ugościła Pana Boga
I dała mu sen w swoim żłobie:
Lecz meszkity? Boże Panie!
Ach, toby na naszym grobie
Napisano: tu chrześcianie,

Przewrotnym podobni panom,
Wygnali Boga z kościołów,
Boga i jego aniołów
I oddali je szatanom!
I byłożby sprawiedliwie,
Ażebyśmy Boże gmachy,
Gdzie my stoim jak szyldwachy,
Mając cały świat pod nami
W zatrwożeniu i podziwie,
Teraz otwierali sami,
Wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi,
Chrześciański a gorący,
Z miasta wychodził płaczący,
Z dobytkiem, z całą rodziną:
A my na te łzy, co płyną,
Patrzylibyśmy, gnąc szpady?
Aby osadnik nierady
Zmieniał wiarę dla majątku?
Aby tam Arab dzieciątku
Urodzonemu bez winy
Wlewał fałsz trupa z Medyny,
Za młodu kalać zaczynał,
Do swojej wiary naginał,
Do swych zapędzał namiotów,
Do swego zamykał płota?
Więc dla jednego żywota
Tyle chrześciańskich żywotów!
Tyle łez wylanych z powiek!
Cóż ja? czym więcej niż człowiek?
Cóż mię równa z ludzi likiem?
Czy to, że byłem infantem?
Więc oto nie infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem,
Już nie korony brylantem,
Gotów jak drudzy nikczemnie
Żyć i tu pana bogacić.
I któż wam każe tak płacić
Za niewolnika? Niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem.
Bo kto swoją wolność straci,
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja dawno już umarłem.
Któż mię dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?
Daj! niech drę te pergaminy!
Niech drę na świstki tę kartę,
Niech drę na kawałki gadu,

I jeszcze je zjem już podarte,
Aby nie zostało śladu.
(Drze pergaminy i kawałki połyka).
A teraz, królu i panie,
Rozkazuj mi, panuj srogo,
Jak chcesz... Niewolnik zostanie,
Którego kupić nie mogą.
Każ, niech mię łańcuchy strzegą,
Niech robią na rękach blizny;
Cierpliwością się nasycę.
Henryku! wróć do ojczyzny
I mów: żeś mię tu w Afryce
Zostawił pogrzebanego.
Bo ja z żywota mojego
Taką rzecz pokorną zrobię,
Jakbym na prawdę był w grobie,
Wspomnienia ludzi nie warty,
Z oczu ludzkich i z myśli już starty.
Chrześcianie! książę Fernand już skończył!
Losom swoim on jeszcze nie sprostał,
Lecz co do was, czas służby już wybył.
Maury! oto niewolnik wam został.
Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
Aby nędzę z niedolą połączył
I łzy swoje połączył z waszemi.
Wy niebiosa! oto człowiek na ziemi
Panu swemu kościoły zakłada,
Założone podpiera na skale.
Morza! morza! do fal waszych pada
Jedna łza, co powiększy wam fale.
A wy góry! oto człowiek pospołu
Ze zwierzęty do jaskiń ucieka.
Wichry! wichry! oto nędzarz was z dołu
Westchnieniami zaklina i wścieka.
A ty ziemio! oto garstkę popiołu
Rzuca tobie i zewłok człowieka,
Co z robaków twoich włoży laury...
A to wszystko, by ten król i te Maury
I ten infant i ziemi gdzieś końce,
Chrześcianie i księżyc i słońce
I niebiosa i ziemia i chmury
I zwierzęta i morza i góry
I kto jeszcze na powietrzu przytomny,
A pieczęć żywota nosi,
Tu widzieli: jak książę niezłomny
Wiarę swoją przeświętą podnosi,
W obronie praw Bożych stawa
I przed Maurami wyznawa

Boga Przenajświętsze imię.
A choćbym w działowym dymie,
Śród mieczów i ludzkich grotów,
Bronił od ludzkiej obrazy
Niewymówionych przymiotów
Tej, co poczęła bez zmazy,
A miał w sobie sto żywotów,
Oddałbym żywot sto razy!

Król. Twardy, niewdzięczny człowieku!
Także mi za łaski moje
Odpłacasz?... Jak śmiesz, robaku,
Tego mi właśnie odmawiać,
Czego najwięcej żądałem?
W państwie cię tak traktowałem
Jako brata, jako syna;
Nie czułeś prawie niewoli.
Lecz teraz przyszła godzina,
Że cię twój łańcuch zaboli
I los cię ukole srogi.
Tu, więźniu! z duszą robaczą!
Tu sam! niech wszyscy zobaczą,
Jak ty mi całujesz nogi.

(Fernand klęka mu do nóg).

Don Henryk. O! nieszczęście!
Mulej. O! cierpienie!
Don Żuan. Boże, co za poniżenie!
Król. Do mnie twe należy ciało.
Don Fernand *(wstając)*. Tak, zaprawdę, ale mało,
Mało to ci mocy doda,
Panować nad kośćmi memi.
Bo ta ziemia to gospoda
W ogromnej naszej podróży;
I na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem kłócił;
I na końcu każdej burzy
Znowu do ziemi powrócił.
Więc, żeś mi kazał pochyłą
Twarzą paść tu, gdzie proch leży!
Za to ci wdzięczność należy,
Bo mię oswajasz z mogiłą.

Okrutnie męczony umarł Don Fernando w niewoli. Król Alfons wydał Maurom wojnę, klęskę im zadał straszną, lecz odzyskał już tylko ciało »Niezłomnego« księcia.

Z WIERSZY DROBNYCH.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta;
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.
Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala;
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać:
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.
Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;
Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.
Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem dojrzałem dwa z okien światełka.
Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado, lecz zawsze...
A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

HYMN

o zachodzie słońca na morzu.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę:
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Z „PODRÓŻY NA WSCHÓD".

Zatoka Korynecka.

Jest na korynckiej górze mała grota,
Figowem drzewem od wejścia zakryta;
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko smętne wita
Kraj cały — żyzny, zielony, szeroki,
Przerznięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślone odwrócić się nie chce —
Tak je ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt!... Już myślisz, że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj — to chatek gromady!
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn — ten kościołek.

Wszedłem... W świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzynki,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze — w dudki, z trzcin wycięte, grali;
Kilka baranów sennych — i tam dalej...

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek...
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi —
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowemi
Takiemi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny
I pełny owiec cień każdej oliwy;
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości spokojność rozlewa
Na śpiące owce, na pasterzy twarze!
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.

Wszystko zamknięte na wiekowe blizny:
I w takiej ziemi żyć! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem!
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,
Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
Nad którą Parnas w hełmie z błyskawicy
Czuwa i ciche sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie stawałbym — pobożny,
Od moich owiec raniej, od jaskółki;
Do mnieby gołąb zlatywał nie trwożny,
Z Hymetu-by się zlatywały pszczółki
I kładły miody w złamanej kolumnie:
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na mej policy czara starożytna
I pełna wina starego amfora;
Przed chatą jaka Najada błękitna,
Wylewająca łzy, w ciszy wieczora
Brzęcząca smutno o marmur wymyty:
Kilka drzew, kilka malw z jasnemi kity...

I sad, gdzie ciemna liściami cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wczesnie noc już być zaczyna —
Noc, sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża —
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy, amora słudzy, wietrzne duchy,
Z motylowemi skrzydłami wietrzniki!
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki;
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary was — mówiących plotki...

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które, nie kochane, pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych...
A gdybyście mi o czem smutnem jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile:
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skąpałbym całych w czerwonym Falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,
Między różane gdzie zarzucił ciernie
Lub, wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło.

A tam na szarej kolumny ułomku
Wianek sąsiadów moich, siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku
Dawałby ręką takt — tańcowi młodych
I przyklaskiwałby memu rymowi...
Duchy! sny! straty! starce! — bądźcie zdrowi!...

Na sprowadzenie zwłok Napoleona.

I wydarto go z ziemi — popiołem
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem,
Gdzie był sam — nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli?*)
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? — powiedz — czy się wzdrygnął?

Bo on wiedział, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy
I łańcuchy zeń zrzuci zabójcze
I na ojca trup — zawoła: Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać —
Obce twarze zajrzały do lochu —
I zaczęli prochowi urągać
I zaczęli nań wołać: »Wstań, prochu!«
Potem wzięli tę resztkę zgnilizny
I spytali: »Czy chcesz do ojczyzny?« —

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie do góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!

---

*) Książę Joinville, syn Ludwika Filipa, wysłany na wyspę Śtej Heleny po zwłoki Napoleonowe.

Ta na morzu mew girlanda szara
Jest to flota z popioły Cezara...
Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne lamentu:
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty!

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską powagą,
Z takiem strasznem na przyszłość obliczem,
Jak dziś, prochu, gdy wracasz tu — niczem.

Z listów do matki.

Geneva d. 21. sierpnia 1834.

Najdroższa mamo moja! List ten kilku dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewana. Bawiąca tu pani Wodzińska, wyjeżdżając z familią, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze i, wziąwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów jak te, które przez 20 dni przemijały przed mojemi oczyma. Nim przystąpię do opisania podróży mojej, muszę, matko droga, rzucić się do nóg twoich i podziękować ci za to, że wróciwszy do domu, zastałem od ciebie przysłaną mi spokojność; niepewność o ciebie dręczyła mię podczas całej wędrówki, myśl o tobie nie odstępowała mnie; ileż razy chciałbym był trzymać ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami! Zmiana ciągła miejsc sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnemi miejscami podobieństwo. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stanęło przede mną: różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich; było mi smutno i miło.

Abyś mię sobie, mamo, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubiór: miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski,

z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką; do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij, wyższy ode mnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat piętnaście wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani W., dwie jej córki, panna Maryanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuzka, panna M., trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką. Trzech synów pani W., jeszcze jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.

Rano 31. lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Paquis, i Paquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potem Lausanne, za Lausanne Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries, słowem, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Ville-neuve! Tam najęty powóz zawiózł nas do Bex, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne: pół mili prawie szliśmy podziemnymi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyę, zwłaszcza rozsadzanie skały prochem.

Nie będzie ciebie, mamo moja, interesował wojaż, wyszczególniający tylko miejsca popasu i noclegu; opiszę ci więc tylko niektóre, bardziej zajmujące miejsca. Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru św. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą, przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami, chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja, jak ci ludzie wydawali się mrówkami! O godzinie piątej wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem, mglistem powietrzu ukazał się klasztor.

Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku, pies ogromny leżał na dziedzińcu jak z marmuru wykuty, za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno-ołowianego koloru jezioro. Spaliśmy w celach, zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące koło kominka towarzystwo śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok! W różnych pozycyach zmarli siedzą, leżą, jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... okropny widok, mamo moja! Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny: po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi! Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach, a tak jest sterczącą, że nie do góry, lecz do muru gładkiego jest podobna; droga, w zygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp wierzyć nie może, aby wejść można było. Na zielonej równinie pod tą górą leży sławne wodami miasteczko Luèche; żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem. I znów po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... i znów nic nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne z gór spadające i prześliczne szalety. O matko! ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie, ileż razy cisnął się do moich ust refrain Goethego:

Czy znasz ten kraj? znasz go, o moja miła?
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thun, Brienz, do sławnej Giesbach; gdym patrzał na nią, przychodziła mi na myśl Zofiówka, a potem łańcuch myśli rozciągał się dalej, do Wierzchówki, byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady Giesbach, damy nasze, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucerny, my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry: tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami; Lauterbrunn

i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubbach, woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija w pośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło; tam widziałem z gór spadające lawiny. Huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów. Matko moja! jakieby to były czarujące wspomnienia, gdybym je sobie kiedy między wami mógł przypomninać i o przeszłości marzyć!

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberża na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci; mróz nam dopiekał, ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu; słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych, niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaści, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna — a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Rhigi. Na tę górę wchodzą wszyscy podróżni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny: góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacyi człowieka: można z niej patrzeć na Szwajcaryę bez przerażenia, a ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem; nie wiem, dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhassli; byłem w Rosenlani, prześliczne widziałem lodowce, byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu; u nóg moich ogromne przepaści i potok lody podrywał; ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca padały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że ty, moja mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie twój syn

był, gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacya utworzy, będą może piękne, ale nie będą tymisamymi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty? Dziwna i głupia myśl. Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnej oberży, przechodziłem śliczną drogę św. Gotharda, widziałem na niej sławny most dyabła, nareszcie po 9 dniowej podróży przybyliśmy do Lucerny, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro 4 kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella, łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta, tylekroć restaurowana, znajomą ci, mamo, być musi. Wreszcie przez Bern wróciłem do domu; zastałem tam pełno cudzoziemców i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie: gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; jej matka także mię po macierzyńsku uściskała; więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia.

O matko moja! Dziś dzień moich urodzin. Biedna matko moja! dziękuję ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nade mną, jak anioł stróż; Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił niczem. Ale, matko moja, po 25 latach, dzisiaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego i nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło. Błogosław mi, mamo droga! Panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich i, widząc, że do ciebie piszę, prosiła, abym od niej zasłał ci czułe pozdrowienie. Ona się o tobie, mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiaduje. Ona ciebie kocha, mamo, i przyjmij tę miłość, wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że ciebie kochały.

Napisz, kochana mamo, Teofilowi o mojej podróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków mógł liczyć śnieżne wierzchołki gór albo leżące pod stopami jeziora. Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą. Ale wierzcie mi, że chętniebym się z wami podzielił... o, nawet oddałbym je wam wszystkim za jeden wasz uścisk. To dziwnie, mamo

moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereszenki, która ocienia grób babuni. O gdyby tak było!

Adieu, droga, najukochańsza mamo; boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo co dnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo co dnia około 6 lub 7 mil drogi robiłem i to z góry na górę; do tego dodajcie i to, że nigdzie na górach poczty niema, to uniewinnicie mię. Całuję rączki kochanego dziadunia; niech pomyśli o wnuku i spojrzy na zamkową górę. Mamo, a ty przy księżycu wystaw sobie, że na waszych górach stoją inne góry ze śniegu, że na tych białych, imaginacyjnych górach ja jestem i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest twojem mieszkaniem. Adieu, matko moja. Twój

Juliusz.

Stefan Garczyński.

Syn Franciszka (pułkownika wojsk polskich), urodzony (w Kosmowie pod Kaliszem) w roku 1805. Nauki początkowe częścią w domu, częścią w szkołach w Trzemesznie i w Warszawie; uniwersytet w Berlinie. Tu z wielkim zapałem wziął się do literatury, a zwłaszcza do filozofii niemieckiej. Przylgnął zupełnie do systemu Hegla; później (jak świadczy jego Wacław) przestał wierzyć w prawdziwość tego systemu. Po skończeniu nauk odbył podróż do Włoch (1829); w Rzymie znajomość i przyjaźń z Mickiewiczem. Po wybuchu powstania wrócił, wstąpił do wojska, dosłużył się stopnia oficerskiego i krzyża. Po wojnie spotkał się z Mickiewiczem w Dreźnie, zaczął pisać swego Wacława, którego Mickiewicz czytał z wielkiem podziwieniem i sam oddał do druku (w Paryżu). Garczyński sam, wskutek zdaje się trudów wojennych, zapadł w piersiową chorobę. Gdy ta wymagała cieplejszego klimatu, Mickiewicz sam odwiózł go do Awinionu i pielęgnował z największą czułością. Żeby mu zrobić przyjemność, odkładał Pana Tadeusza, którego właśnie pisał, a robił korektę Wacława i przyśpieszał jego wydanie. Umarł Garczyński (w Awinionie) 20. września 1833.

Korespondencya Mickiewicza dowodzi, że Garczyński był może między jego przyjaciółmi tym, którego kochał najczulej, a Kursa Literatury słowiańskiej dowodzą, że Wacław był tym poematem, który Mickiewicz w całej literaturze polskiej cenił najwyżej. Na ten sąd wpłynąć musiało jego wielkie przywiązaaie do autora i odbicie własnych myśli, jakie w Wacławie znajdował. Garczyński bowiem, umysł zapewne niepospolity i człowiek, jak współczesni zgodnie świadczą, bardzo sympatyczny, nie miał wielkiego poetycznego talentu. Jego Wacław

jest (jak Kordyan Słowackiego), odmianą pomysłu Mickiewicza z trzeciej części Dziadów — z tą różnicą, że prawdę i powołanie swego życia w poświęceniu się dla ojczyzny Kordyan znajduje po różnych romantycznych przygodach, a Wacław po filozoficznych studyach i po przekonaniu się o ich marności. Druga jeszcze różnica jest, że pod względem i poetycznego natchnienia i formy, Wacław jest od Kordyana nierównie niższy. Ale jest w nim pogarda książek, nauki, ziemskich i praktycznych środków działania, oczekiwanie jakiegoś wielkiego człowieka zbawcy, który ma przyjść, czyli te myśli, które w owym czasie już rozwijały się w Mickiewiczu, a później stały się samą podstawą jego przekonań i nadziei. Dlategoto Wacław wydał się Mickiewiczowi tak genialnym i głębokim. Oprócz Mickiewicza jest w tym poemacie bardzo widoczny wpływ i naśladowanie Goethego (Fausta) i Byrona.

Drobne poezye, ogłoszone pod tytułem Wspomnienia z wojny narodowej, zawierają pewną liczbę wierszy przesadnych a zimnych, ale większą ładnych, natchnionych prawdziwem i silnem uczuciem. Do najlepszych należy Wejście do Prus, Rocznica 29. listopada, Pożegnanie (poległego przyjaciela). Trzynaście sonetów (w tym samym zbiorze) są naśladowaniem wcale szczęśliwem Sonetów krymskich. Najpiękniejszy z nich Posterunek na stracenie.

Z SONETÓW WOJENNYCH.

Posterunek na stracenie.

»Wy idźcie! Ja z wyborem zostanę młodzieży:
Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
Na znak ogień rozłożym i zapalim wici.
Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy!
Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświeci
I za tych modły wzniesie, co w polu zabici!«
Zamilkł. Poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.
Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą;
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną:
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!
Świta! Jeżeli żyją, wnet powrócić mogą...
Przeszedł dzień, przeszło jutro, nowe błysło rano —
Na mszę dajcie! Zabici — nie widać nikogo!

Natarcie konnicy na konnicę.

Znak do natarcia dany. Wtem dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
Wolno się posuwają na wietrznej topieli;
Coraz bliżej nadchodzą, krwi i mordów chciwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę
I parsknął, okiem strzelił, i żywiej i śmielej
Kopytem dziarskiem ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział, że niesie wyroki szczęśliwe.
Marsz! Marsz! — trzeci raz słychać. Patrz: na skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani,
Jak jeździec, jak koń pędzi. Ziemia się tumani,
Krzyk okropny, szczęk broni, znani i nieznani
Mieszają się. Kto wygrał? Nie rozpoznać w dali.
Tamci pierzchli, z trupami zwycięzcy zostali!

Przeczucie śmierci.

Już ognie rozłożyli szerokie dokoła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni;
Tu głos słychać wesołych, tam nabożnych pieni:
Z daleka straż co chwila hasła głucho woła.
Jednemu tylko smutno. Jego pieśń wesoła
Nie rozśmieszy, nabożna tęsknoty nie zmieni;
I błądzi między wrzawą jak śród grobów cieni
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.
Pytałem o przyczynę: nic nie odrzekł na to.
Myśleć z drugim, samotnie czuć zawsze jest milej;
Może i on przyczyny nie wiedział w tej chwili?
Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą?
Może się żegnał w sercu z rodzicielską chatą?...
Nazajutrz bitwa była i — jego zabili!

Konstanty Gaszyński.

Syn Antoniego i Tekli z Bzowskich, urodzony w Małej Wsi na Mazowszu w roku 1808. Do szkół i uniwersytetu chodził w Warszawie. Wcześnie zaczął pisywać (więcej tłómaczyć) wiersze, które wychodziły w pismach warszawskich. Przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, w domu jego ojca zapoznał się ze starszymi pisarzami, których nie raził przesadnym romantyzmem. Stanął w obronie młodego Krasińskiego w wiadomem zajściu w uniwersytecie. W roku 1830. wstąpił do wojska, był w Dembińskiego wyprawie na Litwę, napisał kilka ładnych pieśni wojennych. Potem poszedł na emigracyę, a od roku 1833. osiadł w Aix w Prowancyi. Tu utrzymywał się z pracy u adwokata, a równocześnie robił studya nad językiem prowanckim, i nabrał takiej biegłości, że pisywał w tym języku wiersze bardzo cenione: niemniej jak we francuskim. Zrobił tam sobie stanowisko tak poważne, że uważano go za swego i obywatela, i powierzono mu naczelną redakcyę pisma Mémorial d'Aix. Poezyi polskiej nie zaniedbał: owszem, pisał dość wiele, a od młodzieńczych lat talent jego bardzo się rozwinął. Zbiór swoich poezyi wydał w r. 1844.

Oprócz nich napisał powiastkę Pan Dezydery Boczko i jego sługa Pafnucy, humorystyczno-satyryczny szkic emigracyjnych stosunków, i drugą na tle konfederacyi barskiej, pod tytułem Pamiętników Macieja Rogowskiego. W roku 1843. przez przyjaźń dla Krasińskiego pozwolił podpisać Przedświt swojem nazwiskiem. Wkrótce potem opuścił Prowancyę, a przesiadywał najwięcej w Paryżu, wiele także przy Krasińskim (w Nizzy, Badenie, Heidelbergu etc.). W r. 1853. wydał ładne Listy z podróży po Włoszech, w r. 1855. Sielankę młodości, w r. 1857. satyrę Gra i karciarze i drugą dyalogowaną Wyścigi konne w Warszawie, które wydał razem pod tytułem Pro publico bono. Zdrowie jego, oddawna już zachwiane, podupadło bardzo od śmierci Krasińskiego. Trudnił się jednak wydaniem Niedokończonego poematu i wyjątków z Listów Krasińskiego, i napisał jego żywot (dotąd niewydany). Mieszkał wtedy znowu w Aix. W roku 1860. zdołał dostać paszport i mógł odwiedzić matkę, której od lat trzydziestu nie widział. W trzy lata później ta matka (bardzo już stara) zamordowana została przez żołnierzy rosyjskich, którzy na jej wieś i dom napadli. Odtąd zaczęło się powolne konanie syna. Jednak wydał jeszcze w roku 1864. Kilka pieśni dla kraju, które należą do jego rzeczy najlepszych. Umarł w Aix, 8. października 1866.

Bez wielkiego i oryginalnego talentu, Gaszyński jest miłym i sympatycznym poetą. Ma bardzo dobrą formę (na Mickiewiczu wyrobioną, tak, że niekiedy mylono się i brano jego wiersze za Mickiewicza). Ma wielki i rzadki między poetami tego czasu przymiot prostoty, i wielką świeżość, młodzieńczość i szlachetność uczucia. Jako człowiek łączył wielką szlachetność, a nawet cnotę; z rzadkim urokiem obejścia i rozmowy. Drobne wiersze liryczne (po większej części patryotyczne) lub drobne powiastki udają mu się bardzo dobrze, mają dużo rzewności i wdzięku, czasem i humoru. Do najlepszych należą Sielanka młodości (wspomnienie osobiste), Syn i Matka, Dzień 8. września, Sonet do Matki, Wspomnienie Korsyki: z humorystycznych satyra Gra i karciarze i bajka Papuga i wróbel.

Korrespondencya z Krasińskim, trwająca od r. 1832. do śmierci tamtego, jest nieocenionem źródłem i materyałem do historyi tamtego, a pięknym i trwałym pomnikiem dla Gaszyńskiego.

SIELANKA MŁODOŚCI.

(Z ust. pierwszego).

Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca —
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysiąg namiętnych!
Ale gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie jak magnes z żelazem:
Radeby tak pozostać przez miesiące — lata —
I tak patrzeć ku sobie do skończenia świata.

O bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku,
A wrzących uczuć potok, tajonych tak długo,
Przeciekał z serca w serce niewidzialną strugą
I tworzył im ocean, po którymby chcieli
W łódce o złotych wiosłach pływać — jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
Kołysać się po falach, gdzie je wiatr popędzi,
I żyć zdala od brzegów — do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły różane ich lata.
. . . . . .

(Z ust. czwartego).

Czy Panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych, ślubnych szatach, pod mirtowym wiankiem
Popłakała choć chwilkę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć — bo Panicz po tych burz przebyciu
Już jej nigdzie i nigdy nie napotkał w życiu!
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry —
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry!...
Lecz Panicz zaznał wówczas mąk najsroższych piekło;
I wiele łez mu gorzkich po licach przeciekło,
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy!
Wybladł, znędzniał, jak gdyby chorobą złamany,
A po nocach układał najszaleńsze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznajome strony,
Dopóki nie odnajdzie swojej ulubionej! —
Wyrwać ją z rąk tyrana, z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem —
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza po mózgu się wdziera —
A właśnie miał pistolet i czytał Wertera! —
Szczęściem, że i Ołtarzyk złoty czytał co dnia
I czuł, że samobójstwo — to hańba i zbrodnia!
Tak wiara i zajęcie około prac dziennych
Spędzały szał wylęgły śród nocy bezsennych —
A czas zwolna, lecz ciągle niósł mu ukojenie,
Zmieniając rozpacz w smutek — a smutek w wspomnienie!...

DO SONETU.

Mały, skromny fiołku, łąk pieszczony kwiecie!
Motylu, co ci skrzydła złociła natura —

Kolibrze, w szmaragdowe przystrojony pióra —
Świętojański robaczku, polotny sonecie!
Nieznany starożytnym, średnich wieków dziecię!
Gdy Europę ciemnoty otaczała chmura,
Tyś pierwszy, obudzony harfą trubadura,
Nowej poezyi dźwięki rozgłosił po świecie!
Petrark śpiewnym twym strofom nadał kształt nadobny,
Gdy nad brzegami Sorgi muza jego wzniosła
Wybrała cię do Laury za miłości posła!
Szekspir lubił myśl wielką wplatać w wiersz twój drobny;
A nasz Mickiewicz w ciasnych krańcach twego rymu
Rozsypał dyamenty — po ruinach Krymu!

Jungfrau przy zachodzie słońca.

W chwili gdy słońce letnie kończy obieg dzienny,
Gdy z samotnego wzgórza myśl moja jak strzała
Po szczytach Oberlandu gdzieś w niebo leciała:
Spotkałem okiem Jungfrau wierzchołek promienny.
O, przepychu natury, wyższy nad dziw senny!
Góra dziewiczym śniegiem brylantowa, biała,
Nagle się jak rumieńcem purpurą oblała
I zda się płonąć ogniem w przestrzeni bezdennej!
Lecz zwolna blednie, gaśnie; różana purpura
Na szafir się zamienia, szafir na opale —
Aż wkońcu w nocnym mroku stopiła się góra!
Tak w nas wszystko, co ziemskie, choć błyszczy wspaniale,
Młodość, wdzięk i uroda — po chwilce istnienia
Blednie — mija — i znika we mgle zapomnienia!

Wspomnienie Korsyki.

Pośród gór korsykańskich jest wioska w ustroni,
Wśród wioski dom z granitu, w drzew rozkosznym chłodzie,
A przy tym domu ogród, a w owym ogrodzie
Altana, co ją mirty i krzew winny słoni.
W tej altanie, wśród kwiatów południowych woni
Siedziało dziewczę, równe aniołom w urodzie,
A przy niej co wieczora o słońca zachodzie
Siadywał obcy młodzian, jej dłoń w swojej dłoni.
I w oczach ich przeglądał uczuć promień czysty
I serca jak dwie lutnie jednym taktem biły
I usta miały mówić, co serca mówiły.
Wtem młodzian nagle wspomniał na kraj swój ojczysty
I na kochankę, której przysiągł wierność stałą:
I wyznanie miłości w ustach mu skonało!

USQUE AD FINEM.

Po świata cudzego szerokich ziemicach,
Choć smutek i bieda, przez ścieżkę tułaczą
Iść z dumą na czole, z pogodą na licach,
Mir zrobić z nadzieją, a rozbrat z rozpaczą;
O cześć, nie o litość u obcych się prosić,
Dla kraju żyć myślą i słowem i czynem
I brzemię męczeństwa bez sarkania nosić
Usque ad finem!

Ojczyznę i honor nad wszystko miłować,
Do Boga swych ojców słać modły codzienne,
Cnót polskich nasiona śród duszy hodować
Niezmienne, nietknięte, przeczyste, promienne;
Pocieszać się wzajem, żyć jedni dla drugich,
Jak w wspólnej rodzinie syn kocha się z synem,
I stąpać po drogach ciernistych i długich
Usque ad finem!

Rozmyślać głęboko o błędach przeszłości
I przyszłość budować świetniejszą i trwalszą,
A radzić spokojnie bez swarów i złości,
By plon jaki został — na epokę dalszą:
Poprawiać, nie niszczyć — i nie pławać wzgardliwie
Na wszystko, co dawniej wieńczono wawrzynem,
A drogą postępu ku ojców iść niwie
Usque ad finem!

To żywot nasz dzisiaj, to nasza dziś dola!
Już wielu nam braci posnęło w mogiłach;
Lecz w tych, co zostali, jest miłość i wola
I nie brak im jeszcze na duchu i siłach!
O Boże zastępów! zbłąkanym wśród fali
Co jesteś kotwicą, zbawieniem jedynem,
Dopomóż, abyśmy w tym ślubie dotrwali
Usque ad finem!

Stefan Witwicki.

Urodzony w Janowie na Podolu w roku 1800. Szkoły odbywał w Winnicy i w Krzemieńcu, gdzie ojciec był profesorem: uniwersytet w Warszawie, gdzie po skończeniu nauk wstąpił do urzędu w komisyi spraw wewnętrznych. Jego młodociane wiersze, drukowane w różnych pismach warszawskich, mają cechę naśladowniczego a bardzo przesadnego romantyzmu. Zbiór ballad, wydany w roku 1824., sam później zniszczył. Recenzye i artykuły krytyczne udawały mu się lepiej. Wkrótce jednak otrząsł się z przesady, i (wydane w roku 1830.) Pieśni sielskie i Poezye biblijne, oznaczają dokonany zwrot, a mają już jego charakterystyczne znamiona, to jest prostotę i pobożność. Do niektórych

pieśni dorobił muzykę jego przyjaciel Chopin. W obu tych zbiorach znajdują się rzeczy ładne; a nie bez życia i humoru są jego Gawędy, jak Rozmowa z Michałem, System filozoficzny itp.

Nie mogąc dla złego zdrowia bić się w roku 1831., mógł był bezpiecznie w kraju pozostać; ale ciągnęło go coś za drugimi — i w roku 1832. udał się na emigracyę. W Paryżu żył w najbliższem otoczeniu Mickiewicza i w ścisłej z nim przyjaźni: przy pisaniu Pana Tadeusza nieraz Mickiewicz zasięgał jego rady, z czego powstało podanie (mylne), jakoby Muzykę Wojskiego był napisał Witwicki. Był on także jednym z najwybitniejszych i najgorliwszych w tem gronie przyjaciół, w którem począł się zwrot katolicki na emigracyi. Wydał Listy z Zagranicy, treści więcej moralnej niż opisowej, zbiór powiastek Gadu gadu i wreszcie Wieczory pielgrzyma, najważniejsze swoje dzieło (tom pierwszy w r. 1835., drugi 1837.). Jest to bardzo rozumny i z wielkiem życiem pisany traktat moralny, przypominający różne chrześciańskie i obywatelskie obowiązki, a wytykający uchybienia i zdrożności. Nieuleczalna choroba (schnięcie kości pacierzowej) odrywała go coraz bardziej od rzeczy ziemskich, a potęgowała jego uczucie religijne. Owocem tego usposobienia był Ołtarzyk polski, książka do nabożeństwa, do dziś dnia najbardziej rozpowszechniona, którą ułożył wspólnie z księdzem Jełowickim, a w której nader trafnie umieścił wyjęte ze Skargi modlitwy wspaniałe. Kiedy Mickiewicz przylgnął do Towiańskiego i zaczął głosić jego naukę, Witwicki z prawa i obowiązku dawnej przyjaźni, próbował go upamiętać i otrząść; i w broszurze Towiańszczyzna wystawiona i objaśniona, napisanej z wielką boleścią i mocą, tłómaczył mylność tej nauki, a Mickiewicza zaklinał, żeby ją porzucił. Wtedy skończyła się ich przyjaźń. Coraz bardziej chory, trudnił się przecież ciągle wydawnictwem książek polskich. W roku 1845. postanowił wstąpić do zgromadzenia Zmartwychwstańców. Pojechał w tym celu do Rzymu, ale życie było już na schyłku. Po strasznych cierpieniach umarł w klasztorze 19. kwietnia 1847. (Mowa ks. Kajsiewicza na jego pogrzebie godna czytania i pamięci).

Z POEZYI BIBLIJNYCH.

POKUTNIK.

I.

Człowiek, zrodzon z niewiasty, żyjąc przez czas krótki,
Krewkości, nędzy pełen, cierpi grzech i smutki.
Urodził się na pracę, jak ptak na latanie;
Jak kwiat wschodzi i nie trwa jako dzień w swym stanie.
Uleciały dni moje jak prędcy orłowie,
Jako obłok przelotny znikło moje zdrowie;
Życie moje — wiatr próżny. Kto dziś przy mnie siędzie,
Przyjdzie jutro i miejsca po mnie szukać będzie.

Przetoż mądrością Pana niech się duch poruszy,
Abym zdołał sfolgować gorzkościom mej duszy.
Bo którzy się poniżą, przyjdą do niebiosów,
A pyszni starci będą jako wierzchy kłosów;
I jedno młodzian trzyma, że ma szczęście wczesne,
Że się wolnym urodził jako źrebię leśne.

II.

Kto jest, co nad przepaścią krąg ziemi utrwalił?
Rozbił niebo jak namiot i w wiatrach przepływa?
Słońce i miesiąc puścił i zorze zapalił
I obfite w obłokach wody zawiązywa?
Kto jako uzdą ujął niehamowne morze,
Każe mu — i postąpi, chce — i cofnie kroku?
Kto zszedł do głębokości, wymierzył jej łoże
I kto pobłogosławił okręgowi roku?
Kto zgodą wiekuistą spoił wóz niebieski,
Wstrząsa ziemię jak owoc i grzmi wśród płomieni?
Mnoży ludy i traci? I kto pas króleski
Biodrom książąt odejmie i w powróz go zmieni?
Za czyjem rozkazaniem orlica poleci,
By na wysokich miejscach gniazdo swe układła?
Gdy pokarmu wołają głodne puszczy dzieci,
Samotnemu krukowi kto wyszuka jadła?
O! niech mię niedostatek obejmie jak woda
I niechaj jako wodę piję urąganie,
Niech mię chwyta strach nagły i na pośmiech poda:
Wieczne jest w wiecznym Panu moje zaufanie!

III.

Jako bieżący potok bracia mię odbiegli,
Słudzy mną pogardzili, opuścili bliscy;
Wołałem, a nie było, którzyby mnie strzegli;
Cierpiałem i prosiłem, a odeszli wszyscy!
Pan zapalczywość swoją przeciw mnie otworzył,
Jak wyrwanemu drzewu odjął mi nadzieję;
Popsował mię, na ścieżce mej ciemność położył,
Drogę moją ogrodził i trwogi w niej sieje.
Wydał mię — i niezbożni w śmiechu przy mnie stoją,
Złych piosnką mię uczynił, nie wiódł mojej pracy;
Rzekłem ziemi: ty, ziemio, jesteś matką moją,
Robakom: wy mi bracią, jesteście, robacy!
Arfę, niegdyś przyjemną, dziś jękami stroję,
I jako głos płaczących przykre pieśni moje.

IV.

Pan zna od wieków, która potrzebna mi droga,
Niechaj za śladem Jego moja idzie noga.

On sam wróci mi światło, w trwogach się nie spętam,
Przykazania ust Pańskich gdy nie zapamiętam.
Lecz sierot nie baczyłem, a biedne odarłem!
Wdowy smutne puszczałem z sercem obumarłem.
Nie szło błogosławieństwo za moim wyrokiem,
Nie byłem nogą chromym ni dla ciemnych okiem.
Przeciw mnie ziemia woła i płaczą zagony,
Ani potem oraczów byłem nasycony;
Trwożnem odszedł bez wsparcia, smutne bez pociechy,
I w zanadrzu jak człowiek skrywałem swe grzechy.
Ktoby mi dał niewinność! O ktoby to sprawił,
Bym czystością jak wieńcem skronie swe oprawił!
Przeciw niewinnym w duchu Pan nie zna urazy,
Którzy wzniosą ku Niemu oblicze bez zmazy.
Na liść porwany wiatrem mocy swej nie sroży
I przeciw źdźbłu suchemu ręki nie wielmoży.
A cóż jest człowiek? aza nie liść, proch grobowy,
Gdy Pan swe nawiedzenie zdejmie z jego głowy?

V.

Depcą mię nieprzyjaciele,
Ale się duch mój nie żali;
Pan zmieni płacz mój w wesele,
Pan mię ocali.
Niechaj obwodzi wróg nocą,
Niech śmierci trwoży mię krzykiem;
Bóg mi obrońcą i mocą,
Bóg pomocnikiem.
Od Niego patrzę ochłody;
Boskiemi zajęty dzieły
Łzy moje wspomnę jak wody,
Które minęły.
Choć żywot w płaczu dziś trawię,
Święta podźwignie mię ręka;
Pod wieczór wznijdę w mej sławie
Jako jutrzenka.
Bo wieczna pokornym chwała...
A nim przy ojcach się złożę,
Wprzód jako palma wspaniała
Dni swe rozmnożę!

Z PIOSNEK SIELSKICH.

MARZENIE.

Skąd to płyniesz, strumieniu, Czy niemiło ci w cieniu,
Że tak mruczysz żałośnie? Gdzie ten piękny gaj rośnie?

Może w obcej krainie
Stał nad tobą mój luby
I przy milszej dziewczynie
Zdradnie śmiał się z mej zguby?

Może za swym szeregiem
Jadąc, wojną znękany,
Nad twym upadł gdzie brzegiem
I obmywał swe rany?

Rany swoje obmywał
I, nieznany nikomu,
Smutną piosnkę zaśpiewał,
Myśląc o mnie, o domu?

ŻYCZENIE.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym jak tylko dla ciebie;
Ani na wody ani na lasy,
Ale przez wszystkie czasy
Pod twem okienkiem i tylko dla ciebie...
Gdybym w słoneczko mogła zmienić siebie!

Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju,
Nigdziebym w żadnym nie śpiewała kraju,
Ani na wody ani na lasy,
Ale przez wszystkie czasy
Pod twem okienkiem i tylko dla ciebie...
Czemuż nie mogę w ptaszka zmienić siebie!

Z WIECZORÓW PIELGRZYMA.

Znajomość języków jest pożyteczna; nikt o tem nie wątpi. Ależ w innych krajach uczą się także języków, a wszelako nie zacierają swojego i żadnym obcym nie posługują się jak własnym. Prawda, że nigdzie nie mówią tak powszechnie cudzym językiem jak u nas francuskim, lecz możemyż się z tego chlubić? Niemasz istoty ludzkiej tak ograniczonej, któraby się nie potrafiła nauczyć gadać tym albo owym językiem, zwłaszcza jeśli ją do tego wkładają od pierwszego dzieciństwa i z zaniedbaniem mowy krajowej.

Ale dlaczego ta u nas konieczna pretensya do biegłości, do doskonałości w francuszczyźnie? Anglicy i Niemcy, ludy nierównie oświeceńsze, mówią kiedy trzeba po francusku, każdy z wyraźnym swoim akcentem i tego akcentu bynajmniej się nie wstydzą; jedni tylko Rosyanie idą w tej mierze z nami na wyścigi.

Podoba się niektórym utrzymywać, osobliwie damom i modnisiom, że język francuski ma coś nierównie delikatniejszego jak polski. Ci państwo, raz już zakochawszy się w francuszczyźnie, upatrują

w niej wszystko najlepsze. Lecz jeżeli doprawdy chodzi o delikatność wysłowienia, o jego czystość, przyzwoitość, wytworność, któż zaprzeczy, że język polski jest przeciwnie wyższy niezmiernie od swojego napastnika?

Jest mnóstwo francuskich frazesów, jakie w samych salonach krążą codzień po ładnych ustkach elegantek i pieszczoszek, które gdyby wytłómaczone na polskie wymówił kto w jakim zakątnym domku szlacheckim, zmieszałby nimi starców, oblókł w rumieniec lica młodzieńców, wystraszył kobiety. Słowa nawet najpowszechniejszego użytku, aż do nazwisk kolorów, potraw i t. d. nieraz są rażące i bezwstydne, iż pisarz polski nie ośmieli się ich przywieść.

Co się tyczy delikatności, obyczajności, nasza kochana mowa narodowa jest prawdziwie niepokalanem dzieckiem, które nawet najmniejszej dwuznaczności nie dopuści, tam, gdzie francuszczyzna, jak uliczny awanturnik, nic nie zasłoni, wszystko nazwie, na głos wymówi, kontenta, że się z wszystkiego wykręci i z każdej rzeczy rozśmieje.

I tak to jest prawdą, że w ogólności ile razy w naszych salonach zechce kto opowiedzieć coś mniej przyzwoitego, zawsze wtedy, choćby zaczął po polsku, ratuje się natychmiast francuszczyzną. Uwalnia go ona od zawstydzenia się. Ale czyli taki codzienny sługa, śmiały na wszystko, bezczelny, dowcipny, będący u wszystkich na zawołaniu, umiejący i z najgorszego razu wyprowadzić, nie zagraża w niczem obyczajom?

A przecież tak się już w Polsce zagęściła francuszczyzna, iż z gościa, jakim była z początku, stała się oddawna domownikiem, panem. Kto wie na przykład, czy teraz w całej Polsce znajdzie się aby jedna dama (jak mówią) dobrego tonu, któraby mniej więcej mogła przez kwadrans mówić dobrą polszczyzną i potrafiła choć jeden list dobrze po polsku napisać. Nie tylko, że skład, tok i obrót wyrażeń będą tam całkiem sfrancuziałe, ale często pisownia nie zachowana. Co większa! oto nasze Polki bynajmniej się tego nie wstydzą. Z najsłodszym uśmiechem same ci o tem gotowe mówić, niekiedy wprawdzie takim tonem żałosnej litości, jakby mówiły o jakimś poczciwym, lecz strasznie niezgrabnym prostaczku, którego mimo całej życzliwości i najlepszego ku niemu serca, nie mogą wprowadzić do salonu, gdyżby się tam żadnym sposobem znaleść nie potrafił. Więc w duchu chełpią się z tego, iż dobrze nie umieją po polsku, jak n. p. z tego, iż nie wiedzą, co się dzieje i mówi po niskich i nieukształconych kompaniach.

Cała też korespondencya takich Polek odbywa się wyłącznie po francusku. I nic dziwnego. Już dla nich niestety! mową rodzinną, mową uczucia, mową serca jest mowa francuska; polszczyzna ledwo się jeszcze używa do garderobianek, do ekonomów, do ludzi folwarcznych, jak jaki sprzęt staroświecki, niezgrabny, co go za przybyciem nowych wyniesiono do przedpokoju, do sieni.

Już żona, witając męża z długiej podróży, rzuciwszy mu się na szyję, mówi do niego po francusku. Już matka, wyprawując syna na wojnę, trzymając go przy sercu i łzami zlewając, gdy wymawia nad nim słowa błogosławieństwa, te słowa wnętrzności macierzyńskich, te słowa, co dla jej dziecka będą może ostatnie, wymawia mową francuską! Nie! Nic tu nie powiem, stłumię w sobie krzyk bolesny, który się gwałtem z piersi mi wyrywa: gdyż albo wcale nie umiałbym się wysłowić, albo Polkom, jeśli mię czytać będą, sercaby podrętwiały, gdybym na nie wybuchnął całą siłą mego oburzenia.

Mężczyźni nie są mniej winni; rozchorowaliśmy się wszyscy na jedną manię, wszyscy można powiedzieć cierpimy jeden zawrót głowy. Poszło za tem, że chcąc usłyszeć mówiących dobrze ojczystym językiem, trzeba prawie szukać najuboższych, najukrytszych domków, dokąd polor wielkiego świata wcale jeszcze nie doszedł.

Mam najmocniejsze przekonanie, że tak mówiąc, bynajmniej nie przesadzam, a jeśli niektórzy z mych czytelników sądzić będą inaczej, to tylko dlatego, że już stracili znajomość i uczucie polszczyzny.

Każdy prawie dom, każda liczniejsza rodzina, osoby długo razem ze sobą żyjące, mają zwykle między sobą pewne wybrane, ulubione, przyjęte z rozmaitego powodu wyrazy, wysłowienia i obroty mowy, które dla obcych, dla ludzi innego towarzystwa, innego miejsca, nie mają już takiego znaczenia, nie czynią na nich tego samego wrażenia; wynikły bowiem z tożsamości codziennego pożycia, ze spólności uczuć, myśli, zdarzeń, spostrzeżeń, właściwych tylko owemu domowi, owej rodzinie, owemu towarzystwu.

Toż samo, tylko na rozleglejszą skalę, dzieje się w mowie każdego ludu. Duch każdego języka, jego że tak rzekę serce kryje się mianowicie w wyrażeniach przysłowiowych, familiarnych, poufałych, w nich wyciska się piętno charakteru narodu, wychodzą na wierzch jego czucia, jego myśli własne, i przegląda się cała jego domowość, rodzinność. Im który język ma tych wyrażeń więcej, im je ma wybitniejsze, odrębniejsze i sobie tylko właściwe, tem

głębszą nosi na sobie cechę narodowości i tem dla ludu, który nim mówi, powinien być droższy. Lud polski, rolniczy, żyjący więcej niż inne życiem domowem, familijnem, ma w swojej mowie takich wyrażeń mnóstwo nieprzebrane; tu się odbija nasza przeszłość, nasza historya, tu jest rdzeń myśli narodowej, tu główne bogactwo, dzielność i okrasa językowa. Powyjmować te wyrażenia z jakiego języka, jest to, że tak powiem, powyparać z niego żyły, wykruszyć jego siłę żywotną. U nas wszelako zacierają się one coraz powszechniej.

Możnaby już do niejednego salonowca mówić takiemi wyrażeniami kilkanaście minut i patrzałby na ciebie jak na raroga, słuchałby jak o żelaznym wilku, jak o niestworzonych andronach, rodak rodaka nie rozumiejąc, albo ledwie piąte przez dziesiąte. Umiemy i chętnie powtarzamy przysłowia francuskie, ale znać polskie i używać ich, broń Boże! byłby to dowód złego tonu, złego wychowania. To też tylko słuchajmy teraźniejszych rozmów: mowa nasza jędrna, potężna, prześliczna, tak łatwych i szybkich ruchów, jest tam jakaś wyschła, nikczemna, niezgrabna, nieswoja, aż serce boli. Takeśmy się tej francuszczyzny nabrali, takeśmy nią przesiąkli, iż doprawdy gadamy po polsku, jakby gadał Francuz oddawna w Polsce osiadły, który jednak w toku i zwrotach mowy ciągle zatrąca swoją rodowitą. I czyliż może być inaczej? Czyliż bez cudu podobna, aby było inaczej?

Podczas ostatniej przeciw Moskwie wojny zdarzyło mi się słyszeć jedną z najlepszych Polek tak mówiącą do swojego jedynaka w wigilię bitwy grochowskiej: »Nie zapomnij nigdy, żeś się urodził Polakiem. Nikczemnik tylko może pogardzać swym krajem, swoją narodowością, nikczemnik tylko może być nieczuły na rzeczy ojczyste. Zupełne poświęcenie się dla sprawy krajowej, wytrwałe przywiązanie do narodowości, do naszych pamiątek, do wszystkiego, co polskie, musi prędzej czy później przywrócić ojczyźnie byt polityczny i szczęście jej zapewnić«.

Te i podobne inne rzeczy owa zacna matrona wymawiała w języku francuskim! Ja, zachwycony wówczas wzniosłością jej uczucia i także trochę nawykły słyszeć osoby dobrej kompanii, to jest niestety! nawykły francuszczyzny, nie zwróciłem na razie żadnej na to uwagi. Teraz, gdy spokojniejszym umysłem to sobie przypominam, jestem pewny, iż gdyby jaki uważny cudzoziemiec był wtedy świadkiem sceny, którą opisuję, pomyślałby niezawodnie, że albo Polacy nie mają mowy odrębnej, własnej, że mówią tak

wszyscy po francusku, jak n. p. w niektórych miejscach Szwajcarowie i Belgowie, że języka polskiego nigdy na świecie nie było, albo że ta poważna pani, skądinąd najgodniejsza patryotka, cierpi niejakie pomieszanie zmysłów.

W rzeczy samej, zalecać miłość narodowości, miłość rzeczy ojczystych, miłość wszystkiego, co polskie — zalecać to z najszczerszem uczuciem, i zaraz właśnie do tegoż zalecania używać mowy nie narodowej, nie ojczystej, nie polskiej, jest to nie mieć na moment przytomności: podobnie jak roztargniony, który zapomniał, co jest za jeden i jak się nazywa, lub który w innym razie przeświadczywszy się najdokładniej, że mu potrzeba pójść w prawo, zwraca się z całą powagą i właśnie dla tego przeświadczenia idzie... w lewo.

Jakoż, nie wiem, czy można zupełnie wziąć za żart albo niedorzeczność, co ktoś powiedział, iż ta mania francuszczyzny jest to generalna Polaków waryacya.

Dziś ta choroba, to prawdziwe opętanie nagabywa Polaków i Polki nie tylko w domu i w kole rodzinnem, nie tylko w przytomności przyjaciół i ludzi obcych, nie tylko po placach, ulicach, ogrodach, widowiskach i wszystkich zgromadzeniach publicznych, lecz nawet w świątyniach Pańskich! Wstyd i śmiech powiedzieć: są np. niektóre Polki, co nie chcą spowiadać się inaczej jak po francusku!

Hieronim Kajsiewicz.

Urodzony w Augustowskiem, w roku 1812. Do szkół chodził w Sejnach, do uniwersytetu w Warszawie. Ale kiedy był na drugim roku prawa, wybuchło powstanie: wstąpił do 3. pułku ułanów. Ranny pod Nową Wsią (szrama przez oko i całą twarz została mu na całe życie), wzięty do niewoli, odbity pod Puławami, po skończonej wojnie poszedł na emigracyę. Tu »politykował« (jak się sam w pamiętniku wyraża), należał do klubów i pisał wiersze. Z jego późniejszych uczuć i przekonań nie znać w tych wierszach ani śladu, owszem zupełne ich przeciwieństwo: ale znać, choć wiersze (Sonety) nieszczególne, rzeczywistą siłę uczucia i duszy, i śmiałą pewność, że coś w nim jest i coś z niego będzie. Znać także trzeźwość i jasność myśli: ani śladu tego mistycyzmu, który w owych latach był tak powszechnym.

W roku 1835., jak sam mówi, uczuł w sobie powołanie kapłańskie. Jaką drogą do niego doszedł? Niezawodnie przez miłość ojczyzny, ale i przez tę jasność i męskość własnej duszy, która mu mówiła, że wszystkie starania są dodatkowe tylko, a stanowczem, skutecznem, najpotrzebniejszem jest odrodzenie samej duszy narodu. Że zaś nie rozumiał

powołania połowicznego, nieszczerego, więc w stanie kapłańskim widział przedewszystkiem służbę Bożą; że nie rozumiał połowicznego poświęcenia, więc skoro uznał, że trzeba Polaków, którzyby Bogu z całego serca służyli, nie wahał się i nie targował, ale postanowił takim być.

W tych latach właśnie skupiali się około Mickiewicza wszyscy, którzy przejęci byli katolickiemi uczuciami i dążnościami w emigracyi, i mówiono wiele o potrzebie polskiego zakonu, ale nikt w tem gronie duchownego powołania nie miał. Uczucia religijne wszakże rozbudził w Kajsiewiczu Mickiewicz, i jemu pierwszemu zwierzył się Kajsiewicz ze swojem postanowieniem. Takiesamo powziął równocześnie młodszy od niego o lat dwa Piotr Semenenko. W rok później zaczęli chodzić na teologię.

Uznano wszakże i oni sami rozumieli, że powinni odbywać nauki w Rzymie, świadczyć tam o katolickich uczuciach Polski, a w potrzebie dawać wiadomości o jej stanie. Poselstwo rosyjskie otwarcie i skrycie stawiało tysięczne przeszkody przyjęciu ich do któregokolwiek zakładu, niedostatek znosili wielki; wszelako zdołali wszystko przezwyciężyć i wytrzymać, i w roku 1841. otrzymali święcenia kapłańskie. W dzień Wielkiej Nocy 1842. zawiązali się w zgromadzenie zakonne, a od tego dnia nazwali się zgromadzeniem Zmartwychwstania Pańskiego.

Zaraz potem okazała się potrzeba walki z wielkiem religijnem niebezpieczeństwem, z nauką Towiańskiego. Ksiądz Kajsiewicz, wysłany do Paryża, próbował z prawa dawnej przyjaźni otrzeźwić Mickiewicza, ale na próżno. Żeby zaś innych łatwiej w wierze utrzymać, wyrobił z pomocą hr. Montalemberta pozwolenie na osobne nabożeństwa dla Polaków i na tych (nie wiedząc jeszcze o swojej zdolności kaznodziejskiej) zaczął kazać. Pierwsze jego kazanie (i jedno z najpiękniejszych) o Rządach Opatrzności, było odpowiedzią na tosamo pytanie, które słyszy się ciągle w naszej poezyi: jak pogodzić zwycięstwo złego ze sprawiedliwością Boską. Tylko on odpowiada na pytanie inaczej niż poeci i przypomina tyle polskich grzechów i zaniedbań, że kara po nich nastąpić musiała, a zwyciężenie złego w sobie musi być warunkiem i początkiem wszelkiego zwycięstwa. Po tem kazaniu nastąpił szereg innych, o walce i żołnierstwie duchowem, o wytrwałości, o cierpliwości, itd. — wszystkie polityczne, jeżeli się można tak wyrazić, odnoszące się do naszego stanu i położenia, i najpiękniejsze może ze wszystkich, o Pokucie.

Towianizm przestał się szerzyć, służba duchowna polska w Paryżu była urządzona i zapewniona, ksiądz Kajsiewicz odbył misye po różnych miastach francuskich, gdzie było więcej Polaków, a potem wrócił do Rzymu. Trafił tu właśnie na chwilę, kiedy niespodzianie zapowiedział swój przyjazd cesarz Mikołaj (1845). Dostarczywszy wszystkich szczegółów o ostatnich prześladowaniach religijnych, podał ks. Kajsiewicz Grzegorzowi XVI memoryał z wyliczeniem tych praw i swobód, które się kościołowi polskiemu należą, i tych, które jako minimum są mu do życia konieczne. Memoryał ten nie był bez wpływu na stanowisko, jakie względem cesarza zajął Grzegorz XVI i jego sekretarz stanu. Wkrótce potem umarł Grzegorz XVI (1846), a Pius IX otoczył młode

zgromadzenie szczególną łaską i opieką. Gdy w r. 1848. Kajsiewicz, wezwany do Poznania przez arcyb. Przyłuskiego, dla zaburzeń dostać się tam nie mógł, przyjechał do Krakowa, gdzie przez kilka miesięcy bawił, często kazał, odbywał konferencye dla księży, zawiązywał bractwa, założył pismo Tygodnik kościelny. Gdy wojska rosyjskie, idące na wojnę węgierską, zbliżały się do Krakowa, przestrzeżony, że będzie uwięziony i wywieziony, wyjechał do Paryża.

Po zaburzeniach roku 1848., w których imię ojczyzny tylokrotnie było nadużyte do anarchicznych a ojczyźnie szkodliwych celów i czynów, należało się nam zrobić rachunek sumienia z owego roku. Zrobił to ksiądz Kajsiewicz w kazaniu o Duchu narodowym i duchu rewolucyjnym; zrobił rozróżnienie jednego od drugiego i wykazał, czem drugi pierwszemu szkodzi. Wtedy zaszła w kościele scena i gorsząca i zarazem wspaniała. Kiedy kaznodzieja po wielu innych zrobił niektórym Polakom zarzut, że targnęli się w Rzymie na Namiestnika Chrystusowego i pomagali do jego wypędzenia, począł się w kościele rozruch. Ale Kajsiewicz mocniejszy był od rozruchu. Zgromił go i zmusił do milczenia: a to zrobiwszy zakończył kazanie wspaniałą, najrzewniejszą modlitwą za Polskę.

Zgromadzenie rozwijało się szczęśliwie (w Bułgaryi i w Ameryce), pracy przybywało ciągle.. Dwukrotnie odbył ksiądz Kajsiewicz podróż do Kanady, Stanów Zjednoczonych i Brazylii, dla zwiedzenia tych domów i zakładania nowych. Starał się także o pozwolenie zakładania domów w Galicyi. Trudności były znaczne. Kilka razy przyjeżdżał w tym celu (i sprawę znacznie posunął), raz ostatni na krótko przed śmiercią. Umarł nagle, w Rzymie, 26. marca 1873.

Oprócz kazań zostawił wiele innych pism treści duchownej, Pamiętnik swego zgromadzenia, i Listy ze swoich podróży do Ameryki.

Ksiądz Kajsiewicz jest postacią znaczącą w naszej historyi przez to, że jest skutkiem i dowodem, ale zarazem dalszą przyczyną i siłą poruszającą, odrodzenia się ducha katolickiego w Polsce. Kierunek ten, widoczny w całej Europie od rewolucyi francuskiej, a coraz widoczniejszy, u nas ma w nim głównego, bo najwszechstronniej czynnego reprezentanta. Ustalenie i wyrobienie się (w wielu z nas) katolickich zwyczajów i tradycyi w przekonania i zasady, jest w znacznej mierze skutkiem jego słowa, pism, i działania.

W literaturze zaś ma on to znaczenie i stanowisko, że jest największym kaznodzieją polskim naszego wieku, a od dwóch wieków przeszło pierwszym prawdziwie wielkim. Jest co do formy jednym z najwyższych, najdoskonalszych w tym wieku prozaików i stylistów polskich, co do treści, jest jak nasi wielcy poeci naturalnym skutkiem położenia i stanu narodu. Tylko na polu religijnem i z kazalnicy objawił się ten skutek inaczej niż na polu świeckiem i w poezyi. Punkt wyjścia jest tensam: tensam patryotyczny ból, który wydał naszą poezyę, wydał kazania, a może nawet cały zawód duchowny Kajsiewicza — tylko, kiedy poeci widzieli trafnie, czem i jaką Polska być powinna, ale mniej jasno, jaką ona w rzeczywistości jest: to kapłan i kaznodzieja, mając tensam co oni ideał jej w duszy, wyraźniej od nich miał w oczach wszystko złe,

które się temu ideałowi sprzeciwia, i wytykał to bez ogródek. Praktycznej zasługi w wielkiem dziele poprawy i odrodzenia narodu nikt nie miałby więcej jak Kajsiewicz, gdybyśmy go znać, czytać i słuchać chcieli.

Jako kaznodzieja ma on naprzód dar i siłę wymowy w stopniu bardzo rzadkim, wyjątkowym. Potem ma zadziwiającą znajomość swego narodu. On zna na wskróś naturę polską, wie zawsze nie tylko, co Polak robi, ale dlaczego robi, co czuje, co myśli, co cierpi, co zamierza. Jako psycholog i znawca narodowego usposobienia, ksiądz Kajsiewicz należy do najznakomitszych w naszej historyi. Ta właściwość czyniła go szczególnie zdolnym i usposobionym do tego rodzaju kaznodziejstwa, który możnaby nazwać specyficznie polskim, bo nigdzie nie spotyka się go w tej mierze i w tej świetności, do kaznodziejstwa politycznego. Skarga pierwszy mówi o obowiązkach i grzechach obywatelskich przeciw ojczyźnie, jako o obowiązkach i grzechach religijnych przeciw Bogu i chrześciańskiemu sumieniu. W jego ślady wstępuje Birkowski, Starowolski, Młodzianowski. Potem urywa się ta tradycya: w czasach narodowego upadku niema takich kaznodziejów ani takiego rodzaju kaznodziejstwa. Podejmuje tradycyę w półtrzecia wieku po Skardze Kajsiewicz, w czasach nierównie nieszczęśliwszych niż czasy Skargi, a podejmuje z takim ogniem, z taką potęgą Bożego i polskiego ducha, że w całej historyi naszej wymowy, naszego piśmiennictwa, naszego kościoła i narodu, nikt nie jest Skargi tak bliskim jak on. Pierwszy po Skardze w rzędzie naszych religijnych mowców, podobnym jest do niego Kajsiewicz i przez to, że połączył w sobie doskonale miłość i służbę Boga i ojczyzny: a obiedwie były w nim tak wysokie, że dorównać mu w nich bardzo trudno.

KAZANIE O POKUCIE.

(29. listopada r. 1842.).

Niejeden z was był może naocznym świadkiem, jak w chwili odsłonięcia cudownego obrazu Bogarodzicy w Częstochowie pobożny a gęsto skupiony lud nasz rzuca się krzyżem na ziemię i, wielki płacz zawodząc, przeciągłe jęki wywołuje z murów rozległej świątyni... Oto nabożeństwo prawdziwie uroczyste, jakie nam dziś przystoi, jakiegobym wpośród nas życzył, na jakiembym przestał. Przestałbym chętnie na cichem zadumaniu się, rozmyślaniu, skupieniu i rozrzewnieniu ducha. Tak sprzeczne wspomnienia i uczucia tak się tłumnie cisną! Każdy czuje dziś mocniej niż kiedykolwiekbądź, że połową tylko serca żyje; że druga daleko, daleko... a obie tak się gwałtownie a niewidomo przyciągają. Każdego dziś milczenie myślące i mówiące; radbym i ja milczał.

Ale jeżeli chcecie, bym mówił, i tak licznem zebraniem się waszem dodajecie mi ochoty i wyzywacie niejako na słowo, mówić

będę, ale mówić o tem, czem duch mój wezbrany, czego pełen: o pokucie.

Miejsce samo woła do pokuty. Ciemne, wilgotne, przysiadłe mury tej kaplicy przypominają, nie prawdaż? na poły więzienie, na poły katakomby podziemne pierwszych chrześcian. Obrazy jakie? Po prawicy Chrystus przybijany do krzyża: zda się mi jeszcze słyszeć razy młota i cichy, dźwięczący, srebrny jęk Zbawiciela. Nade mną, nad ołtarzem, Chrystus Pan na krzyżu; u stóp jego Magdalena we łzach: jawnogrzesznica, ale już pokutująca, już oczyszczona, już święta. Po lewicy Zbawiciel, ciało przynajmniej w grobie, dusza zstąpiła głęboko do otchłani: żal i nadzieja Bogarodzicy tam go ściga. A ten ołtarz w głębi? co na nim? Serce Zbawiciela, przebite boleścią, miłością płonące.

Uczynię zatem z wami, o bracia, rachunek sumienia narodowego, spowiedź niejako publiczną. Chwalić was nie będę; bo i obcy nas i samiśmy się już dosyć, bodaj nadto może nachwalili, a najczęściej kosztem innych niestety! nieraz odsłaniając przed obcymi domowe nędze nasze. Niech się chwali i weseli, kto może; ja nie widzę z czego. Po chwilach przelotnej i wątpliwej chwały, długie oto lata cierpienia i niesławy; widzę przyszłość zasunioną gęstymi i krwi pełnymi obłoki. Jawne, sterczące grzechy narodu, dotychczas nie poprawione, lezą mi w oczy i serce bodą. Na nie się tedy obracam, na nie, źródło i powód trwania wszystkich nieszczęść naszych; nie sfolguję im, jakiekolwiek i gdziekolwiek są, otworzę w goryczy usta moje; ja proch i pył kościelny, ja dzieciuch Pański, grzeszny i ostatni służka w domu Jego, przecie mówić będę. Dzień sam, wigilia św. Andrzeja, namiętnego miłośnika i Apostoła Krzyża — wszystko, wszystko woła do pokuty. Oddawna się już zbierałem na tę wyprawę, i dotychczas serca mi nie stało. O! nie tak to łatwo grzesznemu wytykać grzechy innych; nie tak to łatwo gromić z miłości i żalu, jak z pychy i nienawiści. Miłościwy niech mi Pan będzie w dzień sądu mojego, Jemu samemu polecam pocieszenie dusz pokutujących, a pójdę ścigać zbłąkanych rozprószeńców z domu Izraela; do nich mam sprawę, na nich wołam: Czyńcie owoce godne pokuty, bo już siekiera jest przyłożona do korzenia.

Panie mój! jeżelim Cię kiedy prosił, abyś kierował memi usty, tedyć goręcej proszę dnia tego i godziny, racz sprawiać słowa moje i serca tych miłych braci, aby rany, które im zadać mogę, za wdzięcznem a wonnem namaszczeniem Twojej łaski, stały się

im ku zbawieniu. O co Cię błagam, za przyczyną świętej a boleściwej Matki Twojej!

Kiedy naród jaki, opatrzony we wszystkie warunki fizyczne, potrzebne do istnienia, i mający za sobą długowieczne doświadczenie, upada, najracyonalniej każdy wniesie: więc musi być w tym narodzie zaród złego, który osłabił lub wytrawił siłę jego żywotną. Ślizga się bowiem po powierzchni, kto się czepia okoliczności zewnętrznych i na nie wszystko spędza. Cóż dopiero, jeżeli spojrzymy ze stanowiska wiary i Opatrzności! jak wkorzenione i uparte być musi zepsucie w narodzie katolickim, gdy go Bóg w gniewie swoim podawał w ręce ludów niekatolickich. Przepowiadał wam to wielki Skarga, przepowiadali inni ludzie z ramienia Bożego. Długo grozili, dziś już grozić nie trzeba, już się groźby spełniły... zostaje jedynie obawa ostatecznej niepokuty, ostatecznego opuszczenia ze strony Bożej. Aby od pierwszego was odwieść, a od drugiego ochronić, jeszcze wołamy na was: Pokutujcie, bo siekiera do korzenia jest przyłożona.

Kiedy choroba jest wewnętrzna, tedy i leki powinny być wewnętrzne; czego dotychczas nie chcieliście zrozumieć i jeszcze nie chcecie. Zawszeście chcieli siłą i przebojem wydobyć się z pod chłosty, nie usuwając jej przyczyn; a przeto wciąż idziecie przeciw woli Opatrzności i zdwajacie wasze cierpienia. Naród, jak człowiek, jest wprawdzie wolny; ale jeżeli nie wczas lub źle użyje swej woli, grzeszy i cierpi karę, aż póki użycie onej nie spotka się z chwilą łaski i wyroków Bożych... Naród nie jeden człowiek; naród podbity, długi stanowi szereg więźniów przykowanych do siebie jednym łańcuchem. Wszelki wysiłek, wszelkie poruszenie nieużyteczne, okropny, bolesny jęk wyrwie z piersi wszystkich współtowarzyszy. Tak człowiek, jak naród, nie tworzą wypadków. W ich odgadnieniu, w ich dobrem użyciu, leży zasługa i mądrość; a do tego trzeba czystego bardzo sumienia, wyrzeczenia się siebie, szukania większej chwały Bożej i pożytku bliźnich. Wolność, nadużycie wolności czyli grzech, i podnoszenie się z grzechu przez pokutę i zadośćuczynienie, oto treść dziejów tak ludzi jak narodów. Nie rozumieją lub nie chcą tego rozumieć drążkowi politycy i dlatego tak krótko widzą; nie rozumieją palca Bożego w kierowaniu narodami i dlatego tyle błędów i tyle cierpienia.

Dlatego i powstanie listopadowe, pomimo tylu najczystszych pojedynczych poświęceń, nie miało za sobą błogosławieństwa Bożego. Nie sił fizycznych, ale siły moralnej zabrakło. Ale Bóg i złe

umie na dobre obrócić. Nie wiedząc, co czynicie, odśpiewaliście nieszpory do św. Andrzeja. Czas i dni wielkich wypadków nie są bez znaczenia. Św. Andrzej, pierwozwaniec Chrystusowy, jest Apostołem Słowian i rzecznikiem ich przyrodzonym w niebie. Od dziesięciu wieków prawie straszny dualizm religijny dzieli kraje słowiańskie, a Polska i Moskwa jego wyobrazicielki i zapaśnice. Oddawna już Polska zaniechała swego powołania, jednoczenia odszczepieńców do całości kościelnej; Bóg dopuścił, iż nacisk zaczepny schizmy wraca nas koniecznie na stanowisko historyczne; bez tego bylibyśmy je ostatecznie opuścili, a błądzili po zużytych ścieżkach obcego zachodniego liberalizmu. Propaganda schizmatycka na szerszej dziś niż kiedykolwiek postawiła się stopie; wywiera się na północną i wschodnią Europę, mniejszą i środkową Azyę, Abissynię i Egipt, Sycylię i Korsykę samą. Naród nasz pierwsze miejsce ma w tej walce, świat cały zajmującej. Oby tylko wytrzymał, oby zrozumiał, że się wielka rzecz zaczęła! Myśleliście wyłącznie o stronie politycznej waszej sprawy, Bóg ją teraz obrócił na stronę religijną; a człowiek nie jest panem kłaść zadania w ludzkości, musi je przyjąć jak położone. Małoście i źle chcieli; Bóg może i zdaje się chcieć dać wam więcej, choć inaczej, abyście mu tylko byli wierni. Broniąc religii, nic nie tracicie, możecie zyskać tylko.

Religia katolicka, bracia moi! była i jest podstawą całego życia umysłowego, moralnego i historycznego Polski. Powiecie, że i innych narodów katolickich; prawda, ale na jednem tle wymalowane różne młode narodowości europejskie, odmienną przyjęły barwę i kształty. Życie Polski tem wyłączniej spoczywa w katolicyzmie, iż on jeden był spójnią tego kruchego ciała, w którem indywidualność zawsze przemagała, a poza rodzinę nie wychodziła. On zastępował tę sklejność i organiczne instynkta, których zarówno z innymi ludami nie posiadamy; on zastępował ten zbiorowy rozum narodu publiczny, który, nigdy weń niebogaci, dziś z osłabieniem wiary zupełnieśmy zatracili. Katolicyzm przy tak odrębnem naszem urządzeniu społecznem, wiązał nas jedynie z resztą zachodniego świata i przyniósł nam to wychowanie, co nas czyni wyższymi nad wszystkie inne ludy tegoż plemienia. Bo jeżeli wszędzie i zawsze wielkie myśli z serca płyną, tedy najbardziej u nas pobożność, zapał płynący z wiary zastępował wszystkie niedostatki rządu i rozumu. Narodowość więc nasza jest jak obraz na murze malowany, weń wpity, wrośnięty. Dopóki mur cały, jakkolwiekby obraz uszkodzony, wszystko da się naprawić; ale skoro się mur obali, a dziś

już jest podważony, wszystkie wasze teorye, cały patryotyzm nie zbawi narodu, Polska przestanie być Polską. A gwałtem chcecie bronić samego obrazu, co niepodobna: a co najgłówniejszego, bierzecie zawsze za podrzędne. Nie od dzisiaj już tak grzeszycie. Od XVI wieku ubiegacie się za śmieciem zachodu, stroicie się i pysznicie poważnie starzyzną germańskich i romańskich ludów... Pokazał się nareszcie filozofizm francuski, ten rozum nierozumu, to twierdzenie nicestwa — i toście przyjęli. I iluż jeszcze starannie pielęgnuje i upornie go broni! Teraz młodzież garnie się do dymnika niemieckiego panteizmu. Truje się w najlepszej wierze tym niedokwasem zdrowego rozsądku, tym rozczynnikiem wszelkiego poświęcenia, wszelkiego natchnienia, wszelkiego obyczaju. W samą porę przynoszą nieszczęśliwemu krajowi nieugięte fatum, kiedy on najbardziej potrzebuje wierzyć w Opatrzność, dającą się przebłagać. W samą porę ten świerzb nowych systematów i religii! W czas uciekać z pola, aby szukać nowej taktyki do walki, kiedy naród stoi pod ogniem działowym męczeństwa! W samą porę dzielić siły, jakobyśmy ich mieli za wiele. Wyborny sposób szukać wiecznie prawdy, aby nigdy nie pełnić obowiązku!

Bracia moi! Z grzechów to naszych wyrosło, śmieszkami się tego nie pozbędziecie. Wyrzuty te i rany na ciele ojczystem zdradzają zepsucie soków żywotnych siły narodowej, wszystko to pochodzi z niewprowadzenia w życie religii waszej. Urządziliście sobie wiarę, jakiej nigdzie niema na świecie. Z małym wyjątkiem, katolik polski, szczególniej człowiek mający się i miany za oświeceńszego, spowiada się jakkolwiek raz około Wielkiejnocy, nie dopełniając przez rok cały przepisów ani Bożych ani kościelnych; a po spowiedzi zaczyna od zbytków stołowych, od mów przeciwko wierze i obyczajom, od gier, od procesów niesprawiedliwych, od niedotrzymania słowa i zobowiązań, od uciemiężenia słabych i poddanych, i tym podobnych drobnostek; i tak znowu trwa rok cały, aż do drugiej Wielkiejnocy. Kto inaczej robi, bigot jest i fanatyk!

Wielki Boże! jak dziw potem, że kiedy w tylu krajach religia wzrasta, u nas upada. Jaki dziw, że Bóg dopuszcza klęsk i prześladowania. Co Bogu i co ludziom po takich katolikach i po takim katolicyzmie? Widzimy ich za granicą w tych okropnych czasach, żyjących z dnia na dzień jak ofiary pod nóż rzeźniczy, nie chcących nawet myśleć o swem położeniu, bawiących się, jak gdyby Sas u nas, tu Ludwik XV panował. I Sasa niema, niema od dawna, a Polska jeszcze nie wytrzeźwiała. Miał Polak zostać mądrym po szkodzie,

a tu mniej mądry jeszcze! Widzimy tyle młodzieży zarozumiałej i płochej, ze czczem sercem i umysłem, goniącej za zbytkiem a rozkoszami; widzimy rozsławiających imię Polski za kulisami teatrów, po domach gry i gorzej jeszcze, stawających przed sądem, idących do więzienia nie za wiarę ani za ojczyznę... ale za długi. Jakże wytrzymają tak ciężkie próby! Mówiliśmy o kościele unickim, zostawił trochę nasienia, krwi męczeńskiej, obudził on sumienie dzieci swoich przed kilkudziesięciu laty w podobny sposób nawróconych, nie przystał na schizmę, ale sądził, że mu wolno ugiąć się powierzchownie. Teraz burza spada na kościół łaciński, już na Rusi blisko przychodzi wybierać między wyrzeczeniem się wiary przodków a majątkiem i ojczyzną; przyjdzie kolej na inne części Polski. Duchowieństwo rozpędzają lub głodem morzą. Mówię o zamiarach targnięcia się na Ostrobramę, na Częstochowę, to ognisko serc, tę stolicę duchową katolickiej Polski i Słowiańszczyzny. Aby wytrwać, trzebaby gorliwości pierwszych chrześcian, gęstej i gorącej modlitwy, uczęszczania do ŚŚ. Sakramentów, żywej pamięci na obecność i sądy Boże, pogardy bogactw i życia. Czy im dostarczy tej siły ów letni, materyalny katolicyzm, jaki sobie stworzyli? Mrowie przechodzi na myśl o liczbie odstępców, o rzadkich wyznawcach i męczennikach. Oto siekiera przyłożona do korzenia...

A wy bracia moi! którzyście popchnęli naród do tej toni, który dziś was, nie oszukujcie się, w chwilach rozpaczy, porywania mężów, dziatek, ściga może nie raz swem złorzeczeniem i przekleństwy — o czem myślicie? Jeżeli macie jakie powołanie, to abyście raz wprowadzili katolicyzm w życie, abyście świecili narodowi przykładem i, kiedy on dzisiaj daje świadectwo prawdzie, abyście podnieśli błagalne ręce ku Niebu, w skrusze i pokajaniu. Nie żyjąc życiem narodu, jesteście kupą piasku, którą wiatr w rozmaite rozwiewa garstki, a piasku mniej coraz i coraz lichszy. Kłócicie się o zasady. Ale jeśli tymczasem braknie gruntu, na którym je zasiewać chcecie, na co się one wam zdadzą? Cóż tak pilnego — czy zaginą książki, z których je wzięliście i pisma wasze? Czy prócz was i po was nikt się ich nie dopyta? Wolnoż tak myśleć wam, ludziom postępu? Jużeście wszystko powiedzieli, każdy pochwycił jedną myśl, na jednej strunie gra od lat dziesięciu, jedno ma tylko oko na widzenie co chce widzieć, jedno ma tylko ucho na słyszenie tego, co mu się podoba.

Wystawiliście dzienniczki jak owe rozbójnicze zameczki w średnich wiekach; kto wam się nie opłaci, obedrzecie go z imienia i poczciwości; niczego nie szanujecie, przewyższyliście rychło

w nadużyciach dziennikarstwo zachodnie. Szlachetnie bezpieczni, że obrażony nie zechce obcym się sądem spierać! Piękne zadatki dobrego używania wolności w waszym kraju! Sączycie żółć zimną, znak zepsutego serca, krzywicie zwiędłe wargi do śmiechu, wojujecie śmiesznością. Czy śmieszność kogo poprawi? Czy rzecz publiczna aby krokiem naprzód postąpiła? przeciwnie. Jaki pożytek z dowiedzenia sobie nawzajem, żeście wszyscy, żeśmy wszyscy nie wiele warci? Boć takie następstwo z sądów naszych prawnie wyciągnąć mogą nieprzyjaciele nasi, ach! i już wyciągnęli. Czy to wszystko z zasad płynie? Gdyby tak było, każdy uczciwy człowiek powinien się zarzec zasad wszelkich i na zawsze. O, gdyby o zasady tylko chodziło, tobyście dawno zbliżyli się i porozumieli, ustąpili każdy coś ze swego, przynajmniej nie przeszkadzali sobie nawzajem. Jest coś innego na dole, pycha i zazdrość, która wszelką jedność i miłość niepodobną czyni. Pycha, nawet nie pycha, bo ona się wielkich rzeczy czepia, górno chodzi, na wysokie się kasze — ale, jak ją Skarga zowie: »szara pyszka«.

Zdrobnieliście, politykując na piasku, w powietrzu zawieszeni bez żadnej podstawy, straciliście już instynkt do jakokolwiek praktycznych rzeczy; w wielu umysłach skrzywionych, śpiących na jawie, prawda marzeniem, marzenie prawdą. Gdybyście czysto szukali dobra powszechnego, nie byłoby tylu ochotników do władzy. Chęć władzy to choroba powszechna, mania emigracyjna; władza nad czem i nad kim? nad pajęczyną? nad dymem? Każdy chce ojczyzny, ale podług siebie i z sobą; zawsze tak u nas bywało. Działacie, jak mówicie (już ten wyraz jak wiele innych zużyty nadużyciem i w śmieszność podany), działacie, nie ażeby co zrobić, ale aby się krzątać, wołać głośno, podpisać, wydrukować; działacie, aby drugiemu przeszkodzić, aby się nie dać ubiec wypadkom. Pilno wam o te wypadki, a ja pragnąc ich z jednej strony, z drugiej drżę z obawy, by was niegotowych nie zaskoczyły. Boże mój! jak was takimi znajdą wypadki, czego się tu dobrego spodziewać! O, pokutujcie, póki czas! nie czekajcie, ażby Pan podniósł swą prawicę i oświadczył się, że już nie będzie czasu. A już siekiera do korzenia przyłożona...

Jest przyrodzona człowiekowi w razach wielkiego nieszczęścia zapominać o przesądach umysłu, o urazach serca. Wszystkie narody, w niebezpiecznych razach uciekały się w duchu pokuty a modlitwie do Boga o pomoc i przebaczenie. Czy to robicie? Niektórzy zapewne. Ale większość jak żyje? Panie! daj mi siłę powiedzieć!

Jedni popisują się zbytkiem swoim, urągają się nędzy głodnych i schorzałych braci; brak tylko staropolskich moździerzy wiwatowych dla zagłuszenia ich skargi i jęków. Są całe szkoły karciane, tracące czas, sumienie i zdrowie na obdzieraniu wzajemnej nędzy. Dziwny sposób do życia! A o niepowściągliwości tak powszechnej co powiem? O! niech milczenie moje, wstyd ust moich wszystko powie. I tacy zowią się męczennikami, wyznawcami świętej sprawy, zowią się katolikami, patryotami!

O, skończył się już, skończył taki patryotyzm robaczywy! Nowy się zaczyna, patryotyzm z poświęcenia. Długo Pan pozwolił operować nad biednym narodem ludziom nie mającym w sercu, na czole znamienia krzyża; ale dziś Pan widocznie sam się wdał w rządy. Do szkoły swojej Pan mój naród powołał. Nie znalazł innego środka na zbawienie człowieka, jedno krzyż: niema środka, prócz krzyża, na opamiętanie grzesznego narodu. Wszystkie uczynki dziś mierzą się krzyżem; gdzie tego piętna niema, to pieniądz fałszywy; jakiekolwiek nosi światowe godła, na nic się nie zda Bogu ni ojczyźnie. Najlepszy dziś patryota, kto jest najczystszym moralnie człowiekiem, najgorętszym chrześcianinem.

Naciągnął Pan mój naród na krzyż, jak strunę na lutnię — on Boski lutnista, naród mój najmłodszy z katolickich, Benjaminka narodów, i stroi go do Boskiej swej harmonii; coraz to próbuje, struna jęczy przeraźliwie... ach! czuję, jak jęczy; ale jeszcze nie doszła, a dojść musi albo pęknie: Polska wytrzyma próbę albo upadnie, emigracya się nawróci lub marnie zginie. Prorokiem nie jestem; co potem będzie, nie wiem; ale to wiem pewno, że bez poprawy wewnętrznej nic dobrego być nie może lub, co gorsza, a czego nie daj Boże, będzie powód nowych, ostatecznych nieszczęść narodu, bez korzyści i nawet bez chwały. Dlatego nam tak pilno, bracia moi, dlatego mówimy do was, jak gdybyśmy mówili po raz ostatni. Gdyby naród miał obietnicę trwałości jak Kościół, pogwizdywałbym bezpiecznie na wszystkie wysiłki nieprzyjaciół naszej wiary. Gdyby czasy nie były tak ciężkie, bylibyśmy cierpliwsi; ale oto naród się rozkłada, wszystkie w nim zarody śmierci, życie tak słabe. Pytamy się nieraz, czyśmy już opuszczeńcy Pańscy? czy Bóg was odepchnął ostatecznie za tak długą niepokutę? Wszystkie nieszczęścia nas otoczyły dokoła, jak wody wielkie przejadają się w trzewia i w kości. Jakby wałem z żaru otoczył Pan jak owada: żadnej pokuty! Tymczasem wiara upada, odstępstw bez liku, między wami już kosztem wiary żebrzą o powrót do domów; dlatego nam

pilno — zachodzimy w głowę, jak do was mówić, jak obudzić z letargu; oto już grabarze we drzwiach — a obudzić nie możemy. Biada nam grzesznym! nad tem kwilić i narzekać będę z prorokiem (Mich. 1, 8, 9), uczynię lament jak młode strusięta. Przeto że nieuleczone są rany jej, gdyż doszły aż do Judy, a dosięgły do bramy ludu mego, aż do Jeruzalem.

Już mi się żyć przykrzy, nie chcę patrzeć na hańbę i utratę wiary i upadek mego narodu. Panie! weź mię z tego żywota, nie jestem lepszy od ludu mojego. Ale póki żyję, wołam i wołać będę: czyńcie godne owoce pokuty, oczyśćcie sumienia wasze w skruszeniu serca i złamaniu ducha, padnijcie na kolana, módlcie się, wołajcie w niebogłosy, może się zmiłuje. Pokutujcie! Pokutujcie!! Pokutujcie!!!

Karol Libelt.

Urodzony w Poznaniu 1807. r. Syn ubogich rodziców, przez cały ciąg nauk gimnazyalnych (w Poznaniu) i uniwersyteckich (w Berlinie) musiał utrzymywać się własną pracą. Oddawał się z największym zapałem nauce filozofii i matematyki: pierwszej pod kierunkiem Hegla. W roku 1829. otrzymał stopień doktora filozofii w Berlinie i wyjechał do Francyi na dalsze nauki, przerwane powstaniem roku 1830. Gdy z tego powrócił, zamknięty był do więzienia w Magdeburgu i pozbawiony kwalifikacyi na publicznego nauczyciela. Wziął więc dzierżawę, gospodarował na wsi i pracował ciągle w filozofii. Po wstąpieniu na tron króla Fryderyka Wilhelma IV, dostał pozwolenie mieszkania w Poznaniu i posadę nauczyciela matematyki w gimnazyum. Wtedy rozpoczął szereg publicznych wykładów o literaturze niemieckiej i o estetyce; a w pismach publicznych ogłaszał rozprawy naukowej i moralnej treści, między któremi do celniejszych należą O miłości ojczyzny, O odwadze cywilnej, i Filozofia sztuk pięknych. Uwięziony powtórnie w roku 1846., napisał w więzieniu Dziewicę Orleańską, pracę historyczną. W roku 1848. czynny w Pradze na zjeździe słowiańskim, we Frankfurcie nad Menem na sejmie rzeszy niemieckiej; odtąd już z małemi przerwami występuje w życiu politycznem Wielkopolski, jako poseł na sejm berliński i jako przez długie lata przewodniczący koła polskiego posłów sejmowych. Zajęcia te wszakże nie odrywały go od prac naukowych. Był prezesem poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, a oprócz wielu rozpraw pomniejszych wydawał dzieła filozoficznej treści. Z tych najważniejsze są Filozofia i krytyka, i Estetyka czyli Umnictwo piękna. Młodociane zamiłowanie do nauk matematycznych i przyrodniczych odezwało się w późniejszych latach zapałem do nowych odkryć w dziedzinie fizyki i chemii i gorliwem ich rozszerzaniem. Jego stałem mieszkaniem i własnością była wieś Czeszewo

(pod Wągrowcem w W. Ks. Poznańskiem), gdzie też jest pochowany. Umarł 10. czerwca 1875.

Uczeń Hegla, Libelt jako filozof ma jego system za podstawę i punkt wyjścia, ale różni się z nim zasadniczo. Różni się zaś nie tylko przez pojęcie Boga, ale i przez to także, że kiedy Hegel całą filozofię opiera na rozumie samym i z niego wyprowadza, to Libelt twierdzi, że rozum sam, jako władza badawcza, analityczna, a nie twórcza, nie może sam przez się utworzyć całkowitego i organicznego składu pojęć, ale potrzebuje do tego pomocy innej, więcej twórczej władzy ducha. Jako taką pojmuje Libelt wyobraźnię i na niej opiera swój system, w którym (zgodnie z tem pojęciem) zasadniczą, stanowczą wagę i rolę ma pierwiastek piękności.

Umysł potężny, czynny, wielostronny, trzeźwy przytem, odznacza się Libelt na polu filozofii dążnością do organicznego, systematycznego związku i układu, i wreszcie wielką obfitością prac, które razem wydane, złożyłyby kilkanaście tomów. Wszakże jego jak innych współczesnych dążenie do stworzenia nowego, osobnego systemu filozofii nie odnosi zupełnego skutku. Opierając się na Heglu, oni wszyscy wprowadzają w jego system myśli własne i odmienne, ale są przecież tylko jedną odmienną odnogą w jego szkole. Jak zaś w nauce polskiej, a przedewszystkiem w nauce filozofii, zajmował wielkie miejsce, tak w ogólnem życiu narodowem był jednym z ludzi bardzo czynnych i bardzo zasłużonych, a w Wielkopolsce jednym z tych, którzy najgorliwiej utrzymywali i umysłowe i polityczne życie. Niezmordowany w pracy, znakomity w nauce, żarliwy we wszystkich uczuciach, a najbardziej w miłości ojczyzny, szlachetny w charakterze, jest Libelt jednym z tych, którzy i świadczyli pięknie o żywotności i sile polskiego społeczeństwa i sami zasób tej siły powiększyli.

Z Estetyki czyli Umnictwa pięknego.

Charaktery.

Człowiek każdy naprzód tem jest, czem go natura stworzyła, to jest: ma osobne przyrodzone zdolności i osobny, sobie właściwy temperament — i to stanowi jego naturalne usposobienie. Powtóre tem jest, czem się zapomocą tego naturalnego usposobienia sam wyrobił, pod wpływem wychowania, otoczenia, okoliczności i własnej pracy — i to stanowi jego sposób myślenia i postępowania. Jedno zaś i drugie w połączeniu jest wizerunkiem jego indywidualnego charakteru.

Przyrodzone zdolności leżą utajone w wewnętrznym ustroju organizmu ludzkiego i w ilości i układzie mózgu, w delikatniejszej i doskonalszej budowie narzędzi zmysłowych i t. p. Nie uwydatniają się więc na zewnątrz, a jako takie pozostają poza obrębem

estetycznego na antropologią poglądu. Bo jeżeli później wyrabia się jakiś wyraz fizyognomii, po którym poznasz np. filozofa lub muzykalnego artystę, już to będzie wyraz wyrobionego własną pracą talentu, a nie przyrodzonego usposobienia.

Przyrodzone zdolności ściągały się do potęg ducha ludzkiego, do jego rozumu, wyobraźni i woli. Temperamenta ściągają się do jego uczuć, żądz i namiętności, które są podnietami jego działań i uwarunkowane są przyrodzonymi własnościami tak krwi jak nerwów; co już na zewnętrzną fizyognomię człowieka działa i pewien wyraz sobie w niej zdobywa. Dlatego też temperamenta są niejako tłem naturalnem indywidualnego piękna w człowieku.

Cztery temperamenta, uformowane wedle tyluż żywiołów świata, zostających w dwóch przeciwieństwach (suche i mokre, gorące i zimne), oddawna starożytnym filozofom były znane. Nowsi porównywają je z czterema zmysłami w głowie.

Są dwa kierunki życia ludzkiego. Jeden stawia go w stosunku do wpływów wewnętrznych, twórczych, i dzieli się na kierunek odśrodkowy czyli bierny i dośrodkowy czyli samodzielny. Jest to przeciwieństwo temperamentu cholerycznego i melancholicznego, odpowiednie przeciwieństwu wzroku i słuchu. — Drugi kierunek stawia go w stosunku do wpływów zewnętrznych czyli do tworów świata i jest także albo bierny, to jest przyjmujący wrażenia, albo czynny, to jest sprawiający wrażenia. Jest to przeciwieństwo sangwinicznego i flegmatycznego temperamentu, odpowiednie przeciwieństwu zmysłów powonienia i smaku.

Czystego temperamentu wogóle w żadnym człowieku się nie znajdzie, są raczej wszystkie cztery w każdym z przewagą jednego, który mu właściwe piętno nadaje. Ponieważ w każdym temperamencie jest nieskończone stopniowanie jego napiętości, przeto tem bardziej nieskończone są kombinacye czterech temperamentów razem, skąd sobie tłómaczymy ową rozliczność naturalnych indywidualności, jaka się przez czasy i narody objawia. Temperament, będąc tłem każdego uczucia i każdego kierunku umysłowego, cieniuje wszystkie stosunki człowieka.

Z tego wszystkiego, cośmy o temperamencie powiedzieli, pokazuje się oraz jego estetyczna wartość, pod względem wyrazowej plastyki człowieka. Czem jest koloryt w malarstwie, czem w muzyce ton zasadowy, na który cała melodya ułożona, tem jest temperament w pięknie natury ludzkiej. Na tem tle wydatnieje dopiero każdy wyraz ducha, z oblicza i ruchów ciała przeglądający,

nabiera pojrzenia żywego i ciepłem żywotnem się ogrzewa. Bez temperamentu byłby to rysunek bez kolorów, nawet bez cieniowania; byłaby to sylweta, nie obraz. Ale temperament, jako naturalny nastrój duszy, nie da się nawet oddzielić od piękna wyrazowego w człowieku, tak jak koncert instrumentalny musi być koniecznie z jakiegoś tonu. Przez temperament łamią się wszystkie promienie ducha i myśli; obrazy i czyny człowieka nabierają podobnego uroku, jak gdybyś na okolicę przez szyby różnokolorowe patrzał.

Znaczenie temperamentu w różnych czasach i różnych peryodach dziejów i sztuki bywa różne. Bo są czasy, w których zapał umysły ogarnia i porywa z sobą, ale równie prędko ostyga i ustaje, i rzekłbyś, że temperament choleryczny zapanował w narodach. Są znowu epoki szału, urojeń, zwątpienia, które dziejom i sztukom melancholiczny nadają koloryt. W czasach dobrego bytu i bogactwa narodowego panować zwykła lekkomyślna sangwiniczność, jak w czasach reakcyi ludzie w flegmatyczne popadają zobojętnienie, a jeśli jest energia w narodzie, ludy wtenczas rachują się z siłami swojemi. W takich więc epokach temperament z plastyczności przechodzi do dramatyczności.

Drugą stroną indywidualności człowieka jest jego strona duchowa czyli wyrobiony przez niego, jemu tylko właściwy sposób myślenia. Na pozór wydają się sposoby myślenia jak temperamenty niebardzo rozmaite. Atoli przy lepszem rozpatrzeniu się w charakterach ludzkich przekonamy się, iż każdy ma swój osobny sposób myślenia. *Quot capita, tot sensus*, czyli co głowa to rozum, jest już dawnem spostrzeżeniem i w przysłowie się zamieniło.

Sposób myślenia człowieka zawisł od jego przyrodzonych zdolności, jako od możliwości tego, co być może; atoli wyrobienie tych potencyi do rzeczywistości jest jego pracy i okoliczności dziełem. Stosunki i czasy, w których się człowiek urodził, wychowanie, jakie odebrał, otoczenie, wśród którego wzrósł, przygody życia, jakich doznał — wszystko to wpłynęło na uformowanie jego sposobu myślenia. Własną jego zasługę to tylko stanowi, czy i w jaki sposób mógł i umiał z tych okoliczności korzystać, jaką pracą i jaką walką wyrobił sobie tę duchową połowę charakteru swego.

Odsłania się tu odrazu estetyczna strona naszego poglądu na indywidualne sposoby myślenia ludzi. — Tajemnicze są ścieżki, któremi człowiek postępuje na drodze żywota, i tajemne są mocy, z któremi wchodząc w zapasy, charakter swój wyrabia. Jakaś niewidzialna ręka kreśli i one ścieżki i one mocy wysyła. Prawdzi się,

co powiada Schiller: że czyny ludzkie są siejbą przeznaczeń, rzuconą w ciemną krainę przyszłości, zdaną na wolę wielkich potęg losu. Trudno oczy zamknąć i na to, co się dzieje. Widać rzeczywiście, że jednym idzie wszystko jak z płatka, że ich szczęście goni i drogi ich żywota kwiatami wyściela; kiedy w żywot innych ludzi jakby nieszczęście się wplotło i po ścieżkach, któremi idą, ściekają strugi łez gorzkich i strumienie krwi, wytoczone ręką mordercy lub kata. Nie ulega wątpliwości, że pod tak różnym wpływem, szczęsnych lub nieszczęsnych losów, różnie się sposoby myślenia wyrobić muszą.

Jedno dziecię urodzi się w pałacach, wśród dostatków i przepychu, drugie w chacie biednego wyrobnika, wśród płaczu, narzekań i biedy. Jedno pieści matka i ojciec troskliwie o jego zdrowie i wychowanie zabiega, drugie nie zaznało rodziców, tuła się jako opuszczona sierota między ludźmi. Jednemu geniusz z oczu świeci, pamięć, zdolności, uroda, wszystko mu piękną przyszłość wróży; drugiemu wyczytasz głupotę z twarzy, tępy i leniwy, a do tego macosza natura wyposażyła go brzydotą oblicza i ciała; jakaż jego przyszłość? A jeżeli ma zdolności obok szpetności, dla której nim pogardzano, nie wyrodziż się w nim chytrość, złośliwość, chęć zemsty na rodzaju ludzkim? nie zrobiż się z niego drugi Franciszek Moor w »Zbójcach« Schillera?

Dojrzewa wreszcie młodzian. Z odwagą w piersi, z nauką w głowie, z sercem przepełnionem najszlachetniejszemi uczuciami i z rozpiętymi żaglami ideałów, przypływa do stałego lądu praktycznego życia. Tu go dopiero czeka walka, co na charakter jego stanowczy wpływ wywiera. Poznaje świat w prozie powszedniego życia, w jego egoizmie, przesądach i nikczemności. Opada zasłona złudliwa, a nagość brzydka wyziera, trupie odsłaniając oblicze. Prawda, piękno i dobro, wszystko inaczej się przedstawia. Rzuca się do materyalnego zawodu i tam chce sobie zdobyć pozycyę, odpowiednią zdolnościom i energii ducha swojego, atoli o brak funduszów, o ów *nervus rerum gerendarum*, którego mu niedostaje, rozbijają się wszystkie jego zabiegi. Nadejdą kłopoty życia, troski familijne, niedostatki wszelkiego rodzaju, co jak harpie plugawią każdą myśl piękniejszą i podnieść się jej nie dadzą.

Oto więc walki, w których wyrabiają się sposoby myślenia i hartują charaktery. Wyradza się z nich albo tragiczność, gdy silna wola człowieka zwycięża i przełamuje zawady, lub ginie śmiercią wzniosłą; — albo się tworzy komiczność, gdy zachodzi niestosunek

pomiędzy zdolnością a przedmiotem, który ma być pokonany; fizyognomia wtenczas staje się śmieszną, bo walka jest bez siły, nieszczęście bez grozy. — Gdy człowiek od walki odstępuje, dawne widzenia rzeczy jako złudzenia porzuca i staje się, jak tylu innych, machiną powszednich i publicznych stosunków życia; wszelkie w takim stanie rzeczy estetyczne wrażenie się zaciera i przedstawiają nam się tylko zwyczajne, obojętne fizyognomie ludzi.

Interes estetyczny obudza się znowu, gdy się człowiek z tego zwyczajnego trybu wyłamuje i w ujemną stronę moralności przerzuca. Bo z takiego stanowiska wyradza się znowu walka jednostki niemoralnej przeciwko całej moralności społeczeństwa, którego jest podstawą. Na tle tej ujemności sytuacye mogą być wzniosłe, fizyognomie estetyczne. Życie piratów, opryszków, rozbójników i wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa przedstawia na to dowody i wielekroć było przedmiotem sztuki, mianowicie dramatu i romansów.

Jako postaci komiczne przedstawiają nam się charaktery skąpca, dziwaka, parafianina, filuta, pijaka, pochlebcy, oszusta, wiercipięty, szachraja, zalotnika, gawrona, nieśmiałka, zazdrosnego itp. Komiczność wogóle obszerne znajduje dla siebie żniwo w charakterach ludzkich. — Wzniosłe, tragiczne charaktery są tylko charaktery dziejowe: silnej woli, wzniosłego ducha, głębokiego uczucia, np. rycerz w walce między miłością a powinnością; monarcha na tułactwie; zbrodniarz w zapasach z moralnemi potęgami społeczeństwa; dziewica lub niewiasta, poświęcająca się dla wielkiej idei; mąż prawy, padający ofiarą zawistnych losów; szaleniec, rozsiewający wokół siebie nieszczęście; zdrajca podły, któremu łzy i klęski pociechą dzikiego serca; człowiek wielki w walce z przesądami czasu i t. p.

Charakter wywiera na ruchach i fizyognomiach niezatarte znamiona, po których odrazu odgadniesz zawód i zatrudnienie człowieka. Rubaszne lub salonowe formy pokazują wychowanie na małym lub na wielkim świecie. Z marsowej postawy, ruchów rzutkich poznasz żołnierza. Ogorzała twarz i jakaś szczerota, co z oczu patrzy, każe ci się domyślać rolnika. Ręce grube, krzyże pochylone, ruchy albo ciężkie i niezgrabne albo lekkie i wymuszone zdradzają rzemieślnika; a nawet samo rzemiosło się charakteryzuje. Artyści mają branie się śmiałe, pewne, a zawsze oryginalne; w oku wiele wyrazu i blasku, kochają się we włosach długich, do tego wystawni, rozrzutni, w ubiorach także oryginalni. Ludzie, obracający

pieniądzmi, bankierowie, kapitaliści z pewnem zadowoleniem, jakby świat za pieniądze kupić mogli, trzymają ręce w kieszeniach, a tłustawe policzki i dobra tusza byt dostatni oznaczają. Chude, blade są postaci wekslarzy, a oczy ich jak liczby migają. Zbytnia prawie uniżona uprzejmość, kupca zdradza, a w jego oczach chęć zysku. Dumne są postawy sędziów i urzędników administracyi, a wyraz twarzy zimny. Mecenasi są jeszcze w dodatku dobrej tuszy.

Tak więc wszystko, co jest ludzkiego, wpływa na charakter człowieka i uwydatnia się plastycznie w pięknie wyrazowem. Negacyami piękna wyrazowego bez stracenia jednak estetycznej wartości, będą charaktery, niepoprawną i nieustającą wolą złego wyrobione, odpadłe od człowieczeństwa, o których powiada Szekspir, że stoją same jedne, osamotnione, bo mają i dobre i złe przeciwko sobie. Jak strącone z niebios piękne postaci aniołów oszpetniały fizyognomiami czartów, tak jak je sztuka sobie wyobraziła: podobnie i złe w charakterach ludzkich oszpetnia piękne oblicze człowieka i nadaje mu jakiś piekielny, odrażający wyraz. Wyuzdana rozwiązłość wygląda z oczu mdłych i głęboko wpadniętych, z zapadłych policzków, cery chorobliwej — trup to chodzący, w którego obliczu wyraz chuci jeszcze raz po raz blask roztoczy, jak blask dogorywającej lampy. Chude, wynędzniałe, z fałdzistem licem są fizyognomie wampirów społeczeństwa: chciwych lichwiarzów, nieubłaganych ciemiężycieli biednego ludu. Dzikie, tygrysie jest oblicze mordercy; lisi albo koci układ rysów twarzy w złodziejach i spojrzenie chytre. Pijaństwo i obżarstwo oszpecają twarz i, obierając ją z wyrazu ludzkiego, piętnują na niej wyraz zwierzęcy. Zazdrość zgryźliwa na żółtem obliczu osiada i rzuca spojrzenia z ukosa, jakby nożem godził. U oszczerców cierpka ironia świeci z oczu i usta do śmiechu równie cierpkiego wykrzywia. Pycha kark znieruchomia, dmie nozdrzami, a wzrokiem pogardę ciska. Gniew wysadza oczy, bladość rozściela na twarzy, siność na ustach. Zemsta jakimś piekielnym ogniem w oczach się żarzy, a śmiech szatański na ustach osiada. Szaleństwo ma wzrok przenikliwy, jakby żgający; oblicze, obrane z wyrazu ducha, nic nie wypowiada; w czasie napadu szaleństwa gra waryacyi odbywa się i na fizyognomii — smutny wizerunek człowieka, obranego z rozumu, a więc i z boskości. W szaleństwie już też nie ma charakteru, bo nie ma rozsądnej woli.

WCIELAJĄCE SIĘ IDEE CZASU.

Długi czas zagadką był sam człowiek, po co i na co stworzon, i jakie jego przeznaczenie. O wiele większą zagadką była ludzkość cała, a w niej rozliczne rasy, plemiona i narody; dla czego i ku jakim wyższym celom ta w niej rozmaitość? — Jedno i drugie pytanie rozwiązała nowoczesna filozofia, gdy okazała, że duch Boży byłby oderwanem pojęciem, abstrakcyą — gdyby nie był oraz duchem stworzycielem — *creator spiritus;* — gdyby się nie objawił wszechmocą swoją w przyrodzie wszechstworzenia, a nie objawił mądrością swoją we wiedzy całej ludzkości; — nie żeby sam tej wiedzy potrzebował, jak to mieć chciał panteistyczny idealizm filozofii niemieckiej, ale aby ludzkość była rozwojem tej wiedzy, której on jest pełnią i samowiedzeniem.

Stąd stopniowe poznawanie przyrody i jej praw odwiecznych; stąd coraz rozleglejszy zakres w dociekaniu ogromu wszechstworzenia i tych nieprzeliczonych światów, na niebiosach zawieszonych, między którymi świat nasz ziemski maluczką, niknącą tylko jest cząstką; stąd zhołdowanie straszliwych potęg natury i wzięcie ich w posługi człowieka, duchem nad nie potężniejszego, a to wszystko dowodzi, że jeżeli to stworzonko niknące we wszechświecie, które człowiekiem nazywamy, zdolne pojąć niezmierność wszechwiedzy i zdolne zapanować nad przyrodą: — to owo coś, co w niem myśli, czuje i działa i ten obszar jego wiedzy stanowi, musi być z ducha Bożego i samo być duchem nieśmiertelnym.

Ale pojedynczy ludzie zmierają, a ludzkość coraz nowemi pokoleniami odrasta i przyrasta, i jej trwanie przyczepione do trwania planety, który zamieszkuje. Ludzkość zatem piastunem rozwoju duchowego, a granice tego rozwoju nakreślone planetarnymi warunkami naszej ziemi, w których człowiek znajduje warunki bytu i życia, a temsamem zakreślone wiekiem tegoż planety. Był czas, gdzie człowieka na ziemi nie było, póki ta mu nie wyrobiła żywiołów niezbędnych do jego żywota. A kiedy z koleją wieków tych żywiołów znowu zabraknie, to i ludzkość na ziemi zaginie i nie będzie na ziemi człowieka. Oto jak rodzenie się tak zmieranie świata, nie może być epoką żywota ludzkości będącej kwiatem zamieszkałego globu.

Otóż zakreślona elipsa wiedzy ludzkiej, jaka się w ludzkości ziemskiej rozwinąć może. Może ona być zdumiewającą, niezmierzoną — ale atomem tylko będzie w porównaniu z nieskończonością

wszechwiedzy Boga. Niech więc człowiek nie marzy, by ją kiedykolwiek całą ogarnął i stał się równym Bogu.

W tem ograniczeniu człowieka i ludzkości leży ogromna różnica między duchem stwórzycielem, który jest odwiecznym, bez początku i końca, i jest wszechmocą i wszechwiedzą — a duchem stworzonym, który ma początek i do organizmu przyczepion, w którym się jako duch rozwija, urobiwszy go na narzędzie swoje. Wszelki duch stworzony jest tylko jednem tchnieniem Boga — jednym promieniem nieskończonego jego światła. Stąd, kiedy duch Boży jest wszechsobą, duch człowieczy jest tylko sobą czyli jest indywidualnym.

Indywidualność jest znamieniem ducha człowieczego. Ta jego soboistność zamienia każdego na coś osobnego, na osobę, i piętnuje na niej osobne znamię swoje tak na zewnątrz jak na wewnątrz. Każdy człowiek ma osobne, sobie tylko właściwe rysy twarzy, osobny ruch i chód, osobną postawę, osobny głos, osobny pociąg ręki w pisaniu, tak, że ze spojrzenia na pismo odgadniesz znaną ci osobę. Podobnie urabia się indywidualność ducha na wewnątrz, choć ją tam trudniej rozpoznać. Rozciągłość i napiętość władz duszy w każdym człowieku jest inna. Osobne w nim urobiły się uczucia, osobne zdolności i zręczności, osobny temperament i charakter. Jako się człowiek usoboistnia czyli indywidualizuje pod wpływem najrozmaitszych stosunków, przez które w życiu przechodzi, podobnie usoboistnia się pewne plemię, pewne pokolenie, pewien naród — a usoboistniają się nawet miejscowości i okolice. Dzieje się to także pod wpływem klimatycznych, geograficznych, społecznych i dziejowych stosunków. Indywidualizuje się rasa, indywidualizują się język, zwyczaje i obyczaje, indywidualizują się charakter i temperament, skłonności i zdolności, zgoła to wszystko, co nazywamy narodowością, czyli: co jeden naród od drugiego wyróżnia.

Jest to tak widoczna wydatność rysów i całej postawy zewnętrznej współplemieńca czy współrodaka, taka wydatność wad i cnót narodowych, że mniej więcej każdego poznasz, do którego plemienia lub narodu go policzyć. Do osobistej zatem indywidualności, jako osoby — człowieka, przystąpiła jeszcze indywidualność typowa czyli narodowa, z tamtej przeglądająca.

Ludzkość przedstawia się więc, jak mozajkowe, różnobarwne połączenie wielkich gromadnych indywidualności, narodowościami zwanych. I występuje na jaw idea narodowa, będąca nie już samą

formą, odróżniającą naród od narodu, ale stanowiącą duszę i żywot tego narodu. Jako idea żywotna, musi mieć cel swojego żywota, a aby go spełniła, musi mieć rozwój dziejowy. I tento cel nazywamy myślą posłanniczą narodu czyli racyą jego bytu.

Dopóty naród żyje i działa i jest narzędziem opatrzności kierującej światem, dopóki myśl swoją posłanniczą spełnia. Słabieje i obumiera, a nawet znika z widowni dziejów i w skład innych dziejowładnych narodów przechodzi, gdy myśl posłannicza przestała go ożywiać i podnosić.

Z powodu indywidualizowania się ducha ludzkiego, które tem jest silniejsze, im on jest potężniejszy, wielkie gromady plemienne rozpadłyby się na coraz mniejsze indywidualności, na osobne ludy, pokolenia, rody; a w tem rozdrobnieniu znikłaby idea narodowa, nie znajdująca już dość silnej podstawy, aby na niej oparta podjąć mogła myśl posłanniczą, do pewnej narodowości przywiązaną.

Stąd poszło, że cały przebieg dotychczasowych dziejów był zaborczy; że rozerwane plemiona, że różnorodne narodowości łączono w osobne wielkie całości polityczne; że powstały potężne państwa, których ostatecznym celem było wyrobić z tych rozlicznych narodowych żywiołów nową wielką narodowość czyli wytworzyć naród, któryby spełnić mógł posłannictwo swoje, powołan doń rozwojem ducha dziejowego.

Gdy się wyrobią narody, i idea narodowości zapanować musi. I nie może być inaczej, jak że dotychczasowy charakter dziejów zaborczy zamieni się na federacyjny, unijny, międzynarodowy; — że państwa zamienią się na narody albo na związki narodowości autonomicznych, jednym wspólnym interesem bezpieczeństwa i dobrobytu połączonych; — że w dziejach zrobi się wielki zwrot od uciemiężenia do wolności ludów, od zawiści do braterstwa, od stanu wojennego do pokoju.

Idea każda dopóty jest abstrakcyą, myślą, dopóki nie zostanie czynem. A czyn stać się tylko może przez wcielenie się idei w jednostkę lub w naród, w spełnieniu tej idei posłannictwo swoje podejmujący.

Zawsze Opatrzność wywołuje mężów, w których ta idea przed innymi się objawia; z nich myślą, słowem i czynem, jako światło ożywcze się rozchodzi; w nich ześrodkowywa się instynkt, poczucie i wola narodu; oni dlatego w imię tej myśli narodowej i posłanniczej, zdolni są porwać naród za sobą i porywają. Są to mężowie dziejowi, których imiona przechodzą do potomności, bywszy

uwielbionemi u współczesnych. Zdobywają sobie nieśmiertelność dziejową, bo żyć będą w dziejach i wspomnieniach, dopóki jednych i drugich starczy.

Najpotężniejszą ideą, która sprowadziła ogromny postęp i przewrót wyobrażeń w ludzkości, była idea chrześciaństwa — idea miłości Boga i bliźniego — idea podnosząca każdego stworzonego człowieka do równości w obliczu Ojca Stworzyciela i do synostwa Bożego — idea uzacniająca ród ludzki i każdego człowieka z osobna — idea pokoju i braterstwa. Nie dziw, że stała się słupem granicznym między światem, który przedtem był, a światem, który potem się rozwinął.

Wszelka idea pochodzi z nieba, a jej przedstawiciele są posłannikami Bożymi. Ideę chrześciaństwa, jako najwyższą, przyniósł sam Boski zakonodawca, prawdziwy syn Boży, który na to przyszedł na świat, aby rodzajowi ludzkiemu przyniósł zbawienie. Ideę tę Boską słusznie nazwano dobrą nowiną, to jest: ewangelią.

Objawiona wśród żydów na Wschodzie, w tej pierwotnej kolebce wszelkiego początkowego rozwoju tak współczesnego, jak dziejowego, nie w Izraelu, ale w barbarzyńskich świeżych i nieużytych jeszcze szczepach germańskich znalazła swoich wojowników, którzy jej panowanie rozpostarli szeroko po obszernych dzielnicach jedynowładnego państwa rzymskiego...

Józef Kremer.

Urodzony w Krakowie w roku 1806. Wszystkie nauki tamże aż do egzaminów doktorskich. Już ze stopniem doktora filozofii wyjechał na uzupełnienie nauk za granicę, przedewszystkiem do Berlina, gdzie właściwa jego nauka, filozofia, wykładana była przez Hegla, uważanego w całym świecie za pierwszego jej w owym czasie mistrza. Kształcił się potem jeszcze na innych uniwersytetach niemieckich i w Paryżu; wypadki roku 1831. sprowadziły go napowrót do kraju. Wstąpił do wojska i dziwnym trafem służył w jednym plutonie ze swoim kolegą z Berlina i kolegą w powołaniu, Libeltem. Po skończonej wojnie osiadł (już na resztę życia) w Krakowie. Pierwsze owoce swojej pracy naukowej ogłaszał w Kwartalniku naukowym (A. Z. Helcla); były to rozprawy o Zasadach logiki, o Filozofii natury i Fenomenologii. W kilka lat później ukazały się Listy z Krakowa; jest to (w czterech tomach) teorya estetyki i wykład jej zasad na najcelniejszych dziełach poezyi i sztuki. Kremer, żyjący dotąd jako człowiek prywatny, przez te swoje prace tak zwrócił na siebie uwagę uczonych,

że w roku 1847. powołano go na katedrę filozofii w uniwersytecie krakowskim. Zajmował ją do śmierci. Oprócz wykładów służył swojej nauce coraz nowymi dziełami. Z tych najogólniejszem jest Wykład systematyczny filozofii, obejmujący wszystkie jej części w zarysie. Grecya starożytna i jej sztuka, Podróż do Włoch, Sztuka w starożytnym Rzymie, wchodzą w zakres tej gałęzi filozofii, która mu była szczególnie ulubioną, to jest estetyki. W tymsamym zakresie wiele rozpraw drobniejszych. W ostatnich latach życia zajmował się znów najwięcej Logiką, której wykład systematyczny przygotowywał do druku. Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej filozofii są odparciem twierdzeń i argumentów filozofii materyalistycznej. Śmierć jego spowodowana była przypadkiem: przejechał go powóz, z czego rozwinęła się długa i ciężka choroba. Umarł w Krakowie 2. czerwca 1875. roku.

Wykształcony na Heglu i uznający do śmierci jego powagę, Kremer miał jego filozofię za podstawę, ale jej się nie poddał w zupełności. Owszem, trzymając się metody Hegla, odstąpił od jego ducha. I wrodzone uczucie i własne filozoficzne badanie, wiodło go do pojęcia i do uznania Boga jako przyczyny wszystkiego, co jest, i jako osobistości. Charakter chrześciański stanowi zasadniczą różnicę między jego pojęciem a systemem Hegla, który zresztą jest jego podstawą naukową. Z poglądu, z żywego zamiłowania wszystkiego, co piękne, był Kremer przedewszystkiem estetykiem. Na tem polu położył największe może zasługi; wszelako tak wykładami jak dziełami swemi ożywił i podniósł Kremer naukę filozofii jako taką, przed nim u nas zaniedbaną i uśpioną; a przez łatwy, powabny, przystępny sposób pisania (czasem co prawda zbyt ozdobny i cokolwiek wyszukany), dokazał tego, że jego pojęcia szerzyły się nie pośród uczonych tylko, ale dochodziły do ogółu ludzi wykształconych i rozszerzały zakres, a podnosiły poziom ich pojęć i wiadomości.

Z Listów z Krakowa.

Przeróżne potęgi przyrody niewidome rozpływają po wszem świecie; cicho, spokojnie w naturze, póki te mocy równoważą się harmonią w wielkiej pracowni stworzenia, słuchając ogólnego zakonu i wiekuistych prawd. Cicho, spokojnie, uroczo wówczas w naturze, jakoby w wigilią wielkiego święta wszech jestestw. I obłoczki świeciste igrają lekkie, barwiste po szklanem morzu powietrznem, i spuszczają się wieńcem rozlotnym na górskie przeczoła, przelewają się w piersi szczytów skalnych, tętnią w ciemnych, chłodnych wnętrznościach gór, aż się pojawią na wierzch źródłem krystalicznem; wtedy już rosną huczącym potokiem, potężeją w rzekę poważną, by spłynąć do nieskończoności oceanów. Z oceanów tych

wznoszą się znów wody wyziewem i znów obłoczkiem lekkim, barwistym płyną po szklanem, powietrznem morzu. I z cicha igrają powiewne tchy, i z cicha tajemnie gospodarzą mocy przyrodzone w tem wielkiem państwie Bożem, równoważąc się i miarkując nawzajem. Więc spokojnie, uroczysto, i w atmosferze i nad ziemią, na dolinach i górach, i spokojnie w podziemnych sklepach, kędy mieszkają mocy wielowładne. Przecież, gdy te potęgi wszystkie zerwą wzajemne przymierze, gdy się zbuntują ogólnemu prawu, gdy się wyłamią z pod ogólnej prawdy, która jest ich mistrzynią, gdy każda z nich skupi siłę swoją w sobie i zbierze się w sobie; już wtedy występują do walki i zderzają się z sobą wojną na zabój, pasowaniem się na wytępienie. Płyny niewidome ściskają się w twierdze ciężkich czarnych chmur i w pioruny błyskawiczne — i zagrzmią, aż niebo stanie pożarem; potęgi podziemne szarpią się, rozsadzą sklepione ciemnice, wyleją się rzeką ogniów płynnych, staną słupem płomiennym, zatrzęsą ziemską posadą, runą budowaniem gór. I wody i ognie i ziemie i wichry ciskają się gniewem i zderzają się wojną na zabój, rozmiatając wkoło zniszczenie i zgrozę.

Podobnie jak w świecie przyrody, dzieje się i w świecie duchowym. Przeliczne mocy serca, przeróżne potęgi rozlane są po wszem ludzkim rodzaju; one spokojnie gospodarzą w społeczności ludzkiej, nawzajem się miarkując, mierząc i ważąc. Tak, honoru uczucie, miłość, rodzinne kochanie, chęć sławy i chwały i władzy, przywiązanie do kraju, i te wszystkie inne mocy, które nam są dane posagiem, miarkują stosunki wszystkich ludzi nawzajem. Wszak wszystkie tesame potęgi są zamknięte i w każdym z osobna człowieku i w nim wzajem się równoważą i mierzą i chronią go od przygody. Póki tym trybem ma się człek do człeka i człek każdy sam do siebie, póty cicho w społeczności i spokojnie; i spokojnie też w piersiach pojedynczego człowieka, bo błogie gospodarzenie tych potęg w sercach ludzkich, jak jest wzajemnem ich podniecaniem się, tak i wzajemnem ich miarkowaniem.

To atoli miarkowanie się wzajemne, ten zestrój tych pierwiastków jest właśnie cichem, choć bezświadomem, uznawaniem ogólnego prawa, uczczeniem ogólnej prawdy wiekuistej, wewnętrznej, która rodzi te wszystkie prawdy szczegółowe z siebie samej i zestraja je wszystkie w sobie. Lecz gdy te potęgi i prawdy szczegółowe zerwą z sobą i z tą prawdą ogólną, bezwzględną; gdy pęknie łączące je przymierze, gdy jedna z tych mocy szczegółowych dźwignie się olbrzymem, samodzielnie w piersiach, gdy przygłuszy

inne mocy, inne pierwiastki, inne prawdy: wtedy zarazem zbuntuje się człowiek i onej ogólnej prawdzie Bożej, co jest świata zakonem; wtedy ona potęga, wezbrana w sercu jego, demonicznem oczarowaniem porywa go całego namiętnością, staje się jego losowładną mistrzynią i panią; wtedy rzuci go o innego człowieka, w którym znów inny pierwiastek, inna z tych potęg jest mocą panującą. Zderzenie się tych mocy jest tragicznością ich. Gdy każda z tych zderzających się postaci jest pod wyłączną władzą tej jednej miotającej nią siły, co stanowi jej życie i duszę, więc też każda z tych postaci życie za nią oddaje i żywotem ją opłaca. Jedynie śmierć jest ich pogodzeniem z prawdą ogólną i sercem własnem.

Każda z tych postaci, z tych figur tragicznych ma słuszność, a zarazem nie ma słuszności. Jest bowiem w prawie swojem, bo przekonanie, któremu się ona poświęca, za którą życie daje, jest jedną z owych wielu prawd szczegółowych, które władają światem, które są przytomne i w każdym z nas: dlatego właśnie skon i los jej tragiczny wzbudza w nas współczucie i przejmuje zgrozą duszę naszą; ale z drugiej strony figura tragiczna zawiniła w tem, że nie miarkuje uczucia swojego, że przygłusza inne prawdy w piersiach swoich, które równie do jej posłuchu mają prawo, że temsamem obraża oną prawdę ogólną, nieskończoną, wiekuistą, oną prawdę prawd, która tych wszystkich szczegółowych prawd jest macierzą i zestrojem najwyższym. Dlatego też postaci tragiczne zderzeniem śmiertelnem, skonem za tę winę swoją płacą. Śmierć atoli ich jest zadośćuczynieniem za grzech przeciw onej prawdzie wiekuistej; więc nad ich grobem unosi się ta wiekuista prawda z palmą w ręku, z palmą przebaczenia i odkupu.

O tem wszystkiem wspomniałem tutaj, aby nam łatwiej przyszło wykazanie różnicy między tragicznością starożytną, klasyczną, a Szekspirem.

To wszystko, com właśnie teraz powiedział, jest wspólnem i tragiczności starożytnej i Szekspirowskiej. Obaczmy teraz, w czem między niemi zachodzi różnica.

W świecie starożytnym człowiek nie ma jeszcze we własnych głębiach swoich poczucia onej prawdy nieskończonej, wiekuistej, więc żyje w harmonii z rzeczywistością zewnętrzną, więc w harmonii z obyczajem przyjętym wśród ludzi, z prawem, z naturą, z wyobrażeniami religijnemi, słowem, z temi wszystkiemi potęgami, które u niego również istnieją w świecie zewnętrznym, jak żyją w samem sercu jego. Grek nie jest jeszcze tak wewnętrznym czło-

wiekiem, aby się mógł obejść bez powagi zewnętrznej; co on czuje, toć u niego powinno mieć uświęcenie zewnętrzne. Zatem idzie, że ona prawda wszystkich prawd, owa prawda ogólna, nieskończona, wiekuista, obejmująca wszystkie inne, uświęcona jest powagą zewnętrznego świata, jest dla Greka również urzeczywistniona w świecie zewnętrznym.

Prawda, że póki Grek żyje z tą prawdą w harmonii, póki ona przejmuje jego przekonanie wewnętrzne, póty też on nie zdoła się na nią patrzeć, jako na moc zewnętrzną, któraby była tylko mocą, a nie zarazem i prawdą; lecz w chwili, gdy on występuje przeciw niej, już temsamem rodzi się rozdwojenie, dysharmonia między nim a tą prawdą — ona staje się dla niego potęgą zewnętrzną; on łamie się z nią, jakoby z mocą obcą, cudzą; zatem idzie, że też mocy, które go za winę karzą, są również w jego oczach czemś obcem, cudzem, zewnętrznem, jest to fatum, są to bogi, eumenidy, jędze, nemesis.

Inaczej zupełnie ma się rzecz w tragiczności Szekspira. Tu świat chrześciański w całem znaczeniu, tu głębie nieskończone rozwarły się w duchu człowieka, świat zewnętrzny tutaj traci znaczenie swoje; człowiek ma wagę swoją na wewnątrz; człowiek nie dba o to, co zewnątrz waży, on zamyka się we własnych głębiach i w nich żyje; owa prawda wiekuista, ogólna, nieskończona, owa prawda wszystkich prawd nie przebywa zewnątrz niego, ale mieszka w nim samym i tam świeci okiem Bożem, niezmrużonem nigdy.

Gdy przeto tutaj figura tragiczna występuje przeciw tej prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, już wtedy nie zderza się z potęgą zewnętrzną, ale zderza się z własną a najgłębszą istotą swoją, rozdwaja się we własnem wnętrzu swojem. A gdy tedy figura tragiczna ginie od mocy tej prawdy ogólnej wiekuistej, to jej skon jest właśnie zadośćuczynieniem tej prawdzie, jest pogodzeniem się człowieka z własną istotą swoją wiekuistą, jest pogodzeniem się jego ze sobą samym. Zatem idą już dalsze różnice obu tragiczności.

Figura tragedyi klasycznej (greckiej), zderzając się jedynie ze światem zewnętrznym, nie zna tego rozdwojenia własnego wnętrza swojego, nie zna sprzeczności wewnętrznej, a zatem ona już w całości oddaje się własnemu czynowi swojemu; ona, nierozdzielna w sobie, całem brzemieniem istoty swojej waży w stronę, kędy ją porywa jej losowładne uczucie. Ona jest niby z jednej sztuki, z jednego odlewu, ona wyobraża tylko jedną pojedynczą myśl, która

nią włada; dlatego te postaci są tak plastyczne, do posągu rzeźbionego podobne, w którym przecież »równie jedna chwila, więc jedno poruszenie, jedno uczucie skamieniało marmurem«. Wynika stąd, że figury tragedyi klasycznej mniej są charakterami rozwijającymi się, jak raczej typami prawie nieruchomymi, niezmiennymi od początku do końca tragedyi. Z tego wypływa następnie, że we wnętrzu figur tragedyi klasycznej niema potęgi, coby łagodziła, miarkowała to uczucie, które ona za prawdę najwyższą uważa, lub ta prawda jest tylko jedną z szczególnych prawd. Tą potęgą miarkującą mogłoby być jedynie przekonanie o onej prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, nieskończonej, obejmującej w sobie owe szczegółowe prawdy. Gdy jednak ta prawda wiekuista nie przebywa jeszcze we własnych piersiach człowieka, ale jest zewnętrzną, więc ją zastępuje chór tragedyi grecki, który także jest zjawieniem zewnętrznem, bo wyraża świat zewnętrzny a lud; ten chór łagodzi, miarkuje, napomina, narzeka; ale jest bezwładnym, bezczynnym.

Inaczej u Szekspira! Tutaj owa prawda bezwzględna już jest żywą we własnem sercu człowieka; stąd rodzi się nieskończona ufność jego do siebie, do swojego wewnętrznego przekonania, jako wyroczni niemylnej. Atoli ta ufność, która z istoty swojej winna być poleganiem na prawdzie wiekuistej, przebywającej w sercu człowieka, dla ułomności jego spacza się i wykręca. Dlatego też człowiek w średnich stuleciach, nie zrozumiawszy tej własnej dufności ku sobie, tej niezawisłości od zewnętrznego świata, rad jej zadośćuczynić puszczaniem się na awantury fantastyczne. Co więcej, człowiek nie zdołając odróżnić głosu demonów ciemnych, pokuśnych od wołania Bożych aniołów, bierze ów popęd wewnętrzy, błędny, odzywający się we wnętrzu jego, za oną prawdę bezwzględną, wiekuistą. Baczmyż atoli, jakie się stąd rodzą skutki. Gdy człowiek, porwany tą bez granic ufnością w siebie, rzuca się całą potęgą duszy w strony, kędy go prze uczucie, będące tylko osobistem, wtedy właśnie jakby przez oddziaływanie przebudza się w nim i owa prawda wiekuista, ogólna, bezwzględna, która ożyła w sercu wiarą zbawienia, a która nigdy nie zmruży wiekuistej źrenicy i wiecznie czuwa w duchu człowieka. Tak tedy u Szekspira wobec widza staje na scenie człowiek, w którym dźwiga się, rośnie demon popędu samowolnego, uczucia osobistego. Przecież, gdy w tymsamym duchu jego jest zarazem i uczucie prawdy wiekuistej, zatem człowieka rozdziera rozdwojenie i pełne boleści

powątpiewanie o sobie samym. Ale im mocniej w piersiach jego wzniesie głos swój ta prawda wiekuista, przestrzegając i grożąc; im przeto głębsze jest w nim powątpiewanie o sobie i zachwianie się w sobie: tem więcej, jakby przez nową reakcyę, ów popęd złowrogi napręża się w sobie, potęguje, podnieca się i skupia w sobie, by nie ulec onemu powątpiewaniu, by się nie poddać onym wiekuistym głosom, by je przytłumić, przygłuszyć. Dlatego właśnie te uczucia, te namiętności w tych figurach rosną, a rosną przez oddziaływanie w moc tak olbrzymią, że już z nią nie może pójść w porównanie żadna wewnętrzna potęga, żaden patos, który prze do działania bohaterów tragedyi klasycznej; dlatego też właśnie te figury winny ginąć, bo one nie tylko buntują się przeciw wiekuistej prawdzie, istniejącej zewnętrznie, ale przeciw własnej nieskończonej istocie swojej: bo ta prawda żyje w nich samych.

Mimo atoli najwyższego spotęgowania i tego parcia w każdej figurze Szekspira, mimo wysilenia się duszy jej, owa prawda bezwzględna, wiekuista, ogólna, wiecznie stoi na straży, wiecznie żyje w jej sercu; wynika stąd, że w tych figurach, mimo ciśnienia potężnego do winy, zawsze owa prawda wiekuista znać o sobie daje, a daje znać w różnej formie wedle różnej indywidualności i usposobienia tych figur. Ale w jakiejkolwiek postaci wtedy pojawia się w tych figurach owa prawda ogólna, zawsze ich przekonanie osobiste, ich świadomość własna, udzielna, będzie dla nich najwyższą wyrocznią, której one ufają bez granic, bo ta osobista świadomość jest ich duszą, ich prawem.

Obaczymy dla przykładu niektóre z tych form, w których pojawia się prawda wiekuista w sercu figur Szekspirowych. Tak, aby uciszyć w sercu to wołanie wiekuistości, figura dramatyczna radaby je połączyć z osobistem patos swojem, z onym popędem swoim; więc wymyśla osobne teorye życia, osobne tryby zapatrywania się na świat, a tak widać, że w tej figurze prawda wiekuista odzywa się, że jest obecną w niej; ale ta figura wysila się na sofizmy, aby się pogodzić z ową prawdą bezwzględną, aby samą siebie otumanić. Ryszard III n. p., co jest istnym demonem zbrodni, poczuwa przecież oną prawdę w sobie, która w sercu jego znać o sobie daje; przetoż on tłómaczy się sam przed sobą, dlaczego chce być ludzkości wrogiem. Natura go upośledziła, uczyniła jego postać ohydną, potworną — ludzie go nienawidzą, unikają jego obecności; więc sądzi, że ma prawo zerwać z naturą, sponiewierać jej ustawy, poigrać krwawo z uczuciem ludzkiem, odpłacić się za

krzywdy swoje i naturze i światu i ludzkości. To jest jego przekonanie, i wedle niego idąc przez świat, urósł w szatana (Ryszard III, scena 1).

Znowu w innej figurze, jako Lady Makbet, w innej formie pojawi się ta prawda wiekuista; jakoż one głosy wewnętrzne odzywają się w sumieniu, w widzeniach. To jej się zdaje, że zamordowany Dunkan tak podobny do jej własnego ojca; to znów ze świecą w ręku, snem somnambulicznym błądzi w nocy po zamku i żali się i trwoży, że wszystkie wonie Arabii nie zdołają odjąć zapachu krwi z jej małej ręki! Albo prawda wiekuista, znów w innej, nowej a zupełnie właściwej i odwrotnej postaci występuje w Hamlecie. Jemu się zjawia duch własnego ojca, wzywając, by zemścił się za śmierć jego; ze wszystkich stron biją na niego dowody okropnej zbrodni, dokonanej na ojcu jego. Ale Hamlet tem grzeszy, że niema właśnie żadnej namiętności, żadnego popędu energii; więc mimo ducha ojcowskiego, mimo że sam wierzy onym dowodom, boi się działania; on z natury swojej bezczynnym. Ta ujemność charakteru czyni z człowieka, pełnego szlachetnych uczuć i zacności, charakter trwożliwy, szperający, sceptyczny. Hamlet tonie w badaniu nad sobą i prawdą, waży i mierzy i chwieje się i waha, a nie działa. On radby nie wierzyć w zbrodnię ojczyma i w słabość pełną winy własnej matki swojej, bo ma wstręt do wszelkiej czynności, i w tem właśnie jego wina, tem właśnie wywołuje ujemność w duchu swoim; on za tę ujemność swoją, za ten sceptycyzm życiem płaci.

Czyliż przywodzić jeszcze więcej tych postaci, rysowanych mistrzowską ręką Szekspira? Odstępuję od zamiaru tego, by mnie kto nie pomówił słusznie o lekkomyślność, żem się odważył jakby mimochodem, jakby przygodnie rozprawiać o najogromniejszych arcydziełach sztuki, o dziełach, które po wszystkie wieki zostaną zdrojem żywym mądrości artystycznej. Zresztą, nie braknie im już dzisiaj mistrzowskich objaśnień i komentarzy, do których odsyłam. Czynię ci tylko tę uwagę tutaj, że właśnie z tego, com powyżej rzekł, okazuje się cała przepaścista głębia tych jego figur. Zaiste, jest to otchłań, w której mieszka wiekuistość; stąd też te figury są tak butne, takie demoniczne, tak na sobie się opierające; stąd tyle wewnętrznej energicznej potęgi, mimo wewnętrznego rozdwojenia. I w tem właśnie widać iście romantyczny pierwiastek w całej swojej mocy — ów żywioł, który napotykaliśmy w średnich stuleciach.

Tak tedy Szekspir, nadając im piętno romantyczne, sam geniuszowi swojemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją istotę romantycznego świata; wszak on czerpie nawet przedmioty do swoich tragedyi ze średnich wieków, on wprowadza fantastyczność tych stuleci romantycznych w dramata swoje (n. p. duchy, czarownice, widma i t. d.). Ale z drugiej strony, Szekspir jest synem XVI wieku, a to już właśnie dlatego, że jest autorem dramatycznym! On zna zakon, który żyje na dnie ludzkich spraw i dziejów świata; on wie, że osobiste uczucia i mocy, żyjące w sercu człowieka, nie powinny być wyłącznem prawem jego. Szekspir ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on geniuszem przejrzał historyę wewnętrzną człowieka, on czynił studya psychologiczne, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, a tak dowiódł, że sam już nie ogranicza się na osobistych uczuciach, ale uczył się poznawać ludzi, by poznać człowieka.

Z tego, co rzekłem, widać już, ze Szekspir jest szczęśliwym zestrojem świata romantycznego i XVI stulecią; ale spytasz się: gdzież znajdujemy w nim pierwiastek klasyczności? Wszak ten pierwiastek klasyczności jest również żywiołem XVI stulecia, a przecież geniusz Szekspira, wedle powszechnego mniemania, jest wbrew odwrotnym biegunem wszelkiej klasyczności.

Poezya klasyczna nie może być w zupełności przeniesiona w nowożytne stulecia; klasycyzm wśród ludów chrześciańskich będzie zawsze rośliną egzotyczną, nie swoją, więc chorobliwą, sztuczną, spaczoną. Starałem się wykazać ogromną różnicę między tragedyą klasyczną a pojmowaniem Szekspira; ale za tem nie idzie bynajmniej, jakoby oba te rodzaje dramaturgii nie miały cech wspólnych sobie; wszak wszystko, co prawdziwie wielkie i piękne, oparte jest koniecznie na wspólnej podstawie. Jakoż nawet dotknąłem się powyżej ogólnej zasady tragiczności i Szekspirowskiej tragiczności.

Zaiste, nie miejsce ani czas po temu, abym rozwinął w szczegółach dramata Szekspira i okazał, o ile mają pierwiastek wspólny z tragedyą starogrecką. Jedna uwaga niechaj wystarczy. Wszak Aristoteles był Grekiem, a zatem już z samego urodzenia swojego człowiekiem — klasykiem; on przecież miał przed oczyma arcydzieła wielkich tragików greckich, zatem swoich ziomków a prawie mu współczesnych; on, zapatrując się na te wzory, a poparty będąc geniuszem swoim filozoficznym, napisał prawidła poezyi, rozwinął teoryę dramatu tak doskonale, że już od 2000 przeszło lat prawidła te są prawdą, a będą prawdą, póki ludzie będą wierzyli w rozum i czuli

prawdę. Otóż ustawy, które skreślił Aristoteles, znajdziesz w zupełności zastosowane w dziełach Szekspira.

Zaiste, Szekspir dopełnił wszystkich warunków, których wymaga Aristoteles. Pochodzi to stąd, że co Aristoteles wydobył z głębi filozoficznych spekulacyą rozumową i ze wzorów geniuszów dramatycznych własnej ojczyzny swojej, to uczuł instynktem natchnienia Szekspir. Od Aristotelesa do Szekspira świat, ród ludzki urósł blisko o 1800 lat, nabrał tedy treści ogromnej, bogatej. Więc jak z jednej strony mistrz angielski zadość uczynił wszystkim prawdom, które orzekł Aristoteles, tak z drugiej strony nadał im znaczenie głębsze i rozwinął bogato. Dawna klasyczność jest w nim przeto tylko jednym z wielu różnych pierwiastków, które w nim żyją, jak organa różne w żywem ciele. Gdyby tedy dziś żył Aristoteles i rozpatrzył się w arcydziełach Szekspira, pewnieby nie wykreślił żadnego ze swoich niegdyś danych prawideł, aleby te prawidła rozwinął, roztoczył; i kto wie, czyliby ten filozof-klasyk nie przyznał się chętniej do Szekspira, jak do nowożytnej, zwichniętej klasyczności. Czem byli Francuzi-klasycy dla świata francuskiego dworu, tem są tragicy greccy dla całej starożytności, dla każdego człowieka nieco ukształconego, tym jest i będzie Szekspir dla wszystkich narodów i wieków. Dość być człowiekiem z trochę zdrowem sercem, a głową niechorą, aby złożyć mu cześć i uwielbienie.

Zważ — niema pierwiastka, żyjącego w duchu ludzkim, któryby nie wystąpił żywym człowiekiem w głównej jakiej figurze Szekspira; każdy z tych pierwiastków przybrał się w ciało i krew jednego pewnego człowieka; a choć pierwiastek ten, n. p. zazdrość, miłość, chęć władzy i t. p. są dawne jak ród ludzki i ciągle i ciągle się pojawiają w świecie, toć przecież figury, w których się one u Szekspira pojawiają, mają tyle silnej i oryginalnej indywidualności, że są jakby wizerunki osób prawdziwych, które raz tylko rodzą się w rzeczywistym świecie.

A jak każda u Szekspira figura jest całością i zupełnem zestrojeniem przeróżnych tonów, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie, jest jakoby epopeją, w której występują mocy serca ludzkiego; ale przez ten świat tuteczny, przez mocowanie się, walkę potęg, patrzą się oczy wiekuistości.

August Cieszkowski.

Syn Pawła, urodzony w Suchej na Podlasiu w r. 1814. Nauki pobierał w domu; dopiero na uniwersytet pojechał do Berlina. Było to już po śmierci Hegla, ale cała nauka filozofii była jeszcze opanowana jego duchem i systemem. Cieszkowski więc kształcił się na tym systemie, przeciw któremu miał niebawem wystąpić. Od początku wszakże wybiera on w filozofii jeden kierunek, który miał być głównym przedmiotem jego refleksyi i pracy, mianowicie filozofię historyi. Pierwsza jego rozprawa »Prolegomena zur Historiosophie«, uważana przez niego za wstęp do systematycznego dzieła (którego nie wykonał), zwróciła na niego uwagę wszystkich zajmujących się filozofią i zrobiła mu od razu poważne stanowisko i głośne w świecie imię. Dwudziestoczteroletni młodzieniec zbijał w tem dziełku, małem na objętość, ale świetnem pomysłami i sposobem dowodzenia, Heglowski podział historyi na cztery wielkie epoki, wschodnią, grecką, rzymską i chrześciańsko-germańską; dowodził zaś, że dzieje ludzkości muszą się dzielić na trzy epoki, z których dwie dopiero są przebyte. Pierwszą była starożytność, duch ludzki na stopniu zmysłowości; ta epoka wykształciła przedewszystkiem prawo. Drugą jest chrześciaństwo, której to epoki treścią i cechą jest przewaga pierwiastków duchowych, myśli, uczucia i sumienia, a rezultatem moralność czyli wyższy stopień prawa. Po nich nastąpi (i zacznie się niebawem) epoka trzecia, która pierwiastki obu poprzednich połączy. Jej istotą i cechą będzie rozumna, świadoma i uszlachetniona wola, a rezultatem uduchownione czyny, taką wolą powodowane i sprawione. Oczywiście te pojęcia Cieszkowskiego mogą także podlegać zarzutom i były nieraz zbijane.

Ten wykład historyozofii nikomu może nie trafił tak do przekonania, jak Zygmuntowi Krasińskiemu. Uznał on go genialnym i na nim oparł te swoje pojęcia, które złożył w Przedświcie i w Niedokończonym poemacie. W rok później (1839) nastąpiła osobista między nimi znajomość, która stała się od razu najserdeczniejszą i najwierniejszą przyjaźnią, doskonałą zgodnością i wspólnością myśli, przekonań i dążeń. Dwie następne rozprawy Cieszkowskiego: Die Persönlichkeit Gottes, i Gott und Palingenesie są obroną osobowości Boga przeciw panteistycznej nauce Hegla i jego adeptów.

Rzecz szczególna, ten umysł abstrakcyjnie filozoficzny, umiał zarazem być praktycznym i zgłębiać z wielką bystrością kwestye najpraktyczniejsze, mianowicie ekonomiczne. Jak Prolegomena u Niemców, tak u Francuzów zrobiła Cieszkowskiemu sławę (i utrzymuje ją do dziś dnia) rozprawa O kredycie i obiegu (du crédit et de la circulation). W ślad za tą poszły inne treści ekonomicznej (jak Organizacya handlu drzewem) lub społecznej, jak O ochronach wiejskich, a zwłaszcza Zur Verbesserung der Lage der Arbeiter. Czując niemożność pracy naukowej i swobodnego związku z nauką i literaturą europejską pod rosyjską cenzurą, Cieszkowski przyjął poddaństwo pruskie, nabył majątek ziemski pod Poznaniem i tam zamieszkał.

Filozofia historyi wróciła znowu jako Ojcze nasz (1848). Na podstawie tychsamych trzech epok dziejów ludzkości, których dowodził w Prolegomenach, rozwija Cieszkowski w tem dziele cały system filozofii historyi i nawet filozofii religii; za nić przewodnią zaś służy mu Ojcze nasz, który w myśli jego jest nie tylko modlitwą, ale streszczeniem i przepowiednią całych dziejów ludzkiego rodu. Każda prośba tej modlitwy była lub będzie urzeczywistnioną w pewnym okresie historycznego bytu ludzkości. Ojcze nasz jest dużem dziełem, ale jest tylko wstępem, pierwszą częścią całości zamierzonej i znowu nie wykonanej.

Pisany językiem bardzo pięknym, ale podług naszych dzisiejszych wyobrażeń za poetycznym na dzieło tej treści, tą swoją formą jak treścią pokrewny jest dziełom Krasińskiego. Jest on na polu filozofii wyrazem i skutkiem tego usposobienia narodu, z którego wyszła poezya przepowiadająca i wieszcza: głębokiego a namiętnego rozmyślania nad przyczynami dzisiejszego stanu świata i nad jego możliwą przyszłością.

Cieszkowski nigdy wiele nie pisał, a od wydania Ojcze nasz pisał a przynajmniej drukował już bardzo mało. Tem więcej zato występował w życiu czynnem: naprzód w politycznem życiu Wielkopolski, jako długoletni poseł na sejm pruski i jeden z najznakomitszych umysłów w tym sejmie i w kole posłów polskich; w życiu naukowem jako członek jeden z najczynniejszych, a wkońcu prezes Towarzystwa Przyjaciół nauk; wreszcie, przez ciągły i żywy związek z ciałami uczonemi, uczestnictwo w naukowych kongresach zagranicznych i t. d.

Jedyną pracą nową, jaką wydał w późniejszych latach, jest O drogach ducha. Mała książeczka (znowu wstęp tylko do zamierzonego a dotąd nieogłoszonego dzieła), której myśl i treść jest ta, że wszystkie objawy i działania ludzkiego ducha (nauka, sztuka, przemysł, handel, rolnictwo i t. d.) są to różne drogi, któremi ten duch do swego przeznaczenia, do Boga, dąży. Żadna z tych dróg nie jest lepszą ani prawdziwszą od innych, każda staje się błędną, kiedy się za wyłączną, jedyną, najwyższą uważa. Społeczne życie jest ich wspólnym celem, do którego wszystkie razem i równo dążyć mogą. »W tem społecznem życiu skupiają się wszystkie drogi ducha, nie wyłączając się ani ubliżając sobie nawzajem — owszem każda z osobna właściwy sobie kierunek i szczyt przeznaczenia znajdując«.

Za słabą stronę dzieł Cieszkowskiego, a wielką dla naszej nauki i literatury szkodę, uważać trzeba to, że żadne z nich (oprócz mniejszych rozpraw) nie jest skończone. Dotąd, mimo podeszłego wieku, Cieszkowski niestrudzony w pracy, czynności, rzec można, potrzebujący do życia, prowadzi razem i archiwalne poszukiwania i głębokie studya nad różnemi naukami w ich najnowszych wynikach, i zbiorowe prace ciał uczonych, i wreszcie, zamknięty w swojej pracowni, owoce swoich rozmyślań i badań spisuje.

Z dzieła p. t. „O drogach ducha“.

Wiadomo, że w starożytności pod ogólną nazwą muzyki nie tylko pojedynczą jak dziś sztukę, ale cały organizm sztuk pięknych pojmowano. Nawzajem sama już nazwa matematyki świadczy, iż tę wyłączną dziś umiejętność za naukę wszech nauk niegdyś poczytywano. Rozbiorczy postęp ducha, jedną jak drugą w ściślejsze zawarłszy granice, nie uwłóczył przecież tą odrębnością ani żadnej z osobna ani też całości dróg ducha. Owszem jak niegdyś tak i teraz, choć nie przezywamy już muzyką całego sztuk wiązania ani też matematyki nie poczytujemy za panującą nad całym przybytkiem nauk kopułę, pojmujemy przecież doskonale, co starożytni może silniej od nas czuli: wzajemną sztuk i nauk solidarność. Wielebną dla nas, bo też w istocie wielmożną jest wszelka umiejętność; nie wynosząc żadnej nad inne, nie ubliżamy też żadnej, owszem w każdej z nich uznajemy prawą dla umysłu drogę do świątyni ducha. Niemniej potężnym dla nas środkiem dobrania się ducha, bo też i arcydzielnym jego objawem dla zewnętrznego lub wewnętrznego zmysłu, jest każda ze sztuk pięknych, a we wszystkich razem upatrujemy liczne i współuprawnione rodzeństwo cnych służebnic ducha, których muzyka w wyłącznem znaczeniu, jakie dziś przybrała, pojedynczą tylko, ani potrzebniejszą ani zbyteczniejszą od innych, ale wdzięków i łaski pełną stała się siostrzycą. Bo każda z nich ma sobie właściwe, a wzdy dobroczynne powołanie, każda po swojemu toruje drogę duchowi, każda go rozwija, wyzwala i właściwymi sobie środki ku spółpożytkowi uprawia. A jak »nie może rzec oko ręce: nie potrzeba mi cię; albo zasię głowa nogom: nie potrzebuję was; owszem daleko więcej członki ciała, które zdadzą się być mdlejsze, są potrzebniejsze« — tak i żadna z owych zmysłowych (estetycznych) potęg, służących wraz z umysłowemi i przemysłowemi »na okazanie ducha ku spółpożytkowi« nie może się pochlubić, żeby się w spełnianiu tego posłannictwa bez rówienniczek obeszła. Owszem jedna drugiej w tem właśnie pomaga, w czem tamta niedomaga. A kędy ich cały liczniejszy jeszcze poczet umysłowych potęg: sztukom powinowate, z niemi i między sobą równouprawnione, a do dalszej służby tegoż ducha spółpowołane wszech nauk rodzeństwo.

Nikogo bezwątpienia nie zadziwi ani obrazi, że do tego wyzwolonych sztuk i nauk rodzeństwa liczymy równem prawem nietylko czysto umysłowe, jak niegdyś bywało, ale też zastosowawcze,

a więc i przemysłowe kunszta i umiejętności; bo komuż niewiadomo, ile te ostatnie przyczyniły się już, a przyczyniają się coraz dalej do istnego wyzwolenia ducha? Nie byłby chyba synem swego czasu, ktoby dziś jeszcze ich równouprawnieniu chciał zaprzeczać albo ów przestarzały antagonizm między wyzwolonemi a niewyzwolonemi nadal utrzymywać, niepomny na to, że dziś wszelka praca, byle prawa, stała się wyzwoloną, a więc szlachetną sztuk i nauk uczestniczką, a chyba jedno lenistwo i próżnowanie nieszlachetnem pozostało i jako takie bez sztuk i nauk się obchodząc, pod niższe żywioły świata tego zniewalać się daje«. Ale nawzajem, nie byłby jako żywo nastającego czasu spółuczestnikiem, ktokolwiek prądem przemagającego w obecnej chwili realizmu porwan, miałby się łudzić nadzieją wyłącznego przezeń opanowania ducha, lub w potężnym zaiste popędzie ku materyalnemu pożytkowi, jaki się dziś objawia, najwyższe powołanie człowieczeństwa chciał upatrywać. Zaprawdę nie wyłącznie, ale włącznie odbywa się postęp ludzkości, a duch jej coraz nowsze zgarniając zdobycze, nic z dawnych nie urania, owszem świeżemi dawne utwierdza i uprawia; inaczej, zrzekając się dawnych, i świeże niebawemby postradał. Sam przemysł przeto, dziś tak potężny, nie uwłóczy nigdy, pod karą samobójstwa, umysłowym ani uczuciowym ducha drogom; i biada raczej jemu samemu, gdyby się o to pokusił. Bo zaparłszy się tego właśnie, co go wyzwoliło i uszlachetniło, co go z upośledzenia starożytnych i średnich wieków do spółdziałania w wyzwoleniu ducha powołując, przez tosamo najpowszedniejszym sprawom jego piętno ducha i coś wiekuistego nadało, zdradzały tylko doczesną marność własną, a więc zdradzałby sam siebie. Ponieważ zaś sztukom i naukom nie tylko winien swą potęgę, ale nawet jej utrzymanie i ustawiczny jej przyrost zawdzięcza, przeto idzie tu o coś więcej niż o sentymentalną wdzięczność lub niewdzięczność, z której mocarze tego świata szydzić; a z szyderstwa jeszcze chlubić się lubią; nie bacząc, iż w przedziwnej ducha logice moralnym obowiązkom realne przecież odpowiadają prawa, którym na sankcyi nigdy nie zbywa; że więc prędzej czy później szyderstwo wdzięczności własnem wywdzięczyć się musi wyszydzeniem. W rzeczy samej idzie tu o istny, niezbędny a spólny życia warunek. Bo spółdziałanie to jużci wzajemne jak nieodzowne. Chromiałyby sztuki i nauki bez odpowiednich postępów techniki; zmarniałby przemysł, gdyby go sztuki i nauki nie podsycały. Nic tu nie masz mdlejszego ani podlejszego, każde owszem w swojem miejscu potrzebniejsze; niczem więc

jednemu przed drugiem chełpić się nie godzi, tylko spółubiegać się wolno, a co lepszem stawać się przystoi. Umysłowiec przeto, gardzący dziś przemysłowcem, wyszedłby chyba na śmiesznego ubiegłych dawno wieków ciurę i mimowiednie samby siebie potępiał, bo jeśli sam nie chce pozostać płonnym tylko marzycielem, musi się do godności płodnego pracownika przy warsztacie ducha poczuwać, a udzielonym sobie talentem na wspólną braci i własną korzyść rzetelnie obracając, do wzmagania skarbów ducha wedle przemożenia się przyczyniać. Nawzajem przemysłowiec wszelki, w praktyce i pożytku zamiłowan, urągający n. p. teoretykowi lub poecie, ubliżałby znowu tylko sobie; — bo jeśli jest zaprawdę istnym przemysłowcem, nie zaś partaczem ani frymarczycielem, jużci musi być w swojej gałęzi uczonym, a nawet, im na zawołańszego wyszedł profesyonistę lub inżyniera, tem niezawodniej musiał się w swoim rodzaju, a w starożytnem znaczeniu tego wyrazu, urodzić poetą.

Bo taka jest spólność i solidarność, choć odrębność i rozmaitość wszechdarów, dróg, środków i powołań ducha, że to wszystko sprawia jeden i tenże sam duch, objawiający się w każdym inaczej, rozróżniający usposobienia, miarkujący uposażenia i rozdający dary twórczości, jako chce — jednemu wieszczy, drugiemu umiejętny, innemu znowu zastosowawczy albo wykonawczy, a to wszystko ku spólnemu budowaniu, ku spółpożytkowi, ku wzajemnej po wszelkich ducha drogach pomocy. Bogactwo zaś i szczodrobliwość ducha są tak wielkie, że nie tylko każdy bierze w nich udział, ale nawet obdarowanemu zwykle wybór służy między kilku dary, które jak chemiczne ekwiwalenta, w statecznej nawzajem mierze zastępować się mogą, snać na to, by opaczne wychowanie lub zewnętrzne okoliczności nie pozbawiły nikogo możności zużytkowania jednorodnej tylko zapomogi. A tak wobec wzrastającej obfitości coraz przystępniejszych w społeczeństwie środków, niemasz pojedynczego ducha, któryby tą lub ową drogą, byle chciał natrafić na właściwe sobie powołanie, nie umiał i sobie zadość uczynić i sowicie wywdzięczyć się duchowi za otrzymany z góry zadatek, przyczyniając się celującem u siebie usposobieniem do spełniania powszechnego celu społeczności ducha (*communitas spiritus*). Którykolwiek owszem zagrzebuje z umysłu otrzymany z góry talent, pod wymówką, by go nie uronił, ten spada na »gnuśnego i niepożytecznego sługę«, a uniknąwszy liczby z uronienia, winien ją przecież dla nieprzyczynienia. I utraca niebawem nawet to, co zachował, na korzyść onego, co najwięcej zarobił.

Zarabiać więc i dorabiać się, posiadanem jak najkorzystniej obracać, a na żadnej nie ustawać drodze, owszem po wszelkich a różnorodnych drogach ducha ustawicznie postępować, nie tylko że się godzi, ale jest »wiernego sługi« znamieniem. Tylko dwom panom służyć niepodobna, bo jest jeden i jedyny, który wszystkiem swobodnie kieruje i rządzi, wszystko ku spółpożytkowi obraca, a tymci panem jest właśnie duch. Byłażby w tem by najmniejsza sprzeczność? Jako żywo! Najzupełniejsza owszem harmonia. Dysharmonią dopiero wprowadzałby ten, ktoby w tem upatrywał jakiejkolwiek drogi wyłączenie lub zgoła potępienie; boć tu nie idzie o poniewierkę żadnej, ale tylko o niebranie drogi za metę. Alboż to duch jest czczą mrzonką lub też bezcielesnym jakimś upiorem *(daemonium incorporale)*, jak go sobie niestety abstrakcyjni filozofowie wyobrażać zwykli, aby miał którąkolwiek z prawych dróg do niego należących, a spełnię jego stanowiących, pogardzać? On wszystkie kocha, które posiada: wszystkiemi też objawia się ku spółpożytkowi, a tylko temi się brzydzi, które od spólnego celu odbiegając, schodzą na manowce, a jako takie sobie kłamią i same się gubią, albo też, przestając na sobie, jużci temsamem jako drogi ustają. Wszelkie więc drogi, o ile się tylko w samogubne manowce ani w samolubne ustanki nie wyradzają, są wielebne i czcigodne, by dążyć do spólnego celu. Ale nawzajem żadnej drogi, by najwielebniejszej, za sam cel poczytać nie można bez chybienia celu, właśnie przez samo przestanie i ustanie na drodze. W temci tkwi harmonia wszelka, która niczem nie jest jeno spółdziałaniem.

Atoli od filozofów i estetyków nowoczesnych gotów nas tu spotkać zarzut, jakoby w tem wszech dróg duchowych spółuprawnieniu tkwiło wierutne ich upośledzenie. Przywykłszy bowiem »co lepsze« z nich za »absolutne« poczytywać; uznawszy nadto, czego im nigdy nikt nie zaprzeczy, że sztuki i nauki stanowią cele przez się, których przeto, bez ubliżenia tak im jak sobie, nigdy nikomu na środki obracać nie uchodzi: zapytają nas owi zwolennicy absolutnej abstrakcyi, bodaj czy nie z pozorem słuszności, w co się obróci nieskończone tych wyzwolonych potęg ducha uprawnienie, jeśli je wszem wobec, nie za samoistne przez się cele, czem są, ale tylko za drogi ducha uważać będziemy. Zbyteczna i to troska.

Wszakże już duch jednostkowy, podmiotowy, jakim jest każdy w społeczeństwie człowiek, skoro prawem nieśmiertelnego ducha stanowi *sui iuris* osobę, nie zaś rzecz żadną *alieni iuris*, jużci

jest sam w sobie i przez się celem, którego też nikomu ani na środek obracać ani wyzyskiwać niewolno; a przecież nieskończonemu uprawnieniu temu bynajmniej sam nie ubliża, owszem w duchowem dostojeństwie jedno wzrasta, im się więcej sam z siebie bratnim duchom udziela, im się lepiej i skuteczniej zbiorowym zwłaszcza osobistościom rodu, narodu, ludzkości poświęca, słowem im dzielniej i potężniej z własnej woli służy społeczności ducha *(communitati spiritus)*. Wszakże w tem coraz doskonalszem uspołecznieniu celem sam będąc, po wszelkich drogach i szczeblach żywota cel celów ściga, do jego spełnienia własnym czynem się przyczynia, a przez to dążenie własnego przeznaczenia tak dalece nie chybia, że go owszem dopełnia. Temci bardziej wszelkie przedmiotowe drogi ducha, aczkolwiek nieskończenie w sobie uprawnione, aczkolwiek same przez się celne a więc na byle środki nieobracalne, przecież nie ujmy żadnej, ale owszem przyrostu własnej potęgi dostępują, ilekroć same z siebie nie przestając na sobie, we wzajemnej pomocy a spólnej służbie ducha spółubiegają się i prześcigają. Niechaj więc uprzedzonych zwolenników estetyki lub filozofii nowoczesnej nie zadziwia ani obraża wytknięte tu sztukom i naukom, wżdy dzielne i samodzielne, byle nie »absolutne« posłannictwo. Wielebniejszemi one zaiste pozostaną w dostojnym urzędzie wyzwolonych służebnic ducha, niżeli w udanym stroju własnej absolutności, w jaki nowożytne szkoły, acz z prawdziwych założeń wyszłe, lecz w błędne bo przesadne wynikłości zaciekłe, przybrać je usiłowały. O ile bowiem wyzwolona samodzielność (autonomia) sztuk i nauk wielebną zawdy była i będzie prawdą, o tyle ich wyuzdane samodzierżstwo (autokracya) wierutnym pozostanie fałszem. Bezwzględnie więc »absolutnymi sobie celami«, za co je odniekąd głosić poczęto, nie są i nie staną się nigdy sztuki i nauki; jedno względnymi zawsze i spółograniczonymi celami, uprawnionymi oczywiście w sobie, przez się i dla siebie, jak wszystko, cokolwiek z ducha rodem, duchem jest i społeczność ducha składa, a przez to właśnie arcywyzwolonymi; a przecież spółkującymi organicznie w żywocie absolutnego ducha, spółzawiśle od niego i pomiędzy sobą, jak pojedyncze, lecz zrosłe w zdrowem ciele członki, jak odrębne i wolne, a przecież zjednoczone w zdrowej rzeczypospolitej instytucye lub stany, jak niepodległe nareszcie, choć wcale nie samowładne, póki w zjednoczonych stanach, rzeczypospopolite.

Błądziłby niepomału, ktoby przypuszczał, iż ubliżamy tym wielkim, a dziś za panujące uznanym, duchowego świata potęgom, odmawiając im bez ogródki przywłaszczonego świeżo samowładztwa, ale raczej mediatyzując je wszem wobec i każdą z osobna, nie pod władzę którejkolwiek z nich, jak to w średnich wiekach na korzyść teologii bywało, ale pod konfederacyjne prawo społeczności ducha, której są i uznać się powinny swobodnymi wprawdzie u siebie, ale organicznie z sobą związanymi spółczynnikami. Błądziłby jeszcze mocniej, ktoby upatrywał w tem religijnem oczywiście, choć wcale nie teokratycznem stanowisku, by najmniejsze powinowactwo ze scholastyczną niewolą, która ich żywot w średnich wiekach przytłaczała. Stanowiska te między sobą *toto caelo* się różnią i tak dalece nic do siebie nie mają, że owszem jedno drugie stanowczo wyklucza; jak n. p. w żywocie człowieka pełnoletność, skoro osiągnięta, jużci wszelką opiekę, przebytej małoletności właściwą, raz na zawsze usuwa.

Zaprawdę była i scholastyka potrzebną, ale w swoim czasie, kiedy szło o ćwiczenie, hartowanie i wyhodowanie w karbach tradycyi ducha młodocianej ludzkości. W on to czas, o swobodzie ducha tego mowy nie było, bo też być nie mogło, bo swoboda, która dla dojrzałej już istoty ma wartość samegoż życia, ponieważ spełnię jego stanowi, która dla dojrzewającej nawet ma chlubne i pożyteczne, a więc nieuniknione niebezpieczeństwa, dla dziecięcia przecież lub niedorostka byłaby nieochybną zgubą. Kto czasów nie rozróżnia, zdrowo w dziejach wznioskować nie zdoła; potępia w swoim czasie wielebne, albo niewcześnie uwielbia zmarniałe. Otóż scholastyczne wieki były dosłownie tem dla dorastającej ludzkości, czem są lata szkolne dla dorastającego młodzieńca. Wieki te w dziejach minęły bezpowrotnie. Od reformatorskich zachcianek aż do Kartezyuszowego *„cogito, ergo sum“* kusił się zbiorowy duch ludzkości o wyjście ze szkoły — i krwawo na otrzymanie »świadectwa dojrzałości« pracował; aż go nareszcie, dorósłszy i dojrzawszy w sobie, dostąpił i stanowczo też ze scholastyki wystąpił. A to wystąpienie było wielebne. Była to uroczysta chwila dokonanego samychże sztuk i nauk odrodzenia (Renaissance). Od tejto chwili jął zbiorowy duch ludzkości po wszelkich duchowych drogach o własnej, wyzwolonej próbować się sile i *humaniora* swoje już nie szkolnym trybem jako dane i zniewolone pobierać, ale *sua sponte* po swobodnych wszechnicach jako wyzwolone sobie obierać. A wyzwolonych raz zakosztowawszy i w niedomyślane przedtem skarby wiedzy, w ciągu

onego trzystulecia akademicznej swobody, ducha wzbogaciwszy, jął się też poczuwać do niedomyślanego dotąd dostojeństwa i naprawdę samego siebie wyzwalać. I nie zajrzał mu tego wiekuisty Pan; owszem ucieszył się, bo: »Pan ci jest duch — a gdzie duch pański, tam wolność«. Które to wielkie objawienia wyrzeczenie umiejętność nowoczesna oburącz podpisuje — wtórując mu odpowiednim wypadkiem własnego badania i nawzajem oświadczając: gdziekolwiek znać wolność, tam musi być duch. Bo doszła taż umiejętność, po długiem dociekaniu i mozolnych w krainie ducha badaniach, do stanowczego odkrycia, że nie co innego samą istotę i objawy ducha wyraża, nie co innego przeto *criterium* jego stanowi, jedno wolność. Wszakżeż sama filozofia germańska, aczkolwiek raczej teoretycznej myśli, aniżeli społecznemu czynowi i praktycznej woli hołdująca, uznała przecież przez wszystkich koryfeuszów swoich wolność za powód i dowód — za alfę i omegę ducha; w tem tylko chybiając, a raczej niedomagając, iż wolność tę tylko idealnie we wnętrzu ducha zakłada i na abstrakcyjnej znów swobodzie choćby najspełniejszej w sobie myśli poprzestaje, niepomna, że nic niemasz wewnętrznie utajonego, coby się zewnętrznie objawiać nie miało, ani też naprawdę idealnego (a więc urojonego), coby się zrealizować nie potrzebowało. Konsekwentniejsza w tym względzie filozofia słowiańska, żadną abstrakcyą, by najwspanialszą, uwodzić się ani zaspokoić nie dająca, przekroczyła już i ten niedostatek. Bez ubliżenia idealnej swobodzie myśli, owszem dla tem lepszego jej uwielbienia i sprawdzenia, postarała się o to, co jej się żywo należy: o czynne i realne dopełnienie. Nie sprzeciwiając się więc założeniu w myśli, owszem dopominając się jej nawet aż w uczuciu, rozróżniwszy przeto jej przybliżone szczeble, stanowcze dopiero zadowolnienie i zadośćuczynienie wolności oczywiście w wolnej woli, w próbie czynu, w pełni społecznego życia znalazła. Do czego mozolnie doszedłszy, spogląda wstecz na przebytą od tylu wieków drogę i spostrzega tu z pociechą, ówdzie ze zdumieniem, że właściwie nic nowego ani dotąd niesłychanego nie odkryła, jedno stare, a wiekuiście prawdziwe pod umiejętną tylko formą do świadomości wniosła, że więc dorobiła się tego tylko, w co ją *in nuce* uposażono, i powróciła, skąd wyszła; albowiem, co przynosi, niczem nie jest, jedno to, z czem ją na świat wysłano, gdy doktorom i nauczycielom ówczesnym powiedziano: »I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi«.

Aliści o to szło właśnie wiekuistej umiejętności, aby tę oswobadzającą prawdę wszechstronnie poznała i uznała. Danąć była od wieków, ale nie poznaną ani uznaną, póki niesamoistnie przez się rozwiniętą czyli niewyzwoloną; inaczej nie byłby Objawiciel — mówiąc przecież do tych już »co mu uwierzyli« i zastrzegając wyraźnie: »jeśli trwać będziecie przy mowie mojej, prawdziwie uczniami mymi będziecie« — dodał *in futuro:* »i poznacie prawdę«. Wierzyła też dopiero w tę daną prawdę scholastyka cała; a trwając przy niej wiernie, skarby wiedzy przecież mnożyła, jak to nam nieposzlakowany w tym względzie, bo arcywyzwolony świadek, Leibnitz zeznaje; — ale poznać ją jak się należy i dać jej własnego przekonania już niezachwiane, bo nienarzucone świadectwo, mogła dopiero stanowczo wyzwolona umiejętność. I niemasz obawy, by tego uznania odmówiła. Wszakżeż już u świtu onego sztuk i nauk wyzwolenia jeden z nauczycieli, którzy duchowi ludzkiemu przy wyjściu ze scholastyki świadectwo dojrzałości spółpodpisali, słusznie wyrzekł o filozofii, że ledwo zaczerpnięta, odwodzi od Boga, do dna zaś wyczerpnięta *(penitus exhausta)* dopiero dowodzi do Boga. Tosamo z równą słusznością powtórzyć dziś można o wszelkich naukach, a nawet wyraźnie dodać, co bodaj czy się już staremu i doświadczonemu Bakonowi nie roiło, że wszelkie umiejętności, do których wyzwolenia tyle się sam przyczynił, póki jednostronnie i wyłącznie dla siebie uprawiane, a więc samopas puszczone, w swawolę zawiodą i w samolubstwo zapadną, a dopiero na dobre życiu społecznemu przyswojone i ze spółpotęgami ducha sprzymierzone, do zapowiedzianego przez prawdę oswobodzenia dowiodą. Bo żadna umiejętność choćby się nauką nauk mieniła, choćby ją za »czcigodną nauk matkę« poczytano, choćby się jej zdało nareszcie, że »do dna wyczerpnięta«, ani sobie ani duchowi sama przez się nie wystarcza; owszem im bardziej celu własnego dopina, tem bardziej ku dalszemu się wspinając, sama siebie przekracza i w organizm dróg i potęg ducha swobodnie, bo żywotnie się splata.

Henryk Rzewuski.

Syn Adama, kasztelana witebskiego i Justyny z Rdułtowskich, urodzony 3. maja 1791. Nauki początkowe u Karmelitów w Berdyczowie, później w Petersburgu, wkońcu w Krakowie. W r. 1809. wstąpił do wojska; dosłużył się stopnia oficerskiego, ale wkrótce wystąpił ze

służby. Odbył podróż za granicę, potem gospodarował na wsi. W r. 1825. poznał się z Mickiewiczem w Odesie i z nim razem (także ze swoją siostrą Karoliną Sobańską, D. D. z ówczesnych poezyi Mickiewicza) zwiedził Krym. Powtórnie spotkał się z Mickiewiczem w Rzymie w roku 1829. i 1830., i wtedy miał go Mickiewicz zachęcić do spisania różnych szczegółów z XVIII wieku, które Rzewuski znał z ustnego podania. Od roku 1833. mieszkał na wsi w Cudnowie na Wołyniu; w tym czasie zaczął pisać.

Pierwszem i najlepszem jego dziełem (wydanem w roku 1839.) były Pamiętniki Jmci pana Seweryna Soplicy. Jest to właśnie zbiór opowiadań i anegdot z XVIII wieku, których Rzewuski znał bardzo wiele, a spisał je z takiem życiem, z takim epicznym talentem, że pod względem artystycznym te jego powieści są arcydziełem. Stworzył on nowy rodzaj, Gawędę ze staropolskiego szlacheckiego życia: wszystkie, tak liczne gawędy późniejsze, wierszem czy prozą, były z niego naśladowane. Ale pod względem moralnym i obywatelskim wartość Soplicy jest mniejsza, a raczej ujemna. Apoteoza wszystkiego, co było w dawnej Polsce: nie męstwa, pobożności i dobrego serca tylko, ale i nieuctwa i pijactwa i burd i pogwałceń prawa, apoteoza księcia Panie kochanku za to, że należał do konfederacyi Barskiej, z zapomnieniem tego, że był marszałkiem konfederacyi Radomskiej — ta zdrową i dobrą nie była. Ale książka była napisana tak pięknie, że oczarowała wszystkich: mało kto poznał się na tem, co w niej było złego: autor stał się bardzo wziętym i ulubionym.

Ale nie na długo. Niebawem wyszły Mieszaniny obyczajowe Jarosza Beyły, które opinię powszechną gwałtownie przeciw Rzewuskiemu zwróciły. Są to uwagi filozoficzne i moralne o społeczeństwie polskiem. Trafnych spostrzeżeń i uwag rozumnych jest wiele, ale mimo to książka jest istotnie zła. Cała, zdaje się, na to napisana, by nas przekonać szeregiem bardzo naciąganych a płytkich argumentów, że jesteśmy organizmem w rozkładzie, którego pierwiastki i duch sam muszą wejść w skład obcych mu żywiołów. Oburzenie było niezmierne i powszechne. Szkoda tylko, że objawiało się pustymi frazesami lub niesmacznymi żartami, a nie wykazało błahości twierdzeń i dowodzeń Rzewuskiego. W rozumny sposób zgromiony, a choćby wyśmiany, byłby może wszedł w siebie. Zakrzyczany, wziął na kieł i znajdował złośliwą przyjemność w drażnieniu uczuć powszechnych, a stopniowo doszedł na tej drodze do cynizmu i do poniżenia swego charakteru i stanowiska.

Listopad znowu wzbudził podziw powszechny, i słusznie. Jako obraz XVIII wieku, z jego życiem i obyczajem, od dworu Stanisława Augusta aż do dworków szlacheckich, ze staropolskiemi i nowomodnemi francuskiemi pojęciami, Listopad nie ma nic równego sobie w naszej literaturze. Z wyjątkiem scen czułych i dramatycznych, które się nie udały, powieść jest bardzo zajmująca, a figury skreślone z niezmiernem życiem i prawdą. Powodzenie Listopada zachęciło Rzewuskiego do historycznej powieści, i napisał Zamek krakowski: bohaterem jest Samuel Zborowski, a treścią romansową jego miłość do Gryzeldy Batorówny. Ale nieporównany znawca wieku XVIII znalazł się na polu nie-

swojem, kiedy ten wiek porzucił, i ani w charakterze czasu ani w figurach ani w samej intrydze powieści, dawnej fantazyi i sztuki już nie pokazał. Powieść jest bardzo słaba. Wogóle późniejsze powieści, czy większe jak Rycerz Lizdejko, czy zbiór mniejszych (Nie Bajki) są słabe. Adam Śmigielski (nie romans ani historyczny żywot, raczej powieść dla dorastającej młodzieży) zajmujący i ładny.

Wędrówki umysłowe są składem filozoficznych, politycznych i religijnych wyobrażeń Rzewuskiego, napisanym może w myśli obrony własnej przeciw padającym na niego oskarżeniom. Jest to zbiór przekonań człowieka głęboko zwątpiałego i zniechęconego, który się trzyma katolicyzmu z wiary, a legitymizmu z rozumowania, bo się boi, że jakby się tego puścił, utonąłby już zupełnie w zwątpieniu. System jego nie jest ani zupełny ani własny. Pojęcia o kościele i o władzy są wzięte (często całe ustępy żywcem tłómaczone) z De Maistra. Obok tego czasem jakieś pierwiastki mistycyzmu, przypominające Mickiewicza. Ostatnia konkluzya jest ta, że epoka historyczna się kończy, a nowa doprowadzi do zjednoczenia wszystkich wyznań chrześciańskich w kościele katolickim. Polska, która sama zniszczyła dawną formę swego bytu (Rzeczpospolitą szlachecką przez konstytucyę 3. maja), straciła z nią i siły swego ducha. Gdzie duch jest zwątlony, tam tylko podbój może przywrócić mu siły. Stan dzisiejszy, który nam wydaje się nieszczęściem, może rozwinąć w nas nowe życie. Prawdopodobnie chciał Rzewuski przez to dzieło pokazać, że ten jego sąd o Polsce, jaki był w Mieszaninach, był zwątpieniem tylko, ale nie odstępstwem.

Teofrast polski, zbiór typów różnego usposobienia, charakteru lub obyczaju polskiego, ma niektóre wizerunki skreślone trafnie i dowcipnie, ale nie jest także wolny od złośliwości i stronniczości.

Ostatnia jego powieść Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, długa i nudna, podstawną myślą i wrażeniem, jakie sprawiła, podobna była do Mieszanin Beyły. Bohater przechodzi wszystkie zmiany, jakie się dokonały w Polsce od roku 1788. do 1815., a za każdą zmienia swe przekonanie i stanowisko. Cynizm, a cynizm naiwny, nieświadomy swojej nikczemności, owszem mający się za roztropność i cnotę, w żadnej książce polskiej nie występuje z taką wstrętną otwartością.

Było to ostatnie dzieło Rzewuskiego. Przez czas, kiedy pisał te późniejsze dzieła, (od roku 1850.) był on urzędnikiem do szczególnych poleceń przy księciu Paszkiewiczu, namiestniku królestwa Polskiego, a podczas wojny krymskiej przeznaczony był na jej historyografa. Wkońcu jednak wystąpił ze służby i wrócił na wieś. Umarł w roku 1866.

Jako człowiek bardzo rozumny i sławny z wielkiego dowcipu w rozmowie, jako pisarz pokazał Rzewuski talent naprawdę niepospolity w jednym rodzaju, gawędowym i obrazkowym. We wszystkich innych rodzajach talent ten okazuje się zwyczajnym lub nawet słabym.

Stanowisko fałszywe i poniżające, jakie Rzewuski zajął w literaturze i w społeczeństwie, tłómaczy się upartem, fanatycznem ubóstwieniem przeszłości, a wstrętem i pogardą do teraźniejszości za to, że jest inną

niż przeszłość. W jego rodzinie przywiązanie do wolnej elekcyi i *liberum veto* było rodzajem politycznego a nieledwie religijnego przykazania. Jego ojciec należał do najgorętszych i najgłośniejszych przeciwników ustawy 3. maja; krewny ojca, hetman Seweryn, należał do konfederacyi Targowickiej: Henryk odziedziczył ich wyobrażenia i podzielał je szczerze, a widząc, że ogół ich nie podzielał, a ich zwolenników surowo sądził, zaciął się w nich tem bardziej przez dumę, i uwziął się dowieść, że tylko tamci mieli rozum i słuszność, a ci, którzy chcieli Rzeczpospolitą naprawić, zgubili ją mniemaną naprawą. Stąd nienawiść, z jaką prześladuje ludzi 3. maja i ich spadkobierców, wiara (poniekąd szczera) w doskonałość i mądrość dawnych instytucyi polskich. Usposobienie złośliwe i ironiczne sprawiło, że im więcej ludzie oburzali się na niego, tem bardziej na przekór drażnił ich i wyzywał. Podziw dla potęgi rosyjskiej, oswojenie się z nią przez wychowanie w Petersburgu, zwracały go w tamtę stronę; filozoficzny i polityczny system legitymizmu De Maistra, dowolnie zastosowany, służył mu na upozorowanie tego kierunku. Nieszczęścia majątkowe sprawiły znowu, że przyjął posadę, jaka się nadarzyła. Fanatyk dawnej Rzeczypospolitej i konfederacyi Barskiej, a zarazem wyznawca i apostoł przywiązania do Rosyi, legitymista *liberi veto* i zarazem legitymista monarchiczny, katolik szczery a zarazem mimo prześladowań kościoła wielbiciel cesarza Mikołaja, moralista surowy i czujny stróż narodowego, szlacheckiego i osobistego honoru i godności a zarazem w życiu przykład cynicznego szyderstwa ze wszystkiego, nawet z siebie samego — jest Rzewuski dziwnym zbiorem sprzeczności, które się tem jednem dadzą wytłómaczyć, że niezdrowe czasy i stosunki muszą wydawać między ludźmi niezdrowe natury i umysły.

Z Pamiętników pana Seweryna Soplicy.

Trybunał lubelski.

Ośmdziesiąt lat mija, jak bieduję na tym padole płaczu; ale i drugie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdybym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem ani młokosem, ale już miałem blisko lat czterdziestu. Lubom starzec, nie zazdroszczę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzali. Doczeka się i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki to nie będzie, co było. I nasze trybunały były pełne powagi i było na co patrzeć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy był ledwo nie dwoma set laty i więcej narodom sprawiedliwości wymierzał.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Książę przybywszy do Białej, niedługo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która różne koleje przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki... Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyczące się tej sprawy.

Pojechaliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w której siedziałem, dodano mi pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale paliwoda, jakiego świat nie widział. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputatował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł; taki był zabijaka. Oddał go był do palestry, chcąc go mieć niedaleko oka; ale ten więcej szabli niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowie przyjacielem domu Radziwiłłów, a książę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucherlawy, figura niepoczesna — ale mało ludzi równej siły i tak szablą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznajomych i udając mazgaja, przyjść do zaczepki. Pozwalał naprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubem, żeby być wyzwanym; dopiero minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku — a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojciec dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią W. Sędziego upitskiego, więc miałem przewagę nad panem Bartłomiejem i wierzył mi. Bywało nieraz umityguję go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał, jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on, że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał się mnie w drodze o Koronę.

Razu jednego mówi mi:

— Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami — szczególniej radbym poznać jakiego Łęczycanina.

— A to czemu?

— Temu, że kiedy mnie w szkołach nauką męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzy mówią: bić się po dyabelsku,

a Polacy: bić się po łęczycku. Tyle mi się zostało z całej francuszczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu.

— Ej, porzuć panie Bartłomieju, pleść takie koszałki opałki. Czy nie wiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą Świętą? Waćpan całe życie guza szukasz — a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie; to książę waćpana nie każe wypuszczać ze stancyi.

— Panie Sewerynie, ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o tych burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał — ale dla Boga! księciu panu o niczem nie wspominaj.

Myślałem, że się panicz utemperował, bo spotykaliśmy po karczmach szlachtę łukowską przy kuflu, a przecie pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechaliśmy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że nazajutrz była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy się spuszczali z góry, naszelniki pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, ale ja przeląkłem się mocno i zrobiłem intencyę, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, nazajutrz pójdę do spowiedzi i do komunii. Jakoż, lubo bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanku. Ale w niedzielę ledwo przez pół mogłem dopełnić mojej intencyi, bo książę kazał z rana przyjść do siebie, aby pomagać panu Radziszewskiemu w tłómaczeniu interesu przed panami Hryniewieckim i Koźmianem, co później zostali jeden wojewodą, drugi kasztelanem lubelskim, a byli pierwszymi mecenasami w Lublinie i księcia pana wielkimi przyjaciółmi. Szczęście, że książę miał kapelana i ołtarz podróżny z wielkimi przywilejami od nuncyusza, bo inaczej byłbym mszę św. przypiekł. W istocie konferencya po dwunastej się zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do OO. Bazylianów i trafiliśmy pod sam koniec nabożeństwa. Uprosiłem księdza, że mnie wyspowiadał, ale komunię do jutra odłożyć musiałem.

Trybunał w tym roku odbywał się pod laską JW. Chołoniewskiego, starosty kołomyjskiego, co miał jakąś kolligacyę z księciem panem. Prezydentem był kanonik Wodzicki, opat hebdowski, u którego przez czas urzędowania tyle się starego wina wypiło, że parę niedziel koło młyńskie mogłoby się niem obracać. On to mawiał: że wino przynajmniej jednym rokiem starsze być powinno od uprzej-

mego gospodarza. Otóż JW. marszałek trybunału tyle miał szacunku dla dostojnego swego kolligata, że pierwszy go nawiedził i zaprosił do siebie na obiad. Książę pan przyjął go przed kamienicą, żaląc się, iż go uprzedził, a potem z JW. marszałkiem pojechał do przewielebnego prezydenta. Że zaś pan Koźmian zaprosił do siebie na obiad WW. Radziszewskiego i Rupejkę, cywuna ejragolskiego, co z przyjaźni dla księcia urząd marszałka dworu interymalnie sprawował, więc przy mnie, jako plenipotencie specyalnym, zostawało pierwszeństwo nad dworem i u stołu marszałkowskiego byłem gospodarzem. Po obiedzie poszedłem miasto poznać; a jednak nie bardzo dowierzając panu Bartłomiejowi co do obiecanego statku, zaprosiłem go, by mi dotrzymał kompanii. Poszliśmy więc; ale że jako w niedzielę wszystkie jurysdykcye były pozamykane, a urzędnicy, pacyenci i palestra biesiadowali, okrom tego nie mieliśmy znajomych, więc z panem Bartłomiejem wyszliśmy sobie za miasto od gościńca lwowskiego, aby okolicę obejrzeć. Kilkaset kroków uszedłszy, natrafiliśmy na kilka starych lip, za któremi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się:

— Nie źle byłoby siąść na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka.

— Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójdę do gospody i każę go wynieść.

Przy gospodzie zastałem kilkunastu młodzieży do palestry należącej, jakem wnosił z ich pąsowych lubelskich kontuszów. Ja im się ukłonił, oni mnie — i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip — widzę pana Bartłomieja siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyzbie u karczmy. Oni stali kołem przy nim, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nie przelewki. Przybliżyłem się do niego — a on mi, mazgaja minę zrobiwszy:

— Panie Sewerynie Dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniaszowskim językiem, a ja ich nie ze wszystkiem rozumiem.

Aż jeden z pąsowych panów: Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy juryzdykcya trybunalska — to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi stąd

wyjść albo mąką albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mamy zemleć, a którego skrupić?

Ja im na to:

— Moi panowie, jam już za stary, żebyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunii przystępuję. Powtóre, będąc w interesie księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A to jest pan Chodźko, sędzic ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi, panowie, puśćcie nas spokojnie.

Między nimi był, jakem później się dowiedział, dependent pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z Bracławskiego, który wiedział o interesie księcia i że jego mecenas nim się trudni. Ten się odezwał:

— Panowie koledzy! to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, zwłaszcza że on się nie dotknął naszego kamienia — ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonii.

— A czyście mnie ze swego śpichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli?

— Powiedzno, bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby?

— A dla ozdoby.

— To my ciebie wyuczym, jak się z nią obchodzić. Wstawaj i dobywaj szabli.

— A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się ode mnie, a mleć kogo z waszych, bo zboże litewskie dobrze ususzone i twarde.

— Obaczymy! odezwał się jeden, czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać: wstawaj więc, bracie!

— A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić niż bić się...

— Już to za późno — bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy cię wypłazowali.

— No, kiedyście tacy zawzięci, czy niemasz między wami Łęczycanina jakiego? niech się nie męczę! — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając: Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakała po swoim Bartku!

Tak ja: Panowie Dobrodzieje! posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was wszystkich starszego. Czyby nie lepiej, na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagiełły, wezwać

Węgrzynów, aby nas pogodzili? Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie, żebym posłał po wino i was uczęstował w tej gospodzie.

Zaczęła się miękczeć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła: Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza — on nie wiedział o prawach naszego młyna.

Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzła; i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się drapiąc w głowę:

— A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie, to mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie.

— Słuchaj, bracie gapiu: przez wzgląd na twego poważnego kolegę całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich, jakiś sam.

— Nie gniewaj się, W. marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko seryo mówię. A wiesz, dlaczego wolałbym z biedy potykać się z Łęczycaninem, niż z waćpanem? bo mówią, że Łęczycanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedym jechał z Litwy do Lublina, cyganka mi wróżyła, że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakem spojrzał na W. marszałka, bardzom się go przestraszył.

Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości i, dobywszy szablę, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć — dobył swojego smyczka, a plunąwszy w rękę, od pierwszego składu tak marszałkowi dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali mu koledzy rękę; a on, nie tyle z bólu, ile z konfuzyi, stał jak wryty.

— A no! odezwał się pan Bartłomiej: myślałem, że się bić z koroniarzem wielka filozofia, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować.

— Poczekaj gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi, i z ogromnym pałaszem dalej na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, a i ten drugi smyczkiem po łbie dostał.

Stanął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczycaninem, oto masz go tu. Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał.

— A to dyabeł, nie Litwin — odezwali się koroniarze. Słuchaj, panie bracie, tyś zadrwił z nas; udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej prepetycyi. Jeżeliś temu rad,

ofiarujem ci naszą przyjaźń — jeżeli nią gardzisz, chociażeś tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziem.

— *Omne trinum perfectum* — odezwałem się; — będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami.

— Zgoda — odpowiedział Bartłomiej. — Jak ja mam sobie za zaszczyt, żem się z wami pobawił smyczkiem, to jeszcze za większy poczytuję sobie waszą przyjaźń.

Zaczął się z nimi całować; przepraszać tych, co obznaczył, a szczególniej marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie.

Jakoż szczerze się pojednali i odprowadziliśmy do kwatery marszałka, jego samego i kolegów rannych, my piechotą, a ranni na furmance u żyda najętej. Palestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomieja, alem go jeszcze więcej jak wprzódy pokochał, bo tak i honor prowincyi litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków palestry i pacyentów w ustępowej sali — było tego więcej dwóch tysięcy, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wszędzie, wszystko nam tłómacząc.

Naraz usłyszeliśmy woźnych, różnymi tonami powtarzających: Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie! — A potem znowu: Ustąpcie się! JW. Poznański idzie! — i tak ciągle coraz innego jaśnie wielmożnego mianując. My czem prędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwiema liniami palestry i pacyentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważnie deputaci do sali trybunalskiej, lekkiem skinieniem głowy odpłacając niskie ukłony, z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnów i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie! uciszcie się! uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie! — I prawda, że w tak licznem zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, ukłonem ziemi prawie się dotykał; i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnieniem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło

i między nimi JO. książę wojewoda wileński z JO. marszałkim wielkim koronnym szli razem, po przyjacielsku rozmawiając.

JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia wojewodę wileńskiego i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźni im krzesła poustawiali; bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność się usuwali. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni creator*, a deputaci duchowni wszyscy i niektórzy świeccy, jakoż wielu z palestry i pacyentów wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć...

Z LISTOPADA.

Tomu pierwszego: Rozdział XIII i XIV.

Imieniny.

Rozdział XIII.

Nim Ludwik i Michał bracia Strawińscy stanęli na zwodowym moście nieświeskiego zamku, już trębacz przed nimi czatujący otrąbił przybycie nowych gości; a za mostem warta Radziwiłłowska stanęła pod bronią, dla ich uczczenia. Godzina była piąta po południu, kiedy kareta zastanowiła się przed perystylem, czy jak to dawniej nazywano, krużgankiem zamku, natychmiast dwóch sążnistych hajduków otworzywszy karetę, na rękach z niej wynieśli naszych gości i lekko ich postawili na samym progu. Starosta (Ludwik) nie obzierając się za sobą, rzucił płaszcz z plec swojemu strzelcowi, a wojski (Michał) nieco uważniej zdjął huńkę swoją i oddał ją hajdukowi, z napomnieniem, by o niej miał staranie, a podwoje, prowadzące do wielkiej sali zamku przed nimi się rozwarły.

Zastali w sieniach kilkanaście osób, a między niemi księcia wojewodę, który, jako gospodarz pełen gościnnej grzeczności, za każdem odezwaniem się trębacza biegł do sieni dla przyjęcia każdego, łaskawie pamiętającego na dzień jego imienin. Książę był wysokiego wzrostu, przyzwoitej otyłości, twarzy, na której pogoda serca się malowała i uśmiech, któremu się oprzeć było trudno. Duże oczy błękitne pełne ognia i dowcipu, błyszczały jak dwa szczęsne luminarze, na licach, których białość mogłaby pobudzić zawiść

kobiety. Wedle zwyczaju litewskiego głowę miał wysoko podgoloną, a wąs gęsty, do góry zakręcony, uzupełniał obraz prawdziwego Sarmaty. W dniu tym nosił na sobie mundur albeński, tak jak wojski i wielka część gości przybyłych, z tą tylko różnicą, że wszyscy Albeńczykowie na spinkach nosili cyfrę księcia, a on sam nie swoją cyfrę, ale na podobnej emalii błękitnej miał trzy litery brylantowe F. A. F., których znaczenie było: *fiducia amicorum fortis*. Jak bracia zbliżyli się do niego, książę obu się skłonił, a do wojskiego naprzód obracając mowę:

— A przecież nasz wojski zawitał! Zacząłem już tęsknić za waćpanem, panie kochanku. Generał Kunicki mnie skrewił, myślałem już, że i jego przyszły zięć na mnie niełaskaw.

— Bóg świadek, książę panie, że pan generał nigdy tyle nie narzekał na niemoc swoją, jak dziś, zato jedynie, że waszej książęcej mości służyć nie może.

— To też żart tylko, panie kochanku; moi przyjaciele to całe moje bogactwo; znam ich serce, bo kiedy byłem w biedzie, to mogłem ich doświadczyć. Pan Józef (Kunicki) był moim dobrodziejem, tak jak i pan strażnik, świętej pamięci ojciec waćpana, po którego śmierci nieraz się łzami zalewałem, jak i wszyscy moi Albeńczycy. Za granicą wasz chleb jadłem, to też wszystko, co mam, jest wasze. A wiesz, panie kochanku, że twoja narzeczona już dawno u mnie; w bawialnych pokojach ją znajdziesz z mojemi siostrami. A jaką śliczną dzieweczkę dobrałeś sobie! Ruszajże sobie do niej, panie kochanku, bo widzę, że w duchu dyabłami mnie karmisz zato, że cię tak długo zatrzymuję.

— Wolne żarty waszej książęcej mości, ale w tej chwili nie tyle mi narzeczona moja w głowie, ile to, żebym umiał wynurzyć moją radość, iż doczekałem się dnia, tyle pożądanego dla nas sług i przyjaciół waszej książęcej mości, w którym mogę mu złożyć najgłębsze powinszowanie, najprzychylniejsze życzenia, a razem przedstawić mu mojego brata, starostę wieluńskiego.

— Bardzo się cieszę, że w moim domu przyjąć mogę pana starostę; przypominam się jemu, bo niejednokrotnie na pokojach królewskich miałem zaszczyt oglądać jego oblicze. Cóż to za szczęśliwa dla mnie gwiazda sprowadza pana starostę, orderowego pana i tak znakomitego kawalera wielkiego świata, do domu szlachcica, wieśniaka, i jeszcze w dniu jego imienin? chyba, żeby z nas wzorki zbierać i w Warszawie panów wielkiego świata zabawiać kosztem naszym.

— Mości książę, od dawna chciałem być przedstawiony w jego własnym zamku dostojnemu protektorowi nieboszczyka ojca i żyjącego brata i złożyć mu moje uszanowanie w dniu, tak świetnym dla całego narodu. A król jegomość i wuj jego, książę kanclerz Czartoryski, wiedząc o tym moim zamiarze, na moje ręce przysyłają waszej książęcej mości listowne oświadczenie ich życzliwości, które to listy księciu jmci śmiem składać.

— Z najgłębszem uszanowaniem przyjmuję ten dowód łaskawej pamięci najjaśniejszego króla, pana mojego miłościwego; a co się tyczy księcia kanclerza litewskiego, tem wdzięczniejszy mu jestem, że niezawsze zaszczycał mnie podobną łaską.

— Był czas, mości książę, kiedy kanclerz, za odmiennem idąc przekonaniem, sprzeciwiał się waszej książęcej mości; ale to pewna, że dziś niczego więcej nie pragnie, jak tylko dawać mu niepłonne dowody swojego wysokiego szacunku i życzliwości.

— A tak, tak, teraz i ja o tem nie wątpię, kiedy tak grzecznym listem ją oświadcza dla mnie. Przed kilku laty, w sam dzień św. Karola, ogłosił dekret sejmowy, skazujący mnie jako *hostem patriae* na banicyę *et abiudicationem ab omni activitate*, ale dzisiaj mnie to wynagrodził, przysyłając mnie wcale inne wiązanie, w nawiedzeniu znakomitego męża, wielce zasłużonego ojczyźnie, bo już orderowego pana.

— Nie chełpię się z żadnych zasług dla kraju, mości książę, a jeżeli król jegomość, pan mój miłościwy, raczył orderem swoim wesprzeć me dobre chęci, jakkolwiek ten zaszczyt mało waży u w. x. mości, za złe mi wziąć nie można, że wysoko cenię dowód łaski mojego monarchy.

— Jakto mało ważę? ja panie jego ważę wiele. Może go w duchu w. panu zazdroszczę, bo król mnie tej łaski nie zrobił, by mi pozwolił nosić swój order.

— Wolne żarty w. x. mości. Król jmć chyba nie śmiał go dać w. x. mości, jako kawalerowi wyższego orderu u nas i tylu wysokich zagranicznych.

— Nie wierz pan temu, mości starosto! Ja kilka razy przymawiałem się do tego zaszczytu, a król zawsze jakby tego nie chciał zrozumieć. Nareszcie pan Michał Rejtan, który zaraz może mi zadać kłamstwo, jeżeli zmyślam, jako szambelan najjaśniejszego pana, będąc u niego na służbie, wprost jako łaskawy na mnie przyjaciel, zaczął prosić króla o order św. Stanisława dla mnie; ale król mu powiedział: »Wasz Radziwiłł młody, głupi, nic

nie zrobił dla kraju; nie dam, pokąd na niego nie zasłuży«. I tak nas z kwitkiem odprawił.

Starosta zaczerwienił się, zacisnął zęby, ale tyle zostało mu rozwagi, że nie biorąc tego za żadną przymówkę, lekki uśmiech, acz nieco kwaśny, dołączył do głośnych śmiechów orszaku otaczającego księcia. Po chwili milczenia książę się odezwał:

— Mości panie starosto, najpokorniej przepraszam, że go tak długo zatrzymałem w miejscu tak nieprzyzwoitem dla jego godności; ale mam w zwyczaju po naszemu przyjmować gości łaskawych u podwojów mojego domku. Dałaby mi bracia litewska, gdybym aż gdzieś na nią czekał, póki się pierwsza ze mną nie przywita, jak to bywa u koroniaszów, gdzie gospodarz ani ruszy z miejsca, choć turkotanie kół na dziedzińcu zaprasza go do sieni. Proszę pana starosty z sobą na pokoje, bo nasze panie i panny pomyślą, że my na nie jakieś spiski knujemy.

I nisko się jemu skłoniwszy, puścił go przed sobą; a obracając się do wojskiego:

— Panie Michale, coś się trębacze nie odzywają; jak widzę, już nikogo więcej nie mam się spodziewać. Zapieczętowałeś, panie kochanku, liczbę Radziwiłłowskich przyjaciół. Oj, oj, oj, czemuż nie widzę mojego strażnika! to to ja jeszcze sylabizować nie umiałem, kiedy mnie smarkacza uczył nożem do celu trafiać; i na swoją biedę mnie wyuczył, bo potem w zakład rzucamy, on poważny regent, a ja sobie błazenek. Jednego poranku raz u niego dwadzieścia tynfów wygrałem, ale potem te zabawy dały mi się we znaki; ś. p. książę hetman mój ojciec, porządną batogową sprawił mi łaźnię za to, że rozmawiającemu z nim panu pisarzowi Rymszy, ciśnięciem noża, wylot od kontusza w ścianę zagwoździłem.

I po tych słowach, wszystkich puszczając przed sobą, poszedł za nimi do pokojów, opierając się z jednej strony na panu wojskim, a z drugiej na panu Michale Rejtanie.

Starosta, przechodząc sale staroświeckiego zamczyska, nie bez zadziwienia uważał skromność jego ubrania. Nie widać było ani bronzów ani mahoniów ani tych innych wymysłów, napełniających mieszkania nierównie mniej możnych obywateli w Warszawie. Tu zaś, oprócz kobierców, zawieszonych na niektórych ścianach, żaden zbytek, żadna wykwintność nie raziły równości szlacheckiej. Gdy weszli do sali, nazwanej portretową, że już to się zbliżyła szósta godzina, a pajuki zapalili światła, mógł więc uważać na ścianach szereg długi przodków Radziwiłłowskiego domu, poczynający się od

protoplasty Lizdejki, ofiarnika wielkiego Perkuna, a kończący się na księciu Michale, hetmanie wielkim litewskim, ojcu księcia wojewody, którego wąsy, w kształcie kłów dzika strzyżone, coś surowego przydawały do twarzy, zresztą łagodnej. Wisiał jego obraz między dwiema jego żonami: pierwsza z królewskiego domu Wiśniowieckich, matka naszego księcia, druga ze znakomitego wielkopolskiego rodu Mycielskich. Wokoło tej wielkiej sali, pod ścianami były ławki, obite aksamitem utrechtskim, kiedyś zielonym; a w przerwach między temi ławkami stały gdzieniegdzie kanapy dwa razy wyższe od ławek, z dwoma stopniami, jak ołtarze, aksamitem pokryte jedwabnym karmazynowym, ale niemniej spłowiałym. Oprócz tego, mnóstwo krzeseł i stołków, z których formowały się różne grupy, było porozrzucanych w rozmaitych dyrekcyach sali. Zamiast dzisiejszych posadzek, w arabeski wyrabianych, była po prostu gładka podłoga dębowa, starannie jednak woskowana. Jedyny sprzęt, któryby w tej sali mógł na sobie zatrzymać czas jakiś wzrok wędrownika, nawykłego deptać szlaki zagraniczne, był to pająk na pułapie zawieszony, z kryształu weneckiego; oświecony trzystu świecami, wprawdzie żółtymi, ale których blask, odbity w tysiącu brylantowanych kryształków, wracał sowicie wszystkie utracone blaski dzienne. Takich pająków było w zamku dwanaście, oświecających w potrzebie rozmaite sale. Była to jedyna spuścizna, spadła po królu Michale na dom Wiśniowieckich, a weszła z różnymi na Ukrainie i Polesiu dobrami w dom Radziwiłłowski, kiedy książę hetman zaślubił ostatniego tego domu potomka.

W tej to sali zebrani byli obojga płci krewni, przyjaciele, klienci i słudzy najpotężniejszego bogactwem i popularnością magnata polskiego. Kobiety, siedzące na ławkach, i matrony poważne urzędem i ważne osoby duchowne i świeckie, na wygodniejszych kanapach, żywą pomiędzy sobą prowadziły rozmowę; inni, usiłując panów i damy zabawić, kolejno od jednych do drugich przenosili grzeczności swoje.

Kiedy książę wszedł do sali z braćmi Strawińskimi, chociaż to jego przyjście może dziesiąty raz się odnowiło, wszystko na chwilę powstało, by go powitać uniżonym ukłonem: on też wszystkim jak najniżej się odkłonił; a zbliżywszy się do księcia biskupa wileńskiego, jeszcze raz mu podziękował za zaszczyt, jemu zrobiony jego przybyciem, i dodał, przedstawiając mu swojego gościa:

— Mości książę, przedstawiam waszej pasterskiej mości pana starostę wieluńskiego, zapewne dobrze mu znanego w Warszawie.

— Nie tylko w Warszawie, ale i w Wersalu miałem przyjemność często widywać pana starostę, kiedy to jeszcze był pułkownikiem w wojsku francuskiem; a nawet nieco głębiej możemy zapuścić naszą pamięć, bo znam pana starostę od niemowlęctwa, gdyż byłem bliskim krewnym i opiekunem jego matki.

— Wiadomy mi jest ten zaszczyt; nawet koligacya z waszą książęcą mością, nie mało mi pomogła do otrzymania orderu ś. Łazarza.

— A prawda! — na to książę wojewoda — zapomniałem, że Massalska was rodzi. Ona *secundo voto* była za Mycielskim, kasztelanicem poznańskim, bliskim krewnym mojej macochy. Pamiętam, że w całej Warszawie jego laufer był najbogaciej ubrany i najprędzej biegał.

— Tak jest, mości książę, ale jego majątek jeszcze prędzej biegał, bo syn jego, a nasz przyrodni brat, który służy zaszczytnie w wojsku francuskiem, po nim nie znalazł z czego sprawić sobie żałoby.

— To szczęście, odezwał się książę wojewoda, że ma zamożnego krewnego w osobie jego pasterskiej mości, księcia biskupa wileńskiego, który mu zginąć nie da. Ale pozwól, mości starosto, żebym w. pana poznał z moją siostrą, Morawską, gospodynią mojego domu.

I zaprowadził go przed panią generałowę, która blisko nich stała, opierając się na księżniczce Maryi, najmłodszej siostrze księcia, przezwanej Lilią nieświeską, dla nadzwyczajnej białości i wysmukłości jej kibici. Księżniczka słynęła z piękności, ale tak była nieśmiała, że jej książę inaczej nie nazywał, tylko siostrą-flegmiczką. Ukłonił się starosta księżniczkom, poruszeniem pełnem dworszczyzny oświadczając radość swoją, że może poznać tak znakomite i piękne damy. Na to generałowa rubaszna:

— Panie starosto, tylko ostrożnie z tymi komplementami, bo jak powiesz wyraźniej mojej siostrze Maryi, że piękna, gotowa się rozpłakać. Ja na takie rzeczy mam więcej odwagi, bo jużem tego się nasłuchała, będąc panną. Jednak starosto, jeżeli zechcesz chwalić piękność moją, nakwasisz czasu niepotrzebnie, bo już mam takiego, co aż do naprzykrzenia unosi się nad moimi wdziękami; oto widzisz go, jak nakręcając wąsa, z niespokojnością na nas spogląda. Ale obejrzyj się wokoło siebie, mój starosto, a obacz, ile tu znajdziesz piękności, które nie tylko mową, ale i wierszem pochwalić można, chociaż to prawda, że po paryskich i warszawskich, może nasze wieśniaczki nie najlepiej się wydadzą jego oczom.

— *Princesse*, piękność Polek jest słynną w całej Europie. Ile razy w Wersalu jaka dama nasza pokazała się dla uczczenia królowej

rodaczki, rozpacz była pomiędzy Francuzkami. I aż nadto o tem przekonać się można, okiem w około siebie rzuciwszy. Ale gwiazdy gasną przy słońcu, obok którego się znajdują.

Generałowa parsknęła śmiechem.

— Piękna to poezya, panie starosto, ale wolę pana w krainę rzeczywistości zaprowadzić, pokazując mu osobę, którą ze wszelkiego względu winieneś poznać.

I w głos się odezwała:

— Zosiu, Zosiu, mam ci coś ciekawego do pokazania.

Na te słowa powstała młoda dziewica z ławki, gdzie siedziała obok osoby już podeszłej w wieku, i z postawą pełną uszanowania i skromności przybliżyła się do generałowej. Czystość jej rysów, żywość granatowych oczu, osłoniętych długiemi a ciemnemi rzęsami, giętkość jej talii, wszystkie te wdzięki razem, wprzód jeszcze nim usta otwierała, już zniewalały, a sposób, jakim była ustrojoną, przekonywał o stopniu położenia towarzyskiego, na którym Opatrzność ją umieściła. Wszystko tak było dobrane, tak sporządzone z tym smakiem wrodzonym, którego wszystkie narody zazdroszczą naszym Polkom, że niema na kuli ziemskiej miejsca, gdzieby zjawienie się podobnej niewiasty w takim stroju, jakiegoś wrażenia nie zrobiło.

— Powiedzże teraz, mości starosto — rzecze pani generałowa Morawska, śmiejąc się, — która tu z nas gwiazdą, a która słońcem? Stanął jak wryty starosta na widok tylu wdzięków, którym karmin wstydu, po tych słowach generałowej, nowych powabów przydawał. Skłonił się jednak pannie z uszanowaniem, jakiegoby przed królową francuską większego nie okazał, a mowę obracając do generałowej, rzekł:

— *Princesse*, domyślam się, że ta szlachetna pani musi być jedną z jej sióstr, a więc wszystkie, należąc do jednego rodu luminarzów, bez żadnego spółzawodnictwa z sobą, możecie panować nad nami.

— Nie, mości starosto, mylisz się, i jak widzę płonne to rzeczy, co ludzie mówią o zmyślności serca; bo gdyby ona była w istocie, powinien byś był zgadnąć, kto jest ta panna, tak hoża: jest to Zosia Kunicka, przyszła pańska bratowa.

Zosia zarumieniła się, a generałowa odskoczyła od nich, śmiejąc się do rozpuku, i skacząc przybiegła do wojskiego, by mu opowiedzieć poznanie brata z jego narzeczoną.

Chwil kilka starosta pozostał w milczeniu: nakoniec wziął Zosię za rękę, a przycisnąwszy ją do ust:

— Pani, rzecze, ileż szczęśliwym się czuję, że przecie poznaję przyszłą siostrę, przyszłą ozdobę domu mojego! Jakżem się nie domyślił po gwałtowniejszem biciu serca, że się zbliżam do tej, której już jestem od kilku miesięcy kochającym bratem. Znam panią z listów brata mojego, ale że rzeczywistość tu jest wyższą nad wszelkie opisanie, wyznaję, że panią wziąłem za jedną z sióstr księcia wojewody.

— Co do mnie, ani chwili nie zostawałam w wątpliwości, że pan jesteś starszym synem nieboszczyka pana strażnika, bo obraz przysłany jemu, tak do pana podobny jak jedna kropla wody do drugiej.

— Byłże więc obraz mój tak szczęśliwy, byś raczyła go chować w pamięci?

— Winnam panu staroście ponowić moje dzięki za dar, coś mi go pan raczył przysłać na pamiątkę, a który i teraz mam na sobie, jako pan widzi.

— Nic innego widzieć tu nie mogę oprócz pani samej; ale z jakąś bojaźnią przybliżam się do pani, chociaż serce moje do niej mnie gwałtem przyciąga, bo wszystko, coby gdzieindziej za mną przemówiło, tu będzie obrócone na moje potępienie.

— Nie rozumiem pana starosty.

— Łaska króla, niewinnie będącego przedmiotem nienawiści u jej bliskich, młodość moja w rzemiośle rycerskiem, ale za granicą strawiona, nawet ten strój, tak obcy tutejszym okolicom, wszystko przegradza mnie od przyjaźni pani.

— Cóż może mieć wspólnego różnica ubioru z przyjaźnią?

— Ach pani, czyż na wstępie do tego pałacu nie doświadczyłem, ile ten ubiór mój ściąga na mnie podejrzenia? Sam książę, zapomniawszy na chwilę o względach należnych w domu swojemu gościowi, przybywającemu do niego z hołdem grzeczności od wspólnego im króla, a uszanowania od siebie, przywitał mnie cierpką przymówką. Pogardliwie dał mi poznać jak lekceważy zasługi moje, za granicą nabyte, a których świadectwo na sobie noszę; a jednak jakaś sława, zyskana przez Polaka w ziemi obcej, własnej ojczyźnie hańby nie przynosi. Wszakże obojętnie zdołam uważać te wszystkie uprzedzenia, bylem sobie mógł pochlebiać, że dla pani nie jestem obcy.

— Nie do nas biednych dziewcząt o tych rzeczach należy rozumować, ale to pewna, że syn najściślejszego przyjaciela mego ojca nie może być dla mnie obcym.

Starosta, jakby zachwycony, drugi raz ujął białą i pulchną rączkę przyszłej bratowej, gdy głośny śmiech pani Morawskiej zwrócił jego uwagę: ujrzał wesołą generałowę, opartą na ramieniu Michała.

— Wstydź się, rzekła do swojego przewodnika, mości wojski, żeś się dał mnie uprzedzić; wszakże do ciebie, a nie do mnie należało poznać brata z twoją narzeczoną. Ale coś zawczasu postępujesz po mężowsku, zagawroniłeś się z swoimi Albeńczykami, a do biednej Zosi dotąd słówka nie obróciłeś, a tymczasem starosta twoją rolę przy niej wygrywa. Nikomu nie wierz, mój wojski, a najmniej Paryżanom; dopiero pod bokiem mojego wąsala sypał mi komplementa. Teraz tłómacz się sobie przed Zosią, żeś jej zaniedbał. Już obiadowa pora. Wojski niech swoją Zosię prowadzi; wpan, panie starosto, prowadź moją siostrę Marysię, która trzyma oczy spuszczone, jakby szpilek szukała po podłodze. A ja muszę poszukać Moriconiego; jest to Włoch z przodków, ale w kontuszu, przecie starosta grodowy wiłkomirski, a wkrótce będzie — nie potrząsaj tak głową, Marysiu — moim bratem.

I spostrzegłszy go o kilka kroków za nimi, spoglądającego na księżniczkę Maryę, porwała go za rękę i kazała siebie prowadzić do sali obiadowej.

Był to czwarty i ostatni obiad z rzędu, gdyż od godziny pierwszej popołudniu, co dwie godziny stoły zastawiano; na św. Karola bowiem w Nieświeżu zjazd był tak wielki, że nie byłoby sposobu wszystkich umieścić razem za jednym stołem. Książę biskup, a z nim duchowieństwo szli naprzód; po nich książę wojewoda podał rękę jw. Niesiołowskiej, wojewodzinie nowogrodzkiej, siostrze księcia biskupa, którą tyle szanował wraz z dostojnym jej małżonkiem, ile pogardzał osobą i sposobem myślenia jej brata. Po nich koleją postępowały pary, które jeszcze nie obiadowały. Na niekończącym się stole z orzechu, który nie na jedno pokolenie Radziwiłłowskie patrzał, były pozastawiane srebra prawdziwie monarchiczne, bo jedno pokolenie przekazywało je drugiemu, a zawsze z naddatkiem. Sala był to długi prostokąt, którego węższe ściany były obite kobiercem, gobelin zwanym. Pradziad księcia dostał go w darze od Ludwika XIV wraz z orderem św. Ducha, kiedy się żenił z siostrą króla Jana. Jedna z tych makat wyrażała gody w Kanie galilejskiej, druga nakarmienie pięciu chlebami licznego narodu, zebranego dla przysłuchania się słowom naszego Zbawiciela. Książę kanclerz zawiesić je kazał w sali obiadowej, jako najstosowniejszej do

przedmiotów, na tych kobiercach wyrażonych. I on i syn jego książę hetman długo przemyśliwali, by dobrać podobnych kobierców i do ścian dłuższych, ale zmuszeni byli tego zaniechać. Aż nakoniec ten ostatni kazał je domalować *al fresco*, przez dwóch sławnych malarzów, umyślnie na to sprowadzonych z Rzymu. Na jednej ścianie były oddane łowy, na których pan Ilinicz, wojewoda brzeski, rozdartym został przez niedźwiedzia, a na drugiej wjazd królowej Barbary Radziwiłłówny do Krakowa. Oprócz doskonałości pędzla, co było w tem malowaniu najszacowniejszego, to, że wszystkie osoby na tych obrazach były zdjęte z krewnych, przyjaciół i sług księcia hetmana. Każdy więc Litwin, siedzący za stołem, mógł rozpoznawać znajome a często drogie oblicza.

Nic się nie pokazało na tym obiedzie, czegoby każdy zamożny szlachcic nie znalazł w potrzebie i u siebie. *Ad libitum* barszcz i rosół dymek wonny puszczały z mis farfurowych; a na ogromnych półmiskach i jeszcze ogromniejszych blatach, wszystko ze srebra, pajuki roznosili wołowinę z chrzanem, flaki z imbirem, kaczki z kaparami, indyki z podlewą migdałową, kapłony z sardelami, cietrzewie z buraczkami i różne dziczyzny pieczone. A to wszystko przeplatane szczupakami, złoconymi szafranem — karpiami, miodem zarumienionymi — jazgarzami i sielawą, zaprawionymi goździkami i kwiatem muszkatołowym. Były też rozmaite przysmaczki, w Litwie tylko widziane, jako łapy niedźwiedzie z wiśniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiorem, chrapy łosie z figatelami, jeże pieczone, garnirujące maroki sarnie, przysmażone z pistacyami, głowy odyńca w korzennem winie duszone. To wszystko zakrapiało się w żołądku winem. Niknęły półmiski pod zębem litewskim, a książę, jako gospodarz, chodził około stołu od panów do szlachty, wszystkich przepraszając, że nie przyjmuje ich jeszcze wedle swoich życzeń i ich wartości. I nieraz na przyjacielskim talerzu brata-szlachcica nabierze jakiegoś jadła i śpiesznie je pożywa na jakimś stoliku, postawionym pod jakąś ścianą.

Starosta, wstrzemięźliwy w pokarmie, zjadł trochę rosołu, ze wstrętem odwrócił się od pływającego w szafranie szczupaka, z większym jeszcze od łap podobnych do ludzkiej ręki, przekąsił jednak skrzydło indyka i trochę głowizny dzika, jako potraw najwięcej zbliżonych do cywilizacyi kuchennej. I na tem poprzestawszy, czekał z niecierpliwością końca obiadu, w ciągłej obawie, by mu pajuki, noszący półmiski, w niwecz nie obrócili galowej sukni. Zaczęły kolejne kielichy krążyć za zdrowie solenizanta

i innych, co jeszcze więcej popsuło mu humoru, ile że się nie mógł wymówić od spełnienia solenizantowskiego wiwatu z kielicha, który już wielu ust się dotykał i to winem węgierskiem, żadnego podobieństwa nie mającem z tem, co je wytłaczają mieszkańcy brzegów Garonny i Saony. A kiedy inne zdrowia zaczęły się powtarzać, pomimo najusilniejszych nalegań pić nie chciał, tłómacząc się piersiową chorobą, która pod karą śmierci zabrania mu być uczestnikiem tej miłej zabawy. Znudzony, roztargniony, głuchy na wszystkie krotofile kielichowe, nawet na genialne kłamstwa gospodarza, kiedy niekiedy szukał okiem swojej przyszłej bratowej, która opodal siedziała między jego bratem, wedle swojego zwyczaju mało do niej mówiącym, i jakimś innym Albeńczykiem, z podwójną kresą na czole, który do niej ciągle się obracał, jakieś jej mówił rzeczy, z których sam tylko się śmiał serdecznie, robił jej jakieś gałeczki z chleba i pokazywał je na swoim talerzu. Na zapytania odpowiadała Zosia, ale jak uważał, to wszystko niewiele ją zajmowało. Nie wiedział, kto to jest ten Albeńczyk, ale domyślał się po jego poufałości z Zosią, że musi jej być krewnym. Siedział starosta jak na szpilkach, i pewnie w kaplicy zamkowej, asystując królowi, nie z taką niecierpliwością czekał końca kazania, ile teraz czekał końca obiadu, chociaż siedział obok księżniczki młodej i pięknej.

ROZDZIAŁ XIV.

Bal. — Dobrana para.

Przyszedł nareszcie długo pożądany przez starostę koniec obiadu. Kawalerowie odprowadzili swoje damy do sali bawialnej, gdzie pozostało mnóstwo osób, które na wcześniejszych obiadach poprzestały. Już galeryą znikła była kapela księcia i na hasło zaczynającego się balu huknął taniec, który książę otworzył z jw. wojewodziną nowogrodzką. Tańcowały i rozmawiały z sobą pary, a kielichy krążyły i krążyły. Na wielkich balach nic ciekawszego dla badacza, jak uważać rozmaite grupy, tworzące się po obszernej sali. Przy ławce zajętej przez Zosię i łowczankę słyszeć się dał głos starosty:

— Dziękuję ci, *mon frère*, że tak piękną i ukształconą dajesz mi bratowę.

— Żebyś to szczerze mówił, bracie, rzekł wojski, nie tak prędko myślałbyś nas rzucać, nie takbyś tęsknił za swoją Warszawą. Biorę pannę generałównę za sędzię, niech powie, czy mamy wierzyć w przywiązanie brata, tak skwapliwego do opuszczenia nas.

— Pan starosta, odrzekła Zofia, przez dobroć serca może być na nas łaskawym, ale nie do tego stopnia, by długo z nami chciał się nudzić. Za złe mu brać nie powinniśmy, że przekłada Warszawę, gdzie towarzystwa więcej są ukształcone, odpowiadające jego wychowaniu.

— A co, bracie, jak widzę już przegrałeś sprawę.

— Ach pani, czy zasłużyłem na tak cierpką przymówkę, na tak nielitościwe szyderstwo? Pomijam jej wdzięki, ale samem wychowaniem jużbyś zdołała pani zawiść wzniecić między najsłynniejszemi damami stolicy.

— Niech pan starosta przestanie tym sposobem mówić do mnie; chyba chcesz, bym myślała, że choć na tak krótki czas wydalony z Warszawy, boisz się zapomnieć języka tam zwyczajnego, z którym my na prowincyi nie jesteśmy oswojeni. Wszakże skwapliwość jego do powrotu najgruntowniej mię o tem przekonywa.

— Ani jutro ani za tydzień nawet nie opuszczam tych stron rodzinnych, co je dopiero teraz nauczyłem się oceniać. Zatrzymam się, ile tylko będę mógł, jakkolwiek obowiązki dla króla, dobroczyńcy mojego, mało mi czasu zostawują dla siebie, dla własnego szczęścia. Wszakże za dni kilka będę służył szanownemu ojcu pani w jego domu; jemu ponowię ustnie moją prośbę listowną, by raczył zacząć i skończyć nasz interes działowy. Brzydziłem się dotąd prawnemi i ekonomicznemi zatrudnieniami, lecz teraz zaczynają one być dla mnie powabne, kiedy z ich powodu przez dni kilka będę do pani zbliżony.

— Dni kilka! żartuj sobie, bracie; byleśmy ciebie uchwycili w dom generała, nie łatwo wyśliźniesz się z rąk naszych.

Tu przerwała im rozmowę massa dam, szukających kawalerów do mienianego tańca, a na ich czele generałowa Morawska, która porwawszy za rękę starostę, rzekła: »Proszę ze mną, a wpan panie Michale nuż z Zosią za nami«. Wojski, skłoniwszy się, wymówił siebie tem, iż jego żałoba jeszcze się nie skończyła; ale p. Wazgird, ten nakresowany Albeńczyk, który w czasie obiadu siedział obok Zosi, porwawszy ją za rękę, rzekł: — A widzisz, siostrzyczko, że zawsze gotów jestem na twoje usługi; ale coś mi nieszczerze oddajesz rękę, coś mi się zamyślasz niepotrzebnie. No, no, poczekaj, zamawiam cię do pierwszego mazura; tam rozweselimy się hasaniem, a tymczasem proszę w taniec.

W jednym rogu sali była inna grupa, siedział trzymając w ręku kielich p. Horain, sędzia grodzki słonimski, i coś rozprawiał

szlachcie, koło niego siedzącej. Między nimi siedział miecznikowicz witebski, p. Bonifacy Sołłohub, chłopiec młody, wesoły, najswawolniejszy z pomiędzy wszystkich Albeńczyków, który ciągle dokuczał poważnemu sędziemu, przerywając mu mowę.

— Słyszysz, p. podkomorzycu nowogrodzki, odezwał się do przechodzącego blisko nich p. Tadeusza Rejtana, zawsze zamyślonego; posłuchajno, jakie koszałki plecie nasz poważny sędzia; chce nam wyperswadować, że nie nawozem bydlęcym, ale wapnem sterkoryzuje swoje grunta.

— Chciej jednak wierzyć wpan, że tak jest; bo jeśli grunt lekki, a trafisz pod posuchę, nawóz bydlęcy całą oziminę wypali, a wapno do każdego gruntu przydatne.

— Co wpan mówisz!

— Oto co wpan słyszysz.

— Porzuć p. sędzio; żeby rolę wapnem posypać, to po lada deszczu ogień się zrobi?

— Wedle wpana głowy; pojedźno p. Bonifacy do Wołczy, a obaczysz, że nieinaczej gospodaruję; a daj Boże do śmierci oziminę, jaką miałem tego roku.

— To p. podkomorzyc temu wierzy?

— Za cóż nie mam wierzyć, kiedy i urzędem i wiekiem poważny mąż to twierdzi.

— Czy słyszysz, p. Bonifacy? jak to zaraz poznać człowieka ze zdaniem. Naucz się wpan od p. Tadeusza rozumu; co wpanu ze mną się spierać.

— Kiedy tak, to może i to prawda, co nam dopiero powiedział p. sędzia, że ma takiego charta, co pojedynczo wilka osadza, czy i temu podkomorzyc uwierzysz?

— Czemuż nie ma być prawda? wszak niedaleko stąd do Radziwiłmontów; u księcia wojewody mińskiego podobnego charta obaczysz.

— I to pan na własne oczy widziałeś?

— Nieinaczej.

— Co wpan znasz, co wpan wiesz? zapytaj się godnego ojca, a mojego łaskawcy, pana miecznika witebskiego, gdzie byłeś jeszcze, kiedy już ja gospodarowałem i polowałem.

— Nie gderaj, sędzio szanowny; zabierają się do krakowiaka, trzeba pójść na służbę, byle mi tylko młodszej podkomorzanki Rejtanówny kto nie zamówił. — I odszedł skacząc, a sędzia: ruszaj sobie do panienek, świstaku; z p. Tadeuszem to ale rozmowa, ale u p. Bonifacego sama plewa w głowie.

Trzecia grupa, złożona z p. Ambrożego Korsaka, porucznika kawaleryi narodowej, p. Walentego Wojzbona, sędzica mścisławskiego, p. Symeona Korbuta, mostowniczego lidzkiego, i innych. Po skończeniu tańca polskiego p. Jan Wazgird zbliżył się do nich szukać próżnego miejsca. Oto masz, rzecze p. Wojzbon, siadaj koło mnie, mości kawalerze św. Jędrzeja.

— Cóż to ma znaczyć, p. Walenty?

— A przypatrzno się temu krzyżowi, co go nasz książę nosi zawieszonym u szyi; jest to krzyż św. Jędrzeja; obacz, czy ten krzyż nie jest takiego kształtu, jak ten, co go na czole nosisz.

— Tędy wasze zajeżdża? a wiesz, że moja dubeltowa kresa tak jest osobliwsza, że za nią dozgonną wdzięczność zachowuję nieboszczykowi Wołodkowiczowi: ile razy obaczę siebie w zwierciedle, tyle razy na jego intencyę mówię jedno Zdrowaś Maryo. Obznaczył ci on mnie w dwa tempa, ale szlachcic bez kresy, jak tanecznica bez fartucha.

— Co do mnie, rzecze p. namiestnik Reutt, chwała P. Bogu, na głowie nie mam kresy, bo tyle ich rozdałem, że dla mnie żadnej nie zostało.

— Dobrze, dobrze, mości namiestniku, jednak u mnie to nie jeździec, co nigdy nie spadł z konia. Ale uważacie, że coś kompania nie tak animowana, jakem się spodziewał.

— Poczekaj, powie pan Korbut, tylko co się zaczęły tańce.

— Nie, nie, ja wiem, co mówię, siedziałem koło generałówny, mojej ciotecznej siostry u obiadu, coś mi stetryczała i chociaż koncept po koncepcie snuły się z ust moich, półgębkiem tylko się śmiała. Dopiero z nią skończyłem taniec; prowadząc ją, takie zabawne rzeczy jej mówiłem, że gdyby to dawniej, gwałtu by krzyczała od śmiechu, a ona, jakbym o czyim pogrzebie rozprawiał. Żeby mężczyzna tak się obojętnym na mój dowcip okazał, zaczepki bym z nim szukał.

— *Deus me custodiat*, odezwał się p. Korsak, niebezpieczny z wpana człowiek, panie Janie; ile razy do mnie mówić będziesz, proszę mię z góry uprzedzić, że to, co powiesz, będzie konceptem, ażebym się zawczasu usposobił do śmiechu, a tem ocalił moją skórę od wpana szabli.

— A co, złapałeś za swoje, panie Janie, wykrzyknął p. Wojzbon, trzymając się za boki od śmiechu.

— Niema co mówić, złapałem, zato na zdrowie twoje wypiję ten kielich, panie poruczniku: w ręce twoje, p. Walenty!

— Z miłą ochotą przyjmuję kielich, ktoby takiego zdrowia nie wypił. Ale wiesz co, panie Janie, powiem ci otwarcie, że ile jestem przyjacielem p. wojskiego, tyle jego brata nie cierpię; ani pije ani się z nami zapoznaje; coś to ni w pięć ni w dziewięć. Choćbym miał potem od kogo drugiego dostać w łeb pół tuzina takich podwójnych kres, jakie nosisz na czole, radbym z moją szablą pójść na tego błyszczącego szpikulca, co go u boku nosi.

— Co wpanu się dzieje, panie Walenty? słyszałem, że nasza szabla jest niczem w porównaniu z tym szpikulcem. Jak weźmiesz po łbie szablą, pierwszy cyrulik chlebem z solą temu zaradzi, ale jak taki rożen w kiszki wlezie, to i doktor księcia biskupa nie pomoże.

— A co to ja, malowany? nim pomyśli o moim brzuchu, uręczam, że mu wymuskaną główkę rozpłatam.

— I niewielka byłaby szkoda, odezwał się p. pisarz Wierzejski, który dotąd nie mieszał się do dyskursu. Ach jakiż to półgłówek! siedziałem obok niego za stołem; myślę sobie: przecie starosta sądowy, jest z kim o prawie pomówić; jak poczciwy człowiek, zabieram z nim znajomość, zapytuję go z dyskursu o *modum executionis* wyroków grodzkich w Wielkiej Polsce, w sprawach *expulsionis;* cóż powiecie? odpowiedział mi ni to ni owo. Ażem się wziął za głowę. Otóż to mi starosta sądowy! Ciekawy byłbym poznać substytutów, jakich on instrumentuje, bo jakim dyabłem on się pozna na ich wiadomościach prawnych? Panie, *averte a nobis* takich starostów!

— Z tem wszystkiem, p. Walenty, rzekł Wazgird, żeby czasem doprawdy nie przyszła wpanu fantazya szukać zaczepki staroście; pamiętaj, że on tu przybył w poselstwie od króla do naszego księcia, a nadewszystko jest bratem naszego poczciwego Michała, którego wpan pewnie nie chciałbyś obrazić.

— A niech mię Pan Bóg od tego broni!

W ostatnim węgle sali przy podwojach, prowadzących do sali jadalnej, była inna grupa, ze wszystkich najhuczniejsza śmiechem, bo w niej p. Leon Borowski dokazywał. Gdy się te śmiechy na chwilę przerwały: — Powiedzno nam, mości dobrodzieju, czy rad jesteś ze swoich gości, rzecze do p. Szabańskiego p. Gorski, ciwun ejragolski.

— Czemu nie mam być rad, ale p. wojskiego, ale od konwiktu znam ale, kiedy to jeszcze laskę nosił przed księciem panem, jako przed prefektem kongregacyi Sodalis Marianus, ale. I zawsze się szczycę ale jego przyjaźnią.

— Nie o nim mowa, ale ten starszy, co to hasa polskiego, chociaż mu po ojcu żałoba się nie skończyła, a tak świeci klejnotami, jak królewna na wydaniu, albo krzak leszczyny w nocy świętojańskiej, a fertyczny, a kusy, a nosa do góry zadzierający; powiedz wpan, co to za człowiek.

— Co, mości ciwunie dobrodzieju; na wołowej ale skórze nie napisać, com ale widział i słyszał ale od niego. Naprzód kiedy do mnie zajechali ale, to gdyby mnie ale nie był uprzedził p. Michał ale listem, to Bóg świadek nie byłbym zgadł ale, czy on pan, czy pani; czy ale ksiądz, czy świecki. Bo to twarzyczka ale nieszpetna wcale, a na głowie ale czepek.

— Czy to być może, mości dobrodzieju!

— A tak, tak ale, jakem sodalis, a do tego ale płaszcz jakby trynitarska kapa, bo i z krzyżem ale, tylko że białym. A płaszcz ale aksamitny. A mości ciwunie ale dobrodzieju, herbatę pije szklankami, a tak ale tęgą, że jak piwo wyglądała. A to nic jeszcze, ale asystowałem mu ale do ubioru, a tak ale byłem ciekawy, że z miejsca ruszyć nie mogłem ale. Sześćdziesiąty szósty rok kończę, ale nigdy ale nie widziałem tego, na co ale dzisiaj patrzyłem.

— Co takiego, mości dobrodzieju...

— Cuda, dziwy, ale cały dzień tego nie wygadam, co się przez dwie, trzy godziny robiło i wypowiedzieć tego ale czy potrafię.

— Mów, co też przecie tam było ciekawego.

— Jakże nic ciekawego ale; pięciu drągalów potrzebuje do swego ubrania, a każdy innym językiem mówi ale. To siada ale, to znowu się zrywa, to znowu siada, a szlafroków ale kilka, a palcami kraje kopertę do listu jak nożyczkami, a tak z niego czuć zapachy ale jak z apteki, ale.

— To mniejsza, ale czy wpan dobr. słyszałeś go mówiącego.

— Jakże nie słyszałem; mówił do mnie ale i słyszałem ale, jak długo rozprawiał bratu ale i skrobał wtedy czoło bardzo pięknym nożykiem. Jeszczem zauważał ale, że ma to samo przysłowie, co i nasza księżniczka Marya, kiedy mówi z księciem panem ale: *mofre*, coś nakształt tego, ale, i inne ma przysłowia niezrozumiane, ale jednak tamte rzadziej, a najczęściej ale *mofre*.

— Jakież u niego zdanie, czy człowiek do rzeczy?

— To jest las, mości ciwunie dobrodzieju, jakiej chcesz tam zwierzyny dostaniesz; to gada roztropnie, że miło ale słuchać, chociaż tłómaczy się nieco złamaną mową, coś ale zarywa na kapelmajstra księcia pana. To potem plecie nie do rzeczy ale. Oto ale

tłómaczył przed nami, skąd data jego orderów; że jednego z nich dostał dlatego, że dobry ale katolik, a drugiego, że dobry szlachcic ale.

— A więcej co?

— A mówił nam, że jego kusa suknia z samych ofiar, a król, a książę kanclerz, a jakaś komedyantka na niego się złożyli ale; no więc nie miał ale jej za co sam sprawić sobie ale; a tam znowu jakieś starostwo, czy tam królewszczyznę we Francyi ale odstąpił bratu potrzebnemu, to mnie zbudowało ale, że potrzebnym ale się udziela i grubo.

— No, to wszystko bardzo przyzwoicie...

Na to p. Leon Borowski: Ale powiedz no nam, panie Teodorze, jak omal nie miałeś sprawy honorowej, z twoim gościem, jakeś na niego napadł.

— Ja? a w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego ale, a to skąd data?

— Bo słyszę, jakeś zobaczył jego wór z pudrem, myślałeś, że mąkę wozi z sobą na pirogi i wymówiłeś mu niedelikatność, że jako sługa księcia wojewody nie ścierpisz tej krzywdy jego domowi wyrządzanej, iżby goście swoje wiktuały wozili.

Tu wszyscy zaczęli się śmiać, że ledwo kapeli nie zagłuszyli.

— Rada gęba, kiedy pan śpi, a jaki uradowany ale p. Leon, że nową anegdotkę na swoim ale warsztacie wykuł dla księcia pana, bo ja wiem ale, że nie tu na nią koniec! pójdzie ona dalej ale; tylko kiedy zmyślasz, to ale zmyślaj gładko. Bo jego puder biały jak wpana wilczate konie, tak podobny do mąki, jak wpan do poważnego człowieka, ale...

Tu nie można było dosłyszeć odgryzienia się p. Leona, bo jakiś szmer powstał w sali.

Pani generałowa Morawska z innemi damami i księciem wojewodą zaczęły prosić pana starosty Ludwika Strawińskiego, by raczył tańcować menueta, jaki był w używaniu na dworze króla francuskiego. A że pani generałowa wiedziała, że Zosia w Wilnie uczyła się tego tańca, przyprowadziła ją do pana starosty, jako parę do menueta. Pan starosta, ze zwyczajną uległością dla dam kawalera wielkiego świata skłonił się na znak posłuszeństwa, ale że kapela księcia o tym tańcu nie miała wyobrażenia, on, uchwyciwszy pierwsze skrzypce, zaczął ją uczyć tej muzyki jakby z niechcenia, ale po zacięciu smyczka zaraz można było poznać mistrza. Po dwóch czy trzech powtórzeniach pojętna kapela była w stanie rozpocząć, zawód i taniec się zaczął. Uroda i bogaty

ubiór tej pary, zgrabność, którą oboje rozwijali w poruszeniach pełnych godności, to wszystko tak zajęło, tak zachwyciło Litwinów, że wszyscy stali jak posągi, czekając końca tej pantomimy, prawdziwie czarodziejskiej. Oboje zdawali się być z liczby tych istot, któremi wyobraźnia zaludniła nieprzebyte krainy powietrznego widokresu. Wszystko na takowe zjawisko się poruszyło, najwięksi nieprzyjaciele zagraniczyzny, jakimś pociągiem mimowolnym odstępując na chwilę od swego przekonania, nie mogli nie dołączyć swoich pochwał do pochwał powszechnych. Odgłos jednomyślnych klaskań licznego towarzystwa odpowiedział skromnemu i uniżonemu, ale pełnemu wdzięku ukłonowi, którym zakończyła menuet tak dobrana para.

Ignacy Chodźko.

Urodzony w roku 1795. Nauki początkowe w Borunach, uniwersytet w Wilnie. Ukończył go w roku 1814., zatem nie był kolegą Mickiewicza i jego przyjaciół, ale był z nimi w ścisłych i serdecznych stosunkach. Całe życie spędził na wsi, w Dziewiętni, zajęty gospodarstwem i ziemskim urzędem (dopóki takie były jeszcze na Litwie). Miał w domu starego przyjaciela, niegdyś konfederata Barskiego, i z jego opowiadań zaczął spisywać Obrazy litewskie, których dalsze tomy zapełnił już własnemi wspomnieniami. Obrazy te, jakoteż Podania litewskie są wielką ozdobą naszej literatury powieściowej. Z wyjątkiem jednego Henryka Rzewuskiego nikt nie opisywał staropolskiego życia i obyczaju z takiem życiem i z takim wdziękiem, jak Chodźko: a nad Rzewuskim ma tę wyższość, że w jego pismach niema nic niezdrowego i fałszywego. Najładniejsze są Pamiętniki kwestarza, Boruny, Domek mojego dziadka, i jego Śmierć.

Umarł Chodźko w Dziewiętni w roku 1861.

Z powieści p. t. „Pamiętniki Kwestarza".

(Rozdział X i XI).

Miły Boże! czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilku tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc, Bernardyńskim? bo jeszcze niebardzo się przyzwyczaiłem do tego nazwania. Prawdę powiedział wyprawując mię z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: — *Homo proponit, Deus disponit*[1]) — i prawdziwie była w tem wszystkiem wola Boska,

[1]) Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

digitus Dei[1])! Zapisawszy powyżej moją ucieczkę i transfiguracyę na Karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progres ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis*[2])? bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a skąd znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztorek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął:

— Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencyi taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów!

Podałem mu obedyencyę, ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy na kopercie: soli, spojrzał na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem poczne? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się! *reverendissime*[3])! — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater* i wyniósł stamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posil się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę. — Jakoż ja i posiliłem się i siedziałem już z pół-godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi, nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem, na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru Bernardyńskiego.

— *Salve*[4]), *reverendissime! salve!* — rzekł on; a postrzegłszy mnie: — Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem od nóg do głowy. — Postura *tamquam*[5]) kufa! ot co jest! — Ale tem lepiej. Przyszedłem prosić wielebność waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń baranią i na konsolacyę, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

---

[1]) palec Boży. — [2]) koniec. — [3]) przewielebny. — [4]) witaj. — [5]) jakby...

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, *reverendissime*, ten list! wyrozumiesz może lepiej ode mnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — Cóż tu niezrozumianego? — rzekł. — Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskiem, że ucieczka i przebranie się jegomości nie z jego broń Boże przyczyny lub jakiego excesu, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* [1]) zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte* [2]).

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: »Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis* [3])... *Una salus servire Deo, cetera fraudes!... intellegis?... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei* [4]).

— *Est res et nulla res est!* jest rzecz i niema rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda! *bene dixisti* [5]). Ot co jest! Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* [6]) zostań naszym bratem Bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot co jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

— A to dlatego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześciańską cnotę, pokorę, która, jak wiecie, niebiosa przebija. Ot co jest!

---

[1]) w najwyższym stopniu. — [2]) obróć. — [3]) drogą namowy. — [4]) jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność, rozumiesz?... czyń mądrze!.. i niech się dzieje wola Boża. — [5]) dobrze powiedziałeś. — [6]) bez wątpienia

— No, ale, *computatis computandis*[1]), na czemże staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: — ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztorku może być panu exmarszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*[2]), mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*[3]), nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale.*

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał mi się być kontent z pozbycia się i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z mą szablą przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata kanaparza: jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożeństwa nad zamożną klasztorną dyspensą i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza, żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało; i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

---

[1]) rozważywszy, co rozważyć należy. — [2]) proszę ze sobą. — [3]) pożywienie i odzież.

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies*[1]) prawie w każdej celi, *post requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano*[2]) dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz, jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium*[3]), które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po korytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpią łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus*[4]) wszystko co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ks. kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ksiądz przeor głębocki, — a w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, żem nie z pod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *asperges*[5]) — mówił on, gładząc pas mój lity — z żupanów grodeturowych i atłasowych ornaty; z kontuszów *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem

---

[1]) odpoczynek. — [2]) z czystego ziarna. — [3]) znaku milczenia. — [4]) i tego rodzaju, tym podobne. — [5]) pokropienie (przed sumą).

złego? Dyabeł na świecie tańcuje koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod obedyencyą! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod obedyencyą. Ot co jest!

— Widzisz, *reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tęgo, a dla ochoty do teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i dyscyplinę, mógłbyś od razu zostać jubilatem, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój animusz nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób profesyę na braciszka *sine missa*[1]), zostań z nami Bernardynami, Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek; z tymi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tegosamego nie będę ci długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzywał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych obligacyi na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencyę nieszpory, wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób, co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upór na upór; ale najgorsze w życiu ludzkiem to jak chcesz! I tak dobrze, i tak dobrze; albo i tak źle,

---

[1]) bez prawa odprawiania mszy św.

i tak źle... A Bóg wie tylko co lepiej, a co gorzej. Więc czekałem już niecierpliwie nieszporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę.

Kto chce Pannie Maryi służyć,
A Jej osobliwszym miłośnikiem być...

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: — Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddal ode mnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele i nie postrzegłem, jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru, i ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... gdy wtem usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ks. kustosz, który siedział w konfesyonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdzą! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląkłem. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląkł potem obok; zmówiliśmy *Te Deum laudamus* i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne korytarze.

Dopadłem śpiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakąś pociechą moje suknie i pasy do kuferka — To, ojcze! — rzekłem — zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniesiemy obadwa kuferek ten do zakrystyi: bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum factum[1]). Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza przeora, udałem się na spoczynek i bez żadnych żalów lub molestacyi, najspokojniej zasnąłem.

---

[1]) jak rzekł, tak się stało.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor*[1]). — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... wtem zastukał do celi ks. kustosz, idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł do mnie: — A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej znowu duch nowy i jakby pragnienie habitu weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mię przeszedł na tę propozycyę odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!* — odpowiedziałem — idźmy do celi i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię. Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że, gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się, i złoto z głowy znikło; a ksiądz kustosz, obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale o b e d y e n c y a dzwoni.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej w o k a c y i, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus*[2]) zatem, bracia mili, i przyjmijmy go *apertis manibus*[3]): bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą p r o f e s y ę.

— A potem — odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na p r o b a n t a i s e r w i t o r a.

— A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim s e r w i t o r z e? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem

---

[1]) służebny. [2]) — Cieszmy się. — [3]) otwartemi rękami.

sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite materyalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła; to znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. Serwitorów, definitorów mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych za mało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale! — mówił dalej kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszą dyspensę, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną benewolencyę[1]) i rzekłem: — Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu talarami — excypuję tylko sobie, *si licet*[2]), dukata *cum effigie*[3]) Najświętszej Panny.

— *Iterum iterumque gaudeo*[4])! — rzekł, ściskając mię za głowę — z tak pobożnej twej intencyi; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*[5]). Bo i u któregoż Bernardyna mogłoby się znaleść wiele pieniędzy? A że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek; a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką? — jeszcze zapytał, uśmiechając się.

— Odeślę ją przy okazyi memu przyjacielowi, podczaszemu Świebodzie.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów, jadących razem do Nieświeża na kapitułę. Nie powstydziłem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed patrami, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do kontentacyi zupełnej nie brakowało.

---

[1]) życzliwość. — [2]) jeżeli wolno. — [3]) z wizerunkiem. — [4]) Bardzo się cieszę. — [5]) aż do grosza.

— Kto u ciebie, bracie? — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i experyencyi, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem, śledziami nadzianym — *gratias ago!* — rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzywszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine* pojedynczo przed nim dla examinu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. Kwestya pierwsza: czy nie nam jakiej krzywdy lub skarg na kogo w klasztorze? — Nie. — Kwestya druga: Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. — Kwestya trzecia: Jaki był mój stan przeszły i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to odpowiedziałem *summatim*[1]) i pokrótce całe moje życie, a szczególniej, jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate*[2]) na Karmelitę, i *tandem* za pomocą Bożą na Bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moją ojciec nasz. — Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcyi. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będziesz waszeć i tam w Nieświeżu urządzał *sumptem* naszym obiady, a potem obierzesz sobie rezydencyę, gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w Nieświeżu, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasłymi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnymi *omnis generis*[3]) i specyałami z klasztoru sióstr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanymi, oraz puzdrem pełnem, od którego klucze pod moją są kustodyą.

---

[1]) ogólnie. — [2]) niespodzianie. — [3]) wszelkiego rodzaju.

Michał Czajkowski.

Syn Stanisława i Petroneli z Głębockich, urodzony w Halczyńcu, na Wołyniu, w roku 1803. Nauki pobierał tylko w powiatowej szkole w Międzyrzeczu. W dwudziestu latach przez śmierć rodziców pan swojej woli i majątku, osiadł na wsi, gospodarował, bawił się, hulał, i marzył o dawnych kozakach i o bohaterach Byrona. W roku 1830. poszedł na wojnę, ale przedtem uwolnił włościan od poddaństwa. Bił się doskonale. Na emigracyi przestawał najwięcej z Wołyniakami (Jełowickimi, Witwickim i t. p.), a przekonaniami zbliżony do ks. Czartoryskiego, z jego poleceniami jeździł do Rzymu (podobno i na wschód).

Kiedy mu przyszła chęć do pisania? niewiadomo, ale pierwsza jego powieść Wernyhora wyszła w roku 1838. Powodzenie miała wielkie. Treść wzięta z rzezi humańskiej; bohater dzielny kozak a wierny Rzeczypospolitej; dość żywo skreślony ówczesny świat szlachecki i ówczesne nieszczęścia, a nadewszystko tchnienie patryotyczne, stary Wernyhora i jego przepowiednie, wszystko to było sympatyczne i autorowi zrobiło niemałą sławę. Druga powieść, Kirdżali, zawikłana i tragiczna naddunajska historya, powodzenia miała dużo, ale na prawdę była słaba, a w sposobie pisania napuszona i pretensyonalna. Słaba także Anna, powieść współczesna, obyczajowa z życia podolskiej czy ukraińskiej szlachty, a zawikłana strasznemi intrygami w rodzaju współczesnych francuskich romansów Eugeniusza Sue lub Souliégo. Gawędy i Powiastki zwłaszcza wesołe, humorystyczne, z wiejskiego lub wojskowego życia, należą do najładniejszych w naszej literaturze. Z większych powieści (pomijając niektóre) wymienić trzeba dwie, najlepsze. Jedną jest Stefan Czarniecki. Ten aż do wyjścia Listopada Rzewuskiego był najładniejszą historyczną powieścią polską. Nie trzeba od niej żądać ani bardzo wiernego charakteru epoki ani wielkiej psychologicznej głębokości, ale tych nie żąda się od Dumasa ani od Walter-Scotta nawet; a złudzenie jest, niektóre figury mają istotnie dużo życia i fizyognomii, intryga zajmująca i dobrze prowadzona—wszystko sprawia, że powieść ładna i przyjemna do czytania. Drugą powieścią jest Owruczanin. Rzecz dzieje się na Polesiu, podczas wojny rosyjskiej Napoleona, a opowiada zmowy i przygotowania owruckiej szlachty, która chce powstać, jak się Francuzi ukażą. Rząd ich odkrył, rzecz kończy się bardzo smutno, bohater umiera, dwie panny zakochane w nim idą do klasztoru. Najładniejsza to z powieści Czajkowskiego. Z rzeczywistości, z tradycyi, z dobrze mu znanego świata wzięta, ma więcej istotnej prawdy aniżeli Czarniecki, a w swojej smutnej treści i smutnych bohaterach ma nawet pewien wdzięk poetyczny.

Po pięknej pierwszej połowie życia Czajkowskiego, nastąpiła druga, niestety gorsza. Przez całe życie marzył poetycznie o kozakach i o naddunajskich Słowianach (także o sturczonych bohaterach Byrona); na ten kierunek wyobraźni padło fałszywe wyrachowanie polityczne (do którego przykład Bema musiał się przyczynić), że należy ratować Polskę przez Turcyę. Pojechał Czajkowski na wschód, został Muzułmaninem, oficerem w wojsku tureckiem, nazywał się Sadyk-pasza. Po tem jego sturczeniu

się pisał Krasiński w jasnem przewidywaniu przyszłości, że kto się zaparł Boga, ten się i ojczyzny zaprzeć może.

Za wojny wschodniej zorganizował pułk sułtańskich kozaków — (wydał książkę o tej formacyi z dumkami na swoją cześć) — po wojnie jeszcze długo w Turcyi pozostał. Po roku 1863., czy zwątpił o Polsce zupełnie, czy dusza chwiejna i wątła rozstroiła się: Czajkowski oddał syna w służbę rosyjską, a następnie sam przyjechał do Kijowa; głosił z zapałem (szczerym czy udanym) zjednoczenie Słowiańszczyzny w ręku białego cara, gotów był przejść na prawosławie, tylko go kijowski metropolita nie chciał przyjąć. Sprawdziła się przepowiednia Krasińskiego.

Czajkowski skończył samobójstwem w roku 1885.

W rzędzie polskich pisarzy powieści zajmuje on miejsce niepoślednie.

Z powieści p. t. „Stefan Czarniecki".

(Z rozdz. XII. — Turniej w Częstochowie).

Po uczcie wszyscy wyszli przed namiot i zasiedli miejsca. Miały się zacząć gonitwy i igrzyska rycerskie. Wojewoda wileński został obrany marszałkiem szranków, a w pomoc mu dodano Koniecpolskiego Michała i Jana Sobieskiego.

Na cztery rogi szranków po dwunastu trębaczów na każdy skoczyło i po trzykroć razy zatrąbili w trąby, i wnet wysypali się rycerze na dzielnych koniach, w bogatych a rozmaitych zbrojach. Rzędy końskie i rynsztunki wojenne lśniły się i migotały; zdaje się, że konie i ludzie obrzucani brylantami, olśnieni promieniami słońca. Czterech heroldów stanęło o kilkanaście kroków od siedzenia królowej, koło marszałka i podmarszałków już będących na koniach.

Każdy z rycerzy, poprzed wzgórzem w pląsach przejeżdżał, trzykrotnym pokłonem szabli witał królowę jmość, poważne matrony i urodziwe panny, a heroldowie w głos okrzykiwali jego rodowe imię, herb i urząd. Większa część rycerzy dawnym obyczajem przyłbicami poprzykrywała twarze. Kiedy nadjechał wódz łatników*) na myszatym koniu, heroldowie milczeli, a Michał Koniecpolski zawołał: — Ja znam tego rycerza, szlacheckiego i dobrego rodu.

Heroldowie powtórzyli: — Michał Koniecpolski, wojewoda halicki, zna tego rycerza; poświadcza, że on szlacheckiego i dobrego rodu.

---

*) Przed turniejem był opis przemarszu wojsk w obecności królowej; była wzmianka o łatnikach, na których czele jechał rycerz tajemniczy.

Rycerz Łatnik powitał i przejechał; za nim jechali znani rycerze. Ale cóż to znowu za dwaj nieznajomi?

Pierwszy cały w bieli przybrany, jak starodawny mnich mieczowego zakonu, tylko czerwonego krzyża na nim nie widać; pod nim złotokasztanowaty koń, tylko noga lewa biała za pęcinę i na czole gwiazdka biała. Wojewoda wileński zawołał: — Ja znam tego rycerza, szlecheckiego i dobrego rodu. Heroldowie powtórzyli, rycerz powitał i przejechał.

Drugi rycerz całą zbroję miał czarnym kirem osłoniętą, koń pod nim skarogniady, bez żadnej odmiany. Jan Sobieski gromko powiedział: — Znam dobrze tego rycerza, szlachcic i dobry szlachcic. Heroldowie powtórzyli, czarny rycerz witał i przejechał.

Trzydziestu rycerzy było gotowych do gonitwy i do igrzysk. Na rozkaz marszałka heroldowie na całe gardło okrzykiwali. »Za pozwoleniem królowej jmości, Ludwiki Maryi, małżonki Jana Kazimierza, króla i pana naszego, na jej cześć odbędą się cztery próby rycerskie. Naprzód: Gonitwy. Czyj koń pierwszy doścignie do mety, ten nagrodę dostanie z rąk Ludwiki z Grosouvre, panny nadwornej jej królewskiej mości. Powtóre: Nizanie przez pierścień. Kto w czwale konia trzykroć razy dziryt przeniże przez pierścień i trzykroć razy go schwyci w powietrzu, temu wręczy nagrodę Rozalia Potocka, podkomorzanka podolska. Po trzecie: Cięcia szabli. Kto w czwale konia do siebie i na odlew zetnie dwadzieścia cztery głów muzułmańskich, wszystkie albo najwięcej, ten odbierze nagrodę od Anny Sapieżanki, wojewodzianki wileńskiej. Po czwarte: Harc. Rycerze będą zawodzili, wysadzali siebie ze strzemion, z siodeł, końmi konie walili na ziemię. Kto zwycięzcą wyjdzie z tego harcu, temu daną będzie nagroda przez Joannę Lanckorońską, wojewodziankę ruską, hetmanównę polną koronną, córkę i dziedziczkę rycerskiego męża«.

Skończyli okrzykiwać heroldowie, marszałek wskazał metę tuż pod samem wzgórzem. Jeden z podmarszałków poprowadził w koniec równiny wszystkich rycerzy, bo prawem wszyscy musieli biegać. Drugi z podmarszałków stanął na środku równiny.

Już rycerze zajechali, widać, jak się rozciągnęli w długi szereg, doskonale rozeznać można maście koni, barwy strojów rycerzy, nawet widać, jak konie na zadach przysiadują, prą się w wędzidła.

Z moździerza wypalono na hasło: raz, dwa, trzy! i za trzecim strzałem z kopyta pomknęły konie. Jeźdźce prawe ręce do góry wznieśli, jak ptaki skrzydła do lotu, pochylili się ku grzywom, jakby koniom w uszy szeptali tatarskie: czuch — czuch! —

Z początku konie ławą czwałowały, tak szparko, że widzom w oczach skakało, migało, a nie mogli wzrokiem schwycić jednego całego skoku, tuman kurzu za sobą miotły, a same wymykały się kurzowi; ale już nie ławą pędzą; raźniejsze konie tu i ówdzie naprzód powyskakiwały; widać, jak skarogniady z czarnym rycerzem przed drugimi się wymknął, rej wiedzie, sadzi posuwistymi susami, ale jak dla igraszki, to w górę wyskoczy i poza siebie naraz czterma podkowami błyśnie, to do ziemi się przyłoży: zda się, że piersią piasek muska; za nim, o kilka skoków rwą gęstym czwałem koni biały rycerz i łatnik jakby sparowami; tuż, tuż za nimi inni jeźdźcy pędzą w przegony; w tumanie kurzu jasne, ciemne konie majaczeją: a tak prą powietrzem, że choć dokoła cisza, wiatr się zerwał i wieje w oczy, w twarze widzom.

Już się zbliżają, po piasku głucho, a gęsto, a tłumnie tętnią konie, na zachętę krzyczą jeźdźcy, jak z gradowej chmury taki szum i wrzawa stamtąd leci. Skarogniady z czarnym rycerzem zawsze na przodzie; ale nagle, jakby się czego spłoszył, w bok szczupakiem skoczył, połciem przed jeźdźcami wichrem przeleciał. — Kobiety ze strachu krzyknęły, ale żaden go koń nie tknął, biegł za tłum i zniknął w tumanie kurzu; w tymsamym czasie, jakby zmownie przyzostali się łatnik i biały rycerz, a inni jeźdźcy ich wyminęli; teraz przodem sadzi po prawicy, na brudno kasztanowatej szkapie, z konopiatą grzywą i takim ogonem; po lewicy na siwym tatarskim bachmacie, a po środku na dropiatym koniu. Koń od konia nawet głową się nie wysunął: wszyscy trzej jeźdźcy ostrogami dżgają szkapy w boki, a tak się przygięli do siodeł, jak gdyby swoją postawą chcieli długości nadsztukować koniom; razem przypadli do mety, jeszcze kilka kroków przyskoczyli, nim konie zatrzymali — i inni jeźdźcy nadbiegali i stawali ze sromem.

Łatnik, rycerze czarny i biały po samym zadzie przyjechali i stanęli na boku. Trzej zwycięzcy z koni zsiedli i stawili się przed królową jmością, a heroldowie z rozkazu marszałka okrzykiwali: — Przed obliczem królowej jmości, szlachetnych niewiast i dziewic, ojców narodu i rycerskiego koła, odnieśli zwycięstwo w końskich przegonach: Alexander Pilchowski herbu Ajszyngier, starościc inowłodzki, Kazimierz Grudziński herbu Wieża, wojewodzic kaliski, i Jan Olizar herbu Chorągiew Kmitów, stolnikowicz wołyński. Szlachetna Ludwika ze starożytnego Francyi domu Grosouvre nagrodą ich obdarzy!

Nadobna Francuzka wyszła przed rycerzy: oni przed nią przyklękli. W ręku miała tylko błękitną szarfę, na środku srebrnym haftem wyszyte serce; po obu końcach przed srebrzystemi frędzlami, dwie strzały srebrem haftowane, ostrzami obrócone ku sercu. Zapłoniła się rumieńcem, ale bynajmniej się nie zmieszała, nożyczkami na trzy części przecięła szarfę, srebrne serce dała wojewodzicowi kaliskiemu, a dwom drugim każdemu po strzale; sama prędko wróciła na miejsce, a trębacze na czterech rogach szranków w trąby otrąbili: cześć pięknej pannie, co nagrodę dała, cześć zwycięzcom!

Hetman polny trzem zwycięzcom od siebie w darze na pamiątkę dał trzy złote puhary, ozdobne herbem Lubomirskich, wysadzonym z drogich kamieni, i z napisem: Jerzy Lubomirski prosi o przyjaźń u panów braci szlachty. Do każdego przepił winem, mówiąc: — Bądźmy przyjaciółmi i kochajmy się! — Oni do niego odpili, powtarzając teżsame słowa.

Wkopano w ziemię dwa słupy, na czternaście kroków jeden od drugiego, przez wierzchołki przeciągnięto jedwabny sznur, na środku na drugim sznurze zawieszono złote kolce, niby pierścień, tak wysoko od ziemi, że jeździec, stojąc na siodle, tamtędyby przejechał, nie dotknąwszy czapką kolca.

Heroldowie z rozkazu marszałka zawołali: — Panowie rycerze, komu będzie wola zagrać w pierścień! — Gra w pierścień nie była już próbą musu dla rycerzy, ale igrzyskiem dobrej woli.

Pierwszy z pomiędzy rycerzy wyskoczył hrabia Ludwik z Châtre, zwyczajnie Francuz najskorszy, najpokwapniejszy, a za nim wyjechało siedmiu jeźdźców, lecz ku podziwieniu wszystkich, czarny rycerz i biały rycerz i łatnik stali w miejscu. Wszystkie niewiasty na nich zwróciły oczy i szeptały między sobą: może się domyślają, może wiedzą, nie wiadomo; ale że ciekawe, to pewna.

Panna Potocka rzekła do Lanckorońskiej i Sapieżanki: — Niegrzeczni ci panowie nieznajomi, żaden nie chce być moim rycerzem; rada nierada, muszę się cieszyć francuskim hrabią. Ja wiem, dla was to oni tu przyjechali. — Sapieżanka zarumieniła się, a Lanckorońska jeszcze bardziej się zamyśliła.

Ośm karteczek z napisami imion marszałek wrzucił w czapkę, zmieszał, wyjął jedną i oddał heroldowi. Los padł na księcia Iwana Zbaraskiego, bracławskiego wojewodzica; hoży młodzieniec wziął w rękę turecki dziryt, na półtora łokcia długi a całkiem złocony, między palce prawej ręki włożył, okręcił nad głową, konia w cugle zebrał, dał ostrogę i w czwał pomknął. Już, już dolatywał do kolca,

dziryt cisnął, a szparcej konia wypuścił. Kolce brzęknęło, drgnęło, ale dziryt pierścienia nie przenizał. Książę na drugą stronę piorunem przeleciał, w powietrzu dziryt schwycił, ale trębacz zwycięstwa nie otrąbił. On stanął, zawrócił i mimo słupów wracał stępo do swoich, smutnie, markotnie.

Jego miejsce zastąpił hrabia Ludwik z Chatre, wypuścił konia, cisnął dziryt: dziryt gdzieś het za słup poleciał. Koń zwyczajny do igrzyska za dzirytem w bok się rzucił, a Francuz hop z konia o ziemię, padł jak długi. W miejscu trębaczy pacholiki pustym śmiechem zachichotali, hrabia się zerwał, otrzepał i w złości zagadał koszlawą polszczyzną: — Huncwot jest, wziąć tego szelmę do stajni, wołać mi mego Pikard! — Wielu z widzów szczerze kryjomo się uśmiechnęło.

Za nim wyskoczył koniem Maciej Łubieński, starościc sieradzki, herbu Pomian. Rzucił dziryt, gracko przenizał pierścień, trębacze otrąbili; dziryt schwycił, w mig zawrócił konia, rzucił raz drugi, zrobił mach mimo i czwałem między swoich wrócił.

Mikołajowi Sapieże, synowi wileńskiego wojewody, trębacze dwa razy zwycięstwo otrąbili, ale za trzecim rzutem szwankował.

Janowi Omiecińskiemu, łowczemu wołyńskiemu herbu Junosza, wojennemu mężowi, za drugim przenizaniem koń nie doskoczył, i dziryt pod nogi upadł.

Władysław Krasicki, podczaszy stężycki, herbu Rogala, przydomku Bibersztejn, spylił się, bo ani kolca ani sznura nie zaczepił. Jędrzej i z imienia Plater i z herbu Plater, starosta dynaburski, raźno i ochoczo skoczył, raz przenizał pierścień, drugi raz o kolce zawadził, ale z dzirytem w ręku między swoich wrócił.

Ostatni Sierawski, herbu Słoń, porucznik hussarzy księcia Koreckiego, tak serdecznie cisnął dzirytem, że aż kolce w górę podskoczyło, a dziryt się odbił i padł na krzyże koniowi, ale nie skaleczył. Sierawski zatoczył koniem w prawo, w lewo popląsał; nie udało się dzirytem, przynajmniej pokazał, co on jeździec umie, co umie jego konik choć niepoczesny i maści brudno białej (ludzie go ścierką zwali), jednak taki dziarski, taki zwinny, taki bundziuczny, że aż serce rośnie jeźdźcowi, co na nim siedzi, że aż miło patrzeć na niego.

Nie było zwycięzcy: heroldowie z rozkazu marszałka zawołali: — Komu wola zagrać w pierścień? — Czarny rycerz wysunął się naprzód; uważano, że przez cały czas tego igrzyska skarogniady koń, to przedniemi nogami ziemię kopał, to podsadzał się na zadzie; nawet jeździec tak kilka razy się pochylił, jak gdyby postawa

wbrew woli chciała się pomknąć do pierścienia. Gładko okręcił dzirytem w około głowy, w skokach konia zbliżył się do kolca, dziryt cisnął, koniem przeleciał, trębacz otrąbił, a on dziryt schwycił, konia w czwale w miejscu zwrócił; zdało się, że przewali się na ziemię; znowu pędzi, cisnął dziryt, przenizał pierścień, i na drugiej stronie ręką złapał dziryt, po swojemu koniem zmotał, błyskawicą nazad poskoczył i po swojemu dziryt cisnął. Nie jeden, ale wszyscy trębacze w trąby zatrąbili, heroldowie głosili zwycięzcę, wezwali pannę podkomorzankę podolską do dania nagrody. Czarny jeździec z dzirytem w ręku przypląsał pod wzgórze, skoczył z konia, dziryt rzucił pod nogi panny Potockiej i sam przykląkł, ale z twarzy przyłbicy nie odkrył.

Ona mu na szyję włożyła złoty łańcuch, w spojeniu ogniw wysadzany rubinami; na łańcuchu zawieszony obraz Matki Dziewicy, trzymającej Zbawiciela na ręku, na kości słoniowej pędzlem sztukmistrza wymalowany, a oprawny w złoto i w brylanty. Lubomirski przydał w darze sygnet szczerozłoty.

W szrankach ustawiono dwa rzędy tyczek, wzrostu człowieka pieszego; na każdą tyczkę, przy końcu cieniutko zaciosaną, wetknięto głowę, z papieru wyklejoną, a strojną w zawój, to czerwony, to zielony, to żółty, to biały. Między tyczką a tyczką przedział na pięć kroków, głowy wprost na siebie nie patrzą, tylko każda stoi naprzeciw przedziału. Między dwoma szeregami w szerz pięciokrokowa drożyna. Z rozkazu marszałka heroldowie okrzyknęli: — Komu wola pomachać szablą po bisurmańskich głowach? — Jedenastu rycerzy wybiegło: między nimi łatnik i biały jeździec, a wkońcu i czarny; ten ostatni widać woli konia się podał, bo w zadzie za wszystkimi kopnął.

Przelosowali. Pierwszy Stefan Różycki, chorąży pancerny, szlachcic herbu Rola, w szranki wybiegł. W powietrzu szablą krzyż święty zrobił, wypuścił konia między bisurmańskie głowy; to w prawo i w lewo się przeginał, szablą ciął to na odlew, to do siebie. Pięć głów z tyk zrąbał, dwie po zawojach skiereszował i przebiegł na drugą stronę. Pacholiki nowe tyki z głowami zatknęli, i młody Roman Załuski, herbu Rawicz, kasztelanic mazowiecki, bułanym konikiem poskakał, namachał szabelką, sześć głów zrąbał, siódmą tykę zwalił i wrócił między swoich. Po nim Bonifacy Pac, herbu Gozdawa, pułkownik królewski trockich chorągwi, na cześć litewskiej panny chciał pokazać, co umie; ale na nieszczęście jakiś dyabeł go nawroczył, czy rękę czy szablę zamówił, bo na wiatr się namachał, a ani jednej głowy nie zawadził; wróciwszy dąsał się i mruczał.

Tu wszyscy ciekawie patrzą: łatnik wyjechał. Myszaty koń parskał i chrapał. Musiała go ostroga załaskotać, bo po szalonemu skoczył i w czwał pędził. Łatnik jakby z niechcenia płatał na lewo, na prawo, i głowy precz odskakiwały, pięć dwójek jedną po drugiej zrąbał, szóstą prawą minął, lewą uciął, i znowu mu gładko szło. Kiedy przeleciał na drugą stronę, tylko pięć głów sterczało, reszta wszystkie zrąbane. Widzowie pomyśleli: to będzie zwycięzca! a on widać jeszcze nierad, bo targał cuglem, ubódł ostrogą, aż myszaty się zesłupił, a mało nie przewalił. Kobiety patrzały po sobie, po widzach, czy nie wyczytują czego z twarzy.

Po łatniku wysunął naprzód Antoni Jełowicki, szlachcic herbu Jełowicki z kniaziów na Perejasławiu, syn dziedzica Łanowiec, mąż dzielny, po madziarsku wyuczony szablą robić, trzynaście głów ściął, ale dziewiętnastu nie doliczył. Józef Zaleski herbu Prawdzic, krew z krwi, kość z kości ukraińskiej, po kozacku się wywijał, ale dwanaście głów sterczących zostawił. Po nim Paweł Potocki herbu Pilawa, bracławski wojewodzic, szczęścia próbował, ale mu się nie udało; cztery tyki zwalił, a dwie głowy tylko zrąbał. Pod Samuelem Mickiewiczem Litwinem, herbu Poraj, w pierwszem cięciu koń się związał i wielką konfuzyą rycerza nabawił; przed wszystkimi się on klął, że to żmudzki konik, z tegosamego rodu, co Kiejstutowe rumaki, na których to żmudzkie książę doganiało tatarskie bachmaty; ale to na nic się nie przydało. Oktawiana Plichtę, gostyńskiego starostę, jeszcze większy przypadek spotkał: za trzeciem cięciem szabla wypsnęła się z dłoni i gdzieś het poleciała daleko, choć to szlachta herbu Półkozic uchodziła za sławnych rębaczów od dawien do dawna.

Dziesiąty wyjechał biały jeździec, kasztanek przysadzał się na zadzie i hasał jak panienka w tańcu; i jeździec kształtnie, zgrabnie panoszył się postawą. Wielu ze starych wyjadaczów pomyślało sobie: On nic nie zrobi! Ale on wczwałował między tyki, i tnie, a bisurmańskie głowy lecą; przemachał, trzy głowy tylko sterczały, jedna przy początku, jedna we środku, a jedna na końcu; przesadził łatnika, wszyscy mu klasnęli: ale jeszcze kolej na czarnego jeźdźca. Skarogniady dyabłem z miejsca czmychnął, tylko się piasek za nim zakurzył, jeździec jedną po drugiej dwanaście głów zrąbał; szablę wzniósł do góry; czy narowisty koń jak w pierwszej gonitwie czegoś się spłoszył, czy jeździec umyślnie cuglem go skręcił, melknął w bok, czwałem wrócił do koła rycerzy i stanął obok białego jeźdźca i skarogniadego po szyi poklepał.

Po otrąbieniu zwycięstwa, biały jeździec stanął i ukląkł przed wileńską wojewodzianką. Ona mu w upominku dała złote pióro, suto upstrzone brylantami, szmaragdami, turkusami i rubinami; on z pokłonem przyjął dar, ale widno, że piękniejsze mu były brylanty w oczach dawczyni, bo długo z pod przyłbicy na nie patrzał.

Hetman polny dał od siebie rząd bogaty, srebrem i koralami nasadzany.

Tu trębacze na gwałt w trąby zatrąbili. Rycerze za tępe kopie porwali, w szranki wybiegli, końmi koła toczą, w powietrzu kopie potrząsają. Na dwa oddziały się podzielili, rozbiegli się wstecz od siebie, zawrócili się, rozwinęli w szeregi, i pędem na siebie natarli. Tumany kurzu powstały; czasami tylko jeźdźcy zamajaczeją w tej chmurze, a tam, gdzie najgrubsze słupy kurzu, muszą zawodzić najzawzięciej.

Oho! już dwa konie bez panów biegą wybrykiem ku obozowi, jeden siwy, drugi gniady; pacholiki krzyknęli: to chorążyca Koniecpolskiego, a to Nabielaka, tego szlachcica z Halicza.

Znowu zakrzyczeli: Patrz, jak pan namiestnik Budzyński prowadzi konia, a sam sztykurla: musieli mu nie pożałować szturchańca.

Oho! i stary Witwicki za koniem bieży, a koń mu się wymyka!

Już kilkanaście koni biega bez jeźdźców, tuman zaczął opadać. Widać: konie leżą, jeźdźcy się podnoszą, ledwie dziesięciu jeszcze walczy. Czarny jeździec na Odrowąża pędzi, już dotarł; pod Odrowążem koń się zachwiał i zwalił o ziemię. Łatnik kopią wysadził z siodła Wojciecha Grzymałę, stolnikowicza płockiego, i pędzi na białego jeźdźca, który tylko co ściągnął z konia litewskiego tatara Abramowicza.

Dwie pary jeszcze harc zawodzą. Biały jeździec z łatnikiem, jeździec czarny z Szandorowskim, rotmistrzem pancernych księcia Wiśniowieckiego, przesławnym harcerzem po wszej ruskiej i lackiej ziemi. Rozbiegli się, przyskoczyli do siebie, starli się. Szandorowski złomkiem kopii wymierzył wprost w pierś czarnego rycerza. W samem pchnięciu skarogniady półskokiem w bok się zemknął, rotmistrz pancerny pchnął na wiatr, pochylił się z natężeniem, o mało strzemiona z nóg nie wyleciały, a czarny rycerz migiem konia skręcił i całą siłą drzewcem w kark palnął Szandorowskiego. Siwosz rotmistrza, zwyczajny do harców, umknął się trochę; a rotmistrz równowagę w siodle stracił i klapnął na ziemię. Tymczasem biały jeździec z łatnikiem do reszty pokruszyli kopie i jak dwa koguty się

zczepili, końmi na siebie prą, chwytają się za barki, za misiurki, jak raki trzymają się siodeł; nareszcie łatnik pod szyję schwycił białego jeźdźca, sam się w siodle aż na tył osadził, myszatego naparł ostrogą. Widać żelazne siatki zakłuły kasztana, bo skoczył w tył, a łatnik z siodła wychwycił białego jeźdźca i na piasek go zwalił.

Wszyscy ciekawie patrzą, co tu będzie. Łatnik wziął nową kopię, i czarny jeździec takoż potrząsa nową kopią; trzykroć razy stępą koło objechali, potem stanęli naprzeciw siebie i patrzą. Nagle z kopyta pomknęli do siebie, o siebie się uderzyli, konie sobie dały pocałunek piersiami i jeźdźcy kopiami się pocałowali. Obudwóch konie na zadzie przysiadły i obadwa jeźdźcy w tył na siodłach się podali. Znowu odskoczyli, znowu przyskoczyli i starli się. Tą razą kopia łatnika prysnęła na piersiach czarnego jeźdźca, a czarny jeździec ani się zachwiał w siodle, i pod pachę tak dżgnął łatnika, że ten nogi wypuścił ze strzemion i ledwie ręką zatrzymał się na siodle. Za trzeciem natarciem czarny rycerz rzucił kopię o ziemię, skarogniady dziarsko skoczył, a tak silnie uderzył piersiami, że myszaty zatoczył się i zwalił na piasek, a łatnik z niego; i koń się schwycił na nogi i łatnik wskoczył na siodło, ale już trębacze otrąbili zwycięstwo czarnego jeźdźca.

Sierdził się łatnik, ostrogami na myszatym złą wolę spędzał, ale niema rady, heroldowie już okrzykiwali. Hetmanówna w czarny kir odziana stanęła przed królową, a przed nią ukląkł rycerz w czarny kir strojny. Ona drży i łzami brylantuje oczy, i on jakoś głowę schylił ku ziemi i takoż drży. Dziwne to było to nieme a wymowne współczucie żałoby. Skorogniady pod wzgórzem stał sam, nie trzymany, obrócił ku nim szyję, wyciągnął głowę i zarżał, jakby mówił: gadajcież. Ona dała rycerzowi złoty pierścień z brylantem soliterem: jeszcze to ślubny pierścień Przecława Lanckorońskiego; takich dwóch w Polsce niema, jak niemasz w Polsce takich dwóch dziewic jak hetmanówna. Wstał czarny jeździec, pokłonił się, przez przyłbicę popatrzył, jakoś niby wbrew swej woli się zwrócił i siadł na koń.

Jerzy Lubomirski w upominku dał mu czarnego rumaka, prawdziwego arabskiego Neżdę, ale po twarzy hetmana widać zafrasowanie się ze szwanku łatnika; do niego przystąpił i z nim rozmawiał; pacholik Jana Sobieskiego wziął czarnego Neżdę.

Wszyscy rycerze już byli na koniach, widać, że żaden kości nie połamał, a choć który tęgo się potłukł, to postawą nadrabiał, żeby i srom i ból zakryć. Przejeżdżali pod wzgórzem, pokłonami

szabli żegnali królowę jmość, matrony, dziewice i ojców narodu, a trębacze trąbili, muzyka brzmiała i z moździerzy na wiwat palono.

Potem wojewoda wileński, Michał Koniecpolski i Jan Sobieski, złożyli u stóp królowej laski chwilowej godności marszałkowania turniejowi.

Józef Korzeniowski.

Syn Wincentego, urodzony w Brodach w roku 1797. Szkoły w Zbarażu, w Czerniowcach, później w Krzemieńcu. W roku 1818. przeniósł się do Warszawy, gdzie był (przez krótki czas) nauczycielem małego Zygmunta Krasińskiego. W roku 1823. powołany do Krzemieńca na profesora języka i literatury polskiej (po śmierci Felińskiego), zostawał tam aż do zamknięcia liceum wołyńskiego. Następnie był profesorem języka łacińskiego i historyi w uniwersytecie kijowskim, skąd przeniesiono go do Charkowa na dyrektora gimnazyum. W roku 1846. powrócił do Warszawy; został wkrótce wizytatorem szkół. W roku 1861. przy nowej ich organizacyi przez margr. Wielopolskiego, został dyrektorem wydziału w komisyi wyznań i oświecenia. Umarł w Dreźnie, w podróży do kąpiel dla poratowania zdrowia, 17. września 1863. roku.

Zawód pisarski Korzeniowskiego obejmuje dwa kierunki: dramatyczny i powieściowy.

Pierwszy był wcześniejszym. Po kilku młodzieńczych próbach (n. p. Aniela, Klara, Piękna kobieta) w roku 1830. wyszedł jego Mnich. Jest to fragment tragedyi o Bolesławie Śmiałym. Bolesław już w Ossyackim klasztorze, szarpany między skruchą a tęsknotą za władzą i koroną, nakreślony jest z pewną dramatyczną siłą; wiersz piękny. Rokował on nadzieje, jakich późniejsze utwory Korzeniowskiego (słuszność każe wyznać) nie ziściły. Czy że nie czuł w sobie dość poetycznej wyobraźni i siły, czy dał się wprowadzić na inny tor przykładem współczesnych Francuzów, dość że zarzucił Korzeniowski wielką tragedyę (raz tylko jeszcze powrócił do niej w Andrzeju Batorym, ale bez świetnego skutku) — a przerzucił się na pole potocznego, domowego dramatu i komedyi. Do pierwszego zachęciło go może wielkie podówczas (nietrwałe) powodzenie Alexandra Dumasa lub Fryderyka Soulié: przynajmniej można tak wnosić z treści małych dramatów, takich jak Piąty akt, Okno na pierwszem piętrze, których kolizye wypływają z małżeńskich stosunków i nieporozumień. Komedye znowu, ze swoim charakterem potocznym, codziennym, bardziej realistycznym niż u Moliera i jego następców albo u Fredry, należą do tego typu, jaki między rokiem 1830. a 1850. cieszył się wielką wziętością, a reprezentowany był przez Eugeniusza Scribe. Dramata i komedye Korzeniowskiego miały tę niezaprzeczoną zasługę, że teatrom dostarczały sztuk coraz nowych, tworzyły zapas sztuk polskich, a od komedyi dawniejszych (z wyjątkiem Fredry, ma się rozumieć) były znacznie lepsze. Wszelako czy w smutnym

czy w wesołym rodzaju, pierwiastku dramatycznego w nich wiele niema. W dramatach bywają czasem sytuacye bardzo zawikłane, ale akcyi z małymi wyjątkami niema: w komedyach znajdzie się czasem obserwacya, humor, ale rzadziej *vis comica*. W jednych jak w drugich figury (zwłaszcza szlachetne, zamierzone na poetyczne, a przynajmniej sympatyczne) są stereotypowe i martwe. W komedyach prócz tego, nauka moralna zamiast przemawiać do widza wprost ze sztuki samej, dawana mu jest w dość ciężkich przemowach działających osób. Dyalog zaś jest często nienaturalny: osoby mówią takim językiem, jakżeby pisały książkę, a nie jakżeby swobodnie rozmawiały. Z takich dramatów najżywszym, najbardziej wzruszającym i przez sytuacyę i przez osoby są Karpaccy Górale, rzecz osnuta na prawdziwem zdarzeniu. W Żydach są niektóre typy dobrze uchwycone i skreślone: nieszczęściem, zdrożności lub śmieszności przedstawione są z taką przesadą, że tracą charakter prawdy, a cnoty przemawiają tonem płaczliwym i kaznodziejskim, ale współczucia nie budzą dosyć. W komedyach z potocznego towarzyskiego życia, figury podrzędne, uboczne, miewają nieraz fizyognomię i życie: głównym zwykle na nich zbywa. Akcyi zazwyczaj mało, nawet w tych, które jak Młoda wdowa albo Wąsy i Peruka w swoim czasie najwięcej miały sławy i powodzenia. Z dawniejszych Doktor medycyny, z późniejszych Podróżomania mają najwięcej może humoru i życia.

Jeszcze za młodu pisywał Korzeniowski małe powiastki, ale w większych powieściach próbował się dopiero od roku 1846. Niektórzy żałowali, że poświęcił dla nich swój zawód dramatyczny (choć go nie zaniedbał zupełnie). Żal nieusprawiedliwiony. Właściwe Korzeniowskiemu przymioty miały w powieści więcej niż w dramacie lub komedyi pola do pokazania się, strony słabsze jego talentu na tem polu były mniej widoczne.

Jako pisarz powieści Korzeniowski ma wielkie zalety. Naprzód bardzo ładny, poprawny, staranny język; styl i sposób pisania żywy i przyjemny, który sprawia, że jego powieści czytają się zawsze z zajęciem, nawet kiedy są słabsze i mniej zajmują swoją treścią. Dalej, niema on wiele wyobraźni, ale ma bystry zmysł spostrzegawczy i dar trafnego żywego przedstawiania charakterów i typów. Zwłaszcza typy komiczne (w najrozmaitszych rodzajach) kreśli z humorem, nie bez ironii, ale bez złośliwości i żółci. Postaci i sceny z wiejskiego życia i obyczaju są nieraz bardzo zabawne, a zwykle pełne życia i ruchu. Czasem obrazki wcale wdzięczne ze spokojnego rodzinnego życia. Figury uboczne kreślone z humorem, i zbiorowe obyczajowe sceny lub obrazki, to zwykle strona najsilniejsza jego powieści; figury z zakrojem wyższym i szlachetniejszym udają mu się gorzej. Charakter miejscowy scen i okolic, w których powieść swoją mieści, oddaje Korzeniowski bardzo wiernie i ładnie: wieś czy miasteczko, dwór czy dworek, ze swoją ludnością, starzy ludzie od poważnych do głupich i śmiesznych, młodzi od sympatycznych do próżniaczych i gburowatych, rezydenci, guwernantki, słudzy, żydzi, to co stanowi tło powieści, maluje bardzo ładnie. Sam będąc człowiekiem usposobienia spokojnego i łagodnego, oddaje lepiej

sytuacye takiego rodzaju, niż zawikłane i ponure: te ostatnie najczęściej są przesadzone, a przez to zepsute.

Nauki moralne daje Korzeniowski zbyt wyraźnie; czasem zbytecznie pobłaża swoim bohaterom lub bohaterkom i sądzi łagodnie lub uniewinnia postępki niepiękne. Nie wynika to wszakże ze złego zamiaru autora, tylko raczej z pewnej nieuwagi. Ma on swoją własną filozofię życia, która mu każe zawsze i we wszystkiem trzymać się w mierze, dla zdrożności ludzkich być wyrozumiałym i pobłażliwym. Charakterystycznem jest, że ceni i zaleca najczęściej cnoty praktyczne, pracowitość, rządność, oszczędność, przezorność i t. p. Średnia miara dobrego, a wyrozumiałość na konieczne złe, to jest cecha jego stanowiska moralnego i obywatelskiego i dążność jego powieści.

Powieści wcześniejsze, Spekulant i Kollokacya, należą do najładniejszych. Późniejsze mają szerszy zakres, większą ilość postaci, akcyę bardziej zawikłaną; przez to robią więcej efektu, ale nie mają może więcej rzeczywistej wartości. Tadeusz Bezimienny i Garbaty mają z tych powieści późniejszych najwięcej może zalet i pięknych rozdziałów. Krewni, Wdowiec, Wędrówki oryginała, Stolnikowicz wołyński, uzupełniają szereg większych jego powieści.

W latach, kiedy najwięksi pisarze byli za granicą, kiedy cenzura nie dopuszczała rozwoju piśmiennictwa w kraju, powieść miała to znaczenie i tę zasługę, że utrzymywała ciągłość i życie literatury w kraju. Korzeniowski utrzymywał je i przez powieść i przez swoje sztuki teatralne. W obu kierunkach oznaczał on postęp. Pomiędzy prozaikami polskimi swego czasu należy do najlepszych; gdyby nie małe niedbałości (jak zdarzające się wyrazy przyswojone z francuskiego zamiast polskich) możnaby go nazwać wzorowym. W historyi zaś polskiej powieści i sztuki dramatycznej ma miejsce i pamięć zapewnioną na zawsze.

MNICH.

Tragedya w trzech aktach.

Aktu I scena 1.

(Miejsce przed wnijściem do klasztoru, przy którym wielkie drzewa i kilka mogił, przyłożonych kamieniami. — Adalbert, młody zakonnik, siedzi na jednej mogile; Wacław wychodzi śpiesznie z klasztoru, nie postrzegając Adalberta).

Adalbert. Ojcze Wacławie, dokądże tak śpieszysz?
Wacław. Dawnoż tu siedzisz, bracie Adalbercie?
Adalbert. Już od godziny patrzę na te góry.
Wacław. Samotność zgubna stęsknionemu sercu.
Adalbert. Ta ciężka suknia na nią mię skazuje.

Wacław. Przecież ta suknia lżejsza niźli zbroja.
O! nie znasz stanu, do którego tęsknisz:
Lepsze tu życie. Niema tu uciechy,
Lecz niema smutku: tu nie zerwiesz kwiatu,
Ale i cierniem ręki nie skaleczysz.
Uwierz młodzieńcze, co ci mówi stary,
I stań się mądry cudzem doświadczeniem.
Adalbert. Proszę cię, przestań; jużeś mię przekonał.
Wacław. Nieszczerze mówisz.
Adalbert. Pewnie coś lepszego
Masz do zrobienia. Życie nasze krótkie,
Śmierć zawsze prędsza niźli pilność ludzka;
Nie trać więc czasu.
Wacław. W poręś mi przypomniał.
W którąż się stronę udał ów przychodzień?
Adalbert *(niedbale)*. Tą ścieżką poszedł.
Wacław. Pewnie ku tej skale,
Skąd czasem mierzy, jak głęboka przepaść.
Dziwny to człowiek! Próżno trudzę głowę,
Bym doszedł, skąd jest? czemu tu przebywa?
To tylko jawnie widzę, że daremnie
Światowe żądze ubrał w mniszy kaptur;
Niema na czole jego poświęcenia
Ni w jego sercu ciszy zakonnika.
Adalbert. Serce człowieka jest to ciemna głębia:
Zbyt trudno dojrzeć, co jej dno ukrywa.
Wacław. Roztropnie mówisz, lubię ja twój rozum;
Ale tem bardziej smutek twój naganiam.
Adalbert. Zostaw mi smutek, ma on swe powaby;
Większej nagany warta twa ciekawość.
Wacław. Ciekawość? jakto?
Adalbert *(powstając)*. Chodzisz za człowiekiem,
Który unika ludzi; śledzisz wszędzie
Nieszczęśliwego, dla którego może
Samotna chwila jest największem dobrem.
Widziałem nawet, że go podsłuchujesz,
Gdy mówi z sobą, kiedy w zapomnieniu
Głuchym urwiskom troski swe powierza.
Bracie Wacławie, to niedobrze. Pókiś
Broń w ręku nosił i na czatach stawał,
Póty ci wolno było słuch zaostrzać
Na słowa drugich; pótyś był powinien
Śledzić twym wzrokiem chytrość nieprzyjaciół;
Dziś, w tem odzieniu, patrz na siebie tylko
I słuchaj mowy serca, czy nie grzeszna.
Wacław. Gdyby ciekawość wiodła mię, nie przeczę,
Przestrogi twojej nie mógłbym odrzucać!

Ale się mylisz. Śledzę go, to prawda,
Lecz sama litość za nim iść mi każe.
Nieraz krok śmiały niesie go w te miejsca,
Do których żaden zwierz nie dostępuje;
Widzę go często na urwiskach, gdzieby
Orzeł się gnieździć nie śmiał. Idę za nim,
Bym go ostrzegał o niebezpieczeństwie.
Sługa Chrystusa, tego tylko żądam,
By się czyn dobry spełnił, nie zważając,
Jakie mu źródło kto naznacza, jak mi
Dobra chęć moja odpłacona będzie.
Nie zważam nawet, czyli wart przysługi,
Komu ją chętnie w szczerej myśli świadczę.

Adalbert. Czemużby nie był godzien?

Wacław. Jabym sądził,
Że on wart raczej kary, niż litości.

Adalbert. Czyliż nie widzisz, jak jest nieszczęśliwym?

Wacław. Zbyt jeszcześ młody i nie umiesz patrzeć.

Adalbert. Wielkie nieszczęścia biły w głowę jego,
Ślad ich widoczny.

Wacław. Powiedz raczej, bracie,
Wielkie występki ciężą w jego duszy,
A sąd twój pewnie sprawiedliwszy będzie.
Już miesiąc prawie u nas przesiaduje;
Jeszcze w świątyni nie był, dotąd jeszcze
Nie zgiął kolana przed ołtarzem Pańskim.
Cóż go wstrzymuje, jeśli nie sumienie?
Jeżeli nie ta bojaźń złego sługi,
Który obraził ciężko swego pana?
Niema tak ostrej skały, tak dzikiego
Miejsca wśród lasów i przepaści naszych,
W któremby nie był. Jeśli kiedy siądzie
W ciemnym zakącie i, oparłszy głowę
Na dłoni swojej, w myślach się zatopi:
Chwila to krótka; zrywa się, ucieka,
Jakby duch jaki chwytał go za piersi.
Cóż go tak pędzi, jeśli nie sumienie?
Znam ja się na tem. Nieszczęśliwy lubi
Sercu bliźniego troski swe powierzać;
Zmienność fortuny wstydu nie przynosi,
Szuka więc ludzi, kto litości żąda.
Lecz kto im nie śmie piersi swych otworzyć,
Znak to niedobry; czuje, że mu trzeba
Bać się ich sądu. — Ale zapomniałem,
Pocom tu przyszedł. Słońce się zapuszcza:
Mogę go dzisiaj wcale już nie znaleść.
Bądź mi zdrów, bracie!

Adalbert. Miej szczęśliwą drogę.

Wacław *(wracając)*. Lecz jeszcze słowo! Za przestrogę, którą
Mi dałeś, przyjmijże wzajemnie moją.
Masz rozum, ale nie sądź zbyt porywczo
I, pókiś młody, nie ucz nigdy starszych. *(Odchodzi)*.
Adalbert. Znam ja cię dobrze! W to ustronie święte,
Nie samą szczerość przyniosłeś ze świata.

Scena 2.

(Przeor wychodzi zwolna z klasztoru. Adalbert zbliża się do niego z uszanowaniem).

Przeor. Zawsze twe czoło smutne, Adalbercie!
Adalbert. Wieczór przynosi smutek i dumanie.
Przeor. I jam też wyszedł, bym mu się przypatrzył;
I wierz mi, nigdy on mnie nie zasmuca.
Jak złoty ranek, tak rumiany wieczór,
Radość mi daje, wlewa podziwienie;
Jużem go stokroć widział na tych górach,
Dziękując Bogu, że mi w tej zaciszy
I żyć pozwolił i swą chwałę głosić.
Adalbert. Ojcze! podzielam podziwienie twoje;
Lecz nie dziękuję Bogu, że tu jestem.
Przeor. Znam ja, mój synu, twoje chęci. Młoda
Myśl twoja rada z naszych gór zstępuje.
Ciekawość ciągnie cię w ród ludzi; chciałbyś
Poznać ich trudy, szczęście ich i chwałę.
Adalbert. Czytasz w mem sercu.
Przeor. Potłum te żądania;
Zamroź ten potok, póki w kroplach spada.
Musisz szanować w twego ojca woli
Wolę twojego Boga i ulegać
Skromnie i cicho prawom tego stanu,
Który ci kiedyś, jak mnie, miłym będzie.
Adalbert. Nie będzie nigdy, daruj mej szczerości!
Żal mię uciska, gdy nad sobą myślę;
Czemże tu jestem? mogęż się tu poznać
Lub się dowiedzieć, czylim zły, czy dobry?
Czym wart szacunku swego, czy pogardy? —
Puść mię stąd, ojcze! Niechaj się doświadczę.
Bóg mi dał siły, które marnie pójdą,
Jak plenne ziarna, jeśli tu zostanę;
Ciebie przeznaczył, abyś jak ów prorok,
Klęcząc na górze, ręce miał ku niebu:
Mnie zaś, inaczej praw swych bronić kazał.
Przeor. Pojmuję myśl twą; ale wierz mi! lata
Ujmą ci ognia i pokażą prawdę.
Chwała i laury piękne są w nadziei;
Lecz otrzymane, nie ogrzeją serca,

Jak obraz słońca w lodach tych odbity.
Z słów twych postrzegam, że nie długo głos mój
Wstrzymać cię zdoła; że bez doświadczenia
Rzucisz się na świat.

Adalbert. Mógłżem go tu nabyć?

Przeor. Tu ci, mój synu, było niepotrzebne:
Ale wśród ludzi każdy krok twój będzie
Krokiem ślepoty, gdy bez niego stąpisz.

Adalbert. Świat uczy życia, życie mądrość daje.

Przeor. Prawda, lecz możeszże przewidzieć dzisiaj,
Jak drogo ziemia to światło ci przeda?
Przybliż się, synu! czyś się ty przypatrzył
Życiu przychodnia, co tu ma przytułek?
Z kilku słów, które wyrzekł, gdy mię prosił,
By się mógł schronić w murach Osyaku,
Wniosłem, że także kiedyś był żołnierzem.
Za całą chwałę, którą mógł się okryć,
Nie chciałbym w sobie serca jego nosić.
Może w młodości był, jak ty, szlachetnym
I jak ty, pragnął chwały i honorów.
Zbyt śliska droga na ten szczyt prowadzi!
Często pod wieńcem, co ma być nagrodą,
Wąż jadowity leży i ciasnymi
Skręty niebaczne serce obwiązuje.
Nie wychodź z portu, do którego później,
Po wielu burzach, z zamąconą duszą,
Z cierniami w piersiach mógłbyś i ty wrócić.

Adalbert. Wzruszasz mię, ojcze, lecz nie przekonywasz!

Scena 3.

(Ciż. — Wacław wchodzi pomieszany).

Przeor. Cóż ci się stało? czegożeś tak pobladł?

Wacław. Szanowny ojcze! nigdybym nie wierzył,
Gdyby me własne oczy nie widziały.

Przeor. O czem chcesz mówić?

Wacław. Pozwól niech odetchnę.
W ślady przychodnia tego szedłem: sama
Litość mnie za nim często wyprowadza.
Wkrótcem go ujrzał na tej niebezpiecznej
Skale, co ostrą głowę swoją zwiesza
Nad Sławoboja przepaść. Stał i patrzał
W dno jej, złomami wieków najeżone:
Wstrząsłem się cały, skorom go obaczył.
Chciałem zawołać, tchu mi brakło: on zaś
Oboją ręką w piersi uderzając,
Schylił się, zachwiał — byłby upadł.

Przeor. Przebóg!

Wacław. Niespodziewanie jakaś dziwna postać
Stanęła przy nim. Na jej białej sukni
Widziałem ślady krwi; w swej ręce miała
Coś nakształt berła, jakie w uroczystych
Obrzędach zwykli mieć pasterze nasi.
Po chwili znikła: on, czy oswojony,
Czy jej nie postrzegł, stał bez ruchu, potem
Wzniósł oczy w górę i tak śmiało, jakby
Po drodze setną nogą udeptanej,
Zstąpił. — Lecz patrzcie! oto już powraca!

(Mnich nieznajomy przechodzi zakryty między drzewami i gubi się za klasztorem; wszyscy milczą, póki nie przeszedł).

Przeor *(po chwili)*. Mamże dać wiarę, coś mi tu powiedział?
Wacław. Ojcze mój! jużem stary i nie długo
Przed Bogiem stanę.
Przeor. W jego ręku cuda!
On może zamknąć przepaść przed grzesznikiem,
By mu zostawił porę do pokuty.
Obraz człowieka tego z myśli mojej
Ustąpić nie chce. Z tego, com sam widział,
Com teraz słyszał, wnoszę, iż to wielki
I znakomity zbrodniarz; jego rysy,
Jego wspaniałe czoło, które marszczą
Ciężkie zgryzoty, jego chód i postać
Świadczą, że kiedyś musiał stać wysoko;
Przytomność jego staje mi się przykrą.
W to święte miejsce modłów i pokoju
Wprowadził trwogę i ciekawość. Radbym,
Żeby już odszedł z Bogiem tam, skąd przybył.
Wacław. Rządca klasztoru tego, możesz przed nim
Tę bramę zamknąć.
Przeor. Tego nie uczynię.
Na cóż jesteśmy w tem zdziczałem miejscu?
Tu kwiat nie wschodzi, w tych się skałach żaden
Ptak nie zagnieżdża, zboże tu nie rośnie:
Ledwie mech nagie głazy przyodziewa
I smutne jodły w chmurach się zielenią.
Tu jest granica życia; tu nas ręka
Wszechmocna karmi, byśmy nieszczęśliwym,
Gdy ich przygoda na te szczyty wpędzi,
Podali kawał chleba, udzielili
Dachu przeciwko wichrom i przemocy.
Wacław. Lecz taki zbrodniarz!
Adalbert. Wieszże, co uczynił?
Wacław. Nie wiem, lecz może plamy jego ręki
Łzyby całego życia nie obmyły.

Przeor. Cokolwiek zrobił, niech zostanie. Dom nasz
Otworem stoi nawet dla występku,
Który się z niebem jedna: ale powiedz,
Niktże z was nie wie, kto on jest? skąd przybył?
Wacław. Któżby do niego zbliżyć się ośmielił?
Odkąd tu mieszka, żadnem jeszcze słowem
Nie zdradził głosu swego; nadaremnie
Chciałby kto w głębi duszy jego czytać.
Dzikiem spojrzeniem, wprawnem do rozkazów,
Niszczy ciekawość, grozą przerażając:
Wśród cichej nocy, kiedy każde oko
We śnie się nurza, on się jeden błąka
Po kurytarzach, wzdycha, czasem staje,
Otwiera wąskie okno i śpiewania
Puszczyka słucha. Mówią nawet bracia,
Że ktoś z nim chodzi krok za krokiem, mówi
Posępnym głosem, grozi, upomina;
Raz go znaleźli pode drzwiami celi:
Twarzą ku ziemi, bez pamięci leżał.
Przeor. Wszechmocny Panie! bądź mu litościwym!

(Patrząc na dół).

Cóż to za rycerz do nas się przybliża?
Adalbert. Z krzyżem na piersiach! O mój ojcze! pozwól,
Bym go powitał! *(Wybiega uradowany).*
Przeor. Jak pośpiesza. Żal mi
Tego młodzieńca. Widzę, że napróżno
Surowy ojciec wygnał go ze świata;
Ta suknia sercu jego nie przystoi,
Pod twardą stalą wolniejby oddychał.
Wacław. I jam był takim.
Przeor. Ale gość nasz, widzę,
Z trudnością wspina się na górę naszą;
Musi być synem równin.
Wacław. Już niemłody
I ciężka zbroja gniecie go do ziemi:
Radbym już wiedzieć, po co tu przybywa,
I słyszeć, co nam o swych czynach powie.
Przeor. Zbyt lubisz wojny.
Wacław. Wzrosłem wśród obozów.
Przeor. Sługą pokoju jesteś.
Wacław. Dawne chęci
Wracają czasem.

Rycerz przybyły (Śreniawita), powiernik niegdyś i doradca Bolesława Śmiałego, opowiada dzieje tego nieszczęśliwego króla i pyta Przeora, czy też nie ukrywa się w okolicy klasztoru jaki tajemniczy pokutnik. Przeor zabiera Śreniawitę ze sobą, ażeby z nim o tem pomówić.

Scena 5.

(Mnich nieznajomy wchodzi z przeciwnej strony i postrzega odchodzącego za Przeorem Śreniawitę).

Mnich nieznajomy. Cóżto za żołnierz? ta mi postać znana!
Podobny szyszak, takiesame pióra
Były przy boku moim, gdym przed laty
Mieczem pradziada w Złotą bramę godził.
Cóżby tu robił? po co by tu przyszedł?
Nie do mnie pewnie, o mnie świat zapomniał!
Dawnom nie widział hełmu i pancerza;
I na ich widok dziwnem się wzruszeniem
Przejęty czuję. Jeszczeżbym miał w sobie
Iskrę zapału? mogłażby się jeszcze
W płomień rozniecić pod żelazem, które
Kolebką było moich lat dziecinnych?
Nie, nie, nie, nigdy! — z krwawej dłoni mojej
Wymknął się oręż, berło wyśliznęło:
Przeklętej głowy mojej nie odzieje
Hełm i korona. Kij żebraczy, kaptur,
Podłe łachmany, to szkarłaty moje!

(Siada na kamieniu, zakrywając twarz).

Scena 6.

(Mnich, Wacław i Adalbert zbliżają się. Słychać dzwonek).

Wacław. Pójdźmy już, bracia, dzwonek na nas woła!

(Postrzega Mnicha).

Otóż on, patrzaj! Zimno mię przejmuje,
Jak gdybym ducha tego przy nim widział.
Zbliż się doń, bracie, ostrzeż, że już późno.
Adalbert. Ty sam to uczyń; wszakżeś dosyć często
Przez samą litość nawykł go ostrzegać.
Wacław. Nie śmiem.
Adalbert. Żołnierzu!
Wacław. Śmiałym tylko z ludźmi.
Adalbert. Nie byłem z tobą; ale mi się zdaje,
Że ci i w bitwach duchy się zjawiały.

(Zbliża się do Mnicha).

Mnich *(porywa się)*. Czego chcesz?
Adalbert. Chciałem cię ostrzec, że późno:
Wejdź do klasztoru, wkrótce furtę zamkną.
Mnich. Żaden odźwierny jaskiń nie zamyka;
Jest ich tu wiele i znam do nich drogę.
Adalbert. Kamień zanadto twardem jest posłaniem.
Mnich. Gdy dusza nie śpi, każde łoże twarde.

Adalbert. Stroskana dusza niech pociechy szuka
Pod dachem ludzkim i w przyjaznych piersiach.
Mnich. Kogo pocieszyć jeszcze ludzie mogą,
Nie jest zupełnie nieszczęśliwym.
Wacław. Źle jest,
Że od nas stronisz.
Mnich *(patrząc nań surowo)*. Bom niektórych poznał.
Wacław. Boisz się raczej, byś poznanym nie był.
Mnich. Zuchwały mnichu! kto ci to powiedział?
Czegoś się wpatrzył? co jest w twarzy mojej,
Coby ciekawość twoją obudzało?
Zawsze cię widzę tuż przy sobie, jakobyś
Cieniem był moim. Zostaw mnie, niech nigdy
W śladach mej stopy noga twa nie staje.
Tego wymagam, drugi raz bezkarnie
Przestrogi takiej z ust mych nie usłyszysz!
(Odchodzi w bok klasztoru).
Adalbert. Wierz mi, mój bracie, człowiek ten nie nawykł
Daremnie grozić.
Wacław. Niech mu Bóg wybaczy,
Że tak źle dobre chęci moje płaci.
Gdy porównywam, co nam rycerz mówił,
Z życiem i słowy jego, widzę jawnie,
Z jakim człowiekiem mamy do czynienia.
Czy się domyślasz?
Adalbert. Czego się domyślam,
Nie mówię nigdy, bo się mylić mogę. *(Odchodzi)*.
Wacław *(sam)*. Teraz rycerza tego radbym znaleść:
Ja go podobno z wszystkich braci moich
Najlepiej przyjmę; bo wiadomość dobra
Czekającemu jest najmilszą ucztą.

Kiedy Śreniawita w Mnichu nieznajomym domyśla się Bolesława, przybywa do tegosamego klasztoru (akt II) ksiądz, przez biskupa wysłany, z klątwą na króla wygnańca. Zebranym w celi Przeora mnichom ogłosił ksiądz wyrok biskupa, a gdy wszyscy zwrócili się do nieznajomego Mnicha, żądając, ażeby odkrył, kim jest, on wolał raczej opuścić klasztor, niż odsłonić swą tajemnicę. Lecz w chwili wyjścia jego z celi zachodzi mu drogę Śreniawita, a poznawszy go, wita go jako swego króla.

Odtąd ukrywa się Mnich w odległej grocie skalnej (akt III), a na nowo w sercu jego obudzona nienawiść ku Śreniawicie, który niegdyś był jego doradcą i pomocnikiem, a teraz odkrył przed światem jego tajemnicę, odbiera mu spokój i udaremnia pokutę. Tutajto przybywa do niego Śreniawita, ażeby wybłagać u niego dla siebie przebaczenie. Zrazu niewzruszony jest Bolesław, ale duch św. Stanisława wzywa go, ażeby mu przebaczył. Słucha tego głosu król wygnaniec i przebacza Śreniawicie — a wtedy Bóg i jemu odpuszcza winę: Bolesław umiera spokojnie u stopni ołtarza.

Z powieści p. n. „Kollokacya“.

Wizyta z sąsiedztwa.

Pan Płachta był jednym z zamożniejszych obywateli w Czaplińcach. Miał on tam blisko siedmdziesiąt dusz, najlepszą część sianożęci, najdogodniej położone grunta, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Płachta był w młodości swojej totumfackim w jednym z możnych domów na Wołyniu i przywykł do tego, co nazywał *comme il faut* i o co starał się we wszystkiem. Zaczął od wzięcia żony *comme il faut*. Była to kobieta bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów *à Madame la Comtesse Płachcina;* do męża nie mówiła inaczej jak *Monsieur Płachta,* imitując jedną z dam, która wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykuły *en* i *y,* które pasyami lubiła. *En voulez vous du café, Monsieur Jacob?* mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który ją często odwiedzał. Pan Jakób był *comme il faut;* bywał u pani Włodzimierzowej Podziemskiej, grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał nie źle Te brzóz kilka i inne piosnki. Oprócz pana Płachty i pani Płachciny były jeszcze dwie panny Płachcianki, Zenobia i Kryspina, które matka zawsze z francuska nazywała *Zenobie* i *Crispinie.* Ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionem swojem *comme il faut,* dodawał *Medmozele Zenobi* i *Kryspin;* a pan Jakób nazywał je *Biniu* i *Piniu.* Były to panienki młode i nieszpetne, ale ich edukacya i maniery, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Płachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Płachcie dostał się przy kollokacyi dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkiemi jego przyległościami. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obory w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej cząstce utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy, wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowana; — resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Płachta osądził, że jest *comme il faut* mieć kilkanaście pokojów

i obszerną zagrodę, chociaż mu ciekło za kołnierz, chociaż często panny Płachcianki musiały z łóżeczkami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi. W toalecie państwa Płachtów i panien Płachcianek był tensam charakter zdartej i zszarzanej komilfowości. Pani Płachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii, jak w berecie z piórami; ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materyi, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiały się na jej głowie, i porobił szczerby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakóba dającej jej postać królowej. Panny Płachcianki występowały także w materyalnych sukienkach, robionych na kogo innego i branych na kredyt w tandetnym składzie Szlomy; w trzewiczkach materyalnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki dziurawe na piętach, w perłach z fermoarem ciężko bronzowym; w kwiatkach, na których kurz dawny grubą legł warstwą i dawał różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paznogci w febrze.

Państwo Płachtowie mieli także lokaja, z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon — bo jakże może być dom *comme il faut* bez galonowej liberyi? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hryćka we fraku nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie — zszarzana elegancya, popaczone mahoniowe forniry, podziurawione i wypłowiałe obicia, łatane dywaniki, i t. d.

Otóż w takim to domu, 17. października, w dzień św. Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości, nie tylko wszystkich czaplinieckich kollokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Płachta w cynamonowym fraku, z długiemi, ale wąziutkiemi połami, w granatowych szarawarkach; podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Nie wielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zimny, zaczął obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przestawiał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zostawiając po kątach. Niemało także miał roboty, nim wazonkami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frendzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i industryi panny Zenobii, już były zrobione

przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Płachta, nastrzępił bardziej *comme il faut*, i symetryczniej świece poustawiał. Sporą trzaskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał — a obejrzawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonemi skórkami z jabłek. Zadyszany i spotniały Żorż zwijał się jak mucha w ukropie i ciągle dawał szturchańce stajennemu chłopakowi, który przybrany w jakiś odwieczny frak pana Płachty, z zachowaniem jednak swoich chłopskich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorżowi.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych — czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale zato na szyi zwijał się w przeźroczystą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy. Pani Płachcina rzuciła przymrużonemi oczami wokoło, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przypłaszczonego i podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu, a poprawiając jeszcze beret na głowie, rzekła:

— *Eh bien Monsieur*, czy już wszystko gotowe?

— Już, już. A co? *comme il faut*, nie prawdaż?

— Tak, odpowiedziała, wszystko to twoje starania, *Monsieur* Płachta, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dałem lat temu...

— *Monsieur!* — przerwała obrażona pani Płachcina i starając się wyrazowi temu dać intonacyę, jaką mu dawała ta pani, co niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię.

Zaśmiał się pan Płachta, podłożył obie ręce pod poły fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę w górę i, nachylając się, pocałował żonę w ramię.

— Ale gdzież to nasze nimfy? zapytał potem.

— Zaraz się ukażą, odpowiedziała pani Płachcina, a uchyliwszy cokolwiek drzwi, zawołała: Zenobie, Crispine, *en venez vous ou non?*

— *Nous y venons*, *maman*, *toute de suite* — odezwały się po francusku. Bo zacna pani Płachcina, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także swoją znajomość francuskiego języka. Katowały go one jak mogły w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle i rozumiały się doskonale. Pan Płachta, który nic nie rozumiał, pysznił się, że miał tak *comme il faut* żonę i córki.

Wyszły nareszcie panny Płachcianki w odpowiednim uroczystości stroju — zaczęli się też zjeżdżać i schodzić goście.

Wszedł naprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już nie młody, z ogromną facyatą, posianą brodawkami, z nosem zaczerwienionym, w szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w ręku. Wąsy wielkie i gęste przykrywały zwierzchnią wargę, a czupryna dość nisko przycięta posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, bo zresztą był człowiek dobry. Posunął się staroświeckim susem do ręki pani Płachciny, wypalił odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobię i pannę Kryspinę. Obok niego była pani Birucka, mała, chuda, ale najeżonym czepkiem i wielkiemi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej ręku, jeszcze jednak wlókł się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, swej najmilszej sąsiadce, bo cierpieć jej nie mogła — co jej ta ostatnia z całego serca odpłacała. Panny Płachcianki przywitały się także zimno z pannami Biruckiemi i widać było, że nieporozumienia matek przelały się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz jak sroczki i lubiły się wzajemnie — ale później oziębiły się zupełnie sąsiedzkie stosunki i tylko panowie utrzymywali jeszcze pozorną zgodę.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajechała bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześcioro małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wyglądała jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niej wylazła ta czuła para i z całem swem pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się niezwykły ruch i wrzawa. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno powinszowanie solenizantce — dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie ucierać nosków, nie chciały się rozbierać i wołały »do domu«; a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to i owo. Matka zażenowana, piskliwym głosem zwoływała je; a panna Zenobia bojąc się o swoje frendzelki przy świecach, które już jeden malec począł skubać, usuwała je nieznacznie. Nowo przybyły był to pan Bartłomiej Skrętski z żoną Placydą, którą zawsze nazywał przez pieszczoty P l a c u s i u. Sąsiad dalszy pana Płachty, żadnych z nim nie miał zatargów; to tylko zarzucał mu nasz gospodarz, że mieć taką zgrają dzieci nie było wcale *comme il faut*. Weszli potem i dwaj inni sąsiedzi, pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Tym sposobem dopełniała się kompania;

schodzili się ubożsi i możniejsi sąsiedzi, mający po dwóch i po trzech chłopów, ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku. Zjawiały się i panie w perkalikowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewiczkach, z białemi chustkami na szyi.

Ale pani Płachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Płachcianki co moment także przecierały okno chusteczką. Pani Płachcina oczekiwała pana Jakóba, a pan Płachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich. Pan Remigiusz grał dobrze na skrzypcach i obiecał je przywieść z sobą, a pan Paweł akompaniował mu zwykle na klarynecie. Zajechała wreszcie żółta bryczka na dwóch resorach — i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypcami, owiniętemi czerwoną chustką do nosa, drugi z klarynetem, także czerwoną chustką okręconym, razem z niej wyskoczyli i wszedłszy do pokoju, winszowali solenizantce i witali zebranych gości.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała dawać kawę. Panna Zenobia wraz z siostrą stanęły obie przy stoliku nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwalili zręczność, to sprzeciwiali się żartami, wykradali cukier z filiżanek, trącali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne równie miłe i dowcipne robili figliki — za to wszystko odbierali to uśmiech znaczący, to łyżeczką po rękach, to kilku kroplami śmietanki zręcznie ciśnionemi po twarzy.

Wśród podawania kawy, które musiało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle ile gości, pani Płachcina lekko się podniosła, a wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około 40; był średniego wzrostu i chudy. Czarny frak dawnego kroju zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce, grubo i dosyć wolno okręcona, szła pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe uśmiechały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód; a że miał sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobny był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na

tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub, z tylnych włosów naczesany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapał muzyczny psotę mu wyrządzał, bo gdy pan Jakób, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę w tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony. Wszyscy prawie krzyknęli: A! pan Jakób! pan Jakób! Widząc się tak pożądanym, Orfeusz Czaplinieckí przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak, że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękki kastorowy kapelusz, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i ową stronę, i tak witał kompanię.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuję — rzekł pan Jakób, przechodząc koło panienek, a chociaż go nie zatrzymywały, rzekł:

Lecz puśćcie mię do mamuni,
Ażebym w dzień jej imienia
Złożył u nóg jej życzenia —
A potem dacie kawuni.

A co? — dodał i, nie czekając, jaki efekt zrobi czterowiersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, które tak zakończył:

Dajże nam, Panie Boże,
Byśmy za rok o tej porze
Zeszli się na imieniny
Do Lucyny, do Lucyny.

A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tym razem wszyscy huknęli brawo.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki i gospodarz ukazał się z butelką. Pan Jakób wystąpił naprzód i improwizował. Mężczyźni wychylali kieliszki duszkiem, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Płachta, szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile go potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innem kompanię, a on pójdzie i zajmie się, aby pierogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane były *comme il faut*. Pani Płachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba, z przymileniem rzekła:

— *En voulez vous chanter quelque chose, Monsieur Jacob?*

— Cóż mam robić? — odpowiedział artysta, ulegając niby gwałtowi, i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Płachcianki uradowane

zaczęły klaskać rękami i postawiły krzesełko na środku pokoju. Pan Jakób usiadł na swojem miejscu i założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary — a nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, po krótkiem preludyum zaśpiewał: »Te brzóz kilka, ten bieg wody« i t. d.

Ale pierogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapał — i gdy się na stole ukazały, każdy ruszył się do półmiska, a dzieci pani Placydy wołały: pierożki! pierożki!

Gdy stół wreszcie sprzątnięto, panny Płachcianki przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły jak mogły najwdzięczniej i spojrzały najwymowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowscy tę niemą prośbę — grali, młodzież tańczyła, pan Skrętski wywijał także z solenizantką. Pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie. Żorż zmęczony stał przy drzwiach, oparłszy się o ścianę. A pan Płachta, patrząc na ten ruch i symetryę, cieszył się w duchu, że wszystko odbywało się *comme il faut.*

Michał Wiszniewski.

Urodzony w Firlejowie (w Galicyi) r. 1794. Szkoły we Lwowie, później w Krzemieńcu; nauki uniwersyteckie za granicą, głównie w Edynburgu. Przykładał się szczególnie do filozofii i po powrocie powołany był na profesora logiki w Krzemieńcu. Niedługo wszakże tam zostawał. Po powtórnej podróży za granicę osiadł na wsi (na Wołyniu) i gospodarował. Ale powołany na profesora uniwersytetu do Krakowa, przeniósł się tu i wykładał zrazu historyę powszechną, potem literaturę powszechną, a wkońcu i najdłużej literaturę polską. Praca nad tą ostatnią była dopiero w zarodzie. Książka Bętkowskiego była jedyną całością, jedynym ciągiem dziejów piśmiennictwa, a była właściwie tylko inwentarzem autorów i dzieł. Wiszniewski zabrał się do swego przedmiotu z prawdziwem naukowem jego zrozumieniem i z niepospolitą zdolnością. Zmienił też i podniósł całe stanowisko swojej nauki w Polsce. Z wielką skrzętnością w poszukiwaniach, z ciekawością i sumiennością badacza, który żadnego szczegółu nie chce pominąć, łączył on umysł bystry i żywy, zdolny odkrycia swoje organicznie łączyć, objaśniać i oceniać. Jego Historya literatury, założona na wielkie rozmiary, dla tej obszerności swojej, dla ogromu pracy nie została skończoną; ale jest dotąd jedynem u nas dziełem, które przekracza zakres historyi literatury, a staje się niemal historyą oświaty. Organizacya i stan wychowania od najdawniejszych czasów, dzieje każdej nauki z osobna, biblioteki, drukarnie, związki uczonych lub poetów, sztuki piękne, wszystko to obejmuje Wiszniewski, a na tem tle dopiero podaje dokładne, na źródłach oparte wiadomości o pisarzach, których prawie zawsze charakteryzuje i ocenia trafnie.

Przy takich zaletach mniej znaczą usterki jego dzieła, takie jak powtarzanie się, zbyteczna rozwlekłość niektórych ustępów, niekonieczna potrzeba innych, i podobne. Dzieło to podstawne, bez którego do dziś dnia nauka ta obejść się nie może, wychodziło tomami od roku 1840. do 1857., ale tych tomów siedm tylko wydał autor sam; dochodzi w nich do końca XVI wieku. Wmieszany mimo swojej chęci w wypadki krakowskie roku 1846., napróżno usiłujący utrzymać porządek a przeszkodzić złym skutkom, zniechęcił się i w rok później wyniósł się z kraju do Włoch. Ostatnie tomy Literatury (czasy Zygmunta III) wydawali z jego rękopismów i notat, często niewykończonych, inni. We Włoszech założył dom bankowy (w Genui), na którym zrazu powodziło mu się dobrze, ale wkońcu poniósł ciężkie straty i bank swój zwinął. Umarł w Nizzy, r. 1865. Oprócz Historyi literatury zostawił po sobie z czasu swoich studyów filozoficznych Bakona metoda tłómaczenia natury, i Charaktery rozumów ludzkich, skreślone z niemałą bystrością i dowcipem. Z ostatniego okresu jego życia zostało dzieło p. t. Podróż do Włoch, Sycylii i Malty.

Z Historyi literatury polskiej tomu II rozdz. 11.

Historya architektury, malarstwa, rzeźbiarstwa i muzyki za Piastów.

W czasach przedchrześciańskich w całej Słowiańszczyźnie i w Polsce murowanych świątyń nie było. Potem kościoły chrześciańskie na miejscu pogańskich budować zaczęto; i tak klasztor Lubuski na Szląsku i kościół Świętokrzyski w Sandomierskiem stoją na posadzie dawnych bożnic słowiańskich.

W Polsce Piastowskiej była granica, przedzielająca architekturę gotycką od bizantyńskiej. Przed Bugiem i Sanem ostre kąty, wysmukłe kolumny, wieże jak strzały; za temi rzekami okrągławe, niekiedy złociste kopuły. Tu już budowano z ciosu i cegły, tam jeszcze z drzewa, dawnym obyczajem Słowian. W Polsce za Piastów kwitła architektura germańska czyli, jak zwykle zowiemy, gotycka. Z 65 kościołów, które Kraków w połowie XVII wieku liczył, najpiękniejsze gmachy gotyckie za Piastów zbudowano.

Germanowie, wpadając w granice państwa rzymskiego, burzyli z obojętnością wspaniałe świątynie i gmachy rzymskie, które byli Rzymianom Grecy nabudowali; zostawszy panami zachodniej cesarstwa połowy, dali im niszczeć i upadać przez niewiadomość i opieszałość. W pierwszych pięciu wiekach po osiedleniu się za Renem i w Italii, poczęli się budować, lecz stawiane przez nich

gmachy ciemne i ciasne, wewnątrz ze wszystkich ozdób obrane, tylko schronienie dawały. Atoli w wiekach średnich, podobnie jak w starożytności, ze wszystkich sztuk pięknych naprzód architektura kwitnąć poczęła; bizantyńscy architekci nie dawali jeszcze upadać swojemu kunsztowi; nie dorównywając starożytnym, piękne dosyć wznosili gmachy i okrągłe sklepienia wiązać umieli. Już historycznie wywiedziono wpływ architektury bizantyńskiej na arabską, na Wschodzie i w Hiszpanii; nie podlega też wątpliwości, iż arabska i bizantyńska przyczyniły się razem do wzrostu germańskiej w zachodniej Europie najwięcej dostarczaniem kamieniarzy, murarzy i innych biegłych rzemieślników; — a wzniosła myśl, przebijająca się w gmachach gotyckich, wypłynęła z duszy, chrystyanizmem w przyszłość porwanej. Szczególniej wieże, starożytnym niemal całkiem nieznane, mają ścisły z religią chrześciańską związek i są jej dziełem. Może atoli być, że wieże podobnie jak dzwony pochodzą z Indyi. Architektura gotycka powstała w X wieku u narodu germańskiego, który najlepiej starożytnych plemienia swego obyczajów dochował, to jest u Anglo-Sasów. Już roku 1130. w opactwie świętokrzyskiem w Winczester były ostre sklepienia. Cechy przyczyniły się do jej wzrostu, a towarzystwo murarskie, zawiązane w Yorku 926. r., było wzorem późniejszych cechów z mistrzów i czeladników, którzy we wszystkich krajach wschodniej Europy po San i Bug wspaniałe gotyckie gmachy budowali.

W pierwszych wiekach zaprowadzenia chrześciaństwa w zachodniej Europie, mnisi budowali kościoły, a poddani zamki, pod okiem jakiego biegłego w budownictwie mistrza. Po zawiązaniu cechu murarskiego, architektura wyszła z opieki duchownych, podobnie jak nauki po zaprowadzeniu uniwersytetów. Lecz jako scholastyka tylko w obrębie wyobrażeń kościoła chrześciańskiego krążyła, podobnież towarzystwo murarskie budowało świątynie pod wpływem duchownych. Architektura gotycka zakwitła w wiekach przewagi papieżów, a w XIII wieku wzniosła się do największej doskonałości, równie w Niemczech, północnej Francyi i Anglii, jak i w Polsce. W XIII wieku zbudowano kościół strasburski, fryburski i koloński i najpiękniejszy z polskich, gotycki kościół Panny Maryi w Krakowie. Rozpoczął go Iwo Odrowąż r. 1226., a dokończył Wierzynek za Kazimierza W. w XIV wieku. Wewnętrzna cudowna harmonia, której nawet nabudowane później ołtarze, innej zupełnie a niewłaściwej architektury, zepsuć nie mogły, zachwyca i w zadziwienie wprawia patrzącego, zwłaszcza gdy zachodzące słońce, przez

malowane przejrzawszy okna, na tę wspaniałą budowę różnobarwne rozrzuci światło. Nieznany nam jest architekt tego kościoła; i w Niemczech tylko jednego Erwina ze Steinbachu, który budował strasburski kościół, imię się zachowało.

Zewnątrz atoli kościół Maryacki nie może iść w porównanie z kościołem strasburskim, kolońskim lub westminsterskim, w których ogrom i wysokość równie zdziwia, jak filigranowa robota, na którą kunszt wysilił się. Całość tu mocne czyni wrażenie, a na przepatrzenie szczegółów nieskończonego potrzebaby czasu. Wysokie sklepienie, ostre kąty, będące przeciągnieniem okien i drzwi, wysmukłe kolumny, zuchwale wznoszące się pod niebiosa, i przeźroczyste wieże, gzymsy, przykrycie i kolumny, wieżyczkami, posągami i plecionką z liści obficie przyozdobione, przebijająca się wszędzie chęć wzniesienia się ku niebu, wieże do nieba myśl prowadzące, rozlegający się z nich poważny i dźwięczny głos dzwonów — wznieca w duszy uczucie pobożne i serdeczną skruchę. Wysokie nader okna malowane, przytłumione wewnątrz światło kolorami szyb, poważnie płynący głos organów — napełniały serce chrześcian uczuciem i porywały myśl do wielkiej przyszłości. Tak dusza, znękana i otrętwiała scholastyczną filozofią, wśród tych świątyń do wyższych podnosiła się uczuć i myśli, a kunszt wzniecał w duszy ludzkiej uczucia, które fałszywa nauka była stłumiła. Trudno o drugi takiego wpływu sztuk pięknych na duszę ludzką przykład w historyi kształcenia się ludzi.

W początku XI wieku, kiedy znikła obawa końca świata, którego się w tysiąc lat po narodzeniu Chrystusa spodziewano w całej Europie, a mianowicie we Włoszech i we Francyi, zaczęto budować kościoły katedralne. Gorliwość budowania, szczególniej na chwałę Matki Boskiej, szerzyła się w wieku św. Bernarda; wówczas i architektura właściwej sobie cechy nabierać poczęła, a w XIII wieku do najwyższej wzniosła się doskonałości. W Anglii, Francyi, Niemczech i Włoszech zawiązały się bractwa z panów i ubogich, z młodzieży, starców i niewiast, które najtrudniejsze roboty w głębokiem milczeniu podejmywały. W czasie odpoczynku tylko westchnienia do Boga Rodzicielki, głośna spowiedź lub modlitwy rozlegały się. Wszyscy pokorę i posłuszeństwo dla prowadzącego budowę księdza ślubować musieli. W uroczystej procesyi, z chorągwiami rozwiniętemi, za danym znakiem ciągnęli ogromne ciosy przez góry i trudne drogi, lub prowadzili drzewo, wapno, zboże, oliwę i inne rzeczy, do życia lub budowy potrzebne. To naprzód zdarzyło się

przy budowaniu kościoła Panny Maryi w Orleanie, a wkrótce w całej Normandyi.

Czyli takowa gorliwość i u nas w czasie budowania kościołów Maryackich powstała, nie znajduję wyraźnej wzmianki; lecz domyślać się można, iż n. p. kościół Maryacki w Krakowie, nie samego Iwona Odrowąża kosztem stanął. Podobnego atoli zwyczaju ślady zachowały się w Przemyskiem. Lud okoliczny, a nawet i z Węgier, idąc do Kalwaryi klasztoru OO. Franciszkanów nad rzeką Wiar, za pierwszem zoczeniem wieży kościelnej, bierze kamień i ten aż na miejsce zanosi; kupy narzucanych pobożną ręką kamieni koło tego kościoła znajdują się.

Przypatrując się gotyckim świątyniom w Anglii, Francyi, Niemczech i Polsce, od XII do XV wieku pobudowanym, zadziwia nas piękność, symetrya i jednostajność nawet w najdrobniejszych i najbardziej ukrytych częściach. Ta więc architektura w chwili dojrzałości nie była owocem imaginacyi swobodnie sobie bujającej, ale systematem dziwnie mocno złożonym i spojonym szczelnie; na tych świątyniach mamy ślad niezawodny, iż budowali je ludzie jeden cech składający, którzy się między sobą żmudną nauką i długą pracą kształcili. Ten cech musiał mieć mistrzów swoich i uczniów, swoje prawa zwyczajowe i swoich nauczycieli. Jak się zaś ten cech wędrownych murarzy po całej Europie rozszerzał i kiedy przybył do Polski, już dziś historycznie skreślić nie podobna. Wielka atoli liczba kościołów w ogólnych rysach i szczegółach tak mocno do siebie podobnych dowodzi, iż musiały być jednostajne prawidła i powszechna szkoła, w której architekci, mechanicy i murarze kształcili się. Te nauki, ten system kształcenia architektów wędrownych został li podany na piśmie? Możemyż postępu architektury, któremu w gmachach z takiem podziwieniem przypatrujemy się, dowieść i okazać pismami?.

Bynajmniej. Architektura gotycka była w czasie kwitnącym tajemnicą jednego cechu, którego pamięć zachowała się do nowych czasów w tajemnicach wolnych mularzy. O architekturze więc gotyckiej nic nie pisano w tych właśnie wiekach, kiedy ona we wspaniałych gmachach najpiękniej się rozwijała. Nic nie masz trudniejszego, jak opis kunsztów i rzemiosł; i dziś jeszcze język nie może wypowiedzieć wszystkiego, co przemyślna ręka zrobić potrafi. Ledwie dziś, po wydoskonaleniu geometryi wykreślnej, opisy architektury gotyckiej zrobić się dadzą. W XII i XIII wieku, złotym architektury gotyckiej, nigdzie jeszcze o niej nie pisano. Ci wielcy

architekci gotyckich świątyń żadnego o swoim kunszcie nie zostawili pisma, nawet w zachodniej Europie. Ich wielkie pomysły prosty kamieniarz i murarz wykonywał. Ciemny rzemieślnik korzystał z najdowcipniejszych w mechanice wynalazków geniuszu. Te więc świątynie są jedynym, ale wymownym pomnikiem gotyckiej, nie ujętej pismem architektury; są ciosaną w kamieniu poezyą wieków średnich i ich nagrobkiem; bo gdy już pieśni trubadurów, truwerów, minnesengerów i polsko-słowiańskie przebrzmiały, gdy pobożność serdeczna i duch rycerski upadły, murarze jęli kować w kamieniu oblicze i podobieństwo wieku, który już zamierał i ku wielkiej odmianie nachylał się.

W pierwszych wiekach zaprowadzenia wiary chrześciańskiej w Polsce do XII wieku, podobnie jak na Rusi i w Niemczech za Ottonów, panowała architektura bizantyńska czyli grecka. O Wojskim, architekcie Mieczysława I, którego tenże zaraz po przyjęciu wiary chrześciańskiej miał wysłać do Włoch dla przypatrzenia się świątyniom, który miał się wsławić w Europie i był Krakowianinem, nic pewnego powiedzieć nie umiem.

Pod Gnieznem miał być kościół św. Jerzego budownictwa greckiego, a w gnieźnieńskim kościele były malowidła greckie.

W Krakowie najdawniejszy był kościół słowiański na Kleparzu, a po nim kościół św. Wojciecha na rynku krakowskim, oba zbudowane za Bolesława Chrobrego. Tenże król na Łysej górze dał zmurować kościół obyczajem Greków. W wieku XI Władysław Herman zbudował kościółek św. Idziego w Krakowie, założył kościół katedralny na Zamku i Karmelitów na Piasku. Roku 1097. za Władysława Hermana odbudowano powtórnie kościół gnieźnieński. Piotr Dunin siedmdziesiąt kościołów po różnych stronach Polski w XII wieku zbudował. Jaxa z Miechowa, herbu Gryf, z matki wnuk sławnego Piotra Dunina, rycerz polski z rodu książąt serbskich pochodzący, wróciwszy z Ziemi Świętej, dokąd z Henrykiem księciem sandomierskim i lubelskim na krucyatę r. 1159. ze znacznym pocztem ludzi zbrojnych był się wyprawił, zbudował w r. 1181. kościół św. Augustyna czyli Norbertanek, na Zwierzyńcu koło Krakowa, który w połowie XVII wieku przerobiono. Kościół św. Krzyża w Krakowie ze sklepieniem, wspartem na jednym cienkim filarze, tudzież kościoły św. Andrzeja, św. Jana, św. Floryana i podobno kościół św. Michała, zbudowano w XII wieku. Żaden z tych kościołów krakowskich nie odznacza się ani wielkością ani pięknością

architektury. Wreszcie wszystkie w późniejszych wiekach kilkakrotnie przebudowywane i zmieniane bywały.

Najwspanialsze gotyckie świątynie w Krakowie stanęły w XIII i XIV wieku, kiedy się już w Niemczech architektura gotycka do największej doskonałości podniosła. Z XIII wieku posiada Kraków kościół katedralny na Zamku, odbudowany po strasznym pożarze r. 1320.; kościół św. Trójcy, Dominikanów, kościół Maryacki, św. Barbary, św. Franciszka i św. Marka zbudowane przez Bolesława Wstydliwego. W XIV wieku Kazimierz W. zbudował wspaniały gotycki kościół św. Katarzyny i Bożego Ciała dla kanoników regularnych laterańskich.

Prócz kościołów budowano już za Piastów zamki, na przepaścistych górach i urwiskach, jak np. zamek krakowski na Wawelu, który Bolesław Wstydliwy zbudował był z drzewa r. 1265., a który gdy się spalił, Kazimierz W. dał go zmurować; Czorsztyn, Pieniny, Lanckorona i zamek Melsztyński, wiszący nad Dunajcem, o pięć mil od Tarnowa; zbudował go Jaśko z Melsztyna, syn Spicymira Leliwity w r. 1330., z którego teraz jedna pozostała baszta. W budowaniu zamków, podobnie jak kościołów, zapatrywano się na sąsiednich Niemców, których zamki znamy dziś dokładnie z pieśni. Wyraz komnaty, jeszcze w XVI wieku u nas używany, jest wyraz wieków średnich górno-niemiecki, i znaczył tam mieszkanie niewiast. Z tego domyślać się można, iż i w wewnętrznem urządzeniu mieszkań sąsiednich Niemców naśladowano; do czego pierwszy popęd mogli dać szląscy Piastowie, którzy się wcześnie z Niemcami wiązali.

W Polsce aż do XIV wieku zamki, wcale nieobszerne, były drewniane i nie murem, ale ostrokołem otoczone. Dopiero Kazimierz Wielki, mający upodobanie w budownictwie, zwiedził Prusy, gdzie wówczas wielki mistrz Winrych Kniprode piękne gmachy stawiał, wiele zamków, zwłaszcza w południowej Polsce, namurował i basztami umocnił. W ogólności po Piotrze Duninie Kazimierz Wielki najwięcej kościołów i zamków nabudował. W zamkach brama niska bywała przy wieży, albo między dwiema niższemi wieżami, jakich jeszcze ślady przy północnej bramie zamku krakowskiego widzimy. Sklepienie bramy bywało załamane; zaraz z bramy wychodząc, most zwodzony. Mury mieszkań idących naokoło ozdabiano cegłą polewaną w szachownicę. Dachówka różnokolorowa z daleka błyszczała. Do obszernej sali szło się wschodami, zewnątrz przyczepionymi; w tej sali szły dębowe naokoło ławy, ściany bywały pokryte

kobiercami, szyby w oknach nie były rzeczą powszechną. Strop drewniany z wyrzynanemi belkami podparty był rzędem takichże słupów. Po obu stronach sali wchodziło się do komnat. W grubych murach były framugi, w których panie siadywać lubiły i tam odzież dla mężów szyły i przędły. W wieżach na górze były komnaty, a na dole pod ziemią więzienia, tak, iż mieszkaniec komnat słyszał westchnienia swych więźniów. Strzelnicami szło się do górnych izb na wieży. Strażnica była to wieża wysoka, zwykle nad urwiskiem lub na skale zbudowana, mająca drzwi znacznie od ziemi podniesione; przystawione tu wschody w czasie trwogi zdejmowano, a wtenczas windą tylko na strażnicę można się było dostać. W lochu tej wieży była studnia, u dołu kuchnia; resztę na więzienia obracano. Kaplica zawsze była obrócona na wschód. Wszystkie budowy, wszystkie drzwi były niskie, mieszkania ciemne.

Historya nasza zachowała nam nazwiska dwóch polskich architektów: Oktawiana Wolcnera, krakowianina, który około roku 1150. budował co do murów i kamieniarstwa kościół Wszystkich Świętych w Wiedniu, dzisiejszy kościół św. Szczepana — i ks. Wacława z Tenczyna, który był synem Andrzeja z Tenczyna, wojewody krakowskiego, i żył za Kazimierza Wielkiego, co miał budować nowy zamek we Włodzimierzu na Wołyniu, na co ten król był 600 grzywien przeznaczył.

Kościoły budowane za Piastów zachowały się do naszych czasów; zamki i domy poniszczały; z domu dość skromnego, który sobie Kazimierz Wielki zbudował w Łobzowie, tylko kawałek muru pozostał. Lecz architektury wiejskiej ślad zachował się może w dworkach wiejskich szlacheckich, które mają właściwe sobie rysy, w żadnym innym kraju nieznane. Może to będzie jedyna architektura prawdziwie polska, która dziś znika, gdy każdy chciałby mieszkać w pałacu greckim; a pamięć tej zaniedbanej, nie dostrzeżonej przez rodaków architektury, ochronił w drzeworycie Anglik Laudon w swojej historyi agronomii. Czyli tak i za Piastów budowano, któż o tem z pewnością dowiedzieć się może? zwłaszcza, że te domy, obyczajem słowiańskim z drzewa, choć najczęściej modrzewiowego budowane, czas i ogień pożarły. Ale że tak być mogło, domyślać się można przynajmniej z tego, iż budownictwo wiejskie tak, jak wszystko na wsi, nie tak łatwo się zmienia. Cokolwiekbądź, jeszcze podobno w ziemi sanockiej, na Zmudzi i po innych miejscach ustronnych, na takie natrafić można dworki, które godniejsze są rysunku i litografii, niż pałacyki niby greckie,

które przypominają ową rzeczkę Krasickiego, co chciałaby płynąć, ale bez wody nie może.

Słowianie dla swoich bohaterów i książąt z ziemi pomniki sypali, jak między innemi świadczą mogiły Krakusa, jedna na Lasocie pod Krakowem, a druga pod Krakuszowicami niedaleko Bochni. Gdyby nawet te mogiły i z innych zupełnie sypane były powodów, jak chce Chodakowski, zawsze są owych wieków pomnikiem.

Najsławniejsze bożyszcza słowiańskie były drewniane, ale olbrzymiej wielkości. Drobniejsze bogi robili z kruszcu, wtykali na żerdzie i tak na wojnie nosili. Świątynie ciemne i ciasne były rzeźbą i malowaniem ozdobione, mianowicie zewnątrz.

Za Piastów chrześciańskich kwitły już w Polsce sztuki piękne. Gallus powiada, iż po śmierci Mieczysława, syna Bolesława Szczodrego, młodzieńca pełnego nadziei, sztukmistrze nawet i inni rzemieślnicy robotę rzucili.

W Wiślicy, jednem z najdawniejszych miast polskich, stał jeszcze za czasów Baszkona kamień, na którym były wyryte romansowe dzieje Heligundy i Walkierza.

W jednej kaplicy katedry poznańskiej były obrazy króla Przemysława i królowej, które w roku 1371. rozwalona od piorunu wieża zniszczyła. Kazimierz Wielki darował do biblioteki kapituły krakowskiej *decretalium liber,* na którego pierwszej stronnicy była miniatura tego króla jeszcze młodego, z gołym mieczem w ręku.

W aktach radzieckich Krakowa z XIV wieku, znajdujemy często o malarzach wzmiankę. I tak z roku 1397. czytamy umowę malarza Mikołaja przed urzędem radzieckim o malowanie sklepienia w kościele Panny Maryi.

Kazimierz Wielki przyozdobił kościoły i gmachy w zamkach sztukateryą i malowidłami. Kościoła katedralnego cały strop gwiazdami złotemi na dnie błękitnem, z czego dotąd tylko strop w kaplicy św. Krzyża zachował się, nadto zamek krakowski malowidłami przyozdobił i groby królów polskich w Poznaniu, w ziemi zapadłe, podniósł i odświeżył.

Jeszcze dziś z lubością patrzymy na malowidła w pozostałych trzech oknach kościoła Panny Maryi w Krakowie. Te okna wyobrażają szczegóły pisma św.; na jednem widać jakby na wysokości niebios wyrażone wszystkie cuda i tajemnice żywota Chrystusowego; na drugiem zmartwychwstanie Zbawiciela świata, objawienie się uczniom, Wniebowstąpienie i t. d.; na trzeciem smutek i boleść Matki Zbawiciela aż do jej Wniebowzięcia. Jedenaście takich okien

za Kazimierza Wielkiego robionych, przetrwało panowanie Jagiełłów i trzech Zygmuntów. Z czasów Bolesława Chrobrego tylko drzwi miedziane w katedrze gnieźnieńskiej się zachowały. Drzwi te zabrał był Chrobry z Kijowa i niemi kościół gnieźnieński przyozdobił. Podług niektórych, Rusini te podwoje greckiej roboty zdobyli w Chersonie, gdzie było wiele kościołów greckich. Tadeusz Czacki rozumiał, iż na nich wyobrażona jest historya męczeństwa św. Wojciecha.

Z pomników snycerstwa i rzeźby niewiele z czasów Piastowskich posiadamy. Trzech Piastów, Bolesława Kędzierzawego, Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego (od roku 1173.—1227.) pomniki zniszczały roku 1306., kiedy kościół katedralny na Zamku krakowskim aż po ziemię zgorzał. Z pomnika jakiegoś Władysława, wodza z familii Piastów, który umarł na dziesięć lat przed Bolesławem Wstydliwym, tylko wierzch w kościele Franciszkanów widzimy.

Najdawniejszy pomnik jest Władysława Łokietka.

»Idąc od drzwi skarbca kościelnego, mówi ks. Franciszek Salezy Jezierski, najpierwej spotykają oczy grobowiec Władysława Łokietka, niegładko wyrobiony posąg w znak leży; oznacza pamiątkę pogrzebu i pokładu tego monarchy; niezgrabny sposób wyrobionego nagrobka, dla tegosamego, że brzydkim jest, pięknym zostaje: bo jest szczerym zakładem prostoty owego wieku. Stanąwszy nad tym grobem, przyszła mi na pamięć osnowa wszystkich przypadków tego króla; był on synem Kazimierza, kujawskiego księcia, wnukiem Konrada Mazowieckiego, książęcia, prawnukiem Kazimierza Sprawiedliwego, a praprawnukiem Bolesława Krzywoustego. Spadkiem krwi należało mu się królestwo, otrzymał je i pisał się dziedzicem polskim; stałość jego serca i dzielność umysłu, zdaje się, że zmordowała niestateczną w odmianach fortunę, trzy razy wyzuty z tronu, trzy razy do niego powrócił; doznał on śliskiej przychylności osób ujętych dobrodziejstwami swojemi; nieszczęścia przyuczyły go do odwagi i męstwa, uczyniły mu poufałość tyle razy z niebezpieczeństwem, otworzyły mu oczy na poznanie charakteru swoich Polaków i na poznanie swoich własnych przywar. Pamiątką jego męstwa jest zwycięstwo otrzymane pod Płowcami«.

Kazimierza W. pomnik, z marmuru czerwonego w stronie przeciwnej postawiony, wyobraża tego króla leżącego; w twarzy zachowano podobieństwo, jak świadczy Długosz.

Hanko, młynarz z Brześcia, i drugi młynarz, byli nader biegli w sztuce strzelniczej i r. 1376. z Władysławem, księciem gniewkowskim, działami ognistemi bronili Złotoryi.

Muzyka była od dawna ulubioną słowiańskich ludów zabawą, namiętnością; a ta do muzyki skłonność przeżyła w Czechach różne koleje losów i wieków. I Polacy w muzyce kochali się. Gallus powiada, że po śmierci Bolesława Chrobrego po gospodach nie odzywały się lutnie w czasie żałoby. Anna Gedyminówna, żona Kazimierza Wielkiego, tak polubiła polską muzykę, iż gdy jechała konno czy w kolebce, zawsze ją poprzedzała huczna muzyka i śpiewacy. Wreszcie muzyka kościelna na wzór włoskiej kształciła się.

August Bielowski.

Urodzony w roku 1806. (w Krechowicach, w obw. stryjskim). Szkoły w Buczaczu i w Stanisławowie, uniwersytet we Lwowie. Zawód pisarski zaczął od poezyi (jak prawie wszyscy w tych czasach), oryginalnych i tłómaczonych. W roku 1830. poszedł na wojnę i odbył ją chlubnie. Po powrocie, z kilku przyjaciółmi (Lucyan Siemieński, Goszczyński, Magnuszewski, Józef Borkowski) usiłował obudzić życie umysłowe w Galicyi. Wydaje Noworocznik Ziewonię, a w nielicznych i skromnych pismach peryodycznych ogłasza swoje prace (zawsze jeszcze poetyczne). Z tych najważniejszą jest piękny przekład Wyprawy Igora na Połowców. Własna Pieśń o Henryku Pobożnym, rapsod rycerski, mniej się udała. Ale te poemata z pierwotnych czasów, zwróciły jego myśl do początkowych dziejów Polski, które stopniowo stawały się głównym przedmiotem jego zajęcia. Obudził się w nim zmysł i popęd badawczy, historyczny, namiętne pragnienie wykrycia pierwotnych zawiązków Polski, jej dziejów i stosunków. Owocem tego zwrotu i długiej mozolnej pracy, był Wstęp krytyczny do dziejów Polski (1856). Hypotezy, jakie Bielowski stawiał w tem dziele, zbite były przez późniejszą krytykę historyczną polską i zagraniczną: ale miało ono tę zasługę i ten dobry skutek, że dało przykład i pochop do badań i poszukiwań, przez to do rozjaśnienia naszych początkowych dziejów, a autora samego zbogaciło ogromnym zasobem wiadomości, które mu posłużyły do dalszych prac niepożytej wartości.

Z tych najważniejszą było wydawnictwo Monumenta Poloniae historica (tom pierwszy w roku 1864.). Jest to tylko wydanie dawnych źródeł; ale porównania wszystkich tekstów, krytyka ich, a zwłaszcza objaśnienia i dowodzenia w przypisach, sprawiają, że Monumenta nie są prostem tylko wydaniem, ale wielkiem dziełem krytyki historycznej, które znajomość dziejów zrobiło nie tylko przystępniejszą, ale ją bardzo znacznie powiększyło i posunęło. (Tom drugi wyszedł 1869., trzeci był na ukończeniu, kiedy Bielowski umarł).

Praca ta ogromna nie przeszkadzała innym. Urzędnik Biblioteki Ossolińskich we Lwowie od roku 1844., później jej kustosz, a wkońcu dyrektor, zajmował się gorliwie nie tylko sprawami zakładu, ale jego znaczeniem i stanowiskiem w naukowym świecie. Wydawał ważne dla historyi i literatury rękopisma Zakładu i pismo peryodyczne Biblioteka Ossolińskich, w którem wychodziły jego bardzo cenne rozprawy. Dla poezyi nigdy nie obojętny, wydał nigdy przedtem niedrukowane wiersze Szymonowicza i napisał jego jedyny całkowity i dokładny żywot. Przy założeniu Akademii umiejętności powołany na jej członka, był przewodniczącym lwowskiego grona jej komisyi historycznej i prowadził wydawnictwa tego grona. Umarł nagle (we Lwowie) 12. października 1876.

Bielowski (podobnie jak Lelewel) był więcej badaczem aniżeli historykiem, ale jako badacz był po Lelewelu jednym z najuczeńszych i najpoważniejszych. Główna jego hypoteza o początkach Polski okazała się mylną, ale niemniej praca jego przyniosła wiele nowych odkryć i wiadomości, dała popęd następcom, utwierdziła kierunek krytyczny badań historycznych, a jemu samemu zrobiła u swoich i obcych bardzo poważne stanowisko. »Znano go wszędzie, pisze Szujski, jako głównego »badacza najstarszej naszej historyi; a do tej pracy wiodły go pobudki »najgorętszych uczuć narodowych. Zasadził on na niej nie tylko chlubę »swoją, ale i chlubę swojej ojczyzny, a prowadził ją z prawdziwą ofiarnością i poświęceniem. Górował nad współczesnymi jako pomnik epoki »ubiegłej, przewodził im jako przedstawiciel dążeń dzisiejszych«.

W rozbudzeniu, utrzymaniu i podniesieniu życia umysłowego, naukowego i narodowego w Galicyi między rokiem 1830. a 1850., kiedy ono było i bardzo zaniedbanem i bardzo do uprawiania trudnem, rola Bielowskiego i jego zasługa była jedną z największych.

Wyprawa Igora na Połowców.

(W skróceniu).

Treść pieśni.

Igor Światosławicz, książę Siewiersko-Nowogrodzki, postanowił w roku 1185. wraz z trzema krewnymi książętami zrobić wyprawę na głównych podówczas wrogów Rusi, Połowców, bez wiedzy i pomocy starszych i potężniejszych książąt ruskich. Umówione książęta łączą swoje siły i wyruszają. Pojawiają im się różne złowieszcze znamiona; ale bez względu na nie uderzają na Połowców i rozpraszają ich. Zbierają się powtórnie Połowce w wielkich masach i otaczają Igora — trwa bitwa półtrzecia dnia i kończy się zupełną klęską Rusi. Igor dostaje się w niewolę, z której się ratuje ucieczką. Radość Rusi z powrotu Igora.

Bracia! nie pięknież piać staremi słowy
Trudne o pułku Igora powieści?
A więc pocznijmy pieśń, wedle osnowy
Zdarzeń, nie zmyśleń bojańskiemi tory:

Bo wieszczy Bojan, jeśli k' czyjej cześci
Pieśń tworzył, myślą uganiał przez bory;
Wilk ziemią, w wiatrach. orzeł chyżopióry.
Jeśli bój spomniał, w lot dziesięć sokołów
Puszczał na stado łabędzi — a wtedy
Poczesną pieśnią pierwszy zabrzmiał połów;
W on czas Jarosław stary, Mścisław chrobry,
Co pośród pułków kazogskich, Rededy
Dziryt twardemi wskróś przepędził ziobry,
I krasny Roman w pierwszych brzmieli rzędzie.
Lecz nie sokołów na stada łabędzie
Bojan, o bracia! wypuszczał ku walce,
Jeno na struny kładł swe wieszcze palce,
A sławą książąt żywe brzmiały strony.
Nuże wdzięcznymi przebiegnijmy tony
Od Włodzimierza ku Igora czasom,
Co podniósł um swój sławą rozogniony,
Poostrzył serca wojennym zapasom;
Nadstawił ducha i z pułki chrobremi
Szedł na Połowcach mścić krzywd ruskiej ziemi.
I spojrzał Igor ku słońcu — tumany
Zaćmiły wojsko; i rzekł do drużyny:
Lżej być pociętym, niż dźwigać kajdany —
Na koń, o bracia! wnet ujrzym Don siny.
Chęć sławy, umu krępując mu władze,
Złowieszcze znamię zakryła źrenicy.
I rzekł: Don wielki taborem przesadzę,
Pokruszę kopie w Połowców dzielnicy;
Z tobą, o Rusi! poddam moją szyję
Pod miecz — lub hełmem wielki Don wypiję...
Bojanie! czasów ubiegłych słowiku,
Obyś piał pułk ten, skacząc między wrzosy
Jak słowik, umem latałbyś w niebiosy.
Dzisiejszej sławy wiążąc strony obie
Tobie wznieść było w trop Trojana — tobie
Piać o Igorze, jego plemienniku.
Nie burza niesie sokoły w głąb stepu,
Stadami kawek wielki ćmisz się Donie!
Bojanie wieszczy, krwi Welesa szczepu!
Piać ci to było. Za Sułą rżą konie
I trąbią trąby w murach Nowogroda;
Kijew brzmi sławą, w Putywlu sztandary
Wieją i Igor czeka Wszewołoda.
I rzecze k' niemu Wszewołod, tur jary:
Bracie! światłości światła mi jedynie,
Krew Światosława w naszych żyłach płynie;
Igorze! siodłaj rącze konie twoje:
Moje już przodem w Kursku rżą na boje.

Kurszczanie moi w kres podążą szybko —
Trąby pieluchą, hełm był im kolebką,
Ostrze dzid jadło niosło im zwyczajne;
Znane im szlaki, jarugi nie tajne.
Napięte łuki wieczną strzałą świszczą;
Z otwartym tułem, z ostrą szablą k' cięciu,
Jak płowe wilki lecą w step, aż zyszczą
Wieczną cześć sobie, wieczną sławę księciu.
I wstąpił książę Igor w złote strzemię:
Mgły ćmią mu drogę, ptastwa wrzask złowieszczy
Noc rozbudziła, zwierz w łożyskach świszcze,
A z wierzchu drzewa straszne dziwo wrzeszczy,
Wrzaskiem rozbudza nieznajome ziemie:
A Wołga, Suła i dalekie morze,
Suroż i Korsuń i ty w rozhoworze
Tmutorokańskie wtórzysz mu bożyszcze!
Wonczas Połowcy nieznanymi ściegi
K' wielkiemu Donu w chyżym biegą pędzie;
Skrzypią północą idące telegi,
Rzekłbyś, że lecą rozpierzchłe łabędzie.
Igor k' Donowi młódź prowadzi męską,
A już się ptastwo przyszłą pasie klęską;
Wilk wyje groźno w jarugach ukryty,
Na żer się orły zwołują klekotem
I breszą lisy na czerwone szczyty.
W piątek, z jasnemi rozbudzony świty
Strzałami pierzchnął pułk Połowców zbity,
Gzak szarym wilkiem bieży przez pustynie,
Konczak k' Donowi tór mu ściele przodem.
Drugi dzień rano zorza krwawym wschodem
Świt wiodą, tucza w chmury się piętrząca
Ciągnie od morza zaćmić cztery słońca.
Drżą sine błyski, piorun po piorunie
Bije i z Donu strzałami deszcz lunie.
Tu trzeszczą kopie, tu ostrzem strzaskanem
O hełm Połowców szable gwizd wydały,
Nad wielkim Donem, u rzeki Kajały.
O ruska ziemio! tyś nie Szełomianem!
Stryboga wnuki, wiatry się zerwały
I na Ruś chrobrą z morza miecą strzały,
I tętni ziemia, mętne cieką rzeki,
Step ćmią tumany, sztandary bełkocą;
Od Donu, morza czarną ciągną nocą
Wrogi i ruskie obstępują szyki.
Biesowych dzieci wrzask pod niebo wzbity;
Ruś czerwonymi przegradza się szczyty.
Ty Wszewołodzie! turze rozbujały,
Stanąłeś wrogom murem, pryskasz strzały,

O hełmy mieczem grzmisz gęstymi grzmoty.
Gdzie tur poskoczy, gdzie hełm błyśnie złoty,
Leżą szeroko usłane po ziemi
Pocięte głowy z hełmy owarskiemi.
Takieto niegdy ścierały się mocy!
Lecz takiej wojny nie słyszano jeszcze:
Od rannych świtów do nocy, od nocy
Do świtu gęste strzał się leją deszcze;
Słychać grzmot szabel śród trzasku oszczepów
W dalekiej ziemi Połowieckich stepów.
A czarny obszar, końskiemi kopyty
Zorany, kośćmi zasiany, krwią zmyty,
Wydał dla Rusi plon bujny — niedolę...
Co za szum rano? co za dźwięk przez pole?
Igor zawraca pułki, żal go bodzie
Za tobą, miły bracie Wszewołodzie!
I dzień i drugi trwa pobój zajadły;
W trzecim sztandary wojsk Igora padły!
Tu się brat z bratem nad bystrą Kajałą
Żegna — krwawego wina im nie stało!
Skończyło ucztę chrobre ruskie plemię,
Poczciwszy wrogi, padło za swą ziemię!...
Żałosna trawa ziemią liść rozściela
I drzewo tęskne przekłania konary;
Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
Pustynia całe zaległa obszary —
W dziedzinie wnuków Dadżboga nieznana
Wszeszła dziewica na ziemię Trojana,
Niedola, w skrzydła plasnęła łabędzie,
A po kraj morza i u Donu rzeki
Ze snu mordercze zbudziły się wieki...
Ustał bój z wrogiem, a brat bratu w zrzędzie
Rzekł: i to moje, i to moje będzie!
I wszczęto wielką waśń dla rzeczy małej,
Swoi na swoich nieszczęścia kowały.
A tu poganin otwartemi drogi
Szedł w ruską ziemię siać mord i pożogi.
Rój ptaków sokoł popędził na morze,
Lecz pułku twego nie wskrzesi, Igorze!...
A ruskie żony płaczą: »W myśli tłumie
»Ani was zmyślić, ani zdumać w dumie,
»Ani żywemi oglądać oczyma —
»Niema was, męże! srebra, złota niema!«
I wysiadł Igor ze złotego siadła
W siadło Koszczeja — zachwiały się grody,
Znikło wesele, a przez snu zwierciadła
Światosław smutne oglądał przygody.

W Kijewie (rzecze) na górach, ze zmierzchem
W czarnym mię, bracia! kładliście ubiorze,
Kojąc mą żałość, na ciosowe łoże:
Poili winem z trucizną zmieszanem;
A wróżb pogańskich otwartym kołczanem
Na łono moje spadła perła wielka.
Siedzibo moja, wieżo z złotym wierzchem!
Sklepieniem twojem dziś deski bez belka!...
Wonczas Światosław złote słowo rzecze,
Zmieszane z łzami: o moi synowce!
Nadtoście wcześnie przypasali miecze;
Dla was zaszczyty, gromy na Połowce...
Byłżeby, bracia, dziw odmłodnieć starcu?
Wszak wyżej wzlata sokół, gdy się pierzy,
A biada, kto mu na gniazdo uderzy:
Ależ pomocy książąt mi potrzeba.
Wielki Wszewłodzie! szybkiej myśli loty
Bież wesprzeć ojców stolec szczerozłoty;
Tyś mocen Wołgę rozkropić w kropelki
Wiosły, a hełmy wyczerpać Don wielki.
Silny Ruryku z Dawidem twym bratem,
Tyś kąpał hełmy pośród krwi purpury?
Twojeż to pułki pocięte bułatem,
W nieznanych stepach ryczały jak tury?
Nużeno bracia! na koń skoczyć pora,
Za krzywdę wieku, za rany Igora,
Za ziemię ruską!
Książę ośmiozmysły,
Ty Jarosławie z Halicza! pod chmury
Zasiadłeś ojców stolec złotokuty,
Podparłeś pułki żelaznymi góry
Ugorskie; królom zastąpiłeś puty;
Dunaju jarzmisz niehamowne prądy,
Brzemiona ciszkasz przez obłoki, sądy
Po kres Dunaju od ciebie zawisły,
Grozy twe cieką szerokimi lądy.
Nuże Koszczeja, nuż strzelaj Konczaka.
Za ziemię ruską, za Igora rany!...
Głos Jarosławny słychać (rankiem w maju
Kukułka takiem kukaniem się żali):
Polecę (mówi) kukułką k' Dunaju,
Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
Otrę krew księciu i rany niedawne
Na skrzepłem ciele...
Słychać Jarosławnę,
Z wieżyc Putywla tak płacze zaraniem:
O wietrze, wietrze! czemu silnem wianiem

Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
Czem' miotasz strzały na lube mi woje?
Małożci jeszcze po gór bujać szczycie,
I chwiać korable po morza błękicie?
Czemuż wesele rozwiałeś mi dawne?
Z wieżyc Putywla słychać Jarosławnę:
O! Dnieprze, sławą ciekący po ziemi!
Skałyś Połowców przedarł prądy twemi;
Tyś Światosława korablów gromadę
Niósł na Kobiaka; wróć mi mego ładę!
Niech łza ku morzu nie płynie ustawna.
Z Putywla wieżyc płacze Jarosławna:
O! słońce trzykroć promienne i ciepłe,
Ożywiasz żywe, budzisz twory skrzepłe,
Zacóż z twych szlaków po podniebnym sklepie
Na lube woje ciskasz żar nieczuły?
Łuki w bezwodnym spaczyły im stepie
Żary, tęsknota zadławiła tuły...
Prysnęło morze w północ, ciągną zmory
We mgłach — książęciu bóg wskazuje tory
Z kraju Połowców do twego, Igorze,
Szczerozłotego stolca. Zgasły zorze,
Igor śpi — Igor budzi się; myśl wrząca
Przebiega przestwór od Donu do Dońca.
Koń o północy i Owlur za rzeką —
Świsnął: Owlura świst Igor rozumie —
Niema Igora! tylko gdzieś daleko,
Głucho klekoce ziemia, trawa szumi
I wież Połowców czernią się wyżyny.
A Igor skacze gronostajem w trzciny,
To biała kaczka falami potrąca,
To na koń skoczy, to z konia zeskoczy
I bosym wilkiem bieży k' łęgom Dońca,
To znowu sokół chmurą się obłoczy.
Gęsi, łabędzie bije dla posiłku
Rankiem, południem i o słońca schyłku.
Gdy Igor leci sokolimi loty,
Wlur zimne rosy trzęsąc wilkiem ciecze.
Padł mu koń rączy. Doniec księciu rzecze:
Sława ci, książę! wrogowi zgryzoty!...
Ucichły wrony, milczą kawek stada
I cicho sroka po łozach usiada,
Tylko wskazując put kują dzięcioły,
I ranny słowik począł hymn wesoły...
Światosławowych podziwiacz zapasów,
Bojan, wieszcz starych Jarosława czasów,
Rogańskiej Oldze temi śpiewał słowy:
Głowie krom barków, barkom kromia głowy,

Kromia Igora biada Rusi żyznej!
Słońce na niebo, Igor do ojczyzny
Wraca; tłum dziewic nad Dunajem śpiewa
I płyną pieśni morzem do Kijewa...

Żywot Szymona Szymonowica*).

(Lata szkolne).

Urodził się Szymon we Lwowie dnia 24. października r. 1558. z ojca Szymona i matki Katarzyny Śmieszkówny, a był jednem z młodszych dzieci swoich rodziców. Starszy brat jego miał imię Andrzej, a zajmował się kupiectwem; znane też są dwie siostry jego Dorota i Anna; pierwszą z nich pojął w małżeństwo Jerzy Sponer, drugą Piotr Rindfleisch z Wrocławia; trzecia nakoniec siostra jego, na imię Katarzyna, zaślubiona w r. 1578. Kasprowi Scholz, ławnikowi lwowskiemu, była najmłodsza w całem rodzeństwie. Niedawnym Lwowa mieszkańcem był jego ojciec; przybył on tu pod koniec pierwszej połowy wieku XVI z Brzezin, prawdopodobnie miasteczka w województwie rawskiem; a był to mąż uczony, pobierał niegdyś nauki w akademii krakowskiej, mistrz nauk wyzwolonych i filozofii, obznajomiony dokładnie z językiem greckim i łacińskim. We Lwowie pojął w małżeństwo pomienioną Katarzynę Śmieszkównę, która już była wdową po Zygmuncie Gajzlerze, kupcu i ławniku lwowskim, i matką kilkorga dzieci. W roku 1547. uzyskał lwowskie obywatelstwo, w następnym roku był ławnikiem, a w r. 1552. obrano go rajcą miejskim. W księgi ówczesne miejskie zapisano go według tej miejscowości, z której przybył, mianowicie jako Szymona z Brzezin; i tem też imieniem zowie go tak Bartłomiej Paprocki w herbarzu swoim, jakoteż niektórzy inni uczeni; powszechnie atoli zwano go tu nie inaczej, jak tylko Mistrzem-Szymonem; i według tego urabiano imię dla jego dzieci. Tak tedy starszy syn jego Andrzej jak i młodszy Szymon zwan był od ziomków swoich Szymonowic, t. j. Szymona syn, któreto imię poojcowskie chcąc wiernie oddać w języku obcym, nasi księża obrządku łacińskiego pisali w metrykach: *Andreas Simonides* i *Simon Simonides;* córki zaś zwano nawet w języku urzędowym Mistrz-Szymonównami. Realności nakoniec, które do ojca poety należały, nazywane są w aktach miejskich mistrz-szymonowskiemi.

---

*) Pamiętnik Akademii umiejętności, tom II, w Krakowie 1875.

Nie było to więc wypływem własnej woli poety, jak to dotąd mniemano, ale tylko czystem dziełem przypadku, że imię jego stało się jednobrzmiące z imieniem jednego z najsławniejszych greckich liryków.

Dokładał ojciec wszelkich starań, aby młodemu Szymonowi dać jak najlepsze wychowanie, a przedewszystkiem wpoić weń wcześnie zamiłowanie do nauk, jakiem sam był przejęty, a na którem starszemu jego synowi zbywało. Starania jego przy wrodzonych zdolnościach Szymona nadzwyczaj się powiodły i już spółcześni stawiali go za wzór, jakichto synów sobie życzyć i jak ich wychowywać należało. Sprzyjały mu też i okoliczności ku temu. Dość zamożny dom jego otwarty był dla ludzi uczonych, z którymi jako znawca literatury starożytnej obcować lubił i którzy też w jego pięknej bibliotece bogaty zapas dzieł w różnych gałęziach nauk i w językach różnych znajdowali. Schadzali się do niego tak profesorowie szkół lwowskich, jak i inni światli rodacy, a niekiedy zagościł do niego jeden lub drugi z europejskich uczonych, którzy w owym wieku chętnie uczęszczali do Polski. Początkowe więc nauki pobierał Szymon w domu rodziców, później chodził do szkół lwowskich, które, jak nas spółczesny jego żywociarz upewnia, znajdowały się podówczas w stanie kwitnącym.

Udał się potem do Krakowa dla pobierania wyższych nauk i już w r. 1575. znachodzimy go wpisanego jako ucznia do matrykuł akademickich. W dwa lata później, zaledwie 19. rok licząc, odbył popis publiczny w tej akademii wraz z Mikołajem Dobrocieskim, znakomitym mowcą swojego czasu, i osiągnął pierwszy stopień naukowy, tak zwany bakalaureat. O osiągnieniu wyższego naukowego stopnia, mianowicie mistrza czyli magistra przez naszego poetę niema żadnej wzmianki w księgach akademii krakowskiej; i Starowolski też, który znał dobrze te księgi, nim jeszcze uszkodzone zostały przez pożar, nic o tem nie wspomina. W żadnym też z licznych pisarzy, którzy się z pochwałami poety rozwodzili, nie znachodzimy wzmianki, iżby on był mistrzem nauk wyzwolonych; wszyscy atoli przyznają godność tę jego ojcu.

Byli podówczas w Krakowie znakomici uczeni rodacy, jak Jakób Górski, Stanisław Sokołowski i inni. Umiał ich cenić Szymonowic i prawdopodobnie starał się zbliżyć ku nim, do czego mu poetyczny talent jego drogę ułatwiał. Nadmienia spółczesny jego biograf, że na naukach w Krakowie zostając, oddawał się w chwilach swobodnych natchnieniu i miał już z tego względu dość głośne imię między swoimi towarzyszami. Tamto, według wszelkiego

podobieństwa, napisał poemat łaciński *Divus Stanislaus*, który Reszka uznał za twór arcywytrawny, a sam autor, tę młodocianą pracę swoją w późniejszym wieku rozważając, powiada skromnie w liście do Grochowskiego, że nic w niej niema prócz pobożności.

Poznawszy światłych rodaków, zapragnął też poznać bliżej i obce znakomitości; udał się więc do Belgii i do Francyi, kędy podówczas w różnych zawodach byli ludzie uczeni bardzo rozgłośnej sławy. Między innymi słynął we Francyi jako cud uczoności i talentu Józef Just Skaliger. Posiadał on ledwie nie wszystkie języki starożytne i nowożytne, a między innymi, jak się zdaje, i język polski, którego poznanie potrzebne mu było, gdy w r. 1572., przeznaczony był na towarzysza Montluka w poselstwie jego do Polski. Jakoż w pamiętnikach swoich wylicza narzecza słowiańskie i nadmienia o niestosowności polskiej pisowni; o ojcu zaś swoim powiada, że mówił po słowiańsku. Żył w mierności, a często nawet w niedostatku, bo przejście jego na wyznanie prostestanckie sprawiło, że mu we Francyi żadnej katedry powierzyć nie chciano. Z mocą stoika umiał się ograniczyć w swoich potrzebach, wymawiaiąc się od przyjmowania pieniężnych nadsyłek, ofiarowanych sobie przez bogatszych wielbicieli jego talentu. Widziano nieraz, jak zatopiony w księgach spędzał dni całe bez pokarmu. Pisał z równą łatwością po grecku i po łacinie wierszem i prozą, a w postrzeżeniach swoich nad starożytnymi pisarzami rozwinął taką bystrość i tyle światła rozniecił, że go jednogłośnie za największego swoich czasów filologa uznano. Dziełami swemi popisywać się nie lubił i nie tylko w druk z niemi się nie śpieszył, ale zakładał w tem niejako swoją chlubę, iż je nie on sam, lecz raczej drudzy wydawali, do czego im chętnie praw swoich odstępował. On to jest twórcą nowego systemu chronologii, objaśniaczem i oczyścicielem starożytnych pisarzów: Teokrita, Katulla, Tibulla, Propercego, Seneki, Cezara, Varrona i innych.

Nie była ta znajomość bez przeważnego wpływu na naszego Szymonowica, który w świat starożytny, poglądami jego rozjaśniony, wpatrując się, znalazł bogaty żywioł dla swego geniuszu i w późniejszych tworach swoich umiał wdzięki arcydziełom greckim właściwe oddać z równą mocą w języku Rzymian lub przelewać je w język ojczysty. Ocenił też zdolności jego Skaliger, oddawał zupełną słuszność jego tworom późniejszym, a z rad niegdyś mu udzielanych utkwiła mocno w pamięci naszego poety ta, iżby zdala od zgiełku i próżności świata żyjąc, nie zaniedbywał przestawać ze starożytnymi mędrcami, nadewszystko zaś służyć ojczyźnie swojem

piórem i radą, bądźto ostrzegając ją o niebezpieczeństwach i zabiegając takowym, bądź wysławiając cnotę, a karcąc występki. Nie mamy też dostatecznej przyczyny powątpiewać o tem, co powiada bezimienny jego żywociarz, że poeta nasz w ciągu życia swego niejednokrotnie powtarzał, iż czemkolwiek jest, winien to Skaligerowi. Przejął on nawet, jak się zdaje, od niego i sposób zachowania się względem swych pism, które rzadko sam wydawał, lecz tylko znajomym swoim i przyjaciołom, mianowicie: to Średzińskiemu, to Cieklińskiemu, to Grochowskiemu, to nakoniec Łęskiemu do wydania powierzał, a znaczną ich część, równie jak tamten, w rękopismach zostawił. Czy atoli i jak dalece pielęgnował później swoje ze Skaligerem stosunki, o tem nie został żaden ślad w znanych nam dotąd listach poety. W pamiętnikach Skaligera, o ile nam takowe są znane, znachodzą się liczne wzmianki o Polsce, a z tego, co mówi o Zamościu i niektórych innych szczegółach, możnaby mniemać, iż sam tam był; z tem wszystkiem ściśle rzecz biorąc, to tylko pewna z jego własnych wyrazów, że był on równie gorącym jak Szymonowic wielbicielem Jana Zamojskiego i, wezwany przez niego, iżby dla nauki młodego Tomasza przysłał mu swój słownik języka arabskiego, bez trudności na to przyzwalał. Słownik ten należy dziś do dzieł zaginionych tego autora.

Za granicą tedy, mianowicie w Belgii i Francyi, kończył nasz poeta zawód swojego kształcenia się i wrócił (około r. 1580.) do ojczyzny z bogatymi zapasami wiadomości nie tylko w dziale nauk wyzwolonych, ale oraz prawnictwa i medycyny.

Antoni Zygmunt Helcel.

Syn Antoniego, urodzony w Krakowie w roku 1808. Nauki w liceum św. Anny, następnie w uniwersytecie krakowskim, gdzie pod kierunkiem J. W. Bandtkiego wyrobiło się jego powołanie do nauk prawniczych. Otrzymawszy stopień doktora, wyjechał na dalsze nauki za granicę do Berlina, Heidelberga i Paryża. Tu dowiedział się o powstaniu 29. listopada; wyjechał zaraz do Warszawy, wstąpił do wojska i odbył całą kampanię. Po jej końcu wrócił do Krakowa, ożenił się i zaczął starania o katedrę prawa rzymskiego w uniwersytecie. Przyjęto go (niezbyt chętnie) na profesora bezpłatnego, a niebawem zażądano, żeby wykładał prawo polskie. Rozpoczął te wykłady, choć tej gałęzi prawa przedtem się nie poświęcał, ale niebawem musiał ich zaprzestać, bo wprowadzona przez dwory opiekuńcze reorganizacya uniwersytetu znosiła instytucyę docentów (profesorów bezpłatnych). Ale był już

wprowadzony na drogę, która miała być jego właściwem powołaniem. Założył pismo Kwartalnik naukowy, który chciał zrobić organem i środkiem naukowego życia; ale pismo to po paru latach zamknęła cenzura. Zajmował się potem różnemi wydawnictwami (przy nich i gospodarstwem wiejskiem); wspólnie z Leonem Rzyszczewskim wydał Kodex dyplomatyczny. Po wypadkach roku 1846. i 1848. wydał kilka broszur, przeznaczonych dla zagranicy. Wybrany posłem do parlamentu austryackiego, zasiadającego w Kromieryżu (1848—1849), stanął na stanowisku autonomii krajów i sojuszu między Słowianami w Austryi. W roku 1850. powołany znowu na katedrę prawa polskiego, podał do ministeryum oświecenia memoryał w sprawie podniesienia uniwersytetu, a przedewszystkiem wydziału prawa, z całkowitym takowego projektem. Niebawem jednak zmienił się stan rzeczy (za rządów ministra Bacha) i Helcel wraz z trzema innymi profesorami dostał dymisyę. Zajął się teraz wydawnictwem Starodawnych prawa polskiego pomników i ogłosił pierwszy ich tom w r. 1856., mieszczący w sobie głównie ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego. Od dawna ściśle zaprzyjaźniony z margrabią Wielopolskim, podjął się wydawnictwa Biblioteki ordynacyi Myszkowskich (którą margrabia po odziedziczeniu biblioteki Konst. Świdzińskiego wydawać zaczął). Wydał tom pierwszy (Listy Sobieskiego), ale gdy następnie margrabia zrzekł się tego spadku, a bibliotekę Świdzińskich nabyła ordynacya Krasińskich, wydawnictwo przeszło także na nią. Od roku 1860. należał Helcel czynnie do życia politycznego w Galicyi. Wybrany posłem do sejmu i do rady państwa, był jednym z najbardziej niezachwianych w stanowisku katolickiem i autonomicznem. W roku 1863. tak podupadł na zdrowiu, że musiał złożyć te obowiązki. Chory ciągle, zbierał materyały na drugi tom Pomników, wydał Księgę pamiętniczą Jakóba Michałowskiego. Podczas zawieszenia Rady państwa (za rządów hr. Belcredego) podał temuż memoryał o stanie Galicyi, w którym wskazywał wszystkie złe strony tego stanu i winy dawnych rządów, a zarazem środki, które mogły doprowadzić do rzetelnej zgody między tym krajem a państwem. Wiele z nich od tego czasu weszło istotnie w życie. Wogóle jak był Helcel znakomitym uczonym, tak był niemniej znakomitym umysłem politycznym. Złe zdrowie odsunęło go od czynnego życia, ale wpływ jego działał ustawicznie od roku 1848. i przyczynił się wielce do wyrobienia opinii i zasad w kraju, którego stan dzisiejszy w znacznej mierze temu wpływowi można przypisać; on bowiem z kilku towarzyszami wytykał kierunek, a wskazywał sposoby postępowania. Należał też do najgorętszych i najsilniej przekonanych katolików w Polsce. W ostatnich tygodniach życia pracował nad zawiązaniem katolickiego stowarzyszenia, pod nazwą Warowni krzyża. W łóżku i bez ruchu pracował przecież bez przerwy nad wydaniem dalszego tomu Pomników. Korrekta ostatniego ich arkusza była jego ostatnią (w wigilię śmierci) czynnością. Umarł dnia 31. marca 1870.

Jako uczony zwrócił Helcel całą swoją uwagę ku wydawnictwu źródeł prawa polskiego, ukrytych dotychczas w pyle bibliotek i archiwów; a obdarzony wielkim zmysłem krytycznym, prześcignął w tym kierunku wszystkich swoich współczesnych Lelewela, Bandtkiego, Hubego i innych,

na temsamem pracujących polu, i stał się wzorem dla następców, jak należy zapomnianych zródeł szukać, jak je wydawać, objaśniać i historyę ich powstania tłómaczyć. Do opracowania naukowego historyi i prawa nie przystąpił, sądząc, (w czem się nie mylił) że będzie to możebne dopiero po ogłoszeniu i wyjaśnieniu źródeł.

Listy Jana Sobieskiego

do żony Maryi Kazimiry wraz z listami tej królewskiej rodziny i innych znakomitych osób, przez Jerzego Samuela Bandtkiego z oryginałów archiwu niegdyś Sobieskich przepisane, uporządkował i dalszemi, aż do r. 1737. dochodzącemi, pomnożył, tudzież przypisami objaśniającymi zaopatrzył .... W Krakowie 1860.

Wstęp do czytelnika.

Listy, które ci, łaskawy czytelniku, w tej księdze przynoszę, ogarniają swą treścią siedm dziesiątek lat dziejów ojczystych. Nie są one przecież opowieścią lub obrazem ciągłego ich i całkowitego wątka, lecz do takiego obrazu są zaiste ważnym materyałem. Osoby, które na widowni dziejów ówczesnych główniej czynnemi były, albo pisząc te właśnie listy poufnie, odkrywały tajniejszą stronę swych myśli — albo też otrzymując je od innych, odbierały w nich wrażenia, które na ich umysł i czyny wpływały. Stądto tego rodzaju materyały nie tylko dokładniej i wierzytelniej dostarczają nam szczegółów historycznych, ale objawiając pobudki i zamiary, sprężyny i sposoby osób działających, niejako już ich duszę stawiają przed sądem potomnych, który przeto sprawiedliwszym być może. Za taką zaś pomocą sama historya przestaje być martwą opowieścią zewnętrznej powłoki dat i faktów, a staje się wiernem odbiciem prawdziwego gruntu dziejów przeszłości. Za taką pomocą przyjmuje ona w siebie całą pełność i ruchawość, całe bogactwo i wielobarwność życia nie tylko publicznego, ale i prywatnego przodków; tak, iż historyk dzisiejszy, byle z wiedzą i bystrością cnotę sumienności połączał, sam siebie niejako z życiem ich dawnem spleść potrafi i z dzisiejszego stać się ówczesnym.

Osnowa listów owych (pod których nazwą język nasz i urzędowe pisma niektóre mieścić pozwolił) służyć będzie główniej do wyświecenia dziejów narodowych pod panowaniem Jana Kazimierza, Michała Korybuta, Jana III, Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego. Najdobitniejszych zaś rysów dostarczy do odcieniowania

publicznego stanowiska i stosunków osobistych tak Sobieskiego i całej jego rodziny, jakoteż Leszczyńskiego.

Dość wielki więc jest, zakres czasu, do którego się nasz materyał odnosi; nie dziw przeto, iż się w nim mieszczą pewne stanowcze życia narodowego i politycznego stanu ojczyzny naszej zwroty i przemiany. Pierwiastek systemu monarchicznego, wprawdzie już dogorywający, lecz jeszcze pod ostatnim Wazo-Jagiellońskim dynastą choć w usiłowaniach znakomiciej przebija, a chwilowo nawet do nadziei tryumfu dochodzi. Były bowiem chwile, w których ustanowienie dziedziczności tronu za rzecz możną uważano. Elekcya jeszcze wtedy jest pojmowana niemal jako czynnik politycznego systemu i powszechnej doli kraju. Wnet później tron jest już tylko sprzętem dla kształtu używanym; elekcya już tylko odpustowym kiermaszem, pełnym nabywców i sprzedawców złotego świecidła, targiem, po którego uciechach i zgiełku wnet smutny zawód dla wszystkich nawzajem i obustronne nastawały niesmaki. Król zostaje związanym tylko, lecz nieumocowanym prawami prostym szafarzem prywatnych korzyści — panującem wrzekomo, lecz niemal wcale nie rządzącem gusłem monarchy — zwierzchnikiem, koniecznie z samego już składu rzeczy pchanym do intryg, jeśli dla kraju w roli czynnej chciał wystąpić. W takiem potwornem dla godności monarszej zapaśnictwie znękany Jan Kazimierz przełożył opactwo we Francyi nad dalsze królowanie w Polsce. W takiem nieudolny Korybut nawet na chwilę stanowiska własnego zająć nie potrafił, miotany raz dumą zawiedzionego w swych oczekiwaniach możnowładztwa, drugi raz zaciekłością gołąbskiej konfederacyi, krzykliwej a nikczemnej, okrutnej a bojaźliwej. W takiem zmęczony Jan III, mimo dobrych chęci, cofnął się wreszcie z goryczą w obojętności zaścianek i jakby w rozpaczliwą prywatę. W takiem butny August II posunął się przeciwnie aż do połamania praw i do zdrady rzeczywistej przybranego państwa, do samego nadbrzeża despotyzmu, i konał wśród planów rozbioru Polski, knowanych w głowie polską uwieńczonej koroną. W takiem Leszczyński, ów późniejszy na obcej ziemi wzór rządców, był w Polsce niczem, tylko obnoszonym sztandarem zwycięstw Karola XII, dźwigniętym po bitwie kliszowskiej, a złamanym w pułtawskiej.

Przy tak czczej powadze królewskiej zawiść i duch stronniczy możnowładców tem więcej krzewić się musiały, gdy ręka pana, choć ją kornie całowali wszyscy, nie miała władzy ani do uskromienia zdrożnych ambicyj ani do zagodzenia szkodliwych ich waśni;

owszem, swe bezpieczeństwo upatrywał czasem król właśnie w nasadzaniu jednych potężnych na drugich. Senat, niegdyś wyłączna, następnie główna królów rada w sprawach państwa, później, choć z prawa równo już z izbą posłów dzielił się swą władzą, zdołał sobie przynajmniej moralną przewagą umysły młodszej braci zniewalać. Jeszcze to na sejmach Władysława IV, jeszcze w początkach panowania Jana Kazimierza widać było. Dalej zaś już co chwila upadał w znaczeniu, w miarę jak wzrastała, nie mówię już przemoc izby poselskiej, lecz pojedynczych posłów zapamiętała zuchwałość. Jeszcze Jan Kazimierz mniej umiarkowane słowa tak umiał gromić i odpierać u najpierwszych nawet senatorów, iż się żalili, jakoby im niezadługo *a verbis ad verbera* przyjść miało. Wnet później hardy poseł królowi z tronu schodzącemu bezkarnie mógł zastąpić drogę. Za mało już było posłom stanowić w rzeczach podatków, wypraw wojennych, odłużenia królewszczyzn i nowych ustaw ogólnych; za mało im zajmować jak niegdyś stanowisko eforów lub trybunów starożytności, stróżów swobód i całości państwa: wszystkie już sprawy publiczne pod sąd ich i głosowanie poszły. Za mało już było szlachcicowi czuć się przy władzy i przy korzyściach wybierania króla; zapragnął osobistego swego wpływu na los Rzeczypospolitej (nie bez osobistego też zysku) doświadczać zapomocą *liberum veto* już wszędzie i zawsze. Rwanie sejmów jeszcze za Jana Kazimierza zgrozę obudzało; wnet później przeszło w znaczenie prostego wybiegu stronnictw, a wkońcu niejako w regułę i zwyczaj. Już i konwokacyjnych i elekcyjnych sejmów i sejmików i trybunałów rwać lub hamować nie wahano się, tracąc nawet instynkt konserwacyi własnej w zagładzie pojęć dobra publicznego.

Na pierwszych senatu krzesłach, zajmowanych niegdyś jakby dziedzicznem lennem przez prastarej tylko arystokracyi rody, zasiadają coraz częściej mężowie nowych zasług i nowych też wówczas imion. Po Tęczyńskich zjawiają się Bidzieńscy, po Górkach — Gałeccy, po Gastoldach — Unichowscy, po Ligęzach — Towiańscy, po Sprowskich i Oleśnickich — Wyhowscy i Matczyńscy.

Staropolską prostotę i powagę obyczaju wraz z czystością języka wygluzowały wykwinty i płoche mody zachodnie. Duch, hart i ćwiczenia rycerskie w dziedzinę wspomnień przeszły i milsze stały się złotych i jedwabnych błyskotek rynsztunki, niż zbyt już ciężkie starych zygmuntowskich husarzy karaceny. Była jeszcze waleczność w bitwach, lecz już nie było ochoty do obozów i wojny. Z obowiązków szlacheckiej służby zbrojnej i pospolitego ruszenia wolano

się już poborowym groszem, niekiedy jego obietnicą tylko wykupić, a zastąpić najemnym żołnierzem. Na koń siadać już tylko do konfederacyi i do wojny domowej województwom pachniało. Jak znoju wypraw, tak też i podatkowych ofiar skąpiono królowi, a skarb pusty i zadłużony wojsku — dawał powód do nieustannych spisków żołnierzy i do rozkiełzania karności pod coraz słabszą powagą zwykle poważnionych między sobą wodzów.

Od wojen domowych bezkrólewia po Ludwiku niegdyś dwa wieki upłynęły, zanim się smutny widok powtórzył Polski rozdartej na dwa wielkie, przeciw sobie krwawo walczące stronnictwa. Później zaś między byczyńską bitwą bratnią a guzowską nie upłynęło lat dwadzieścia; między rokoszem Jerzego Lubomirskiego a równie niebezpiecznymi choć niekrwawymi zamachami przeciwnych sobie konfederacyi gołąbskiej i szczebrzeszyńskiej lat sześć zaledwo. Po ośmioletnich zaś bojach stronnictw Augusta i Leszczyńskiego zaledwo lat cztery upłynęło do bojów tarnogrodzkiej konfederacyi z królem i jego stronnikami.

Byli jeszcze zacni mężowie, którzy nad upadkiem Rzeczypospolitej ciężko bolejąc, z daleka już widzieli czarne piorunowe chmury powszechnego zniszczenia. Lecz co po doznanych nieszczęściach ich rozum polski przewidywał, tego rzeczywiście przypuszczać wzdrygało się jeszcze serce ich polskie. Tak gdy słabe nawet ratunku środki w słabych reform zakusach przyjmowanymi nie były, stało się wreszcie, iż sobie za Rzymianinem powiedzieć było można: »*ad haec tempora, quibus nec vitia nostra nec remedia pati possumus, perventum est*«. (Livius*).

Widok tego przejścia z potęgi w niemoc, z życia w letarg, ze statku w rozpustę, przedstawia nam dziejowy obraz tego przeciągu czasu, którego nasze listy dotykają. Znachodzą się w nim uosobione z jednej strony jeszcze zabytki dawnej narodu wielkości i czerstwości starego obyczaju; z drugiej pstrocizna nowożytnej już płochości i bladość omdlenia. Żył w nim jeszcze stary hetman Rewera, co przez sześćdziesiąt i kilka lat w niezdejmowanej sam żeleźniejąc zbroi, w czterdziestu przeszło potrzebach krwi swej nie szczędził, a żwawość i dworskość młodzieńczą aż do zgonu zachowując, jeszcze w 86. roku życia, w zabiegach grzeczności dla żony był zawsze (jak pisze Sobieski) *inamoratissimo cavaliere*. Lecz też żył w nim

*) Do takich przyszło czasów, w których ani wad naszych ani lekarstw na nie znieść nie możemy.

już drugi, równie stary później hetman Jan Klemens Branicki, prawy i szlachetny w swych czynach i chęciach; atoli hetman bez bitew, a świetny aż do śmierci pod wszelkim względem francuski muszkieter, który i Białystok w Sybaris zamienić potrafił. Gdy tamten, dzieckiem będąc, Batorego widział, a dożył niemal Sobieskiego rządów: ten w swem dzieciństwie znał Jana III, a jako starzec dożył przedednia pierwszego podziału kraju. Potocki i Branicki, hetmanowie ci przez przestrzeń epoki naszych listów podają sobie jeszcze ręce; przez nich podają sobie ręce czasy Batorowskie z Repninowskimi — zaprawdę, z odmiennem wcale obliczem.

Gdy tedy, czytelniku, te listy przeczytasz i tak przez wszystkie ich szczegóły jakoteż przez pasmo wiadomych ci skądinąd dziejów myśl twoją rozważną przewiedziesz, sam sobie utworzysz w umyśle cudną epopeję wypadków i osób, ruchliwego wiru publicznych, socyalnych i prywatnych stosunków; a przy każdym z tych odcieniów wyobrazi ci się żywy mąż, żywy fakt historyczny, z całym szczegółowym obrazu przyborem. We wszystko to ujrzysz bezpośrednio lub pośrednio wplecioną ogólną dolę i następne losy kraju. Mniemam, że będziesz miał czem nasycić ducha w twych zadumach. Mniemam, że nawet do pomnożenia twych historycznych wiadomości znajdziesz niejeden szczegół, który dotychczasowe, podane nam przez dziejopisarzów opowieści bądź prostuje, bądź uzupełnia, bądź przysparza...

Jeśli ta księga stawić zdoła przed oczy duszy twej, czytelniku, żywy wizerunek dziejów kraju w jego najogólniejszych nawet sferach, toć już szczególna Jana III osobistość jakby cień mówiący obok ciebie stanie. Jedno zdanie, jedna myśl w własnych bohatera słowach wiernie przywiedziona przez historyka, żywiej nam czasem jego stanowisko i duszę nacechuje, niż długa a mdła opowieść pisarza. Cóż więc, gdy całe tak wielkie pasmo kilkuset jego najpoufniejszych listów ogarniesz, w które dłużej wczytawszy się, przejmiesz w siebie zapomocą czaru własnego słowa nie tylko typ Sobieskiego duszy, ale nawet łudzić cię może jakby fizyczne brzmienie jego mowy. Niezawodnie poznasz go, czytelniku, i ty, jako ja poznałem z tych listów lepiej, niż ze wszystkich, które o nim czytałem, książek.

Lecz jakimże go poznajemy? Czy zyskuje czy traci w dotychczasowem o nim mniemaniu naszem? Powiedzmy bez ogródki, że nie zyskuje, lecz traci. Nie upośledza się jednak tyle, abyśmy po odsłonieniu nawet jego wad i win skrytszych, zawsze jeszcze nie

widzieli w nim wyższego i szlachetnego monarchy, dzielnego bojownika i dobrego syna ojczyzny.

Dawno to już ktoś powiedział, że przed okiem pokojowca i wielki człowiek maleje. Tak jest bezwątpienia; bo taki pokojowiec jedną tylko i to najlichszą człowieka stronę uważać jest w stanie. Dziejowa bohaterów wielkość zależy od zlewku najszlachetniejszej i najpiękniejszej strony ich osobistości z wielkimi stosunkami ich czasu i ojczyzny. Niech się pokojowce rozwodzą nad dziejami zmysłów i nerwów, różnych żądz i humorów fizycznej cząstki człowieka: dziejopis niech wyższą duchową cechę osoby podaje z ogólnych, humanitarnych względów, święcąc cnoty, smagając zbrodnie, a na wagę słuszności i trzeźwego rozumu biorąc ich czynów trafność lub błędy. Ta strona życia pojedynczego człowieka, która w zakres publiczny nie wchodzi, jeśli nań bezpośrednio przeważnie nie wpływa, nie należy do sprawozdania i sądu historyi politycznej, choć nie może ujść sądu współczesnych i Boga. Strona prywatna życia może człowieka otoczyć aureolą najwyższej chwały, aureolą świętych, choć go nie stawi w dziejach światowych w poczet wielkich mężów. Historya ogarnia ludzi w sferze publicznej znacznych nie tylko przez dobre, lecz i przez złe działanie. Bo odgłos, który im daje, nie jest wręcz ani dla ich zbawienia ani dla ich ukarania, lecz dla nauki i pożytku potomnych. Ona jest dla wiedzy człowieka, jaką ma mieć o sobie samym w dniach wszystkich wczorajszych, wraz z swoim domem, swem siołem, swem miastem, swą ziemią rodzinną i z całą bliźnią bracią Bożego wszechświata; ona jest dla przedstawienia nam całego owego labiryntu dróg przeróżnych, przez które Opatrzność każe iść ludzkości do swych niedościgłych celów. Wydane niegdyś za sprawą Bongarsa krucyat dzieje nosiły nazwę »Dziejów Boga przez Franków«; w istocie, dzieje całej ludzkości są tylko wielkiem działaniem Boga przez ludy.

Sobieskiego wysokie w narodzie stanowisko i publiczne przymioty, które go na tym szczycie postawiły, doznały istotnego uszczerbku przez pewne wady jego prywatnego charakteru. I te więc pod sąd historyi przypaść muszą, lecz tylko w miarę ich pośredniego na rzecz publiczną wpływu. Kłaść na nie nacisk ze względów tylko prywatnej moralności — nie byłoby rzeczą nam, lecz rzeczą owym pokojowcom właściwą. Wszakże pokrywać win Jana III wcale nie myśląc, bez wahania się ogłaszam te listy, które go zapewne nie w piękniejszem, niż było dotąd, postawią świetle. Nie obawiam się stąd wyrzutów — nawet samego, gdyby zmar-

twychwstał, Sobieskiego; bo jeśli on nieco straci, to naród więcej zyska na prawdzie dziejów, niż na trochę większym blasku swego bohatera.

W czasie młodości płochej i burzliwej, którą nie kierował ojciec zbyt wcześnie zmarły, zaczerpnął Jan snać we Francyi owego ducha epikureizmu, który go pociągnął do zbytniego zamiłowania wygód sielsko-domowej spokojności, do życia łatwego w lekkich rozrywkach i do niewolniczego hołdowania wdziękom tej sławnej jego »Marysienki«. Wynikająca tak z tych jego skłonności jak z położenia w kraju konieczność wielkich wydatków wzniecała w nim żądzę zbierania skarbów, większą niż przystało na męża takiego stanowiska. Wszystko to, i aż nadto poznasz, czytelniku, z listów Jana i jego żony; lecz też poznasz i piękne charakteru objawy; a gdy wraz ze mną potrafisz wytknąć przywary, będziesz też umiał łagodzić zarzuty przez wzgląd na powszechne stosunki. Skrzętniej śledząc prawdy i sądząc nie z pojedynczych faktów i humorowych wybuchów, lecz ze wszystkich razem wskazówek, ujrzysz, że niemal wciąż Sobieski, dzielny hetman, walczy z Sobieskim Celadonem; Sobieski król z Sobieskim szlachcicem: a w walce tej że przymioty publiczne w rzeczywistych skutkach najczęściej tryumf odniosły nad jego lichszą stroną, to już prócz szczególnych przykładów najlepszy dowód stawiła po laskach i buławach osiągnięta korona.

Dziwnie zaiste się wydają te Sobieskiemu i w obozie pożądane czekolady, pomarańcze, cytryny, kasztany i słodycze; dziwne są jego narzekania na uprzykrzoną wyprawę; dziwne jego słowa, że tylko to nasze, co zjemy. Lecz uważ, że wtedy właśnie, gdy jako smakosz o łakocie woła, jako wódz wołał, by porzucić wozy, a puścić się w trop nieprzyjaciół samym komunikiem; kiedy mu się wojna przykrzy, wtedy doradza, aby na ladajakiej z nieprzyjacielem nie przestawać zgodzie; kiedy w jadle takie szczęście upatruje, wtedy właśnie rzuca nawet poczęte w chorobie lekarstwo, by do obozu na odgłos trwogi popędzić.

Zaledwo pojąwszy tak uwielbianą żonę, opuścić ją zniewolon dla dwóch przeciw Lubomirskiemu wypraw i znów niemal bez wytchnienia wysyłany na Ukrainę, winnym jest zaiste, iż się wtedy do obozu wyprawić ociągał; winniejszym, iż z obozu zbyt się pośpieszył do żony i domu i pod Machowskim zostawił wojsko, wnet klęską pod Batohem dotknięte. Lecz znając jego do bitew pochopność, nikt tego nie powie, że przewidzianej klęski uniknął; a widzim

z listów, iż oddalenie się i innych wodzów od wojska zbyt zwykłą niestety! było rzeczą, i to z pobudek mniej godnych przebaczenia, niż ta, która go wówczas do Pielaskowic znęciła. To też tej winy nie powtórzył nigdy, lecz owszem bywał w obozie, kiedy go nawet niższa opuściła starszyzna, i trwał w nim mimo cierpień i chorób. Po swem wiedeńskiem zwycięstwie, choć król, hetmanów do zastępstwa mający, choć stary, choć w świeże ozdobny wawrzyny, choć zrażony nagłą oziębłością cesarskich i trapiony głodem i niewczasem wojska, choć mu wszyscy wracać do kraju radzili — nie usłuchał tych głosów Sobieski, lecz głosu honoru i sumienia króla chrześcianina, walczącego przeciw strasznemu wrogowi wiary i kraju. Został — i walczył; a do błagającej żony w te piękne ozwał się słowa: »Ja zdrowie, życie i szczęście moje oddałem raz w ręce Boskie i chwale Jego świętej; ani go też hazarduję więcej nadto, co poczciwemu należy i temu, na którego czyny cały patrzy świat. Miłe mi życie dla usługi Boskiej, chrześciaństwa i ojczyzny; miłe dla waszeci, serca mego, dzieci, krewnych i przyjaciół moich: ależ i honor, na który się cały wiek robiło, powinien być miły; a te oboje przy łasce i opiece Boskiej zgodzą się«. Już i wojsko szemrać poczęło. Lecz ani to ani dotkliwe pod Parkanami straty nie złamały jego ducha, gdy raz do czynu wystąpił. A gdy niechętni wojnie, korzystając z pory i cierpień króla duszy i ciała, rozpaczliwie o odwróceniu się fortuny mówić mu zaczęli, powstał cały czarnymi okryty sińcami i z serca nieugiętego zawołał: »Dobrze, żem was do rady zawezwał bez Niemców, gdyżby z serc płochych waszych szydzić mogli. Co o fortunie mówicie? zdepcę ją jako małpę, a Boga przeprosiwszy, jutro obaczycie odmianę«. I nie zawiodła ta mężnego ufność: i obaczyli na odlew wczorajszej klęsce świetniejsze jutra pod Parkanami zwycięstwo.

To na kłopoty, gryzące mu głowę, to na niewdzięczność Kazimierza króla (urzędy a nie przychody dającego), to na zawiść nieprzyjaciół, to na obojętność żony niesłusznie i aż do uprzykrzenia narzeka Sobieski marszałek i po kilkakroć myśli o porzuceniu wszystkiego i przeniesieniu się dla spokoju życia do ojczyzny żony: przecież w sprawach kraju i w interesie króla tego poświęca szczerze siebie i majątek; zastawia dobra i klejnoty, ostatnią srebrną daje miednicę; za Michała z własnej kieszeni gotów utwierdzać Kamieniec, a sam chwilowe swe dąsy strofując, uznaje szpetność porzucenia godności i kraju w czasach jego potrzeby — i trwa w zajętych swych służbach.

Popłacało wtedy i za nader roztropne uważanem było zdanie, iż interes jest świata monarchą, a bezinteresowność niemal jak dziś za rodzaj głupoty brano. Stąd i Sobieski, o dobro prywatne dbały, od dawna już w pieniądzu smakował, pisząc do żony tak często, aby głównej o gotówkę dbała. I jako król też lubił złoto, zwłaszcza w starości, gdy zwątpiwszy o utrzymaniu się synów na tronie, już tylko o zbieraniu fortuny dla dzieci myślał. Co większa, z ciężkiego nie zedrze się grzechu, że za królewskie rozdawnictwo urzędów i starostw nie po królewsku brał dary. Ale przyznajmy, że zawsze, gdy kraj był w potrzebie, a rwane sejmy nie zasilały publicznego skarbu, wtedy szkatuła Jana stała otworem i z swych funduszów płacił wojska hufce i umarł prywatnym wierzycielem Rzeczypospolitej. I to przyznajmy, że nie spostrzeżem nigdy, żeby przy nabywaniu tych dostatków głuchym był na skwirk i potrzeby biednych. Owszem, przykłady szlachetnej nad ludem biednym litości do znanych innych nowe przybywają i z tych jego listów. Czytajmy, z jakiem szlachetnem oburzeniem z pod Granu pisząc, gromi litewskich hetmanów, a za wieśniakiem uciśnionym stawa nawet w obcym i nawpół nieprzyjacielskim kraju. Zacne uczucie dodało wymowy i król z zapałem przemawia: »Dla Boga! a za cóż niewinni chłopkowie cierpieć mają? Ten naród ręce wynosi za nami do Boga, w nas wszystkie pokłada nadzieje, a ich za to uciskać? a jeszcze tych, którzy nas żywią i żywić dalej będą! Pod miastami tureckiemi harcować, nie ubogich ziemnych robaków zatracać!«

Ten sielski szlachcic, co na wsi siedząc, o intrygach dworu i zamysłach króla Kazimierza nic nie wie, a natomiast sam się w szczegóły domu i gospodarstwa miesza; ten, co rady żonie pisze o świeżem maśle i mleku do kawy; co za drzewkami, cebulkami, owocami się krząta; pod swem okiem w Żółkwi karetę majstruje, czapeczkę dziecku wisiorkami stroi, aby się ich rwaniem bawiło: — jest to minister, marszałek, hetman, który znów w senacie główne sprawy państwa gruntownie rozbiera, pokój lub wojnę roztrząsa, środki wyprawy oględnie obmyśla, intrygi stronnictw przeciwnych odkrywa, sam inne wiąże z drugimi...

Okres ósmy.

(Od r. 1850).

Skończyły się zaburzenia roku 1848. Skutkiem ich we Francyi było drugie cesarstwo (Napoleona III). Nowy rząd, żeby się utrwalić, potrzebował dać uczuć swoją siłę na zewnątrz, a narodowej miłości własnej Francuzów uczynić zadość przez znaczenie i chwałę. Zaniosło się też niebawem na wojnę. Francya w przymierzu z Anglią, w obronie Turcyi, wypowiedziała ją Rosyi, a prowadziła ją w Krymie. Zdawało się, że wojna ta, jeżeli potrwa, będzie musiała w dalszym ciągu toczyć się w ziemiach polskich. Niespodziewana, prawie nagła śmierć cesarza Mikołaja nadała wypadkom inny obrót. Jego następca mógł bez zbytecznego upokorzenia zawrzeć pokój (1856.). Wojna nie miała głębszych skutków. Nie była jednak bez skutków dla Polski ta zmiana panowania w Rosyi.

Aleksander II nie miał twardej natury i silnej woli ojca: łagodniejszy a chwiejny, zasiadał na tronie z zamiarami (nieokreślonymi) reform w Rosyi; zniesienie poddaństwa wykonał rzeczywiście. Względem Polski miał tesame co ojciec uczucia i tosamo pojęcie swojego do niej stosunku, ale w sposobie postępowania (aż do roku 1863.) różnica była znaczna. W Królestwie i w krajach zabranych rząd złagodniał, ucisk sfolgował. Między innemi oznakami tej zmiany było i to, co na literaturę wywarło wpływ niemały, zwolnienie cenzury. Przez to wzmogło się i wydawnictwo książek (w Warszawie, w Wilnie, w samym Petersburgu), i ich przywóz (polskich jak obcych) z zagranicy, i wreszcie liczba, wpływ i znaczenie pism peryodycznych. W Warszawie zwłaszcza zaczęły one się mnożyć, a że mogły swobodniej o sprawach i wypadkach europejskich mówić, więc stały się dla ogółu i więcej zajmujące i więcej potrzebne. Jest to pierwiastkiem ważnym i charakterystycznem znamieniem w tym okresie naszej literatury. Przez dzienniki dostawały się do ogółu wiadomości polityczne, ale także literackie i naukowe: przez wykończoną już, regularną i coraz szybszą komunikacyę ze światem zagranicznym zapomocą kolei żelaznych, książki i pisma zagraniczne, wiadomości o nich, dochodziły nierównie łatwiej, prędzej i liczniej niż przedtem. Przez to szybciej też szerzyło się i rozchodziło ogólne wykształcenie, ogólna znajomość wielu spraw i rzeczy. Ale obok pożytku była w tym fakcie i zła strona, ta mianowicie, że te ogólne wiadomości o wszystkiem były powierzchowne, pobieżne. W pismach peryodycznych, pośpiesznie na termin układanych, a dopieroż w pismach codziennych, wiadomości te nie mogły nawet być innemi; a stąd poszło, że wykształcenie i oświata, tą drogą szerzone, mogły rozlać się dość szeroko, ale

musiały rozlać się płytko. Ogół, który dawniej czerpał swoją oświatę z książek, z dzieł pisanych z rozmysłem, gruntownie i pracowicie, teraz przywykł przestawać na wiadomościach, jakie bez trudu czytał w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach. Nie u nas tylko, ale w całej Europie cechą oświaty w drugiej połowie XIX wieku jest wykształcenie dość powszechne i na pozór nawet dość wysokie, ale raczej lekkie, nie głębokie i niezawsze prawdziwe. Umysły potężne, dzieła mądre lub piękne, jednem słowem literatura poważna i długotrwała, mimoto w całej Europie jest; ale ogół czytających czerpie swoje wiadomości i wykształcenie wygodniejszym a mniej skutecznym sposobem, z drugiej ręki, z dziennikarskich sprawozdań i artykułów.

U nas było podobnie. Wykształcenie ogólne stało się powszechniejszem w tych latach, ale nie stało się głębszem. Niemniej to jego rozszerzenie się było niezaprzeczonym i wielkim pożytkiem; z większej liczby wykształconych (choćby powierzchownie) wyrabiać się może z czasem coraz większa liczba takich, którzy zawód pisarski lub naukowy będą pojmowali i prowadzili poważnie, a przez to z czasem zdołają i należycie pogłębić tę szerzej rozlaną oświatę.

W usposobieniu ówczesnem było silne pragnienie życia i jego widomych objawów (zwłaszcza pod rządem rosyjskim, gdzie od r. 1831. wszelkie objawy życia były wzbronione i tłumione). Stąd przywiązanie i zapał do wszystkiego, co było tego życia oznaką, n. p. zebrania Towarzystwa rolniczego w Królestwie. Stąd skłonność zrozumiała i naturalna do nadawania rzeczom wagi większej niż ją na prawdę miały; stąd na polu literatury i sztuki skłonność do łatwowiernego podziwienia, do przesadnego unoszenia się nad wszystkiem, co nam dawali współcześni pisarze lub artyści. Jest to ten czas, kiedy zaczynają się mnożyć malarskie i muzyczne talenta, kiedy powstają pierwsze wystawy obrazów; szkoły muzyczne uprawiają rzetelniej naukę muzyki, a krytyka w pismach peryodycznych daje nam lepsze pojęcia (nieraz, prawdę mówiąc, pierwsze i elementarne) o sztuce i jej historyi. Na polu sztuki łatwowierne a przesadne uwielbienia miały tę złą stronę, że dawały zachętę i popęd talentom słabszym, a talenta rzeczywiste i wielkie kierowane przez sąd surowszy, byłyby rozwinęły się jeszcze świetniej. Na polu literatury skutek był gorszy. Tu silniejsze pożądanie nowych rzeczy do czytania sprawiało, że wydawcy książek, a zwłaszcza redaktorowie pism peryodycznych przyjmowali nieledwie bez braku wszystko, co im kto przyniósł; wzajemne pochwały znajdowały wiarę u czytającej publiczności; krytyka sprawiedliwa i poważna była rzadką, a niezawsze śmiała być szczerą. Stąd mnóstwo mierności różnego rodzaju zalało literaturę, stąd wielkie a niezasłużone reputacye, które czas rychło obalał, ale które miały ten zły wpływ, że psuły sąd i smak w publiczności, przyzwyczajały ją brać rzeczy małe lub liche za dobre i wielkie, zdolności mierne i słabe za prawdziwe. Literatura w tym przeciągu lat stawała się potrzebą większej liczby ludzi, ale w większości swoich płodów była często płytszą.

Jako najpoważniejsze pisma zbiorowe, zajmujące się literaturą i nauką, wspomnieć należy Przegląd poznański, Bibliotekę

warszawską, w Krakowie przez lat kilka Dodatek miesięczny do Czasu, we Lwowie Bibliotekę Ossolińskich i Dziennik literacki (pod redakcyą Karola Szajnochy), w Paryżu (przez lat cztery) Wiadomości polskie.

Do ożywienia i podniesienia literatury w Galicyi (co we Lwowie zwłaszcza stało się w owych latach dość widocznem) przyczyniły się znacznie dwie instytucye, Towarzystwo naukowe w Krakowie i Zakład im. Ossolińskich we Lwowie. Wielką wagę i wpływ miała też dokonana w roku 1849. reorganizacya gimnazyów. Językiem wykładowym pozostawał zawsze język niemiecki (a do gimnazyum krakowskiego wprowadzono go teraz po raz pierwszy), ale plan nauk i sposób udzielania ich był od dawnego tak znacznie lepszy, że na poziom wykształcenia musiał wpłynąć korzystnie. Uniwersytet lwowski dostał w tym okresie po raz pierwszy katedrę literatury polskiej, a ta, zajęta chlubnie przez Ant. Małeckiego, miała także swoje szczęśliwe i dobroczynne skutki.

W Poznaniu ogniskiem umysłowego życia było Towarzystwo przyjaciół nauk, a w niem odznaczali się między innymi ludzie tacy jak Cieszkowski, Libelt, Józef Łukaszewicz i Stanisław Koźmian; zaczynali pracować i dorabiać się znaczenia młodzi jak Jarochowski, Wegner, Nehring i t. d. Tytus Działyński oddawał znaczne usługi nauce swojemi wydawnictwami z Biblioteki kórnickiej.

Stosunki te utrzymały się aż do r. 1863.

Zobaczmy jak w tym niedługim przeciągu czasu stała nasza literatura? Wielcy poeci umilkli: Słowacki nie żył, Mickiewicz nie pisał nic, Krasiński prawie nic. Nie zagasła przez to ich poezya ani nie zeszła z tej wysokości, na której oni ją postawili. Owszem działała ona na pokolenia następne, zachowała swój wpływ i swój urok, jest zawsze (i zapewne na długo) szczytem polskiej literatury, najwyższym wyrazem polskiego ducha. Ale między żyjącymi i piszącymi następcami nie było już takich talentów wyjątkowych, takich głów genialnych, a przez to ten nowy okres w stosunku do tylko co skończonej wielkiej epoki przedstawia widok pewnego osłabienia twórczości. Zjawisko to zresztą powszechne i powtarzające się zawsze, że po wielkich twórczych zdolnościach, po dziełach świetnych i genialnych, następują we wszystkich literaturach świata okresy jakoby wyczerpania i znużenia, podczas których wielkie dzieła i imiona epoki minionej świecą i górują niezmiennie nad wszystkiem, a imiona i dzieła nowe stoją za niemi daleko.

U nas w tym okresie jak w poprzednim głównem znamieniem poezyi zostało uczucie patryotyczne. W pojęciu dzisiejszego położenia, w nadziejach przyszłości, poezya ta zostaje w zakresie myśli i natchnień wielkich poetów, i te najczęściej innemi słowami powtarza. W formach, w rodzajach i kierunkach tworzenia jest od nich odmienna, próbuje niektórych dróg nowych i własnych, nie bez powodzenia i skutku; ale to nawet, co wydaje najlepszego, nie dochodzi pod żadnym względem dzieł Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego.

Pierwsze zapewne miejsce między poetami tego okresu zajmuje Wincenty Pol. Ten za młodu zrobił sobie wielką sławę i wziętość

Pieśniami Janusza i Pieśnią o ziemi naszej. Teraz, w dojrzałych latach, rozszerzył zakres tworzenia i puścił się na pole większych opowiadających (po części bohaterskich) poematów ze staropolskiego szlacheckiego życia (jak Senatorska zgoda lub Sejmik w Sądowej Wiszni), które były niezaprzeczenie nowym w poezyi rodzajem. Rodzaj ten wszakże był pokrewny temu, co w prozie stworzył już przed laty Henryk Rzewuski w Pamiętnikach Soplicy, a od tamtego różnił się właściwie tylko wierszowaną formą. Sam największy poemat Pola Mohort, pomimo że główny bohater jest starym rycerzem i ginie śmiercią walecznych w wojnie roku 1792., zaledwo wychodzi z zakresu staroszlacheckiej gawędy. Talentu miał Pol niezaprzeczenie dużo, miał swój rodzaj własny i oryginalny, ale potężnej, twórczej wyobraźni nie miał; a przez powtarzanie siebie samego w pomysłach i zwrotach, przez tensam zawsze zakres myśli i natchnień, doszedł do jednostajności i jednostronności.

Kornel Ujejski zaczął w wieku bardzo młodym (wiersz Maraton w roku 1844.) zawód swój w sposób istotnie świetny. Skargi Jeremiego, zbiór lirycznych (po większej części patryotycznych) wierszy, miały niezwykłą siłę uczucia i niezwykłą piękność formy, języka i wiersza. Przymioty te zostały w jego późniejszych (wcale nielicznych) dziełach, ale nie podniosły się wyżej.

Władysław Syrokomla, z mniejszym od Pola talentem, korzysta z form przez niego wyrobionych, i w znacznej liczbie swoich poematów nie wznosi się ponad ton i styl gawędy. Treść ich jest rozmaitsza niż u Pola, wzięta z różnych czasów i różnych (nieraz poważnych) przedmiotów. Ale ta większa obfitość, rozmaitość, czy śmiałość, nie stanowi większej zdolności. Pomimo różnicy pojęć i form, Syrokomla jako poeta jest do Pola dość zbliżony i podobny, wydaje się jego odmianą tylko — a jest od niego talentem i stanowiskiem w literaturze niższy.

Teofil Lenartowicz odznacza się między współczesnymi osobnem wiejskiem, ludowem zacięciem, a usposobieniem miękkiem i rzewnem, które w innych czasach i stosunkach byłoby z niego może zrobiło poetę sielankowego, a teraz, w nieszczęściach ogólnych, w samotnem i tułaczem życiu zagranicą, wydało wielką tęsknotę, smutek łagodny ale głęboki, pobożność rzewną, i żywą budującą wiarę, która od Boga nie domaga się niczego, ale spodziewa się zmiłowania. Usposobienie bardzo szlachetne, wykształcenia i smaku więcej niż u wielu współczesnych, talent w swoim zakresie niezaprzeczony, często wiele wdzięku, zawsze wiele uczucia; ale znowu (jak u Bohdana Zaleskiego i u Pola) pewna jednostajność natchnień, form i myśli.

Mniejszych epigonów dawnej romantyczności lub dawnego patryotycznego mistycyzmu było kilku (Roman Zmorski, Włodzimierz Wolski, Cypryan Norwid itp.). Jeden (Ryszard Berwiński) zapadł w sceptycyzm, przypominający lub może umyślnie naśladujący Heinego. Ale talenta te i dzieła małego są znaczenia. Więcej zwracały na siebie uwagę ogółu dwie kobiety. Jedna, Narcyza Żmichowska (pisząca pod imieniem Gabryeli), w wierszach jak w powieściach prozą okazywała dużo uczucia, wyobraźnię żywą, niezaprzeczony talent pisarski i śmiały popęd do stawiania

i dotykania zawiłych i trudnych kwestyi moralnych lub filozoficznych (czasem politycznych), które jednak, wyznać należy, niezawsze jasno rozwiązywała. Druga, Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), jako młodziutka panienka, zdziwiła Warszawę wyjątkową łatwością i zdolnością improwizowania. Na zadany temat, po niedługim namyśle, wypowiadała bez przygotowania wiersze, które później z pamięci spisywała i ogłaszała. W dojrzalszych latach porzuciła ten sposób tworzenia, a zwróciła się do pisania samego, opartego (w poezyi jak w prozie) na bardzo starannem, pracowitem przygotowaniu, nieraz na bardzo długiem i trudnem badaniu i studyowaniu epok lub stosunków związanych z przedmiotem zamierzonego dzieła.

Żyli jeszcze i pisali starzy klasycy, Kajetan Koźmian, Wężyk, Morawski, a (jak się już powiedziało dawniej, w tomie I) pisali z większym może ogniem i siłą niż za młodu.

Zabytkiem także dawnych czasów romantyczności dogasającej był A. E. Odyniec. Ten, oderwany od towarzyszy, od powrotu swego na Litwę po roku 1832., sam sobie zostawiony, osamotniony, ciągnie tam dalej ten kierunek poezyi, który był panującym za jego młodości. Tłómaczy Waltera Scotta, Tomasza Moora i Byrona (bardzo dobrze), pisuje drobne wiersze, przypominające zawsze pierwsze czasy romantyzmu. Ma jednak chęć i ambicyę próbowania się w formach większych i nowych; pisze tragedye (Felicyta, Barbara Badziwiłłówna, Jerzy Lubomirski), ale nie okazuje w nich większego dramatycznego talentu.

Lucyan Siemieński, od roku 1848. w Krakowie osiadły, zachowuje swoje młodzieńcze zamiłowanie w poezyi, pisze wiersze (zawsze z wykwintnym smakiem i w bardzo dobrej formie), ale znacznie mniej. Za młodu widzący w poezyi swoje główne powołanie, teraz zaczyna ją uważać za dodatkowe, uboczne zajęcie, a ustala się w powołaniu innem: krytyka, estetyka, wybornego znawcy i sędziego dzieł literatury i sztuki, a przez te swoje prace podnosi ogólny poziom wykształcenia i smaku. Poezyi nie zaniedbuje, ale w późniejszych latach zwraca się ze szczególnem zamiłowaniem do starożytnej. Zrzekłszy się zaś oryginalnego tworzenia rzeczy większych, bierze się z zapałem do tłómaczeń. Przekład (niektórych) ód Horacego i doskonały z wielką sztuką i biegłością wykonany przekład Odyssei, są owocem tego ostatniego zwrotu w jego pisarskim zawodzie.

Podobna jest rola Stanisława Koźmiana w Poznaniu. Nie tak wykwintny w formie, zato w pismach prozaicznych obrabiający gruntownie kwestye polityczne i religijne (których Siemieński dotykał, ale nie roztrząsał), Koźmian jak tamten zamiłowany w poezyi, nie zarzuca jej nigdy, ale nie uważa za swoje powołanie główne. Jak tamten przekładem Homera, tak on przekładem Szekspira zbogaca literaturę polską i oddaje jej wielką usługę.

Z młodszych, z tych, którzy przed rokiem 1850. byli dziećmi, a rośli i kształcili się pod wpływem wielkich poetów epoki poprzedniej, i pod wpływem wypadków takich jak wojna wschodnia i włoska, dwóch wymieniamy i umieszczamy w tych Wypisach, jako nie żyjących, i jako odznaczających się wyższą, prawdziwą zdolnością. Jeden z nich, Mie-

czysław Romanowski, poległ w roku 1863. chwalebnie, ale tak młodo, że talentu swego w zupełności rozwinąć nie miał czasu. Drugi, Józef Szujski, w tych latach uczeń jeszcze, próbował się niemal od dzieciństwa w różnych poetycznych formach (dramat, liryka, powieść bohaterska), a w okresie następnym, poezyi nie zarzucając, miał się stać jedną z naczelnych postaci w naszej literaturze, jako historyk i pisarz polityczny.

W powieści Henryk Rzewuski miał zawsze wielką sławę, zrobioną Pamiętnikami Soplicy i Listopadem, ale w tych latach wydawał już tylko same rzeczy słabsze (Nie-Bajki, Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego). Pierwsze miejsca w tym rodzaju piśmiennictwa trzymali Kraszewski i Korzeniowski, oba na szczycie swojej wziętości i w pełnym rozwoju swoich zdolności. Korzeniowskiemu przyznawano powszechnie usposobienie więcej artystyczne, staranniejsze i doskonalsze wykonanie pomysłów. Kraszewski, niezmiernie rzutki i płodny, popędowy a nierówny, dotykał w swoich powieściach mnóstwo zjawisk i kwestyi z współczesnego towarzyskiego i społecznego życia, przedstawiał je z niezwykłym darem charakterystyki, z uczuciem żywem (czasem namiętnem, niekiedy niesprawiedliwem). Przez wielką liczbę dzieł, przez ich wielostronność i przez ten charakter uczuciowy a często nerwowy, wywierał Kraszewski wpływ bardzo znaczny na czytających, a pomimo pośpiechu, z jakim zawsze pisał, i wynikających z niego niedostatków jego powieści, uważany był za pisarza głębszego niż Korzeniowski i więcej od tamtego lubiony. W latach, o których teraz mówimy, ukazują się jedne po drugich najlepsze jego dzieła, a wpływ jego jest wtedy i największym i może najzdrowszym. (Dlatego, choć pisał i przedtem, tu dopiero podane są wyjątki z jego dzieł). Mniejszego znaczenia było kilku innych pisarzy powieści; talent istotny miał Zygmunt Kaczkowski, którego pierwsze powieści zaczęły się ukazywać po roku 1850., i wcześnie zmarły (1861) Walery Łoziński.

W dziejopisarstwie Lelewel niezmordowanie prowadził dalej swoje studya, Bielowski badania początkowych dziejów Polski, Helcel, Hube i W. A. Maciejowski badania polskiego prawa i jego historyi. Wydawnictwo źródeł i dokumentów ożywiło i pomnożyło się znacznie (Tytus Działyński, Bielowski, Helcel), wkońcu wydawnictwa Biblioteki Świdzińskich, które z czasem razem z tą biblioteką przeszły na Bibliotekę Krasińskich w Warszawie. Postęp zaś, jaki ta praca (umiejętna i krytyczna znajomość źródeł) sprowadzić musiała, objawił się szczęśliwie w opracowaniach historycznych epok lub faktów. Zostawało wprawdzie wiele jeszcze prac historycznych (Moraczewski, Koronowicz), powtarzających tesame tradycyjne utarte a niesprawdzone sposoby widzenia i sądy, ale obok takich zaczęły się ukazywać dzieła, które historyografię polską podnosiły na wyższy stopień.

Wystąpił mianowicie Karol Szajnocha, który łączył metodę ścisłego umiejętnego badania dziejów z rzadkim i zupełnie wyjątkowym darem żywego ich opowiadania, z wielkim pisarskim talentem i z ogniem go-

rącego uczucia. Stan wewnętrzny Polski, polityczny, społeczny i cywilizacyjny, jej stosunki zagraniczne, pierwiastki i powody jej potęgi czy jej upadku, występowały w jego dziełach tak jasno, wyraziście i żywo, taki był wdzięk (nieledwie epiczny, aż prawie zbyteczny) w jego sposobie pisania i opowiadania, że przez te przymioty, dodane do najrzetelniejszej naukowej podstawy jego badań, robiły go historykiem jednym z najpoważniejszych, a zarazem jednym z najpowabniejszych i najbardziej zajmujących. Z nader rzadkich historyi wieku XIX wymienić należy pierwszą, dotąd jedyną, bardzo nauczającą Historyę księstwa warszawskiego Fryderyka Skarbka, za którą poszła Historya Królestwa kongresowego.

Całkowita historya literatury nie posiada w tym okresie żadnego dzieła, któreby mogło równać się z Wiszniewskim lub z kursami Mickiewicza. Kazimierza Władysława Wójcickiego († 1879) Historya literatury polskiej w 4 tomach (1845 i 1846) z tego względu zasługuje na uwagę, iż obok wiadomości, (niezawsze pewnych) o życiu i pismach ważniejszych pisarzów, zawiera także wyjątki z ich dzieł najcelniejszych. Dzieło W. A. Maciejowskiego (Piśmiennictwo polskie, 3 t.), obszerne, napisane z dużym zasobem erudycyi, przejęte jest teoretyczną doktryną, do której autor stosuje zjawiska literackie, a stąd i sądy jego bywają czasem naciągane i mylne. Podręczniki w braku innych używane nie wiele miały wartości. Jednak nauka ta robiła w tym czasie rzeczywiste i znaczne postępy, przez rozprawy częściowe (monografie) z literatury dawniejszej i przez recenzye literatury bieżącej. W jednym jak w drugim kierunku odznaczał się i wielkie zasługi położył Lucyan Siemieński. Najpierwsze jednak w tym kierunku miejsce zajmuje Józef Łukaszewicz (1799—1873), którego dzieło Historya szkół w Koronie i W. X. Litewskiem (1849—1851) w 4 tomach, źródłową ma wartość. Na wzmiankę zasługują jeszcze: Maurycy hr. Dzieduszycki (pseud. M. J. Rychcicki), który między innemi wydał pracę: Piotr Skarga i jego wiek (1850 i 51, 2 t.), i Julian Bartoszewicz († 1870), pisarz bardzo sumienny i nadzwyczajnie pracowity; K. Wł. Wójcicki, długoletni redaktor Biblioteki warszawskiej, i Karol Mecherzyński († 1881), prof. hist. lit. pol. w uniwers. Jagiell. — autorowie bardzo wielu rozpraw literackich; Józef Przyborowski, który zaczął swoje prace pierwszem krytycznem zbadaniem wiadomości o życiu Jana Kochanowskiego (1857) i Alex. Tyszyński, prof. hist. lit. pol. w Szkole Głównej w Warszawie († 1880), który odznaczył się głównie jako estetyk; wreszcie Antoni Małecki (od roku 1856.), profesor liter. polskiej w uniwersytecie lwowskim, który wykładami jak rozprawami swemi szerzył lepszą znajomość i głębsze zrozumienie przedmiotu i (zapewne już pod koniec tego okresu) przygotowywał swoje znakomite dzieło o Juliuszu Słowackim (wyd. r. 1866 i 1867). W Paryżu, w emigracyjnym tygodniku Wiadomości polskie, zaczęły się ukazywać od roku 1857. obok politycznych literackie i krytyczne artykuły Juliana Klaczki, nacechowane wyjątkową bystrością sądu i świetnością stylu. Redakcyę tego pisma prowadził z nim razem Waleryan Kalinka, w tych latach publicysta tylko, piszący znakomicie o kwestyach politycznych. Jego powołanie

historyczne objawiło się później dopiero i zrobiło mu odrazu pierwszorzędne stanowisko w polskiej historyografii.

Filozofię reprezentują jak dawniej Cieszkowski, Kremer, Libelt i Trentowski: młodzi nie występują jeszcze w tych latach. Ogólny stan tej nauki pozostaje więc, jakim był w okresie poprzednim: zmienia się o tyle tylko, że nowe dzieła dawnych uczonych powiększają zasób wiedzy i literatury filozoficznej.

W naukach przyrodniczych, które w pierwszych 25 latach tego wieku tak znakomicie się rozwinęły, nastąpił był zastój we wszystkich dziełnicach naszego kraju. Świetne czasy Śniadeckich, Jundziłłów, obu Wagów, Andrzejowskiego i wielu innych, którzy umiejętności przyrodnicze u nas dźwignęli, prędko przeminęły. Szczupła przyrodników garstka, jaka jeszcze w drugiej ćwierci tego wieku pozostała, wobec niekorzystnych stosunków krajowych była za słabą, aby utrzymać krajowe przyrodnictwo na tymsamym co przedtem stopniu. W drugiej jednak połowie bieżącego stulecia obudził się ponownie ruch ożywiony na polu nauk przyrodniczych.

Na polu zoologii zasłynęli: Konstanty Pietruski (um. 1873.), przed r. 1850. jedyny zoolog w Galicyi, badacz samodzielny, doskonały znawca krajowych zwierząt kręgowych, szczególnie ssących i ptaków (Historya naturalna zwierząt ssących, Lwów 1853.). Własnym kosztem założył u siebie w Podhorcach zwierzyniec i bogaty zbiór okazów przyrodniczych. Kaźmierz hr. Wodzicki (1816—1889), gruntownie uczony a namiętnie zamiłowany ornitolog, w monografiach swoich o różnych rodzajach krajowych ptaków, ma tę własność i cechę osobną, że prace jego, przez uczonych wysoko cenione i uważane za poważnie naukowe, są przytem bardzo zajmujące i powabne dla nieznawców przez bystry zmysł spostrzegawczy i często dowcipne przystosowania spostrzeżeń ze świata przyrody do skłonności i usposobień ludzkich. (Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty, Leszno 1851.; O sokolnictwie i ptakach myśliwskich, Warszawa 1858.; Zapiski (8) ornitologiczne, Kraków, 1868—1882.). — Antoni Wałecki, znakomity zoolog warszawski, wyborny znawca zwierząt kręgowych, szczególnie ryb, płazów i gadów, które pod względem systematycznym i faunicznym wzorowo opisał (Materyały do fauny ichtyologicznej Polski, Warszawa 1864.). Z pomiędzy innych zoologów odznaczyli się jeszcze: Teofil Żebrawski (Owady łuskoskrzydłe, Kraków 1860.) i Gustaw Belke (Rys historyi naturalnej Kamieńca podolskiego, Warszawa 1859.).

W dziale botaniki na początku drugiej połowy bieżącego stulecia pierwszorzędne zajmuje stanowisko jako systematyk Rafał Czerwiakowski (1808 — 1882.), prof. uniwers. Jagiellońskiego. Najznakomitszem jego dziełem jest: Botanika szczegółowa, Kraków, 1849—1863., w 6 tomach, należąca w swoim czasie do najpierwszych dzieł o literaturze botanicznej. — Do zasłużeńszych na polu botaniki należą jeszcze: Hyacent Łobarzewski, prof. uniw. lwowskiego, który pracował szczególnie na polu geografii roślin krajowych, i Felix Berdau (Flora okolic Krakowa, 1859).

W mineralogii i geologii pierwszorzędne stanowisko zajmuje Ludwik Zejszner (1801—1871), którego prace odznaczają się wielostronnością i gruntownością (Paleontologia Polska, Warszawa 1844. Rzut oka na Podhalan 1844. i w. in. Geologia do łatwego zrozumienia zastosowana, Kraków 1856.). — Na tem polu odznaczył się także: Ignacy Domejko, rektor uniwers. w St. Jago.

Jest to czas przejściowy pomiędzy tylko co skończoną wielką epoką naszej poezyi, a dzisiejszą literaturą, która wyrabiała się już po r. 1863. a za podstawę i cechę swego kierunku ma wpływ tych wypadków. Czas ten nie ma swoich cech wybitniejszych, oryginalności własnej; ale ma dużo życia, dużo zapału dla literatury, niektóre jej kierunki rzeczywiście posuwa naprzód i około cywilizacyi polskiej wogóle ma niezaprzeczone i niemałe zasługi.

Po wojnie włoskiej (r. 1859.) zaczął się stan rzeczy zmieniać. W Austryi nadana przez cesarza Franciszka Józefa konstytucya, wprowadziła w życie (1861.) sejmy krajowe i dała początek tym stosunkom, w których żyjemy. W Królestwie Polskiem zaniosło się (w r. 1861.) na ważniejsze wypadki. Doszły one (w styczniu 1863. r.) do zbrojnego powstania, z którego wyniknął dzisiejszy znowu stan społeczeństwa i piśmiennictwa polskiego pod rządem rosyjskim. Po roku 1863. wyrobił się też dopiero nowy kierunek dziejów literatury polskiej.

Jednym z pierwszych i nader ważnych kroków w rozwoju nauki polskiej była reorganizacya szkół. Margrabia Wielopolski, kiedy stał na czele cywilnego rządu Królestwa (1861 — 63.), zajmował się gorliwie i umiejętnie wychowaniem, podniósł stan szkół średnich, a pod nazwą Szkoły Głównej przywrócił dawny, po roku 1831. zniesiony uniwersytet warszawski. Szkoła ta, świetna doborem najlepszych profesorów i wielką liczbą uczniów, przez krótkie lata swego bytu oddała niezmierne usługi. Organizacya jej była podobna do dawnej uniwersytetu wileńskiego. Wydział filozoficzny mianowicie dzielił się na dwa: historyczno-filologiczny i fizyko-matematyczny. Z wielu znakomitych profesorów Szkoły Głównej zapamiętać należy przedewszystkiem z wydziału lekarskiego rektora Mianowskiego, Tytusa Chałubińskiego i Polikarpa Girsztowta; z wydziału prawniczego Władysława Holewińskiego i Walentego Dutkiewicza. Z historyczno-filozoficznego Alex. Tyszyńskiego, Adolfa Pawińskiego, Kowalewskiego (niegdyś w Wilnie przyjaciela Mickiewicza), Struvego (filozofia); z wydziału matematyczno-fizycznego Augustyna Frączkiewicza (matematyka) i t. d. We wszelkich zawodach i naukach najtęższi z dziś żyjących ludzi w niej się uczyli i wyrobili. Po stłumieniu powstania z r. 1863., i wprowadzeniu języka rosyjskiego do szkół, rząd rosyjski wziął się do Szkoły Głównej. Nie zniósł jej, owszem nadał jej tytuł uniwersytetu, ale usunął z niej polski język i zrazu tylko wielu, a z postępem czasu prawie wszystkich profesorów Polaków. Liczbę uczniów ograniczył, przyjętym utrudniał i naukę i egzamina wymaganiami umyślnie przesadnemi z rosyjskiego języka.

Prześladowanie, które pod rządem rosyjskim od tego czasu nie ustaje, owszem systematycznie się wzmaga i rozszerza, jest nie tylko politycznem i religijnem, ale dąży do tego, by wyrwać z korzeniem samą cywilizacyę polską i zagładzić wszelkie jej ślady. Na Litwie i Rusi, oprócz wszelkich innych środków tępienia (n. p. zakaz nabywania ziemi przez Polaków i katolików), jest zakaz mówienia po polsku na miejscach publicznych; dla młodzieży szkolnej zakaz mówienia tym językiem w szkole i nawet poza szkołą między sobą. W Królestwie Polskiem, po wyrzuceniu języka polskiego ze wszystkich szkół, urzędów, sądów, po wyrzuceniu Polaków z posad, po ograniczeniu liczby uczniów polskich mogących mieć przystęp do szkół, znikły w ostatnich czasach napisy polskie nawet na stacyach kolei żelaznych. Historya, wykładana w szkołach i uniwersytetach (po rosyjsku jak wszystko), przekręcona i fałszowana jest umyślnie, tak, że młodzież polska o swojej historyi nie może nabrać prawdziwego wyobrażenia. Literatura polska, ma swoją katedrę w uniwersytecie warszawskim, ale (od r. 1883.) wykładana jest po rosyjsku. Cenzura książek, a zwłaszcza pism peryodycznych, posuwa się tak daleko w prześladowaniu wszystkiego, co polskie, że nie przepuszcza nawet gramatyce i wyrazy lub zwroty czysto polskie p o p r a w i a na obce, rosyjskie.

Te i tysiączne inne środki, obliczone na złamanie polskiego ducha narodowego i obniżenie polskiej cywilizacyi, zamierzonego skutku nie odniosły; ale odniosły zawsze ten, że mnóstwo umysłów i talentów nie zdołało rozwinąć się tak, jak w innych warunkach rozwijać się mogły; że mnóstwo innych do skromnego nawet wykształcenia dojść nie zdołało; że pewna liczba umysłów i charakterów (choć szczęściem niewielka) musiała się skrzywić i zepsuć; że literatura i nauka, krępowana w swojej koniecznej swobodzie, nie mogąca zajmować się wszelkimi przedmiotami i kwestyami ani obrabiać ich tak, jak je rozumiała i jak chciała, musiała być wstrzymaną w swoim naturalnym postępie i nie mogła stanąć tak wysoko, jakby bez tych przeszkód była stanęła.

Prześladowanie języka polskiego w Wielkopolsce, które za rządów ks. Bismarcka doszło tak daleko, że nauka czytania w szkołach wiejskich i sama nauka katechizmu udzielana była dzieciom w języku niemieckim, praktycznie wydało skutki mniej złe, bo naprzód obejmowało daleko mniejszą przestrzeń kraju, a powtóre spadało na ludność ogółem więcej oświeconą i zdolniejszą radzić sobie ubocznymi środkami, bo wreszcie było jednak ograniczone cokolwiek formami i przepisami praw pruskich, które zostawiały przecież jakąś sposobność i możność obrony, a piśmiennictwu i dziennikarstwu zostawiały większą swobodę.

W Galicyi zato zaszły zmiany nader pomyślne. Ustawa konstytucyjna przyznawała i poręczała swobody obywatelskie każdej jednostce, swobody i prawa narodowe ludom, należącym do państwa austryackiego. Na tej zasadzie opierają się nasze instytucye krajowe: sejm czyli władza prawodawcza (w pewnym zakresie), sprawowana przez posłów z zastrzeżeniem sankcyi monarszej; samorząd czyli zawiadowanie niektóremi sprawami przez ludzi na to wybranych, przez gminy (Rady gminne), powiaty (Rady

powiatowe) i Sejm (Wydział krajowy, najwyższą z tych krajowych władz wybieralnych). Przyznana każdemu narodowi wolność używania własnego języka pociągnęła za sobą tę zmianę, że skoro czynności urzędowe, administracyjne i sądowe, miały odtąd odbywać się w języku polskim (względnie ruskim), to urzędnikami mogli być tylko ludzie w tych językach biegli, czyli krajowcy. Dalszem następstwem tegosamego prawa było wprowadzenie języka polskiego do szkół. W gimnazyach od roku 1867. wszystkie nauki (z wyjątkiem języka niemieckiego) odbywają się w języku ojczystym. Do uniwersytetów wprowadzany on był stopniowo, tak, że w krakowskim wcześniej, w lwowskim cokolwiek później, język polski przywrócony został w zupełności do swoich praw. (W tym ostatnim niektóre przedmioty wykładane są po rusku).

Ale ta zmiana nie była jedyną dobroczynną i zbawienną. Troskliwe starania sejmów i władz krajowych z jednej strony, a rozumne i życzliwe usposobienie rządu z drugiej — przedewszystkiem mądrość i łaska Cesarza, którego osobista dobra wola i nad tym krajem opieka przez te wszystkie lata stwierdzała się szeregiem najrzeczywistszych i najcenniejszych dobrodziejstw — sprawiły, że jak we wszystkich innych kierunkach naszego życia, tak w szczególności w sprawach nauki i wychowania publicznego stan naszego kraju i stopień jego oświaty podniósł się bardzo.

Nauka elementarna rozszerzyła i podniosła się przez tysiące nowo założonych lub poprawionych szkół początkowych i przez szkoły osobne (seminarya), sposobiące nauczycieli dla tych szkół. W szkołach średnich, gimnazyach i szkołach realnych powiększyła się liczba uczniów niemal nadmiernie, tak, że zakładów i budynków (ze szkodą dla nauki) nastarczyć nie można, a siły nauczycielskie są ogółem wziąwszy bez porównania wyższe od tych, jakie były przed laty trzydziestu. Nadzór i władza nad tymi dwoma stopniami wychowania zostaje w ręku Rady szkolnej, magistratury złożonej częścią z urzędników państwa, częścią z osób wyborem do niej powołanych. W obu krajowych uniwersytetach liczba katedr i potrzebnych zakładów pomocniczych pomnożyła się bardzo znacznie, a staranny dobór profesorów, powoływanie na każdą katedrę kandydatów najzdolniejszych i najbieglejszych, jakich znaleść było można, podniósł i wartość i znaczenie tych uniwersytetów i ich dobrą sławę w świecie. Z tych nowo utworzonych katedr jedną wymienić i zapamiętać należy, jako szczególnie dla nauki i dla społeczeństwa ważną, i jako jedno z największych dobrodziejstw Cesarza. Jest to osobna katedra historyi polskiej, której przedtem nigdy (ani za dawnej Rzeczypospolitej) nie było, a którą Najjaśniejszy Pan przy uniwersytecie krakowskim w roku 1869., przy lwowskim w 1885. utworzył. Dalszym szczęśliwym nabytkiem i silną dźwignią dla postępu nauk przyrodniczych i matematycznych, stała się reorganizacya dawnej szkoły technicznej lwowskiej, i jej podniesienie na stopień szkoły politechnicznej (1872.), co ją zrobiło niejako uniwersytetem nauk ścisłych. Skutki tej zmiany dają się czuć bardzo wyraźnie i dobroczynnie w zakresie tych nauk.

Uzupełnieniem tych dzieł, przedsięwziętych dla podniesienia nauki i oświaty polskiej, była założona przez Cesarza w Krakowie (w r. 1873.)

Akademia umiejętności. Pierwsza to polska instytucya tego rodzaju. Wszystkie większe narody zagraniczne mają takie, na wzór najdawniejszej akademii francuskiej utworzone, a przeznaczone na to, by wspólną pracą uczonych, odznaczających się w różnych zawodach, posuwać naprzód wiedzę we wszystkich kierunkach, a rezultaty badań w rozprawach członków, jako też materyały naukowe w wydawnictwach swoich ogłaszać. Akademia umiejętności przez kilkanaście lat swego istnienia, wiele istotnie zrobiła (w naukach zwłaszcza historycznych, przyrodniczych, w lingwistyce i w archeologii); znajomość fizycznej natury kraju i jego zasobów, znajomość jego przeszłości i jego artystycznych zabytków znacznie podniosła, a tem i nauce polskiej i sobie zjednała rzeczywistą u obcych powagę i dobrą sławę. Że te pomyślne dla nauki i oświaty warunki musiały wpływać dobrze i na literaturę także, zbytecznie byłoby tłómaczyć.

Prywatnymi środkami, ale bardzo dzielnie, pomagają do tego dzieła szerzenia oświaty liczne stowarzyszenia naukowe, w tym okresie czasu powstałe, jako to towarzystwo lekarskie, techniczne, pedagogiczne, towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, towarzystwo imienia Mickiewicza, itd. W Poznaniu towarzystwo Przyjaciół Nauk ciągnie dalej, zawsze z doskonałym skutkiem, swoją wielostronną i niezmordowaną czynność.

Dalsza znów zmiana i różnica od poprzedniego okresu jest w tem, że emigracya, która w ogólnem życiu narodu znaczyła wiele, a w literaturze jego zajmowała stanowisko przeważne, teraz w zmienionych stosunkach nie mogła ani pola działania przed sobą widzieć, ani wpływu takiego wywierać. To przeniesienie wielkiej części polskiego życia za granicę, które się dokonało po roku 1831., teraz ustało.

Zmiana wielka, sięgająca do samych podstaw naszego działania, zaszła w naszem usposobieniu, w naszem pojęciu obowiązku, służby publicznej i patryotyzmu. Wypadki roku 1863. przekonały nas ostatecznie, że jesteśmy za słabi na to, by odnieść zwycięstwo nad wielkiem mocarstwem, a wszelka pomoc obca, na którą liczyliśmy dawniej, jest złudzeniem. Stąd wniosek, że powinniśmy zmienić drogi postępowania: nie zbrojne ruchy układać i przygotowywać, ale we wszystkich kierunkach życia wyrabiać i ćwiczyć w sobie siły, pomnażać zasoby materyalne, podnosić życie umysłowe, kształcić i rozwijać zdrowo stosunki społeczne, rozszerzać, ale i pogłębiać oświatę, brać się czynnie i praktycznie do spraw politycznych i w nich nabierać doświadczenia i wprawy, hartować religijne przekonania, a wzmacniać czynnie religijne życie w narodzie — słowem, zrozumieć dobrze swoje położenie, wiedzieć, czego nam niedostaje, a całą siłą woli, sumienia i miłości ojczyzny pracować na to, by się stać społeczeństwem prawem, rozumnem, bogatem i silnem — wbrew nieszczęściu, w jakie nas pogrążyły wypadki (i własne błędy) — zachować w sobie, rozwinąć i podnieść zasób narodowego życia i ducha: oto forma, w jakiej pokoleniom obecnym ukazuje się miłość ojczyzny i jej służba, w chwili kiedy to życie zaczęło pod rządem rosyjskim być otwarcie skazanem na zagładę.

To wypadkami zmienione położenie w świecie i zmienione pojęcie obowiązku musiało odbić i objawić się w literaturze. Znika też z niej ów niedawno tak nam drogi patryotyzm mistyczny: tłómaczenie swego losu ofiarą za grzechy świata; obietnice rychłego i niechybnego zwrotu w tych losach. Z nauk naszych wielkich poetów zostaje zawsze wiara w sprawiedliwość Boską, wiara, że naród musi być prawym i szlachetnym, jeżeli ma być godnym swojej sprawy i jeżeli jego odrodzenie ma być szczęściem i postępem dla ludzkości; zostało tosamo wzniosłe pojęcie ojczyzny. Ale zamiast mistycznego a dumnego pojmowania siebie jako narodu wybranego i lepszego od innych, przyszło trzeźwe pojęcie siebie samych jako narodu, który miał w przeszłości i ma dotąd wiele wad i błędów, i w wielkiej części skutkiem tych błędów upadł i dotąd podnieść się nie zdołał. Zamiast śmiałej nadziei rychłego doraźnego podniesienia z upadku, przyszło doświadczenie i przekonanie, że z wielkim tylko, ciągłym i wszechstronnym trudem dźwigać się można. Zamiast dawnej poetycznej apoteozy ojczyzny, zjawiła się dążność do jej politycznej dyagnozy: do bolesnego, ale śmiałego i wszechstronnego rozpoznania wszystkiego, co w jej stanie czy usposobieniu było lub jest złem, na to, by to dokładne poznanie siebie samych, ten ścisły rachunek sumienia prowadził nas do zwyciężenia naszych politycznych i społecznych przywar lub braków.

Z natury rzeczy wynikało, że kiedy ta dążność, ta myśl miała być duszą i cechą literatury, to w tej literaturze proza musiała wziąć górę nad poezyą. Wogóle nie jest to dobrym znakiem dla literatury ani dla społeczeństwa, jeżeli poezya w epoce jakiej niestosunkowo wybuja nad prozą; bo w tej ostatniej, a nie w poezyi, wyraża się zazwyczaj rozum narodu i jego charakter męski, zasób jego wiedzy, grunt jego oświaty i jasna świadomość jego woli. W literaturze rzymskiej proza stanowczo przewyższa poezyę: taksamo we francuskiej z epoki Ludwika XIV, i taksamo w naszej z wieku XVI. Nie mamy więc czego żałować, że w dzisiejszem piśmiennictwie polskiem proza stanowczo góruje nad poezyą: tej nic to nie uwłacza ani nie szkodzi, bo ta, która była w epoce poprzedniej, nie straciła nic ze swoich sił i piękności i zawsze taksamo jaśnieje, zagrzewa i wpływa: a dobrze jest, że po niej, która na uczucia i wyobraźnię przedewszystkiem działała i te kształciła, proza zaczęła kształcić i wyrabiać do równości z tamtemi dwie inne władze naszej duszy, rozum i wolę.

Skoro kierunkiem i pierwiastkiem głównym literatury w tym okresie miało być dążenie do trzeźwego, krytycznego i politycznego sądu nad sobą: to znowu nie mogło być inaczej, tylko że historya, do tego sądu pierwsza powołana i usposobiona, musiała rozwinąć się bujniej niż inne gałęzie piśmiennictwa. Tak się też stało; i to jest znamieniem naszej literatury w dzisiejszym okresie jej dziejów, że największa liczba i największa siła pisarzy niepospolitych skupiła się na polu dziejopisarstwa.

W samym środku tej grupy historyków, jako pierwsi co do czasu a razem najznakomitsi reprezentanci tego kierunku, stoją Józef Szujski i Waleryan Kalinka. Ale dążność sama, choćby najmędrsza, nie wyda

jeszcze dobrej historyi, jeżeli się nie oprze na umiejętności badania. Ta, przez dwóch wymienionych własną pracą nabyta, w młodszych była już systematyczną nauką wyrobiona (w zagranicznych, później już we własnych seminaryach historycznych); umiejętna zaś metoda i krytyka, dodana do wyżej opisanej dążności, do tego obywatelskiego i politycznego stanowiska historyi, wydała w naszych czasach taki stan i rozkwit tej nauki, jakiego przedtem nigdy u nas nie było. Wspaniały był widok tej historyografii polskiej, kiedy żył jeszcze Szajnocha, dłużej od niego Helcel i Bielowski, Szujski i Kalinka już zrobili sobie wielkie imię i stanowisko, a liczny zastęp młodszych wstępował na scenę. Do tych należał Ksawery Liske (profesor historyi powszechnej w uniwersytecie lwowskim, † 1891.), który zasłużył się około historyografii polskiej wydawnictwem źródeł, szczególnie zaś wyjątkowym darem kształcenia i sposobienia młodych historyków i zapałem do nauki, jakim ich umiał przejąć. Podobnie Adolf Pawiński w Warszawie przez liczne wydawnictwa źródeł, a zwłaszcza przez badanie i doskonałe określenie skarbowości polskiej, oraz instytucyi sejmików i sejmów posunął bardzo znacznie znajomość naszych dziejów i ułatwił ich zrozumienie. W Poznaniu Kazimierz Jarochowski (zmarły 1888. r.) oddał się studyom nad najsmutniejszą częścią historyi polskiej, nad epoką saską, i pierwszy (rzec można) wprowadził w nią światło historyi. Leon Wegner (zmarły 1873. r.) pracował usilnie i z talentem nad latami czteroletniego sejmu i ostatnich rozbiorów. Z młodszych Michał Bobrzyński kilku mniejszemi rozprawami objaśniał prawne i polityczne stosunki XV i XVI wieku, a w ogólnym Zarysie dziejów Polski wystawiał wewnętrzny stan Rzeczypospolitej i wpływ, jaki ten stan wywierał na jej rozwój i stopniowy upadek. Wincenty Zakrzewski zwrócił się w badaniach głównie do drugiej połowy wieku XVI. Stanisław Smolka zaczął od jego połowy pierwszej, zwrócił się potem do epoki podziałów (wiek XIII), a obecnie przeszedł do pierwszych czasów epoki Jagiellońskiej, mianowicie do religijnych i politycznych stosunków Litwy i Rusi. Na tem ostatniem polu ważne odkrycia zrobił Anatol Lewicki, profesor historyi austryackiej w uniwersytecie krakowskim. Ludwik Kubala zajmuje się głównie czasami Jana Kazimierza; Tadeusz Wojciechowski (pierwszy profesor historyi polskiej w uniwersytecie lwowskim) badał ze szczególnem zamiłowaniem początkowe dzieje, wyrabianie się Polski z chrobackich początków, albo trudne zagadnienia z zamierzchłych Piastowskich czasów. Na bliskiem polu badania pierwotnych stosunków stoi Franciszek Piekosiński, jako wydawca i znawca dawnych polskich stosunków prawnych, jako specyalista w rzeczach sfragistyki, numizmatyki i paleografii, liczący się do bardzo około historyi zasłużonych. Z zakresu historyi kościoła polskiego dwa dzieła na osobną zasługują wzmiankę: Ks. Likowskiego, biskupa sufragana poznańskiego, Historya kościoła ruskiego, i księdza Korytkowskiego, biskupa sufragana gnieźnieńskiego († 1888), Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. W najmłodszem pokoleniu historyków jest wielu, którzy niedawno jeszcze byli uczniami poprzednich, a już mimo młodego wieku odznaczyli się samodzielną i skuteczną pracą około historyi polskiej.

Obok tej nowej szkoły historycznej były jeszcze zabytki dawnego zwyczaju podkładania własnych pojęć, doktryn i dążności pod historyczne wypadki. Takim był Antoni Walewski († r. 1872.), profesor historyi powszechnej w uniwersytecie krakowskim, autor bardzo zresztą cennego dzieła: Historya wyzwolenia Rzpltej za Jana Kazimierza, opanowany doktryną monarchiczną; i w kierunku wprost przeciwnym, Henryk Szmitt († 1883.), który pracował głównie nad historyą XVIII wieku.

Odrębne stanowisko usiłuje zająć, odmawiając historyi znaczenia „*magistrae vitae*“, Tadeusz Korzon w Warszawie, autor bardzo pożytecznego dzieła w czterech tomach »Wewnętrzny stan Rzpltej za Stanisława Augusta«, które oparł na przechowywanych w Warszawie archiwach koronnych.

Cała ta praca historyczna, której głównem ogniskiem były pomienione katedry historyi polskiej i komisya historyczna Akademii Umiejętności, miała ten skutek, że przez dokonane wydania wielu materyałów źródłowych i przez dzielne, czasem niezmiernie bystre i głębokie opracowania, znajomość historyi polskiej we wszystkich jej epokach, ale głównie w wieku XII, XV, XVI i XVIII, zrobiła ogromne postępy, stała się dokładniejszą i głębszą, a sam kunszt dziejopisarski wzniósł się pod wszystkimi względami na stopień wyższy, bez przesady rzec można, równy temu, na jakim stoi historyografia w krajach najbardziej oświeconych.

Z nauk pomocniczych historyi wymienić trzeba głównie naukę i historyę prawa polskiego (Pawiński, Bobrzyński, Piekosiński, Ulanowski, Balzer) i historyę literatury. Ta ostatnia (podobnie jak sama historya) dąży do doskonałej, wyczerpującej całości, drogą rozpraw lub dzieł poświęconych częściom (epokom, kierunkom lub pisarzom). Pracujący w tym kierunku pisarze bardzo wielką znajdują pomoc w dziele Karola Estreichera (ur. 1827.), dyrektora biblioteki Jagiellońskiej: Bibliografia polska (w 11 tomach). Jest to jakby inwentarz literatury polskiej, bez którego praca literacka byłaby niedokładną i bardzo utrudnioną. Z monografii najznakomitszą jest dzieło Ant. Małeckiego Juliusz Słowacki, jego żywot i dzieła. Żaden z naszych poetów czy pisarzy nie jest dotąd tak doskonale opracowany pod względem czy biograficznym czy krytycznym. Książka ta stała się typem i wzorem dla następców, a w szczególności dała pochop do dalszych studyów nad Słowackim. Wchodzi jeszcze w ten okres Wojciech Cybulski (profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim, † 1867.) i Julian Bartoszewicz (p. wyżej). Następują po nich: Piotr Chmielowski, który dostał nominacyę na profesora literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim (r. 1881.), ale jej się zrzekł, gdy mu kazano wykładać po rosyjsku; ma zaletę ścisłego i skrzętnego zbierania faktów, sądu ogółem trafnego i wielkiej pracowitości. Jego Żywot Mickiewicza jest najobszerniejszym i najdokładniejszym, jaki posiadamy. Osobne dzieło większych rozmiarów poświęcił Kraszewskiemu. W mniejszych rozprawach — które składają kilka tomów — zajmował się pisarzami ze wszystkich okresów literatury. Władysław Nehring, profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim, ogłaszał dotąd mniejsze tylko, ale bardzo cenne rozprawy i rozjaśniał niemi różne epoki i kwestye; najcelniejsze może

odnoszą się do wieku XVI. Józef Tretiak, obecnie docent literatury polskiej w uniwersytecie krakowskim, napisał oprócz wielu rozpraw mniejszych, ale odznaczających się bardzo trafnym sądem, większe dzieło o młodości Mickiewicza (Mickiewicz w Wilnie i Kownie), rzecz najlepszą, jaką posiadamy o tym okresie życia wielkiego poety. Roman Pilat, profesor literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, pierwszy złożył całkowity obraz literatury politycznej z czasów czteroletniego sejmu, a około tej pracy bardzo ważnej i pożytecznej skupia się znaczna liczba mniejszych w różnych przedmiotach, a zawsze gruntownie i umiejętnie wykonanych. Adam Bełcikowski (w Krakowie), oprócz wielu rozpraw z najnowszej literatury poetycznej, zwracał się do wieku XVII, a w szczególności napisał najobszerniejsze i najlepsze dotąd studyum o Wacławie Potockim. Pomiędzy pracami, poświęconemi Mickiewiczowi, na uwagę zasługuje Henryka Biegeleisena (we Lwowie) studyum krytyczne o Panu Tadeuszu. Stanisław Tarnowski, profesor literatury polskiej w uniwersytecie krakowskim, wydał: Studya do historyi literatury polskiej: Pisarze polityczni XVI wieku i Jan Kochanowski, oprócz tego znaczną liczbę mniejszych rozpraw i publicznych odczytów.

W liczbie dość znacznej podręczników, zawierających całe dzieje literatury polskiej, odznacza się dzieło Włodzimierza Spasowicza (z Petersburga), który choć prawnik z zawodu zajmuje się czynnie literaturą i wzbogacił ją wielu cennemi rozprawami, treści krytycznej i estetycznej.

Z rzadkich dzieł poświęconych literaturze zagranicznej, a pisanych przez Polaków, wymienić należy Juliana Klaczki znakomite i głębokie studyum o Dantem, pod tytułem Causeries Florentines (przełożone na język polski przez St. Tarnowskiego jako Wieczory florenckie).

Postępy znakomite zrobiła w tym okresie sama nauka języka polskiego i jego umiejętne badanie. Nowa metoda porównawcza nadała w całej Europie lingwistyce kierunek głębszy i popęd potężny. U nas reprezentują i wysoko posuwają tę naukę Małecki, Lucyan Malinowski (w Krakowie), Brückner (w Berlinie), Baudouin de Courtenay (w Dorpacie), Karłowicz i Kryński (w Warszawie), Kalina (we Lwowie) i przedwcześnie młodo zmarły, szczególnie bystry i zdolny Jan Hanusz (uczeń L. Malinowskiego).

Wielkie postępy zrobiła archeologia i historya sztuki, w znacznej części skutkiem utworzonych dla nich katedr i komisyi w łonie Akademii Umiejętności. Do starszych na tem polu należą: prof. Józef Łepkowski i Władysław Łuszczkiewicz. Po nich następują: Maryan Sokołowski, Jan Nep. Sadowski, Izydor Kopernicki, Zygmunt Gloger, M. Bersohn i Władysław Łoziński (we Lwowie), którego najnowsze dzieło »Mieszczaństwo i patrycyat lwowski«, przekracza zakres historyi sztuki samej, a wchodzi w dziedzinę istotnej historyi cywilizacyi. Na polu etnografii z pomiędzy wielu zasłużonych pracowników na szczególną wzmiankę zasługuje Oskar Kolberg (1817—1891), którego dzieła w dwudziestu kilku tomach opisują zwyczaje i obyczaje ludu polskiego we wszystkich prawie dzielnicach dawnej Rzpltej.

Zmienione położenie narodu i zmienione z gruntu pojęcie tej politycznej drogi postępowania, jakiej on w tem położeniu trzymać się

musi, ożywiły bardzo gałąź polityczną literatury. Odbywała się też w niej — i odbywa dotąd — walka zasadnicza, wszechstronna, prowadzona czasem z wielką siłą rozumu, przekonania i miłości ojczyzny, z wielkiem niekiedy wzburzeniem uczucia. O tych rzeczach, jako jeszcze trwających, mówić tu nie miejsce; to wszakże można wróżyć, że w ogólnych dziejach politycznej literatury polskiej okres ten zajmie kiedyś kartę nie najmniejszą i nie najgorszą. Można też wspomnieć, że na tem polu także Szujski przewyższał innych mocą swego rozumowania i ogniem swego uczucia.

W sprawach ogólnej europejskiej współczesnej polityki napisał Julian Klaczko (po francusku, bo dla zagranicy) dwa dzieła: »Deux études de diplomatie contemporaine« i Les deux chanceliers. Pierwsze z nich tłómaczy związek wypadków polskich z r. 1863. z następną wojną duńską i austryacko-pruską, i wykazuje błędy wszystkich, a korzyść, jaką z nich odniosła polityka pruska; drugie zestawia politykę księcia Bismarcka i rosyjskiego kanclerza księcia Gorczakowa. Oba dzieła należą do najświetniejszych, jakie w naszych czasach napisano w Europie w kwestyach politycznych, i należą do największych ozdób politycznej literatury polskiej. Zasadnicze znaczenie ma dzieło ks. biskupa Janiszewskiego Kościół a państwo chrześciańskie (1890.).

W filozofii objawił się zwrot ważny i walka dwóch sprzecznych kierunków. Dawna filozofia sensualistyczna Lockego i materyalistyczna (encyklopedystów francuskich) z XVIII wieku, odżyła z nową siłą w drugiej połowie naszego wieku. Daje sobie nazwę pozytywnej, bo to tylko chce uznawać za prawdziwe, co się pozytywnie zmysłami (lub rachunkiem) da dociec lub stwierdzić. Dusza ludzka, jej nieśmiertelność, Bóg i wszystko, co się nie daje widzieć, jest według niej nieprawdziwem, a w najlepszym razie niepewnem. Takie stanowisko filozofii nie jest nowem: zajęli je już niektórzy ze starożytnych (Lukrecyusz). W naszym wieku odnowił je Francuz August Comte (niepospolicie bystry i uczony), a w jego ślady poszli inni: Anglicy, jak Spencer, Mill i t. d.; Niemcy, jak Büchner, Vogt, Moleschott, Hartmann i t. d. Liczne i nader ważne odkrycia na polu nauk przyrodniczych (Darwin), na pierwszy rzut oka stwierdzające niby te filozoficzne pojęcia, posłużyły do ich rozszerzenia. Nie mogło być inaczej, jak że dostały się one i do nas. Przyjęły i rozszerzyły się w Warszawie szybcej i więcej niż gdzie indziej, a skupiały się nie w dziełach poświęconych wyłącznie filozofii, ale w pismach peryodycznych, które artykułami wszelkiej treści pojęcia te krzewiły i szerzyły. Za głównego i najczynniejszego reprezentanta tego kierunku uważać można Alexandra Świętochowskiego; za tego, który traktuje te kwestye najbardziej i systematycznie, (znacznie młodszego) A. Marburga. Rzecz jest prosta, że te (jak wszystkie inne) pojęcia filozoficzne, nie zamykają się w obrębie tej jednej nauki, ale przenikają różne nauki i różne gałęzie piśmiennictwa. Człowiek innego zawodu, hołdujący tym pojęciom, daje im mimowolnie wyraz w swoich zawodowych pracach. Mamy też tak zwanych pozytywistów pośród naszych przyrodników, lekarzy, historyków, nawet pisarzy powieści i poetów.

Z drugiej strony, była już w starożytności i później zawsze, i jest dziś, filozofia tamtej przeciwna, zasadzająca się na istności ludzkiej duszy i jej nieśmiertelności, na jej Boskim początku i na możności jej poznania. Im większy był wzrost i wpływ tak zwanej filozofii pozytywnej (czyli materyalistycznej), tem więcej musiała naturalnie objawiać się i podnosić energia tej drugiej. Zaczęto też w całej Europie zbijać systematycznie i umiejętnie system pozytywistów i dowodzić, że jest on tylko powierzchownie naukowym, a na prawdę płytkim i bezpodstawnym. Oprócz samego zaś zasadniczego fałszu, wykazywano szkodliwe następstwa tej filozofii, zaprzeczenie wszelkiej moralności, wszelkiego prawa, wszelkiej różnicy pomiędzy złem a dobrem. Jeżeli bowiem człowiek jest istotą fizyczną tylko, to w logicznem następstwie nie jest odpowiedzialnym za swoje uczynki (tak, jak nie odpowiadają za nie zwierzęta), czyli życie jednego człowieka byłoby pozbawione moralnej podstawy i kierunku, uczynki godziwe i niegodziwe miałyby tęsamą wartość, skoro jedne i drugie zależałyby nie od woli i sumienia człowieka, ale od jego fizycznej organizacyi; w życiu społecznem i politycznem nie byłoby prawa ani jego rozróżnienia ani jego przestrzegania, byłaby tylko siła, niczem nie trzymana na wodzy i uprawniona z góry do wszelkiej przemocy i gwałtu.

Ten popęd do zbijania filozofii pozytywnej objawił się silnie w całej Europie, i u nas także. Wyrażają go obecnie: prof. Henryk Struve w Warszawie, ks. Pawlicki (niegdyś profesor filozofii w Szkole Głównej warszawskiej, dziś w uniwersytecie krakowskim), ks. Morawski i prof. Straszewski w Krakowie, Raciborski we Lwowie i t. d.

Z zakresu historyi filozofii wymienić należy księdza Pawlickiego Historyę filozofii greckiej (pierwszą w polskim języku), profesora Straszewskiego książkę o Janie Śniadeckim (jako o filozofie), i t. d.

I we wszystkich atoli innych gałęziach wiedzy i umiejętności objawił się spółcześnie ruch przedtem niebywały, w prawie i naukach politycznych, w naukach przyrodniczych i technicznych, wreszcie w zaniedbanem niegdyś polu teologii. Przyczyniły się do tego niewątpliwie zarówno katedry uniwersyteckie, różne stowarzyszenia specyalne, naukom tym poświęcone (prawnicze, lekarskie, techniczne, fizyograficzne); ale przyczyniła się bardzo Akademia Umiejętności ze swojemi komisyami; powstają też dzięki ofiarności niektórych mężów bogate zbiory (Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie), przedstawiające bogactwo ojczystej przyrody; Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, zbiór wspaniały dzieł sztuki i starożytności, i biblioteka jedna z największych jakie mamy. Nie mogąc na tem miejscu przedstawiać różnych kierunków tych specyalnych badań, zmuszeni jesteśmy zarazem pominąć nazwiska całego szeregu zasłużonych na tych polach autorów.

Poezya zostaje w tym okresie poniżej tego, co było między rokiem 1830. a 1850. Nie zdarzyło się to nigdy, żeby świetna epoka poezyi trwała długo ani żeby po jednej takiej rychło następowała druga. Przypuszczać zaś można, że jak długo społeczeństwo nasze zostanie w swo-

jem dzisiejszem położeniu, z temi uczuciami i dążeniami, które z tego położenia wynikają, to poezya wyżej nie wyjdzie, bo grunt i źródła natchnień są tesame, a z tych trudno wydobyć coś wyższego i piękniejszego, jak wydała wielka epoka naszej poezyi. W tym więc ostatnim okresie kończą swój żywot Bohdan Zaleski, Odyniec i Fredro; ostatni prawie bezczynny, dwaj pierwsi piszący jeszcze rzeczy bardzo rzewne i ładne (Odyniec swoje zajmujące Listy z podróży). Lenartowicz pisuje, choć rzadko; rzadziej od niego Ujejski. W Warszawie Felicyan (Faleński) pisuje mało, wykwintnie, z wielką starannością w formie a szlachetnością w pomysłach i uczuciach. W prozie obrabia (trafnie i pięknie) niektóre kwestye literackie, naprzykład Treny Kochanowskiego. Nowych poetów zjawia się wielu, a wielkie wyrobienie formy przez poetów epoki poprzedniej ułatwia im zadanie. Strona techniczna, mechanizm wiersza, bywa zazwyczaj dobry. Z talentów prawdziwych wymienić należy Adama Asnyka (piszącego pod pseudonimem El...y). W młodszych latach był on jednym z ostatnich epigonów dawnego byronizmu, ale byronizmu już w formach i w natchnieniach zdrobniałego w głowach i pod ręką poetów późniejszych, jak Heine na przykład, którego sceptycyzm (w tym razie sprowadzony krajowemi nieszczęściami) odzywa się niekiedy w Asnyku. W początkowych jak i w późniejszych swoich poezyach ma on zaletę niezwykłej gracyi, lekkości, dźwięczności wiersza, a usposobienie melancholiczne, tęskne, nerwowe i miękkie. Stąd wiersze drobne a smętne, udają mu się najlepiej, czasem bardzo świetnie. Tragedya Kiejstut ma piękny wiersz i wiele szlachetności uczucia, dramatycznej akcyi i siły nie dosyć. W licznym zastępie poetów od niego młodszych odznacza się Marya Konopnicka; talent w rodzaju podobnym do Asnyka, w stopniu zapewne niższym, z naśladowaniem (zbyt wyraźnem) Słowackiego, i ze skłonnością do poruszania w poezyi stosunków i kwestyi społecznych.

Faktem najbardziej charakterystycznym w poezyi tego okresu jest jej dążenie do dramatu. Zupełnego skutku jeszcze dążenie to nie wydało, ale za szczęście uważać należy, że ono jest; może z czasem po usiłowaniach i próbach poprzedników przyjdzie jakiś talent potężny i stworzy nareszcie prawdziwie wielką polską tragedyę. W okresie niniejszym najwięcej dramatów i (pomimo wielu niedoskonałości) z największą siłą, z najlepszym skutkiem, napisał Szujski. Przeor Paulinów (bezimienny), Mieczysław II Adama Bełcikowskiego, należą do najlepszych rzeczy, jakie się na tem polu w tym przeciągu czasu ukazały.

Dramat z potocznego domowego życia i komedya uprawiane są liczniej i z większem powodzeniem. Stan — zawsze jeszcze bardzo dobry — sceny warszawskiej, a znacznie poprawiony, chwilami świetny, sceny krakowskiej i lwowskiej, potrzeba nowych sztuk, mogły także przyczynić się do tego wzrostu komedyi. Nie jest to postęp w znaczeniu doskonałości, bo ani jeden z młodszych nie dochodzi wielkiego talentu Alexandra Fredry; ale jest mnogość, rozmaitość, i są nierzadko udatne, ładne, wesołe, niekiedy nawet głębsze komedye. W budowie i układzie ich, w prowadzeniu dyalogów, znać wpływ najnowszej komedyi francuskiej (Dumas syn, Augier, Sardou): znać tę dążność, żeby akcyi komicznej

nadać pozór zwykłego codziennego życia w jego powszedniej prawdzie i rzeczywistości. W każdym razie, od poprzedniego okresu, od Korzeniowskiego, różni się komedya dzisiejsza większem życiem, większą swobodą i naturalnością dyalogu, większą wesołością, głębszą charakterystyką figur. Rodzaje tych komedyi są liczne i różne. W pomienionym wyżej francuskim, najbardziej wpływem tym przejęci i korzystający z niego najumiejętniej (choć przedmioty ich komedyi są zawsze z polskiego życia wzięte), są: Władysław Okoński i Kazimierz Zalewski. Pierwszy obok talentu niezwykłego okazuje w swoich dziełach pojęcia moralne niejasne i niezdrowe. W. L. Anczyc († 1883.) pisywał z wielkim talentem komedye z życia wiejskiego ludu wyłącznie (Chłopi arystokraci i inne; ostatnią jego pracą jest Kościuszko pod Racławicami). Józef Narzymski kreślił dosadnie i poważnie różne dzisiejsze zdrożności (Epidemia czyli gra na giełdzie i Pozytywni), nieszczęściem umarł młodo († 1872.). Michał Bałucki bierze zwyczajnie za przedmiot swoich komedyi drobne śmieszności (najczęściej z życia miejskiego). Jan Alexander Fredro (syn Alexandra, zmarły 1891.), nie odziedziczył wielkiego talentu ojca, ale odziedziczył część jego humoru i jego zmysł sceniczny. Józef Bliziński ma dużo humoru, dużo życia i akcyi, a przytem dar nadawania figurom komicznym sympatycznego charakteru i wdzięku. Maryan Gawalewicz pisze po większej części komedyjki małe, nie dba o zawikłane sytuacye, ale pisze po prostu, z życiem, a zabawnie. Oprócz wymienionych pisarzy mamy na polu komedyi jeszcze wielu innych.

Powieść, z literatury prozaicznej najbliższa poezyi, zrobiła niespodzianie wielki i świetny krok naprzód. Mnożąca się ciągle liczba pism peryodycznych wpływała stale na obfitą produkcyę powieści, ale między temi rzadko zdarzały się rzeczy z prawdziwą wartością. Kraszewski stał zawsze na czele tej gałęzi piśmiennictwa, i w tym ostatnim okresie — w niektórych powieściach historycznych zwłaszcza — okazywał niepospolitą siłę, ale w swoim wieku rozwijać się i postępować już nie mógł. Kaczkowski milczał; w ostatnich latach dopiero wydał Olbrachtowych rycerzy. Z młodszych jeden tylko Jan Lam, humorysta wielkiego dowcipu, napisał od niechcenia powieść humorystyczną Panna Emilia, w której pokazał talent niezaprzeczony i niezwykły. Było więc na ilość dużo, na jakość niewiele; i powieść zdawała się być w upadku, a przynajmniej w zastoju, kiedy zaczął pisać Henryk Sienkiewicz. Zrazu były to małe powiastki, pisane w usposobieniu nerwowem, nieco chorobliwem, ale z talentem, z uczuciem poetycznem, z siłą wyobraźni i żywością charakterystyki rzeczywiście zadziwiającą. Niespodzianie młody pisarz rzucił się na inne pole, i w wielkiej historycznej powieści Ogniem i mieczem pokazał się talentem tak wyjątkowym, że powieści tej wiersza tylko brak, a byłaby prawdziwym bohaterskim poematem. W ślad za nią poszły dwie inne (jako jej dalszy ciąg poniekąd) Potop i Pan Wołodyjowski. Następnie z rzutkością i elastycznością talentu zdumiewającą, znowu Sienkiewicz zmienił przedmiot i pole, i w powieści Bez dogmatu dał głębokie studyum człowieka dzisiejszego, który przez wpływ dzisiejszej filozofii i literatury, przez zbyt wyostrzone nerwy i zmysł estetyczny, przez brak zajęcia

i obowiązku (pośrednio przez krajowe nieszczęścia) dochodzi do rozprzężenia swojej moralnej istoty, do przytępienia sumienia, niedołęstwa woli, a braku wszelkich przekonań i celów. Sienkiewicz jest nie tylko znakomitym pisarzem powieści — jest wielkim, wzorowym pisarzem, mistrzem języka i stylistą, jakiemu dziś równego nie mamy (z jednym wyjątkiem Klaczki, który od dawnych lat nic po polsku już nie napisał). Jak wszystkie nowe a znakomite zjawiska w literaturze, tak i Sienkiewicz wywołał zaraz naśladowania, i wpływ jego jest bardzo widoczny w sposobie pisania, w stylu, w samem tworzeniu innych. Oprócz niego, z licznych pisarzy powieści wymienić należy jako talenta wybitne i niezwykłe, Elizę Orzeszkową (główne dzieło Nad Niemnem), Adama Szymańskiego (Szkice), Rodziewiczównę (Dewajtys) i Władysława Łozińskiego, który napisał powieści mało, ale dawniejsze (jak Opowiadania Narwoja) miały wiele zalet, a najnowsza Madonna Busowiska należy do najpiękniejszych powieści polskich w małych rozmiarach.

Taki jest po czterech wiekach istnienia dzisiejszy stan literatury polskiej. Bez zarozumiałości możemy sobie przyznać, że nie jest on zły. W ciągu ostatniego wieku, pomimo tylu ciężkich przejść, literatura polska nie tylko nie upadła, ale owszem rozwijała się i podnosiła, co jest dowodem niezaprzeczonej i bardzo pocieszającej żywotności piśmiennictwa i narodu. W ostatniej ćwierci wieku, pomimo że zaledwo czwarta część narodu ma możność swobodnego kształcenia się i pisania, literatura przecie nie upadła, ale owszem w niektórych kierunkach postąpiła bardzo znacznie. Fakt ten wreszcie, że po wielkim i nigdy przedtem niewidzianym rozkwicie poezyi, nastąpił silny i świetny rozwój prozy w różnych kierunkach i nauki, jest dla literatury dobrem świadectwem, dobrą wróżbą i otuchą. Rzecz jest pewna, że ani literatura ani nauka ani cywilizacya polska w ogólności nie gaśnie, tylko owszem utrzymuje się i rośnie, a swój własny charakter wyraźny i nietknięty zachowuje.

W chwili obecnej grozi jej jedno niebezpieczeństwo, na które bacznie mamy zwracać uwagę i szukać rady, a tem jest skażenie i zepsucie języka. W Galicyi zwolna tylko wydobywa się język z obcych zwrotów, wyrażeń i składni, któremi przez wiek cały był przesiąkł. Pod rządem rosyjskim zaczyna się zato język wykrzywiać i szpecić rosyjskiemi formami, z któremi młodzież oswaja się w szkołach, a ogół w czynnościach urzędowych. Wszędzie znowu pisanie szybkie, do dzienników, sprowadza nieuwagę, niedbałość, a wskutek tego wzrastające zanieczyszczenie i niemal wyradzanie się języka. Od tego bronić się mamy wszelkiemi siłami, a zwłaszcza młodzi, którzy mają jeszcze czas wykształcić się w dobrem i pięknem władaniu mową ojczystą. Mowa bowiem jest formą myśli, ale może mieć na nią wpływ taki, jak ma ludzki organizm fizyczny na umysł i duszę. Jak *mens sana in corpore sano*, tak i mowa jasna, czysta, prosta, jędrna, szlachetna, jest obrazem takiejże myśli, ale i środkiem, iżby myśl zachowała te przymioty. Język gruby, nieszla-

chetny, niestaranny, niepoprawny, oswaja stopniowo myśl z temi wadami i może ją nieznacznie prowadzić do zgłupienia i zdziczenia.

Z rozpoznania naszej literatury wynosi się to spostrzeżenie, że prawość i szlachetność ducha była istotną cechą i wielką jej chwałą przez wszystkie wieki jej istnienia. Miewała ona w tym ciągu czasu chwile wielkiej świetności i wzniosłości, jak miewała i chwile upadku. Ale nawet w swoich najgorszych czasach miała przecież ludzi, którzy nie zapominali o tem, co jest jej obowiązkiem pierwszym i głównym, o tem mianowicie, żeby narodu swego nie psuć, nie krzywić jego sumienia i nie mącić jego rozumu. Prawo Boskie, obowiązek względem bliźniego, obowiązek względem ojczyzny i społeczeństwa, rozumiała i wskazywała literatura polska z małymi wyjątkami trafnie i mądrze, od Długosza aż do dni naszych. Nie psuła ona narodu, owszem robiła co mogła na to, by go kształcić, poprawiać i podnosić. Ten przymiot najcenniejszy, ta największa zasługa względem narodu i rzetelnej, uczciwej, chrześciańskiej cywilizacyi, powinny utkwić nam w pamięci jako szlachetna cecha naszego piśmiennictwa i jako przykład obowiązujący na przyszłość.

Wincenty Pol.

Syn Franciszka, c. k. austryackiego radcy sądu krajowego, i Eleonory Longchamps, urodzony w Lublinie w roku 1807. Nauki pobierał (przeważnie prywatnie) we Lwowie i (przez jeden rok) w Tarnopolu, na uniwersytet uczęszczał we Lwowie. Wakacye i oprócz nich dużo czasu spędzał u krewnych i przyjaciół na wsi, i tam z towarzystwa i opowiadań starych ludzi, szlachty konfederatów, kozaków, księży, zaczął od młodości wciągać w siebie staropolskie podania i zamiłowanie dawnych czasów. Czytający z wielkim zapałem i zajęty szczerze historyą i literaturą, z trudnością zmuszał się do nauk przepisanych: stąd niepowodzenie w egzaminach. Gdy bez nich żadnej posady dostać nie mógł, a jakiejś potrzebował, zaczął jej szukać poza granicami Galicyi. Uniwersytet wileński potrzebował właśnie lektora języka niemieckiego: tam więc udał się Pol z listami polecającymi pod jesień roku 1830. Czy otrzymał nominacyę i czy rozpoczął wykłady, rzecz niepewna; w każdym razie, jeżeli się zaczęły, to nie trwały długo, bo z wiosną roku 1831. wyszedł Pol z Wilna z garstką towarzyszy, po długiem błądzeniu przedarł się do korpusu Giełguda i w nim służył aż do wyparcia tego korpusu za pruską granicę. Wtedy udał się z wielu innymi do Drezna: (tu znajomość z Mickiewiczem i stąd wycieczka do Weimaru dla widzenia Goethego). Z końcem roku 1832. dostał pozwolenie powrotu do Galicyi. Wrócił, ale znowu pozbawiony wszelkiej możności otrzymania stałej posady, szukał jej napróżno przez lat kilka, a zostając w ścisłych stosunkach ze znakomitszymi pisarzami i uczonymi we Lwowie, wydawał pierwsze swoje poezye i prozaiczne rozprawy (Pieśni Janusza 1833.). W roku 1837. ożeniony z Kornelią Olszewską, znalazł jakiś obowiązek u swego starego przyjaciela, Ksawerego Krasickiego

(z którego opowiadań napisał później Mohorta) i tam w Sanockiem mieszkał lat kilka. Z tego czasu pochodzą Przygody Benedykta Winnickiego (1839.) Wspomnienia z podróży, pierwsze prace geograficzne, Pieśń o ziemi naszej (1843.), i Obrazy z życia i podróży.

W roku 1846. mieszkał już w własnym majątku, pod Krosnem, i tu, podczas wypadków ówczesnych napadnięty w domu, pokaleczony, zaprowadzony był do więzienia i trzymany we Lwowie do roku 1848. Tu powstał przekład Psalmów pokutnych i wiersze więzienne (w zbiorowem wydaniu rozrzucone między innymi). W roku 1848. podczas zjazdu słowiańskiego w Pradze, napisał wiersz Słowo a Sława.

W roku 1850. powołany na profesora geografii fizycznej do uniwersytetu Jagiellońskiego, osiadł Pol w Krakowie; i wtedy zaczęła się druga epoka jego poetycznego zawodu. Piszący dotąd głównie w małych rozmiarach i w lirycznym rodzaju, teraz zaczyna on próbować się w większych kompozycyach. Wychodzi (1852.) Senatorska zgoda (1853.) Sejmik w Sądowej Wiszni, gawędy, które z poprzedniemi Przygodami składają Pamiętniki Benedykta Winnickiego. Usunięty z katedry w roku 1853. (razem z Helclem, Małeckim i Zielonackim), pozostał Pol w Krakowie i w wielkiej obfitości wydawał coraz to nowe dzieła. W roku 1854. ukazał się Mohort i zbiór mniejszych wierszy Z klasztoru i z boru; w 1857. Wit Stwosz i Przebolało. W tymże roku obywatele lubelscy odkupili dla niego ze składek wieś Firlejówkę pod Lublinem, która niegdyś była własnością jego rodziców. W r. 1859. przeniósł się do Lwowa. Stąd ogłosił Pacholę hetmańskie (1862.), Kilka kart z krwawego rocznika (1864.), Rapsod z wyprawy wiedeńskiej (1865.) i dramat Powódź. Potem powrócił do Krakowa na resztę już życia. Wydał Legendy o śtym Janie Kantym, Stryjankę, Pieśń o domu naszym (1868.), Pieśń o Krakusowym grodzie. W ostatnich latach ociemniał. Umarł 2. grudnia 1872.

Co przedewszystkiem odróżnia Pola od innych współczesnych poetów, to jego zupełna niezależność od obcych czy własnych wzorów. Nie ma on nic wspólnego w usposobieniu ani w formie z całym europejskim romantyzmem; nie ma w swoich uczuciach polskich nic mistycznego, w swoim sposobie myślenia i tworzenia nic mglistego, allegorycznego, jak wszyscy niemal nasi poeci jego czasu. Czysto-polski, staro-polski i staro-szlachecki charakter jego poematów, widoczny i w wyborze przedmiotów i w formie jaką im nadawał, jest nawet zjawiskiem dziwnem, jeżeli zważymy, że Pol był synem Niemca, że przez matkę znowu miał krew francuską; i jest pięknym przykładem tej zdolności przyswajania sobie pierwiastków obcych, jaką ma naród polski. Ta jego zupełna oryginalność i staro-polszczyzna niekoniecznie wychodziła na dobre jego poezyi: talent gdyby był więcej kształcony na różnych wzorach, myśl i wyobraźnia gdyby była przestawała w szerszych zakresach, byłyby zapewne wyrobiły się piękniej i dzielniej. Niezmiernie w swoim czasie wzięty i ulubiony, nie był Pol z natury wielkim poetą (brakło mu do tego twórczej wyobraźni i potężnej myśli), ani przez

kształcenie nie stał się wielkim artystą: niemniej ma zawsze prawo do sympatyi i uszanowania, i ma pamięć na zawsze zapewnioną w dziejach naszej literatury.

Sympatyę i wdzięczność ogółu zdobył sobie odrazu pierwszem swojem dziełem. Pieśni Janusza były zbiorem drobnych wierszy, piosnek, prawie wyłącznie patryotycznych i żołnierskich. Miały zaś tyle życia, tyle śmiałego zacięcia i tęgości, inne tyle rzewności i smutku, że ze wszystkich drobnych wierszy, natchnionych wojną roku 1831., one najwierniej może i najzupełniej oddawały ton powszechnego uczucia i są niezaprzeczenie szczytem naszej patryotycznej poezyi piosenkowej. Że do tego rodzaju Pol był doskonale usposobionym, dowodzą często jego późniejsze wiersze drobne.

Pieśń o ziemi naszej podniosła jeszcze jego sławę i miłość, jaką miał u publiczności polskiej. Właściwie jest ona pieśnią o zewnętrznej, geograficznej i etnograficznej stronie tej ziemi, i to niezupełną, bo Wielkopolska pominięta jest zgoła. Strona historyczna — dawne dzieje i walki lub późniejsze klęski i uciski — nie występuje tam wcale: w rzadkich tylko ustępach trafia się jakiś zwrot myśli do rzeczy głębszych. Pierwiastek uczuciowy, tak powszechny i górujący w naszej poezyi, a przy takim przedmiocie tak usprawiedliwiony i prawie konieczny, odzywa się rzadko i tonem cichym, jak żeby umyślnie stłumionym. Ton i charakter poematu jest raczej potoczny, gawędowy. Stąd wrażenie i uwaga, że tytuł był dla poematu za wielki, i zapowiadał więcej niżeli treść dotrzymała.

Jedyną kompozycyą Pola z pierwszego okresu jego zawodu były Przygody Benedykta Winnickiego, mały obrazek ze szlacheckiego życia XVIII wieku, ułożony z opowiadań bohatera samego, dobrze poecie znanego. Było w tem dużo życia i humoru: a choć srogość ojca niedorzeczna, bo do małej winy syna nie zastosowana, ukazywała tę przeszłość w świetle raczej przykrem (zatem nie takiem, jak poeta chciał), to jako jeden obrazek, jako wyjątek, w swoim rodzaju mogło być dobrem i podobać się. Pol utrwalił ten rodzaj, powtórzył go w swoich późniejszych poematach, stworzył poetyczną gawędę ze staropolskiego szlacheckiego życia. Każdy rodzaj może być dobrym w poezyi, byle był dobrze uprawiany: ale ten rodzaj nie można przyznać, iżby się był udał szczęśliwie. Soplica Rzewuskiego, ze starych opowiadań i anegdot układane obrazki, był zapewne wzorem Pola i posłużył mu za popęd, a ustne opowiadania starych polonusów (Winnicki, Ksawery Krasicki etc.) dostarczały materyału. Soplica był w swoim rodzaju arcydziełem, ale miał tę złą stronę, że poetyzował i w świetle nader ponętnem ukazywał życie polskie z najgorszych jego czasów, i z różnemi jego przywarami (próżniactwem, pijaństwem, nieposłuszeństwem dla prawa itd.). Pol w swoich Gawędach podobnie rozmiłowany w staropolskich cnotach (pobożności, dobroduszności, prostocie serca etc.), nie dość pamięta o złych stronach ówczesnego życia, i w poematach swoich wystawia je, albo nie domyślając się, że są złe i sprawie publicznej szkodliwe, albo przynajmniej uważając je za drobne usterki i upatrując w nich wdzięk sympatyczny.

Pod względem artystycznym znowu wpada w ten wielki błąd, że te stare anegdoty i tradycye podaje bez braku i przerobienia, wiernie, jak mu były opowiedziane; swoją wyobraźnią nic nie dopełnia, żywych figur nie kreśli, akcyi nie rozwija i nie prowadzi — słowem układa tylko w wiersz, ale zresztą podaje *in crudo* surowy materyał, jak mu był opowiedziany. Tasama treść, opowiedziana prozą, dałaby może obrazki tak dobre jak Rzewuskiego; podniesiona wierszem do godności poezyi, a bez jej koniecznych warunków (twórczej wyobraźni i sztuki), zostaje w sprzeczności ze swoją formą i stanowi rodzaj niewątpliwie nowy i oryginalny, ale rodzaj dotąd przynajmniej w poezyi nieświetny. Taka jest Senatorska zgoda i Sejmik w Sądowej Wiszni, które, dodane do dawnych Przygód Benedykta Winnickiego, składają niby jego Pamiętniki.

Że Polowi brakło wyobraźni twórczej i epickiej zdolności, dowodzi następujący, dotąd najsławniejszy z jego poematów, Mohort. I ten z ustnych opowiadań wzięty, jako materyał na poemat wdzięczny, mimo swego tytułu »Rapsodu rycerskiego«, został znowu gawędą tylko, dlatego, że do tego materyału wyobraźnia nic nie dodała, nic z niego nie wysnuła. Kresowy rycerz, niegdyś konfederat barski, ginący bohaterską śmiercią w wojnie roku 1792., mógł był stać się w poemacie postacią naprawdę bohaterską. Ale na to trzeba było, żeby był coś robił i działał. Tymczasem w opowiadaniach pana Ksawerego Krasickiego nic takiego nie było: on znał Mohorta w latach spokojnych, kiedy ten bawił się stadem i doglądał pasiek. Jest więc figura postawiona jako rycerska i bohaterska, a w dalszym ciągu są tylko drobne, potoczne sprawy anegdotyczne, do których dodana jest wiadomość o młodocianej niegdyś miłości Mohorta. Z takich scen potocznego życia — mogą się tworzyć najprawdziwiej i najcudowniej poetyczne obrazy: dowodzi tego Herman Goethego i Pan Tadeusz. Ale na to potrzebny jest epicki talent, dar i sztuka, czyli te dwa pierwiastki tworzenia, na których Polowi zbywa. Są ustępy ładne, ale tego bohaterskiego charakteru, jaki Pol chciał nadać swemu poematowi i jego głównej postaci, niema; niema też epickiej żywości i wyrazistości. Sama śmierć Mohorta, istotnie bohaterska i poetyczna, opowiedziana jest znowu sucho i po kronikarsku i wrażenia nie robi.

Wogóle jest w talencie Pola ten niedostatek, że kiedy wymyśli postać poetyczną, to nie umie wprawić jej w ruch i kazać jej działać. Tak jest z Mohortem, tak w Pacholęciu hetmańskiem z hetmanem Tarnowskim, którego drobne tylko sprawy i zwyczaje Pacholę zapisuje w swoim pamiętniku. Poemat ten ma być staropolskim dyaryuszem, podniesionym do poetycznej formy. Piszący go Maciej Różanka jest zrazu pacholęciem, później dworzaninem hetmana, po jego śmierci doradcą żony i syna, później dostaje się do niewoli tureckiej, na starość wraca do ojczystej wsi. Najdłuższy to z poematów Pola, a mimo treści z odległych czasów, mimo poważnego tonu i niektórych wypadków smutnych, zawsze w tymsamym gawędowym rodzaju.

Wit Stwosz, owoc lat i wrażeń krakowskich, zamiłowania do tego miasta i jego zabytków, jest opowiadaniem starego, ociemniałego

i w Norymberdze srodze skrzywdzonego snycerza o szczęśliwej młodości w Krakowie. Tłómaczy on w tem opowiadaniu, jakie miał natchnienia i zamiary, kiedy robił ołtarz Panny Maryi, nagrobek Kazimierza Jagiellończyka itd. Całe religijne natchnienie artystów średnio-wiecznych ma przebijać przez jego słowa, a późniejsze nieszczęścia przedstawione są jako kara za dumę i zarozumiałość. Wszelako ani wielkość tej jego winy ani wzniosłość tych natchnień nie daje się widzieć i rozumieć wyraźnie w jego opowiadaniu.

Wrażeń i wspomnień miejscowych, z Krakowa i jego okolic, znajduje się wiele w zbiorach mniejszych wierszy — Z klasztoru i z boru, i Przebolało. W tych drobnych rozmiarach i formach jest Pol wogóle szczęśliwszym aniżeli w większych: różnym rodzajom uczucia, pogodnym czy smutnym, rzewnym czy wzniosłym, daje często wyraz bardzo piękny; czasem wdzięk prostoty i tęsknoty, czasem powagę wysokiego poetycznego natchnienia. Podobnie Kilka kart z krwawego rocznika, na tle wypadków roku 1863. Z większych poematów Powódź, dramat, a właściwie dyalogowana powieść, jest raczej słaba. Stryjanka i Starosta kiślacki, obrazki staro-szlacheckiego życia, pogodne i wesołe, są w swoim gawędowym rodzaju wcale udatne. Mniej Legendy o śtym Janie Kantym i Dyaryusz z wyprawy wiedeńskiej. Zato Pieśń o domu naszym, dzieło starości, napisane do pary niby z młodzieńczą Pieśnią o ziemi naszej, ma więcej niż tamta poetycznego ducha i uczucia.

Był to w każdym razie talent niezwykły, niezaprzeczenie oryginalny, któremu (podobnie jak Zaleskiemu) zbywało do wielkości tylko na potężnej wyobraźni, może poniekąd na artystycznem wykształceniu. Jak Zaleski, tak i Pol, przez to, że zostaje zawsze w zakresie tychsamych form i pomysłów, staje się jednostajnym, a nawet w stylu swoim dochodzi do pewnej maniery. U Zaleskiego wyradza się ona z dźwięczności i ukraińskiej tęsknoty, u Pola jest staroszlachecką, niekiedy przesadnie i niezrozumiale archaistyczną w wyrażeniach. Mimo tych wad, jest on w tym okresie przejściowym, między następcami wielkich poetów, niezawodnie najzdolniejszym. Stworzył nową osobną formę poetyczną, której można wiele zarzucać, ale której tego odmówić nie można, że była własną i oryginalną. W Pieśniach Janusza miał dużo tęgiego żołnierskiego ducha, w późniejszych wierszach lirycznych dużo rzewności, czasem prawdziwą wzniosłość i natchnienie. Zrazu nad miarę może chwalony, później znowu poniżany nad miarę (za swoją pobożność i swoje przywiązanie do staropolskiego życia i obyczaju), okrzyczany był niesłusznie, jakoby chciał był świat dzisiejszy podług tamtego zmieniać. Jakkolwiek w dawnym obyczaju poetycznie rozmiłowany, wiedział on dobrze, że dawne formy życia przywrócić się nie dadzą i o tem nigdy nie myślał. Że zaś z dawnego ducha chciał utrzymać i utwierdzić wiarę, prostotę obyczaju, prawość i miłość ojczyzny, to za zaszczyt tylko i zasługę policzyć należy i jego rozumowi i jego obywatelskiemu duchowi.

Z PIEŚNI JANUSZA.

Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani,
Świat tumany ciemią;
Jadą, jadą ułani
Sandomierską ziemią.
Białe na nich wyłogi:
»Dyć to pułk nam znany!
»A gdzież Jonek z Ożogi?
»Gdzie nasz brat kochany?
»Wszyscy święci anieli!
»Cały pułk już minął —
»Gdzieście brata podzieli?«
Zginął! — rzekli — zginął!
A wtem znowu ktoś jedzie:
Dwóch ułanów czesze;
Jeden konia z nich wiedzie,
Drugi ognia krzesze.
Koń się szarpnął przed górką,
Zarżał, urwał wodze
I co wyskok w podwórko
Poleciał po drodze.
»O dla Boga! dla Boga!
»Skądże go to macie?
»Wszak to konik z Ożoga,
»Konik po mym bracie!
»Oj sierotą już chata,
»Kiedy on zabity!
»Gdzieżeś podział mi brata,
»Koniu jabłkowity?«
A obadwa ułani
W podwórko przybyli
I obadwa stroskani
Na dziewkę patrzyli:
»»Zatrzymajcie go sobie!
»»Nikt go wam nie bierze;
»»Oj wasz Jonek już w grobie —
»»Tu jego szkaplerze!
»»Jam je zabrał w szczerości,
»»Bo legł od Moskala,
»»A tych naszych świętości
»»Niechaj wróg nie kala!
»»Możeć moje szkaplerze
»»Da tam kto ojcowi!
»»No, niech Bóg was tu strzeże —
»»Bywajcie nam zdrowi!««

Z MOHORTA.

Rzecz cała włożona jest w usta Ksawerego hr. Krasickiego, który poecie wiele opowiadał o Mohorcie. Znał on osobiście tego rycerza kresowego, bo za młodu pod jego okiem ćwiczył się w sztuce wojskowej, a nawet obecny był przyjego śmierci.

Wyprawiony przez rodziców, przybywa Ksawery Krasicki na kresy i udaje się do strażnicy Mohorta.

...Noc już zapadła od godziny blisko,
Gdym wkońcu stanął na luce strudzony,
Gdzie pan porucznik miał swe stanowisko;
Jemu listami byłem polecony.
Po drodze nocny rozjazd mnie powitał
I przeprowadził do samej granicy;
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potem samego puścił do strażnicy.
Zwolna wstąpiłem do izby ponurej,
Którą z nad półki kaganek oświecał,
A od tej półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wąskim się pasem po izbie rozścielił;
W wielkim kominie płomień czasem strzelił
I zbiegł wężykiem po szybach od okna.
A izba była pusta jak stodoła:
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
I prócz proporca — nic więcej nie było.
Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przede mną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury;
Na koźle z drzewa uciosanym siedział
Niby na koniu, a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał.
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,
Że więcej prawie podobien z daleka
Był do posągu niźli do człowieka.
Był to pan Mohort. A gdy przed nim stałem,
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojąłem,
Dlaczego ojciec mówił: »Czołem! czołem!

I nie zapomnij waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać pana porucznika!«
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.
Długo myślałem, co robić wypada:
Zbudzić? nie budzić? — Trudna była rada!
Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
Wtem brzęknął pałasz od przeciwnej strony,
A pan porucznik rozwarł zwolna oczy —
— Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
— »Na wieki wieków!« — z cicha odpowiada
I z kozła swego niby z konia zsiada,
A potem trochę kagańca poprawił,
A potem rzucił na mnie wzrok surowy
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy
I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
— »Jak się dzień zrobi, to i list wyczytam,
A teraz syna pana Antoniego
Jako krew bratnią z poczciwością witam!
Dziś już za późno i jestem na służbie,
Lecz jutro waści na kresach podrużbię;
Już tu niejeden pierwsze żołdy czynił,
Więc po staremu będę gospodynił...«
Poszedł ku półce, kędy stał kaganek,
Do owych sznurów za zegar służących,
Policzył węzły na knotkach płonących
I rzekł: »Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze,
Czekam tu waści!« — Potem krzyknął: »Służba!«
Starszy towarzysz, człowiek już niemłody,
Wstąpił do izby. — »No, przybył nam drużba!
Dacie mu nocleg, a koniom wygody!«
Rzekł pan porucznik i zlecił nas Bogu
I przeprowadził oczyma do progu.

Następnie, zawsze przez usta hr. Krasickiego, kreśli poeta obraz służby wojskowej na kresach, charakter i sposób życia Mohorta; potem opowiada, jak Mohorta sprowadzono do Warszawy, ażeby księcia Józefa Poniatowskiego polskiej komendy nauczył (pieśń II); jak po niejakim czasie książę przybywszy na Ukrainę, ażeby objąć komendę hufców narodowych, odwiedził Mohorta i oglądał jego stadninę, futor i pasiekę (p. III); jak wreszcie w r. 1792. Mohort, jadąc do obozu ks. Józefa, w rozmowie z Ksaw. Krasickim przypomina sobie szczegóły swego nie-

gdyś przybycia na Ukrainę (p. IV) i powody, dla których ojczystą Litwę opuścił na zawsze (p. V).

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla szeroka i niby bezpieczna;
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.
Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania
I pan Kościuszko przednią straż prowadził
I był się znacznie przodem już odsadził.
Głównym korpusem sam książę dowodził,
A w tylnej straży komendę generał
Wielhorski miał i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.
Marsz trwał dzień cały. Pod wieczór się miało,
I boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą, most za sobą spalić
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół; jakoż po dwa razy
Przysyłał książę z takimi rozkazy.
Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą;
A nim most stanie aż nazajutrz z rana
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi,
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi —
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi;
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.
Gdyśmy na groblę weszli boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie... Poczęło się mroczyć,
Śpieszno nam było — więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć.
Generał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie
I wołał: »Stępo!« tak silnie i karno,
Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.
Wtem straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennej trwogi wzbiły się w niebiosy.
— Co tam?! — Na przedzie most się nagle zwalił,
A nieprzyjaciel w tejżesamej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił —
I na trzech liniach czysto jak po miotle,

A koło mostu zawrzało jak w kotle;
Z ludzi i koni niby kra się sparła.
Gdy się most zwalił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła
I woda buchła nagle rzeką całą
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało
I wpław do stawu i z grobli na błota;
A i ranionych było już bez liku.
Po trupie Mohort przedarł się na siłę
I do rotmistrza, który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał, rzekł: »A to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!«
I jak duch bitwy stanął na mogile
I powiódł wkoło oczyma przez chwilę
I krzyknął: »Baczność! równaj się szóstkami!«
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał, że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.
»Ja pójdę naprzód i pierwszy się rzucę;
Ty stój w odwodzie! Jeżeli nie wrócę,
Zaraz też w pędy idź z drugim oddziałem« —
Rzekł do rotmistrza i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
»I jedna wiara — mówi Paweł święty!«
Z dział uderzono — i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: »Teraz na nas praca!
Marsz!« — i już cały drugi zastęp w locie.
Wpadamy, patrzym — a działa w odwrocie
I kanoniery leżą już pod koniem.
Więc za działami jeszcze chwilę gonim,
A potem stajem, kędy stały działa;
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.
Koło północy stanął już most nowy;
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi... Wtem rozruch na przedzie
I głos podają: »Książę! książę jedzie!«
Książę z raportu już o wszystkiem wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały... Rzekł: »Szkoda mej Litwy!
I jakże zginął?« — »»Jak giną rycerze! —
Rzekł Ostaszewski. — Jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!««

A książę na to: »Ha! nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować«.
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami
I na mogile ogień nałożono.
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie
I kazał na nim złożyć towarzysza.
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie,
Aż gdy grób cały wkońcu był zasuty,
Rzekł książę tylko do obecnych tyle:
»Żył z szablą w ręku — niech leży w mogile!«
A towarzysze przyklękli na grobie
I pieśń żałosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca, gdy podjętym bywał:
Czas do domu, czas!
Zabawili nas!
A potem na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła wkońcu nawet straż ostatnia;
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żałość bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żałości tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy śród nocy się palił.

PRZEBOLAŁO.

Gdzieżeś, gdzieżeś, wieku młody?
Gdzie podziały się te czasy?
Gdzie przejrzyste moje wody
I zielone moje lasy?
Gdzież są owe ludzkie twarze
I dusz czystych Boskie dary?
Ach, i święte te ołtarze,
Kędym pierwsze niósł ofiary?
Gdyby jeszcze taka chwilka
Zawitała z ranną zorzą,
Gdyby takich uczuć kilka
Padło w duszę rosą Bożą!
Gdyby takie głosy wieszcze
Pan do duszy zesłać raczył,

To nie tylkobym przebaczył,
Ale mógłbym kochać jeszcze!
Boć bogate niby wiano
Było życia mego rano,
Czyste, ciche i szczęśliwe,
A jak ziemia miłościwe.

Stary dworzec modrzewiowy
Stał na kępie; wkoło wody
Były sady i ogrody,
W dali łąki i dąbrowy.
Smutne świerki nad sadami
Były widne już z daleka,
A za sadem i lipami
Był tam futor i pasieka.
W niejto miałem przyjaciela
W starym naszym pasieczniku
I radości tam bez liku
W dniach dzieciństwa i wesela.
Był to starzec tak życzliwy
I jak słońce tak pogodny,
Jako dziecko tak łagodny,
A jak ziemia miłościwy!
On mnie szczepić uczył drzewa,
On poznawać uczył zioła;
Co się zbiera, co się siewa
I jak żyje w ulu pszczoła...
Z nim na mannę i na grzyby
Biegłem w łąki i w dąbrowy,
I w dzień postny z nim na ryby
I na kwiaty w dzień godowy.
A w południe, gdy wesoła
Na świat cały grała pszczoła,
Utrudzony wśród pszczół brzęku,
Usypiałem mu na ręku.
Jak pustelnik albo święty,
Pracowity i modlący,
Wiecznie skrzętny i zajęty
I zabiegły a milczący
Tak poczciwie się zachodził,
Jak staranne jego pszczółki;
Zbierał zioła, wonne smółki,
Wkoło sadu nocą chodził.
I gromadził i hodował,
Co być mogło pożyteczne,
Lecz dla siebie w sercu chował
To jedynie, co jest wieczne...

Więc w prostocie i w pokorze
Miłosierdzie wielbił Boże,
Co nam dało łąki, gaje
I owoce i ruczaje
I bliźniego twarz w uśmiechu
I tę pszczółkę, co bez grzechu,
A największą słodycz daje!
Jak Bóg Ojciec gospodarzy,
Sypiąc dary w swej dobroci,
I bez zasług ziemię darzy
I pociechą życie złoci —
Tak i on tam gospodarzył
W swej pasiece miłościwie
I darami ziemi darzył
I oświecał mię życzliwie.
Wszystko było tam do składu:
Gdzieś w króbeczce i jagoda
I najźralszy owoc sadu
I kryniczna zawsze woda.
Tam też biegłem na przysmaki;
I ochotnie były dane
Plastry miodu i łuszczaki,
Z pod wiewiórki podebrane.
Wiosną słowik tam zawodził,
Kiedy kwilił do gniazdeczka;
Latem chruściel tam podchodził
I wabiła przepióreczka.
I już takich dni słonecznych,
Dni miodowych i dni mlecznych,
Gdzie pierś matki ziemi ssałem —
Nigdy więcej nie zaznałem!...
I po dziś dzień duszę jeszcze
Tem wspomnieniem tylko pieszczę!...
Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
Kiedy żywot mi zacięży,
Kiedy upał pierś wysuszy,
Tęskno w sercu, czarno w duszy,
Ciężko dźwigać i daremno:
Staje futor ów przede mną
I pasieka z swoim chłodem
I krynica z swoją wodą,
Ach, i ziemia z tą swobodą,
Co płynęła mlekiem, miodem.
A gdy duszę ukołyszę,
To wyraźnie niby słyszę
Głos mi znany, choć daleki,
Jak od łąki czy dąbrowy:

»Porzuć, porzuć świat jałowy,
A powracaj do pasieki!«
Gdzieżeś, gdzieżeś, przyjacielu?
Mój ty stary pasieczniku,
Pierwszy mój nauczycielu,
Bogobojny pustelniku?!

II.

W starym zamku króla Jana
Był tam pokój w narożniku;
W okna biła zorza rana
I stoliczek stał w kąciku.
Na nim pióro, kałamarzyk,
Kilka skryptów, książek parę;
A nad łóżkiem relikwiarzyk,
A przy łóżku krzesło stare...
Wielki komin marmurowy
Płonął nocą w drugim rogu;
Nad nim hetman stał surowy,
Co ojczyznę zlecił Bogu...
A na środku tej komnaty
Stał stół duży, a na stole
Stał krucyfix strojny w kwiaty.
W tymto domu, w takiej szkole
Uczył mentor mnie miłości
Przy porannej owej zorzy;
I pierwiastki mej młodości
Jam bojaźni święcił Bożej...
Ksiądz Bazylian, starzec siwy
I zakonnik miłościwy,
Był podówczas mym mentorem
I za jegom stąpał wzorem.
Święte były jego ślady,
Mądre mowy, wielkie rady!
Bo czy uczył czyto prawił,
Tylko światu błogosławił;
I co dobrem tylko było
I czem życie się zbroiło,
To od niego wszystko wzięte!
Bo w pokorze mię układał,
Dzieje Polski, Pismo Święte
I Plutarcha opowiadał.
A gdy prawił Greków dzieje,
Ze czcią patrzał w twarz hetmana;
Gdy miłości i nadzieje,
Na Chrystusa patrzał Pana.
A gdy bliższe dzieje prawił,
Czasem ręką tylko rzucił,

Z relikwiarza ócz nie zwrócił
I domowi błogosławił.
Błogosławiąc, nic nie gadał
I podobien był świętemu.
A jam do nóg jego padał
I płakałem — nie wiem, czemu...
Wówczas mawiał mi w miłości:
»Błogosławię twej młodości!
A jeżeli dola sroga
Cię wybierze na boleści,
To niech obok nich się mieści
W sercu twojem wielkość Boga!«
Po nauce po dniu całym
Wracał mentor do klasztoru;
A ja sam już zostawałem,
Sam — z kozakiem od wieczora;
I nie miałem towarzysza
Prócz człowieka do usługi;
Kozak, komin, nocna cisza —
To młodości mentor drugi.
Z Ukrainy był on rodem;
Tęsknił po niej jak po raju,
Bo wiązała go z narodem
Pieśń od Dniepru i Dunaju.
W zamku zwano go sokołem,
Bo sokole miał też oko;
W świat poglądał hardem czołem,
A już serce tak wysoko
Nosił w piersi, że z postaci
Niktby pewnie go nie ganił
Wśród rycerskiej nawet braci,
Gdyby hufcom zahetmanił.
Słów niewiele — wiele treści,
Wiele życia w oku, w ruchu,
W sercu wiele miał boleści
I rozpaczy pięknej w duchu.
Jednem słowem umiał zganić
Lub przytulić i pochwalić;
Umiał rzutem oka zranić
I pochwycić lub zapalić.
Onto serce me zagrzewał
I do konia mnie układał
I wieczorem dumy śpiewał,
Nocą gadki opowiadał.
I pod niego, chłopię małe,
Jam się tulił w tem zamczysku
I wieczory, noce całe
Siadywałem przy ognisku;

I przy jego pieśni dźwięku
Jam usypiał mu na ręku.
»Dziś, paniczu, wyście młodzi;
Lecz gdy dojdą wasze lata,
Znać wam trzeba, że ze świata
Milczkiem schodzić się nie godzi!...
»Wiele w świecie się przedziało,
Dziać się będzie jeszcze wiele;
W stepach mogił tam niemało
I niemało dusz jest w ciele...«
Tak mi mawiał — a ta gadka
I ta jego pieśń ponura,
To mych pierwszych natchnień matka,
To mój Homer i Padura!
I po dziś dzień w duszy jeszcze
Grają jego pieśni wieszcze.
Gdy świat zmroczy mgła jesienna,
Gdy zatęsknię do ogniska,
Gdy nadchodzi noc bezsenna,
A pierś ciężko coś uciska: —
To po dziś dzień, wielki Boże!
Jak się wsłucham w nocną ciszę,
Jak się w tamte czasy wdrożę —
To pieśń jego jeszcze słyszę,
Jak od stepów, jak od szlaku...
Gdzieżeś, gdzieżeś, mój śpiewaku?!

Z PIEŚNI O DOMU NASZYM.

WSTĘP.

Ducha karmę, niebios rosę —
Komu sercem złożyć — komu?
A czy wiecie, co wam niosę?...
Dziś wam niosę »Pieśń o domu«.
Pieśń o starym domu naszym,
O Piastowym domu laszym,
Co na roli ojców stoi
Z lat tysiąca w ziemi twojej.
Więc przyjdź do mnie, bracie młody.
Bo na wielkie spraszam gody,
Do wielkiego dziadów stołu —
I odprawim je pospołu.
Nie jest moje, co przynoszę —
I zrozumieć to potrzeba,
Gdy na ucztę dziadów proszę,
Że te dary dane z nieba.

Dzisiaj, moi towarzysze,
Ja wam polski dom opiszę:
Jego skarby i nadzieje,
Jego węgły i koleje.
Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali —
To ten dom wasz w Panu strzeże.
Więc ni z drzewa ani z cegły
Dom ten stawił wiek ubiegły:
Duch tu Polski budowniczym —
To nie zburzyć domu niczem!
Ni powodzią ni pożarem,
Ani mieczem ni rozbojem:
Bóg zamieszkał w domu starym —
Duch zamieszkał w domu twoim.
A dla wiary i dla ducha
W ziemi dziadów śmierci niema;
Choć rwie wieków zawierucha,
Dom się w węgłach swoich trzyma.
I dostoi i przestoi
Wszystkie burze, wszystkie złości —
Bo krew dziadów we krwi twojej,
A kość żyje w twojej kości.

XX.

Oto moja »Pieśń o domu«,
Którąm wyniósł wam z pogromu,
Bo stać może na wyłomie,
Jak duch tylko pieśń w tym domie.
Oto domu twego węgły:
Krew i dzieje, kościół, księga;
Oto sojusz zaprzysięgły,
Co od ziemi w Niebo sięga.
W tymto domu, w tem przymierzu
Stój, rolniku i rycerzu!
To, com z mleka matki wyssał,
Jam krwią serca w pieśni spisał;
I przebyłem straszne lęki
W tej mozole mego ducha —
Ach! i poszło z polskiej męki,
Co się łatwo w pieśni słucha.
Więc niech krwawy ten nabytek
Niech wam idzie na pożytek;
I niech pieśń ta skarbów strzeże,
Których woda nie zabierze,
Których ogień wam nie spali
Ani weźmie ostrze stali!

Kiedym w świat szedł sercem z młodu,
»Pieśń o ziemi« dla narodu
Jam wam poniósł; dziś z pogromu
Ja wynoszę »Pieśń o domu«.
Byłem stróżem tej korony
Wielkich skarbów — dzisiaj staję
I domowi skarb oddaję,
Jako został mi zwierzony
Od sług Bożych, od rycerzy,
I od matron wielkiej cnoty
I od polskich tych szermierzy
I od ziemian, od prostoty
I co poszło z Bożej rady
I z serc czystych w tej ojczyźnie,
Od wybranych i gromady —
To wam składam tu w spuściźnie.
I niech pieśń ta ziemią płynie
I niech lepszą przyszłość wita;
I niech w Piastów tej krainie
To odnieje, co w niej świta!
Jak wierzyli — i my wierzym:
Synem byłem i rycerzem
Onej ziemi z woli Bożej;
A kto serce ma i ducha
I tej pieśni się przysłucha,
Na mym grobie kord położy.

Z OBRAZÓW Z ŻYCIA I PODRÓŻY.

Z TATR.

Po raz pierwszy w całej okazałości pokazują się Tatry z wysokości Gorca, tak zwanego pasma gór, na którym kościół świętego Krzyża stoi, ponad drogą wiodącą od Rabki do Nowego Targu. Widok ten jest tak uderzający, iż niepodobieństwem jest tu się nie zatrzymać i nie oddać się jemu z całem zajęciem duszy. Najbliższe pasma Tatr są tu w prostym kierunku na sześć, siedm, do dziewięciu mil oddalone, a pomimo to wydają się tak bliskie, iż zda się, że wyciągnąwszy rękę, sięgnąć ku nim można!

U stóp Gorca leży Nowotarska dolina, równa i zielona, przerznięta wodami obu Dunajców i Białki; a z tej równiny podnoszą się odrazu skaliste turnie Tatr ostremi liniami, kolorytem swoim i oświeceniem każdej chwili dnia i nocy zupełnie odmienne od reszty krajobrazu.

Tatry nie mają ani lodowców ani linii wieczystego śniegu, lubo już na tej wysokości bywa gdzieindziej linia śniegów wieczystych; one wszakże, na wszystkie strony polskim i węgierskim wiatrom przystępne i burzom, które się około nich głównie gromadzą albo od nich ku równinom Polski i Panonii ciągną, nie wstrzymując się na podgórzach, nie mają linii wieczystego śniegu, bo zmienność temperatury nie pozwala się jej ani utworzyć ani stale utrzymać. Stąd główna zachodzi różnica pomiędzy widokiem i oświeceniem Alp a Tatr.

Kończyny Alp, lodowcami i śniegami wiecznie okryte, bledną i oświecają się coraz więcej ku górze i przechodzą prawie w jasny seledyn, w którym gra słońce; stąd wydają się widoki alpejskie najuroczyściej w pełnem oświeceniu słońca lub księżyca... W kolorycie Tatr brak tych dodatnich kolorów; szaro odrzynają się turnie na niebie — ciemna lub ruda zieloność i granat przeważa w całym krajobrazie. Najpowabniej wyglądają tedy Tatry z oddalenia widziane, oświecone wschodem lub zachodem słońca, kiedy się turnie ostremi liniami oświecą, a olbrzymie cienie turni na całe mile przewleką! Widok olbrzymich mas, tak dziwnie oświeconych i ukolorowanych, wprawia umysł w jakieś urocze osłupienie, w jakieś zapomnienie i zadumanie nieznane. Bo wszystkie kolory tęczy grają tu w miarę oświecenia — cała dusza żyje w oku. A zaczarowanie to powiększa jeszcze gra ruchomej mgły, widokom tatrzańskim właściwej, która z każdą chwilą krajobraz odmienia — i wieczysty szum wód górskich, który duszę, zachwyconą widokiem, w tem zaczarowaniu utrzymuje!... I zdaje się patrzącemu na ten świat, że się jakiś wielki dramat w naturze odgrywa!... Wszystko jest tu wieczyście spokojne i wieczyście żywe! A kiedy urodzajne równiny nasze są niejako prozą natury — są góry nasze jej poezyą! Ta poezya natury wyraża się głównie kontrastem ruchomych mgieł i szumu wód — do niezmiennego spokoju olbrzymich mas! Tak pełną piersią, tak czystem powietrzem nie oddycha się nigdzie!...

... W pobliżu Morskiego-Oka znacznie utrudniona jest droga, bo zawalona blokami granitów; ale jakże wynagradza trudy przebyte widok Morskiego-Oka, gdy się już na grobli stanie! Prześliczne jezioro rozlewa tu się w olbrzymiej kotlinie, którą dokoła obstąpiły nagie turnie, wznoszące się pionowo prawie z nad brzegów jeziora! Wody jego są czyste i przeźroczyste, mieniące się podług oświecenia i pogody dnia. Koloryt tych wód jest tak żywy w pełnem oświeceniu słońca, iż tu dopiero podobieństwo do

granatu pawiego oka w wachlarzu pawia jest uderzające! Zwykle przybierają wody kolor nieba; niesłychana wszakże głębia nadaje tu wodom zupełnie odrębny i właściwy koloryt żywego seledynu po brzegach, a mocnego mieniącego się granatu po toniach. Wody są tak przeźroczyste, iż każdy kamień na dnie leżący jest widny i ze znacznej nawet odległości widać pstrąga płynącego w wodzie, a nadto jeszcze cień jego przesuwający się na dnie jeziora.

Na pierwszy rzut oka nie wydaje się Morskie Oko tak obszernem, jak jest w istocie; wszakże gdy się brzegi jeziora ożywią, gdy się podróżni i górale rozsypią po brzegach i turniach, a na oko niby niewiele oddaliwszy się, wyglądają jak małe, szare, ruchome punkciki — wówczas dopiero rośnie widok ten w olbrzymie rozmiary!... I śmiało można powiedzieć, że jezioro staje się tem większem, im dłużej przy niem się bawi. Na grobli znajduje się szałas, ku wygodzie podróżnych zbudowany, a na brzegu pod szałasem upięta jest duża tratew, na której kilkunastu ludzi przewieść się może ku przeciwległym brzegom. Otóż wówczas dopiero, gdy ta tratew w połowie jeziora już płynie — wydaje się jak ciemna linijka tylko, posuwająca się po kryształowej powierzchni... I wówczas dopiero ocenić można — czyto patrząc za płynącymi od brzegu czy płynąc samemu na tratwie — coto za wielkie jezioro! jak olbrzymie masy gór dokoła je obstąpiły!

Gdy się zbliżamy do przeciwnych brzegów, słyszymy cichy szum wody, który z każdem uderzeniem wiosła rośnie. Pionowa prawie ściana wznosi się z brzegów jeziora do połowy turni, a wielkie smugi niby śniegu przeciągnęły się po niej pasmami. Smugi te wydają się nieruchome; wszakże w miarę dopiero przybliżania się i rosnącego szumu poznaje każdy, że to są żywe wody, które z tej wysokości urywają się, spadając w pionowych prawie spadkach z jeziora, które się wyżej jeszcze rozlało, w nowej kotlinie wśród samych już turni... Wodospad ten nazywają roztoką, a jezioro, z którego wypływa, Czarnym stawem. Skała, po której się ten wodospad zmyka, wydaje się z oddalenia pionową i jest rzeczywiście taką; po łomach jednak olbrzymich bloków prowadzi obok niego ścieżka na wierzch tego skalistego upłazu, gdzie się w wielkiej kotlinie Czarny staw rozlewa... Nie darmo tak go nazwano — jest to kraina śmierci! Dzikość natury występuje tu i we wszystkich liniach i w całym kolorycie!... A kiedy kotlinę okryją mgły, pomiędzy szczytami turni zawisłe, szarem niby sklepieniem — wówczas wygląda kotlina jeziora jak czarny, przepa-

ścisty krater, który pod nogami zieje... Tu już niema ani rośliny ani żadnego głosu natury! Wodospad tylko zdaje się żywą rozpaczą wód, lecących w przepaść!... Jeżeli gdzie, to tu pragnie człowiek strzałami obudzić echo niemych skał, ażeby się choć za jego przyczyną ozwał grzmot echa po górach!...

... Wyraźna jakaś tęsknota ogarnia serce, gdy przyjdzie rzucać Tatry, które rosnąć się zdają w miarę oddalenia...

Dolina Nowotarska zamyka się na wschodzie dwiema nagiemi skałami. Jak orle gniazda siadły tu dwa zamki, na początku skalistego wyłomu Dunajca naprzeciwko siebie: po naszej stronie wznosi się śmiało Czorsztyn, sławny pamięcią starego swego dziedzica, Zawiszy Czarnego; — po węgierskiej zamek Niedzica, założony tu niegdyś, na tem pograniczu, przez polskich rycerzy, z domu Gryfitów. Czarny i Biały Dunajec w połączeniu z Białką płynie tu szerokiem, okazałem łożem... Szum jego wód odpowiada rozmiarom Nowotarskiej doliny, a kolor jego wód jest tu prześliczny.

Od Czorsztyna poczyna się wyłom Dunajca przez Pioniny. Tak nazywają się skały, które on przerywa, a które pionowo do wód jego spadają... Od Czorsztyna wsiada się w łódkę, bo tylko z łódek dają się obejrzeć wszystkie piękności tego skalistego wyłomu, którym Dunajec na przestrzeni kilku mil od Czorsztyna do Krościenka płynie. Potrzeba sobie tedy wyobrazić jednolitą, skalistą masę, przeprutą łożyskiem najszumniejszej rzeki, w biegu bardzo krętej, tak, że każda chwila na każdym zawrocie Dunajca coraz nowe ściany, przepaści i żłoby odkrywa i coraz inne odsłania widoki!... Dodać tu trzeba, że łoże rzeki jest na całej tej przestrzeni najeżone skałami, progami i wirami, pomiędzy którymi z niesłychaną szybkością łódka się przemyka lub z których razem z pieniącemi się wodami spada. Na spadku tych progów biją fale nieraz wyżej na sążeń od łódki!... I nie wiedzieć, co jest bardziej zajmujące: czy wrażenie tych coraz nowych widoków, które się na każdym zawrocie rzeki odsłaniają, czy myśl o sobie i niebezpieczeństwie, czy o tych czarach, które pochwycają duszę?...

Nieraz zapędzi się łódka z taką gwałtownością ku skale zamykającej cały widnokrąg, iż zdaje się, że niechybna zguba tu grozi! Ale góral, sterujący na przedzie, odtrąci się wiosłem od skały, popchnie na prąd łódkę na nagłym zakręcie rzeki — i do razu odkrywa się nowy widok całego wyłomu, przy którym o niebezpieczeństwie zapomnieć potrzeba. Z nagłych progów spadłszy,

wypływa łódka na kryształowe tonie, które spokojnie jak jezioro stoją... Sternik odkłada wiosło, łódka płynie tak spokojnie, iż ledwo poruszać się zdaje, a sternik zaczyna rozpowiadać legendy o św. Kindze, która tu w tych Pioninach z ludem pospołu żyła w zamku pionińskim, zwanym Koroną św. Kunegundy.

Nic nie równa się z tą przejażdżką na łodzi przez Pioniny! Są to niby resztki szalonego karnawału natury górskiej! I każdemu, co Tatry zwiedza, radzimy zakończyć tę wyprawę przejażdżką na szumnym Dunajcu!...

Kornel Ujejski.

Syn Erazma i Ludwiki z Wolańskich, urodzony w r. 1823. w Beremianach w obwodzie czortkowskim w Galicyi. Szkoły odbył w Buczaczu, uniwersytet we Lwowie. W tych latach młodzieńczych zaczął pisać swoje pierwsze poezye i to z niepospolitym talentem. Maraton n. p. napisany, kiedy poeta miał lat zaledwo dwadzieścia, ma taką siłę uczucia i wyrażeń, taką sztukę układu i taką żywość przedstawienia, że zapowiadał wielkiego poetę. Forma też bardzo piękna, wiersz i język niezmiernie poprawny i czysty, a przytem żywy, jędrny i dźwięczny, styl własny, z nikogo nie naśladowany, to były przymioty, które młody poeta pokazał przy pierwszem wystąpieniu i które mu zostały na zawsze. Wypadki roku 1846. zmusiły go do wyjazdu za granicę; tu poznał się z Mickiewiczem, zaprzyjaźnił ze Słowackim; stąd dostał się do kraju pierwszy drukowany zbiór jego poezyi, Skargi Jeremiego. Wrażenie zrobiły one wielkie. Oprócz wyżej wskazanych zalet, miały jeszcze tę, że w wielu swoich ustępach dawały wierny, gorący, potężny wyraz uczuciom i usposobieniom ówczesnym. Rzadko kiedy pierwszy występ młodego poety był tak szczęśliwy, tak wiele obiecujący. Słuszność każe nie zapominać o tem, że przez poetów starszych (a zwłaszcza trzech wielkich) strona techniczna poezyi była doskonale wyrobiona, a w tem dla następnych było wielkie ułatwienie. Ale niemniej mało kto z tych następnych umiał tak dobrze jak Ujejski korzystać z tych wielkich poprzedników, nie naśladując ich. Na Ujejskiego formę, jak na jego pojęcia i uczucia, najsilniej działał Słowacki, i wpływ jego daje się rozpoznać wyraźnie — ale wpływ tylko, nie naśladowanie. W rytmie i dźwięku, w budowie strof, działał niekiedy i wpływ Zaleskiego, ale znowu bez naśladowania.

W roku 1848. wrócił do kraju, osiadł we Lwowie, następnie na wsi w Zubrzy pod Lwowem, i w latach najbliższych wydawał szybko i obficie nowe zbiory poezyi (Kwiaty bez woni, 1848. Zwiędłe liście, 1849. Melodye biblijne, 1852.). Zachował w nich właściwe sobie przymioty: język i wiersz miał zawsze śliczny, nieraz wielki popęd i siłę uczucia, którą w swoich młodzieńczych dziełach okazał w stopniu może najwyższym. Odrazu, jednym skokiem stanął na szczycie

swojego zawodu, a później już się nie rozwijał i nie postępował. Talent, nie zasilany nowymi zasobami myśli i pracy, nie mógł wydobyć z siebie tych wszystkich sił, jakie miał z natury. Nie wyczerpał się, bo poeta pisał mało i nie wpadł w powtarzanie siebie samego, ale stanął na miejscu. Uczuciowy przedewszystkiem, Ujejski miał szczęśliwą znajomość swego talentu i pisał same wiersze liryczne. Raz jeden spróbował się w dramacie (Samson), ale napisał tylko akt pierwszy, w którym daje się widzieć właściwe mu usposobienie liryczne: talent dramatyczny musiał być słabszy, skoro ten pomysł Samsona został tylko próbką i fragmentem.

W latach dojrzałych i w wieku już późnym mało dodał Ujejski do swoich dawniejszych zbiorów, ale i w tych późniejszych poezyach są zalety podobne jak w dawnych. Jedyną różnicą jest pewien realizm, jakiego dawniej nie bywało, a który teraz zjawia się w niektórych wierszach i wcale szczęśliwie (na przykład Za służbą). Illustracye do niektórych kompozycyi Chopina, w których tłómaczy słowami myśl muzycznego utworu i oddaje jego charakter, a nawet rytm naśladuje, przez niektórych cenione bardzo wysoko, są w każdym razie godne uwagi, a nieraz pełne wdzięku i zadziwiające lekkością.

Ujejski mieszka teraz na wsi, częścią w Pawłowie koło Radziechowa, częścią w Wygnance, w powiecie czortkowskim. Między naszymi lirycznymi poetami będzie miał zawsze miejsce wysokie, a w niniejszym okresie był pod tym względem niezawodnie pierwszym. Niektóre wiersze ze Skarg, z Melodyi biblijnych i z późniejszych jeszcze, należą do piękniejszych rzeczy, jakie w tym rodzaju ma nasza poezya.

Z MELODYI BIBLIJNYCH.

HAGAR NA PUSTYNI.

14. Wstał tedy Abraham rano i wziąwszy chleb i bukłak wody, włożył na plecy jej i oddał jej dziecię i odprawił ją, która poszedłszy błądziła w pustyni Bersabee...
15. A gdy nie stało wody w bukłaku...

Genesis roz. XXI.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A wkoło pustynia; — do Ciebie, Jehowa,
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw, Panie, by niebo nade mną wychłódło,
I skały granitu zmień, Panie, na źródło,
A piasek czerwony na wrzos!

I nigdyż, Jehowa, i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu

Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę strudzona pod jego namiotem
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach
I rzemień popękał na naszych sandałach
I cierpi i płacze mój syn.
Jam, Panie, kochała i była kochaną,
Szczęśliwą — to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Ismael — bez win!

Gdy wicher ogniowy w pustyni zawieje
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada jak kwiat:
Ja Tobie, o Panie, natenczas się kłaniam
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzemnę na piasku,
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionej gazelli to wrzask;
A wkoło szakale oczyma mi świecą
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask!

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał, iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg;
I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu!
Przed głosem przed moim czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody! och rosy!
Kropelki, kropelki choć dżdżu!

ANIOŁ PAŃSKI.

Och, jasno, zielono — a wieczór tak cichy!
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy
I perlą się rosy świecące;
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chróściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną
I szemrze mącona rzeczułka;
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościółka:
Anioł Pański!...

W cmentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci,
Ofiarną krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiewa ich sławą.
Więc gdy się rozejdzie wieczorna ta nuta
W ich grobach, co świat ten mogilą,
To pierś się podniesie zbroicą zakuta,
A usta zamarłe odchylą:
Anioł Pański!...

Gdy bole rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało, pielgrzymką stargane boleśnie,
Do ciszy trumiennej się skłoni:
Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech fleci pacholę, niech łąką mgła płynie,
Kościółek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię,
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi,
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi:
Anioł Pański!...

Na krwawym puklerzu niech złożą mnie w trumnie,
Wojenne me pieśni niech brzęczą w niej tłumnie
Jak pszczoły w swym ulu spróchniałym;
Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięstwem promienny, powagą spokojny
Znów w gmachu zebrany wpaniałym.

Gdy hasłem pobożnem dzwon ozwie się z wieży,
Z dumania się mego ocucę
I serce tak żywo jak dzisiaj uderzy,
Jak dzisiaj pokornie zanucę:
Anioł Pański!...

Z TŁÓMACZEŃ CHOPINA.

ZAKOCHANA.

(Mazurek).

Jego dotąd niema,
A duszeczka roi;
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Na dobrą intencyę
Dwa dni poszczę święcie —
A nuż nie przyjedzie?...
Przyjedzie! Przyjedzie!

Przyrzekał, że w piątek,
A dziś już sobota —
Zawód na początek?
Piękna mi robota!
Nie myje się kotek
I bez sroczki płotek —
Pewnie nie przyjedzie...
Przyjedzie! przyjedzie!

Jakie on do uszka
Szeptał mi pieszczoty!
Ach, piękny! ach, duszka!
Ach, srebrny! ach, złoty! —
Tańczył tylko ze mną
I raz kląkł przede mną...
Nuż bałamut skręci?...
Nie skręci! nie skręci!

A potem tak grzecznie
Pochlebiał matusi;
Ach, kocham! ach, wiecznie!
Ach, moim być musi! —
Pokłoni się matce
I ma ptaszka w klatce —
A nuż panicz skrewi?...
Nie skrewi! nie skrewi!
Nudno czekać! A więc za to,
Gdy przyjedzie, to ukarzę:
Niech poczeka! — przed herbatą
Pewnie mu się nie pokażę!

Lecz on jakiś taki żywy,
W jego sercu pełno burz!
Bardzo będzie nieszczęśliwy —
No, to zresztą wyjdę już.
Ale zato będę nosić
Ciągle przy nim śliczną różę,
A gdy o nią będzie prosić,
Nie dam — tylko się zachmurzę.

Lecz on dziwne ma kochanie,
Że szaleje, mówił sam;
Nuż co złego mu się stanie?...
No, to zresztą różę dam.
Ale zato pod krosienkę
Nie zapomnę rączki schować...
I to srogo! — a więc w rękę
Dam się tylko pocałować.

Jego dotąd niema,
A duszeczka roi,
Ciągle przed oczyma
Jak zaklęty stoi.
Ach! jak kocham mamę,
Otwierają bramę!
Kasztanek na przedzie!...
E! to proboszcz jedzie!

Władysław Syrokomla.

(Prawdziwe nazwisko: Ludwik Kondratowicz). Syn Alexandra, urodzony r. 1823. na Litwie. Szkoły w Nieświeżu i Nowogródku, wyższych nauk żadnych. Za młodu osiadł na wsi, na dzierżawie, gospodarował i zaczął swój zawód pisarski od przekładów łacińsko-polskich poetów. W roku 1852., po stracie dziecka, przeniósł się do Wilna; po jakimś czasie wziął znowu w dzierżawę wieś Borejkowszczyznę w okolicy, i tu powstała większa część jego dzieł. (Gawędy i rymy ulotne. 1853—61., Jan Dęboróg. 1854., Margier. 1855., Zgon Acerna. 1856., Stare wrota. 1857 i t. d.) Umarł w roku 1862.

Poeta bardzo płodny. Liczba jego dzieł poetyckich jest znaczna, zbiorowe ich wydanie obejmuje dziesięć tomów. Są to po większej części powieści z dawnych czasów, niekiedy o historycznych ludziach (Skarga, Orzechowski, Klonowicz), czasem wysnute z miejscowych podań. Rodzajem zbliżają się najbardziej do gawęd Pola; treścią są od nich zwykle poważniejsze, smutniejsze; myślą i dążnością różne; bo kiedy Pol rozmiłowany jest w świecie i obyczaju staropolskim, to Syrokomla szuka w nim losów i cierpień ludzi ubogich, zapomnianych, upośledzonych; talentem są te poemata od Polowych niższe. Widać w nich przymiot łatwości wierszowania, aż zbytecznej może, dobre uczucia i chęci, żywe przywiązanie do ojczyzny i do pięknych chwil i postaci przeszłości. Ale ani głębszej myśli ani stylu jędrnego i własnego ani wyższych poetycznych darów, wyobraźni i natchnienia w nich niema. Pogodne, potoczne i w mniejszych rozmiarach, udają się zazwyczaj lepiej (n. p. Dęboróg) od większych i zakrojonych na poważne epickie dzieła (n. p. Margier). Przeczytawszy wszystkie, nie zachowuje się żadnego wyraźnie w pamięci; wszystkie są do siebie podobne, żadne nie zostawia po sobie silniejszego wrażenia. Dramata, których Syrokomla napisał kilka (Karlińscy, Wyrok Jana Kaźmierza itp.) słabsze są od powieści. Między drobnymi wierszami zdarzają się ładne, rzewne uczuciem albo ujmujące pogodnym wdziękiem. Przekłady z poetów łacińsko-polskich (Krzyckiego, Dantyszka, Janickiego, Kochanowskiego, Klonowicza, Sarbiewskiego), jakkolwiek niezawsze wierne i niezawsze oddające klasyczny charakter oryginałów, miały tę wielką zasługę, że publiczności nie umiejącej po łacinie, dostępną robiły tę gałąź naszej poezyi. Łatwość zaś i dobry wiersz tłómacza sprawiły, że przekłady te czytają się przyjemnie i mają niezaprzeczoną wartość.

URODZONY JAN DĘBORÓG.

(Gawęda szlachecka — w wyjątkach).

III. Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnej twarzy;
Czas był do szkoły — ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.

A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
— »Proszę aspana, czas wyśmienity,
»Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
»A gdzie się uczyć bez Jezuity?
»Minęła wiara i karność stara!
»Po szkołach jakieś nowotne dzieło;
»Nie masz łaciny, nie masz Alwara,
»Równo z Alwarem — wszystko zginęło.
»Ksiądz Jezuita niegdyś dobitnie
»Wrażał łacinę i karność w dziecię,
»Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
»I lepiej jakoś było na świecie.
»Przodkowie nasi stąd mieli ducha,
»Stąd wiekopomne tworzyli cuda;
»Dzisiaj bez rózgi moralność krucha,
»Z pijarskich książek łacina chuda.
»Synabym w domu nie trzymał dłużej,
»Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:
»Dać do konwiktu możność nie służy,
»Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
»Zwłaszcza, gdy człowiek z dawna pamięta,
»Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie,
»Byliśmy w szkole między panięta,
»Chłostę na perskim brali dywanie.
»A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
»Daremno człowiek ratunku szuka,
»Codzień to ciężej ród podupada
»Z ojca na syna, z syna na wnuka.
»Proszę aspana, uczyć się pora,
»Lecz nie masz za co, nie masz widocznie.
»Uproszę księdza definitora,
»Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
»Kształć się w łacinie i świętej wierze,
»Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
»Może się u mnie grosiwo zbierze
»I Jezuici wrócą do kraju«.

IV. O milę w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,

Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie...

V. Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie —
A ojciec mówi: »At, proszę aspana,
»Ksiądz i poczciwy; lecz pożal się Boże,
»Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
»Że o szlacheckim zapomniał honorze...
»Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
»Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
»By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
»Bo już co prawda, to wyznać potrzeba,
»Że jego głowa przemądra, choć stara —
»Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
»A cnoty — chyba od samego Nieba;
»Uczony, skromny, pracowity, szczery,
»Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
»O! dla młodego taki mistrz nielada,
»Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie!
»Lecz iść i prosić, nie wiem, czy wypada,
»Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie«.
Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała rozstrzygnąć ją może.
Więc ujął karty, liczy: tuz... król... kralka...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w imię Boże.

VI. Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło
I rzekł: — »Zostań tu chłopcze, ucz się w imię Boże!
»Wszystką miłością w sercu, chlebem co w komorze
»I nauką co w głowie — choć jej tak niewiele,
»Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę!
»Tylko że widzi waszmość — rzekł do ojca dalej —
»Ja stary, mam narowy, a szlachcice mali
»Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
»Bo dwa grzechy śmiertelne — lenistwo i pychę:
»A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
»Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
»Czy kto ma herb, czy nie ma, braciaśmy po prostu,
»Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chróstu,

»Chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem! —
»Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
»Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada;
»W zakrystyi wyręczać kulawego dziada;
»Na polu mnie się nieraz w pracy dopomoże:
»Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;
»A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
»Z gramatyką łacińską i Wergiliuszem,
»Z konwią mleka i z chlebem — toż to będzie cudnie,
»Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
»Posilając się sobie póki skwaru chwila,
»*Tityre! tu patulae...* tłómaczyć z Wergila:
»Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą.
»A szlachcic, co ma dzierżyć lud Boży pod władzą,
»Gdy sam pozna w rolnictwie i róże i osty,
»Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
»A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
«Równiejsze będą skiby«...

IX. Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie;
Tak i z moją nauką — pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...
Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,
Potem dziady grzanego piwka nam przyniosą —
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wziąwszy więcierze, idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniósłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Linnego, Newtona
I tłómaczy mniej z książki, a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica i śniegi i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży?
Jak się ów ptak nazywa? k' czemu kwiat ten służy? —

XII. Biegły me dni jak w niebie na takiej nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,

I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mnie z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział, jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!
— »Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
»Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
»A tarcza z Dęborogiem, wśród chłopstwa wytarta,
»Co kapelusz żydowski, tyle będzie warta.
»Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
»Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
»Staremu trzeba ulec, bo mię zrzędzić zacznie;
»Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
»I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
»Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
»Dłoń szlachcica stworzona dla miecza, nie żniwa,
»Krom rycerskiej zabawy niech wolno spoczywa«.
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przede mną:
Tam dla duszy przestronniej i sercu weselej.
Ojciec to zauważał — więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo
I syna wnet zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy:
Już wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mię rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiej sośnie;
Stary *Servus* zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu. Ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdziem przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

(Po ukończeniu szkół publicznych przebywał Jan Dęboróg w domu. Często w okolicę robiąc wycieczki, poznał w niedalekiem sąsiedztwie Zofię Brochwiczównę, z której rodzicami Dęborogowie oddawna żyli w niezgodzie z powodu sporu o grunta graniczne. Długo sprzeciwiał się temu związkowi ojciec Jana, dawną niezgodą powodowany, lecz wreszcie za sprawą ks. Definitora przyszło do skutku małżeństwo Jana Dęboroga z Zofią Brochwiczówną, a temsamem pojednanie obu zwaśnionych domów).

Z Przekładów poetów łacińsko-polskich

Macieja Kazimierza Sarbiewskiego

Ks. IV. Oda 3.

Pieśń Galeza, rolnika dackiego, o zwycięstwie Polaków nad Osmanem pod Chocimem r. 1621.

Galezus, z nad Istru ziemianin bogaty,
Gdy orząc na swoim zagonie
Wykopał w rozorze żelaza i szaty,
Rycerskie pancerze i bronie —

Gdy znalazł stos kości w pokrzywie i zielsku:
Siadł sobie wieczorem pod sosną
I piosnkę swobodną po prostu, po sielsku,
Zaśpiewał serdecznie i głośno:

»Ej, soszne me woły, usłużne me woły!
Już wieczór szarzeje na dworze,
Już pora wam wytchnąć! — Ot, ugór wesoły!
Paście się w wesołym ugorze!

»I Polak zwycięzca, znużony głęboko,
Położy swój bardysz i zdrzemie.
Ej, lackie wy dzieci! turecką posoką
Mołdawską spluchaliście ziemię.

»Ha! ileż to łomów i gruzów po Turku!
Co trupich się kości rozsiewa!
Co pustych pancerzów na dzikim pagórku!
Co trzasek żelaza i drzewa!

»Pamiętam, pamiętam turecką niewolę
(Jam wtedy dziecinne miał lata);
Od złota, od miedzi błyszczało się pole,
Gdy tędy przechodził Sarmata.

»Ej, bitwęż widziałem na dackiej tu błoni!
Już druga się zręczność nie poda;
O, było co widzieć! Co koni, co broni!
Rycerstwo płynęło jak woda!

»Zagrano na kotłach, podbiegły pogany,
Rycerze mieczami ich sieką;
A potem zagrzmiało — dym buchnął siarczany
I ogień poleciał daleko.

»Rozbiegły się pędem i zwarły się razem
Proporców i mężów dwa roje;
Grom z gromem, żelazo starło się z żelazem
I zbroja stuknęła o zbroję.

»Nie z takim łoskotem gra burza szalona,
Nie warczą tak grady i deszcze;
I sosna alpejska, od wichrów tłuczona,
Nie z takiem jęczeniem szeleszcze;

»Nie tak się gwałtownie Akwilon wydyma; —
Tu dzieła mądrości, tu prace,
Tu dzielność, tu wściekłość; tu gniewu już niema,
Lecz sława do serca kołace.

»I długo fortuna na skrzydłach się waha,
Nie dając zwycięstwa oklasku —
Tu rola Polaków, na oko tak błaha,
Tu pułków tureckich jak piasku.

»Lecz cóż tam pierzchliwi Turkowie, Araby,
Co dzicy poradzą Tatarzy
Naprzeciw Sarmatom? Ich zastęp tak słaby,
Lecz w sercu odwaga się żarzy.

»Jak rzeka gwałtowna, co dwoma koryty
Spadając ze wzgórza na błonie,
Czy pola czy lasy czy baszt wielkich szczyty
Podmyje, rozwali, pochłonie.

»Widziałem was, Turki! wasz księżyc obronny,
Wasza się chorągiew poddawa;
Gdy pierzchał wasz zastęp piechotny i konny,
Wzniosła się kłębami kurzawa.

»Nie w liczbie, lecz w sercu wojenna różnica:
Wszak jedno żelazne narzędzie
Las cały wytrzebi — wszak jedna orlica
Największy gołębnik zdobędzie.

Co trupów i jeńca i broni i znaków!
Nie prędko zapomnieć o biedzie;
O męże turecccy! szablica Polaków
Na długo wam z myśli nie znidzie;

»Tam Emon, tu stosy zdobyczy i łupów,
Arabskich pocisków i grotów,

Tu leży Karakas, skrwawiony wśród trupów,
U wejścia do lackich namiotów.

»Bezbożne nadzieje Bóg rzuca na stronie,
W proch marnej nicości rozetrze;
I pyszne przechwałki, co hardy wyzionie,
Rozpłyną się dymem na wietrze...

»Ej, piosnko ty moja, nieskładna i dzika!
Nie tobie dopłynąć do nieba!
Tu harfą poety, nie fletem rolnika
Tę wojnę opiewać potrzeba.

»Ktoś wierszem godniejszym potomkom opieje
Te dzieła, ten tryumf bogaty...
Lecz woły już syte — już wieczór szarzeje —
Czas z pługiem powrócić do chaty«.

Teofil Lenartowicz.

Urodzony w Warszawie w roku 1822., nauki tamże. Po ich ukończeniu wstąpił do urzędu. W roku 1848., pociągnięty ówczesnymi wypadkami, wyjechał z Królestwa: udał się do Poznania, do Krakowa; potem bezpiecznie już wrócić nie mógł i został emigrantem. Zrazu mieszkał w Paryżu, w zażyłości z wielu znakomitymi Polakami — z Mickiewiczem między innymi. Po kilku latach przeniósł się do Włoch; zamieszkał naprzód w Rzymie, następnie we Florencyi. W roku 1861. ożenił się z Zofią Szymanowską, młodszą siostrą (zmarłej od r. 1855.) żony Mickiewicza. Stracił żonę po niedługiem pożyciu, a od jej śmierci żyje we Florencyi samotny, już w wieku podeszły, ze zdrowiem słabem, z ciągłą myślą o ojczyźnie, z głęboką pobożnością w sercu, z budującą rezygnacyą i niezwykłą siłą duszy, znosząc samotną starość i dolegliwości wieku cicho, łagodnie, bez skargi, z wiarą w Boga i przyszłość, z miłością i dobrocią dla ludzi. Oprócz talentu poetyckiego odkrył się w nim w latach późniejszych talent rzeźbiarski (obudzony, a w każdym razie wykształcony widokiem i wpływem dzieł sztuki, któremi jest otoczony we Włoszech). Rzeźba stała się (obok poezyi) jego zajęciem i pociechą; a znawcy przyznają tym jego dziełom wiele zalet i wartości.

Właściwą i odrębną cechą Lenartowicza, która go odróżnia od wielu innych współczesnych poetów, jest wiejskie ludowe zacięcie jego poezyi. Jak w wierszach Zaleskiego na formie znać rytm i dźwięk dumki, a w usposobieniu rzewność i tęsknotę ukraińskiego ludu, tak u Lenartowicza wiersz ma charakter, a często rytm wiejskiej śpiewki — a jego natchnienie znajduje często popęd i przedmiot w życiu, w uczuciach lub w wyobrażeniach wiejskiego ludu. Ta jest wszakże różnica, że kiedy Ukrainiec Zaleski ma w naturze i w poezyi swojej wiele pierwiastków ruskich,

to Lenartowicz, Warszawiak, na Mazowszu chowany, ma sam i w poezyach swoich zachowuje charakter rdzennie i czysto polski. Wiersz jego sam miewa często rytm krakowiaka albo wiejskiego obertasa. Podobnie jak Zaleski, ma usposobienie łagodne, czułe a ciche: ma głęboką wiarę i rzewną pobożność; kiedy znowu zamiłowanie wsi, żywe uczucie wdzięku, jaki tkwi w ludzie i jego życiu, ma Lenartowicz wspólne z Brodzińskim. Tylko, kiedy u tamtego chowanego jeszcze pod wpływem dawnych form poezyi, zamiłowanie to przybrało formę konwencyonalnej sielanki i wydało Wiesława, to Lenartowicz młodszy i na romantykach kształcony, ma (pomimo usposobienia także w gruncie sielankowego) więcej rzeczywistości i prawdy, więcej życia. Słuszność każe wyznać, że u niego także — znowu jak u Zaleskiego lub Brodzińskiego — przestawanie zbyteczne w zakresie tychsamych form i pomysłów sprowadza pewną jednostajność.

Lenartowicz zaczął pisać bardzo wcześnie, bo jeszcze w r. 1841. Pierwszy ogłoszony zbiór jego poezyi, Polska ziemia (1848—1850), miał już ten charakter uczuciowy, patryotyczny i wiejski; drugi, Lirenka, wydana w roku 1855., okazywała talent więcej wyrobiony, ale miała tęsamą cechę. Pod wpływem pobytu we Włoszech i odbieranych tam religijnych i artystycznych wrażeń (na które poeta bardzo jest czuły), zjawiają się nowe i odmienne przedmioty poematów (na przykład Gladyatorowie) i otwierają się nowe źródła natchnienia, z historycznej lub artystycznej przeszłości Włoch, z natury lub potocznego ich życia. Wszelako i w takich odzywa się zawsze patryotyczna struna i tęsknota. Takie na przykład jest (zbiór jego wrażeń włoskich) wydane w roku 1870. Album włoskie.

Z rzeczy osnutych na pojęciach i podaniach ludu (i może z całej poezyi Lenartowicza) najpiękniej udało się Zachwycenie, rozmowa, w której przebudzona z letargu matka opowiada małemu synkowi, co przez czas tego snu widziała w czyścu i piekle. Podług wyobrażeń ludu dusza osoby uśpionej snem letargicznym przebywa w niebie. Parą do Zachwycenia jest Błogosławiona, dusza (zapewne tejsamej osoby), po śmierci ciała przyjęta już na całą wieczność do nieba i oprowadzana po niem przez swoje święte patronki.

Pobyt we Włoszech nie wstrzymał wcale patryotycznych i wiejskich natchnień Lenartowicza. Z takich powstały Racławice, większy poemat, którego sam tytuł wskazuje treść, a któremu to jedno można zarzucić, że krótki wiersz i skoczny, mazurkowy rytm w dłuższym utworze wydaje się jednostajnym i cokolwiek nużącym.

Do tegosamego zakresu, z dawniejszych tylko czasów, należy Ze starych zbroic (1870). Ostatniem ogłoszonem dziełem Lenartowicza (1881) są Rytmy narodowe (o Sobieskim i Kościuszce), w tymsamym zawsze ludowym i pieśniowym tonie i rodzaju.

MAZUR.

Hej! do tańca, dziewuchy!
Zagraj, dudko Jaśkowa! —
Cóżto, grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz jak sowa?
Ano! żywo do licha!
Cóżto wam się przydało?
Każdy siedzi a wzdycha —
Czy złe ludzi spętało?
Bartek z boku spoziera,
Łzy rękawem ociera,
A dziewuchy, parobcy —
Jak nie swoi, jak obcy.
Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł swe oczy,
A Jan stary z za stoła:
Grajże, grajku — zawoła.
Chwycił Józef za basy,
Żwawo smykiem potoczył;
Maciek w taniec wyskoczył,
Ognia dały obcasy.
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Cóżto grajko tak smutnie?
Wesołego niech utnie,
Bo mnie na złość kapeli
Jakoś coraz weselej!
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły,
Kłopot sobie nie zadam,
Kędy zboże poskładam:
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Co mam nie być wesoły?
Mój majątek dwa doły,
A w onych dołach żona
Z małem dzieckiem złożona...
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Grajże, dudko wesoła,
Toś na mnie nikt nie woła,
Nikt nie czeka stęskniony
W mej chałupie spalonej...
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Żywa dusza nie żąda,
Próżno człek się ogląda,
Więc tańcuję najszczerzej,
Jutro pójdę w żołnierzy.
Oj ta dana, oj dana,
Dołoż moja kochana!
Gdy tak tańczy ochotnie,
Cóżto grajko tak potnie?
Kropla w kroplę przez oczy
Z twarzy grajka się toczy.
Czy się zmachał od grania?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmanem
I coś mruczał i szeptał;
A dziewki się spłakały,
Że skrzypki grać przestały.
Bądźcie zdrowi, wy starzy,
Niechaj Pan Bóg wam darzy!
A gdy skrzypków nie stało,
By się w karczmie hulało,
Śpiewam sobie: Oj dana,
Dołoż moja kochana!

ZACHWYCENIE.

Matulu moja, powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?
— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,
Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze,

Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą.
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotymi kłosy,
Co się pochyla pod Boże nóżki —
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potem widziałam przeróżne kwiatki,
Te w Bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebo powyrastali.
— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?...
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?...
— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe.
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.
— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?
— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami;
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.
— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?
— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.
— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?
— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej;
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzież się uczą przeróżnych pieśni?
— Tam, gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej...
— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy Bożej męce?
— O! widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy!
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną;
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.
— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?
— Potem widziałam, strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą;
A Piotr apostoł karta za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem:
Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi:
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie.
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —
— Słuchajcie ino, matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?
— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co stamtąd lecą
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.
— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bogać tam miesiąc! o moje dziecię,
Iść tam potrzeba przez całe życie.
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,

Kochając ludzi jak braci własnych,
To wkońcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł Boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.
— Toście wy dużo, matko, widzieli
I pewniebyście wrócić tam chcieli:
Więc jak pójdziecie, mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga.
— O! ty zostaniesz, małe pacholę.
Bo któżby gąski wypędzał w pole?
Ktoby po lesie zbierał jagody?
Krasiatą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki?
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę...
— Ej co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie...

Józef Ignacy Kraszewski.

Syn Jana i Zofii z Malskich, urodzony w Warszawie w r. 1812. W dzieciństwie chował się przy babce i prababce na wsi, na Podlasiu. Do szkół chodził naprzód w Białej, następnie w Lublinie i Świsłoczy. W roku 1829. poszedł na uniwersytet w Wilnie i wtedy zaczął pisać pierwsze swoje powieści i rozprawy. Od roku 1833. przesiadywał najwięcej na wsi, na Podlasiu i Wołyniu, pisząc zawsze wiele i w różnych kierunkach (powieści, prace historyczne, rozprawy językowe). W r. 1837. mianowany był profesorem języka polskiego w uniwersytecie kijowskim, ale katedry tej nie objął, gdyż ją przed otwarciem skasowano. Ożeniony w roku 1838. (z Zofią Woroniczówną), mieszkał i gospodarował na wsi, na Wołyniu (w Gródku, później w Hubinie). Pisał zawsze bardzo wiele, a powieści jego budziły coraz więcej zajęcia. Dla skupienia ruchu umysłowego w krajach zabranych założył i wydawał w Wilnie pismo zbiorowe Ateneum. Po roku 1850. działalność jego i wpływ jeszcze się rezszerzyły. Mieszkając zawsze na Wołyniu, zostawał w ciągłych i ścisłych stosunkach z piśmiennictwem warszawskiem; w Żytomierzu (gdzie osiadł w roku 1853.) objął kuratoryę szkół, a zarazem kierownictwo teatru. Gdy po śmierci cesarza Mikołaja zmieniły się stosunki cenzuralne, a przez to ożywił się ruch piśmienniczy i dziennikarski w Warszawie, Kraszewski osiadł tam i objął redakcyę Gazety codziennej (później zwała się Gazetą polską). Po pierwszych wypadkach warszawskich w r. 1861. należał do delegacyi, która utrzymywała porządek w mieście i była jakoby pełnomocniczką ludności wobec rządu. Gdy stosunki te wikłały się i naprężały coraz bardziej, Kraszewski na rozkaz rządu wyjechał do Drezna (w roku 1862.) i tam już miał stałe mieszkanie (własny dom) do śmierci.

Po roku 1863. znaczną część dzieł swoich wydawał pod przybranem nazwiskiem Bolesławity; pisywał do wielu pism krajowych; zjeżdżał do Galicyi i do Poznania, gdzie miewał czasem publiczne odczyty. Gdy w roku 1879. kończyło się pięćdziesiąt lat jego autorskiej pracy, powstała myśl uczczenia go uroczystym obchodem jubileuszowym, który się odbył w Krakowie, w październiku rzeczonego roku. Zjazd był bardzo liczny ze wszystkich części Polski; sędziwemu pisarzowi składano publicznie adresy i dary pamiątkowe. Przy tej sposobności złożono znaczny fundusz, którym on miał według swego uznania rozporządzić na cele publicznego użytku. Z tego funduszu powstała instytucya wydawnicza Macierzy polskiej we Lwowie.

W parę lat później rząd pruski oskarżył Kraszewskiego o tajne stosunki z francuskiem ministeryum wojny i o dostarczanie temuż raportów o stanie i rozłożeniu wojsk niemieckich. Aresztowany w Dreźnie, przewieziony do Berlina, zostawał Kraszewski pod śledztwem przez lat blisko dwa (1882—84). Wyrok sądowy skazał go na półczwarta roku więzienia w twierdzy. Osadzony w Magdeburgu, więzieniem i zmartwieniem doprowadzony do bardzo smutnego stanu zdrowia, Kraszewski tu (jak i przedtem w więzieniu śledczem) pracował i pisał ciągle. Zdrowie jednak podupadło tak oczywiście, że w jesieni roku 1885. pozwolono mu wyjechać za kaucyą (20.000 marek), która służyła za rękojmię jego powrotu. Udał się do Szwajcaryi, stamtąd do Włoch; zdrowie jednak nie mogło się poprawić. Zeszedł tak cały rok 1886. W początkach 1887. zamieszkał w San Remo, gdy nagle w nocy 23. lutego zawalił się sufit w jego pokoju: trzęsienie ziemi! Wtedy chory starzec miał tylko jedno gorączkowe pragnienie: uciekać z tego miejsca. Wyjechał też do Genewy, ale podróż wyczerpała ostatek sił i nabawiła go nowej choroby, zapalenia płuc. W cztery dni po przyjeździe do Genewy umarł 19. marca 1887. Pochowany kosztem kraju w Krakowie na Skałce (w grobie »zasłużonych«).

Kraszewski był najpłodniejszym ze wszystkich pisarzy polskich, jacy kiedykolwiek byli: prace jego liczone są na 200 dzieł, a 500 tomów. Jest też jednym z pisarzy najbardziej wszechstronnych. W powieściach, które stanowią część największą jego pracy, dotyka najrozmaitszych zjawisk i stosunków obyczajowego i społecznego życia; a zajmuje się prócz tego historyą, literaturą, sztuką, archeologią, filozofią, nieraz też bieżącemi sprawami politycznemi. Tak ogromny zakres pracy, w połączeniu z żywym, zawsze przystępnym, nieraz świetnym sposobem pisania sprawiał, że i wpływ jego był bardzo wielki. Pracowitość jego jest zdumiewająca: nie osłabił jej ani wiek ani złe zdrowie ani więzienie. Musiał Kraszewski oczywiście mieć wielką łatwość pracy — bez tej nie byłby mógł tylu dzieł napisać; ale ta łatwość była pomocą tylko, a nie główną sprężyną jego czynności. Ta mnogość pism i rozmaitość kierunków miała wszakże tę nieuniknioną złą stronę, że Kraszewski musiał pisać pośpiesznie, pobieżnie; że dzieła jego są często zaniedbane w wykonaniu, a niedostatecznie rozważone w treści. Jego talent, rzeczywiście wielki, byłby zapewne wydawał dzieła znakomitsze, gdyby więcej sku-

piony, był ich wydawał mniej. Ale taka już była natura i talentu i usposobienia Kraszewskiego, której zmienić nie było w jego mocy.

Pierwsze jego powieści są słabe. Jest w nich jakieś umyślne sadzenie się na szyderstwo, błędne szukanie energii i dosadności w przesadzie: a obok tego skłonność do naśladowania francuskich i niemieckich romansów (Pan Karol, Cztery wesela). Następnie bierze górę pierwiastek chorobliwie romantyczny. Poeta lub artysta, w niezgodzie ze światem, staje się częstym bohaterem powieści Kraszewskiego. Powieść historyczna i praca historyczna (Historya miasta Wilna) rozwijają się równocześnie. Przez chwilę zwraca się Kraszewski do poezyi: pisze »Witoloraudę — rapsody białym wierszem z czasów pogańskich Litwy, później Mindowsa i Witołdowe boje. Poemata te nie przeszkadzały wszakże literackim i krytycznym artykułom i powieściom. Między temi ostatniemi zaczęły teraz zjawiać się jako nowości powieści z życia ludu (Ulana, Ostap Bondarczuk i t. p.), obok tych powieści historyczne (Zygmuntowskie czasy i t. p.), opisy podróży, rozprawy filozoficzne i literackie (Studya). Zamiłowanie w sztuce i pojęcie (mylne) artysty jako istoty skazanej z góry na to, by była niezrozumiana przez ludzi, a prześladowana od losu, wydały Sfinksa, najświetniejszą może z jego dawniejszych powieści.

Ostatnie lata pobytu na Wołyniu (1850—58) były może najświetniejsze w jego zawodzie. Z tego czasu pochodzą powieści: Interesa familijne, Dyabeł, Powieść bez tytułu, Dwa światy. Zajęty żytomierskim teatrem, zaczął wtedy Kraszewski pisywać komedye, do których wszakże nie miał szczególnego daru.

Lata pobytu w Warszawie (1858—1862), zajęte pracą redaktora dziennika, a później zapełnione ważnymi wypadkami, były mniej obfite w literacką produkcyę. Zato po roku 1863. ożywia się ona na nowo, i to w najrozmaitszych kierunkach. Powstają powieści (pod imieniem Bolesławity wydane), z tych wypadków wzięte (Dziecię starego miasta, Szpieg, Moskal, My i oni, Czerwona para itp.); wyszło też wiele innych różnej treści, ogłaszanych w różnych pismach; były nawet ze świata starożytnego (Rzym za Nerona). Oprócz powieści współpracownictwo w licznych pismach, zakładanie innych. Wydawał też Rachunki, roczne sprawozdania z różnych kierunków polskiego życia (rok 1866—69). Oprócz tego sztuki teatralne (Trzeci maj, Miód kasztelański itp.). Obok wielu powieści obyczajowych współczesnych, wraca Kraszewski znowu do powieści historycznej. Pobyt w Saksonii i łatwy stąd zwrot myśli do czasów saskich w Polsce, łatwość także poznania wielu szczegółów z tych czasów, wydały powieści takie, jak Hrabina Cosel, Brühl itp. Te zaś powieści z XVIII wieku naprowadziły Kraszewskiego na pomysł śmiały, ujęcia całej historyi polskiej (jej chwil i epok głównych) w powieści. Pierwszą z rzędu (i najświetniejszą) była Stara baśń. Autor, bardzo do tego swego zamiaru przywiązany, pracował nad nim niezmordowanie i doszedł w tych powieściach do połowy wieku XVIII. Czynność nie ustaje do końca: w samem więzieniu Kraszewski pisał ciągle i nowe plany układał; ale dzieła jego z ostatniego okresu, a zwłaszcza z ostatnich lat,

są słabsze; co się tłómaczy naturalnie i wiekiem i zdrowiem i przygnębieniem moralnem.

Jako pisarz powieści, Kraszewski miał talent ogromny. Właściwą jego siłą jest obserwacya i wyrazista, energiczna charakterystyka postaci (zwłaszcza śmiesznych lub zdrożnych; szlachetne, zbliżone do ideału udają mu się zwykle gorzej). Świetna bywa niekiedy charakterystyka czasów, zwłaszcza wieku XVIII. Treść często bardzo zajmująca, zawikłania i sytuacye wzruszające, czasem znowu komiczne i bardzo zabawne. Sposób pisania, kiedy nie zbyt pośpieszny i zaniedbany, jest żywy, energiczny; nieraz wielka siła uczucia. Słabą stroną tego talentu, a raczej stroną odwrotną jego przymiotów jest pośpiech, niedbałość, zdarzające się powtarzanie tychsamych pomysłów i postaci w kombinacyach cokolwiek zmienionych, wreszcie smak niedość wyrobiony, skłonność do przesady czyto w tonie potocznym, czy w tonie podniosłym i patetycznym.

Właściwą cechą i zasługą zawodu Kraszewskiego jest to, że jego książki treści najrozmaitszej, ponętne dla czytelnika jako powieści, przystępne i łatwe jako rozprawy naukowe, rozpowszechniły wielce zwyczaj i potrzebę czytania. W zakątach wiejskich lub w małych miastach, gdzie przed rokiem 1830. i jeszcze po nim przestawano na małej liczbie książek czytanych przez całe życie, nauczono się pożądać ich i czytać więcej, pragnąć wiadomości o wielu rzeczach, szerszego zakresu myśli. Powieść, przed Kraszewskim uboga, nie obfita na ilość dzieł, ani bardzo świetna na ich jakość, przez niego podniosła się na stopień daleko wyższy, nabrała znaczenia, stała się codzienną potrzebą społeczeństwa. Aż dotąd potrzebę tę zaspokajały (u ludzi wykształconych, zwłaszcza u kobiet) niemal wyłącznie powieści francuskie. Teraz książka polska potoczna, do codziennego użytku i rozrywki, zaczęła się szerzyć i zakorzeniła się jako konieczny w życiu czynnik. Gdy zaś Kraszewski i w powieściach swoich i w rozprawach i w artykułach dziennikarskich dotykał mnóstwa stosunków obchodzących ogół i podawał wiadomości o mnóstwie rzeczy i kwestyi (literatura, sztuka, historya, filozofia, archeologia itp.), więc przez niego dochodziły te wiadomości aż do takich, którzy przedtem mieli o nich bardzo małe pojęcia. Tym sposobem działał on cywilizacyjnie, rozszerzał zakres myślenia i wiadomości, podnosił stopień oświaty.

Ale rzecz jest naturalna i nieunikniona, że wiadomości w ten sposób udzielane, musiały być powierzchowne. Kraszewski sam miał umysł pojętny, chwytny, ale więcej żywy niż głęboki. Stąd jego własne wykształcenie miało charakter eklektyczny, obejmowało mnóstwo rzeczy, ale nie dochodziło do dokładnej i pewnej nauki.

Jak zaś jego wykształcenie i jego wiadomości były więcej rozległe niż głębokie i pewne, tak znowu jego pojęcia i zasady były niestałe, chwiejne. Umysł ciekawy i pojętny przestawał na encyklopedycznem przyswojeniu sobie wiadomości, których nie zgłębiał; podobnie charakter uczuciowy i wrażliwy, przystępny był wszystkim pojęciom lub ideom, wciągał je w siebie, ale z nich stałych przekonań i zasad nie wyrobił. Tasama chwiejność, tensam eklektyzm, który jest w jego nauce

i wiedzy, jest także w jego pojęciach politycznych, religijnych i filozoficznych.

Z tego względu jest Kraszewski bardzo nauczającym i bardzo wiernym wyobrazicielem swego społeczeństwa; podziela on gorąco i wyraża żywo dobre uczucia i skłonności tego społeczeństwa, przez to jest tak wziętym i ulubionym. Ale jest zarazem i wyobrazicielem naszej wrodzonej i powszechnej wady, skłonności do eklektyzmu, do powierzchowności wykształcenia i wiedzy, do niejasności i niestałości pojęć i przekonań. Ma zato przymiot u nas rzadki, przez który może nam być doskonałym przykładem pracowitości wielkiej i niezmordowanej i nieustającej, w której jest naturalnie i cnota wytrwałości i wielka miłość swego narodu. Przez talent niepospolity, przez wyjątkową płodność tego talentu, przez wpływ, jaki wywierał, przez to wreszcie, że jego dzieła mogą kiedyś potomnym służyć za średnią miarę umysłowego i cywilizacyjnego stanu naszego społeczeństwa, Kraszewski choćby z czasem przestał być czytanym, zostanie zawsze w literaturze jako pisarz wielkiego znaczenia.

Ze Sfinksa.

(Jan Rugpiutis, syn żmudzkiego zagrodnika, zdolnością swą do rysunków zwrócił na siebie uwagę dziedzica; dzięki jego pomocy przez pięć lat kształcił się w Wilnie, następnie wybrał się w podróż do Warszawy. Po drodze spotkał się z wojewodzicem S..., którego tak zachwycił wyrysowanym na prędce szkicem jakiegoś zamku, iż ten dał mu list polecający do Bacciarellego, nadwornego malarza króla Stanisława Augusta).

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani nawet jak trafić. Wyszedł zamyślony błądzić po mieście. Szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. W blaskach jasnego dnia wydało mu się miasto wielkiem, pięknem; lecz wielość ludzi, ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie:

— Jak tu dać radę wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potem przychodziły mu na myśl wyrazy, nieraz słyszane:

»Miasto wielkie tysiące dla malarza nastręcza pomocy: wzory żywe, ryciny, obrazy w wielkiej ilości; współubieganie się z innymi podsyca i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. Ale pamiętaj naprzód — mówił mu niegdyś nauczyciel — wyrzec się świata i pokus jego; stłum w sobie żądzę, poświęć się cały sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie«.

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział, czy potrafi jej sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał,

długo wymęczywszy się niespokojnem oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w zamku, bo król musi go mieć pod ręką, i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartamentami królewskimi. Często do niej schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny, słysząc to: — król sam, król zajmuje się malarstwem, los malarza może pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącej ku niemu z tylu się powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórcu ogromnym w taki wpadł zgiełk ludzi, z których żaden mu odpowiedzieć nie chciał, bo wszyscy czemś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne zleżałe ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić. Chodził od jednego do drugiego; kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, wkońcu całkiem głowę stracił i nie wiedział, co począć.

Nazajutrz o południu, Jan potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpół otwarte ujrzał stąd ogromne pracownie, szeregiem idące za sobą, i wiele a wiele pokojów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijść mu dalej nie dozwolono.

Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty, poczynając rozpytywać po francusku; Jan nie umiał po francusku, zamknięto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący, dopytując się, czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarellim.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jakto od kogo? Od siebie. Mam prócz tego list do p. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— Pan Bacciarelli widzieć się daje tylko na chwilę, i to jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy, zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było; malował panią G.... Czekał do samej piątej, aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sesyi malarskiej, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go, zacierając ręce i ukośnem mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby, którą był okryty.

Jan skłonił się i podał list w milczeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzył oczyma nowoprzybyłego, pokiwał głową i począł zrazu mówić coś złą francuszczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami i zawołał złą polszczyzną:

— No, czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcyj, rzekł; mam uczniów, ale im płacę, nie oni mnie. Wojewodzic S.... chce, bym wam pomógł i nagli mnie o to. Chodź waćpan.

I wprowadził go do wielkiej malarni, pracowni na ogromną skalę, której ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większej części portrety różne w całej postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co roku przez ciąg panowania malowano i sztychowano, były tu w największej liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach; najwięcej wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze, z piórem za uchem, u stołu, na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie, pulchniutkie, białe, obie były na widoku; wyraz znużenia i przymuszonej wesołości może mimowolnie przebijał się z fizyognomii królewskiej. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety najjaśniejszego pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończało koronki i t. p.

— Gdzie pan byłeś? — spytał Bacciarelli, spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani? A! a! Włoch, Florentczyk, povero! — Skrzywił się. — Co umiesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla wojewodzica, rzekł Bacciarelli: *c'est un charmant garçon*... ale tylu już mam w swojej malarni... Weź waćpan kredę — dodał od niechcenia — i odrysuj mi co chcesz na tem płótnie.

To powiedziawszy, stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan, pomimo przelęknienia, rzucił kilku śmiałymi rysami głowę starca (w rodzaju świętego Hieronima), oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nieźle, rzekł zakąsując usta Bacciarelli. Lecz możeszże malować? długo malowałeś?

— Rok.

— A! tylko rok!

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znów pogardliwą zrobił minę. Jan zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: »Na nic mu się nie przydam!«

— Jeśli pan pozwolisz — dodał — ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba...

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoi w mieście. Dam waćpanu na to pieniądze, ale... — dorzucił niedbale — mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz. Umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającej kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i postawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak, aby mu przyniesiono paletę i pędzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna, czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza psuł umyślnie, aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca, już rzucona na płótno, w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jej, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była, prócz części czoła i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrysy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nic jej zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli to bladł, to czerwieniał.

— Che diavolo! przecedził przez zęby: wcale nieźle! Biorę waćpana na takich warunkach jak innych. Będziesz pracował pod moją dyrekcyą, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? spytał Jan nieśmiało.

— Tak, rzekł malarz. Co zrobisz, będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie koledzy go nauczą.

To rzekłszy, obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia:

— Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną nielitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego: młodzieżą wesołą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się na niego jak na pastwę, gdyby jej nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorsza wzruszonymi się uczuli.

— Jak się nazywasz, kolego? i skąd przybywasz? rzekł jeden.

Jan dopiero po tem pytaniu rzucił okiem na towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten, który pytanie rzucił, słuszny, czarnooki, piękny i całkiem już mężczyzna, bladej twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnej, ale czystej. Drugi, za nim stojący, mały blondynek, z zadartym noskiem, niebieskiemi a blademi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wspartą. Trzeci mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos miał ciemny, rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapień! stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafaela, w berecie aksamitnym na uchu, z włosem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinno niewieściego. Był to faworyt Bacciarellego. Ostatni, najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pędzlem po palecie, którą trzymał w ręku. Myśl jego widocznie była gdzieindziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od wojewodzica S... Chcę się uczyć. Jestem ubogi, a kocham sztukę. Was, panowie i przyszli towarzysze, proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć.

Te kilka słów prostych, przerywanych, bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny, i faworyt Bacciarellego w aksamitnym berecie, poszli zaraz do sąsiedniej sali, śpiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał ze trzema, z owym

figlarnym śmieszkiem, z pierwszym co go był zapytał, i z smutnej twarzy ułomnym.

— Daj ci, Boże, szczęście! mój Żmudzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś; — ale czy wiesz, co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogańską i że czci żaby i węże; musimy cię więc naprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ułomny; daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, śpiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już niema zaco nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan; ale będzież ci smakował, kolego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam! zawołał wesoło chłopiec. Darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłeś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nie powtarza. *Dixi.*

To mówiąc porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy, co Jana zapytał, i ułomny, zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłoń i prawie razem szepnęli: »Poczekaj, pójdziemy razem«.

— Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Feliksem; jaki zły duch zagnał cię do Bacciarellego?

— Zły duch? spytał Jan: ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przezwany Longinem, i wabiący się na to narzucone nazwisko, dorzucił:

— Oj, śliczne szczęście! przedać się z duszą i ciałem człowiekowi, co ci każe pracować jak machince, pracować dla niego ze swej myśli, niewolniczo, bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Feliks, zwany Chmurą; opowiesz nam, jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batraniego, pobyt u matki, podróż, spotkanie z wojewodzicem.

— Wojewodzic S..., rzekł Chmura, zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Niczе się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego, co umiesz, rzekł żywo Longin. Bacciarelli bladł i czerwieniał, patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznej ręki. Może

napatrzywszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linij i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłómaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Zato używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że stąd po niejakim czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja każdego z nas! żaden przecież tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego już Bacciarelli jest zazdrosny. On niewiele dba o rysunek, chociaż ma go, jeśli o to się stara; niewiele stoi o wyraz, trochę więcej o miły, harmonijny koloryt, a nadewszystko o podobanie się królowi i tym, przed którymi dworuje. Najwięcej robi portretów. Jeśli kogo wyśle do Włoch, to chyba w przekonaniu o niewielkiej jego zdatności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan; ale ja czuję, jak mało umiem.

— Pełen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz! dodał Chmura.

— Bierzcie mnie, jak widzicie. Wolę być oszukanym niż oszukiwać. Radźcie mi, co mam począć?

— Stało się; wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i niełatwo z nich wynijdziesz. Wprawdzie nie miałeś może nic do wyboru, chybabyś...

— Chyba co?

— Chyba cię król postrzeże i wyróżni. W takim razie Bacciarelli, pod jakimkolwiek pretekstem, usunie cię z przed jego oczu. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie.

Tak rozmawiając, chodzili długo, a dwa poczciwe serca wylały swój smutek w duszę Jana, który postrzegł, że wielkie szczęście, jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiem szczęściem, a w istocie wielkiem na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzej towarzysze rozstawać mieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować, żeś niezepsuty i poczciwy, rzekł powolnie; przyjmijże niektóre rady, mogące ci bardzo w nowem życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywczo, a gdy komu niemiła, zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie narobiłbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi, co ma minkę Rafaela. Strzeż się milczącego słupa, który jest także

zausznikiem Bacciarellego. Wesoły chłopiec, co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i poczciwy Longin wzdychamy tu jak Izraelici na pustyni. Tamtym chce się pieniędzy, chce się świata i gotowi spodlić się, aby je mieć: my myślimy, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrów! Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura; przenoś się zaraz do mnie. Mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacimy mieszkanie i zaraz gospodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie okażesz się tak dobrym chłopcem, jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Feliksa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydawało po smrodliwej izdebce w żydowskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem nabranym u Batraniego, szerokim pędzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Niepodobała się ta maniera mistrzowi i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wyśmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastosować się do maniery miejscowej i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nie nauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najlżejsze odstąpienie od swego sposobu karcił jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość — swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznymi środki i w różny coraz sposób być wyrażana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie: mamy całą niedzielę, a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chceszli być artystą, unikaj miasta... To Sodoma i Gomora!

Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swej myśli kierował, Jan począł nareszcie rozpa-

czać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionej i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimer młodości.

W chwilach wolnych malowali oni obaj z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarellim, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzedanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem, Jan, dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tej Stanisławowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi, gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie lub włócznie łamali nadkruszone.

Przypatrzył się Jan walkom liliputów i świetnym zwycięstwom, będącym najsroższą krytyką panowania tego, i całej przepysznej uroczystości, takiemi na ówczas okrytej oklaskami, i cudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz, gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel! jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył.

gdy król uśmiechał się przyniesionemu konceptowi, mówiąc na niego: — »A to wcale dowcipnie!« (ale z gorzkiem ust skrzywieniem); — Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go wprawdzie wykonał i massy tylko pooznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, grupach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król, tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, chodził od trójnoga

do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał:

— To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel, rzekł Stanisław August — i wybornie schwycony. Co za rysy pewne! jaka śmiałość ręki! jakie grupowanie! Któż to rysował?

Jan pobladł, milczał, nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem, który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w aksamitnym berecie.

— Winszuję ci, mój chłopcze! odezwał się król, wpatrując się coraz uważniej w rysunek; prawdziwie wybornie. Chciałbym, żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Ładny chłopiec, nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był — gdy Bacciarelli zagadał najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzelu, wedle którego kazano mu widok gonitw malować.

— Maluj, rzekł Jan, jeśli chcesz i jeśli ci kazano; ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja swego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego, kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast. Bacciarelli przyjął go blady i gniewny, mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzelu, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko, co pan robisz, jest moje, zato mu płacę, rzekł w gniewie Włoch, miotając oczyma. Taka była umowa nasza. Podoba mi się kazać Rudolfowi malować i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jest to pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem, wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę, nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, której nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, zawołał Bacciarelli, ściskając ramionami i ostrem wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej?

— Ja!! z rozkoszą woli naj. pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Wolą jest jego, aby Rudolf malował.

— Niechże maluje, odrzekł znużony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą, aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał? dodał tryumfujący Bacciarelli.

— Nie.

— Stanowczo?

— Stanowczo nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w niepojęty gniew wprawiła Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku, od uczniów z malarni do paziów j. k. mości i dalej. Król dowiedział się o tem.

Nie bardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich...

Tegoż dnia było posiedzenie w malarni dla portretu nowego j. kr. mości, corocznie się malującego. Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte: zbliżył się do Rudolfa i zapytał, wpatrując się w niego:

— A co? mój karuzel?

— Najjaśniejszy panie, podchwycił Włoch szybko — jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? dodał z intencyą król, mierząc go oczyma.

Ten postrzegł, a raczej przeczuł z wyrazu twarzy królewskiej, że się coś święci niedobrego, i chciał wyprzeć się nie swojej roboty, ale Włoch przerwał, nie dając mówić:

— Zdaje mi się, rzekł żywo, żem się omylił, mówiąc w. kr. mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepiej wykonać nie potrafi. *Il a une touche très spirituelle;* pod mojem okiem byłby się dobrze z włożonego na niego polecenia wywiązał.

— Któż przecię rysował? spytał król obojętnie.

— Niema go tu, odrzekł Bacciarelli; nie wiem, czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje karuzel ten, co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, proszę cię, mości Bacciarelli.

To rzekłszy król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan z razu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi i przyszedł nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał, jakby nie wiedział, dlaczego tyle dni nie pokazywał się w pracowni i nakazał brać się do karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobieństwem prawie było wybrnąć zwycięsko z tak trudnego zadania. Jan, podżegnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył arcydzieło: drobniutkie figureczki, wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne, choć drobne, a nie twarde; egzekucya zachwycała barwą i światłocieniem. Pod pretekstem poprawek, Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to i, zebrawszy się na odwagę, potajemnie starł świeże jeszcze poprawki cierpliwie i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tem nie wiedział, a szpiegi pracowni nie dojrzeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o karuzel. Przyniesiono mu go; ale jakież było zdziwienie Bacciarellego, gdy na niem roboty swej nie mógł znaleść! Oczy mu zaszły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku.

— Che bestia! mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowem, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go, czegoby sobie życzył.

Ośmielony łagodnem i wesołem wejrzeniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historyę, a z piersi wyrwał mu się ów wyraz żądań niepohamowanych każdego artysty: — Włochy!

— Jedź, rzekł król — a wracaj nam mistrzem! Jest już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małem. Wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze. Przysyłaj mi roboty swoje. Prócz tego — dodał cicho — nie masz tu podobno przyjaciół.

Jan w uniesieniu radości powtórnie upadł do nóg królowi i rozpłakał się w zbytku niespodziewanego szczęścia. W kilka dni potem, opatrzony w pieniądze, paszport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpiutis dążył już do wrót nieśmiertelnego Rzymu.

Z Chaty za wsią.

(Do wsi Stawisk, na pograniczu między Wołyniem a Podolem, przybyła banda cygańska, a pośród niej młody chłopak Tumry. Ten niebawem pokochał Motrunę, córkę starego gospodarza Lepiuka, który sam będąc z krwi cyganem, mimo to zagroził córce przekleństwem, gdyby za Tumrego poszła. Kiedy cyganie wieś opuścili, Tumry pozostał, i za wsią, koło cmentarza budować zaczął chatę. Lepiuk spalił mu ją. Wkrótce potem zachorował i umarł, nakazawszy synom, aby się wyparli siostry, jeżeli odda rękę Tumremu. Pomimo tego za wdaniem się dworu przyszło małżeństwo to do skutku i odtąd żyli Tumry i Motruna w chacie koło cmentarza, walcząc z coraz większym niedostatkiem. Nędza oziębiła ich stosunek do siebie: Motruna tęskniła za domem, Tumry za cyganami; gdy zaś ci powtórnie przybyli, wpadł Tumry w rozpacz i, szarpany namiętnościami, powiesił się wkońcu. Na krótki czas przedtem powiła Motruna córkę, której wychowanie stało się odtąd jedynym celem życia nieszczęśliwej kobiety. Atoli wkrótce zabrakło jej sił i umarła, powierzając dwunastoletnią ledwie córkę opiece żebraka Rataja i jego żony, znachorki Sołoduchy).

Dziewczęciu w jej lepiance ciężko pierwsze upływały chwile; ale nie jest to czczem słowem ani ciasno tego rozumieć i zastosowywać potrzeba, czego nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Nie jedni kapłani mają je sobie udzielonemi; wszelki człowiek w trudnej toni, z sercem czystem i poczciwem, jeśli nań zasługuje, otrzyma ten szczególny, do stanu jego zastosowany dar Boży. Przez anioła opiekuna niewidzialnie ześle Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza Bożych dzieci.

Biednej też sierotce w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa, przyniesiona przez anioła i włożona na jej skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu i, spojrzawszy w słonko, na krzątające się ptastwo, na rozgrzewającą się ziemię, na gospodarski ruch wioski, której głos jej dochodził z parowu: poczęła dumać nieboga.

Oczy jej błądziły machinalnie, goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakieto maleńkie — pomyślała — jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm i życie im daje... Pracują niebożątka i, siedząc w strzesze przegniłej, gniazdka sobie

budują i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady jak się zawezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty: »Wejrzyjcie na ptaki niebieskie, iż nie sieją ani żną ani zbierają do gumien, a jednak Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyliż wy nie daleko ważniejsi niźli one«?

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca, w żywej księdze życiem napisana. Marysia spojrzała na mogiłę, ale i ta do niej w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jej serce.

— Czegóżbo ja stoję w progu? — spytała sama siebie — łzy otrzeć potrzeba, bo nic nie pomogą; zmówię pacierz za matuchnę i koło chaty się wezmę!!

I przeżegnawszy się, wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny rozpatrując się, jak w niej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukień i biedoty leżały bezładne; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko, na którem umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jej ścisnęło; ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła i powoli z niejakim strachem i ściśnieniem serca wzięła się do tej bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubem płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę, reszta już poszła jej żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmiecie rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogły, pościerała stoły i ławy, poprzechowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy, w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowinie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, skąd weźmie drzewa na opał, skąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę, trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano — mówiła — na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiaderko wystarczy; drewek w chróśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nazbieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzędła... Koszulinę jedną i drugą wykroję z matczynych, to mi wystarczą na długo. Świtek stanie mi na całe życie: w starej chodzić będę w dni powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się ta podrze, to i do matczynej dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda... nie ma głodu!... E! dam sobie rady przy pomocy Boskiej, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć! stamtąd ona silniejsza niżeli tu była, bo u Boga żyje i od Boga dziecku co zechce wyprosi.

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczerpnęła w niem, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą stąd całą widać było jak na dłoni: pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czem, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyśliwała chwilę i skoczyła ku drabince na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńkiego chróstu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przysposobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łzy jej z oczu pobiegły:

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę — zawołała — tymczasem zima i śniegi zejdą do reszty, oschnie, i w chróśniaku zbierać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogienek rozpłonął na kominie; Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianej miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnej zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tem żyć można? — mówiła w duchu, zajadając zacierkę chlebową. — Ot i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie umyła garnuszek, przeżegnała się i, wziąwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jej raz-wraz biegało po chatce, po sierocem dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli, jak ją zalepić; gdzie glina odpadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę, gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słychać jak ucieka, i już około południa ktoś przed chatą zagadał! Myśląc, że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić; wtem drzwi się otwarły i dwie nieznajome kobiety, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcąc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maksymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęcia na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała, żeby się do niej odezwały; aż nareszcie Maksymowa, szturknięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się znamy... ale.

— Bóg zapłać — odparła Marysia — a cóż ma być: haruję i żyję.

— Patrzajcieno, patrzajcie — szepnęła Filipicha — jak to u niej czysto i porządnie: i ogień na kominie i wiadro pełne i umieciono... a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt — tęskno odpowiedziało dziewczę — dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomóc sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcej nikt; ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie — dodała Marysia, zmiatając im ławę fartuszkiem, a nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne; — Bóg zapłać, żeście przyszły choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być samej!

— A już to prawda — odpowiedziała młodsza — ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie; tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieludno — odezwała się Marysia uśmiechając; — ale mi tu wróble swoim językiem cały Boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagląda, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maksymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzania prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jakto ona gada — poczęła w duchu Filipicha — co to za rozum, tażto i stary lepiejby nie potrafił... Nie widziana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: — co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcąc między sobą i trącając łokciami; jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcej niż podziwienie: — rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom, choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie, do którego nie przywykły.

— Choć siądźcie, proszę — mówiła im Marysia; — nie mam was czem przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czem chata bogata, tem rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jecie? — zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic: alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, bylem motki skończyła, a prząść się znalazło więcej. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przędziwo nie przepadnie i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebiedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzędę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a co raz to się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przy-

tomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zapłakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dolę, a tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja mileńka — odezwała się Maksymicha — to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi rąk starczy — rzekła Marysia. — Jużem się wypróbowała i obmyśliłam, jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe: a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! — powtarzały — krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet wkońcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły; jak siedziały na ławie, tak poza siebie zasunęły, co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance; z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagadać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskiem, u dobrodziejów w plebanii i w karczmie, nie było słychać tylko o niej. Nienawiść ku cyganowi i cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała się zobojętnieniem, ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudzała teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, skąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi.

Samotny pobyt Marysi w chacie przerwało zjawienie się młodego szlachcica Choińskiego, który na dobre zakochał się w pięknej »cygance« i odtąd coraz częstszemi niepokoił ją odwiedzinami. Ojciec jego, dowiedziawszy się o tem, udał się do Marysi i tak surowo ją złajał, że biedna uległa namowom cyganów, bawiących znów w pobliżu, i z nimi poszła na wędrówkę. Młody Choiński puścił się za nią, oznajmiwszy przez Sołoduchę rodzicom, że nie myśli wracać; wówczas ojciec, wyrzekłszy się dumy szlachekiej, dogonił go i zezwoleniem na małżeństwo skłonił i jego i Marysię do opuszczenia obozu cyganów.

Z Brühla.

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. — Szerokim gościńcem, przerzynającym puszczę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnemi; środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołem usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionymi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniej więcej szczęśliwie Saksonii i Polsce, Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król, mimo wieku, wyglądał jeszcze wspaniale i rześko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdążał na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córa, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski tak był liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Znużeni jeźdźcy pozsiadali z koni, gdzie który mógł popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rzęsiste, dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wcześnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodal od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia, przywiązanego do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niej wyglądała twarzyczka, niby z meiseńskiej porcelany, biała, różowa, niemal dziecinnej i dziewiczej piękności, z uśmieszkiem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającemi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozpłomienieć i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. — Kochali go niemal wszyscy, nie wyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczem, nigdy nikogo nie chciał zaćmić, a mimo to wezwany do jakiejkolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Był to ubogi szlachetka z Turyngii rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Soemmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczystego odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał klamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce, lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jednym z nich młody paź ze swoją miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak, co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu, nigdy w życiu nie widział, a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor, i tak swą służbę zrozumiał, starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzał, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina, padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejednał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnem do usługi sercem.

Nie obawiano się wcale, aby takie niebożątko pokorne mogło zajść wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby i kamerlokajów królewskich, którym szczególne poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliwa matka — natura.

I w tej chwili, gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak nazywano) przechadzał się samotnie po ścieżce do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś, że to czynił, aby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwnie służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością wcale różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim, że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVIII wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcej stworzony był na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz królewicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Alexander Sułkowski (syn niemajętnego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył to, co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę.

Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo chociaż August II wyglądał przy swem zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć jak najprostszy śmiertelnik. Z nowem słońcem wschodzącem i ta gwiazda na horyzont saski wnijść musiała i przyświecać jej swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu się najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme pełne poszanowania powitanie z powagą, ale z łaskawością razem.

(Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dawszy poznać Augustowi II swe uzdolnienie, został Brühl jego sekretarzem i tak sobie umiał zaskarbić łaskę króla, że tenże umierając polecił go synowi swemu jako najwierniejszego sługę. Od tej chwili był Brühl współzawodnikiem Sułkowskiego na dworze młodego króla. Sprzymierzony z królową i jej spowiednikiem ks. Guarinim, którzy w Sułkowskim widzieli człowieka niereligijnego i rozwiązłego, skorzystał z kilkumiesięcznej podróży współzawodnika i dokazał tego, że Sułkowskiego zaocznie pozbawiono wszystkich dostojeństw, a nawet po powrocie wzbroniono mu wstępu na dwór królewski).

W r. 1756., w czasie wojny z Prusami, późną już jesienią, musiał August III uchodzić do Polski.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie włokły, gdy jedno z małych szląskich miasteczek pokazało się z za szarej opony dżdżystej, z wieżyczką kościoła i oświeconymi domami. Brühl spodziewał się tu znaleść króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile dalej nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwej słoty na nocleg w mieścinie pozostać. Chciał Brühl słać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżnem, do rana koni dostać się nikt za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jednę miało. Dość liczna służba towarzysząca już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie »pod koniem« zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niej szeroko.

Ministrowi zdawało się, że dość będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni

poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiem i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscelencyi pobiegł »pod konia«, gdzie znalazł dosyć szumny dwór i dość pańsko wyglądającego kogoś tytułowanego książęciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczej, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencyi.

Usłyszawszy nazwisko, książę ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł Niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętej nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety, tak skutecznie, iż we wnętrzu jej mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl, nie zastanawiając się dłużej nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać »pod konia«.

Spodziewał się, że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie, gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmości i nadskakiwania; wysiadł więc z mocnem postanowieniem zawstydzenia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi: minister wbiegł do obszernej izby, w której ogień się palił na kominie i dwie świece na stole, szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale niezmieszanego tem niespodziewanem spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze niż kiedykolwiek był — Sułkowskiego.

Książę stał milczący, z góry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem; obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po pierwszym rzucie oka zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad; zdawało mu się, że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sułkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Brühl stał osłupiały; widocznem było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszeć bajkę — rzekł Sułkowski — o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... Coś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się na pół ku drzwiom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim — dodał Sułkowski. — Prawdziwie

zabawna rzecz, takie spotkanie dla mnie, i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu losu ręka mię pomściła.

— Mości książę! — przerwał Brühl jak najłagodniej.

— Mości hrabio — odparł Sułkowski — gdyby to od waćpana było zależało, zamiast księstwa miałbym dziś wygodną kwaterę w Koenigsteinie.

— Mości książę — wtrącił Brühl — przypisujesz mi większą władzę, niż miałem... Upadek swój winieneś położyć naprzód na karb własnej nieopatrzności, potem słusznego czy nie gniewu królowej jejmości, naostatek woli N. Pana, której ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio! — rzekł Sułkowski — należy wcale odwrotnie powiedzieć, tak jak historya kiedyś zapisze, że N. Pan był i jest wykonawcą jego fantazyi...

— Książę się mylisz.

— Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograniczonym — dokończył Sułkowski — abym znając lepiej od innych charaktery i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

— Boga biorę za świadka! — zawołał, składając ręce Brühl.

— To najwygodniej — odparł Sułkowski — bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, żeby dla nich zstępował na ziemię. — Najlepszem świadectwem Bożem jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszej polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek! — rzekł — zobaczymy, jak na tem wyjdą najezdnicy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu, co Saksonię! — roześmiał się Sułkowski.

— W zarządzie Saksonii — kłaniając się rzekł Brühl — nie potrzebowałem żadnych innowacyi, dosyć mi było wstępować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczej układał przyszłość Saksonii — rzekł Sułkowski dumnie; — dowodem ten plan, który pochwyciwszy mu, wydałeś pan dworowi austryackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zżymnął się.

— Ja? ja o tem nie wiem nic — przebąknął ponuro, zmieszany... Jeśli kto się tego dopuścił...

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł z dala po pokoju, unikając zbliżenia się do Brühla.

— Słuchaj Brühl, mówię po staremu i bez tytułu — rzekł zwracając się — nie graj komedyi, przynajmniej ze mną; to się na nic nie zdało. Taksamo jak ze mną, nie odegrasz jej w obliczu historyi, której okłamać niepodobna. Zakażesz pisać, mówić, myśleć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą... Możesz sobie kupić bezkarną teraźniejszość, ale nie jest w niczyjej mocy uczynić cię czystym przed historyą. Staniesz przed nią jak na sąd Boży nagim, odartym z maski, różu i bielidła, a uniknąwszy pręgierza za życia, nie ujdziesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawnem! — zawołał Brühl unosząc się — tajemnic nie mam; pragnę tego sądu, mości książę.

— A gdybyś go nie chciał, czy chciał, mości hrabio, nie unikniesz! to darmo... będzie nieubłaganym i okrutnym.

— Poddaję się mu — przerwał Brühl — nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś, mości księżę, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie dało się tosamo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa? — śmiejąc się zawołał Sułkowski — Padre Guarini, czy... Brühl się zarumienił, książę ramionami ruszył.

— Na honor, hrabio, ja zdala admiruję was... Nie mówcie mi, że jabym tosamo, co wy na waszem miejscu mógł uczynić! Ja wyznaję w pokorze, nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakicheście dokonali, przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii; znałem Augusta III, pana naszego, szlachetną, ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jej dopomagać. To, co mam, winienem wspaniałomyślności pana mego, a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książę — przerwał Brühl — tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu, ruszając ramionami.

— Przecież my oba jak augurowie rzymscy, możemy się z tej komedyi za kulisami śmiać, nie kryjąc przed sobą! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem... Ale dla mnie będziecie starym dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze, kłaniającego się lokajom...

Ministra twarz zbladła i czerwieniała na przemiany, niecierpliwość go porywała, widać było, że chwilami chciał wyjść, to znowu jakby nie rozpaczając jeszcze o tem, że się potrafi zbliżyć

i wytłómaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszoność, sofizmat zawsze gotowy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociężałość, sądził, iż go pokona wkońcu. Tu jednak rachuba chybiła. Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl wkońcu odezwał się, cedząc po cichu wyrazy:

— W. Książęca Mość winienbyś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce, gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce, panie Brühlu, są pewne prawa, które więcej znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczej się Brühl mnie, niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja też niedawno ze szlachcica urósł na austryackiego księcia.

— Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z W. Ks. Mością mam wspólny — przerwał Brühl.

— A! przedziwna farsa! — rozśmiał się Sułkowski. — Jestże w kraju całym jeden człowiek, coby nie wiedział, jakieście z turyngskiego do polskiego szlachectwa przyszli. To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny — okłamaniem prawdy.

— Mości książę, jeżeli życzysz sobie, bym opuścił izbę — rzekł Brühl, zabierając się do wyjścia —

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi — odparł książę — ale powtarzam panu, my z sobą komedyi grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący. Wpośród ciszy słychać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą, przykuwającą go do tej jedynej wolnej izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał.

Minister namyślać się zdawał.

— Mości książę — odezwał się — mówmy jak starzy towarzysze.

— Fatalne przypomnienie! — mruknął Sułkowski.

— Na dowód, że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemię tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie za ciężkie.

— A tak — przerwał Sułkowski — mógłbyś się nimi podzielić. Liczmy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższej izby podatkowej, akcyzy generalnej, fundacyi naumburgskiej i merseburskiej dyrektor, generalny komisarz portów morza Bałtyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, pułkownik szwoleżerów i regimentu

pieszego, fundacyi meisseńskiej kapitularz, proboszcz Budziszyński, kawaler polskiego orderu Orła białego i rosyjskiego św. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła Czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! — śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrosny; jedź książę do Warszawy, ja go z królem przejednam.

— Tak, aby nazajutrz potem bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednej z fortec saskich — przerwał Sułkowski. — Nie, dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i stamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owej sławnej książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym, a w innych świętoszkiem czyniła i chętnie odgrywał rolę niewinnej ofiary.

— A! — zawołał — niema pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nade mnie, przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to, co mogłem kiedy dobrego uczynić, przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nade mną; ci którym życzę dobrze, ścigają mnie.

— A! kochany hrabio! — śmiał się Sułkowski — rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nie przystała wam. Gracie ją źle... Bracia Morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój: ogrzejcie się przy kominie i nie mówmy więcej.

To mówiąc, książę usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku; siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwnem też położeniu, spoglądając niekiedy na siebie, przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyjacielowi i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc, został już zbity z tropu i nie mógł nowej wynaleść ścieżki, któraby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny a na podwórzu wzmagał się wicher i niepogoda. W kominie świszczał i wył jesienny wiatr najdzikszymi głosami; czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jej tonem zgadzało... Niekiedy drzwi otwarte w go-

spodzie, zatrzaskiwały się same gwałtownie, tak że ściany domu drgały. Resztki ognia jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu wzmagając się wracały do komina. Najweselej usposobiony umysł musiałby był ulec wrażeniu tej nocy i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzemać obojętny.

— Pozwól mi książę słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

— Co za delikatne i drażliwe sumienie! — szepnął Sułkowski.

— Król nasz dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo — dodał — ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u W. książęcej Mości, ale ks. biskup krakowski lub...

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić — odezwał się zagadnięty — że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie?? Nie łudź się pan tem, byłem i jestem świadomym wszystkiego, co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody, że królowi narzuciliście gwałtem moją niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja? przeczę temu i protestuję — zawołał Brühl.

— Brühl! — krzyknął Sułkowski — za kogo mnie masz, bym ci przypisał robotę własnoręczną tam, gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękami? Nadto doskonałym jesteś artystą, abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać...

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz! rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę — dodał Sułkowski. — Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie, przekonałbyś się, że znam moją sprawę do gruntu.

— Tak — przerwał żywo Brühl — lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książę i to wiedzieć powinien...

Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach: ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz, hrabio, że chcesz być ich narzędziem — rzekł Sułkowski — i właśnie, żem ja nie mógł i nie chciał być niczyjem,

zostałem strącony. Do tej roli jam stworzony nie był, a waćpan odgrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książę kochałeś króla — rzekł minister, rzucając się w inną stronę — nie miłożby było zbliżyć się do niego?

— O! pewnie! gdybyście przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą, nie uczynili z niej lalki wam posłusznej, nałogowo do spokoju nawykłej i nie umiejącej kochać nikogo, a bawiącej się wszystkiem — westchnął Sułkowski. — Patrzeć dziś na tę ruinę człowieka nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszej...

Zamilkli znowu — Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się, że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zabliźnić do reszty ranę i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z mej strony wszystko, co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi Bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmi! — rozśmiał się Sułkowski. Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwnem usposobieniu spotkałem w. ekscelencyą, między luteranizmem saskim a katolicyzmem polskim. Widać, że te dwa wyznania zeszły się na granicy i zdublowały, a stąd taka pobożność!

— Jestem katolikiem — odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce — odparł Sułkowski — *ratio status*.

Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was poczciwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc splunął Sułkowski, pochylił się i przylgnął niemal do szyby ciemnej, chcąc wyjrzeć na podwórze.

Potem słowa nie mówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawując Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książę kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do pierwszej lepszej wsi, gospody, chaty, byle stąd precz — zawołał. — A prędko!!

I nie wszedł już do gościnnej, w której Brühla pozostawił; wolał sień zimną, a gdy nareszcie po dość długiem oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwy i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz: wszystko jedno!

Przez oświecone z wnętrza okna gospody widać było cień czyjś, jakby usiłujący dojrzeć w ciemności, co się przed domem działo.

Powóz Sułkowskiego ruszył i głowa w oknie znikła.

Ze Starej baśni.

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń świeżo rosą zlanych młodych liści i traw, które się w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwinęły. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztą wiosennej powodzi złociły się łotocie, jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza — tylko ptastwo zaczynało się budzić w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świergot i świsty i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściało i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę... popatrzyło czarnemi oczyma i pierzchnęło... zatętniało za nimi — cicho znowu.

Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie, zaszeleścił łoś rogaty — wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i zwolna poszedł w las nazad... I znowu słychać było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Z pod gęstych łóz zaświeciło oczów dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... tuż poza nim, położywszy uszy, pierzchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko zdala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszcz rozeznać mogło szmer brzozy z listki młodymi, drżenie osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr stąpając po wierzchołkach puszczy, i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury, jak dziewczęta które się ze snu zerwały zbudzone, i uciekały, czując, że obcy pan

nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu. Obłoczki białe rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków, roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków, wszczął się gwar wielki... ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki — wracało życie. W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojnie skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się zdala, dzięcioły kowale już kuły drzewa. Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi, niby szałas na prędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok, tuż, było wygasłe ognisko, spopielałe i kilka w niem niedopalonych głowni. — Poniżej w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosem okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszu, rozdęły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię, jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

Z szałasu pokazała się głowa, cała włosami okryta długimi — zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem rozgarniając je wydobył się z pod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długiem leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się — popatrzał na niebo, potem na konie... te zobaczywszy go, zwolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie — nic słychać nie było... prócz szumu lasu, śpiewu ptastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko, włos bujny poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał niskie czoło tak, że oczy wprost z pod nich patrzały. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się z pod

wąsów i brody, wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz i pętlę. Nogi miał też suknem i skórą poobkręcane, a stopy obwite nią i opasane sznurami. Z pod rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosem okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na pół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... oczy biegały żywo... Ruchy ciała, zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęziami i wnet z pod nich wypełzło chłopię, wydobyło się z za liści — zerwało rześko na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami, ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić, gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

— Gerda — do koni! słońce weszło... Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkiem potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu, i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego suchego brzegu do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzódy napoju szukały. — Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię, siedzące na jednym, ziewało, z ukosa poglądając ku staremu, który około szałasu się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Byłali to poranna modlitwa?

Na ostatek konie, napojone, podniosły głowy i jak zadumane, słuchały lasów szumu, chłopak je sznurem pognał ku szałasowi. Tu już nagotowane leżały suknem i skórą poobwijane juki, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlazł jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na

grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na niem; rękami popróbował sakiew, na grzbiecie powiązanych, i konia swego pod kłodę poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny, naprzeciw, rozgartując ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, z razu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Z za gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach na pół podziwieniem otwartych...

Podróżny tymczasem ku słońcu poglądał i na bieg rzeki...

Ponad jej brzegami, drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chcieć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwe, obrócone na wschód łbami — starszy pomyślał trochę, oczyma łąkę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębinę. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowała — ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grząską ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już — brzeg drugi... Oba podróżni wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć już tuż tuż, za gęstwiną coś szeleściało dziwnie... Zwierz spłoszony, myślał podróżny.

Naokół oprócz noclegowiska śladu człowieka nie dostrzegło oko, bór jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieniegdzie zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali. — Na wzgórzu... coś bielało nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry. Starszy wstrzymał się trochę zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie do koła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst dał się słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwiło na piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do broni ma się brać czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiła mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła krzyczała, śmiechowi wtórując... a miotała się, jakby i ona groziła.

Konie, głosami temi podżegnięte, przyśpieszyły kroku — ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słychać nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował naprzód, konia pędząc skoro — chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, śpieszył za nim, pochylony na szyi swojego... przebiegli tak stai kilkoro, aż nie słysząc nic, nie widząc pogoni — zwolnili kroku...

Starszy się dopiero obejrzał na chłopca, ze zbladłą twarzą, z zaciętemi usty, z wytrzeszczonemi oczyma, przylgłego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo choć w szybkim biegu, ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero na polance, konia ściągnąwszy starszy, obejrzał się na strzałę, i zręcznie ją pocisnąwszy, choć syknął z bolu — wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

— Pioruny by w nich biły... i burze! — zawołał warcząc rudy. Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło się za bałwana...

(Mimo to dostał się Hengo szczęśliwie do chaty gospodarza Wisza, skąd po gościnnem przyjęciu udał się na zamek (Chwostka-Popiela), ażeby księżnie, Niemce rodem, zanieść pozdrowienie od rodziny. Po powrocie opowiedział Gerda córce Wisza o okrucieństwach Chwostka. Skutkiem tego wybrał się Wisz w natychmiastową podróż celem zwołania wiecu; lecz przypłacił to życiem, bo niebawem po powrocie napadli na jego dom ludzie książęcy i zabili starca).

W świetlicy na posłaniu swem leżał trup starca blady, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi,

zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor, hukając w umówiony sposób: lecz nim mu na jego głos odpowiedziano, nim nadeszły żona, córki, synowe, sługi i wnuki, noc już była w połowie...

Wśród ciszy lasów zdala ten pochód żałobny słychać było. Szły płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona z rękami załamanemi, z zamkniętemi powieki. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząca i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejął smutkiem i grozą. Mężczyźni wtórowali. Otwarły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się, jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przypadł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawił się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, nanowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Nareszcie Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgliszcza dosyć były oddalone, na polance piaszczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać nie spalonem, ażeby duch mógł prędzej wzlecieć do ojców i braci.

Noc to była znowu bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu... Dalej

płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali na rękach podparci, łzy ocierając pocichu.

— ...Odszedłeś nas — wołały płaczki — niema cię, panie... osierociłeś nas biednych... Poszedłeś panie do ojców twoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś za ziemi miał, czego dusza zapragnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały...

I miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie rącze... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki. Wiszu, wojaku niezwyciężony, wróg na cię napadł zdradliwie, krew twa pomszczona, zemsta nie syta, z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgliszczu stos był gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za niemi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce. Cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgliszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu, nim otoczonem, wśród gęstego boru, który obcym bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem bladym porosłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijścia, na ubitem tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion sosnowych, który cztery grube pale, wbite po rogach, utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w którem popioły i ofiara obietna mieścić się miała; chleby, kołacze, mięsiwa, piwo i miód na tryznę przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem starego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic — ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama, osierocona, nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku, przy niem składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugich, wiodły jakby wschodami do góry, gdzie Wisza trup stał otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga, pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka, przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby ustąpiły z drogi; rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią: wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzała na stojących, na biały świat szeroki, i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i, objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi, przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos do koła, jakby w szalonych skokach miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnięto razem. Podpalone zaledwie, zajęły się nagle, szybko płomieniem jasnym, i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą stanęło jednem ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębami sinymi do koła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając z pomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siląc się uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajadłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając chłonąć stos sobie przeznaczony, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczywa, już przezeń zjedzone, opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagał się

i podżegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzali z uroczystem przejęciem i trwogą. Zdawało się im, że ujrzą ze stosu ducha ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odganiać należało złe siły, czarne bogi; i czterej parobcy na koniach z dzidami w rękach poczęli szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi. Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, w górę podrzucając oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębów dymu, z za jasnych płomieni widać jeszcze było zczerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień wybuchające od dołu, aż bale u dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomię ogromne, w którem tylko sterczące pale rozeznać było można. Pieśni ucichły... duchy wzleciały. Dzieci rzucały jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże, kawałki kruszcu, kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i obiatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiarą.

Zarzewie na zgliszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małem ogniskiem, kupą węgli czarnych i popiołu. Zsuwano głownie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszcze wodą, przyniesioną ze świętego zdroju, zwolna zalewać zaczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnicę, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnicę pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto sypać ziemię na mogiłę z pośpiechem.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze — duch uleciał... Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wzniósł nad popiołami Wisza...

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsiwem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i zdala niewiasty.

W tem gęśla zabrzęczała i cisza nastała wielka, gałęźmi tylko w lesie wiatr szumiał zdala... Słowan dobywał z piersi głosu.

— Pusty w lesie dwór twój stoi, dzieci twe ojca nie mają... Poszedłeś stary do swoich, na miód biały i biesiadę... Stary woju... woju stary... włosy miałeś jak śnieg białe, ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił na ziemi... ile z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie wrócić ci do świata... Ziemiąśmy cię przysypali, popiół twój łzami polali; poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie powracać ci na ziemię... a po jasnem latać niebie — młotem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili, obiaty ci nie skąpili... O Ładо! Ładо! Ładо!...

Za starym wszyscy wołali: Ładо! i rozległo się wołanie po zgliszczu, żalniku i lesie.

Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku.

— Ojcze dobry... Wiszu panie, za krew twoją mścić się będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za życie! Krew za krew!...

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem, ręce podnosząc do góry:

— Krew za krew!

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też kubek w górę, głośno zawołał:

— Krew za krew!

Oczy wszystkich skierowały się ku niemu, stał smutny i on jakby własnego ojca utracił... i począł też wołając na pół pieśnią, pół słowem, pół płaczem:

— Stary Wisz niech się pocieszy! stanie się, czego on żądał, spełni się, co on przykazał... Idą wici, lecą wici... i starszyzna

już zwołana... Strach na grodzie... Chwostek blady niewolników swoich zbiera... Na wiec pójdziem, poniesiemy krwawą suknię i koszulę, przed starszyzną położymy... i o zemstę powołamy... Wtórowali mu niemal w każde słowo bliżej siedzący, pokrzykując i kubki podnosząc. Młodzież odgróżki i przekleństwa rzucała, coraz w stronę grodu, ku Gopłu zwracając twarze i ściśnione pięści.

W miarę jak kadzie się wypróżniały, gwar powiększał; starsi o zmarłym rozpowiadać zaczęli, jak on młody wiek spędził w znoju i boju, jak dokazywał w pierwszej życia połowie, jak swoich kochał, jak oni go kochali, jak gość dlań był świętym... Kubki krążyły, żal stawał się coraz gorętszym i zemsty pragnienie.

Niewiasty także, siedząc na uboczu, śpiewały cichym głosem...

I trwało to noc całą do dnia białego i przeciągnęło dzień drugi i noc drugą, a nie skończyło aż trzeciego... Młodzież ciskała oszczepy, biegała na wyprzodki do celu pieszo i konno; rzucała kamieniami, próbowała sił, borykając się z sobą, aż napoju się przebrało i znużenie wycieńczyło. Dopiero się wszyscy rozchodzić poczęli, mogiłę żegnając jeszcze, a okładając ją gałęźmi zielonemi.

Doman ze swym dworem dotrwał do końca, a gdy bracia zgliszcze i żalnik opuszczać mieli, poszedł z nimi, przeprowadzając ich ku zagrodzie.

Na pół drogi zatrzymał braci.

— Słuchaj Ludek — rzekł — albo to pora albo nie, mówić o takiej sprawie... a ja chcę z serca zrzucić, co na niem mam... Siądźmy i gadajmy.

Posiadali więc u dębu, a Doman braciom ręce podając, począł:

— Ja z wami... ja wam bratem chcę być, bądźcie wy mnie też.

— Zgoda! — odparł Ludek, który po ojcu odziedziczył tensam umysł spokojny i męstwo, jakie miał stary; nie mówił łatwo ni wiele, ale co rzekł, to strzymał, choćby krwią przyszło polewać.

— Co myślicie poczynać? Ojca trzeba pomścić... nie może inaczej być. Smerda go zabił... Smerdę zabić mała rzecz, ale on to nie swoją uczynił wolą... Co myślicie poczynać?

— Dobrzeście wprzódy rzekli — odparł po namyśle Ludek — zaniesiemy na wiec krwawą suknię i koszulę, położym ją przed starszyzną i rzeczemy: Zginął Wisz za was, za wiec — niech wiec stanowi o pomście za krew jego.

(Do wielu strasznych zbrodni dodał Chwostek najstraszniejszą: sprosiwszy stryjów na ucztę, potruł ich za radą żony. Nie minęła go jednak kara, bo zbuntowany lud, z rodziną Myszków na czele, napadł

nań w jego zamku i zamordował. Synowie jego, których dziadek, ojciec księżny, przysłał ze zbrojną odsieczą, również zostali pokonani, a wiec, zgromadzony dla wyboru nowego władcy, godność książęcą oddał Piastowi).

Antoni Edward Odyniec.

Syn Tadeusza, urodzony w Giejsztunach (pow. oszmiańskim) na Litwie w roku 1804. Szkoły odbył w Borunach. W roku 1821. przeszedł na uniwersytet wileński. Mickiewicz był już wtedy w Kownie, Odyniec zatem jego kolegą nie był; ale poczęty kierunek romantyczny był właśnie w całej pełni i młody Odyniec dostał się pod wszystkie jego wpływy. (Mickiewicza samego poznał przy sposobności filareckiej majówki, co szczegółowo w swoich wspomnieniach opowiada). Zaprzyjaźniony z całą romantyczną i piszącą młodzieżą wileńską, sam z wielkim zapałem zaczął pisywać ballady, romance, wiersze miłosne i t. d., z pociągiem wyraźnym do romantyczności rycersko- lub fantastyczno-konwencyonalnej (poezye Walter-Scotta, Tomasza Moora i t. p.). Kiedy Nowosilcow rozpoczął prześladowanie uczniów wileńskich, Odyniec jeden z pierwszych dostał się do więzienia, a to z powodu, że przy rewizyi znaleziono u niego jakieś wiersze i sprawozdanie z (dawniejszego) posiedzenia grona literackiego Filaretów (podówczas już rozwiązanych). Więzienie trwało kilka miesięcy, ale skazanym i wywiezionym do Rosyi nie był. Uwolniony, pojechał do Warszawy, zaczął pisać coraz więcej, a nawet drukować swoje poezye. W przyjaźni z młodymi romantykami, był przecie w stosunkach i z klasykami, i przed tymi (jak opowiada sam, jak też Koźmian w listach i pamiętnikach wspomina) zacięcie bronił romantyzmu, a zwłaszcza Mickiewicza. Sam wydawał wtedy zbiorowe pismo Melitele i napisał dramat (bardzo słaby) pod tytułem Izora. Gdy Mickiewicz w roku 1829. otrzymał pozwolenie wyjazdu za granicę, Odyniec szczęśliwym zbiegiem okoliczności mógł mu towarzyszyć i był z nim razem w całej podróży, od Weimaru począwszy, w Niemczech, Szwajcaryi i Włoszech. Po roku 1831. on także zrazu nie mógł powracać na Litwę. Przebywał w Dreźnie (znowu z Mickiewiczem aż do jego wyjazdu do Francyi). W roku 1835. pielęgnował w Dreźnie chorego Brodzińskiego. Dostawszy pozwolenie powrotu, osiadł na wsi, ożenił się i przez lat kilka zajmował się głównie tłómaczeniem Byrona i Moora (1838—1843). Następnie przeniósł się do Wilna i wydawał literackie pismo peryodyczne Kuryer wileński. Starał się usilnie wspólnie z innymi utrzymywać literackie i umysłowe życie na Litwie, a zarazem, znużony już tłómaczeniami, zapragnął spróbować się w twórczości własnej i w nowych formach. Napisał Felicytę, dramat z czasów pierwszych prześladowań kościoła (1849), za którym w lat kilka (1858) poszedł drugi z przedmiotem już polskim, Barbara Radziwiłłówna, i wreszcie (1861) Jerzy Lubomirski.

Po wypadkach r. 1863. przeniósł się do Warszawy. Lubił i umiał do śmierci skupiać około siebie piszących, odkrywać i zachęcać młode talenta i był wśród nowego pokolenia i zmienionych stosunków żywym

pomnikiem dawnych wileńskich czasów. Bardzo miły i dobry, z umysłem żywym, z pamięcią przechowującą wiernie mnóstwo szczegółów i zdarzeń ciekawych, był bardzo i powszechnie lubiony i poszukiwany. Pociąg, jaki miał od młodości do literackich pism peryodycznych, sprawił, że teraz czynnie i pilnie zajmował się i opiekował niemi, a zwłaszcza Kroniką rodzinną. W niejto wychodziły jego Listy z podróży, później osobno w czterech tomach wydane. Ślicznie pisane, bardzo zajmujące, Listy te mogłyby być źródłem pierwszego rzędu do historyi Mickiewicza, młodzieży wileńskiej i polskiego romantyzmu. Nieszczęściem, choć pisane na podstawie rzeczywistych ówczesnych listów Odyńca do przyjaciół, układane były do druku i uzupełniane w wiele lat później, a stąd wkradł się w nie nie tylko późniejszy sposób widzenia rzeczy, ale nawet wiele spostrzeżeń i uwag, wiele szczegółów należących do późniejszych lat i zdarzeń. Wartość źródłowa Listów jest przez to znacznie zmniejszona; ale przyjemne i ciekawe do czytania są zawsze, a baczny czytelnik, umiejący rozróżnić współczesne wrażenie od późniejszego dodatku, znajdzie w nich wielki zawsze zasób prawdziwych i pewnych wiadomości. Uzupełnieniem Listów są Wspomnienia z przeszłości, pisane na prośbę Deotymy, z którą Odyńca łączyła wielka przyjaźń wzajemna. Są to dzieje jego młodości, poprzedzające ową podróż z Mickiewiczem, lata szkolne i uniwersyteckie: że zaś nie mają tej formy listów, tego pozoru współczesnego dokumentu, tylko są szczerze i otwarcie pamiętnikiem, wspomnieniami później spisanemi, więc nie budzą takich jak tamte obaw i nie podlegają takim zarzutom.

Umarł Odyniec w Warszawie, w styczniu roku 1885.

Ma on bardzo dobry język i wiersz (na Mickiewiczu kształcony), ma dużo uczucia, które zwykle rzewne i miękkie, czasem miewa nawet siłę i powagę; wyobraźni, twórczości, oryginalności ma niewiele. Słowem posiada przymioty, z którymi można być dobrym i pożytecznym pisarzem, doskonałym tłómaczem, poetą sympatycznym i przyjemnym, ale z którymi w pierwszym rzędzie poetów stanąć nie można. Odyniec zresztą wiedział to sam doskonale; rozumny i skromny, nie był zarozumiały i talentu swego nie przeceniał. Miał ten rodzaj talentu, a może i natury, jaki miewają zwykle kobiety piszące: dużo zalet, ale pewien wrodzony brak samodzielności i potrzeba oparcia się o kogoś silniejszego, o jakiś wzór. Odyniec w młodości, otoczony pierwszym romantyzmem wileńskim i nim zachwycony, ze swoją miarą talentu i łatwością pisania, tworzy na wzór uwielbianych podówczas ballad, romanc, sonetów zagranicznych, a zwłaszcza na wzór Mickiewicza. Po roku 1831., kiedy wielcy poeci zmienili kierunek i nawet pierwiastki swoich natchnień, on, oddzielony od nich całą szerokością Europy, sam jeden na Litwie, zostaje na dawnem stanowisku i zajmuje się Byronem i Moorem, o których inni dawno już myśleć przestali. Zbytecznie mówić, że dobre przekłady Byrona są wielką ozdobą każdej literatury i wielkim dla niej pożytkiem; a jego przekłady są bardzo dobre. Później, kiedy zapragnął stanąć o własnej sile i popróbować się w większych i trudniejszych formach, siła nie dopisała. W jego trzech dramatach jest dużo szlachetnego uczucia, są piękne ustępy, ale dramatycznego pierwiastka

i akcyi, żywej charakterystyki osób jest mało. Wierny wspomnieniom swojej młodości, zachował do końca nie tylko cześć i miłość dla swoich przyjaciół, a głównie dla Mickiewicza, nie tylko ówczesny język i sposób pisania, ale także rodzaj i ton uczuć młodych romantyków wileńskich. Był w nim szlachetny idealizm Zana, ale była i pewna sentymentalność, przypominająca Dudarza, Kurhanek Maryli i t. d. Rzecz oczywista, że te własności nie ujmują mu bynajmniej talentu ani zasługi, tylko owszem, jak w życiu stanowiły jego wdzięk, bo robiły go żywym zabytkiem i typem tej minionej epoki, tak w literaturze nadają mu odrębną i ciekawą cechę, kiedy talent i rzetelna wartość jego dzieł zapewniają mu w niej poważne i trwałe stanowisko.

Z Listów z podróży.

XVII.

W Weimarze, dnia 28. sierpnia 1829.

»Otóż i dzień nad wszystkie uroczystszy świątki«!
Wstawaj, ku czci Gœthego lat osiemdziesiątki!

Tą parafrazą wiersza Trembeckiego dobudziłem się dziś na dzień dobry Adama, gdy się już sam poruszył i ocknął. A było to jeszcze przy świetle

»Gońca złotego słońca, różanej jutrzenki«,

pogodnie w okna nasze świecącej, a o której jedna z najlepszych festynowych piosenek dzisiejszych w ten sposób z wdzięcznością wspomina:

»Diese schöne Morgenröthe
Hat einst unsern — ja, unsern Gœthe
An des Tages Licht gebracht«.

Obudziłem się zaś sam tak wcześnie dlatego, że wczorajsze czarnoksięstwo Adama, enigmatyczne zagadnienie Gœthego i różne jeszcze inne reminiscencye wieczorne, tak się zlały jakby w jeden koszemar, że trapiony przezeń noc całą, skoro raz otworzyłem oczy, już *da capo* skleić ich nie mogłem. Ledwo zaś przez połowę byliśmy ubrani, wszedł do nas na wpół także ubrany David, sąsiad nasz przez korytarz, aby kończyć sylwetkę Adama, i wkrótce po nim z wizytą Holtei, drugi też sąsiad przez ścianę. Szkoda, że ci nie mogę powtórzyć długiej, bo przeszło dwugodzinnej rozmowy, która, gdyby ją kto stenografował, złożyćby mogła szeroki historyczny obraz bieżącej literatury, a zwłaszcza poezyi europejskiej,

i to pod najciekawszym i najżywotniejszym względem, to jest osobistości, charakteru, stosunków, stanowiska i wpływu autorów, którzy ją wszędzie w tej chwili w rękach piastują. David bowiem zna wszystkich najdoskonalej w Paryżu, Holtei wszystkich w całych Niemczech. Adam ma także mnóstwo znajomości podobnych w Petersburgu i Moskwie; a jużciż nikt pewno nade mnie nie zna lepiej obu przeciwnych obozów, klasyków i romantyków, w Warszawie i w Wilnie, z których się tylu jednych po bratersku kochało, z tylu drugimi po szermiersku walczyło. A walka ta na polu literackiej idei toczy się dziś również i gdzieindziej; tylko, że nie na same słowa i języki, ale na myśli i pióra. Dość tylko że walka trwa wszędzie. Wszędzie treść dopomina się o pierwszeństwo przed formą, prawda przed sztuką. Ale czy prawda zwycięży w istocie, czy sztuka formę tylko przemieni? to już przyszłość chyba osądzi.

Ale wiesz ty, jakim obrazem cała ta poranna rozmowa odbiła się w wyobraźni mojej? Oto widzę, jakby lazurowy sklep nieba, roztoczony nad całą ziemią. Zachód płonący jeszcze żywym ogniem i blaskiem, chociaż zgasłego już słońca — to Byron. Wschód promieniejący jutrzenką — to Adam. Księżyc w pełni i na zenicie swej drogi — to Gœthe. Trójca gwiazd — słońc pierwszej wielkości — to Chateubriand i Walter-Scott nad Europą, a nad Ameryką Cooper. Plejada słonecznych planet — to Manzoni, Moor, Beranger, Lamartine, Tieck, Tegner i nasz Ursyn. Mglisto-płomienisty kometa — to Wiktor Hugo. Zorza północna — to Puszkin. Reszta to już pomniejsze gwiazdy i gwiazdeczki, co albo się grupują w konstellacye albo jako meteory błysną, spadają i gasną.

Żebyś zaś nie łamał głowy, skąd mi przyszło to astronomiczne porównanie, mnie, co wcale do gwiazd nie sięgam; wiedz tedy, że mi je natchnął ten właśnie, który swem przyjściem przerwał tę rozmowę. — Był nim zaś pan Quetelet, dyrektor obserwatoryum astronomicznego z Bruxelli, który przyjechał umyślnie na obchód urodzin Gœthego i któremu nas wczoraj sam Gœthe na wieczorze u siebie przedstawił. Mieszka zaś razem z nami »pod Słoniem«. Czy wczorajsze hokus-pokus Adama nie było może głównym powodem tej niespodziewanej wizyty, tego z pewnością powiedzieć nie umiem. Bo nie mówiąc już o mnie, który z żadnego względu prawa do niej rościć nie mogę; ale Adam sam był zdziwiony, co mu mogło zjednać ten zaszczyt, gdyż z nim zaledwo słów kilka i to obojętnych przemówił. A musi to być nie lada znakomitość w nauce i w świecie uczonym, sądząc z tego, jak go Gœthe z wyraźnem

odznaczeniem traktował i z jaką uprzedzającą grzecznością pani Ottilia była dla jego żony, która już przez tosamo, że była jedynym gościem płci pięknej, trzymała prym w towarzystwie damskiem. Nie wiem, a więc i nie mówię z pewnością, czy i ona nie złoży na talerz swojego pierścionka; ale jest bardzo podobnem do prawdy, że ona to wysłała męża, aby bliżej czarodzieja zobaczył. — Bądź co bądź, Adam, jak gdyby dla utrzymania swej roli (chociaż o tem pewno nie myślał), z powodu dnia urodzin Gœthego potrącił o horoskopy, które Gœthe sam, jak pisze, układał kiedyś dla siebie z położenia i stosunku planet w dniu i w chwili przyjścia swego na świat; ku czemu wertował i badał ówczesne obserwacye astronomiczne. Stąd wszczęła się rozmowa o astrologii, której treść jest wartą wspomnienia.

Pan Quetelet nazwał astrologię piastunką astronomii tak, jak alchemia w wiekach średnich była matką chemii dzisiejszej. Adam więc z tego powodu podniósł i rozwijał przecudownie tę myśl: jak wszystkie najważniejsze odkrycia, które przyniosły światu najwięcej materyalnych korzyści, uczynione były zwykle jakby przypadkiem na drodze wyższych poszukiwań i dążeń duchowych. I tak np. astrologia szukała na niebie rozwiązania zagadki przeznaczeń, jak alchemia na ziemi »kamienia mądrości«, którego złoto było tylko symbolem. A oto chemia w wielu względach ziściła to właśnie dla świata, czego jej poprzedniczka nadaremnie szukała, to jest odkryła sekret — wprawdzie nie robienia złota — lecz pomnożenia bogactwa i pomyślności narodów przez udoskonalenie przemysłu: a ku czemu i astronomia także, ułatwiając żeglugę i handel, wiele ze swej strony pomogła. Kolumb szukał tylko krótszej drogi do Indyi Wschodnich, mając w myśli, zapomocą spodziewanych stąd bogactw, wykupić naprzód od niewiernych grób Zbawiciela — a natknął się na niespodziewany świat nowy.

Gdy więc tak poezya i gwiazdy były już po kolei na scenie, jakby dla zharmoniowania ich wzajem — wszedł mistrz harmonii, Hummel, prowadząc z sobą jeszcze jednego poetę, pana Riemera, któregośmy też wczoraj poznali. Nie słyszeliśmy dotąd nic o nim, ale mi Holtei powiada, że jest doskonały wersyfikator i nie uchodzi wcale za intruza na Parnasie niemieckim. Może mieć lat około 50 i bardzo jest miły w rozmowie. On i Hummel byli już w drodze do Gœthego, który po przyjęciu oficyalnych wizyt i deputacyi rano miał dopiero pojedynczych swych gości o południu zacząć przyjmować. A że już czas się ten zbliżał, wizyta trwała niedługo i przy-

pomniała mieszkańcom z »pod słonia«, że się też trzeba było wybierać. Tymczasem, ponieważ w apartamencie naszym (to jest izbie z dwoma łóżkami) było wszystkiego pięć krzeseł, Adam przeto, przyjmując gości, musiał siedzieć na swojem, a ja z panem Wiktorem na mojem łóżku. Ale przyznaj, że i sam Sokrates mógłby być kontent, widząc izdebkę swoją napełnioną podobnie, jeżeli nie koniecznie ścisłymi przyjaciółmi, to przynajmniej takimi ludźmi.

Było już po pół do pierwszej, gdyśmy stanęli u progu Gœthego, spotkawszy mnóstwo wracających po drodze, którzy już swoje powinszowania złożyli. — Przez drzwi sieni, otwarte na oścież, blask słońca padał wprost na wyraz *Salve*, wyłożony mozaiką w podłodze. Adam wziął to za dobry prognostyk uprzejmych usposobień gospodarza. Jakoż skoro nas ujrzał wchodzących, z pośrodka koła mężczyzn, którem był otoczony, postąpił ku nam, podał rękę i na króciutkie słowa życzeń odpowiedział:

»Je vous remercie, Messieurs, je vous remercie sincèrement«. Poczem wmieszaliśmy się w tłum gości płci obojej, ruszających się i napełniających salon w apartamencie samego Gœthego. Na stoliku pod zwierciadłem leżały rozłożone różne roboty damskie i spory stos powinszowań piśmiennych, wierszy i listów, które dziś solenizant odebrał. Ale głównym przedmiotem ciekawości i rozmów był list króla-poety, to jest króla bawarskiego Ludwika, który koleją z rąk do rąk, zwłaszcza damskich, przebiegał, i który mi dopiero pani Teresa łaskawie do przeczytania podała. Zaczyna się od słów: »Panie Ministrze!«; wspomina o pamiętnej dla piszącego chwili, gdy sam przed dwoma laty dom Gœthego odwiedził; życzy mu, aby stu lat doczekał, i prosi o przyjęcie na wiązanie załączającej się kopii nowo odkrytego starożytnego posągu, mającego wyobrażać jednego z synów Nioby. Kończy prośbą o wskazanie domu, gdzie Gœthe mieszkał kiedyś, bawiąc za młodu w Rzymie, dokąd i król się wybiera; »bo wszystkie najdrobniejsze rzeczy, tyczące się ludzi wielkich, są ważne«. Podpis: »Ihr bewundernder Ludwig«.

Posąg, o którym mowa, uwieńczony girlandą z kwiatów, umieszczony był na pięknej podstawie w przyległej sali biustów, wprost naprzeciw otwartych drzwi salonu, aby go stamtąd wszyscy widzieć mogli. Nikt jednak nie poprzestał na tem i wszyscy go koleją oglądali z bliska. Davida, a i nas przy nim, sam Gœthe zaprowadził ku niemu, unosząc się nad harmonijną pięknością szczegółów i całości. Potem zaś widziałem z daleka, jak sam znowu przystąpiwszy

ku niemu, przypatrywał mu się z uwagą, ruszając przytem ręką i palcami, jakby w myśli z kimsiś rozmawiał. W ogólności dziś w nim więcej bez porównania niż wczoraj widać było ożywienia i uczucia; i kto wie, czy ten martwy posąg, bądź jako dzieło sztuki bądź jako dar z ręki królewskiej, nie więcej go niźli żywi goście ożywiał.

Przed drugą my z Davidem wyszliśmy prawie ostatni. Damy tylko niektóre zostały; inne poszły się przebrać na obiad. Bo solenizujący dziś Papa z samemi tylko damami obiadował u pani Ottilii, i najpiękniejsze tylko, obok najznakomitszych w Weimarze, dostąpiły, jak mówią, tego zaszczytu. Wszyscy zaś bez wyjątku mężczyźni, biorący udział w dzisiejszym festynie, zebrali się przed trzecią na składkowy obiad w oberży »zum Erbprinzen«. Cudzoziemcy tylko, jako goście w Niemczech, to jest David, Quetelet, p. Wiktor i my, zostaliśmy zaproszeni gratis, na koszt uprzejmych mieszkańców weimarskich. Sala jadalna nie nazbyt obszerna. Stół i ściany ubrane w kwiaty i girlandy z liści laurowych. Osób musiało być przeszło czterdzieści. Ale jak ci opisać to właśnie, co składało główny charakter i niewypowiedziany urok tej biesiady; to połączenie razem wesołości i rozrzewnienia; to przejęcie się wszystkich jednem uczuciem, zjednoczenie się w jednej myśli, z zupełnem zapomnieniem o sobie. Wszystko pośredniczyło tu zda się między zabawą a uroczystością świąteczną, jakby jaki wesoły religijny obrzęd domowy. Wszystkie inne, wspanialsze nawet i liczniejsze od dzisiejszej uczty, na których kiedykolwiek być mi się zdarzyło, mogłyby tylko posłużyć za dowód, jak często rzeczy najpodobniejsze z pozoru, jak np.: obiad i obiad, różnić się mogą w istocie, jak niebo od ziemi, i jak nie samym chlebem, ale raczej słowem i duchem człowiek się tylko nasyca i żyje prawdziwie. To też i uczta dzisiejsza zaczęła się naprzód od słowa; a było niem przemówienie kanclerza Müllera, który jako gospodarz fety, cel jej i znaczenie wymienił. Następnie, po każdej potrawie, szły koleją: to pieśń przy towarzyszeniu muzyki, to czytanie adresów lub wierszy, które delegowani z rozmaitych stron Niemiec dziś już rano solenizantowi złożyli.

Pomiędzy innemi delegowany od uniwersytetu w Bonn odczytał wiersz tamecznego profesora, sławnego Wilhelma Schlegla, z piosnek zaś, napisana i odśpiewana przez sąsiada mego u stołu Holteia, wydała nam się najlepszą i najżywsze obudziła współczucie. On sam tak był wzruszony, że ledwo się mógł wstrzymać od łkania; a wzruszenie to było powszechnem. Pan August — ku

któremu się wszyscy mowcy i śpiewacy, jako ku reprezentantowi ojca zwracali — przyjmował to z rozrzewnieniem prawdziwie synowskiem; i trzeba było nie mieć chyba serca, żeby ogólnego wrażenia nie dzielić. Przy uroczystym toaście Adam i David, w stopniu cudzoziemców, przemówili każdy słów kilka, po francusku, które wdzięcznie przyjęte zostały. Kielichy krążyły obficie, i biesiada z poważnej i uroczystej z początku stała się wkońcu wesołą i gwarną. Przed zaczęciem zaś jeszcze obiadu, my byliśmy powodem wesołości ogólnej. Pan kanclerz, jako gospodarz, uprzedził mię, że kartka z napisem nazwiska, przywiązana do krzesła, wskazuje każdemu z gości miejsce, które ma zająć u stołu. Aby więc wiedzieć wcześnie przeznaczone dla nas, obszedłem stół raz i drugi, ale z niemałem podziwieniem i ambarasem nigdzie ani mojego ani Adama nazwiska nie znalazłem. Adam był także nieco w kłopocie, gdy mu to powiedziałem. Nie było więc innej rady, jak odwołać się do pana kanclerza. Ten również był tem zdziwiony, i zwrócił się z kolei do kogoś, któremu widać było to powierzonem. Pokazało się wreszcie, że zamiast nazwisk naszych, trudnych zapewne do napisania dla Niemca, były tylko kartki z napisem: der Pole Nr. 1, der Pole Nr. 2; i taksamo stało też w regestrze, z którym gospodarz hotelu zasiadł po obiedzie przy wyjściu, aby odbierać zapłatę od gości za wino, które kto sobie oddzielnie podczas obiadu dać kazał. My, jak to już powiedziałem, byliśmy wolni od wszelkiej opłaty; a i do głowy namby nie przyszło, aby sobie wino u stołu można było, w ten sposób extra składki, kupować. Ale ta okoliczność z kartkami dała właśnie ów powód do śmiechu; i na wieczorze potem, znajomsze damy nazywały nas żartem po numerze, pytając naprzód, kto był Herr Eins, a kto Herr Zwei?

Wieczór ten, a raczej raut balowy, z którego właśnie wróciwszy list ten do ciebie zacząłem, był u jednej ze znakomitszych dam weimarskich, pani Melos, a przybyły nań i piękne biesiadniczki, po obiedzie u solenizanta. Obiad ten miał być bardzo wesoły, a gospodarz w tak doskonałym humorze, że sam jeden, jako reprezentant płci swojej, wszystkie je dowcipem ubawił, a grzecznością i uprzejmością zachwycił. Wieczór też był bardzo liczny, świetny i ożywiony, ale nic na nim szczególnego nie zaszło. Odczytywano tylko wiersze i pieśni obiadowe, a Holtei, chociaż, jak sam wyznawał, ledwo się mógł utrzymać na nogach, odśpiewał jeszcze, na żądanie dam, piosnkę swoją, i powtórne otrzymał oklaski. Toast za zdrowie solenizanta, spełniony doskonałem winem reń-

skiem, jako narodowem niemieckiem, przyjmowała w zastępstwie jego pani Ottilia, do której każdy przystępował z kielichem. — My znowu jutro obiadujemy u niej, a to jako satellity pana Quetelet, dla którego ma być właśnie ten obiad — incognito, jak nam zapowiedziała sama gospodyni: to jest złożony tylko z najbliższych miejscowych przyjaciół domu i cudzoziemców. Dla gości zaś niemieckich, których wszystkich na obiad sprosić niepodobna, a wybierać pomiędzy nimi nie wypada, będzie znów jutro *grande soirée* po Fauście. — I cóż ty na to wszystko, grykosieju?

Czy nam zajrzysz, stękając z pod trosk gospodarskich,
Tych biesiad poetycznych i tych Muz weimarskich,
Co jakby przez Nazońskiej cud metamorfozy,
Wszystko w nas na *poesis* przemieniają z prozy?
Czy w kożuszku, z fajeczką, siadłszy na przypiecku,
Wolisz sobie bez Niemców drzemać po niemiecku,
I z Krasickim nam jeszcze gotówbyś powiedzieć:
»Że jeśli dobrze jeździć, lepiej w domu siedzieć?«
Siedź więc zdrów, śpij spokojnie! — a pisz nie zwlekając!
Choćby, jak ja w tej chwili, drzemiąc i ziewając.
Zatoż list się mój każdy o to będzie trudzić,
Aby, jak niuch tabaki, z tej cię drzemki budzić.

Lucyan Siemieński.

Urodzony w Magierowie (w Galicyi) w roku 1809. Szkoły odbył w Lublinie. Po ich ukończeniu wysłany był przez opiekuna (wuja Dłuskiego) do Odessy, gdzie miał się uczyć języków wschodnich, w zamiarze wstąpienia do służby konsularnej. Ale gdy wybuchło powstanie roku 1830., Siemieński pokryjomu opuścił Odessę i wstąpił do wojska. Wzięty do niewoli, dzięki usilnym staraniom przyjaciół, uniknął zesłania w głąb Rosyi lub na Sybir. Dostał się do Galicyi. We Lwowie, w ścisłej przyjaźni z Bielowskim, Szajnochą, Goszczyńskim, Polem, Józefem Borkowskim, wspólnie z nimi zajmował się literaturą i starał się o jej ożywienie w Galicyi. Jak wszyscy w owych latach, tak i oni z zapałem oddawali się poezyi, a szukali jej odrodzenia w pierwotnych instynktowych poezyach ludowych, przedewszystkiem ludów słowiańskich. Z tego popędu wyszedł Bielowskiego przekład Igora. Siemieński wybrał sobie Królodworski rękopism, o którym podówczas nie było wiadomo, że jest podrobiony, lecz uchodził za autentyczny zabytek odwiecznej bohaterskiej poezyi czeskiej. Siemieński okazał się w tym przekładzie biegłym wierszopisem i stylistą, nadał językowi swemu tok archaistyczny i umyślnie szorstki, a rapsodowi koloryt poważny, ponury, trochę dziki, doskonale zastosowany do tych odległych czasów, ich cywilizacyi i burzliwych usposobień. Oprócz Rękopismu tłómaczył

wiele mniejszych pieśni, słowiańskich, romańskich, a nawet celtyckich ludów. Pisał też i sam drobne wiersze liryczne, próbował się w poematach większych rozmiarów; prozą pisał powieści i małe rozprawy. Przy ówczesnej cenzurze drukowanie tych utworów było trudne. Ledwo udało się wymienionym młodym pisarzom otrzymać pozwolenie na pismo zbiorowe pod tytułem Ziewonia, ale i tego wydawnictwa musieli niebawem zaprzestać.

W roku 1838. Siemieński (jak wielu innych) dostał rozkaz wyjazdu. Udał się do Francyi (naprzód do Strasburga); tam ożenił się (z Ludwiką Potocką), wszedł w stosunki ze znakomitszymi ludźmi emigracyi i pisał (zawsze głównie poezye). Nauka Towiańskiego i jego pociągnęła do siebie zrazu silnie, ale nie na długo. W roku 1844. zebrał i wydał swoje poezye; w zbiorze tym, oprócz wymienionych wyżej tłómaczeń, znajdują się ładne oryginalne poemata (Trąby w Dnieprze, Trzy wieszczby i t. d.) i znaczna liczba drobnych wierszy, a między tymi niektóre bardzo ładne. Lata 1844/45. przepędził w Poznańskiem, i tam napisał Wieczory pod lipą, historyę polską dla młodego wieku, która, mimo pomyłek wspólnych całej ówczesnej historyografii polskiej, a później wykrytych i sprostowanych, sposobem pisania, prostotą i żywością opowiadania jest do dziś dnia najlepszą, jaką w tym rodzaju posiadamy. Wydalony z Poznania (1845), udał się do Brukselli. Tu zaczęły się ścisłe przyjaźne stosunki z generałem Skrzyneckim (zostającym w służbie belgijskiej), który wpłynął znacznie na wyrobienie pojęć i przekonań Siemieńskiego, a przedewszystkiem wyleczył go do reszty z pociągu do nauki Towiańskiego. W roku 1848. powrócił Siemieński do kraju i osiadł w Krakowie. Znany i słusznie ceniony jako krytyk i znawca literatury powszechnej, a przedewszystkiem polskiej, powołany był na jej katedrę w uniwersytecie Jagiellońskim; ale niebawem z niej usunięty, zamknąć się musiał w tem polu działania, jakie mu otwierał dziennik Czas, którego był jednym z założycieli i pierwszym redaktorem. Pole to wszakże było bardzo rozległe, a Siemieński rozwinął na niem czynność wieloraką i skuteczną. W sprawozdaniach dziennika miał sposobność i obowiązek mówienia o wszystkich bieżących zjawiskach i kierunkach literatury własnej i obcej. Były to (z natury rzeczy) rozprawy małych rozmiarów — co zresztą do rodzaju jego talentu było najlepiej zastosowane — ale mieściły w sobie tyle nauki, wykształcenia i smaku, że roznosiły mnóstwo wiadomości i trafnych pojęć; pisane z rzadkim darem i wdziękiem prostoty, żywości i dowcipu, były bardzo ponętne; a powtarzające się często, niemal codziennie, nieznacznie jak kropla wody na kamień działały, podnosiły wyżej ogólne wykształcenie publiczności polskiej. Artykuły te i rozprawki, razem zebrane, składają kilka większych całości, jak Pogadanki literackie, Kilka rysów z literatury i sztuki (i t. d.), które przy treści rozmaitej, a lekkim sposobie pisania, mają wielką wartość. Nie przestając na literaturze, był Siemieński pierwszym u nas prawdziwym krytykiem sztuki, do której wrodzony pociąg i upodobanie wykształcił zagranicą do stopnia prawdziwego i umiejętnego znawstwa. Zamiłowanie literatury i wrodzona rzutkość umysłu, potrzeba zajmowania

się wielu przedmiotami, sprawiły, że nie przestając na krytyce literatury współczesnej, pracował wiele nad dawną. Owocem tych studyów były Portrety literackie, czterotomowa publikacya, obejmująca krótką, ale dosadną i prawie zawsze bystrą i trafną charakterystykę wielu pisarzy polskich, od najdawniejszych aż do najmłodszych. Większe dzieła jednolitej treści szły mu trudniej, i na nieszczęście nie były skończone; tak Dzieje literatury powszechnej, których jest jeden tylko tom, obejmujący świat starożytny, i Żywot Kościuszki. Prace krytyczne i naukowe nie zdołały przecież oderwać Siemieńskiego od poezyi. Pisywał zawsze z wielkiem upodobaniem i powodzeniem drobne wiersze liryczne, z wielkim dowcipem bajki (zwykle polityczne, podobnie jak bajki Niemcewicza, dlatego podpisywał je pseudonymem »Ursynka«); czasem powiastki wierszem (na przykład Mimoza): ale głównie zwrócił się do tłómaczeń. W młodości zapalony romantyk jak wszyscy ludzie jego pokolenia, w dojrzałym wieku zaczął czuć żywiej i lepiej rozumieć wdzięk poetów starożytnych. Przetłómaczył wybór niektórych Ód Horacego; jest to niewątpliwie najpiękniejszy polski przekład tego poety. To tłómaczenie rzeczy klasycznych służyło mu za wprawę i przygotowanie do wielkiego dzieła jego starości, do przekładu Odyssei. W przekonaniu, że przekład powinien być jak najwierniejszym, ale zarazem swobodnym i w swoim języku pięknym, tak, żeby dla polskiego czytelnika był i powabnym do czytania, i żeby miał prawo liczyć się do dzieł sztuki i poezyi, Siemieński nie zmuszał siebie i polskiego języka do heksametrowej formy oryginału; przełożył Homera utartym, powszednim w naszym języku wierszem trzynasto-zgłoskowym. Ale odstępując od formy Homera, tem bardziej czuł się obowiązanym do oddania jego prawdziwego charakteru, jego plastycznej żywości: a z tego zadania wywiązał się tak świetnie, że jego Odysseja jest niezaprzeczenie jednym z najpiękniejszych na świecie przekładów Homera, a najpiękniejszym jego przekładem polskim.

Po wypadkach roku 1863. (w których stracił jedynego syna) stawał się coraz smutniejszym. Wrodzona wesołość i bystry dowcip błyskały jeszcze czasem, ale rzadko, a w ich miejsce występuje coraz wyraźniej zamyślenie, pamięć o śmierci, pobożność, czasem ciężka tęsknota i rozczarowanie. Temu usposobieniu odpowiadają jego przekłady mistyków i poetów religijnych — (św. Teresy, św. Bonawentury, św. Jana od krzyża i t. d.). Ale świecka i literacka praca nie ustaje; owszem w tymto ostatnim okresie powstała znaczna część Portretów literackich, Odysseja, parę powieści, rzecz o ogrodach, kilka rozpraw z zakresu sztuki: ciągła i wielostronna czynność utrzymywała się do ostatka. Zdrowie psuło się nieznacznie od kilku lat, ale nie zapowiadało wcale bliskiego końca, który przyszedł prawie nagle, w Krakowie 27. listopada roku 1877.

Zawód pisarski Siemieńskiego dzieli się na trzy okresy. Zrazu to młody romantyk, zachwycony współczesną poezyą polską i obcą, marzący o tem, żeby wielkim poetom dorównać, biorący poezyę za swoje główne powołanie; ten okres młodości, wyłącznie poetyczny, trwa do wyjazdu zagranicę, do roku 1838., a ma ten dobry skutek, że przy

swoim talencie i niezwykle artystycznem usposobieniu, Siemieński nabrał wprawy i mocy nad formą, wyrobił sobie język, styl, zdolność i łatwość zastósowania tego języka i wiersza do każdej formy, jakąby mu chciał nadać. — Dziesięcioletni okres emigracyjnego życia, to znowu różne działające na niego wpływy pojęć i doktryn filozoficznych, politycznych, nawet religijnych, które wywołują pewien zamęt i brak równowagi w jego duszy i w jego dziełach. Ale zarazem to są te lata, w których pod wpływem i piśmiennictwa zagranicznego i naocznej znajomości dzieł sztuki, których w kraju widzieć nie miał sposobności, kształci się i wyostrza jego zmysł artystyczny, a jego umysł zbogaca się mnóstwem wiadomości i doświadczeń, dochodzi do rozległej i poważnej wiedzy. Trzeci wreszcie i ostatni okres jego dojrzałości, od roku 1848. do śmierci, to praktyczne spożytkowanie nabytych nauk i wrażeń i praktyczne skuteczne działanie w literaturze. Przeszło młodzieńcze marzenie o wielkości w poezyi i przez nią, ale została jej wielka miłość, wysoka cześć i doskonała znajomość. Trafna znajomość natury i zakresu własnego talentu sprawiła, że Siemieński nie oddawał się poezyi wyłącznie i nie sądził się w niej wielkim; ale gorącego jej zamiłowania skutkiem było, że nie zarzucił jej nigdy, a talent, smak i zmysł artystyczny sprawiły, że w poezyi oryginalnej (zwłaszcza w drobnych formach) tylko wielkim poetom ustępował, w tłómaczeniach nie ustępował nikomu. Jako pisarz prozaiczny jest on przedewszystkiem wzorowy pod względem języka i stylu, a pod względem jednego ich przymiotu, to jest lekkości i żywości, może u nas nie doścignony przez nikogo.

Z usposobienia pogodny i wesoły, niezwykle dowcipny, Siemieński jest jednym z nader rzadkich u nas pisarzy, którzy umieją być wesołymi, zabawnymi, naturalnymi, a nie wpaść nigdy w rubaszność i zły smak. Niezmiernie przystępny wrażeniom sztuki i wrażeń takich chciwy, bystry przytem, wiele i łatwo obejmujący, doszedł do bardzo wszechstronnego i poważnego artystycznego wykształcenia. Przez swój sposób pisania zaś, prosty, przystępny, a bardzo powabny, stworzony był jak umyślnie na to, żeby lepsze pojęcia, lepszą znajomość rzeczy literackich i artystycznych szerzył, i wykształcenie ogółu na wyższy stopień podnosił. Jego rola i stanowisko jako krytyka i znawcy literatury są bardzo znaczące: można powiedzieć, że na tem polu nie miał sobie równego między poprzednikami, a ze współczesnych Klaczko jeden przewyższał go głębokością umysłu i świetnością pióra, który jednak mało piszący i mało znany, nie mógł tak działać i wpływać na ogół czytelników jak Siemieński.

Pracując najwięcej dla pism peryodycznych, zatem w pośpiechu, musiał Siemieński zamykać się w rozmiarach małych rozpraw, a częstokroć nie mógł przedmiotu swego zupełnie zgłębić lub sam siebie starannie poprawić. Stąd, po części może i z natury jego umysłu, więcej rozległego i świetnego niż głębokiego, największa (może raczej jedyna) wada jego pism, którą jest zdarzająca się czasem pobieżność i powierzchowność. Ale bystrość jego spostrzeżeń i sądów, rozległość i rzetelność jego wiedzy wynagradzają tę wadę w mierze bardzo szerokiej. W historyi polskiej oświaty, ogólnego wykształcenia naszego społeczeń-

stwa, Siemieński ma niezaprzeczone i wielkie zasługi, jak ma piękną i trwałą kartę w dziejach naszej literatury. Do tego zaś rozumu, talentu i wykształcenia dodajmy szlachetne i wzniosłe uczucie, miłość ojczyzny gorącą, odwagę w mówieniu prawdy, trafne zawsze rozróżnienie złego od dobrego, wysoki cel życia, jaki sam przed sobą widzi i drugim wskazuje — a będziemy mieli całość pisarskiego zawodu i żywota, w której duch publiczny i charakter obywatela łączy się doskonale i równa z talentem i wieloraką zasługą pisarza.

SĄD LIBUSZY.

Ej Wełtawo! czemu mącisz zdroje,
Srebrne piany czemu mętem cieką?
Czy cię lute rozwełniły wichry,
Z szerokiego nieba sypiąc tucze,
Opłókując głowy gór zielonych,
Wypłókując ziemię złotopiaską? —
Jakżeż męcić nie mam moich brodów,
Kiedy rodni zwadzili się bracia,
Rodni bracia o miano ojczyste?
Kiedy kruto powadzili z sobą
Luty Chrudosz z nad krzywej Otawy,
Z nad Otawy krzywej, złotonośnej,
Chrobry Stagław z nad chłodnej Radbuzy,
Oba bracia, Klenowicze oba,
Rodem starszy z Tetwy Popielowej,
Jenże przyszedł z pułki Czechowemi,
Przez trzy rzeki w te żyzne ziemice.
Przyleciała łastówka drużebna,
Od Otawy krzywej przyleciała,
Na okienku siadła rozłożystem
W Libuszynem, złotem ojców gnieździe,
W ojców gnieździe, świętym Wyszegradzie,
I narzeka i żaleje smętnie.
To gdy rodna posłyszy siostrzyca,
Jej siostrzyca w Libuszynym dworcu,
Sprasza księżnę z wnętrza Wyszegradu,
Na przedprożu aby sąd zagaić
I zapozwać przed sąd braci obu
I wyroki wydać w moc zakonu.
Księżna każe zwoływać przez posły
Świętosława na białej Lubicy,
Kędy june rastają dąbrowy,
Lutobora z chełmu Dobrosławska,
Gdzie się Łaba Orlicą napawa,
Racibora od gór Krekonoszy,

Gdzie lutego sana Trut zatracił,
Radowana z Mostu-Kamiennego,
Jarożyra od gór strumienistych,
Od Sazawy ładnej Strzeżybora,
Samoroda od Mży srebronośnej,
Wszystkich kmieciów, lechów i władyków;
Więc Chrudosza i Stagława braci,
Rozwadzonych o miano ojczyca.
Gdy się zeszli lesi, władykowie
W Wyszegradzie, gnieździe Libuszynem,
Wedle swego postawali rodu:
Wystąpiła cała w bieli księżna
Na ojczysty stolec, w sejmu koło.
Dwie przeumne wystąpiły dziewy,
Wyuczone w wieszczbach witeziowych.
Jedna deski dzierży prawodatne,
A u drugiej miecz krzywdy karzący;
Przed obiema promień, zwiastun prawdy,
Pod obiema świętocudna woda!
Pocznie księżna rzecz z złotego stolca:
Moi kmiecie, lesi, władykowie!
Owoż braci rozsądzajcie prawem,
Powadzonych o ojców dziedzictwo,
O dziedzictwo ojców między sobą.
Po zakonie wiekuistych bogów,
Mają w kupie oba rządzić mianem,
Czyli równą iść do działu miarą? —
Moi kmiecie, lesi, władykowie!
Wam rozstrzygnąć wypowieść wyroku,
Będzieli on po waszym rozumie:
Nie będzieli po rozumie waszym,
Nową najdźcie dla nich ustanowę,
K' uśmierzeniu rozwadzonych braci«.
Pokłonią się lesi, władykowie,
W ciche słowa rozgowor rozpoczną,
Rozgoworem cichym między sobą
Wychwalając swej księżny wyroki.
Wstał Lutoborz z chełmu Dobrosławska,
Takowemi słowy ima gwarzyć:
»Sławna księżno z ojczystego stolca!
Twe wyroki wzięliśmy rozmysłem,
Zbierz więc głosy po swoim narodzie«.
Więc zbierały dziewice sędziebne
Głosowania do świętego sędu,
A zebrane lesi obwołują.
Wstał Radowan z Kamiennego-Mostu,
Jął rozliczać poczetem wsze głosy,

Aby wiecę obwołać w narodzie,
W narodzie zebranym na sejm walny.
»Obaj rodni bracia Klenowicze,
Z rodu Tetwy Popiela starego,
Jenże z pułki przyszedł Czechowymi,
Przez trzy rzeki w te żyzne ziemice!
Tak o waszą zgódźcie się spuściznę,
Byście oba w kupie nią władali«.
Powstał Chrudosz od krzywej Otawy,
Żółcią jemu zakipią wnętrzności,
A lutością wszystkie strząsłyś członv:
Machnął ręką, turem zawrzasł jarym:
»Gorze ptaszkom, gdy gad w gniazdo wśliźnie,
Gorze mężom, gdy im żona władnie!
Mężom władać nad mężmi podobna,
Z praw dziedzictwo spada na pierwiastka«.
Z ojców stolca powstanie Libusza,
Rzecze: »Kmiecie, lesi, władykowie!
Wzdy mię ciężka spotkała przygana,
Sądźcież sami prawem po zakonie:
Mnie nie sądzić więcej waszych waśni;
Zwolcie męża, jenby wam był równy,
Jenby władał wam żelaznem berłem:
Ręka dziewki władać wam nie zduża«. —
Wstał Racibor od gór Krekonoszy
I takiemi się słowy ozowie:
»U nas prawo w świętym jest zakonie,
A ten zakon wnieśli nam ojczyce
Przez trzy rzeki do tych ziemic żyznych«.
»...Wszelki ojciec czeladce rej wodzi.
Męże orzą, żony szaty szyją;
Lecz gdy głowa czeladce umiera,
Dzieci zbożnem mianem wszystkie władną
I władyki wybierają z rodu;
Ten w potrzebie na sejm za nich chadza,
Chadza z kmiećmi, lechy, władykami« ...
Wstali kmiecie, lesi, władykowie,
Pochwalając prawo po zakonie.

Z Wierszy drobnych.

Komu w drogę — temu czas.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękicie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem — księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
Wesołem lub chmurnem licem!

Jutro już może nie powitam was:
Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
Boru mistyczne szumy w nocną ciszę,
Śpiewne jeziora, mrucząće kryształy,
Rozmyślań mych towarzysze!
Jutro już może nie usłyszę was:
Komu w drogę — temu czas!

Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni,
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni tchnień żywicznych od lasów nagoni
I róż mi nie pootwiera.
Jutro nie przyjdę piersią chwytać was:
Komu w drogę — temu czas!

Wy, uskrzydlone duchy, z dłutem, pędzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mię do siebie,
Żem się nie toczył po niej suchym wiórem,
A częściej chodził po niebie!
W górnej pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas!

O złote myśli, w pasmo powplatane zgrzebne,
Marzenia wieszcza, zapału ekstazy!
Życia rozkosze już mi niepotrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas!

O mgły fantazyi! z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie! — Twórczość to niepłodna;
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,
Nigdym nie dopił się do dna.
Bezsilne... więcej grób powie od was...
Komu w drogę — temu czas!

Snem wszystko! Mleczną drogą, z gwiazd wybudowaną,
Pójdę ku słońcom, w przestwory szafiru!
Gdzie czysta prawda będzie mi podaną,
Wykuta, jakby z porfiru.
Żal mi serc kilku... Moi! żal mi was!...
Komu w drogę — temu czas!

CZAS DO BOGA.

Ziemskim potęgom tylem się nasłużył,
Napalił ofiar z czynów i uniesień!
Jam się mojemu Bogu tak zadłużył,
Jako ten rolnik, gdy nań wczesna jesień
Razem uderzy, a pole odłogiem...
Czas było z ojców połączyć się Bogiem!
W strasznych ciemnościach długo się chadzało,
A choć wśród cierpień i jęku rozpaczy
Na promień łaski człek baczył tak mało,
Tak bezrozumnie dufał w szał junaczy,
Że myślał niebo zwalić pychy rogiem:
Czas było z ojców połączyć się Bogiem!
Odkądem z starą wziął rozbrat osobą,
Ścieżki mych ojców jako drogi mleczne
Widzę za sobą i widzę przed sobą
Ścieżki przyszłości nito tęcze śliczne...
Czemużem chodził w przeciwieństwie srogiem?
Czemużem z ojców nie łączył się Bogiem?!
Drobneż, ach drobne te mędrków rachuby,
Jak pył kurzawy, którą szatan wznieci!
A ta ich wolność — to na dusze śruby;
W miłości ojca najwolniejsze dzieci:
I głów nie ugną, nie klękną przed wrogiem...
Czas nam — czas, bracia, połączyć się z Bogiem!...

KTO WSPOMNI?

Burzami gnany wędrowiec
Czyż swoją ziemię powita?
Czy się o jego grobowiec
Bliska potomność dopyta?

Jeżeli miejsca spoczynku
Nikt z druhów nie zwilży łezką —
Kalino, różo, barwinku,
Strząście nań rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwrócą lica,
Przyświecajże mu łagodnie,
Cichy promieniu księżyca!

Jeśli nakoniec nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni —
Wspomnijcie, gaje i niwy,
Wspomnijcie, ptaszkowie leśni!

Ptaszkowie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękicie!
Dla was śpiewałem — wy z laty
Gęślarza nie zapomnicie!

Z Obozu klasyków.

Spór między starożytnymi a nowożytnymi, którzy z nich lepsi — nie od dziś się datuje.

Jeszcze za Rzymian pod Augustem, starzy poeci mieli swoje stronnictwo prześladujące i oczerniające nowych poetów. Horacy, należący do tych ostatnich, był jakby romantykiem ówczesnym; dość przeczytać list jego do Augusta (I. księga II), aby się przekonać, jak sobie drwi ze starożytnych, zapytując, czy wiersze tak jak wino im starsze, tem lepsze? a pisarz, żyjący przed stu laty, czy ma być policzony do starożytnych, to jest wzorowych, czy między partaczów, to jest nowych pisarzy?

Sławny siedmnastego wieku filozof Kartezyusz poruszył to pytanie w dowcipny sposób: »Nie mamy żadnej rozumnej przyczyny — mówi on — przyznawać tak wielką zasługę starożytnym za ich starożytność. My to raczej powinniśmy nazywać się starożytnymi; świat bowiem starszy dziś niż za ich czasów, a doświadczenia nierównie więcej mamy, niż oni«.

Argument ten, w którym filozof daje znaczenie wyrazom odnośnie do wszechświata a nie do człowieka dziś żyjącego, pochwycono przed stukilkudziesięciu laty we Francyi i zaczęto zapuszczać się w coraz głębsze rozumowania, dowodząc, że jak dla jednych uznana powaga wszystko rozstrzyga, tak dla drugich własny rozum służy za powagę. Jedni też lubią powoływać się na starożytnych i dają się jak dzieci ojcom prowadzić; drudzy utrzymują, że starożytni, należąc do młodego świata, właśnie są nowożytnymi, a nowożytni, jako żyjący w starym już świecie, mają prawo nazywać się starożytnymi i stanowić właściwą powagę.

Pocieszne te subtelności, czepiające się znaczenia wyrazów, służyły potem za punkt wyjścia w długiej wojnie piórowej między stronnikami wzorów greckich i rzymskich a obrońcami nowożytnej literatury.

Walka ta przeniosła się i do Włoch i do Anglii, gdzie najnudniejszemi rozprawami spierano się o pierwszeństwo to dla starożytnych, to dla nowożytnych. Pope najtrafniej godził kłócących się, powiadając: »Nie przywiązujcie się ani do tego, co stare, ani do tego, co nowe; ale umiejcie odrzucić fałszywe piękności, a podziwiać utwory z piętnem prawdy«.

W rzeczy samej, wszystkie te spory rozstrzyga to wyborne zdanie; zapomniano jednak o niem, kiedy przed pięćdziesięciu laty wytoczyła się wojna klasyków z romantykami.

Jest to pierwszy spór literacki, jaki przeniósł się z zagranicy i do naszej literatury. Dawniejsze spory z 17go i 18go wieku nie dostały się do nas. Czemu? bo ani czasopism literackich nie było ani też literaci nie tworzyli osobnego ciała. Nawet nie istniało nazwisko literata. Ten był ziemianinem, ten księdzem, ten kanclerzem, ten hetmanem — a jeśli pisał, to nie w zamiarze, żeby być policzonym do tej lub innej szkoły. Właściwe koło literatów sformowało się dopiero na dworze Stanisława Augusta i utworzyło nową szkołę, która nie potrzebowała z literatami, reprezentującymi dawną epokę republikańską, staczać walki na polu teoryi, z prostej przyczyny, że zastawszy przysposobione umysły, miała opinię po sobie. Tamci szli w zapomnienie, ci używali wziętości i protekcyi, dopóki przeciw tym nowatorom, wyczerpanym już i zużytym, nie zaprotestował w pierwszych dwudziestu latach 19go wieku romantyzm.

Tradycya literatury Stanisławowskiej najuparciej przechowywała się w Warszawie i miała tam główny swój obóz, nad którym powiewała chorągiew dobrego gustu. Jak Turcy koran, tak oni narzucali swój kodeks gustu, którego cała estetyczna tajemnica zasadzała się na tem, żeby nic takiego nie powiedzieć, czegoby się nie znalazło w pisarzach podawanych za wzór dobrego smaku. Ktokolwiek zdobył się na niezwykłe wyrażenie lub z śmielszą, a mniej spowszedniałą myślą wystąpił, srodze bywał karcony przez tych arcykapłanów świątyni gustu, wprawdzie nie po pismach publicznych (nie lubili bowiem wdawać się w drukowane rozumowania), lecz na koteryjnych zebraniach, gdzie niemiłosiernie przedrwiwano wykraczających przeciw kodeksowi, a głównie w poufnych literackich korespondencyach, tworzących nieoszacowany materyał, dający poznać ich sposób sądzenia utworów romantycznej szkoły, a wogóle stan literackich pojęć.

Szczęśliwy przypadek rzucił w moje ręce kilkaset listów, obejmujących peryod najżwawszej walki między klasykami a romantykami, to jest od r. 1823. do 1830. Są to korespondencye samych koryfeuszów tak zwanego klasycznego obozu, a zatem wcale nowy dokument do tej epoki, którą gdyby chciał kto opowiedzieć, musiałby uciec się jedynie do broszur i artykułów dziennikarskich stronnictwa romantycznego — bo jak wyżej rzekłem, klasycy, osobliwie główne ich powagi, miały sobie za ujmę wstępować na pole-

miczną arenę. Prelekcye literatury Ludwika Osińskiego, tego Ulissesa klasyków, mogłyby także posłużyć za materyał; ale szanowny profesor nie wdawał się w żadne rozbiory ani w sądy o duchu i dążności nowej szkoły, tylko dowcipnymi sarkazmami odprawiał tak Szekspira, Schillera, Byrona i wszystkie literatury obcych narodów, jak świeżo jawiące się płody litewskiego wieszcza. Pochwyciwszy dwa wiersze z Dziadów, sparodyował je:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Głupstwo było, głupstwo będzie!

i był przekonany w zarozumieniu swojem, że już na wieki zabił i dzieło i autora.

Rzecz godna zastanowienia się, że między klasykami ludzie nawet wyżsi charakterem i oczytani uznawali powagę tej lekkiej głowy, mającej jedyny talent dobrego deklamowania wierszy, i wierzyli w jego zdanie, chociaż nie miał żadnego, jak w sybilińską wyrocznię. Z tej uważani strony, przedstawiają się oni, nie jako klasycy zentuzyazmowani dla arcydzieł Grecyi i Rzymu, których nawet dobrze nie znali, ale jako stronnictwo walczące pod sztandarem tradycyjnej powagi przeciw nowemu stronnictwu, które z razu innym wzorom przyznając pierwszeństwo, dążyło do oswobodzenia się z wszelkiej tradycyi i powagi, co — jak wytłómaczył Mochnacki, pierwszy z romantycznych estetyków — miało być uznaniem się w swojem jestestwie. Ale, gdy wtenczas nie było mowy o dalszych następstwach tego prądu objawiającego się w młodem pokoleniu, cały spór ograniczał się w szrankach literatury i na tem polu tak zwani klasycy przy bardzo miernych zasobach nauki, a przy ogromnej dozie rozumienia o swojej nieomylności, potrójną ponieśli klęskę; pobiły ich utwory romantyków, którymi entuzyazmowała się opinia, pobiły polemiczne i estetyczne pisma, pobiły wypadki...

Stanisław Koźmian.

Syn Jana, urodzony we Wronowie (w wojew. lubelskiem) w r. 1811. Ojca stracił w dzieciństwie, wychowaniem jego kierował stryj, Kajetan (patrz Wypisy część I). Szkoły zrazu w Lublinie, od klasy szóstej w Warszawie; tam zawarł znajomość i przyjaźń na całe życie z Zygm. Krasińskim, z Gaszyńskim, z Leonem Ulrychem (późniejszym towarzyszem pracy w tłómaczeniu Szekspira). W roku 1828. przeszedł na

uniwersytet, zaczął pisać, tłómaczył (Lalla Rookh Moora i wspólnie z Ulrychem Wilhelma Tella Schillera). W wojnie roku 1831. bił się pod Grochowem, Kaźmierzem, Ołtarzowem; dostał się do niewoli, umknął szczęśliwie, i poszedł za innymi na emigracyę. Zrazu zatrzymał się w Niemczech, następnie w Belgii, wkońcu osiadł stale w Anglii, co na jego zawód literacki silnie wpłynęło. Pisywał zrazu artykuły o rzeczach polskich do francuskich i angielskich dzienników; rychło wyrobił sobie tyle stosunków i stanowisko tak poważne, że powołano go na sekretarza Towarzystwa przyjaciół Polski, zawiązanego pod przewodnictwem sławnego w swoim czasie Lorda Dudleya Stuart. Owocem tego pobytu w Anglii była książka Anglia i Polska (studyum porównawcze dziejów, obyczaju i cywilizacyi tych dwóch krajów) i tłómaczenie Szekspira, nad którem już w młodości zaczął pracować. Mieszkając w Anglii, zostawał w ciągłym i żywym związku ze znakomitymi Polakami w Paryżu i z ich francuskimi przyjaciółmi (Montalembert, Lacordaire i t. p.). W roku 1842. odbył podróż do Włoch, tam poznał się i zaprzyjaźnił ze świeżo wyświęconymi księżami Kajsiewiczem i Semeneńką, a spotkał się z dawnym przyjacielem Krasińskim; stosunki te utwierdzały go coraz silniej w przekonaniach i zasadach katolickich. Jego młodszy brat Jan osiadł od roku 1845. w Wielkopolsce i założył pismo miesięczne naukowe i polityczne, Przegląd poznański. Stanisław za przykładem brata wrócił także do kraju i był stałym, jednym z najdzielniejszych współpracowników rzeczonego pisma, które przez wszystkie lata swego istnienia należało do najpoważniejszych w Polsce, skupiało około siebie najzdolniejszych współpracownikow, a stało głównie pracą dwóch braci Koźmianów. Niebawem doszli też oni do wielkiego wpływu w Wielkopolsce, stali się filarami i głównymi niemal reprezentantami religijnego życia tej prowincyi, a w niej rozumnego, wytrawnego i narodowego kierunku w polityce. Poezyi Stanisław Koźmian nie zaniedbywał, Szekspira tłómaczył zawsze, a w roku 1847. napisał piękny wiersz Do mistrzów słowa, w którym Mickiewiczowi, Krasińskiemu i Zaleskiemu wyrzuca ich milczenie. Gdy Krasiński wydawał Dzień dzisiejszy, a bał się wydać bezimiennie, lecz dla lepszego ukrycia się chciał wydać go pod nazwiskiem rzeczywistem, nie zmyślonem: Koźmian przez przyjaźń i poświęcenie pozwolił podpisać swoje. Od roku 1849. gospodarował na wsi, co mu wszakże nie przeszkadzało prowadzić redakcyi Przeglądu i należeć do całego naukowego, literackiego i politycznego życia Wielkopolski. Do celniejszych jego literackich artykułów należą ogłaszane w Przeglądzie Listy z nad Orli. W roku dopiero 1867. przeniósł się ze wsi do Poznania; po śmierci Libelta został prezesem tamtejszego Towarzystwa przyjaciół nauk. W roku 1877. stracił brata, księdza Jana (który owdowiawszy przyjął święcenia kapłańskie, a był przez całe życie najściślejszym i najdroższym przyjacielem Stanisława). Ten w czynności nie ustawał mimo wieku i zmartwienia, dopiero na rok przed śmiercią, dotknięty ciężką chorobą, przestał pracować. Umarł w Poznaniu 23. kwietnia r. 1885.

Należy on niezaprzeczenie do znakomitych ludzi swego pokolenia, tak za młodu w emigracyi, jak zwłaszcza później za swego obywatel-

skiego i naukowego zawodu w Wielkopolsce. Literatura nie obejmuje całej jego zasługi: życie społeczne, wpływ poważny i kształcący, stałość zasad i obrona ich dzielna a krzewienie czynne słowem i przykładem, to druga niemniej ważna połowa jego działalności. Z dwóch braci, Jan, umysłem i nauką od Stanisława może świetniejszy, był przedewszystkiem człowiekiem praktycznym, stworzonym do działania, a choć pisał doskonale, pisywał mniej od Stanisława. Ten miał popęd i zamiłowanie do pisania, do poezyi; więcej też od tamtego działał piórem, ale oba uzupełniali się, rzec można, rodzajem swoich usposobień i zdolności.

Stanisław Koźmian jako pisarz, jest poniekąd podobny do Siemieńskiego, z którym także łączyła go przyjaźń ścisła i stała. Podobny tem, że znawca doskonały wszystkich literatur obcych, sędzia wytrawny i bystry własnej, krytyk uczony, miał jak Siemieński i zapał i talent do poezyi; a jak tamten nie miał tego talentu tyle, ile go potrzeba na to, by być wielkim poetą; jak on zresztą władał doskonale językiem i wierszem, i jak on miał rzetelną znajomość granic i rozmiarów swego talentu. Pisywał wiersze z zamiłowaniem, z uczuciem, nieraz z prawdziwem natchnieniem, ale czuł, że wielkim poematom możeby nie podołał i swojemu zamiłowaniu poezyi czynił zadość tłómaczeniami, wiedząc, że w ten sposób literaturze polskiej z pewnością odda usługę, a doda ozdoby. Jak Siemieński Homera, tak on przełożył Szekspira. Nie całego wprawdzie, rozdzielili między siebie tę pracę z Ulrychem; a z dodatkiem sztuk, przetłómaczonych przez Józefa Paszkowskiego w Warszawie, złożył się całkowity polski przekład Szekspira, w którym sztuki tłómaczone przez Koźmiana wiernością a zarazem zaletami polskiego języka i wiersza stoją najwyżej. Nie jest to przekład oryginałowi równy, ale śmiało może się mierzyć ze sławnymi i uznanymi za dobre przekładami niemieckimi, a francuskie o wiele przewyższa.

Z Siemieńskim ma Koźmian i to jeszcze podobieństwo, że cała połowa jego pracy jest w prozie i że temi prozaicznemi pismami, krytycznemi i naukowemi, wywiera jak tamten wpływ cywilizujący na swoje społeczeństwo. Ale są między nimi i różnice znaczne. Koźmian nie ma tej lekkości stylu, tego wdzięku co Siemieński; stąd mniej czytany jest też i mniej znany. Ale jest zato od tamtego i głębszy i więcej wszechstronny. Nauka jego (jak jego natura i charakter) jest gruntowniejsza, pewniejsza. Pobieżności i powierzchowności, która się tamtemu zdarza, jemu nikt nie zarzuci i nie dowiedzie. Prócz tego Siemieński w swoich pismach zajmuje się niemal wyłącznie kwestyami literackiemi i artystycznemi: Koźmian obrabia kwestye religijne, polityczne, społeczne tak gruntownie i zasadniczo jak literackie; a przez to, choć jego wpływ bezpośredni był mniej widoczny, to jego wartość i zasługa jest rozleglejsza. Jego działanie obejmuje więcej, a jego myśl sięga głębiej, do samego dna i jądra rzeczy. W okresie następującym po wielkiej epoce poezyi, pisarz to jeden z najpoprawniejszych co do formy, a jeden z bardzo poważnych pod względem myśli, nauki i publicznego ducha.

Z Gorzkich żalów.

WSTĘP.

O Panie, Panie! Kiedyż me wołanie
Jękiem boleści dręczyć Cię przestanie?
Kiedyż rozpalę w radości hejnale
Gorzkie me żale?

Bogaci dary niosą Ci ze złota,
Z mirry, z kadzidła; — ja, nędzny sierota,
To, co mam, daję ku Twej, Panie, chwale —
Gorzkie me żale.

Często łza jedna ogrom grzechów spłaci.
O daj, niech zrodzą tę łzę u mych braci,
Co dla nas w litość przechyli Twą szalę,
Gorzkie me żale.

BRAK JEDNOŚCI.

Jam nie temu żałosny, że nas boleść nęka
I że Twoja nad nami ociężała ręka,
Lecz temu, że nas cisnąc, skupić nas nie może,
Ni w jeden hufiec zgarnąć ni w jedno pchnąć łoże.
Tybyś nas chciał wprowadzić w ciasne czynu bramy:
Miasto się w szyk ustawiać, my się rozpraszamy.
Każdy, w szeregu ciężki, samopas zuchwały,
Sam jeden, bez przewodu wskakuje na wały
I, byle osobiście wyjść na bohatera,
Nie pyta, czy z korzyścią dla kraju umiera.
Przeszedł czas, gdy narodu zbawiała się dusza
Pod żelazem Lukrecyi, w otchłani Kurcyusza.
Dziś, kto ginie postronnie, na oślep, z rozpaczy,
Ten tylko samobójstwo w pozór cnoty znaczy...

...W nikim składu całości. Każdy połatany,
Nie jest złym ani dobrym, ale na przemiany
Da się na ślepo ująć we wszystkie obroty;
Nie zna zbrodni manowców ni gościńca cnoty,
Ni błędu nie znurtuje ni prawdy uświetni,
Ni gorący ni zimny, ale tylko letni.
Bez wiedzy i bez wodzy, jakżeż wrogów w tłumie
Zwalczyć zdoła, gdy zwalczyć sam siebie nie umie?
Ach! w narodu potęgę wierzcie, bracia moi;
Nie wprzód będziem szczęśliwi, aż się szczelnie spoi,

Zrośnie każdy sam w sobie, stanie niepożyty,
Jako niezatracalne stoją monolity.
Całości choć najtwardszych łatwe ociosanie,
A z odłamków i szczątków twardy gmach nie stanie;
I nim Bóg jakie plemię znowu w naród zbudzi,
Chce, by wprzód ludzie sami wyrośli na ludzi.

ZGODA Z BOLEŚCIĄ.

O Panie, ja Cię codzień stokroć błogosławię,
Żeś mój żywot postawił w tej ciężkiej przeprawie,
W której mój lud, łańcuchem niemocy okuty,
Dźwiga się i podrywa skrzydłami pokuty;
I przez łez wzdęte nurty, przez groźne krwi morza
Przewozi się na brzegi, gdzie zbawienia zorza.
Stokroć Ci błogosławię, że Twa ręka szczodra,
Potrójnie mi boleścią przepasawszy biodra,
Ostrym bodźcem cierpienia trzyma mię na przedzie
I bez przerwy, bez zboczeń, wprost do Ciebie wiedzie; —
Że tym bolem o własnej sam ja sile stoję,
Że przypadło nie na mnie, nie na losy moje,
Cudze marnować zbiory, prace trwonić cudze,
Żyć na przodków wiekami skarbionej zasłudze:
Lecz żem się zrodził w czasie trudu i żałoby,
Co w wypróżnione śpichrze gromadzi zasoby,
Na których, gdy je łaską uświęcisz widoczną,
Przyszłe znów pokolenia wzrosną i odpoczną.

Ze wspomnień o generale Morawskim.

Gdym był małym jeszcze chłopcem, widywałem często generała Morawskiego w Lublinie i Piotrowicach, siedzibie mego stryja Kajetana. I dla nas dzieci miał on zawsze jakieś zabawne i dowcipne słówko. Z owych jednak czasów pamiętam jeden tylko jego wierszowany koncepcik. Na folwarku w Piotrowicach wychowywał się sierota, któremu było imię Kocio. Kręcił się on koło dworu i czasem z nami bawił. Wyprawiano z nim figle i pustoty rozmaite. Raz go ktoś posadził na zabłąkanego na dziedzińcu prosiaka. Kocio się trzymał, póki mógł, aż spadł w kałużę. Przytomny generał zaraz tę awanturkę tak wierszem oddał:

Od folwarku do tartaku
Jechał Kocio na prosiaku,
Prosiak fajt! — i Kocio w błocie;
Nie ujeżdżaj świni kocie.

Ale mnie wtedy jeszcze więcej niż wszelkie wiersze zajmowały szlify generała i stosowany kapelusz z bogatym biało-czerwonym pióropuszem.

W 1826. przeszedłem ze szkół lubelskich do liceum warszawskiego. W Warszawie bywając niekiedy u stryja Kajetana, przysłuchiwałem się z ciekawością rozmowom literackim, które odwiedzający go licznie rozmaici pisarze między sobą prowadzili. Rozmowy te znacznie się ożywiały, ilekroć generał Morawski przybył. Zapalony stronnik Mickiewicza i nowej szkoły, jako cała wówczas młodzież, a żarliwy do tego stopnia, że mię mój stryj zawsze Mickiewiczem nazywał, przywiązywałem się coraz bardziej do Morawskiego zato, że mego wieszcza bronił...

... W czasie wojny 1831. r. raz tylko go widziałem. Wszedłem był do tak nazwanej gwardyi honorowej, która przy dyktatorze służbę odbywała. Razu jednego, może na tydzień przed bitwą grochowską, stałem z drugim gwardzistą na warcie, przed kwaterą naczelnego wodza w Jabłonnie, i jako starszy z dwóch komenderowałem, gdy przed jakimś oficerem trzeba było broń zaprezentować. Wtem patrzę, wchodzi generał Morawski z ogromną teką jako minister wojny.

Szybko przechodząc nie spojrzał na mnie ani dosłyszał mego głosu, ale gdy wracał, poznał mię i zatrzymawszy się zawołał: A ty co tu robisz? Potem zaczął się wypytywać, jak się mam, czy lubię służbę, czy piszę co pod bronią, i odchodząc uścisnął. Gdyby jaki rygorysta oficer był to widział z boku, byłby się pewnie oburzył na generała, który szyldwacha ściskał, chociażby był nawet przypadkiem wiedział, że to raczej sławny autor Wiersza do Klasyków witał biednego autorka lichych wierszydeł...

... Lubonia leży w płaskiej, nieuroczej, ale żyznej i ludnej okolicy. Pełno tu domów zamożnych i miłego sąsiedztwa. O długim dniu majowym lub czerwcowym można było z łatwością dziesięć domów objechać i w każdym godzinę zabawić. Z tych Oporowo i Lubonia najprzyjemniejszymi były domami. Mały i niepoczesny dworek w Oporowie był najczęściej punktem zebrania całej rodziny. Gdzie się to i jak wszystko mieściło, wytłómaczy chyba właściwość domów polskich rozszerzania się do nieskończoności. Zastawałeś więc ciasne a niskie pokoiki zawsze pełnymi córek, zięciów, wnucząt, krewnych i sąsiadów. Ale w nich jak wymiótł, jeżeli w pobliskim kościółku było nabożeństwo. Towarzystwo zwykle grupowało się koło referendarza albo jego żony. Nie rzadko znalazłeś

w niem przybyszów z najrozmaitszych i najdalszych dzielnic Polski. Wiadomo, jak liczną jest rodzina Łubieńskich. Pod koniec życia pan minister liczył niemal 100 osób wprost od siebie pochodzących, a do każdej przynajmniej raz w rok pisywał. Ta to pochopność do korespondencyi, która całą tę rodzinę odznacza, sprawiała, żeś w Oporowie zawsze zastawał najświeższe i najobfitsze wiadomości ze wszystkich stron świata. Stąd też wstępna pogadanka przechodziła natychmiast w poważną rozmowę to o polityce, to o literaturze, w której i starsi i młodsi równie gorący udział brali. Kogokolwiek z nich zapytasz w jakim bądź przedmiocie, wszystko wie, wszystko umie, w każdej rzeczy ma dowcipne lub mądre zdanie, a przecież słucha cię uprzejmie, bada, pragnie się nauczyć i najmniejszą zasługę podnosi i wychwala. Nadzwyczajną zdolność i dziwną ruchliwość umysłu swych dzieci umiała roztropna matka, lubo sama pełna także żywości umysłowej i imaginacyi, ująć w karby niezłomnych zasad i pokierować ku poważnym a pożytecznym i bezpiecznym naukom. Ona sama jedna wszystkie wychowała i wyuczała. Zmuszona często całe dni przepędzać w łóżku z powodu puchliny w nogach, obracała godziny wolne od lekcyi na pisanie wykładów dla małych dzieci. Niektóre, jak np. historyę, potocznym wierszem układała. Kajety te, przepisywane w mnogich egzemplarzach, dotąd służą w wielu rodzinach wielkopolskich do pierwszych nauk dzieciom. Połączona ścisłą przyjaźnią z generałową Chłapowską i księżną Antoniową Sułkowską, stanowiła z niemi jakby areopag, do którego zewsząd młode matki udawały się po radę i naukę. O pobożności i rozlicznych cnotach tej przezacnej pani nie potrzebuję mówić. Chwała Bogu, wzory ich nie są rzadkie w Wielkopolsce, ale można śmiało powiedzieć, że i w naszej prowincyi trudno było gdzie znaleść cnót tyle pociągających niezrównaną pokorą i słodyczą. Rozszerzyłem się nad tem kółkiem oporowskiem dlatego, że tu generał prawie co dzień bywał, tu czerpał wiele wiadomości, a może i natchnień, tu nieraz znajdował zbawienne karby dla swego dowcipu i ku poważniejszym myślom kierunek.

Lubonia leży tylko o kwadrans drogi od Oporowa. Droga jak na strzał prościutka, zawsze doskonale utrzymana, wysadzona topolami, i tylko w jednem miejscu przecięta wjazdem do Oporówka, sama już pokazuje, że łączy domy albo dwóch braci, albo dwóch serdecznych sąsiadów. Ale postać Luboni nieco odmienna. Dom z początku mały z niskimi pokoikami, wielce się z czasem rozszerzył i upiększył rozmaitemi i ozdobnemi przybudowaniami. Z jednej strony

obszerny pokój generała, z drugiej gustowna kaplica, wkoło zgrabna weranda, wszędzie mnóstwo ślicznych ozdóbek, nadały mu nadobną powierzchowność. Ogród bardzo miły i starannie utrzymany, pełno wody, na stawach wysepki, na ślicznych trawnikach odwieczne dęby. Sama natura miejsce i granice mu wskazała, tworząc jakby lekko wydrążoną dolinkę na tych płaskich obszarach...

... Gdy generał wrócił z Salzbrunn we wrześniu roku 1853., pośpieszyłem do niego. Była to na długie lata ostatnia jasna, pogodna dla Luboni chwila. Urocze to było kółko: poważny dziadek, czynny ojciec, czuła matka i dwoje lubych dziatek. Jeśli kiedy o te ostatnie była między rodzicami sprzeczka, a raczej prześciganie się w troskliwości, generał perswadował, godził — zgoła, jak niegdyś między romantykami i klasykami, pośrednie, rozjemcze zajmował miejsce. Codzień bywaliśmy w Oporowie, codzień Oporów bywał dla nas w Luboni. Pan referendarz (Morawski), lubo osłabiony, zawsze gotów do dyskusyi, a nawet i do szermierki na dowcip z generałem, nie wydawał się jeszcze w niczem, że w 3 lub 4 tygodnie potem miał umrzeć. Nigdy nie widziałem człowieka tak miłego, tak ochoczego i nie wyczerpanego w rozmowie. Czas był teraz bardzo piękny. Chodziliśmy wiele po ogrodzie. Referendarz, który gospodarując tyle lat w Luboni w czasie nieobecności generała, doskonale urządził mu gospodarstwo i serdecznie przywiązał się do niej, cieszył się każdem drzewkiem, co zasadził, pokazywał nam ścieżki, które kazał porobić, mostki, które kazał wystawić. Z tego ostatniego powodu opowiadano mi zabawną anegdotę. Był w Luboni ogrodnik Kasper Sawicki. Raz referendarz, którego on zwał eferendarzem, chodząc z generałem po ogrodzie, wskazał Sawickiemu, gdzieby jeszcze warto mostek postawić. Jeśli mi tu dwa piękne mostki postawisz, rzekł mu, dam ci dwa garnce wódki. Skoro tylko referendarz odjechał, generał natychmiast zajął się zbudowaniem mostków, a gdy te ukończone zostały, napisał następujący list Sawickiemu, kazał mu listkiem topoli zapieczętować i wręczyć osobiście dziedzicowi Oporowa:

Jaśnie Wielmożnemu Eferendarzowi w Oporowie.

Chociaż jak prosty Kasper rydlem tylko władam,
Z samą tylko pietruszką i cebulą gadam,
Choć nigdy w Kantów, Heglów, nie wciskam się grono,
I tak u mnie w ogrodzie jak w głowie zielono:
Przecież, żem nieraz w życiu godnie się wyraził,
A jakiś tam Mickiewicz po wyspie mi łaził,

Więc śmiało do wyższego dziś się wznosząc szumu,
Jakby rychlik kartofel puszczam kieł rozumu,
Korzeniem bujnej myśli głębiej ziemię chwytam,
Krzewię się w liść dowcipu i wierszem zakwitam.
Exegi monumentum! — postawiłem mosty,
Jeden z nich wprawdzie krzywy, ale drugi prosty;
Z słuszną dumą ogłaszam je wśród moich wierszy,
Jam je zaczął, jam skończył, i jam przeszedł pierwszy.
Takie to dzieło wzniosłem w wiekopomne czasy!
I wprzód rzodkiew dębowe poprzerasta lasy,
Wprzód na wdzięczny głos dudy skakać będą dynie,
Zacny nawet pasternak z rzędu roślin zginie,
Wprzód się wszystko pod ręką przewróci wszechwładną,
Nim pamięć o mnie zwiędnie i mosty te padną.
Stąd biorąc słuszny assumpt z tak wzniosłej pobudki,
Upraszam o dwa garnce przyrzeczonej wódki.
Słodki dla żonki, a dla kretów *asper*,
Sawicki Kasper.

Dan pod gruszką małgorzatką,
W dniu pełcia cebuli, w roku wielkiej suszy...

... Nad śmiercią Zygmunta Krasińskiego bardzo generał bolał. Mimo coraz większego upadku sił, był na uroczystem żałobnem nabożeństwie, które się w marcu odbyło w Poznaniu. Na 2^go^ kwietnia jak zwykle pojechałem do Luboni. Generał przedstawił mi wtedy swój projekt Towarzystwa antipojedynkowego, polecając, abym, skłoniwszy generała Chłapowskiego i innych do zajęcia się tym przedmiotem, starał się Towarzystwo takie przywieść do skutku. Było to nad moje siły, i myślę, że nikt jeszcze nie zdołałby zwalczyć przesądów i drażliwości, którymi się utrzymują pojedynki. Zwróciłem więc zaraz generałowi projekt z żalem, że nie jestem zdolny mu pomóc, i bez żadnych uwag, gdyż te były niepotrzebne, skoro rzecz nie była jeszcze na czasie.

Pod dniem 12. kwietnia generał pisze mi w tymże przedmiocie:

»Po odjeździe twoim zastałem na moim stoliku zwrócony mi projekt do wiadomego Towarzystwa, lecz bez żadnych uwag, rad, poprawek, bez podania nawet sposobów do zawiązania i rozkrzewiania jego. Jeżeli projekt ten nie zasługuje na twoją uwagę, czemuż mi szczerze nie wyjawisz prawdy? Jeżeli zaś zasługuje, czemu mnie nie wesprzesz twoją światłą radą? Może nie miałeś dość czasu do roztrząsania przedmiotu w Luboni; raz więc jeszcze posyłam ci ten projekt. Rozważ go, choćby najdłużej trzymaj u siebie, a potem napisz otwarcie, co myślisz o tem. Ja dość wagi przywią-

zuję do tej rzeczy, bo to będzie najlepszem dziełem, które po sobie zostawię, jeżeli się uda projekt ten w życie wprowadzić. Mam nadzieję, że wiele grzechów przez to zetrę, a w moim wieku spekulacya to bardzo przyzwoita. Im prędzej by się Towarzystwo zawiązało, tem więcej zasługi — im dłuższa zwłoka, tem wina cięższa. Sam zresztą niczego dokonać nie zdołam. Trzeba mi wsparcia i proszę o nie. Czyżby miało być tak trudno pomagać dobrej rzeczy i świętemu zamiarowi, póki tylko cień podobieństwa zostaje, że cel osiągnąć się może?... Odczytałem z uwagą kazanie Prusinowskiego. Wstęp przepyszny, charakterystyka Zygmunta i ducha jego dzieł bardzo trafna i prawdziwa, myśli pięknych wiele, styl tylko, niekiedy *précieux* (przesadny), kłóci się z piękną prostotą języka polskiego. Gdyby nie był tak obarczony girlandami kwiatów, możeby większe jeszcze wrażenie czynił z kazalnicy. Wielka moc jest w pomysłach, lecz ta rozpływa się w zbyt długich okresach. Tłum chce być porywanym, unoszonym lub przybitym. Jednem słowem, jest to jedno z najpiękniejszych kazań kościoła katolickiego, mimo kilku błędów, które może nie dadzą się oddzielić od zdolności i natury autora«.

W 1860. r. dzień drugi kwietnia przypadał w sam wielki tydzień. Odłożono więc generała imieniny do 10go kwietnia. Zebrało się wiele osób. Każdy jednak był smutny, bo czuł, że może to po raz ostatni święto generała obchodzi. Generał Chłapowski wniósł zdrowie solenizanta i przypominając mu wszystkie ważne chwile, w których się społem znajdowali, skończył życzeniem, aby i w przyszłem życiu mogli być razem, i dlatego kto tam pierwszy się dostanie, winien drugiemu kwaterę zamówić. Generał Morawski czule podziękował, dodając, że chyba modlitwy jego towarzysza i przyjaciela zdołają mu wyrobić przy nim miejsce w niebie.

I 1861. 2go kwietnia byłem w Luboni i jeszcze kilka dni po imieninach generała tam zabawiłem. Czytaliśmy dużo wierszy i o literaturze wiele rozmawiali. Wiosna już na dobre ziemię budziła. Wtedyto napisał ów piękny wiersz:

Życie się z ziemi trawką wyciska
I w całej budzi się sile;
Z każdego pęczka miłość wytryska,
Boleść usypia na chwilę.

Czemuż się z życiem tej wiosny nie cucę,
Co dla wszystkich tak radosna,
Może ja, może dlatego się smucę,
Że to ostatnia już wiosna.

Słyszę ja z gaju brzmiący śpiew słowika,
Pszczółkę, co nad kwiatkiem brzęczy,
Ale mię głębiej głos dzwonu przenika,
Co gdzieś tam z wieży mi jęczy.

Przyjechawszy pod koniec października na imieniny syna generała, Tadeusza, kilka dni w Luboni przesiedziałem. Generał nie chciał mnie żadną miarą puszczać, jakby przewidywał, że to już ostatni raz widzimy się. Mówił wiele i o religii i o śmierci. Czasem tylko zajrzał w swą tekę i z dawnych wierszy co przeczytał. Z nowych, może ostatni, był następujący:

Wszystko zwiędło, trawki zbladły,
Zaległ ziemię liść opadły,
Wzmaga się pomrok wieczoru,
Zimny wietrzyk mię owiewa,
Obnażone szumią drzewa
I puszczyk huczy wśród boru.
Smętna myśl się w umysł ciśnie,
Z nią raz poraz łza zabłyśnie;
Coś mię ciągnie do stóp krzyża;
Bije z dala dzwon kościoła:
Ach rozumiem, wszystko woła,
Że i dla mnie czas się zbliża.

I przewidział. Zacna ta dusza uleciała do Boga 12. grudnia. Tak byłem chory, że nawet na pogrzebie być nie mogłem. By ulżyć sercu, napisałem tylko nekrolog, który Dziennik jako wstępny artykuł umieścił. Teraz czyniąc te wyciągi z jego listów i dodając konieczne komentarze, zdaje mi się, jak gdybym w jakim śnie na nowo przeżył tych lat dwanaście z ukochanym generałem. Rzadki to był człowiek. Umysł tak wzniosły, tyle dowcipu, a przecież żył najwięcej sercem. I mnie też przez przywiązanie zanadto wynosił i przeceniał. Jego więc listy w znacznej części tyczą się tego, com mówił, com pisał, około czegom się krzątał. Dlatego też, chcąc je dostatecznie objaśnić, musiałem tu tak często mówić o sobie samym, coby inaczej na śmieszną chełpliwość zakrawało.

Karol Szajnocha.

Syn Wacława i Maryi z Łozińskich, urodzony w Komarnie (obw. samborski) w roku 1818. Ojciec był Czechem i urzędnikiem w służbie rządowej. Nauki pobierał młody Szajnocha naprzód w Samborze, potem

we Lwowie, ale już w siedemnastu latach musiał je przerwać. Dostał się bowiem do więzienia, z którego wyszedł po dwóch latach; ale gdy chciał się zapisać na uniwersytet, nie został przyjętym. Więzienie to pozbawiło go nie tylko zawodu, ale i zdrowia; w niem bowiem poczęła się ta choroba, która w późniejszem życiu rozwijana niezmierną pracą i długim niedostatkiem, nie opuściła go już do końca. Wzbroniono mu mieszkać we Lwowie; tułał się więc po różnych miejscach, szukając utrzymania; zarazem kształcił się i uczył jak mógł, ze środkami i książkami, jakie znajdował pod ręką, ale z zapałem i wytrwałością niepokonaną. Po paru latach pozwolono mu osiąść we Lwowie. Zarabiał na życie prywatnemi lekcyami, drobnymi artykułami do pism peryodycznych, a pracował nad sobą i swojem wykształceniem prawdziwie po bohatersku. Jest podanie, że nie mając za co kupić świecy, czytywał i pisywał po nocach przy księżycu; i to miało być powodem osłabienia i późniejszej utraty wzroku. W tych latach wszakże nie czuł w sobie jeszcze swego prawdziwego, historycznego powołania; rwał się do literatury, a przedewszystkiem do poezyi. Napisał parę powieści i dramat Stasio (r. 1843), któremu słusznie wiele można zarzucać, ale nie można autorowi odmówić siły i poetycznego usposobienia. Cokolwiek już więcej znany, znalazł nareszcie skromne miejsce w redakcyi (w roku 1843) Gazety Lwowskiej, a właściwie przy tygodniowym dodatku do Gazety, Rozmaitościach. Gdy w roku 1846. miejsce to utracił, ratował się znowu nauczycielstwem domowem. W roku 1847. wydał dramat: Jerzy Lubomirski (w Bibliotece Ossolińskich zeszyt 3ci). Ale z tą historyczną tragedyą równocześnie zaczęła się i jego historyczna naukowa praca, trafił nareszcie na swoją właściwą drogę. W r. 1848. wydał dwie prace historyczne: Bolesław Chrobry i Pierwsze odrodzenie się Polski (za Łokietka). Dzieła te zwróciły na niego uwagę, i obok ogromnej erudycyi i umiejętnego opanowania źródeł i przedmiotu, dały w nim poznać i wielkiego pisarza, wielkiego mistrza stylu i historycznego kunsztu, a zarazem wielki umysł, zdolny dawno przeszłe stosunki przeniknąć, odtworzyć, przedstawić i sądzić. Sława i stanowisko historyka były zrobione. Podstawą materyalnego bytu była redakcya Dziennika literackiego (r. 1852). Prace historyczne tymczasem szły swoim trybem, jedne za drugimi wychodziły niezrównane Szkice.

Historyk i pisarz tej miary nie mógł dłużej bez wstydu dla społeczeństwa zostawać bez pewnego miejsca na świecie; Szajnocha znalazł je nareszcie przy Zakładzie Narodowym imienia Ossolińskich, jako zastępca kustosza. Wtedy napisał Jadwigę i Jagiełłę (r. 1855).

Wkrótce potem (r. 1858) wydał Szajnocha Lechicki początek Polski, hipotezę może mylną, ale z wielkim zasobem erudycyi postawioną i bronioną (o normandzkim podboju i normandzkiem pochodzeniu szlachty polskiej). Nieszczęściem choroba oczów robiła groźne postępy, praca stawała się niemożliwą, Szajnocha złożył swój urząd. Wzrok mimo to nie poprawiał się, owszem (w roku 1858) przyszła zupełna i nieuleczalna ślepota. A i wtedy jeszcze nie ustała jego praca. Pisać nie mogąc, dyktował żonie (Joannie z Bilińskich), która była

nie tylko uczestniczką i pomocą w pracy, ale aniołem opiekuńczym i szczęściem jego życia; dokumenta kazał sobie czytać przez młodego ucznia (Bernarda Kalickiego). Zwrócił się w tych latach z całą umiejętnością badacza, z całą siłą uczucia i głębokością sądu, z całą także poetyczną wyobraźnią, jaką miał, do czasów bolesnych, do przełomu dziejów i losów Polski w wieku XVII. Wtedy powstał przepyszny Mściciel, wtedy szkice takie jak Miecznik Jabłonowski, Krzysztof Opaliński, Hieronim Radziejowski, i wtedy najgłębsze może z jego dzieł, Dwa lata z dziejów naszych, w którem tragedya tych czasów przedstawiona jest z największą siłą, z najgłębszą przenikliwością historycznego i politycznego sądu. W stanie zdrowia coraz gorszym, w cierpieniach coraz boleśniejszych, przeżył Szajnocha ostatnie lata życia. Umarł we Lwowie, 10. stycznia 1868. r.

Jak określić stanowisko Szajnochy w historyografii polskiej?

Mówiliśmy, że Lelewel był większym badaczem niż historykiem; to znaczy, że przy ogromnej wiedzy i ogromnej zdolności dochodzenia i rozpoznawania szczegółów historycznych, nie miał daru składania z nich plastycznych obrazów. Podobny rodzaj uzdolnienia miał Bielowski. Szajnocha był między dziejopisami polskimi XIX wieku pierwszym, który miał tę zdolność składania i przedstawiania całości; a miał ją w stopniu tak wysokim, że pierwszy w tym rodzaju co do czasu, jest także jednym z pierwszych i największych co do wartości. Doskonały znawca i sumienny badacz źródeł, miał to wykształcenie zawodowe, które się zowie krytyczną metodą historyczną, a uważane jest słusznie za konieczną, rzeczywistą podstawę wszelkiej poważnej, naukowej pracy historycznej. Przymiot ten konieczny, u niego jest dziwnym z tego względu, że kiedy inni nabywają go ćwiczeniem, uczą się go w szkołach (seminaryach) historycznych, on doszedł do niego sam, własnym popędem i mozołem, bez pomocy nauczycieli.

Ale na tej podstawie umiejętnego przygotowania i traktowania rzeczy, opierał się właściwy mu szczęśliwy dar zrozumienia, przeniknięcia całości we wszystkich jej szczegółach i stosunkach, i dar żywego, jasnego jej przedstawienia. Szajnocha ma tę bystrość i logikę umysłu, która widząc jakiś skutek umie dojść jego przyczyny; na odwrót mając daną przyczynę, poznaje trafnie skutki. U niego każdy fakt historyczny wywiedziony jest trafnie i głęboko ze swoich najistotniejszych przyczyn, a ukazany w związku ze swojemi logicznemi następstwami. Tej zaś wielkiej zalecie towarzyszy u niego druga, niemniej ważna i potrzebna: zdolność poznania i opisania pewnego faktu lub okresu wszechstronnie, w całej mnogości i rozmaitości jego stosunków. Jego historya opowiada przebieg zdarzeń, ale zarazem objaśnia polityczne położenie kraju, tłómaczy względy, które nakazywały w pewien sposób postąpić, i powody, które sprawiły, że faktycznie postąpiono inaczej. On kreśli i odtwarza skład i stan społeczny kraju w danym czasie; zna i opisuje prawa, dążności, potrzeby, interesa, różnych części składowych społeczeństwa, jego stan ekonomiczny, jego usposobienie religijne, jego oświatę i naukę, jego obyczaj i życie domowe. Stąd wynika, że jego historya jest nie

tylko przedstawieniem faktów, ale i obrazem całego cywilizacyjnego i politycznego stanu epoki.

Ta zaś bystrość i przenikliwość, ta rzadka zdolność odtwarzania przeszłości, łączy się u niego z dalszym a niemniej cennym przymiotem, z duchem publicznym i patryotycznym. Miłość ojczyzny — tem dziwniejsza u niego, a dla nas tem droższa, że ze krwi i pochodzenia nie był Polakiem i miał prawo jej nie mieć — przejmuje na wskróś i ożywia swoim ogniem i duchem każdą kartę dzieł Szajnochy. Nikt z większym od niego zapałem i zachwytem nie kocha wielkich czynów i wielkich ludzi przeszłości, nikt nie rozumie lepiej i nie podziela żywiej ich trosk i cierpień; nikt także nie boleje srożej nad tem, co w dawnej Polsce było złego i co ją do upadku przywiodło. To ostatnie zaś stanowi nową zasługę, nową i piękną cechę jego dzieł. Dawna historyografia polska miała zazwyczaj (nawet u wielkich historyków) rodzaj patryotyzmu panegiryczny; sławiła wielkie i dobre czyny lub strony narodowego charakteru, złe zbywała pobieżnie lub zwalała na indywidua. Szajnocha pierwszy z naszych historyków współczesnych wydobył na wierzch i ukazywał związek między psychologicznem usposobieniem narodu a jego politycznem życiem; śmiało i surowo odkrywał różne złe skłonności polskie i wskazywał, jakie one pociągały za sobą złe skutki. W jego przekonaniu miłość ojczyzny nie wyłączała jej gruntownej znajomości, nie wymagała zamykania oczów na jej błędy, ale owszem nakazywała znajomość jak się da najlepszą jej błędów i swego usposobienia, bo tylko na takiej znajomości oparta, miłość ojczyzny może złe skłonności ludzkiej i polskiej natury przezwyciężyć, dobre rozwijać i w dzisiejszych czy przyszłych czasach chronić się od tych popędów i błędów, które w przeszłości przyniosły nam takie szkody i klęski. Psychologiczna znajomość Polski i bystry trafny polityczny zmysł i sąd, to są dalsze charakterystyczne cechy i zalety Szajnochy.

Wreszcie jego sposób pisania, jego dar plastycznego przedstawienia wypadków i ludzi. Kiedy za młodu sądził się powołanym do poezyi, mylił się; wielkich poetycznych darów nie miał. Ale miał poetyczne usposobienie, miał wyobraźnię dla poety nie dość twórczą, ale doskonale wystarczającą na to, by historyk przy jej pomocy widział wyraźnie ubiegłą rzeczywistość i malował ją lub opowiadał o niej z życiem. Ten przymiot życia, kolorytu i nadawania życia kreślonym postaciom czy wypadkom, nie wielu historyków świata miało w tym stopniu co Szajnocha, a z historyków polskich żaden nie dorównał mu pod tym względem. Zarzucano mu nieraz — i niezupełnie bez słuszności — raczej nadmiar, zbytek tej zalety; mówiono, że przez wielką obrazowość, malowniczość opowiadania, historya pod ręką Szajnochy staje się zajmującą jak powieść, a traci na powadze, na surowej prostocie naukowego stylu i przedstawienia rzeczy. W takim sądzie jest dużo przesady. Historya traciłaby na powadze i ścisłości naukowej, stawałaby się powieścią, gdyby Szajnocha brak prawdziwej i uzasadnionej wiadomości sztukował domysłem i fantazyą, gdyby rzeczy przypuszczalne i domyślne podawał za prawdziwe. Ale tego on nie robi; owszem każde swoje twierdzenie czy opowiadanie opiera na źródłach i dokumentach, które zawsze przy-

tacza, każde przypuszczenie niemi usprawiedliwia. Co najwięcej pozwala sobie przez analogię przypuścić jako możliwie istniejący w Polsce jakiś szczegół, jakiś rys obyczajowego życia, równocześnie istniejący i dokumentami stwierdzony gdzieindziej, naprzykład w Niemczech. To wszakże prawda, że to usposobienie i uczucie poetyczne, które w nim było, bez jego wiedzy i woli przechodzi z jego duszy w jego pisma, i naukowej wartości im nie ujmując bynajmniej, nadaje im przecie pozór — i powab — utworów wyobraźni. Nie przecząc, że ten sposób pisania nie jest właściwym w dziełach naukowych, że byłoby źle, gdyby wszyscy historycy chcieli pisać tak jak Szajnocha, i dodając jeszcze, że ten sposób pisania tylko przy wielkim talencie ujść i udać się może, trzeba znów przyznać, że jeżeli on jest Szajnochy błędem, to błąd ten *(felix culpa)* ma swoje dobre strony. Onto bowiem sprawia, że ze wszystkich naszych historyków Szajnocha jest najpowabniejszym, najponętniejszym do czytania, że prędzej i silniej niż każdy inny zajmie czytelnika, opanuje jego wyobraźnię, zapali go szlachetną ciekawością własnych dziejów i ich miłością. Że zaś czytelnikowi temu podaje tylko rzetelną prawdę, więc daje mu i prawdziwe wyobrażenie o dziejach, istotną ich znajomość. Zajęcie wyobraźni i poruszenie uczucia służy i pomaga do tego, żeby w umyśle wiedzę zaszczepić i złożyć jej pierwiastki i zarody.

Jakiekolwiek będą dalsze losy historyografii polskiej, Szajnocha jak jest dotąd, tak zostanie w niej zawsze jedną z największych postaci, jedną z jej świetnych chwał, ozdób i względem narodu zasług.

Ze Szkiców historycznych.

Zdobycze pługa polskiego.

Z dwóch przeciwnych rysów charakteru narodowego lubili zawsze chwaleni być Polacy — z rycerskości i z zamiłowania w rolnictwie. Jakoż panowały w istocie obydwie te zalety bardzo widocznie w historyi i w codziennem życiu narodu, ale nie zostawiły obie równie widocznych rezultatów po sobie. Ochota rycerska przyozdobiła szlachtę polską wawrzynami wielu głośnych po świecie zwycięstw, ocaliła niejednokrotnie kraj i sąsiadów, czyni po dziś dzień każdego z Polaków cząstkowym spadkobiercą wielkiej niegdyś sławy wojennej. Jakież godne pamięci rezultaty przyniosło tak powszechne u nas rozmiłowanie w życiu wiejskiem i zajęciach rolniczych?

Najbliższą tego wynikłością byłoby znaczne udoskonalenie rolnictwa jako sztuki — lecz w tej mierze historya wcale smutnej

uczy nas prawdy. Pomijając czasy i marzenia starosłowiańskie, nie byliśmy nikomu mistrzami w sztuce rolniczej, a dwa ostatnie wieki Rzeczypospolitej przedstawiają rolnictwo w nader opłakanym stanie upadku. Jeżeliby nasz przyrodzony pociąg do pracy około ziemi miał nas zniechęcać do zatrudnień innego rzędu, mianowicie odejmować nam serce i uzdolnienie do zajęć przemysłowych, natenczas ta skłonność sielska okazałaby się w ostatnich wynikłościach raczej szkodliwą niż zaletną. Nawet wychwalane nieraz zaopatrywanie głodnych ludów zamorskich płodami ziemi polskiej nie rozstrzyga stanowczo powątpiewania. Umniejszony bowiem w dwóch ostatnich wiekach handel zbożowy sprowadzał w rzeczywistości bardzo mało złota do skarbców naszych, a niezasilone rolnictwem ubóstwo materyalne po zejściu dynastyi Wazów przyczyniło się w wysokim stopniu do katastrofy późniejszej. Przy tylu zaś przeciwnych rolnictwu naszemu względach czemże ono ostatecznie zasłużyło się dziejom?

Aby odpowiedzieć na to, wypada przedewszystkiem przypomnieć z historyi wielką niejednostajność, jaką pod wzlędem uprawy ziemi i zaludnienia przedstawiały w różnych epokach dawnego państwa polskiego różne jego prowincye. Rzecz to równie powabna jak trudna do podjęcia, i dopiero w połowie historycznego istnienia naszej ojczyzny, t. j. około czasów Kazimierza W., mnożą się rysy do takiego obrazu.

Wówczas cała przestrzeń szerokiego państwa Piastów i Jagiellonów dwa dziwnie różnobarwne ma lica. Zachodnie strony: Krakowskie, Sandomierskie, Mazowsze, Wielkopolska i Prusy zasiane są wsiami i miasteczkami, roją się tłumną ludnością, brzmią gwarem pracy we wszystkich zawodach życia. Starożytne nadania i konfirmacye kościelne z wieków XII i XIII wyliczają nam prawie tężsamą ilość wiosek w dobrach arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, biskupstwa krakowskiego, opactw tynieckiego, jędrzejowskiego i innych, jaką tamże widzimy we wszystkich czasach następnych. W porównaniu z odwieczną mnogością tych zachodniopolskich siół i miasteczek cóż za pustynia we wschodnich stronach państwa — w tak zwanej Rusi Czerwonej, na Podolu i w Ukrainie!

Tam oprócz kilkunastu starodawnych grodów stołecznych zaledwie tu i ówdzie rzadkie miasta i zamki, opasane niewielkiemi wyspami nieco osiadlejszej krainy. Zresztą puste wszędzie obszary, nieprzejrzane błonia o czerwcowym krzewie w Rusi halickiej, odludne jary z tatarskiemi gdzieniegdzie zgliszczami na Podolu, i trawne

oczerety a stepy ukraińskie. Stąd kiedy władającym tu królom polskim przyszło wydzielać darowiznę ziemską w tych stronach, był to zazwyczaj ogromny kawał pustego kraju, na którym później stanąć miały przemnogie wsi i miasteczka.

Nieznany w dziejach sługa Kazimierza W. Stanisław ze Strożysk otrzymał od pana swego w r. 1362. Rzeszów z całym obszarem ziemi dokoła. Nieco dalej nad Dniestrem, wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna posiadł około 1390. r. darem Władysława Jagiełły całą późniejszą Samborszczyznę od Dobromila aż ku Stryjowi. Syn Jagiełłów Władysław obdarzył w r. 1441. zasłużonego w walkach z Tatarstwem rycerza Jana z Sienna starodawnem Oleskiem z całym przyległym powiatem, roszczącym sobie w następnych czasach prawo do godności i nazwy księstwa. Ów Samborszczyzną uzamożniony wojewoda Spytko Melsztyński wziął następnie prawdziwe księstwo podolskie z dalekiemi ziemiami i grodami, za które wzajem położył niebawem życie w zapasach z Ordą. Lada chudopachołek z Mazowsza lub Wielkopolski dosługiwał się kawałka ziemi na Rusi albo kupował go za bezcen i osiadał na nowym gruncie.

Tylko nadania w okolicach ludniejszych i uprawniejszych budziły zazdrość dawnych krajowców — darowizny pustych obszarów bywały istotnem dobrodziejstwem dla sąsiadów i całej ziemi. Dzięki bowiem gospodarczemu zmysłowi nowych osadników polskich, szły nietknięte stopą ludzką zarośla coprędzej pod uprawę, gromadziła się zwołana zewsząd czeladź do pracy około nowego gospodarstwa, przymnażało się całej okolicy rąk do pomocy i ratunku w razie potrzeby. Puste niedawno przestrzenie zaczęły porastać zwolna wsiami i miasteczkami.

Takim sposobem osiedliły się z kolei Ruś Czerwona, Podole i Ukraina. Dopomagała temu dziełu ludność najrozmaitsza, różnemi drogami i sposobami garnąca się w bezludne pustkowia Rusi. Na gęsto rozdawanych jej łanach osiadali pomiędzy krajowcami Wołosi, przybysze z Węgier, Ormianie, nawet Serbowie. Największa jednak liczba nowych właścicieli i uprawiaczów ziemskich składała się z Polaków. Przybywali oni jako wielcy donataryusze rozległych włości i jako szlachta uboga, pragnąca osiedlenia się na lada chudopacholskiej zagrodzie.

Zwłaszcza z przepełnionego drobną szlachtą Mazowsza napłynęły na Ruś z Jagiełłą i panującym na Bełzie Ziemowitem Mazowieckim roje takich chudopacholskich osadników. Wszystkie doku-

menta ówczesne poświadczają niezmierną ich mnogość i skrzętność w ziemiach ruskich. Oni też głównie rzucili się do rolnictwa, uprawiali ziemię ruską do wydania złotego plonu czasów późniejszych. Kiedy reszta współmieszkających tu ludów, zazwyczaj czem innem się trudniła, kiedy Niemiec najchętniej wójtował po miastach i miasteczkach, Ormianin wypasał trzody, Tatarzyn rzemiosłami się bawił, Żyd ulubioną prowadził lichwę — sami Polacy z rzadką ludnością rodzimą pracowali w pocie czoła około roli.

Wielcy panowie polscy folgowali swojemu zamiłowaniu w rolnictwie, gospodarując na wielką stopę, zwołując zewsząd gromady osadniczej ludności, wydzielając mniej zamożnej szlachcie pomniejsze posiadłości, zakładając wsi i miateczka. Drobna szlachta własną ręką grzebała w ziemi, karczowała zarośla, tylko swoim obowiązkiem do obrony kraju wyróżniona od chłopa. Wiele z owych wiosek drobnoszlacheckich wzdłuż całego pogórza Karpat powstało z wydzielonych pojedynczym żołnierzom kawałków ziemi, na których rozrodzona z nich dziatwa rozbudowała się później w dzisiejsze wsi szlacheckie. Zapewne nieporównanie większa liczba osad województw ruskiego i bełzkiego urosła pod ręką takich wielkich i małych miłośników rolnictwa z dalszych stron Polski, przez stopniowe rozszerzanie się zajętych uprawą gruntów, zakładanie nowych folwarków, rozsadzanie ludności rolnej na coraz odleglejszych pustkowiach.

Ale historyi takiego uprawienia i zaludnienia naszych stron ruskich łatwiej życzyć sobie niż doczekać się rychło. Prawie żadna z dzisiejszych wsi i wiosek nie zna daty założenia swojego. Naprożno pytałbyś dzisiejszych jej mieszkańców i właścicieli, kiedy powstała, kto ją założył, skąd się wzięła jej nazwa? Tylko niektóre miasteczka posiadają dokumenta fundacyi i jakątaką znajomość swoich początków. One też jedynie mogą posłużyć za skazówkę w badaniach stopniowej uprawy okolic naszych. Nim to lub owo miasteczko nastało, nie było też wsi dokoła. Dopiero przymnożenie się ludności i osad w pewnym okręgu wywołuje potrzebę miasteczka z odbywającymi się w niem targami, z jego przemysłem i rzemiosłami. Skoro w której okolicy lokuje się miasteczko, znak to urośnięcia sąsiedniej ludności i uprawy ziemi do tego stopnia, iż osadnicy mają coś sprzedać na targu i potrzebują kupić czegoś w miasteczku. Dopóki wymagania tego rodzaju nie dadzą się uczuć mieszkańcom, trudno spodziewać się miasteczka w okolicy. Przynosiło wprawdzie zakładanie miasteczek znaczne korzyści założy-

cielom i bywało niekiedy z tej przyczyny podejmowane nazbyt skwapliwie. Nigdy jednak nie można było myśleć o założeniu miasteczka bez dostatecznej ludności sielskiej w pobliżu.

Stąd mnożenie się osad miejskich jest nam bardzo wiarogodną miarą wzrastania wiejskich i uprawy rolnej całego kraju. Przypatrzmy się zaś dzisiejszym miastom i miasteczkom czerwonoruskim, jakże późno powstały prawie wszystkie z małym wyjątkiem! Z trzynastu większych miast dzisiejszej austryackiej Galicyi, które niegdyś należały do województwa ruskiego, bełzkiego i podolskiego, tylko trzy stare grody: Lwów, Przemyśl i Sanok, znane były jako miasta za Kazimierza W. Wszystkie inne nastały dopiero za dalszych rządów polskich, po większej części na całkiem pustym gruncie.

I tak Rzeszów i Stryj były małemi osadami, z których ostatnia dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1431. nową otrzymała lokacyę. W miejscu dzisiejszego Sambora stało spustoszałe sioło Pohonicz, na którego gruncie wojewoda Spytko z Melsztyna około roku 1390. założył miasto Sambor. Złoczów należał w wieku XV-m jako wioska do dóbr oleskich, i wzniósł się dopiero za Sienieńskich, Górków, Sobieskich. Tarnopol winien swój początek sławnemu hetmanowi Janowi Tarnowskiemu, założycielowi miasta w r. 1540. Brzeżany urosły w miasteczko dziesięciu laty pierwej za staraniem Sieniawskich. Żółkiew założył hetman Żółkiewski, około roku 1597. na gruntach wsi Winniki. Trzeci z hetmanów-założycieli Stanisław Rewera Potocki, około r. 1654. zbudował na gruntach wsi Zabłocie miasteczko Stanisławów. Za Czartkowskich nastał Czortków roku 1522. Zaleszczyki wzniosły się dopiero w ciągu wieku XVIII, pod rządem rodziny Poniatowskich.

Ledwie też nie każdy z dawniejszych rodów polskich przyczynił się do uprawienia i zabudowania ziem ruskich fundacyą jakiegoś miasteczka. — Tęczyńscy np. w r. 1605. założyli Toporów, około 1560. Podgrodzie w pobliżu Rohatyna. — Sieniawscy oprócz Brzeżan r. 1552. wznieśli Prokopów czyli Wojniłów, 1549. Kałusz, 1578. Tustań czyli Chorostków, 1576. Oleszyce, około 1676. Sieniawę. — Zamoyscy r. 1580. Zamość, 1615. Tomaszów, niegdyś Rogoźno, 1588. Krzeszów. — Tarnowscy oprócz Tarnopola zbudowali około roku 1548. Tarnogórę. — Żółkiewscy przed założeniem Żółkwi dali około roku 1584. początek Brodom. — Potoccy oprócz Stanisławowa założyli 1553. Suchostaw czyli Jabłonów, około roku 1570. Potok, 1676. Tartaków, około 1692. Krystynopol, 1715.

Kuty. — Herburtowie ufundowali 1515. Podkamień, 1538. Kukizów, 1566. Dobromil. — Żórawińscy 1489. Bukaczowce, 1563. Jaryczów, około 1563. Żurawno. — Lipscy 1607. Bełzec, około 1620. Lipsko w Żółkiewskiem. — Łaszczowie 1503. Strzemilcze, 1549. Łaszczów, niegdyś Domanysz. — Tarłowie 1570. Mikołajów. — Fredrowie 1580. Niemirów. — Firleje 1570. Firlejów. — Reje 1547. Rejowiec. — Jordanowie 1595. Mikulińce. — Sienieńscy 1504. Pomorzany. — Jazłowieccy 1559. Barysz. — Mieleccy 1548. Ujście nad Dniestrem. — Strusiowie Strusów. — Opalińscy 1638. Opalin. — Maciejowscy 1557. Maciejów. — Płazowie 1615. Płazów. — Pileccy 1569. Sokołów.

Pozostawałoby jeszcze do wymienienia kilkadziesiąt innych fundacyi miejskich między Sanem, Bugiem a Zbruczem za rządów polskich. Z tych przynajmniej znamienitsze niech nam wolno będzie przypomnieć w porządku chronologicznym. Roku 1397. powstał Leżajsk, 1400. Hrubieszów, 1420. Dunajów, 1424. Sokal, około 1431. Mrzygłód, 1431. Radymno, 1455. Rawa, 1471. Komarno, 1471. Kamionka Strumiłowa, 1510. Żurów, 1515. Uhrynów, 1516. Załoźce, 1525. Husaków, 1530. Borek, 1538. Waręż, 1549. Budzanów, 1549. Mosty wielkie, 1559. Husiatyn, 1571. Rozdół, 1588. Dubienka, niegdyś Dębno, 1588. Korytnica, niegdyś Wręby, 1591. Magierów, 1610. Baligród, 1611. Janów, 1615. Sasów, 1619. Kasperowce czyli Lutomirsk, po 1665. Uścieczko nad Dniestrem, 1672. Wielkie Oczy itp.

Tyle miast i miasteczek przybyło województwom: ruskiemu, bełzkiemu i jednemu powiatowi Podola w przeciągu trzech wieków pod rządem nowych dziedziców polskich. Zenitem tej skrzętności kolonizacyjnej był wiek XVI, wzmagała się ona w wieku XV, upadła w wieku XVII. Każde z licznie powstających miasteczek urastało z zasiłku i podniety nierównie liczniej powstających wiosek dokoła. Ileż tych osad wiejskich mnożyło się wówczas tysiącami po całym kraju, lubo żadne dokumenta fundacyjne nie podają nam ani daty ich nastania ani nazwisk założycieli. Byli nimi w największej części owi zamiłowani w rolnictwie przybysze szlacheccy z dalszych stron Polski, którzy nie tyle z ubóstwa, ile raczej z niechęci ku innym zajęciom życia, a z wrodzonego pociągu do pracy na zagonie cisnęli się tłumnie w strony województw ruskich, i zapewnie w nierównie większej połowie rękoma swojemi je przeorali, sprowadzoną przez siebie czeladzią zaludnili, założonemi swojem staraniem wsiami i miasteczkami zabudowali.

Co więcej — gospodarcza ta przedsiębiorczość nie ograniczyła się na pobliższe Wiśle województwa ruskie i bełzkie, czyli na

dawną Ruś Czerwoną. W miarę jak ona coraz ciaśniejszą i mniej wygodną stawała się dla osadników, zaczęto zwracać uwagę na puste jeszcze ziemie dalszej Rusi, podolskiej i ukraińskiej. Jakoż w tymsamym czasie, kiedy kolonizacya stron naddunajskich znacznie mniejsze czyniła już postępy, rozwinął się na całej przestrzeni między Zbruczem a Dnieprem nadzwyczajny ruch osadniczy, przeciągający się od początków wieku XVII aż w drugą połowę XVIII. Dokonane wówczas dzieło zagospodarowania bezludnej Ukrainy było w głównej części podobnież szlachty polskiej zasługą, i jeszcze dobitniej niż uprawa Rusi Czerwonej świadczy o historycznych rezultatach jej gorącego zamiłowania w rolnictwie. Osiedlenie bowiem Podola i Ukrainy miało do zwalczenia nierównie większe trudności niż rolnictwo w ziemiach województwa ruskiego. Jedną z głównych przeszkód była sama bliskość Tatarstwa. Jeżeli daleka Wielkopolska nie znała wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu na kresach ukrainnych toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami, a najeżdżającem ich z pobliża Tatarstwem pogranicznem. Były to napady każdodzienne, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyluż chrześcian. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni. Nadawało to osobliwszego uroku tej rolniczej zabawie ukraińskiej, zaprawiającej w równym stopniu do pługa jak do oręża. Ostatecznie atoli doznawało osiedlenie Podola i Ukrainy niezmiernego stąd utrudnienia i musiało nawet dwukrotnie być ponawianem.

Pierwszy raz ukolonizowali nasi miłośnicy rolnictwa szeroką Ukrainę w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu przed wielką wojną kozacką za Chmielnickiego — drugi raz po zupełnem spustoszeniu Ukrainy wskutek tej wojny, w drugim kilkudziesięcioletnim okresie między rozejmem andruszowskim roku 1667. a połową następnego stulecia. Pierwsza z tych pamiętnych, lubo niedość powszechnie znanych epok kolonizacyjnych przypadła w porę ubezpieczenia wschodnio-południowych stron Polski od zagonów tatarskich orężem kilku walecznych wojowników, mianowicie nieśmiertelnej pod tym względem pamięci Stefana Chmieleckiego i hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Pod ich potężną opieką, za pieczołowitem staraniem króla Zygmunta III, a jeszcze bardziej jego syna Władysława IV, zaczęły pustkowia ukraińskie z trudną do pojęcia

szybkością napełniać się ludem i osadami. Składały się na to usiłowania wielu najrozmaitszych żywiołów, gospodarcza ochota szlachty z Polski i z Litwy, napływ wabionego przez nią ludu wiejskiego ze wszystkich okolic kraju, praca zawezwanych ku pomocy cudzoziemców uczonych. »Ja sam« — mówi w swoim opisie Ukrainy zatrudniony tam przez króla Władysława inżynier francuski Beauplan — »założyłem na Ukrainie przeszło 50 wsi, z których następnie do 1,000 osad urosło«.

Na każdem pustkowiu zakładano z niezmierną skwapliwością nowe wsi i miasteczka, nie zważając, na czyim właściwie gruncie, nie otrzymawszy upoważnienia od króla. Bywało to powodem wielu nadużyć i odzywały się w pismach i na sejmie głosy doradzające, »aby prawem zakazane były wszelakie osady w dzikich polach, tj. wszelkim ludziom prywatnym, bez danego przywileju na to«. Nastał wkrótce osobny rodzaj procesów o dorywcze zakładanie osad na cudzym gruncie. W jednej z takich spraw trybunalskich hetman w. koronny Koniecpolski, zapozwał księcia Wiśniowieckiego o 40 miasteczek, zbudowanych przez księcia na pustej przestrzeni ziemi, która później okazała się przyległością hetmańskiego starostwa Perejasławia.

Cały owszem nieszczęsny bunt Chmielnickiego wyniknął pierwotnie nie z odjęcia mu jego ojczystej wsi Subotowa, lecz ze sporu o takąż nowo przezeń założoną osadę, czyli słobódkę, której jako na gruncie niewłasnym osiedlonej, pozbawił go chciwy podstarości Czapliński. Procesy takie toczyły się swoim torem, a Ukraina aż do krwawej wojny Bohdana — »wszystka niemal w polach dzikich i na samych szlakach tatarskich wsiami i miasteczkami pozasiadywała« — mówi spółczesny Jerlicz. »Niegdyś za królów Kazimierza i Alexandra Jagiellończyków« — czytamy w jednym z dzisiejszych pisarzów małorosyjskich, Kuliszu — »kiedy komu posiadłość ziemską wydzielano na Ukrainie, wymieniały dokumenta nadawcze na całej przestrzeni między Siniuchą a Tykiczem, tudzież od brzegów Rosi aż do ujścia Taśmina, nie więcej jak jednego lub dwóch poddanych; w dalsze zaś 100 lub 150 lat znajdujemy całą tę stronę już wielce zaludnioną«.

Tenżesam pisarz rosyjski daje nam bardzo zajmujący obraz powtórnego osiedlenia Ukrainy przez szlachtę polską po zaburzeniach kozackich za Chmielnickiego. Kilkunastoletnia wojna domowa w spółce z Ordą tatarską, równie ciężką Ukrainie w roli sprzymierzeńców, jak niegdyś w roli najeźdźców, przywiodła całą od

niedawna zabudowaną krainę napowrót do zupełnego opustoszenia. Wielokrotnie przez wojska polskie i Kozaków zdobywane miasta i zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu. Nadto osobnym punktem rozejmu andruszowskiego zawarowano, aby pewną przestrzeń pogranicznej ziemi między Polską a Rosyą pozostawić na zawsze pustką. Takim sposobem najpiękniejsze wybrzeża Dniepru, wzdłuż dzisiejszych powiatów: czechryńskiego, czerkaskiego i kaniowskiego, skazane zostały na wieczystą bezludność. Dalsze rysy tego smutnego obrazu i nowych na jego tle usiłowań kolonizacyjnych naszej szlachty na Ukrainie, bierzemy z samejże książki przytoczonego tu pisarza rosyjskiego, który niepodejrzanem świadectwem swojem najlepiej poprze nasze twierdzenie.

»Wszystek tedy kraj ukraiński« — opowiada dalej p. Kulisz — »obrócił się w pustynię. Wiemy to z kroniki Wieliczki, który ciągnąc w r. 1705. z Kozakami od Korsunia i Białej Cerkwi na Wołyń, przerażony był bezludnością zachodniej Małorusi... Nie zgadzałoby się przecież z porządkiem rzeczy w naturze, gdyby ziemia tak szczodrze uposażona od Boga miała zostać długo pustkowiem. Skoro też ucichły w niej burze wojenne, skoro tylko zazieleniła się trawa na popieliskach, natychmiast znowu zjawił się na nich człowiek. Wszyscy dawniejsi mieszkańcy zachodniej Ukrainy, których nie przedzielały od niej brzegi Dnieprowe ani powstrzymywała przemoc człowiecza, wracali na drogą sercu ojcowiznę i macierzyznę. Posiadacze ukraińskich starostw i dóbr prywatnych przypomnieli sobie dawne prawa swoje i nadsyłali ze swego ramienia urzędników, podstarościch, ekonomów, leśniczych — z początku jedynie dla objęcia osierociałych ziem, później dla zakrzątnienia się około nowej ich uprawy i kolonizacyi. Wiele rodzin szlacheckich miejscowego pochodzenia, ocalonych bądźto w głębokiej Polsce za Wisłą, bądź w spokojnem Polesiu, przyprowadzało z sobą w strony rodzinne poddanych, którzy po części składali się z ukraińskich wychodźców na Polesie, po części zaś z rodzinnych Poleszuków, i ich-to wioseczki pojawiły się najpierwej na pobrzeżu Dnieprowem. Mowa tu głównie o stronach wyższej Ukrainy, około Kijowa i Berdyczowa, gdzie oddawna trzymała ziemie szlachta średniej fortuny, jak Zalescy, Bieżyńscy, Proskurowie, Olizary, Tyszowie, Bykowscy i inni. W południowych zaś i wschodnich częściach przeddnieprskiej Ukrainy, rozciągały się prawie bez wyjątku ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie. Humańszczyzna poszła od Strusiów do

Potockich, Śmilańszczyzna od Koniecpolskich do Lubomirskich, a w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficyaliści i pełnomocnicy, podobnież jak właściciele górnych powiatów, sama szlachta herbowa. Do starostw, królewszczyzn i dóbr szlacheckich południowej i wschodniej części Ukrainy przeddnieprskiej napływała ludność zwolna tymżesamym sposobem, bądźto z różnych kryjówek dotychczasowych, bądź z dóbr szlacheckich północnej Ukrainy. Dowiadujemy się o tem z mnogich procesów, które pod owe czasy toczyły się tu z przyczyny chłopów, od pana zbiegłych«.

»Kulminacyjnym punktem tej kolonizacyi ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII, a najsilniej działała ona w Humańszczyźnie pod bezpośredniem zarządem Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego. W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlenia ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądźteż z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stale na kresach Ukrainy konsystujących, a stąd partyą ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawyknąwszy do stron tutejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu i, korzystając ze swobody zajmowania się czemkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdala od stanowisk chorągwi swoich. Wszyscy założyciele osad winni byli przedewszystkiem myśleć o zwabieniu ku sobie ludzi, po których zebraniu się nowa osada nie wzrastała nigdy inaczej jak na prawach słobody, to jest uwolnienia od wszelkich powinności i danin na pewną liczbę lat. Zazwyczaj obwoływali założyciele taką nową słobodę na różnych miejscach tłumnego zgromadzenia się ludu, na jarmarkach, u przepraw rzecznych, na cerkiewnych i klasztornych prażnikach — gdzie różnemi obietnicami przynęcali do siebie ludzi. Rozumie się, iż gospodarz zamożny nie dał się uwieść wołaniem na słobodę. Lecz w każdem siole bywały sieroty pokrzywdzone od starszego rodzeństwa — byli utratnicy, którzy ostatni szczątek mienia z rąk wypuścili — byli kochankowie obawiający się rozłączenia lub dozna-

jący prześladowania, było nakoniec wiele ludzi pragnących zmienić tryb życia. Wszystko to nadsłuchiwało z radością obietnicom nowozakładających się słobód, jako hasłom do uwolnienia od wszelkich nędz i utrapień żywota codziennego. Zachowało się podanie z czasów osiedlenia Śmilańszczyzny, jakoby książę Ksawery Lubomirski kazał obwoływaczom słobód ogłaszać na jarmarkach, iż ktokolwiek przybędzie do niego z cudzymi wołami, on i takiego nie wyda i stanie za nim do prawa«.

»Kiedy] takim sposobem wzdłuż całego Dniepru, na starych popieliskach i rozwalinach, w zacieniu spokojnych, licznymi strumieniami zroszonych dolin, stanęły nowozałożone baraki, lepianki i od ręki ciosane chaty, znalazło się także i za Dnieprem niemało ludzi, którzy zapragnęli korzystać z nieporównanie lżejszych warunków poddaństwa u nowych właścicieli zachodniej Ukrainy. A ci nawzajem słali ku nim przywabiające odezwy i ułatwiali im środki do przesiedlenia się. W ówczesnym stanie zarządu i pogranicznej kontroli na lewym brzegu Dniepru przechodzenie na polską stronę rzeki było wcale łatwem, jak teraz z gubernii do gubernii, a w następstwie tego kaniowskie, czerkawskie i czehryńskie pustynie napełniały się coraz bardziej i bardziej wychodźcami z przeciwległych siół i grodów rosyjskiej hetmańszczyzny. U rybaków dnieprowych przechowała się podziśdzień pamięć figur i krzyżów z zawieszonym na nich snopem żyta, cepem i sierpem. Wystawiano takie krzyże na wynioślejszych miejscach pobrzeża, a miały one znaczyć, iż ktoś zakłada tu słobodę i przywoływa osadników na pewnych warunkach i wolnościach. W moc takowych warunków uwalniano osadników zwyczajnie od wszelkich czynszów i powinności na pewien przeciąg lat, co właśnie nazywało się *słobodą* czyli *swobodą*. Aby każdemu przechodzącemu lub przejeżdżającemu jawno być mogło, na ile lat dana jest swoboda takiemu siołu, wbijano na wygonie słup na podobieństwo krzyża, w którego belce poprzecznej tkwiły kołki drewniane. Po upływie każdego roku wytrącano jeden kołek, a gdy wszystkie lata minęły, winni byli osadnicy płacić czynsz właścicielowi ziemi i odbywać niektóre powinności«.

»Obowiązki ukraińskich poddanych były nader łagodne. Do skarbu wnoszono tylko podymne, pańszczyzny naznaczono najwięcej 12 dni do roku z każdej chaty, co ówczesnemu trybowi gospodarstwa aż nazbyt wystarczało. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał wcale podówczas, a dochody pańskie płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku,

sadła, pędzenia wódki na małą skalę i t. p. Podstarościowie i inni oficyaliści pańscy wzbogacali się podarkami, które starodawnym zwyczajem składali im poddani, ilekroć jakakolwiek potrzeba powoływała kogo do dworu. Wzbogacano się także różnego rodzaju handlem, mniej lub więcej godziwym, osobliwie dostawianiem furażu wojskom rosyjskim, które natenczas stały bez przerwy wzdłuż granic Dniepru albo u samych kresów Turcyi. Prowadzono wreszcie handel wysyłanemi na Zaporoże przeróżnemi potrzebami do życia, które za bezcen nabywały się w kraju prawie bajecznie urodzajnym, a szły drogo w zamian za konie i ogromne przynosiły korzyści. Takim sposobem szlachta sama sobą się bogaciła i ani w obyczajach ani w czemkolwiek innem nie znajdowała pobudki do obciążania poddanych robocizną. Stąd w nader szybkim czasie dochodziły nowe sioła do stanu nadzwyczaj kwitnącego, a w następstwie tego kolonizacya kraju wzrastała jakby cudem. Wszystkie okoliczności współdziałały ku ubłogosławieniu doli mieszkańców. Ale jak każde młode społeczeństwo tak i Ukraińcy nie znali troski o jutro, nie zbierali zapasów chleba i, ufając żyzności gleby, nie orali wcale na zimę. Zaczem zdarzało się nierzadko, iż nieurodzaj jednego roku nabawiał mieszkańców strasznego głodu. W historyi uprawy ziemskiej i gospodarstwa na Ukrainie przedstawiają się nam dwie ostateczności — albo niezwyczajnie niskie ceny, albo całkowity brak chleba, głód, a nawet pomorek z głodu. Wszakże te nieszczęścia chwilowe pochodziły jedynie z ówczesnego stanu ziem ukraińskich i żadną miarą nie mogą być policzone na karb szlachty polskiej, która już po raz drugi uprawiła i zabudowała te strony«.

Tożsamo powtarza p. Kulisz dwukrotnie w dalszym ciągu swego opowiadania, mówiąc o spustoszeniu kraju kozackiemi wojnami za Chmielnickiego i burzą hajdamacką w drugiej połowie wieku XVIII.

»Kilkunastoletni okres niepokojów kozackich, nazwany u dziejopisarzów polskich *hosticum*, u naszego zaś ludu *ruiną*, obrócił zachodnią Ukrainę w istną pustynię, a w ciągu lat pięćdziesięciu polska i już całkowicie katolicka natenczas szlachta zamieniła ją znowu w ludną krainę... Aż oto po niedługim czasie nowe najazdy zaporozkie, znane pod nazwą Hajdamaczyzny, zawichrzyły napowrót ziemię, ledwie co tylko staraniem szlachty polskiej zagospodarowaną«.

Mniej wyraźnie zachowała się pamięć dawniejszego osiedlenia stron naddniestrzańskich przez ziemian polskich, ale sama istota

czynu niemniej przeto jest pewną. Jak Ukraina tak i bliższe ku zachodowi ziemie halickie winne były największą część swej uprawy zamiłowanemu w rolnictwie szlachectwu koronnemu. Jak Ukraina tak i Ruś naddniestrzańska nie raz, nie dwa razy, lecz kilkakrotnie na nowo osiedlone zostały przez szlachtę polską. Ile razy bowiem częste zagony tatarskie, czyto na Ukrainie, czy na Podolu i w Haliczu, spustoszyły ze szczętem kraj, rozpędziły lub w jasyr zabrały ludność, uprowadziły wszystko bydło z dobytkiem, w perzynę obróciły mieszkania — tylokrotnie potrzeba było nowego osiedlenia, nowych ludzi, nowych trzód bydła, nowej pracy około odbudowania spalonych chat i dworów. Wszystko przecież przemogła owa gorąca miłość zajęć rolniczych — wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo ku sobie pociągał serca szlacheckie. Cześć więc orężowi i cześć pługowi naszemu, oba z chwałą dopełniły zadania i oba też zarówno na uznanie zasługują w historyi.

Zastanawiając się nad tem historycznem powinowactwem polskiego miecza i pługa, lubimy przypominać sobie charakterystyczne słowa owego syna mieszczańskich rodziców z Biecza, który w szacie biskupiej posłował tyle razy od królów polskich do monarchów zachodnich.

»W stronach południowej Rusi« — pisze nasz Marcin Kromer w drugiej połowie XVI stulecia — »już prawie więcej w używaniu jest dyalekt polski niż ruski, gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami, chętnie tam osiadają Polacy«.

W jakże braterskiej zgodzie idzie tu zamiłowanie w rycerskości z zamiłowaniem w rolnictwie — oręż z lemieszem! Szabla czyniła sobie zadość, broniąc Rusi od Tatarów, lemiesz uprawiał ją i osiedlił. Oba żelezca okryły się w równej mierze wawrzynami w tych stronach, a zasługa lemiesza przyniosła nawet trwalsze owoce od orężnych.

Z Dwóch lat dziejów naszych.

(Wyjątek z rozdz. ostatniego XII p. t. Elekcya).

Całe wojsko kozackie wierzyło, iż wódz jego z pod Lwowa wyruszy z niem najpierwej ku Zamościowi, następnie pod Warszawę. Sam Chmielnicki przestawał na zatrzymaniu się u Zamościa, skąd potężnie ciężyć mógł wolą swoją na niedaleką Warszawę, na

zagajony tam właśnie sejm elekcyjny. A zarówno mocen, jak żądny tego, zaciężył rzeczywiście na wybór nowego króla nieznanem wprawdzie brzemieniem wpływów i środków, lecz powszechnie wiadomym i niemałą liczbą najwiarygodniejszych świadectw stwierdzonym skutkiem. Znając Chmielnickiego życzenie jak najrychlejszej elekcyi, a z pomiędzy wszystkich pretendentów do berła dwóch jedynie widząc bliskimi tronu królewiców Jana Kazimierza i Ferdynanda Karola, snadno było przewidzieć, za którym oświadczyłby się Chmielnicki. Pierwszeństwo wieku, rycerskie serce, osobliwie zaś stanowcza okoliczność, iż najgorliwsi stronnicy królewica Karola, jak książę Jeremi Wiśniowiecki, podkanclerzy Andrzej Leszczyński, obaj generałowie krakowski Jerzy Lubomirski i wielkopolski starosta Leszczyński, gorąco nienawidzili Kozaków: gdy przeciwnie Jan Kazimierz sprzyjał im szczerze — wszystko to dało temu ostatniemu w Chmielnickim, w jego trzech krociach zbrojnego ludu, w jego zbrojnem obecnie jednowładztwie, we wszystkich Małej Polski prowincyach potężniejszą od całego pod Warszawą zgromadzenia szlachty wyborczej, lubo nie upoważnioną do głosu, na milczenie skazaną, niemą podporę. Dopiero po dokonanym czynie zaczął głos prawdy o wpływie Chmielnickiego na elekcyę warszawską rozbrzmiewać na czas niedługi, bo ciągłem uprzedzeniem przeciw Kozakom i nieszczęśliwym zwrotem wypadków zagłuszony całkowicie w bliskiej przyszłości. Nam jednak głównie obecnością zajętym przypomnieć tu kilka najważniejszych o tym wpływie świadectw niniejszej pory.

Pierwsze z nich wyczytujemy w urzędowej relacyi pobytu Chmielnickiego pod Lwowem, dokąd w pierwszej połowie października, a zatem o przeszło miesiąc przed wyborem nowego króla — »przyjechali posłowie od cara moskiewskiego i od Rakoczego, żądając promocyi na królestwo polskie, których tak odprawił (Chmielnicki), że prerogatywę rodowi królewskiemu, a zwłaszcza królewicowi Kazimierzowi, na którego stronę skłania się snać, przyznał«. Drugie z tych wspomnień pozostawił nam wojewoda Kisiel w liście z dnia 14. kwietnia 1650., wzywającym Chmielnickiego do wsparcia usługami swojemi króla Jana Kazimierza »jako pana tego, któregoś sam chęcią swoją, aby nam wszystkim szczęśliwie panował, dopomógł widzieć ukoronowanego«. — Najważniejszemi jednak świadectwami są dwa listy samego króla Jana Kazimierza, tuż po elekcyi skreślone, z których pierwszy z dnia 27. listopada przywodzi Chmielnickiemu i Kozakom na myśl, »iż pomnąc na dobrodziejstwa

ś. p. najjaśniejszych królów JMości pana ojca i brata naszego pana, Boga prosiliście i życzyli tego, aby nie kto inszy, ale my z tejże krwi królewskiej idący na to Królestwo obrani byli«; — drugi zaś z dnia 1. grudnia b. r. powtarza, »że nas pomazańca Bożego a Króla pana waszego, któregoście i sami panem mieć życzyli«...

...Zaczem w nadziei świetniejszych zysków, odżałowawszy niewielkiej reszty okupu stolicy ruskiej, odstąpili zbratani czciciele krzyża i półksiężyca w dwóch różnych od niej kierunkach, w trzech różnych dniach. Najpierwej tegożsamego dnia 23. w piątek wyruszył ze swoją ordą i ogromnym koszem łupów i plonu sułtan Gałga, brat hański, ku Kamieńcowi, z całą resztą Tatarstwa Tohaj-bej szlakiem zamojskim. Nazajutrz w sobotę kazał Chmielnicki ze swoich kilkudziesięciu dział, nie używanych dotąd przeciwko miastu, dać 20 strzałów na pożegnanie i poczęły wychodzić pierwsze pułki kozackie, za! którymi dnia następnego ruszył ostatek wojska pod Zamość. Dopiero nazajutrz, w poniedziałek dnia 26. wybrał się za nimi sam Chmielnicki z Krzywonosem pułkownikiem i ks. Mokrskim, sekretarzem jego i pouínikiem, zostawiwszy natomiast stryjecznego brata swego Zacharyasza z garstką Kozaków czyto załogą czy w zakład miastu.

Za połączeniem się Chmielnickiego z pułkami i Tohaj-bejem ciągnęła wszystka potęga kozacka, chłopska, tatarska przez cały tydzień ku Zamościowi. »Szli, wielkim tłumem jeńców zagarnionych w niewolę okrążeni, stadami nieprzeliczonemi koni a bydła rogatego przyległe pola na mil ośm okrywając«. W dniach 5. i 6. listopada rozlał się nieprzejrzany, kilkukrociowy potop zbrojnego i niewolnego ludu dokoła murów Zamościa, aby tam w odległości dwudziestu kilku mil od stutysięcznego, już od miesiąca obradującego pod Warszawą obozu szlachty na elekcyę zebranej, założyć obóz drugi dziesięćkroć ogromniejszy.

Tegożsamego więc dnia 6. października rozpoczęło się i szlacheckie sejmowanie pod Wolą i kozackie oblężenie stolicy ruskiej. W miesiąc później skończył Chmielnicki swoje złote dzieło okupu i darów lwowskich i zabierał się do złupienia nieskończenie słynniejszej od Lwowa pod względem bogactw, za obronny skarbiec nagromadzonych skarbów miejscowych i okolicznych poczytywanej twierdzy zamojskiej; — sejmująca zaś pod Warszawą rzesza panów i szlachty nic dotąd nie uradziła na rzecz głównej ze swoich spraw, owszem jedynego celu swojego, wyboru króla.

(Następnie opowiada autor, jak opieszale odbywał się sejm elekcyjny, jak dopiero dnia 17. listopada dokonano wyboru).

Wszyscy bez wyjątku zgodzili się na Jana Kazimierza... Przez trzy dni następne dopełniano jeszcze reszty formalności elekcyjnych, dnia zaś 20. listopada złożyli posłowie królewscy w środku koła przysięgę w imieniu króla na *pacta conventa*; a gdy tym sposobem wszystkie przeszkody, które usunąć pierwej sobie zastrzeżono, zostały już istotnie usunięte, mianował prymas dnia tegoż Jana Kazimierza królem polskim. Mianowanie to przyjęto z powszechną radością i zaraz wszyscy według dawnego zwyczaju z odkrytemi głowami na polu elekcyi w śnieg na kolana padłszy, jednem sercem acz różnym głosem *Te Deum laudamus* odśpiewali. Nazajutrz rano 21. listopada poszedł nowo obrany król w uroczystym pochodzie przez zamek do kościoła św. Jana, po odprawionem zaś przez prymasa nabożeństwie złożył w ręce tegoż przysięgę i otrzymał dyplom elekcyjny, przy hucznym odgłosie dział.

Obiór ten jak był dla naszej ojczyzny niesłychanie ważny, tak też dziwny poniekąd w swych skutkach. Polska znajdowała się w stanie najopłakańszym: rozbite i zdemoralizowane jej wojska, złupione lub zburzone miasta, wsi i dwory popalone — przerażający, godny politowania przedstawiały widok. Gdy o rychłem zebraniu rozprószonego żołnierza, o wynalezieniu środków dostatecznych do jego utrzymania najdzielniejsi z pozostałych jeszcze wodzów i mężów stanu zwątpili, stoi oto główny tych nieszczęść sprawca, wodzów i szlachty polskiej wróg, Chmielnicki, na czele dwakroć stutysięcznej armii już tylko o kilka mil od Warszawy oddalony i wszystko wokoło siebie trwogą przeraża. Za ukazaniem się, jak powiada w pamiętnikach swoich Radziwiłł, jednego tylko pułku Kozaków pod Warszawą, wszystkoby było pierzchnęło, a w samej stolicy znajdowali się łotrzyki, którzy zamierzali podpalić miasto i zrabować je pod pozorem, jakoby im to Chmielnicki nakazał. W takichto chwilach moralnego upadku naszego, wróg nasz, lubo korzystać mógł z tego i wzbijać się w tem większą hardość, na pierwszą wieść o przychodzącej do skutku elekcyi, na jedno ledwie co obranego króla skinienie, zwija oblężenie Zamościa, cofa zwycięskie wojska na wszystkich punktach, a życzenia swoje w rodzaju prośby królowi pokrótce przedłożywszy, w spokoju na Ukrainę powraca.

Jaka myśl przewodniczyła mu w tym kroku? jakie przeważnie uczucie skłoniło go do takowego postanowienia? Byłoż to owo coś Boskiego (jak mówi Kisiel) według wyobrażeń Kozactwa w so-

bie zawierające słowo »król«, co tak cudowny urok na umyśle Chmielnickiego wywarło? Czy zdziałała to w nim istotna do ojczyzny miłość i nad opłakanym stanem politowanie, z którem się w liście do Zamościan wynurzył? Lub też może ozwało się silniej w jego piersi poczucie »grzechu«, poczucie »występku, przeciw majestatowi Boskiemu i królewskiemu« popełnionego, do którego w listach swoich po kilkakrotnie sam się przyznaje, i przemknęła się w jego umyśle groza odwetu i kary? — Bądź co bądź, w każdym razie stało się widomem, że jak dotąd, tak też i teraz czuwał duch opiekuńczy nad Polską pognębioną. Przez obiór, na błoniach pod Wolą dokonany, stanął oto ów pożądany od wszystkich pośrednik między ludem a szlachtą, między Kozaczyzną a resztą Rzeczypospolitej — i Polska została nagle, jakby cudowną ręką Opatrzności, uwolniona od wrogów, aby jeśli jeszcze nie trwałym cieszyć się pokojem, toć przynajmniej odetchnąć wolniej i zebrać siły do nowych zapasów.

Jeszcze jako tylko królewic polski i król szwedzki pisał Kazimierz nie bez wiedzy i życzenia panów do Chmielnickiego. Wstąpienie swoje na tron obwieścił mu niezwłocznie przez posłów swoich: Stanisława Oldakowskiego, rotmistrza chorągwi kozackiej, i Śmiarowskiego. Był to ostatni czas skutecznego odezwania się Kazimierza jako króla. Wysłany od Chmielnickiego z pod Zamościa paru dniami wprzód ksiądz Mokrski do Kazimierza, jeszcze tylko polskiego królewica i króla szwedzkiego, w drodze się z nimi rozminął. Posłowie królewscy zastali Chmielnickiego w Łabunkach, o milę od Zamościa. Właśnie słał pułki kozackie pod Lublin, a Tohaj-beja perekopskiego z 40.000 Tatarów pod Warszawę — i już były gotowe pod ich armatę zaprzęgi. Skoro mu oddano list królewski, cofnął dany wojsku ordynans, kazał bić z dział na wiwat, powściągnął kozackie łupieże i rozpoczął odwrót ku Ukrainie. Towarzyszył temu odwrotowi Chmielnickiego Oldakowski, poseł królewski, który go aż pod Pawołocz do Białopola odprowadził i wspólnie z nim pierwsze pokoju umawiał warunki. Łagodność i wyrozumiałość ze strony króla, a ze strony Chmielnickiego uległość i powściągliwość pewna w swoich żądaniach, charakteryzują to pierwsze zbliżenie się, zamykając ostatnie z r. 1648. publiczne czynności i napawając niejaką otuchą, że cała ta sprawa tak groźna spokojnie zatatwioną być może. Prosił Chmielnicki o przebaczenie dla siebie i dla wszystkich, żądał zniesienia unii i przywrócenia Kozakom dawnych wolności, a ich hetmani aby odtąd pod wyłączną

samegoż króla władzą zostawali. Tak z relacyi Oldakowskiego i Śmiarowskiego, jako też z listów samegoż Chmielnickiego widać, że mu na chęci pojednania się z Rzecząpospolitą nie brakło. Chciał nawet sam, jak powiada, udać się do Krymu i uwolnić hetmanów Potockiego i Kalinowskiego, byle mu ci obrazę swoją przebaczyli i z nim odtąd żyć chcieli. Wolę króla spełniając, oddalił od siebie Ordę, wracał ku Dnieprowi, rozpuszczał jedną część wojska i rozsyłał po wszystkiej Ukrainie uniwersały, aby chłopi panom swoim wszelakie posłuszeństwo i poddaństwo oddawali, prosząc i zaklinając z drugiej strony, iżby tak panowie sami jako i słudzy ich nie kwapili się do karania poddanych swoich i obrazy dawniejsze przebaczyli.

Takie miał on podówczas chęci i życzenia; ale wypadki same nad jego barki urosły. Jeżeli buta Kozactwa, pomyślnemi walkami podsycona, stawiała mu opór w pojedynczych pułkownikach, którzy niekiedy bez wiedzy i wbrew woli jego działali, toć daleko trudniejsza była sprawa z tak zwaną czernią, z rozhukanymi tłumami pospólstwa, zaprawionymi do rozbojów i łupieży. Jak łatwo było niegdyś Chmielnickiemu, urazy prywatne z publicznemi mieszając, podburzyć tę czerń przeciw panom i Rzeczypospolitej, tak powstrzymać w nadużyciach, owładnąć ją i w karby dawniejsze ująć było już niepodobna. Sam wywołaną przez siebie siłą porywany, a nieufnością i podejrzeniami drażniony, nigdzie silnego, bezpiecznego oparcia nie znachodząc, chwiał się w zamysłach, przerzucał to na jedną stronę to na drugą — i w tem leżała cała późniejszych zdarzeń fatalność.

Mieczysław Romanowski.

Urodzony w Żukowie (na Pokuciu) w roku 1834. Szkoły w Stanisławowie, uniwersytet we Lwowie. Na uniwersytecie zaczął pisać, a po części w lwowskich pismach peryodycznych drukować swoje poezye, na których znać wpływ Słowackiego, a zwłaszcza Ujejskiego. Były to właśnie te lata, w których zaczęło się wzmagać zamiłowanie Słowackiego, Ujejski zaś był na szczycie swojej wziętości. Młody poeta okazywał wiele talentu. Miał piękny, jędrny język, wiersz dźwięczny, a nadewszystko niezaprzeczoną siłę i szczerość uczucia. Uczucie to objawia się głównie w dwóch postaciach: miłości, zrazu szczęśliwej i pełnej nadziei, a następnie zawiedzionej, sprowadzającej ciężki smutek i gorycz — i miłości ojczyzny, nadziei rychłej walki i szczęśliwego jej końca. W wierszach tej treści odzywa się dziwnie i stale ton smutny, przeczucie własnej śmierci, sprawdzone niestety. Z tem marzeniem o przyszłości łączy

młody poeta poetyczne zamiłowanie przeszłości, zwraca się myślą i fantazyą do jej walk bohaterskich lub chwil nieszczęśliwych: dla przyjaciół ma serce gorące, przyjaźń wyraża się w jego poezyach często a pięknie. W wierszach lirycznych wcale a nieraz bardzo szczęśliwy, ma on tę piękną cechę usposobienia i talentu, że w uczuciach swoich rzewny i gorący, nie jest nigdy miękkim, nerwowym, chorobliwym, rozstrojonym, ale owszem okazuje męską, tęgą, zdrową naturę. Jego większe poemata (Chorąży, Chart Watażki, Łużeccy, Dziewczę z Sącza, powieści, Popiel i Piast, dramat), dowodzą, że miał dużo wyobraźni, duży zasób poetycznej siły, ale noszą na sobie cechy młodości, niewyrobienia talentu, pewnej powierzchowności, niezupełnej dojrzałości (czasem sprzeczności) pomysłów, co się tłómaczy młodym wiekiem poety. Sądząc atoli z tych początków, można wnosić, że talent ten byłby się rozwinął bardzo pięknie, gdyby był miał czas po temu. Nieszczęściem ziściły się te przeczucia, których smutny głos odzywa się często w wierszach Romanowskiego.

Przyszedł rok 1863. Młody poeta, który wypadki dwóch lat poprzednich witał (jak wszyscy) jako zapowiedź zmian szczęśliwych, który w zbrojnem powstaniu widział spełnienie swoich nadziei, a zapał swoich towarzyszy i przyjaciół podniecał, »nie znał« — według wyrażenia Krasińskiego — »uczuć i czynów rozdziału«, i z tymsamym szczerym zapałem, jaki miał w duszy i w słowach, pragnął się i bić. Zaciągnął się do oddziału Lelewela. Bił się (jak świadczyli towarzysze) z zapałem i męstwem wspaniałem. Poległ, trafiony kulą w czoło.

Wśród młodych poetów swego pokolenia był jednym ze zdolniejszych i sympatyczniejszych; wśród ofiar ówczesnych wypadków był jedną ze szlachetniejszych i piękniejszych. Wczesna śmierć nie dała mu zająć w literaturze wysokiego stanowiska; ale zostały po nim dowody prawdziwego talentu, i została pamięć rzewna i pełna sympatycznego uroku.

Z WIERSZY DROBNYCH.

CHWILA MYŚLI.

Znużony jestem... trzykroć upadałem
Pod krzyżem pracy — skrwawiony i drżący —
I trzykroć, trzykroć z upadku powstałem:
I uspokoił się duch bolejący...
Zadrzemał może jak pustyń wędrowiec,
Nim go zwierz zbudzi, ryjący grobowiec.
Przeszedłem myślą takie straszne piekło —
Przez dzieje świata — snułem lat tysiące.
O Panie! pocóż tyle krwi wyciekło?
Poco pękały serca pałające?
Olbrzymy przeszli po tej biednej ziemi —
I skamienieli, jak od bolu niemi.

Może za wiele mieli Twego ducha —
Toż niepojęci przeszli pośród tłumu;
Głos ich za silny dla ludzkiego ucha,
Podobien gromom lub do morza szumu;
Wołali: Wolność! — i rozdarli łona...
Padli! — dziś stoją posągi — imiona.
Ciała ich w ziemi, duchy gdzieś daleko
Błądzą po gwiazdach — cierpliwi tułacze.
Kiedyż ich grobów rozpęknie się wieko?
Panie! czyż nigdy nie dojdą Cię płacze?...
O ześlij, ześlij proroki — Mojżesze,
Niech w kraje światła zaprowadzą rzesze!
Tam żale sierot, a tu kajdan brzęki
Straszną muzyką spływają do ucha;
Słowik w drzew cieniu rozpływa się w jęki;
Tam gwiazdy błyszczą, wietrzyk z lekka dmucha,
Na nocnych polach żałobne szemranie,
Niby pacierze grobów...
Słyszysz, Panie?!...

ZNUŻONY PTAK.

Ciężką wędrówką znużony ptak
Odpocznę może,
Krwią moich piersi znaczony szlak
Tam — za mną — Boże!
Wichrem i gromem skrzydła podarte,
Kiedy nocleżną czyniłem wartę
We śpiących duchów taborze.

Im słodki spokój płynie na skroń,
A mnie gra burza;
Ich czoła gładzi kochanki dłoń
Wonna jak róża:
Ach! a ja ledwie ujrzę przelotnie,
Już muszę wracać, czuwać samotnie
Na kopiec nocnego stróża.

Gdybyż choć rychlej z tych ciemnych pól
Tam — w kraj promienia!
Gdybyż na chwilę choć uśpić ból
I żar pragnienia!
O, ale z piersią rwaną bolami
Tylko przemieniać noce ze dniami...
Tchnienia dla piersi!... o tchnienia!

Gdybyż choć ona — ten anioł mój
Popatrzył na mnie!

I gdy mi piersi oblęże znój,
Uśmiech miał dla mnie;
Z śmiechembym leciał — hulaka młody —
Na nudy, trudy, na niepogody,
Choć światby walił się na mnie!

NOWA ZNAJOMOŚĆ.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,
We wieczorną Karpat aureolę;
Cisza była na polach i w borze,
W mojem łonie przycichały bole;
Zapomnienia tknięte ręką białą;
Serce z niebem i ziemią się zlało.
Ciche lilie, zdobiące strumienie,
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały;
Smutek duszy wzięły borów cienie;
Fale pieśni moje powtarzały —
Do stóp mi się kłoniąc po kolei,
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei.
Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma,
Po świecącej, niebieskiej krainie:
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzyma,
Nim korabiem z zatoki wypłynie,
Nim porzuci ziemię, ojców domy...
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.
I zbliżyła się do mnie dziewica,
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem;
Jak posągi greckie miała lica,
Szła poważnie w myśleniu głębokiem,
Szła i, postać nachyliwszy wiotką:
»Jam śmierć twoja!« — rzekła do mnie słodko.
»Lewą ręką serce uśpię twoje,
Jako matka usypia dziecinę,
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę
I ulecisz od bolów jak płomień
W światło, w życie wieczne — nowy promień«.
Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;
Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały,
I na polu bitwy o mnie spytaj.
Teraz, nowa znajoma, mi witaj!
Stała milcząc, a nad nami w górze
Z za obłoku księżyc się wyłonił.

Do pół skronią oparty na chmurze,
Na tę białą łzy promienne ronił,
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia —
I odeszła, mówiąc: »Do widzenia!«

SNY I PRAWDY.

(W imionniku).

Jeżeli marzysz, że świat cię obsypie kwiatami,
Snem to będzie;
Kwiaty, kolce, łzy, radość — roznosimy sami
Z sobą wszędzie.

Snem będzie, jeśli nigdy nie doznać zawodu
Masz nadzieję;
Lecz biada, jeślić z serca ufność już za młodu
Wiatr rozwieje!

Snem poklask i błyskotki, któremi tłum wita,
Snem szał ludzi;
Ale gdy serca dobroć czynami rozkwita,
Raje budzi.

Snem duma, która w piersi ponad wszystko stawa,
Snem zachcenie;
Cicha, lecz najpiękniejsza młodej duszy sława:
Poświęcenie.

Bóg i światy — bez granic, człowiek — muszką drobną
W grób się zsuwa...
Ale nad źdźbłem, nad kwiatkiem i duszą osobno
Anioł czuwa.

MODLITWA.

Lecę ku Tobie, jako ptak wędrowny,
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęskniące!
Do Ciebie rwę się jak żal niewymowny
Z pól, które mogił zaległy tysiące;
Lecę ku Tobie, bo mi z każdą wiosną
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.
Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzyża:
Napełń pierś moją bolem, jak chcesz, Panie!
Nie żądam, by dziś błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwychwstanie;

Jeno mi w duchu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły!
Bym nie rzekł, Panie, kiedy mię otoczą
Pomniki wielkich i wierzby cmentarne,
Że wieszcze kłamstwa wieścili proroczo,
Żeś Ty i świat Twój i wszystko jest marne...
Lecz wiarą mocny niech na grobach stoję —
I pracą, Panie, niech liczę dni moje.
Najsilniej, kiedy będą się zapierać
Moi gniazd orlich, Ty wspieraj mię, Panie!
Bo przeklinając nie chciałbym umierać —
I lwa ryk wolę niż podłych sykanie;
Więc niech zapomnę o podłości bratniej,
Niech stoję — choćby grobów stróż ostatni.

FINALE.

Lećcie, me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.
Zwiastujcie burzę wśród gniotącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei
Jak ptastwo wiosny okrzykiem nadziei.
Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Stwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas! już czas nam! — Lećcie, pieśni moje!
Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozielenia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się jak mój duch unosi.

Waleryan Kalinka.

Syn Andrzeja i Maryanny z Brzeskich, urodzony (w Bolechowicach pod Krakowem) w r. 1826. Szkoły i uniwersytet w Krakowie. Po ukończeniu nauk wstąpił jako aplikant do służby sądowej wolnego m. Krakowa i gotował się do egzaminów doktorskich, kiedy zaszły wypadki roku 1846. W tych skompromitowany, musiał uciekać za granicę. Przebył dwa lata w Brukselli; stosunki najbliższe miał z Lucyanem Siemień-

skim i z generałem Skrzyneckim. W roku 1848. powrócił do Krakowa; dostał skromną posadę przy bibliotece Jagiellońskiej, a równocześnie wstąpił do redakcyi Czasu. Było to pierwsze pole, na którem pokazała się jego zdolność publicystyczna. W roku 1851., zagrożony nowem prześladowaniem policyi, wyjechał powtórnie za granicę, a mianowicie do Paryża. Tu wykończył książkę, do której materyały z sobą przywiózł, a która pierwsza zwróciła na niego uwagę ludzi znaczących w emigracyi. Była to Galicya i Kraków. Jest to obraz stosunków poddańczych, kościelnych i sądowniczych od roku 1772. do połowy naszego wieku, praca publicystyczna, napisana z talentem, lecz bez objektywności historycznej. Tom drugi miał obejmować administracyę, wychowanie publiczne i stan ekonomiczny. Generał Władysław Zamoyski, zachęcał autora do wykończenia tej książki i do opisania w podobny sposób innych części Polski, kiedy wypadki udaremniły ten zamiar, a obu zwróciły do innych spraw i zajęć.

Wybuchła wojna krymska, w której dalszym ciągu spodziewano się wkroczenia wojsk francuskich i angielskich na Ukrainę i Podole. Postanowiono i zaczęto formacyę pułków polskich. Zamoyski pojechał w tej sprawie do Stambułu i nad Dunaj, a z nim Kalinka jako sekretarz. Pułki formowały się istotnie, ale jako część wojska tureckiego, a na żołdzie angielskim. Spodziewano się, że przy dłuższem trwaniu wojny będą miały przyznany charakter i urzędową nazwę pułków polskich. Nadzieja ta zawiodła; wojna skończyła się pokojem paryskim (1856), który był dla Polski (przedewszystkiem dla emigracyi) zawodem najboleśniejszym od roku 1831. Jako skutek praktyczny z tego pobytu na wschodzie przywiózł Kalinka znajomość cokolwiek lepszą Słowian południowych i myśl wprowadzenia unii kościelnej (z obrządkiem wschodnim) do Bułgaryi. Starania, rozpoczęte już wtedy na miejscu i w Rzymie, miały ten skutek, że część Bułgarów połączyła się z kościołem (w roku 1860).

Po powrocie do Paryża zamyślał Kalinka pisać historyę emigracyi i robił wstępne do niej studya, kiedy uznał (w porozumieniu z Julianem Klaczką), że pilniejszą potrzebą jest dokładne zbadanie stanu różnych części Polski, dokładne o nim powiadomienie publiczności, wytykanie złego, a wskazywanie obowiązków i trafnych sposobów postępowania. Z tej myśli powstały Wiadomości polskie, pismo tygodniowe, którego naczelnym redaktorem był Feliks Wrotnowski, a głównymi współpracownikami Klaczko i Kalinka. — Pismo to, w krajach polskich z wyjątkiem Wgo Księstwa Poznańskiego zakazane, stąd prawie nie znane, wychodziło przez lat cztery (1857 — 1861). Obejmowało wszystkie objawy, kierunki i potrzeby polskiego życia, polityczne, społeczne, religijne, naukowe, literackie i t. d., a mówiło o nich z politycznym rozumem i zmysłem, ze znajomością spraw, ze stopniem naukowego wykształcenia, z siłą umysłów i talentów taką, że artykuły jego należą do najświetniejszych i najrozumniejszych rzeczy, jakie były kiedykolwiek w publicystyce polskiej. Artykuły Kalinki, poświęcone najczęściej wewnętrznym stosunkom i sprawom narodu, odznaczały się szczególną znajomością jego usposobień i jego stanu, znajomo-

ścią praktyczną urządzeń i praw, wreszcie historyczną (a w potrzebie i statystyczną) dokładnością. Do celniejszych należą: Listy o Królestwie, Listy o Rusi, Rząd rosyjski, Polityka rosyjska w Polsce, i Polska pod trzema rządami. Do historyi naszej w tym okresie czasu są to źródła i materyały nieocenione.

Oprócz wydawania Wiadomości — i wydawnictwa dzieł jak Relacye Nuncyuszów, Pamiętniki Krzysztofa Radziwiłła, Żywot Niemcewicza przez X. Adama Czartoryskiego, zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza (1861) — zajmowało się to grono ludzi oświecaniem opinii europejskiej o stanie rzeczy w Polsce, o wszystkich politycznych i religijnych prześladowaniach i krzywdach. Od pierwszych wypadków warszawskich w roku 1861. zwłaszcza, czynność ta stała się bardzo żywą, a prowadził ją głównie Kalinka, upominając wszakże i przestrzegając, jak dawniej we Wiadomościach, tak teraz wszelkimi dostępnymi sposobami, przed nierozważnym porywem, który mógł skończyć się klęską.

Od swego przyjazdu do Francyi coraz gorętszy w uczuciach religijnych, a coraz stalszy w katolickich przekonaniach, zdaje się, że w tym czasie już Kalinka namyślał się, czy nie wstąpi do stanu duchownego. Zamiar wszakże wyraźnym i stałym jeszcze nie był i nie zaraz się wykonał. Po roku 1863., kiedy wszelka czynność polityczna polska za granicą była niemożliwą i skończyć się musiała, powziął on zamiar napisania życia ks. Adama Czartoryskiego. Był to poniekąd powrót, pod inną formą, do dawnej myśli o historyi emigracyi. Ale zabierając się do tego żywota, zmiarkował rychło, że będzie on zrozumiałym i należycie ocenionym wtedy dopiero, jeżeli będzie połączony z opisem stanu Polski w epoce poprzedniej. Zaczął więc studyować czasy Stanisława Augusta: a gdy szczęśliwym trafem znalazły się właśnie przywiezione do Paryża ważne do tego panowania dokumenta, Kalinka postanowił wydać je i opatrzyć stosownym wstępem. Tym sposobem powstało dwutomowe dzieło Ostatnie lata Stanisława Augusta, którego tom drugi jest zbiorem dokumentów, odnoszących się istotnie do końcowych lat tego panowania (1787—1795) — ale pierwszy jest treściwem opowiadaniem tego panowania aż do roku 1787. (do zjazdu króla z Katarzyną w Kaniowie).

Kalinka przez to dzieło objawił się odrazu jako historyk pierwszego rzędu. Aż dotąd nie czuł w sobie tego powołania ani tej zdolności. Raz tylko, i prawie przypadkowo, napisał (i pod obcem nazwiskiem wydał) historyczną rozprawę o negocyacyach ze Szwecyą o pokój w r. 1651—1653. W Ostatnich latach Stan. Augusta podana jest w krótkości sama esencya tych dziejów, wszystko, co w nich ważne, stanowcze, rozstrzygające w położeniu narodu, wszystkie zwroty i zmiany, w tym przeciągu czasu dokonane, z powodami i wpływami, które je sprowadziły, ze skutkami, jakie one znowu w położeniu Rzpltej wywołały. (Strona dyplomatyczna historyi zwłaszcza, polityka zagraniczna, traktowana jest ze znajomością rzeczy i bystrością przedtem w naszej historyografii niewidzianą). Na tem tle dopiero rysują się postaci i charaktery ludzi, kreślone z dziwną przenikliwością i mocą;

między tymi na szczególną uwagę zasługuje wizerunek Katarzyny i Stanisława Augusta.

Była też ta książka i oznaką nowego zwrotu w historyografii polskiej — tego, który chce wyśledzić i wskazać bez wahania, co w przeszłości było złem, na to, by w teraźniejszości z tego złego się leczyć, a w przyszłości w sobie go nie mieć. W tymsamym czasie, nie znając się jeszcze i o sobie nie wiedząc, Kalinka i Szujski jednakowo zadanie historyi pojmowali i spełniali. Zarzucano im obu, że narodowi odbierają ufność w siebie, upokarzają go przed obcymi, cześć przeszłości i ojczyzny podkopują. Na te zarzuty odpowiedział Kalinka z góry przedmową do Ostatnich lat, której konkluzya jest ta, że żaden Polak nie uczuje się mniej Polakiem, choć się dowie, co w jego ojczyźnie było złego; owszem każdy w tej boleści uczuje się tembardziej obowiązanym służyć ojczyźnie i podnosić ją; a jak »całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby całą prawdę stawiali przy sobie Polacy«.

Zaraz po napisaniu Ostatnich lat (r. 1868.) — Żywot ks. Adama Czartoryskiego nigdy napisanym nie został — wstąpił Kalinka do nowicyatu Zmartwychwstańców w Rzymie. Wyświęcony na księdza, zostawał tamże, zajęty sprawami zgromadzenia, z krótkimi tylko pobytami w Galicyi. W roku 1874. na 1875. wysłany do Bułgaryi dla zwiedzenia szkół i misyi katolickich, zostających tamże pod kierunkiem Zmartwychwstańców. W roku 1877. wysłany był do Jarosławia jako kapelan przy klasztorze zakonnic; i tu zaczął pisać Sejm czteroletni, którego tom pierwszy wyszedł w roku 1880.

W całej naszej literaturze historycznej niema książki boleśniejszej jak ta, ale też niema podobno takiej, którąby była doskonalej napisana. Bolesna jest nie tylko przez sam swój przedmiot i treść (dążenie narodu do dźwignięcia się z upadku, nadzieja a prawie pewność szczęśliwego skutku, i potem nagle upadek tych nadziei i drugi rozbiór) — ale boleśniejsza jeszcze przez to, że pokazuje otwarcie i bez ogródki wszystko złe, jakie było w ówczesnej Polsce pod względem moralnym i politycznym. Nie tylko zaś stwierdza to złe, które było zawsze znane i wiadome, ale wykrywa i dowodzi, że w najlepszych i najrozumniejszych ludziach tego czasu były wady charakteru, a w ich postępowaniu błędy polityczne. Z tego powodu znowu (jak po wydaniu Ostatnich lat) spadały na autora zarzuty, że nie szanuje przeszłości, a w narodzie szacunek siebie samego osłabia. Odpowiadał (jak wtedy), że pierwszym obowiązkiem historyi i historyka jest prawda, że prawda należycie poznana, miłości i czci ojczyzny uszczerbku nie przyniesie, i że wątłe i płytkie musiałyby być te serca i uczucia, które odwracałyby się od ojczyzny, dlatego, że ten lub ów w niej człowiek lub postępek nie był tak doskonałym, jak sądzono.

Znakomicie zaś napisaną jest ta książka dlatego, że jasny rozkład i grupowanie faktów, oznaczenie każdego z nich w jego doniosłości i stosunku do innych; sztuka pisania wreszcie i prawdziwy historyczny styl, który nigdy nie jest szumny a zawsze poważny, zawsze równie poprawny i szlachetny, rzadko kiedy dają się widzieć w tym stopniu doskonałości. Najważniejszy i najszlachetniejszy a zarazem tragiczny —

okres naszej historyi XVIII wieku opisany jest i wyjaśniony z najdokładniejszem i umiejętnem zbadaniem rzeczy, ze zmysłem politycznym szczególnie bystrym i trafnym, z niepospolitym pisarskim talentem, i z najżywszem uczuciem patryotycznego obowiązku. Doskonała jako historya, jest ta książka zarazem jedną z najgłębszych nauk politycznych i moralnych, jakie mamy w naszej literaturze.

Po wydaniu pierwszego tomu, ksiądz Kalinka niespodzianie oderwany został od tej pracy, a powołany do innej. Oddawna w życiu religijnem i politycznem Polski ze szczególną uwagą i troskliwością wskazywał unię kościelną, jako kwestyę jedną z najważniejszych dla obu tych życia kierunków. Zajmował się nią jeszcze jako człowiek świecki i dziennikarz, później jako zakonnik praktycznie w Bułgaryi, a słowem i pismem, gdzie tylko mógł.

Z jego natchnienia i z jego pomocą pisał uczony Francuz ksiądz Lescoeur historyę prześladowań unii na Litwie, a inny, benedyktyn ks. Guépin Żywot św. Jozafata Kuncewicza, który Kalinka potem w skróceniu na polski język przełożył i wydał. Gdy więc na życzenie Leona XIII, a z pozwoleniem Cesarza Franciszka Józefa, księża Zmartwychwstańcy założyli we Lwowie zakład wychowawczy dla młodych Rusinów, ksiądz Kalinka, jako najbardziej spraw ruskich świadomy, został przełożonym tego domu. Nowy ten obowiązek i nieodłączne od niego trudy i troski, oprócz tego liczne posługi duchowne i miłosierne, zabierały mu bardzo wiele czasu. Tylko tak niezwalczona energia i pracowitość jak jego mogła wystarczyć na to, by oprócz tych zajęć rozlicznych pracę historyczną przecież dalej prowadzić. Owocem jej był naprzód Żywot generała Chłapowskiego, biografia doskonała i rzec można arcydzieło w swoim rodzaju, a prócz tego przyczynek ważny i nauczający do naszych porozbiorowych dziejów. Sejm czteroletni postępował mimo tych przeszkód. Część pierwsza drugiego tomu wyszła w r. 1883., wreszcie w 1886. druga połowa tego tomu, doprowadzająca opowiadanie aż do ostatnich dni przed sesyą samą 3. maja. Był ten tom pierwszego zupełnie godzien, może od niego wyższy. Mianowicie cała strona dyplomatyczna ówczesnego położenia, przymierze pruskie, stosunek Rzpltej do Austryi, i zamiary Katarzyny, a prócz tego wizerunki osób głównie działających, sprawiają, że nie wartość tej części dzieła, ale jej ciekawość jest może największa.

Na tem też skończyła się praca księdza Kalinki, tak niezmordowana i namiętna przez lat przeszło trzydzieści, że wyczerpała jego siły i złamała zdrowie. Od lat paru często cierpiący, w listopadzie r. 1886. zapadł na zapalenie mózgu, które skończyło się śmiercią, 16. grudnia tegoż roku, we Lwowie.

Po śmierci znalazły się w jego papierach pierwsze rozdziały rozpoczętego trzeciego tomu Sejmu. Jest w nich opisany sam dzień 3. maja 1791. i pierwsza po nim sesya, 5. maja. Jeżeli już nie mogło być, żeby historyę sejmu doprowadził do końca — a sam mówił nieraz, że nie czuje się na siłach pisać o wypadkach roku 1792. jako zbyt bolesnych — to szczęście przynajmniej, że dzieje te doprowadzone są do stanowczej i najpiękniejszej swojej chwili.

Był Kalinka znakomitym publicystą, z tego wyszedł na doskonałego pisarza i wielkiego historyka, wreszcie był kapłanem w wierze i służbie Bożej gorliwym jak mało. W każdym z tych zawodów umiał równie dobrze wszystkim zadaniom i obowiązkom podołać. Ta wielostronność jego umysłu i zdolności, zmysł praktyczny i organizacyjny, jaki do każdej pracy wnosił, to jest jego charakterystyczna właściwość i cecha. Znał on nawskróś i położenie swego narodu i jego usposobienie, znał w ich ogólnych stałych przyrodzonych warunkach i we wszystkich zmiennych bieżących stosunkach. W zamęcie i sprzeczności zdarzeń umiał zawsze wskazać i prawdziwy interes polski i właściwą porę czy sposobność do zrobienia tego, co temu interesowi służyło. Ludzi znał doskonale, każdego umiał odgadnąć i stosownie użyć, i każdego dopilnować, żeby zrobił co do niego należało. Miał zawsze przytomny cały zakres religijnego, politycznego i umysłowego stanu narodu, i wiedział zawsze, gdzie w którym z nich jest ten punkt słaby, który potrzebuje odmiany i naprawy. Duchowny, do spraw świeckich nie należący, a swojemi nad miarę zatrudniony, wpływał przecie na różne naszego życia kierunki, bo w sprawach naukowych odnosili się do niego uczeni, w publicznych zasięgali jego zdania posłowie, w sprawach kościelnych duchowni, w uczynkach i stowarzyszeniach miłosiernych ci, którzy z nich zrobili sobie cel życia. Zmysł organizacyjny, praktyczna zdolność działania, rozum polityczny, to były właściwe przymioty księdza Kalinki jako obywatela i jako publicysty.

W sprawach kościelnych wreszcie, w dziele religijnego odrodzenia narodu, bez którego nie wierzył w świecką i polityczną jego siłę, ksiądz Kalinka znaczył i działał tak wiele, że historya polskiego kościoła będzie musiała przeznaczyć mu osobną i wielką kartę. Nie tu miejsce wchodzić w szczegóły i wyliczać te jego zasługi, ale zapisać przecież należy, że obok Kajsiewicza i Koźmianów nikt czynniej i skuteczniej od niego nie pracował około zapoznania Rzymu i świata ze stanem kościoła w Polsce, że od XVII wieku nikt gorliwiej i goręcej nie służył unii kościelnej, że do ożywienia uczuć a odrodzenia przekonań katolickich w Polsce, mało kto tak się swoim wpływem przyczynił jak on.

Jako umysł polityczny jeden z najgłębszych i najtęższych, jako historyk jeden z najlepszych, jako kapłan jeden z najgorliwszych, jakich mieliśmy kiedykolwiek, Kalinka w tych trzech kierunkach działający, a we wszystkich trzech znakomity, jak miał wielostronny i szeroki zakres działania i wpływu, tak może służyć za wzór doskonałego pełnienia wszystkich obowiązków, i być przez dzieła swoje dla potomnych radą, podporą i nauczycielem.

Z Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta.

Przedmowa (skrócona).

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy czytelnikom podajemy, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele

światła do historyi upadku Polski; objąć ma bowiem szereg zdarzeń nierozerwanym ciągiem po sobie idących, od zjazdu kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegłszy, z czyjej wyszły ręki: są to korespodencye Stanisława Augusta, Katarzyny II i wielu najcelniejszych osób, w Polsce i w Rosyi naówczas żyjących; świadectwa tem szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonem po czasie, ale związane z życiem politycznem narodu, przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających zarazem. Jest więc ta publikacya znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie.

Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czyli druk dokumentów, wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili równie jest korzystny pod względem moralnym i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym? Nad tem pytaniem zastanowić się tutaj musimy, tem więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu ważyli i że od ludzi, których wysoko cenimy, z którymi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconych pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwne. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszczem tym, których rady z żalem usłuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenta ogłaszamy.

Ostatniem słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były lub będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda, aczkolwiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedzianą; ale powtórzona dzisiaj, w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama z dokumentów niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszem staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności, przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą.

»Szczery i zupełny obraz Polski pod koniec XVIII wieku (mówiono nam) może być pożyteczny jedynie dla tych, którzy tak gorąco pragną naszą przeszłość zbezcześcić i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich usprawiedliwi i stanie się (wedle pospolitego wyrażenia) wodą na ich

młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy je zniesie i nie w każdym czasie; a jeśli przyznanie się do grzechów, w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżenie się, prócz tego, że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. Dziś naród potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość, i wyrozumiałej dla wszystkich miłości; z wieków minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni; a ktoby dowiódł, że upadku naszego przyczyną były własne i to wszystkich grzechy, ten odejmie narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepce i poniży, ten go doprowadzi do rozpaczy. Jesteśmy jakoby dzieci, których matka śmiertelną złożona chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać? czyż samo uczucie synowskie nie nakaże raczej odwrócić od nich oczu, a o to tylko starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiór przeszłości trucizną będzie, a nie lekarstwem; odłóżmy go do chwili wyzdrowienia. Wówczas on będzie pożądany, a nawet konieczny, aby ustrzec od powtórnej niemocy; dziś tylko matkę dobije! A wreszcie próżnem jest staraniem i czczą pretensyą chcieć dzisiaj całą wykrywać prawdę. Jakiejkolwiek mogą być wagi ogłoszone dokumenta, więcej ich pozostanie w ukryciu, czekając właściwszej do druku pory. Zabraknie więc w tym procesie aktów i to najważniejszych może — i sąd taki w miejsce wiernego przedstawienia przeszłości stworzy tylko jeden więcej obraz żółciowy i fantastyczny!«

»Przy rozdarciu wewnętrznem, jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna — mówiono nam z innej strony — stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źródłem kwasów i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, który z luźnych dokumentów i oderwanych ustępów wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechów rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partyach politycznych nietrudno, których głównym nieraz bodźcem w działaniu była zazdrość do swoich. Tacy pochwycą skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, którym dorównać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny!... Lecz niedość na tem; zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasła, odżyje nanowo i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektórych ziemiach polskich,

rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkiemi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwyczajnych składa się ludzi; wznowiony obraz zeszłowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci. Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać, choćby najlżejszych pracowników! — Jeżeli zaś przeciwnie wypadkiem studyów będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa, niegdyś w narodzie wszechwładna, przyczyną była naszej zguby, to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełności swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta nie wie, co jej pozwolą z ojczystej dochować spuścizny; gdy z starych szlachty polskiej przywilejów jeden tylko został przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączność, zdobywa ona blisko już od wieku własnem cierpieniem coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nie tylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywaćby powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednem zresztą pokryć przebaczeniem!«...

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas w czasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznem może dodać, że znajdowały w piszącym te słowa echo donośne i zaostrzały przykrość tych studyów, dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbierać na zimno, z czem dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że niejedno z tych wspomnień, które nanowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odpłaca!... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenta wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nie tylko można, ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego doprowadził system przeciwny i dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów, a podnoszenia nad miarę naszych cnót i zasług.

Był czas, gdy pod bolesnem wrażeniem upadku Rzeczypospolitej naród, świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patryotyzmie, o swojem nawet męstwie wojennem, i w własnych przedewszystkiem oczach potrzebował się odrodzić. Stąd, gdy jedni na zachodzie, obok Francuzów, starą szabli polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że i w naszem prawodawstwie była niejedna rozumna ustawa, »którą możemy się chlubić«; wówczas Niemcewicz swem piórem malowniczem opisywał dzieje Zygmunta III, aby przypomnieć, że »i my także czemś byliśmy«: *et nos fuimus*; wówczas też poważne grono uczonych mężów, rozbierając między siebie historyę szczęśliwszych Polski epok, pominęło z umysłu dzieje wieku XVIII. Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą ani przed narodem nie ukrywali ciężkich błędów i nierozumu, co świetność minionych wieków splamiły«. — »Historya, pisał kilkoma laty wprzódy Naruszewicz, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy«; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnież książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączonej, czuć ból zacny a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysileń, tyle wreszcie zasobów — wszystko tak marny wzięło koniec; żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. — Wszakże wkrótce potem wyszły z pamięci te przestrogi. Jak po stracie drogiej nam osoby (że tu zacytujem słowa niedawno powiedziane) rychło ginie pamięć jej wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednej chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odtąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Przeniesiona do historyi poezya, krytyce już niedawała przystępu i złym musiała być doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: *sine ira et studio*. Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku rzucając zasłonę, owa poezya historyczna w coraz to wyższe, nadeuropejskie cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła na bluźnier-

stwie, zowiąc nas Chrystusem narodów! Słyszano i powtarzano takie zdania, że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni spólnictwa, sama święta i niepokalana, Polska w wieku XVIII dobrowolnie zstąpiła do grobu. — Kto sam się bóstwi na świecie, rzekł poeta, ten na odwrót swego szału, odczłowiecza się pomału. Tak i my, podniósłszy zasługę narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku, bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie zostały usprawiedliwione wszystkie nasze błędy, wszystkie instytucye, któremi państwo upadło, te właśnie instytucye, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i *liberum veto* i elekcya królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, która w dawnej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danem, którzy w historyi zamiast prawdy i rzeczywistości szukali ideału, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność, *a priori* przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studyów, bez zaglądania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi, tworzone teorye szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznyh pojęć; sięgały nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest Chrystusem narodów, drudzy z tem większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i nanowo objawić chrześciaństwo!

I tak, gdy ciągle brzmiały teżsame pochwały, ciągle teżsame powtarzaliśmy błędy i, zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tem naszem gospodarstwie narodowem podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet nie tylko niewątpliwe, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spotka go niedobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór; a nie inna podobno tego przyczyna, jak ta, że wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzyć się nie chcemy.

Lecz mówią nam: Dość będzie czasu na ten rachunek niemiły, gdy wyzdrowieje matka ukochana, dziś śmiertelnie chora! —

Namby się przeciwnie zdawało: rachunek ten, wówczas na mało przydatny, dzisiaj jest koniecznym. Bo jakże matka ma wyzdrowieć, jeśli jej choroby nie znamy i lękamy się jej poznać?

Jak wydobędziemy się z tej ciasnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak nam odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzec skutecznie i, co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży. Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niedostrzeżonych w swej maleńkości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatya, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory...

Ale (zapytują nas) jakież wrażenie zrobi ta prawda, z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie zniechęci, i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia? — Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyć musimy, żeby jakiegobądź Polaka można dziś jeszcze od polskości odstręczyć czy widokiem plam, jakie ciężą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającem wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bezwątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tem przeświadczył, ale nikt dlatego nie czuł się mniej Polakiem, mniej obowiązanym służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuć się nie zechce, nikt choćby chciał nie potrafi. Silniejsza ona niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli i stuletnią już blisko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów, a nawet i Rosyan — choć i tacy przy schyłku życia tęsknem wejrzeniem znowu się ku Ojczyźnie zwracali — to z każdem, które przybywa ćwierćwieczem, owa odmiana czy apostazya staje się coraz mniej podobną. Gdziekolwiek jesteśmy: w kraju czy za krajem, w Polsce czy na Sybirze, wszędzie musimy być i pozostać Polakami: tak głęboko na dnie naszej duszy osadził Bóg uczucie polskości! A w takiem usposobieniu narodu polskiego niewątpliwem, niezachwianem i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czy nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzyć się w naszych błędach i w ich nieustannie

bijącem źródle, w wadach naszego charakteru: rozpatrzyć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studyum to może być obojętne albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nieszczęśliwsze, ale w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długiem wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda — i jeszcze twardszem się staje. — I czy doprawdy wzgląd na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że naglącem jest odjąć nieprzyjaciołom tryumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i z ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze odwiecznym Polski z Moskwą jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z nimi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali, że do nich prawa niema żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonań, naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bóg użył jej za narzędzie do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my, ani oni: my w pracy nad sobą i pokutniczem skupieniu, czekając aż przyjdzie Pańskie miłosierdzie; oni dumni potrząsając głową i z naszej ziemi całemu już grożąc światu, aż Bóg skruszy rózgę, gdy się stanie niepotrzebną.

Z tej więc strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, choćby cała prawda o przeszłości była poznaną. Ważniejszym wydaje się nam zarzut, że ogłoszenie dokumentów zeszłowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskiem. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać; bo próżną jest wszelka budowa i na nic się nie zda wszelki materyał tam, gdzie między robotnikami niema harmonii i pokoju; bo wreszcie najgorszą by to było dla narodu wróżbą, gdybyśmy z studyów nad historyą upadku Rzpltej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie. Ale i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleść jakąś rodzinę świetniejszą, w którejby dziejach nie było przymroku — a to jej nie przeszkadza odbierać od ludzi czci, na jaką obecnie zasługuje — tak i u nas,

choć wiele imion przyćmił wiek XVIII, nie masz dzięki Bogu żadnego, któreby w naszem stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomków. Więc jak śmieszną byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w moc wątpliwej po dziadach spuścizny, tak równie śmiesznem byłoby a nawet niecnem bez win osobistych potępiać ludzi, którzy krajowi służą poczciwie. Doprawdy, nie masz na kogo cisnąć kamieniem! A jeszczeby godziło się zapytać, kto może ciskać, kto jest tak czysty? Nic pospolitszego jak zarzuty przedajności; nie tylko w książkach, ale i na ulicy spotkać się z niemi można; bo też od połowy XVII wieku, mnóstwo najpierwszych dygnitarzy dotkniętych było tą zarazą. Ale nie sądzimy, żeby u nas przodków drugiego mógł ktoś obciążać tą winą, sam swobodny i z podniesionem czołem; bo niekoniecznie niewinnym był ten, o kim milczy historya. Znane są, to prawda, imiona ludzi, którzy swe sumienie sprzedawali za krocie; lecz nic dziwnego, że żaden ślad nie pozostał o tych, których kupowano za łyżkę strawy, za kilka talarów. A było takich, jak wiadomo, bardzo wielu: historya każdego rokoszu i każdej nieledwie konfederacyi mogłaby na to dostarczyć dowodów. Więc potępiając grzechy przeszłości, nikt z nas zapomnieć nie może, że na każdego mniej więcej jednaka spada za nie odpowiedzialność. — Błędnem jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt niska to zbrodnia, i przy najmniejszem moralnem podniesieniu, prędko się naród z niej otrząsa i staje się niedostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, aby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcym Niemcy i Anglicy; przedajniejszymi byli od nas Szwedzi, a w Rosyi dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy, nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być insze, głębsze przyczyny złego, które nas obaliło. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie, a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie — że nic więcej nie powiemy — iż sami ani dziejów ani spraw publicznych ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku, były (wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie) owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu

głośnych pyszałkach od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzpltej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach tensam charakter u nas się powtarza i już przez tosamo zasługuje na rozbiór uważny. A nie powiemy, żeby to były studya należące jedynie do przeszłości, albo żeby się tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty: owszem, historyk sumienny wciąż musi sobie stawiać pytanie, azali te wady, które przez dwa wieki grób pod stopami naszej Ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość Ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat z górą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postaci tak wysokie, że najczystszym typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich przymnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdem polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżnić: tyś syn szlachecki a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobrazicieli z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstały antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederacye, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzpltej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień; co się działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bez mała powtórzyćby się mogło — gdyby nie ostrzegały sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępców z wieków minionych, niech je rzuca: ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, azali w niej się nie odezwą podobne dawnym rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynią, to u nas epoka tak bliska jak koniec Rzpltej najsilniejszą powinnaby być przestrogą dla nas i dla naszych następców, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: *Mutato nomine de te docet — historia!*

Przestroga dla spółczesnych i dla następców, oto — w ostatecznem zestawieniu wielostronnych względów i rozumowań — powód stanowczy, dla którego pragnęlibyśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiór świadectw historycznych z czasów naszego upadku; powód zdaniem naszem tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacyach nieuniknione. »Poznacie prawdę, mówi Pismo, a prawda was wyswobodzi«. I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już zrozpaczyć, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmów jest cechą, że łakną prawdy, i te tylko odrodziły się i podniosły narody, które prawdę sobie mówić pozwalały: Włosi, których od początku bieżącego stulecia tacy mężowie jak Alfieri, Azeglio, a przedewszystkiem Cezar Balbo gromili ostro za ich gnuśność, rozwiązłość, bezcelowość życia, polityczne fantazye i miękczący artyzm; Niemcy, którzy siebie tak twardo potępiali, że nawet w swej bogatej literaturze dowód własnej widzieli słabości, i którym pisarze jak Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser, wyrzucali głośno brak patryotyzmu, brak zmysłu politycznego, życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkimi uniżoność i biurokracyę. A któż sobie powiedział tyle słów gorzkich co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgniemy epok? Ci nawet z tego szydzili — co każdy naród u siebie szanuje — z własnego wojska, i za wzór dla siebie stawiali swych odwiecznych współzawodników, Francuzów. I kiedy te narody, w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze niż były nimi w istocie, my tylko jedni, wspinając się na paluszkach wzdętej pychy, własną, od nikogo nie przyznaną pojąc się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde choćby najlżejsze upomnienie strasznem odrzucaliśmy słowem: Brzydki ptak, co własne swe gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła! jakby upojenie było siłą! jakby sąd surowy o sobie nieprzynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiada!

Ogłaszając dokumenta w niniejszym tomie zawarte, chcieliśmy ułatwić ich zrozumienie czytelnikowi mniej z szczegółami historycznymi obeznanemu, i poprzedziliśmy je wstępem obejmującym epokę Stanisława Augusta od jego wyboru aż do zjazdu kaniow-

skiego. W tym wstępie nie mieliśmy zamiaru z kolei wszystkich opowiadać faktów, ograniczyliśmy się raczej na krytycznem ocenieniu ważniejszych; przytem staraliśmy się naznaczyć tak dobrze zachowanie się każdego z osobna rządu zagranicznego w stosunkach z Polską, jak postępywanie ówczesnego rządu polskiego i opozycyi. Pilnując się źródeł, byliśmy nieraz zmuszeni odstąpić w tej pracy od przyjętych po dziśdzień sądów i wyobrażeń. Zanadto wszakże nam wiadomo, jak trudno jest przy źródłach tak niedostatecznych, przy namiętnościach wzburzonych i interesach tak z sobą krzyżujących się, dotrzeć do istoty rzeczy, abyśmy z całą pewnością na własnych polegali sądach i nie mieli przypuścić, że one niejednej odmianie ulegną. Za to tylko możemy zaręczyć, żeśmy wszędzie i dla wszystkich szukali prawdy.

Z dzieła p. t. Generał Dezydery Chłapowski.

Charakterystyka.

Jako podróżny, który wdrapał się na wysoką górę, lubi obejrzeć się poza siebie, aby jednym rzutem oka obejrzeć całą okolicę, tak i ja, doszedłszy do mety, chcę jeszcze raz przyjrzeć się życiu generała, nie w szczegółach, ale w ogólnym jego charakterze.

»*Ense, cruce et aratro*«, mieczem, pługiem i krzyżem, te słowa należałoby wyryć na jego grobie. Żołnierz, obywatel, chrześcianin, potrójną walczył bronią, każdą władał dzielnie, a każdą z kolei służył ojczyźnie.

Żołnierzem był naprzód i przedewszystkiem »stary wojskowy i generał, na którego widok, jak powiedziano, mimowolnie stawało się do frontu i opuszczało ręce po sobie«. Wojskowość była jego najulubieńszem zajęciem, dzieła wojskowe czytał ciągle, i każdą wojnę, która się za jego życia toczyła, pilnie studyował. Wojna krymska obudziła w nim żywą nadzieję. Kiedy rząd angielski zawezwał generała Zamoyskiego do formowania polskiej dywizyi, Chłapowski odezwał się do niego, że gdy stanie na polskiej ziemi, pośpieszy i on, wraz z trzema synami, pod jego komendę. Po kampanii włoskiej r. 1859. pojechał na miejsce i pola bitew oglądał. Od dzieciństwa wychowany na koniu, w każdym geście, w każdem poruszeniu objawiał człowieka, który nawykł do dawania rozkazów, a nie przypuszczał, żeby można go było nie usłuchać. To też

opozycyę niełatwo znosił, w czynie a nawet w zdaniu, i gdy mu zaprzeczono, mówić przestawał. Gdy go zamianowano członkiem Izby Panów w Berlinie, powstała myśl, aby go zaprosić na prezesa Koła polskiego. Wymówił się, dodając żartobliwie: »ja nie rozumiem inaczej prezydencyi, tylko iżbym tych panów, co nie przychodzą regularnie na sesye, mógł wsadzić na kilka dni do kozy«. Sądził ludzi po wojskowemu, i gdy o swoich towarzyszach usłyszał sąd niekorzystny — »ej, bił się dobrze«, to była jego obrona; zato bez litości był dla tchórzów i dla fanfaronów i do końca nie mógł przebaczyć tym, którzy w r. 1831. w domu pozostali; przyznawał, że mogli mieć słuszne do tego powody, ale jednak widać było, że tych powodów nie rozumiał. Łatwo ufał ludziom, dopóki się o ich obłudzie nie przekonał; wtedy brzydził się nimi. Skłonny był widzieć różowo, może dlatego, że na swoje siły liczył. Mawiał, że gdy pierwszy raz działa zagrzmią, rzadko kto by nie zadrżał, ale dodawał, że jeżeli się ma choćby najmniejszą komendę, wnet się zapomina o niebezpieczeństwie. W czasie bitwy rósł i potężniał na oko; widać było, że w niego jakiś wyższy duch wstępował. »Ten młodzieniec zajdzie daleko«, wyrzekł o nim Napoleon pod Wagram. Nie zaszedł tak daleko, jak można się było spodziewać i jakby dla dobra sprawy należało pragnąć. Cóż stanęło na przeszkodzie? Czy brak ambicyi i jego szczególna obojętność na rangi i stopnie? »Honor bez honorów«, oto dewiza, którą sobie wynalazł. Baronowskiego tytułu nie używał nigdy, chociaż na polu bitwy nań zarobił. Jak nie upomniał się o awans, gdy służbę Napoleona porzucał, tak nie dbał o to, że mu dano stopień niższy aniżeli należało, w początkach wojny roku 1831. Gdyby w tej wojnie wcześniej był został generałem, nie Giełgud ale on byłby na Litwie komendantem, a wtedy innyby z pewnością wzięła obrót ta wyprawa i ostateczny walki wypadek może byłby inny.

Dobry taktyk, ilekroć jedna broń wypadała mu z ręki, zaraz chwytał za drugą; zsiadłszy z konia, brał się do pługa i tym orężem nową walkę zaczynał, walkę bardzo długą, bardzo mozolną, ale w skutkach niezawodną. Poczciwa ta ziemia polska, choć się na nią skarżą; kocha tych, co ją kochają, co jej służą wiernie, nie jedną, ale obiema rękoma. Ileżto razy w ciągu naszego stulecia, za księstwa warszawskiego, w początku kongresowego królestwa, następnie po zniesieniu pańszczyzny i dziś jeszcze, słyszeliśmy i słyszymy głosy rozpaczliwe, że obywatelstwu grunt się z pod nóg usuwa, że jeszcze trochę, a wszystkie majątki przepadną! I prze-

padło ich wiele; lecz kto szczerze chciał, kto żył roztropnie i z groszem się rachował, a trudu dołożył, ten się ocalił. Chłapowski szeroko na tem polu zajaśniał; na pół wieku przed innymi pokazał, że dobry rolnik jest zarazem dobrym patryotą, zasłużonym obywalem. Wystawił szkołę rolnictwa dla narodu, niemało gospodarzy wykształcił. Poczciwa ta ziemia polska, choć rok i drugi zawiedzie, wkońcu sowicie odpłaci się tym, co dla niej nie szczędzą. Generał zaczął na majątku, na którym nic prócz tytułu własności nie posiadał; w pierwszym dziesiątku lat spłacił milion długów i dobra do niewidzianej w Polsce doskonałości doprowadził; w drugim i trzecim dziesiątku, do dziedzicznej Turwi i Rombina, dokupił Brodnicę, Goździkowo, Manieczki, Kopaszewo. Zaczął od 11.000 zadłużonych morgów, skończył na 32.500, i te między synów rozdzielił. A zapłacił przytem niemało: i częściową konfiskatę w r. 1832., i owe 100.000 rozdane oficerom na ziemi pruskiej, i do fundacyi Sercanek w Poznaniu znacznie się przyczynił, i kto wyliczy jego hojne datki. Znać, że ofiara na rzecz publiczną nie uboży, i owszem pomaga, bo do rachunku z sobą przynagla. Wszak prawda, że ofiary znaczniejszej nie robi się bez dłuższego namysłu; lecz gdybyśmy chcieli zliczyć te wszystkie wydatki, których źródło w naszej próżności i próżniactwie, tobyśmy dopiero przerazili się wielkością sumy, jaką one pod koniec roku wytworzą. Być może, że system rolniczy, którego Chłapowski się trzymał, ulegnie zmianie, że z czasem okaże się mniej korzystnym, że zarzuciwszy tak zwane intenzywne gospodarstwo, powrócą do prostszej metody, co doświadczenie pokaże; ale co nie ulegnie zmianie, co przy każdym systemie okaże się najkorzystniejszem, to oszczędność i praca. Ten przykład z jego życia zostanie i będzie jedną z wielkich jego zasług. A obok materyalnych w ziemi nabytków, jak szczęśliwe w ludzie włościańskim zdobycze! jakie podniesienie tego ludu w majątkach generała! Czy to za wiele powiedzieć, że każdy właściciel wsi może w ten sposób przyczynić się do wzmocnienia organizmu narodowego?

Z wojskowej do obywatelskiej, z obywatelskiej, stopniem wyżej, przeszedł do służby krzyża. Ta służba najwyższa i najpotrzebniejsza. Dla wszystkich narodów kościół jest dźwignią, dla nas jest czemś więcej, zasadą bytu, rękojmią przyszłości. Więcej potrzeba siły temu, co upadł, by się dźwignął, niż temu, co stoi, by się na nogach utrzymał. I na tem także polu zaważył generał. Któż nie wie, ile znaczy przykład męża, przed którym każdy musi głowy uchylić, a który sam, jawnie, korzy się przed Bogiem i ze szla-

chetną odwagą staje po stronie kościoła; tym przykładem nie tylko dusze pokrewne pociąga, ale i przeciwników rozbraja, podnosi i uszlachetnia. Azaliż nieprawda, że takie uszlachetnienie widzimy już dzisiaj w Poznańskiem, gdzie mimo ścierania się obozów politycznych, jest obustronna zacność, wzajemne poszanowanie, z obu stron łatwiejsza zgoda, skorsze podanie ręki, ilekroć się ma wobec siebie wspólnego przeciwnika? Solidarność narodowa, która dziś tworzy siłę Galicyi, wyszła z Wielkopolski. To podniesienie, wzmocnienie opinii i charakterów, jak cechą jest tej prowincyi, tak śmiem powiedzieć, skutkiem jest rozbudzonego w niej, o wiele niż gdzieindziej głębszego, religijnego uczucia. Potrzebaż tu dodawać, jakie od swoich spotkały Chłapowskiego krzyże, obmowy, oszczerstwa? Zrobiono go kozłem ofiarnym cudzych błędów i cudzej niesforności na Litwie; w roznamiętnieniu, jakie nastało po upadku sprawy, nie umiano prawdy rozeznać, nie chciano jej szukać. On milczał; czasem jęknął z bolu i płaczem wybuchnął przed zaufanym przyjacielem, ale głośno nie skarżył się nigdy. Zamknął się w pracy. I gdy »cierpliwością, tą panią niedoli, dom swój odtworzył z niczego, powoli« i ziemię dziedziczną ocalił i mienia dzieciom przysporzył, zaczęto się temu dziwować. Tylu ludzi straciło fortuny, a on ją jeszcze powiększył; czyż to mogło stać się prostą drogą? I oto na człowieka, który sumienność i delikatność w sprawach pieniężnych posuwał, rzec można, aż do przesady: zaczęto szeptać pocichu, że tu czyjaś krzywda być musi... Szpetne to, bezecne i czyż potrzeba o tem wspominać? Potrzeba — choćby dla całości obrazu. Gdyby Chłapowski z kruchszego był ukuty materyału, a do innego należał obozu, czyżby, pomimo wejścia do Prus, nie był wielbionym, kochanym, na rękach noszonym, jak to się z innymi trafiło? Ale to był twardy granit, na którym żaden pocisk nie zostawiał śladu, w życiu i słowie niezachwiany, pokorny kościoła syn, a odważny wyznawca Chrystusowej wiary. I oto kamień obrazy dla jego przeciwników, oto źródło tej niechęci, która go ścigała i ściga. »Nie jestci sługa większy nad Pana swego«. Ale jeżeli mąż takich zasług, takiej czystości charakteru i życia, nie mógł uniknąć prześladowania od swoich, dopóki żył i po śmierci, zaliż my mamy kwilić, że i na nas maluczkich spadnie z ulicy jakaś kropla błota? Zaliż zgorzknąć mamy w sobie i serce swe zamknąć przed braćmi, którym nie brak może dobrej intencyi, brak tylko doświadczenia i sądu?....

Chłapowski i dla historyka i dla psychologa zjawiskiem jest ciekawem. Są w nim przymioty, które zazwyczaj nie idą w parze, lecz kiedy je traf szczęśliwy powiąże, tworzą całość wyjątkową. Rozum głęboki, a nie w jednym, ale w każdym kierunku, różnostronny, lecz przytem zawsze jednolity. Rzutki i przedsiębiorczy, a zacięty i wytrwały; śmiały a bardzo ostrożny; w służbie twardy, a poza służbą druh serdeczny; oszczędny, a przytem hojny i bezinteresowny aż do zadziwienia. Żołnierz »od stóp do głów, nawskróś i na wylot«, przytem pełen dystynkcyi i wykwintnego poloru. Człowiek czynu i człowiek nauki; każdego dnia kilka godzin na koniu i kilka godzin przy książce przesiedział. Czy szablę czy pług mając w ręku, czyta i uczy się wciąż. Z dzieciństwa wyniósł znajomość francuskiego i niemieckiego języka. W r. 1808. nauczył się po hiszpańsku, w r. 1811. po rosyjsku, w r. 1814. po angielsku; na starość jeszcze po grecku i po włosku się uczył. Obok wojskowości i agronomii, historya jego zajęciem codziennem, a nie tylko świecka, lecz i kościelna. Całego Cantu i całego Rohrbachera przewertował, a czytał powoli, z piórem w ręku. Ile razy nowe podejmuje zajęcie, zawsze się do niego przez studya teoretyczne przygotowuje; tak w wojnie, tak przy roli, tak na sejmie i w obywatelskich posługach. Zostały po nim stosy notat, wypisów lub rozpraw samodzielnych, dla własnej nauki ułożonych. Umysł jasny i krytyczny, rekryminacyj nie lubił; gdy się rzecz stała, osądził trzeźwo, ale nie wyrzekał, nie potępiał; odrazu do tego, co robić należało, przystępował; budował na tem, co zastał. Rycerz prawdziwie chrześciański; energia i spokój, to jego znaki wybitne; nawet na wojnie, przy ataku, w zapale bitwy, mówił, że nikogo bez potrzeby nie zabił. Czuł w sobie, bo czuć musiał, zdolność do wielkich rzeczy, a jednak na tem, co mu robić kazano, przestawał; przed żadnym rozkazem się nie cofnął, każdy świetnie wykonał; ale dopóki nie dano rozkazu, jak żołnierz stał na miejscu, naprzód się nigdy nie wyrywał. Kto się nad tem głębiej zastanowi, ten musi przyznać, że ta równowaga i panowanie nad sobą, ta wstrzemięźliwość w działaniu, kiedy ono nie wchodzi w nasz obowiązek, jest cnotą jedną z najtrudniejszych, ale i najpotrzebniejszych w zbiorowej czynności.

Troskliwy o sługi, o wychowanie swych dzieci, chciał, ażeby zawsze był pokój w jego domu, żadnych niesnasek między nimi nie cierpiał. Zasadą jego było, aby każdy z synów, zanim wejdzie w gospodarstwo, odbył dziesięcioletnią służbę publiczną; to też naj-

starszy służył dziesięć lat w artyleryi, drugi tyleż w sądownictwie; chciał przez to ich charakter ująć w silne karby obowiązku, bo tego, jak mówił, pobyt na wsi nie uczy, tam każdy zbyt panem jest siebie. Z dzieciństwa zapamiętał wiersz Karpińskiego »o powinnościach obywatela«:

Jam jest Ojczyzna, i nie dość mi tego;
Że się nazywasz mym synem,
Masz mi poświęcić siebie całego
I nie zmazać się złym czynem;
Gdy cię zawołam w moim ucisku
Do wspólnej z bracią roboty,
Niechaj kto inny biegnie dla zysku,
Tobie nagrodą twe cnoty.
Choćby po twojem najlepszem dziele
Zawsze o sobie sądź mało;
Nie myśl, jak dla mnie zrobiłeś wiele,
Lecz co ci zrobić zostało.

Ten wiersz przekazał swojej rodzinie; każde dziecko u Chłapowskich musi go umieć napamięć.

Chociaż od Anglików i Szwedów wyuczył się agronomii, od Francuzów przejął wiele w wojskowości i w życiu, i z nimi łączyły go wspomnienia świetnie przebytej młodości, to jednak Polakiem był zawsze i wszędzie: przy roli, w pracy obywatelskiej i na wojnie. Żadnej obcej sprawie służyć nie chciał: porzucił Napoleona, gdy ten księstwo warszawskie Alexandrowi oddawał; w r. 1845., gdy mu przez Montalemberta ofiarowano komendę nad armią Sonderbundu w Szwajcaryi, odmówił. Polaków kochał i cenił, lecz zarzucał im, że niedość pracują, niedość się uczą i mają za wiele miłości własnej. Charakter nawskróś polski, a bez żadnych polskich wad. Ze wszystkich wad drobniejszych najbardziej miłością własną pogardzał, bo jak mówił, ona połowę rozumu człowiekowi odbiera; przy niej i cnoty i zdolności, a nawet majątki drobnieją.

Wzrostu małego, ale dziwnie regularnych i pięknych był rysów; na dworze napoleońskim zwano go Cherubinem. Oczy miał duże, niebieskie, które czasem dobry i łagodny, czasem wielkiej siły i grozy przybierały wyraz. Mówił mało i krótko, pisał z łatwością i jasno, ale nie poprawnie, tak dobrze w polskim jak francuskim języku. Miał wymowę nie słowa, lecz czynów, a także swej fizyonomii — poważnej, szlachetnej, energicznej. W odpowiedziach swoich żywy i nieraz pełen trafności, umiał, kiedy było potrzeba,

zręcznem i dosadnem słowem dać zrozumieć, choćby wysoko stojącym osobistościom, niewłaściwość ich odezwania się. Znajdował się w Berlinie w r. 1852. w Izbie Panów, której był członkiem, kiedy Napoleon III ogłosił się cesarzem. Zbliża się do niego pewien dygnitarz pruski i rzecze: »A cóż, generale, Bonaparte znów na tronie, czy pojedziesz do niego?« »Nie, ja na tamtego tutaj czekałem«. Podczas swej służby przy Napoleonie I. odwiedzał często Caramanów, którzy należeli do obozu legitymistów. »Bywasz w domu Caramanów, rzecze doń cesarz, muszą tam źle o mnie gadać«. »N. Panie, zbyt oni dobrze są wychowani, aby przy mnie źle mówili o WCMości«. W roku 1853., kiedy się w Rzymie znajdował, odprawiono rewię na cześć ks. Jerzego, królewicza saskiego. Generał Montréal, stary kolega Chłapowskiego, zaprosił go po rewii na śniadanie i przedstawił księciu. Odezwał się Chłapowski do królewicza, że o dynastyi saskiej zawsze z wdzięcznością wspominają w Polsce. »Ach, rzecze ks. Jerzy, moja rodzina wszystkie swe nieszczęścia zawdzięcza Polsce«. »W. Kr. Wysokość zapomina, iż rodzina jego winna Polsce to szczęście, że do kościoła katolickiego się liczy«. Człowiek władzy, kiedy starszy rozkazał, uważał sobie za obowiązek bronić tego rozkazu, choćby mu był przeciwny, i to tłómaczy jego zachowanie się przy Giełgudzie na Litwie. Ale dworactwa nie cierpiał i dworakami pogardzał. W r. 1814., po traktacie paryskim, wojsko polskie przeszło pod rozkazy Alexandra. Jeszcze Napoleon był w Fontainebleau, a już Krasiński urządził przegląd pułku szwoleżerów przed cesarzem rosyjskim i zaprosił go na śniadanie wraz z królewiczem pruskim. Prosił i Chłapowskiego, ale ten się tłómaczył, że nie ma munduru. »Eh, ty pewno myślisz, rzecze Krasiński, że to nieładnie tak z jednego przedpokoju przechodzić do drugiego«. »A kiedy generał tak powiadasz, odrzecze Chłapowski, to nie przeczę; ja tego nie umiem«.

Takim był Chłapowski: prawy, silny, rozumny. Czy był geniuszem, tego nie śmiem powiedzieć; nie miał dość pola, aby tego dowieść; ale z pewnością był człowiekiem wielkiego charakteru. Niejeden geniusz klęską był dla narodów; charakter wielki i w sobie samym wyższy jest od geniuszu i pożyteczniejszy dla społeczeństwa. Na kilku polach Chłapowski dał impuls potężny, który czuć w całym kraju. Stworzył dom zacny, zaszczepił w nim silną tradycyę. Zacnością rodzin podnoszą się narody. Kochał ojczyznę całą duszą: *per illam defunctus adhuc loquitur*, przez nią on do nas i do swej rodziny przemawia. Nie wiem, jakim się on w moim

obrazie przedstawia; tylko upewniam, żem go nie upiększał, nie stroił wieńcami. Na co tam wieńca, gdzie szabla i krzyż!...

Kończąc, mogę śmiało odezwać się do moich słuchaczów, i młodszych i starszych: *Habes in illo quod mireris, habes quod imiteris*, znajdziesz w nim wiele do podziwienia, znajdziesz i do naśladowania; lecz i Bogu jest za co dziękować. Bo każdy Polak znakomity łaską jest od Boga, siłą, bogactwem i chwałą ojczyzny; jakże za to nie być wdzięcznym! »Człowiek jest pryzmatem, rzekł wielki mowca, przez który z nieba świecą promienie; nie on jest piękny, tylko Boże promienie. Ale bez niego, tamtych nie byłoby widać« *).

Z Sejmu czteroletniego.

Cesarz Leopold II.

Leopold był w sile wieku, miał lat 43, kiedy wstępował na tron dziedziczny królów węgierskich i czeskich. Od 25 lat sprawował rządy w Toskanii, którą objął w r. 1765., po śmierci ojca, Franciszka; spory więc zapas doświadczenia przynosił z sobą. Umysł bystry i otwarty, pochopny był do przyjmowania nowych pojęć, ale o wiele od swego brata ostrożniejszy; wielki zwolennik fizyokratów, jak cała szkoła filozoficzna owego czasu, z zamiłowaniem pracował nad podniesieniem produkcyi rolniczej w Toskanii i doprowadził ją istotnie do niewidzianej dotąd świetności; lecz i handel i przemysł, nauka i sztuki piękne, wymiar sprawiedliwości i wszystkie gałęzie administracyi doznawały pod jego rządem troskliwej opieki. Za jego czasów powstały w Toskanii drogi i komunikacye, które po dziś dzień do najlepszych w Europie się liczą. Skarb, utrzymywany w porządku i zawsze zasobny, zdawał publicznie sprawę ze swych dochodów i wydatków; było to nowością, jakoby początkiem konstytucyjnego życia: W. książę chciał, aby jego poddani wiedzieli o każdym groszu przez siebie w podatkach złożonym. Po całej Europie rozeszła się sława Leopolda jako niepospolitego administratora, a przytem umiarkowanego i sprawiedliwego rządcy.

Taka opinia, wyprzedzając go w Austryi, ułatwiała niemało jego zadanie: pod jednym wszakże względem położenie Leopolda

*) *Dupanloup, Oraison funèbre du Gl. Lamoricière.*

było trudne. Dał się aż nadto poznać ze swych uczuć nieprzyjaznych dla kościoła; szedł po tej drodze nie tylko na równi z Józefem, ale go prześcigał.

Nic dziwnego, że nowego monarchę spotykała głęboka nieufność ze strony Rzymu i duchowieństwa w Austryi. Atoli sytuacya państwa zbyt groźnie się jawiła, umysł Leopolda zanadto był trzeźwy, jego charakter zanadto polityczny, iżby nie miał otrząsnąć się na czas ze swych nowatorskich na tem polu zachcianek, iżby nie miał zrozumieć, że co ujść mogło bezkarnie w małym i spokojnym kraiku, to w monarchii obszernej, różnolitej i aż do swych posad wstrząśniętej stawało się grą wielce niebezpieczną. Skargi, które go na drodze do stolicy dochodziły, w Tyrolu, w Karyntyi i w Styryi, wykazywały jak na dłoni, gdzie leżało główne złe; wszędzie przedewszystkiem użalano się na system podatkowy, na poniżenie i zaniedbanie stanów krajowych i na odmiany kościelne. W tym przeto kierunku Leopold zwrócił swe najpierwsze starania. Oświadczył, że »stany krajowe uważa za podporę monarchii, że im odda dawne prawa i że w porozumieniu z nimi szukać będzie dobra ludu«. Zawiesił natychmiast Józefiński system wybierania podatków »aż do spokojniejszego (jak mówił) czasu, w którym po zasięgnięciu opinii stanów będzie można powziąć dojrzałą decyzyę, w jaki sposób zapobiec najskuteczniej ciężkim niedogodnościom tego systemu«. Reskryptem, dla Węgier wydanym, potwierdził odwołanie reform Józefa i naznaczył zebranie sejmu w Budzie na pierwsze dni czerwca. W rozmowie z arcybiskupem wiedeńskim, kardynałem Migazzi, upewnił, »że do urządzeń kościelnych mieszać się nie będzie, że biskupom oddaje sąd o książkach teologicznych, używanych w szkołach i seminaryach, że nie pozwoli, aby władze świeckie nadwerężały karność kościelną; i dodał, »że jeżeli arcybiskup w istniejących prawach widzi coś przeciwnego wierze i kościołowi, wolno mu o to upominać się«. Wszystkich biskupów monarchii zawezwał podobnież, »aby zażalenia swoje wnieśli w ciągu dwóch miesięcy i środki zaradcze wskazali«. Z upragnieniem przyjmowano te oświadczenia. Dowodziły one, że nowy monarcha nie tylko nie wiąże się z dawnym systemem, ale uznaje jego skutki szkodliwe i radby je usunąć. Wprawdzie nie wszystko, co zamierzał lub przyrzekł, spełniło się; zabrakło mu na to czasu, w sprawach kościelnych zabrakło i dobrej woli otoczeniu króla; lecz na razie uspokojono umysły, co było najpilniejsze, i otwarto drogę do porozumienia i naprawy.

Przedmiotem szczególnej uwagi Leopolda musiały być stosunki z zagranicą. Odebrawszy wiadomość o śmierci Józefa, pisał do siostry swej Maryi Krystyny: »Natychmiast, skoro do Wiednia przyjadę, starać się będę położyć koniec dalszej wojnie, zawrzeć pokój, dać zapewnienia dworom zagranicznym, iżbym mógł z całą swobodą myśleć o moich krajach, a zwłaszcza o Belgii i Węgrzech (2. marca)«. Wojna z Prusami niepokoiła go, chciał jej koniecznie uniknąć. Z Wiednia pisze: »Przygnieciony jestem pracą; wszystko tu zastałem w największem zamieszaniu, a na prawdę nikogo nie widzę, komubym mógł zaufać. Siedzę przy stoliku po 10 do 17 godzin dziennie, nie mogąc świeżem powietrzem odetchnąć. Zawsze się spodziewam, że wojny z królem pruskim nie będzie, boby to była najstraszniejsza klęska dla monarchii, w chwili, gdyśmy wycieńczeni z ludzi i pieniędzy, gdy wszystko zburzone, w nieładzie i wszyscy niekontenci (19. marca)«. Sprawy belgijskie odkładał na później, trafnie przewidując, że one same się ułożą, byleby tylko przyszło do zgody z Prusami i z Anglią; »na teraz dość Luxemburg w naszych ręku utrzymać, a w nim silną załogę«. Niemniej bystro ocenił stanowisko dworu berlińskiego. Gabinet ten przemawiał wciąż jako obrońca Turcyi i równowagi europejskiej; w interesie jakoby całej Europy związał się z Anglią i Holandyą i wprzągł je do swojej polityki. Leopold zrozumiał, że byle odjąć mu ten pozór bezinteresownego obrońcy, to nie będzie trudno zneutralizować Anglią, Prusy odosobnić, a w następstwie najprawdopodobniej zapobiec wojnie...

Ksiądz Hugo Kołłątaj.

(Część pierwsza).

Mało jest ludzi, na którychby tyle, co na Kołłątaja wydano sprzecznych wyroków. Za życia, jak po śmierci, nie zbywało mu na zaciętych przeciwnikach ani na ludziach całem sercem oddanych. Ci chwalili go jako najpotężniejszą w Polsce głowę, jako najdzielniejszego obywatela; tamci widzieli w nim chciwego intryganta, którego ambicyi i łakomstwu nigdy kresu nie było. Już ta sama różność sądów, a oraz namiętność, z jaką były głoszone, świadczy, że musiała to być osobistość niepospolitej miary, a dodać trzeba, że do jednego jak drugiego ocenienia, w jego życiu i działalności znajdzie się dosyć materyału. I pism jego nie można oddzielać od

obrazu człowieka, i człowieka poznać niepodobna, sądząc go z jednej tylko epoki: musimy całość objąć w jednym zarysie.

Bóg go obdarzył wielką energią i niezwykłemi zdolnościami, on je rozwinął mniej jeszcze zwykłą u nas pracowitością, która go od dzieciństwa aż do grobu nie opuszczała; atoli z dzielnością umysłową nie szła u niego w parze zacność i stałość postępowania. Wina w tem po części jego własna, po części epoki i stosunków, w których żył. Został księdzem bez powołania i wbrew woli matki, jedynie dlatego, by się prędzej dobić fortuny i znaczenia; a ten pierwszy wielki błąd musiał w całem życiu odzywać się tonem fałszywym; boć kto rzeczy świętej użyje za narzędzie, ten we wszystkiem później szukać narzędzia dla siebie gotów i siebie zawsze na pierwszym celu postawi. Ambitny i odważny, lecz giętki przytem i oględny, mistrzem był w jednaniu sobie ludzi, umiał stać się im potrzebnym, ich pomoc i ślepą życzliwość sobie zyskiwać; lecz skoro stanął na mocnym gruncie, szedł już dalej śmiało, przebojem, nie troszcząc się o swych przeciwników ani oglądając się na dawnych przyjaciół i protektorów. Wytrwały i nieugięty w tem, co jego samego dotyczyło, w swych przekonaniach i zasadach moralnych był chwiejny; ulegał wpływowi wypadków albo i osób, od których w danej chwili zależał. Mściwy i bezwzględny, nigdy nie przebaczył tym, co mu raz w drogę weszli; usług odebranych nie pamiętał, ale mścił się nieraz okrutnie za istotne albo nawet urojone krzywdy. Głowa niepospolita, charakter mniej niż wątpliwy, własną osobistością przesiąkły, wyższy zdolnościami od wielu współczesnych, mniej miał od nich próżności, nierównie więcej ambicyi; przemyślny w wynajdywaniu środków, w ich wyborze nie był wcale skrupulatny; jeśli jego karyerze lub jego osobie groziło niebezpieczeństwo, żadne go wtedy nie krępowały więzy.

Znaczącem było pierwsze jego wystąpienie; daje miarę tego, co później być miało. Licząc lat 24, dopieroco wyświęcony, gdy ze śmiercią Załuskiego, biskupa kijowskiego, zawakowała kanonia krakowska, Kołłątaj, bawiąc naówczas w Rzymie, korzysta z tego, że to był miesiąc nominacyi papieskich, wyrabia ją dla siebie, bez uwagi, co na to w kraju powiedzą. Ta nominacya oburzyła biskupa i kapitułę, nie chcą jej przyjąć; on zmusza ich powagą Stolicy św. i w roku następnym stallę krakowską zajmuje. Zaraz jedzie do Warszawy, gdzie utworzona świeżo komisya edukacyjna rozpoczęła właśnie swe czynności; oddaje się na rozkazy jej prezesa, ks. Michała Poniatowskiego; swoją bystrością, czynnością i darem obejmowania

różnorodnych a zawiłych spraw, zwraca na siebie uwagę wszystkich członków komisyi i, chociaż jeszcze tak młody, zdobywa sobie ich ufność. Zjechali pod ten czas do Warszawy deputowani Akademii krakowskiej. W jej imieniu ofiarowali się objąć szkoły pojezuickie całego kraju, ale prosili zarazem, aby ją ratowano w ubóstwie, w jakie popadła. Przyjęto ich życzliwie i pomoc przyrzeczono, lecz powiedziano zarazem, że Akademia powinna wprzód własne zreformować szkoły, a dopiero potem, wedle ich wzoru, inne urządzone być miały. Tu się otworzyła Kołłątajowi pierwsza sposobność do oddania krajowi znacznej usługi. Wysłano go do Krakowa dla zwizytowania gimnazyum nowodworskiego i dla zaprowadzenia w niem nowego planu nauk. Wywiązał się dobrze z zadania. Trudności do zwalczenia były wielkie, ale po skończonym roku szkolnym egzamina poświadczyły korzystnie o dokonanej reformie i zachęciły komisyę do ułożenia jednostajnego planu nauk dla wszystkich szkół w Koronie i Litwie, co także Kołłątajowi zlecono. Pozostawała inna, trudniejsza reforma samegoż uniwersytetu. Wizytatorem Akademii był biskup Sołtyk, mianowany jeszcze w r. 1768. Wróciwszy z wygnania z osłabionym już umysłem, zamknął się w samotności; a jak dyecezyą się nie zajmował, tak i o uniwersytecie nic nie wiedział, lecz urzędu wizytatora nie składał. Pomimo zaufania, które Kołłątaj obudzał w Komisyi, nie można było tak wielkiego dzieła, jak reforma Akademii, i wobec tak wielkiej powagi, jak biskup krakowski, powierzać młodemu 28-letniemu kanonikowi. Wyznaczono więc osobną komisyę pod przewodnictwem biskupa Szembeka, do której należał archidyakon krakowski, ks. Olechowski i profesor Bogucicki, lecz duszą jej i głównym działaczem miał być Kołłątaj. Wnet też, dzięki swej energii i żelaznej pracowitości, wszystkie interesa przejął w swe ręce i bardzo prędko oswoił umysły ze swą godnością wizytatora Akademii. Roztropnie podzielił całe zadanie na trzy części: naprzód zajął się funduszami Uniwersytetu, następnie rozpatrzył się w jego prawach i przywilejach, wkońcu miał przystąpić do planu nauk i do zmian w składzie profesorów.

Śniadecki, świadek naoczny jego prac w tej epoce, nie może znaleść dosyć słów pochwały dla gorliwości, z jaką młody wizytator wyszukiwał i porządkował fundusze Akademii, a także dla odwagi, z jaką naraził się na walkę z ludźmi, którzy je obracali na swoją korzyść; atoli bynajmniej nie chwali pośpiechu, z jakim dokonano reformy nauk. Było niewątpliwie w Szkole głównej jak w całym

narodzie wiele ospalstwa i zaniedbania: profesorowie zbyt rozmiłowani i zamknięci w odwiecznej rutynie, mało o tem wiedzieli, co się działo w świecie naukowym europejskim; ale pomimo to w owych starych urządzeniach niejedno znajdowało się dobre; należało nowym ożywić je duchem i świeżemi opatrzyć siłami, a stary pień mógł jeszcze wypuścić zdrowe gałęzie. Tymczasem Kołłątaj starą machinę rozebrał, ale jej złożyć nie umiał. W miejsce dawnych kollegiów, które młodych profesorów, w miarę ich przykładania się, przypuszczały do coraz to większych korzyści, zaprowadził nowoczesny podział na fakultety, w których wszyscy profesorowie byli sobie równi, tak, że czy byli mniej czy więcej czy wcale niezasłużonymi, jednostajne pobierali pensye. Akademia zbyt łatwo tym zmianom się poddała, być może, w obawie, by jej nie przeniesiono do Warszawy; Komisya edukacyjna zbyt prędko je potwierdziła; i stało się, że »w ciągu jednego dnia zatarto prawie, co wieki wyrobiły« (Śniadecki). Teżsame urządzenia, które w Polsce tak gwałtownie wywrócono, Śniadecki kilku laty później oglądał w Anglii w pełnym rozkwicie i z uwielbieniem o nich wspomina; dziś jeszcze istnieją one w Cambridge i przynoszą niepospolite korzyści naukom i krajowi.

Reforma Kołłątajowska Akademii, długi czas sławiona, nie doczekała się jeszcze bezstronnego historyka. Nie jesteśmy wstanie wydać o niej sądu; ale o ile bez głębszego rzeczy poznania godzi się wypowiedzieć swoje mniemanie, to powiemy, że szczęśliwą nazwać jej nie można. Wiadomo, że światła nauk na uniwersytecie na nowo nie rozpaliła, a zdaje nam się, że zatraciła w nim ducha korporacyi. Odtąd nie widziano tam już owej pięknej dla Akademii czci i miłości dawniejszych profesorów, którzy ją za swoją matkę, za swoją rodzinę uważali i zbiory swe naukowe jej przekazywali, pożytecznemi zbogacali ją fundacyami. Upadek kraju, rządy obce i napływ cudzoziemców do uniwersyteckich katedr przyczyniły się jeszcze bardziej do zagubienia w niej starych tradycyi.

W roku 1781., pierwej jeszcze, nim swej reformy dokończył, zerwała się na Kołłątaja burza. Lubił on życie wygodne i okazałe, a że pensyi wizytatorskiej nie pobierał, majątku własnego nie posiadał, a dochody z kanonii nie wystarczały, przymuszony był szukać dla siebie funduszów. Wziął w dzierżawę wieś Bieńczyce, należącą do probostwa akademickiego, św. Floryana, lecz rat podobno nie płacił, czem proboszcz znudzony, puścił ją komu innemu. Kołłątaj przebywał podówczas w Warszawie; słudzy, którzy

o niczem nie wiedzieli, nie chcieli ze wsi ustąpić, przyszło do bójki i krwawych zatargów. Zerwał się Sołtyk, a żywiąc ku niemu głęboką niechęć od czasów jego installacyi, zapozwał go przed sąd, skazał zaocznie zbyt porywczo na utratę kanonii i kilkumiesięczne więzienie. Sąd prymasowski obalił wprawdzie ten wyrok, niemniej jednak Kołłątaj wiele w tym czasie wycierpiał. Uznała jego krzywdę Akademia, a chcąc przytem uczcić zasługi, obrała go w r. 1783. rektorem. Wrócił więc do swego dzieła, lecz niedługo trwała dobra harmonia. W r. 1785. zawakowało probostwo akademickie w Koniuszy, starał się o nie profesor ks. Garycki i Kołłątaj jawnie go popierał, lecz pokryjomu dla siebie je wyrobił. Oburzyło to profesorów; ich żal zaostrzył się potem jeszcze mocniej, gdy Kołłątaj bez wiedzy Akademii, za rezolucyą Komisyi edukacyjnej, nieprawnie wyrobioną, sprzedał wieś akademicką Tęgobórz. Wobec podejrzeń i niechęci, które z tych powodów urosły, uznała Komisya edukacyjna, że nie można dłużej zostawiać Kołłątaja w Krakowie, i on sam sprzykrzył sobie tę pracę i oglądał się za czemś innem, coby go do wyższych zawiodło godności. W połowie 1785. napisał list do króla, w którym przypomniawszy mu, że od lat dziesięciu pracuje w Komisyi edukacyjnej, a dopiero od trzech pensyę pobiera, prosił o zaopatrzenie chlebem duchowym i o jakiś urząd koronny, bliższy osoby królewskiej, »aby zgromadzenia naukowe widziały, jak łaskawy monarcha wynagradza zasługi«.

Oprócz kanonii krakowskiej, posiadał Kołłątaj pod te czasy kilka beneficyów: w Mielcu, nad Wisłoką w Galicyi, w bliskiem sąsiedztwie jego wsi rodzinnej; w Pinczowie od Wielopolskich, od których także Chrobrza się domagał, lecz śmierci proboszcza doczekać się nie mógł; świeżo wspomnieliśmy, w jaki sposób otrzymał Koniuszę; nadto za staraniem ks. Poniatowskiego, naówczas administratora dyecezyi krakowskiej, przybyło mu bogate beneficyum Krzyżanowice, kollacyi Norbertanów, które mu z czasem do dwóch tysięcy dukatów przynosiło. Chleba duchownego miał więc już dosyć, choć w żadnem z tych beneficyów *curam animarum* nie sprawował, co w owej epoce u wyższych dygnitarzy było zwyczajne. Lecz i zaszczyty nie dały na siebie czekać; otrzymał order Ś. Stanisława, a po skończonem trzechleciu rektorskiem w r. 1786, referendaryę litewską.

Do tej chwili był najściślej związany z prymasem, za jego człowieka uchodził; sam we wspomnianym liście do króla wspomina, że opiece księcia całą winien exystencyę i z niewygasłą dlań

wdzięcznością się oświadcza. Ale teraz rzeczy odmienny biorą obrót: ze zmianą systemu pospolitego w Rzeczypospolitej nowi ludzie wychodzą na wierzch. W r. 1788., wśród walki wyborczej, która poprzedziła otwarcie sejmu, odbył się zjazd w Puławach. Naradzano się tam nad nowym programem politycznym. Twórcami planu i kierownikami roboty byli, oprócz ks. generała z. p., Ignacy i Stanisław Potoccy, Seweryn i Kazimierz Rzewuscy; zapraszano do spólnego dzieła i Szczęsnego, ale się nie zjawił. Człowiekiem, na którego wówczas cały kraj zwracał oczy, kandydatem do laski marszałkowskiej, od wszystkich pożądanym, był Stanisław Małachowski. Jego pozyskać, musiało być dla każdego obozu najważniejszem zadaniem, bo bez woli marszałka na sejmie konfederackim nic stać się nie mogło. Małachowski znany był powszechnie ze swego patryotyzmu i nieposzlakowanej prawości, ale do żadnego obozu jeszcze się nie był przechylił, i przypuszczano nie bez słuszności, że wyrobionych pojęć politycznych nie miał; wiedziano tylko, że od Rosyi trzyma się z daleka, że aliansu z nią nie pragnie, a zresztą gotów przyjąć i popierać całem sercem wszystko, co dla kraju rokowało zbawienie. Gronu, o którem wspomnieliśmy, chodziło o to, aby go związać z sobą i z programem sejmiku lubelskiego, i ten program wmówić weń tak, żeby go uważał za własny. Tym końcem, na kilka miesięcy przed zawiązaniem konfederacyi, zaproszono Kołłątaja, którego biegłość pisarską Ign. Potocki oddawna już był w Komisyi edukacyjnej wypróbował, aby zamiary partyi i zadania przyszłego sejmu wyłożył najprzystępniej, w formie listów do Stanisława Małachowskiego. Kołłątaj wziął się do tego bardzo zręcznie, umiał trafić do uczuć patryotycznych Małachowskiego, przypomniał mu, że nie mając potomstwa, nie potrzebuje dzielić swych uczuć między rodziną a Ojczyzną, że tej ostatniej może się oddać cały i siebie i swój majątek oddać jej w ofierze. »Tyś światłem naszem, tyś najpewniejszą nadzieją; i los swój i swe ołtarze tobie powierza Ojczyzna«, mówi do niego na czele dzieła. Listy te nie były zrazu przeznaczone do druku, a choć autor pisał je dla Małachowskiego, w odpisie biegały one z rąk do rąk, z wielkiem zajęciem i upodobaniem czytane, ile że nie tylko treścią i uczuciem, ale i piękną ujmowały formą. Dopiero, gdy się spora wiązka zebrała, postanowiono je ogłosić. Podobały się wielce Małachowskiemu, zjednały go całkowicie dla obozu, który je puścił w świat; zjednały go także dla Kołłątaja, który odtąd Małachowskiego staje się człowiekiem. Prymas był mu już niepotrzebny, i odtąd z nim zerwał.

Tak się poczęła i dokonała ta najgłówniejsza z czasów sejmu czteroletniego polityczna publikacya. Jej pierwszy tom wyszedł w sierpniu, drugi w listopadzie 1788. r. zaraz po otwarciu sejmu. Ale Kołłątaj zanadto miał twórczości i poczucia własnej siły, aby mógł czas dłuższy utrzymać się w roli biernego komentatora i wykonawcy cudzych pomysłów. Skoro postrzegł, że listy jego znajdują uznanie i że publiczność zaraz po wyjściu chciwie je rozchwytuje, przestał oglądać się na ludzi, którzy go do pisania skłonili, i już w drugim tomie poczyna rozwijać własne pomysły; w przedmowie zaś do trzeciego ostrzega, że tych listów Małachowski w rękopisie nie czytał. To też gdy zrazu oględny, to tylko ma na widoku, co siły kraju może dźwignąć bez obrażenia sąsiadów i bez głębokiego wewnątrz wstrząśnienia: później coraz dalsze przedmioty wprowadza pod rozbiór, a wkońcu całkowitą Rzpltej reformę przedsiębierze. Jeśli w pierwszych listach roztropnie upomina, że wiek XVIII przystoi nam w skromności zakończyć, nie pokazując najmniejszego zuchwałości cienia, i jeśli dlatego nie chce większej armii nad 60.000; jeśli się nie odzywa przeciw gwarancyi i owszem, w jej granicach pragnie wszystko, co potrzeba, uskutecznić, to w ostatnich tak radykalne przemiany zapowiada, jakby Rzplta żadnym traktatem z postronnymi nie była związana. I on czuł się już śmielszy i w śmiałości sejmu widzi ratunek dla kraju: *Aspirat primo fortuna labori. O socii, qua prima fortuna salutis monstrat iter, sequamur*“ woła na czele trzeciego tomu.

Kołłątaj nie był doktrynerem. Wprawdzie i on hołduje zasadom patryarchy naszych reformatorów, filozofa genewskiego, ale o tyle tylko, o ile oddawna weszły one w nawyknienia republikańskie narodu. Umysł to zbyt polityczny, organizator zanadto praktyczny, aby miał tonąć w marzeniach; i owszem, zanim poda swą receptę, pierwej dobrze się przypatrzy organizmowi, w którym ma skutkować. Rady nieustającej i innych magistratur znosić nie chce, dopóki reforma Rzpltej nie stanie, bo nie można dopuścić, abyśmy pozostali bez rządu; »na zbyt wielkie narazilibyśmy się trudności, gdyby sejm teraźniejszy miał się zatrudniać drobnymi interesami, przyzwoitymi władzy wykonawczej«. Ta uwaga świadczy, że Kołłątaj o wiele lepiej rozumiał machinę rządową, aniżeli większość sejmowa, która właśnie rozbiwszy rząd, zarzuciła władzę prawodawczą mnóstwem bieżących spraw i z niemi uprzątnąć się później nie umiała...

...Pewna opieka przyznana chłopu, usunięcie szlachty czynszowej od sejmików, przypuszczenie miast do władzy prawodawczej, sejm trwały i król dziedziczny, choć wyzuty z wszelkiej władzy, bo nawet z prawa mianowania wyższych urzędników — oto są kardynalne *desiderata* w dziele Kołłątaja, wspólne zresztą całemu obozowi, do którego należał.

W trzeciej części swoich Listów zapowiada gotowy projekt do formy rządu, i taki istotnie we dwa lata później ogłosił p. t. Prawo polityczne narodu polskiego czyli układ rządu Rzpltej (Warszawa, 1790). Sa to teżsame zasady, zredagowane krótko w formie artykułów ustawy, które poprzednio obszernie wyłożył, z jedną atoli nader ważną różnicą na korzyść władzy królewskiej. W projekcie swoim przyznaje królowi *veto* od uchwał sejmowych, które ustaje, jeśli następny sejm tosamo prawo uchwali. Być może, że Kołłątaj uległ i w tem wpływowi opinii, która w ciągu dwu lat znacznie się na stronę króla przechyliła; ale być także może, że działały w nim także inne pobudki. Bądź co bądź, wiele pomysłów, w tem jego Prawie politycznem wyrażonych, znalazło się w projektach deputacyi rządowej, które współcześnie do Izby wniesiono.

Józef Szujski.

Syn Henryka i Karoliny ze Święcickich, urodzony w Tarnowie 16. czerwca 1835. Szkoły tamże do klasy siódmej, potem w Krakowie. Po egzaminie dojrzałości (1854) uniwersytet w Krakowie, zrazu na wydziale prawa, później na filozoficznym; jeden rok (1858/59) w Wiedniu. Od dzieciństwa pisywał wiersze, a przez wszystkie lata nauki widział przed sobą zawód poety jako główny. Kształcił się przytem nie tylko usilnie, ale z zapałem. Oprócz nauk obowiązkowych, w których zawsze celował, pożerał chciwie mnóstwo książek, wszystko chciał poznać i zgłębić; wyuczył się sam (bez pomocy) włoskiego i angielskiego, później i hiszpańskiego języka. Z ciekawością namiętną poznawał wszystkie literatury obce, a przed niemi oczywiście własną. Historyę polską (choć się wtedy na historyka powołanym jeszcze nie czuł) poznawał ze starych kronik. Szukał w nich materyału i przedmiotu do dzieł poetycznych, a znajdował bez swojej wiedzy przygotowanie do tego głębokiego poznania i zrozumienia dawnej Polski, jakiem się później odznaczał. Z lat uniwersyteckich pochodzą (obok wielu wierszy lirycznych) dramata: Samuel Zborowski, Halszka z Ostroga, i przekład Agamemnona z Eschyla, coraz też więcej rzeczy pisanych prozą, małych rozpraw, powieści, szkiców obyczajowych lub charakterowych.

Po ukończeniu nauk, w częstszej i swobodniejszej styczności z ludźmi, miał sposobność uważać różne rodzaje skłonności lub słabości

w naszej naturze, i kreślił ich wizerunki w zamiarze, żeby pobudziły do zastanowienia nad sobą i do poprawy. Są to Portrety Nie Van Dycka, zbiór różnych typów natury polskiej, pisany ze zwykłym młodości brakiem doświadczenia lub wyrozumiałości, ale z niezwykłą bystrością i nieraz trafnością. Ożeniony w r. 1861 (z Joanną Jełowicką), przesiadywał wiele we Lwowie, gdzie znajdował miłe i pożyteczne otoczenie ludzi naukowej i literackiej pracy, i tam podjął się napisania podręcznika historyi polskiej. Brak takiej książki dawał się wtedy czuć dotkliwie, a Szujski mniemał, że łatwo i szybko potrafi na podstawie dzieł obcych napisać dobry podręcznik. Tom pierwszy (1862) i jeszcze drugi (w tymże roku) były podręcznikiem tylko, opartym głównie na dawniejszych pracach cudzych. Ale w miarę jak pisał, przekonywał się, że te obce prace do rzetelnego poznania dziejów nie wystarczają; że chcąc dojść do rzetelnej prawdy i taką podać, musi sam na własną rękę źródłowe badania przedsięwziąć. Stąd opóźnienie dwóch tomów następnych (trzeci 1864., czwarty 1866.), stąd ich objętość daleko większa, a zwłaszcza nierównie większa wartość.

Prace poetyczne nie ustawały. Z tych lat młodości pochodzi poemat Sługa grobów, Obrona św. Częstochowy; dramat Jerzy Lubomirski, Wallas, pierwsze pomysły do Królowej Jadwigi.

Ale od roku 1861. zaniosło się w Warszawie na ważne wypadki. Szujski wstrząśnięty nimi do głębi duszy, spodziewał się (jak prawie wszyscy podówczas) pomyślnego ich obrotu. Dowodzi tego wiele jego ówczesnych wierszy. Jeszcze wybuch powstania w roku 1863. zastał go pełnym nadziei. Ale w miarę jak te nadzieje okazywały się złudnemi, począł się i dokonał w jego duszy przełom najboleśniejszy, a na całe życie stanowczy. Jakie przebył wtedy walki ze zwątpieniem i rozpaczą, tego nie wiedział nikt, prócz niego; dla drugich i dla potomnych, widocznem jest tylko to, że wszystkie przemógł, pokonał, że wśród zwalisk i spustoszeń teraźniejszości zobaczył jedyną drogę wiodącą ku przyszłości, i zobaczył obowiązek, żeby tą drogą wszelkiemi siłami iść, z przepaści piąć się wyżej i wydobyć. Młodzieniec pełen szlachetnych uczuć i zdolności, ale nie ustalony jeszcze, w tej boleści dojrzał i wyrobił się na męża, i wyszedł z nich jako wielki umysł, zgłębiający powody dawnych i świeżych nieszczęść narodu, jako wielki charakter, wskazujący te powody śmiało i bez wahania, a z siebie dający przykład, jak trudem całego życia dążyć do poprawy losów narodu i samego jego wewnętrznego jestestwa. Charakterystyczny jest pod tym względem wiersz Alleluja, pisany w dzień Wielkiej Nocy roku 1864., w którym przyjmuje z ręki Boga chłostę, wielbi i błogosławi Jego wolę we wszystkiem, nawet w nieszczęściu, ale w tem nieszczęściu widzi tylko nowy bodziec, nowe zobowiązanie do życia, do wyrabiania siły, do wytrwałości i poświęcenia bez granic. W dalszej i w bliższej przeszłości ujrzał tesame powody złego, które niegdyś Rzeczpospolitą ze szczytu powodzeń i potęgi zniżyły do upadku, a po rozbiorach narodowi podźwignąć się nie dały.

Sądził tedy, że naród nie zdoła odrodzić się i podźwignąć, dopóki tych powodów złego w sobie nie przełamie i z siebie nie wyrzuci.

Te powody wskazywać i nawoływać w imię ojczyzny i przyszłości do ich poskromienia i wyrzucenia, to jest odtąd cała treść jego pracy i jego życia.

Praca ta piśmiennicza miała trzy kierunki. W historycznym, już tom trzeci Dziejów zwrócił na niego uwagę ludzi oświeconych i zrobił mu poważne miejsce między historykami polskimi; czwarty obejmujący czasy coraz bliższe upadku Rzeczypospolitej, więcej z naszymi późniejszymi losami związane, a po raz pierwszy zbadane źródłowo i krytycznie osądzone, postawił go w rzędzie historyków najdzielniejszych i oznaczał zwrot w dziejach naszej historyografii. Coraz pilniejsze i coraz umiejętniejsze rozpoznawanie przeszłości stało się odtąd potrzebą jego życia, wydawało szereg coraz nowych historycznych rozpraw i odbiło się na dwóch innych kierunkach jego pracy.

Z tych drugim był publicystyczny, dziennikarski; z pierwszym w ścisłym związku przez to, że wszystkie uwagi i sądy o sprawach dzisiejszych, były zawsze poparte doświadczeniami i naukami z naszej przeszłości, fakta i działania, ich pobudki i następstwa, zestawiane z tamtemi. Podobieństwo zjawisk, tożsamość skłonności i błędów, służyła za dowód i za przestrogę, że należy postępować inaczej, jeżeli się chce równie złych skutków uniknąć. Z tych jego rozpraw politycznej treści pierwszą (i jedną z najważniejszych) było Kilka prawd z naszych dziejów (1867). Treść tego pisma małej objętości, ale wielkiej wagi, jest ta, że naród żaden bez własnej winy upaść nie może, ale podnieść się może tylko własną pracą, własnym rozumem, własnym duchem. Winą narodu za czasów jego niepodległości było pogardzanie rządem, pogardzanie bliźnim (uciemiężenie poddanych), i odstępstwo od wiary i kościoła, które zrodziło w wieku XVI to rozprzężenie polityczne, które się już naprawić nie dało. Dziś mamy obowiązek zachować nasz kapitał moralny i materyalny, naszą przyszłość w ludzie, aby się stał narodem — naszą przeszłość, aby z jej nauk korzystać — nasz rozum, aby go kształcić nauką — naszą wolę, naszą siłę zapału i natchnienia, aby ją zwracać ku temu, co ma niepożyty i zapewniony skutek. Trzeba być zdolnym wyrobić z siebie całkowity silny organizm społeczny i prawdziwy rząd. Do tego dążyć mamy w dzisiejszem położeniu i robić po temu, co możemy; to nasz obowiązek i nasza odpowiedzialność. Cały szereg podobnych rozpraw zasadniczo roztrząsających dzisiejsze położenie narodu, i znaczna liczba innych, obrabiających bieżące praktyczne sprawy i potrzeby, poszły w ślad za tą pierwszą, która oznaczała zwrot w dotychczasowej polityce narodu, w jego świadomości swego położenia i swoich względem przyszłości obowiązków.

Praca poetyczna usunięta była w głąb przez historyczną i polityczną, ale była przecież. Miłość poezyi, miłość dramatu zwłaszcza, była zawsze równie silną. W r. 1867. wyszedł zbiór dramatów, obejmujący niektóre nowe (Jadwiga, Twardowski) i niektóre dawne. Ale praca historyczna nie tylko mechanicznie wzięła górę nad tamtą, wpłynęła także przeważnie na samą jej istotę. Dramat Szujskiego, to odtąd niezmiennie dramat wielkich historycznych problemów w łonie społeczeństwa polskiego, walka tych sił i prądów, które mogły je ocalić, z temi, które je zgubić

miały. Twardowski, Dwór królewicza Władysława, Wallas (choć z obcych dziejów wzięty) mają już wyraźnie ten charakter, który w dramatach późniejszych stanie się coraz wyraźniejszym.

W r. 1866. założył Szujski wspólnie z innymi Przegląd polski, pismo zbiorowe miesięczne, w którem ogłaszał odtąd większą część swoich rozpraw literackich i politycznych. Te ostatnie otworzyły mu wstęp do sejmu, w którym zasiadał już zawsze, i do rady państwa, do której mandat poselski złożył po roku. Gdy po przywróceniu języka polskiego do uniwersytetu krakowskiego, senat akademicki starał się o osobną (przedtem nie bywałą) katedrę historyi polskiej i takową otrzymał, Szujski, uważany słusznie i powszechnie za najwłaściwszego do jej objęcia, został na nią powołany i rozpoczął wykłady w półroczu zimowem roku 1869. Ten nowy obowiązek dodał mu nowego bodźca do historycznej pracy, a otworzył szerszy zakres wpływu i działania. Oprócz wykładów, obejmujących koleją całe pasmo dziejów polskich, i wyjaśniających najważniejsze ich zagadnienia, oprócz sposobienia uczniów do historycznego zawodu (w seminaryum historycznem), przyczynił się Szujski wielce do odrodzenia i podniesienia uniwersytetu samego, przez wpływ, jaki wywierał na swoich kolegów, i przez usilne starania o pozyskanie młodych zdolnych profesorów na katedry opróżnione. W roku 1872., gdy Cesarz oświadczył już stanowczo zamiar założenia Akademii Umiejętności w Krakowie, Szujski należał do wszystkich narad przygotowawczych, przyczynił się wielce do określenia jej zadań i do jej organizacyi, a przy otwarciu wybrany jej generalnym sekretarzem, zostawał nim aż do śmierci, i był duszą tej instytucyi, wskazując coraz nowe zadania, rozszerzając ich zakres, układając plany wydawnictw, a niektóre z nich (historyczne) sam w znacznej części prowadząc.

Inne prace nie leżały dlatego odłogiem. Oprócz wielu (niezmiernie ważnych) rozpraw historycznych, oprócz ciągłego zajęcia bieżącemi sprawami praktycznemi (w pierwszym rzędzie sprawą reorganizacyi szkół, nad którą w sejmie i poza sejmem wiele pracował) — znajdował jeszcze czas na poświęcanie się literaturze, polskiej i obcej, (a przedewszystkiem starożytnej). Owocem tej pracy był naprzód Rys dziejów literatury świata niechrześciańskiego (najlepsza w tym przedmiocie rzecz w polskim języku) — studya (nieszczęściem niedokończone) nad Lucyanem i Markiem Aureliuszem, i przekłady z Eschyla, oprócz dawniejszego Agamemnona, przekład dwóch dalszych części Orestei, Prometeusza i Persów, z Aristofanesa Rycerzy i Ptaków. Poezya własna, a mianowicie szczególnie umiłowana tragedya, mimo ogromu pracy, wydała w tych latach Zborowskich, Marynę Mniszchównę, Śmierć Władysława IV, fragment Kniażnina, i dwie sztuki okolicznościowe: Kopernik, i Długosz i Kallimach.

W roku 1878/79. był Szujski rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego; niedługo potem mianowany członkiem Izby Panów. W r. 1880., na czterechsetną rocznicę śmierci Długosza, urządził pierwszy zjazd historyków polskich, na którym roztrząsano potrzeby i ułożono systematyczny program dalszych prac i wydawnictw.

Niedługo potem zaczął chorować. Od dzieciństwa wątły i słabego zdrowia, dwa razy w ciągu życia (1862. i 1872.) nawiedzony chorobą bardzo niebezpieczną, a wycieńczony nadmiarem pracy bez wytchnienia przez całe życie, i strawiony ogniem własnego uczucia rozbolałego wszystkiemi nieszczęściami narodu, a dręczonego troską o jego przyszłość, zapadł w piersiową chorobę. Początki nie zdawały się bardzo groźne, a prace różnego rodzaju nie ustawały. Jednak w sejmie roku 1882. już uczestniczyć nie mógł, a od jesieni tego roku bliski koniec był już widocznym. Do ostatka jednak chciał i próbował pracować: z ostatnich tygodni życia zostały zaczęte pisma. Skończył 7. lutego 1883.

Dziwnem zjawiskiem, a zarazem charakterystycznem znamieniem naszej literatury po r. 1863., jest silny wzrost i postęp dziejopisarstwa. Po poetycznej apoteozie narodu i jego sprawy, przyszło krytyczne ich rozpoznanie i osądzenie. Tego zwrotu w naszem dziejopisarstwie, a pośrednio może w naszem społeczeństwie — tej dążności do rzetelnej, prawdziwej znajomości siebie, jako do warunku i początku poprawy i postępu, wyobrazicielem, przykładem i poniekąd nauczycielem dla młodszych historyków, był obok Kalinki Szujski. Z najgorętszą miłością ojczyzny, z czcią najżywszą dla wszystkiego, co w niej było pięknem i wzniosłem, łączył on niemniejszą miłość prawdy: przekonanie, że tą prawdą dopiero dobrze i skutecznie służyć i radzić można, i dar szczególny, wyjątkowy do przeniknienia stosunków politycznych, natury uczuć i celów występujących w historyi osób. Zamiłowanie, za młodu raczej poetyczne tylko w historyi, przemieniło się z wiekiem w głębokie nad nią rozmyślanie; ale zostawiło mu na zawsze zdolność żywego współczucia ze wszystkiemi cierpieniami przeszłości i odgadywania niemal intuicyjnego jej głównych postaci. W badaniu do najwyższego stopnia sumienny, w uczuciu swojem męski i hartowny, bynajmniej nie miękki, nie roztkliwiał się nigdy, nie pieścił się z przeszłością, ani jej nie idealizował. Ale ważnych i zwrotnych jej chwil, ale tych zdarzeń i wpływów, które stopniowo gotowały upadek, nikt głębiej od niego nie pojmował i nie sądził rozumem, nikt sercem żywiej nie czuł, nikt wyraźniej, poważniej, surowiej nie kreślił. Nikt też do dziś dnia nie rozjaśnił tak, jak on i samej natury społeczeństwa polskiego i całego przebiegu jego dziejów i powodów jego upadku i tych najważniejszych spraw i kwestyi, które na losy nasze stanowczo wpłynęły. Ogólny zarys dziejów, skreślony w pierwszem czterotomowem dziele (od XVI wieku mianowicie) wypełnił się w ciągu lat wielu szczegółowemi rozprawami, (wydanemi razem jako Opowiadania i Roztrząsania). Z tych niektóre są ostatniem po dziś dzień słowem nauki o wewnętrznej organizacyi Rzeczypospolitej (sejmy, elekcya itd.); inne są wspaniałą charakterystyką osób, ich stanowiska i dążności (na przykład Zygmunt August); jeszcze inne opowiadają i rozświecają dyplomatyczne Polski położenie i stosunki (na przykład Starania księcia de St. Paul o koronę polską); jeszcze inne dają analizę i obraz umysłowego, cywilizacyjnego i religijnego stanu Polski w pewnej epoce, i tłómaczą, jak ten stan wpływał na jej stan polityczny. Taką jest jedna z prac jego ostatnich a najznakomitszych, Odrodzenie i reformacya,

studyum tej przemiany, jaką Polska przebyła od jędrności wieku XV do stopniowego rozprzężenia w wieku XVI. — Historya polska w dwunastu księgach, także z ostatnich już lat życia, jest krótkiem i zwięzłem streszczeniem rezultatów jego na tem polu badań.

Badał i pisał historyę Szujski jak rzetelny i umiejętny dziejopis, bez uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych zdań i sądów, bez naciągania historycznych faktów do swoich upodobań lub przekonań; ale gdzie badanie samo wyraźnie wskazywało związek przyczyn ze skutkami, a zatem, gdzie historyczne wypadki lub postacie, objaśnione badaniem, same wyznawały niejako polityczny błąd i wypowiadały polityczny sąd o sobie: tam sądu tego Szujski nie taił, ale wypowiadał go tak śmiało i mądrze, jak żaden z historyków polskich przed nim. Umiejętne, ścisłe badanie prawdy w historyi, na tem oparte umiejętne składanie całości i umiejętna, naukowa, a zarazem polityczna krytyka, to jest w najogólniejszych wyrazach wartość i zasługa Szujskiego jako historyka.

Mówiono o Szujskim, że historyk zabił w nim poetę. Istotnie, talent poetyczny byłby zapewne rozwinął się świetniej, gdyby uczucie obowiązku nie było Szujskiego zwróciło do tej pracy, którą miał za bardziej potrzebną. Umysł zajęty i historycznemi i bieżącemi kwestyami, rozważający te kwestye z praktycznego politycznego stanowiska, nie mógł swobodnie oddawać się poetycznemu tworzeniu, i wykształcić się w kierunku przeważnie artystycznym, jakby tego zawód poetyczny był wymagał. Owszem, jak cały żywot Szujskiego, tak jego poezya przesiąkła jest cała temi historycznemi i politycznemi kwestyami, które tłómaczą tajemnicę upadku Polski, a wskazują pośrednio drogi do jej odrodzenia. W jego dramatach — a jest przedewszystkiem poetą dramatycznym — występuje zawsze walka tych różnych sił i prądów politycznych, które działały w ważnych chwilach naszego życia. Z wyjątkiem dzieł młodości, jak Samuel Zborowski i Halszka z Ostroga, mają ten charakter wszystkie jego tragedye, nawet (choć najmniej) Jadwiga. Zarzut najcięższy, jaki im zrobić można, i powód najistotniejszy ich niedoskonałości, jest właśnie to, że pisane są przez historyka i zbyt historyczne. Wszystko, co w rzeczywistości należało do sprawy obranej za przedmiot dramatu, to wszystko chciał w nim Szujski zmieścić, nie bacząc, że poetyczne tworzenie wymaga przebrakowania przedmiotu, wyboru niektórych tylko chwil i pierwiastków i dokładnego ich przedstawienia, z pominięciem innych. U niego jest zawsze za wiele dramatycznego materyału, a stąd rozwinięcie jego niezawsze dostateczne.

Niemniej, choć Szujski nie rozwiązał wielkiego zadania naszej poezyi i nie postawił tragedyi na tym szczycie, do którego ona zawsze jeszcze dąży, to krok ku temu zrobił znaczny i w historyi polskiego dramatu ma wielkie znaczenie i zasługę. Niedoskonałości swoich tragedyi sam czuł i widział; w przedmowie do ich wydania mówi wyraźnie, że uważa je za próby tylko, za torowanie drogi przed przyszłym wielkim dramatem polskim. To zaś zrobił niezaprzeczenie i świetnie. Uchwycił w historyi najgłębiej ukrytą tragiczność spraw lub postaci, pokazał ją

w tem świetle ponurem, groźnem, a uroczystem, które takim sprawom tragedyi przystoi. Są w naszej poezyi dramata piękniejsze od dramatów Szujskiego: ale niema takich, które historyczną tragedyę wypadków i losów pojmowałyby głębiej, a przedstawiały trafniej, wierniej i smutniej.

Urywkowe liryczne wiersze Szujskiego, stosunkowo nieliczne — przedmiotem swoim i treścią zbliżają się do dramatów. Są po większej części wyrazem tych uczuć i myśli, które w nim powstają pod wpływem współczesnych wypadków lub troski o przyszłość. Do dawnej romantycznej liryki wcale niepodobne, nie mają one żadnej sentymentalności, żadnego rozmarzenia, żadnej chorobliwej niezgody ze światem. Mają zato męską energię i powagę, i namiętny, porywający popęd do wielkich uczuć i celów, do siły i dzielności charakterów i czynów. Uczuć i zwierzeń osobistych jest w nich mało: a te, które takiemu celowi służą (Poważne chwile, wydane w r. 1860.), wyrażają jego pojęcia o najwyższych zagadnieniach osobistego życia ludzkiego, przedewszystkiem o stosunku człowieka do Boga. Do jego poezyi uczuciowej zaliczyć trzeba dwa dłuższe poemata, jakkolwiek treścią zdają się należeć do innego rodzaju. Sługa grobów jest opowiadaniem, ale jest na wskróś uczuciowym wyrazem patryotycznego cierpienia i natchnienia. Rok Polski, pisany na wzór Pola Pieśni o ziemi naszej i Pieśni o domu naszym, ma podobnie jak Sługa grobów liryczny wzniosły charakter, a (mało znany) w niektórych ustępach może śmiało liczyć się do pereł naszej lirycznej poezyi.

Na osobną i pilną uwagę zasługują (nieliczne) Satyry Szujskiego i niektóre wiersze okolicznościowe, w treści i dążności polityczne, w poważnym i surowym tonie pokrewne satyrom Juvenala, a pełne głębokiej psychologicznej znajomości narodu, trafnych przystosowań i nauk.

Należy się wzmianka i tłómaczeniom, przedewszystkiem tłómaczeniom z Eschyla. Biegły w greckim języku, a zamiłowany w arcydziełach greckiego ducha, Szujski już za młodu przełożył Agamemnona, ale na tym znać jeszcze brak wprawy, niezupełne władanie polskim językiem i wierszem. W Prometeuszu już widoczny jest postęp, a Błagalnice, Eumenidy, zwłaszcza Persowie, należą do najświetniejszych przekładów w naszej literaturze.

Ta zaś ich zaleta nasuwa jedną uwagę, której nie należy zatajać. Wielki historyk, poeta wzniosłych natchnień i myśli, niezawsze był zupełnie poprawnym, wybornym pisarzem. Natłok i nadmiar myśli, rodzących się w jego głowie tłumnie i szybko, a przytem pośpiech, z jakim przy mnóstwie prac pisać był zmuszony, sprawiały, że często zdania i okresy jego są zawiłe, obciążone wtrąconemi nawiasowemi, czasem wymagające ścisłej uwagi i natężenia, a nie odrazu zrozumiałe. Ale obok tego błędu, który się zdarza w wierszach jak w prozie, ma Szujski taką w swoim języku i stylu siłę i jędrność, taki ogień uczucia, taką moc wyrażeń i zwrotów, że choć w swoim sposobie pisania nierówny, bywa przezeń często porywającym, a choć nie jest pisarzem zupełnie poprawnym, jest mimo to wielkim pisarzem.

W nauce, w literaturze swego czasu wywierał on wpływ bardzo znaczny i zbawienny, ale w tym obrębie nie zamykała się jego praca i zasługa. Niezmordowana czynność umysłu, uczucie obowiązku, posunięte do nieustannego poświęcenia siebie samego dla umiłowanej sprawy, rozum potężny i znajomość niezrównana swego narodu w jego przeszłości i teraźniejszości, sprawiały, że gdzie było coś dobrego i potrzebnego do zrobienia, tam Szujski był i działał, albo przynajmniej działać pomagał i uczył. W politycznem życiu, w dzisiejszym stanie naszego kraju wpływ jego myśli, skutek jego pracy jest tak widoczny, jak w naszym stanie umysłowym, a nawet moralnym, w naszem pojęciu i świadomości naszego położenia i naszego względem ojczyzny obowiązku.

Z Wierszy drobnych.

Świąteczną godziną.

Nieraz świąteczną godziną,
Gdy wrócę z modlitwy, z kościoła,
Stara z półeczki kronika
Spylonym napisem mnie woła.
Zbożnie otwieram jej karty
I łzami oblewam gorzkiemi,
A dziwna nachodzi mnie tęskność
Za czasy, za laty dawnemi.
I głowę porzucam na druki,
By na pierś przeszłości zbolałą,
I płaczę i wołam: Co z wami,
Co z wami, ojcowie, się stało!
A koło księgi stareńkiej,
A koło głowy schylonej
Stoją mi dawne postaci,
Co śpią gdzieś na kresach korony —
Albo biskupy poważne
I dygnitarze królewscy,
Hetmani koronni i polni —
A wszyscy tak jaśni, niebiescy!
I smutnie chylą się ku mnie,
A patrząc źrenicą zbolałą,
Cichemi pytają się słowy:
Co z wami, ach, z wami się stało!
Ja drżę i w skrusze pokornej
Pod czarną się chylę zbroicę
I kraniec całuję ich szaty
I spojrzeć im nie śmiem w źrenicę.
Lecz kiedy kto z braci nadchodzi,
Braci po słabości i grzechu,

To łzy ocieram natychmiast
I chowam kronikę po cichu.
I śmieję się niby ustami,
Lecz słyszę, jak ojce z pogardą
W stare zsuwają się groby
I trumną przykryją się twardą.

Pieśń o husarzach.

Za czasów przesławnych, za Polski lat dawnych
Słynęła husarska konnica;
Jak anioł skrzydlata, jak dyabeł rogata,
A piękna jak polska dziewica.

Na koniach tureckich, okutych w stal twardą,
Potężni jak skały ze stali —
Husarze młodzieńcy z anielską pogodą,
Z powagą anielską jeżdżali.

U ramion im skrzydła szumiały potężne,
By z niebios zlecieli ku ziemi,
A Marya królowa przed hufy orężne
Promieńmi rzucała srebrnemi.

Nad hufcem wysterczał oszczepów las cały,
Ubrany w proporce wiejące,
A sztandar pośrodku tak szumiał wspaniały,
Jak brzoza wśród kwiatów na łące.

Na wroga podłego był koncerz przy boku
I młoty do zbroi kruszenia;
I sznury tam były, by wiązać do troku
Bluźnierców Maryi imienia.

Hej, dawni husarze — to była konnica,
Gdy w stepy goniła na taniec:
Na hełmie każdego blask słońca przyświeca
Jak spadły z niebiosów kaganiec.

Kurzawa im u nóg podnosi się chmurą,
Od jarkiej pogody błyszcząca,
A skrzydła te orle łopocą im górą,
Że lecą, jak ptaki, do słońca.

A kiedy na stepie zaczerni się w dali
Dzicz od Stambułu lub Krymu,
To w orli lot sunie mur Polski ze stali,
Jak piorun wśród czarnych chmur dymu.

Grzmi ziemia, wichr świszcze, od mieczy przecięty,
Kurhanna się ziemia weseli,
A z niebios archanioł się patrzy zwiśnięty,
Jak ziemscy hulają anieli.

Gdzie sułtan, gdzie chany, gdzie basza i murze?
Rozbici, na stepy gdzieś gonią;
I kona półksiężyc, oparty na chmurze,
Przed słońcem i świętą ich bronią.

Z husarzmi nie mierzyć się piekła potęgom,
Nie mierzyć się szabli z Damasku;
Ciężarem swej broni tysiące rozprzęgą,
Jak skały rzucone w wał piasku.

Bo husarz w napadu pęd niepowstrzymany
Dał życie na koniec oszczepu;
I życia ofiarą tak razi pogany,
Jak gromem Jehowa z nieb sklepu.

Bo husarz, gdy z konia upadnie w proch ziemi,
Nie wstanie już walczyć za wiarę:
Zbrój jego go zdusi klamrami ciężkiemi,
By ogień, co spali ofiarę.

Hej, dawni husarze! gdzie wy się podzieli?
Czy plemię wymarło husarzy?
Wszak czarci na ziemi — a w niebie anieli —
Na karku niejedni Tatarzy!

Hej, w szereg nam znowu, pod sztandar nasz stary!
Zbrój ducha przywdziejmy na siebie
I oszczep nam święty pochwycić dla wiary,
Dla Maryi, królowej na niebie.

Koncerzem nam podłych przybijać do ziemi,
By chwastów nie było w dzień żniwa,
A grzesznych do troku jąć sznury mocnemi
W żelazne pogardy ogniwa.

A starym zwyczajem w husarskim ordynku
W rycerskie to idźmy rzemiosło;
Nie będzie nam szczęścia, nie będzie spoczynku,
Aż z piersią bluszczami przerosłą.

A jeśli upadniem, niech zbrój nasza ciężka
Potężną swą wagą nas zgniecie;
Pójdziemy do nieba — drużyna zwycięska —
Bo padłym już nie żyć na świecie.

Z Królowej Jadwigi.

Na zamek krakowski przybywa królowa Jadwiga, wprowadzona przez senatorów; przybywa do Krakowa i Wilhelm, książę rakuski, narzeczony Jadwigi. Królowa uspokaja jego obawy zapewnieniem, iż dotrzyma danego mu słowa; radzi tylko w sposób odpowiedni prosić senatu polskiego o zezwolenie na ten związek (Akt I). — Starającym się o jej rękę książętom Ziemowitowi mazowiekiemu i Władysławowi opolskiemu Jadwiga odmawia, a panowie polscy radzą jej oddać rękę temu, który Polsce szczęście przyniesie. — Z wielką świtą przybywa Wilhelm; lecz dumnemi słowy obraża panów polskich, a gdy po ich odejściu dowiaduje się od Gniewosza z Dalewicz, że jest plan wydania Jadwigi za W. ks. litewskiego Jagiełłę, namawia królowę usilnie, ażeby, skrytymi schodami wyszedłszy, ślub z nim wzięła potajemnie. Jadwiga tego uczynić nie chce, lecz stanowczo oświadcza, iż Jagiełły żoną nie będzie (Akt II).

— Na dwór polski przybywa Witołd z poselstwem litewskiem (Akt III scena 3).

Scena 3.

Marszałek. Królowa Jejmość za chwilę przybywa.

(Jadwiga ukazuje się w głębi sceny i zasiada tron po lewej).

Witołd. Toć jest królowa? Na Olgierda brodę;
Cudowne dziecię, niby łanię młode.
Piękne Litwinki, lecz takiej dziewicy
Nie szukać w borów litewskich ciemnicy,
Chrześciańskie jeno stać na taką strony.
Jakem Kiejstuta syn, nie wart tej żony
Ten wilk Jagiełło!... *(staje przed tronem).*
Witołd się nazywam,
Księcia Kiejstuta syn jestem, królowo!
A z dwoma braćmi Jagiełły przybywam:
Skirgiełło jeden jest, a Borys drugi.
Do naszej Litwy przyszło wdzięczne słowo,
Iż ty, dzielnego króla Węgier córa,
Po długich bojach, zawierusze długiej
Tron przyszła zasiąść ojca i praszczura.
Wiele nam rzeczy mówiono o tobie,
O twej piękności i o cnót ozdobie;
Także konterfekt z Polski nam przysłano,
Gdzie cudzą sztuką twarz twoją oddano:
A dziś widzimy ku pociesze całej,
Że wieść i obraz prawdę powiadały.
Więc na wieść ową wielki kniaź na Wilnie
Po wszystkiej Litwie gońców posłał pilnie,

Do Krewa posłał, do Mińska i Troku,
Kiejstutowego posłał wezwać syna
Na walną radę synów Gedymina.
Kniaź ten wileński, sól to w mojem oku,
Bo mi niemało dokuczył niecnota;
Ale, że wezwał w dobra Litwy sprawie,
Więc pojechałem.

Jaśko z Melsztyna *(na stronie)*. Wszystko wybełkota
Litewski niedźwiedź.

Witołd. Tam na jednej ławie
Lechickie posły z Litwą już siedziały,
Uczciwe męże, wszelkiej godne chwały.
Przy sutej uczcie gwarzylim wesoło,
A kiedy Teuton srożył się w około,
My się bratali i na zgubę wrogów
Miód ze złoconych wychylali rogów.
Jagiełło srogą rozgorzał miłością,
W konterfekt patrzał jak Krywe w Znicz święty,
Sponurzał srodze, jeno się z panięty
Polskiemi z wielką pobratał szczerością;
A żem z tą ziemią obeznan przed laty,
Więc jął mnie prosić, bym pojechał w swaty.
Dla dobra Litwy nie gadać dwa razy,
Toć pojechałem, niepomny urazy,
Z mnogiemi dary dla królewskiej panny,
A oświadczeniem o rękę królowej:
Jagiełło, wierzaj, mój kwiecie różany,
Choć wróg mój stary, mąż piękny i zdrowy,
Waleczny w boju, a stateczny w domu;
Szczęśliwie wyżyć z nim może niewiasta.
Ród nasz tak łatwo nie ustąpi komu,
Toć będzie także godny rodu Piasta!
Jeżeli wiary przeszkadza różnica,
To nas kościelna opłucze chrzcielnica,
A wobec Tego, co umarł dla świata,
Litwin się z wrogiem Polakiem pobrata.

Jadwiga *(po chwili milczenia)*.

Więc polskie pany bez królewskiej woli
Posłów na Litwę słali potajemnie?
Więc z poganami frymarczą nikczemnie
Osamotniałej, opuszczonej ręką,
A bodaj własnym dogodzić zachceniom,
Szczęście jej życia tak mało aż cenią,
By je powierzać poganina dłoniom,
Książęciu krwawej, barbarzyńskiej dziczy?
Ha! czyż myślicie, że umysł dziewiczy,
Co blask korony czuje nad swą skronią,

Gwałtem zastraszyć, ugiąć się pozwoli?
Gdy wy zdradzacie ufność moją świętą,
Ja sama będę silną, nieugiętą,
Ja sama będę stróżem mojej doli!

(Do Witołda).

Książęciu Litwy dzięk za szczere chęci!
Rada-m, że serce k' chrześciaństwu kłoni,
Dziewic książęcych dosyć jest gdzieindziej
Śmielszego ducha, odważniejszej dłoni;
Niechaj im miłość i rękę poświęci:
Będą szczęśliwe. Ja południa dziecię
Zanadto w jego zwyczaje wuczona,
Dla księcia Litwy niestosowna żona.

Witołd. Niechętna widać przecudna królewna,
Rumieńcem cała pokraśniała gniewna,
Co piękniej jeszcze hożą twarz jej stroi;
Gdy cię Jagiełło widzieć taką będzie,
Serce mu w twardej rozkołata zbroi,
I nie odstąpi, aż ciebie posiędzie.

Jadwiga. Żegnam mych książąt. Długie przebywanie
Na dworach obcych, dworach obyczajnych,
Nie pozwala mi słów tak niezwyczajnych
Słuchać cierpliwie. Żegnam, książę panie!

Po odejściu posłów Jadwiga stanowczo oświadcza, iż woli panów nie ulegnie, a nie widząc innego wyjścia, postanawia usłuchać namów Wilhelma i ślub z nim wziąć potajemnie. Gniewosz uwiadomił o tem księcia.

Zmiana dekoracyi (scena 9.). Krużganek franciszkańskiego klasztoru. Na lewo i w głębi drzwi, krużganek ciągnie się ku prawej.

Gniewosz *(z pochodnią w ręku).*
Otóż i idą.

Wchodzi Jadwiga, Bano (ochmistrzyni królowej) i panny dworskie jako drużki z lampami w ręku.

Jadwiga. Straszne to podziemie!
Dla narzeczonej niestosowna droga.
Podaj mi rękę, Bano. Dziwna trwoga
Wstrząsa mną... Bano, nie odchodź ode mnie...
Czyja ta postać biała, ta klęcząca?
Bano. Wasza ziemianka, Kunegunda święta.
Jadwiga. A ta patrząca na mnie, tak patrząca?
Bano. Święta Jadwiga, co o was pamięta,
Bo to patronka wasza.
Jadwiga. Jej opieka
Dzisiaj daremną... Gdzie Gniewosz?

Gniewosz. Gotowy,
Świece się palą, mnich i Wilhelm czeka.
Jadwiga. Wilhelm, gdzie Wilhelm?
Gniewosz (*uderzając w dzwon*). Przychodź, książę miły!
Niech tłum napełni te ciemnie weselny,
Gwar życia spokój zamąci śmiertelny.
Jadwiga. Smutnie zaczyna się ślub twojej pani,
I do pogrzebu podobniejszy raczej.

(*Słychać śpiew: De profundis*).

Śpiew jakiś leci z tej ciemnej otchłani...
Śpiew księży słychać... Ha! co ten śpiew znaczy?
Gniewosz. Nonę śpiewają braciszki zakonne,
Psalmy za zmarłych...
Jadwiga. Psalm za zmarłych, nonę!
Bano! tam zmarli wyciągnięci w trumnie
Wstają i ręce swe podnoszą ku mnie:
Mój ojciec... dziad mój... ha! ta Kinga w bieli...
Co ja zrobiła! idźmy stąd.
Gniewosz. Jeżeli
Słuch mnie nie myli, słyszałem stąpanie...
Królowo! Wilhelm za chwilę tu stanie...
Co? z innej strony...

Scena 10.

(*Ciżsami. — Wchodzą Bodzanta, Jaśko, Dymitr z Goraja i dwaj halabardnicy*).

Gniewosz. Zdrada!
Jadwiga. Wielki Boże!
Bodzanta. Królowo Polski, pomnij, żeś królową!
W grzesznym zapędzie hamuj się, dziewico!
Święte sklepienie wznosi-ć się nad głową,
I świętych lico patrzy w twoje lico.
Z ściany na ciebie patrzy Chrystus srogo,
On, co twą duszę pod sąd ostry poda:
Przodki do Niego chodzili tą drogą,
A ty gdzie idziesz — gdzie, królowo młoda?
Jadwiga. Nie! pobożnemi nie wstrzymać mnie słowy,
Które pod szatą kryją uroczystą
Chęć ujarzmienia nieszczęsnej królowej,
Żądzę przemocy brudną i nieczystą...
Znam was, tyrani mojej biednej duszy,
Podstępni starce, co pod świetną szatą
Kryjecie duszę w zdradziectwo bogatą.
Włos mnie wasz siwy i wiek nie poruszy!
Ha! bezlitosnym gwałtem się wdzieracie,
Co wstyd, co rozpacz bez granic ukrywa:

Jestem! w weselnej przybywam tu szacie,
Szczęścia mojego szukam nieszczęśliwa;
Na pastwę dumy waszej przeznaczona,
Na ślub z Wilhelmem idę... narzeczona...
Zejdźcie mi z oczu, starcowie zuchwali,
Idę, gdzie serce niewiasty mnie woła...

Jaśko. Wstrzymamy młodą krew, która się pali.

Jadwiga. Weźcie koronę wprzód z mojego czoła.

Jaśko. Chcemy, by była jasną jako słońce,
Nie, jak twe czyny, w cieniu się nurzące.

Jadwiga. Srogi szyderco! zuchwalstwo twej mowy
Hartu dodaje nieszczęsnej królowej.

Bodzanta. Hart ten ku celom obróć godnym siebie,
Zbawieniu pogan, kościoła potrzebie.

Jaśko. Nie nam zachceniu ulec dziewiczemu.

Jadwiga. Nie mnie gniewowi ustąpić twojemu.
Gniewoszu! otwórz te drzwi do klasztoru.

Gniewosz. Pani!

Jaśko. Królowo!

Jadwiga *(biorąc topór od halabardnika)*.
Więc ostrze toporu
Niech do Wilhelma drogę mi otworzy!
(Idzie ku drzwiom).

Dymitr. Wnuko Kaźmierza! nie hańb sławy twojej,
Królowo polska, przyjaciel się korzy,
Byś się wstrzymała! Patrz! u tych podwoi
Polska z przysięgą twoją, pani, stoi!
(Jadwiga opuszcza topór w ręce).
W gorączce serca, które dłoń niebiosów
Na tysiąc krwawych wystawiła ciosów,
Przyszłaś tu; słowa nasze nieopatrzne
Pożary wstydu w boleści zgasiły;
I wzniosłaś czoło bolesne, rozpaczne,
Dłoń wzniosłaś pełną męczenniczej siły.
Bóg da, że siła owa nie marnieje,
Że w księgach dziejów — wypiszą jej dzieje!
Przebacz, królowo — chwycić było trzeba
Ratunek, jaki nadarzyły nieba...
Ogromność sprawy krok nasz wytłómaczy,
Polska kazała — królowa przebaczy...
(Jadwiga upuszcza topór na ziemię).
Chodźmy, *(do Bano)* wy pani podajcie ramiona,
Wiedźcie do domu — Bóg reszty dokona.

Jadwigę, obawiającą się dzikości i srogości Jagiełły (Akt IV), uspokaja Dymitr z Goraja, który udawszy się do W. ks. Jagiełły, prze-

konał się, iż jest to »dusza w poczciwość bogata, a czysta jako krynica u skały«. W świetnym tedy orszaku przybywa Jagiełło na dwór królewski (scena 3).

(Jagiełło, Witołd, Borys, Skirgiełło, Bodzanta, Jaśko z Melsztyna, Dymitr i inni panowie polscy).

Jagiełło. Smutno w tych murach będzie Litwinowi,
Jeżeli królem Lechitów zostanie:
Wolałbym Wilno moje na mieszkanie;
Za dawnym księciem żal będzie królowi.
Murów miastowych nie lubię. Syn borów
Wolę ja słuchać liści rozhoworów,
Niż w ciszy murów usypiać zgnuśniały,
Jak jaki Krzyżak albo mnich z za Niemna.
A gdy na dworze dzień jaśnieje biały,
Każda komora ciasna mnie i ciemna:
Toż pozwolicie, że czasy wolnemi
Na łów pojadę do litewskiej ziemi,
A woni lasów zachwycę potrochu,
Bym miał czem wyżyć w murowanym lochu.

Jaśko. Nie myśl, mój książę, aby król nasz który
Jak mnich klasztorny nie wyjrzał za mury:
Jest gdzie pohulać w cztery świata strony
Na karkach wrogów lechickiej korony.
Z północy Krzyżak, z wschodu wzrastający
W siłę Moskwicin, z południa niszczący
Pohańców nawał, a tam — od zachodu
Wieczny zazdrośnik wielkości narodu!
Będzie gdzie mieczem gospodarzyć, panie,
Wam i potomkom krwawych wojen stanie,
A wieki długie, w królewskim urzędzie
Grodziskiem obóz, namiot dachem będzie.

(Wchodzi Jadwiga w gronie panien dworskich).

Jagiełło. Toć jest królowa?

Bodzanta. Pójdź, przesławny książę,
Niech ów wdzięk cudny, który niebo dało,
Duszę twą z duszą królowej powiąże.

Jagiełło. Na twarz mą dziką oko posmutniało
Królowej waszej, postać jej drży cała,
Niechętna widać mnie królowa biała...

Bodzanta. Królowo polska! oto niebios wola
Wiedzie ku tobie małżonka i króla,
Szerokiej Litwy władcę, poganina:
Daj Polsce pana, kościołowi syna.

Dymitr. Z piersi tysiąców głos leci błagalny,
Daj Polsce, światu dzień ten tryumfalny,

Aniołom wielkie daj wesele w niebie:
W imię Chrystusa Dymitr prosi ciebie.
Jagiełło. Panowie Lachy! na Olgierda brodę!
O śmierć to dziewczę przyprawicie młode!
Patrzcie, jak chyla się pod waszem słowem
By brzoza wichrem przyparta zimowym,
By kwiat wiosenny pod zimowem tchnieniem
Blednie, na sługi słania się ramieniem —
Biedna dziewica...
Jaśko *(cicho do Jagiełły)*. Widać, książę panie,
Że nie po myśli wam nasze swatanie,
I nie po myśli wam ręka królowej:
Wróćcie na Litwę —
Jagiełło. Łagodnemi słowy
Chciałbym zagadać do was — łagodnemi,
Jak ich nie szukać w naszej dzikiej ziemi;
Toć jeśli czasem dziko się ozowię,
To nie lękajcie się, dziewico miła!
Dzikość nie w sercu mojem, jeno w mowie.
Nie myśl mnie własna z Litwy wywabiła
Ni wola własna, a gdybym był wiedział,
Ile wam trwogi twarz moja sprawiła,
Tobym był cicho w mojem Wilnie siedział.
Jakem Olgierdów syn, co wszej wart cześci,
Nie chcę nikomu sprawiać ja boleści!
Alem tu przyszedł za Lachów namową,
A moich własnych Litwinów poradą,
By się połączyć z potężną królową
I krzyżackiego zwierza głowę bladą
Ugnieść, z walecznym ludem sprzymierzony!
Dlategom pragnął chrześciańskiej żony.
Nie świadom waszej boleści i sromu,
Śmiejąc się z waszej bojaźni i trwogi,
Żeście za zwierza leśnego mnie mieli,
Jechałem z mego książęcego domu
I opuściłem me litewskie bogi.
Lecz teraz, widząc, jakeście zadrżeli
Przed mem obliczem dzikiem i straszliwem,
Jak biedna łania, co się w krzakach chowa:
To ja odejdę, bom w oku trwożliwem
Lepiej wyczytał, co mnie zarzucacie,
Niż w wszystkich mowach Krywego Krakowa.
I mówię szczerze, że wy słuszność macie,
Że ja nie dla was, człek dziki i srogi,
Zbójca Kiejstuta, krwi Teutonów głodny;
Bo mąż wasz musi być człowiek łagodny,
Aby wam przykrej nie napędził trwogi.

Więc wrócę do dom, do Litwy książęcej,
Lecz was już nigdy nie zapomnę więcej.
Zamknę się w zamku wileńskiego mury
I będę dumał, jak puszczyk ponury,
O waszej cudnej postaci i twarzy:
Lub będę szalał z hufcami bojarzy
I krew pił ciepłą, póki śmierci chwila
Mnie nie pogrąży w ciemnościach Pokilla.
Bo kto was ujrzał, a kto nie posiędzie,
Temu ponuro musi być na świecie:
Więc i Jagielle źle na świecie będzie.

Jaśko. Oszalał książę litewski jak dziecię.

Dymitr. Czekać nam jeno pańskiego wyroku;
Że będzie łaskaw, czytam w kniazia oku.

Jadwiga. Książę litewski! dziękuję wam szczerze
Za dobre słowo. Kiedy ci rycerze
Nie mieli serca dla bolu dziewczęcia,
Serce u pogan znalazło się księcia.
Zostańcie, kniaziu! Pan niebios rozstrzyga
Losów mych ciężkich kłąb nierozwikłany:
Szlachetność wasza nie zgoi mej rany,
Bo wierna swoim przysięgom Jadwiga
Nie może przyjąć litości pogańskiej,
Póki po woli nie stanie się Pańskiej.

Jagiełło. Mówiłaś do mnie. Dźwięczne twoje słowo,
Jak twoja postać nadobna, królowo!
Mówiłaś do mnie przyjaźnie, nietrwożnie.
Gdy patrzę na cię, zda mi się, że trzeba
Klęczeć przed tobą, jak przed świętą nieba,
Przed którą klęczą chrześcianie pobożnie...
Bo blask tej świętej w waszych ócz błękicie.

Bodzanta. Książę litewski, milczcie! Wy bluźnicie!
To grzeszna, ziemska, cielesna istota!

Jagiełło. Kłamiecie, Krywe! Dlaczegoż ta złota
Brama niebiosów się przez nią otwiera,
W niebo twarz patrzy, gdy na nią spoziera?
Ona jak słowo wasze, jeno żywe
I zrozumiałe, a wy, wielki Krywe,
Tyle mówicie, a ja nie rozumiem.
Po niej waszego Boga poznać umiem
I waszą cnotę; i wiem, wiem dlaczego
Smutno mi wieczór, żem zabił krewnego —
I do Witołda nie mam więcej sromu,
Alebym w Wilnie gościł go w mym domu,
Kochał i miodem mym kowieńskim raczył,
Ażby mi ojca srogą śmierć przebaczył.
Witołdzie, bracie!

Witołd. Ho! nie powiedziałem?
Onto oszalał — nie, ja oszalałem!
W czarownych ziołach to dziewczę kąpano,
W majowej rosie — na młodziku ano...
Że serca dzikie, jako wosk topnieją,
A gniewy moje w duszy łagodnieją!...
Trudnoć mi wyrzec przebaczenia słowo,
Aleć je daję, wbrew minionym dziejom,
Jeno daj Litwie tę piękną królową!
Dymitr. Chwała niebiosom! Cóż to? Starca oczy
Jakoś nie patrzą dobrze! łza je mroczy —
Jagiełło. Przedziwna pani! słowo twe zdziałało,
Czego mnie nigdy w snach się nie zachciało.
I widzę teraz, czemu ty mej duszy
Taka cudowna i taka nadobna:
Tyś do mej matki Julianny podobna.
Na prochy matki dziś śnieg biały prószy,
Wysokie sosny szumią przy jej grobie:
Lecz gdym był dzieckiem, to mi u jej łona
Tak było dziwnie, jak dzisiaj przy tobie.
Bo moja matka była z chrześcian grona,
Codzień mnie wieczór pacierza uczyła,
O waszym Bogu i świętych mówiła,
Aż sama świętą do nieba wzleciała,
Jak wy bolesna, jak wy śnieżnobiała.
Jam płakał długo i słów jej wspomnienie
Długo mi w duszy młodzieńczej zostało,
Ażem zapomniał, żem miał matkę białą.
Hulałem z braćmi przez Litwy przestrzenie,
Jak dziki orzeł, jak grom Perkunowy,
Na uczty jeździł, na wojny, na łowy,
I takim srogim stał się, że was trwożę;
Lecz choć poganin, widzę znaki Boże
Na waszem czole, jak na matki czole,
Tęsamą smętność i tesame bole;
I żywo stoi mi matka przed duszą,
Na której prochy teraz śniegi prószą...
Więc za nic w świecie nie chcę was posmucić...
Wrócę na Litwę, gdy każecie wrócić.

W ostatniej chwili (Akt V), dowiedziawszy się o miłości Jadwigi ku Wilhelmowi, chce Jagiełło ustąpić, lecz królowa, ujęta jego szlachetnością i do poświęcenia się dla ojczyzny gotowa, odwodzi go od tego, wskazując na wielkie jego posłannictwo jako króla dwóch połączonych państw chrześciańskich. Jagiełło przyjmuje chrzest, a wtedy Jadwiga oddaje mu rękę.

Z Smierci Władysława IV.

Król Władysław IV, wspierany radami Jerzego Ossolińskiego, kanclerza w. koronnego, zamierza w porozumieniu ze stolicą apostolską i rzecząpospolitą wenecką, przedsięwziąć wielką wyprawę przeciw Turkom i Tatarom, do czego chce użyć także Kozaków. Zamysły jego popiera usilnie Stanisław Koniecpolski, hetman w. koronny. Ale sprzeciwia się im rada senatu; nagle też umiera hetman (akt I i II). Pomimo to postanawia król robić zaciągi i czynić przygotowania do wojny, korzystając z posagu właśnie poślubionej drugiej swej żony Maryi Ludwiki, która chętnie na ten cel skarby swe poświęca.

Aktu III scena 3. (koniec).

Król, Marya Gonzaga.

Paź *(wchodząc)*. Pan z Kazanowa, marszałek koronny!
Król. Proch czuć w powietrzu już, gdy on przybywa!

Scena 4.

Cisami i Adam Kazanowski, marszałek koronny.

Kazan. Z długiej podróży, panie mój wielbiony,
I ty, królowo moja miłościwa,
Powracam...
Król. W sam czas!
Kazan. Najjaśniejszy Panie!
Byłem w obawie, że jeszcze zawcześnie.
Weselne tylko zwabiły mię pieśnie
I obowiązek, by schyliwszy głowy,
Korny hołd złożyć u stóp mej królowy...
Panią tę moją znałem już z rozgłosu,
Znałem, jak stała w twardych przejściach losu,
Jak najtwardszemu z wielkich ludzi ziemi,
Kardynałowi, stawała śmiałemi
Oczy w ponurą twarz, i ucieszony
Innej nie chciałem Panu memu żony!
Marya. Wstańcie, marszałku! Cóżby powiedziano
W ojczyźnie, żeście ugięli kolano
Przed żoną króla?...
Kazan. Po polsku nie chodzę,
O popularność też — nie jestem w trwodze...
Król. Marszałek łaski szlachty nie posiada,
Królowo Maryo!
Kazan. Despotyzm i zdrada
Wolności, kontempt polskiego zwyczaju —
Oto, co raczą zarzucać mi w kraju.
A że król wierny paktom i statutom
Rachować raczy się z szlachecką butą,

Tuskulanowe mam *otia*, królowo
Pani, i z moją niebezpieczną głową
Zdala od miłej ojczyzny się włóczę.
Może się przyda, czego się tam uczę,
Może nie przyda się, to — zginę marnie,
Lecz bez pochlebstwa i nie — popularnie!
I teraz duch ten zdrajczy, niespokojny,
Kazał mi szukać dróg do przyszłej wojny.
Powracam z Siczy, gdzie w ostrowiów głuszy
Mściwi Kozacy bat na szlachtę plotą;
Lud dzielny — sprawa tak czysta jak złoto —
Tylko pieśń zagrać na ich dzikiej duszy:
Turka wypędzą i — szlachtę gotowi...

Król. Nie tak gorąco! Dajmy wprzód Turkowi
Radę, marszałku! Pomiarkuj się wasze:
Wdziej hełm na głowę, przypinaj karwasze —
Dowódcą moich zaciągów cię robię...

Kazan. Jakto? a skarb gdzie?

Król. Masz go tam, przy tobie!

Kazan. Wiano królowej?

Król. Z jej wiedzą i wolą...

Kazan. Pieniądze obce!... Ha! szlachto nad rolą
Tyś głupia... z ciebie jeszcze żołnierz bywa...
Lecz wy, potężni, co złote przędziwa
Nad waszem łożem wieszacie spokojnie —
Wy, co dźwigacie z klejnotów lazury
W salach, gdzie szlachcie gadacie wbrew wojnie —
Wy, co w sperlony pot ubogich kmieci
Dumne stroicie niewiasty i dzieci,
Co konie w złote kujecie podkowy,
Aby je zbierał głodny tłum miastowy —
Wy, co nie macie podatku na chwałę,
Boście jak owe mury twardoskałe,
Dla siebie każda... niestopione niczem
W ten kolos, co się ręki mistrza prosi: —
Czyli was zbawi dłoń, co drżąca wznosi
To obce złoto na czyn polskiej chwały?
Czyli wy wrogów żesmagane biczem
Dopiero — w nędzy, co z dna czasów zionie,
Okute sobie macie podać dłonie?...

Marya. Pęknie mu serce, jak pękło hetmana!

Kazan. Gdzie jestem?... Głupstwo! przyjechałem z rana,
Nie spawszy całą noc... Jestem strudzony...
Przepraszam...

Paź. Prosi pan kanclerz koronny
O posłuchanie...

Kazan. Ossoliński Jerzy!
Wróg mój!

Król. Pozostań! Z kanclerzem rozmowa
Do naszych kroków stanowczych należy.

Scena 6.

Cisami. Ossoliński.

Ossol. Miałem do pana mego ważne słowa
W sprawach poselskich odnieść polecenie:
Dlatego śmiałem zajść w pani komnaty.
Król. Mów!
Ossol. Pan marszałek, co obiega światy
Od Atlantyku mórz po Czarne morze,
Szukając śladów Niżu i Kudaku,
Badając mury, czy zdolne ataku —
Senator wprawdzie i minister pański,
Lecz póki nie mam pana mego znaku,
Spraw, które ruszyć mogą świat chrześciański,
Tu w obecności jego — nie przełożę.
Król. Muszę marszałka mieć przy moim boku,
Jeżeli wielką poruszamy sprawę:
On będzie czytał w senatora oku,
Czy przyjmie daną przez króla buławę.
Ossol. Rozumiem. Sprawa też podwójna wzywa
Uwagi, królu, pani miłościwa
I łaską pańską zaszczytny koronny
Marszałku. W radzie, do pokoju skłonnej,
Wojna, dla chwały Polski przedsięwzięta,
Wojna, co skruszyć miała równo pęta
Świata, w pogańskim trwającego lęku,
Jak nasze, cośmy, dawny ród rycerzy,
Od broni dziadów odwyknęli szczęku
I w zbytku życia, co się o pierś miota,
Zastygli, śmierci bliscy miast żywota —
Wojna została z hańbą odrzucona!
Z pychy rzucono pod nogi znamiona
Chwały, z któremi cześć się wiąże święta:
Ta wojna, królu, musi być podjęta!
Kazan. *Optime dixit!* Nie ma kontradykcyi...
Ossol. Musi ją wydać sejm!
Kazan. Początek fikcyi!
Ossol. Przyniosłem koncept do uniwersału,
Gdzie powiedziałem wszystko, co rzec trzeba,
Wyciągnął wszystko z dziejów arsenału
Na tych bluźnierców błogosławieństw nieba,
Odsłonił wszystko, co się stało wczora,
I wezwał szlachtę na inkwizytora!
Tu lista starych twych, królu, żołnierzy
Z szeroką piersią, odwagą bez granic,

Którym się naszą instrukcyę powierzy,
Co staną wobec wszem, nie patrząc na nic,
I z żądzą wojny, która w oczach świeci,
Rozniosą twoje słowa — wojny wici!
Do senatorów nam przychylnych listy
Ślę, ślę do szlachty, co odznaczeń chciwa;
Wśród szczęku broni niechaj się odbywa
Sejmik, na dumnych piorun promienisty!
Wzruszyłem wszystko, co mogło gniew srogi
Wzniecić na nasze półkróle, półbogi...
W tym sejmie, który król — gdy wola! — zwoła,
Zapadnie wojna lub, schyliwszy czoła,
Pieczęć wam wierny u stóp sługa złoży.

Król *(ponuro)*. Dość posłów kilku, a sejm nie dochodzi.

Ossol. Wiem — i w tę stronę uwaga ma godzi.
By naród w sejmie przycisnąć do ściany,
By o tureckiej rzekł losie wyprawy:
Musi nasz impet z innym być związany;
Dwie też ku temu zgotowałem sprawy.
Na miękkie serce szlachty obliczona
Jedna — a druga na panów imiona.
Stanie przed izbą głowa jasnozłota,
Trubecki młody, ojczyzny sierota,
Dóbr danych Moskwie ostatnim traktatem
Dopominając się przed polskim światem;
Sejm go w ojczyźnie musi wyposażyć,
Sierdzista Litwa staje za dzieciakiem:
Nie będzie tego, coby śmiał się ważyć
Sejm zerwać! Sprawy zaś pójdą orszakiem
Tak, że Trubecki na końcu zostanie...
Druga kozackiej tknie się, królu panie.
Wie Polska, wiem i ja... że nieskończona.
Sicz zaporoska, statutem schłopiona,
Pod świtą chłopa stary kindżał chowa...
A nie brak takich, co jej dziwne słowa
Szepcą do ucha... i Moskwa i naszy...
Sicz naszych dumnych panów we śnie straszy
Jak widmo, sutą psujące biesiadę.
Mam środek, królu, co Siczy da radę.
W ryzę zachodniej karności wojskowej
Pójdą zuchwałe mołojce i głowy
Siczy ukryte — ukraińskie pany
Same dostawią ród nieprzejednany,
Aby raz w dobrach swych pokoju zażyć:
Z nich będzie króla straż na Turka przednia:
Co pójdzie wszędzie, wszystko będzie ważyć
Mury Stambułu, Moskwy czyli Wiednia...

Kazan. Czy król dozwoli mi jednej uwagi
Wobec mądrości takiej i powagi
Jak jest kanclerska?
Król. Mów!
Kazan. Aplauz oddaję
Temu, co z myślą tak dojrzałą staje
Przed tronem, który, kapelmistrz prawdziwy,
Zna swój instrument i gra na nim dziwy!
Plan wasz wyborny, sejm dojdzie bez chyby,
Lecz czy uchwali — wojnę?... Wielkie gdyby...
Ossol. Sposoby daję w granicach możności,
W granicach prawa szukam środków wielu:
Może nie wszystkie? Wskazać — rzecz waszmości,
Przyjmę, gdy prawne, a wiodą do celu.
Kazan. Polskie mnie z Polski wypłaszają prawa,
Gdy wracam... marzę znać, że się wywrócą.
Przed chwilą z łaski króla Władysława
Wodzem zaciągów zostałem, co kłócą
Się z nie wiem którym punktem abecadła
Herburtowego. Kula pierwsza padła,
Kiedy wypadłem ja...
Ossol. Tak?...
Król. Tak!
Ossol. Wola pańska —
Lecz że nieprawną była pańska wola:
Powinność moja polska i chrześciańska,
Polski tem pilniej strzec — choćby od króla.
Kazan. Wiem, że waszego dotrzymacie słowa
I wiem, że wiedząc, co się tutaj święci,
Schowacie sekret jak ciemnia grobowa
Ani złożycie kanclerskiej pieczęci.
Wy chcecie wojny, my także — inaczej,
Ale jednego, chociaż różną drogą:
Plemię tych dumnych, szlachty ród junaczy —
Łączą nas razem — dzielić nas nie mogą.
Sami jesteście — pozostańcie sami,
Wy z waszem prawem — my poza prawami —
Będziem się razem wspierać...
Ossol. Kłócić razem,
Stawać na opak, krzyżować żelazem;
Które na wroga ma być obrócone. —
Król. Stało się... próżno... poszedłem w tę stronę
Cofnąć nie mogę... nie cofam już kroku.
Jeżeli sprzyjasz naszym przedsięwzięciom,
Zwołaj zaciągi — kanclerską pieczęcią.
Ossol. Nigdy!
Król. Ja szablę mam starą przy boku

I doświadczyłem jej, doświadczę może:
Wiem zaś, że sejmy to Prokrusta łoże,
Gdzie królom członki zdrowe się odcina:
Wiem — i bez sejmu pójdę na Turczyna.
Kanclerz zaciągom pożałował wosku —
Ja pożałuję go uniwersałom,
Sejm zwołującym... Gdy nie można biało —
Czarno potrzeba. Pójdziemy — po włosku.

Ossol. Jeśli król sejmu nie zwoła, powoła
Go prymas!

Król. Za skinieniem czoła
Twojego.

Ossol. Prawda!

Król. I ty? jak i drugi!

Ossol. Wiem, że są ciężkie dla kraju usługi...
Kamień, co dzisiaj doleciał mej skroni,
Schowam, to klejnot, bo z królewskiej dłoni —
Pójdzie do innych... Sejm będzie zwołany,
By nie zagrzmiano — w rokoszu puzany,
Ażeby zaciąg na Turka gotowy
Nie szedł przez morze krwi — w wojnie domowej.

Marya. Gdzie o krwi mowa, krwi w domowej wojnie
Przelanej... królu, nie może spokojnie
Królowa milczeć... widziałam krew taką
We Francyi... Słucham z myślą natężoną,
Co wielkich mężów trzech zakłóca grono,
Co drażliwości króla jest przyczyną.
Do absolutnych rządów wzwyczajona,
Poklasnąć tylko cnym kanclerza czynom
Mogę i mniemam, że praw święcie strzeże,
Jeśli w zaciągach udziału nie bierze,
Jeśli chce sejmu — gdy grozi zwołaniem
Nawet. Chodźmy z pełnem zaufaniem,
Gdzie wiedzie świadom praw i celu świadom.
Jeślim do pana przemówiła radą
Moją pokorną, pozwól królu miły,
By moje ręce — te ręce złączyły
W nierozerwany sojusz i skuteczny...

Król. Radca nam przybył widzę i bezpieczny
Sojusznik... Kanclerz za złe nie poczyta,
Com rzekł, z uwagi, że Rzeczpospolita
Do jednej miary syny swoje chowa,
Że tu króluje — nie król, lecz królowa
Wolność! Krwi nie chcę poddanych przelewać,
Wolę atrament — wolę podpisywać.
(Podpisuje uniwersał).

Ossol. Czekają jeszcze Tiepolo i Torre,
Słowa od króla...

Król. Na siebie ich biorę;
Kanclerz im powie, że wojna przepadła
W radzie senatu.

(Ossoliński kłania się królestwu).

Ossol. *(Do Kazanowskiego, wychodząc).*
Gwiazda Polski zbladła,
Iskrzy się wasza, panie Kazanowski.
Kazan. Każdy ma Polskę swoją z łaski Boskiej.
Ossol. Dlatego wkrótce żadnej nam nie stanie.

(Odchodzi).

Paź. Posły kozackie, najjaśniejszy panie!
Kazan. Szlachta przyszłości — trochę nieprzystojna,
Nie wiem, czy prawie do komnat królowej...
Wiatrem ich stepu czuć i kopciem dymu,
Wątpię, czy pani nasza, tak dostojna,
Zechce ich widzieć... Powracając z Krymu,
Widziałem Siczy zaporoskiej głowy,
Tu ich spotykam znów...
Królowa. Wszak będzie wojna!
Cóż postanawia król? Ujrzę ich rada...
Król. Dyabeł lub Pan Bóg wszystko dziś układa,
Pomoc mi garnie — zapory mi wali —
Siadajmy bujać na przeznaczeń szali!...
Wołać Kozaków...

(Paź odchodzi).

Historyczny profil Nerona.

(Wyjątek).

...Ktokolwiek widział biusty, posągi, bodaj monety imperatorów, tego musiały uderzyć te twarze tak próżne, a przecież tak wybitne, wyczerpujące niejako rysunkiem swoim całą charakterystykę najpotężniejszego indywidualizmu, w jaki świat ówczesny wyrabiał ludzi, postawionych ponad wszelki wzgląd ludzki — imperatorów Rzymu. Znajdzie tam wszelkie odcienie, od pozującej, teatralnej mądrości i spokoju pełnej głowy Augusta, do pogrążonej w cielesnej najniższego zwierzęcego użycia, głowy żarłoka Viteliusza; od imperatorskiego spojrzenia pełnej porządku i rozumu fizyonomii Trajana, do rozbójniczej na pół głowy Verusa i Karakalli; od pedanteryi i systematyczności Marka Aureliusza do ponurej, mądrej, a strasznej głowy samotnika Kaprei, Tyberyusza. Pewna olbrzy-

miość cechuje każdy z tych dominujących typów, wszystkie głowy razem układają się w jakiś dziwny, straszny zbiór osobliwości, jakby prób wielkich zadziwienia świata przesadą w złem lub afektacyą w dobrem, nikczemnością człowieka wyniesionego kaprysem fortuny lub nadzwyczajnemi jego wysileniami, aby sprostać tej fortunie, bodaj szaleństwem. Ale w szeregu tych biustów i profilów jeden nad inne uderzy każdego, uderzy odbieżeniem od tego, co ludzki typ przeciętnie zawiera, nie brzydotą — owszem, na tle pięknych rysów dozwolił sobie wybryku imperializm; nie głupstwem — owszem, twarzy tej nie brak znamienia rozumnej; — uderzy jakiemś spotwornieniem motywów szlachetnych, pięknych, rasowych, przygnieceniem ich najgrubszą cielesnością i chucią. Z pod włosów gęstych i rozkładających się w krzaczystą lwią grzywę, dobywa się czoło szerokie, równe, lecz niskie — czoło Antinousa, niewyrobione pracą i myśleniem; pod wysokiemi a pięknemi łukami kości czołowych oczy wgłębione, spokojnego i nieruchomego wyrazu, gnieżdżą się jak dwa śpiące tygrysy w jamach; nos regularny, posągowy, zbiega ku ustom małym, rozkosznie wyciętym, przeznaczonym dla słów pełnych pieszczoty. Ale oto cała ta twarz wdzięczna lekkiego, pustego, rozkosznego, młodego człowieka, utopiona w potężnie, nadludzko, potwornie wyrobionych szczękach zwierzęcia, w policzkach i brodzie ogromnej, naprzód wysuniętej, mięsistej, świadczącej o zmysłowości pożerającej całą istotę ludzką. Głowa ta osadzona na karku grubym, doprowadzającym pełnymi strumieniami gęstą i wrzącą krew do mózgu, aby zaświeciła oczyma, wzdęła żyły na czole, nabiegła w czerwone usta. Takim jest profil fizyczny Nerona, uderzający oryginalną potwornością wśród innych, budzący ciekawość, jaki się pod nim ukrywał człowiek, obiecujący pewną kolosalność złego, której też synowi Agryppiny i Domicyusza Ahenobarba odmówić nie można...

Jeżeli kto, to Nero mógłby gniazdo, w którem się wylągł jako ptak drapieżny, powołać na swoje usprawiedliwienie. Matka jego Agryppina, córka Germanika i Agryppiny, dumnej siostrzenicy Augusta, była potworem dumy, zepsucia i zbrodni. Żądza panowania jest jedyną tej kobiety namiętnością, rozpusta tylko środkiem do tego celu. Okropnym jest i dom ojcowski Nerona. Ród plebejski Domicyuszów, wielekroć pokalany zdradą i okrucieństwem; a ojciec ten, Domicyusz Rudobrody, zwykł był mawiać, że z takiej matki i z takiego ojca straszydło tylko wyjść może na świat. Wdowa po Rudobrodym, matka Nerona, bliska rodziny panującej, czyha, aby

najwyższą chwycić władzę; wyzwoleniec Pallas toruje jej drogę do komnat Klaudyusza; po upadku i śmierci Messaliny zostaje Agryppina żoną Cezara i w niesłychany dotąd sposób bierze udział w rządach państwa. Klaudyusz ma własne dzieci, Brytannika i Oktawię: Brytannika ma pozbawić następstwa młody, ale starszy od niego Nero, ożeniony z Oktawią. Agryppina nie przebiera w środkach, morduje nieprzyjaciół, jedna przyjaciół hojnością. W chwili, gdy Klaudyusz spostrzega, co się dzieje, gdy do zapomnianego i na pokrzywdzenie skazanego syna zwraca się z miłością — Agryppina, nie wahająca się nigdy, sprząta go ze świata trucizną w grzybach zadaną. Trupa Cezara okładają jeszcze okładami, aby młody Nero miał czas pozyskać gwardyę pretoryanów i z krzywdą Brytannika objąć imperatorską władzę... Obejmuje ją z teatralnością właściwą epoce imperializmu, maryonetka wszechwładnej matki, pokazywana senatowi i ludowi rzymskiemu. W wyuczonej mowie do senatu poczyna skromnie, odsuwa od siebie nazwę ojca ojczyzny; wyjednywa ojczymowi cześć boską, a matce kapłański nieboszczyka urząd; hasło, które daje pretoryanom, brzmi: Najlepsza z matek! ...W innej do senatu mowie zwiększa Nero zakres jego działania, powściąga nadużycia sądownictwa, kreśli program lepszej przyszłości. Na srebrnych tablicach każe senat ryć tę nową konstytucyę Rzymu.

Agryppina nie tylko jest żądną władzy, ona jest i głęboko rozumną. Dwaj znakomici ludzie mają zastąpić dotychczasowe gospodarstwo wyzwoleńców i żołdaków. Afranius Burrus zostaje prefektem pretoryanów, człowiek wierny, rozumny i energiczny; Annaeus Seneka, stoik, nauczyciel młodego Nerona, ma razem z Burrusem objąć reżyserstwo politycznej komedyi, w ścisłem z Agryppiną porozumieniu. Profil jej figuruje na monetach obok profilu Nerona; za kotarą ukryta, słucha ona obrad senatu, przy uroczystościach w jednej występuje lektyce z synem, dwaj liktorowie niosą przed nią pęki lasek z toporem, zagraniczni posłowie składają jej czołobitność.

Wśród tych dwóch wpływów, na najwyższem stanowisku świata dojrzewa młoda, tygrysia natura Nerona. Stoicki filozof, Seneka, autor wielu szerokich traktatów moralnych, w których na skrzydłach teoryi miał się podnosić aż do wysokości myśli św. Pawła, w życiu własnem praktyczniejsze ma zasady: kształci drobne zdolności pupila w dziedzinie wymowy, poezyi, sztuki; stara się pilnie o poprawność i popularność jego występów publicznych,

ale mruży oczy mędrca na wybryki krwi młodej, na awantury i orgie, wyprawiane nocą po ulicach Rzymu; wszakżeż to oddala umysł cesarski od przedwczesnej rządzenia samodzielności, wszakże jedna względy za pobłażliwość. I Agryppina znosi do czasu te burze młodości, znosi, dopóki syn wszechwładzy jej nie narusza. Ale milcząca zgoda na złe nie trwa długo, była ona tylko środkiem dla stron obu: między Agryppiną z jednej, a Seneką i Burrusem z drugiej, powstaje rywalizacya. Chłód i zimne obrachowanie pierwszych staje oko w oko rosnącej namiętności Agryppiny. Kilka słów szepniętych Neronowi w obronie jego samodzielności i powagi budzi w nim podejrzliwość i niechęć do matki — ale wyuczony w fałszu i komedyi, umie on panować nad sobą. Armeńscy posłowie sprawiają się z swojej misyi przed Neronem w senacie — Agryppina wchodzi, aby demonstrując równość atrybucyi, zasiąść trybunę. Syn schodzi z własnej i obejmując matkę w ramiona, zagradza jej drogę — stojąc, kończy ceremonię. Scena milcząca a pełna znaczenia na przyszłość. Syn dojrzał do wysokości wymagań fałszu — obudził się. Agryppina traci równowagę; na przemian oburza się na rozpustę syna lub wydrzeć pragnie jego nauczycielom monopol zbrodniczej tolerancyi — gniew straszny porusza jej duszą, nie znającą granic dumy; dar który jej przysyła syn, przyjmuje z sarkastyczną uwagą: Dzieli się ze mną tem, co ma ode mnie! Syn odpowiada rozporządzeniem, sięgającem głęboko w najsłabszą jej stronę: oddala wyzwoleńca Pallasa od zarządu skarbu — Pallasa, który był Agryppiny faworytem.

Namiętna kobieta wybucha potokiem gróźb: Jest prawy syn Cezara Klaudyusza, jest! dorósł właśnie Brytannik, ona mu przywróci prawa, ona go zrobi Cezarem! Groźba a wykonanie, to u niej jedno — ona nie grozi daremnie. Wie to Seneka i Burrus, nie waha się Nero. Wśród biesiady pada młodziuchny Brytannik pod ciosem piorunującej trucizny, pada w obliczu siostry Oktawii i brata przyrodniego Nerona. — »To napad epileptyczny, który przeminie«, odzywa się chłodno zbrodniarz — a oto stos już przygotowany i gotowa na jutro przemowa do senatu, pełna morałów, jak teraz kochać i ochraniać trzeba ostatniego z domu Cezarów, Nerona...

Pokrzywdzony przez Agryppinę, a zamordowany przez jej syna Brytannik, staje teraz jako straszna groźba przed macochą. Wie ona, co ją czeka, zbiera skarby i stronników, a chociaż współcześni historycy nie podają tego za pewność, gotuje nowy wywrót na

rzecz Rubeliusza Plauta, potomka Augusta po kądzieli. Donoszą o tem synowi wśród biesiady; żąda on śmierci matki. Burrus zaledwie powstrzymał potwora, uważając dowody za niedostateczne. Po tej burzy wygładza się stosunek między matką i synem: stosunek straszny, gdzie syn na matkę, matka na syna patrzyła, czytając w oczach, kiedy błyśnie cios morderczy. Kto się przeląkł — nie wiadomo — przypuścić raczej, że Agryppina. Nic o jej dalszych knowaniach nie mówi Tacyt i Suetoniusz; wyniosła się na wieś, zapragnęła może ciszy i bezpieczeństwa.

Zgubę ostateczną przyniosła jej kobieta podobna do niej, Poppæa Sabina, dama wielkiej rodziny i wielkiego świata, bogata, wykształcona, piękna, lecz zepsuta, jak zepsutym był wyrafinowany świat ówczesnych rozkoszników i zbytkowników Rzymu. Poppæa nie chce być czemś mniej jak imperatorową! W drodze stoi jej Oktawia i Agryppina, broniąca tym razem Oktawii z instynktem zachowania samej siebie. Zgubić więc Agryppinę, oto dążenie Poppæi, dążenie nietrudne: wszakżeż tak łatwo było przedstawić Neronowi, że matka dąży do jego zguby! Postanawia więc syn potworną spełnić zbrodnię, spełnia ją zdradziecko — zwabiając matkę na przejażdżkę morską i odsyłając ją okrętem o zapadającym się w głębie morza pokładzie. Ale Agryppina wychodzi cało; płynąc, dobija brzegu — chroni się do willi swojej — chwila jeszcze, a użyje wszystkiego, aby zdemaskować skrytobójcę. Od czegoż siepacze Nerona? stać ich na wszystko — Agryppina ginie od żelaza!

Ale nawet w tych czasach okropnych, gdzie zdeptano wszystkie prawa natury i prawa Boże, nie wymyślono środka na głos sumienia, na furye mszczące najstraszniejszą ze zbrodni. Pod ich wpływem, pod wpływem strachu, co powie Rzym, Nero ucieka do Neapolu. Stamtąd śle do senatu pismo usprawiedliwiające mord matki jako konieczność polityczną — senat i lud witają powracającego w świątecznej szacie — tryumfowi równa się ten powrót — statuy jego stawiają obok posągu Minerwy — dzień urodzin Agryppiny dekretem kapłanów do dni feralnych policzony... Tylko furye mściwe wracały nocą i nie powściągnął ich żaden dekret senatu... Wtedy Nero wedle świadectw dziejopisarzy rozpoczyna epokę szaleństw swoich, szaleństw bez miary i granic; szaleństw zmierzających do podwójnego celu: zagłuszenia głosów wewnętrznych i deptania społeczeństwa, które nie miało odwagi powiedzieć mu: matkobójca!

Ku pierwszemu celowi służy szukanie gwałtownych wrażeń, popisy teatralne, poetyczno-muzykalne, hippiczne. Z wychowania i wykształcenia niedostatecznego, jakie otrzymał, pozostało jedno: wspomnienie zapasów greckich w Olimpii, Nemei, na Istmie korynckim; z dni dziecięcych obrazy gonitw i wyścigów dla ludu rzymskiego, ukochanych nadewszystko przez ten lud. Co u poprzedników polityką, u Nerona stało się instynktem, namiętnością, rodzajem pijaństwa — najrozkoszniejszym środkiem zapomnienia. Więc grać i śpiewać i oklaski niezmiernego zbierać tłumu, więc zaprzągłszy do cesarskiego wozu dzikie rumaki, gonić z wściekłością wokoło olbrzymiego cyrku, napiętrzonego tysiącami głów; więc uciec od myśli i zajęć Cezara i stworzyć na chwilę sztuczny świat śpiewaka, aktora, woźnicy; więc mieć obawy podobania się i dreszcze karyery artystycznej, i używać, gdy masy frenetycznie klaszczą!... Ale i na tem użyciu spoczywa piętno zbrodniarza, piętno matkobójcy... Najmilszą rolą dlań, rola Oresta, który zabił matkę — a którego Eumenidy gonią... Bezczelny, on wie, że to zaostrzy ciekawość, on wie, że w grę jego mimowoli wejdzie piętno prawdy, że się wmiesza w nią coś z tego strachu, który go trapi nocami; on wie, że klaskać mu będą senatorowie, którzy pochwalili śmierć jego matki — i oto aktor Orestes łączy się z Cezarem mszczącym podłość społeczeństwa.

Orgii artystycznej towarzyszy orgia morderstw, zaprawionych ironią i kaprysem szaleństwa. Myśli jego zabójcze nie mają konsekwencyi: ba! czasem zdaje się, że szlachetny jakiś motyw każe mu ochraniać długo jednych, pogarda bez granic, szyderstwo z nikczemności ludzkiej wybierać drugich na ofiary. Tak zemsta jego omija długo Traseę, który sam jeden z senatu miał odwagę nie pochwalić zabójstwa Agryppiny; omija Silana, męża podobnych przekonań co Trasea. Natomiast jedną z pierwszych ofiar jego pada Burrus, prawdopodobnie otruty, który wedle opinii powszechnej zgodził się wkońcu na śmierć Agryppiny. Wylękniony Seneka pragnie zachowania życia, rzuca u stóp Cezara darowizny jego i bogactwa, chce dymisyi. Nero zatrzymuje go, ściska i całuje filozofa, »który go, jak mówił, nauczył stawiać czoło nie tylko przewidzianym, ale i nagłym niebezpieczeństwom«. Ale Seneka ucieka, kryje się w ciszy wiejskiej, ofiaruje później jeszcze po raz drugi bogactwa swoje Neronowi. Daremnie! Sprzysiężenie Pizona jest hasłem wydania nań wyroku śmierci. — Seneka ginie, otwierając sobie żyły w kąpieli. Procesem o złamanie wiary usuwa Nero

znienawidzoną żonę, Oktawię; ale i Poppæa Sabina niedługo cieszy się owocem swych intryg i zbrodni; brutalnem kopnięciem nogi wyzbywa się tyran przewrotnej kobiety. Przedmiotem jego wściekłości jest przedewszystkiem senat; z grona jego nikogo on nie wita i nie żegna, z modlitw publicznych wypuszcza jego nazwisko, rycerzom i wyzwoleńcom obiecuje rządy Rzymu. Mordom senatorów i bogaczy towarzyszy sroga ironia, Burrusowi śle lekarstwo na gardło, które go dobija, ciotce bogatej lekarzy z rozkazem, aby gwałtownymi lekami przyśpieszyli jej koniec; inni giną w rękach chirurgów, puszczających im krew niezdrową.

Dopiero gdy wielkie sprzysiężenie Pizona odkryte zostało, nie zna Nero granic okrucieństwa — najpodlejsze pełzanie nie zdoła ratować wplątanych senatorów: Nero odrzuca świątynię, którą mu jako bóstwu chce stawiać blady od trwogi senat; brat wydaje brata, rodzice synów, posągi siepaczy stają za uchwałami przelęknionych Rzymian — wszystko naprożno: — Cezar nie zna przebaczenia; a gdy ofiary giną od samobójczych ciosów lub od ciosów pretoryańskich — bogactwa ich skonfiskowane płyną do skarbu Cezara, aby zasilić wydatki na jego szaleństwa.

To szaleństwo pogardy, kapryśnego i wymyślnego terania potężnych i bogaczów Romy — szaleństwo, złączone tym razem znowu z polowaniem na wrażenia, z zachciankami piękna, z pragnieniem zadziwienia świata przepychem i wytwornością, znajduje swój szczyt — w spaleniu Rzymu. Rzym od wieku stawał się cudem świata, napełniał budynkami najwytworniejszego smaku, ale ulice jego były wąskie, a obok wspaniałych gmachów wznosiły się uświęcone tradycyą świątynie i domy dawnych czasów. Wywłaszczenie normalne celem przebudowania byłoby trafiło na opór i niechęć; zniszczenie ogniem łamało przeszkody, otwierało szerokie pole gospodarstwu budowniczemu Cezara, spełniało jego tajemnicze słowo: Aż do moich czasów nie wiedziano, dokąd panujący posunąć się może. Pewną rzeczą jest, że Nero podczas wybuchu pożaru w Rzymie nie był, pewną, że wiadomość Euzebiusza, jakoby, przypatrując się mu, śpiewał pożar Troi — jest niezgodna ze świadectwem spółczesnych — ale pewną także, że powszechna opinia spółczesnych oskarża Nerona o autorstwo pożaru, że ten pożar wybuchał na kilku miejscach naraz, że żołnierze i strażnicy podniecali go, zamiast stłumiać, że na ruinach rozpoczął Nero zabudowania »złotego domu«, zajmującego ogromną przestrzeń od Palatynu do Esquilinu, z sadzawkami, które wydały się małemi morzami, z ga-

jami, w których igrały trzody i gnieździły się dzikie zwierzęta, a odumarł planów dalszego szerzenia swojej rezydencyi.

Tu wszakże po raz pierwszy spotkał się zbrodniarz z mściwą Nemezą. Ogromna klęska stolicy poruszyła do gruntu społeczeństwem rzymskiem, rozjuszyła lud, wznieciła dokoła tronu tyrana owo szemranie groźne, które mu zapowiadało wybuch długo tajonej zemsty... Brytannika i Agryppiny śmierć mógł pochwalić spodlony senat — pożar Rzymu dobrał się do szpiku kości społeczeństwa... Demonstracyjnie, groźnie przesuwały się przed pałacem Cezara procesye religijne, poświęcone expiacyi występku... Wszakże wedle pojęć tradycyjnych potrzeba było innego *piaculum*, potrzeba było winowajcy, aby zażegnać złe, aby przebłagać zagniewanych bogów. Chwila jeszcze, a z głębi społeczeństwa mogła dźwignąć się dłoń, wiodąca rozwścieklone tłumy na pałac Cezara, lub co gorsza, umiejąca zręcznie pozyskać gwardyę pretoryanów... Groźniej niż kiedykolwiek unosiły się furye nad Neronem — groźniej niż kiedykolwiek zaglądała mu w oczy śmierć, śmierć okrutna...

Wtedy, jak trafnie przypuszcza jeden z autorów, piszących o tej epoce — przyszła mu myśl straszna, podła, podlejsza niż inne zbrodnie jego życia, bo ratująca go bezczelnem kłamstwem, myśl pociągnięcia chrześcian do odpowiedzialności. Mógł mu ją poddmuchnąć jeden z jego zauszników, mogli poddmuchnąć żydzi, łatwy przystęp do ucha jego mający; Poppæa, o której przechowała się wieść, że była żydowskiego pochodzenia; mogła ona urodzić się sama na wiadomość o nabożeństwie i obyczajach chrześcian, których kryjówki katakumbowe zapełnił tłum ludu, uciekający przed pożarem i w podziemiach szukający schronienia... Z wysokości tronu Cezarów padło słowo wskazujące winowajcę pożaru — chrześcian. Było ich podówczas, wedle Tacyta słów, 31 lat po śmierci Zbawiciela, wielkie mnóstwo w Rzymie. Dowodów nie było trzeba; raz rzucone oskarżenie stało się dla pogańskiego świata dowodem. Każdy, od senatora do proletaryusza, przypomniał sobie, że raz, drugi raz w życiu spotkał człowieka lub kobietę, w niczem do innych niepodobnego ludzi... człowieka, który unikał jego bogów i jego orgii, człowieka, który wśród pożaru sam jeden spokojnem okiem oglądał gniew Boży schodzący na ziemię, nie rozpaczał i nie złorzeczył, ale w tajemniczym związku modlitwy stał z innymi podobnymi do siebie. Jego zbrodnia — to, że go nic z rodzajem ludzkim nie łączyło, a więc wedle logiki pogańskiej był mu nieprzyjacielem, był gotów zadać mu złe wszelkie... Nero miał

racyę, Nero nie potrzebował dowodu — siepacze jego nie potrzebowali szpiegów — palcem wskazywało chrześcian pogaństwo.

Na drugim brzegu Tybru, wśród ogrodów Cezara, stał cyrk ozdobiony obeliskiem z Heliopolis — dzisiaj to plac św. Piotra, Kapitolium chrześciaństwa — a na temżesamem miejscu stoi jeszcze obelisk egipski. Tam postanowił Nero wyprawić pogańskiemu Rzymowi orgię nad orgiami, dać mu zadośćuczynienie za pożar... połączyć zaś widowisko znowu z użyciem artystycznem, po swojemu pojętem. Histryon, chociażby najznakomitszy, udający męki konania i śmierć samą, pozostanie zawsze histryonem, który eklektycznie zebrał rysy i ułożył je w rutynę cierpienia i umierania; najwyższy realizm będzie fikcyą łagodną, przyswojoną, obraną z tej nadzwyczajności, z tych epizodów niespodziewanych, jakie wyprawi publiczności ofiara, przybrana w szatę postaci dramatycznej i rzucona, aby być rzeczywiście pożartą przez lwa, rozszarpaną przez byka, spaloną na powolnym ogniu, zrzuconą z wysokości, przywaloną skałami! Taki los zgotował Nero chrześcianom i chrześciankom w cyrku, na sławnych igrzyskach porannych *(ludi matutini)*. A gdy rozwścieklił, odczłowieczył się na taki widok tłum patrzący, gdy Cezar rozkoszował w niespodziewanych komplikacyach gry o życie, trzymając w nerwowo drżącej ręce zielony przeźroczysty szmaragd, który mu służył za szkło powiększające i zbliżające — wieczór czekała lud i Cezara nowa orgia, wyścigi konne, oświecone żywemi pochodniami męczenników, owiniętych w t. z. *tunica molesta*, w palny materyał, dozwalający dochwycić momentu, jak wyglądać będzie twarz oświecona ogniem, jak zamierać będzie dusza w krzyku niezmiernej, niesłychanej boleści...

Ale nie... lud pogański Rzymu był lepszym od swego Cezara. Czyli wstrętem go przejął ohydny realizm tych przedstawień, czy wypadły one inaczej, niż się mógł spodziewać i niż spodziewał się Cezar — rezultatem ich, wedle lapidarnych słów Tacyta, była litość dla mordowanych... Litość i owo potrącenie nieznanego przedtem uczucia, jakie budziło się na widok ludzi umierających inaczej, niż ci, którym chodziło tylko o życie: na widok ludzi, którzy cierpieli spokojnie i widzieli otwierające się przed nimi niebo, na widok ludzi, którzy z pod szaty mitologicznej wyłaniali się, jak postacie Rafaelowskiego pędzla, na widok tego, co niesłychane, niebywałe, niepojęte dotąd!.. Ale jak odwieczną własnością złego, że ono samo instynktownie, zakamieniałością i zazdrością szatańską najlepiej pojąć zdoła dobre, aby je znienawidzić; jak odwiecznym

udziałem wszystkich katów jest, że zaostrza się ich okrucieństwo, im ofiara ich szczytniejszą i szlachetniejszą: tak psychologicznie pewnem jest, że owe arcydzieła wyrafinowanego okrucieństwa Neronowego rosły w miarę, jak przez szkło zielone szmaragdu więcej dobrego i wzniosłego dopatrzył w swoich ofiarach, jak zadziwiły go i upokorzyły niezrównaną cierpliwością i godnością, jak w realizm śmierci, którego pożądał, wniosły więcej — chrześciańskiego heroizmu śmierci...

Okrucieństwa wyprawiane z chrześcianami przeszły wszystko, co dotąd strasznego podał gawiedzi rzymskiej Nero; rok 64., pożaru Rzymu i męczeństwa chrześcian, jest zenitem jego twórczości szaleńca, zenitem, z którego spada, powtarzając się, tracąc grozę, a przechodząc w błazeństwo. — Ale na resztę panowania pozostaje zawsze jedna ku chrześcianom nienawiść, po prowincyach tysiące ofiar zabierająca — i od tego roku do jego śmierci trwa epoka, objęta w dziejach kościoła pod nazwą pierwszego prześladowania, którego ofiarą padli dwaj książęta Apostołów, św. Piotr i św. Paweł...

Polegli — kościół prześladowanie przetrwał i zwyciężył... A ów potworny Cezar artysta?... Jaki jego koniec? jakie rozwiązanie tragedyi jego żywota, bądź co bądź, pociągającej kolosalnością złego, przymieszką szlachetniejszego motywu miłości sztuki, pogardy do spodlonego społeczeństwa?...

Cztery lata oddziela tylko pożar Rzymu od śmierci Cezara Nerona. Lata te wypełniają: zdzierstwo bez miary, mające na celu przebudowanie Rzymu i wystawienie Złotego domu — Pizońskie sprzysiężenie, utłumione krwawą ręką — zabójstwo najcnotliwszych Trasei i Sorana — przyjęcie wspaniałe Tiridatesa, króla Armenii — komedyancka podróż do Hellady i tryumfalny powrót do Rzymu, w maskaradzie Apollina, z śpiewakiem Apollodorem u boku... Wyczerpanie, powtarzanie się, ogłupienie charakteryzuje te ostatnie lata Nerona — orgia tyloletnia doprowadziła powoli do idyotyzmu, do zniewieściałości Sardanapala, do poszarpania wszystkich sił duszy i ciała... Depcący świat zbrodniarz i swawolnik stał się sam zwolna przedmiotem ostatniej pogardy, obrzydzenia, sponiewierania... Ateny miały odwagę nie zaprosić go w swoje mury... krzyki, którymi go witał tłum rzymski za powrotem: niech żyje tryumfator śpiewem i głosem, niech żyje mistrz peryodów i strof, wyglądały na ironię! Godzina zemsty zbliżała się. Nie w Rzymie, ale w Gallii stanął na czele legionów G. Siliusz Vindex propretor... w rocznicę

śmierci matki otrzymuje o tem wiadomość Nero... Nie czyni ona na nim wrażenia: obiecuje sobie złupić Gallię. Ale w proklamacyi swojej nazwał Vindex Nerona lichym śpiewakiem... i to skłoniło Nerona do uroczystej protestacyi, którą przesłał senatowi rzymskiemu.

Mnożyły się wiadomości coraz gorsze. Vindex zginął wprawdzie, ale Virginius Rufus, ale Sulpicyusz Galba, namiestnik Hiszpanii, zbliżali się na czele zbuntowanych legionów. Bezradnie, fantastycznie, kapryśnie tłoczą się postanowienie za postanowieniem w duszy Nerona... Zrazu zrywa się jak lew ranny... pieni się od wściekłości... grozi wymordowaniem senatowi i Gallom obecnym w Rzymie... chce wzywać lud i stanąć na jego czele... Gdy ten lud się nie śpieszy, chodzą mu po głowie myśli nowego pożaru i puszczenia na ulicę lwów i tygrysów, chowanych po cyrkach... I znowu zwycięża w nim niewieściuch,.. uciekać chce na wschód, zatrzymać część państwa, lub żyć... żyć tylko... zadziwiając świat talentem swoim... Grając komedyę odwagi, mówi więcej o sztuce niż o buncie; narzeka, że mu bunt przeszkadza, że mu zabiera drogi czas... bo oto on zaśpiewa tylko legionom w czarnej żałobnej szacie pieśń swoją cudowną... a legiony z nim się połączą i odbędzie się najpiękniejszy tryumf... tryumf sztuki...

Ale czas leci, i nocy jednej, gdy Nero komponuje swoje pieśni i mowy, mające wzruszyć buntowników... odbiegają go najwierniejsi, odbiega gwardya pretoryańska — senat ogłasza zbliżającego się Galbę imperatorem. Na lichym koniu, w towarzystwie kilku wiernych wyzwoleńców, nocą, boso ucieka Cezar do podmiejskiej willi Faona. Po drodze słyszy okrzyki na cześć Galby. Wierni chcą go ukryć w jamie ziemnej — Nero broni się cytacyą poety... Wierni jego doradzają mu samobójstwo — Nero cytuje Sofoklowego Edypa: Moja żona, moja matka, mój ojciec wydają na mnie wyrok śmierci... Przynoszą mu wiadomość, że senat wydał już wyrok, że będzie zasieczonym rózgami na śmierć i rzuconym do Tybru — Nero próbuje sztyletu, ale nie ma odwagi zabić się. »Niech mi kto z siebie da przykład, niech mnie na sobie nauczy«. Ale zbliżają się jeźdźcy Galby — tentent koni każe mu cytować Iliadę...

»Słuch mój uderzon głuchym ciężkich rumaków tententem«.

Epafrodyt, jeden z wyzwoleńców, ponurza mu wreszcie sztylet w gardło: O, jakiż we mnie umiera artysta!... miał zawołać konając. Trupa już tylko zastano... I, o dziwo! znaleźli się tacy,

którzy z miłością przybyli go uczcić pogrzebem. Nieznane ręce składały wieńce na jego grobie, a wizerunkami jego obwieszały kolumnę rostrów starożytną *(Columna rostrata)*... Nie wierzono w jego śmierć i spodziewano się, że uratowany wróci z pomocą Partów i Armenów objąć rządy Rzymu... Viteliusz, chcąc się przypodobać gawiedzi, głosił szeroko, że wstąpi w jego ślady... Wschód kochał pamięć Cezara, który mu pochlebiał, który go nad Rzym wynosił, który deptał tyranów prowincyonalnych i prześladował senat...

Ostatecznie krwawy dramat rządów Nerona był tylko ciekawym epizodem w życiu potwornego olbrzyma, jakim było rzymskie państwo. Samowola Cezara dotknęła na miliony tysiąców, a na tysiące mordowanych, którzy mu złorzeczyli. Ale znalazły się tysiące, takich, którzy żyli i wynosili się złem jego żywota, i mnodzy znowu, których nigdy, w dobry lub zły sposób, dłoń Cezara dosięgnąć nie mogła... Dla tych nie dotkniętych przesunął się on jak legenda, każdemu inaczej... Chrześcianie widzieli ducha jego pokutującego w pałacach Cezarów — gawiedź pogańska imperatora, który jej na pastwę rzucał możnych, mędrców i cnotliwych — awanturnicy i szarlatani całego świata, tego, który wynosił i bogacił ludzi z ich grona... doskonałość organizmu państwa rzymskiego, jego wielkość, jego umiejętność, z jaką uchylał kwestye niebezpieczne, sprawiała, że zaszkodzić mu nie mogła nawet najwyższa samowola cesarzy; dobry budował państwo, wzmacniał, utwierdzał — zły szalał przeciwko jednostkom, ale państwu zaszkodzić nie mógł. W wybrykach Nerona, Karakalli, Heliogabala nikt przyczyn upadku Rzymu szukać nie będzie. Ale dobry jak Marek Aureliusz i zły jak Nero, wskażą oba, gdzie była pęknięta tarcza tego cudownego organizmu, której ani najlepsza administracya ani najbystrzejsze prawo ani najobszerniejsza wiedza mędrców złożyć już nie mogły.

Była ona w nierozwiązaniu kwestyi podstawnej każdego społeczeństwa — kwestyi jednostki ludzkiej. Lat sto, lat dwieście wstecz, jednostka najdoskonalsza pogańskiego świata, jednostka rzymska, stała, żyła i rozwijała się zasobem prawd religijnych i tradycyjnych, jakie wyniosła z kolebki swojej, tem tajemniczem coś, co ducha ludzkiego wypełnia, wiąże i podnosi — a co Rzymianie zwali *religio!* Za dni Cezarów, gdy nastała *pax Romana*, próżno granic i podstawy tej jednostki szukał prawodawca i mąż stanu — próżno mędrzec i mag, próżno artysta i zbrodniarz Nero i filozof cnoty, Marek Aureliusz...

U szczytu państwa, tam gdzie Cezar samowładny — toczył się najstraszniejszy bój o zagadkę jednostki ludzkiej — a Cezarowie pozostali monstrualną wystawą faz wewnętrznych, jakie ten bój przechodził.

Rozwiązało ją chrześciaństwo, łącząc człowieka napowrót z prawami Bożemi...

Odrodzenie i reformacya w Polsce.

Prelekcya druga.

... Humanistyka ograniczyła się na uniwersytecie do r. 1501. do nielicznych wykładów Jana Sommerfelda, Stanisława z Krakowa, Adama z Łowicza, Piotra z Krakowa i innych, większą częścią extraneów; przez 4 półrocza 1496—1497. prawie jej nie było. Celtes pozostał w relacyach listowych z Ursynem, Sommerfeldem, Korwinem, Brudzewskim. Ten ostatni jako sekretarz w. księcia Alexandra opuścił uniwersytet za instancyą Fryderyka kardynała w roku 1494. z zastrzeżeniem praw swoich za powrotem. W poczynającej się literaturze, drukach końca XV a początku XVI wieku: płyną dwa kierunki obok siebie, Ursyna, Korwina i Sommerfelda *Hortuli elegantiarum*, Jana z Głogowy i Michała z Bystrzykowa dzieła filozoficzne; a Sommerfeld powiada, że uniwersytet kwitnie w jednym tylko szczególnie kierunku, matematyczno-astronomicznym, Wojciecha z Brudzewa.

Nie zginął jednak kierunek humanizmu poza uniwersytetem. Na rok 1492. wypada zapisanie się na niego Henryka Bebeliusa *(Henricus de Babenhausen)*, jednego z najgłośniejszych humanistów niemieckich, który już r. 1497. był profesorem filozofii w Tybindze, a zarazem jednego z najzjadliwszych satyryków w rzeczach kościelnych. Rok przed nim immatrykuluje się wielki Mikołaj Kopernik, którego pracę humanistyczną, tłómaczenie Teofila Simokatty, wydaje w Krakowie Korwin roku 1509., który jako poeta łaciński pisze: Siedm gwiazd, poemat, Urbanowi VIII przez Brosciusa poświęcony.

Tak i Mikołaj Kopernik, twórca nowego systemu świata, ten, co ziemię, niegdyś w środku niebios pojmowaną, zepchnął na stanowisko skromnej planety, największa naukowa chluba Polski w wieku XVI, był humanistą i ocierał się w dniach młodości o Henryka Bebla, uznanego przedsłańca Mucyana, człowieka, który

nazwał Cicerona apostołem swoim i pontifexem, Mucyana, który nieobyczajność w piśmie posunął do ostatnich granic cynizmu. Tutaj też jądro zagadki humanistycznej, która wstrząsała XVI wiekiem. Poganizm, odżywający w humanizmie, wzbudzał współcześnie wyuzdane namiętności, najstraszliwszą pogardę chrześciaństwa i kościoła — i najwyższe aspiracye duszy ludzkiej do wiedzy, do prawdy, do badania; on odsłaniał orgie pałacu Cezarów i Platona ducha niebotycznego; on Ovidiusem budził Celtesa, a Homerem i Vergiliusem Dantego, Ariosta i Tassa; on zboczeniami, on przesądami i kultem misteryów starożytnych budził Paracelsa, kabbałą Reuchlina, Hipparchem i Ptolemaeusem wyzywał Puerbacha i Kopernika. W tejsamej ludzkiej piersi musiał się spotkać ten duch, po ludzku olbrzymi, często cudownie do chrześciaństwa zbliżony, który przekazało pogaństwo — z tem okropieństwem bez granic, które przekazało także, z wyuzdaniem obyczajów greckich i rzymskich, które znamy za Tiberiusa i Nerona czasów. Ta pierś zaś średniowieczna, pierś szczególniej młodych narodów, miała krewkość straszną, o jakiej my dzisiaj nie mamy pojęcia, pochopność do złego nadzwyczajną, ale nie znała takiej wyrafinowanej niemoralności; ta pierś miała w średnich wiekach żelazny puklerz — wiary i karności. W tej piersi ważyły się złe i dobre wpływy pogaństwa pod skrzydłami ducha chrześciańskiego; od tego ważenia się nie był wyjęty nikt, kto żył podówczas. Walka była tak silna, że przyczyny jej bardziej niż kiedykolwiek stawiano za człowiekiem, że Mefistofeles wyłaniał się z Fausta, a dyabeł pokazywał się Lutrowi na Wartburgu; że długo jeszcze, długo każdy znaczniejszy człowiek wierzył w swój horoskop, chociaż już zakwitnęła astronomia. Ale jeżeli wiek ten nadzwyczajny nie wydał bohaterów moralnych, jeżeli nie wydał książąt, podoływających ogromowi zadania i rozwiązujących niezliczone zagadnienia społeczne, jeżeli przeważali w nim książęta Hamlety lub ludzie stronnictw religijnych, jak Filip II i nieubłagana, krwawa, fatalna Elżbieta angielska, jeżeli nie wydał wielkich mężów politycznych, zastępujących książąt, bo ci albo pisali utopie jak Morus albo je stwarzali jak Zamoyski: to wydał olbrzymie typy religijne, Piusa V i Ignacego Loyolę, przeciwko plejadzie reformatorów; w świecie zaś pracy duchowej, ziemskiej, największe dzieła tam, gdzie nie było kwestyi religijnej: w astronomii, w matematyce, algebrze, na polu odkryć geograficznych i gdzie religia, przestając być sprawą rozumu i dyskusyi, staje się sprawą uczucia i fantazyi — w świecie sztuki. Wiek XVI

nie zna wielkiego historyka, filozofa, nawet poety pierwszego rzędu, on zna tylko Kopernika, Kolumba i artystów. Pod koniec jego, w XVII wieku zjawia się Descartes i Szekspir, pod koniec jego, z walk jego, już przechylających się w inną fazę, wychodzi pogodna i mądra głowa Henryka IV.

W gwiazdy musi uciekać duch ludzki z tej strasznej rozterki piersi ludzkiej, jeżeli chce coś stworzyć całego, wiecznego, prawdziwie nieśmiertelnego: cyframi i liczbami posługiwać się, aby spocząć na łonie najwyższej prawdy. Musi, jak Kopernik na pięknym zawsze obrazie mistrza Matejki, zawisnąć na galeryi starego tumu i zapomnieć, jak się tam kłóci na dole pacierz księży z psalmami protestantów... Tam, w gwiazdach, przychodzi do równowagi i każe sobie pisać na grobie: »Chrystusie, nie błagam Cię o łaskę, którąś dał Piotrowi i Pawłowi, lecz o tę błagam Cię, którąś dał rozpiętemu przy Tobie na krzyżu!«

Ale właśnie dlatego, że ta pierś ludzka była wtedy rozpięta na krzyżu wielkich przeciwieństw, że tem rozpięciem w społeczeństwie mieszało się wszystko, że niem miotały nieznane przedtem potęgi intelligencyi, wyrywającej się z potęgą Tytana z powijaków średniowiecznego porządku, że w tem powietrzu, napełnionem siarką, niebawem miał się zjawić jak w pracowni Fausta Mefistofeles z słowem na ustach: *Eritis sicut Deus, scientes bonum et malum*, co mówię, zjawiał się wszędzie... że gotowała się w kościele reforma, wybuch społecznej wojny niemieckiej, poprzedzony olbrzymimi nieporządkami w starym, radziecko-cechowym ustroju miast, a w samem polskiem społeczeństwie szlacheckiem gwałtowna burza przeciw duchownemu i świeckiemu możnowładztwu: — tam, na wyżynach, gdzie rządzenie jest codzienną funkcyą, koniecznem zajęciem, ustawną myślą, na wyżynach kościoła i państwa, w otoczeniu biskupów, senatorów i królów, stawiała się upornie, nieodbicie kwestya humanizmu i średniowieczczyzny; tam, gdzie dla teoryi, chociażby najlepszej, dla formy, chociażby najdoskonalszej, dla prawdy chociażby najoczywistszej, w praktyce z dnia na dzień, wobec gwałtownie nasuwających się potrzeb, niewolno, ba! prawie niepodobna odtrącić środków, które daje chwila, niepodobna zamykać się w twardej konsekwencyi — tam musiał z tym demonizmem, przenikającym wszystko, tymsamym, który dzisiaj ma rewolucya i środki rewolucyjne, przenikać humanizm, słać sobie drogę na dwory biskupów, książąt, królów, papieży.

W Polsce było tosamo, co w reszcie Europy.

... Uniwersytet krakowski znajdował swój szczyt w Michale z Bystrzykowa, ostatnim ze znakomitych abstrakcyjnych duchów scholastyki. Zamek i pałac biskupi myślały inaczej, przypuszczały one przez XVI wiek szturm do uniwersytetu w bardzo różny sposób, z ogromnymi odcieniami w sposobach — o uwzględnienie kierunku i potrzeb czasu.

Ani dwór ani duchowieństwo wyższe ani senat nie mogli poprzestać na Michale z Bystrzykowa! Co dwór myślał, o tem świadczy pismo anonima humanisty, znane pod tytułem dzieła Elżbiety Jagiellonki, córki Albrechta, wdowy Kazimierza Jagiellończyka, zwróconego do najstarszego syna Władysława: O wychowaniu królewskiego dziecka. Oczywiście nie pisała przecież tego traktatu Elżbieta ani na nią samą spada zań odpowiedzialność; ale że pozwoliła istnieć mu ze swojem imieniem, to znak czasu. Traktat ten jest programem humanistycznym wychowania dzieci królewskich... Pisać je mógł tylko Włoch. Znamy tylko jednego, Jana Sylwiusza Sykula, powołanego z Padwy do Wiednia przed rokiem 1500., którego też w r. 1500. już w Wiedniu niema, który w r. 1506. był profesorem prawa w uniwersytecie krakowskim, a w r. 1508. ma proces przed rektorem o złe wyrażanie się o uniwersytecie. Wstawia się za nim Jan Łaski, kanclerz koronny, a rektor Maciej z Miechowa i Bartłomiej z Żnina, dziekan, wypierającemu się wszystkiego podają ręce. Nauczyciel Zygmunta Augusta jest Jan Sykulus: czy nie tensam? Jest wiele prawdopodobieństwa; do pewności trzeba dalszych poszukiwań, których pomyślny dotąd nie uwieńczył rezultat.

Jest to pierwszy cudzoziemiec, którego król posyła na uniwersytet krakowski po Celtesie. I on z uniwersytetem w sporze. Drugi Garcias, Hiszpan, praw doktor, niegdyś rektor akademii bonońskiej, powołany przez Zygmunta i Konarskiego, umiera roku 1518. W r. 1518. Zygmunt I posyła Piotra Royzyusza, Hiszpana, także prawnika, sekretarza królowej Bony, na mieszkanie do kollegium jurystów, z obowiązkiem wykładu. Pełny nauki, dowcipu, talentu, wesoły i dowcipniś Royzyusz umie przejednać nawet chmurne twarze profesorów; zżywa się z dworem, panami, wołają go do spraw różnych, a prawnik-humanista jest zarazem poetą, opiewającym z miłością dla Polski wypadki współczesne, wesołe i smutne!! Bogata natura, znowu starczyłaby na nową monografię! Doczekał się w Polsce późnej starości, umarł r. 1571. Cechy humanizmu, lekkość, przedsiębiorczość, pochlebstwo są od niego nieodłączne.

Popierał więc dwór humanizm, bo był humanistycznym sam, bo mnóstwo szczegółów, które wiemy o dwóch ostatnich Jagiellonach, tłómaczy się tylko kluczem humanizmu. Popierał go w uniwersytecie, ale w drugiej linii; w pierwszej popierali go kanclerze uniwersytetu, biskupi: Konarski, Tomicki, Gamrat, Maciejowski. Ponieważ zdążamy do wybuchu reformacyi w Niemczech i oddziałania jej na Polskę, jako terminu dzisiejszej lekcyi, przestaniemy na Konarskim, który wszakże w tych sprawach posługiwał się długo swoim archidyakonem, Tomickim. Zdąża on do reformy uniwersytetu w r. 1505., w r. 1510. wskutek polecenia synodu piotrkowskiego (w r. 1512. nadaje mu prawa generalne do spadków po zmarłych bez testamentu duchownych), za obu razami chodzi głównie o wydział filozoficzny, a więc o humanizm. Za obu razami uniwersytet coś czyni, ale aby się zdało, że coś czyni: rzecz pozostaje tasama. Wtedy Konarski gniewa się, nakłada na majątek uniwersytetu kontrybucyę powszechną; uniwersytet apelluje do papieża Leona X, apelluje do synodu łęczyckiego i zwycięża biskupa. Leon potwierdził przywileje uniwersytetu, synod także. Rektorem, co walczył z biskupem, był Michał z Bystrzykowa, nasz filozof. Biskup nie dał za przegraną: 29. marca r. 1518. papież Leon X polecił reformę uniwersytetu arcybiskupowi Łaskiemu, biskupowi Konarskiemu i Tomickiemu, podówczas już przemyskiemu biskupowi. Przedsięwzięto ją w r. 1521., gdy już wybuchła reformacya.

Jakie szczegóły tej walki, po czyjej stronie była racya? bo przypuścić można z góry, że przodownicy uniwersytetu, księża, nie dla czczej przyczyny opierali się biskupowi, a biskup nie dla czczej przyczyny wyczerpywał wszystkie środki. Szczegóły nadzwyczaj zajmujące. Od r. 1501. nowa, niezmiernie liczna falanga humanistów idzie wstępnym bojem na uniwersytet. W r. 1510. jest ich 16. Co ci ludzie piszą, z czem się odezwą, zwrócone zawsze ku protektorom, których mają w górze: do królów, magnatów, biskupów, księży wysoko położonych. Ludzie ci iść muszą przez *furculae Caudinae* Wydziału, które im zgotował Sakran organizacyą 1480. r. Muszą być extraneami dwa lata, potem wchodzą do fakultetu na extraneów, potem dopiero mogą, zasługując się wyższym sferom, coś dostać. Pcha ich świat możny, sądzą ich ludzie ducha Michała z Bystrzykowa i Jana z Głogowy. Zaczynają od autorów łacińskich, czytają: Ovidiusa, Horatiusa, Persiusa, Wergilego i prozaików. Ale katedry klasyków uposażone nielicznie, nie ma tam karyery, więc próbują wykładać np. t. z. *Metheororum,*

de generatione, *topicorum*, *de caelo et mundo* i perspektywę, średniowieczne dyscypliny Arystotelesa: a oto w ciągu kursu, czy nie dawszy sobie rady czy zbrzydziwszy sobie przedmiot, wracają do Bukolik, Georgik, Pliniusza. Czasem pisze dziekan w notacie: źle skończył, w jednej godzinie trzy księgi przeleciał. Czasem nie skończył wcale. Pedele mieli prawo zapisywać nieobecność magistrów na wykładach kreskami, kresek takich w *liber diligentiarum* przy humanistach pełno. Często zaczyna magister w kollegium, a kończy w bursach; czasem bierze sobie godzinę poza obowiązującymi urzędowymi, aby wykładać tem swobodniej Persiusa. Notuje wtedy dziekan, że się uchyla z pod dozoru. Częścią integralną nauki są dysputacye, obecność na nich niezbędnym obowiązkiem, extranei (humaniści przeważnie) albo solidarnie na nie nie chodzą, i to bywa najczęściej, albo solidarnie chodzą jak w r. 1510. i 1511. Jakże musiały wypadać te dysputy między starym i młodym światem! oczywiście przy gorącej krwi ówczesnej starym niebardzo musiały być miłe, bo i u nich mnożą się kreski nieobecności. Protegowany biskupa, Tomasz z Obiedzina, kollegiat, nie chodzi wcale — *nunquam*. Płyną też extranei jak woda, wykłada kurs, dwa kursy, ginie bez śladu; próbuje znowu, znowu odchodzi. Dziesiąty ledwie czepia się mocniej i albo ugina kark pod jarzmo panujące, albo za silną protekcyą posuwa się dalej; reszta odchodzi oczywiście na guwernerkę albo gdzieś do szkół na prowincyę. Niepokój ten wewnętrzny działa i na starych, i oni zaniedbują lekcyi i dysput; obwinienia wzajemne, kłótnia nieustanna. Wojna też toczy się o dziekanat, który co sześć kursów przypada extraneom. Gdy przypadnie jak w r. 1511. na Jakóba z Iłży, lekcyi humanistycznych więcej; gdy w r. 1514. Marcin z Leżajska dziekani, zjawia się nawet pierwszy raz Greczyzna, przez Walentego poznańskiego wykładana. Lekcye Arystotelesowskie jak: *de generatione* nie dochodzą już czasem dla braku słuchaczy; za lat kilkanaście cały ich szereg będzie zapisany jako wakujący, bo kłótnia, która się toczy, najgorzej działa na młodzież. Dzieli się ona: masa młodsza stoi za humanistami. W bursach bitki, w mieście awantury. Wychodzą ostre zakazy noszenia broni. Sąd rektorski, w XV wieku rzadko potrzebujący wkraczać, w XVI ciągłe i twarde ma przed sobą sprawy. Walka dwóch wiedz i dwóch na świat poglądów u tych, co uczą, musi podkopywać wszelką karność u tych, którzy się uczyć mają. Humaniści są popularną, postępową stroną, stroną walczącą, porywają młodzież.

Przypatrzmy się ich wartości rzeczywistej pod względem humanistycznym, z daleka. O mnóstwie nazwisk nic powiedzieć nie możemy, przesunęły się i zginęły bez śladu. Sommerfeld, Korwin trwają dalej, drukują, może najlepsi i najzdolniejsi; luminarzem jest Paweł z Krosna, autor mnóstwa poezyi łacińskich, okolicznościowych, zjawiający się na wydziale 1508. r. nauczyciel Dantyszka i Krzyckiego, protektor Rudolfa Agricoli z Weissenburga, młodszego. Drugim Rudolf Agricola, guwerner synowców biskupa Konarskiego, w r. 1519. wtłoczony na wydział (bo nie był magistrem), gdzie wykłada *Fasti* Ovidiusa, poeta łaciński okolicznościowy miernej wartości. Obok nich synowie patrycyuszów krakowskich, Erazm Morsztyn i Erazm Beck, wedle Coxiusa, Anglika, równający się Ficynowi i Policyanowi, umierają wcześnie; Jan z Szadka wykłada w szkole miejskiej u Panny Maryi, Korwin, Sommerfeld, Agrikola puszczają prócz pism własnych różne mniejsze pisma humanistów z drukarń krakowskich: wydają Erazma Rotterdamczyka, Beroalda, Filelfa, Laurencyusza Valli drobiazgi. Rozpatrzywszy się w tem wszystkiem, (a dzisiaj to za wskazówką katalogu XVI wieku K. Estreichera już łatwiej), oceniwszy owoce, przychodzi się do przekonania, że to ludzie niezmiernie ruchliwi, bystrzy, wymowni, nie bez talentu; ale że im daleko do gruntowności naukowej, że im łatwiej Erazmów między sobą widzieli, tem im dalej było do Erazmów. Ludzi tych, jak okazałem, wbrew protekcyi, która ich otacza z góry, nie lubią matadory uniwersytetu, trudni są w ich posuwaniu i dopiero wtedy, gdy dali dowody prawdziwie chrześciańskiego usposobienia w piśmie i słowie, puszczają wyżej. Aby jednak pokazać, że nie humanizm oni prześladują, ale fałszywe jego kierunki, zdarza się, że Michał z Bystrzykowa bierze na siebie wykład Cicerona! że Sakran kilkakroć drukuje swój *modus epistolandi;* a gdy Eoban Hessus, jeden z najprzewrotniejszych humanistów, sprowadzony na dwór biskupa pomezańskiego Hioba v. Dobbenek, myśląc o pozyskaniu Zygmunta I, pisze *Epithalamium* na jego wesele z Barbarą Zapolską i w nim Chrystusa zamiast Apollina woła, wyszydza go Paweł z Krosna: skąd mu się to wzięło, jemu, co zawsze całe piekło pogańskie dla swoich utworów wyludniał? Wszystko zatem można powiedzieć o ówczesnej oppozycyi, tylko nie to, żeby była oppozycyą czczej głupoty i zacofania; ludzie ci patrzyli głębiej, a znaczącem jest, że tam, gdzie pewnie humanizm był jak najlepiej widziany, na dworze Leona X, wypadł dla nich wyrok pomyślny w walce, którą toczyli.

Dwa wszakże były pola, na których scholastyka krakowska szła najtwardziej przeciwko wyżynie dworu i kościoła, a dzieliła ten kierunek ze scholastyką niemiecką i francuską. Był to wstręt przeciw greczyźnie i hebrajszczyźnie. Od owych czasów strasznych polemik nie zostawiono zato na scholastyce całej nitki, obrzucano ją błotem bez końca. Opowiadano i szerzono, że ciemnota mnichów uważała greczyznę za język umyślnie wynaleziony, a hebrajszczyźnie przypisywała wpływ cudotworczy, przerabiający każdego chrześcianina na żyda. Mógł to zresztą powiedzieć jeden lub drugi ciemny żywioł, mogło się to szerzyć między ludem nie bez przyczyny z powodu innych objawów, o których niżej będzie. Ale dlaczego rozumniejsi scholastycy, mianowicie Grzegorz z Szamotuł, w Krakowie nie chcieli greczyzny? Nie dla Homera, nie dla Platona; nie chcieli dla Nowego Testamentu w oryginale greckim i dla tłómaczeń, które mu dawano! Dotąd wykładano pismo św. tylko z Vulgaty, tylko wedle komentarzy Lombarda i sum św. Tomasza: swobodny wykład pisma wedle widzimisia gramatyków, był bezpośrednim przedsłańcem ruchu kościelnego, reformacyi.

Walka ta dzisiaj od nas tak oddalona, tak trudno zrozumiała już dlatego, że humanizm jako znajomość starożytności, jako wiedza o niej, stanął dzisiaj wyłącznie w obozie chrześciańskiego, idealnego na świat zapatrywania, że dzisiaj prawie stoi w jednej linii z innemi naukami historyczno-filozoficznemi przeciwko skrajnym kierunkom i wywodom filozoficznym, chrześciaństwu wrogim: już dla tego, że tak dawno odłączył ziarno od plewy w starożytności, rzeczy moralne i obyczajowo godziwe od nieznoszących uczciwego oka ludzkiego, rzeczy wielkie i rzeczy nikczemne, że odbudował tę starożytność pracą tysiąca głów uczonych od Dacierów do Jahnów, a filologia stała się dziś bogatą zawsze jeszcze kopalnią, ale komunikującą już z lingwistyką aryjską, i archeologią przedhistoryczną. Chrześcianie, jesteśmy dzisiaj wszyscy humanistami, kochamy starożytność i widzimy w niej jeden więcej argument, wiarę naszą sprawdzający, walka przeniosła się na inne pole, ale podówczas!...

Zrozumialszem może będzie zato jedno jeszcze, co dla charakterystyki tej walki przywiodę. Był to stan, gdzie dla jednej najdroższej sprawy, dla sprawy wiary opierali się jedni, nacierali drudzy, gdzie z tą sprawą wiary łączyła się sprawa polityczna, społeczna, sprawa przyszłych pokoleń, sprawa edukacyi, gdzie jednym chodziło o nowe światło i nowe środki tego światła, o słowo potężne i działające, o sposoby zwalczenia fałszywych

mniemań, godzących w to, co duszy najdroższe, jak chodziło drugim o przytłumienie, o opanowanie, o uregulowanie tego światła i ognia, ba! może pewnym jednostkom o zduszenie go zupełnie dla tegożsamego ideału chrześciańskiego; a chodzić mogło tem więcej, że widzieli, jak się chwytał ich samych, jak się wysoko dostawał.

W tej dusznej, a przecie tylu świetnemi głowami błyszczącej atmosferze, w tej chwili ciężarnej burzami, które się przerwały dopiero na chwilę westfalskim pokojem (1648); w tej chwili, gdy Kopernik zwracał oczy ku niebu za nowym świata systemem, a Kolumb już po życiu pełnem boleści zawinął do grobu; w chwili poprzedzonej bezpośrednio badaniem pisma św. przez Erazma Rotterdamskiego, Reuchlina, Eobana Hessa, Huttena — nie u nas w Polsce, ale tam w Niemczech, skąd wychodziły walki Henryka IV z Grzegorzem VII, Fryderyka I z Alexandrem III, Fryderyka II z Grzegorzem IX, gdzie Konstancya i Bazylea: — człowiek organizacyi żelaznej, chociaż bez zbroi, w habicie tylko mniszym, od lat kilku rozpoczął bój z Kościołem, z papieżem Leonem X. Stała się rzecz straszna, rodzielająca chrześciańską ludzkość na dwa obozy w chwili, gdy na krzyż godził półksiężyc, gdy się zbliżała ruina Mohacza! stała się rzecz, której skutki przetrwały Turków ruinę, a która w trzy wieki po reformatorze wywołuje znowu w innej formie, ale w konsekwencyi tego, co się podówczas stało, żelaznych ludzi i żelazne boje. Reformacya, jak świat chrześciański ówczesny zawichrzyła do gruntu, tak i na humanizm wpłynęła stanowczo. Rozdzieliła i humanistów z czasem na dwa obozy: obóz katolicki i akatolicki. Rozdzieliła i u nas: Modrzewski i Orzechowski, Jan Łaski młodszy i Hozyusz, Uchański i Karnkowski, Sienicki i Zamoyski, i samotny już, bo nie mający sobie odpowiedniego w potędze słowa, górujący natchnieniem nad całym wiekiem ks. Piotr Skarga, kończący ten wiek proroctwem — oto rozszczepiony szereg ludzi, którzy wszyscy wśród reformacyi kształcili się na starożytności. Walka przeszła w inną fazę, w której z obyczajowej, naukowej, szkolnej, stała się religijną i kościelną; a jako taka, do najgłębszych głębin poruszyła ludzkość chrześciańską.

MOWA REKTORSKA

przy immatrykulacyi uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego, dnia 25. listopada 1878. r.

(W skróceniu).

Szanowni Panowie! Ćwierć wieku dopływa, gdy przemawiający do was Rektor dzisiejszy uniwersytetu Jagiellońskiego stał na miejscu, gdzie szanowni panowie stoicie, i podawał rękę z przyrzeczeniem zachowywania ustaw akakemickich, jak mi ją za chwilę podacie. Rozpoczyna on od tego wspomnienia, aby od razu trafić w ten ton serdeczny i przyjacielski, który generacye, chowane na łonie jednej *Almae Matris* Jagiellońskiej, łączyć powinien; rozpoczyna, bo przemawiając dzisiaj do was, chciałby uprzytomnić sobie raz jeszcze piękne dni młodości, aby tem skuteczniej, tem zrozumialej do was przemówić i przekonać was, że w przewodnikach waszych, profesorach tego zakładu naukowego, i w was, młodzieży wstępującej w próg jego, jedna myśl i jedno serce być powinno.

Ale wspomnienie tego uniwersytetu przed ćwierć wiekiem z innej jeszcze przyczyny ciśnie się na widok wasz do mnie. Ciśnie się ono, bo mi podaje najsilniejszy argument, aby was zagrzać do jak najściślejszego zachowania ustaw uniwersyteckich, do jak najusilniejszej pracy, do walecznych zapasów z trudnościami raz obranych zawodów. Zapisani podówczas uczniowie nie byli w tych szczęśliwych warunkach, w których wy, szanowni panowie, zostajecie. Wykłady odbywały się wyłącznie, z wyjątkiem historyi literatury polskiej i historyi prawa polskiego, w języku niemieckim: a magiczny związek, jaki tylko słowo ojczyste między umysłem słuchacza i nauczyciela ustalić jest w stanie, był zerwany. Za różnicą języka szedł ów rozbrat między nauką uniwersytecką a umysłowemi zajęciami i zatrudnieniami społeczeństwa polskiego, szła wzajemna ich ku sobie nieufność, szła cicha skarga, że uniwersytet nie czyni zadość wykształceniu pokolenia do zadań, jakie je w życiu czekają. Kosmopolityczne z natury, zawsze jednakimi środkami prawdy szukające, to ma przecież do siebie naukowe badanie, że jak Anteusz ciągnie siły z ziemi, na której wyrosło, krzepi się ambicyą narodu, wśród którego powstało, przyrodzonemi zdolnościami, które rozbudza, spożytkowuje tę niedostrzegalną oku, a przecież rzeczywistą odmienność pojmowania, spostrzegania, traktowania rzeczy, którą u pojedynczych narodów zastaje.

Szczęśliwsi od ówczesnej generacyi, na inne przyszliście, panowie, czasy. Rozporządzenie Najj. Pana, ograniczyło wykład w języku niemieckim do jednej historyi literatury niemieckiej. Rozbrat między umysłowemi pracami narodu a nauką uniwersytecką ustał, przyczyna niechęci i oppozycyi usunęła się; to, co dla usiłowań naukowych społeczeństwa było najpożądańszem, poważna metoda krytyczna, ścisłość badania, płynie odtąd w rodzinnym języku z katedry uniwersyteckiej w umysłowe życie społeczeństwa naszego. Ale nie na samem przyznaniu przyrodzonego i historycznego prawa wykładu w języku polskim poprzestał konstytucyjny Monarcha: pomnożyła się od tego czasu liczba katedr, aby zadość czynić rozdzielającej się na rozliczne gałęzie wiedzy, pomnożyła liczba instytutów naukowych, podających pomoc w badaniu, stworzoną została katedra dla wykładu dziejów narodu polskiego, przeznaczona, aby w świetle nauki uniwersyteckiej przedstawić przeszłość naszą, przedmiot uczuciowego raczej niż rozumnego traktowania. W bezpośredniem sąsiedztwie z uniwersytetem nareszcie, filia jego: Towarzystwo naukowe krakowskie, podniesione zostało wolą monarszą do godności Akademii, aby skupiać prace naukowe polskie, aby w nich początkować, a przez to samo wpływać ożywczo i pobudzająco na poważny zasługami wieków uniwersytet.

Otwierają się więc przed wami, panowie, podwoje polskiego uniwersytetu, który nazwę jeśli nie kwitnącym, bo do pełnego rozkwitu żądać jeszcze wiele i uczynić wiele powinniśmy, to zadość czyniącym wedle sił i możności słusznym nadziejom, które do niego przywiązuje najłaskawszy dlań Monarcha, Wysoki Rząd, kraj koronny, całe społeczeństwo polskie, węzłami historyi, cywilizacyi i uprawy języka narodowego związane z prastarą *Alma Mater* Kazimierza W. i Jagiellonów. Wchodzicie w te podwoje bez przykrego uczucia, jakie niedawno jeszcze wywoływało porównanie przeszłości z obecnością, bo wątek swojskiego żywota, acz nigdy, dzięki polskim sercom i głowom na tym uniwersytecie zupełnie nie zerwany, dzisiaj snuje się swobodniej, pełniej.

Młodym waszym sercom, otwartym miłości wszystkiego tego, co piękne i szlachetne, przystoi też uroczysty nastrój, jaki budzić powinno wejście w przybytek, gdzie się przyjmuje zobowiązania, nauki i wskazówki pięciu długich wieków, gdzie się wstępuje w ślady wydeptane pokoleniami, wchodzi w instytucyę, która ma swoje dzieje, swój związek z narodem, swoje dni chwały, upadku i podniesienia, gdzie się otwiera zarazem w życiu własnem epokę,

mającą stanowić nie tylko o waszej przyszłości, ale i o przyszłości, jaką kiedyś jako mężowie dacie sprawie ogólnej, publicznej, jakie na kartach metryki uniwersyteckiej, kędy nazwiska uczniów od 1400. roku się wciągają, do waszego nazwiska przywiązane będzie wspomnienie. Bo, szanowni panowie, dzieje uniwersytetu, to nie tylko nauczycieli, ale i uczniów dzieje: a dzieje społeczeństwa, to dzieje tych wpływów i rezultatów, które pokolenia jedno po drugiem wynoszą z rodziny, ze szkoły, z atmosfery, która je otacza: to dzieje tych darów Bożych, które zostały spożytkowane lub zmarnione, które się obróciły na dobre lub złe: to dzieje tej summy wiedzy i charakteru, które pokolenia wniosły na widownię żywota, wywalczoną pracą i siłą woli. Wiem, że macie ten uroczysty nastrój, bo wynieśliście z domu miłość tego kraju, bo wynieśliście ze szkoły miłość nauki. Chodzi o to, aby miłość kraju i miłość nauki pojąć z tego wyższego stanowiska, na które powołuje was uniwersytet, aby uczuć się silnie i z pełną świadomością tam, gdzieście się nareszcie dobili, wszyscy twardą pracą, niektórzy wśród ciężkiej a chlubnej walki z potrzebami życia, z codziennemi troskami. Walki te i prace to zadatki, że i dalszym, trudniejszym podołacie: byleście mieli owo poczucie wyższe, gdzie stoicie; byleście mieli zaufanie do tych, którzy, kochając was, chcą u was tego wyższego poczucia, tego magnetycznego związku, jaki z profesorem winien wiązać ucznia uniwersytetu.

Jeśli szkoły średnie powołane są, aby korzystając z młodej uczniów pamięci, zaopatrzyć ich w znajomość języków starożytnych i koniecznych nowożytnych, jak niemniej w summę wiedzy taką, aby zaprawiła umysł do trudności pojedynczych jej gałęzi: to uniwersytet, obejmując ucznia w chwili, gdy już zawód swój specyalny wybrał, ma go poprowadzić do krynicy wiedzy samej, do środków krytycznego badania, ma mu przedewszystkiem przyswoić metodę naukową. Wykłady, których panowie słuchacie, nie mogą być w uniwersytecie dogmatycznem rozwinięciem tej albo owej nauki; one są przedewszystkiem pobudką do własnej badawczej pracy. Nie to, co profesor mówi, zapamiętać i umieć macie, ale z pomocą profesora macie wejść w tajniki nauki, którą wykłada, nabrać tego sposobu patrzenia i traktowania, którego naukowe wymagają kwestye. Aby go nabrać, nie trzeba oczywiście pojmować uniwersyteckich kursów, szczególniej pierwszych, jako czasu wolniejszego, w którym oglądać się nie trzeba na codzienną profesorowi odpowiedź, zadanie piśmienne i półroczny egzamin, w którym rygoroza doktorskie, egza-

mina państwowe i kandydackie, przedstawiają się jeszcze w mglistem oddaleniu, a przed niemi czas swobody, zabawy lub tego niepróżnującego próżnowania, które się zajmuje lekką lekturą, lekkiemi próbami literackiemi, rozmową koleżeńską lub sesyjkami: trzeba od razu wziąć się do pracy, od razu zbliżyć się do profesora po radę i pomoc, od razu ściągnąć do siebie dzieła poważne swoich przedmiotów, trzeba sobie powiedzieć od razu: jestem teologiem, prawnikiem, medykiem, filologiem, historykiem lub przyrodnikiem, a czując całą godność i piękność obranego zawodu, nie tylko samemu oddać się mu z zamiłowaniem, ale szerzyć je i pobudzać u innych. Trzeba to uczynić tem pilniej, że z każdym dniem nieledwie rośnie ogrom, rosną wymagania nauki, rozgałęzia się ona i specyalizuje, a to, co wystarczało wczoraj, nie wystarcza już dzisiaj. Trzeba to uczynić, bo czyto o materyalną przyszłość chodzi, którą sobie każdy dla samej samodzielności w życiu zapewnić powinien, czy o znaczenie w społeczeństwie, a szlachetna ambicya to dźwignia społeczeństwa, i każdemu jej życzę: przyszłość ta materyalna i znaczenie zależy już dzisiaj przedewszystkiem nie od odziedziczonego majątku, ale od głowy jasnej i rozumnej, która nim zarządza, nie od imienia historycznego, od którego się tem więcej wymaga, nie od służbistości może, która w epoce konstytucyjnej już nie popłaca — zależy ona od summy wiedzy, zdolności i charakteru, którą się społeczeństwo z usługami swemi ofiaruje.

...Godność ucznia uniwersytetu, acz nie zapisane to w żadnym paragrafie ustawy, polega na tem, aby słuchając rzeczy gruntownych, badawczych, na dowodach opartych, poświęcając się nauce, która odzywa się do jego rozumu, ten punkt widzenia naukowy, badawczy, zatrzymał wobec zmiennych fluktuacyj spółczesnego sobie żywota, aby się umiał nim obronić przeciwko wszystkiemu, co mu nie daje równie poważnych rękojmi, aby — mówiąc językiem napisu na medalu Stanisława Konarskiego — miał odwagę mieć rozum: rozum tensam, który się tutaj kształci, tensam, do którego tutaj w kwestyach naukowych przemawiają. Wszakże to jego przeznaczeniem, aby nauczywszy się jak najwięcej, zbadawszy jak najgruntowniej, iść po ukończonych studyach w życie, i tam — pokazać znowu, ale już czynnie, że ma odwagę mieć rozum i naukę, ma odwagę prostować skrzywione pojęcia, dostać kroku zakorzenionym fałszom, potykać się z lekkomyślnością i szarlataneryą, a niosąc pochodnię prawdy, stać się dodatnim, zbawiennym czynnikiem społeczeństwa...

Cześć i uprawa nauki prawdziwej, odgadnięcie ducha instytucyi tej nauce poświęconej, ustrzeże was przed śliskiemi drogami doktryn, które się naukowemi mienią, a spuszczają z oka jej przeznaczenie, jej przyszłość, jej powagę i grozę. Nie będziecie pochopni w sądach, bo wiedzieć będziecie, że do sądu trzeba wiele: nie będziecie pochopni do poterania tego, co samym faktem wiekowego trwania na cześć zasługuje: do chwytania się tego, co tylekroć objawiło się w dziejach świata, aby upaść, odepchnięte przez naturę ludzką, nie znoszącą próżni duchowej. Ale i w innym kierunku prawdziwy kult nauki zejdzie się z obowiązkami waszymi, z ciepłem waszych dusz młodych, z zapałem nieodłącznym od młodego pokolenia.

W początkach słowa mojego do was powiedziałem, panowie, że otwierają się przed wami podwoje polskiego uniwersytetu, który lat temu kilkanaście polskiego języka używać nie mógł. W tym fakcie brzmią do was głosy liczne, szukające wdzięcznego echa w uczuciach waszych narodowych, w sercu waszem polskiem, w dumie tej sprawiedliwej, z którą każdy własnego gniazda i praw jego przyrodzonych bronić powinien. Czyliż potrzebuję podnosić, ile obowiązku ma młodzież, która się w tych wyjątkowo korzystnych kształci warunkach? jak jej należy pracować za siebie i za społeczeństwo, oddychające wolniej tymi jedynymi organami myśli i słowa? jaka w tem apellacya do jej ambicyi narodowej, aby okazała za siebie i współplemieńców swoich, że nie tylko nie przestała być spadkobierczynią cywilizacyi przeszłości, ale zdolną jest okazać owoce dzisiejszych wymagań naukowych godne, zdolną zaprzeczyć temu, czego nie przestają o nas głosić nieprzyjaciele, że jesteśmy społeczeństwem zbutwiałem, starem, niepoprawnie anarchicznem, społeczeństwem, które bez żelaznej obroży obyć się nie może! Jedną tylko z myśli nasuwających się na widok tego wyjątkowo korzystnego położenia rozwinę szerzej. Nie tylko do jak najusilniejszej pracy naukowej obowiązuje ono: obowiązuje także do jak najskrupulatniejszego przestrzegania, aby z naszej winy nie zaszło nic, coby zachwiać mogło zaufaniem w nas położonem, obrócić się na korzyść nieprzyjaciół, niechętnem okiem na te ostatnie ogniska naukowego życia polskiego patrzących. Dola uniwersytetów nie tylko w rękach profesorów, ona także i w rękach młodzieży. Tylko skrzętne, sumienne, rygorystyczne przestrzeganie ustaw akademickich, tylko wypełnienie obowiązków obywatela uniwersytetu może zadość uczynić waszemu sumieniu, nie tylko jako

uczniów, ale jako uczniów Polaków na uniwersytecie polskim. To jest alfa i omega patryotyzmu waszego, dopóki jesteście obywatelami *Almae Matris*. To jest najwyższy wzgląd, jaki na oku zatrzymać powinniście, jeśli chcecie zasłużyć na miano dobrych i rozumnych synów tej ziemi. Służba narodowi swemu, w naszych stosunkach nie zostająca pod anatematem władzy, ale dozwolona i wolna, w wolności tej tem dzielniejszą i skuteczniejszą być mogąca, nie polega na samem wyznawaniu, że się do niego należy, na demonstrowaniu i wołaniu, że się go kocha, na szukaniu drastycznych na to wyrażeń: ona polega na wypełnianiu najbliższego obowiązku. Z wypełniania tych najbliższych obowiązków rośnie siła niepożyta, której skutki wieki sądzić będą; ta siła tylekroć podnoszonej a mało rozumianej pracy organicznej, w której każda jednostka pilnowaniem swojej funkcyi w wielkim warsztacie społecznym, sumiennem wykonywaniem czynności swoich nie tylko przyczynia się do skuteczności pracy ogólnej, ale robiąc to, co do niej należy, uczy się szanować pracę drugiego, zaufać kierownictwu tych, co najtrudniejsze zadania z woli społeczeństwa podjęli, zrasta się w prawdziwą organiczną całość z współpracownikami jednego narodowego warsztatu. Dla jednego celu, dla dobra społeczeństwa, winni w społeczeństwie narodowem pracować wszyscy, ale najwyższym to obłędem, jeśli każdy chce robić wszystko i każdy wszystko zaczyna: jeżeli odbiegając własnego szczuplejszego zadania, nie zaufa nikomu, co w obszerniejszem działa; jeśli wszyscy, zamiast robić swoje, nie swojego robić nie umiejąc, krzyczą tylko w niebogłosy i ten krzyk mają za służbę publiczną. W prac społecznych rozkładzie nam i wam przypadło świetne, historyczne, odziedziczone zadanie: nam uczeniem, wam pobieraniem nauki utrzymać uniwersytet Kazimierza W., Jadwigi i Władysława Jagiełły na wyżynie narodowej, zjednać mu sławę, że nauka i przykładanie się do nauki kwitnie na nim, że wychodzą zeń ludzie zacni i zdolni, dzielne siły dla przyszłości narodu naszego; wam i nam przypadło w udziale iść śladem tych, którzy nawet w ciężkich chwilach szczęśliwie nawę jego przez wzburzone przeprowadzili fale: śladem Brodowiczów, Majerów, Dietlów i tych, którzy umieli iść zwartą falangą za głosem ludzi, kochających ten uniwersytet i przekonanych, że czyniąc wszystko, aby go zachować i podnieść, zachowują perłę korony wielkiego króla prawodawcy i perłę korony tej wielkiej i świętej królowej, co dobru cywilizacyi chrześciańskiej najdroższe poświęciła uczucia. Tu, powtarzam, nasza i wasza służba patryotyczna, tu

najwyższy obowiązek, który spełnić przyrzeczecie, kiedy poczciwe wasze ręce tegorocznemu przewodnikowi uniwersytetu podacie.

Podniósłszy ten wasz obowiązek przestrzegania ustaw, liczenia się z stosunkami, współdziałania nad dobrem uniwersytetu, nie potrzebuję zapewne mówić, czego unikać wam przyjdzie. Przed jednem tylko upomnę, — bądźcie baczni na głosy, które w imieniu uczuć polskich wyzywają was do udziału w sprawach, poza granicę działania i życia uniwersytetu wychodzących. Miejcie tę wstrzemięźliwość, która mówi sobie: Wystąpię jako mąż skończony i dojrzały, wystąpię wtedy, gdy mi nikt nie będzie mógł powiedzieć: Przedwcześnie! Wstrzemięźliwość ta, to siła: siła tasama, która zapewnia dzielność tem większą naukowemu wystąpieniu, gdy je uprzedzą lata dojrzałych studyów. I nie dajcie sobie mówić: Robią to gdzieindziej, czemu nie u nas? Nigdzie nie robią dobrze, gdzie robią, ale u nas byłoby to gorzej niż gdzieindziej. Dlaczego? wykazałem. Służba wasza jako Polaków jest tutaj, *intra muros;* a kto nie przyzna, że z pozostałych fortec siły rzeczywistej, to jedna z najpoważniejszych? Bądźcież więc wiernymi fortecy tej stróżami, a postępujcie tak, jak postępuje waleczna załoga. Załoga nietylko nieprzyjacielowi nie da się wyprowadzić z murów, ale i głosy przyjaźnie brzmiące z poza muru nie zdolne jej skłonić do wycieczki. Ona pilnuje sztandaru, ona trzyma się artykułów hetmańskich — a tymi dla was są prawa, są obowiązki akademickie.

Nie myślcie jednak panowie, abym poza rygorem tych obowiązków nauki i przestrzegania ustaw nie widział dla was życia, nie widział dla was zajęcia i słusznej a pożądanej rozrywki. Odkąd szkoły istnieją, odkąd młodzież młodzieżą, istnieje cudowny związek dusz młodych, opiewany przez poetów, wspominany do późnego wieku przez każdego człowieka z sercem, związek, który i w późniejszym wieku zapala promieniem radości oczy dwóch spotykających się ludzi, związek najmilszy po rodzinnym: koleżeństwo! Narzekano na jego upadek, osłabienie w dzisiejszych czasach, o! nie dajcie mu upaść, bo sami wyrządzalibyście sobie największą krzywdę, pozbawilibyście się najmilszych wspomnień z lat uniwersyteckich. Narzekano, a oto jedna z przyczyn była może w tem przedwczesnem rzucaniu się młodzieży w świat szerszy, świat poza szkołą, które pociągnąć musiało oddalenie jednego od drugiego. Wierzcie mi, choćby kosztem unikania tego szerszego świata, budujcie i utrzymujcie koleżeństwo między sobą. Nic wam jego straty i ubytku nie nagrodzi: tyle wdzięków i pożytku w tej wymianie

uczuć i myśli, w tem obcowaniu dusz, złączonych wspólną pracą i wyrabianiem się wspólnem, w tej pomocy nareszcie, której nie zabraknie choremu, ubogiemu, ogołoconemu ze środków, jeżeli ma kolegę i przyjaciela, jeżeli się znajdzie między swymi, jeżeli mu szlachetny wstyd nie zmrozi na ustach wyznania smutnego stanu, bo zaufanie do kolegi wstyd uchyli. Ale i z innej strony koleżeństwo — to owa »*aurea aetas*«, *quae sponte sua sine lege fidem rectumque colit.* Koleżeństwo to zrównanie wszystkich wobec szlachetnego ideału nauki, to ustanowienie hierarchii po zacności i pracy, to zapomnienie różnic, które ludzi dzielić nie przestaną, a budowanie na przyszłość tego wszystkiego, co ich zbliża do siebie, co wyższe nad wszelkie różnice, łączyć ich powinno jednością zasad i uczuć.

Powiedziałem wam z szczerością i otwartością wszystko, co miałem na sercu. Proszę o wzajemność we wszystkich sprawach, jakie z stosunku uniwersytetu do uczniów wypaść mogą. Starałem się sercem przemówić do serc waszych, bo przekonany jestem, że macie święty zapał do wszystkiego, co dobre, prawdziwe i szlachetne; bo uważam ten zapał za rękojmię najlepszych dla społeczeństwa i was samych skutków. Stwierdzam ponownie, że to, co was grzeje, grzeje i nas, przewodników waszych: miłość nauki, miłość tego uniwersytetu, miłość kraju — stwierdzam i proszę was, abyście nigdy o tem nie zapominali. Pomnijcie, że w tym pełnym trudów zawodzie nauczycielskim, powołuję się tu na kolegów, powołuję na wszystkich, co kiedykolwiek pracowali w tym uniwersytecie, największą radością i pociechą jest, gdy się powie o zdolnym, zacnym, znamienitym człowieku: To mój uczeń! — gdy się mówi o zacnej generacyi: To moi słuchacze! Dajcie nam tę pociechę, panowie, którzy dzisiaj przyjmiecie obywatelstwo akademickie.

OBJAŚNIENIA.

Str. 3. w. 3. z góry. Uniwersytet wileński i liceum krzemienieckie. p. Wyp. cz. I. str. 556 i 557.

Str. 4. Cyd. Pod tem mianem wielbią narodowe pieśni hiszpańskie rycerza, który w obronie wiary i wolności walczył z Maurami w w. XI. Nazywał się Rodrigo de Bivar; Cydem (panem) nazwali go Arabowie.

Str. 5. Jan Śniadecki ogłosił w r. 1818. rozprawę: O klasyczności i romantyczności. — w. 23. z dołu p. Wypisy cz. I. uw. do str. 560.

Str. 10. »Malwina czyli domyślność serca«, powieść (1816) Maryi z Czartoryskich księżny Wirtemberskiej (1768—1854).

Str. 11. Roczników Towarz. Przyjaciół nauk w Warszawie wyszło tomów 21 (1802—1830). — Towarz. nauk. krakowskie (1816—1872) wydało 44 tomów w 3 seryach. — »Biblioteka Ossolińsk.« 2 tomy w r. 1847. i tomów 12 (1862—1869); przedtem 1828—1834 p. t. Czasopism naukowego księgozbioru im. Ossol. (7 t.). — Astrea (1821—1825) pod red. Franc. Grzymały. — Dziennik warszawski (1825—1830) pod red. Mich. Podczaszyńskiego, Maur. Mochnackiego i Jana Ordyńca. — Pamiętnik warszawski, założony przez Fel. Bentkowskiego, przeszedł pod redakcyę K. Brodzińskiego r. 1822. — Dziennik wileński, założony 1805., wznowiony 1815., szczególnie ważny 1816—1822.

Str. 22. Zakład narod. im. Ossolińskich, w r. 1817. ofiarowany narodowi przez Józ. Maksym. Ossolińskiego, otwarty r. 1827., w rok po śmierci założyciela.

Str. 43. Bomarsund, twierdza rosyjska na wyspie Alland, przy wejściu do odnogi botnickiej.

Str. 48. Świteź, jezioro w pow. nowogrodzkim; Świtezianki są to według mniemania ludu nimfy wodne, zjawiające się nad brzegiem tego jeziora.

Str. 51. w. 8. ksiądz Kiejstut, po dawnemu zam. książę. — w. 14. Ilmen, jezioro w gubernii nowogrodzkiej, połączone z jez. Ładoga. — w. 16. dzięga, dawny srebrny grosz moskiewski; dzięgi, pieniądze.

Str. 52. w. 5. Laura, imię osoby (Laura de Noves), opiewanej w sonetach przez Petrarkę.

Str. 53. Akerman, miasto nad morzem Czarnem, nieopodal od ujścia Dniestru. — w. 8. lampa Akermanu, latarnia morska.

Str. 54. Dżehud-Kale, miasteczko na wyniosłej skale; domy, na brzegu stojące, mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka,

wiodąca na górę, nad przepaścią wisi. — Mirza, tatarski książę, przewódca. — Góra Kykyneis, szczyt w pasmie gór krymskich. — Ptak-góra, olbrzymi ptak, Simurg, sławny w mitologii perskiej, powielekroć przez poetów wschodnich opisywany (n. p. Firdusi w Szach-Name).

Str. 55. w. 46. Centaurowie, u starożytnych Greków straszne dla ludzi potwory (pół ludzi, pół koni), mieszkające w lasach Grecyi północnej (Tessalii).

Str. 56. Farys, u Arabów Beduinów tyle co rycerz; nazwa zaszczytna. — Emir Tadż Ul Fechr, t. j. Wacław hr. Rzewuski, sławny w wieku XIX podróżnik, który przez długi czas przebywał w Arabii (Tadż = wieniec, fechr = sława).

Str. 57. w. 28. Beduin, Arab, wiodący żywot koczowniczy. — w. 64. majdan, łęk u łuku, służący do napinania cięciwy.

Str. 59. w. 124. huragan, straszliwa burza; tutaj zamiast nazwy arabskiej Symum. — w. 135. gryf, bajeczny potwór latający.

Str. 61. w. 1. bard, poeta. — w. 32. trzęsianka, słoma pognieciona, roztrzęsiona, z sianem pomieszana dla bydła. — Konrad Wallenrod, z frankońskiej pochodzący rodziny, za młodu przybył do Malborga. Mistrzem został r. 1391., umarł r. 1393.

Str. 62. w. 13. Palemon, przedhistoryczny bohater litewski, według podania założyciel państwa litewskiego. — Wajdeloci, litewscy kapłani i śpiewacy, którzy mieli czyny przodków opowiadać lub opiewać ludowi w czasie świąt lub zebrań uroczystych.

Str. 65. w. 7. Swentoróg, książę litewski w w. XIII, który w lesie dębowym na górze zamkowej wzniósł ołtarz na cześć Perkuna i rozniecił ogień święty (Znicz), utrzymywany przez arcykapłana (Krywe-Krywejte) i ofiarników.

Str. 75. w. 211. Perun, Perkun, najwyższe bóstwo na Litwie i Rusi, władca nieba i ziemi; poświęcony mu był dąb.

Str. 76. w. 245. Winrych von Kniprode był W. mistrzem 1351—1382; po nim był Konrad Zöllner v. Rothenstein (do 1390); potem Konrad Wallenrod. — w. 260. Kłajpeda (dziś Memel), miasto na Litwie pruskiej, nad cieśniną łączącą zatokę Kurońską z Bałtykiem. — w. 271. Połąga, nad morzem Bałtyckiem, na południowym krańcu Kurlandyi.

Str. 78. w. 363. Kiejdany, miasteczko w powiecie kowieńskim.

Str. 98. *hic obiit G., hic natus est C.* — tutaj umarł G., tutaj urodził się K.

Str. 110. w. 53. Symum, wiatr w pustyni libijskiej, śmiertelny dla wszystkich, których owionie. — Kanopa, Canopus, miasto w starożytnym Egipcie. — Euxyn, Pontus Euxinus, morze Czarne.

Str. 112. w. 122. Kałmuki, gałąź szczepu mongołskiego. — w. 140. Jermołow Alexy, dowódca wojsk rosyjskich († 1861). Od r. 1816. był dowódcą korpusu kaukaskiego; 10 lat bawił na Kaukazie. W r. 1826. został usunięty.

Str. 113. w. 19. Bucefał, nazwa konia Alexandra Wielkiego. — w. 37. Paktol, rzeka w Lidyi, złoty piasek niosąca.

Str. 114. Iwan Groźny 1533—1584.

Str. 116. Kremlin, zamek carski w Moskwie.

Str. 121. Wolmar, miasto w gub. inflanckiej, nad rzeką Aa.

Str. 123. nadanie organizacyi Kozakom r. 1578.; ustanowienie trybunałów dla Małej i Wielkiej Polski r. 1578.; dla Litwy r. 1581.

Str. 125. Syxtus V, imię rodzinne: Felix Peretti (1521—1590), jeden z największych papieży.

Str. 128. św. Augustyn (353—430). — św. Klemens Alexandryjski (około r. 200.).

Str. 137. *Casa Santa.* W Loreto (mieście Włoch środ.), we wspaniałym kościele katedralnym, znajduje się domek N. P. Maryi, wedł. podania w r. 1295. przez aniołów z Nazaretu tutaj przyniesiony.

Str. 139. Krzepice, osada, dawniej miasteczko w pow. częstochowskim, przy trakcie z Częstochowy do Wielunia.

Str. 145. Rzeczywiste zdarzenie, na którem M. osnuł poemat, jest: Stanisław Szczęsny Potocki, syn Franciszka Salezego, wojewody kijowskiego, poślubił wbrew woli ojca (r. 1770.) Gertrudę Komorowską, córkę Jakóba. W lutym r. 1771. porwano Gertrudę z domu rodziców, zawinięto ją chustami, żeby krzyku jej nie było słychać, a gdy wśród drogi spostrzeżono, że przez to została uduszoną, wrzucono ciało pod lód na odnodze Bugu. — Marya I, 1, 13. Wozy czarnomorskich Kozaków (maże), służące do przewożenia soli morskiej, skrzypią, gdyż nie bywają smarowane. — I, 3, 14. sumak, gatunek antylopy, żyjący do niedawna na stepach ukraińskich: dziś już nie istniejący. — w. 15. kula, przednia część u siodła. — I, 12, 39. któremu = w którego uczucia... — II, 14, 25. błogi, t. j. byłby szczęśliwy, gdyby... — II, 20, 20. lama, materya złotem lub srebrem przetykana.

Str. 164. Podzwonne, obrzęd ludowy ku czci ojców czyli przodków (»pomynat' bat'kiw«), sięgający może czasów przedchrześciańskich, w naszych czasach już wychodzący ze zwyczaju. Wieczorem letnim zbiera się lud ukraiński na mogiły, o nowiu miesiąca: młodzieńcy wyśpiewują żałobne dumy, a dziewczęta rzucają wianki z barwinku ruty. — Św. Michał Archanioł, jako patron Ukrainy, w wielkiej czci tam zostaje; po dwakroć corocznie obchodzą jego święta. Lud zowie go zakże swym białym aniołem, prawdopodobnie dlatego, że widywał go i awsze srebrem wyszywanego na chorągwiach atamańskich. W pieśniach udowych mieszają się różne pojęcia, chrześciańskie i pogańskie (n. p. o bożku Perkunie); bój z lwem oznacza walkę z szatanem.

Str. 165. Dumka Kosińskiego, do której myśl wziął poeta z podań ludowych, wcale nie jest historyczną. Kosiński nie był hetmanem ani nie działał w myśl sejmu i króla (w. 53—55). Kiedy w r. 1590., celem poskromienia swawoli Kozaków, uchwalił sejm tak zwany Porządek ze strony Niżowców i Ukrainy, mający z Niżowców utworzyć wojsko, władzom Rzptj posłuszne: stało się to hasłem do rozruchów kozackich. Jednym z pierwszych, który stanął na czele zbuntowanych Kozaków, był Kosiński (wedł. jednych Krzysztof, według innych Jan), szlachcic z Podlasia, herbu Rawicz. Zebrawszy sobie oddział mołojców, rozpoczął napady na miasteczka i wioski, niszcząc przedewszystkiem majątek księcia Konst. Ostrogskiego. Pokonany w r. 1593. pod Piątkowem, gdy o nowym buncie zamyślał, zginął, zabity przy pomocy

samychże Kozaków. — Stawiszcze, miasteczko nad Tyhiczem, w pow. taraszczańskim, tak nazwane od mnóstwa stawów. W w. XVII była tam twierdza polska. — Piatyhory, miasteczko nad Mołoczną, w pow. taraszczańskim, niegdyś własność kniaziów Ostrogskich. — Pawołocz, miasteczko przy ujściu Pawołoczki do Rastawicy, w pow. skwirskim; niegdyś z trzech stron wodą oblane, a z czwartej bronione wałem. — Nalewajko, przewódca Kozaków, którzy w kilka lat po Kosińskim nowy bunt podnieśli. — Czehryn, miasto powiatowe w gub. kijowskiej. — Daszko, również przewódca Kozaków. — Krzywiecki las. Krzywiec, wieś w pow. taraszczańskim, niedaleko od Stawiszcz; niegdyś dziedzictwo Wiśniowieckich.

Str. 169. do ust. II. Bojan, w czasach przedchrześciańskich poeta Słowian dnieprowych, który z czasem stał się jakoby mityczną postacią. Piewca Słowa o pułku Igora wielokrotnie czyni o nim wzmiankę, zawsze z czcią największą.

Str. 172. do ust. XII. O Kupało etc. Tak śpiewa lud na Ukrainie w święto Kupały (u nas przy obrzędzie Sobótek, w wigilię św. Jana). Łada — bóg słońca i porządku; Perun — bożek gromów; — Radegast — bożek gościnności; — Tur — wojny; Dziewanna — bogini roślinności, rolnictwa.

Str. 174. Bitwa z Turkami na Kosowem polu, w której zginął car Łazarz z przeważną częścią rycerstwa serbskiego, była r. 1389.

Str. 179. Ossyan, ludowy poeta iryjski, który wedł. podania żył w w. III po Chr. Pieśni jego wydał r. 1768. Macpherson. — Białozor, jezioro i wieś na Ukrainie, blisko Smiły, w rozległych lasach sosnowych.

Str. 180. w. 1. Kaniów, małe i liche miasteczko w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, pośród urwistych jego brzegów rozrzucone. — w. 15. obłęd, czart wprawiający ludzi w błąd. — w. 35. majaczeje, miga w oddali, ukazuje się.

Str. 181. Szwaczka, mieszczanin kaniowski, herszt buntu hajdamaków.

Str. 182. w. 7. Ławra peczerska, starodawna świątynia w Kijowie. — w. 9. Łebedyn, wieś w pow. czehryńskim, na wzgórzach, »czarnymi« lasami pokrytych.

Str. 184. w. 17. Moszny, miasteczko na Ukrainie nad Irdyniem. — w. 19. Irdyń, bagna i trzęsawiska, w starem łożysku Dniepru.

Str. 185. w. 69. bajrak, drzewo sosnowe, karłowate.

Str. 189. w. 1. z dołu: kondemnata, potępiający wyrok sądowy.

Str. 199. w. 3. z góry: ma być Ordyńca; Jana Kazimierza Ordyńca (Dziennik warszawski).

Str. 205. Maleszowa, wieś w pow. stopnickim, przy drodze z Chmielnika do Kielc. Kościół parafialny w Lisowie.

Str. 207. dezabilka, z franc. dĕshabiller, rozbierać się, więc ubiór poranny. — na humor śpiewać, do woli, według upodobania, ile się chce. — Opole, wieś, dawniej miasteczko w pow. puławskim. — Piotrkowice, wieś, dawniej miasteczko w pow. stopnickim, przy drodze z Chmielnika do Kielc. — Końskie, miast. pow. w gub. radomskiej na północ od Kielc, na wschód od Piotrkowa.

Str. 212. podwłosniki, okrycia, płaszcze używane przy czesaniu. — drużbart, rodzaj gry w karty.

Str. 213. Pan Geldhab, grany w Warszawie po raz pierwszy 7. paźdz. 1821.

Str. 214. w. 12. z góry. Jan Alex. hr. Fredro umarł r. 1891. — Śluby panieńskie, po raz pierwszy przedstawione w Warszawie 16. listop. 1834.

Str. 251. dereszowaty, maść konia rudo szpakowata.

Str. 254. saperowie, żołnierze mający zakładać miny, robić podkopy pod kierunkiem inżynierów.

Str. 267. Heliogabal panował od r. 218. do 222. po Chr. Wnuk siostry Julii Domny, żony ces. Septimiusa Severa, był przedtem w Emezach (w Syryi) arcykapłanem bóstwa słońca (Elagabala), którego cześć przeniósł potem do Rzymu.

Str. 268. Pomieszały się w Rzymie wszystkie wiary, kult egipskiej Izydy, chaldejskiego Mitry, cymbryckiego Odyna.

Str. 269. *Morituri te salutant, Caesar* (Idący na śmierć pozdrawiają cię, Cezarze), słowa, któremi zapaśnicy przed rozpoczęciem igrzysk witali Cezara. — Na Palatynie stał niegdyś pałac Cezarów.

Str. 270. paryjski marmur, sławny w starożytności marmur biały, najlepszy materyał rzeźbiarski. — Tunika, spodnia suknia starożytnych Rzymian. — Chersonesem Cymbrów nazywali półwysep Jutlandzki starożytni Rzymianie, którzy plemiona skandynawskie nazywali Cymbrami. Półwysep nazywa poeta »srebrną ziemią potoków« od białości śniegów i licznych potoków. — U ludów północnych nazywano władców królami morza. — Walhalla, u starożytnych Germanów niebo, twierdza z 540 bramami.

Str. 271. Thor, bóg wojny, syn Odyna, przedstawiany był z młotem w ręku (symbolem siły zdobywczej); Horgebruda, bogini wojny.

Str. 272. Skaldami u Skandynawów zwano kapłanów i pieśniarzy narodowych.

Str. 273. Ereb, podziemie. — Alexyan, znany później pod imieniem Alexandra Severa, był synem Mammei, córki Moesy, która była babką Heliogabala.

Str. 275. fibule, klamry czyli sprzążki do spinania tuniki na ramieniu. — Baal, najwyższy bożek staroż. Fenicyan. — Astarot, Astarte, najwyższe bogini starożyt. Fenicyan. — Windelicya, kraj położony między jeziorem Bodeńskiem, Dunajem a Innem. — Ulpian (Domitius), jeden z najsławniejszych prawników rzymskich; za Alexandra Severa *praefectus praetorio*; zamordowany roku 228. Z wielu jego dzieł tylko fragmenta.

Str. 276. *Salve aeternum*, ostatnia pieśń przy pogrzebie u starożytnych Rzymian, śpiewana po złożeniu ciała na stosie. — *Diis Manibus Attilii Verris, bis consulis.* Bogom Manom A. Verresa, dwakroć konsula. Tak pisano na nagrobkach. (Many, cienie, duch człowieka po jego śmierci). — Parki, boginie (3) śmierci u starożytnych, z których jedna przecinała nić żywota ludzkiego.

Str. 277. chlamida, płaszcz wojenny u staroż. Greków.

Str. 278. Cheruskowie, lud germański, nad Wezerą osiadły; na ich czele Arminius (Hermann) klęskę zadał Rzymianom w lesie Teutoburskim.

Str. 279. Styx, rzeka oddzielająca ziemię od krainy zmarłych. — Cerber, trójgłowy pies, strzegący wejścia do podziemia. — Radamantys, sędzia w podziemiu (w Erebie, Tartarze). — Lete, rzeka zapomnienia. — *via sacra*, ulica w Rzymie, przez rynek na Kapitol wiodąca. — Wiminal, Awentyn — nazwy wzgórz Rzymu.

Str. 281. Seleucya; kilka było miast tego imienia w starożytnej Azyi (w Babylonie, w Syryi, w Cylicyi). — Attalus, król Pergamu, który Rzym dziedzicem swego państwa uczynił.

Str. 282. syn Latony, Apollo. — Pallas, bogini mądrości. — Gades, dziś Kadyx. — Thule, Islandya, *ultima* (ostatnia), bo ją za najodleglejszy kraniec ziemi uważano.

Str. 283. na brzegach Trazymenu — w drugiej wojnie punickiej; w hiszpańskich wąwozach — w wojnie z Sertoryuszem; w lasach hercyńskich — w wojnie Varusa z Arminiusem (Hermannem). — Stator, Juppiter; Quirinus, Romulus. — Euge, nuże!

Str. 284. Mamertyńskie więzienie, także Tullianum, założone przez króla Serviusa; zamykano w niem więźniów stanu, na śmierć skazanych.

Str. 285. argijski, grecki.

Str. 310. Aar, poboczna rzeka Renu, która w dolinie Oberhasli tworzy jeden z najpiękniejszych w Europie wodospadów, Handeckfall.

Str. 311. ustęp VIII napisany w tercynach. — w. 5. Jungfrau, szczyt w Alpach berneńskich. — szalet, szałas, schronisko w górach. — w. 14. pelejady, plejady = siedm córek Atlasa, zamienionych w gwiazdy, konstelacya gwiazd.

Str. 312. pierścionek Dyany, księżyc.

Str. 317. sylfy, duchy powietrzne niższego rzędu, podobnie jak nimfy. — poletek, część gruntu zasianego zbożem, zwykle trzecia część pól, należących do jakiegoś folwarku.

Str. 329. cycowa (suknia), perkalowa.

Str. 353. Ceuta, naprzeciw Gibraltaru na afrykańskiem wybrzeżu.

Str. 358. Wiersz Rozłączenie, napisany 20. lipca r. 1835., odnosi się do Maryi W. — Hymn napisany w październiku 1836.

Str. 361. w. 52. Hymetus, góra w Attyce, sławna z marmuru i miodu. — w. 57. Najady, u starож. Greków nimfy źródeł i rzek. — w. 79. Falernejskie wino, u starож. Rzymian gatunek dobrego wina, z winnic falernejskich w Kampanii.

Str. 364. zamek Chillon, na skalistej wysepce jeziora genewskiego. Byrona: Więzień Chillonu (tłóm. Fr. Morawski).

Str. 365. Giesbach, sławny wodospad w Alpach.

Str. 370. Dembiński Henryk, generał (1791—1864), walczył pod Napoleonem; w powstaniu listopadowem był generałem brygady i wodzem wyprawy na Litwę, a przez krótki czas naczelnym wodzem armii; w r. 1849. był wodzem armii węgierskiej, następnie przeniósł się do Turcyi i Paryża.

Str. 373. Sorga, Sorgues, rzeka, nad którą leżała wioska Vaucluse, niegdyś (1337—1353) mieszkanie Petrarki. Tutaj głównie pisywał swe sonety do Laury.

Str. 384. Przyłuski Leon (1789—1865), arcybiskup gnieźnieński.

Str. 395. antropologia, nauka o człowieku, jego ciele i duszy, o jego fizycznych własnościach i duchowym rozwoju.

Str. 397. *nervus rerum gerendarum*, główny środek działania. — Harpie, u staroż. poetów greckich potworne ptaki z obliczem dziewic, chciwe łupu i nienasycone, prześladujące ludzi.

Str. 403. fenomenologia, nauka o fenomenach czyli zjawiskach, objawach.

Sta. 407. Eumenidy, furye, u staroż. Greków boginie zemsty, wyrzutów sumienia. — Nemesis, u star. Greków bogini karzącej sprawiedliwości.

Str. 409. demon, zły duch.

Str. 420. *cogito, ergo sum*, myślę, więc jestem.

Str. 422. jeden z nauczycieli . . . t. j. Fran. Bacon.

Str, 426. książę, z którego dworem Soplica jedzie, to Karol Radziwiłł, wojewoda wileński (Panie kochanku). — Ks. Radziwiłł Mikołaj Krzysztof, nazwany przez Zygmunta Augusta Sierotką (1549—1616). W r. 1582. podróż do Ziemi św.

Str. 427. Poniewież, miasto w gub. kowieńskiej. — Koźmian, mecenas, ojciec Kajetana. — Hebdów, wieś w pow. miechowskim nad Wisłą, niegdyś sławne opactwo kanoników regularnych, zwanych Norbertanami. Bardzo dawny klasztor w pięknem położeniu.

Str. 428. ciwun, rządca dóbr królewskich na Litwie; w ogóln. urzędnik wiejski na Litwie. — Ejragoła, miasteczko pow. kowieńskiego, na lewym brzegu rzeki Dubissy.

Str. 430. prepetycya, dalsza napaść.

Str. 431. JW. Sandomirski, roz. deputat na Trybunał.

Str. 432. perystyl, przedsionek. — Huńka, wierzchnia suknia z grubego, domowego sukna.

Str. 433. Banda albeńska, zawiązana w Albie pod Nieświeżem, było to stowarzyszenie, zostające pod zwierzchnictwem ks. Karola Radziwiłła »Panie Kochanku«. Mundur Albeńczyków był barwy Radziwiłłowskiej, t. j. kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, spinka z emalii błękitnej, na której z brylanciков była cyfra z trzech liter: K. X. R. — *fiducia amicorum fortis*, zaufaniem przyjaciół silny (tj. Radziwiłł).

Str. 434. Wobec przewagi Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym r. 1763., Karol ks. Radziwiłł wraz z innymi przeciwnikami »familii« opuścił Polskę. Zaocznie przeprowadzili Czartoryscy dekret, skazujący go jako nieprzyjaciela ojczyzny *(hostem patriae)* na banicyę i odsądzenie od wszelkich praw obywatelskich *(abiudicatio ab omni activitate)*. Dopiero w r. 1767. konfederacya radom. obwoławszy Radziwiłła marszałkiem, w tryumfie sprowadziła go do kraju.

Str. 435. tynf, dawna moneta polska, licząca 1 złp. 6 gr. (tj. około 20 ct.), tak nazwana od Andrzeja Tympfa, mincarza za Jana Kazimierza.

Str. 436. arabeski, figury fantastyczne w malowidle, składające się z linij i liści i latorośli, rozmaicie poplątanych i powiklanych. — Ks. biskup wileński, Massalski.

Str. 437. Królowa rodaczka, Marya Leszczyńska.

Str. 438. talia, kibić, postać.

Str. 441. *ad libitum*, według upodobania, do woli. — Farfurowy, fajansowy. — Jazgarz, jaszcz v. jaźdź, ryba koścista, należąca do rzędu piersiopletwych. — Sielawa, lipień, gatunek ryby łososiowatej. — Figatele, farsze z cielęciny, kapłona i t. p. — garnirować, bramować, w koło obszywać, obkładać. — *n*aroki (nie *m*aroki), wnętrzności. — Pistacye, pistakowe, mastyksowe drzewo.

Str. 444. sterkoryzować, nawozić, nawozem użyźniać.

Str. 445. tempo, szybkość ruchu, poruszenie.

Str. 446. dyskurs o *modum executionis* wyroków, rozmowa o sposobie wykonania; *expulsionis*, wygnania. — Substytut, zastępca, mający kogoś wyręczyć.

Str. 448. wilczaty, podobny do wilka, szary, bury.

Str. 450. konsolacya, pocieszenie.

Str. 451. exces, wybryk.

Str. 452. *vale*, bądź zdrów. — Kanaparz, kanafarz = szafarz, śpiżarny, piwniczy klasztorny. — Dyspensa, szafowanie, wydawanie; — *ad interim*, tymczasowo.

Str. 453. *consilium*, narada. — *Patres et fratres*, ojcowie i bracia. — *colloquia*, rozmowy. — Ćwik, gatunek gry w karty.

Str. 454. obedyencya *(oboedientia)*, posłuszeństwo. — Obligacya, zobowiązanie. — Konwinkować, podbijać, zniewalać.

Str. 455. molestacya, naprzykrzanie się.

Str. 456. wokacya, powołanie. — Wotywa, msza na czyją intencyę odprawiona; przed sumą śpiewana. — definitor, radca zakonny. — Probant, serwitor, stopnie w życiu zakonnem.

Str. 457. sajeta, sukno delikatne, cienkie. — Śliż, sielawa, lipień, gatunek ryby.

Str. 458. experyencya, doświadczenie. — Sumpt, nakład, koszt. — Kustodya, straż, nadzór.

Str. 460. herold, publiczny głosiciel czegoś, zwiastun.

Str. 461. pęcina, miejsce na nodze, powyżej kopyta. — Nizanie, nawlekanie, przewlekanie.

Str. 462. w. 10. z góry ma być: sparowa*n*i. — połciem, bokiem.

Str. 465. w zadzie za wszystkimi, w tyle, poza wszystkimi. — Kopnąć się, popędzić, puścić się. — Nawroczyć, na-uroczyć, urzec, uroki na kogoś rzucić.

Str. 468. soliter, dyament wielki, sam w oprawie osadzony.

Str. 480. Kollokacya, rozmieszczenie wierzycieli na jakiejś majętności ziemskiej; sam majątek między kilku właścicieli podzielony. Takim majątkiem, mającym kilku dziedziców, były Czaplińce, niegdyś jedną stanowiące całość, później przez exdywizyę na wiele cząstek podzielone.

Str. 481. beret, ubranie kobiet na głowę. — Szloma, żyd, arendarz miejscowy, handlujący zarazem rozmaitymi towarami. — Fermoar, zapinka przy paciorkach, łańcuszkach. — Fontaź, dwie kluczki, na które związana jest tutaj chustka na szyi. — Industrya, przemysł, zręczność.

Str. 485. kastorowy, bobrowy.

Str. 489. Wiek św. Bernarda, tj. wiek XII. Św. Bernard z Clairvaux ur. 1091. umarł 1153.

Str. 492. Winryk von Kniprode p. obj. str. 76. w. 245.

Str. 494. Baszkon Godysław, podskarbi (1253) biskupa Boguchwała, następnie kustosz poznański. † w końcu w. XIII. Napisał kronikę.

Str. 495. Złotorya, miasto w ziemi dobrzyńskiej w Prusiech, gdzie Drwęca uchodzi do Wisły.

Str. 497. W dziele »Wstęp krytyczny do dziejów Polski« dowodzi B., iż Linchici przyszli z Illiryi do Dacyi, a stąd nad Wisłę — i tak dali początek państwu polskiemu.

Str. 497. w. 4. Bojan, wedł. podania, poeta ruski, który opiewał Włodzimierza Wiel. i innych bohaterów narodowych.

Str. 498. w. 11. Jarosław († 1054), syn Włodzimierza W. — w. 11. pojedynek Mścisława, księcia tmutorokańskiego, z Rededyą, księciem kazogskim, opisuje kronikarz Nestor pod r. 1022. Roman Krasny, książę tmutorokański, zginął r. 1079. — w. 25. właśnie w r. 1185. dn. 1. maja było zaćmienie słońca. — w. 39. Trojanem nazywano Włodzimierza Wielkiego. — w. 43. Weles, imię często w kronikach ruskich powtarzane; wedł. niektórych = bożek pasterzy: jego potomkiem Bojan. — w. 44. Suła, rzeka na Ukrainie Zadnieprskiej. — w. 48. tur, dziki wół; u starożyt. Słowian symbol siły. — w. 49. Wszewołod nazywa Igora: jedyną swą światłością.

Str. 499. w. 56. jaruga, kałuża, wądół, jar błotnisty. — w. 58. tuł, przyrząd do przechowywania strzał, sajdak. — w. 64. dziwo, diw, bóstwo karzące i prześladujące. — w. 68. Tmutorokań, księstwo należące dawniej do Rusi, później własność Połowców. — w. 77. szczyt, tarcza. — w. 80, 81. Gzak, Konczak — wodzowie Połowców. — w. 90. Szełomian ma być wzgórze niedaleko Donu. — w. 91. Strybóg, bożek wiatrów u Słowian.

Str. 500. w. 127. Dadźbog, Dadźboh, bożek szczęścia, czczony w Kijowie. — w. 145. Koszczej, książę połowiecki.

Str. 501. w. 150. cisowe (nie ciosowe) łoże. — w. 164. Wszewołod, trzeci syn księcia Olega Światosławicza tmutorokańskiego. — w. 168. Ruryk i Dawid, synowie wielkiego księcia Rościsława Mścisławicza, towarzysze Igora. — w. 178. put, szlak, droga (putnik, pątnik). — w. 181. Dunajem nazywano w pieśniach każdą większą rzekę (Dniestr, Dniepr, Don). — w. 185. Jarosławna, małżonka Igora, córka Jarosława Władymirowicza, ks. halickiego.

Str. 502. w. 202. Kobiak, książę połowiecki, w r. 1184. przez Światosława pobity i z dwoma synami do niewoli wzięty. — w. 202. Łada, dawne bóstwo porządku i piękności; tutaj tyle co: mąż kochany. — w. 217. Owlur, wedł. kroniki Połowczanin, który Igorowi do ucieczki dopomógł.

Str. 504. w. 3. z góry Simonides z wyspy Keos, poeta grecki (556—468). — Matrykuły, księgi wpisowe członków jakiegoś stowarzyszenia, szczególnie słuchaczy uniwersytetu. — *Baccalaureus*, od XIII w. tytuł akademicki uczniów uniwersytetu, którzy, złożywszy pierwszy egzamin, dostąpili prawa miewania niektórych odczytów; stąd najniższy stopień naukowy. — *Magister*, stopień wyższy.

Str. 509. Kiermasz, jarmark. — Konfederacya gołąbska r. 1672. — Bitwa pod Kliszowem r. 1702. — Bitwa pod Pułtawą r. 1709.

Str. 510. *a verbis ad verbera*, od słów do razów.

Str. 511. Bitwa pod Byczyną r. 1588. — Bitwa pod Guzowem r. 1607. — Konfederacya szczebrzeszyńska r. 1672. — Konfederacya tarnogrodzka r. 1715—1717. — *inamoratissimo cavaliere*, kawaler bardzo zakochany.

Str. 512. Białystok na Litwie. — Sybaris, niegdyś bogata osada grecka w Italii południowej, nad wybrzeżem Tarentyńskiem; ludność (Sybaryci) osławiona ze zbytków i rozwiązłego życia.

Str. 514. Celadon. Jest to imię kochanka z sielanki Honoryusza d' Urfé (1567—1625) p. t. Astraea; stąd Celadon tyle znaczy co kochanek. — Rokosz Lubomirskiego (1664—1666); bitwy pod Częstochową 10. sierpnia i pod Mątwami 13. lipca 1666. — w r. 1666. wybuchła wojna z Turcyą, z powodu poddania się Piotra Doroszeńki sułtanowi. Pod Batohem (10. listop. 1666) Sebastyan Machowski wzięty do niewoli, poniósłszy klęskę; r. 1667. odniósł Sobieski zwycięstwo pod Podhajcami.

Str. 515. Pielaskowice, Pielaszkowice, wieś w pow. krasnostawskim, niegdyś rezydencya letnia króla Jana III; pozostał piękny park, wówczas założony. — Klęska pod Parkanami dn. 7. paźdz., zwycięstwo dn. 9. paździer. 1683. — Kamieniec, zabrany przez Turków r. 1672., zostawał w ich ręku do r. 1699. (tj. do pokoju Karłowickiego).

Str. 518. Przegląd poznański, założony przez Jana Koźmiana (p. str. 640), wychodził 1845—1865.

Str. 519. Biblioteka warszawska, założona r. 1841., wychodzi dotąd. — Dodatek do Czasu wychodził 1856—1861. — Dziennik literacki od r. 1852. — Wiadomości (Roczniki) polskie 1857—1861.; wyd. 1865. 4 tomy. — Poznańskie Towarz. przyj. nauk., założone w r. 1857., dzieli się na dwie sekcye: nauk historycznych i moralnych — i nauk przyrodzonych. Od r. 1860. wychodzą Roczniki Tow. przyj. nauk w Pozuaniu.

Str. 546. Boryszkowce (właśc. Boruszkowce), wieś nad Słuczą w pow. nowogrodzkim na Wołyniu. Bitwa 15. czerwca 1792. (p. Teod. Morawskiego, Dzieje narodu polskiego, t. V. str. 317.). — w. 13. Wielhorski Michał, generał, dowódca dywizyi, syn Wielhorskiego Michała, W. Kuchmistrza; przedtem służył w wojsku austryackiem.

Str. 547. w. 57. Ostaszewski Kazimierz, były rotmistrz kawaleryi narodowej, który pod Mohortem służył, opowiadał poecie szczegóły bitwy na grobli.

Str. 551. w. 17. mentor, przewodnik. W Odyssei Homera pod postacią i imieniem Mentora, przyjaciela Odysseusza, Minerwa udziela synowi jego Telemakowi rad i krokami jego kieruje.

Str. 560. Hagar na pustyni. Z rozkazu Bożego odprawił Abraham swą niewolnicę Hagarę z jej synem Ismaelem. Gdy na pustyni (Bersabee) groziła Ismaelowi śmierć z pragnienia, zjawił się anioł i wskazał Hagarze pobliskie źródło. Ocalony tym sposobem Ismael stał się według podania praojcem dwunastu książąt arabskich.

Str. 564. Acernus, Klonowicz, p. Wyp. cz. I. str. 142.

Str. 565. IV, 9. półwłocz, pół włoki (włoka, miara powierzchni, łan).

Str. 566. V, 28. tuz (w kartach), as; kralka, dziesiątka (dyska).

Str. 569. dacki, z Dacyi (prow. rzym., dzisiejszej Wołoszczyzny, Siedmiogrodu, Mołdawii i Bukowiny). — w. 1. Ister, w starożytności Dunaj u ujścia. — w. 3. roz-ora, skiba przeorana, rowek. — w. 9. bardysz, berdysz, kij z siekierką na kształt halabardy. — w. 24. Sarmatami nazywano w starożytności lud mieszkający na wschód od Germanii i Dacyi, aż do Donu i Wołgi.

Str. 570. w. 41. Akwilon, nazwa wiatru północnego u starož. Rzymian. — w. 69. Emon, Karakas, nazwiska wodzów wojsk tureckich.

Str. 573. wedł. wiary ludu dusza człowieka, będącego w letargu, odchodzi do Boga, a gdy powróci do ciała, zatrzymuje pamięć tego, co tam widziała. Nazywa to lud zachwyceniem.

Str. 582. *povero*, biedny.

Str. 594. Głupi Janek był to biedny garbusek, który sam jeden z całej wioski litościwie wspierał Tumrego i Motrunę.

Str. 595. harować, ciężko pracować.

Str. 596. dwudziestkę uprząść, t. j. tak cienkie prząść nici, że 20 potrzeba pasem na pewną szerokość płótna, na którą grubszych nici wyszłoby mniej (n. p. tylko 10).

Str. 598. Hubertsburg w Saksonii, niegdyś zamek myśliwski elektora saskiego (r. 1721. zbudowany), w czasie wojny 7-letniej zniszczony; dziś zakład karny.

Str. 599. Meiseńska porcelana. Meissen, Miśnia, miasto w Saksonii, sławne fabryką porcelany.

Str. 603. Sułkowski ułożył był plan zagarnięcia Czech dla Saksonii.— Koenigstein, twierdza w Saksonii, rozpoczęta r. 1589., skończona r. 1731.

Str. 606. Książka do modl. Die wahre u. gründliche Gottseligkeit aller Christen ingemein, nebst einer Abhandlung vom Gebet. (1740, 2. wyd. 1773). — Mikołaj Ludwik hr. Zinzendorf (1700—1760) założył sektę »Braci Morawskich« czyli Herrnhuterów (t. zw. od miejscowości Herrnhutt, gdzie była tej sekty siedziba).

Str. 609. łotoć, roślina z żółtym kwiatem, na błotach rosnąca.

Str. 614. Sambor, wychowaniec Wisza; Dziwa, córka Wisza. — Żalnik, w czasach pogańskich pagórek usypany na grobie, mogiła.

Str. 615. tokowisko, klepisko, miejsce ubite. — Bierwiono, belka nieociosana, tram. — Tryzna, ofiara grobowa.

Str. 618. Łada, bóstwo u Słowian pogańskich. — Ludek, syn Wisza; Doman, młody kmieć, który się starał o rękę Dziwy, a nie mogąc uzyskać spełnienia swych próśb, usiłował porwać ją gwałtem.

Str. 619. Smerdami nazywano dowódców ludzi książęcych.

Str. 622. enigmatyczny, zagadkowy, tajemniczy. — Koszemar, cauchemar, zmora.

Str. 623. Mickiewicz na wieczorze u pani Ottylii, synowej Goethego, pokazał sztukę z zebranymi od pań pierścionkami, z których wyczytał najskrytsze tajemnice serca każdej właścicielki. — David d' Angers, Francuz, był rzeźbiarzem; do Weimaru przybył dla zrobienia popiersia Goethego. Mieszkał wraz z Mickiewiczem i Odyńcem w hotelu »pod słoniem«.

Str. 624. Parnas, u staroż. Greków góra w Focydzie koło Delf, siedziba Muz; stąd przenośnie: poezya w ogólności.

Str. 625. Wiktor Pavie, młody poeta francuski, przyjaciel Wiktora Hugo; przybył z Davidem do Weimaru. — Niobe, żona Amfiona, króla Teb, która straciwszy naraz wszystkich synów i córki, z żalu skamieniała.

Str. 628. Nazońska metamorfoza. P. Ovidius Naso napisał poemat p. t. Metamorfozy, t. j. Przemiany.

Str. 632. w. 1. Wletawa, Wełtawa, poboczna rzeka Łaby. — w. 3. luty, srogi. — w. 4. tucza, ulewny, gwałtowny deszcz. — w. 9. miano, mienie, własność. — w. 11. Otawa, Wotawa, rzeka w Czechach, z której dobywano piasek złoty; wpada do Wełtawy. — w. 13. Radbuza, rzeka wpadająca do Mrzy koło Pilzna. — w. 14. Klenowicze. Jednym z towarzyszy Czecha miał być Klen. — w. 15. nazwisko Popiel pospolite było w Czechach; Tetwa imię własne. — w. 17. Trzy rzeki — Wisła, Odra i Łaba; wedł. innych: Gran, Łaba i Morawa. — w. 18. Łastówka, jaskółka. Tutaj, jak się zdaje, rozumieć należy przez ten obraz drugą siostrę powaśnionych braci. — w. 28. na przedprożu: sądy zagajano w przysionkach lub na dziedzińcu zamkowym. — w. 31. Lubica koło Podjebradu, miejsce urodzenia św. Wojciecha. Chełm Dobrosławska, może Kralewy Hradec, założony przez Dobrosława.

Str. 633. w. 36. san, smok. — Trut, rycerz, od którego imienia miasto Trutnów. — w. 39. Sazawa, rzeka, wpadająca w Wełtawę powyżej Pragi. — w. 79. święty sęd, naczynie — wyraz jeszcze w w. XVI w Polsce używany.

Str. 634. w. 95. gorze, biada! — w. 104. zwólcie, wybierajcie, wybierzcie; w pieśni »Bogarodzica«: Matko zwolena = wybrana. — w. 118. z kmiećmi (znakomitymi ziemianami), lechy (stanem rycerskim), władykami (naczelnikami pokoleń).

Str. 642. Lukrecya, żona Lucyusza Tarquiniusza Kollatyna, odznaczająca się pięknością i cnotą, znieważona przez Sextusa Tarquiniusza, odebrała sobie życie i przez to spowodowała wypędzenie Tarquiniuszów z Rzymu. — Marek Kurcyusz, szlachetny Rzymianin, który dla ocalenia ojczyzny rzucił się w otwartą otchłań na rynku Rzymu, gdy wieszczkowie oświadczyli, że państwo jest zagrożone, jeżeli się otchłań nie zawrze, a stanie się to tylko wtedy, gdy się wrzuci w nią, co Rzym ma najdroższego. Młody rycerz Kurcyusz zawołał na to, iż największym skarbem, jaki Rzym ma, jest zbroja — i uzbrojony skoczył w otchłań, która się zaraz zawarła.

Str. 643. w. 26. monolit (wyraz grecki), pomnik wykuty z jednej sztuki kamienia.

Str. 644. Wiersz do klasyków — p. Wyp. cz. I. str. 658. — Lubonia, majątek generała Morawskiego w Poznańskiem. — Referendarz Morawski, brat generała.

Str. 645. minister, Felix Łubieński, ojciec pani referendarzowej Morawskiej.

Str. 646. Ad. Mickiewicz bawił w Poznańskiem w r. 1831. (do marca 1832).

Str. 647. *exegi monumentum* = dokonałem dzieła pomnikowego (Horacego ody III. 309). — *asper* = srogi.

Str. 659. Chmielecki Stefan, sławny pogromca Tatarów i obrońca Ukrainy. Umarł jako wojewoda kijowski r. 1630. — Koniecpolski Stanisław, hetm. w. kor., zięć Żółkiewskiego, pod Cecorą do niewoli wzięty, po 4 latach powrócił. Wielekroć pobił Tatarów, n. p. pod Dźwinogrodem (1624), pod Martynowem (1626), szczególnie pod Ochmatowem (1644). Umarł roku 1646.

Str. 665. Dwa lata, t. j. 1646 i 1648.

Str. 666. Kisiel Adam, kasztelan bracławski, wojewoda kijowski. Gdy wybuchł bunt Kozaków, radził użyć środków raczej łagodnych. Umarł bezpotomnie r. 1653.

Str. 668. Radziwiłł Olbracht Stanisław (1593—1656), kanclerz W. litewski, pozostawił Pamiętniki, napisane po łacinie; przełożył je Hieronim Radziwiłł na język polski, a wydał hr. Raczyński (1839).

Str. 670. Kalinowski Marcin, hetman polny koronny, pobity pod Korsuniem r. 1648., dostał się do niewoli. Poległ pod Batohem 1652. — Potocki Mikołaj, hetman w. kor., kasztelan krakowski, walczył z Kozakami i Tatarami. Umarł r. 1651.

Str. 691. Dezydery Chłapowski, urodził się 23. maja 1788; do szkoły wojskowej uczęszczał w Berlinie, w akademii artyleryi. W r. 1806. wstąpił do wojska Napoleońskiego i służył w niem aż do r. 1813. Do r. 1830. zajmował się gospodarstwem. W powstaniu listopadowem brał udział najpierw w Koronie pod wodzą Chłopickiego i Skrzyneckiego, potem na Litwie pod wodzą Giełguda. Po upadku powstania, uwolniony z więzienia pruskiego, osiadł w majątku dziedzicznym, pełniąc gorliwie obowiązki obywatela i chrześcianina. Umarł r. 1879 (26. maja).

Str. 692. Na pensyi francuskiej, gdzie go w Berlinie pomieszczono, zapoznał się Dezydery Chłapowski z dwoma Francuzami, synami księcia Caraman, którzy z nim kolegowali, a zawiązana tam przyjaźń dotrwała między nimi aż do śmierci (Kalinka: Chłapowski str. 9.).

Str. 704. otrzymał referendaryę litewską. Referendarz, urzędnik koronny w Polsce, odbierający i podający sprawy, nadesłane do rozstrzygnięcia; później urzędnik, zdający sprawę z wniesionych podań.

Str. 706. w. 18. z dołu. Cytat z Vergil. Aen. II, 385. i dal. Los sprzyja pierwszej walce. O towarzysze, idźmy gdzie (którędy) nam sam los drogę do ocalenia wskazuje!

Str. 715. w. 19. troki, rzemienie, łyka do wiązania czego, więzy.

Str. 720. halabardnik, strażnik noszący halabardę, t. j. kopię z toporem, poniżej grotu osadzonym — sc. 10. w. 19. rozpaczą bez granic i wstydem powodowana, ukryć chciała Jadwiga ślub swój z Wilhelmem; w tę tajemnicę gwałtem wdzierają się panowie.

Str. 723. w. 78. Krywe Krywejte, najwyższy kapłan w Litwie pogańskiej. Tutaj Jagiełło nazywa tak biskupa krakowskiego.

Str. 727. w. 26. Cicero niegdyś, wolny od zatrudnień i zajęć publicznych, w *Tusculum* używał wczasu *(otia)*; napisał nawet Rozmowy tuskulańskie.

Str. 729. w. 63. Jest to tak zwana sprawa »dokończenia granic« między Polską a Moskwą. Rozejmem w Dywilinie r. 1619. odstąpiła była Moskwa Polsce między innemi ziemiami także 15 milowy trakt Trubecki za Dnieprem. Kraj ten chcieli potem Moskale wymieniać za inną ziemię carstwa. Wreszcie w r. 1644. za znaczny okup odstąpił Władysław IV Trubeck i tak załatwił sprawę »dokończenia granic«. Ale ten zwrot zmartwił ówczesnych posiadaczów tej ziemi, t. j. małoletniego potomka Gedymina, Jerzego Wiganda Trubeckiego. Nie chciał on wracać pod panowanie moskiewskie, lecz domagał się od Rzpltej albo innej ziemi albo wynagrodzenia pieniężnego. Tak też później uczyniono: młodemu księciu wynagrodzono stratę sumą 180.000 zł., innym zaś poszkodowanym ziemianom kwotą 20.000.

Str. 730. w. 105. W r. 1557. i 1563. wyszedł statut abecadłowy Herburta z Fulsztyna, używany w sądach, ale nie mający sankcyi.

Str. 731. w. 129. Prokrust, u starož. Greków zbójca, który ofiary swej srogości kładł na łoże i obcinał im nogi, jeżeli łoże stósownie do ich wzrostu było za krótkie. Zabił go bohater Tezeusz. — w. 169. Tiepolo, poseł wenecki; Torre, nuncyusz papieski.

Str. 732. Cesarze rzymscy: Tyberyusz, 14—37 po Chr.; Vitellius, 69 po Chr.; Trajan, 98—117; Verus, panował wspólnie z M. Aureliuszem (161—169); Marek Aureliusz, 161—180; Karakalla, 211—217.

Str. 733. Antinous, ulubieniec ces. Hadryana, sławny ze swojej piękności; znudzony życiem, rzucił się do Nilu. Po jego śmierci czcił H. pamięć jego posągami i pomnikami. — Agryppina, matka Nerona, była siostrą ces. Kaliguli, a córką Germanika, brata ces. Klaudyusza i Agryppiny, wnuczki ces. Augusta. Po śmierci Messaliny, trzeciej żony Klaudyusza, została Agryppina żoną Klaudyusza.

Str. 734. Brytannik i Oktawia byli dziećmi Klaudyusza i Messaliny.

Str. 737. czworakie bywały u starożytnych Greków igrzyska: co 2 lata obchodzone nemejskie, w dolinie nemejskiej, i istmijskie, na Istmie korynckim; i co 4 lata urządzane pytyjskie, w dolinie Kirry w Focydzie; i olimpijskie, w Elidzie.

Str. 739. Nemesis (p. objaśn. do str. 407).

Str. 740. Heliopolis, miasto w dolnym Egipcie. — histryon = aktor. — lapidarny, krótki, zwięzły.

Str. 744. *extraneami* nazywano tych, którzy do rady fakultetu nie należeli. W r. 1480. za sprawą Jana z Oświęcimia (Sacrana) przeprowadzono tę reformę, iż kollegiatów podzielono na większych, mniejszych i extraneów. Tym ostatnim dano możność wyboru na dziekana tylko co lat 6 raz, a nawet przepisano, że nikt extraneem nie zostanie, dopóki przez dwa lata wszystkich obowiązków kollegiata pełnić nie będzie. — Celtes Konrad przybył do Krakowa r. 1488., ale r. 1489. już wyjechał. Dłuższy (tutaj opuszczony) ustęp 2-giej prelekcyi poświęca autor przybyciu i pobytowi Celtesa w Krakowie. — »Siedm gwiazd« mniemany poemat Kopernika, wydany drukiem przez Jana Brożka (Brosciusa).

Str. 745. Hamlet, imię bohatera tragedyi Szekspira; jest to królewicz duński, którego charakter odznacza się brakiem energii i męskiej

woli. — Filip II., król hiszpański (1556—1598). — Elżbieta, królowa angielska (1558—1603). — Henryk IV, król francuski, pierwszy z Burbonów (1589—1610). — Pius V, święty (1566—1572). — Ignacy Loyola (1491—1556), Hiszpan, założyciel zakonu Jezuitów (1540); kanonizowany r. 1622.

Str. 746. *Eritis sicut Deus* i t. d. Będziecie jako Bóg, znający co dobre i co złe. (Słowa szatana do Ewy).

Str. 752. Konstancya. Sobór w Konstancyi od r. 1414—1418. — Bazylea. Sobór od 23. sierpnia 1431. do 7. maja 1449.

Str. 753. immatrykulacya, wpisanie do matrykuły, t. j. do księgi zawierającej imiona uczniów uniwersytetu. Akt ten odbywa się uroczyście. — Anteusz, syn Ziemi i Poseidona, olbrzym, którego Herkules w powietrze podniósł i udusił, spostrzegłszy, że Anteusz o ziemię rzucony, świeżych sił nabierał.

Str. 756. Na medalu, dla Konarskiego wybitym, był napis: *sapere auso.*

Str. 760. w. 7. z góry. »Wiek złoty, który sam przez się bez żadnego nakazu przestrzegał wierności i słuszności«.

Spis ważniejszych pisarzów,

w tem dziele wspomnianych.

Agricola Rudolf, młodszy, z Weissenburga, około r. 1509. przybył do Krakowa, gdzie skończył uniwersytet. Jakiś czas bawił we Wiedniu. Pisał wiersze łacińskie. (Agricola Rudolf, starszy [1443—1485], jeden z największych humanistów).

Alfieri Vittorio (1749—1803), włoski poeta dramatyczny (Meropa, Brutus, Saul, Wirginia i inne).

Alwar (właśc. Alvares, Emmanuel Alvarus 1526—1584), uczony filolog, Jezuita. Sławną była jego gramatyka łacińska, której przez długi czas w szkołach jezuickich używano.

Andrzejowski Antoni (1785—1868), botanik, prof. w lic. krzemienieckiem, potem w akad. kijowskiej (»Flora Ukrainy«, 1869), wydał wiele dzieł naukowych w jęz. polskim i francuskim, i drobne utwory literackie: Ramoty starego detiuka (6 t.).

Ariosto Ludwik (1474—1533), poeta włoski, autor epopei p. t. Orland szalony.

Aristoteles (384—322 przed Chr.), największy filozof grecki, którego dzieła (szczeg. logika) w wiekach średn. były podstawą wszech nauk.

Asnyk Adam (ur. 1838), zamieszkały w Krakowie. Wydał: Poezye w 3 tomach; utwory dramatyczne, tragedye: Rienzi; Kiejstut. — Komedye: Gałązka heliotropu: Walka stronnictw; Bracia Lerche.

Augier Emil (ur. 1820), francuski poeta dramatyczny: Cykuta; Bezczelni (Les Effrontés); Syn Giboyera; Fourchambault i inne.

Azeglio Massimo (1798—1866), powieściopisarz i publicysta, żarliwy szermierz wolności Włoch (powieść: Nicolo de Lapi).

Balbo Cesare hr. (1789—1853), historyk i polityk włoski (Historya Włoch, od najdawniejszych czasów do r. 1814.), wykazujący przyczyny upadku niepodległości Włoch i środki jej odzyskania.

Balzac Honoryusz de (1799—1850), powieściopisarz: Sceny z życia prywatnego; Sceny z życia prowincyonalnego; Sceny z życia paryskiego; Powiastki zabawne — i inne.

Balzer Oswald (ur. 1858), prof. prawa polskiego w uniwers. lwowskim: Geneza trybunału koronnego (1886); Studya nad prawem polskiem (1889) — i inne.

Bałucki Michał (ur. 1837), komedyopisarz: Polowanie na męża; Radcy pana Radcy; Dom otwarty; Grube ryby — i inne. Pisuje także powieści.

Bandtkie Jerzy Samuel (1768—1835), prof. bibliografii w akademii Jagiell., wydał kilka dzieł naukowych: Historya drukarń krakowskich; Hist. biblioteki uniwer. Jagiell.; Hist. drukarń w Królestwie polskiem — i inne. [Jego brat Jan Wincenty, 1783—1848, badacz prawa polskiego i jego historyi].

Baudouin Jan Ignacy de Courtenay (ur. 1845), prof. porównawczej filologii słowiańskiej w Dorpacie, napisał kilka rozpraw o języku polskim.

Beauplan Wilhelm de, za Zygmunta III i Władysława IV starszy kapitan artyleryi, służył pod hetmanem Koniecpolskim na Ukrainie. Zrobił mapę Ukrainy i zostawił jej opis.

Bebel Henryk (1472—1516), głośny humanista, wydał Tryumf Wenery i *Novus liber facetiarum*.

Bełcikowski Adam (ur. 1839), skryptor Bibl. Jagiell., wydał wiele dramatów (n. p. Mieczysław II; Bolesław Śmiały) i wiele rozpraw literackich (Ze studyów nad literaturą polską, 1886).

Beniowski Maurycy (1741—1786): Historya podróży i osobliwszych zdarzeń (Warszawa 1802).

Bentkowski Felix (1781—1852), prof. historyi w liceum, potem w uniwersytecie warszawskim, wkońcu zawiadowca archiwum krajowego. Wydał pierwszą w Polsce Historyę literatury polskiej w 2 tomach.

Beranger Piotr Antoni (1787—1857), liryczny poeta francuski.

Bernatowicz Felix (1786—1836), powieściopisarz: Pojata, córka Lizdejki, i Nałęcz.

Berwiński Ryszard Wincenty, niedawno zmarły poeta, Wielkopolanin: Poezye (1844); Don Juan poznański; Studya o literaturze ludowej (2 tomy, 1854).

Biegeleisen Henryk (ur. 1855): Pan Tadeusz Mickiewicza (1884).

Bielkiewicz Adam (1798—1840), dr. medycyny i chirurgii, prof. anatomii w Wilnie. Około gabinetu anatomicznego wileńskiego wielkie położył zasługi.

Bliziński Józef (ur. 1827), komedyopisarz: Przezorna mama; Marcowy kawaler; Pan Damazy; Szach i mat — i wiele innych.

Bobrzyński Michał (ur. 1849), b. prof. uniw. Jag., wiceprezydent kraj. Rady szkolnej: Dzieje Polski w zarysie (w 2 t. w wyd. 3); prócz tego opracował i wydał wiele pomników prawa polskiego.

Borkowski Józef Dunin hr. (1809—1843), poeta i tłómacz, brat Leszka, znanego jako pisarza i posła.

Borowski Leon (1784—1846), po śmierci Euzeb. Słowackiego profesor literatury i wymowy w akademii wileńskiej.

Bossuet Jakób (1627—1724), wielki teolog i kaznodzieja francuski. Oprócz Kazań wydał: Rozprawę o historyi powszechnej; Wykład nauki katolickiej — i wiele innych.

Boutterwek Fryderyk (1766—1828), prof. filozofii w uniwersytecie w Göttingen, wydał wiele dzieł i rozpraw filozoficznych, estetycznych i literackich (Geschichte der neueren Poesie u. Beredsamkeit w 12 tomach).

Brodowicz Józef, dr. medycyny, długoletni prof. uniwers. Jagiell., prezes krak. Towarz. naukowego, wydał wiele dzieł i rozpraw z zakresu medycyny.

Brodziński Kazimierz (1791—1835), p. Wyp. cz. I. str. 662.

Broscius (Brożek) Jan (1585—1652), prof. matematyki i astronomii w uniwers. Jagiell. Wydał kilka dzieł naukowych, także mniemany poemat Kopernika p. t. *Septem sidera.*

Brückner Alexander, Lwowianin, prof. filologii słowiańsk. w uniwers. berlińskim, wydał kilka rozpraw, odnoszących się do gramatyki i historyi języka polskiego.

Brudzewski Wojciech (z Brudzewa, 1445—1497), prof. matematyki i astronomii w uniwers. Jagiell., nauczyciel Kopernika.

Büchner Fryderyk Karol (ur. 1824), dr. medycyny w Darmstadt, wydał wiele dzieł: Kraft u. Stoff (od r. 1855. kilkanaście wydań); Natur u. Geist; Aus Natur u. Wissenschaft; Das Alter des Menschengeschlechtes; Der Mensch u. seine Stellung in der Natur — i inne.

Bürger Gottfried August (1747—1794), poeta niemiecki, twórca nowoczesnej ballady (Lenore, Der wilde Jäger, Das Lied von dem braven Manne).

Byron George Noel Gordon (1788—1824), poeta angielski: Child Harolda podróże; Giaur; Narzeczona z Abydos; Korsarz; Lara; Oblężenie Koryntu; Więzień Chillonu; Mazepa; Wyspa; Don Juan; Manfred; Kain.

Calderon Piotr (1600—1681), największy dramatyczny poeta hiszpański. (N. p. Książę niezłomny; Kochankowie nieba; Nabożeństwo do krzyża; Lekarz swego honoru; Sędzia z Zalamei; Życie snem).

Cantu Cesare (ur. 1805), z Medyolanu, historyk, autor Historyi powszechnej w 19 tomach. Wydawał także utwory powieściowe, szczególnie przeznaczone dla młodzieży.

Chateaubriand Franciszek René de (1768—1848). Do ważniejszych jego dzieł należą: Duch chrześciaństwa; Męczennicy czyli tryumf religii chrześciańskiej; Atala; René.

Chelius Maksymilian (1794—1876), znakomity lekarz niemiecki, szczególnie chirurg, prof. w Heidelbergu. Wydał kilka dzieł naukowych.

Chmielowski Piotr (ur. 1848), wydał bardzo wiele dzieł. Oprócz wymienionych we wstępie: Autorki polskie (1885); Zarys literatury ostatnich lat 20 (1886); Studya i szkice z literatury polskiej (2 t., 1886); Nasi powieściopisarze (1887).

Chodźko Alexander (1804—1891), przyjaciel Mickiewicza; od r. 1858. prof. literatury słowiańskiej w Paryżu. W młodości pisywał poezye (»Maliny«).

Chojeński Jan (1487—1538), biskup przemyski, od r. 1835. krakowski. Zasłużony mecenas nauk (Kromer, Struś).

Chołoniewski Stanisław (1791—1846), ksiądz, sławny kaznodzieja. (Kazania dopiero r. 1888. wydane); wydał nadto: Sen w Pod-

horcach; Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej; Pisma religijno-moralne.

Comte Izydor August (1798—1857), z zawodu matematyk; wydał wiele dzieł (n. p. Cours de philosophie positive 1830—1842. w 6 tomach; Système de politique positive w 4 t. 1851—1854; Catéchisme positiviste 1853 — i inne).

Cooper James Fenimore (1789—1851), poeta i powieściopisarz amerykański (Szpieg; Ostatni Mohikanin; Pionierowie; Prerya — i inne).

Coxius, Anglik, w dziele: De laudibus celeberrimae academiae Cracoviensis 1518, wylicza z Krakowian jako humanistów: Erazma Morsztyna, Erazma Becka i innych.

Cybulski Wojciech (1808—1867), prof. uniw. wrocławskiego: Dziady Mickiewicza (1864); Odczyty o poezyi polskiej (2 t., 1870).

Czacki Tadeusz (1765—1813), badacz przeszłości narodu (O litewskich i polskich prawach), wizytator szkół i założyciel liceum krzemienieckiego (Korespondencya z H. Kołłątajem).

Czerwiakowski Ignacy (1808—1882), prof. botaniki w uniwersytecie Jagiellońskim, wydał: Botanikę ogólną (2 t.) i Botanikę szczegółową (t. 6).

Dante Alighieri (1265—1321), wielki poeta włoski: Komedya boska, poemat w 100 pieśniach.

Dantyszek Jan (1485—1548), biskup warmiński, poeta łaciński. Kilka utworów tłóm. Syrokomla.

Darwin Karol Robert (1809—1882), sławny angielski przyrodnik; prywatnie żyjąc, z zapałem pracował i wydał wiele dzieł głośnych w całym świecie, n. p. On the origin of species by means of natural selection 1859.

Dembowski Edward († 1846): Piśmiennictwo polskie w zarysie, Poznań 1845.

Descartes René czyli Kartezyusz (1596—1650), wielki filozof francuski: Rozmyślania nad pierwszą filozofią (Meditationes de príma philosophia) i Zasady filozofii (Principia philosophiae).

Deszkiewicz Jan Nep. († 1869). Gramatyka jęz. polsk. Rzeszów, 1846; O pisownictwie polskiem, 1869; Rozbiór Dra Małeckiego gramatyki, 1863 — i inne.

Dietl Józef, prof. uniwers. Jagiell., prezydent miasta Krakowa, wydał wiele dzieł i broszur medycznych i wiele pism politycznych.

Domejko Ignacy († 1889), przyjaciel A. Mickiewicza, prof. chemii i fizyki w uniwers. w Sant-Jago (Chili).

Dumas Alexander (1803—1870), poeta dramatyczny (Henryk III i dwór jego; Karol VI; Kaligula) i powieściopisarz (Trzej muszkieterowie; Hrabia Monte-Christo).

Dumas Alexander, syn (ur. 1824), francuski pisarz dramatyczny (Dama z kamelią; Dyana de Lys; Przyjaciele) i powieściopisarz (Zofia Printemps; Clemenceau).

Działyński Tytus hr. (1797—1861), założyciel biblioteki kórnickiej, wydawał wiele źródeł historycznych, szczególnie Acta Tomiciana w 8 tomach; dalsze dwa wydał syn jego Jan (1829—1880).

Dzieduszycki Maurycy hr. (1813—1877): Piotr Skarga i wiek jego (2 t.); Zbigniew Oleśnicki (2 t.); Żywot W. Sierakowskiego; Żywot W. Pola — i inne.

Eoban Hessus (Helius Eobanus) z Hessyi (1488—1540), zwany królem erfurckich poetów, przesadzał w użyciu obrazów mitologicznych. Bawiąc od r. 1510. na dworze Hioba z Dobeneck, biskupa pomezańskiego, przybył z nim do Krakowa r. 1512. Tutaj napisał na wesele Zygmunta I z Barbarą Zapolską poemat łaciński (1512).

Erasmus Desiderius z Rotterdamu (1467—1536), sławny humanista, jeden z największych uczonych swego czasu.

Eschyl (525—456), grecki poeta dramatyczny: Trylogia Oresteja; Persowie; Prometeusz w okowach; Siedmiu przeciwko Tebom.

Faleński Felicyan (ur. 1824.), poeta oryginalny (Kwiaty i kolce; Odgłosy z gór) i tłómacz (Pieśni Petrarki).

Ficinus Marsilius (1433—1499), lekarz włoski, humanista, tłómacz Platona i prof. w akademii Platońskiej we Florencyi.

Fredro Jan Alexander (1829—1891), komedyopisarz: Przed śniadaniem; Posażna jedynaczka; Obce żywioły; Wielkie bractwo — i inne.

Gamrat Piotr († 1545), biskup krakowski od r. 1538. do r. 1540., wkońcu arcybiskup gnieźnieński.

Gervinus Jerzy Gottfried (1805—1871), znakomity htstoryk niemiecki. »Historya w. XIX.« w 8 tomach; Shakespeare w 2 tomach; Historya narodowej poezyi niemieckiej w 5 tomach — i inne.

Goethe Jan Wolfgang (1749—1832): Götz v. Berlichingen; Die Leiden des jungen Werther; Clavigo; Iphigenie auf Tauris; Egmont, Torquato Tasso; Wilhelm Meisters Lehrjahre; Hermann u. Dorothea; Wil. Meisters Wanderjahre; Faust.

Gołuchowski Józef (1797—1858), przez krótki czas (1823—1824) prof. filozofii w akademii wileńskiej.

Górecki Antoni (1787—1861), Litwin, żołnierz Napoleoński, po powstaniu r. 1831. osiadł w Paryżu. Poeta, pisywał od r. 1834. szczególnie bajki i wiersze okolicznościowe.

Grabowski Michał (1805—1863), krytyk i powieściopisarz (pod przybranem nazwiskiem Edwarda Tarszy): Koliszczyzna i stepy; Stannica hulajpolska; Tajkury; Pamiętniki domowe; Zamieć w stepach.

Grochowski Stanisław (1542—1612), p. Wyp. cz. I. str. 149.

Groddeck Ernest (1760—1826), prof. filologii klasycznej w uniwers. wileńskim, autor wielu dzieł i wydawca pism Sofoklesa i Cicerona.

Groza Alexander (1807—1875), pisarz ukraiński, poeta (Starosta kaniowski; Jassyr batowski) i prozaik (Obrazki ukraińskie; Mozaika).

Häusser Ludwik (1818—1867), historyk niemiecki: Historya Niemiec od śmierci Fryderyka Wielkiego w 4 tomach; Historya rewolucyi francuskiej; Historya reformacyi — i inne.

Hanusz Jan (1858—1887), docent gram. porównawczej w uniwers. wiedeńskim, napisał kilka rozpraw odnoszących się do gramatyki i historyi jęz. polskiego.

Hartmann Karol Robert (ur. 1842.), filozof niemiecki. Wydał bardzo wiele dzieł (n. p. Die Philosophie des Unbewussten; die Religion des Geistes; Wahrheit und Irrthum im Darwinismus; Studien — i wiele innych).

Hegel Jerzy Wilhelm Fryderyk (1770—1831), sławny filozof, prof. uniwer. heidelberskiego, wkońcu berlińskiego, autor wielu dzieł (18 tomów).

Heine Henryk (1799—1856), poeta niemiecki, szczególnie liryczny i satyryczny.

Herder Jan Gottfried (1744—1803): Legendy i przypowieści; Die Stimmen der Völker; Cid.

Hipparch (około 160—125 przed Chr.), uważany za twórcę umiejętności astronomii.

Holtei Karol (1797—1880), poeta niemiecki, szczeg. dramatyczny.

Q. Horatius Flaccus (65—8 przed Chr.), największy w starożytności poeta rzymski (Ody; Epody; Satyry; Listy).

Hozyusz Stanisław (1504—1579), biskup warmiński, kardynał, obrońca wiary katolickiej; prezydował na soborze trydenckim.

Hube Romuald (ur. 1803.), prof. uniwers. warszawskiego i petersburskiego, wydał wiele dzieł i rozpraw, n. p. O teoryach prawa kryminalnego; Historya praw karnych słowiańskich (1870); Prawo polskie XIII w. (1875), w. XIV (1881—86); Zbiór przysiąg sądowych (1888).

Hugo Wiktor (1802—1885), najsławniejszy poeta francuski w. XIX. (Ody i ballady; Poezye wschodnie; Legenda wieków — dramata: Hernani; Król się bawi; Lukrecya Borgia; Marya Tudor; — powieści: Notre Dame; Nędznicy).

Hutten Ulrich von (1488—1523), humanista, przez Maksymiliana I uwieńczony poeta, zrazu pisywał tylko po łacinie, później tłómaczył własne dzieła na jęz. niemiecki. W końcu życia przeszedł do reformacyi.

Janicki Klemens (1516—1543), poeta łaciński. Elegie jego tłómaczył Syrokomla, p. Wyp. cz. I.

Janiszewski Jan Chryzostom (1818—1891), biskup sufragan poznań., wydał wiele (20) mów i kazań przygodnych i kilka pism teologicznych, wkońcu dzieło Kościół i państwo chrześciańskie.

Jański Bohdan († 1840), wydawał w Paryżu pismo polityczne i literackie: Pielgrzym 1833.

Januszkiewicz Eustachy († 1874). Litwin, przyjaciel Mickiewicza na emigracyi, księgarz, wydawca pism polskich we Francyi.

Jaraczewska Elżbieta (1792—1832), autorka powieści obyczajowych: Wieczór adwentowy; Pierwsza młodość, pierwsze uczucie.

Jarochowski Kazimierz (1829—1888), Wielkopolanin, wydał wiele dzieł histor. np. Dzieje panowania Augusta II; Opowiadania i studya historyczne (4 tomy) — i inne.

Jarocki Felix Paweł (1790—1862), zoolog, prof. uniwers. warszawskiego i dyrektor tamtejszego gabinetu zoologicznego, autor wielu dzieł i rozpraw naukowych.

Jastrzębowski Wojciech, do r. 1858. nauczyciel botaniki, mineralogii i fizyki w instytucie gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie; niezmordowany w pracy, wydał wiele dzieł naukowych i popularnych.

Jean Paul, właśc. Jan Paweł Fryderyk Richter (1763—1825), powieściopisarz i estetyk.

Jerlicz Joachim, w w. XVII brał udział w różnych bitwach. Napisał Latopisiec albo Kroniczka od 1620—1673.

Jezierski Franc. Salezy (1738—1791), ksiądz, za czasów Komisyi edukacyjnej jako generalny wizytator szkół gorliwie zajmował się edukacyą młodzieży. Napisał bardzo wiele dzieł i broszur.

Jundziłł Stanisław Bonifacy (1761—1847), przyrodnik, przez lat 26 prof. uniwers. wileńskiego, autor wielu dzieł naukowych.

Juwenal *(D. Junius Juvenalis)*, żył w I w. po Chr.; satyryk.

Kalicki Bernard († 1884), urzędnik Wydziału krajowego, niegdyś lektor ociemniałego Szajnochy; wydał kilka szkiców historycznych.

Kalina Antoni (ur. 1846), Wielkopolanin, prof. porównaczej filologii słowiańsk. w uniwers. lwowskim, wydał kilka rozpraw, odnoszących się do gramatyki i historyi jęz. polskiego.

Kamiński Jan Nepomucen (1777—1855), twórca narodowej sceny we Lwowie, tłómacz i pisarz oryginalny (Krakowiacy i górale, cz. II.). Był też redaktorem Gazety lwowskiej i Rozmaitości od r. 1827. do 1848.

Kaczkowski Zygmunt (ur. 1826), powieściopisarz: Powieści ostatniego z Nieczujów; Murdelio; Bracia ślubni; Starosta hołobucki; Sodalis Marianus; Annuncyata; — Wnuczęta; Rozbitek; — Abraham Kitaj; — Olbrachtowi rycerze — i inne.

Karnkowski Stanisław (1520—1603), arcybiskup gnieźnieński, żarliwy obrońca kościoła katolickiego, »młotem kacerzy« zwany.

Karpiński Franciszek (1741—1825), p. Wyp. cz. I. str. 502.

Kartezyusz p. Descartes.

Katullus *(G. Valerius Catullus)*, liryczny poeta rzymski (87—54 przed Chr.).

Klaczko Julian (ur. 1823). Wydał wiele rozpraw w Rocznikach polskich (4 t.); Poezya polska i poeta bezimienny w w. XIX.; Wieczory florenckie (tłóm. z franc. Stanisł. hr. Tarnowski). Z pism politycznych główne »Deux études de diplomatie contemporaine.

Klonowicz Sebastyan Fabian (1545—1602), p. Wyp. cz. I. str. 142.

Kochanowski Jan (1530—1584), p. Wyp. cz. I. str. 107.

Kolberg Oskar (1817—1891), wydał kilkadziesiąt tomów, opisujących zwyczaje i obyczaje ludu polskiego w różnych dzielnicach. Ogólny tytuł dzieła: Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa i t. d.

Konarski Jan (1447—1525), biskup krakowski.

Konopnicka Marya (ur. 1846), zamieszkała w Warszawie: Poezye.

Kopernik Mikołaj (1473—1543), znakomity astronom polski (O obrotach ciał niebieskich).

Koronowicz W., właśc. Waleryan Wróblewski (1809—1877), historyk, napisał: Słowo dziejów polskich.

Korsak Julian (1807—1855), towarzysz i przyjaciel Mickiewicza i Odyńca, poeta oryginalny i tłómacz (Dantego Komedya Boska).

Korwin czyli Wawrzyniec Raba z Nowego Targu na Szląsku, humanista.

Korytkowski Jan (1824—1888), ksiądz: Jarosław Skotnicki, arcybiskup gnieźn.; Prałaci i kanonicy katedry gnieźn. (3 t.); Zbigniew Oleśnicki; Arcybiskupi gnieźn. do r. 1821.

Korzeniowski Józef, prof. medycyny w uniwersytecie wileńskim, potem w akademii chirurgicznej w Wilnie. Wydał kilka dzieł w języku łacińskim.

Korzon Tadeusz (ur. 1839): Historya powszechna (w 3 częściach); Wewnętrzne dzieje Polski za Stan. Aug. (4 t.)

Kozłow Jan (1774—1838), poeta rosyjski; tłómacz Sonetów krymskich Mickiewicza, który mu nawet poświęcił swego Farysa.

Kozmian Kajetan (1772—1856), p. Wyp. cz. I. str. 626.

Kozubowski Antoni, dr. medycyny, prof. uniwers. Jagiellońskiego, członek krakowsk. Towarz. naukowego, wydał kilka dzieł naukowych (n. p. o jedwabnikach, o chowie jedwabników, o sposobach rozmnażania morw).

Kromer Marcin (1512—1589), p. Wyp. cz. I. str. 72.

Krüdener Julianna de (1766—1824) napisała romans p. t. Walerya.

Kryński Adam Antoni (ur. 1844), prof. gimn. w Warszawie, napisał wiele rozpraw z zakresu gramatyki języka polskiego.

Krzycki Andrzej († 1537), arcybiskup gnieźnieński, poeta łaciński. Kilka jego utworów tłómaczył Syrokomla.

Kubala Ludwik (ur. 1838), prof. gimn. we Lwowie: Stan. Orzechowski; Szkice historyczne (2 t.); Jerzy Ossoliński (2 t.).

Kulisz Pantalemon (ur. 1819), zrazu poeta i powieściopisarz, potem historyk rosyjski (Zapiski o južnoj Rusi).

Lacordaire Henryk Dominik (1802—1861), sławny kaznodzieja francuski i pisarz filozoficzny.

Lam Jan (1838—1886), publicysta i powieściopisarz (Panna Emilia; Głowy do pozłoty; Dziwne karyery). Sławne były w swoim czasie jego kroniki niedzielne w Dzienniku polskim.

Lamartine Alfons (1790—1869), sławny poeta francuski, przez krótki czas prezydent Rzpltej francuskiej w r. 1848. Napisał także historyę Żyrondystów. Dzieła jego wyszły w 40 tomach.

Lammenais Franciszek Robert (1782—1854) wydał: O obojętności w rzeczach religii; Religia w stosunkach z porządkiem społecznym; Rozprawy krytyczne i różne myśli o religii i filozofii; O religii; Szkic filozofii.

Leibnitz Gottfried Wilhelm (1646—1716), wielki filozof niemiecki, prezes akademii nauk w Berlinie, autor wielu dzieł.

Lessing Gotthold Efraim (1729—1781), poeta dramatyczny: Minna v. Barnhelm; Emilia Galotti; Natan mędrzec — i krytyk: Listy o literaturze; Laokoon; Hamburska dramaturgia.

Lewicki Anatol, prof. uniwers. Jag., wydał: Mieszko II.; Wstąpienie na tron Kazimierza Jagiellończyka — i inne.

Likowski Edward ks., biskup sufragan poznański (ur. 1836): Hist. unii kościoła ruskiego z rzymskim; Dzieje kościoła unickiego na Litwie i Rusi; Rokowania poprzedzające unię brzeską.

Linné Karol (Linneusz 1707—1778), sławny naturalista, prof. botaniki w Upsali.

Liske Ksawery (1838—1891), długoletni prof. uniwers. lwowskiego, założyciel i dożywotni prezes honor. Towarz. historycznego i redaktor Kwartalnika historycznego. Studya z dziejów XVI wieku; Cudzoziemcy w Polsce; szczególnie się zasłużył około wydawnictwa aktów grodzkich i ziemskich (t. 2—15).

T. Livius (Patavinus), sławny historyk rzymski (59 przed Chr. do 17 po Chr.).

Locke John (1632—1704), sławny filozof angielski, z powodów politycznych przez Jakóba II. prześladowany; pisma jego (wyszły w 10 tomach) wielki wpływ wywarły na encyklopedystów franc.

T. Lucretius Carus (98—55 przed Chr.), sławny poeta rzymski, wyznawca nauki Epikura, nap. poemat w 6 pieśn. *de rerum natura.*

Łaski Jan, młodszy (1499—1560), jeden z najsławniejszych w Europie protestantów, przebywał i działał w różnych krajach; od roku 1556. osiadł w Polsce. Wydał wiele dzieł treści religijnej.

Łazowski Dobromysł Eugeni Łada (1807—1868), prof. gimn. we Lwowie: Gramatyka języka polskiego 1848.; Gram. języka polsk., dzieło konkursowe 1861 — i inne.

Łepkowski Józef (ur. 1826), prof. archeologii w uniwers. Jagiellońskim: Starożytności i pomniki Krakowa; Przegląd krakowskich tradycyj, zwyczajów...; Sztuka, zarys jej dziejów — i inne.

Łoziński Walery (1838—1861), pisał powieści: Szlachcic chodaczkowy; Czarny Martwij; Zaklęty dwór — i inne.

Łoziński Władysław (ur. 1843), powieściopisarz: Pierwsi Galicyanie; Legionista; Opowiadania Wita Narwoja; Nowe opowiadania W. N.; Skarb watażki — i inne. Nadto: Patrycyat lwowski (Lwów starożytny).

Łukaszewicz Józef (1799—1873), historyk: O kościołach braci czeskich; Dzieje kościołów wyzn. helweckiego na Litwie; w Małopolsce; Historya szkół w Koronie i W. X. Litewskiem (4 tomy).

Łukaszewicz Lesław (1811—1855): Rys dziejów piśmiennictwa polskiego. Od r. 1836. kilka było wydań.

Łuszczewska Jadwiga, Deotyma (ur. 1830): Improwizacye i poezye; Rapsody o chrobrym królu; Wanda. Powieści prozą: Na rozdrożu; Krzyż nad otchłanią; Branki w jasyrze.

Łuszczkiewicz Władysław (ur. 1828), prof. szkoły sztuk pięknych w Krakowie: Zabytki sztuk pięknych Krakowa; Malarstwo religijne w Polsce; Trzy epoki sztuki w zamku krakowskim — i wiele innych.

Maciejowski Samuel (1478—1550), biskup krakowski, kanclerz w. kor., wielki mowca.

Maciejowski Wacław Alexander (1793—1883), profesor w liceum, potem w uniwersytecie warszawskim, autor wielu dzieł (Historya prawodawstw słowiańskich; Historya włościan; Żydzi w Polsce,

na Rusi i Litwie; — Piśmiennictwo polskie 3 t.; — Polska do połowy w. XVII).

Magnuszewski Dominik (1810—1845): Niewiasta polska w trzech wiekach; Dramat w naturze; Rozbójnik salonowy itp.

Maistre Józef de (1755—1821), mąż stanu i pisarz; poseł sardyński przy dworze rosyjskim; wiele dzieł, główne o Papieżu.

Majer Józef (ur. 1808), prof. uniwers. Jagiellońskiego, pierwszy prezes Akademii umiejętności w Krakowie: Słownik anatomiczno fizyologiczny; Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich; wiele prac, głównie w zakresie antropologii.

Majorkiewicz Jan (1820—1847): Historya, literatura i krytyka.

Malherbe Franciszek (1555—1628), poeta (Ody, pieśni); odznaczał się nadzwyczajną starannością o formę swych wierszy.

Malinowski Franciszek (1807—1881), ksiądz, wielki znawca języków, wydał między innemi: Krytyczno-porównawczą gramatykę jęz. polskiego, z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porównawczej.

Malinowski Lucyan (ur. 1836), prof. porówn. filologii słowiańsk. w uniw. Jagiel., wydał wiele rozpraw, odnoszących się do hist. jęz. polskiego.

Małecki Antoni (ur. 1821), Wielkopolanin. Prelekcye o filologii klasycznej; Gramatyka jęz. polskiego; Biblia król. Zofii; Słowacki, jego życie i pisma; Gramatyka historyczno-porównawcza 2 tomy — i inne.

Manzoni Alexander hr. (1785—1873), sławny poeta włoski (Ody; Hymny) i powieściopisarz (Narzeczeni).

Marcinkowski Karol (1800—1846), znakomity lekarz, założyciel Tow. pomocy naukowej w Poznaniu (1841), które imię jego nosi.

Massillon Jan Chrzciciel (1663—1744), kaznodzieja francuski (Kazania adwentowe i postne).

Mecherzyński Karol (1800—1881), przez długie lata prof. literat. polsk. w uniwers. Jagiell., napisał wiele dzieł i rozpraw. Najważniejsze: Historya wymowy w Polsce (3 t.).

Mill John Stuart (1806—1873), sławny angielski filozof i polityk (walczył szczególnie w obronie zasady równouprawnienia kobiet), wydał wiele dzieł i rozpraw (np. System of logic; Principles of political economy; Aug. Comte and positivism — i inne).

Modrzewski Andrzej (1503—1572), p. Wyp. cz. I. str. 44.

Moleschott Jakób (ur. 1822), zrazu pryw. docent w Heidelbergu, potem prof. fizyologii w Zurychu, od r. 1879. w Rzymie. Wydał wiele dzieł i rozpraw (np. Physiologie der Nahrungsmittel 1850.; Physiologie des Stoffwechsels in Pflanzen u. Thieren; der Kreislauf des Lebens — i inne).

Molière, właśc. Jan Chrzciciel Pocquelin (1620—1673), najsławniejszy komedyopisarz franc. (np. Skąpiec; Mizantrop; Świętoszek).

Montalembert Karol Forbes de (1810—1871): Życie św. Elżbiety; Katolicyzm i wandalizm w sztuce; Zakonnicy zachodni itp. (Par francuski za Ludwika Filipa, znakomity mowca, wielki obrońca i przyjaciel Polski).

Moore Tomasz (1780—1852), poeta angielski: Pieśni irlandzkie, Lalla Rookh; Raj i Peri; Czciciele ognia.

Moraczewski Andrzej (1802—1855), Wielkopolanin, historyk: Starożytności polskie; Dzieje rzeczypospolitej polskiej (9 tomów).
Morawski Franciszek (1783—1861), p. Wyp. cz. I str. 652.
Morus (Moore) Tomasz (1480—1536), humanista angielski i poeta. Najważniejsze jego dzieło treści politycznej jest Utopia.
Motteville Franciszka (1621—1689), autorka Pamiętników o Annie Austryackiej.
Menzel Wolfgang (1798—1873), autor dzieła »die deutsche Litteratur«, w którem starał się wpływać na ducha narodowego, budzić w ziomkach zapał do wolności i miłość ojczyzny.
Mile Jan (1789—1839), dr. medycyny, prof. fizyologii w uniwers. warszawskim, autor kilku dzieł naukowych.
Mucyanus Rufus (Konrad Muth), humanista i poeta.
Muczkowski Józef (1795—1858), prof. uniwers. Jagiellońskiego: Gramatyka jęz. polskiego; Mała gramatyka jęz. pol.
Musset Alfred de (1810—1857), poeta liryczny (Powiastki hiszpańskie i włoskie; Ody) i dramatyczny (Przysłowia dramatyczne i utwory dram.).
Naruszewicz Adam (1733—1796), p. Wyp. cz. I str. 458.
Narzymski Józef (1839—1872), komedyopisarz: Pan prezydent w kłopotach; Epidemia; Pozytywni.
Nehring Władysław (ur. 1830), Wielkopolanin, prof. w uniwers. wrocławskim, wydał wiele rozpraw literackich (Studya literackie) i studyów lingwistycznych (Iter Florianense; Altpolnische Sprachdenkmäler — i inne).
Newton Izaak (1642—1727), znakomity matematyk, astronom i fizyk, prof. matematyki w Cambridge.
Niemcewicz Julian (1758—1841), p. Wyp. cz. I, str. 562.
Norwid Cypryan, mieszkając na emigracyi w Paryżu, wydał kilka utworów poetycznych i literackich (n. p. O sztuce dla Polaków; O Jul. Słowackim — i inne).
Nowicki Emilian Klemens, prof. uniwers. alexan. w Warsz., wydał kilka dzieł naukowych (np. O złamaniu kości, o odejmowaniu członków).
Okoński Władysław, p. Świętochowski.
Oleszkiewicz Józef (1777—1830), znakomity malarz, członek petersburskiej akademii sztuk pięknych.
Olizarowski Tomasz August (1811—1879), wychowaniec liceum krzemienieckiego, poeta. Przetłómaczył także A. Mickiewicza Konfederatów barskich i Jakóba Jasińskiego.
Orzechowski Stanisław (1513—1566), p. Wyp. cz. I. str. 54.
Orzeszkowa Eliza (ur. 1842), zamieszkała na Litwie; wydała bardzo wiele powieści: n. p. Marta; Eli Makower; Meir Ezofowicz; Nad Niemnem.
Osiński Ludwik (1775—1838), p. Wyp. cz. I. str. 600.
P. Ovidius Naso (43—17 po Chr.), poeta rzymski: Elegie; Fasti; Metamorfozy (Przemiany).
Padura Tomasz (1801—1871), poeta ukraiński, pisał po polsku i po rusku.

Paprocki Bartosz (1543—1614), pierwszy polski pisarz heraldyczny (Gniazdo cnoty; Herby rycerstwa polskiego — i inne).

Paracelsus Filip Aureolus Hohenheim (1493—1541), słynny lekarz i naturalista. Wydał wiele dzieł (10 tomów).

Paszkowski Józef (1817—1861), tłómacz Szekspira.

Paweł z Krosna, poeta łaciński, nauczyciel Krzyckiego, żył w początku wieku XVI.

Pawiński Adolf (ur. 1840), prof. uniwers. warszawskiego: Sprawy Prus książęcych za Zygm. Aug. (1879); Stefan Batory pod Gdańskiem (1877); Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stef. Batorego (1881); Rządy sejmikowe w Polsce (1888); Polska XVI. w. pod względem geograficzno-statystycznym (5 tomów, 1883—89).

Persius (34—62 po Chr.), poeta rzymski, satyryk.

Piekosiński Franciszek (ur. 1844), prof. uniwers. Jagiellońskiego, opracował i wydał kilka pomników prawa polskiego, jakoteż wiele aktów dyplomatycznych w. średnich.

Pilat Roman (ur. 1846), prof. literatury polskiej w uniwers. lwowsk.: Literatura polityczna sejmu czteroletniego (1872). Wiele rozpraw po różnych pismach.

Plato (429—347 przed Chr.), filozof grecki, twórca szkoły Akademików, autor bardzo wielu dzieł (dyalogów), n. p. Obrona Sokratesa; Kriton; Fedon czyli o nieśmiertelności duszy; Protagoras — i inne.

Plinius, naturalista rzymski, który w r. 79. zginął podczas wybuchu Wezuwiusza.

Plutarch (50—120 po Chr.), historyk grecki. Znane są jego Żywoty sławnych mężów, greckich i rzymskich, pisane parami (paralelle).

Poliziano Angelo († 1494), sławny włoski humanista, poeta oryginalny i tłómacz arcydzieł literatury klasycznej.

Pope Alexander (1688—1744), poeta angielski, szczeg. liryczny.

Possevino Antoni (1534—1612), Jezuita, autor kilku dzieł, n. p. *Bibliotheca selecta* albo *Apparatus sacer*.

Propertius Aurelius, starożytny poeta rzymski, elegik (48 przed — 22 po Chr.).

Prusinowski Aleksy (1819—1872), Wielkopolanin, ksiądz, znakomity kaznodzieja: Mowy na nabożeństwie żałobnem za Mickiewicza, Krasińskiego, Lelewela — i inne (Poznań, 1861).

Przyborowski Józef (ur. 1823), Wielkopolanin: Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego (1857); Rodzina poety Kaspra Miaskowskiego (1862) — i inne.

Ptolemeusz Klaudyusz (około 120 po Chr.), słynny astronom, matematyk i geograf. Wiele dzieł napisał. Od jego imienia naukę o obrocie ciał niebieskich nazwano systemem Ptolemeusza.

Puszkin Alexander hr. (1799—1837), poeta rosyjski.

Raciborski Adam, dr. medycyny, prof. w paryskiej akademii medycznej. Wydał wiele dzieł naukowych.

Raczyński Edward hr. (1787—1845), Wielkopolanin, gorliwie oddany celom naukowym; za jego staraniem powstała w Poznaniu biblioteka; on też wydał wiele cennych do historyi i literatury

polskiej źródeł (n. p. Pamiętniki Paska, Radziwiłła, Kitowicza i innych).

Remak Robert (1815—1865), dr. medyc, wydał parę dzieł naukowych.

Reuchlin Jan (1455—1522), mąż w dziejach szkolnictwa niemieck. bardzo zasłużony, sławny humanista. Wydał wiele dzieł, między innemi o Kabbali, mistycznej nauce hebrejskiej *(de arte cabbalistica* 1517).

Rousseau Jan Jakób (1712—1778), jeden z najgłośniejszych pisarzów francuskich w w. XVIII. Jego dzieła: Nowa Heloiza; Umowa społeczna; Emil czyli o wychowaniu; Moje wyznania.

Rzyszczewski Leon, uczeń liceum krzemienieckiego, współpracownik Biblioteki warszawskiej, historyk, wydał między innemi (z Helclem i Maciejowskim): Kodex dyplomatyczny polski.

Sacranus Jan († 1527) — tak nazywał się zwyczajem humanistów Jan z Oświęcimia — kaznodzieja i spowiednik królewski; r. 1493., 1494. i 1513. rektor uniwers. Jagiell.

Sand George, właśc. Dudevant Amantyna Aurora (1804—1876), wielkiego talentu autorka mnogich powieści: Indiana; Walentyna; André, Consuelo, Mauprat i inne. Wydała także kilka utworów dramatycznych.

Sarbiewski Kazimierz Maciej (1595—1640), poeta łaciński wielkiej sławy, »polski Horacy«. Ody jego tłómaczył Syrokomla (p. str. 569).

Sardou Wiktoryn (ur. 1831), francuski poeta dramatyczny: Sąsiedzi; Rodzina Benoitonów; Nasi poczciwi wieśniacy; Serafina; Rabagas; Teodora — i inne.

Schelling Fryderyk Wilhelm (1775—1854), sławny filozof niemiecki. Dzieła jego wyszły razem zebrane w 14 tomach.

Schiller Fryderyk (1759—1805): Die Räuber; Fiesco; Kabale und Liebe; Don Carlos; Lied v. d. Glocke; Wallenstein; Maria Stuart; Die Jungfrau v. Orleans; Die Braut v. Messina; Wilhelm Tell.

Schlegel August Wilhelm (1767—1845), poeta, szczególnie ważny jako tłómacz Szekspira i Calderona, znany także jako krytyk (Vorlesungen über dram. Kunst u. Literatur).

Schlegel Karol Wilhelm (1772—1829), brat poprzedniego, sławny estetyk i historyk literatury (Ueber die neuere Geschichte; Geschichte der alten u. neueren Literatur).

Schlosser Fryderyk Krzysztof (1776—1861), sławny historyk niemiecki, długoletni prof. w uniwers. heidelberskim. Napisał wiele dzieł; ważniejsze są: Dzieje w. XVIII.; Historya powszechna (w 19 tomach).

Scott Walter (1771—1832), poeta i powieściopisarz angielski: Dziewica jeziora; Pieśni ostatniego Minstrela; Waverley; Narzeczona z Lammermooru, Ivanhoe, Kenilworth — i inne.

Scribe Augustyn Eugeniusz (1791—1861), autor wielu dramatów, zwłaszcza wielu komedyi (n. p. Szklanka wody; Wojna kobiet; Opowiadania królowej Nawarry). Pisał też libretta do wielu oper.

Semenenko Piotr (1814—1886), w powstaniu r. 1831. brał udział; wyświęcony r. 1841. Po śmierci Kajsiewicza generał zakonu OO.

Zmartwychwstańców. Przeciw Towiańskiemu wydał: Towiański et sa doctrine (Paryż, 1850).

Sevigné Maria, margrabina de (1627—1696): Listy do córki. Są to opowiadania o królewskim dworze i życiu w stolicy, spisywane dla córki, bawiącej w Prowancyi. (Piękne studyum o tej autorce napisał Stan. Koźmian, Pisma t. 2.).

Shelley Percy (1792—1822), poeta angielski: Prometeusz wyzwolony.

Sienicki Mikołaj, w w. XVI jeden z głównych zwolenników i obrońców różnowierstwa w Polsce, wielki mowca: w r. 1565. był marszałkiem izby sejmowej, a w r. 1569. gorąco popierał unię Polski z Litwą.

Sienkiewicz Henryk (ur. 1846), powieściopisarz, zamieszkały w Warszawie: Stary sługa; Hania; Janko muzykant; Przez stepy; Za chlebem; Latarnik; Bartek zwycięzca; — Listy z podróży; Ogniem i mieczem; Potop; Wołodyjowski; Bez dogmatu.

Sierociński Teodozy (1789—1857), gramatyk i pedagog, autor wielu dzieł gramat. (Pierwsze zasady gramatyki pol.; Gram. polska dla kl. I. i II.; Pogląd histor. na pisownię polską — i inne) i pedagog. (Pedagogika).

Skaliger Józef Just (1540—1609) i tegoż ojciec Juliusz Cezar Scaliger (1484—1558), sławni filologowie i krytycy.

Skarbek Fryderyk (1792—1866), powieściopisarz: Pan starosta; Życie i przypadki Faustyna Dodosińskiego, Powiastki polskie (»Mundur«); — historyk: Dzieje księstwa warszawskiego; Dzieje królestwa polskiego; — ekonomista: Gospodarstwo narodowe.

Skarga Piotr (1536—1612), p. Wyp. cz. I. str. 152.

Skobel Fryderyk Kazimierz (1806—1876), prof. medycyny w Krakowie, wydał wiele dzieł naukowych; szczególnie czuwał nad czystością jęz. polskiego.

Słowacki Euzebiusz (1772—1814), ojciec poety Juliusza, prof. liceum krzemienieckiego, wkońcu uniwersytetu wileńskiego.

Smolka Stanisław (ur. 1850), prof. uniwers. Jagiell.: Henryk Brodaty (1872); Mieszko Stary i jego wiek (1881); Szkice historyczne (1882—1883, 2 tomy).

Śniadecki Jan (1756—1830), p. Wyp. cz. I. str. 645.

Sofokles (496—406), grecki poeta dramatyczny: Antygona; Król Edyp; Edyp w Kolonie; Ajas; Elektra; Filoktet.

Sokołowski Maryan (ur. 1839), prof. uniwers. Jagiellońskiego: Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy; Bizantyńska i ruska kultura; Sztuka cerkiewna na Rusi — i inne.

Sommerfeld Jan, zwyczajem humanistów zwany *Aesticampianus*, autor dzieła *Hortuli elegantiarum*, humanista.

Soulié Melchior Fryderyk (1800—1847), poeta dramatyczny (Klotylda; Syn obłąkanego; Kochankowie z Murcyi) i powieściopisarz (Sathaniel; Pamiętniki szatana).

Sowa Antoni, właść. Żeligowski Edward (1816—1864), wydał fantazyę dramatyczną p. t. Jordan (1846) i Poezye (1858).

Spasowicz Włodzimierz (ur. 1829), adwokat w Petersburgu, wydał: Historyę literatury polskiej (wyd. II 1880., po rosyjsku) i wiele

rozpraw literackich, n. p. o W. Polu, o W. Syrokomli, o Konradzie Wallenrodzie — i inne.

Spencer Herbert (ur. 1820), sławny angielski filozof i polityk, wydał wiele dzieł w tym kierunku (n. p. A system of synthetic philosophy; Education, intellectual, moral, physical; The classification of the sciences — i wiele innych).

Stadnicki Kazimierz hr. (1796—1886), autor wielu dzieł historycznych, szczególnie z dziejów Litwy (Synowie Gedymina; Bracia Jagiełły; Olgierd i Kiejstut — i inne).

Struve Henryk (ur. 1840), prof. filozofii w uniwers. warszawskim, wydał wiele dzieł naukowych, n. p. Synteza dwóch światów; Wykład logiki.

St. Simon Klaudyusz Henryk hr. (1760—1825), założyciel nauki socyalistycznej od niego nazwanej. Wydał wiele pism i broszur w tym kierunku.

Suchecki Henryk (1811—1872), prof. gimn. we Lwowie, potem prof. jęz. polskiego w uniwers. praskim, wkońcu w uniwers. Jagiell. w Krakowie: Nauka jęz. polsk.; Budowa jęz. polskiego, pojaśniona wykładem historycznym porównawczym.

Sue Eugeniusz (1804—1857), słynny w swoim czasie powieściopisarz francuski: Tajemnice Paryża w 8 tomach; Żyd wieczny tułacz w 10 tomach; Siedm grzechów głównych w 16 tom.

Swetoniusz (*C. Suetonius Tranquillus*), historyk rzymski (około r. 100. po Chr.), napisał żywoty 12 pierwszych cesarzy (począwszy od Caesara); zachowała się cząstka z drugiego dzieła *de viris illustribus*.

Świętochowski Alexander (ur. 1849), publicysta warszawski, znany także pod pseud. Władysł. Okońskiego (Niewinni; Antea; Za maską — i inne).

Szaniawski Józef Kalasanty (1764—1843), filozof: Co jest filozofia?— System chrystyanizmu krótko wyłożony; Rzut oka na dzieje filozofii od czasu upadku jej u Greków i Rzymian aż do epoki odrodzenia — i inne.

Szekspir Wilhelm (1564—1616), angielski poeta dramatyczny. Komedye n. p. Wesołe kumoszki; Kupiec wenecki; Sen nocy letniej — tragedye: Hamlet; Makbet; Król Lir; Jul. Cezar; Antoniusz i Kleopatra; Koryolan; Otello; Romeo i Julia; — tragedye z historyi angielskiej; Król Jan, Ryszard III., Henryk IV., VI., VIII.

Szmitt Henryk (1817—1883): Dzieje Polski XVIII. i XIX. w. (4 t.); Dzieje panowania Stan. Augusta (3 t.).

Szokalski Wiktor (1811—1891), dr. medycyny, prof. szkoły głównej w Warszawie, członek krakowskiej Akademii umiejętności, autor wielu dzieł naukowych.

Szubert Michał (1787—1860), dyrektor ogrodu botanicznego w Warszawie, autor kilku dzieł z zakresu botaniki.

Tasso Torquato (1544—1595), sławny poeta włoski, epik (Jerozolima wyzwolona, tłóm. Piotr Kochanowski). Bohaterem jego epopei jest Godfred (str. 95, w. 68).

Tegner Jezajasz (1782—1846), największy poeta szwedzki.

Teofrast (około r. 390. przed Chr.), filozof grecki, po Aristotelesie przewódca szkoły perypatetyków. Najważniejsze jego dzieło: O charakterach.

Teokryt (około r. 300. przed Chr.), sielankopisarz grecki; pozostało po nim 30 sielanek.

Teofylaktus Simokatta, sofista z VII. w. po Chr., napisał Historyę powszechną w 8 ks.; nadto 85 listów.

Tibullus Albius (w ostatnim wieku przed Chr.), starożytny poeta rzymski, elegik (4 księgi).

Tieck Ludwík (1773—1853), poeta niemiecki.

Tomaszewski Dyzma Bończa (1749—1825): Jagiellonida czyli zjednoczenie Litwy z Polską, poema oryginalne.

Tomicki Piotr (1464—1535), biskup krakowski, podkanclerzy koronny. Pozostawił wielki zbiór aktów dyplomatycznych (p. Działyński).

Towiański Andrzej przybył do Paryża r. 1841., † 1878. w Zurychu.

Trembecki Stanisław (1723—1812), p. Wyp. cz. I. str. 480.

Trentowski Bronisław Ferdynand (1807—1869), filozof. Dzieła: Grundlage der universellen Philosophie; Vorstudien zur Wissenschaft der Natur; — Chowanna czyli system pedagogiki narodowej; Myślini czyli całokształt logiki narodowej — i inne.

Tretiak Józef (ur. 1841) wydał wiele rozpraw. Najważniejsze dzieło: Mickiewicz w Wilnie i Kownie (3 t.).

Trotz Abraham († 1769), prof. jęz. polsk. w uniwers. lipskim, wydał Słownik francusko-polsko-niemiecki.

Tyszyński Alexander (1811—1880), prof. histor. literatury polskiej w szkole głównej w Warszawie, estetyk i krytyk: Rozbiory i krytyki (3 t.); Wizerunki polskie.

Uchański Jakób († 1581), arcybisk. gnieźn., skłaniający się ku reformacyi.

Ulanowski Bolesław (ur. 1860), opracował (wydawn. Akademii Umiej.) niektóre pomniki prawa polskiego.

Ulrich Leon (1811—1885), tłómacz Szekspira.

Ursyn Jan, lekarz, humanista i autor dzieła *Modus epistulandi.*

Valla Laurentius (1407—1457), sławny włoski humanista, tłómacz Herodota i Tucydidesa na jęz. łac.; napisał także między innemi dziełami: *Elegantiae Latini sermonis* (w 6 księgach) i *Annotationes in Novum Testamentum*, które potem wydał Erazm z Rotterdamu.

Varro *(Marcus Terentius Varro)*, jeden z najuczeńszych i najzasłużeńszych pisarzów rzymskich (116—27 przed Chr.). Z wielu dzieł jego pozostały: *De re rustica; De lingua latina* (część tylko) i fragmenta z innych dzieł.

P. Vergilius Maro (70—19 przed Chr.), poeta rzymski: Sielanki (10); Ziemiaństwo; Aeneis (epopeja w 12 pieśniach).

Vogt Karol (ur. 1817), sławny naturalista, zwolennik nauki Darwina, od r. 1852. prof. geologii i zoologii w Genewie, wydał wiele dzieł naukowych (n. p. Bilder aus d. Thierleben; Zoologische Briefe;

Vorlesungen über den Menschen; Lehrbuch der Geologie; Praktische Anatomie).

Waga Antoni (1799—1890), prof. liceum warszawskiego, odbywał podróże po Europie i Afryce; pierwszy polski entomolog; wydał wiele dzieł naukowych.

Walewski Antoni (1805—1876), prof. uniwer. Jagiellońskiego: Filozofia dziejów Polski i metoda ich badania.

Warszewicz Józef (1812—1866), słynny podróżnik i zbieracz roślin w południ. Ameryce; inspektor ogrodu botanicznego w Krakowie. Sprowadził do Europy wiele gatunków roślin.

Wasilewski Edmund (1814—1846), poeta: Krakowiaki (Wesoły szczęśliwy — Zapomniane skrzypki); Pieśń żeglarzy.

Wegner Leon (1824—1873), Wielkopolanin, historyk: Dzieje 3. i 5. maja 1791; Sejm grodzieński ostatni; Tadeusz Rejtan — i inne.

Wężyk Franciszek (1785—1862) p. Wyp. cz. I. str. 614.

Wilkoński August (1805—1852), jeden z największych humorystów polskich, wydał Ramoty i ramotki w 5 tomach.

Wójcicki Kazimierz Władysław (1807—1879), Warszawianin, autor wielu dzieł: Hist. literatury pol. w zarysach (w 4 tom.); Teatr starożytny w Polsce (2 t.); Ostatni klasyk; Warszawa, jej życie umysłowe w ciągu lat 30 w. XIX. — i inne.

Wojciechowski Tadeusz (ur. 1838.), prof. uniwers. lwowsk., wydał: Chrobacya; O rocznikach polskich X. do XIV. wieku.

Wolski Włodzimierz (1824—1882); Poezye (w 2 tom.); Promyki; libretta do oper Moniuszki: Halka i Verbum nobile.

Woronicz Jan Paweł (1757—1829), p. Wyp. cz. I. str. 588.

Zabłocki Franciszek Mikołaj (1754—1821)., p. Wyp. cz. I. str. 510.

Zakrzewski Wincenty (ur. 1844), prof. uniwersytetu Jagiellońskiego: Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce; Stosunki Stolicy apostol. z Iwanem Groźnym; Po ucieczce Henryka.

Zalewski Kazimierz (ur. 1848), komedyopisarz: Przed ślubem; Złe ziarno; Artykuł 264.; Friebe; Małżeństwo Apfel — i inne.

Zamoyski Jan (1543—1605), kanclerz i hetman w. kor.

Zan Tomasz († 1855), towarzysz i przyjaciel A. Mickiewicza.

Zeiszner Ludwik (1805—1871), Warszawianin, prof. mineralogii w uniwers. Jagiellońskim: Pomiary barometryczne Tatrów; Krótki opis historyczny, geologiczny i górniczy Wieliczki; Geologia.

Zieliński Gustaw (1809—1881), wydał utwory: Kirgiz; Stepy.

Zmorski Roman (1824—1867), poeta oryginalny i tłómacz, szczególnie pieśni serbskich.

Żmichowska Narcyza, Gabryela (1819—1876) Warszawianka: Pisma w 4 tomach; Wybór poezyi p. t. Kwiaty rodzinne.

Żukowski Bazyli (1783—1852), poeta rosyjski.

Żygliński Franciszek (1816—1849), wydał: Dumki i fantazye.



120

354719

25.VIII.78

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
113781

Biblioteka WSP Kielce
0156133